

Powieść autorki
Księgi Sądu Ostatecznego

PRZEJŚCIE



C O N N I E W I L L I S

CONNIE WILLIS

PRZEJŚCIE

Przełożył: Piotr Budkiewicz

Zawsze będę pamiętać tę ciemność i zimno.

Edith Haisman, rozbitek z *Titanica*

- Jak jest tam w dole, Charydesie?*
- Bardzo mroczno.*
- A co z powrotem?*
- Same kłamstwa.*

Kallimachos

*Pamięci Erika Felice'u,
Blaszanego Drwala*

Podziękowania

Serdecznie dziękuję mojemu wydawcy, Anna Groell, mojemu agentowi Ralphowi Vicinanzie, Doris Myers oraz Phyllis Giroux i dr med. Elizabeth A. Bancroft, z którą konsultowałam sprawy medyczne.

Pisanie niniejszej książki okazało się dla mnie niemalże doświadczeniem granicznym i nie przetrwałabym bez wsparcia mojej córki Cordelii, cierpliwych i wyrozumiałych przyjaciół, personelu Margie Java Joint oraz niezrównanej i wyjątkowej pomocy mojego męża Courtneya, a także mojej niezastąpionej Dziewczyny-Piętaszka, Laury Norton.

CZEŚĆ PIERWSZA

„Cicho, cicho, łączę się z Przylądkiem Race”.

Telegraficzna wiadomość z *Titanica*,
przerywająca ostrzeżenie o górach lodowych,
przesyłane z pokładu *Californian*

Rozdział 1

„Więcej światła!”

Ostatnie słowa Goethego

– Usłyszałam hałas, a potem znalazłam się w tunelu – oznajmiła pani Davenport.

– Może go pani opisać? – spytała Joanna, przysuwając dyktafon odrobinę bliżej rozmówczyni.

– Tunel? – upewniła się pani Davenport. Rozejrzała się po pokoju szpitalnym, jakby szukając natchnienia. – No więc było ciemno...

Joanna czekała. Wiedziała, że każde pytanie, nawet: „Jak ciemno?”, może sugerować odpowiedź, kiedy rozmawia się z ludźmi o ich doświadczeniach granicznych, a gdy zapada cisza, większość osób stara się ją zapełnić słowami, więc prowadzący rozmowę musi tylko czekać. Pani Davenport zachowywała się nietypowo. Przez moment wpatrywała się w kroplówkę, a potem zwróciła pytające spojrzenie na Joannę.

– Czy przypomina pani sobie coś jeszcze o tym tunelu? – drążyła Joanna.

– Nie... – odparła po chwili pani Davenport. – Było ciemno.

„Ciemno”, zapisała Joanna. Zawsze robiła notatki, na wypadek gdyby skończyła się taśma albo uszkodził dyktafon, a poza tym chciała rejestrować zachowanie i intonację rozmówcy. „Małomówna”, odnotowała. „Skryta”. Osoby skryte niekiedy jednak okazywały się najlepszymi rozmówcami, jeśli się miało do nich cierpliwość.

– Powiedziała pani, że usłyszała hałas – przypomniała Joanna. – Może go pani opisać?

– Hałas? – powtórzyła niewyraźnie pani Davenport.

Jeśli się miało cierpliwość Hioba, dodała w myślach Joanna.

– Powiedziała pani... – Ostrożnie akcentowała słowa, nie dając za wygraną: – „Usłyszałam hałas, a potem znalazłam się w tunelu”. Czy hałas

dobiegł panią, zanim weszła pani do tunelu?

– Nie... – Pani Davenport zmarszczyła czoło. – Tak. Nie jestem pewna. To było jakby dzwonenie... – Spojrzała pytająco na Joannę. – A może brzęczenie? – Joanna zachowała kamienny wyraz twarzy. Zachęcający uśmiech lub ściągnięcie brwi także mogłyby sugerować odpowiedź. – Chyba brzęczenie – zdecydowała pani Davenport.

– Może je pani opisać?

Powinam była coś zjeść przed tą wizytą, pomyślała Joanna. Minęło południe, a ona nic jadła jeszcze śniadania, poza kawą i tartinką. Chciała jednak spotkać się z panią Davenport, zanim dotrze do niej Maurice Mandrake, a im dłuższa przerwa między doświadczeniami granicznymi i wywiadem, tym więcej pojawiała się konfabulacji.

– Opisać? – zirytowała się pani Davenport. – Brzęczenie.

To nie miało sensu. Musiała zadać konkretniejsze pytania, bez względu na to, czy coś zasugeruje, ho inaczej nigdy się niczego nie dowie.

– Czy brzęczenie było jednostajne czy przerywane?

– Przerywane? – zmieszała się pani Davenport.

– Czy się kończyło i zaczynało? Jakby ktoś naciskał dzwonek przy drzwiach do mieszkania? Czy też rozlegało się bezustannie, jakby brzęczała pszczoła?

Pani Davenport ponownie zapatrzyła się w kroplówkę.

– Pszczoła – zdecydowała wreszcie.

– Czy brzęczenie było głośne czy ciche?

– Głośne – padła niepewna odpowiedź. – Ustało.

Nic z tego nie będzie, pomyślała Joanna.

– Co się wydarzyło, gdy ustało?

– Było ciemno – stwierdziła pani Davenport. – Potem zobaczyłam światło na końcu tunelu i...

Zapisał pager Joanny. Świetnie, pomyślała, niezdarnie usiłując go wyłączyć. Tylko tego mi było trzeba. Pożałowała, że nie wyłączyła go przed rozpoczęciem rozmowy, wbrew ogólnej zasadzie, obowiązującej w Szpitalu Miłosierdzia, nakazującej trzymanie przy sobie sprawnego urządzenia. Otrzymywała wiadomości wyłącznie od Vielle oraz pana Mandrake'a, nie raz zepsuły jej wywiady z osobami po doświadczeniach granicznych.

– Musi pani iść? – spytała pani Davenport.

– Nie. Widziała pani światło...

– Jeśli musi pani iść...

– Nie muszę – stanowczo podkreśliła Joanna i wsunęła pager do kieszeni, nie sprawdzając treści komunikatu. – To nieważne. Widziała pani światło. Może je pani opisać?

– Było złote – szybko wyjaśniła pani Davenport. Zbyt szybko. Poza tym sprawiała wrażenie zbyt pewnej siebie i zadowolonej, jak dziecko, które zna odpowiedź na zadane pytanie.

– Złote – powtórzyła Joanna.

– Tak, a w dodatku jaśniejsze niż jakiegokolwiek widziane przeze mnie światło, ale mnie nie raziło. Było ciepłe i uspokajające, a kiedy się w nie wpatrywałam, dostrzegłam, że jest istotą, Świetlistym Aniołem.

– Świetlistym Aniołem. – Joanna zaczęła tracić nadzieję.

– Tak, a wszędzie wokół tego anioła stali znani mi ludzie, którzy zmarli. Moja matka i mój biedny, kochany ojciec, i wuj Alvin. Służył w marynarce wojennej podczas drugiej wojny światowej. Zginął pod Guadalcanal, a Świetlisty Anioł powiedział...

– Zanim weszła pani do tunelu – przerwała Joanna – czy poczuła pani, że opuszcza ciało?

– Nie – padła błyskawiczna odpowiedź. – Pan Mandrake powiedział, że ludzie niekiedy to czują, ale ja widziałam tylko tunel i światło.

Pan Mandrake. Oczywiście. Powinna się była domyślić.

– Rozmawiał ze mną wczoraj wieczorem – dodała pani Davenport. – Napisał *Światło na końcu tunelu*. To był bestseller.

– Tak, wiem – westchnęła Joanna.

– Pracuje nad nową książką – ciągnęła pani Davenport. – *Wiadomości z Tamtej Strony*. Wie pani, trudno się domyślić, że jest sławny. Był taki miły. W cudowny sposób zadaje pytania.

Nie da się ukryć, pomyślała Joanna. Słyszała, jak mówił: „Kiedy szła pani przez tunel, słyszała pani brzęczenie, prawda? Czy światło, które dojrzała pani na końcu tunelu, można by opisać jako złote? Chociaż było jaśniejsze niż cokolwiek, co pani widziała, nie raziło pani, zgadza się? Kiedy spotkała pani Świetlistego Anioła?” Słowo „sugestia” to za mało.

Poza tym uśmiechał się i potakiwał zachęcająco głową, kiedy słyszał oczekiwane odpowiedzi. Ściągał usta i pytał: „Jest pan pewien, że tego dzwonięcia nie należałoby raczej określić jako brzęczenia?” Marszczył czoło i dopytywał się z przejęciem: „Nie pamięta pani wznoszenia się nad stołem operacyjnym? Jest pani pewna?”

Na jego życzenie ludzie wszystko sobie przypominali: jak opuszczali ciało i wkraczali do tunelu, jak spotykali Jezusa, opowiadali o świetle i retrospekcji życia, a także o spotkaniach ze zmarłymi bliskimi. Zapominali o obrazach i dźwiękach, które mu nie odpowiadały, a także zmyślali to, co chciał usłyszeć. W rezultacie całkowicie zacierały się ich wspomnienia o tym, co faktycznie zaszło.

Dość szkody wyrządziły książki Moody'ego, *Otoczony światłem* i inne pozycje, a także programy telewizyjne i artykuły z pism, poświęcone doświadczeniom granicznym, podpowiadające ludziom, czego powinni się spodziewać, nawet bez obecności pana Mandrake'a, nabijającego im głowy tego rodzaju historiami tutaj, w Szpitalu Ogólnym Miłosierdzia Bożego.

– Pan Mandrake powiedział mi – obwieściła z dumą pani Davenport – że oprócz opuszczenia ciała moje doświadczenia graniczne są jednymi z najlepszych, jakie spisywał.

Raczej kradł, pomyślała Joanna. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

– Dziękuję, pani Davenport – zakończyła. – Dowiedziałam się już wystarczająco dużo.

– Ale przecież jeszcze nie powiedziałam pani o niebiańskim chórze ani o retrospekcji – zaprotestowała pani Davenport, nagle otwierając się przed Joanną. – Świetlisty Anioł nakazał mi spojrzeć w kryształ i pokazał mi wszystko, co kiedykolwiek robiłam: zarówno dobre, jak i złe rzeczy, całe moje życie.

Które właśnie teraz mi opowie, pomyślała Joanna. Wsunęła rękę do kieszeni i ponownie włączyła pager. Piszcz, nakazała. Teraz.

– ...a następnie kryształ pokazał mi chwilę, kiedy zatrzasnęłam samochód i przeszukałam torebkę i palto, żeby znaleźć kluczyk...

Teraz, kiedy Joanna pragnęła usłyszeć dźwięk pagera, milczał jak grób. Potrzebowała urządzenia wyposażonego w alarmowy przycisk do włączania sygnału. Zastanawiała się, czy w Radio-Shack sprzedają coś takiego.

– ...a potem pokazał mi, jak idę do szpitala i moje serce przestaje bić – wyznała pani Davenport – i wtedy światło zaczęło migotać, a anioł wręczył mi telegram, taki sam jak ten z wiadomością o śmierci Alvina, a ja powiedziałam: „Czy to znaczy, że umarłam?“, a anioł powiedział: „Nie, to wiadomość, że musisz powrócić do swojego ziemskiego życia”. Notuje pani to wszystko?

– Tak – potwierdziła Joanna, pisząc: „Cheeseburger, frytki, duża cola”.

– „Twój czas jeszcze nie nadszedł”, powiedział Świetlisty Anioł, a potem znowu leżałam w sali operacyjnej.

„Jeśli zaraz się stąd nie wydostanę”, zapisała Joanna, „zamkną bufet, więc błagam, niech ktoś prześle mi wiadomość”.

Pager wreszcie się zlitował i zapiszczał w chwili, gdy pani Davenport opisywała światło jako: „świecące pryzmy brylantów, szafirów i rubinów”, dosłownie cytując fragment *Światła na końcu tunelu*.

– Przykro mi, muszę już iść – oznajmiła Joanna, wyciągając pager z kieszeni. – To pilne.

Porwała dyktafon i zatrzymała taśmę.

– Jak mogę się skontaktować z panią, jeśli przypomnę sobie coś jeszcze na temat moich doświadczeń granicznych?

– Proszę przesłać mi wiadomość na pager – zaproponowała Joanna i uciekła. Nie sprawdziła nawet, kto wysłał jej komunikat, wolała to zrobić po opuszczeniu pokoju. Nie rozpoznała numeru, lecz dzwonił ktoś ze szpitala. Poszła do pomieszczenia pielęgniarek, aby zatelefonować.

– Nie wie pani, czyj to numer? – spytała Eileen, dyżurną pielęgniarkę.

– Trudno powiedzieć – odparła Eileen. – Może pana Mandrake’a?

– Nie, znam jego numer – stwierdziła ponuro Joanna. – Udało mu się dotrzeć do pani Davenport przede mną. W tym tygodniu to trzeci zmarnowany wywiad.

– Żartuje pani – westchnęła Eileen. Wciąż wpatrywała się w numer na pagerze. – Może to doktor Wright. Przyszedł tu wcześniej i pytał o panią.

– Doktor Wright? – zmarszczyła czoło Joanna. Nazwisko nie brzmiało znajomo. – Może go pani opisać?

– Wysoki, młody blondyn...

– Przystojniak – skomentowała Tish, która właśnie podeszła do biurka, trzymając w dłoni kartę choroby.

Opis nie pasował do żadnego znajomego Joanny.

– Powiedział, czego chce?

Eileen pokręciła głową.

– Spytał mnie, czy to pani zajmuje się badaniami dotyczącymi doświadczeń granicznych.

– Świetnie – jęknęła Joanna. – Pewnie chce mi opowiedzieć, jak przechodził przez tunel i zobaczył światło, wszystkich zmarłych krewnych i Maurice’a Mandrake’a.

– Tak pani myśli? – powątpiewała Eileen. – W końcu to lekarz.

– Gdyby to mogło uchronić przed szaleństwem – skomentowała Joanna.
– Zna pani doktora Ahramsa z Mt. Sinai? W zeszłym tygodniu wyciągnął mnie na lunch, obiecując, że porozmawia z radą nadzorczą szpitala na temat przyznania mi zezwolenia na wywiady, a następnie sam mi opowiedział o swoich doświadczeniach granicznych: jak ujrzał tunel, światło i Mojżesza, który nakazał mu wrócić i głośno czytać ludziom Torę. Więc czytał. Przez cały lunch.

– Niemożliwe – sapnęła Eileen.

– Ale doktor Wright to przystojniak – wtrąciła się Tish.

– Niestety, to niczego nie gwarantuje – odparła Joanna. – W ubiegłym tygodniu poznałam niezwykle przystojnego stażystę, który wyznał mi, że w swoich doświadczeniach granicznych widział Elvisa.

Zerknęła na zegarek. Bufet powinien być jeszcze otwarty.

– Idę na lunch – oznajmiła. – Gdyby znowu pokazał się doktor Wright, powiedzcie mu, że na pewno chodzi mu o spotkanie z Mandrakiem.

Ruszyła ku mieszczącemu się w głównym budynku bufetowi, wybierając schody dla personelu zamiast windy, aby uniknąć przypadkowego spotkania z Wrightem lub Mandrakiem. Podejrzewała, że to doktor Wright odpowiada za poprzednią wiadomość na jej pagerze, nadesłaną podczas rozmowy z panią Davenport. Z drugiej strony, mogła to być Vielle, z informacją o pacjencie, którego reanimowano i który zapewne miał doświadczenia graniczne. Powinna to sprawdzić. Zeszła na oddział nagłych wypadków.

Pomieszczenie jak zwykle okazało się zatłoczone, wszędzie poustawiano wózki inwalidzkie, na stole do badań siedział chłopiec z ręką owiniętą w mokrą od krwi ściereczkę kuchenną, dwie kobiety gwałtownie i z wściekłością rozmawiały po hiszpańsku z dyżurną pielęgniarką, a ktoś z sali urazowej klął ile sił w płucach. Joanna przedarła się przez las stojaków do kroplówek i wózków reanimacyjnych, wypatrując ciemnoniebieskiego fartucha i czarnej, zaaferowanej twarzy Vielle. Na oddziale nagłych wypadków Vielle zawsze wyglądała na przejętą, bez względu na to, czy przywracała komuś pracę serca czy też usuwała drzazgę, a Joanna często się zastanawiała, jaki to ma wpływ na jej pacjentów.

Stała tam, przy recepcji, czytała czyjaś kartę choroby i sprawiała wrażenie przejętej. Joanna przecisnęła się do niej między wózkiem i stosem koców.

– Wysłałaś mi wiadomość na pager? – spytała.

Vielle pokręciła głową w niebieskim czepku.

– Czuję się tutaj jak w grobowcu. Dosłownie. Postrzelenie z broni palnej, dwa przedawkowania narkotyków, jedno zapalenie płuc plus AIDS. Sami zmarli w chwili przybycia, z wyjątkiem jednego, który przedawkował.

Odłożyła kartę i skierowała Joannę do jednej z sal urazowych. Wywieziono stamtąd stół do badań, a zainstalowano sprzęt elektryczny, wraz z przewodami i kablami.

– Co to takiego? – zainteresowała się Joanna.

– Pokój łączności – wyjaśniła Vielle. – O ile zdołamy go kiedykolwiek wykończyć. Dzięki niemu będziemy w stałym kontakcie z karetkami oraz helikopterem i uda nam się podawać medyczne wskazówki paramedycykom jadącym do szpitala. Dzięki temu będziemy wiedzieli, czy pacjenci zmarli w chwili przybycia, jeszcze zanim tutaj dotrą. Albo czy są uzbrojeni.

Ściągnęła czepkę, spod którego wysypało się mnóstwo cienkich czarnych warkoczyków.

– Pacjent z przedawkowaniem, który jeszcze żył, usiłował zastrzelić jednego z pielęgniarzy kładących go na stole do badań. Był pod wpływem tego nowego środka, rogue, który wywołuje nawroty agresji. Na szczęście wziął go zbyt dużo i zmarł, zanim zdążył pociągnąć za spust.

– Musisz poprosić o przeniesienie na pediatrię – skomentowała Joanna.

– Dzieci są gorsze od narkomanów – zatrzęsła się Vielle. – Zresztą jeśli się przeniosę, kto cię powiadomi o przypadkach śmierci klinicznej, zanim Mandrake się o nich dowie?

– Fakt, jesteś moją jedyną nadzieją uśmiechnęła się Joanna. – A właśnie, znasz może doktora Wrighta?

– Od lat szukam kogoś takiego{1} – stwierdziła Vielle.

– Zdaje się, że będziesz musiała jeszcze poczekać – powiedziała Joanna.

– To nie jest jeden ze stażystów lub rezydentów na oddziale nagłych wypadków?

– Nie wiem – odparła Vielle. – Kręci się tutaj mnóstwo ludzi, nawet nie próbuję zapamiętać ich nazwisk. Zwracam się do wszystkich: „Przestań” albo „No i co ty robisz?” Sprawdzę.

Weszły z powrotem do sali. Vielle chwyciła tablicę i przesunęła palcem po liście nazwisk.

– Nie. Jesteś pewna, że to ktoś z naszego szpitala?

– Nie – wyznała Joanna. – Ale jeśli będzie mnie szukał, jestem na szóstym piętrze w zachodnim skrzydle.

– A jeśli zjawi się ktoś po doświadczeniach granicznych i będę musiała cię znaleźć!

– Jestem w bufecie – uśmiechnęła się szeroko Joanna.

– Prześlę ci wiadomość na pager – uznała Vielle. – Znosi się na pracowite popołudnie.

– Czemu?

– Pogoda na ataki serca – zaopiniowała Vielle, a na widok niepewnego spojrzenia Joanny pokazała palcem wejście na oddział nagłych wypadków.

– Śnieg pada od dziewiątej rano.

Joanna wbiła zdumiony wzrok w punkt wskazany przez Vielle, lecz z miejsca, w którym stała, niczego nie dostrzegła.

– Cały ranek spędziłam u pacjentów, w pokojach z zaciągniętymi zasłonami. A także w gabinetach bez okien, na korytarzach i w windach.

– Upadki na lodzie, spadające bryły śniegu, wypadki drogowe – wyliczała Vielle. – Zapowiada się mnóstwo roboty. Włączyłaś pager?

– Tak, mam – obruszyła się Joanna. – Nie jestem jedną z twoich stażystek.

Machnęła ręką na pożegnanie i zeszła na parter.

Ku swojemu zdumieniu ujrzała, że bufet wciąż jest czynny. Zazwyczaj zamykano go najwcześniej spośród wszystkich znanych Joannie bufetów szpitalnych i kiedy przychodziła na lunch, najczęściej zastawała zamknięte na klucz podwójne szklane drzwi i czerwone krzesła z plastiku poustawiane na stolikach z formiki. Dzisiaj lokal był jeszcze otwarty, chociaż pracownica w siatce na włosy uprzątała bar sałatkowy, a jej koleżanka wynosiła stopy talerzy. Uprzedzając pomoce kuchenne, Joanna chwyciła tacę i ruszyła do rzędu pojemników z gorącymi potrawami. Nagle zamarła. Przy automacie z napojami Maurice Mandrake nalewał sobie kubek kawy. Nie, pomyślała Joanna, nie w tej chwili. Teraz mogłabym go zabić.

Odwróciła się na pięcie i szybko pomaszerowała korytarzem. Zanurkowała do windy, wcisnęła przycisk „Zamykanie drzwi” i zastanowiła się, na które piętro pojechać. Nie mogła opuścić szpitala, obiecała przecież Vielle, że pozostanie na miejscu. Automat z przekąskami znajdował się w północnym skrzydle, ale nie miała pewności, czy zabrała jakieś pieniądze. Przetrasnęła kieszenie kardigana, ale natrafiła wyłącznie na dyktafon, długopis, dziesięć centów, formularz oświadczenia o dobrowolnym uczestnictwie w wywiadzie, zestaw używanych chusteczek do nosa, widokówkę z tropikalnym oceanem o zachodzie słońca i czarnymi

sylwetkami palm na czerwonym niebie i koraloworóżowej wodzie. Od kogo to? Odwróciła pocztówkę. „Świetnie się bawimy. Szkoda, że cię tu nic ma”, nabazgrał ktoś, podpisując się niewyraźnie. Obok widniały słowa, napisane przez Vielle: „*Pretty Woman, Tytani, Co kryje prawda*”. Lista filmów, którą Vielle zamówiła u niej na ich ostatni wieczór smakołyków.

Niestety, nie znalazła popcornu z tego samego wieczoru smakołyków, a najtańsza przekąska w automacie kosztowała siedemdziesiąt pięć centów. Portmonetkę zostawiła w gabinecie, a przed wejściem mógł się czaić doktor Wright.

Skąd jeszcze wziąć jedzenie? Na onkologii mieli preparaty wzmacniające, ale nie była aż tak głodna. Pomyślała o Pauli na czwartym piętrze wschodniego skrzydła. Nigdy się nie rozstawała z zapasem m&m'sów. Poza tym powinna odwiedzić Carla Aspinalla. Wcisnęła przycisk na czwarte piętro.

Zastanawiała się, jak się miewa Carl Śpiączka (tak go ochrzciły pielęgniarki). Znajdował się w stanie przedśpiączkowym od dnia przyjęcia do szpitala dwa miesiące temu z zapaleniem opon mózgowo-rdzeniowych. Przez pewien czas zupełnie nie reagował na bodźce, potem jego ręce i nogi zaczęły drżeć, a on sam mamrotał pojedyncze wyrazy. Niekiedy mówił wyjątkowo wyraźnie.

– Z tym, że on nie przeszedł śmierci klinicznej – stwierdziła Guadalupe, jedna z jego pielęgniarek, kiedy Joanna uzyskała od żony Carla pozwolenie na to, aby pielęgniarki spisywały wszystkie wypowiedziane przez niego słowa. – To znaczy, nigdy go nie reanimowano.

– Okoliczności są podobne – podsumowała Joanna. Poza tym Carl był jedynym pacjentem, do którego nie mógł się dostać Maurice Mandrake.

Zresztą nic do niego nie docierało, chociaż żona i pielęgniarki utrzymywały, że je słyszy. Pielęgniarki zwracały uwagę, aby nie używać w jego pokoju przezwiska Carl Śpiączka ani nie omawiać przy nim jego stanu. Poza tym zachęcały Joannę do rozmowy z chorym.

– Przeprowadzono badania, które wykazały, że pacjenci w śpiączce mogą słyszeć to, co się mówi w ich obecności – poinformowała ją kiedyś Paula, wręczając kilka m&m'sów.

Rzecz w tym, że ja w to nie wierzę, pomyślała Joanna, czekając, aż drzwi windy otworzą się na czwartym piętrze. On nic nie słyszy. Znajduje się w zupełnie innym miejscu, nie możemy do niego dotrzeć.

Drzwi windy się rozsunęły i Joanna ruszyła do pokoju pielęgniarek. Nie zastała tam Pauli. Przy komputerze siedziała nieznajoma pielęgniarka z blond włosami i wąskimi, kościstymi biodrami.

– Gdzie Paula? – spytała Joanna.

– Na zwolnieniu – wyjaśniła ostrożnie chuda jak patyk pielęgniarka. – W czym mogę pani pomóc, doktor... – zerknęła na identyfikator, wiszący na szyi Joanny – ...Lander?

Prośenie jej o coś do jedzenia nie miało sensu. Wyglądała tak, jakby nigdy w życiu nie włożyła do ust m&m'sa, a ze spojrzenia, jakim obdarzyła Joannę, można było wywnioskować, że najchętniej nie pozwoliłaby jej zjeść nawet jednego dropsa.

– W niczym, dziękuję – odparła chłodno Joanna i spostrzegła, że wciąż trzyma tacę z bufetu. Najwyraźniej cały czas miała ją w rękach w windzie i nie zdawała sobie z tego sprawy.

– To musi wrócić do kuchni – przykazała zwięźle i wręczyła tacę pielęgniarce. – Przyszłam zobaczyć się z Carlem... z panem Aspinallem – wyjaśniła i skierowała się do pokoju.

Drzwi były otwarte, a przy brzegu łóżka stała Guadalupe. Zawieszała torbę na stojaku do kroplówek. Krzesło zazwyczaj zajmowane przez żonę Carla stało puste.

– Jak się dzisiaj miewa? – szepnęła Joanna, zbliżając się do łóżka.

– Znacznie lepiej – obwieściła radośnie Guadalupe i dodała szeptem: – Wróciła gorączka.

Zdjęła z haka pustą torbę i podeszła z nią do okna.

– Ciemno tutaj – stwierdziła. – Carl, wpuścić ci trochę światła?

Rozsunęła zasłony.

Vielle miała rację. Prószył śnieg. Wielkie płatki sfruwały z ołowianoszarego nieba.

– Pada śnieg, wiesz, Carl? – powiedziała Guadalupe.

Nie, pomyślała Joanna, wpatrując się w mężczyznę na łóżku. Jego otępiła twarz, skryta za przewodami z tlenem, wydawała się blada i pozbawiona wyrazu w szarym świetle dnia, spod na wpół przymkniętych powiek wyglądały wąskie paski białka, a usta były częściowo rozchylone.

– Na dworze pewnie jest zimno – stwierdziła Guadalupe, podchodząc do komputera. – Śnieg pewnie już zalega na ulicach?

Joanna dopiero po chwili zorientowała się, że pielęgniarka mówi do niej, a nie do Carla.

– Nie wiem – odparła, tłumiąc w sobie chęć mówienia szeptem, aby nie przeszkadzać pacjentowi. – Przyszłam do pracy, zanim zaczęło padać.

Guadalupe klikała na ikonki na ekranie monitora, wprowadzając informacje o temperaturze Carla i podłączeniu nowej torby do kroplówki.

– Powiedział coś od rana? – zainteresowała się Joanna.

– Ani słowa – brzmiała odpowiedź. – Zdaje się, że znowu pływa łódką po jeziorze. Wcześniej mrucał.

– Mrucał? – powtórzyła Joanna. – Może to pani opisać?

– No zwyczajnie, mrucał – wyjaśniła pielęgniarka. Podeszła do łóżka i podciągnęła koc, zasłaniając klatkę piersiową mężczyzny i jego obandażowaną rękę oraz odchodzący od niej przewód. – Brzmiało jak melodia, ale nie udało mi się jej rozpoznać. No proszę, teraz będzie ci ciepło i przyjemnie – oznajmiła i skierowała się w stronę drzwi z pustą torebką w dłoni. – Masz szczęście, Carl, że jesteś tutaj, a nie tam, na śniegu – dodała i wyszła.

Tylko że jego tutaj nie ma, pomyślała Joanna.

– Gdzie jesteś, Carl? – spytała. – Pływasz łódką po jeziorze?

Pływanie łódką po jeziorze było jednym ze scenariuszy wymyślonych przez pielęgniarki na podstawie zachowania pacjenta. Poruszał rękami, jakby wiosłował, a kiedy to robił, zawsze był spokojny i nie krzyczał – właśnie dlatego uznały, że zajmuje się czymś przyjemnym.

Scenariuszy istniało kilka: marsz śmierci na półwyspie Bataan, kiedy nieprzerwanie krzyczał: „Wody!”; bieg do autobusu; a także coś, co każda pielęgniarka nazywała inaczej – palenie na stosie, pułapka Wietkongu, męki piekielne – wtedy ciskał się po łóżku w pomiętej pościeli i wyrwał sobie kroplówkę. Raz podbił Guadalupe oko, kiedy usiłowała go unieruchomić. „Zniszczyć”, wrzeszczał raz za razem, a może też było to słowo „zniżyć!” albo „zmiążdżyć”. Raz krzyknął w panice: „Przeciąć węzeł”.

– Może uważa, że przewody kroplówki to sznury – zasugerowała Guadalupe, nie mogąc otworzyć spuchniętego oka, kiedy przekazywała Joannie opis całego zdarzenia.

– Może – potwierdziła Joanna, chociaż wcale tak nie uważała. On nie wie, że koło niego przebiegają przewody kroplówki, pomyślała, nie ma też pojęcia o śniegu i o pielęgniarkach. Przebywa daleko stąd i widzi coś zupełnie innego. Podobnie jak w wypadku wszystkich pacjentów z atakami serca, po wypadkach samochodowych i z krwotokami, będących jej rozmówcami przez ostatnie dwa lata, po wysłuchaniu opowieści o aniołach,

tunelach i krewnych, których programowo widzieli, ze spontanicznych komentarzy wyławiała pozornie mało znaczące szczegóły, mogące sugerować, co ujrzeli i gdzie byli.

– Ogarnęło mnie światło i poczułam się szczęśliwa, rozgrzana i bezpieczna – wyznała Lisa Andrews, której serce przestało bić podczas cesarskiego cięcia, lecz powiedziawszy to, zadrżała i przez długi czas wpatrywała się tępo przed siebie. Z kolei Jake Becker, która spadła z półki skalnej podczas wędrówki po Górach Skalistych, opisując tunel, stwierdziła:

– Był daleko.

– Tunel był daleko od pani? – spytała Joanna.

– Skąd – zdenerwowała się Jake. – Byłam w nim. W środku. Mówię, gdzie on był. Był daleko.

Joanna podeszła do okna i zapatrzyła się na śnieg. Padał teraz szybciej, przykrywając samochody na parkingu dla gości. Starsza pani w szarym płaszczu i plastikowym czepku przeciwdeszczowym pracownicie zeskrobywała śnieg z przedniej szyby swojego auta. Pogoda na ataki serca, stwierdziła Vielle. Pogoda na wypadki drogowe. Pogoda na umieranie.

Zasunęła zasłony, podeszła do łóżka i siadła na krześle obok. Carl nic nie powie, a bufet zamkną za dziesięć minut. Jeśli chciała coś zjeść, powinna natychmiast wyjść. Mimo to nie ruszyła się z miejsca, wpatrując w ekrany, w przesuujące się linie, zmieniające liczby, obserwując niemal niezauważalne unoszenie i opadanie zapadłej klatki piersiowej Carla, i spoglądając na zaciągnięte zasłony, za którymi cicho padał śnieg.

Zdała sobie sprawę, że słyszy stłumiony dźwięk. Zatopiła wzrok w Carlu, lecz nie zauważyła, aby się poruszył, a jego usta wciąż były na wpół otwarte. Zerknęła na monitory, lecz dźwięk dobiegał od strony łóżka. „Możesz go opisać?”, pomyślała machinalnie. Głęboki, równy odgłos, podobny do brzmienia rogu mgłowego, przerywany długimi pauzami, a po każdej z nich następowała nieznaczna zmiana tonu.

Mruczy, pomyślała. Wygrzebała dyktafon i uruchomiła nagrywanie, zbliżając urządzenie do ust chorego.

– Nmmmmmm – zahuczał, a potem wydał z siebie nieco niższe i krótsze „nmm”, zrobił przerwę, aby nabrać powietrza, i powtórzył: „nmmmm”, jeszcze bardziej obniżając głos. Bez wątplenia była to melodia, chociaż również nie potrafiła jej rozpoznać – robił zbyt długie przerwy między dźwiękami. Z całą pewnością jednak mruczał.

Śpiewał gdzieś na słonecznym jeziorze, przy akompaniamencie ukelele, na którym grała jakaś ładna dziewczyna? A może mruczał przy wtórze anielskiego chóru pani Davenport, stojąc w ciepłym, rozlanym świetle na końcu tunelu? Albo też znalazł się gdzieś w ciemności lub w wietnamskiej dżungli, mruczając do siebie, aby trzymać swoje lęki na dystans?

Niespodziewanie rozległo się piszczenie pagera.

– Przepraszam – stęknęła Joanna, w panice usiłując wyłączyć urządzenie wolną dłonią. – Przepraszam.

Lecz Carl cały czas nieprzerwanie mruczał, nmnm, nmnm, nmnm, nmnm, nm, nm. Nieświadomy. Nieosiągalny.

Na pagerze pojawił się numer oddziału nagłych wypadków.

– Przepraszam – po raz trzeci powtórzyła Joanna i wyłączyła dyktafon. – Muszę iść. – Poklepała rękę pacjenta, leżącą nieruchomo u jego boku. – Niedługo do ciebie wrócę – dodała i skierowała się prosto na oddział nagłych wypadków.

– Zawał serca – przywitała ją Vielle. – Wykopywał samochód z rowu. Krótko reanimowany w karetce.

– Gdzie jest? – spytała krótko Joanna. – Na górze, na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej?

– Nie, tutaj – usłyszała.

– Na nagłych wypadkach? – zdumiała się. Nigdy tutaj nie rozmawiała z chorymi, chociaż zdarzało się, że chciała ich wypytać, zanim uda się to panu Mandrake'owi.

– Po reanimacji doszedł do siebie wyjątkowo szybko i teraz nie wyraża zgody na przyjęcie go do szpitala przed konsultacją z kardiologiem – wyjaśniła Vielle, zgrabnie przesuwając się bokiem między wózkiem towarowym i przenośnym rentgenem. – Jeśli go zajmiesz i zatrzymasz w łóżku do czasu przybycia kardiologa, wszyscy będą ci ogromnie wdzięczni. Łącznie z nim. Słuchaj, oto twój rozmówca.

– Dlaczego mój lekarz jeszcze się nie pojawił? – dobiegł męski baryton z pokoju badań. – I gdzie jest Stephanie?

Głos brzmiał donośnie i mocno jak na człowieka, który właśnie przechodził reanimację. Może ma rację i wcale nie doznał zawału serca.

– Co to ma znaczyć, że jeszcze się z nią nie skontaktowaliście? Przecież ma komórkę! – ryknął. – Gdzie telefon? Sam zadzwonię.

– Nie może pan wstawać, panie Menotti – rozległ się kobiecy głos. – Jest pan podłączony do urządzeń.

Vielle otworzyła drzwi i wprowadziła Joannę do pokoju, gdzie asystentka pielęgniarki bezskutecznie usiłowała powstrzymać jakiegoś człowieka przed usunięciem elektrod przymocowanych do jego klatki piersiowej. Był to młody mężczyzna, opalony i muskularny, miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Joanna uznała, że na pewno chodzi na siłownię trzy razy w tygodniu.

– Dość – przykazała Vielle i popchnęła go z powrotem na łóżko, ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni. – Musi pan się zachowywać spokojnie. Pański lekarz pojawi się tutaj za kilka minut.

– Muszę się skontaktować ze Stephanie – oznajmił pacjent. – Nie potrzebuję kroplówki.

– Owszem, potrzebuje pan – przerwała Vielle. – Nina zadzwoni do Stephanie w pana imieniu.

Spojrzała na kardiomonitor i zbadła tętno mężczyzny.

– Już próbowałam – odezwała się asystentka. – Nie podnosi słuchawki.

– Spróbuj jeszcze raz – zasugerowała Vielle i asystentka oddaliła się pośpiesznie. – Panie Menotti, to doktor Lander. Mówiłam panu o niej. – Zdecydowanie popchnęła go na łóżko. – Pozwolę wam dwojgu lepiej się poznać. Nie daj mu wstawać – szepnęła cicho do Joanny i wyszła.

– Dobrze, że pani tu jest – odezwał się pan Menotti. – Jest pani lekarką, więc może przemówi im pani do rozumu. Wciąż powtarzają, że miałem zawał, ale to nieprawda. Chodzę na siłownię trzy razy w tygodniu.

– Nie jestem lekarzem medycyny. Jestem psychologiem kognitywnym – sprostowała Joanna. – I chciałabym porozmawiać z panem na temat pańskich przeżyć w karetce. – Z kieszeni swetra wydobyła dokument i rozprostowała go. – To standardowy formularz oświadczenia o dobrowolnym udzieleniu odpowiedzi na kilka pytań, panie Menotti...

– Niech będzie Greg – przerwał. – Pan Menotti to mój ojciec.

– Greg – zgodziła się Joanna.

– A jak ja mam mówić do pani? – Uśmiechnął się szeroko. Był to bardzo pociągający uśmiech, chociaż nieco drapieżny.

– Pani doktor – wyjaśniła oschle. Wręczyła mu formularz. – Dokument stwierdza, że wyraża pan zgodę na...

– A jeśli go podpiszę, dowiem się, jak ma pani na imię? – spytał. – I jaki jest pani numer telefonu?

– Zdaje się, że pana narzeczona właśnie tutaj jedzie, panie Menotti. – Joanna wręczyła mu długopis.

– Greg – poprawił ją i znowu chciał wstać. Joanna zerwała się, żeby przytrzymać dokument do podpisu i nie przemęczać pacjenta.

– Proszę bardzo, pani doktor – stwierdził, zwracając formularz i długopis. – Niech pani posłucha, mam trzydzieści cztery lata. Nie jest pani lekarką, ale przecież wie pani, że faceci w moim wieku nie przechodzą zawałów serca, zgadza się?

Nie zgadza się, pomyślała Joanna, i zazwyczaj nie mają tyle szczęścia, aby dojść do siebie tak szybko po reanimacji.

– Kardiolog zjawi się tutaj za kilka minut – wyjaśniła. – Tymczasem może opowie mi pan, co się zdarzyło?

Uruchomiła dyktafon.

– W porządku – zgodził się Greg. – Wracalem do biura po meczu squasha – gram dwa razy w tygodniu, a w weekendy jeżdżę ze Stephanie na narty. Właśnie dlatego przenieśliśmy się tutaj z Nowego Jorku, dla nart. Uprawiam zjazdy i biegi, więc sama pani widzi, że to niemożliwe, abym dostał zawału.

– Wracał pan do biura... – Joanna znowu podjęła temat.

– No tak – potwierdził Greg. – Padał śnieg, droga była bardzo śliska, a jakiś idiota w jeepie cherokee zajechał mi drogę, więc wylądowałem w rowie. W samochodzie miałem łopatkę, zacząłem się wykopywać i nie wiem, co się później stało. Wykombinowałem, że kawałek lodu z furgonetki trafił mnie w głowę i straciłem przytomność, bo następne, co pamiętam, to ryk syreny, wewnątrz karetki i paramedycy, przystawiający mi do piersi te lodowate płytki.

No jasne, z rezygnacją pomyślała Joanna. W końcu znalazłam pacjenta przed Maurice'em Mandrakiem, a facet niczego nie pamięta.

– Czy pamięta pan cokolwiek z czasu między pańskim... między uderzeniem w głowę i ocknięciem się w karetce? – spytała z nadzieją. – Może coś pan słyszał? Albo widział? – Greg już kręcił głową.

– Było tak jak wtedy, gdy poddano mnie operacji więzadła krzyżowego stawu kolanowego. Zerwałem je podczas gry w softball – wyjaśnił. – W jednej chwili anestezjolog mówi: „Proszę głęboko oddychać”, a w następnej leżę w sali pooperacyjnej. A między jednym a drugim nic, zero, nul.

No i dobrze, przynajmniej zatrzymywała go w łóżku do przyścia kardiologa.

– Kiedy pielęgniarka powiedziała mi, że chce pani porozmawiać o moich doświadczeniach granicznych ze śmierci klinicznej, wyjaśniłem jej, że to

niemożliwe, bo daleko mi było do jakiegokolwiek śmierci – obwieścił Greg.
– A gdy rozmawia pani z ludźmi, którzy faktycznie zmarli, co mówią? Czy opowiadają pani o tym, że widzieli tunele, światła i anioły, tak jak to się mówi w telewizji?

– Niektórzy – potwierdziła.

– Myśli pani, że to prawda, czy raczej wszystko zmyślają?

– Trudno powiedzieć – zawahała się. – Właśnie to staram się ustalić.

– Coś pani powiem – zaczął Greg. – Jeśli kiedykolwiek naprawdę dostanę zawału i coś zapamiętam z doświadczeń granicznych, od razu do pani zadzwonię.

– Bardzo mi miło – zgodziła się Joanna.

– No, ale muszę znać pani numer telefonu. – Greg znowu, uśmiechnął się drapieźnie.

– Proszę, proszę – odezwał się kardiolog, wchodząc do pokoju w towarzystwie Vielle. – Co my tu mamy?

– Na pewno nie zawał – wyjaśnił Greg, usiłując wstać. – Ćwiczę...

– Sprawdźmy, co się dzieje – przerwał kardiolog i odwrócił się do Joanny. – Może nas pani zostawić na chwilę?

– Jak najbardziej. – Joanna porwała dyktafon. Wyszła na korytarz. Najprawdopodobniej nie miała na co czekać, Greg Menotti stwierdził, że niczego nie doświadczył, ale niekiedy, przy intensywniejszym przepitywaniu, badani coś sobie jednak przypominali. A on wyraźnie wszystkiemu zaprzeczał. Gdyby się przyznał do doświadczeń granicznych, potwierdziłby, że przeszedł zawał.

– Dlaczego pacjenta nie zawieziono na kardiologię? – rozległ się głos kardiologa, wyraźnie zwracającego się do Vielle.

– Nikt mnie nigdzie nie zawiezie, dopóki nie zjawi się Stephanie – zadeklarował Greg.

– Jest już w drodze – odezwała się Vielle. – Rozmawiałam z nią. Będzie tu za kilka minut.

– Dobrze, a teraz posłuchajmy pańskiego serca i przekonajmy się, co jest grane – zarządził kardiolog. – Nie, niech pan nie wstaje. Proszę się nie ruszać. W porządku...

Przez mniej więcej minutę panowała cisza; w tym czasie kardiolog słuchał pracy serca Grega, a potem wydawał polecenia, których Joanna nie dosłyszała.

– Tak jest – potaknęła Vielle.

Znowu wymruczane instrukcje.

– Chcę się zobaczyć ze Stephanie, gdy tylko tu przyjedzie – domagał się Greg.

– Odwiedzi pana na górze – poinformował go kardiolog. – Zabieramy pana na oddział intensywnej opieki kardiologicznej, panie Menotti. Najwyraźniej miał pan zawał mięśnia sercowego i musimy...

– To niedorzeczne – sprzeciwił się Greg. – Nic mi nie jest. Rąbnął mnie kawałek lodu i straciłem przytomność, kropka. Nie miałem żadnego zawału... – Nagle zapadła cisza.

– Panie Menotti? – odezwała się Vielle. – Greg?

– Reanimacja! – krzyknął kardiolog. – Zostaw to łóżko i szybko wózek do nagłych wypadków!

Rozległ się alarm reanimacyjny i do pokoju nagle wbiegło kilka osób. Joanna się cofnęła.

– Resuscytacja krążeniowo-oddechowa – nakazał kardiolog i dodał jeszcze coś, czego Joanna nie dosłyszała. Alarm wciąż dźwięczał przerywanym, ogłuszającym brzęczeniem. Czy to brzęczenie czy dzwonicie?, pomyślała od rzeczy Joanna. A potem zastanowiło ją, czy taki dźwięk słyszą ludzie, zanim wejdą do tunelu.

– Dawajcie tu elektrody – krzyknął lekarz. – I wyłączcie ten cholerny alarm.

Brzęczenie ustało. Stojak na kroplówkę dźwięknął metalicznie.

– Uwaga, defibrylacja. Strzelamy – oznajmił kardiolog. – Rozległo się innego rodzaju brzęczenie. – Jeszcze raz. Strzelamy. – Przerwa. – Dokładamy jeden amper.

– Za daleko – rozległ się głos Grega Menottiego, a Joanna odetchnęła.

– Mamy go – powiedział ktoś, a ktoś inny dodał: – Sinusoida rytmu w normie.

– Jest za daleko – odezwał się Greg. – Nigdy nie zjawi się tutaj na czas.

– Owszem, zjawi się – stwierdziła Vielle. – Stephanie już jedzie. Będzie za kilka minut.

Kolejna przerwa. Joanna wsłuchiwała się w spokojne piski dobiegające z kardiomonitora.

– Ciśnienie? – spytał kardiolog.

– Osiemdziesiąt na sześćdziesiąt.

– Nie – ze złością zaprzeczył Greg. – Pięćdziesiąt osiem. Nie uda się jej przybyć na czas.

– Była tylko kilka ulic stąd – wyjaśniła Vielle. – Pewnie już parkuje. Cierpliwości, Greg.

– Pięćdziesiąt osiem – upierał się Greg, a na oddział pośpiesznie weszła ładna blondynka w niebieskiej parce.

Asystentka pielęgniarki, która wcześniej znajdowała się w pokoju, pobiegła za nią, wołając:

– Proszę pani! Musi pani zostać w poczekalni. Proszę pani, nie może tam pani wchodzić.

Blondynka popchnęła drzwi.

– Greg, Stephanie przyjechała. – Joanna usłyszała głos Vielle. – Mówiłam ci, że tu się zjawi.

– Greg, to ja, Stephanie – płaczliwie jęknęła blondynka. – Jestem tu.

Cisza.

– Siedemdziesiąt na pięćdziesiąt – stwierdziła Vielle.

– Na chwilę zostawiłam komórkę w samochodzie, kiedy poszłam robić zakupy w spożywczym. Przepraszam. Przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

– Sześćdziesiąt na czterdzieści i spada.

– Nie – szepnął słabym głosem Greg. – Za daleko dla niej.

Linia na monitorze się wyprostowała.

Rozdział 2

„Mijamy Forked River. Kurs Lakehurst”.

Ostatnia telegraficzna wiadomość
z pokładu *Hindenburga*

– Czy na pewno przekazała pani, że jej szukam? – spytał Richard Wright dyżurną pielęgniarkę.

– Z całą pewnością, panie doktorze – potwierdziła. – Podałam jej pański numer, kiedy zjawiała się tutaj dziś rano.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej godzinę temu – wyjaśniła. – Przeprowadzała wywiad z pacjentem.

– I nie wie pani, dokąd poszła?

– Nie. Mogę udostępnić panu numer jej pagera.

– Mam numer jej pagera – burknął Richard. Od rana wydzwaniał na jej pager i ani razu nie odpowiedziała. – Zdaje się, że nie ma go przy sobie.

– Szpitalne przepisy zmuszają cały personel do stałego noszenia pagerów – pouczyła go pielęgniarka i sięgnęła po receptę.

No tak, pomyślał, gdyby miała go przy sobie, moje życie byłoby znacznie prostsze. Wiedział, że ten przepis jest absurdalny – sam często wyłączał pager na pół dnia. Gdyby tego nie robił, wciąż by mu ktoś przeszkadzał. Jeśli swoimi wiadomościami, narobił doktor Lander kłopotów, nie bardzo przypadnie jej do gustu perspektywa współpracy z nim.

– Później prześlę jej wiadomość – oznajmił pośpiesznie. – Powiedziała pani, że przeprowadzała wywiad z pacjentem. Którym?

– Z panią Davenport. Z dwieście czternaście.

– Dziękuję – zakończył rozmowę i poszedł do pokoju 214.

– Pani Davenport? – zwrócił się do siwej kobiety w łóżku. – Szukam doktor Lander i...

– Ja też – zjeżyła się pani Davenport. – Całe popołudnie wysyłam jej wiadomości na pager.

Znalazł się w punkcie wyjścia.

– Powiedziała mi, że mogę poprosić pielęgniarkę o przesłanie jej informacji, jeśli przypomnę sobie coś w związku z doświadczeniami granicznymi – wyjaśniła pacjentka. – Siedzę tu i przypominam sobie najrozmaitsze rzeczy, a ona nie przychodzi.

– Nie mówiła, dokąd się wybiera po rozmowie z panią?

– Nie. Jej pager zadzwonił, kiedy byłam w środku opowieści, i musiała gdzieś pobiec.

Zadzwonił pager. A więc przynajmniej wtedy był włączony. A skoro gdzieś pobiegła, na pewno pojawił się nowy pacjent. Może ktoś reanimowany? Gdzie to mogło być? Na kardiologii?

– Dziękuję – pożegnał się i ruszył do drzwi.

– Kiedy pan ją znajdzie, proszę jej powiedzieć, że przypomniało mi się, jak opuściłam ciało. Czułam się tak, jakbym się unosiła nad stołem operacyjnym, wpatrując się w dół. Widziałam pielęgniarki i lekarzy krzątających się przy mnie, jeden powiedział: „To nie ma sensu, straciliśmy ją” i właśnie wtedy usłyszałam brzęczenie, i weszłam do tunelu. I...

– Powtórzę – przerwał Richard, wyszedł na korytarz i skręcił w stronę pokoju pielęgniarek.

– Pani Davenport powiedziała, że podczas wywiadu doktor Lander otrzymała wiadomość – zwrócił się do pielęgniarki. – Czy mogę skorzystać z telefonu? Muszę zadzwonić na kardiologię.

Pielęgniarka wręczyła mu telefon i znacząco odwróciła się plecami.

– Jaki jest wewnętrzny na kardiologię? Chciałbym...

– Trzydzieści pięć zero dwa – odezwała się ładna blondynka, wchodząc do pokoju. – Szuka pan Joanny Lander?

– Zgadza się – przytaknął w wdzięcznością. – Wie pani, gdzie ją znaleźć?

– Nie – stwierdziła, przyglądając mu się spod rzęs. – Ale wiem, gdzie może być. Na pediatrii. Dzwonili stamtąd wcześniej, szukali jej.

– Dzięki. – Odłożył słuchawkę. – Jak mam tam trafić? Jestem tu od niedawna.

– Wiem. – Uśmiechnęła się skromnie. – Doktor Wright, prawda? Mam na imię Tish.

– Na którym piętrze jest pediatria? – dopytywał się. – Windy są tam, zgadza się?

– Tak, ale pediatria jest w zachodnim skrzydle. Najłatwiej tam trafić przez endokrynologię. – Wyciągnęła rękę w przeciwną stronę. – Trzeba pójść schodami na czwarte i przejść przez... – Urwała i uśmiechnęła się. – Lepiej będzie, jak pana zaprowadzę. Trudno tam trafić.

– Już się o tym przekonałem – potwierdził. Dotarcie z jego laboratorium na internę zajęło mu pół godziny i wiązało się z zaczepianiem trzech osób.

– Nie uda się panu tam trafić – stwierdziła asystentka w różowym fartuchu. Uznał, że to żart. Teraz wiedział, że nie.

– Eileen, idę na pediatrię! – krzyknęła Tish i poprowadziła go korytarzem. – To dlatego, że Szpital Miłosierdzia dzielił się kiedyś na Szpital Ogólny Południowy, Luterański Miłosierdzia Bożego i szkołę pielęgniarstwa. Kiedy się połączyły, niczego nie zlikwidowano. Po prostu połączono budynki korytarzami i łącznikami, żeby wszystko funkcjonowało razem. Zupełnie, jakby zrobili jakiś bypass.

Otworzyła drzwi z napisem „Wyłącznie dla pracowników szpitala” i poszła schodami na górę.

– Te schody prowadzą na trzecie, czwarte i piąte piętro, ale nie dochodzą do szóstego i siódmego. Jeśli kiedyś będzie pan musiał tam dotrzeć, trzeba pójść dalej tym samym korytarzem, którym tu przyszliśmy, i skorzystać z windy technicznej. Od jak dawna pan u nas pracuje?

– Od półtora miesiąca – wyjaśnił.

– Półtora miesiąca? – powtórzyła Tish. – Jak to się stało, że się dotąd nie spotkaliśmy? Jak to możliwe, że nie widziałam pana na lunchu w „Dużej Przerwie”?

– Nie udało mi się jej zlokalizować – przyznał lekarz. – Z trudem znajduję własne laboratorium.

Tish roześmiała się dźwięcznie.

– W tym szpitalu wszyscy się gubią. Ludzie przeważnie zapamiętują drogę z parkingu na piętro, na którym pracują, i z powrotem – powiedziała, idąc przed nim po schodach. Żeby widział jej nogi, pomyślał.

– W czym się pan specjalizuje? – zainteresowała się.

– W neurologii. Prowadzę tutaj prace badawcze.

– Naprawdę? – wykrzyknęła ochoczo. – Może potrzebuje pan asystentki?

Pomyślał, że raczej przydałby mu się współpracownik. Tish otworzyła drzwi oznaczone numerem cztery i wprowadziła go na korytarz.

– Czego dotyczą pańskie prace? Naprawdę mam ochotę przenieść się z interny.

Zastanawiał się, czy będzie równie skłonna do zmiany pracy, jeśli wyjaśni jej, czym się zajmuje.

– Badam doświadczenia graniczne ludzi, którzy przeszli śmierć kliniczną.

– Chce pan udowodnić, że istnieje życie po śmierci? – dopytywała się Tish.

– Nie – stwierdził ponuro. – To naukowe badania. Interesują mnie fizyczne przyczyny śmierci klinicznej i doświadczeń z nią związanych.

– Ciekawe. Jak pan myśli, jakie są te przyczyny?

– Właśnie tego usiłuję się dowiedzieć. Zaczynam od stymulacji płata skroniowego i niedotlenienia tkanek.

– Aha! – znowu wykrzyknęła Tish. – Kiedy mówił pan o doświadczeniach granicznych, pomyślałam, że zajmuje się pan tym samym, co pan Mandrake. No wie pan, wiara w życie po śmierci i takie tam.

Przyszło mu do głowy, że wszyscy tak uważają i właśnie dlatego tak trudno mu znaleźć fundusze na prowadzenie badań. Każdy myśli, że jego dziedzina jest pełna wydrwigroszy i dziwaków. Zresztą to prawda. Najlepszy przykład to pan Mandrake i jego książka *Światło na końcu tunelu*. Ciekawe, jak przy tym wygląda praca Joanny Lander?

Miała dobrze udokumentowane osiągnięcia, zdobyła niższy stopień naukowy w Emory i zrobiła doktorat z psychologii kognitywnej w Stanford, ale stopień naukowy, nawet w medycynie, nie dowodził rozsądku. Wystarczy wspomnieć doktora Seagala. Albo Arthura Conan Doyle’a. Doyle był lekarzem. I, na litość boską, wymyślił Sherlocka Holmesa, który co prawda wierzył w naukę i osiągnięcia naukowe, ale nie przeszkadzało mu to podejmować prób nawiązania kontaktu ze zmarłymi i duchami.

Z drugiej strony doktor Lander publikowała artykuły w „The Psychology Quarterly Review” i „Nature”, a także miała interesującą go praktykę w przeprowadzaniu rozmów z pacjentami po doświadczeniach granicznych.

– Co pani wie o doktor Lander? – spytał Tish.

– Niewiele. Pracuję na internie dopiero od miesiąca. Ona i pan Mandrake pojawiają się czasem, żeby porozmawiać z pacjentami.

– Razem? – spytał ostro.

– Nie, zazwyczaj nie. Z reguły najpierw przychodzi on, a potem zjawia się ona.

W drugiej kolejności? A może pracowali niezależnie?

– Czy doktor Lander wierzy w „życie po śmierci”, jak to pani ujęła?

– Nie wiem. Rozmawiałam z nią tylko o tym, czy jakiś pacjent może przyjmować gości. To taka szara myszka. Nosi okulary. Tematyka pańskich badań wydaje mi się bardzo ciekawa, więc jeśli jednak potrzebowałyby pan asystentki...

– Będę pamiętał – przytaknął Richard. Dotarli do końca korytarza.

– Zdaje się, że muszę już wracać – oznajmiła z żalem pielęgniarka. – Proszę iść tym korytarzem – wyciągnęła lewą rękę – i skręcić w prawo, a potem w lewo. Dotrze pan do rzędu wind. Niech pan pojedzie na trzecie piętro, skręci w prawo i będzie pan na miejscu. Na pewno pan trafi.

– Dzięki – powiedział, mając nadzieję, że to prawda.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Uśmiechnęła się do niego spod rzes. – Miło mi było pana poznać, panie doktorze. Jeśli miałby pan ochotę wybrać się do „Dużej Przerwy”, proszę do mnie zadzwonić i chętnie pana zaprowadzę.

Korytarzem na prawo, potem w prawo i w lewo, myślał, idąc przed siebie. Liczył na to, że dotrze na pediatrię, zanim doktor Lander znowu gdzieś zniknie. Gdyby tak się stało, nie miał szans jej znaleźć, nie w tym labiryncie. Było tu tak wiele skrzydeł i korytarzy, że mogliby się kręcić po tym samym piętrze i wciąż się mijać. Wiedział, że ona też mogłaby szukać go przez cały dzień lub błąkać się po klatkach schodowych i łącznikach.

Pojechał windą, a potem skręcił w prawo i faktycznie, znalazł się na pediatrii. Poznał to po fartuchu dyżurnej pielęgniarki, ozdobionym klaunami i balonami.

– Szukam doktor Lander – odezwał się.

– Dzwoniliśmy do niej wcześniej, ale się nie pojawiła. – Pielęgniarka pokręciła głową.

Cholera.

– Może już tu idzie?

– Aha! – Na drugim końcu rozległ się okrzyk i w drzwiach jednego z pokoi stanęło dziecko w czerwonym kraciastym szlafroku. Chłopiec? Dziewczynka? Nie potrafił określić płci dziecka. Wyglądało na dziewięciolatka. Miało krótkie włosy koloru ciemny blond, a spod szlafroka

wystawały fragmenty szpitalnej piżamy. Chłopiec. Przecież dziewczynki nosiły różowe koszule nocne z lalkami Barbie.

Postanowił nie ryzykować.

– Cześć – odezwał się pierwszy, podchodząc do dziecka. – Jak masz na imię?

– Maisie – odparła dziewczynka. – A pan?

– Jestem doktor Wright. Znasz panią doktor Lander?

– Dzisiaj przyjdzie zobaczyć się ze mną. – Maisie skinęła głową.

Nie jest źle, pomyślał Richard. Zaczekam tu, aż przyjdzie.

– Zawsze przychodzi do mnie, kiedy tu jestem – wyjaśniła Maisie. – Ona też się interesuje katastrofami.

– Katastrofami?

– Takimi jak katastrofa *Hindenburga*. Wiedział pan, że na pokładzie był pies? Przeżył. Udało mu się wyskoczyć.

– Naprawdę? – zainteresował się Richard.

– Tak napisali w mojej książce. Miał na imię Ulla.

– Maisie – odezwała się pielęgniarka, nie ta, która rozmawiała z Richardem. Podeszła do drzwi. – Nie powinnaś wychodzić z łóżka.

– Spytał mnie, gdzie jest pani Joanna – wyjawiała Maisie, wskazując na Richarda.

– Joanna Lander? – spytała pielęgniarka. – Nie przyszła tu dzisiaj. A gdzie twoje kapcie? – zwróciła się do Maisie. – Szybko. Do łóżka – łagodnie ponagliła dziewczynkę. – Już.

– Ale mogę porozmawiać z panem doktorem, prawda? Siostró Barbaro?

– Tylko przez chwilę – zgodziła się Barbara, zaganiając Maisie do pokoju i pomagając jej położyć się na łóżku. Podniosła barierkę z boku łóżka.

– Masz odpoczywać – przykazała.

– Może powinienem... – zaczął Richard.

– Co to znaczy alzacki? – spytała Maisie.

– Alzacki? – powtórzyła zaskoczona Barbara.

– Chodzi mi o Ullę. – Maisie zwróciła się do Richarda. – Tego psa z *Hindenburga*.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do lekarza i poklepała Maisie po stopie ukrytej pod kocem.

– Nie wychodź z łóżka – nakazała.

– Zdaje się, że chodzi o owczarka niemieckiego – objaśnił Richard.

– No jasne – zgodziła się dziewczynka. – Przecież *Hindenburg* był niemiecki. Wybuchł podczas lądowania w Lakehurst. Lakehurst leży w New Jersey. Mam zdjęcie.

Maisie opuściła barierkę z boku łóżka, wygramoliła się na ziemię i schyliła przy szafce.

– Jest w mojej książce. – Sięgnęła do różowej płóciennej torby, ozdobionej z boku wizerunkiem Barbie, i wyciągnęła książkę ze zdjęciem Góry Świętej Heleny na okładce i tytułem *Katastrofy dwudziestego wieku*.

– Może pan położyć ją na łóżku? Zabronili mi podnosić ciężkie przedmioty.

– Jasne – stwierdził Richard. Podniósł książkę i położył ją na kocu. Maisie otworzyła ją, stojąc przy łóżku.

– Dziewczynka i dwóch małych chłopców uległo poparzeniu. Dziewczynka zmarła. – Maisie się zadyszała. – Ale Ulla przeżyła. O proszę, jest zdjęcie.

Pochylił się nad książką, spodziewając się ujrzeć fotografię psa, lecz zobaczył zdjęcie ogarniętego płomieniami *Hindenburga*.

– Dostałam tę książkę od pani Joanny. – Maisie przewracała strony. – Są w niej opisy rozmaitych katastrof. O, tu jest powódź w Johnstown.

Posłusznie pochylił głowę nad fotografią domów roztrzaskanych o most. Przez okno jednego z budynków wystawało drzewo.

– Pewnie ty i pani doktor jesteście dobrymi przyjaciółkami?

Przytaknęła, cały czas wertując stronicę.

– Przyszła do mnie, kiedy mnie reanimowano – objaśniła rzeczowo. – Wtedy okazało się, że obydwie lubimy katastrofy. Widzi pan, ona bada doświadczenia graniczne.

Kiwnął głową.

– Miałam migotanie komór. Jestem chora na kardiomiopatię – oznajmiła swobodnie. – Wie pan, co to takiego?

Owszem, pomyślał. Poważne uszkodzenie serca, niemożność prawidłowego pompowania krwi, duże prawdopodobieństwo pojawienia się migotania komór. To tłumaczy zadyszkę.

– Kiedy straciłam przytomność, usłyszałam taki dziwny dźwięk, a potem znalazłam się w tunelu – opowiadała Maisie. – Niektórzy ludzie przypominają sobie rozmaite rzeczy, twierdzą, że widzieli Jezusa i niebo, ale ja nie. Prawie nic nie widziałam, bo w tunelu było ciemno i mglisto. Pan Mandrake powiedział, że na końcu tunelu świeciło światło, ale ja go nie

zauważyłam. Pani Joanna jest przekonana, że należy mówić tylko o tym, co się widziało, a nie o tym, co ktoś inny mówi, że się powinno widzieć.

– Ma rację. Pan Mandrake też z tobą rozmawiał?

– Aha. – Maisie przewróciła oczyma. – Spytał mnie, czy widziałam oczekujących na mnie ludzi, a ja powiedziałam, że nie, bo nie widziałam, więc on powiedział: „Postaraj się sobie przypomnieć”. Pani Joanna mówi, że nie można tak robić, bo ludzie niekiedy wymyślają sobie coś, co się nie wydarzyło. Ale pan Mandrake mówił: „Postaraj się sobie przypomnieć. Widziałaś światło, prawda, kochanie?” Nie znoszę, kiedy ktoś mówi do mnie „kochanie”.

– Doktor Lander tak się do ciebie nie zwraca?

– Nie – oznajmiła dobitnie dziewczynka i znowu się zadyszała. – Ona jest fajna.

Oto konkretna informacja. Doktor Lander niewątpliwie nie należała do naukowców szukających dowodów na potwierdzenie z góry założonych tez. Poza tym najwyraźniej zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa konfabulacji na temat doświadczeń granicznych. I w dodatku przyniosła dziewczynce książkę, pomijając jej zbyt osobliwą treść jak na prezent dla dziecka.

– Niech pan popatrzy – podjęła Maisie. – To wielka powódź melasy. Doszło do niej w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku.

Wskazała na ziarniste, czarno-białe zdjęcie czegoś, co przypominało plamę ropy.

– Te wielkie cysterny z melasą – to taki syrop – wyjaśniła, a Richard potaknął – te wielkie cysterny pękły i cała melasa się wylała, topiąc wszystkich dookoła. Dwadzieścia jeden osób. Nie wiem, czy zginęły wtedy jakieś dzieci. Trochę to dziwne tak się utopić w syropie, prawda? – Jej oddech stał się świszczący.

– Zdaje się, że pielęgniarka kazała ci leżeć w łóżku – zganił dziewczynkę.

– Zaraz się położę. Jaka jest pana ulubiona katastrofa? Mnie się najbardziej podoba *Hindenburg* – zwierzyła się Maisie, ponownie otwierając książkę na stronie ze zdjęciem płonącego pojazdu, spadającego ogonem w dół. – Ten członek załogi wspinał się po balonie, kiedy doszło do wybuchu, i wszyscy spadli, ale on złapał się metalowych elementów. – Wskazała na rusztowania widoczne między płomieniami.

– To są rozpórki – wyjaśnił Richard.

– Poparzył sobie całe ręce, ale nie puścił. Muszę opowiedzieć o nim pani Joannie, jak tylko przyjdzie.

– Powiedziała, kiedy się pojawi?

Wzruszyła ramionami, schylona nad zdjęciem, właściwie przywierając do niego nosem, jakby między płomieniami wypatrywała nieszczęsnych członków załogi. Albo psa.

– Nie wiem, czy ona wie, że jeszcze tu jestem. Poprosiłam siostrę Barbarę, aby wysłała wiadomość na pager. Czasami go wyłącza, ale zawsze do mnie przychodzi, gdy się dowiaduje, że tu jestem – powiedziała Maisie. – Mogę panu pokazać jeszcze dużo zdjęć *Hindenburga*. O, tu jest kapitan. Zginął. Wiedział pan, że...

– Maisie, muszę już iść – przerwał Richard.

– Niech pan zaczeka, nie może pan teraz odchodzić. Wiem, że wkrótce się tu zjawi. Zawsze przychodzi, gdy tylko...

Barbara wsunęła głowę przez drzwi.

– Panie doktorze? Mam dla pana wiadomość.

– No widzi pan – triumfowała Maisie, jakby potwierdziły się jej słowa.

– Zdaje się, że kazałam ci wracać do łóżka – skarciła ją Barbara, a Maisie pośpiesznie wdrapała się na materac. – Panie doktorze, Tish Vanderbeck prosiła, żeby panu przekazać, że się skontaktowała z doktor Lander i poprosiła ją o przyjscie na internę.

– Dziękuję. Maisie, muszę iść porozmawiać z panią doktor Lander. Miło się z tobą gawędziło.

– Zaraz, nie może pan teraz odejść – powtórzyła Maisie. – Jeszcze nie opowiedziałam panu o dziewczynce i małych chłopcach.

Wyglądała na szczerze zawiedzioną, a on nie chciał się znowu rozminąć z doktor Lander.

– No dobrze – ustąpił. – Jedna krótka historia i potem znikam.

– W porządku – zgodziła się. – Tak więc ludzie musieli skakać, bo wszystko płonęło. Dziewczynka skoczyła, ale chłopcy za bardzo się przestraszyli i jednemu z nich zaczęły się palić włosy, więc jego matka go wyrzuciła. A ten pan z załogi poparzył sobie ogniem ręce, ale nie puścił. – Podniosła głowę. – Jak pan myśli, jakie to uczucie? Płonać?

– Nie mam pojęcia. – Zastanawiał się, czy rozmowa na takie niebezpieczne tematy z małą chorą dziewczynką to dobry pomysł. – To musi być okropne.

– Myślę, że ja bym puściła. – Maisie kiwnęła głową. – Był jeszcze jeden facet...

– Maisie, naprawdę muszę już iść. Nie chcę się minąć z panią doktor Lander.

– Niech pan zaczeka! Jak pan ją spotka, proszę jej powiedzieć, że mam jej coś do powiedzenia. W sprawie doświadczeń granicznych. Niech pan powtórzy, że jestem w pokoju trzysta pięćdziesiąt sześć.

– Dobrze – obiecał i wstał.

– To o członku załogi *Hindenburga*, który siedział na balonie, kiedy doszło do eksplozji. On...

W takich warunkach spędzi tutaj resztę dnia.

– Idę, Maisie – oznajmił i wyszedł, nie czekając na sprzeciw. Pośpieszył korytarzem, skręcił w lewo i od razu się zgubił. Musiał się zatrzymać i spytać przygodnego sanitariusza, jak trafić do łącznika.

– Musi pan cofnąć się tym korytarzem, skręcić w prawo i pójść prosto do końca holu – objaśnił sanitariusz. – Dokąd chce pan dojść?

– Na internę.

– To w głównym budynku. Najszybciej dojdzie pan prosto tym korytarzem, skręci w lewo, znowu prosto, aż do drzwi z napisem „Dla personelu”. Za nimi znajduje się klatka schodowa. Zejdzie pan na dół, na pierwsze piętro, przejdzie korytarzem, minie radiologię, dojdzie do windy technicznej i z powrotem pojedzie na drugie piętro.

Richard właściwie biegł ostatnim korytarzem, obawiając się, że doktor Lander pojawi się i zniknie, jednak jeszcze nie zastał jej na miejscu.

– Przynajmniej ja jej nie widziałam – wyjaśniła dyżurna pielęgniarka. – Może jest z panią Davenport.

Poszedł do pokoju pani Davenport, ale tam także nie zastał Joanny.

– Żałuję, że jej tu nie ma – poskarżyła się pani Davenport. – Mam tyle do powiedzenia, jej i panu Mandrake’owi. Kiedy unosiłam się nad swoim ciałem, słyszałam, jak lekarz mówi...

– Pan Mandrake? – spytał Richard.

– Maurice Mandrake – potwierdziła pacjentka. – To autor *Światła na końcu tunelu*. Bardzo mu się spodoba, że przypomniałam sobie o...

– Wydawało mi się, że wywiad przeprowadzała doktor Lander.

– Rozmawiałam z obojgiem. Widzi pan, oni ze sobą współpracują.

– Współpracują?

– Tak mi się wydaje. Oboje przyszli i ze mną rozmawiali.

To nie znaczy, że ze sobą współpracują.

– ...choćby muszę przyznać, że ona nie jest tak sympatyczna, jak pan Mandrake. On się bardzo interesuje wszystkim, co mu się opowiada.

– Czy doktor Lander powiedziała pani, że współpracuje z panem Mandrakiem?

– No, niezupełnie – zmieszała się pani Davenport. – Uznałam... Pan Mandrake pisze nową książkę o wiadomościach z Tamtej Strony.

Jeśli istniała choćby niewielka możliwość, że Mandrake i doktor Lander ze sobą współpracują... Chryste Panie, wiadomości od zmarłych.

– Pani wybaczy – przerwał gwałtownie i wyszedł z pokoju, wpadając prosto na wysokiego siwego mężczyznę w garniturze w wąskie paski. – Przepraszam – mruknął Richard i usiłował obejść nieznanego, lecz ten złapał go za rękę.

– Doktor Wright, prawda? – spytał mężczyzna, poufale potrząsając ręką lekarza. – Właśnie szedłem spotkać się z panem. Chciałbym porozmawiać na temat pańskich badań.

Richard zachodził w głowę, z kim rozmawia. Badacz zainteresowany podobną tematyką? Skąd, garnitur mężczyzny wyglądał na bardzo kosztowny, a włosy były zbyt starannie ułożone. Członek rady nadzorczej szpitala.

– Chciałem porozmawiać z panem, jak tylko wpadnę do pani Davenport, a oto niespodzianka – stwierdził nieznanomy. – Jak rozumiem, słuchał pan jej opowieści dotyczącej doświadczeń granicznych, czy też, jak to wolę nazywać, wspomnień z życia po śmierci, bo przecież właśnie o to chodzi. Krótkie zetknięcie z tym, co nas czeka, wiadomość zza grobu.

Maurice Mandrake, pomyślał Richard. Cholera. Mógł go rozpoznać, przecież widział jego twarz na okładkach książek. Poza tym powinien myśleć, dokąd chodzi.

– Ogromnie się cieszę, że pracuje pan z nami w Szpitalu Miłosierdzia – wyznał Mandrake. – A zatem nauka wreszcie uznaje istnienie życia po śmierci. Nauka i jednostki badawcze często nie wykazują zrozumienia dla idei nieśmiertelności. Bardzo mi przyjemnie, że w pana wypadku jest inaczej. No tak, a czy mógłby mnie pan wtajemniczyć w istotę pańskich badań.

– Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę nie mogę teraz z panem rozmawiać. Muszę iść na spotkanie – wyjaśnił Richard, lecz Mandrake ani myślał pozwolić mu odejść.

– Fakt, że ludzie, którzy doświadczyli śmierci klinicznej, stale opowiadają o tych samych wspomnieniach, dowodzi, że nie mamy do czynienia ze zwykłymi halucynacjami.

– Doktorze Wright? – zawołała pielęgniarka siedząca za biurkiem. – Czy nadal pan szuka doktor Lander? Właśnie ją zlokalizowaliśmy.

– Jo? – westchnął z zachwytem Mandrake. – Idzie pan na spotkanie właśnie z nią? Cudowna dziewczyna. Współpracujemy ze sobą.

– Współpracujecie? – Richardowi zamarło serce.

– Ależ oczywiście. Nawiązaliśmy bliską współpracę przy okazji wielu przypadków.

Mogłem się tego domyślić, zmartwił się Richard.

– Oczywiście, każde z nas kładzie nacisk na inny aspekt problemu – ciągnął Mandrake. – Obecnie zajmuję się kwestią przekazu z doświadczeń granicznych. Poza tym stosujemy odmienne metody badawcze – uzupełnił, lekko marszcząc czoło. – Czy ma pan się z nią spotkać tutaj? Zwykle bardzo trudno ją zastać.

– Niestety, nie jestem umówiony z doktor Lander – zaprzeczył Richard. Odwrócił się do dyżurnej pielęgniarki. – Nie, nie zamierzam się z nią spotykać.

Mandrake ponownie chwycił go za rękę.

– Bardzo mi było miło pana poznać, panie doktorze, i cieszę się, że nawiążemy współpracę.

Po moim trupie, odparł w myślach Richard. Na pana miejscu nie liczyłbym na jakiegokolwiek wiadomości ode mnie z tamtego świata.

– Muszę porozmawiać z panią Davenport – oznajmił Mandrake, jakby to Richard go zatrzymywał, po czym zniknął za drzwiami.

Powinien się tego domyślić. Badania dotyczące śmierci klinicznej mogą się sprowadzać do zbierania danych, przygotowywania opracowań statystycznych, publikacji artykułów w „The Psychology Quarterly Review”, a nawet wywierania korzystnego wrażenia na dzieciach, ale to wszystko było tylko zasłoną. W gruncie rzeczy ludzie stojący za takimi badaniami to współcześni spirytualiści, którzy pod pseudonaukową przykrywką usiłują nadać pozory wiarygodności sprawom faktycznie związanym z religią. Richard ruszył ku windom.

– Panie doktorze! – zawołała za nim Tish.

Odwrócił się.

– Oto ona! – Tish zwróciła się w stronę młodej kobiety w spódnicy i kardiganie, idącej do pokoju pielęgniarki dyżurnej. – Pani doktor – odezwała się do Joanny, gdy stanęły obok siebie. – Pan doktor Wright chciałby z panią rozmawiać.

– Powiedz mu, że jestem... – zaczęła Joanna.

– On tutaj stoi – przerwała Tish, machając ręką na Richarda. – Panie doktorze, znalazłam ją dla pana.

Niech cię diabli, Tish, pomyślał. Jeszcze minuta i bym stąd zniknął. No i co ja mam teraz powiedzieć doktor Lander?

Podszedł bliżej. Wbrew słowom Tish, Joanna nie wyglądała jak szara myszka, i choć faktycznie nosiła okulary, to miały one drucianą oprawkę i nadawały jej twarzy bystry wyraz. Miała orzechowe oczy i brązowe włosy, spięte srebrnymi spinkami.

– Pani doktor – zaczął. – Ja...

– Niech pan posłucha, panie doktorze – przerwała, podnosząc rękę, aby go uciszyć. – Jestem przekonana, że pana doświadczenia graniczne okazały się wyjątkowo interesujące, ale nie pora na ich omawianie. Miałam wyjątkowo zły dzień, a poza tym nie jestem odpowiednią osobą do rozmowy na ten temat. Powinien pan spotkać się z panem Mandrakiem. Mogę panu udostępnić numer jego pagera.

– Właśnie rozmawia z panią Davenport – pośpiesznie wyjaśniła Tish.

– No właśnie, siostra Tish pokaże panu, gdzie go znaleźć. Jestem pewna, że chętnie wysłucha wszystkich szczegółów. Siostrze, proszę zaprowadzić pana doktora do pana Mandrake'a. – Joanna ruszyła z miejsca, zamierzając minąć Richarda.

– Niech się siostra Tish nie kłopotuje – burknął Richard, zdenerwowany nieuprzejmością lekarki. – Nie jestem zainteresowany rozmową ze współpracownikiem doktor Lander.

– Współpracownikiem? – Joanna odwróciła się gwałtownie. – Kto panu powiedział, że współpracujemy? To jego słowa? Najpierw kradnie wszystkich moich pacjentów, aby popsuć ich wspomnienia, a teraz wmawia ludziom, że współpracujemy! Jakim prawem! – Tupnęła nogą. – Nie współpracuję z panem Mandrakiem!

– Zaraz, zaraz. Spokojnie. – Richard chwycił ją za ramię. – Chwileczkę. Chyba powinniśmy porozmawiać.

– Dobrze – zgodziła się. – Nie współpracuję z Maurice'em Mandrakiem. Usiłuję prowadzić wiarygodne badania naukowe, dotyczące doświadczeń

granicznych, a on mi to całkowicie uniemożliwia...

– A ja usiłowałem skontaktować się z panią, aby porozmawiać na temat pani badań. – Wyciągnął rękę. – Richard Wright. Zajmuję się badaniami związanymi z neurologicznymi przyczynami występowania doświadczeń granicznych.

– Joanna Lander – przedstawiła się lekarka, potrząsając jego ręką. – Proszę pana, naprawdę bardzo mi przykro. Ja...

– Miała pani wyjątkowo zły dzień. – Uśmiechnął się szeroko.

– No właśnie – przytaknęła, a jego zdumiało przygnębienie w jej oczach.

– Powiedziała pani, że to nieodpowiednia pora na rozmowę – zaczął pośpiesznie. – Możemy ją przełożyć. Jeśli pani woli, spotkajmy się jutro.

Kiwnęła głową.

– Dzisiaj po prostu... Jeden z moich pacjentów... – Usiłowała dojść do siebie. – Jutro będzie lepiej. O której?

– O dziesiątej? Albo możemy zjeść razem lunch. Kiedy jest czynny bufet?

– Sporadycznie. – Uśmiechnęła się. – Może być dziesiąta. Gdzie?

– Mam laboratorium na piątym piętrze we wschodnim skrzydle. Pokój pięćset dwa.

– Do jutra do dziesiątej – powtórzyła i ruszyła korytarzem, ale niemal natychmiast zawróciła.

– Co... – zaczął.

– Cśśś... – szepnęła, mijając go. – Maurice Mandrake – mruknęła i popchnęła białe drzwi z napisem „Tylko dla personelu”.

Wright się obejrzał, dostrzegł garnitur w cienkie paski wyłaniający się zza rogu i za przykładem Joanny dał nura za drzwi. Znaleźli się w klatce schodowej, prowadzącej na dół.

– Przepraszam – odezwała się Joanna, ruszając po pomalowanych na szaro betonowych schodach. – Bałam się, że jeśli przyjdzie mi z nim rozmawiać, zabiję go.

– Znam to uczucie – potwierdził Richard, podążając za nią w dół. – Miałem okazję z nim dzisiaj mówić.

– Dojdziemy tędy na parter – wyjaśniła, stojąc na półpiętrze – a tam znajdziemy główne windy.

Nagle zatrzymała się jak wryta ze zdumionym wyrazem twarzy.

– Co jest? – podszedł do niej. W poprzek klatki schodowej ktoś rozwiesił żółtą taśmę z napisem „Nie wchodzić”. Dalsza część schodów błyszczała

od mokrej jasnoniebieskiej farby.

Rozdział 3

„O kurwa”.

Ostatnie słowa zarejestrowane
na większości czarnych skrzynek,
odzyskanych po katastrofach samolotów

– Może farba już wyschła – zasugerował Richard, chociaż nie ulegało wątpliwości, że wciąż jest wilgotna.

Joanna się pochyliła i dotknęła podłogi.

– Bynajmniej. – Podniosła palec i pokazała mu jasnoniebieską plamkę na opuszcze.

– Nie ma innej drogi?

– Tylko tam, skąd przyszliśmy. Czy pan Mandrake nie powiedział panu przypadkiem, dokąd się wybiera?

– Owszem. Miał się spotkać z panią Davenport.

– No nie, on tam będzie siedział godzinami – uznała Joanna. – Historia życia pani Davenport jest dłuższa niż większości ludzi. Poza tym minęły trzy godziny od chwili, kiedy się z nią widziałam. W tym czasie bez wątpienia „przypomniała” sobie najrozmaitsze szczegóły. A to, czego sobie nie przypomniała, wymyśli pan Mandrake.

– Jak to możliwe, że pomyleniec pokroju pana Mandrake’a otrzymał pozwolenie na prowadzenie badań w tak renomowanym szpitalu?

– Pieniądze – wyjaśniła krótko. – Przekazał szpitalowi połowę dochodów ze *Światła na końcu tunelu*. Książka rozeszła się w przeszło dwudziestu pięciu milionach egzemplarzy.

– Dowodząc słuszności powiedzenia, że głupców nie sieją, sami się rodzą.

– A ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. W szczególności Esther Brightman.

– Kto to taki?

– Wdowa po Haroldzie Brightmanie z Brightman Industries i najstarsza członkini rady powierniczej Szpitala Miłosierdzia. A także wierna uczennica Mandrake’a, pewnie dlatego, że w każdej chwili może powędrować na tamten świat. Przekazała szpitalowi jeszcze więcej pieniędzy niż Mandrake z Instytutem Badawczym, a kiedy umrze, pozostawi tutaj cały swój majątek. O ile niespodziewanie nie zmieni testamentu.

– Co oznacza, że Mandrake może bez przeszkód psuć tutejsze powietrze. Skinęła głową.

– I paskudzić wszystkie prace badawcze, związane z doświadczeniami granicznymi. A właśnie tym się tutaj zajmuję.

– Czy pani Brightman nie obawia się, że rzetelne badania naukowe podważą ideę życia po śmierci? – Richard zmarszczył czoło.

– Jest przekonana, że nauka dostarczy dowodów na istnienie życia po śmierci, a ja się do tego przyczynię – uspokoiła go Joanna. – Powinnam być jej wdzięczna. Większość szpitali za żadne skarby nie zgodziłaby się na badanie doświadczeń granicznych. Mimo to nie jestem wdzięczna. Zwłaszcza teraz. – Zapatrzyła się na drzwi. – Moglibyśmy się przekraść, korzystając z tego, że pani Davenport opowiada mi wstrząsającą historię o dyktandzie z trzeciej klasy. – Weszła na palcach na schody i lekko uchyliła drzwi.

Pan Mandrake stał w korytarzu, rozmawiając z Tish.

– Pani Davenport i inni zostali odesłani z powrotem w charakterze emisariuszy – perorował. – Mają zanieść nam słowo o tym, co nas czeka po Tamtej Stronie.

Joanna ostrożnie zamknęła drzwi i zeszła do doktora Wrighta.

– Rozmawia z Tish – szepnęła. – Opowiada jej, że doświadczenia graniczne to wiadomości z Tamtej Strony. Tymczasem my utknęliśmy po tej stronie.

Minęła lekarza i zeszła na półpiętro.

– Nie wiem, jak pan, ale ja nie zniosłabym konieczności wysłuchiwania jego teorii o życiu po śmierci. Może kiedy indziej, ale nie dzisiaj. W takiej sytuacji myślę, że pozostaje mi tylko zaczekać tutaj, aż sobie pójdzie.

Skręciła za półpiętro i usiadła tak, aby nie widzieć drzwi. Stopy oparła na stopniu tuż powyżej żółtej taśmy.

– Niech pan się nie czuje zobowiązany siedzieć tu ze mną, panie doktorze. Jestem pewna, że ma pan znacznie ważniejsze sprawy...

– Pan Mandrake już raz mnie dzisiaj zatrzymał. Zresztą chciałem z panią porozmawiać, prawda? W sprawie nawiązania współpracy. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się w miejscu wręcz stworzonym do takich rozmów. Cicho, nikt nam nie przeszkadza. Tylko proszę nie mówić do mnie panie doktorze w chwili, gdy oboje utknęliśmy na nie domalowanej klatce schodowej. Mam na imię Richard – wyciągnął rękę.

– Joanna. – Lekarka potrząsnęła jego dłonią.

Usiadł na półpiętrze twarzą do kobiety.

– Opowiedz mi o swoim złym dniu.

– Zmarł człowiek. – Oparła głowę o ścianę.

– Ktoś bliski?

– Nawet go nie znałam – zaprzeczyła. – Przeprowadzałam z nim wywiad na oddziale nagłych wypadków... a on...

W jednej chwili był, a w drugiej odszedł, pomyślała. Nie chodziło jej wyłącznie o charakterystyczną figurę retoryczną, eufemizm określający śmierć, taki jak „ostatnie tchnienie”. Opisała to, co czuła. Przyglądała mu się, jak leży, wpatrywała się w piszczący kardiomonitor, śledziła rozpaczliwą akcję reanimacyjną kardiologa i pielęgniarek i wcale nie czuła, żeby Greg Menotti zmarł, zszedł. Raczej odniosła wrażenie, że znikł.

– Miał jakieś doświadczenia graniczne?

– Nie. Nie wiem. Przeszedł zawał serca i reanimowano go w karetce, a potem stwierdził, że niczego nie pamięta, ale podczas badania kardiologicznego ponownie doznał zawału i powiedział: „Za daleko dla niej”. – Podniosła wzrok na Richarda. – Pielęgniarki myślały, że mówi o swojej dziewczynie, ale to nieprawda, ona już przy nim stała.

To on był gdzie indziej, przyszło jej do głowy. Tak samo, jak Carl Śpiączka. Gdzieś za daleko dla niej.

– Ile miał lat? – spytał Richard.

– Trzydzieści cztery.

– I pewnie nigdy wcześniej nie chorował – warknął ze złością. – Gdyby przeżył jeszcze pięć minut, zawieźliby go na chirurgię, zrobili bypass i podarowali dalsze dziesięć, dwadzieścia, może pięćdziesiąt lat. – Gwałtownie pochylił się do przodu. – Właśnie dlatego badania są takie ważne. Jeśli uda się nam twierdzić, co się dzieje w mózgu, kiedy umiera, wówczas opracujemy strategie zapobiegania niepotrzebnym zgonom, takim jak ten z dzisiejszego popołudnia. Jestem przekonany, że doświadczenia graniczne to klucz, mechanizm umożliwiający przeżycie...

– A zatem nie zgadzasz się z Noyesem i Lindenem, że doświadczenia graniczne to tylko skutek niemożności zrozumienia przez mózg jego własnej śmierci?

– Nie, i nie zgadzam się z teorią doktora Rotha, że to jest psychologiczne oddalenie od lęku. Nie istnieje ewolucyjne uzasadnienie ułatwiania lub uprzyjemniania śmierci. Kiedy ciało jest ranne, mózg zapoczątkowuje szereg działań, mających ułatwić przetrwanie. Zamyka dopływ krwi do wszystkich organów, które mogą się bez niej obejść, przyspiesza tempo oddychania, aby przyjąć więcej tlenu, koncentruje krew w miejscach, gdzie jej najbardziej potrzeba...

– Sądzisz, że doświadczenia graniczne to jedno z takich działań?

Skinął głową.

– Większość pacjentów po doświadczeniach granicznych uratowano dzięki defibrylacji lub noradrenalinie, lecz w niektórych wypadkach organizm samodzielnie wznawiał proces oddychania.

– Myślisz, że to się stało dzięki doświadczeniom granicznym?

– Wydaje mi się, że reanimowały ich procesy neurochemiczne, wywołujące doświadczenia graniczne, one same zaś to tylko skutek uboczny tych procesów. Są także kluczem do zrozumienia tych procesów. Jeśli uda mi się to opisać, uzyskam wiedzę, nadającą się do zastosowania podczas reanimowania pacjentów. Słyszałaś o nowej technice skanowania RIPT?

Joanna pokręciła głową.

– Czy to coś podobnego do tomografii komputerowej emisyjnej?

– W obu wypadkach bada się pracę mózgu – przytaknęła. – Z tym, że skanowanie w technice RIPT jest zasadniczo szybsze i znacznie dokładniejsze, bardziej szczegółowe. Poza tym do przeprowadzenia tego typu testu wykorzystuje się znaczniki chemiczne, a nie radioaktywne, toteż jeden pacjent może przejść nieograniczoną liczbę badań. W ich trakcie robi się jednoczesne zdjęcia zjawisk elektrochemicznych, zachodzących w różnych fragmentach mózgu, aby stworzyć trójwymiarową fotografię aktywności układu nerwowego w pracującym mózgu. Albo w umierającym mózgu.

– To znaczy, że teoretycznie można zrobić zdjęcie mózgu podczas doświadczeń granicznych?

– Wcale nie teoretycznie. Ja sam...

Drzwi powyżej nagle się otworzyły.

Oboje zamarli.

– ...bardzo owocna sesja – usłyszeli męski głos. – Pani Davenport przypomniała sobie, że po śmierci usłyszała rozkaz powrotu i ujrzała retrospekcję życia.

– O mój Boże – szepnęła Joanna. – To pan Mandrake.

Richard ostrożnie wystawił głowę zza rogu.

– Zgadza się – odszepnął. – Otworzył drzwi do połowy.

– Widzi nas stamtąd?

Pokręcił głową.

– A więc to prawda? – odezwała się ukryta za drzwiami młoda kobieta.

– To Tish – szepnęła Joanna.

Richard przytaknął i oboje zamarli w bezruchu z głowami zwróconymi w stronę schodów i drzwi. Uważnie wsłuchali się w dobiegające ich słowa.

– Umierający człowiek naprawdę widzi przed oczyma całe swoje życie? – dopytywała się Tish.

– Tak jest, wydarzenia z całego życia pojawiają się w formie wizji, zwanej retrospekcją życia – potwierdził pan Mandrake. – Świetlisty Anioł prowadzi duszę poprzez wspomnienia z jej życia i zaznajamia ją ze znaczeniem poszczególnych zdarzeń. Właśnie rozmawiałem z panią Davenport. Anioł ukazał jej wydarzenia i oznajmił: „Patrz i pojmuj”. – Mandrake zapewne oparł się o drzwi i szerzej je otworzył, gdyż jego głos nagle zabrzmiał donośniej. – Patrzyć i pojmować będziemy – głosił. – Nie tylko zrozumiemy nasze własne doświadczenia, ale także samo życie, rozległy ocean zrozumienia i miłości, który stanie się nasz, gdy dotrzemy do wieczności.

Richard wymienił spojrzenia z Joanną.

– Jak długo jeszcze będzie to ciągnął? – szepnął.

– Całą wieczność – mruknęła Joanna.

– Więc naprawdę wierzy pan w życie po śmierci? – zainteresowała się Tish.

Czy on nie ma już kogo odwiedzić, pomyślała z rozpaczą Joanna. Rzecz w tym, że chodziło o Tish, dla której flirt był równie naturalny jak oddychanie. Zarzucała sieć na każdego mężczyznę, nawet pana Mandrake'a. Richard na pewno ją poznał. Joanna zastanawiała się, jak sobie z nią poradził.

– Nie wierzę, aby istniało życie po śmierci – sprostował pan Mandrake.

– Ja to wiem. Mam naukowe dowody, że się nie mylę.

– Niemożliwe – zdumiała się Tish.

– Mam naocznych świadków – wyjaśnił. – Moi pacjenci twierdzą, że Tamta Strona to piękne miejsce, skąpane w złocistym świetle i wypełnione najbliższymi.

Zapadła cisza. Może sobie idzie, pomyślała z nadzieją Joanna.

Drzwi otworzyły się jeszcze bardziej i ktoś wszedł na schody. Richard zerwał się na równe nogi i w jednej chwili znalazł się po przeciwnej stronie półpiętra, zmuszając Joannę do wstania i przyciskając siebie i ją do ściany. Wstrzymali oddech i zamarli w oczekiwaniu.

Drzwi się zatrzasnęły, a na betonowych schodach zastukały buty. Za chwilę Mandrake znajdzie się na półpiętrze i ciekawe, jak mu wyjaśnią, dlaczego się tutaj kryją niczym dzieci podczas zabawy w chowanego. Joanna spojrzała pytająco na Richarda. Przyłożył palec do ust. Kroki się zbliżyły.

– Proszę pana! – dobiegł ich krzyk Tish i raz jeszcze usłyszeli skrzypnięcie otwieranych drzwi. – Panie Mandrake! Nie zejdzie pan tamtędy. Jeszcze nie wyszło.

– Nie wyszło? – powtórzył.

– Malują całą klatkę schodową.

Cisza. Richard jeszcze mocniej przycisnął Joannę ramieniem i ponownie usłyszeli kroki, tym razem zmierzające na górę.

– Dokąd pan idzie, panie Mandrake? – spytała Tish.

– Na oddział nagłych wypadków.

– W takim razie powinien pan pójść przez ortopedię i pojechać windą. Zaprowadzę pana.

Znowu dłuższa przerwa i trzaśnięcie drzwi.

Richard wychylił się zza Joanny, aby spojrzeć w górę.

– Poszedł.

Odsunął ramię i spojrzał na Joannę.

– Bałem się, że zechce sprawdzić, czy schody na pewno są świeżo malowane.

– Chyba żartujesz – odezwała się Joanna. – Całą swoją karierę oparł na dawaniu wiary innym.

Richard się roześmiał i ruszył pod górę do drzwi.

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu. On wciąż tam stoi.

Zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

– Powiedział, że idzie na oddział nagłych wypadków.

– Nie odejdzie, dopóki będzie miał publiczność. – Potrząsnęła głową. Richard ostrożnie otworzył drzwi i delikatnie zamknął.

– Miałaś rację. Opowiada Tish o tym, jak to Świetlisty Anioł wyjaśnił pani Davenport tajemnice wszechświata.

– To potrwa miesiąc – oceniła Joanna. Z rezygnacją osunęła się na stopień. – Jesteś lekarzem. Ile czasu trwa umieranie z głodu?

– Chcesz coś zjeść? – zdumiał się.

– Na śniadanie zjadłam tartinkę. – Dotknęła głową ściany. – Zdaje mi się, że to było milion lat temu.

– Żartujesz. – Zaczął przetrząsać kieszenie fartucha. – Masz ochotę na baton regeneracyjny?

– Masz przy sobie coś do jedzenia? – spytała zaskoczona.

– Kiedy idę do bufetu, zawsze jest zamknięty. Czy on w ogóle bywa otwarty?

– Nie. – Joanna nie miała wątpliwości.

– Zdaje się, że w okolicy nie ma żadnych barów.

– Fakt. Najbliższy to Taco Pierre's, znajduje się jakieś dziesięć przecznic stąd.

– Taco Pierre's?

– Sprzedają burrito i pałeczki okrężnicy na wynos.

– Hm – mruknął. Wyjął jabłko, wytarł je o kołnierz i wyciągnął do Joanny. – Chcesz jabłko?

Z wdzięcznością przyjęła owoc.

– Najpierw ratujesz mnie przed panem Mandrakiem, a potem od śmierci głodowej. – Ugryzła owoc. – Zrobię wszystko, czego zażądasz.

– To dobrze. – Sięgnął do drugiej kieszeni. – Chciałbym, żebyś podała mi definicję pojęcia doświadczeń granicznych.

– Definicję? – wymamrotała z pełnymi ustami.

– Chodzi mi o wrażenia ludzi. Czego doświadczają podczas śmierci klinicznej. – Wyciągnął owinięty w folię balonik zbożowy i wręczył go Joannie. – Czy wszyscy mają takie same wspomnienia, czy może każda osoba pamięta co innego?

– To nie tak – odparła, usiłując rozerwać opakowanie. – Nie ulega wątpliwości, że istnieje pewne wspólne wszystkim doświadczenie, tak jak twierdzi pan Mandrake. – Oderwała zębami fragment folii. – Zdefiniowanie go to jednak zupełnie inna sprawa.

Richard wyjął z jej rąk batonik, rozerwał opakowanie i oddał przekąskę Joannie.

– Dziękuję. Problem w tym, że istnieje książka pana Mandrake’a i wszystkie opracowania związane z doświadczeniami granicznymi. Ludziom powiedziano, co powinni widzieć, i jak się łatwo domyślić, wszyscy teraz widzą to samo.

– A zatem nie uważasz, że ludzie faktycznie mają przed oczyma tunel, światło i jakąś niezmierną postać? – Zmarszczył czoło.

– Tego nie powiedziałam. – Ugryzła baton. – Doświadczenia graniczne nie pojawiły się u ludzi dopiero wtedy, gdy tą tematyką zainteresował się pan Mandrake i wydano o niej tyle książek. Istnieją dowody na to, że to zjawisko dostrzeżono już w starożytnej Grecji. W Państwie Platona pojawił się opis żołnierza o imieniu Er, który zmarł i wędrował korytarzami prowadzącymi do krainy zmarłych, gdzie ujrzał duchy i coś w rodzaju nieba. *Tybetańska księga zmarłych* z ósmego wieku opowiada o opuszczaniu ciała, przebywaniu w mglistej pustce i wkraczaniu do krainy światła. Większość zasadniczych doświadczeń związanych z życiem po śmierci pojawiła się więc już dawno temu.

Na chwilę przerwała, aby odgryźć kolejny kęs batonu.

– Nie o to chodzi, że ludzie tak naprawdę nie widzą tunelu ani niczego innego. Rzecz w tym, że niezwykle trudno jest oddzielać ziarna od plew. A plew są całe tony. Ludzie wykorzystują doświadczenia graniczne, aby zwrócić na siebie uwagę. Albo żeby uzasadnić swoją wiarę w zjawiska nadprzyrodzone. Dwadzieścia dwa procent ludzi głoszących, że mieli doświadczenia graniczne, twierdzi, że posiadli zdolność telekinezy i pozazmysłowego postrzegania, albo też przyznają się do regresji do przeszłości, tak jak Bridey Murphy. Czternaście procent osób uważa, że porwali ich kosmici.

– Więc jak oddzielasz ziarna od plew, że użyję twojego sformułowania?

– Zwracam uwagę na język ciała. – Wzruszyła ramionami. – W zeszłym miesiącu miałam pacjentkę, która powiedziała: „Kiedy wpatruję się w światło, pojmuję tajemnicę wszechświata”. Tak na marginesie, tego typu komentarz pojawia się dość często. Kiedy spytałam, jaka to tajemnica, oznajmiła: „Obiecałam Jezusowi, że jej nie zdradzę”, lecz mówiąc te słowa, wyciągnęła ręce, jakby usiłowała złapać coś znajdującego się poza zasięgiem jej ramion – wytłumaczyła Joanna, demonstrując opisywany gest. – Poza tym muszę poszukiwać niekonwencjonalnych wspomnień i zwracać

uwagę na spójność relacji. Opisując to, czego doświadczyli, ludzie często podają zbyt wiele szczegółów, niekiedy pozornie nieistotnych, w przeciwieństwie do sytuacji, gdy opisują to, co ich zdaniem powinni byli dostrzec.

– A czego naprawdę doświadczają?

– Na pewno pojawia się wrażenie ciemności, a także światła, zwykle w takiej kolejności. Poza tym najwyraźniej słyszą jakieś dźwięki, chociaż nikt nie potrafi ich dokładnie opisać. Pan Mandrake twierdzi, że to brzęczenie...

– ...więc wszyscy jego pacjenci twierdzą, że to brzęczenie – dokończył Richard.

– Tak, ale nawet oni nie wydają się o tym całkowicie przekonani. – Joanna przypomniała sobie wahanie w głosie pani Davenport. – Moi badani podają najrozmaitsze wersje. Słyszą stuki, ryki, drapanie i piski.

– Ale z całą pewnością pojawia się jakiś dźwięk?

– Oczywiście, tak twierdzi osiemdziesiąt osiem procent moich pacjentów. I niczego im nie sugeruję.

– A co z unoszeniem się nad stołem operacyjnym? – Richard wyciągnął z kieszeni torebkę rodzynek.

– Pan Mandrake utrzymuje, że sześćdziesiąt procent jego pacjentów ma wspomnienia związane z opuszczeniem ciała, lecz osobiście zauważyłam takie przeżycia u zaledwie jedenastu procent swoich badanych. Siedemdziesiąt pięć procent moich rozmówców wspomniało o odczuciach spokoju i ciepła, a niemal pięćdziesiąt procent twierdzi, że widziało jakąś postać, zazwyczaj religijną i ubraną na biało, niekiedy błyszczącą lub promieniującą.

– Świetlisty Anioł Mandrake'a – stwierdził Richard.

Wyciągnęła rękę i zgarnęła kilka rodzynek.

– Osoby, którym pan Mandrake wyprał mózgi, widziały Świetlistego Anioła i swoich zmarłych krewnych, czekających na możliwość powitania ich po Tamtej Stronie, lecz wszyscy inni mają spostrzeżenia uwarunkowane religijnie. Chrześcijanie dostrzegają anioły lub Jezusa, chyba że są katolikami, wówczas widzą Matkę Boską. Hinduiści mają przed oczyma Krisznę lub Wisznu, a niewierzący – najbliższych. Albo Elvisa. – Zjadła rodzynekę. – Właśnie to mam na myśli, mówiąc o plewach. Ludzie wnoszą tak wiele ze swoich wspomnień, że niemal nie można stwierdzić, co widzą naprawdę.

– A co z dziećmi? – padło pytanie. – W ich pamięci znajduje się mniej trwale zakodowanych wyobrażeń.

– Zgadza się – potwierdziła Joanna. – Ale jednocześnie są bardziej skłonne zadowalać dorosłego, który przeprowadza z nimi wywiad, czego dowiodły wypadki wykorzystywania przedszkolaków w latach osiemdziesiątych. Dziećmi można tak manipulować, że powiedzą wszystko.

– No nie wiem – powątpiewał Richard. – Dzisiaj poznałem dziewczynkę, która nie wydawała się szczególnie podatna na wpływy. Znasz ją. Maisie.

– Rozmawiałeś z Maisie Nellis? – Zmarszczyła brwi. – Nie wiedziałam, że wróciła.

– Prosiła, żeby ci przekazać, że ma ci coś ważnego do powiedzenia. – Richard skinął głową. – Przeprowadziliśmy interesującą pogawędkę na temat *Hindenburga*.

– A więc taka jest katastrofa dyżurna w tym tygodniu. – Joanna uśmiechnęła się.

– Tak, i jeszcze wielka powódź melasy. Wiedziałaś, że w 1919 roku dwadzieścia jeden osób zginęło śmiercią naleśnika?

– Ile czasu z nią spędziłeś? – spytała rozbawiona. – Czekał, niech zgadnę. Maisie doskonale potrafi zatrzymywać ludzi. Jest w tym niezrównana. Poza tym to wyjątkowe dziecko.

– Powiedziała mi, że ma kardiomiopatię i migotanie komór.

– Wirusowe zapalenie wsierdza. Nie udaje się nad tym zapanować, a ona źle reaguje na leki znoszące arytmie serca. To prawdziwa tragedia.

– Pewnie stąd zainteresowanie *Hindenburgiem*.

– Myślę, że w ten sposób stara się stawić czoło swoim lękom – przytaknęła. – Matka nie pozwala jej mówić wprost o chorobie i nawet nie dopuszcza możliwości śmierci Maisie. Jednak przede wszystkim myślę, że Maisie usiłuje zrozumieć własną sytuację, czytając o ludziach, którym przytrafiły się niespodziewane i potworne tragedie. – Zjadła kolejną rodzinę. – Poza tym dzieci zawsze fascynują się śmiercią. Kiedy byłam w wieku Maisie, najbardziej lubiłam piosenkę *Biedne dzieci świata*, o dwóch maluchach „skradzionych pewnego pięknego letniego dnia” i pozostawionych w lesie na pewną śmierć. Babcia mi to śpiewała, ku zgrozie mojej matki. Starsi ludzie także fascynują się śmiercią.

– No i co? – spytał zaciekawiony Richard. – Co z tymi dziećmi w lesie? Zginęły?

– Tak, lecz zanim to nastąpiło, przez kilka zwrotek błąkały się w ciemnościach. „Gwiazdy się skryły i księżyc zgasł cały, A one wzdychały i gorzko płakały. Biedactwa upadły i ducha oddały” – wyrecytowała. A potem ptaszki przykryły je listkami poziomek.

Westchnęła z nostalgią.

– Uwielbiałam tę piosenkę. Pewnie dlatego, że była o dzieciach. W większości katastrof Maisie pojawiają się dzieci. Lub psy.

– Na *Hindenburgu* znajdował się pies. Wabił się Ulla. Przeżył.

– Mówiła, o czym chce ze mną porozmawiać? – Joanna go nie słuchała.

– O doświadczeniach granicznych.

– O Boże. Mam nadzieję, że nie doznała znowu migotania komór i nie była reanimowana.

– Nie sędzę. Maisie swobodnie schodziła z łóżka i kręciła się po pokoju. Pielęgniarka wciąż usiłowała zapędzić ją pod kołdrę.

– Powinnam się z nią spotkać – oświadczyła Joanna i spojrzała w górę schodów. Następnie podkraśniała się do drzwi i lekko je uchyliła.

– ...Świetlisty Anioł, promieniujący wokół złocistym światłem, które błyszczało jak migoczące brylanty... – opowiadał pan Mandrake.

– Wciąż tam stoi. – Zamknęła drzwi.

– To dobrze, bo nie miałem jeszcze możliwości przekonania cię do nawiązania ze mną współpracy, a ty nie skończyłaś mówić o tym, czego ludzie doświadczają podczas śmierci klinicznej. Poza tym pora na deser. – Sięgnął do kieszeni fartucha i wydobyl paczkę m&m'sów z fistaszkami.

– Nie, dziękuję. – Pokręciła głową. – Po nich chce mi się pić.

– O, w takim wypadku... – sięgnął do prawej kieszeni – ...mokka cappuccino na zimno. – Postawił na stopniu butelkę i zaraz wyciągnął następną. – Albo też... – przeczytał etykietę – mandarynkowa zielona herbata z żeń-szeniem.

– Jesteś niesamowity. – Joanna wybrała cappuccino. – Co ty tam jeszcze chowasz? Szampana? Homara thermidor? Ja trzymam w kieszeniach tylko pocztówkę i dyktafon oraz... – Przetrasnęła kieszenie swetra. – Pager, oj, lepiej go wyłączę. Wolałabym, żeby nagle nie zadzwonił i nie zdradził nas przed panem Mandrakiem. – Wyłączyła urządzenie. – Jeszcze trzy używane chusteczki. Masz może słomkę?

Wydobył z kieszeni rurkę w papierowym opakowaniu.

– Mówiłaś o ciemnościach. – Wręczył jej słomkę. – A co z tunelem?

– Większość ludzi wspomina o tunelu – rozpakowała rurkę – ale chodzi im o coś innego. Dla części ludzi to wir, dla innych przejście lub korytarz albo wąski pokój. Kilku moich badanych stwierdziło, że wokół nich zapadały ciemności.

– Uszkodzenie kory wzrokowej. – Wskazał kciukiem na drzwi. – A co z retrospekcją życia?

– Tylko jedna czwarta moich pacjentów o tym wspomina. – Joanna napiła się kawy. – Pojawianie się przed oczyma scen z życia to dobrze udokumentowane zjawisko podczas wypadków. Pan Mandrake twierdzi, że doświadczenia graniczne, czy też zgodnie z jego terminologią wspomnienia z życia po śmierci...

– Mówił mi – skrzywił się Richard.

– ...sprowadzają się do dziesięciu zasadniczych elementów: doświadczeń pozacielesnych, dźwięku, tunelu, światła, zmarłych krewnych, Świetlistego Anioła, poczucia spokoju i miłości, retrospekcji życia, nabycia uniwersalnej wiedzy i rozkazu powrotu. Większość moich pacjentów mówi o trzech lub czterech elementach, zwykle dźwięku, tunelu, świetle i poczuciu obecności ludzi lub aniołów, chociaż przy bardziej szczegółowych pytaniach mają problemy z ich opisaniem.

– To wskazuje na stymulację płata skroniowego – odezwał się Richard. – Może wywołać poczucie obecności istot nadprzyrodzonych przy jednoczesnym braku doświadczeń wzrokowych. Poza tym pojawiają się wtedy wspomnienia i nieokreślone dźwięki, między innymi głosy, ale podobne objawy daje nagromadzenie się dwutlenku węgla i pewnych endorfin. To część problemu: istnieją pewne procesy fizyczne, które mogą wywołać zjawiska opisywane jako typowe dla śmierci klinicznej.

– A pan Mandrake będzie twierdził, że podczas badań laboratoryjnych nie uzyska się takich samych wyników, jak u osób przechodzących śmierć kliniczną. W swojej książce pan Mandrake napisał, że wizje światła i tunelu występujące podczas eksperymentów z anoksją są całkowicie odmienne od opisywanych przez jego pacjentów.

– A bez ustalenia obiektywnych standardów nie da się dowieść niepoprawności takiego rozumowania – uzupełnił Richard. – Relacje z doświadczeń granicznych są nie tylko subiektywne, ale w dodatku można je uznać za zwykłe przesady.

– I są niejasne. A zatem dzięki swoim badaniom chcesz ustalić obiektywny standard?

– Nie. Już go mam. Trzy lata temu wykorzystywałem technikę skanowania RIPT do sporządzenia mapy aktywności mózgu. Prosiłem badanego o policzenie do pięciu, pytałem go o ulubiony kolor, jak pachną róże, i wyszukiwałem rejony aktywności synaptycznej. W trakcie jednego z eksperymentów pacjent musiał być reanimowany.

– Z powodu badania skanerem?

– Nie. Nie jest groźniejsze od zwykłej tomografii komputerowej. Można je nawet uznać za bezpieczniejsze, bo nie stosuje się substancji radioaktywnych. Doszło do rozległego zawału, zupełnie nie związanego z badaniem.

– Pacjent zmarł? – Joanna przypomniała sobie Grega Menottiego.

– Nie. Zespół reanimacyjny go uratował, zrobiono mu bypass i doszedł do siebie.

– Miał doświadczenia graniczne?

– Owszem. I w dodatku zrobiliśmy mu wtedy zdjęcia. – Z kieszeni fartucha wyciągnął zwinięty w harmonijkę papier. – To są obrazy zarejestrowane na trzy minuty przed przybyciem zespołu reanimacyjnego. Skaner cały czas pracował.

Przysunął się do Joanny i rozpostarł taśmę papieru. Widniały na niej czarne rysunki przekroju mózgu, takie same, jakie rejestrowano podczas tomografii komputerowej. Niektóre rejony mózgu zabarwiono na niebiesko, zielono i czerwono, lecz zdjęcia były wyraźniejsze niż tradycyjne. Wzdłuż kolejnych klatek znajdowały się rzędy zakodowanych informacji.

– Czerwień wskazuje na największą aktywność, a błękit – na najmniejszą – wyjaśnił Richard i wskazał na pomarańczowoczerwone plamy. – To jest płat skroniowy, a to... – pokazał palcem czerwoną plamkę – ...hipokamp. – Wręczył Joannie papier. – Tak wyglądają doświadczenia graniczne.

Joanna z przejęciem wpatrywała się w pomarańczowe, żółte i zielone kleksy.

– A zatem one naprawdę istnieją.

– To zależy, co rozumiesz przez naprawdę. Widzisz te obszary, które nie wykazują żadnej aktywności? To jest kora wzrokowa, a tu i tam są obszary czuciowe, gdzie przetwarzają się informacje z otoczenia. Mózg nie otrzymuje żadnych danych z zewnątrz. Jedyne bodźce docierają z wnętrza mózgu, co oznacza złe wieści dla pana Mandrake'a. Gdyby pacjent

faktycznie dostrzegał jasne światło lub anioła, kora wzrokowa tu i tu – wskazał – byłaby aktywna.

Joanna zapatrzyła się na ciemoniebieskie plamy.

– Co on widział? Ten, którego reanimowano?

– Pan O’Reirdon? Tunel, światło i kilka obrazów z dzieciństwa, jeden po drugim.

– Retrospekcja życia – mruknęła.

– Wydaje mi się, że te wizje są zobrazowane w tym miejscu. – Wskazał na żółtozielone plamy na kolejnych zdjęciach. – To przejawy przypadkowej aktywności synaps odpowiedzialnych za pamięć długotrwałą.

– Czy on widział lśniąca postać w bieli?

– Odczuł obecność nadnaturalnej istoty, która nakazała mu wracać, i wtedy znalazł się z powrotem na stole.

– W tym miejscu zakończyły się doświadczenia graniczne. – Wskazał zdjęcie pod koniec taśmy. – Widać zupełnie inny rozkład plam. Aktywność płatu skroniowego ulega gwałtownemu osłabieniu, a wzrasta w korze wzrokowej i słuchowej.

Joanna nie słuchała. Myślała o tym, że pacjenci zawsze opowiadają o udawaniu się na Tamtą Stronę i powrocie, jakby mówili o rzeczywistym miejscu. Wszystkie osoby po doświadczeniach granicznych wypowiadały się w taki sam sposób. Mówili: „A następnie wróciłem do karetki” albo: „Przeszłam przez tunel”, albo „Przez cały czas, kiedy tam przebywałem, czułem się spokojnie i bezpiecznie”. A Greg Menotti powiedział: „Za daleko dla niej”, jakby nie znajdował się już na oddziale nagłych wypadków, lecz gdzie indziej. Daleko. „Kraina, z której nie powraca żaden wędrowiec”^{2}, pisał o śmierci Szekspir.

– Największy poziom aktywności koncentruje się tutaj – ciągnął Richard. – Obok szczeliny Sylwiusza w przedniej części płata skroniowego, co wskazuje na jego stymulację. Epileptycy, osoby z chorym płatem skroniowym twierdzą, że słyszą głosy, czują obecność boskich istot, euforię i aury.

– Pewna grupa moich pacjentów wspomniała o aurze otaczającej postaci w bieli – wtrąciła Joanna. – A także promieniujące od nich światło. Kilku z nich, wspominając o świetle, rozpostarło ręce, jakby pokazywało promienie – zademonstrowała.

– Właśnie tego typu informacji potrzebuję – oznajmił Richard. – Chciałbym, żebyś pracowała ze mną przy moich badaniach.

– Ale ja nie wiem, jak odczytywać skany.

– Nie musisz. To moja działka. Chciałbym tylko, żebyś mówiła mi właśnie to, co przed chwilą...

Drzwi otworzyły się z hukiem i po schodach zbiegła pielęgniarka. Joanna i Richard rzucili się na półpiętro, ale było za późno. Już ich zobaczyła.

– Och – odezwała się wyraźnie zaskoczona, a później zainteresowana. – Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. – Posłała Richardowi uroczy uśmiech.

– Nie przejdzie pani tędy – wyjaśniła Joanna. – Schody są świeżo malowane.

– A państwo czekają, aż wyschną? – Podniosła brwi.

– No właśnie – potwierdził Richard.

– Czy pan Mandrake wciąż jest na górze? – zapytała Joanna. – Na korytarzu?

– Nie – odparła pielęgniarka, nadal uśmiechając się do Richarda.

– Na pewno? – dopytywała się Joanna.

– Na korytarzu stoi tylko wózek z kolacją.

– Z kolacją? O Boże, która godzina? – rzuciła okiem na zegarek. – Rany, już po szóstej.

Znowu podniesione brwi.

– Łatwo stracić poczucie czasu, co? No nic, życzę miłej zabawy – pożegnała się pielęgniarka, pomachała Richardowi i weszła po schodach na górę.

– Nie miałam pojęcia, że zrobiło się tak późno – wytłumaczyła Joanna, mnąc opakowanie od batonu i wciskając je do kieszeni. Wstała, zabrała butelkę po kawie i ogryzek.

Richard wskoczył dwa stopnie wyżej i odwrócił się, stając na drodze Joanny.

– Jeszcze nie możesz odejść. Nie wyraziłaś zgody na udział w badaniach.

– Przecież i tak przeprowadzam wywiad z każdym pacjentem po doświadczeniach granicznych. Mogę ci udostępnić moje notatki...

– Nie mówię o tych ludziach. Chcę, żebyś porozmawiała z moimi ochotnikami. Jesteś specjalistką, jak to ujęłaś, w oddzielaniu ziaren od plew. Chcę, żebyś właśnie to zrobiła: przeprowadziła wywiad z moimi pacjentami i wyselekcjonowała ich faktyczne doświadczenia, abym mógł określić, w jaki sposób wiążą się z ich skanami.

– Ich skanami? – zdumiała się Joanna. – Nie rozumiem. Bardzo rzadko reanimuje się ludzi w szpitalu, a nawet jeśli tak się zdarzy, miałbyś zaledwie cztery do sześciu minut na przewiezienie urządzenia na oddział nagłych wypadków i...

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył. – Nie rozumiesz. Ja nie czekam, aż ktoś się znajdzie w stanie śmierci klinicznej. Sam ją wywołuję.

Rozdział 4

„Najmocniej przepraszam, monsieur. Zrobiłam to niechcący”.

Maria Antonina po tym, jak przypadkowo nadepnęła katowi na nogę, wdrapując się na gilotynę

– Wywołujesz śmierć kliniczną? Tak jak w *Linii życia*? – wybuchnęła Joanna, a potem pomyślała, że niepotrzebnie to powiedziała. Znajdowała się z nim sama na klatce schodowej, a nie ulegało wątpliwości, że to wariat.

– *Linia życia*? – przeraził się Richard. – Chodzi ci o ten film, w którym zatrzymują ludziom pracę serca, a potem przywracają ich do życia przed obumarciem mózgu? No pewnie, że nie. Wywołuję to złe słowo. Powinienem był powiedzieć: symuluję.

– Symulujesz? – Joanna nie straciła czujności.

– Tak jest, w tym celu stosuję psychoaktywny lek o nazwie dithetamina. Czeka, zacznę od początku. Pan O’Reirdon musiał być reanimowany, a my w pewnym sensie mieliśmy zapis jego doświadczeń granicznych. Pewnie rozumiesz, że nie chciałem nadawać sprawie rozgłosu. Właśnie ukazała się książka pana Mandrake’a, zapraszano go do wszystkich talk show, gdzie twierdził, że życie po śmierci jest całkowicie realne, a ja potrafiłem sobie wyobrazić, co by się działo, gdybym pokazał swoje fotograficzne dowody.

– Przesunął otwartą dłoń w powietrzu, jakby przedstawiał nagłówek z gazety. – „Naukowiec twierdzi, że istnieją doświadczenia graniczne”.

– Nie, nie tak – zaprzeczyła Joanna. – „Naukowiec fotografuje niebo”, a pod spodem nachalnie sfałszowane zdjęcia błyszczących bram niebios nałożonych na schemat budowy mózgu.

– No właśnie, zresztą to nie miało nic wspólnego z badaniami dotyczącymi opracowania mapy mózgu, które prowadziłem. Dlatego udokumentowałem wyniki badania i opis doświadczeń granicznych, przedstawiony przez pana O’Reirdona, a następnie wszystko trafiło do szuflady. Dwa lata później czytałem o badaniach dowodzących istnienia

wpływu środków psychoaktywnych na funkcjonowanie płatu skroniowego. W artykule zamieszczono zdjęcie tomografii komputerowej pacjenta po dithetaminie i wyglądało mi to znajomo. Dla porównania wyciągnąłem fotografie pana O'Reirdona. Schemat okazał się podobny.

– Dithetamina? – powtórzyła Joanna.

– To lek zbliżony do fencyklidyny – wyjaśnił Richard, grzebiąc po kieszeniach fartucha. Joanna zastanawiała się, czy zamierza wyciągnąć fiolkę pełną tabletek. Lekarz wydobył jednak opakowanie miętusów. – Masz ochotę na poobiedniego dropsa? – zaproponował. Wzięła jedną pastylkę.

– Lek nie powoduje psychotycznych skutków ubocznych, tak jak fencyklidyna, ani też euforii – kontynuował, rozdzierając opakowanie dropsów. – Wywołuje za to halucynacje. Kiedy zadzwoniłem do lekarza prowadzącego badania i poprosiłem o szczegóły, wyjaśnił, że jego pacjenci opisywali, jak unosili się nad ciałami, a następnie wkraczali do ciemnego tunelu kończącego się światłem, w którym stała promieniująca istota. Wtedy wiedziałem, że wpadłem na coś interesującego.

Ustalenie, co się dzieje po śmierci, zawsze fascynowało ludzi, podobnie jak obecnie spirytualizm i książki pana Mandrake'a. Nikt nigdy nie opracował naukowej metody przekonania się o tym, chyba że wziąć pod uwagę Harry'ego Houdiniego, który nie zdołał po śmierci skontaktować się ze swoją żoną. No i był jeszcze Lavoisier.

Ten wielki francuski chemik został skazany na ścięcie i zaproponował przeprowadzenie eksperymentu, aby udowodnić lub obalić hipotezę, że zdekapitowani ludzie zachowują świadomość po śmierci. Lavoisier stwierdził, że będzie mrugał, dopóki nie straci przytomności. Mrugnął dwanaście razy. Być może był to jedynie odruch, podobnie jak w wypadku kurczaków biegających z odciętymi głowami, i nie dałoby się tego zweryfikować. Sytuacja zmieniła się dopiero teraz.

– A zatem twoje badania sprowadzają się do podawania pacjentom dithetaminy i podłączania ich do skanera RIPT – podsumowała Joanna. – Następnie przeprowadzasz z nimi wywiad?

– Właśnie, a oni opowiadają o tunelach, światłach i aniołach, lecz nie wiem, czy to są takie same zjawiska, jakich doświadczają osoby w trakcie śmierci klinicznej, czy też zupełnie odmienna halucynacja.

– I właśnie tego oczekujesz ode mnie – mruknęła Joanna. – Mam porozmawiać z twoimi pacjentami i powiedzieć ci, czy moim zdaniem ich

opisy pokrywają się ze spostrzeżeniami ludzi po doświadczeniach granicznych?

– Chciałbym poza tym, abyś przygotowała szczegółowe opisy doświadczeń moich ochotników. Ich subiektywne wrażenia są wskaźnikiem tego, które obszary mózgu są stymulowane i które przekaźniki nerwowe biorą udział w całym procesie. Naprawdę potrzebuję twojego doświadczenia z rozmów z osobami po śmierci klinicznej. Relacje uzyskane przeze mnie od moich pacjentów na niewiele się przydały.

– Zatem musiały być wiarygodne – sprzeciwiła się Joanna. – Osoby po doświadczeniach granicznych zawsze wypowiadają się w sposób niejasny, chyba że pan Mandrake informował je, co mają mówić. Jeśli zaczniesz wyciągać od nich szczegóły, zachodzi ryzyko zniekształcenia prawdziwości opisu.

– Właśnie – zgodził się Richard. – Dlatego cię potrzebuję. Potrafisz zadawać pytania, nie sugerując odpowiedzi, i masz doświadczenie w pracy z ludźmi po doświadczeniach granicznych. Wiem tylko, że zasadnicze elementy halucynacji po dithetaminie są zbieżne z przeżyciami podczas prawdziwej śmierci klinicznej. Poza tym sądzę, że praca ze mną przydałaby się także tobie – podkreślił z przekonaniem. – Masz okazję przeprowadzić szereg wywiadów w kontrolowanych warunkach.

Pomyślała, że w dodatku nie będzie musiała się przejmować, że pan Mandrake pierwszy dotrze do pacjentów.

– I co ty na to? – spytał Richard.

– Nie wiem – odparła Joanna, ze zmęczeniem pocierając skroń. – To brzmi fantastycznie, ale muszę się zastanowić.

– No jasne. Oczywiście – przytaknął. – Wiem, że to poważna decyzja, a ty miałaś ciężki dzień.

Tak jest, potwierdziła w myślach, i w dodatku widziałam blade i zimne ciało Grega Menottiego na stole do badań. Opuszczone. Porzucone.

– Nie musisz podejmować decyzji od razu – ciągnął Richard. – Przejrzysz jeszcze założenia moich badań, zapoznasz się z warunkami finansowymi. Masz czas na zastanowienie się.

– To dobrze – stwierdziła Joanna, nagle czując zmęczenie. – Bo na razie jeszcze trudno mi powiedzieć. – Wstała. – Słusznie, miałam ciężki dzień, a przed pójściem do domu muszę jeszcze spisać kilka wywiadów. Powinnam też odwiedzić Maisie...

– Rozumiem. Wieczorem przemyśl sobie moją propozycję, a jutro pokażę ci założenia badawcze. W porządku?

– Zgoda. O dziesiątej – postanowiła i weszła na schody. – Dziękuję za kolację. Twój fartuch to najlepszy bar w okolicy.

Po cichu podeszła do drzwi, uchyliła je ostrożnie i wyjrzała. Korytarz był pusty.

– Droga wolna – oznajmiła i wyszli z klatki schodowej.

– Do zobaczenia o dziesiątej. – Uśmiechnął się. – Jeśli nasuną ci się jakieś pytania, dzwoń. – Wyciągnął wizytówkę z kieszeni fartucha. Pomyślała, że przypomina jednego z klaunów, którzy wciąż wydobywają z kieszeni chustki do nosa, trąbki do roweru i króliki.

– Stworzymy świetny zespół – oznajmił Richard.

– Pozwól, że to przemyślę – odparła. – Jutro dam ci odpowiedź.

– Naprawdę chciałbym z tobą współpracować. Mam wrażenie, że możemy dokonać wielkich rzeczy.

Ruszył korytarzem i nagle odwrócił się z zakłopotaniem.

– Jak stąd dojść do mojego laboratorium?

– Pojedź windą na szóste – zaśmiała się. – Idź prosto łącznikiem, skręć na schody obok obrazowania magnetycznego i zejź na piąte.

– Widzisz? – rozpromienił się. – Bez ciebie nie dałbym sobie rady. Musisz się zgodzić na współpracę w badaniach.

Potrząsnęła głową z uśmiechem, a następnie poszła do zachodniego skrzydła na spotkanie z Maisie. Od razu wpadła na Maurice' a Mandrake' a.

– Przesyłałem pani wiadomości na pager – odezwał się surowo. – Rozumiem, że przeprowadzała pani wywiad z pacjentem. Czy teraz pani idzie na kolejny?

– Nie – odparła Joanna, nie zatrzymując się.

– Podobno po południu na oddział nagłych wypadków trafił ktoś po reanimacji. Gdzie on jest?

Dobre pytanie, pomyślała Joanna. Gdzie on jest?

– Zmarł – odparła.

– Zmarł?

– Tak. Zaraz po przywiezieniu do szpitala.

– Szkoda. Osoby po zawale najdokładniej opisują swoje doświadczenia graniczne. Dokąd się pani wybiera?

Pewnie myśli, że ukrywam przed nim jakiegoś pacjenta, przyszło jej do głowy.

– Do domu – wyjaśniła i oddaliła się zdecydowanym krokiem.

– Po południu rozmawiałem z panią Davenport – oznajmił, dogoniwszy ją. – Przypomniała sobie kilka dodatkowych szczegółów. Opowiedziała mi o złotej klatce schodowej, na której stały dwa anioły z błyszczącymi białymi skrzydłami.

– Czyżby? – Joanna nie zamierzała zwolnić kroku. Na końcu korytarza znajdowała się winda dla personelu, w której mogłaby się schronić, gdyby dał jej na chwilę spokój. Niestety, na to się nie zanosilo.

– Pomiędzy aniołami stał jej wuj Alvin, w białym mundurze marynarki wojennej – kontynuował pan Mandrake. – To dowodzi, że wspomnienia pani Davenport są prawdziwe. Pacjentka nie miała możliwości sprawdzić, co jej wuj włożył na siebie przed śmiercią pod Guadalcanal.

Może tylko zapamiętała rodzinne zdjęcia i wszystkie obejrzone filmy o drugiej wojnie światowej, pomyślała Joanna. Zastanawiała się, czy pan Mandrake zamierza iść za nią bez względu na to, dokąd się wybierają. Najwyraźniej tak było, a zatem nie mogła odwiedzić Maisie. Dziewczynka zdołałaby obronić się przed panem Mandrakiem, ale on nie wiedział, że ponownie trafiła do szpitala, i Joanna nie chciała tego zmieniać.

– Nie mogę się doczekać, kiedy powiem panu Wrightowi o doświadczeniach pani Davenport – oświadczył pan Mandrake. – Jedna z pielęgniarek poinformowała mnie, że próbuje on odtworzyć doznania z życia po śmierci w warunkach laboratoryjnych, co jest, oczywiście, niemożliwe. Wielu badaczy usiłowało tego dokonać, stosując odcięcie dopływu bodźców z otoczenia, leki, wibracje dźwiękowe, ale żaden z nich nie potrafił stworzyć sztucznego życia po śmierci, gdyż jest to zjawisko duchowe, a nie fizyczne.

Joanna zauważyła, że z przeciwnej strony korytarza nadchodzą dwie kobiety, i miała nadzieję, że to jej znajome, lecz okazało się, że przyszły z wizytą. Jedna z nich trzymała w dłoniach bukiet tulipanów.

– Wspomnień z życia po śmierci nie da się wyjaśnić anoksją, endorfinami ani też przypadkowo aktywnymi synapsami, co udowodniłem w swojej książce *Światło na końcu tunelu* – oznajmił pan Mandrake, kiedy minęli odwiedzające. – Można wytłumaczyć to jedynie tym, że pacjenci trafili na Tamtą Stronę. W swojej nowej książce zajmuję się wieloma komunikatami, które...

– Przepraszam – odezwał się ktoś za ich plecami. Była to kobieta z tulipanami. – Niechcący podsłuchałam fragment państwa rozmowy. Pan

Maurice Mandrake, prawda? Chciałam tylko powiedzieć panu...

Joanna nie wahała się ani sekundy.

– Pozwolą państwo, że ich opuszczę – wymamrotała i czmychnęła za róg.

– Przeczytałam pana książkę i dała mi ona wiele nadziei – usłyszała jeszcze słowa kobiety. Popędziła na pierwsze piętro, przebiegła przez radiologię do łącznika z zachodnim skrzydłem i schodami na górę dotarła na trzecie piętro.

Nie zastała tam Maisie. Na pewno zabrano ją na dół na badania, pomyślała Joanna, zaglądając do pokoju 356. Łóżko nie było pościelone, koc leżał pognieciony, jakby dziewczynka dopiero co się spod niego wygrzebała. Telewizor grał, a na ekranie tańczyły na schodach sieroty. *Annie*.

Joanna skierowała się do pokoju pielęgniarek, aby spytać, kiedy wróci Maisie, i wówczas ujrzała jej matkę, idącą z uśmiechem korytarzem.

– Czy pani doktor szuka Maisie? – spytała. – Jest na dole, na echokardiografii.

– Wpadłam tylko na moment, aby się z nią zobaczyć, pani Nellis – wyjaśniła Joanna. – Czy mogłaby pani powtórzyć jej, że jutro do niej przyjdę?

– Nie wiem, czy jutro jeszcze ją pani zastanie – zastanowiła się pani Nellis. – Jest w szpitalu tylko na badaniach kontrolnych. Doktor Murrow prawdopodobnie pozwoli jej wracać do domu zaraz po ich zakończeniu.

– Rozumiem. Jak się miewa Maisie?

– Wyśmienicie. – Pani Nellis wydawała się zachwycona. – Ten nowy lek znoszący arytmie świetnie się sprawdza, znacznie lepiej niż poprzedni. Zauważam ogromną różnicę. Myślę, że Maisie wkrótce wróci do szkoły.

– To cudownie – przyznała Joanna. – Brakuje mi jej, ale cieszę się, że zdrowieje. Proszę jej przekazać, że jutro rano wpadnę się z nią pożegnać, zanim pójdzie do domu.

– Z przyjemnością – zgodziła się pani Nellis i spojrzała na zegarek. – Pora na mnie. Muszę kupić coś do jedzenia i chciałabym tutaj być, kiedy Maisie wróci.

Pani Nellis oddaliła się do windy.

Mam nadzieję, że nie wybiera się do bufetu, pomyślała Joanna i pomaszerowała w stronę schodów.

– Niech pani zaczeka! – dobiegł ją krzyk. Odwróciła się. Na wózku inwalidzkim popychanym przez pielęgniarkę siedziała Maisie i gwałtownie wymachiwała rękami. Joanna podeszła do niej.

– Widzi pani? – triumfowała Maisie, zwracając się do pielęgniarki. – Mówiłam, że pani doktor zawsze przychodzi, kiedy się dowie, że tu jestem. – Dziewczynka zwróciła się do Joanny: – Czy pan doktor Wright przekazał, że mam pani coś do powiedzenia?

– Owszem – przyznała Joanna i poinformowała pielęgniarkę: – Zawiozę ją do pokoju.

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

– Muszę podłączyć ją do urządzeń kontrolnych i dopilnować, aby położyła się w łóżku i odpoczęła. – Odwróciła się z udawaną surowością do Maisie.

– Tak, ale najpierw muszę coś powiedzieć pani doktor – stwierdziła Maisie. – O doświadczeniach granicznych. Przeczytałam książkę o *Hindenburgu* – poinformowała Joannę, kiedy znalazły się pod drzwiami pokoju. – Podobała mi się. Wiedziała pani, że oni mieli fortepian? W tym sterowcu?

Pielęgniarka wprowadziła wózek do pomieszczenia i przysunęła go do łóżka.

– Co prawda był aluminiowy, ale zawsze fortepian! – Nie przestając mówić, Maisie zeskoczyła z wózka, zanim pielęgniarka zdążyła schować podnóżki. Dziewczynka wysunęła szufladę z nocnej szafki. – Założę się, że spadł na kogoś, kiedy *Hindenburg* wyleciał w powietrze.

Jestem tego pewna, pomyślała Joanna.

– Maisie – powiedziała pielęgniarka, trzymając w rękach przewody do urządzeń kontrolnych i tubę z żelem do posmarowania ciała przed przymocowaniem elektrod.

– Może wejdiesz do łóżka? – zasugerowała Joanna. – Ja sama poszukam książki.

– Nie chodzi mi o książkę. – Maisie ani myślała przestać grzebać w szufladzie. – Tylko o kartkę. Fortepian ważył sto osiemdziesiąt kilogramów.

– Maisie! – W głosie pielęgniarki zabrzmiał ostry ton.

– Wiedziała pani, że na pokładzie znajdował się dziennikarz? – spytała dziewczynka, nonszalancko unosząc szpitalną koszulę, aby pielęgniarka mogła przystawić elektrody do jej chudej, dziecięcej klatki piersiowej. –

Relacjonował całe zdarzenie. „Och, to straszne!” Au! Zimno!, „Och, ludzkości!”

Gadała jak nakręcona, podczas gdy pielęgniarka sprawdzała urządzenia, regulowała pokręta i kontrolowała odczyty. Opowieść Maisie nie miała nic wspólnego z doświadczeniami granicznymi, ale Joanna nie liczyła na wiele. Przez ostatnie trzy lata Maisie głównie leżała w szpitalu – doskonale wiedziała, jak odwrócić uwagę pielęgniarek, odwlec nieprzyjemne zabiegi i, przede wszystkim, zmusić ludzi do dotrzymania jej towarzystwa.

– Dobrze, teraz nie możesz już wstawać z łóżka – zarządziła pielęgniarka. – Proszę dopilnować, aby odpoczywała – zwróciła się do Joanny i wyszła.

– Słyszałaś polecenie. – Joanna wstała. – Może przyjdę do ciebie jutro rano?

– Nie – sprzeciwiła się Maisie. – Nie może pani jeszcze odchodzić. Nic zdążyłam opowiedzieć o doświadczeniach granicznych. Mówiłam pani, że kiedy o mały włos nie umarłam, niczego nie widziałam, a pan Mandrake powiedział, że to niemożliwe, bo wszyscy widzą tunel i anioła. To nieprawda. Ten mężczyzna, który pracował na *Hindenburgu* i znajdował się wewnątrz balonu, kiedy doszło do eksplozji, nie spadł na ziemię, w przeciwieństwie do reszty. Uwiesił się na metalowych rozporkach i zrobiło się naprawdę gorąco. Bardzo sobie poparzył ręce, całe mu szerniały, ale nie puścił, chociaż chciał. Mocno zacisnął oczy. – Maisie zademonstrowała jak. – I wtedy zobaczył te wszystkie rzeczy.

Rozpostarła kartkę dla Joanny. Okazało się, że jest to kserokopia jednej ze stron książki.

– Nie wiem, czy to była prawdziwa śmierć kliniczna czy nie, chociaż gdyby naprawdę zmarł, puściłby tę rozpórkę, prawda? Ale on ujrzał rozmaite obrazy na raz. Śnieg, pociąg, wieloryba unoszącego ogon nad powierzchnią oceanu.

Dziewczynka się pochyliła, uważając, aby nie oderwać elektrod, i podała Joannie pozginaną kartkę.

– Najbardziej podoba mi się fragment, w którym znalazł się w potrzasku i musiał zawisnąć na nogach jak na trapezie, aby nie spaść w ogień.

Joanna wygładziła papier i przeczytała opis tego, co widział członek załogi: błyszczące białe pola i wieloryba opisanego przez Maisie, a następnie przejeżdżający pociąg. Zdumiało go, że pojazd się nie zatrzymał,

i uznał, że na pewno widział ekspres, ale to nie mogło być prawdą. Do Bregenz nie jeździły ekspresy.

Joanna podniosła wzrok.

– Chyba miałaś rację, Maisie. Myślę, że to były doświadczenia graniczne.

– Wiem – odparła dziewczynka. – Domyśliłam się tego, kiedy przeczytałam o tym, jak ten mężczyzna zobaczył śnieg, bo to, co wszyscy podobno widzą, jest białe jak światło. Przeczytała pani fragment, w którym śnieg zmienia się w kwiaty?

– Nie. – Joanna wróciła do lektury. Widział swoją babcię, siedzącą przy ogniu, a potem siebie jako ptaka w klatce rzuconego w płomień, następnie raz jeszcze białe pola, lecz nie ze śniegu, tylko z kwiatów jabłoni, rozpościerających się przed nim na bezkresnych niebiańskich łąkach.

– I co pani na to? – niecierpliwiła się Maisie.

Szkoda, że to nie był jeden z moich pacjentów, pomyślała Joanna. Jego opis roił się od szczegółów i poza fragmentem o niebiańskich łąkach, nie zawierał żadnych standardowych wizji religijnych, tuneli i intensywnie białych światła. Joanna miała niewielkie szansę kiedykolwiek wysłuchać takiej relacji z doświadczeń granicznych.

– Był bardzo dzielny, skoro się tak długo trzymał, prawda? – dopytywała się Maisie. – Zwłaszcza że tak bardzo bolały go ręce i w ogóle.

– Tak – przytaknęła Joanna. – Mogę to zatrzymać?

– Właśnie dlatego poprosiłam siostrę Barbarę o wykonanie ksero, żeby mogła je pani wykorzystać do swoich badań.

– Dziękuję. – Joanna ponownie zgięła papier.

– Nie sądzę, żeby mi się to mogło udać – zamyśliła się Maisie. – Pewnie bym puściła.

Joanna na chwilę przestała wsuwać papier do kieszeni.

– Założę się, że byś wytrzymała.

Maisie z powagą wpatrywała się w nią przez jedną długą minutę.

– Pomogłam pani w badaniach? – spytała w końcu.

– Oczywiście. Możesz zawsze być moją asystentką naukową.

– Poszukam jeszcze innych opisów. Założę się, że mnóstwo ludzi uczestniczących w katastrofach miało takie wizje, choćby podczas trzęsień ziemi i w ogóle.

Pewnie, że tak, pomyślała Joanna.

– Idę o zakład, że ludzie na Górze Świętej Heleny naprawdę je mieli. – Maisie odrzuciła koc i zaczęła wychodzić z łóżka.

– Nie tak szybko – powstrzymała ją Joanna. – Jesteś podłączona do urządzeń. Możesz być moją asystentką tylko, jeżeli będziesz wykonywała polecenia pielęgniarek. Nie żartuję. Masz odpoczywać.

– Sięgałam tylko po moją książkę o trzęsieniach ziemi. Leży na parapecie. Mogę jednocześnie odpoczywać i czytać.

Nie wątpię, potwierdziła w duchu Joanna.

– Nie czytaj dłużej niż kwadrans, dobrze?

– Obiecuję. – Maisie otworzyła książkę. – Prześlę pani wiadomość na pager, jeśli znajdę coś ciekawego.

– Trzymaj się, dzieciaku. – Joanna ścisnęła ukrytą pod kocem nogę Maisie i skierowała się do wyjścia.

– Niech pani nie wychodzi! – zatrzymała ją Maisie, a Joanna się odwróciła. – Muszę pani pokazać zdjęcie fortepianu.

– No dobrze. Jedno zdjęcie, ale potem naprawdę muszę iść.

Trzy zdjęcia fortepianu i dymiącego wraku *Hindenburga* później wreszcie uwolniła się od Maisie i wróciła do gabinetu. Gdzieś po drodze opadła z resztek sił i poczuła się krańcowo wyczerpana.

Była zbyt zmęczona, aby podlać bluszcz lub wysłuchać wiadomości na sekretarce, chociaż lampka kontrolna migotała dwa razy dłużej, co oznaczało, że w pamięci urzędnika zabrakło miejsca. Odłożyła wyłączony pager na stół, wzięła płaszcz i rękawiczki, wyszła i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

– Dobrze, że jeszcze nie wyszłaś – ucieszyła się Vielle. Joanna się odwróciła. Vielle zmierzała do niej korytarzem, wciąż ubrana w ciemnoniebieski fartuch i czepek chirurgiczny.

– Co ty tutaj robisz? – zdumiała się Joanna. – Błagam, nie mów, że to kolejna śmierć kliniczna.

– Nic z tych rzeczy, na zachodzie bez zmian – odparła Vielle, zdejmując czepek i rozpuszczając wąskie, ciemne warkocze. – Przyszłam spytać, czy doktor Right cię znalazł i jakie filmy miałam pożyczyć na wieczór smakołyków w czwartek.

Na wieczór smakołyków zawsze wypożyczały filmy z wideoteki.

– Nie wiem – słabym głosem odparła Joanna. – Byleby nie o umieraniu.

– Tak myślałam. Nie mogłam porozmawiać z tobą później. Pracowaliśmy przy nim jeszcze przez dwadzieścia minut, ale to nie miało

sensu. Odszedł.

Odszedł, pomyślała Joanna. Nie tylko osoby po doświadczeniach granicznych mówiły o odchodzeniu i powrocie w odniesieniu do umierania. Podobny zwyczaj mieli lekarze i pielęgniarki. Pacjent zszedł. Odszedł. Pozostawił żonę i dwoje dzieci. Opuścił ten świat. Matka Joanny mówiła ludziom, że jej ojciec zszedł. Ksiądz na pogrzebie jej matki mówił o „bliskich, którzy odeszli” oraz „tych, którzy odeszli przed nami”. Dokąd odeszli?

– Źle się dzieje, kiedy odchodzą tak szybko, bez ostrzeżenia – odezwała się Vielle. – Zwłaszcza tak młodzi jak on. Chciałam się upewnić, że nic ci nie jest.

– Wszystko w porządku – oświadczyła Joanna. – Męczy mnie tylko jedno – jak myślisz, o co mu chodziło, gdy powiedział: „Za daleko dla niej”?

– Znajdował się dość daleko, kiedy przyjechała jego dziewczyna. Nie sądzę, aby zdawał sobie sprawę z tego, że już przy nim jest.

Nie, pomyślała Joanna, nie o to chodziło.

– Wciąż powtarzał „pięćdziesiąt osiem”. Czemu to mówił?

– Kto wie? – Vielle wzruszyła ramionami. – Może powtarzał słowa pielęgniarek. Jego ciśnienie krwi wynosiło osiemdziesiąt na pięćdziesiąt.

Miał ciśnienie siedemdziesiąt na pięćdziesiąt, przypomniała sobie Joanna.

– Czy numer komórki jego narzeczonej zawierał kombinację pięćdziesiąt osiem?

– Nie pamiętam. A właśnie, doktor Right cię znalazł? Jeśli nie, to chyba powinnaś przestać go unikać. Po drodze do ciebie spotkałam Louise Krepke i ona stwierdziła, że to neurolog, nieprawdopodobnie przystojny i samotny.

– Znalazł mnie. Chce, żebym współpracowała z nim w ramach projektu badawczego, dotyczącego doświadczeń granicznych.

– No i?

– No i nie wiem. – Joanna znowu poczuła zmęczenie.

– Nie jest przystojny? Louisa powiedziała, że to blondyn z niebieskimi oczyma.

– Jest przystojny. On...

– Błagam, nie mów tylko, że to jeden z tych świrów opętanych obsesją śmierci klinicznej.

– Nie, nie jest świrem. Uważa, że doświadczenia graniczne są skutkiem ubocznym uruchamiania się neurochemicznego mechanizmu przetrwania. Znalazł sposób na jego symulowanie. Chce, żebym współpracowała z nim i przeprowadzała wywiady z ochotnikami do badań.

– A ty się od razu zgodziłaś, prawda?

– Powiedziałam, że o tym pomyślę, ale sama nie wiem. – Joanna potrząsnęła głową.

– Nie chce przypadkiem przeprowadzać tych symulacji na tobie?

– Skąd. Mam tylko służyć za konsultantkę, przeprowadzać wywiady z pacjentami i informować go, czy ich doświadczenia zasadniczo odpowiadają wspomnieniom osób po śmierci klinicznej.

– Więc w czym problem?

– Po prostu jeszcze nie wiem... Mam spore zaległości we własnej pracy. Zebrało mi się kilkadziesiąt wywiadów, których nie mam czasu spisać. Jeśli się zaangażuję w te badania, kiedy znajdę czas na własnych pacjentów?

– Takich jak pani Davenport? Masz rację. Wspaniały facet, profesjonalny projekt badawczy, żadnych Maurice'ów Mandrake'ów i pań Davenport. Zapowiada się wyjątkowo kiepsko.

– No tak. Racja – westchnęła Joanna. – To brzmi bardzo obiecująco.

Mówiła szczerze. Miała możliwość przeprowadzenia wywiadów z osobami, których pan Mandrake nie zdążył jeszcze skazać rozmową zaraz po ich wyjściu ze śmierci klinicznej. Prawie nigdy jej się to nie udawało. Po reanimacji pacjent niemal zawsze okazywał się zbyt słaby na rozmowę, a im dłuższa przerwa między ocknięciem się a wywiadem, tym większa tendencja do konfabulacji. Poza tym ochotnicy byliby świadomi tego, że doświadczenia są halucynacją. Wywiady z nimi powinny się okazać znacznie wiarygodniejsze. Dlaczego więc nie mogła się od razu zdecydować?

Dlatego, że tak naprawdę w eksperymentach nie pojawią się prawdziwe wypadki śmierci klinicznej. Doktor Wright uważał doświadczenia graniczne za skutek uboczny, za – jak on to ujął? – „wskaźnik tego, które obszary mózgu są stymulowane i które przekaźniki nerwowe biorą udział w całym procesie”.

Po chwili uznała, że nie chodzi tylko o to. Oni coś widzą, czegoś doświadczają, i to czegoś ważnego. Niekiedy czuła, że zwracają się bezpośrednio do niej, usiłując poinformować ją o czymś, co się z nimi dzieje, opowiedzieć jej o umieraniu. Właśnie tak zachowywali się Greg Menotti i Carl Śpiączka, a jej obowiązkiem było rozszyfrowanie tego, co

usłyszała. Czy istniała jednak możliwość wytłumaczenia tego Vielle lub doktorowi Wrightowi tak, by nie wypaść na wariatkę pokroju Maurice'a Mandrake'a?

– Powiedziała mu, że pomyślę – stwierdziła powściągliwie. – Tymczasem, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Sprawdź kartę Grega Menottiego i zobacz, czy w numerze telefonu jego narzeczonej znajduje się liczba pięćdziesiąt osiem, albo też czy istnieje jakiś inny numer, o którym wspomniał na krótko przed śmiercią, może jego własny numer telefonu albo ubezpieczenia społecznego, wszystko jedno.

– Rejestry oddziału nagłych wypadków są... – zaczęła Vielle.

– Poufne, wiem. Nie chcę znać tego numeru, potrzebuję tylko informacji, czy istnieje jakiś powód, dla którego powtarzał „pięćdziesiąt osiem”.

– No dobrze, ale wątpię, czy coś znajdę. Pewnie starał się raczej powiedzieć: „To nie może być zawał serca, rano zrobiłem pięćdziesiąt osiem pompek”. – Vielle dotknęła ręki Joanny. – Myślę, że powinnaś zaangażować się w te badania. W najgorszym wypadku Wright przekona się, jaki świetny z ciebie psycholog, zakocha się w tobie do szaleństwa, pobierzecie się, będziecie mieli dziesięcioro dzieci i zdobędziecie Nagrodę Nobla. Wiesz co? Zdaje mi się, że się boisz.

– Boję? – powtórzyła Joanna.

– Moim zdaniem doktor Right ci się podoba, ale obawiasz się skorzystać z nadarzającej się okazji. Zawsze mi mówisz, żebym podejmowała ryzyko, i proszę bardzo, sama rezygnujesz z niesamowitej okazji.

– Wcale ci nie mówię, żebyś podejmowała ryzyko – zaprzeczyła Joanna.

– Próbuję przekonać cię, żebyś unikała ryzyka. Przez oddział nagłych wypadków przebiega linia frontu i jeśli nie chcesz się przenieść...

Rozległo się brzęczenie windy.

– Dzwonek mnie uratował – ucieszyła się Vielle i szybko schroniła się w kabinie. – Stoisz przed życiową szansą. Nie zmarnuj jej. Do zobaczenia w czwartek wieczorem. Żadnego umierania! I pamiętaj – zaśpiewała – masz przed sobą całe życie!

– I żadnych musicali – uzupełniła Joanna. – Ani głupkowatych romansów – dorzuciła, zanim zamknęły się drzwi. Po chwili nacisnęła przycisk „do góry” i pokręciła głową. Miłość, małżeństwo, dzieci. Nagroda Nobla.

I co potem? Przejazdki łódką po jeziorze? Świetlisty Anioł? Płacz i zgrzytanie zębów? A może zupełna pustka? Komórki mózgu zaczynają obumierać chwilę po śmierci. W ciągu czterech, sześciu minut zmiany stają się nieodwracalne, a ludzie przywrócenii do życia po tym czasie nie opowiadają o tunelach ani retrospekcjach życia. W ogóle nie rozmawiają. Nie potrafią jeść, nie reagują na światło, a na skanerze Richarda nie da się ustalić żadnej aktywności. Mózg obumiera.

Ale gdyby umierający zdawali sobie sprawę ze swojej śmierci, powinni mówić: „To już koniec!” albo „Odchodzę!” Dlaczego nie krzyczą, niczym czarownica w *Czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu*: „Topnieję! Topnieję!” Dlaczego mówią: „Tam jest pięknie”, „Już idę, mam!” albo: „Ona jest za daleko. Nigdy nie zjawi się tutaj na czas”? Dlaczego wykrzykują: „pięćdziesiąt osiem”?

Drzwi windy rozsunęły się na czwartym piętrze i Joanna skierowała się łącznikiem między skrzydłami do wind po drugiej stronie. Po Tamtej Stronie. Zastanawiała się, czy pan Mandrake wyobrażał sobie śmierć kliniczną jako coś w rodzaju korytarza. Nie ulegało wątpliwości, że postrzegał Tamtą Stronę jak idealną wersję tego świata, z aniołami, uściskami i optymizmem: wszystko będzie dobrze, wszystko zostanie wybaczone, nikt nie zostanie sam.

Bez względu na to, czym jest śmierć, pomyślała Joanna, zjeżdżając windą na parking, bez względu na to, czy jest drogą do nicości, czy też życiem po życiu, na pewno nie przypomina wyobrażeń pana Mandrake’a.

Popchnęła drzwi i wyszła na zewnątrz. Wciąż padało. Samochody na parkingu pokryła warstwa śniegu, a płatki dryfowały w powietrzu, lśniąc złościście i cicho opadając w świetle sodowych żarówek ulicznych latarni. Uniosła twarz i znieruchomiała, wpatrując się w śnieg.

A co z doktorem Wrightem? Może umieranie przebiegało tak, jak on uważał: stymulacja płata skroniowego i przypadkowe uaktywnienie synaps na chwilę przed ich obumarciem?

Odwróciła się i spojrzała na wschodnie skrzydło, gdzie Carl Śpiączka pływał łódką po jeziorze. Odrzucę propozycję doktora Wrighta, postanowiła i poszła do samochodu.

Powinna była włożyć odpowiednie obuwie na taką pogodę. Poślizgnęła się na śliskim śniegu i zmrożone błoto momentalnie dostało się do jej pantofli i zmoczyło stopy. Samochód zniknął pod warstwą śniegu. Ręką odgarnęła biały puch z bocznej szyby, mając nadzieję, że pod spodem

nie zbrzylił się lód. Niestety. Otworzyła drzwi, wrzuciła torbę na tylne siedzenie i przystąpiła do poszukiwań skrobaczki.

– Pani Joanna? – Za plecami usłyszała kobiecy głos.

Wygramoliła się z samochodu i odwróciła. Okazało się, że to Barbara z pediatrii.

– Mam wiadomość od Maisie Nellis. Prosiła, żeby pani powiedzieć, że wróciła do szpitala i ma pani coś ważnego do powiedzenia.

– Wiem – potwierdziła Joanna. – Już u niej byłam. Jak rozumiem, świetnie się miewa.

– Kto pani to powiedział?

– Jej matka. Oznajmiła, że Maisie przyjechała tylko na badania, a nowy lek znoszący arytmie okazał się rewelacyjny. To nieprawda?

Barbara pokręciła głową.

– Ona faktycznie przyjechała na badania, ale tylko dlatego, że doktor Murrow uważa, że w jej organizmie zaszły o wiele głębsze zmiany, niż to widać na podstawie badań serca. Zastanawia się nad podjęciem decyzji o umieszczeniu Maisie na liście osób oczekujących na przeszczep.

– Czy jej matka o tym wie?

– To zależy, co przez to rozumieć. Słyszała pani, że ona nie dopuszcza do siebie żadnych negatywnych myśli. Matka Maisie to Kleopatra, królowa zaprzeczania. I pozytywnego myślenia. Jej zdaniem wystarczy, aby Maisie odpoczywała i nie zwracała sobie głowy przygnębiającymi przemyśleniami, a w krótkim czasie odzyska pełnię zdrowia. Jak się pani udało uzyskać od niej pozwolenie na przeprowadzenie z Maisie wywiadu na temat jej doświadczeń granicznych? Ona nie pozwala nam nawet używać określenia „choroba serca”, nie mówiąc już o słowie „śmierć”.

– Nie udało mi się. Pozwolenie podpisał jej były mąż. Przeszczep serca? Czy Maisie ma duże szanse na przeżycie?

– Transplantacji? Całkiem spore. Operacje przeprowadzane przez nasz szpital w siedemdziesięciu pięciu procentach kończą się powodzeniem, a odsetek przyjętych przeszczepów wciąż się zwiększa. Gorzej z utrzymaniem Maisie przy życiu do czasu znalezienia dziewięcioletniego dawcy. Zwłaszcza że nie udało się znaleźć sposobu na opanowanie migotania przedsionków. Już raz ją reanimowano, ale o tym pani wie.

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

– Tak czy owak, chciałam tylko, aby pani wiedziała, że Maisie wróciła. Ona uwielbia pani wizyty. Boże, ale się ochłodziło! Chyba odmroziłam sobie stopy – stęknęła i oddaliła się w stronę swojej hondy.

Joanna odnalazła skrobaczkę i przystąpiła do oczyszczania przedniej szyby. Na serce często czekało się ponad rok, nawet jeśli chory znajdował się na początku listy, a w tym czasie stan uszkodzonego serca pogarszał się coraz bardziej, co powodowało uszkodzenia płuc i nerek, redukując szansę przeżycia.

Na dodatek w grę nie wchodziła osoba dorosła. Czas oczekiwania na dziecięce serce wydłużał się jeszcze bardziej, chyba że pacjent miał szczęście. O szczęściu chorego można było mówić w wypadku utonięcia dziecka w basenie lub śmierci w wyniku kolizji drogowej, ewentualnie zamarznięcia podczas burzy śnieżnej. Nawet wówczas serce dawcy musiało być nienaruszone. I zdrowe. I odpowiednie. No i biorca musiał wciąż żyć w chwili dotarcia organu do przeszczepu. Oczywiście kolejne migotanie komór i śmierć były nieodwracalne.

– Jeśli uda mi się opisać, jak przebiega proces umierania – mówił Richard – uzyskam wiedzę nadającą się do zastosowania podczas reanimacji pacjentów.

Joanna podreptała do tylnej szyby i przystąpiła do oskrobywania szkła. Tak jak starsza pani, którą dojrzała z okna w pokoju Carla Śpiączki. Pogoda na ataki serca, stwierdziła Vielle. Pogoda na umieranie. Pogoda na tragedie.

Wróciła do szpitala i spytała wolontariusza przy wejściu, czy może pożyczyć telefon. Poprosiła o wewnętrzny numer doktora Wrighta.

Nie zastała go.

– Proszę zostawić wiadomość po długim sygnale – zaproponowała automatyczna sekretarka i rozległ się pisk.

– Dobrze – Joanna oświadczyła automatowi. – Zgadzam się. Będę z panem współpracować przy realizacji projektu badawczego.

Rozdział 5

„CQD CQD SOS SOS CQD SOS.

Przybywajcie natychmiast. Zderzyliśmy się z górą lodową.

CQD OM. Położenie: 41°40' N, 50°14' W. CQD SOS”.

Wiadomość telegraficzna
wysłana z *Titanica* do *Carpathii*

Następnego ranka gdy Richard znalazł się w pracy, odsłuchiwał wiadomości na sekretarce, aby sprawdzić, czy Joanna się odezwała.

– Masz, dwanaście wiadomości – upomniała go sekretarka. Tak się kończyło całodniowe uganianie się za kimś po szpitalu.

Zabrał się do odsłuchiwania komunikatów, przełączając na następny, gdy tylko padło nazwisko dzwoniącego. Pani Bendix, pani Brightman. „Chciałam tylko powitać pana w Szpitalu Miłosierdzia”, stwierdziła starczym, drżącym głosem, „i poinformować, jak bardzo się cieszę z tego, że zajmuje się pan badaniami nad śmiercią kliniczną, a raczej życiem klinicznym, jestem bowiem przekonana, że pańskie eksperymenty przekonają pana, że pacjenci wówczas żyją, a po Tamtej Stronie napotkamy swoich bliskich. Czy wie pan, że w naszym szpitalu jest również Maurice Mandrake? Zakładam, że czytał pan *Światło na końcu tunelu*”.

– Ależ oczywiście – odezwał się Richard do maszyny.

„Jego obecność to dla nas prawdziwe szczęście”. Wiadomość od pani Brightman się przedłużała. „Nie wątpię, że będą panowie mieli sobie sporo do powiedzenia”.

– Tylko jeśli w pobliżu nie znajdę żadnej klatki schodowej – uzupełnił Richard i wcisnął przycisk „następna wiadomość”. Pani Edelman z Narodowego Stowarzyszenia Paranormalnych Doświadczeń, pan Wojakowski. „Upewniam się co do jutrzejszego dnia”, wyjaśnił pan Wojakowski. „Próbowałam skontaktować się z panem wcześniej, ale mi się nie udało. Pamiętam telefony zainstalowane na *Yorktown*, którymi

przesyłaliśmy wiadomości na mostek. Trzeba je było nakręcić czymś w rodzaju korbey i...”

Kiedy pan Wojakowski zaczynał mówić o *Yorktown*, nic nie było mu w stanie przeszkodzić. Następna wiadomość. Biuro stypendialne z informacją, że nie przedłożył jakiegoś dokumentu. „Wright?”, rozległ się męski głos. Peter Davis, jego kolega z pokoju, kiedy byli stażystami. Nigdy nie raczył się przedstawiać. „Pewnie słyszałeś. Nie mogę uwierzyć w to, co się zdarzyło z tym Foxem, a ty? To chyba nie jest jakiś wirus, co? Jeśli tak, to lepiej się zaszczep. Albo przynajmniej zadzwoń do mnie z ostrzeżeniem, zanim to dotrze do Starra. Oddzwoń”.

Zastanawiał się, o co chodzi. Jedyńy Fox, którego znał, to R. John Foxx, neuropsycholog, który prowadził badania związane z anoksją jako przyczyną doświadczeń granicznych. Richard znowu nacisnął przycisk.

Ktoś z Międzynarodowego Stowarzyszenia Paranormalnego. Znowu pan Wojakowski. „Witam pana doktora. Jakoś nie doczekałem się telefonu, więc znowu dzwonię. Chciałem się upewnić, że chodzi o godzinę drugą jutro. Albo też czternaście dzwonek, jak mawialiśmy na *Yorktown*”.

Amelia Tanaka: „Mogę się kilka minut spóźnić, panie doktorze. Mam egzamin z anatomii, który ostatnio trwał całe dwie godziny. Przyjadę jak najszybciej”. Pan Suarez, proszący o przełożenie sesji na jutro. Ponownie Davis, jeszcze trudniejszy do poznania niż przedtem: „Zapomniałem powiedzieć gdzie. Siedemnasta. Pod duchem”. Nierozpoznawalne mruczenie, nie przypominające melodii. Pomoc domowa.

„Doktor Wright?”, spytał głos Joanny. Pochylił się czujnie nad urządzeniem. „Mówi Joanna Lander. Ja...” „Brak miejsca na dalsze nagrania”, obwieściła sekretarka.

– No nie – wykrzyknął Richard. Cholerny Davis. Cholerny pan Wojakowski, ze swoimi nie kończącymi się wspomnieniami z *Yorktown*. Jedyna wiadomość, której naprawdę chciał wysłuchać.

Stuknął palcem przycisk „powtórz” i jeszcze raz odsłuchał wiadomość. „Doktor Wright? Mówi Joanna Lander. Ja...” Czy ta sylaba na końcu oznaczała początek słowa „Jak”, wprowadzającego zdanie: „Jak najbardziej chciałabym nawiązać współpracę z panem”, czy też „Jakkolwiek” i zdanie: „Jakkolwiek chętnie rozpocząłabym współpracę z panem, obecnie nie jest to możliwe”?

Jeszcze raz odsłuchał nagranie. „Je”, uznał. Jak w zdaniu: „Jeszcze nie jestem na to gotowa”. Albo: „Jedyna możliwość realnego prowadzenia

moich badań to nawiązanie współpracy z panem”. Nie potrafił stwierdzić, o co chodziło Joannie. Musiał poczekać do dziesiątej i sprawdzić, czy przyjdzie. Albo postarać się ją namierzyć.

Albo lepiej nie, zważywszy na rozmiary szpitala. Tylko tego brakowało, żeby czekała pod drzwiami jego laboratorium, podczas gdy on próbowałby wydostać się z zachodniego skrzydła. Podniósł słuchawkę i przekazał wiadomość na pager, tak na wszelki wypadek, gdyby go nie wyłączyła. Potem jeszcze raz wcisnął klawisz „powtórz”. W jej tonie na pewno było coś, co mogłoby stanowić wskazówkę dotyczącą...

– Wszystkie wiadomości zostały skasowane – oznajmiło urządzenie. Nie! Rzucił się do maszyny i wcisnął przycisk „odtwórz”.

– Brak nowych wiadomości.

Richard chwycił bloczek z receptami.

– Wojakowski – nabazgrał pośpiesznie. – Cartwright Chemical, Davis...

– Kto jeszcze?, myślał intensywnie, usiłując odtworzyć w umyśle wszystkie komunikaty. Pani Brightman, a potem ktoś z Northwestern. Geneva Carlson? Zadzwoił telefon. Richard porwał słuchawkę w nadziei, że usłyszy głos Joanny.

– Słucham?

– No i jak, widziałeś? – spytał Davis.

– Widziałem co?

– Starra!

– Jakiego Starra? Nikogo takiego nie znam. Dzwonisz i zostawiasz kompletnie niezrozumiałe wiadomości...

– Niezrozumiałe? – W głosie Davisa zadźwięczała uraza. Wyrażałem się zupełnie jasno. Powiedziałem nawet, na której stronie zamieszczono artykuł.

Nie chodziło o tajemniczego Starra, tylko o gazetę, brukowiec. „Star”.

– Co to za artykuł?

– Na temat Foxxa! Oszalał i ogłosił, że istnieje życie po śmierci. Zaczekaj, mam to tutaj, przeczytam ci... – Rozległ się trzask słuchawki rzuconej na stół i szelest papieru. – Doktor R. John Foxx, szanowany naukowiec, specjalizujący się w badaniach dotyczących śmierci klinicznej, stwierdził: „Kiedy rozpocząłem prace związane z doświadczeniami granicznymi, byłem przekonany, że mam do czynienia z halucynacjami wywołanymi niedoborem tlenu, lecz po wyczerpujących badaniach doszedłem do wniosku, że chodzi o pierwsze zetknięcie człowieka z życiem

po śmierci. Niebo to rzeczywistość. Bóg istnieje naprawdę. Rozmawiałem z Nim”.

– Dobry Boże – wymamrotał Richard.

– Foxx rezygnuje z pracy medycznej i otwiera Instytut Wiecznego Życia – zakończył Davis. – Moje pytanie brzmi: Czy coś takiego dotyka wszystkich, którzy prowadzą badania nad śmiercią kliniczną? Rozumiesz, najpierw Seagal twierdzi, że zlokalizował duszę w płacie skroniowym i ma zdjęcia uwieczniające fakt opuszczania przez nią ciała, a teraz ta sprawa z Foxxem.

– Seagal nigdy nie miał równo pod sufitem – oświadczył Richard.

– W przeciwieństwie do Foxxa. Może istnieje jakiś wirus, atakujący wszystkich, którzy zajmują się badaniami nad śmiercią kliniczną? Zainfekowani dostają świra. Skąd mogę mieć pewność, że któregoś dnia nie ogłosisz niespodziewanie, że na monitorze skanera zobaczyłeś wizerunek Matki Boskiej?

– Zaufaj mi, to niemożliwe.

– Dobra, ale jeśli tak się stanie, najpierw zadzwoń do mnie, a potem do brukowców. Zawsze chciałem być tym przyjacielem, z którym przeprowadzają wywiady i publikują jego słowa: „Nie, w jego zachowaniu nigdy nie zauważyłem niczego niezwykłego. Zawsze był cichy, uprzejmy, nieco samotny”. A właśnie, jakieś panienki na horyzoncie?

– Nie – odparł Richard, myśląc o Joannie. Rzucił okiem na zegar. Minęła dziesiąta. Bez względu na to, co Joanna chciała powiedzieć w swojej wiadomości na „Ja”, nie była to zgoda. Prawdopodobnie przeczytała artykuł ze „Stara” i uznała, że uczestnictwo w badaniach doświadczeń granicznych jest obciążone zbyt wielkim ryzykiem. Szkoda. Naprawdę nastawił się na współpracę. Przyszło mu do głowy, że powinien być zaproponować jej coś konkretniejszego niż baton regeneracyjny.

– Żadnych fajnych pielęgniarerek? – dopytywał się Davis. – To dlatego, że masz niewłaściwą specjalizację. Do mnie się pchają drzwiami i oknami. – Znajac Davisa, można było założyć, że nie kłamie. – Oczywiście, istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie.

– Tego, że kobiety pchają się drzwiami i oknami?

– Nie. Tego, że wszyscy kojarzeni z badaniami nad śmiercią kliniczną nagle odnajdują prawdziwą wiarę. Może to wszystko prawda, o tym tunelu, niebie i duszy, a tamten świat faktycznie istnieje. – Znowu zaczął mruzczyć te same dziwaczne, niemelodyjne dźwięki, które nagrał na sekretarce.

– Co to za nieziemskie odgłosy z siebie wydajesz? Muzykę ze *Strefy mroku*?

– To motyw przewodni *Z Archiwum X* – obruszył się Davis. – Rozumiesz, istnieje taka możliwość. Osoby po doświadczeniach granicznych mówią prawdę, i kiedy umieramy, otaczają nas ludzie z najlepszych chwil naszego życia. Wobec tego, zostają tutaj.

– Ja też – roześmiał się Richard.

– Poza tym miło by było, gdybyś zadzwonił i mnie ostrzegł, abym od razu przystąpił do badań nad nieśmiertelnością.

– Możesz na mnie liczyć – obiecał Richard. Rozległo się pukanie do drzwi. Richard z nadzieją podniósł głowę. – Muszę kończyć. – Odłożył słuchawkę i popędził przez laboratorium, aby otworzyć drzwi.

– Doktor Wright – ucieszył się pan Mandrake i wkroczył do pomieszczenia. – Miałem nadzieję, że pana zastanę. Wczoraj nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Richard z trudem powstrzymał się od ucieczki.

– Obawiam się, że to nie najlepszy moment...

Pan Mandrake podszedł do skanera RIPT.

– Liczy pan na to, że z pomocą tego urządzenia uda się panu zarejestrować doświadczenia graniczne? – Zajrzał pod łukowatą kopułkę. – Nic panu z tego nie wyjdzie. Widzi pan, śmierci klinicznej nie da się sfotografować.

Tak samo jak duchów?, pomyślał Richard. Albo UFO?

– Spora grupa badaczy usiłowała już znaleźć fizyczne przyczyny wyjaśniające doświadczenia graniczne. Nagromadzenie dwutlenku węgla, endorfiny, przypadkowa aktywność synaps... – Z politowaniem poklepał urządzenie i podszedł do EEG. – Nauka nie potrafi wytłumaczyć wielu zjawisk związanych ze śmiercią kliniczną.

Niech pan poda choćby jedno, pomyślał Richard.

– Jak pan wyjaśniłby fakt, że każda osoba, która ma wspomnienia z Tamtej Strony, twierdzi, że to nie sen, tylko rzeczywistość?

Subiektywne odczucia niczego nie dowodzą, skomentował w myślach Richard.

– Jak to możliwe, że wytwarzające się podczas śmierci klinicznej endorfiny i dwutlenek węgla dostarczają pacjentom jakichkolwiek informacji? Naukowcy zgodnie przyznają, że tej wiedzy nie można uzyskać standardowymi metodami.

Jacy naukowcy?, pomyślał Richard. Doktor Foxx? Doktor Seagal?

– Moi badani niejednokrotnie twierdzili, że po Tamtej Stronie widzieli krewnych, o których śmierci nie wiedzieli. Pacjenci podkreślali swoje zdumienie z powodu spotkania. Po powrocie telefonowali do bliskich i dowiadywali się, że spotkany krewny niedawno zmarł. W żadnym z tych wypadków nie istniała możliwość, aby pacjent wcześniej wiedział o śmierci krewnego.

– Czy ma pan listę ich nazwisk?

– Ujawnianie nazwisk moich rozmówców wskazywałoby na daleko idący brak profesjonalizmu. – Pan Mandrake spojrział na Richarda z dezaprobatą. – Istnieją jednak liczne udokumentowane wypadki wystąpienia tego zjawiska.

– Doprawdy? W których periodykach?

– Sfery związane z nauką są, niestety, wyjątkowo ograniczone, jeśli chodzi o publikowanie wyników badań związanych ze śmiercią kliniczną – odparł sztywno pan Mandrake. – Z wyjątkiem kilku odważnych pionierów, takich jak doktor Seagal oraz doktor Lander, naukowcy nie dostrzegają szerszych perspektyw tego problemu.

Na wzmiankę o Joannie Richard ponownie zerknął na zegarek. W pół do jedenastej.

– „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horacjo,/ Niż się ich śniło waszej filozofii”^{3}. – zacytował pan Mandrake. – Niejednokrotnie się zdarzało, że osoby po śmierci klinicznej wykazywały paranormalne zdolności. Jeden z moich pacjentów...

– To naprawdę niedobry moment – przerwał Richard. – Muszę zadzwonić, więc jeśli zechce mi pan wybaczyć... – Podniósł słuchawkę.

– Oczywiście – odparł pan Mandrake. – Powinienem się spotkać z panią Davenport. Chętnie podyskutuję z panem na temat pańskich odkryć.

Wyszedł. Richard już miał odłożyć słuchawkę, lecz nagle ponownie przycisnął ją do ucha i wystukał numer Amelii Tanaki, w drzwiach bowiem ponownie stanął pan Mandrake.

– Chciałem tylko wręczyć panu egzemplarz *Światła na końcu tunelu* – stwierdził, sięgając po długopis Richarda. – Nie, nie, proszę dzwonić. – Machnął ręką. – Wright się pisze przez W, prawda?

– Tak jest – potwierdził Richard, wstukując pozostałe cyfry. Telefon zaczął dzwonić. Mandrake nabazgrał coś na tytułowej stronie.

– Pani Tanaka? – Richard zwrócił się do telefonu. – Mówi doktor Wright.

Pan Mandrake zamknął książkę i wręczył ją Richardowi.

– Myślę, że się panu przyda – oznajmił i skierował się ku drzwiom.

– Dzwonię w odpowiedzi na pani telefon – zwrócił się Richard do sygnału w słuchawce. – Tak. Godzina jedenasta. – I mam nadzieję, że zdasz swój egzamin z anatomii, pomyślał. – Oczywiście. Nie, nie widzę przeszkód.

Pan Mandrake wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Richard odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Joanna zrezygnowała ze spotkania.

Otworzył książkę, aby sprawdzić, co w niej napisał Mandrake. „Do pomocy w pańskiej podróży do śmierci i dalej”. Czy to miała być groźba?

Ktoś zapukał do drzwi. Na pewno Mandrake, aby mu podać kolejną przyczynę, dla której nagromadzenie dwutlenku węgla nie może wywołać doświadczeń granicznych. Ponownie porwał słuchawkę i krzyknął:

– Proszę!

Joanna otworzyła drzwi.

– Przepraszam za spóźnienie... Och, rozmawiasz przez telefon.

– Wcale nie – zaprzeczył i odłożył słuchawkę. – Wejdz, wejdz.

– Bardzo mi przykro, że się spóźniłam. Odsłuchałeś moją wiadomość?

– Nie.

– No trudno, nagrałam się na twoją sekretarkę, ale i tak zamierzałam zjawić się tutaj o dziesiątej, żeby z tobą porozmawiać.

Nic z tego nie będzie, pomyślał Richard. Przyszła powiedzieć, że nie jest zainteresowana.

– Musiałam porozmawiać z Maisie i wydostanie się z jej pokoju okazało się trudniejsze, niż myślałam. – Pokręciła głową z uśmiechem. – Jak zwykle.

– Wciąż mówi o *Hindenburgu*? – spytał. Odwlekał nieuniknione, ale dopóki rozmawiali, miał szansę przekonać ją do zmiany zdania.

Skinęła głową.

– Wiedziałeś, że kilkoro dzieci, które przyszły na lotnisko powitać rodziców, widziało, jak giną w płomieniach?

– Nie miałem pojęcia. Ona naprawdę wyszukuje najbardziej drastyczne historie, prawda? Właśnie dlatego chciała się z tobą zobaczyć?

– Nie. Znalazła dla mnie opis doświadczeń granicznych, powiązany z katastrofą *Hindenburga* i musiałam spytać ją o coś w związku z tą sprawą. Chciałam wiedzieć, czy relacja pochodziła z drugiej ręki, a także czy spisano ją zaraz po wypadku, czy też nieco później.

– Maisie ci to wyjaśniła?

– Niestety, nie. W jej książkach nie ma ani słowa na temat okoliczności ani nazwisk członków załogi, ale obiecała, że postara się coś znaleźć.

– Co z tym członkiem załogi, który miał doświadczenia graniczne? Stracił przytomność podczas wypadku i trzeba go było reanimować?

– Niezupełnie, miał wizję – wytłumaczyła Joanna. – Objawiła mu się, kiedy zwiisał na metalowej konstrukcji na górze płonącego zeppelin.

– Widział tunel i anioły?

– Nic, wieloryba i klatkę dla ptaków. Nie dostrzegł niczego, co zazwyczaj dostrzegają ludzie, i właśnie dlatego jego przeżycia są ciekawe. Wypadek zdarzył się przed Moodym i spółką, kiedy nie istniało jeszcze powszechne wyobrażenie o takich zdarzeniach. Mimo to w jego opowieści pojawiają się oczywiste związki z typowymi doświadczeniami granicznymi. Słyszał dźwięki – zgrzyt rozdzieranego metalu – i widział swoją babcię, a także oślepiająco białe światło, które uznał za śnieżne pola. Poza tym wspomniał o obrazach zbliżonych do retrospekcji życia. Opowieść tego człowieka mogłaby się naprawdę przydać, ale nie chcę się zbyt angażować, dopóki nie sprawdzę, w jaki sposób i kiedy wspomniał o swoich doświadczeniach. To wszystko może się okazać konfabulacją, zwłaszcza jeśli opowieść ujrzała światło dzienne kilka tygodni lub miesięcy po wypadku. Wracając do tematu – poprawiła okulary – wydostanie się od Maisie zajęło nieco czasu, a potem, kiedy już tutaj szłam, zauważyłam, że pan Mandrake kieruje się do twojego laboratorium.

I dałaś nura do najbliższej klatki schodowej, uzupełnił w myślach Richard.

– Czego chciał? – zainteresowała się Joanna. – Usiłował wydobyć z ciebie coś na temat badań?

– Nie. Skoncentrował się na tłumaczeniu, dlaczego mój projekt nie ma szans powodzenia.

– Które przemówienie wybrał? „Sama nauka nie może wyjaśnić doświadczeń z życia po życiu”, czy też: „Skoro to wygląda realistycznie, zatem jest realne”, a może: „Są rzeczy na niebie i ziemi”?

– Wszystko po trochu. Oświadczył, że istnieją udokumentowane przypadki ludzi, którzy podczas doświadczeń granicznych uzyskali informacje niemożliwe do uzyskania w innych okolicznościach.

– Jedną z osób czekających na tych wszystkich ludzi jest ciotka Ethel. Kiedy dochodzą do siebie, dzwonią do Minnesoty i przekonują się, że ciotka Ethel właśnie zginęła w wypadku samochodowym.

– Więc istnieją takie wypadki?

Joanna potrząsnęła głową.

– Te wszystkie historie są powtarzane od czasu pojawienia się wiktoriańskiego spirytualizmu, ale nie oznacza to, że ktoś je udokumentował. Albo pochodzą z trzeciej ręki – ktoś znał kogoś, kto powiedział mu, że ciotce Ethel przytrafił się wypadek – albo całą historię spisano już po tym, jak z Minnesoty przyszła wiadomość o śmierci. Poza tym nazwiska tych osób są zawsze utajnione „ze względu na prawo do prywatności pacjentów”. W rezultacie nie ma możliwości sprawdzenia opowieści. Poza tym nikt nigdy nie wspomina o ujrzeniu po Tamtej Stronie kogoś, kto później nie okazałby się martwy. Czy pan Mandrake wspomniał nazwisko W.T. Stead?

– Nie. Kto to?

– Słynny spirytualista i medium. Jak się okazało, nie miał szczególnych zdolności jasnowidzenia, bo wykupił bilet na *Titanica*. Wszyscy inni jasnowidze i media twierdzili później, że mieli wizje i przewidzieli jego śmierć, ale żaden z nich nie raczył tego obwieścić przed pojawieniem się w prasie informacji o katastrofie oraz listy zaginionych z nazwiskiem Steada. Ostatnia osoba, która rozmawiała ze Steadem, stwierdziła, że kiedy poinformowano go o zderzeniu z górą lodową, oznajmił: „Myślę, że to drobiazg”. – Joanna zmarszczyła brwi. – Pan Mandrake nie wypytywał cię o szczegóły badań?

– Zerknął na skaner RIPT oraz EKG, ale nie zadawał żadnych pytań. Dlaczego? Powinien był?

Joanna cały czas była zachmurzona.

– Ten człowiek przez pół dnia tylko węszy, aby dowiedzieć się, kim są moi pacjenci, i dotrzeć do nich przede mną. Naprawdę o nic cię nie pytał?

– Nie. Kiedy wszedł, oznajmił, że chce porozmawiać o badaniach, ale potem zajął się tym, dlaczego naukowe wyjaśnienia nie są adekwatne w wypadku doświadczeń granicznych, i wreszcie skoncentrował się na

ograniczonym środowisku naukowym. Do którego nie zaliczył odważnych pionierów, takich jak ty i doktor Seagal.

– Nie poinformowałeś go, że będziemy współpracować?

– Nie – odparł, usiłując nie okazać nagłego zachwytu. – A będziemy?

– Tak. Nie dostałeś mojej wiadomości?

– Niezupełnie, moja automatyczna sekretarka...

– Powiedziałam tylko, że tak, chciałabym wziąć udział w twoich badaniach. Chyba stwierdziłam: „Jak najbardziej, wchodzę w to” czy coś równie enigmatycznego. Wiadomość zostawiłam wczoraj wieczorem.

A zatem nie: „Jeszcze nie” tylko: „Jak najbardziej”.

– Świetnie. – Uśmiechnął się szeroko. – Ogromnie się cieszę. Będzie nam się wspaniale pracowało.

– Chciałabym nadal przeprowadzać wywiady z pacjentami, którzy trafiają do szpitala, chyba że uważasz to za zły pomysł.

– Skąd, im więcej zbierzemy informacji na temat doświadczeń granicznych, tym lepiej będziemy je mogli porównać z wiadomościami uzyskanymi w laboratorium. Planuję tylko jedną lub dwie sesje dziennie, ponieważ analizowanie zdjęć jest dość czasochłonne. Jestem pewien, że to nie wpłynie niekorzystnie na twój rozkład dnia.

– Na pewno nie.

– Świetnie. Jeszcze dzisiaj porozmawiam z biurem stypendialnym na temat oficjalnego włączenia cię do badań.

– Dobrze – skinęła głową. – Nie mów tylko panu Mandrake’owi. Im dłużej utrzymamy sprawę w tajemnicy przed nim, tym mniej czasu zmarnuję na opędzanie się od niego. A zatem – uśmiechnęła się – zapoznasz mnie ze szczegółami?

– Mam lepszy pomysł. Jedna z moich pacjentek pojawi się za... – Rzucił okiem na zegarek. Kwadrans po jedenastej. – Za chwilę. Skoro mamy czas... – Zaprowadził ją do pulpitu. – To jest pulpit sterowniczy skanera. Obrazy pojawiają się tutaj. – Wskazał na monitory nad pulpitem. – To jest normalnie funkcjonujący mózg. – Zaczął wystukiwać na klawiaturze polecenia i ekran rozjaśnił się plamami w kolorach pomarańczowym, żółtym i niebieskim. Richard wcisnął jeszcze kilka klawiszy. – A to jest mózg śpiącego pacjenta w fazie REM. Zwróć uwagę, że kora przedczołowa – to obszar pobudzania myśli i oceny rzeczywistości – a także obszary czuciowe niemalże nie wykazują żadnej aktywności. A to – znowu coś

napisał – jest mózg podczas doświadczeń granicznych, a przynajmniej mam nadzieję, że to doświadczenia graniczne.

Joanna poprawiła okulary i zapatrzyła się w ekran.

– Wygląda podobnie jak mózg w stanie uśpienia.

– Owszem, ale nie widać żadnej aktywności w korze przedczołowej, natomiast w przednim płacie przysadki, o tutaj, aktywność się nasiliła. – Wskazał czerwone plamy. – Podobnie zresztą jak w hipokampie i migdałku mózdkowym.

– A to są synapsy pamięci długotrwałej? – spytała, wskazując na rozrzucone czerwone i pomarańczowe punkty w korze czołowej.

– Tak. – Wyczyścił ekrany i wyświetlił zdjęcie pana O'Reirdona. – To jest obraz wzornikowy – wyjaśnił, stukając w klawisze. – A to skan z pierwszej sesji pana Wojakowskiego. – Nałożył obydwa obrazy na siebie na trzecim ekranie. – Jak widzisz, rozkład aktywności jest podobny, z wyjątkiem kory czołowej, chociaż nieidentyczny. Między innymi dlatego potrzebna mi twoja pomoc przy dalszych badaniach.

Podszedł do skanera i położył dłoń na łukowatej kopułce.

– To jest skaner RIPT. Pacjent kładzie się tutaj – wskazał na stół do badań – pod urządzeniem, które następnie przesuwają nad jego głowę. Znacznik, a później krótkotrwały środek uspokajający i dithetamina są wprowadzane przez kroplówkę. Próbkę krwi trzeba pobrać przed eksperymentem, w jego trakcie i po zakończeniu. Zajmuje się tym pielęgniarka, chociaż nie zatrudniam jej na stałe.

Joanna z zamyśleniem wpatrywała się w łukowaty otwór.

– Masz problem? – zainteresował się Richard.

– To wygląda jak tunel. Czy istnieje jakiś sposób, aby przykryć tę kopułkę, zastawić ją czymś do czasu, kiedy pacjent się położy? Chciałś wyeliminować wszelkie możliwe fizyczne czynniki mogące tłumaczyć wizję.

– Jasne. To się da zrobić.

Joanna spojrzała na sufit.

– Czy podczas badania potrzebne ci górne światło?

– Nie, ale badani i tak mają zasłonięte oczy.

– Czym?

– Czarną maską do spania – wyjaśnił. Wydobył jedną z szafki, aby jej zademonstrować. – Poza tym mają słuchawki, przez które słuchają białego szumu.

– To dobrze. Ale i tak uważam, że powinniśmy przyciemnić światło, zgodnie z wyjaśnieniem Garlanda, widoczne podczas doświadczeń granicznych białe światło jest emitowane przez lampy nad stołem operacyjnym, a jego oślepiająca jasność wynika z rozszerzenia źrenic.

Richard z zachwytem wpatrywał się w Joannę.

– Właśnie dlatego chciałem, żebyś ze mną współpracowała. Przyniosę trochę czarnego papieru do zasłonięcia lampy. Stworzymy rewelacyjny zespół.

Joanna odwzajemniła uśmiech, a następnie podeszła przyjrzeć się szarym metalicznym szafkom i wysokiej drewnianej szafie z oszklonymi drzwiczkami, za którymi przechowywano lekarstwa. Mebel był pozostałością z poprzedniej epoki w historii szpitala. Joanna położyła ręce na biodrach.

– Czy chcesz coś jeszcze zmienić? – spytał Richard.

– Nie – odparła. – Poza jednym. – Sięgnęła do kieszeni swetra i wyciągnęła przedmiot luźno owinięty gazetą. – Oto nasza tenisówka.

– Tenisówka? – Richard zapatrzył się na przedmiot, zbyt mały, aby uznać go za but, chyba że dziecięcy.

– Pan Mandrake nie mówił ci jeszcze o bucie? To zdumiewające. Wszystkim opowiada, że but to naukowy dowód prawdziwości doświadczeń granicznych. Twierdzi, że ten dowód jest wiarygodniejszy niż ciotka Ethel.

Wepchnęła przedmiot z powrotem do kieszeni i podeszła do biurka.

– Pewna kobieta o imieniu Maria miała doświadczenia graniczne podczas operacji. – Joanna wysunęła krzesło. – Potem opowiadała o tym, jak unosiła się nad swoim ciałem leżącym na stole do badań i ze szczegółami opisała wszystkie przeprowadzane na niej zabiegi.

– Wielu pacjentów to robiło. – Richard wzruszył ramionami. – Opisywali intubację i elektrody. Ale przecież mogli zdobyć informacje podczas wcześniejszych wizyt w szpitalu.

– Albo oglądając choćby jeden odcinek *Ostrego dyżuru* – uzupełniła Joanna. – Maria opisała jeszcze coś, co ma stanowić „naukowy dowód”, na który zawsze się powołuje pan Mandrake. – Popchnęła krzesło w stronę szarej szafki. – Maria powiedziała, że kiedy unosiła się pod sufitem, dostrzegła but leżący na parapecie za oknem, czerwoną tenisówkę. – Wspięła się na krzesło, spojrzała na szafkę, zmarszczyła brwi i zeszła na

podłogę. – But nie był widoczny z żadnej części pomieszczenia, ale kiedy lekarz poszedł piętro wyżej i wychylił się daleko za okno, dostrzegł go.

– Co dowodzi, że dusza rzeczywiście opuściła ciało i unosiła się ponad nim – podsumował Richard.

– Idąc dalej tym tokiem rozumowania, wszystkie doświadczenia graniczne są rzeczywiste i nie można ich uznać za halucynację. – Zaciągnęła krzesło do drewnianej apteczki i ponownie na nie weszła. – Niezwykle przekonujące, prawda? Jedyne problem w tym, że nic podobnego się nigdy nie zdarzyło. Kiedy naukowcy usiłowali zweryfikować prawdziwość opowieści, okazało się, że do takiego zdarzenia nie doszło, nigdy nie istniał taki pacjent i nie ma takiego szpitala.

Wydobyła z kieszeni przedmiot w gazecie.

– Oczywiście, nawet gdyby historia okazała się prawdziwa, niczego by nic dowodziła. But mógłby być widoczny z innej części szpitala, ewentualnie sam pacjent lub badacz, zajmujący się przypadkami śmierci klinicznej, mogli go umieścić za oknem. Jeśli kiedyś jakiś pacjent stwierdzi, że to widział – uniosła przedmiot – wezmę pod uwagę możliwość, że opuścił własne ciało.

– Co to takiego? – zainteresował się Richard.

– Coś, czego nikt się nic domyśli – oświadczyła, stając na palcach, pochylając się do przodu i kładąc przedmiot na szafie. – Nawet ty. Jeśli czegoś nie wiesz, siłą rzeczy nie możesz przypadkowo wygadać się przed kimś. – Rozwinęła gazetę i cofnęła się. – Dam ci wskazówkę – oznajmiła, wciskając pomięty papier w rękę Richarda. – To nie jest but. – Odwróciła się i spojrzała z zadumą na zegar.

– Zegar też chcesz zdjąć?

– Nie, chociaż nie od rzeczy byłoby przemieszczenie go w miejsce, którego nie będzie mógł obserwować badany. Im mniej przedmiotów nadających się na temat konfabulacji, tym lepiej. Prawdę mówiąc, właśnie myślałam o twojej pacjentce. O której miała się tu zjawić?

– Umówiliśmy się na jedenastą, ale zadzwoniła z informacją, że ma egzamin i spóźni się kilka minut. To słuchaczka studium medycznego – wyjaśnił, zerkając na zegar. – Powinna już tu być.

– Szukasz kandydatów wśród słuchaczy studium medycznego?

– Nie, stamtąd jest tylko pani Tanaka. Inni ochotnicy pochodzą...

– Ochotnicy? – powtórzyła Joanna. – Korzystasz z ochotników? Jak opisałeś badanie w ogłoszeniu o naborze?

- Badania neurologiczne. Mam tutaj egzemplarz. – Podeszedł do biurka.
- Wspomniałeś o doświadczeniach granicznych?
- Nie – odparł, przekopując się przez sterty papieru. – Poinformowałem ich, czego dotyczy projekt, kiedy zgłosili się na wstępne badanie.
- Co to za badanie wstępne?
- Ustalałem profil fizyczny i psychologiczny. – Wygrzebał ogłoszenie i wręczył je Joannie. – Poza tym spytałem, czy wiedzą coś o doświadczeniach granicznych i czy kiedykolwiek ich doznali. Żadnemu się to nie przytrafiło.
- Rozumiem, że przebadałeś już pewną grupę?
- Tak. Pani Bendix poddała się badaniu jednokrotnie, a pan Wojakowski i pani Tanaka – ta, która ma dzisiaj przyjść – dwukrotnie.
- Czy zebrałeś zgłoszenia, a dopiero potem zaprosiłeś ochotników na wstępne rozmowy?
- Pokręcił przecząco głową.
- Wstępne rozmowy przeprowadziłem od razu, żeby nie czekać z rozpoczęciem sesji. Czemu pytasz?
- Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i do pokoju weszła Amelia Tanaka.
- Ogromnie mi przykro z powodu spóźnienia – przeprosiła. Rzuciła plecak na podłogę i zsunęła wełniane rękawice, które upchnęła w kieszeniach. – Otrzymał pan moją wiadomość, że przyjdę później?
- Na jej długich, prostych, czarnych włosach lśniły płatki śniegu. Strząsnęła je.
- Egzamin z anatomii był potworny – wyznała, ściągając włosy spinką.
- Nie udało mi się odpowiedzieć na połowę pytań. – Rozpięła płaszcz. – Połowy problemów w ogóle nie poruszał na zajęciach. „Gdzie się znajduje fałd żyły głównej Marshalla?” Nie mam pojęcia. Napisałam, że w osierdziu, ale równie dobrze może być w wątrobie. – Zdjęła płaszcz, cisnęła go na plecak i podeszła bliżej. – A jak tutaj szłam, ciągle padał śnieg...
- Widok Joanny najwyraźniej ją zaskoczył.
- O, dzień dobry – przywitała się i spojrzała pytająco na Richarda.
- Chciałbym, żeby pani poznała doktor Lander – oznajmił lekarz.
- Mam na imię Amelia – poprawiła. – Ale jeśli pójdzie mi tak samo fatalnie, jak na egzaminie, to będzie prawdziwa tragedia.
- Dzień dobry – odezwała się Joanna.

– Doktor Lander będzie współpracowała ze mną podczas badań. Zajmie się przeprowadzaniem wywiadów.

– Ale nie będzie pani zadawała takich pytań, jak: „Gdzie się znajduje fałd żyły głównej Marshalla, prawda?”

– Nie. – Joanna uśmiechnęła się szeroko. – Interesuje mnie tylko to, co pani zobaczy i usłyszy, a dzisiaj chciałabym zadać pani kilka osobistych pytań, aby panią lepiej poznać.

– Nie widzę problemu – zgodziła się Amelia. – Zajmiemy się tym teraz czy jak się przygotuję?

– Może najpierw proszę się przygotować – uznała Joanna i Amelia spojrzała na Richarda. Otworzył szarą szafkę i wyciągnął stosik ubrań, które wręczył ochotniczce. Zniknęła w niewielkim pokoju na zapleczu.

Richard zaczekał, aż zostaną sami, a następnie zwrócił się do Joanny:

– Co chciałaś powiedzieć, zanim weszła pani Tanaka? Coś o wstępnych badaniach?

– Możesz mi pokazać listę ochotników?

– Jasne. – Ponownie zaczął przetrząsać papiery na swoim biurku. – Oto ona. Wszystkich zakwalifikowałem, ale nie zdążyłem jeszcze umówić się z nimi.

Wręczył Joannie listę, a ona usiadła na krześle, które wcześniej wykorzystwała do ukrycia „buta” na szafie z lekarstwami, i przesunęła palcem po nazwiskach.

– No to przynajmniej wiadomo już, dlaczego pan Mandrake nie starał się wydobyć z ciebie informacji na temat badań. Nie musiał.

– Jak to? – Richard stanął za jej plecami, wpatrując się w listę.

– Jeden z twoich ochotników to pacjent pana Mandrake’a, drugi prawdopodobnie także, a ta – wskazała na nazwisko Dvorjak A. – cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, które w jej wypadku objawiają się silną potrzebą zwracania na siebie uwagi. To taka forma zaburzeń osobowości. Ludzie tacy jak ona wymyślają doświadczenia graniczne, aby inni się nimi interesowali.

– Jak można wymyślić doświadczenia graniczne?

– Przeszło połowa osób opisanych w książce Mandrake’a, którą trzymasz na biurku, w rzeczywistości wcale nie miała doświadczeń granicznych. Niektórym ludziom wystarczy poród albo operacja, chwilowa utrata przytomności lub wręcz omdlenie, aby doświadczyć standardowej wizji z tunelem, światłami i aniołami. Amy Dvorjak specjalizuje się w

krótkotrwałych utratach przytomności, które w dodatku nie charakteryzują się żadnymi zewnętrznymi symptomami, więc nie sposób udowodnić, że symuluje. Amy Dvorjak straciła przytomność dwadzieścia trzy razy.

– Dwadzieścia trzy razy!

Joanna pokiwała głową.

– Nawet pan Mandrake już jej nie wierzy, a on wierzy we wszystko, co mu się powie.

Richard porwał listę i wykreślił nazwisko „Dvorjak A.”.

– Którzy z nich to pacjenci Mandrake’a?

Posłała mu smutne spojrzenie.

– Nie spodoba ci się to, co powiem. May Bendix.

– Pani Bendix! – wykrzyknął. – Jesteś tego pewna?

– Należy do ulubionych pacjentek Mandrake’a. Opisał ją nawet w swojej książce.

– Powiedziała, że nawet nie ma pojęcia, czym są doświadczenia graniczne – wyznał ze zgrozą Richard. – Nie do wiary!

– Wydaje mi się, że powinnam sprawdzić pozostałe nazwiska, zanim przystąpimy do badań.

Zerknął na drzwi do przebieralni.

– Powiem Amelii, że skaner się zepsuł i nie możemy przeprowadzić sesji.

– Poza tym chciałabym przeprowadzić z nią wywiad. – Joanna skinęła głową. – Z nią i z resztą ochotników, jak tylko sprawdzę, czy mają cokolwiek wspólnego z panem Mandrakiem lub z doświadczeniami granicznymi.

– Oczywiście. Zaczekaj, powiedziałaś, że jeszcze jedna osoba może mieć powiązania z Mandrakiem. Kogo miałaś na myśli?

– Jego. – Wskazała nazwisko z listy. – Thomas Suarez. W ubiegłym tygodniu zatelefonował do mnie i wyznał, że miał doświadczenia graniczne. Zasugerowałam, żeby zadzwonił do pana Mandrake’a.

– Wydawało mi się, że starasz się przeprowadzać wywiady z pacjentami, zanim Mandrake zdąży ich zepsuć.

– Zazwyczaj tak robię. Jednak pan Suarez należy do tych czternastu procent ludzi, którzy wierzą, że zostali porwani przez UFO.

Rozdział 6

„Ej, gdzie do cholery są spadochrony?”

Pytanie zadane przez Glenna Millera,
kiedy wszedł na pokład samolotu do Paryża.
Odpowiedź pułkownika Baesella brzmiała:
„Co jest, Miller, chcesz żyć wiecznie?”

Kiedy Joanna sprawdziła resztę nazwisk z listy pod kątem członkostwa w Stowarzyszeniu Studiów nad Śmiercią Klinikzną, odrzuciła jeszcze dwie osoby.

- Razem pięciu ludzi – poinformowała Richarda.
- Sami szpiedzy Mandrake’a? – spytał wzburzony.
- Nie, niekoniecznie. Bendix i Dvorjak mogli się zgłosić z własnej inicjatywy. Prawdziwi wyznawcy stale poszukują sposobów, aby podkreślić wiarygodność swoich doświadczeń.
- Ale skąd się dowiedziały o moich badaniach?
- Jesteśmy w Szpitalu Ogólnym Miłosierdzia Bożego, zwanym także Szpitalem Ogólnej i Niemiłosiernej Plotki. Możliwe też, że po pierwszej serii rozmów ktoś mógł powiadomić innych, czego dotyczą badania. Osoby po doświadczeniach granicznych mają ze sobą stały kontakt – tworzą organizacje, komunikują się przez Internet – a poza tym powszechnie wiadomo, że Instytut zajmuje się badaniami nad doświadczeniami granicznymi. Pan Mandrake może o niczym nie wiedzieć.
- Chyba w to nie wierzysz, co?
- Nie.
- Uważam, że powinniśmy zgłosić to radzie nadzorczej.
- Nic dobrego z tego nie wyniknie – zaopiniowała Joanna. – Pamiętaj, że w radzie zasiada pani Brightman. Ostatnie, czego ci potrzeba, to konfrontacja z Mandrakiem. Musimy...
- ...chować się po klatkach schodowych?

– O ile to okaże się konieczne. Poza tym trzeba dopilnować, aby żaden z pozostałych ochotników nie miał powiązań z Mandrakiem albo ze społecznością ludzi po doświadczeniach granicznych.

– Trzeba też wykluczyć wszystkich wariatów. Wciąż nie potrafię uwierzyć, że weryfikacja psychologiczna nie dała rezultatów.

– Wiara w życie po śmierci nie jest chorobą umysłową – podkreśliła Joanna. – W wielu najważniejszych religiach od stuleci głosi się to samo.

– A co z panem Suarezem i jego UFO?

– Ludzie w pełni władz umysłowych wierzą w najrozmaitsze bzdury. Właśnie dlatego chciałabym przesłuchać ich zaraz po tym, jak ustalę ich powiązania z osobami po doświadczeniach granicznych.

Resztę popołudnia Joanna spędziła na sprawdzaniu ochotników. Poza tym wydrukowała listy członków Międzynarodowego Stowarzyszenia Wspierania Spirytualizmu oraz Stowarzyszenia Paranormalnego, z zamiarem zabrania ich do domu.

Mandrake trzykrotnie nagrał się na jej sekretarce, oznajmiając, że pragnie z nią porozmawiać, dlatego wybrała okreśną drogę na parking, pokonując łącznik z zachodnim skrzydłem na czwartym piętrze, potem schodząc na drugie, wracając łącznikiem poniżej i kierując się przez onkologię do windy dla pacjentów.

Przed wejściem do windy stali mężczyzna i kobieta w średnim wieku.

– Idź – mężczyzna przykazał kobiecie. – Nie ma sensu, żebyśmy zostawali oboje.

Kobieta kiwnęła głową, a Joanna zauważyła, że nieznajoma ma czerwone obwódki wokół oczu.

– Zadzwoń, jeśli cokolwiek się wydarzy?

– Obiecuję. Musisz odpocząć. I zjedz coś. Nie jadłaś nic od rana.

– Dobrze. – Kobieta zwiesiła ramiona.

Winda zadzwoniła i drzwi się rozsunęły. Kobieta cmoknęła w policzek i weszła do środka. Joanna podążyła za nią. Nacisnęła „G” i drzwi zaczęły się zamykać.

– Czekaj! Masz numer mojej komórki? – krzyknęła kobieta przez zasuwające się drzwi.

Mężczyzna przytaknął.

– Trzy dwa dziewięć sześć zero pięć osiem – wyrecytował i drzwi się zamknęły.

Pięć osiem, pomyślała Joanna. Pięć osiem. Sądziła, że Greg Menotti mógł podawać numer telefonu, ale kiedy ludzie w Ameryce powtarzali numery kontaktowe, wypowiadali pojedyncze cyfry. Nie robili tego w wypadku adresów. Mówili wtedy: „Mieszkam na Pearl Street dwadzieścia jeden piętnaście”. Zaciekawilo ją, pod jakim adresem mieszkał Greg Menotti.

Pochyliła się i nacisnęła jedynekę, a kiedy winda dojechała na pierwsze piętro, wysiadła, udała się do poczekalni i sprawdziła jego adres w książce telefonicznej: South Wyandotte 1903, telefon 771-0642. Ani jednej piątki czy ósemki, nie mówiąc już o kombinacji pięćdziesiąt osiem. Mógł oczywiście podawać adres swojej dziewczyny albo rodziców. Uznała jednak, że nie o to mu chodziło. Starał się przekazać jej jakąś wyjątkowo ważną informację. Jaka kluczowa wiadomość łączy się z liczbą pięćdziesiąt osiem?

Zamknęła książkę telefoniczną i poszła korytarzem do windy. Minęła ją młodsza pielęgniarka ze styropianowym kubkiem w ręku. W pewnej chwili się zatrzymała, aby spytać inną pielęgniarkę:

- Mówiła pani, że w którym pokoju on leży?
- Sto pięćdziesiąt osiem.

Czy Greg Menotti mógł znać kogoś w tym szpitalu i usiłować poprosić, by go sprowadzili? To nie miało żadnego sensu. Wspomniałby o tym wcześniej, kiedy domagał się kontaktu ze swoją dziewczyną. Które pomieszczenia oznaczano liczbami? Biura? Mieszkania?

Joanna zjechała na parking. Pięćdziesiąt osiem. Numer skrytki w przechowalni? Data? Nie, był za młody, żeby się urodzić w 1958 roku. Wsiadła do samochodu. Pięćdziesiąt osiem nie jest żadną znaną liczbą, taką jak trzynaście lub sześćset sześćdziesiąt sześć. Wyjechała z parkingu i skierowała się na Colorado Boulevard. Samochód przed nią miał fioletową lampkę wokół tablicy rejestracyjnej. „WV-58”. Joanna spojrzała na stację benzynową z prawej. „Bezołowiowa”, głosił napis. „1,5899”.

Po grzbiecie Joanny przebiegł dreszcz zabobonnego lęku, unosząc jej włosy na karku. Zupełnie jak w filmie, który pożyczyłam z Vielle, tym o katastrofie lotniczej, z tymi wszystkimi złowróżbnymi znakami. *Ostateczny cel.*

Uśmiechnęła się szeroko. Tak naprawdę po prostu zaczęła zwracać uwagę na to, co stale znajdowało się w jej otoczeniu. Liczba pięćdziesiąt osiem zawsze pojawiała się przed jej oczyma, podobnie jak każda inna

kombinacja cyfr, lecz jej mózg skoncentrował się na wyszukiwaniu jej, podobnie jak podróżnik ostrzeżony przed niebezpieczeństwem, szuka węży. Właśnie do tego sprowadzały się przesady – były wyłącznie próbami doszukania się znaczenia w przypadkowych informacjach i zdarzeniach.

To nic nie znaczy, powiedziała sobie. Szukasz znaków tam, gdzie ich nie ma. Kiedy jednak dotarła do domu, weszła do Internetu i nakazała wyszukiwarce znaleźć wszystko, co było związane z liczbą pięćdziesiąt osiem. Pojawiło się kilka nekrologów – „Elbert Hodgins, lat pięćdziesiąt osiem”; jedna autostrada międzystanowa i czternaście autostrad stanowych, a także trzy książki w księgarni Amazon.com: *Polityka rosyjsko-amerykańskiej zimnej wojny lat 1946-1958*, *Zjazd na Pięćdziesiątą Ósmą Równoległą*, a także: *Lepszy w łóżku: 58 sposobów poprawienia życia seksualnego*.

Niespecjalnie pasuje to do Strefy mroku, pomyślała rozbawiona Joanna i zaczęła przeglądać listę członkowską Stowarzyszenia Paranormalnego. Amelia nie należała do tej organizacji, podobnie jak żaden z pozostałych ochotników. Kiedy jednak zajrzała do listy Międzynarodowego Stowarzyszenia Wspierania Spirytualizmu, dopatrzyła się tam nazwiska jednego z ochotników, a na stronie poświęconej doświadczeniom granicznym ujrzała jeszcze dwa. Pomyśleć, że nie miała nawet okazji porozmawiać z którymkolwiek z kandydatów.

– Bardzo mi przykro – poinformowała Richarda. – Moim celem jest dopilnowanie, abyś nie tracił czasu na oszustów, a nie utrudnianie ci badań.

– Wiesz, co utrudniłoby moje badania? Pojawienie się któregoś z ochotników w książce Mandrake’a. Albo na pierwszej stronie „Stara” – uzupełnił. – Miałaś rację. Nie powinienem donosić radzie o działalności Mandrake’a. Powinienem obić mu głowę.

– Nie mamy na to czasu – sprzeciwiła się Joanna. – Musimy przeprowadzić wstępny wywiad z pozostałymi ochotnikami i znaleźć nowych. Ile czasu zajmuje uzyskanie koniecznych zezwoleń?

– Rada nadzorcza i komitet badawczy mają od czterech do sześciu tygodni na wydanie zgody. Zaaprobowanie mojej grupy zajęło pięć i pół tygodnia.

– Wobec tego powinniśmy od razu rozpocząć nowy nabór podsumowała Joanna – a ja zajmę się tymi wywiadami. Mogę już porozmawiać z Amelią Tanaką. Prezentuje się obiecująco. Nic znalazłam niczego problematycznego poza faktem, że twierdzi, iż ma dwadzieścia cztery lata i

wciąż jest słuchaczką studium medycznego, ale intuicja podpowiada mi, że to nie jest wariatka.

– Intuicja? – rozbawił się Richard. – Nie sądziłem, że naukowcy mają intuicję.

– No pewnie, że mają. Po prostu na niej nie polegają. Dowody – obwieściła, wymachując listą członków MSWS. – Oto przepustka. Potwierdzenie z zewnątrz. Właśnie dlatego zadzwonię do osób mogących poświadczyć prawdziwość Amelii i chcę przeprowadzić z nią wywiad. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziesz mógł bez problemu rozpocząć badania.

Poszła do swojego gabinetu i potwierdziła informacje o Amelii, a następnie zadzwoniła do niej samej i ustaliła termin rozmowy. Nie było to proste. Amelia miała wykłady i zajęcia w laboratorium, a poza tym musiała się przygotowywać do nadchodzącego egzaminu z biochemii. Joannie wreszcie udało się skłonić Amelię do wizyty następnego dnia o pierwszej.

Joanna była zadowolona, że umówienie Amelii okazało się tak czasochłonne. Ochotniczka nie starała się przyjść za wszelką cenę, co dowodziło, że nie należała do grona Prawdziwych Wyznawców. Joanna sprawdziła jej nazwisko na liście członków Stowarzyszenia Teozoficznego, a następnie zajęła się aktami dalszych siedmiu kandydatów do eksperymentu.

Prezentowali się obiecująco. Pani Coffey zajmowała się zarządzaniem systemami danych, pan Sage był spawaczem, pani Haighton pracownicą społeczną, a pan Pearsall agentem ubezpieczeniowym. Żadna z tych osób, podobnie jak Ronald Kelso czy Edward Wojakowski, nie znajdowała się na żadnej ze stron poświęconych doświadczeniom granicznym. Joanna niepokoiła się wyłącznie o panią Troudthaim, która nie mieszkała w Denver.

– Ona jest ze wschodnich równin – zakomunikowała Richardowi następnego dnia. – Mieszka nieopodal Deer Trail. To, że jedzie tu z tak daleka – ile to kilometrów? Sto? – aby wziąć udział w projekcie badawczym, jest nieco podejrzaną, ale poza tym nie mam wobec niej żadnych zastrzeżeń, a inni ochotnicy prezentują się nieźle. – Spojrzała na zegarek. Wskazywał za kwadrans pierwszą. – Amelia Tanaka powinna się zjawić za parę minut.

– To dobrze. Jeśli nie spostrzeżesz czegoś niepokojącego, chciałbym rozpocząć sesję. Powiedziałem pielęgniarce, żeby przygotowała się na

wezwanie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wcześniej przyszła – zdziwiła się Joanna i podeszła do wejścia.

Na progu stał niski starszy pan z wypłowiałymi rudymi włosami, mocno przerzedzonymi nad piegowatym czołem.

– Jest doktor Wright? – spytał, spoglądając nad ramieniem Joanny. Dostrzegł Richarda. – Witam pana doktora. Przyszło mi do głowy, że skoro jestem w pobliżu, to wpadnę spytać, kiedy mam następną sesję. Jestem jedną ze świnek morskich doktora Wrighta.

– Pani doktor Joanna Lander, Ed Wojakowski – oświadczył Richard, podchodząc do drzwi. – Panie Wojakowski, pani doktor będzie ze mną współpracowała przy badaniach.

– Proszę mi mówić Ed, pan Wojakowski to mój tata. – Mrugnął do Joanny.

Przypomniało się jej, że Greg Menotti tak samo zażartował. Zastanawiała się, ile lat może mieć pan Wojakowski. Wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt, a w projekcie mieli uczestniczyć ochotnicy w przedziale od dwudziestu jeden do sześćdziesięciu pięciu lat.

– Kiedyś znałem jedną Joannę – wyznał pan Wojakowski. – Jeszcze kiedy służyłem w marynarce, podczas drugiej wojny światowej.

Znowu druga wojna światowa i marynarka, pomyślała Joanna. Najpierw pani Davenport, a teraz pan Wojakowski. Czy to oznacza, że z nim rozmawiała? A może pan Mandrake rozmawiał z obojgiem? Miała nadzieję, że nie: gdyby to się okazało prawdą, zabrakłoby im ochotników.

– Pracowała w kantine w Honolulu – ciągnął pan Wojakowski. – Przyjemna dziewczyna, choć nie taka ładna jak pani. Którejś nocy Stinky Johansson i ja wprowadziliśmy ją na pokład, aby pokazać jej naszego kota i...

– Jeszcze nie ustaliliśmy daty naszej kolejnej sesji – przerwał Richard.

– Rozumiem, w porządku pani doktorze – odparł pan Wojakowski. – Tylko pomyślałem, że się upewnię.

– Skoro już pan przyszedł – odezwała się Joanna – pozwoli pan, że zadam mu kilka pytań? – Odwróciła się do Richarda. – Pani Tanaka zjawi się za jakieś piętnaście minut.

– Jasne – zgodził się Richard, chociaż nie wyglądał na przekonanego.

– Możemy to odłożyć na później.

– Nie, załatwmy to teraz.

Joanna zastanawiała się, czy dobrze odczytała intencje Richarda.

– Czy ma pan czas, aby odpowiedzieć na kilka pytań, panie Wojakowski?

– Ed – poprawił. – No pewnie, że mam. Od kiedy jestem na emeryturze, mam mnóstwo czasu.

– Tak – odezwał się z powątpiewaniem Richard. – Tylko że o pierwszej mamy kolejny wywiad.

– Zrozumiano, panie doktorze – stwierdził pan Wojakowski. – Będzie krótko i wężłowato. – Odwrócił się do Joanny.

– Co pani chce wiedzieć, pani doktor?

Joanna spojrzała na Richarda, niepewna, czy naprawdę zgadza się na przeprowadzenie rozmowy, ale gdy skinął głową, wskazała panu Wojakowskiemu krzesło i pomyślała, że na wypadek podobnych sytuacji w przyszłości musi ustalić z Richardem jakiś kod porozumiewawczy.

– Chciałam tylko dowiedzieć się paru rzeczy o panu i poznać pana bliżej, skoro mamy razem pracować. – Joanna usadowiła się naprzeciwko pana Wojakowskiego. – Kim pan jest, dlaczego zdecydował się pan na uczestnictwo w badaniach? – Włączyła magnetofon.

– Kim jestem, tak? Nie ma sprawy, powiem pani, kim jestem. Jestem starym marynarzem. Służyłem na USS *Yorktown*. Najlepszy okręt drugiej wojny światowej, do czasu posłania go na dno przez Japońców. Przepraszam. – Dostrzegł jej spojrzenie. – Tak ich kiedyś nazywaliśmy. Nieprzyjaciela, Japończyków.

Joanna nie myślała jednak o obraźliwym słowie Japonce. Obliczała, ile jej rozmówca może mieć lat. Skoro walczył w drugiej wojnie światowej, musiał dobiegać osiemdziesiątki.

– Powiedział pan, że służył na *Yorktown*? – Zerknęła do jego akt. Nazwisko. Adres. Numer ubezpieczenia społecznego. Dlaczego nie ma wzmianki o jego wieku? – To był pancernik, prawda? – spytała, żeby zyskać na czasie.

– Pancernik! – zachnął się. – Skąd, to był lotniskowiec. Najlepszy cholerny lotniskowiec na całym Pacyfiku. Podczas bitwy o Midway zatopił cztery inne lotniskowce, zanim dopadła go łódź podwodna Japońców. Torpeda. Przedtem posłali na dno niszczyciela, który znajdował się bliżej. Hammann. Przepadł jak kamień. Był trupem, zanim ktokolwiek się zorientował. W dwie minuty. Wszyscy zginęli.

Wciąż nie potrafiła doszukać się jego wieku. Alergie na lekarstwa. Przebyte choroby. Zaznaczył „nie” we wszystkich miejscach, od wysokiego ciśnienia krwi do cukrzycy i wyglądał na człowieka energicznego i bystrego, lecz jeśli miał osiemdziesiąt lat...

– ...*Yorktown* szedł na dno znacznie dłużej – ciągnął. – Całe dwa dni. Okropny widok.

Życie zawodowe, referencje, osoba, którą należy zawiadomić w nagłym wypadku, ale brak daty urodzin. Nie uwzględniono jej w formularzach?

– ...rozkaz opuszczenia okrętu i wszyscy marynarze zdjęli buty, aby ustawić je w szeregu na pokładzie. Setki par butów...

– Panie Wojakowski, nigdzie nie widzę...

– Ed – poprawił i kontynuował, jakby domyślił się, o co chce go spytać Joanna. – Wstąpiłem do marynarki, gdy miałem trzynaście lat. Skłamałem w kwestii swojego wieku. Powiedziałem w szpitalu, że moje świadectwo urodzenia spłonęło. Po Pearl Harbor nie sprawdzali takich rzeczy. – Rzucił jej wyzywające spojrzenie. – Pani jest o wiele za młoda, żeby wiedzieć, co znaczy Pearl Harbor.

– Niespodziewany japoński atak na Pearl Harbor?

– Niespodziewany? Raczej grom z jasnego nieba. Stany Zjednoczone zajmują się swoimi sprawami i nagle bach! Bez wypowiedzenia wojny, bez ostrzeżenia, bez niczego. Nigdy tego nie zapomnę. Była niedziela, a ja czytałem takie zabawne piśmko „Dzieciaki w opałach”, wciąż mam je przed oczyma. Podnoszę głowę i nagle widzę, że jedna pani, mieszkająca dwa domy dalej, biegnie zadyszana i mówi: „Japońce właśnie zbombardowały Pearl Harbor!” Nikt z nas nawet nie wiedział, gdzie jest Pearl Harbor, z wyjątkiem mojej młodszej siostry. Widziała je w kronice filmowej poprzedniego wieczoru. *Desperadoes*, to wtedy puszczałi. Randolph Scott. A następnego dnia pojechałem do śródmieścia do punktu rekrutacyjnego i zaciągnąłem się do marynarki wojennej.

Umilkł na moment, aby zaczerpnąć oddech.

– Panie... Ed, dlaczego zdecydował się pan zgłosić do naszych badań? – Joanna skorzystała z okazji, aby szybko zadać pytanie. – Gdzie się pan o nich dowiedział?

– Zauważyłem ogłoszenie w centrum rekreacyjnym w Aspen Gardens. Właśnie tam mieszkam. Potem przyszedłem na rozmowę z, panem doktorem i uznałem, że to wszystko brzmi interesująco.

– Czy kiedykolwiek uczestniczył pan w badaniach prowadzonych w tym szpitalu?

– Nie. Wciąż rozwieszają ogłoszenia. W większości wypadków trzeba być chorym na coś konkretnego – przepuklinę, albo trzeba mieć problemy ze wzrokiem i tak dalej. Ponieważ nic podobnego mi nie dolega, nie mogłem się zgłosić.

– Powiedział pan, że tematyka badań brzmi interesująco. Czy może pan powiedzieć coś konkretnego na ten temat? Czy interesował się pan problematyką doświadczeń granicznych?

– W telewizji były o tym programy.

– I właśnie dlatego postanowił pan uczestniczyć w badaniach?

Pokręcił głową.

– Podczas wojny i tak zbyt często ocierałem się o śmierć. – Mrugnął. – Tunele i światło, proszę mi wierzyć, to nic szczególnego w porównaniu ze świadomością, że zbliża się zero, a mój karabin maszynowy się zaciął. Te cholerne jedenastki wciąż się zatykały i strzelec musiał włączyć pod nie z młotkiem, żeby je odblokować. Pamiętam, że kiedyś Holecek Strit, nazywaliśmy go Strit, bo zawsze dobierał do strita, zresztą nieważne, otóż on...

Nic dziwnego, że Richard niechętnie przystał na przeprowadzenie wywiadu z panem Wojakowskim, skoro Amelia miała się zjawić za kilka minut. Richard stanął za plecami pana Wojakowskiego. Spojrzała na niego i ujrzała, że się szeroko uśmiecha.

– ...a wtedy zero zanurkował prosto na nas, Strit krzyknął i puścił młotek prosto na moją nogę, i...

– Skoro nie interesowały pana doświadczenia graniczne, co takiego zaciekało pana w projekcie? – Joanna wróciła do tematu.

– Powiedziałem już, że służyłem na *Yorktown*. Proszę mi wierzyć, to był ogromny okręt. Zupełnie nowy i błyszczący jak złoto, z prawdziwymi kojami do spania. Zainstalowali na nim nawet dystrybutor z napojami. Można było podejść i zażyczyć sobie czekoladę na gorąco albo syrop wiśniowy, zupełnie jak w sklepie na lądzie. – Uśmiechnął się z rozrzewnieniem. – Zresztą, po tym, jak wypłynęliśmy z Rabaul, skierowali starego Yorkey, tak go nazywaliśmy, na rejs patrolowy po Morzu Koralowym, gdzie utknęliśmy na półtora miesiąca na grze w tryktraka i obstawianiu, czyje paznokcie u stóp rosną najszybciej.

Joanna zastanawiała się, co to ma wspólnego z powodem, dla którego pan Wojakowski zgłosił się do badań. Nie mogła się opędzić od natrętnej myśli, że w gruncie rzeczy jej rozmówca korzysta z każdej okazji, aby opowiedzieć komuś o wojnie. Jeśli mu nie przerwie, dotrą do bitwy o Midway.

– Panie Wojakowski, miał mi pan powiedzieć, dlaczego zgłosił się pan do badań.

– Właśnie to robię. – Skinął głową. – Wracając do rzeczy, siedzimy tam sobie z założonymi rękami, a pod koniec tygodnia jesteśmy tak znudzeni, że nie możemy się doczekać, aż Japońce zaczną nas bombardować lotem nurkującym. Przynajmniej mielibyśmy wtedy coś do roboty. Skoro już o nurkowaniu mowa, czy opowiadałem pani o tym, co zrobił Jo-Jo Powers na Morzu Koralowym? Jego eskadra po raz pierwszy niczego nie zatopiła, wszystkie torpedy chybiły, więc przygotowując się do następnego lotu, mówi: „Trafię w ten lotniskowiec, choćbym sam miał położyć na nim bombę”, no i...

– Panie Wojakowski – przerwała twardo Joanna. – Z jakiego powodu zgłosił się pan do badań?

– Była pani kiedykolwiek w Aspen Gardens?

Pokręciła przecząco głową.

– Ma pani szczęście. Człowiek czuje się tam zupełnie tak samo jak podczas rejsu po Morzu Koralowym, tylko że nie ma z kim pograć w tryktraka. Więc przyszło mi do głowy, że się zgłoszę i zrobię coś ciekawego.

Bardzo dobry powód.

– Czy kiedykolwiek doznał pan doświadczeń granicznych?

– Nie, do czasu gdy pan doktor owinął mnie drutami jak Frankensteina i wsadził do tego urządzenia. Zawsze uważałem, że ta cała gadanina o tunelu, świetle i Jezusie to kupa bzdur, ale fakt, znalazłem się w tunelu. Nie było jednak Jezusa. I tak uważam, że to kupa bzdur. Zbyt wiele widziałem na wojnie, żeby przykładać dużą wagę do religii. Pewnego razu na Morzu Koralowym...

Pozwoliła mu mówić, zadowolona, że pan Wojakowski nie należy do grona szpiegów pana Mandrake’a. Nie ulegało wątpliwości, że zgłosił się wyłącznie po to, aby mieć komu opowiadać swoje historie. Pan Mandrake dostanie za swoje, jeśli spróbuje go wziąć w obroty, pomyślała z satysfakcją. Przyjdzie mu wysłuchać całej historii wojny na Pacyfiku. Jej

zresztą też, jeśli Amelia wkrótce się nie pojawi. Zerknęła na zegarek. Dochodziła druga. Gdzie ona się podziewała?

Zapisał pager Joanny.

– Przepraszam – przerwała panu Wojakowskiemu i ostentacyjnie wyciągnęła urządzenie z kieszeni, aby sprawdzić, kto dzwoni. – Niestety, muszę do kogoś zatelefonować.

– Oczywiście, pani doktor – rozczerował się pan Wojakowski. – Te wszystkie nowinki techniczne są niesamowite. Szkoda, że nie mieliśmy ich podczas drugiej wojny światowej. Na pewno pomogłyby nam, kiedy...

– Skontaktujemy się z panem, kiedy tylko ustalimy plan badań – stwierdziła Joanna, odprowadzając go przez laboratorium w stronę wyjścia. Pan Wojakowski nie przestawał opowiadać. Otworzyła drzwi.

– Za dzień lub dwa będziemy już wszystko wiedzieli.

– Odpowiada mi każdy termin. Mam mnóstwo czasu.

Joanna nagle poczuła wyrzuty sumienia.

– Ed – zwróciła się do niego. – Nie skończył pan opowieści o lotniku z bombowca nurkującego, tym, który powiedział, że trafi w lotniskowiec, choćby sam miał położyć na nim bombę. Co się z nim stało?

– Chodzi pani o Jo-Jo? – spytał. – Powiem pani, co się stało. Powiedział, że zatopi ten lotniskowiec, choćby to była jego ostatnia akcja w życiu. No i to był widok, jak leci prosto na Shokaku, z ogonem w płomieniach, a wokół niego fruwały zera. Zrobił to, co powiedział, położył bombę na pokładzie. Zwolnił ją dopiero na wysokości nie większej niż sześćdziesiąt metrów, a potem bang! Jego bombowiec rozbił się w morzu.

– Och... – westchnęła Joanna.

– Ale udało mu się, chociaż już nie żył, kiedy wybuchła bomba. Udało mu się.

Rozdział 7

„Na pokładzie statku Pacific z Liverpoolu do Nowego Jorku – zamieszanie na pokładzie – ze wszystkich stron góry lodowe. Wiem, że nie uda mi się uciec. Opisuję przyczynę naszej tragedii, aby przyjaciele nie żyli w niepewności. Znalazca jest proszony o opublikowanie wiadomości. Wm. Graham”.

Wiadomość znaleziona w butelce,
1856

Pozbycie się pana Wojakowskiego trwało jeszcze dwadzieścia minut i dwie opowieści o *Yorktown*.

– O kurczę – stwierdziła Joanna, opierając się o drzwi, kiedy wreszcie udało się je zamknąć za gadatliwym gościem. – Trudniej się od niego uwolnić niż od Maisie.

– Jak sądzisz, to jeden z ludzi Mandrake’a? – spytał Richard.

– Nie, gdyby należał do Prawdziwych Wyznawców, wszystko by nam o tym opowiedział. Powinien okazać się bardzo dobrym ochotnikiem, jeśli tylko uda mi się powstrzymać go przed opowiadaniem o *USS Yorktown*. Zwraca uwagę na szczegóły i dużo mówi.

– Nie wierzę własnym uszom – uśmiechnął się Richard. – Jesteś pewna, że to zaleta?

– Tak. Nie ma nic gorszego niż pacjent, który odpowiada monosylabami albo po prostu siedzi cicho. Gaduły świetnie się sprawdzają.

– Więc mogę go umówić na sesję?

– Tak, ale lepiej będzie zobaczyć się z nim bezpośrednio przed spotkaniem z innym ochotnikiem. Inaczej nigdy się go nie pozbędziemy. – Podeszła do biurka i odłożyła teczkę pana Wojakowskiego. – Cały czas liczyłam na to, że przyjdzie Amelia Tanaka i uda się sprawnie zakończyć spotkanie. Powinna już tu być. To reguła, że się spóźnia?

– Tak, ale zazwyczaj wcześniej dzwoni.

– Może dzwoniła. – Joanna wyciągnęła pager. – Przekazałam jej numer swojego pagera. – Pośpiesznie zadzwoniła do centrali i spytała o wiadomości.

– Amelia Tanaka poinformowała, że się spóźni, powinna się pojawić przed drugą – oznajmiła telefonistka. – Poza tym siostra Howard prosi o telefon.

Chodziło o Vielle, która na pewno nie dzwoniła w sprawie śmierci klinicznej. Kiedy kogoś reanimowano, zostawiała wiadomość, aby Joanna przysłała na oddział nagłych wypadków.

Odkryła, co miał na myśli Greg Menotti, kiedy mówił pięćdziesiąt osiem, pomyślała Joanna. Zerknęła na zegar. Za dwadzieścia druga.

– Biegnę na oddział nagłych wypadków – oznajmiła Richardowi, odłożywszy słuchawkę. – Amelia zjawi się o drugiej. Zdązę wrócić.

– Co się stało? – spytał. – Kogoś reanimowano?

– Nie. Muszę się czegoś dowiedzieć od Vielle.

Co oznacza pięćdziesiąt osiem.

Pewnie to nic ważnego, powtarzała sobie, zbiegając po schodach na czwarte piętro. Vielle pewnie powie mi, że Greg Menotti usiłował powiedzieć coś najzupełniej banalnego, choćby: „Zadzwońcie może do biura Stephanie. Znajduje się na Grant 1658”. Albo: „To nie może być zawał serca. Rano pięćdziesiąt osiem razy okrążyłem salę gimnastyczną”.

Tylko że to nieprawda, myślała, pokonując łącznik do głównego budynku i windy. Nie mówił o okrążeniach ani o numerach telefonu. Chodziło mu o coś innego. Starał się przekazać coś istotnego.

Wsiadła do windy, zjechała na pierwsze, a potem pobiegła schodami i korytarzem na oddział nagłych wypadków. Vielle stała przy recepcji, wypisując na karcie nazwiska pacjentów. Joanna do niej podeszła.

Dowiedziałas się, co to znaczy, prawda? Co on chciał powiedzieć?

– Kto? – spytała zaskoczona Vielle. – O czym ty mówisz?

– O Gregu Menottim. Pacjent z zawałem, reanimowany we wtorek.

– A, racja – potwierdziła Vielle. – Zawał mięśnia sercowego, powtarzał „pięćdziesiąt dziewięć”.

– Pięćdziesiąt osiem – poprawiła Joanna.

– Tak, zgadza się. Przepraszam. Miałam sprawdzić numer telefonu jego przyjaciółki – przypomniała sobie i poprawiła elastyczny czepek, który osunął się jej na czoło. – Zupełnie o tym zapomniałam. – Spojrzała za

Joannę. – Sprawdzę jeszcze dziś po południu, obiecuję. Właśnie po to przyszłaś?

– Nie. Dzwoniłaś do mnie, pamiętasz?

– Rzeczywiście – przyznała Vielle z niepewnym wyrazem twarzy. – Nie zastałam cię. – Ponownie zajęła się kartą.

– No i? – zniecierpliwiała się Joanna. – O czym chciałaś porozmawiać?

– O niczym istotnym. Nie pamiętam. Pewnie chodziło o wieczór smakołyków. Wiesz, jak trudno znaleźć film, w którym nie ma nic o śmierci? Nawet komedie są nią naszpikowane. *Zakochany Szekspir*, *Bezsenna noc w Seattle*, *Cztery wesela i pogrzeb*. Wczoraj wieczorem spędziłam półtorej godziny w wypożyczalni Blockbuster, szukając czegoś wolnego od śmierci.

I wyraźnie starasz się zmienić temat, pomyślała Joanna. Dlaczego? Po co dzwoniła? Niewątpliwie chciała jej coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– Nie ma nawet filmów dla dzieci – trąkotała Vielle. – Ojciec Kopciuszka, matka Bambi, Zła Czarownica z Zachodu. Co się stało, Nina? – zwróciła się do młodszej pielęgniarki, która do niej podeszła. To też było dziwne. Vielle zwykle krzyczała na przeszkadzające jej pomoce pielęgniarskie.

– Pani Edwards przy biurku prosiła, żeby to pani przekazać – oświadczyła Nina, wręczając Vielle powiększenie fotografii.

Widniał na niej wytatuowany nastolatek z blond włosami, upchniętymi pod zrobioną na drutach czapkę. Było to najwyraźniej zdjęcie policyjne, ponieważ pod spodem widniał długi szereg cyfr.

– Nie pojawiło się nic nowego, prawda? – spytała Joanna.

– Nie – odparła z rezerwą Vielle. – Przez cały dzień było cicho jak makiem zasiał. Same skręcone kostki i skaleczenia papierem. Dlaczego pani Edwards kazała mi to przekazać? – spytała Ninę.

– Policjanci powiedzieli, że jeśli przyjdzie ten facet, trzeba ich zawiadomić, postrzelił jednego gościa w nogę z maszyny do wbijania gwoździ...

– Dziękuję, Nina – przerwała Vielle, zwracając zdjęcie pielęgniarce. – Pokaż to doktorowi Thayerowi.

– Jeśli przyjdzie ten ranny facet, też trzeba zadzwonić na policję – dodała Nina. – Obaj są członkami gangu...

– Dziękuję, Nina – przerwała stanowczo Vielle.

Gdy tylko młodsza pielęgniarka odeszła, Joanna wybuchnęła:

– Maszyna do wbijania gwoździ! Vielle, kiedy się stąd wreszcie wyniesiesz? To się robi niebezpieczne...

– Wiem, wiem, już mi to mówiłaś – przerwała, wpatrując się w punkt za plecami Joanny. – Ojoj, muszę iść. – Ruszyła w stronę wejścia na oddział, gdzie dwóch mężczyzn trzymało pod ręce bladą jak kreda kobietę.

– Vielle...

– Pogadamy jutro, na wieczorze smakołyków. – Vielle przyśpieszyła.

Za późno. Kobieta zwymiotowała na podłogę i obydwu mężczyzn. Jeden z nich puścił ją i odskoczył poza linię ostrzału, przez co kobieta osunęła się na ziemię. Przejęta Vielle podtrzymała chorą, zanim upadła.

Joanna nie miała po co dłużej pozostawać na oddziale. Kobieta z całą pewnością zajmie Vielle na jakiś czas, a i tak dochodziła druga. Zresztą, co mogłaby powiedzieć, gdyby została? „Vielle, jaki jest prawdziwy powód twojego telefonu? Tylko mi nie mów, że chodziło o matkę Bambi!”

Joanna weszła na górę. Amelii jeszcze nie było.

– Dowiedziałaś się tego, co trzeba? – zainteresował się Richard.

– Nie – odparła. W żadnym wypadku.

– Tak na marginesie, Vielle...

Rozległo się stukanie do drzwi i do środka weszła Amelia z okrzykiem:

– Strasznie przepraszam za spóźnienie. Uwierzą państwo, że wszyscy moi profesorowie zaplanowali moje egzaminy w tym samym tygodniu? – W takim samym tempie jak ostatnio wyplątała się z plecaka, zdjęła rękawice i płaszcz, a przy tym nie przestawała mówić. – Wiem, że nawaliłam. Nienawidzę biochemii!

Miała długie czarne włosy, skręcone w pozornie bezładny kuc na czubku głowy; najwyraźniej wszystkie studentki college'ów nosiły obecnie takie fryzury. Rozrzuciła włosy i skręciła je ponownie w jeszcze bardziej bezładny kuc.

– Dostałam troję, jestem tego pewna – obwieściła, ściągając włosy dużą plastikową spinką w złotym kolorze. – Mam się rozebrać, panie doktorze?

– Jeszcze nie – odparł Richard. – Pani doktor chciałaby zadać pani kilka pytań.

– Amelio – zaczęła Joanna, wskazując na jedno z trzech krzeseł. Sama także usiadła, a Richard zajął ostatnie wolne miejsce. – Jest pani słuchaczką studium medycznego, zgadza się?

Amelia osunęła się na trzecie krzesło.

– Nie po ostatnim egzaminie z biochemii. Był gorszy niż anatomia. Byłam słuchaczką. Teraz jestem nikim.

Joanna zapisała: „słuchaczka studium medycznego”.

– Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia cztery – odparła Amelia. – Wiem, to sporo, jak na słuchaczkę studium. Wcześniej zdobyłam tytuł licencjata w teatralnej szkole muzycznej, ale postanowiłam zrezygnować z kariery aktorki.

Aktorka. Dobrze odgrywa różne role. Dobrze oszukuje.

– Dlaczego uznała pani, że nie chce być aktorką?

– Uświadomiłam sobie, że nigdy nie zagram nic lepszego od Tuptim i Miss Saigon, a nie dopuszczałam możliwości odegrania bibliotekarki Marian{4} lub zagrania w *Annie, chwyć za broń*, więc postanowiłam wstąpić do szkoły medycznej. Lekarze zawsze mają o co ręce zaczepić. – Uśmiechnęła się szeroko do Joanny. – No wiadomo, o nerki, pęcherzyk żółciowy, wątrobę.

Dowcip, który nie przeszedłby przez gardło żadnemu Prawdziwemu Wyznawcy. Jeśli istniała jakaś wspólna cecha wszystkich chorobliwych wielbicieli śmierci klinicznej oraz doświadczeń pozazmysłowych, a także ludzi rzekomo porwanych przez UFO, był to całkowity brak poczucia humoru. Poza tym Amelia dysponowała wiedzą naukową i chętnie dzieliła się informacjami, co oznaczało, że nie miała nic do ukrycia. Najwyraźniej postawili na dobrego konia.

– Może mi pani powiedzieć, dlaczego zdecydowała się pani wziąć udział w badaniach?

Amelia posłała Richardowi spojrzenie pełne poczucia winy.

– Dlaczego się zdecydowała? – Odwróciła wzrok. – No więc...

I to w chwili, gdy sądziłaś, że najgorsze masz za sobą, pomyślała Joanna.

– Podobno interesuje się pani neurologią – zasugerował Richard. Nie ułatwiaj jej zadania, mówiło mu ostrzegawcze spojrzenie Joanny.

– Interesuję się neurologią – potwierdziła Amelia. – Chciałabym się w niej specjalizować, ale nie powiedziałam panu – wykręciła ręce na kolanach – że nie zgłosiłam się z własnej woli.

Zaczyna się, przyszło Joannie do głowy. Pan Mandrake jej kazał. Albo, co gorsza, głosy w jej głowie.

– Mój profesor od psychologii gorąco wierzy, że słuchacze sami powinni być pacjentami, aby po skończeniu studiów mogli wczuwać się w ich

sytuację. – Amelia wpatrywała się w swoje dłonie. – W dodatku stawia oceny za udział w projekcie badawczym. a ja bardzo potrzebuję punktów. Psychologia idzie mi fatalnie. – Spojrzała przepraszająco na Richarda. – Nie powiedziałam panu, bo się bałam, że mnie pan odrzuci.

Odrzuci?, pomyślała Joanna. Takich jak ty powinny być dziesiątki. Studenci zgłaszający się w celu uzyskania lepszej oceny to doskonały materiał. Nie mają żadnych opracowanych planów i nieszczerze interesują się tematyką badań, dzięki czemu istnieje małe prawdopodobieństwo, że znają treść książki Mandrake’a lub innych pozycji o doświadczeniach granicznych.

– Czy profesor wyznaczył panią do udziału w naszych badaniach? – dopytywała się Joanna.

– Nie – odparła Amelia, ponownie wpatrując się w Richarda wzrokiem pełnym skruchy. – Wybieraliśmy dowolny temat, który nas interesuje.

– Interesuje się pani śmiercią kliniczną? – Serce Joanny zamarło.

– Nie, kiedy się zapisywałam, nie miałam pojęcia, że badania mają cokolwiek wspólnego ze śmiercią kliniczną. – Znowu wykręciła ręce. – Uznałam, że to jeden z tych eksperymentów z pamięcią. Nie w tym rzecz, że miałam na to nadzieję. – Zarumieniła się. – Doświadczenia graniczne są znacznie ciekawsze.

Rzuciła Richardowi kolejne spojrzenie. Jej zachowanie zdumiało Joannę.

– Potrzebujemy kopii pani planu zajęć, żebyśmy mogli ustalić odpowiedni termin sesji.

Richard zerknął pytająco na Joannę, która go zignorowała.

– Możemy się spotkać jutro o jedenastej? – spytała.

– Tak – ochoczo przytaknęła Amelia. – Nawet dzisiaj mogę zostać na jedną sesję, jeśli to państwu odpowiada.

– Świetnie – zgodziła się Joanna. – Wobec tego może pójdzie się pani rozebrać? – Wstała, wciąż unikając wzroku Richarda, i skierowała się do stołu do badań.

– Wiem, gdzie co jest – oświadczyła Amelia, zgarnęła ze stołu stertę ubrań i zniknęła w przebieralni.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – odezwał się Richard, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. – Widziałas jej reakcję, kiedy ją spytaś, dlaczego się zgłosiła do badań? Naprawdę się zdenerwowała. Nie sądzę, żeby mówiła prawdę.

– Bo nie mówiła – potwierdziła Joanna. – Mam ci pomóc przy przygotowywaniu urządzenia?

– Skoro kłamała, to skąd wiesz, czy nie jest jedną z wysłanniczek Mandrake’ a?

– Bo to było peryferyjne kłamstwo – wyjaśniła. – Kłamała z osobistego powodu, który nie ma nic wspólnego z problematyką naszych badań. W zagadkach kryminalnych takie kłamstwa zawsze wpędzają ludzi w kłopoty. – Uśmiechnęła się do niego. – Ona nie jest Prawdziwą Wyznawczynią. Jej charakterystyka osobowości jest błędna, podobnie jak opis pierwszych doświadczeń granicznych. Sprawdziłam informacje o Amelii, a przeprowadzony z nią wywiad potwierdził to, co spostrzegłam przy pierwszym spotkaniu. Jest dokładnie tym, kim mi się wydała: słuchaczką studium medycznego, usiłującą podwyższyć sobie ocenę końcową.

– Wobec tego w porządku. Świetnie. Zaczynamy. Sprowadzę siostrę Hawley.

Wyszedł z laboratorium. Po chwili z przebieralni wyłoniła się Amelia, ubrana w szpitalną koszulę nałożoną na dzinsy i z maską do spania zwisającą na szyi. Rozejrzała się pytająco.

– Doktor Wright poszedł po asystentkę – wyjaśniła Joanna.

– To dobrze. – Amelia zbliżyła się do Joanny. – Nie chciałam pani mówić, kiedy był w pobliżu. Przedtem nie powiedziałam prawdy. O tym, dlaczego wybrałam ten projekt.

Nic wolno mi niczego sugerować, przykazała sobie Joanna, zwłaszcza że wydaje mi się, że znam wytłumaczenie. Amelia pochyliła głowę tak samo, jak wcześniej.

– Prawdziwy powód to doktor Wright. Uważam, że jest przystojny. To mnie nie dyskwalifikuje jako ochotniczki, prawda?

– Bynajmniej – stwierdziła Joanna. Właśnie to podejrzewała. – On jest przystojny.

– No właśnie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak cudownie... – Przerwała w pół zdania i obydwie odwróciły głowy w stronę drzwi.

– Nie znalazłem siostry Hawley – oznajmił Richard. – Muszę jej wysłać wiadomość na pager. – Podeszedł do telefonu. – Powinienem zatrudnić asystentkę na stałe. – Wystukał numer.

– Skoro czekamy – odezwała się Joanna – może opowie mi pani, co pani widziała podczas pierwszej sesji?

– Kiedy po raz pierwszy tam trafiłam? – spytała Amelia, a Joanna zastanowiła się, czy w jej słowach nie kryła się dwuznaczność. – Za pierwszym razem ujrzałam jasne światło. Tak jasne, że niczego nie widziałam. Za drugim razem światło nie było już tak jasne i dostrzegłam ludzi.

– Może pani mówić bardziej szczegółowo?

– Nie za bardzo. Chodzi o to, że niezbyt dobrze ich widziałam z powodu światła, ale wiedziałam, kim są.

– Ile osób pani dostrzegła?

– Trzy. – Amelia podniosła wzrok, jakby przypominając sobie całą scenę. – Nie, cztery.

– I co robiły?

– Nic – wyjaśniła Amelia. – Po prostu stały i czekały.

– Czekały?

– Tak. Wydaje mi się, że czekały na mnie. Wpatrywały się.

Wpatrywanie się i czekanie to nie to samo.

– Czy odczuwała pani cokolwiek w związku z tym, co pani widziała?

– Tak, było mi ciepło i... – zawahała się – ...spokojnie.

„Ciepło” i „spokojnie” to słowa często używane przez osoby po doświadczeniach granicznych, pragnące opisać to, czego doznały, podobnie jak określenia: „bezpieczny” oraz „otoczony miłością”. Te uczucia również kojarzyły się z wyzwoleniem endorfin.

– Czy może pani opisać swoje odczucia innymi słowami?

– Tak – potwierdziła Amelia, lecz na kilka sekund zapadła cisza. – Pogodnie – stwierdziła wreszcie, ale zastosowała rosnącą intonację, jakby stawiała pytanie. – Przyjemnie – dodała z większą pewnością. – Zupełnie, jakbym siedziała przed ogniem. Albo owinęła się kocem. – Uśmiechnęła się na wspomnienie doznania.

– Co się stało po tym, jak ujrzała pani postaci zalane światłem?

– Nic. Tylko tyle pamiętam, światło i osoby stojące tam w oczekiwaniu.

Podszedł do nich Richard. Wyglądał na zirytowanego.

– Siostra Hawley nie odbiera wiadomości. Musimy sobie poradzić bez niej. Pani Amelio, proszę zająć miejsce na stole.

Amelia wskoczyła na stół do badań i położyła się na plecach.

– O, świetnie. Zasłonili państwo światło. Ciągłe mnie oślepiało.

Richard posłał Joannie spojrzenie pełne aprobaty i podniósł czujnik poziomu tlenu, który następnie przypiął do palca Amelii. – Cały czas

kontrolujemy tętno i ciśnienie krwi.

Podszedł do pulpitu i coś napisał na klawiaturze. Włączyły się ustawione wyżej monitory. Na dolnym ekranie z prawej pojawiły się zmieniające się odczyty. Poziom tlenu 98 procent, tętno 67. Wrócił do stołu.

– Pani Amelio, teraz przymocuję elektrody.

– Dobrze – zgodziła się.

Richard rozchylił kołnierz koszuli dziewczyny i przyłożył elektrody do jej klatki piersiowej.

– Dzięki nim kontrolujemy częstotliwość i rytm uderzeń serca – wyjaśnił Joannie. Wokół ramienia Amelii owinął opaskę do mierzenia ciśnienia krwi.

– W porządku – zwrócił się do ohotniczki. – Pora zasłonić oczy maską.

– Dobrze – padła odpowiedź i Amelia lekko uniosła głowę, aby starannie włożyć maskę. Następnie położyła się z powrotem. Richard zaczął przyczepiać elektrody do jej skroni i czaszki. – Zaraz! – Amelia nagle usiadła.

– Co się stało? – spytała Joanna. – Coś nie tak?

– Owszem – potwierdziła Amelia. Lewą ręką wymacała spinkę, zdjęła ją i rozpuściła swoje długie włosy. – Przepraszam, wbijała mi się w tył głowy – wytłumaczyła, kładąc się z powrotem. – Mam nadzieję, że niczego nie odczepiłam?

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Richard, ponownie przyczepiając elektrody do jej skroni. Mniejsze czujniki przymocował do skóry na głowie.

Joanna wpatrywała się w Amelię, gdy leżała z czarnymi włosami rozpuszczonymi wokół bladej twarzy. Wyglądała jak śpiąca królewna, pomyślała i zastanowiła się, czy ta bajkowa postać miała jakieś wizje podczas swojej stuletniej śpiączki. A jeśli tak, czego dotyczyły? Widziała tunele i światło albo łódkę na jeziorze?

Do laboratorium wpadła pielęgniarka w średnim wieku.

– Przepraszam za spóźnienie. Byłam z pacjentem.

– Proszę przygotować kroplówkę z roztworem fizjologicznym – przykazał Richard, podnosząc krawędzie maski Amelii, aby w kącikach oczu przyczepić elektrody. – Te elektrody rejestrują ruchy oczu w czasie, kiedy badana znajduje się w fazie REM.

Pielęgniarka obwiązała ramię Amelii gumową rurką i ze znanostwem wbiła igłę w żyłę. Richard podniósł drugą rękę dziewczyny i podłożył pod nią pięciocentymetrowej grubości gąbkę. Aby ograniczyć bodźce z

zewnątrz, pomyślała Joanna i przyglądała się, jak lekarz wsuwa takie same skrawki gąbki pod kolana i nogi ochotniczki.

– Kroplówka gotowa? – Richard spytał pielęgniarkę. – W porządku, podajemy znacznik. – Pochylił się nad Amelią. – Coś panią boli? Coś kłuje? Ciągnie? Drażni?

– Nie. – Amelia uśmiechnęła się w przestrzeń. – Czuję się dobrze.

– Wspaniale. – Podniósł słuchawki, podłączył je do gniazdka i założył. Przez chwilę nasłuchiwał, a następnie zdjął i przysunął do Amelii. – Jesteśmy gotowi – oznajmił. – Założę pani słuchawki na głowę. Zaczynamy?

– Mogę dostać koc? – spytała Amelia. – Zawsze robi mi się zimno.

Zimno?, zastanowiła się Joanna. Wcześniej mówiła, że czuje się ciepło i przytulnie. Joanna przypomniała sobie Lisę Andrews, która drżała, opowiadając, jak jej było ciepło i bezpiecznie.

– Kiedy robi się pani zimno, Amelio? – zainteresowała się.

– Potem. Kiedy się budzę, marznę na kość.

– Gdy się leży, temperatura ciała ulega obniżeniu – odezwała się siostra Hawley, a Joanna miała ochotę ją udusić.

– Budzi się, a potem marznie, czy też jest pani zimno już wtedy, gdy się pani budzi?

– Nie wiem. Chyba potem. – W jej głosie wciąż pobrzmiwała wątpliwość.

Richard przykrył ciało Amelii białym bawełnianym kocem, pozostawiając odkrytą rękę z kroplówką.

– I jak? – zapytał.

– Dobrze.

– W porządku, zakładam pani słuchawki. – Umieścił je na głowie Amelii odwrotnie, tak aby pałąk znajdował się pod brodą. Aby nie zakłócały pracy skanera, pomyślała Joanna.

– W słuchawkach słyhać biały szum – wyjaśnił Joannie Richard. – W ten sposób maskujemy wszelkie hałasy dobiegające do ucha środkowego, między innymi odgłosy z zewnątrz. Pani Amelio? – powiedział głośno. Brak odpowiedzi. – Dobrze – stwierdził i obszedł Joannę, aby zdjąć zasłony z kartonu, umieszczone przed skanerem. – Gotowa?

– Tak – potwierdziła Joanna, lecz gdy spojrzała na Amelię leżącą nieruchomo i w milczeniu pod białym kocem, z czarnymi włosami

rozrzuconymi wokół głowy, poczuła dreszcz niepokoju. – Jesteś pewien, że badanie jest bezpieczne?

– Jestem. I nie musisz szeptać. Amelia cię nie słyszy. Nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

To samo myśleli pasażerowie *Hindenburga*. A pan O'Reirdon musiał być reanimowany w trakcie takiego samego badania.

– Co się stanie, jeśli cokolwiek pójdzie niezgodnie z planem, kiedy Amelia będzie po Tamtej Stronie?

– Specjalny program cały czas kontroluje informacje o procesach życiowych i obrazach ze skanera – uspokoił Joannę. – Wszelkie odstępstwa od normalnego funkcjonowania mózgu lub serca uruchamiają alarm w komputerze, który automatycznie wstrzymuje podawanie ditatminy i zaczyna wstrzykiwać noradrenalinę. Jeśli problem jest poważny, komputer może uruchomić alarm dla zespołu reanimacyjnego.

– Na tym piętrze? – Joanna wyobraziła sobie ludzi z przyrządami do reanimacji, którzy usiłują dotrzeć tutaj z czwartego piętra w zachodnim skrzydle.

– Na tym piętrze – potwierdził Richard. – W tym skrzydle. Ale nie skorzystamy z jego usług. Badanie jest całkowicie bezpieczne, a ochotnik stale kontrolowany podczas sesji i po jej zakończeniu.

– Chyba powinnam powiedzieć, że nic się nie dzieje! – krzyknęła Amelia, z powodu słuchawek nie kontrolując siły swojego głosu.

Richard odrobinę podniósł jedną słuchawkę i powiedział:

– Zaraz się zacznie. – Następnie starannie umieścił słuchawkę na miejscu. – Uważasz, że powinniśmy podjąć jakieś inne środki ostrożności? – zwrócił się do Joanny.

Tak, pomyślała Joanna.

– Nie.

– No dobrze, więc zaczynamy – zarządził. – Siostrze, zalepam. Najpierw wprowadzam badanych w fazę snu płytkiego – wyjaśnił Joannie – chociaż istnieje możliwość wywołania stanu śmierci klinicznej bez tego.

Siostra Hawley rozpoczęła podawanie środka. Richard zajął miejsce przed pulpitem. Po minucie ręce Amelii się odprężyły, a palce lekko rozsunęły. Jej twarz, do połowy ukryta pod maską i elektrodami, również wydawała się odprężona, usta były lekko rozchylone, a oddech płytszy. Joanna spojrzała na odczyty. Tętno Amelii podskoczyło nieznacznie, a fale mózgowe się spłyciły.

– Zwróć uwagę, jak aktywność przesuwa się z kory motorycznej i sensorycznej do międzymózgowia – zauważył Richard, wskazując na ekrany. – Znajduje się w fazie snu płytkiego. Dobrze, podaję dithetaminę. Patrz. – Raz jeszcze pokazał obraz, gdzie barwa przedniej części płata skroniowego zaczęła się zmieniać z żółtej na czerwoną. – Płat skroniowy przyjmuje charakterystyczny wygląd dla stanu przeżywania doświadczeń granicznych – stwierdził, kiedy płat skroniowy przybrał czerwoną barwę. – Startujemy.

– Ona ma teraz doświadczenia graniczne? – Joanna spojrzała na obraz, a potem z powrotem na Amelię. – W tej chwili?

Pokiwał głową.

– Powinna wpatrywać się w światło i czuć ciepło oraz spokój.

Joanna zapatrzyła się na Amelię. Nie zauważała żadnych oznak tego, że badana widzi tunel lub intensywne światło; podobnie jak w wypadku Carla Śpiączki i Grega Menottiego, nie miała też poczucia, że Amelia jest gdzieś daleko, całkowicie nieosiągalna. Wyglądała po prostu na pogrążoną we śnie, z ustami ciągle lekko rozchylonymi, odprężoną twarzą. W żaden sposób nie okazywała swoich przeżyć.

Joanna zerknęła na monitor, lecz jaskrawe plamy błękitu, czerwieni i żółci nie podpowiedziały jej nic więcej niż wyraz twarzy Amelii.

Richard stwierdził, że aktywność mózgu i podstawowe oznaki życia znajdują się pod kontrolą, a alarm włączy się przy każdej zmianie w ciśnieniu krwi lub funkcjonowaniu mózgu, lecz co się stanie, jeśli taka zmiana nie pojawi się na monitorach? Czternaście procent ludzi po śmierci klinicznej twierdziło, że ich doświadczenia były przerażające, widzieli diabły, potwory i duszącą ciemność. A jeśli Amelia przechodziła teraz przez coś koszmarnego i nie miała jak ich o tym poinformować?

Nie wyglądała na przerażoną. W rzeczywistości lekko się uśmiechała, jakby widziała coś przyjemnego. Anioły? Niebiańskie chóry?

– Ile trwają doświadczenia graniczne? – spytała Joanna.

– To zależy. – Richard nie oderwał wzroku od pulpitu. – U pana O'Reirdona trwały trzy minuty, lecz nie ma żadnego fizycznego powodu, aby nie dochodziły do dziesięciu, piętnastu minut.

Przyszło jej do głowy, że przecież w ciągu czterech, sześciu minut mózg obumiera. Wciąż nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą przypadek prawdziwej śmierci klinicznej, a nie symulacji.

– Teoretycznie może trwać tak długo, jak długo podawana jest dithetamina, lecz przez połowę czasu... cholera!

– Co jest? Coś niedobrze? – Joanna z niepokojem wbiła wzrok w monitory, a potem w Amelię.

– Spontanicznie się ocknęła – wyjaśnił Richard. – Nie wiem, czy pojawił się problem z dozowaniem, czy też ma to związek z doświadczeniami granicznymi. Między innymi musimy ustalić, co wyrzuca badanych ze stanu śmierci klinicznej i przywraca im przytomność.

– Ocknęła się?

– Nie. – Richard spojrział na monitory. – Ponownie znalazła się w fazie płytkiego snu.

Joanna zapatrzyła się w Amelię. Ręce dziewczyny nieruchomo spoczywały na gąbce. Z twarzy badanej nie zniknął lekki uśmiech.

– Jeśli jest to wywoływane przez doznania – ciągnął Richard – możemy mieć do czynienia z tym samym mechanizmem, który przywraca do życia osoby w stanie śmierci klinicznej, a w takim wypadku...

Rozległ się dźwięk.

– Pst – syknęła Joanna i pochyliła się nad Amelię.

– Obudziła się? – zapytał Richard, patrząc na ekrany. – Nie powinna. Zgodnie z obrazami wciąż znajduje się w fazie płytkiego snu.

– Pst – powtórzyła Joanna i przysunęła ucho do ust Amelii.

– O nie – mamrotała Amelia zachrypniętym i zrozpaczonym głosem. – O nie, o nie, o nie.

Rozdział 8

„Śmierć jest także wielką przygodą”.

Ostatnie słowa broadwayowskiego producenta Charlesa Frohmana, który zacytował książkę *Piotruś Pan*, autorstwa swojego bliskiego przyjaciela Jamesa Barriego, na krótko zanim zatonął na Lusitanii

Amelia Tanaka nie zapamiętała niczego złego ze swoich doświadczeń granicznych.

– Wszystko było tak jak ostatnio – wyjaśniła Joannie. – Widziałam światło i ogarnęło mnie cudowne uczucie.

– Może je pani opisać?

– Uczucie? – spytała rozmarzona Amelia. – Spokój... bezpieczeństwo. Czulałam się tak, jakbym zanurzyła się w miłości.

Nie wyglądałaś tak, jakbyś się zanurzyła w miłości, pomyślała Joanna. Zachowywałaś się, jakby cię ogarnęło przerażenie.

– Czy to uczucie towarzyszyło pani przez cały czas?

– Tak.

Joanna tymczasowo dała za wygraną.

– Może pani opisać światło?

– Było piękne. Jasne, ale nie raziło mnie w oczy.

– Jakiego było koloru?

– Białe. Jak lampa, tylko jaśniejsze – stwierdziła i zmrużyła oczy, jakby wbrew jej słowom światło ją raziło.

– Czy przez cały czas widziała pani światło?

– Nie, na początku nie, dopiero kiedy otworzyli drzwi.

Richard spojrział uważnie na Joannę. Muszę mu powiedzieć, że nie może uczestniczyć w wywiadach, przyszło jej do głowy.

– Gdzie się znajdowały drzwi? – spytała spokojnie.

– Na końcu tego... no nie wiem. – Amelia zmarszczyła brwi. – Znajdowałam się w korytarzu albo w tunelu, albo... – Pokręciła głową.

Joanna czekała, dając jej czas na dokończenie zdania. Kiedy to nie nastąpiło, odezwała się:

– Powiedziała pani: „Otworzyli drzwi”. Może to pani wyjaśnić?

– Hm, właściwie nie widziałam, żeby ktokolwiek otwierał drzwi. Było ciemno, a potem nagle zrobiło się jasno, jakby ktoś otwierał drzwi w nocy i wpuszczał światło. Myślałam... – Ponownie zmrużyła powieki i pokręciła głową. – Widziałam światło.

– Słyszała pani coś?

Przecząco potrząsnęła głową.

– Na samym początku rozległ się dźwięk.

– Może go pani opisać?

– To było... – Dzwonienie albo brzęczenie, pomyślała z rezygnacją Joanna. – Nie potrafię tego opisać. Usłyszałam dźwięk, a potem znalazłam się w korytarzu, otworzyły się drzwi i widziałam światło. Wszystko wyglądało bardzo realistycznie.

– Jak bardzo realistycznie?

– Nie przypominało snu. Naprawdę się tam znajdowałam. – Kiedy Joanna usiłowała wydobyć z niej informacje o wrażeniach dotykowych i czuciowych, opisy Amelii ponownie zrobiły się niejasne. – Wszędzie otaczało mnie światło. Było mi ciepło i... przyjemnie.

– A zanim pojawiło się światło? Kiedy zapadła ciemność?

– Spokojnie. – Amelia się uśmiechnęła.

– Zdawała sobie pani sprawę z temperatury?

– Nie, zupełnie nie.

Przed chwilą twierdziłaś, że było ciepło, pomyślała Joanna, lecz nie powiedziała tego głośno. Skoncentrowała się na pytaniach dotyczących drzwi i ludzi w bieli, a po kilku minutach wróciła do odczuć, lecz Amelia tylko powtórzyła, że czuła spokój oraz ciepło i że było jej przyjemnie.

– Ciepło otaczało mnie tak jak światło – wyjaśniła. – A potem pan doktor zdejmował mi słuchawki i pytał, jak się czuję.

Joanna oznajmiła, że nie ma więcej pytań.

– Kiedy będę mogła znowu się tam wybrać? – spytała ochoczo Amelia, a później, kiedy się ubrała, ponowiła pytanie: – Kiedy jest moja następna sesja? – Zrzuciła plecak na ramiona. – To znacznie fajniejsze niż biochemia.

– Joanno, świetnie się spisałaś – oświadczył Richard, gdy tylko zamknęły się drzwi za Amelią. – Nie mogę uwierzyć, jak dużo z niej

wyciągnęłaś.

– Nie dowiedziałam się, dlaczego mówiła: „O nie, o nie, o nie”.

– To może stanowić element procesu wybudzania, a nie doświadczeń granicznych. Pan Wojakowski powiedział coś, kiedy po raz pierwszy wychodził z dithetaminy.

– Co takiego? – zainteresowała się Joanna.

– Nie pamiętam. O ile go znam, pewnie miało to coś wspólnego z *Yorktown*.

– Czy wyglądał na przestraszonego, kiedy to mówił?

– Nie sądzę. Nie przypominam sobie. Może pielęgniarka będzie pamiętała. Jej nazwisko znajdziesz w dokumentacji z sesji. Wiesz, to nie mogło mieć związku ze śmiercią kliniczną. Ludzie wprowadzeni w taki stan nie mogą mówić. Kora mózgu, między innymi korowy ośrodek mowy są wyłączone.

Joanna doszła do wniosku, że przecież to mogą być bezpośrednio doświadczenia graniczne, pojawiające się tuż po przebudzeniu. Wspomnienia zupełnie odmienne od tych, o których opowiadała.

– Najbardziej interesuje mnie, czy wspomnienia Amelii są zbliżone do opisów przedstawianych przez innych twoich badanych – oświadczył Richard.

– Wspomniała o trzech zasadniczych elementach z dziesięciu: dźwięku, świetle i poczuciu spokoju.

– Oraz o tunelu.

– Mówiła o nim zbyt niejasno – zaprzeczyła Joanna. – Nie potrafiła opisać ani ciemności, ani tunelu czy korytarza, a poza tym nie wspomniała nawet o nim, dopóki nie spytałam, czy przez cały czas towarzyszyło jej światło. Między dźwiękiem i światłem mogła się znajdować pustka, a Amelia wymyśliła coś, żeby ją zapełnić.

– Skoro nie liczysz tunelu, bo nie potrafiła go opisać, to co z dźwiękiem? Jego też nie potrafiła opisać.

– Nikt nie potrafi precyzyjnie opisać dźwięku – wyjaśniła Joanna. – Większość osób po doświadczeniach granicznych w ogóle nie potrafi nic powiedzieć na jego temat, a ci, którzy potrafią, przy pierwszym pytaniu twierdzą, że to dzwonienie, przy drugim – świst, wrzask albo skrobanie. Albo wszystko naraz. Pan Steinhorst stwierdził, że dźwięk brzmiał tak, jakby ktoś szeptał, a kiedy go ponownie o to spytałam, porównał ten odgłos

z rozsypującym się stosem konserw w sklepie. Nie sądzę, aby mieli jakiegokolwiek pojęcie o tym, co słyszeli.

– Czy tak samo niespójnie opisują to, co widzieli?

– Tak i nie. Są bardziej konsekwentni, ale używają niejasnych i ogólnych sformułowań, chyba że pytania zadaje pan Mandrake. Światło jest „jasne”, a miejsce, w którym przebywają, „piękne”. Rzadko kiedy padają konkretne określenia związane z czuciem lub kolorami, z wyjątkiem barwy białej i złotej.

– To może wskazywać, że korowy ośrodek rozumienia mowy jest zaangażowany jedynie w minimalnym stopniu – zanotował sobie Richard. – Z tego samego powodu mogą się pojawiać niejasności w opisywaniu dźwięku.

– To nie to samo – zaprzeczyła. – Kiedy opisują, co widzieli, wysławiają się niejasno, ale wiedzą, co widzieli, nawet jeśli z trudem to opisują. Co się tyczy dźwięku, najwyraźniej nie mają pojęcia, co słyszeli. Odnoszę wrażenie, że zgadują.

– Wspomniałaś o trzech z dziesięciu zasadniczych elementów – przypomniał Richard. – Czy większość badanych opisuje całą dziesiątkę?

– Tylko osoby, z którymi rozmawiał pan Mandrake. Większość moich pacjentów wspomina od dwóch do pięciu elementów. Są tacy, którzy wymieniają tylko jeden. Albo żadnego – dodała, przypomniawszy sobie Maisie i widzianą przez nią mgłę. – Najpopularniejsze są te same trzy, które opisała Amelia, plus poczucie obecności ludzi lub „istot”.

– Widziałaś coś, co wskazywało, że Amelia nie miała doświadczeń granicznych? Zainteresowało cię, że się wydawała przestraszona. Czy lęk jest wskazówką, że nie mamy do czynienia z doświadczeniami granicznymi?

– Nie, dwadzieścia procent moich pacjentów odnotowało negatywny element, taki jak strach lub niepokój albo wrażenie nadchodzącej zagłady.

– Zrozumiałe w takich okolicznościach – podsumował Richard.

– Jedenaście procent osób wskazywało na całkowicie negatywne doświadczenie: szarą, przygnębiającą pustkę lub przerażające postaci. Tylko jeden pacjent trafił do tradycyjnie pojmowanego piekła, z płomieniami, dymem i potworami – zachmurzyła się Joanna. – Ale Amelia stwierdziła, że nie odczuła niczego negatywnego. Zazwyczaj, jeśli badani wspominają o negatywnym odczuciu, nie mówią jednocześnie o spokoju i cieple.

– Ciekawe – wtrącił się Richard. – To może oznaczać, że w wypadku niektórych śmierci klinicznych poziom endorfin jest niższy i nie potrafi całkowicie zamaskować niepokoju. Przyjrę się zdjęciom receptorów endorfin u Amelii – oświadczył i podszedł do pulpitu. – Czy jeszcze z jakiegoś powodu uznałaś, że to nie są doświadczenia graniczne?

– Nie, nie pojawiły się żadne anomalie i nic nie wskazywało na to, że Amelia doświadcza innych wrażeń – nałożonej wizji lub snu. Prawdę mówiąc fakt, że uparcie twierdziła, iż to nie sen, jest powszechnym zjawiskiem wśród osób po doświadczeniach granicznych. Niemal wszyscy moi pacjenci mówili coś, co wskazywało na realizm przeżyć, i wręcz niepokoiły ich sugestie, że może to tylko sen lub wizja. Pamiętam, jak pan Farquahar krzyczał: „Byłem tam! To prawda! Wiem!”

– Więc z całą pewnością uważasz, że to były doświadczenia graniczne? – spytał Richard.

– Tak uważam, zgadza się. Jej opis brzmiał tak, jakby prezentował go jeden z moich uratowanych pacjentów.

– Ale przecież nie był zbyt szczegółowy, prawda? Nie sądzisz, że ona może być szpiegiem Mandrake’a i nas okłamywać?

– Gdyby należała do szpiegów Mandrake’a – roześmiała się – wymieniałaby wszystkie dziesięć elementów i przyniosła wiadomość z Tamtej Strony, głoszącą, że istnieją rzeczy, których nauka nie potrafi wyjaśnić. – Joanna wstała. – Lepiej będzie, jeśli spiszę treść wywiadu, zanim zapomnę szczegółów. Poza tym muszę się umówić na rozmowy z trzema pozostałymi ochotnikami. – Zebrała dokumenty. – W razie czego znajdziesz mnie w moim gabinecie, ale jesteśmy umówieni na jutro.

– Jutro? – zdumiał się Richard.

– Tak. Czemu? Zaplanowałaś coś na dzisiejsze popołudnie i potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie. – Zmarszczył czoło. – Nie. Przyjrę się zdjęciom receptorów, a potem sprawdzę wyniki Amelii, żeby się przekonać, które endorfiny się pojawiły.

Joanna poszła do gabinetu, żeby przepisać treść rozmowy z Amelią, ale najpierw postanowiła zadzwonić do pozostałych badanych. Umówiła się na rozmowy z panem Sage’em, panią Coffey i panią Troudthaim i przez cały czas usiłowała się dodzwonić do pani Haighton, która najwyraźniej nigdy nie bywała w domu. O czwartej zatelefonowała Vielle.

– Możesz przyjść wcześniej? – spytała. – Powiedzmy o wpół do siódmej?

– Chyba tak – uznała Joanna. – Jeśli chcesz się wcześniej położyć spać, możemy przełożyć spotkanie na inny wieczór.

– Nie – sprzeciwiła się Vielle. – Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

– O czym? – Joanna zrobiła się podejrzliwa. – Ten facet z maszyną do wbijania gwoździ się nie pojawił i nikogo nie zastrzelił, zgadza się?

– Zgadza, za to przyszedł postrzelony przez niego facet i żałuj, że nie widziałas policjanta, którego po niego przysłali. Niesamowity! Metr dziewięćdziesiąt wzrostu i podobny do Denzela Washingtona jak dwie krople wody. Niestety, właśnie wyciskałam ropę z zakażonego palca u nogi i nie mogłam się z nim zapoznać.

– Chciałaś ze mną porozmawiać o Denzelu? – rozbawiła się Joanna.

– Ojoj, pora na mnie. Furgonetka dachowała. No jasne, właśnie w chwili, gdy kończyłam dyżur.

– Jeśli masz się spóźnić – zaczęła Joanna – możemy...

– Wpół do siódmej. Możesz kupić serek homogenizowany? – spytała Vielle i odłożyła słuchawkę.

O co jej chodziło? Wieczór smakołyków był zazwyczaj zupełnie nie zobowiązującym spotkaniem. Przez połowę wieczoru i tak nie włączały wideo, więc jeśli Vielle chciała o czymś pogadać, zawsze miały mnóstwo czasu. Tymczasem teraz robiła wszystko, co się dało, żeby skończyć rozmowę.

Dowiedziała się, co miał na myśli Greg Menotti, i okazało się, że to jest coś strasznego. Tak strasznego, że nie mogła jej powiedzieć na oddziale.

Ale przecież kiedy ją o to zapytała, odniosła wrażenie, że Vielle zupełnie zapomniała o Gregu. Może wynosi się z nagłych wypadków, doszła do wniosku Joanna. No nie, teraz to już zdecydowanie popuściła wodze fantazji.

Spisała wspomnienia Amelii, uzupełniając je własnymi komentarzami. Kiedy dotarła do „o nie”, przerwała, cofnęła taśmę i przesłuchała ją jeszcze dwukrotnie. Lęk i rozpacz, i coś jeszcze. Joanna ponownie przewinęła kasetę i uruchomiła magnetofon. „O nie, o nie, o nie”. Świadomość, uznała Joanna. Zupełnie jakby ktoś powiedział jej coś, czego nie mogła znieść.

Wróciła do laboratorium, pożyczyła od Richarda dokumentację pana Wojakowskiego i sprawdziła nazwisko pielęgniarki, która asystowała podczas jego sesji. Ann Collins. Joanna jej nie знаła. Zadzwoiła do

szpitalnej centrali telefonicznej, aby spytać, na którym piętrze pracuje pielęgniarka. Okazało się, że Ann Collins zakończyła dyżur o trzeciej.

– Ma pani kilka wiadomości – oświadczyła surowo telefonistka.

– Naprawdę? Od kogo? Zdaje się, że mój pager się popsuł.

Telefonistka wyliczyła dzwoniących: pan Mandrake, jakżeby inaczej, a także pani Davenport i Maisie.

– Prosiła, żeby przekazać, że znalazła coś ważnego o... – zawahała się – ...o Hildebrandzie?

– *Hindenburgu* – poprawiła Joanna. Spojrzała na zegarek. Minęła piąta. Jeśli teraz pójdzie do Maisie, na pewno u niej utknie, a jeszcze nie zdążyła spisać swoich wniosków. Postanowiła najpierw zakończyć sprawozdanie, a do Maisie wpaść przed wyjściem.

Zanim opuściła gabinet, jeszcze raz zatelefonowała do pani Haighton i ku swojemu zdumieniu usłyszała głos w słuchawce.

– Mówi jej gospodyni. Pani Haighton pojechała na zebranie Klubu Symfonicznego. Czy to Victoria? Kazała pani przekazać, że spóźni się na jutrzejsze spotkanie z powodu zebrania Opery Kolorado.

– Nie, to nie Victoria – wyjaśniła Joanna i poprosiła o przekazanie pani Haighton, aby do niej jutro zadzwoniła. Następnie wzięła płaszcz i torbę i poszła do Maisie. Kiedy wyszła z windy na czwartym piętrze, spostrzegła idącego korytarzem pana Mandrake'a, który objaśniał pacjentowi na wózku problemy życia po życiu. Joanna w panice cofnęła się do windy, nacisnęła przycisk drugiego piętra i przeszła do sąsiedniego skrzydła. Po drodze minęła internę i oddział poparzeń, a następnie weszła po schodach technicznych na czwarte.

Maisie leżała na poduszkach i czytała *Piotrusia Pana*. Scena wyglądała bardzo niewinnie, lecz wyczuwało się w niej posmak tajemnicy, pośpiesznego ruchu, jakby Joanna przyłapała dziewczynkę na robieniu fikołków lub zwisaniu na drążku nad łóżkiem.

– Dzwoniłaś, dzieciaku? – spytała Joanna, a Maisie momentalnie zamknęła książkę i usiadła.

– Dzień dobry! – wykrzyknęła radośnie. – Wiedziałam, że pani przyjdzie. Siostra Barbara nie chciała wysłać pani wiadomości na pager, ale powiedziałam jej, że chciałaby pani o tym wiedzieć natychmiast. Pamięta pani tego faceta z *Hindenburga*, który miał doświadczenia graniczne?

– Tak. Dowiedziałaś się, jak się nazywał?

– Jeszcze nie – zaprzeczyła Maisie – ale znalazłam na to sposób. Bibliotekarka z mojej szkoły, pani Sutterly, zawsze przynosi mi książki do czytania, więc następnym razem, kiedy przyjdzie, poproszę ją, żeby to sprawdziła. Ona świetnie wyszukuje rozmaite informacje.

A ty świetnie wymyślasz powody, żeby mnie tutaj ściągnąć, dopowiedziała w myślach Joanna.

– Dobry pomysł, prawda? – dopytywała się Maisie.

– Świetny. Kiedy się czegoś od niej dowiesz, koniecznie prześlij mi wiadomość na pager. – Tylko nie wcześniej, pomyślała i podeszła do drzwi.

– Niech pani zaczeka, nie może pani jeszcze iść – sprzeciwiła się Maisie.

– Dopiero pani przyszła. Mam pani mnóstwo do powiedzenia.

– Dwie minuty – przykazała Joanna. – Potem muszę iść.

– Umówiła się pani na randkę?

– Nie, na wieczór smakołyków.

– Wieczór smakołyków? Co to takiego?

Joanna wyjaśniła, jak spotyka się z Vielle przy popcornie i filmach na wideo.

– Dlatego naprawdę muszę iść. – Poklepała stopy Maisie przez koc. – Trzymaj się, mała. Przyjdę do ciebie jutro, żebyś opowiedziała mi o *Hindenburgu*.

– Nie o *Hindenburgu* – zaprzeczyła Maisie. – To mnie już nie interesuje.

– Jak to? – Joanna posłała jej zdumione spojrzenie. Czy to możliwe, aby katastrofy stały się zbyt okropne nawet dla Maisie?

– Znudziłam się.

– Więc co teraz czytasz? – Joanna sięgnęła po porzuconą na łóżku książkę. – *Piotruś Pan*. Dobra lektura, prawda?

Maisie wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że fragment, w którym Dzwoneczek o mało co nie umiera, a udaje się jej przeżyć tylko dlatego, że wszyscy zaczynają wierzyć w duchy, jest głupi.

Można się było spodziewać, pomyślała Joanna.

– Podoba mi się fragment o tym, jak Piotruś Pan twierdzi, że śmierć jest także wielką przygodą. Wiedziała pani, że na pokładzie *Lusitanii* podróżowało bardzo dużo niemowląt?

– *Lusitanii*? Chodzi ci o ten statek storpedowany przez Niemców podczas pierwszej wojny światowej?

– Tak – zaświergotała radośnie dziewczynka. Sięgnęła pod koc i wydobyla stamtąd ogromną książkę ze zdjęciem trąby powietrznej na okładce. Joanna zrozumiała, dlaczego wchodząc miała poczucie, że chwilę wcześniej coś się tu działo.

– Te wszystkie dzieci płynęły na statku – oznajmiła Maisie i otworzyła książkę. – Do ich łózek przywiązano kamizelki ratunkowe, ale to nic nie dało. I tak wszystkie utonęły.

Tyle tytułem teorii zbyt okropnych katastrof.

– To są Dean i Willie. – Maisie pokazała Joannie zdjęcie dwóch chłopców w białych ubrankach marynarskich. – Oni też utonęli. A tutaj jest pogrzeb. – Joanna pilnie spozrzała na fotografię rzędu księży w komzach stojących nad licznymi trumnami.

– Jeden ze stewardów na *Lusitanii* przez cały czas powtarzał, że wszystko jest w porządku, że nie toną i nie ma się czym przejmować – powiedziała Maisie. – Nie powinien był tego robić, prawda?

– Nie, jeśli statek tonął.

– Nie cierpię ludzi, którzy kłamią. Pamięta pani psa Ulla z *Hindenburga*?

– Tego owczarka niemieckiego?

Maisie skinęła głową.

– Wcale się nie uratował. Mama i tata tylko powiedzieli dzieciom, że przeżył. Tak naprawdę się spalił, a mama i tata kupili innego owczarka niemieckiego i wmówili dzieciom, że to Ulla. Żeby im nie było smutno. – Spozrzała wyzywająco na Joannę. – Uważam, że rodzice nie powinni mówić dzieciom kłamstw o umieraniu, prawda?

– Zgadza się – potwierdziła Joanna, zaniepokojona przebiegiem rozmowy i następnym pytaniem Maisie.

– Na *Lusitanii* podróżował pudel – oświadczyła dziewczynka i pokazała Joannie zdjęcie psa oraz ciał wyrzuconych przez fale na brzeg, a także spowitej dymem i ogarniętej płomieniami *Lusitanii*, która pogrążyła się w wodzie.

– Muszę już iść, Maisie. Powiedziałam przyjaciółce, że kupię serek homogenizowany, i po drodze muszę wpaść do sklepu.

– Serek homogenizowany? Zdawało mi się, że mówiła pani o popcornie.

– Zwykle jemy popcorn – potwierdziła Joanna i znowu zaczęła się zastanawiać, o co chodzi Vielle i o czym chce porozmawiać, skoro umówiła

się z nią tak wcześnie. – Ale tym razem jemy serek i muszę go gdzieś kupić. – Joanna pomaszerowała do drzwi.

– Niech pani zaczeka! – krzyknęła Maisie. – Muszę pani opowiedzieć o Helen.

– O Helen?

– Takiej małej dziewczynce z *Lusitanii* – wytłumaczyła Maisie i zaczęła trajkotać, zanim Joannie udało się cokolwiek powiedzieć. – Wszędzie szukała swojej mamy, ale nigdzie nie mogła jej znaleźć, więc pobiegła do jednego mężczyzny i powiedziała: „Proszę pana, może mnie pan wziąć ze sobą?”, a on odparł: „Poczekaj tutaj, Helen” i pobiegł poszukać dla niej kamizelki ratunkowej.

I nigdy już nie zobaczył Helen, dopowiedziała w myślach Joanna, wiedząc, jakiego rodzaju opowieści interesują Maisie. O dziwo, tym razem dalszy ciąg wyglądał inaczej.

– ...a potem wrócił, zapiął jej kamizelkę, podniósł ją i pobiegł znaleźć łódź ratunkową, ale marynarze już ją opuszczali na wodę. – Maisie zrobiła dramatyczną przerwę. – Jak pani myśli, co wtedy zrobił?

Starał się uratować dziewczynkę, ale mu się nie udało, pomyślała Joanna, spoglądając na Maisie. I utonęła.

– Nie wiem – odparła Joanna.

– Rzucił Helen na łódź – zatriumfowała Maisie. – I sam skoczył za nią, i oboje ocaleli.

– Podoba mi się ta historia – stwierdziła Joanna.

– Mnie też, bo uratował Helen. Poza tym nikomu nie mówił, że wszystko będzie dobrze.

– Ludzie niekiedy powtarzają takie rzeczy, bo mają nadzieję, że będzie dobrze -wyjaśniła Joanna – albo boją się, że kogoś przestraszą lub zasmuca, jeśli powiedzą mu prawdę. Myślę, że właśnie dlatego rodzice skłamali dzieciom w sprawie Ulli: po prostu chcieli je ochronić.

– Mimo to nie powinni. – Maisie zacisnęła zęby. – Ludzie powinni mówić prawdę, nawet jeśli dzieje się coś złego. Prawda?

– Tak – odpowiedziała Joanna i z zapartym tchem czekała na nieuchronne pytanie, ale Maisie poprosiła tylko:

– Może pani odłożyć moją książkę? Trzymam ją w torbie. Żeby nie bałaganić w pokoju.

I żeby twoja matka cię z nią nie złapała, przyszło Joannie do głowy. Otworzyła szafkę, wsunęła książkę do różowej torby i oddała Maisie

Piotrusia Pana.

W samą porę. Rozpromieniona matka Maisie pojawiła się na progu, trzymając w rękach wielkiego różowego misia.

– Jak się miewa moja stokroteczka Maisie? Pani doktor, niech pani sama przyzna, czyż ona nie wygląda cudownie? – Wręczyła Maisie misia. – O czym rozmawiałyście?

– O psach – wyjaśniła Maisie.

Rozdział 9

*„Mildred, dlaczego moje ubranie nie jest gotowe?
Mam występ o siódmej”.*

Ostatnie słowa komika Berta Lahra

Joanna dotarła do Vielle dopiero za piętnaście siódma.

– Co się stało? – spytała Vielle. – Umówiliśmy się o wpół.

– Maisie mnie zatrzymała. Razem ze swoją mamą – wyjaśniła Joanna, zdejmując płaszcz. – Chciała mi opowiedzieć, jak świetnie się miewa Maisie.

– I co, naprawdę z nią tak dobrze?

– Nie.

Vielle pokiwała głową.

– Barbara powiedziała mi, że umieszczają ją na liście oczekujących na transplantację. Szkoda. Taki fajny dzieciak.

– Fajny – potwierdziła Joanna i zniosła płaszcz do sypialni.

– Przyniosłaś serek? – krzyknęła z kuchni Vielle.

– Co przygotowujesz? – Joanna weszła do kuchni i wręczyła pudełko przyjaciółce.

– Fantastyczny sos – wyjaśniła Vielle, z nożem w ręce pochylając się nad książką kucharską. – Dodałam szynki na ostro. I chili. – Zerknęła na zegar. – Posłuchaj, zaprosiłam cię wcześniej dlatego, żebyśmy mogły porozmawiać, zanim przyjdzie doktor Wright. Jak się dogadujecie?

– Zaprosiłaś Richarda na wieczór smakołyków? – zdumiała się Joanna. – Teraz już wiem, dlaczego tak dziwnie na mnie spojrzał, kiedy mu powiedziałam, że zobaczymy się jutro.

– Richard, tak? Więc jesteście już na ty?

– Nie jesteśmy... – Joanna nagle coś sobie uświadomiła. – To dlatego zadzwoniłaś z oddziału nagłych wypadków, zgadza się? I potem tak dziwnie się zachowywałaś.

– Zadzwoiłam, żeby ci przekazać, że nie mogę znaleźć żadnych filmów, w których nie pojawiłaby się śmierć, i chciałam się dowiedzieć, czy czegoś nie proponujesz – wytłumaczyła Vielle. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła pęczek dymki. – Nie było cię, więc powiedziałam, że kilkoro z nas urzęduje wieczór przekąsek i wideo, a jeśli chce, może się przyłączyć.

– Kilkoro z nas! – wykrzyknęła Joanna. – A kiedy tu przyjdzie, zastanie ciebie i mnie. Nie sądzisz, że od razu się domyśli, że się bawisz w swatkę? A może zamierzasz wręczyć mi dipa z pikantną szynką i wymknąć się tylnymi drzwiami? Nie wierzę, że to zrobiłaś.

– Nie lubisz go?

– Ledwie go znam. Dopiero dwa dni temu zaczęliśmy współpracować.

Vielle potrząsnęła dymką wycelowaną w Joannę.

– Nigdy go nie poznasz, kiedy pielęgniarki ze szpitala wbiją w niego szpony. Wiesz, kto dzisiaj po południu spytał mnie, czy mi jest do wzięcia? Tish Vanderbeck. Nie widzisz jej w pobliżu Wrighta, bo „słabo go zna”. Jeśli pokpisz sprawę, skończysz z kimś pokroju Harveya.

– Harveya? Jakiego Harveya?

– Kierowcy wożącego zwłoki do kostnicy w Fairhill. Usiłuje umówić się ze mną na randkę za każdym razem, gdy przyjeżdża po ciało.

– Jakiś miły facet?

– Wlewa mi balsam do duszy. Wiedziałaś, że w Fairhill najbardziej lubią zatrucie tlenkiem węgla, bo zwłoki nabierają wtedy ślicznego, różowawego koloru, w przeciwieństwie do zwykłych, szarych trupów? Podzielił się ze mną tą przyjemną informacją we wtorek, a potem chciał mnie zabrać na sushi.

We wtorek. Tego dnia zmarł Greg Menotti. Zaciekawilo ją, czy Harvey przyjechał po jego ciało.

– Dowiedziałaś się, czy pięćdziesiąt osiem to liczba z numeru ubezpieczenia Grega Menottiego?

– Grega Menottiego? – powtórzyła Vielle, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego nazwiska. – A tak. Zgadza się, sprawdziłam. Żadnych pięćdziesiątek ósemek. Sprawdziłam też jego adres, biuro, dom i numery komórek, numer ubezpieczenia zdrowotnego...

– A numer ubezpieczenia społecznego?

– Też. Numer rejestracyjny jego samochodu odnotowano na raporcie paramedyków. To też sprawdziłam. Podobnie jak adres jego dziewczyny i numery jej telefonów. Nic. – Vielle pochyliła się, aby wyciągnąć z szafki

deskę do krojenia. – Tak jak ci mówiłam, w skrajnych warunkach ludzie wygadują rzeczy, które nie mają żadnego sensu. Zajmowałam się kiedyś facetem, który wciąż krzyczał: „Lucille”, i wszyscy myśleliśmy, że to jego żona. Okazało się, że wołał psa.

– A więc jednak coś to znaczyło – podsumowała Joanna.

– W tym wypadku może i tak, ale w wielu innych nie. W zeszłym tygodniu przywieźli uraz głowy, który wciąż powtarzał: „wielbłąd”, a to na pewno nie odnosiło się do jego żony czy kota.

– Więc do czego?

– Nie bardzo mieliśmy czas go o to spytać – wyjaśniła krótko Vielle – ale moim zdaniem to nic nie znaczyło. Ludzie tacy jak ten twój zawał nie otrzymują wystarczającej ilości tlenu, są zdezorientowani i ich zachowanie nie ma żadnego sensu.

Miała rację. Umierając, pisarz Tom Dooley powiedział swojemu przyjacielowi, żeby pojechał na lotnisko i zajął mu miejsce w samolocie, a primabalerina Anna Pawłowa przykazała lekarzom, aby przygotowali jej kostium łabędzia.

– Wracając do doktora Wrighta – podjęła Vielle – nie twierdzę, że musisz zaraz brać z nim ślub. Przygotowujemy tylko odpowiednią opcję. W Hollywood robią to bez przerwy. – Położyła cebule na desce, jedną obok drugiej. – Jeśli wybierzesz jakiś scenariusz, nie oznacza to, że zaraz zrobisz z niego film, ale później, jeśli zdecydujesz, że jednak możesz spróbować, masz pewność, że nikt ci go nie podebrał.

– Doktor Wright to nie scenariusz.

– To było tylko porównanie.

Joanna pokręciła głową.

– Metafora. Porównanie to figura stylistyczna złożona z dwóch części, połączonych wyrazami jak lub jakby. Metafora, czyli przenośnia, jest bardziej bezpośrednia. Mój nauczyciel od angielskiego poświęcił cały ostatni rok szkoły średniej na wpajanie mi tej różnicy. – Przerwała, wpatrując się w deskę do krojenia.

– Twój nauczyciel od angielskiego powinien był poświęcić ten czas na ważniejsze rzeczy, takie jak to, że kiedy przychodzi pan Right, czy też doktor Wright, musisz...

Zadzwoił dzwonek.

– Już jest – syknęła Vielle, lecz Joanna nie słuchała. Przez chwilę, kiedy tak stała i wpatrywała się w siekaną przez Vielle dymkę, nabrała

absurdalnego przekonania, że wie, o czym mówił Greg Menotti, że wie, co znaczy „pięćdziesiąt osiem”.

To musi być coś, co powiedziała ona albo Vielle. Mówiły o doktorze Wrightcie i...

– Proszę do środka – oznajmiła Vielle z salonu. – Joanna jest w kuchni. Przepraszam za ten nóż. Właśnie przygotowuję dipa.

Coś w związku z doborem scenariusza. Nie. To coś balansowało na skraju jej pamięci, niemalże w zasięgu ręki.

– Spójrz, kogo my tu mamy – obwieściła Vielle, wprowadzając Richarda do kuchni. – Jak sądzę, już się znacie.

– Przepraszam za spóźnienie. – Richard wręczył Vielle sześciopak coli. – Kiedy wychodziłem, dopadł mnie Mandrake. Ach, jeszcze coś. Joanna, myślę, że znalazłem odpowiednią pielęgniarkę do asystowania podczas sesji. Tish Vanderbeck. Pracuje na drugim piętrze.

Za jego plecami Vielle poruszyła ustami tak, jakby mówiła: „Widzisz? Powiedz nie”. Joanna ją zignorowała.

– Mówi, że cię zna – dokończył Richard.

– Ja też ją znam – przyznała się Joanna. – Świetnie się nadaje. Czego chciał Mandrake?

– Chciał wiedzieć, czy...

– Wystarczy! – przerwała Vielle, wymachując nożem. – Jest wieczór smakołyków. Koniec rozmów o pracy i o szpitalu.

– Och – spłoszył się Richard. – Przepraszam, nie wiedziałem, że obowiązują jakieś zasady. Nie stworzyłyście czegoś w rodzaju *Podziemnego kręgu*, prawda?

– Nie – zaśmiała się Joanna.

Za plecami Richarda Vielle uniosła kciuk do góry i poruszyła ustami, udając, że mówi: „pan Right”.

– To nie jest klub. Któregoś dnia Vielle i ja zaczęłyśmy rozmawiać i okazało się, że obydwie lubimy dyskutować o filmach.

– Zamiast obsobaczać pacjentów, lekarzy i ciągle nieczynny bufet – uzupełniła Vielle.

– Nigdy go nie otwierają, prawda? – wtrącił Richard. – Za każdym razem, gdy do niego schodzę, jest zamknięty.

Vielle podniosła palec w ostrzegawczym geście.

– Zasada numer jeden.

– Więc postanowiliśmy spotykać się raz na tydzień i oglądać dwa filmy fabularne – wyjaśniła Joanna.

– I jeść – dorzuciła Vielle, wyciągając z lodówki opakowanie parówek. – Zasada numer dwa, dozwolone tylko śmieciarskie żarcie – popcorn, żelki...

– Dip z pikantną szynką – dopowiedziała Joanna.

Vielle wpatrzyła się w nią z uwagą.

– Zasada numer trzy, musisz zostać na obydwu filmach...

– Ale nie musisz zwracać uwagi na akcję – dokończyła Joanna. – Możesz rozmawiać podczas seansu i wygłaszać urągliwe komentarze o filmie lub filmach w ogóle.

Vielle przytaknęła.

– *Tańczący z wilkami* dawał szczególne pole do popisu pod każdym względem.

– Zasada numer cztery, nie oglądamy filmów z Sylwestrem Stallone'em, filmów Woody'ego Allena i *Titanica*. Znajdujesz się w strefie wolnej od *Titanica*.

– A dlaczego nazywacie to wieczorem smakołyków? Zdawało mi się, że zasada numer jeden to żadnych plotek.

– To prawda – stwierdziła Vielle. – Nazwa wieczór smakołyków wzięła się stąd, że...

– Stąd, że moja babcia opowiadała mi kiedyś, jak w latach trzydziestych chodziło się do kina – wtrąciła się pośpiesznie Joanna. – I organizowało wieczór smakołyków, serwując rozmaite dania, a my urządzamy sobie podobny staromodny wieczór w domu. Vielle, gdzie są filmy?

– Tutaj. – Wręczyła kasety Joannie. – Poza tym obydwie jesteśmy niezłymi smakołykami. A zwłaszcza Joanna. Może puścicie film, a ja pójdę dokończyć dipa. – Wepchnęła ich do salonu.

Czy można się zachować w bardziej oczywisty sposób?, pomyślała Joanna.

– Chciałabym przeprosić za głupkowate pomysły mojej przyjaciółki – zwróciła się do Richarda. – I za nieporozumienie z dzisiejszego popołudnia. Zapomniała mi powiedzieć, że przychodzisz.

– Domyśliłem się. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Czego chciał pan Mandrake? – Joanna spojrzała w stronę kuchni.

– Powiedział, że słyszał o moim nowym współpracowniku.

– Stara dobra szpitalna plotka. – Joanna pokręciła głową. – Wiedział, że to o mnie chodzi?

- Nie sędę. On...
- Zasada numer jeden! – wrzasnęła z kuchni Vielle.
- Od którego filmu chciałabyś zacząć? – odrzyknęła Joanna. – Od *Woli zwycięstwa*, czy raczej... – spojrzała na drugie pudełko – ...od *Zakochanego kundla*?
- Chciałaś, żeby nie było o śmierci! – krzyknęła Vielle.
- Czy to jedna z zasad? – zainteresował się Richard.
- Nie. – Joanna włączyła telewizor. Właśnie puszczała reklamę linii Karnawałowy Rejs. Na pokładzie statku stała para, wychylając się za burtę.
- Co powiedział Mandrake?
- Wszedł, kiedy pracowałem przy skanach. – Richard uśmiechnął się. – Tak na marginesie, okazało się, że Amelia Tanaka ma niższy poziom aktywności w receptorach endorfin. Powiedział, że słyszał o moim nowym współpracowniku, i wyraził nadzieję, że jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji, bo może mi polecić kilka świetnych osób.
- No pewnie. – Joanna wepchnęła *Wolę zwycięstwa* do magnetowidu i przewinęła początkowe reklamówki. Gdy dotarła do napisów, zatrzymała taśmę.
- Poza tym miał nadzieję, że wybrany przeze mnie współpracownik nie okaże się osobą o „wąskich horyzontach myślowych”, „skoncentrowaną na tradycyjnych, tak zwanych naukowych interpretacjach przeżyć związanych ze śmiercią kliniczną” i dowiedzie swojej „otwartości na alternatywne możliwości”.
- Joanna się roześmiała.
- Najwyraźniej nie rozmawiacie o pracy. – Do pokoju weszła Vielle z dwiema puszkami coli. Wręczyła im po jednej. – Kasetę się zacięła?
- Nie – zaprzeczyła Joanna. – Czekaliśmy na ciebie.
- Nie przejmujcie się mną i włączcie film. Zaraz przyjdę. I usiądźcie.
- Usadowili się na kanapie. Joanna podniosła pilota i puściła film. Zaczęli wpatrywać się w telewizor, w którym wokół łóżka zajmowanego przez starca zgromadziła się rodzina. Obok stała pielęgniarka badająca tętno chorego.
- Zebrałem was tutaj, bo umieram – oznajmił starzec.
- Hej, Vielle! – ryknęła Joanna. – Miałaś wybrać film bez śmierci.
- Przecież wybrałam. – Vielle pojawiła się w drzwiach, ściskając w rękach nóż i puszkę chili. – Nie podoba się wam?

Joanna wskazała na ekran, na którym starzec przyciskał dłonie do klatki piersiowej i sapał: „Moje tabletki!”

– O Boże. – Vielle obesza kanapę, żeby się lepiej przyjrzeć. – Facet w wypożyczalni zarzekał się, że to komedia.

– Nie kłamał – wtrącił się Richard. – Widziałem zajawki. Ten staruszek umrze, nie powiedziawszy nikomu, gdzie ukrył testament, więc wszyscy spadkobiercy będą usiłowali go znaleźć.

Starzec zaczął stękać i świszczącym głosem przemówił do zebranych:

– Muszę... powiedziec wam... – Zakrztusił się i wszyscy, łącznie z pielęgniarką, pochylili się, żeby lepiej słyszeć. – ...o moim testamencie...

– To zupełnie nieprawdopodobne – odezwała się Vielle. – Już dawno zadzwoniliby pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć i wszyscy ci ludzie odegraliby swoją scenę na moim oddziale nagłych wypadków.

– Faktycznie, pracujesz na nagłych wypadkach. – Richard zwrócił się do Vielle: – Słyszałem o wypadku z dzisiejszego popołudnia.

– Jakim wypadku? – ostro spytała Joanna.

– Łamiesz zasadę numer jeden – sprzeciwiła się Vielle. – Nie rozmawiamy o pracy.

– Co słyszałeś? – Joanna zwróciła się do Richarda.

– Jakaś kobieta nawaliła się tym nowym narkotykiem, rogue, wpadła na oddział i wymachiwała brzytwą – wyjaśnił Richard.

– Brzytwą – sapnęła Joanna. – Vielle, musisz koniecznie...

– Skończyć przygotowywać dipa. – Vielle machnęła nożem. – Nie przeszkadzajcie sobie. Zaraz wracam. – Zniknęła za drzwiami.

– Przepraszam cię na moment – odezwała się Joanna i pomaszerowała do kuchni. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Mamy wieczór smakołyków. – Vielle mieszała dipa z pokrojonymi papryczkami. – Zresztą to nic wielkiego. Nikt nie został ranny.

– Vielle...

– Wiem, wiem, muszę zmienić oddział. Myślisz, że przyda się nam nóż, czy wystarczy, że będziemy maczać jedzenie w dipie?

– Nie potrzeba noża. – Joanna dała za wygraną. Vielle wręczyła jej talerz krakersów, podniosła miskę z dipem i wróciły do salonu.

– Co przegapiłyśmy? – Vielle postawiła dipa na stoliku.

– Niewiele. Zatrzymałem taśmę – wyjaśnił Richard. Podniósł pilota i wycelował nim w telewizor.

– Sprowadziłem... was tutaj... – dyszał starzec leżący na licznych poduszkach. – ...Niewiele mam życia przed sobą... – Rodzina pochyliła się jak stado sępów. – Sporządziłem nowy testament... ukryłem go... w... – Starzec rozpostarł ramiona i z zamkniętymi oczyma opadł na poduszki. Członkowie rodziny wymienili spojrzenia.

– Odszedł? – spytała jedna z kobiet, nieszczerze pociągając nosem i dłubiąc przy oczach koronkową chusteczką.

– Filmowe umieranie – sapnęła Vielle i zanurzyła krakersa w dipie z pikantną szynką. Ciastko się ułamało.

– Filmowe umieranie? – Richard nabrał sosu na krakersa, który również się ułamał.

– Zupełnie nierealistyczne – wyjaśniła Joanna. – Tak samo, jak filmowe parkowanie, kiedy bohater zawsze znajduje miejsce tuż przed wejściem do sklepu lub na posterunek policji.

– Albo filmowe oświetlenie – dodała Vielle, wygrzebując kawałki krakersa z dipa.

– Niech zgadnę – zaproponował Richard. – Zdolność widzenia w środku jaskini o północy.

– Powinniśmy stworzyć nową kategorię dla takich historii – oświadczyła Joanna, pokazując na ekran, na którym krewni kłócili się o coś nad zwłokami starca. – No wiecie, dlaczego ludzie w filmach zawsze mówią coś takiego: „Wyjaśnienie tajemnicy tkwi w... Aaaa!” albo: „Mordercą jest... Bum!” Wystarczy pomyśleć, że przecież gdyby mieli coś ważnego do powiedzenia, zaczęliby od tego i nie mówiliby: „Testament jest ukryty w dębie”, tylko: „Dąb! Testament! Tam jest!” Gdybym to ja umierała, zacząłabym od najważniejszej części, żeby nie ryzykować wrzaśnięcia: „Aaaa!” przed wyjawieniem czegoś istotnego.

– Nieprawda, wcale byś tak nie zrobiła – sprzeciwiła się Vielle. – Przede wszystkim dlatego, że nie miałabyś do powiedzenia niczego w tym stylu. Tylko w filmach umierający mówią o tajemnicach i wskazówkach. Od sześciu lat pracuję na nagłych wypadkach i nigdy nie miałam pacjenta, którego ostatnie słowa dotyczyłyby testamentu lub mordercy. Przypominam, że stykałam się także z ofiarami zbrodni.

– I jakie są ich ostatnie słowa? – zaciekawiał się Richard.

– Wulgaryzmy, i to w dużych dawkach, niestety – wyznała Vielle. – A także: „Boli mnie w boku”, „Nie mogę oddychać”, „Odwróćcie mnie”.

– Walt Whitman właśnie to powiedział swojej pielęgniarce – przytaknęła Joanna. – A Robert Kennedy nakazał: „Nie podnoście mnie”.

– Jakby rozmawianie z pacjentami o doświadczeniach granicznych nie wystarczało, w wolnych chwilach Joanna zajmuje się studiowaniem ostatnich słów sławnych ludzi – wyjawiała Vielle.

– Chcę tylko wiedzieć, czy istnieją jakieś podobieństwa między tym, co oni mówią, i tym, co ludzie opowiadają na temat swoich doświadczeń granicznych – wytłumaczyła Joanna.

– I są jakieś zbieżności?

– Niekiedy. Ostatnie słowa Thomasa Edisona brzmiały: „Tam jest pięknie”, ale właśnie siedział przy oknie. Być może po prostu podziwiał widoki. Może jednak nie. John Wayne spytał: „Widzieliście ten błysk światła?” Ale Vielle ma rację. Większość mówi coś w rodzaju: „Boli mnie głowa”.

– Albo: „Źle się czuję” – uzupełniła Vielle – albo: „Nie mogę zasnąć”, albo: „Zimno mi”.

Joanna pomyślała o Amelii Tanace, która poprosiła o koc.

– Czy kiedykolwiek mówią: „O nie, o nie, o nie”? – spytała.

Vielle skinęła głową.

– Generał Grant poprosił o wodę, podobnie jak Maria Curie. I Lenin.

– Dziwne – skomentował Richard. – Można by pomyśleć, że ostatnie słowa Lenina to: „Robotnicy, powstańcie!” albo coś w tym stylu.

– Kiedy ludzie umierają, nie przychodzą im do głowy wiekopomne myśli – stwierdziła Vielle. – Znacznie bardziej interesują ich bieżące potrzeby.

– „Połóż ręce na moich ramionach i nie broń się” – mruknęła Joanna.

– Kto to powiedział? – zainteresował się Richard.

– W.S. Gilbert. Wiesz, Gilbert i Sullivan. *Piraci z Penzance*. Zmarł, ratując młodą dziewczynę przed utonięciem. Zawsze myślałam, że gdybym miała umierać, chciałabym to zrobić w taki sposób.

– Topiąc się? – zdziwiła się Vielle. – Nie, wierz mi, że nie chciałabyś tak umrzeć. To okropna śmierć, zapewniam cię.

– Gilbert nie utonął – wyjaśniła Joanna. – Miał atak serca. Chodziło mi o to, że chciałabym oddać życie, ratując kogoś przed śmiercią.

– Chciałabym umrzeć we śnie – wyznała Vielle. – Rozległy tętniak. W domu. A pan, panie doktorze?

– Ja w ogóle nie chcę umierać – oświadczył Richard i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Niestety, nie ma takiej możliwości – westchnęła Vielle, łamiąc kolejnego krakersa w gęstym dipie. – Prędzej czy później każde z nas umrze i nie mamy możliwości wybrania sposobu. Bierzemy to, co się nam daje. Dziś po południu przywieźli nam staruszka, ostatnie stadium cukrzycy, obydwie stopy amputowane, niewidomy, niesprawna nerka, całe ciało w rozsypce. Jak się możecie domyślać, jego ostatnie słowa brzmiały: „Zostawcie mnie w spokoju”.

– To samo powiedziała przed śmiercią księżna Diana – przypomniała Joanna.

– Wydawało mi się, że poprosiła kogoś, aby zajął się jej synami – zdziwił się Richard.

– Wierzyłabym raczej tej pierwszej wersji – zaopiniowała Vielle. „Powiedz Laurze, że ją kocham” – to pasuje do melodramatów, takich jak *Titanic*. Pacjenci przywożeni na mój oddział rzadko kiedy chcą komukolwiek przekazywać jakieś wiadomości. Za bardzo zajmuje ich to, co się z nimi dzieje, chociaż Joanna pewnie słyszała o sławnych ludziach, którzy chcieli coś przekazać swoim bliskim. Prawda, Joanno?

Joanna nie słuchała. Kiedy Vielle mówiła, ona ponownie doświadczyła niepokojącego uczucia, że wie, co oznacza „pięćdziesiąt osiem”.

– Prawda, Joanno?

– Ach, tak. Czajkowski, królowa Wiktorja i P.T. Barnum. Anne Bronte powiedziała: „Odwagi, Charlotte, odwagi”. Ten dip jest kiepski. Mimo wszystko przydałby się nóż – oznajmiła i uciekła do kuchni.

Co takiego obudziło w niej to uczucie? Księżna Diana? Cukrzyca? Nie, na pewno chodziło o coś, co miało związek z poprzednią rozmową. Joanna wyciągnęła nóż z szuflady ze sztućcami i znieruchomiła, usiłując odtworzyć w myślach rozmowę. Mówili o filmach i...

– Nie możesz znaleźć noży? – wrzasnęła z salonu Vielle. Są w górnej szufladzie obok zmywarki do naczyń.

– Wiem – odpowiedziała Joanna. – Zaraz przyjdę. – Czy jest jakiś film z liczbą pięćdziesiąt osiem w tytule? Albo piosenka? Vielle wspomniała: „Powiedz Laurze, że ją kocham”...

– Joanna! – krzyknęła Vielle. – Szkoda filmu!

To nedorzeczne. Greg Menotti nie usiłował niczego powiedzieć. Po prostu powtarzał słowa pielęgniarki, opisującej jego ciśnienie krwi, a ona

uznała, że to coś znaczy, bo pamiętała o czymś związanym z tą liczbą, o czymś przypomnianym w wyniku rozmowy. Jakaś kwestia z filmu albo liczba z przeszłości, adres babci, numer szkolnej szafki na ubrania...

– Joanna! – zniecierpliwiła się Vielle.

– Jeśli tu zaraz nie przyjdiesz – krzyknął Richard – nasze ostatnie słowa będą brzmiały: „Joanno, umieramy z głodu... Aaaa!”.

Coś związanego z liceum i... To nie miało sensu. Bez względu na to, o co chodziło, nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Wzięła nóż i wręczyła go Richardowi.

– Mówisz to w niewłaściwy sposób. Ważne wiadomości trzeba przekazywać na początku. O tak. „Głód, umier... Aaaa!”

Wszyscy troje rozsmarowali dipa na swoich krakersach.

– Może najlepiej by było wcześniej przygotować sobie to, co chciałoby się powiedzieć w swoich ostatnich słowach, a potem nauczyć się tego na pamięć, żeby nic nas nie mogło zaskoczyć? – zastanawiała się Joanna.

– Co na przykład? – zamyślił się Richard.

– Nie wiem – odparła Joanna. – Coś mądrego.

– Na przykład: „Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”? – zasugerowała Vielle. – W takim razie wolę: „Boli mnie w boku”.

– A może: „To wreszcie ona, ta niezwykła rzecz”? – podsunęła Joanna. – To powiedział Henry James na chwilę przed śmiercią.

– Nie, zaczekaj – stwierdził Richard. – Mam. – Rozłożył ramiona, aby zrobić bardziej dramatyczne wrażenie. – Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horacjo, niż się ich śniło waszej filozofii.

Rozdział 10

„Wody! Wody!”

Ostatnie słowa kapitana Lehmana,
dowódcy *Hindenburga*,
umierającego z powodu poparzeń

– Bez wątpienia cię lubi – oświadczyła Vielle, kiedy następnego ranka zadzwoniła do Joanny w przerwie między pacjentami. – I co, nie jesteś zadowolona, że zaprosiłam go na wieczór smakołyków?

– Vielle, jestem zajęta... – jęknęła Joanna.

– Jest przystojny, inteligentny i dowcipny. Co oznacza, że musisz wziąć pod uwagę silną konkurencję wokół siebie, jeśli w końcu się na niego zdecydujesz. Musisz zacząć od powstrzymania go przed zatrudnieniem Tish.

– Za późno. Zatrudnił ją dziś rano.

– I ty na to pozwoliłaś? – pisnęła Vielle. – Ona flirtuje ze wszystkim, co się rusza. O czym ty myślałaś?

O tym, że w przeciwieństwie do Karen Goebel, która była jedyną kontrkandydatką, Tish nie należy do grona szpiclów pana Mandrake'a. Poza tym, jeśli zasadniczym celem Tish jest uwiedzenie Richarda, zapewne nie zamierza niweczyć swoich szans, zdradzając jego tajemnice przed panem Mandrakiem. A na koniec, jest bardzo dobrą pielęgniarzką.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś mu zatrudnić Tish! – Vielle nie potrafiła się otrząsnąć.

– Vielle, zadzwoniłaś z jakiegoś konkretnego powodu? Jeśli nie, to wybaczone, ale muszę przeprowadzić badania uzupełniające, dokończyć wywiady z resztą ochotników, a także wpaść do Maisie, która od rana wydzwania do mnie, żebym przysłała.

I jeszcze muszę postarać się przypomnieć sobie, co sprawiło, że wczoraj wieczorem nabrałam przekonania, że wiem, co oznacza „pięćdziesiąt

osiem”, dodała w myślach.

– Właśnie odpowiedziałas na pytanie, które ci chciałam zadać – oświadczyła Vielle. – Nie masz czasu.

– Na co? Kogoś reanimowano? Jakiś nowy nagły wypadek?

– Zgadza się. Niejaka pani Woollam. Już ją zabrali na górę. Przesłałam ci wiadomość na pager, ale nie odpowiadałaś. Przyszło mi do głowy, że zawiadomię cię przez interkom, ale pan Mandrake...

– Jako wilk się miota – dokończyła Joanna i zamilkła. Ponownie odezwało się w niej uczucie, że wie, o czym mówił Greg Menotti. Jak się kończył ten cytat? Coś tam, coś tam, szkarłatu i złota.

– Joanna? – odezwała się Vielle. – Jesteś tam?

– Jestem. Przepraszam. Jak się nazywa ta pani?

– Woollam. To nie jest zwyczajna pacjentka po doświadczeniach granicznych. Ona jest notoryczną umieraczką.

– Notoryczną umieraczką?

– Jej serce często zaczyna nieoczekiwanie migotać i przestaje funkcjonować. Na szczęście wystarcza jej zastrzyk adrenaliny i jeden solidny strzał z elektrod, ale w zeszłym roku reanimowano ją osiem razy. Marny do czynienia ze specjalistką.

– Dlaczego jej nie spotkałam?

– Ostatni raz przywieziono ją do nas, kiedy jeszcze nie pracowałam – wyjaśniła Vielle. – Zwykle zabierają ją do Portera. Jej lekarz właśnie zmienił szpital, więc teraz przywożą ją tutaj. Twierdzi, że z wyjątkiem jednego razu, podczas śmierci klinicznej zawsze doświadczała wizji.

Ktoś, kto miał kilka doświadczeń granicznych i może je porównać. Brzmiało świetnie.

– Dokąd ją zabrali?

– Na oddział intensywnej opieki kardiologicznej. Pojechała tam jakieś dziesięć minut temu.

Zanim ją ułożą i pozwolą na odwiedziny gości, minie jeszcze kwadrans. Joanna spojrzała na zegarek. Pan Kelso przyjdzie za dziesięć minut. Musiała poczekać do zakończenia wywiadu, a potem jeszcze jednego, z panią Coffey. W tym czasie pan Mandrake przekona panią Woollam, że widziała Świetlistego Anioła i doznała retrospekcji życia. Niestety, nic nie mogła na to poradzić.

– Pójdę do niej jak najszybciej – obiecała. – Przykro mi z powodu pagera, ale pan Mandrake bez przerwy do mnie wydzwaniał. Twierdzi, że

musi ze mną przedyskutować pewną niezwykle istotną kwestię. Obawiam się, że to oznacza, iż dowiedział się o mojej współpracy z Richardem.

– Prędzej czy później musiało to nastąpić. Być może jednak jest tak zajęty atakowaniem cię, że nie dowie się o pani Woollam – zakończyła Vielle i odłożyła słuchawkę.

Jako wilk się miota, huf jego od szkarłatu połyska i złota^[5]. Tak to wyglądało w całości. Ale skąd pochodził ten fragment? I czemu przyszedł jej do głowy? Co miał wspólnego z wymruczaną przez Grega Menottiego liczbą „pięćdziesiąt osiem”?

Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Musiała przejrzeć teczkę Ronalda Kelso i iść do laboratorium, na wypadek gdyby, w przeciwieństwie do Amelii Tanaki, pan Kelso przychodził punktualnie.

Już na nią czekał. Miał na sobie luźne spodnie, koszulę i krawat.

– Pracuję w Hollywood Video, ale uczę się programowania komputerowego – oznajmił, kiedy Joanna poprosiła go o powiedzenie kilku słów o sobie. – Chodzę na zajęcia w Metro Technical College.

– Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego zgłosił się pan na te badania?

– Chcę poznać śmierć.

– Poznać śmierć? – Richard nieznacznie pozieleniał.

– Skąd pan wiedział, że ten projekt wiąże się z badaniami doświadczeń granicznych? – spytała Joanna.

– Jeden człowiek na czacie mi o tym powiedział.

– Kto taki?

– Nie mam pojęcia. Ma nick „Ozyrys”. – Ronald Kelso pochylił się z przejęciem. – Ludzie w naszym społeczeństwie nie rozumieją śmierci. Nawet o niej nie mówią. Udają tylko, że jej nie ma, że im nie grozi, a kiedy zaczyna się o tym rozmawiać, patrzą na ciebie jak na wariata. Czy widzieli państwo film *Harold i Maude*?

– Owszem – potwierdziła Joanna.

– To mój ulubiony film. Obejrzałem go chyba ze sto razy, zwłaszcza scenę, w której on się wiesza.

– A więc uważa pan, że te badania... – zaczęła Joanna.

– Niech mi państwo dadzą możliwość poznania śmierci, spojrzenia jej w oczy i przekonania się, jaka naprawdę jest.

– Jeszcze nie zakończyliśmy kompletowania listy uczestników. – Joanna wskazała ręką drzwi. – Zawiadomimy pana.

– Nie wierzę! – wykrzyknął Richard, gdy tylko drzwi się zamknęły. – Jeszcze jeden! Wyglądał najzupełniej normalnie.

– Pewnie jest normalny. *Harold i Maude* to dobry film, a on nie powiedział niczego, co nie byłoby prawdą. Ludzie w naszym społeczeństwie rzeczywiście nie chcą rozmawiać o śmierci. Naprawdę udają, że jej nie ma i że im nic grozi.

– Chyba nie myślisz poważnie o włączeniu go do badań? – przeraził się Richard.

– Nie. Nieco za bardzo fascynuje go temat przewodni projektu, a jego komentarze dotyczące sceny wieszania brzmiały dość niepokojąco. A przecież mamy zasadę dotyczącą filmów, w których pojawia się problematyka śmierci. – Uśmiechnęła się szeroko.

– To nie jest śmieszne. Ilu ochotników nam zostało? Trzech?

– Czterech. Teraz kolej na panią Coffey. Przyjdzie o dziesiątej.

– Specjalistka od zarządzania systemami danych – rozchmurzył się Richard. – Świetnie. Ma tytuł MBA i pracuje dla Colotechu.

To niczego nie gwarantuje, pomyślała Joanna, chociaż musiałam przyznać Richardowi rację. Biznesmeni z wyższym wykształceniem zwykle nie należeli do wielbicieli filmu *Harold i Maude*, a pani Coffey prezentowała się niezwykle obiecująco. Miała na sobie stylową czarną garsonkę, a jej dopracowana fryzura i makijaż świadczyły o utożsamianiu się z wizerunkiem kobiety interesów. Kiedy Joanna poprosiła ją o powiedzenie kilku słów o sobie, pani Coffey otworzyła swój notatnik bizneswoman i wyciągnęła starannie złożoną kartkę papieru welinowego w kolorze kremowym.

– Mają państwo moje zgłoszenie, ale przyszło mi do głowy, że resume również się przyda. – Uśmiechnęła się i wręczyła kartkę Richardowi.

– Dlaczego zdecydowała się pani wziąć udział w badaniach? – spytała Joanna.

– Jak pani widzi w moim resume... – Pani Coffey wyciągnęła jeszcze jedną złożoną kartkę i uśmiechnęła się. – Przyniosłam jeszcze jedno, na wszelki wypadek. W mojej pracy należy zwracać baczną uwagę na szczegóły. – Wręczyła papier Joannie. – Jak pani widzi w punkcie „Praca” – wskazała miejsce na kartce – wiele pracuję społecznie. W ubiegłym roku uczestniczyłam w badaniach dotyczących snu, prowadzonych przez Szpital Uniwersytecki. – Posłała Richardowi ciepły uśmiech. – A kiedy pan doktor opisał projekt, pomyślałam, że to brzmi niezwykle interesująco.

– Czy kiedykolwiek miała pani doświadczenia graniczne? – zainteresowała się Joanna.

– Chodzi pani o to, kiedy się niemalże umiera, a następnie widzi tunel i światło? Nie.

– A czy kiedykolwiek doświadczyła pani zjawiska opuszczania własnego ciała?

– Ma pani na myśli to, jak ludziom się wydaje, że fruwać nad swoimi ciałami? – powtórzyła, sceptycznie marszcząc brwi. – Nie.

– Czy miała pani okazję zapoznać się z książkami Maurice' a Mandrake'a? – Joanna uważnie ją obserwowała, lecz nie dostrzegła choćby śladu zrozumienia, kiedy pani Coffey pokręciła ufryzowaną głową.

Richard poruszył się nerwowo, usiłując nawiązać kontakt wzrokowy z Joanną. Najwyraźniej nie miał wątpliwości co do pani Coffey. Joanna również uznała, że w zachowaniu ochotniczki nie ma nic podejrzanego.

– Gdybyśmy zdecydowali się zaprosić panią do uczestnictwa w badaniach – zaczęła Joanna – w jakie dni moglibyśmy na panią liczyć?

– W środy rano i w czwartki po południu – wyjaśniła pani Coffey – ale najlepsze dla mnie byłyby poniedziałki. Moje moce metapsychoiczne są najpotężniejsze w dni rządzone przez boginię Księżycy. To wynika ze współczulnych wibracji harmonicznyc.

– Damy pani znać – zakończyła Joanna. Pani Coffey wręczyła obojgu po wizytówce. – Tu są moje numery telefonów do domu i biura oraz komórka. Mogą państwo zawiadomić mnie także pocztą elektroniczną.

– Albo telepatycznie. Chryste Panie! – jęknął Richard, gdy pani Coffey starannie zamknęła za sobą drzwi. – Czy oni wszyscy powariowali?

Mam nadzieję, że nie, pomyślała Joanna i wyciągnęła teczkę pani Troudthaim. Zapisała sobie, żeby zapytać ją, dlaczego dobrowolnie zgłosiła się do badania, na które będzie musiała dojeżdżać aż z Deer Trail. Miała nadzieję, że istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie. Małe miasteczka i wsie w Kolorado słynęły ze sporej liczby osób porwanych przez UFO i wyznawców teorii potajemnego rozczłonkowania bydła.

– Och, rzecz w tym, że nigdzie nie muszę jeździć – wyjaśniła Joannie. – Dentysta musi solidnie popracować nad moimi zębami, a o tej porze roku nie wiadomo, jaka będzie pogoda następnego dnia, więc zatrzymałam się u syna do czasu, kiedy skończą mi się problemy stomatologiczne. Sama jednak pani wie, jak to jest mieszkać z dziećmi. Pomyślałam, że zgłoszę się

do badań i pozwolę mojej synowej odetchnąć ode mnie na jakiś czas. Poza tym nie cierpię siedzieć i nic nie robić.

To nie ulegało wątpliwości.

– Pozwolą państwo, że podczas rozmowy będę szydełkowałam? – spytała Joannę na samym początku wywiadu, a kiedy uzyskała pozwolenie, wyciągnęła kłębek wełny oraz na wpół gotowy szal w kolorze pomarańczowo-żółto-zielonym i zaczęła poruszać spracowanymi dłońmi.

Joanna spytała ją o Deer Trail i życie na ranczo. Odpowiedzi pani Troudthaim okazały się wiarygodne i precyzyjne, a kiedy Joanna poprosiła o opisanie rancza, zdumiała ją szczegółowość i plastyczność obrazu ziemi oraz bydła. Gdyby wzięła udział w badaniach, byłaby świetnym obserwatorem. Spore wrażenie wywarł na Joannie także swobodny, przyjacielski sposób bycia i szczerą twarz pani Troudthaim.

– Powiedziała pani doktorowi Wrightowi, że nigdy nie miała pani doświadczeń granicznych. – Joanna sprawdziła w notatkach. – Zna pani kogoś, u kogo wystąpiły tego typu wizje?

– Nie. – Pani Troudthaim okręciła włóczkę wokół haczyka szydełka i przeciągnęła ją przez krawędź szala. – Na dzień przed swoją śmiercią moja ciotka stwierdziła, że widziała swoją siostrę – czyli moją matkę – stojącą u stóp jej łóżka, ubraną w długą białą suknię. Moja matka nie żyła wówczas od kilku lat, ale moja ciotka utrzymywała, że ją zobaczyła, białą jak prześcieradło, i wiedziała, że po nią przysłała. A następnego dnia zmarła.

– I pomyślała pani o tym? – spytała Joanna.

– Sama nie wiem. – Pani Troudthaim w zamyśleniu wyciągnęła kawałek włóczki. – Lekarz podał jej niezwykle silne lekarstwo. Poza tym nie wyobrażam sobie mojej matki w długiej sukni. Nie cierpiała zbyt długich spódnic. Ludzie niekiedy widzą to, co chcą zobaczyć.

Założę się, że w pani wypadku jest inaczej, przyszło Joannie do głowy i zapytała o możliwy czas spotkania.

– To jak dotąd najbardziej obiecujący materiał na badanego – wyznała Richardowi po tym, jak pani Troudthaim upchnęła szal do torby i wyszła. – Przypomina mi moich krewnych z Kansas, twardych i miłych realistów, takich, którzy przetrwają wszystkie przeciwności losu i pewnie niejedno mają już za sobą. Wydaje mi się, że jest stworzona do naszych badań. W szczególności zrobiła na mnie wrażenie jej spostrzegawczość.

– Poza tym, że najwyraźniej jest daltonistką. Widziałas ten szal? – Richard zadrżał ze zgrozy.

– Od razu widać, że nigdy nie zawitałeś w Kansas. Ten szal nawet w połowie nie był tak zły, jak tamtejsze.

– Skoro tak twierdzisz.

– Twierdzę, że to będzie wyśmienita ochotniczka – uśmiechnęła się Joanna.

– Zwykła też załatwiałyby sprawę.

To prawda, pomyślała Joanna, zadowolona, że wreszcie znalazła kogoś, kto nieźle się zapowiada. Zerknęła do rozpiski. Następny powinien się zjawić pan Sage, a po nim pan Pearsall, ale nie wcześniej niż o wpół do drugiej. Jeśli wywiad z panem Sage'em nie potrwa przesadnie długo, powinna zdążyć na spotkanie z panią Woollam. Zabraknie jej czasu na pełną rozmowę, ale przynajmniej się pokaże i przedstawi, podsunie zgodę do podpisu i umówi na wywiad po południu. O ile pan Sage nie okaże się gadułą.

Nie okazał się. Przeciwnie, z trudem cokolwiek z niego wyciągnęli. Udzielał zwięzłych, lakonicznych odpowiedzi na wszystkie zadawane mu pytania, co trochę zaniepokoiło Joannę. Zastanawiała się, jak otwarty się okaże, opowiadając o tym, co widział podczas doświadczeń granicznych. Nie interesował się jednak metapsychiką i niespecjalnie zajmowała go śmierć. Przebił wszystkich kandydatów swoim uzasadnieniem zgłoszenia się na badania. „Zona mi kazała”.

– Co pan sądzi o doświadczeniach granicznych? – zadała mu pytanie Joanna.

– Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Wyśmienicie, pomyślała Joanna i zapytała go o najlepszy termin spotkania.

– Jest strasznie cichy – niepokoił się Richard, gdy pan Sage wyszedł.

– Sprawdzi się. Nie każdy człowiek ma wysoko rozwiniętą zdolność opisywania. – Wstała. – Richard, muszę iść... – zaczęła, lecz przerwał jej pisk pagera.

Postanowiła sprawdzić, kto dzwoni – i tak już sobie narobiła kłopotów, nie odpowiadając na wiadomość od Vielle. Zadzwoiła do centrali, gdzie przekazano jej numer Maisie.

– Powiedziała, że to pilne i musi pani zadzwonić do niej natychmiast. Sama również byłabym pani za to wdzięczna – wydzwania do mnie przez cały ranek, zmuszając do skontaktowania się z panią przez interkom.

– W porządku – roześmiała się Joanna i zadzwoniła do dziewczynki.

– Musi pani natychmiast przyjść! – wykrzyknęła podniecona Maisie. – Pani Sutterly dowiedziała się więcej o tym członku załogi *Hindenburga*, tak jak pani sobie życzyła, i musi pani koniecznie do mnie przyjść, żebym wszystko opowiedziała.

– Nie mogę w tej chwili, Maisie – wyjaśniła Joanna. – Mam umówione spotkanie...

– Ale ja wychodzę do domu, a jeśli pani nie zjawi się od razu, będzie za późno! Już mnie tu nie będzie!

W jej głosie słychać było szczery niepokój.

– Dobrze, zaraz zejdę. Ale mogę zostać tylko kilka minut – dodała, chociaż nie miała już szans dotrzeć do pani Woollam. Będzie musiała poczekać do popołudnia.

– Idę się pożegnać z Maisie – oznajmiła Richardowi. – Wypisują ją do domu.

– A co z rozmową z panem Pearsallem?

– Jeśli jeszcze nie wrócę, kiedy tu przyjdzie, prześlij mi wiadomość na pager – stwierdziła, machnęła mu przed nosem pagerem na dowód, że zabiera urządzenie ze sobą, zbiegła na i zwarte piętro i skierowała się do przejścia między skrzydłami, lecz ktoś zablokował je stojakiem do cięcia drewna i żółtą taśmą.

– Kładą nową glazurę – wyjaśnił laborant, zmierzający w przeciwną stronę. – Chce pani dojść do zachodniego skrzydła? Albo pojedzie pani windą na szóste, albo w dół, na drugie i stamtąd łącznikiem między skrzydłami.

Joanna skierowała się do windy i dostrzegła pana Mandrake'a idącego w jej stronę. Nie miała dokąd uciec, nigdzie w pobliżu nie zauważyła wejścia na klatkę schodową, ani nawet żadnych otwartych drzwi, a zresztą i tak ją zauważył.

– Dzień dobry, panie Mandrake – przywitała się, usiłując nie przypominać osaczonego królika.

– Cieszę się, że panią spotykam. Od rana usiłuję się do pani dodzwonić.

– Obawiam się, że to niedobra pora. – Joanna demonstracyjnie spojrzała na zegarek. – Śpieszę się na spotkanie.

– Z pacjentem po doświadczeniach granicznych? – Momentalnie się zainteresował.

– Nie – odparła Joanna, zadowolona, że przynajmniej nie spotkał jej przed drzwiami do pokoju pani Woollam. Albo Maisie. – Chodzi o

zebranie, i tak jestem już spóźniona.

– To zajmie tylko chwilę. – Stał jej na drodze. – Muszę z panią omówić dwie sprawy. Po pierwsze, pani Davenport poinformowała mnie, że nie zjawiała się pani u niej w celu spisania reszty jej doświadczeń granicznych. Przypomniała sobie dodatkowe szczegóły, dotyczące powrotu. Świetlisty Anioł...

– ...przekazał jej telegram nakazujący powrót. Wiem – dokończyła Joanna. – Już mi o tym mówiła.

– Nie, nie, przypomniała sobie znacznie więcej. Telegram to tylko początek. Anioł powiedział jej, że zostanie posłańcem, a kiedy uniósł swą świetlistą dłoń... – Pan Mandrake zamasztył ruchem podniósł rękę, aby zobrazować opisywane wydarzenie. – ...Tajemnice życia i śmierci zostały ujawnione pani Davenport i wtedy zrozumiała wszystko. Teraz ogromnie pragnie podzielić się z panią otrzymaną wiedzą.

Nie wątpię, pomyślała Joanna.

– Kiedy usłyszy pani, czego ona się dowiedziała, z pani umysłu znikną wątpliwości, czy pani Davenport naprawdę przynosi wieści z Tamtej Strony.

– Panie Mandrake...

– Druga sprawa, o której chciałem z panią porozmawiać, dotyczy czegoś, o czym może pani nie wiedzieć. W szpitalu pojawił się nowy naukowiec, który dąży do podważenia wiarygodności naszych badań nad doświadczeniami granicznymi. Nazywa się doktor Wright. Twierdzi, że potrafi odtworzyć doświadczenia graniczne w swoim laboratorium, podając badanym odpowiednie środki chemiczne. Oczywiście, jest to niemożliwe. Wspomnienia z życia po śmierci to duchowa rzeczywistość, a nie halucynacja wywołana lekarstwami, lecz ludzie są łatwowierni. Mogą bez trudu uwierzyć w jego twierdzenia, zwłaszcza jeśli zamaskuje je płaszczykiem techniki i nauki.

– Muszę iść. – Joanna ruszyła w stronę windy, lecz pan Mandrake nie odstępował jej na krok.

– Jestem ogromnie zaniepokojony wpływem tych tak zwanych badań na naszą pracę. Usiłowałem przedstawić mu moje troski, lecz okazał się wyjątkowo niekomunikatywny. Znalazł jakiegoś współpracownika, o ile mi wiadomo, chociaż jeszcze go nie spotkałem, który okaże się bardziej skory do współpracy, mam nadzieję. Tu właśnie widzę zadanie dla pani.

– Zadanie dla mnie? – Joanna zatrzymała się przy windzie. Wcisnęła przycisk.

– Nie potrafiłem się dowiedzieć, kto jest jego współpracownikiem. Chciałbym, żeby pani to zrobiła.

Dzwonek oznajmił przybycie windy. Joanna zaczekała, aż rozsuną się drzwi.

– Już to wiem.

– Naprawdę? – Mandrake wyraźnie się zdumiał. – Kto to? Kto jest jego nowym współpracownikiem?

Joanna weszła do windy, wcisnęła przycisk „zamykanie drzwi” i zaczekała do momentu, kiedy Mandrake niemal zupełnie zniknął za zasuwającymi się drzwiami.

– Ja – oznajmiła.

Niemal żałowała, że nie mogła ujrzeć jego wyrazu twarzy, ale dzięki temu udało się jej uciec. Nie miałam żadnego interesu w tym, żeby to zrobić, pomyślała, jadąc na szóste piętro i kierując się do zachodniego skrzydła. Teraz nie da mi spokoju. Ale on sam i jego siatka szpiegów i tak wkrótce by się wszystkiego dowiedzieli, a gdyby mu nie powiedziała, oskarżyłby ją o celowe wprowadzanie go w błąd. Teraz, oczywiście, oskarży ją o łatwowierność. Ona łatwowierna!

Przeszła przez oddział intensywnej opieki kardiologicznej i pojechała służbową windą na pediatrię. Maisie siedziała na brzegu łóżka, ubrana w różowy sweter z kieszeniami w kształcie motyli. Ubranie, którym musi gardzić, pomyślała Joanna.

– Dzwoniłaś, dzieciaku? – przywitała się Joanna i dopiero wtedy ujrzała w pokoju matkę Maisie, starannie upychającą szlafrok i kaptur córki do plastikowej szpitalnej torby.

– Pan doktor Murrow był tak zadowolony z jej poprawy na inderonie, że wyraził zgodę na wcześniejszy powrót do domu. Dzięki temu Maisie spędzi w szpitalu jeden dzień mniej -promieniowała pani Nellis. Otworzyła drzwi szafki i wyciągnęła płócienną torbę Maisie z lalką Barbie.

Joanna spojrzała na dziewczynkę, która jednak wydawała się obojętna.

– Pan doktor Murrow dodał, że Maisie może zacząć myśleć o powrocie do szkoły – uzupełniła pani Nellis. Położyła płócienną torbę na krześle. – Pozwolę wam pogawędzić. Muszę porozmawiać z panem doktorem o podaniu Maisie eksperymentalnego inhibitora konwertazy angiotensyny, zanim wyjdziemy.

Gdy tylko wyszła, Maisie się odezwała.

– Bałam się, że już mnie tutaj nie będzie. – Następnie wyciągnęła z kieszeni złożoną kartkę papieru i wręczyła ją Joannie. Joanna rozpostarła papier. Widniał na nim napis: „Joseph Leibrecht, 1968”.

– Pani Sutterly powiedziała, że ten facet, autor książki, pojechał do Niemiec, gdzie przeprowadził wywiad z tym Leibrechtem, który pisał książkę. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Może pani wykorzystać jego doświadczenia graniczne?

Nie istniała taka możliwość. *Hindenburg* wybuchł w 1937 roku, przeszło trzydzieści lat wcześniej. Wspomnienia z tak odległego okresu musiały być zniekształcone, jedne szczegóły zapomniane, a inne dodane, luki w pamięci zapełnione konfabulacjami. Takie wspomnienia nie miały prawie żadnej wartości, ale Joanna nie chciała rozczarować Maisie.

– No pewnie... – Chciała powiedzieć, lecz uzmysłowiła sobie, że Maisie z zapartym tchem czeka na jej odpowiedź, jakby przeprowadzała test. – Obawiam się, że nie. Wywiady z osobami po śmierci klinicznej należy przeprowadzać natychmiast po całym zdarzeniu, bo ludzie szybko zapominają, czego doświadczyli.

– Albo wymyślają różne rzeczy – dodała Maisie.

– Właśnie – potwierdziła Joanna. – Przykro mi.

– Nic się nie stało. – Maisie wcale nie wyglądała na zmartwioną. Przeciwnie, uśmiechała się szeroko.

Joanna odwzajemniła uśmiech.

Więc wracasz do domu? Cieszysz się?

Maisie skinęła głową.

– Pani Sutterly zabrała za mnie książki – oświadczyła, znacząco spoglądając na płócienną torbę.

– To dobrze. Jak tam *Lusitania*?

– Już mnie nie interesuje. Za szybko zatonąła. Była pani kiedyś w cyrku? Joanna pomyślała, że nigdy się nie przyzwyczai do niespodziewanych zmian tematu w rozmowach z Maisie.

– Tak, kiedy byłam małą dziewczynką.

– Podobało się pani? Występowali klauni?

– Tak i tak – odparła Joanna, myśląc, że nawet pani Nellis nie miałyby zastrzeżeń wobec ich rozmowy. – Pamiętam jednego klauna z czerwonym nosem i workowatymi spodniami. Wyciągnął z kieszeni ogromną chustkę w grochy, żeby wydmuchać nos, ale okazało się, że chustka w grochy jest

przywiązana do czerwonej chustki, a czerwona do niebieskiej, niebieska do zielonej, zielona do żółtej, a on tak je wyciągał i wyciągał, bez końca.

– Pewnie to było zabawne – podsumowała Maisie. – Wie pani, co to jest ogród zwycięstwa?

– Ogród zwycięstwa? – Joanna ponownie się zgubiła. – Nie jestem pewna. Słyszałam o takim ogrodzie. Podczas drugiej wojny światowej ludzie zakładali ogródki, żeby uprawiać żywność dla armii. I marynarki wojennej – dodała, myśląc o panu Wojakowskim – żeby pomóc w drodze do zwycięstwa. Nazywali te poletka ogrodami zwycięstwa. Czy o to ci chodziło?

– Tak myślę. W Hartford w Connecticut stał kiedyś cyrk, ale namiot zajął się od ognia i wszyscy spłonęli.

Mogłam się tego spodziewać, pomyślała Joanna.

– Zginęło sto sześćdziesiąt osiem osób. Pokazałabym pani zdjęcie, ale nie ma moich książek. Przyniosę je następnym razem, kiedy przyjdę do szpitala.

„Skąd wiesz, że będzie następny raz? Twoja mama mówi, że szybko zdrowiejesz”, miała powiedzieć Joanna, ale ugryzła się w język.

– Jak doszło do wybuchu pożaru? – spytała w zamian.

– Nikt nie wie. To się po prostu stało.

Po prostu się stało, pomyślała Joanna. Papieros, iskra, w trocinach lub materiale, a potem, w parę chwil, stu sześćdziesięciu ośmiu ludzi nie żyje. Prawdopodobnie większość z nich to dzieci, uznała Joanna, znając cyrki. I Maisie.

– Mnóstwo dzieci zginęło – odezwała się dziewczynka, jakby czytając w myślach Joanny. – Myśli pani, że umieranie boli? To znaczy w płomieniach.

– Nie wiem – odparła Joanna, świetnie rozumiejąc, o co naprawdę chodzi Maisie. – Może tylko przez krótką chwilę. Większość pewnie zaczadziła. Myślę, że najgorszy w umieraniu jest strach.

– Ja też tak sądzę. Kiedy straciłam świadomość i trzeba mnie było reanimować, bolało tylko przez chwilę. Wcale się nie bałam. – Spojrzała na Joannę poważnym wzrokiem. – Myśli pani, że doświadczenia graniczne są właśnie po to, żeby ludzie się nie bali?

Właśnie to staram się ustalić z doktorem Wrightem.

– A co pani zdaniem dzieje się później, po doświadczeniach granicznych? Joanna wiedziała, że to pytanie było nieuchronne, od czasu

rozmowy na temat Ulli. Zerknęła na drzwi, w nadziei, że matka Maisie pojawi się magicznym sposobem, wraz z wózkiem i wesołymi myślami.

– Chcę znać prawdę – oświadczyła Maisie.

– Prawda jest taka, że nie wiem. Myślę, że zapewne nic. Kiedy serce przestaje bić, ciało przestaje wysyłać tlen do mózgu, a komórki mózgowe zaczynają obumierać, a kiedy obumrą, nie można już myśleć i człowiek czuje się tak, jakby poszedł spać albo zgasił światło.

– Jak wyłączony C-3PO – dodała ochoczo Maisie.

– Tak, właśnie tak – potwierdziła Joanna, myśląc o tym, że jeśli ta rozmowa denerwuje lub przeraża Maisie, dziewczynka z całą pewnością nie daje tego po sobie poznać.

– Będzie ciemno? – spytała Maisie.

– Nie. Nie będzie niczego.

– I nawet nie wiadomo, że się nie żyje.

– Zgadza się – przytaknęła Joanna. – Nawet nie wiadomo, że się nie żyje. – Nie wiadomo dlaczego pomyślała o Lavoisierze. Dlaczego pani powiedziała zapewne? Powiedziała pani, że zapewne nic się nie dzieje.

– Ponieważ nikt tego nie wie na pewno. Nikt martwy nigdy nie powrócił do nas, żeby opowiedzieć, jaka jest śmierć.

– Pan Mandrake twierdzi, że on wie. – Maisie zrobiła minę. – Kiedy przyszedł do mnie po reanimacji, powiedział, że dokładnie wie, co się dzieje po śmierci.

– No cóż, to nieprawda.

Maisie kiwnęła uroczyście głową.

– On mówi, że wszyscy ludzie, których się znało i którzy umarli, czekają tam na nas, a potem wszyscy idą do nieba. Myślę, że on chciałby, żeby to była prawda. Nic nie staje się prawdą tylko dlatego, że ktoś chce, aby to było prawdą. Tak jak w wypadku Dzwoneczka.

– Zgadza się – potwierdziła Joanna. – Ale też nic nie staje się nieprawdą tylko dlatego, że ktoś chce, aby było prawdą.

– Więc niebo może istnieć.

– Może – stwierdziła Joanna. – Nikt tego nie wie.

– Oprócz ludzi, którzy zmarli. A oni nie potrafią nam powiedzieć.

Nie, pomyślała Joanna, nie potrafią. Pomimo wysiłków ze strony Richarda i mojej.

– A więc każdy musi się sam przekonać – wywnioskowała Maisie. – I nie może nikogo zabrać ze sobą. Prawda?

Niestety, tak, pomyślała Joanna. Żałuję, że nie mogę pójść z tobą, dzieciaku. Okropnie się czuję ze świadomością, że sama będziesz musiała przez to przejść. Ale każdy musi umrzeć samotnie, bez względu na to, co mówi pan Mandrake.

– Prawda – powiedziała Joanna.

– Chyba, że to katastrofa. Wówczas cała masa ludzi umiera razem. Tak jak podczas pożaru w cyrku w Hartford. Nie mogli uciec, bo klatki dla zwierząt, wie pani, dla lwów i tygrysów, blokowały drogę i wszyscy się popychali i tratowali na śmierć, poza tymi, którzy się udusili od dymu. – Zmarszczyła brwi.

– Wszystko przygotowane! – radośnie wykrzyknęła matka Maisie, wtaczając do pomieszczenia wózek inwalidzki. – Gdy tylko pielęgniarka przyniesie potwierdzenie wypisania ze szpitala, możemy iść. – Zaczęła pomagać Maisie usiąść na wózku. – Wszystko przygotowane!

– Ja też już muszę iść – stwierdziła Joanna. – Do widzenia, dzieciaku. Bądź grzeczna. – Skierowała się z powrotem do laboratorium. Przy recepcji zastała zajętą robotą papierkową Barbarę. Joanna spojrzała za siebie, żeby się upewnić, że Maisie i jej matka jeszcze nie wyszły z pokoju, a następnie zwróciła się do Barbary:

– Matka Maisie twierdzi, że z małą jest lepiej. To prawda?

– To zależy, jak rozumieć słowo „lepiej” – wyjaśniła Barbara. – Zasadniczo jej stan nie uległ zmianie, ale praca serca lekko się poprawiła. Inderon najwyraźniej ustabilizował rytm uderzeń serca, chociaż nie wiem, jak długo Maisie może przyjmować ten lek. Skutki uboczne są niezwykle poważne – uszkodzenie wątroby, nerek, ale zgadza się, matka tym razem nie kłamała. Stan dziecka się poprawił.

– To dobrze. – Joanna odetchnęła z ulgą. – Nie widziała pani na tym piętrze pana Mandrake’a, prawda?

– Nie.

– To jeszcze lepiej – ucieszyła się Joanna. Obydwoma rękami uderzyła w blat, otaczający recepcję. – Na razie.

– O, dobrze, że jeszcze panią spotykam. – Podeszła do nich matka Maisie. – Chciałam podziękować pani za poświęcenie Maisie tak dużo czasu. Ona uwielbia gości, ale wielu z nich lubi rozmawiać na takie smutne tematy, o chorobach i... po prostu ją przygnębiają. Ale ona ogromnie się cieszy, gdy panią widzi. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiacie, ale Maisie jest zawsze rozradowana po pani wizytach.

Rozdział 11

„Jezu... Jezu... Jezu...”

Ostatnie słowa palonej na stosie Joanny d’Arc

Joannie udało się dotrzeć do pani Woollam dopiero po godzinie trzeciej. Pan Pearsall się spóźnił, a jego wywiad (zakończony pomyślnie) został przerwany przez telefon od pani Haighton, która najwyraźniej dzwoniła z targów rzemiosła, wciąż bowiem krzyczała do osób o imionach Ashley i Felicia, prawdopodobnie rozwieszających różne przedmioty.

– Ten tydzień nie wchodzi w grę – poinformowała Joannę – ale przyszły... Chwileczkę, tylko wezmę kalendarz... Chyba może być... Nie, ten koniec jest za wysoko.

Pan Pearsall czekał cierpliwie, a Joanna zdawała sobie sprawę, że najważniejszą rzeczą byłoby poproszenie pani Haighton o telefon później, lecz miała poczucie, że gdyby to zrobiła, ich kontakty by się urwały.

– O której godzinie ma pani czas w przyszły poniedziałek? – Joanna uśmiechnęła się przepraszająco do pana Pearsalla.

– Poniedziałek, niech sprawdzę... Musi być bardziej pofałdowane. ... nie, popołudnie nie wchodzi w grę, może rano, zobaczmy... O dziesiątej mam spotkanie Amerykańskiego Akademickiego Stowarzyszenia Kobiet. Czy odpowiadałaby pani za piętnaście dwunasta?

– Tak – potwierdziła Joanna, chociaż na jedenastą umówiła się już z panią Troudthaim. Nawet biorąc pod uwagę jej wizyty dentystyczne, ustalenie terminu spotkania z panią Haighton nastęrczało znacznie więcej trudności. – Za piętnaście dwunasta mi odpowiada.

– Za piętnaście dwunasta – powtórzyła pani Haigton. – O nie, patrzyłam na środek, a nie na poniedziałek. Niestety, poniedziałek mimo wszystko odpada.

– Może wtorek?

Następne dziesięć minut Joanna spędziła na wysłuchiwaniu litanii spotkań pani Haighton, przerywanych poleceniami wydawanymi Felicji, aż wreszcie stanęło na tym, że umówiły się na piątek, między zebraniem rady bibliotekarskiej i zajęciami jogi.

– Chociaż jestem niemal pewna, że tego dnia mam jeszcze coś do zrobienia – zastrzegła się pani Haighton.

Joanna odłożyła słuchawkę, zanim jej rozmówczyni przypomniała sobie, co to takiego, i powróciła do rozmowy z panem Pearsallem, który nigdy nie był operowany, nie mówiąc już o śmierci klinicznej.

– Nigdy nie usunąłem wyrostka ani migdałków. Nikt w mojej rodzinie nigdy nie cierpiał na tego typu dolegliwości. Mój ojciec ma siedemdziesiąt cztery lata i nie chorował ani razu.

Pan Pearsall nigdy nie spotkał pana Mandrake'a ani też nie czytał jego książek, a kiedy Joanna spytała go, czy wierzy w spirytualizm, spojrział na nią lekko wstrząśnięty.

– Czy to na pewno jest badanie o charakterze medycznym?

– Tak – potwierdziła Joanna i dała mu spokój. Musiała jeszcze tylko przygotować plan spotkań i powiedzieć Richardowi o spotkaniu z Mandrakiem.

– On uważa, że usiłujesz osmieszyć jego badania – oznajmiła.

– Bo to prawda. Jak zareagował na wieść, że ze mną współpracujesz?

– Uciekłam, zanim zdążył mi powiedzieć – pochwaliła się Joanna. – Pewnie będzie chciał wybić mi to z głowy. O ile uda mu się mnie znaleźć – dodała. – Idę na kardiologię, żeby porozmawiać z pacjentem po śmierci klinicznej. Gdyby dzwonił pan Mandrake, powiedz mu, że poszłam zobaczyć się z Maisie.

– Myślałem, że ją wypisano.

– Dobrze myślałeś – potwierdziła Joanna i zeszła na oddział intensywnej opieki kardiologicznej, gdzie poinformowano panią Woollam już przeniesiono do zwykłego pokoju.

Zegarek Joanny wskazywał szesnaście po czwartej, kiedy dotarła pod drzwi, za którymi leżała pani Woollam. Pacjentka spędziła w szpitalu przeszło siedem godzin. Pan Mandrake miał wystarczająco dużo czasu nie tylko na to, aby udaremnić Joannie możliwość przeprowadzenia rzetelnego wywiadu. Mógł wręcz zdążyć zmienić panią Woollam w drugą panią Davenport. Chyba że pani Woollam otrzymała zakaz przyjmowania gości – wówczas także Joanna nie miała szans z nią porozmawiać.

Okazało się, że owszem, panią Woollam można odwiedzać, co potwierdziła Luann. Pacjentka miewała się dobrze. Zatrzymano ją w szpitalu na dwa dni na obserwację.

– Czy pan Mandrake przyszedł z nią porozmawiać? – zaciekawiała się Joanna.

– Usiłował, ale pani Woollam go wyrzuciła – wyjaśniła Luann.

– Wyrzuciła?

– To twarda sztuka. Niech pani wejdzie. – Luann uśmiechnęła się szeroko.

Joanna delikatnie zastukała w otwarte drzwi.

– Pani Woollam? – spytała cicho.

– Proszę wejść – odezwał się łagodny głos. Joanna przekroczyła próg i zapatrzyła się w kruchą staruszkę, niewiele wyższą od Maisie. Jej siwe włosy były cienkie i rzadkie, jak puch na dmuchawcu, a sama pani Woollam wyglądała tak, jakby mógł ją porwać mocniejszy podmuch wiatru. Z całą pewnością nie wyglądała na osobę, która by kogokolwiek wyrzucała, nie wspominając o upartym panu Mandrake’u. Siedziała na łóżku, połączona licznymi przewodami z rzędem urządzeń kontrolnych. Czytała książkę w białej okładce. Gdy ujrzała Joannę, odłożyła lekturę do szuflady w nocnej szafce.

– Nazywam się Joanna Lander – przedstawiła się Joanna. – Jestem...

– Przyjaciółką Vielle – dokończyła pani Woollam. – Powiedziała mi o pani. – Uśmiechnęła się. – Vielle to cudowna pielęgniarka. Jej przyjaciele są moimi przyjaciółmi. – Ponownie się uśmiechnęła, wyjątkowo uroczo, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki. – Podobno zajmuje się pani badaniami doświadczeń granicznych.

– Zgadza się – potwierdziła Joanna. Wyciągnęła z kieszeni formularz zgody na przeprowadzenie wywiadu, wyjaśniła treść dokumentu i wręczyła go pacjentce, aby się z nim zapoznała.

– Nie zawsze doświadczam takich samych przeżyć. – Długopis w dłoni pani Woollam zawisł nad formularzem. – Nigdy nie unosiłam się nad swoim ciałem ani nie widziałam aniołów, więc jeśli ciekawią panią tego typu opisy...

– Nie chodzi mi o nic konkretnego. Chciałabym tylko, aby opowiedziała mi pani, czego pani doświadczyła.

– To dobrze. – Pani Woollam podpisała dokument drobną dłonią. – Kiedy tu ostatnio leżałam, Maurice Mandrake uparł się, że widziałam tunel

i Świetlistego Anioła. Okropny człowiek. Nie pracuje pani z nim, prawda?

– Nie – oświadczyła Joanna. – Bez względu na to, co pani wmawiał.

– To dobrze. Wie pani, co mi oznajmił? – rozłościła się pani Woollam. – Że doświadczenia graniczne to przesłanie od zmarłych.

– A pani uważa, że to nieprawda?

– Oczywiście, że to nieprawda. Zmarli nie takie przesłania przekazują żywym.

O nie, pomyślała Joanna.

– A jakiego rodzaju są to przesłania? – spytała ostrożnie.

– Przesłania miłości i przebaczenia, ponieważ zbyt często nie potrafimy sobie wybaczać – wyjaśniła pani Woollam. – Takie przesłania docierają wyłącznie do naszych serc. – Oddała Joannie papier i długopis. – No dobrze, więc o co chciała mnie pani spytać? Mimo wszystko byłam w tunelu, chociaż nie powiedziałam o tym panu Mandrake'owi.

– Jak wyglądał ten tunel?

– Było za ciemno, żeby się o tym dokładnie przekonać, ale wiem, że tunele kolejowe są znacznie większe. Znalazłam się w tunelu dwukrotnie, za pierwszym i przedostatnim razem.

– Obydwa tunele były takie same?

– Nie, jeden okazał się węższy i miał bardziej nierówną podłogę. Musiałam się przytrzymywać ścian, żeby nie upaść.

– A w innych wypadkach? – spytała Joanna, żałując, że pani Woollam ma serce w złym stanie i dobiega osiemdziesiątki. Świetnie sprawdziłaby się w roli ochotnika.

– Przebywałam w ciemnym miejscu. Nie w tunelu. Na dworze, w ciemnym, otwartym... – Wbiła wzrok w punkt za plecami Joanny. – Nie widziałam niczego w promieniu wielu kilometrów...

– We wszystkich pozostałych wypadkach znajdowała się pani w ciemnym miejscu?

– Tak. Nie, raz byłam w ogrodzie.

Maisie nie powiedziała mi, dlaczego chciała wiedzieć, co to jest ogród zwycięstwa, uzmysłowiła sobie Joanna.

– Siedziałam na białym krześle w pięknym, przepięknym ogrodzie – rozmarzyła się pani Woollam.

Ogrody często się pojawiały w widzeniach towarzyszących śmierci klinicznej.

– Może go pani opisać?

– Rosła w nim winorośl... – Pani Woollam rozejrzała się po ścianach pokoju. – ...i drzewa.

– Jakie drzewa?

– Palmy – sprecyzowała pacjentka.

Winorośl i palmy. Standardowe wyobrażenie religijne.

– Pamięta pani jeszcze coś o tym ogrodzie?

– Nie, tylko tyle, że w nim siedziałam i czekałam.

– Na co?

– Nie wiem. – Pokręciła siwą głową. – To było za pierwszym razem, kiedy wysiadło mi serce. Niecałe dwa lata temu. Niezbyt dobrze pamiętam szczegóły.

– A ostatnio?

– Stałam u podnóża pięknych schodów, wpatrując się w górę.

– Może je pani opisać?

– Wyglądały tak. – Pani Woollam sięgnęła do nocnej szafki po książkę. Ku rozczarowaniu Joanny okazało się, że to Biblia. Pani Woollam przewertowała cienkie kartki i zatrzymała się na kolorowej ilustracji, którą pokazała Joannie. Widniały na niej szerokie złote schody, z aniołami stojącymi na każdym stopniu i promienistym światłem na szczycie, gdzie widniała sylwetka człowieka z rozpostartymi ramionami.

Joanna powinna się była domyślić, że to zbyt piękne, aby się okazało prawdziwe.

– Czy tamte schody wyglądały identycznie jak te?

– Tak, poza tym, że były kręcone. A światło na ich szczycie błyszczało jak brylanty.

I szafiry, i rubiny, pomyślała Joanna.

– Ale nie widziałam żadnych aniołów, bez względu na to, co mówi pan Mandrake. Cały czas usiłował mnie przekonać, że widziałam niebo.

– A pani nie uważa, że to było niebo?

– Sama nie wiem – zastanowiła się pani Woollam. – Wszystko, co widziałam, mogło być niebem – tunel, ogród i ciemna otwarta przestrzeń. – Ponownie wzięła do ręki Biblię i otworzyła na następnej stronie. – Ewangelia według świętego Jana, rozdział czternasty, wers drugi: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”. A może znalazłam się w zupełnie innym miejscu.

– Drogie panie, przepraszam, że przerywam – wtrąciła się Luann – ale pora, aby pani – pokazała głową panią Woollam – udała się na dół.

– Cewnikowanie serca? – spytała pacjentka, zamykając Biblię.
– Aha – potwierdziła Luann. Jej pager zapiszczał. – Przepraszam. – Wyciągnęła urządzenie z kieszeni i zapatrzyła się na wyświetlacz. – Zaraz wracam. – Wyszła.

– Powiedziała pani, że to, co pani widziała podczas doświadczeń granicznych, może być zupełnie innym miejscem – podjęła Joanna. – Co pani miała na myśli? O jakie miejsce pani chodziło?

– Trudno powiedzieć. Niekiedy... – Zawiesiła głos. – Ale bez względu na to, co to za miejsce, Jezus będzie tam ze mną. – Znowu otworzyła Biblię. – Księga Izajasza rozdział czterdziesty trzeci, wers drugi. „Gdy pójdziesz przez wody, Ja będę z tobą, i gdy przez rzeki, nie zatopią ciebie. Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się i nie strawi cię płomień”.

Luann wróciła, a na jej twarzy malowało się zmęczenie.

– Chciałabym jeszcze z panią porozmawiać – zwróciła się Joanna do pani Woollam. – Mogę?

– Jeśli wciąż tu jeszcze będę. – Pani Woollam mrugnęła. – Ubezpieczalnia wciąż skraca czas moich pobytów w szpitalu. Ja też pragnęłabym zamienić z panią parę słów. Jestem ciekawa, co według pani oznaczają te wspomnienia i co pani sądzi na temat śmierci.

Mam wrażenie, że im więcej się dowiaduję, tym mniej wiem, przyszło Joannie do głowy, kiedy wchodziła po schodach. Żałowała, że jeszcze przez co najmniej dwie godziny będzie musiała przepisywać wywiady z taśm. Nie mogła odłożyć pracy na następny dzień z powodu sesji, a poza tym i tak miała tydzień opóźnienia. Weszła do gabinetu, wyciągnęła kasetę z pudełka po butach, gdzie przechowywała nagrania przeznaczone do spisania, i włączyła komputer.

– O, dobrze, że jesteś – ucieszył się Richard, wtykając głowę w drzwi. – Musiałem przełożyć pierwszą sesję pana Sage’a na dzisiejsze popołudnie. To nie powinno długo potrwać. Tish już go przygotowała.

Richard się mylił. Sesja zdawała się nie mieć końca. Nie dlatego, że pan Sage miał tak wiele do powiedzenia. Przeciwnie, nakłanianie go do powiedzenia czegokolwiek przypominało wyrywanie zębów.

– Powiedział pan, że było ciemno – przypomniała Joanna po kwadransie wypytywania. – Widział pan cokolwiek?

– Kiedy?

– Kiedy znajdował się pan w ciemnościach.

– Nie. Powiedziałem pani, było ciemno.

- Przez cały czas?
- Nie. – Zapadła głucha cisza, Joanna oczekiwała bowiem, że jej rozmówca coś doda.
- Co się stało po tym, jak zniknęły ciemności?
- Zniknęły?
- Tak, powiedział pan, że nie było ciemno przez cały czas.
- Nie było.
- Czy przez pewien czas było jasno?
- Tak.
- Może pan opisać to światło?
- Światło jak światło. – Wzruszył ramionami.

Na pytania dotyczące odczuć podczas doświadczeń granicznych pan Sage odpowiadał w takim samym stylu.

- Odczucia? – powtórzył, jakby pierwszy raz usłyszał to słowo.
- Czuł się pan szczęśliwy, smutny, zaniepokojony, podniecony, spokojny, było panu ciepło albo zimno?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Czy mógłby pan powiedzieć, że czuł się pan dobrze albo źle?
- Kiedy?
- W ciemnościach. – Joanna zgrzytnęła zębami.
- Dobrze albo źle w związku z czym? – I tak dalej, przeszło godzinę.
- O rany – sapnął Richard, kiedy pan Sage wyszedł bez pożegnania. – Nie żartowałaś, mówiąc, że nie każdy człowiek ma rozwiniętą zdolność opisywania.

– Przynajmniej ustaliliśmy, że było ciemno, a potem jasno. – Joanna pokręciła głową.

Pozostali sami w laboratorium. Tish posiedziała z nimi do połowy wywiadu, a potem wyszła, na pożegnanie zwracając się do Richarda.

– Idę do imprezę w Rio Grande z kilkorgiem znajomych, jeśli to pana interesuje. Albo panią – dodała po namyśle.

– Przykro mi, że nie udało mi się niczego z niego wydobyć na temat odczuć, o ile w ogóle cokolwiek odczuwał – stwierdziła Joanna. – Nie sądzę, aby czuł coś złego. Nie zareagował, kiedy spytałam go, czy był zaniepokojony lub smutny.

– Na nic nie reagował – uzupełnił Richard, podchodząc do pulpitu. – Przynajmniej możemy się przyjrzeć jego zdjęciom. – Zaczął wstukiwać cyfry. – Chcę porównać poziom endorfin u niego i u Amelii Tanaki.

Tyle tytułem imprezy w Rio Grande, przebiegło Joannie przez myśl, ale to bez znaczenia. Miała nagranie wywiadu z panem Sage'em i bez względu na wartość rozmowy musiała ją przepisać. Poza tym czekały na nią wszystkie pozostałe taśmy. Wróciła do gabinetu.

Na sekretarce pulsowało światełko. Byle tylko nie pan Mandrake, pomyślała i włączyła urządzenie. „Mówi Maurice Mandrake”, oznajmił głośnik. „Chciałem tylko przekazać pani, jak bardzo się cieszę, że nawiązała pani współpracę z doktorem Wrightem. Jestem przekonany, że wywrze pani na niego korzystny wpływ. Kiedy możemy się spotkać w celu opracowania strategii?”

Dzwoniły jeszcze pani Haighton i Ann Collins, pielęgniarka, która asystowała przy sesji pana Wojakowskiego. Obydwie prosiły o kontakt. I udział w zabawie w telefonicznego berka, pomyślała ze znużeniem Joanna. Mimo to oddzwoniła natychmiast. Nie zastała żadnej z nich. Zostawiła wiadomości na automatycznych sekretarkach, a potem siadła przy komputerze i spisała treść rozmowy z panem Sage'em.

Praca zajęła jej pięć minut. Wyciągnęła taśmę z magnetofonu i wsunęła następną. „Było...” długa przerwa, „...ciemno...” kolejna, „...wydaje mi się...”, opowiadała pani Davenport, „...że byłam...” bardzo długa przerwa, „...w jakimś...” wyjątkowo długa przerwa, potem pytająco: „...tunelu?” To niedorzeczne. Mogła zacząć przewijać taśmę i jednocześnie spisywać jej treść szybciej, niż opowiadała pani Davenport. Zresztą, czemu nie, pomyślała, sięgając do magnetofonu. Nawet gdyby musiała czasem cofnąć, żeby wyłapać wszystkie słowa, praca i tak przebiegałaby szybciej.

Pomysł nie zdał egzaminu. Kiedy wcisnęła przycisk przewijania, rozległ się głośny pisk. Usiłowała przytrzymać jednocześnie klawisze odtwarzania i przewijania, ale wtedy ten drugi wyskoczył i z głośnika wydobyło się ogłuszające wycie.

– I wyłączcie ten cholerny alarm – rozległ się męski głos. Nagle zapadła zupełna cisza i ten sam głos zażądał: – Pokażcie mi wykres tętna.

Reanimacja Grega Menottiego, przypomniała sobie Joanna. Musiałam zostawić włączony dyktafon. Wyciągnęła rękę, żeby przewinąć taśmę do początku.

– Ona jest za daleko – rozległ się daleki i głuchy głos Grega, a Joanna cofnęła rękę i nadstawiła uszu. – Nigdy nie zjawi się tutaj na czas.

Joanna porwała pudełko po butach, pełne taśm oczekujących na przepisanie i przetrząsnęła je, sprawdzając daty. Dwudziesty piąty lutego,

dziewiąty grudnia.

– Będzie za kilka minut – odezwała się z taśmy Vielle, a po niej kardiolog: – Ciśnienie? – Dwudziesty trzeci stycznia. Marzec – to tutaj. – Osiemdziesiąt na sześćdziesiąt – odpowiedziała pielęgniarka, a Joanna wcisnęła przewijanie i potem odtwarzanie. – Pięćdziesiąt osiem – oznajmił Greg, a Joanna zatrzymała taśmę. Wyciągnęła ją z magnetofonu i w jej miejsce wsunęła inną, którą przewinęła do połowy.

– Było piękne – oznajmiła Amelia Tanaka. Za daleko. Joanna cofnęła, posłuchała, znowu cofnęła i włączyła odtwarzanie.

– Obudziła się? – spytał głos Richarda. Joanna się nachyliła. – O nie – zaprotestowała Amelia. – O nie, o nie, o nie.

Joanna dwukrotnie przesłuchała ten fragment, potem wyciągnęła kasetę i zastąpiła ją poprzednią, chociaż wiedziała już, co usłyszy, zdawała sobie sprawę, dlaczego w głosie Amelii rozbrzmiewał niepokój. Słyszała go już wcześniej.

– Ona jest za daleko. – Greg mówił z takim samym przerażeniem, taką samą rozpaczą.

Wcisnęła przewijanie i jeszcze raz odsłuchała jego słowa, lecz miała już pewność. Taki sam ton słyszała dzisiaj dwukrotnie, po raz pierwszy przy odczytywaniu fragmentu Biblii. „Gdy pójdziesz przez wody, Ja będę z tobą, i gdy przez rzeki, nie zatopię ciebie. Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się i nie strawi cię płomień”.

Gdyby nagrała panią Woollam na taśmę magnetofonową, wszystkie głosy zabrzmiałyby jednakowo. Tak samo, jak Maisie, mówiąca: „Myśli pani, że to boli?”

Rozdział 12

„Rety, człowieku, oni nie trafiliby słonia z takiej odleg...”

Ostatnie słowa generała Johna Sedgwicka,
poległego w bitwie o budynek sądu w Spotsylvanii
podczas wojny secesyjnej

Następnego ranka pan Wojakowski zjawił się dokładnie o umówionej godzinie.

– To jedna z rzeczy, których człowiek uczy się w marynarce, punktualność – poinformował Richarda i przystąpił do opowiadania historii o GeeGaw Rawlinsie, permanentnie spóźniającym artylerzyście. – Zginął na Iwo. Pocisk smugowy prosto w oko – zakończył radośnie i podreptał do przebieralni, żeby włożyć szpitalną koszulę.

Richard wyświetlił zdjęcia pana Wojakowskiego z poprzedniej sesji. Jeszcze nie zdążył zapoznać się z jego poziomami endorfin. Ostatnie dwa dni spędził na analizie poziomu endorfin na skanach Amelii Tanaki z jej dwóch ostatnich sesji. Zgodnie z jego oczekiwaniami, poziom aktywności okazał się znacząco niższy podczas najnowszej sesji, zaobserwował także działanie mniejszej liczby receptorów, chociaż badana otrzymała taką samą dawkę dithetaminy. Czy wskutek wielokrotnego podawania tego samego środka ochotnicy zaczęli się na niego uodparniać?

Podzielił ekran i wyświetlił obok siebie zdjęcia z obydwu sesji pana Wojakowskiego, aby sprawdzić, czy podczas drugiego badania aktywność endorfin zmalała, lecz jeśli w ogóle istniała jakakolwiek różnica, to raczej wzrostowa. Nałożył na siebie obydwa obrazy i przyjrzał się receptorom.

– Dzień dobry – przywitała się Tish i weszła do laboratorium. – Szkoda, że wczoraj wieczorem nie przyszedł pan na imprezę.

– Widziała pani po drodze doktor Lander? – spytał, a gdy uzyskał przeczącą odpowiedź, stwierdził: – Pójdę po nią.

Joanna właśnie wychodziła z gabinetu.

– Przepraszam – wysapała. – Usiłowałam ustalić termin wywiadu z panią Haigton, ale nie sposób jej zastać w domu. Udaje mi się porozmawiać wyłącznie z jej gospodynią. Zaczęłam poważnie myśleć o zaproszeniu na wywiad właśnie jej. A propos, przygotowałam nowe ogłoszenie o naborze ochotników, napisałam je od początku i podałam inny telefon kontaktowy, żeby pani Bendix i jej koledzy niczego sobie nie skojarzyli.

Weszli do laboratorium. Pan Wojakowski leżał na stole do badań i przyglądał się, jak Tish podaje mu kroplówkę.

– Witam pana doktora – oznajmił i zwrócił się do Joanny: – Tym razem specjalnie dla pani zamierzam się dowiedzieć, co to za dźwięk.

– Myśli pan, że się uda? – Joanna sprawiała wrażenie zainteresowanej.

– Nie wiem. – Mrugnął do niej. – Nigdy nie wiadomo, dopóki się nie spróbuje. Olie Jorgensen zwykł tak mawiać. Był intendentem na *Yorktown*. Zawsze kombinował, jak ominąć przepisy. Któregoś razu komandor...

– Możemy zaczynać – przerwał Richard. – Proszę założyć panu Wojakowskiemu słuchawki i maskę na oczy. – Dostrzegł, że Joanna się do niego uśmiecha.

Oślepiiony i ogłuszony białym szumem pan Wojakowski okazał się znacznie spokojniejszy. Richard pomyślał, że następnym razem powie Tish, aby zaczęła przygotowania od założenia niesformemu ochotnikowi słuchawek i maski.

– Gotowy? – spytał Richard i nakazał Tish podać pacjentowi środki uspokajające i dithetaminę. Sam wrócił do pulpitu, żeby obserwować skany.

Pan Wojakowski niemal natychmiast zapadł w stan śmierci klinicznej, a Richard przyglądał się pomarańczowo-czerwonym plamom, wskazującym na aktywność płata skroniowego, hipokampa i przypadkowym rozbłyskom w korze czołowej. Powiększył obraz na receptorach endorfin, lecz nie dostrzegł zmniejszenia aktywności. Wszystkie miejsca aktywne podczas poprzednich sesji przybrały pomarańczową lub czerwoną barwę, poza tym pojawiło się kilka nowych.

Sesja pana Wojakowskiego trwała trzy minuty.

– Rozpoznałem dla pani ten dźwięk, pani doktor – oznajmił, kiedy okres monitorowania dobiegł końca i Tish zdjęła elektrody.

– Naprawdę?

– Powiedziałem, że to zrobię. Przypomina mi to czasy, kiedy...

– Niech pan zacznie od początku – przerwała Joanna, pomagając mu usiąść.

– No dobrze, więc leżę sobie z zamkniętymi oczyma i nagle słyszę dźwięk, więc nieruchomieję i uważnie słucham, jestem w tunelu i usiłuję przypomnieć sobie, z czym kojarzy mi się ten dźwięk, i po minucie wreszcie mi się udaje. Taki sam odgłos słyszałem, kiedy moje skrzydło ostrzelano podczas bitwy na Morzu Koralowym. Opowiadałem państwu o tym? Tropiliśmy Shoho i wtedy za mną pojawił się zero...

– A dźwięk, który pan usłyszał w tunelu, przypominał odgłos kul uderzających o skrzydło samolotu? Może pan opisać ten dźwięk? – spytała pośpiesznie Joanna, usiłując przerwać panu Wojakowskiemu, lecz było już za późno.

– Mój drugi pilot i strzelec pokładowy dostali podczas ataku, a lewe skrzydło było kompletnie podziurawione. Usiłowałem doprowadzić samolot z powrotem na *Yorktown*, ale brakowało mi paliwa, a kiedy wreszcie zobaczyłem lotniskowiec, wszędzie wokół latały zera, a stary Yorky dostał w rufę. No i, cholera, nie mam benzyny, żeby wylądować, nie mówiąc już o rozprawieniu się z tymi wszystkimi zerami, i usiłuję wykombinować, jak usiąść na pokładzie, kiedy bam! – Mocno klasnął nakrapianymi ze starości dłońmi. – *Yorktown* dostał w sam środek pokładu. Momentalnie mogę się przestać przejmować lądowaniem, bo za parę chwil nie będzie lotniskowca, który mnie przyjmie. Ze środkowej części okrętu bucha dym i jednostka nabiera przechyłu, więc uciekam najdalej jak się da, żeby wylądować na wodzie, a kiedy następnego dnia trafiam na brzeg na wyspie Malakula, tubylcy mówią mi, że słyszeli, jak Japonce chwaliły się, że *Yorktown* poszedł w nocy na dno.

– Zdawało mi się, że mówił pan, że *Yorktown* zatonął pod Midway – zauważyła Joanna.

– Bo to prawda. Wtedy nie zatonął. Dopłynął do stoczni w Pearl, ale ja tego nie wiedziałem. To ci historia, mówię państwu. Okręt z trudem pruje po wodzie, olej napędowy cieknie z niego jak przez sito, wreszcie pakują go do suchego doku i...

O nie, pomyślał Richard, zanosí się na następną opowieść. Spojrzał na Joannę, aby dać jej znak, żeby zadała kolejne pytanie, ale ona nie odrywała wzroku od pana Wojakowskiego.

– ...mówi: „Ile zajmie naprawa?”, a kapitan portu odpowiada: „Pół roku, może osiem miesięcy”, a komandor: „Ma pan trzy dni”. – Zachwycony pan Wojakowski walnął ręką w kolano. – Trzy dni!

– I naprawili go w ciągu trzech dni? – spytała Joanna.

– No jasne! Załatali grodzie, zespawali kotły i wysłali pod Midway. W ciągu trzech dni wyciągnęli go z grobu. A niech mnie, Japonce wyglądali, jakby zobaczyli ducha, kiedy przyplłynął *Yorktown* i zatopił trzy lotniskowce.

Ponownie klepnął się w kolano.

– Ale wtedy o tym nic nie wiedziałem. Myślałem, że okręt poszedł prosto na dno, i sądziłem, że jestem ugotowany. Japonce byli już na Malakuli. Namówiłem tubylców, żeby przeszmulowali mnie do Vanikalo, ale japońska marynarka lądowała na wszystkich okolicznych wyspach, więc rąbnąłem jakąś dłubanę i trochę kokosów i popłynąłem do Port Moresby. Tak sobie wykombinowałem, że lepiej umrzeć na morzu, niż dać się złapać Japończykom. No i niemal przeniosłem się na tamten świat. Zabrakło mi jedzenia i wody, wokół mnie krążyły rekiny. Myśle: „Koniec ze mną”, kiedy widzę coś na horyzoncie.

Pochylił się, wskazując palcem na punkt za plecami Joanny.

– Okręt. Najpierw uznałem, że to zwidy, ale on się zbliża, coraz bardziej i bardziej, i widzę, że ma pomost wyspowy. Sterczą z niego maszty i anteny. No, jedyny okręt z takim pomostem to lotniskowiec, a jeśli to japońska jednostka, to lepiej się wynosić. Staram się wypatrzeć wschodzące słońce na banderze, ale nic nie widzę, bo słońce ustawiło się idealnie za pomostem, więc wiem tylko tyle, że płynie prosto na mnie. I wtedy zauważam oznaczenie dziobowe, CV-5, i wiem, że to *Yorktown*, wrócił z za grobu. I wtedy pomyślałem, że tego okrętu nic i nikt nigdy nie zatopi.

– Ale jednak poszedł na dno podczas bitwy o Midway, zgadza się? – spytała Joanna.

Pan Wojakowski spojrzał na nią uważnie.

– Najpierw zatopił trzy lotniskowce i wygrał wojnę, tak to wyglądało.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nie ma sprawy – uspokoił ją pan Wojakowski. – Prędzej czy później wszystkie okręty idą na dno. Ale nie tego dnia. Nie tego dnia. Wtedy wyglądał tak, jakby na zawsze miał pozostać na powierzchni. Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszego widoku. – Wbił wzrok w przestrzeń, pogrążony we wspomnieniach, a jego piegowata twarz się rozpromieniła.

– Myślałem, że zatonął, że nigdy go nie zobaczę. Uznałem, że jestem skończony, a oto zjawił się on, prujący fale w moją stronę, oflagowany, a na pokładzie stali wszyscy marynarze, wychyleni za burty, każdy w białym mundurze, wymachiwali czapkami w powietrzu i krzyczeli, żebym wszedł

na pokład. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. – Spojrzał promiennie na Joannę, a potem na Richarda. – Najpiękniejszy cholerny dzień w moim życiu.

Przez następne dziesięć minut Joanna usiłowała naprowadzić pana Wojakowskiego na właściwy trop i wreszcie dowiedziała się od niego, że tunel był w rzeczywistości przejściem, a na jego końcu znajdowały się drzwi. Za nimi świeciło intensywne światło i stali ubrani na biało ludzie.

– Światło tak się od nich odbijało, że zupełnie nic nie widziałem.

Joanna spytała go, jak się czuł podczas śmierci klinicznej.

– Czuję? Nie wiem, czy cokolwiek czułem. Zbyt skłoniłem się do wpatrywania w to, co się działo. Było tak jak wtedy, gdy Japoncy po raz pierwszy zaatakowali nas na Morzu Koralowym. Wydawało mi się, że powinienem bać się jak jasna cholera, ale nie czułem strachu. Obok mnie stał Mac McTavish i... – Joanna wykorzystała wszystkie swoje umiejętności i poświęciła dziesięć minut na powstrzymanie swojego rozmówcy przed opowiedzeniem kolejnej historii. Nie udało się jej ustalić, co czuł pan Wojakowski.

– Przepraszam – odezwała się, kiedy pan Wojakowski wreszcie wyszedł.

– Nie chciałam ryzykować, pytając go o to samo.

– Szkoda, że jego doświadczenia graniczne nie były tak barwne jak opowieść o uratowaniu przez *Yorktown*.

– Trochę się od niego dowiedzieliśmy – sprzeciwiła się Joanna. – Przypomniał sobie o tym, jak zaatakowały go zera, więc wiemy, że odczuwał lęk, chociaż temu zaprzeczał.

– Poza tym przypomniał sobie o swoim najpiękniejszym cholernym dniu w życiu. Stwierdził, że światło było jaśniejsze niż poprzednio. Czy Amelia powiedziała cokolwiek na temat porównywalnej jasności lub promieniowania w doświadczeniach granicznych?

– Nie pamiętam. Mogę sprawdzić jej relację. – Wstała, jakby chciała od razu iść do gabinetu.

– Nie potrzebuję tego w tej chwili – powstrzymał ją Richard. – Zastanawiałem się tylko, bo poziom endorfin u pana Wojakowskiego tym razem się podniósł i przyszło mi do głowy, że to one mogą wywoływać wrażenie światła.

– „...błyszcząca, biała substancja, od której odbijało się światło” – odczytała z notatek Joanna. – Nie to mnie zastanowiło w jego opowieści. Ciekawe było to, że otworzył drzwi.

– Otworzył drzwi? – powtórzył Richard, zastanawiając się, co w tym nadzwyczajnego.

– Tak, po raz pierwszy mam do czynienia z osobą po śmierci klinicznej, która zachowuje się zgodnie z własną wolą. Ludzie, występujący w każdym wysłuchanym przeze mnie wcześniej opisie, zawsze zachowywali się biernie. Po prostu obserwowali i doświadczali tego, co robiły inne postaci, a pan Wojakowski nie tylko otworzył drzwi, ale w dodatku przystanął i świadomie wsłuchał się w dźwięk. – Joanna skierowała się do drzwi. – Muszę wyjaśnić sprawę tej jasności.

Wróciła po półgodzinie, aby stwierdzić, że w opisie Amelii nie ma ani słowa na temat porównywania stopnia jasności.

– ...dlatego zadzwoniłam i spytałam ją, a ona powiedziała, że światło było znacznie jaśniejsze niż podczas pierwszej sesji. Poza tym zapytałam jeszcze o wrażenie ciepła i miłości, które opisywała, a ona odparła, że czuła je podczas wszystkich trzech sesji, choć najmocniej w trakcie pierwszej. Oczywiście, nie wolno zapominać, że od czasu pierwszej sesji minęło przeszło dziesięć dni, a od ostatniej cztery, więc trudno całkowicie polegać na pamięci Amelii.

Mimo to jej wspomnienia pasowały do skanów ukazujących znacznie wyższy poziom aktywności endorfin podczas pierwszej sesji niż w trakcie drugiej, co potwierdziła analiza neuromediatorów. Wyższe poziomy zarówno beta-, jak i alfa-endorfin pojawiły się podczas pierwszej sesji. Poza tym NPK występował przy pierwszej sesji, a przy drugiej już nie.

Richard porównał te wyniki ze skanami przed chwilą uzyskanymi od pana Wojakowskiego. Zarówno NPK, jak i beta-endorfiny pojawiły się w większych ilościach niż w wypadku którejkolwiek sesji Amelii. Kiedy Joanna zjawiła się na sesję pani Troudthaim, poprosił ją, aby sprawdziła wywiady z pacjentami po doświadczeniach granicznych z ostatnich dwóch lat i wyszukała wypadki wrażenia jasnego światła i ciepła.

Joanna już przystąpiła do pracy.

– Nie zauważyłam żadnej korelacji – oświadczyła. – Trudno to jednoznacznie stwierdzić na podstawie opisów z drugiej ręki, zwłaszcza że jasność jest pojęciem względnym, lecz badani, którzy opisują swoje odczucia jako „wrażenie otoczenia miłością i spokojem” albo: „głębokie poczucie bezpieczeństwa”, wskazują także na obecność bardzo jasnego światła, a niekiedy tylko i wyłącznie światła, jakby jego jasność była tak silna, że nie dostrzegali niczego innego.

– „Zupełnie nic nie widziałem”. – Richard zacytował pana Wojakowskiego. – Ciekawe. Musimy się przekonać, co pani Troudthaim będzie miała na ten temat do powiedzenia.

Okazało się jednak, że pani Troudthaim nie ma nic do powiedzenia. Nie była „jak dotąd naszym najlepszym obserwatorem”, jak to określiła Joanna, zanim Tish podała ochotniczce dihetaminę. Przeciwnie, ogromnie rozczarowała oboje badaczy.

Nie w tym rzecz, że wypowiadała się nierozsądnie lub nieprecyzyjnie. Bez problemu się rozebrała i wdrapała na stół do badań, sama poprawiła maskę, gdy zsunęła się z jej oczu, i niezwykle starannie opisała wszystko, czego doświadczyła.

Problem w tym, że właściwie niczego nie doświadczyła. Wcale nie weszła w fazę doświadczeń granicznych. Zamiast tego, po pięciu minutach płytkiego snu skaner raptownie wskazał obraz budzącego się mózgu.

– Co się stało? – Richard zwrócił się do Tish. – Wszystko w porządku z, panią Troudthaim?

Zaniepokojona Joanna spojrzała na badaną, a Tish odpowiedziała:

– Wszystkie wskazania w normie.

– Ona jest przytomna – zaczął mówić Richard, lecz przerwał mu głos pani Troudthaim.

– Możemy zaczynać?

Gdy Joanna szczegółowo wypytała ochotniczkę o to, co się stało, okazało się, że pani Troudthaim zdrzemnęła się na chwilę i „obudziła”, gdy Tish położyła rękę na jej przegubie, aby zbadać tętno.

– Bardzo przepraszam, następnym razem postaram się nie zasypiać – obiecała badana.

– Pamięta pani, w którym momencie pani zasnęła? – spytała Joanna.

– Nie, po prostu leżałam i było tak cicho i ciemno... – odpowiedziała, ewidentnie usiłując sobie wszystko przypomnieć. – Nie wiem, co się ze mną stało. Zwykle nie zasypiam tak niespodziewanie.

– Czy cisza i ciemności zmieniały się w jakikolwiek sposób? Może coś panią obudziło? Jakiś dźwięk?

Dalsze pytania nie miały jednak sensu. Pani Troudthaim powiedziała im wszystko, co zapamiętała.

– Bardzo chętnie spróbuję jeszcze raz i obiecuję, że postaram się nie zasypiać – oznajmiła.

Richard wyjaśnił jej, że nie mogą zbyt szybko poddać jej kolejnemu badaniu.

– Ale to mnie nie dyskwalifikuje, prawda? – niepokoila się badana.

– W żadnym wypadku – zaprzeczył Richard. – Zazwyczaj na początku mamy pewne kłopoty przy ustalaniu odpowiedniej dawki. Chciałbym umówić się z panią na kolejną sesję jeszcze w tym tygodniu. Czy może pani przyjść pojutrze? – W ten sposób miały czas przyjrzeć się zdjęciom oraz danym i zdecydować, w czym tkwił problem. Prawdopodobnie chodziło tylko o to, że pani Troudthaim musiała przyjąć silniejszą dawkę leku, aby osiągnąć stan śmierci klinicznej. Tak czy owak, jedno badanie przepadło, a wraz z nim kolejny zestaw zdjęć do porównania intensywności wydzielania endorfin.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy – oświadczyła Joanna, gdy tylko zamknęły się drzwi za panią Troudthaim. – Przedwczoraj przeszła zabieg dentystyczny. Czy środek znieczulający przyjmowany przez nią podczas zabiegu może wchodzić w reakcję z dithetaminą?

– Nie powinien – stwierdził Richard, ale poprosił Joannę, aby zadzwoniła do pani Troudthaim i spytała ją, jakie leki przyjmowała. Okazało się, że krótko działającą nowokainę oraz podtlenek azotu. Żadna z tych substancji nie miała prawa pozostać w jej organizmie dłużej niż kilka godzin, ale Richard i tak sprawdził jej analizę neuromediatorów, a potem porównał ją z wynikami panów Wojakowskiego i O'Reirdona.

Pozostałą część dnia spędził na analizie wyników pod względem obecności endomorfina. U obydwu badanych pojawiły się beta-endorfiny. Alfa-endorfiny uaktywniły się u pana Wojakowskiego, a u pana O'Reirdona – nie. O piątej przyszła Tish, aby zabrać szalik, który przypadkowo zostawiła, i przy okazji spytać, czy Richard nie ma ochoty wybrać się na kolację u Conrada „razem z grupą znajomych”, ale on wolał dokończyć analizę przed sesją Amelii, więc odmówił.

– Co za dużo, to niezdrowo – oświadczyła Tish, mając na myśli pracę Richarda, i podeszła do ekranów. – Właściwie co pan tutaj widzi?

Dobre pytanie. W analizie pana O'Reirdona nie było NPK, a kiedy sprawdził wyniki pana Sage'a, nie znalazł w nich ani NPK, ani alfa-endorfin. W analizie znajdowały się za to dymorfiny i sporo beta-endorfin, które musiały być kluczem do rozwiązania problemu.

Richard przeprowadził pewne badanie. Podczas eksperymentów laboratoryjnych okazało się, że beta-endorfiny wywołują poczucie ciepła,

euforii, a także wrażenie światła i unoszenia się. Raz jeszcze wyświetlił skan z trzeciej sesji Amelii, zrobiony po tym, gdy wygłosiła pamiętne „o nie”. Sprawdził receptory beta-endorfin. Zgodnie z oczekiwaniami, wskazywały niski poziom aktywności. Większość receptorów przybrała barwę żółtą, a nie czerwoną, a dwa nabrały koloru żółtozielonego. Poza tym rozjaśniło się kilka receptorów kortyzolu, substancji neurochemicznej wywołującej lęk.

Czy pani Troudthaim potrzebowała większej dawki dithetaminy, aby wytworzyć potrzebne endorfiny? Richard przyjrzał się analizie ochotniczki, lecz poziom endorfin przy przebudzeniu i w fazie snu płytkiego nie odbiegał od normy, a skan z momentu przejścia w płytki sen wyglądał identycznie zarówno w wypadku Amelii Tanaki, jak i pana Wojakowskiego. Kiedy następnego dnia Joanna spytała, czy się przekonał, co poszło źle, odparł:

– Ani trochę.

– Nadal nie udało mi się skontaktować z panią Haighton – stwierdziła Joanna. – Wyjechała wziąć udział w seminarium o kobietach w biznesie sieciowym albo na spotkanie w Inwestycyjnym Klubie Kobiet, nie pamiętam. Poza tym są problemy z panem Pearsallem. Nie może przyjść jutro ani w czwartek, więc przesunęłam go na dziś po Amelii.

– To dobrze – skomentował Richard. Gdyby zdjęcia ze śmierci klinicznej pana Pearsalla pokazały taki sam poziom endorfin...

– Przepraszam za spóźnienie – oświadczyła Tish, wchodząc do pomieszczenia. – Wyszłam z imprezy po północy. Szkoda, że tam pana nie było, panie doktorze.

– Hm – mruknął Richard i zwrócił się do Joanny: – Czy którykolwiek z twoich badanych użył słowa „unosić się”, opisując wrażenie opuszczenia własnego ciała?

– Niemal wszyscy. Mówili też o „fruwaniu”.

– Nie wiesz, czy istnieje związek między wrażeniem opuszczania ciała i oślepiąco jasnym światłem?

– Nie, ale mogę sprawdzić.

– Dzień dobry, panie doktorze – przywitała się Amelia i zrzuciła plecak.

– Przepraszam za spóźnienie. Po raz kolejny.

Tish wręczyła jej złożoną koszulę nocną.

– Mam na imię Tish. Będą panią dzisiaj przygotowywać.

Amelia puściła to mimo uszu.

– Na egzaminie z biochemii dostałam czwórkę z plusem, panie doktorze!
– wykrzyknęła. – A z analizy enzymów mam piątkę!

– Wspaniale – pogratulował Richard. – Może pójdzie się pani przebrać i weźmiemy się do roboty. – Podeszedł do pulpitu, aby raz jeszcze przyjrzeć się skanom. W tym czasie Tish pomagała Amelii w przygotowaniach i podłączała jej kroplówkę. Po zakończeniu pracy podeszła do stołu do badań.

– Wszystko gotowe? – Richard spytał Amelię.

Skinęła głową.

– Czy mogę dostać koc? Na koniec jest mi zawsze strasznie zimno.

– Było pani tak samo zimno za każdym razem? – zainteresowała się Joanna. – Czy też może za którymś razem zrobiło się pani zimniej?

– Ostatnio chyba było mi zimniej – odparła po namyśle Amelia.

Taki skutek mogło odnieść obniżenie poziomu endorfin, a nie tylko wychłodzenie organizmu. Richard polecił pielęgniarce zacząć podawanie płynu z kroplówki, a potem podeszedł do pulpitu, aby obserwować przebieg śmierci klinicznej Amelii. Tym razem zwiększyła się zarówno aktywność receptorów, jak i ich liczba, toteż zmiany nie mogły wynikać ze zwiększonej odporności organizmu.

Spojrzał na stół do badań. Joanna, z niepokojem przyglądająca się początkowi sesji, odprężyła się, a na twarzy Amelii zastygł taki sam uśmiech Mony Lisy, jak poprzednio.

Richard prowadził obserwacje śmierci klinicznej Amelii przez cztery minuty. Kiedy dziewczyna dochodziła do siebie, nie usłyszeli żadnych przerażonych pomruków, i zgodnie z oczekiwaniami, Amelia opisała światło jako jaśniejsze i „jakby bardziej błyszczące”. Jednocześnie rozpostarła ramiona, machając dłońmi, jakby pokazywała rozchodzące się na wszystkie strony promienie. Niewątpliwie był to skutek działania endorfin.

– Czy było pani ciepło i bezpiecznie? – spytał i poczuł silne kopnięcie w kostkę.

– Może pani opisać swoje odczucia podczas doświadczeń granicznych?
– z kamienną twarzą spytała Joanna.

– Było mi ciepło i bezpiecznie, tak jak powiedział pan doktor – wyjaśniła Amelia, uśmiechając się do Richarda. Wiedział, że Joanna oskarży go o sugerowanie odpowiedzi, ale Amelia wymieniła ciepło i światło jeszcze kilkakrotnie podczas relacjonowania tego, co widziała, a

kiedy Joanna spytała ją z pokerową twarzą, czy doświadczyła czegokolwiek, co mogło ją przestraszyć, odpowiedź brzmiała jednoznacznie negatywnie.

Widziała długie ciemne pomieszczenie „przypominające korytarz”, zakończone otwartymi drzwiami, za którymi stali ludzie.

– Rozpoznała ich pani? – zapytała Joanna, a po chwili przerwy Amelia potrząsnęła przecząco głową.

– Nosili białe ubrania – dodała.

– Co się stało później?

– Po prostu tam stali. – Amelia starannie otuliła się kocem.

Joannie nie udało się dowiedzieć nic poza tym, że Amelia usłyszała dźwięk (którego nie potrafiła zidentyfikować), kiedy weszła na korytarz, a moment wcześniej miała wrażenie, że się unosi w powietrzu.

Bez wątpienia beta-endorfiny, uznał w myślach Richard. Musiał przyjrzeć się analizie neuromediatorów i funkcjonowaniu krwiobiegu, ale jeśli ich aktywność okazałaby się intensywniejsza niż podczas dwóch poprzednich sesji Amelii, wówczas zapewne wszystkie zasadnicze elementy doświadczeń granicznych były wywoływane przez endorfiny. Mogło to oznaczać, że Noyes i Linden mieli rację i doświadczenia graniczne to mechanizm obronny, mający uchronić mózg przed traumatycznymi emocjami związanymi z umieraniem. Innymi słowy, doświadczenia graniczne jednak nie muszą być mechanizmem służącym przetrwaniu.

Oczywiście, o ile poziomy endorfin stale pasowałyby do siebie, a zwiększone wydzielanie endorfiny skutkowałoby pojawieniem się większej liczby zasadniczych elementów doświadczeń granicznych. Richard potrzebował więcej danych, aby udowodnić jedną z tych tez, co oznaczało konieczność jak najszybszego poddania Amelii kolejnemu eksperymentowi. Umówienie się z nią na następną sesję okazało się jednak równie trudne, jak wybranie odpowiedniego terminu rozmowy z panią Haighton.

– W przyszłym tygodniu mam bardzo ważny test z anatomii. – Amelia uśmiechnęła się przepaszająco do Richarda. – Czy możemy umówić się za dwa tygodnie?

– Bardzo mi zależy na wcześniejszym spotkaniu – burknął Richard.

– Dobrze, panie doktorze. – Amelia nie przestawała się uśmiechać. – Ale musi pan wiedzieć, że jest pan jedyną osobą, dla której jestem gotowa to zrobić, a jeśli zawalę anatomię, to będzie to wyłącznie pana wina.

Zanim ustalili termin, pojawił się pan Pearsall. Po wydarzeniach poprzedniego dnia Richard nieco się obawiał, czy uda mu się wprowadzić go w stan śmierci klinicznej, lecz okazało się, że pan Pearsall nie tylko przeżył doświadczenia graniczne, ale jeszcze miał sporo do powiedzenia. Skan odpowiadał standardowi niemal tak dokładnie, jak zdjęcie Tanaki, a podczas wywiadu pan Pearsall wymienił pięć zasadniczych elementów, między innymi opuszczenie ciała.

– Leżałem na stole i czekałem, aż państwo zaczną – poinformował Joannę. – Oczywiście niczego nie widziałem, z powodu maski i zamkniętych oczu, aż nagle stwierdziłem, że widzę. Unosiłem się nad stołem i widziałem wszystko, pielęgniarkę badającą mi tętno i panią z małym magnetofonem przy moich ustach, i pana doktora przy komputerze. Na ekranach pojawiały się kolorowe plamy, które wciąż zmieniały zabarwienie, z żółtego na pomarańczowy i z niebieskiego na zielony.

– Stwierdził pan, że się unosił nad stołem – odezwała się Joanna. – Może pan opowiedzieć coś więcej?

– Znajdowałem się tuż pod sufitem – opisał Pearsall. – Widziałem wierzchołki okien i szafek. – Ale nie to, co Joanna postawiła na szafce z lekarstwami, pomyślał Richard, a wszystko inne widział podczas rozmowy lub mógł dostrzec, wchodząc do pokoju.

Po raz kolejny podziwiał rozsądek Joanny. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby nie zaprosił jej do współpracy. Nagłówki w gazecie „Star”: „Naukowiec udowadnia istnienie życia po śmierci”, wraz z pozytywną opinią pana Mandrake’a i dodatkowymi wywiadami z doktorem Foxxem i panią Coffey, księżycowym medium. I koniec z finansowaniem dalszych badań, nawet przez Szpital Miłosierdzia. Koniec z wiarygodnością.

Joanna dodała badaniom wiarygodności wyłącznie dzięki swojemu zaangażowaniu. Siedziała w laboratorium w kardiganie oraz okularach w drucianych oprawkach i była oazą zdrowego rozsądku w dziedzinieapełnionej szaleńcami i wariatami. Nie było możliwości, aby kiedykolwiek wziął do ręki „Stara” i przeczytał w nim, że Joanna uznała, iż Tamta Strona istnieje. Była nie tylko rozsądna, lecz także inteligentna i fantastycznie prowadziła rozmowy. Pozornie nic nie robiła, a udawało się jej wyciągnąć z ludzi znacznie więcej informacji niż jemu.

– Co się potem stało? – pytała pana Pearsalla.

– Usłyszałem dźwięk i znalazłem się w ciemnym miejscu.

– Może pan opisać ten dźwięk?

– To był taki... łomot, jakby jechała ciężarówka... albo jak grzechotanie.

Albo kule uderzające w skrzydło Wildcata, pomyślał Richard, zastawiając się, jak brzmiał dźwięk, którego opisanie nastęrczało wszystkim tak wiele trudności. Czy ten odgłos był zupełnie nierozpoznawalny?

– Kiedy dotarłem do końca tunelu, drogę zagroziła mi brama. Chciałem przez nią przejść, ale nie mogłem – opowiadał pan Pearsall, a w jego głosie nie pobrzmiwał niepokój. Kiedy Joanna poprosiła go o opisanie światła, stwierdził:

– Było jaśniejsze niż cokolwiek, co w życiu widziałem, ale mimo to sprawiło, że poczułem spokój, ciepło i bezpieczeństwo.

Później okazało się jednak, że skaner zarejestrował mniej niż połowę receptorów beta-endorfin, w dodatku oznaczonych kolorem zielonym lub niebieskim, wskazującym na najniższy poziom aktywności. Beta-endorfiny i NPK występowały w ilościach śladowych, za to obficie pojawiły się alfa-endorfiny i kwas gamma-aminomasłowy, inhibitor endorfin.

Richard odtworzył analizy najnowszych skanów Amelii. Nie dostrzegł ani beta-endorfin, ani NPK, a alfa-endorfiny znajdowały się na niskim poziomie.

Na wykresach nie zarejestrowano kortyzolu.

Rozdział 13

„*To dziwne*”.

Ostatnie słowa kowboja i hazardzisty Doca Hollidaya

Przez kolejne dwa tygodnie Joanna straciła wszelkie złudzenia związane z tym, że z osobami uczestniczącymi w kontrolowanym eksperymencie łatwiej jest przeprowadzić wywiad niż z pacjentami. Nie potrafiła skłonić do mówienia pana Sage’a, nie potrafiła zmusić pana Wojakowskiego do zamilknięcia, a pani Troudtheim wciąż nie doświadczyła śmierci klinicznej, pomimo podejmowanych przez Richarda prób dobrania jej odpowiedniej dawki dithetaminy.

– Nie mam pojęcia, dlaczego nic z tego nie wychodzi – Richard obwieścił z niechęcią po trzeciej nieudanej próbie. – Myślałem, że rozwiązanie problemu tkwi w środku uspokajającym, bo badana się budzi, więc ostatnio zwiększyłem dawkę, a teraz użyłem dipritalu zamiast zalepamu i nic.

– Może pani Troudtheim należy do ludzi, którzy po prostu nie mogą przejść śmierci klinicznej? – zasugerowała Joanna. – Czterdzieści procent pacjentów, którzy byli reanimowani, niczego nie pamięta.

– Nie, to nie to.

– Skąd wiesz?

– Bo mamy tylko pięciu ochotników – wyjaśnił. – Sprawdzę jej poziomy kortyzolu. Może dawka jest wciąż za niska.

To tylko pogorszyło sprawę. Kiedy Joanna weszła do laboratorium przed kolejną sesją Amelii, Richard niespodziewanie spytał:

– Nie wspominałaś mi przypadkiem, że twoi pacjenci często mówią, że doświadczenia graniczne to nie sen?

– Zgadza się – potwierdziła. – To była jedna z pierwszych rzeczy, które mnie zaskoczyły, kiedy przystąpiłam do prowadzenia badań. Jeden z koronnych argumentów Mandrake’a dotyczących realności doświadczeń

granicznych opiera się na tym, że wszyscy jego pacjenci mówią, że to nie był sen. Oczywiście subiektywne wspomnienia niczego nie dowodzą, co zresztą usiłowałam mu zakomunikować, ale doszłam do wniosku, że on i tak skłania swoich badanych do tego typu wyznań. Kiedy jednak sama zaczęłam rozmawiać z pacjentami, okazało się, że pan Mandrake nie przesadza – niemal wszyscy z własnej woli powtarzali, że swoje przeżycia odebrali jako rzeczywistość, a nie sen.

– Czy udało ci się skłonić ich do bardziej szczegółowych wyjaśnień?

– Masz coś do jedzenia? – zainteresowała się Joanna. – Przez cały lunch usiłowałam dodzwonić się do pani Haighton.

– Jasne. – Richard sięgnął do kieszeni. – Niech sprawdzę, sok V8, mieszanka studencka, krakersy z serem i masłem fistaszkowym... i pomarańcza. Wybieraj.

– Nie, wracając do twojego pytania. – Joanna rozerwała opakowanie krakersów. – Po prostu powtarzają, że czuli, jakby to była rzeczywistość. Może dlatego, że doświadczenia graniczne są spójne i linearne.

– Linearne?

– Rozumiesz, siedzisz sobie w piżamie, pisząc egzamin na koniec zajęć, na które nigdy nie uczęszczałeś, a potem nagle znajdujesz się w Paryżu, leżącym nad morzem, nieco na południe od Denver. W snach pojawia się mnóstwo miejsc i czasów, które zmieniają się jak w kalejdoskopie, widzisz przedmioty i ludzi z różnych epok i krajów, wszystko jest zupełnie niespójne. – Joanna pociągnęła łyk V8. – Żaden z moich badanych nigdy nie wspominał o tego typu przeżyciach. Doświadczenia graniczne najwyraźniej układają się w logiczną, linearną całość.

Przełknęła krakersa i kontynuowała:

– Poza tym doświadczenia graniczne są dłużej przechowywane w pamięci. Szybko zapominamy o tym, co nam się śniło, zwykle w przeciągu kilku minut od przebudzenia, a moi badani pamiętali o swoich doznaniach przez wiele dni, niekiedy lat. Skąd te wszystkie pytania dotyczące snów?

– Kiedy porównałem poziomy kortyzolu u pani Troudthaim ze standardowymi wskazaniem, zauważyłem, że poziomy acetylocholinę odpowiadają fazie snu REM, a gdy sprawdziłem pozostałych badanych, okazało się, że ich poziomy były tak samo wysokie.

– Więc myślisz, że doświadczenia graniczne są zbliżone do snu, wbrew temu, co mówią pacjenci?

– Nie, ponieważ nie zaobserwowałem zbliżonego spadku noradrenaliny, który następuje we śnie. Nie wiem, co o tym myśleć. Poziomy endorfin są niestabilne, a we wszystkich badaniach pana Wojakowskiego pojawił się kortyzol, chociaż on sam twierdzi, że nie odczuwał żadnego lęku.

– Ale za to w kółko opowiada o zerach i zabijanych ludziach – przypomniała Joanna.

– Dostrzegłem kortyzol także o ostatnich skanach Amelii. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Joanna też nie wiedziała, co o tym myśleć. Wczorajsza sesja Amelii była najbardziej euforyczna ze wszystkich jej dotychczasowych badań. Kiedy Joanna poprosiła Amelię o opisanie swoich odczuć, ta spojrzała promiennie na Richarda i oznajmiła radośnie: „Ciepło, bezpiecznie, cudownie!”

Żaden z pozostałych badanych również nie okazywał jakichkolwiek oznak niepokoju. Joannie wreszcie udało się nawiązać kontakt z Ann Collins, pielęgniarką, która asystowała przy sesji, kiedy pan Wojakowski coś mruknął, dochodząc do siebie.

– Powiedział: „Na stanowiska!” – przypomniała sobie Ann, a niespecjalnie zdziwiona Joanna zapytała jeszcze, jakim tonem wygłosił te słowa.

– Był podniecony i radosny – odparła pielęgniarka.

Zatem kortyzol nie tłumaczył, dlaczego Amelia powiedziała „O nie”. Nie wiadomo też, dlaczego Greg Menotti wykrzyknął „pięćdziesiąt osiem” – ta liczba wciąż nie dawała Joannie spokoju. Po drugiej wizycie u pani Woollam (z konieczności bardzo krótkiej, pacjentka bowiem musiała iść na prześwietlenie klatki piersiowej), Joanna udała się do szpitalnej kaplicy, wzięła Biblię i przejrzała Psalm 58, lecz dotyczył on grzechów niegodziwców, którzy „niech się rozejdą jak spływające wody”.

Pełna poczucia winy Joanna spędziła kilka minut na przeglądaniu reszty Biblii i odkryła, że większość rozdziałów nie ma wersu 58, a te, w których go zamieszczono, głosiły coś w rodzaju: „Obszerny mur Babilonu zwali się doszczętnie, Wysokie jego bramy spłoną w ogniu, Na próżno więc trudzą się narody, i z powodu ognia wysilają się ludy”, co niespecjalnie przyczyniło się do rozwiązania zagadki. Zwłaszcza fragment o pracy na próżno.

Chociaż nie udawało się znaleźć odpowiedzi w Biblii, gdzieś jednak musiała się kryć. Joanna wciąż miała świadomość, że ją zna, a niekiedy, wsłuchując się w częste przerwy w wypowiedziach pana Sage’a lub

chowając w windzie na widok pana Mandrake'a, czuła, iż ma odpowiedź na końcu języka. W takich chwilach dochodziła do wniosku, że wystarczyłoby pół godziny nieprzerwanej koncentracji, aby wszystko sobie przypomniała.

Nie mogła jednak liczyć na pół godziny wolnego. Pani Haighton zadzwoniła, aby obwieścić, że czwartek nie wchodzi w grę, a Vielle i Maisie skontaktowały się z nią, bo dziewczynka wróciła do szpitala.

– Znowu miałam migotanie przedsionków – oświadczyła rzeczowo Maisie. – Siedziałam tu cały dzień. Czy pani nigdy nie odpowiada na wiadomości z pagera?

Nigdy, pomyślała Joanna. Zawsze okazywało się, że dzwonił pan Mandrake, który chciał się dowiedzieć, kim byli jej pacjenci i czego doświadczyli.

– Natychmiast muszę się z panią zobaczyć – stwierdziła Maisie. – Jestem w tym samym pokoju, co ostatnio.

Joanna obiecała, że przyjdzie zaraz po zakończeniu sesji z panem Sage'em. Widział tunel (ciemny), światło (jasne) i ludzi (chyba), a wydobyć z niego tych informacji trwało półtorej godziny. Rozmowa z Maisie okazała się przyjemną odmianą.

– Nie powiedziałaś mi, dlaczego mnie spytałaś o ogród zwycięstwa – przypomniała Joanna, usiłując powstrzymać przerażenie na widok paskudnie opuchniętej twarzy Maisie. Zatrzymanie płynów w organizmie, pomyślała. Zły znak.

– Ach, to z powodu Emmetta Kelly'ego, to taki klaun z bardzo smutną miną i w podartym ubraniu. Mam jego zdjęcie – jest w tej dużej czerwonej książce z wulkanem – wyjaśniła. – Leży w mojej torbie z Barbie.

– Jak widzę, pani Sutterly przyniosła ci książki. – Joanna zajrzała do torby. *100 największych katastrof w historii ludzkości*, z eksplodującym *Hindenburgiem* na okładce, *Katastrofy świata*, z mapą pokrytą czerwonymi punktami, *Wielkie katastrofy*, z czarno-białym zdjęciem trzęsienia ziemi w San Francisco. Oto ona. *Katastrofy XX wieku* z rzucającym się w oczy, czerwono-czarnym rysunkiem wulkanu.

– Co to takiego? – Joanna przyniosła książkę do łóżka. – Pompeje?

– Pompeje to miasto – poprawiła ją Maisie. – Wulkan nazywa się Wezuwiusz. Ale to jest rysunek Mount Pelee. W dwie minuty zabił trzydzieści tysięcy ludzi. – Otworzyła książkę i zaczęła przewracać strony wypełnione zdjęciami, mapami i nagłówkami z gazet. Pożar w fabryce bluzek Triangle, zatonięcie Morro Castle, huragan Galveston.

– O, jest. – Maisie lekko się zasapała. Tylko dlatego, że przewracała strony? Dziewczynka pokazała Joannie dwie strony pełne fotografii. Na górze jednej z nich widniał Emmett Kelly, z pomalowaną na biało, wykrzywioną w smutnym grymasie twarzą, w pogiętym kapeluszu i ogromnych, rozczłapanych butach. Klaun biegł w stronę cyrku z wiadrem wody, z twarzą pełną grozy i rozpacz, widocznymi nawet pod grubą warstwą makijażu. Na szczęście Maisie najwyraźniej nie dostrzegła potwornego przerażenia klauna.

– Emmett Kelly pomógł wydostać z ognia te wszystkie małe dzieci – wyjaśniła Maisie. – Uratował też jedną dziewczynkę, a kiedy wybiegł z nią z płomieni, powiedział: „Idź tam, do ogrodu zwycięstwa, i zaczekaj na swoją mamę”. Nie chciał, żeby przeszkadzała.

– Rozumiem, a ty myślałaś, że to jakieś specjalne miejsce, które wówczas znajdowało się przy każdym cyrku?

– Nie – zaprzeczyła Maisie. – Myślałam, że tam się uprawia warzywa. – Obróciła książkę, dzięki czemu druga połowa podwójnej strony znalazła się przed oczyma Joanny, i wskazała na mężczyznę w wysokim kapeluszu dyrygenta orkiestry. – To dyrygent. Kiedy wybuchł pożar, kazał muzykom grać *Gwiaździsty sztandar*. Zna pani tę piosenkę?

– Tak. – Joanna zamruczała kilka taktów.

– O, poznaję – ucieszyła się Maisie. – To piosenka kaczek. „Bądź dobry dla swoich przyjaciół z płetwami na nogach”. Jeśli znajdzie się pani w cyrku i usłyszy tę piosenkę, musi pani jak najszybciej uciekać. Oznacza ona, że wybuchł pożar, uciekł lew albo coś podobnego.

– Nie wiedziałam.

– To taki sygnał – wyjaśniła mądrze Maisie. – Kiedy orkiestra zaczyna go grać, wszyscy pracownicy cyrku wiedzą, że muszą przyjść z powodu niebezpieczeństwa. To tak, jakby musieli kogoś reanimować. Dlaczego ubrania Emmetta Kelly’ego są takie podarte?

Joanna wyjaśniła, że klaun chciał wyglądać jak włóczęga, i później przypomniała sobie o Carlu Śpiączce, który mrucał tak, jak ona przed chwilą, więc poszła go odwiedzić.

Jego żona stwierdziła, że chory dobrze się miewa, co oznaczało, że nie wyrwał sobie kroplówki, wymachując rękami, i nie znalazł się w zasadzce Wietkongu. Joanna uznała, że Carl wygląda znacznie szczuplej. Kiedy poszła do stanowiska pielęgniarek, Guadalupe wręczyła jej kartkę ze spisnymi pomrukami pacjenta.

- Ostatnio niewiele mówił – wyjaśniła pielęgniarka.
- Wciąż jeszcze pływa łódką po jeziorze?
- Nie – zaprzeczyła Guadalupe.

Joanna zerknęła na kartkę. „Nie”, powiedział Carl, „...muszę..., mężczyzna... łąty...”, a na końcu widniało słowo „czerwony”, napisane innym charakterem pisma.

Joanna przepisała słowa do komputerowych akt Carla, wraz ze słowami „woda” oraz „o rety” i komentarzami Guadalupe na temat jego ruchów. Przeglądając zapiski, stwierdziła, że nie przepisała pomruków. Musiały być zarejestrowane na jednej z kilkudziesięciu zgromadzonych w pudełku po butach kaset, do których jeszcze nie zajrzała i w najbliższym czasie na pewno nie zajrzy. W pierwszej kolejności musiała się zajmować nagraniami związanymi z projektem badawczym, poza tym miała na głowie wywiady i ustalanie terminarza spotkań. A także jego zmiany.

Pani Haighton nie mogła przyjść w piątek – tego dnia przypadała uroczystość w Muzeum Sztuki. Poza tym Amelia chciała przełożyć sesję. Przygotowywała się do następnego ważnego egzaminu i jej profesor ustalił termin zajęć powtórzeniowych, których nie mogła opuścić. Nie, czwartek także nie wchodził w grę. Tego dnia czekał ją test ze statystyki.

– Ile oni teraz muszą zdawać tych egzaminów? – wybuch Richard, kiedy Joanna przekazała mu nowiny. – Zdawało mi się że półrocze już minęło. Co się dzieje? Znalazła sobie nowego chłopaka?

Raczej odpuściła sobie podrywanie ciebie, bo jej nigdy nie zauważasz, pomyślała Joanna. Chociaż Amelia robiła się coraz bardziej radosna i uśmiechnięta, Richarda interesowało wyłącznie niepowodzenie związane z wprowadzeniem pani Troudthaim w stan śmierci klinicznej.

– Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić – w rozpaczony wyznał Joannie.

Przypadek pani Troduthaim był o tyle niekorzystny, że gdyby dysponowali dużą grupą ochotników, mogliby po prostu uznać ją za osobę nieodpowiednią do dalszych badań i skoncentrować się na innych. Tymczasem nie mieli nikogo w zamian. Tracili nadzieję, że Joannie uda się kiedykolwiek umówić z panią Haighton na wywiad, nie mówiąc już o sesji, a pan Pearsall zadzwonił z informacją, że jego ojciec, całe życie zdrowy jak koń, miał udar mózgu. W związku z tym pan Pearsall musiał lecieć do Ohio i nie wiedział, kiedy wróci. Tak więc pozostał jedynie małomówny pan Sage, coraz trudniej osiągalna Amelia Tanaka oraz pan Wojakowski.

Przynajmniej on przychodził na każde wezwanie. I coraz chętniej rozmawiał.

– Znajdowałem się w tunelu – rozpoczął swoją piątą relację. Siedzieli w laboratorium sami, gdyż Richard postanowił sam zanieść próbkę krwi do zbadania: albo chciał szybko poznać wyniki, albo raczej uniknąć perspektywy kolejnej wojennej opowieści pana Wojakowskiego.

– Było ciemno, nic nie widziałem, ale się nie bałem. Ogarnął mnie spokój, jak wtedy, gdy wiadomo, że coś się wydarzy, ale nie wiadomo co i kiedy. Takie jak w dniu, w którym zbombardowali Pearl.

Wiedziałam, że jakoś wplącze w to *Yorktown*, stwierdziła w duchu Joanna.

– Wciąż pamiętam tamten ranek. Była niedziela...

Joanna zastanawiała się, czy powinna skierować jego opowieść na właściwe tory, czy też darować sobie, gdyż pan Wojakowski i tak zawsze przejdzie do innej historii. Zwykle samodzielnie wracał do zadanego pytania. Oparła więc brodę na dłoni i uzbroiła się w cierpliwość.

– Wracam z przepustki na Virginia Beach – *Yorktown* stał w Norfolk – i widzę marynarza na pomoście wyspowym... – Sięgnął do kieszeni i wydobyl pogięte zdjęcie *Yorktown*. – To jest pomost wyspowy. – Wskazał na wysoką wieżę pośrodku okrętu. Umieszczono na niej trzy maszty z poprzecznymi belkami, które zgodnie z przypuszczeniami Joanny były antenami radiowymi lub radarami, a także najrozmaitsze drabiny.

– Widzi pani, to jest maszt radarowy, a to mostek – wytłumaczył pan Wojakowski, wskazując palcem zdjęcie. – No więc ten marynarz wygląda, jakby zaraz miał skrócić kark, tak szybko schodzi z pomostu, a w prawej ręce trzyma kartkę.

Zgiął zdjęcie i pieczołowicie ukrył je w portfelu.

– Powinienem był się domyślić, że coś wisi w powietrzu – na górze tej drabiny znajdowała się wyłącznie kabina radiotelegrafisty – ale to mi nawet nie przyszło do głowy. Po prostu stałem sobie i zastanawiałem się, czy skrócić sobie kark, a kiedy okazało się, że nie, zszedłem pod pokład, aby rzucić cywilne łachy. Wtedy usłyszałem z głośników radiowęzła wiadomość, że Japońcy zbombardowali Pearl Harbor, i domyśliłem się, że radiowiec musiał trzymać w ręku telegram.

Pokręcił głową na znak dezaprobaty wobec swojego braku spostrzegawczości.

– To samo czułem w tunelu, czekałem, że coś się stanie, ale nie wiedziałem co i kiedy.

Zerknął z wyczekiwaniem na Joannę, ale ona nie słuchała. Starła się odtworzyć w pamięci, co pan Wojakowski powiedział pierwszego dnia, kiedy spytała go o wiek. Bez wątpienia stwierdził, że zaciągnął się dzień po Pearl Harbor.

– Niektórzy w ogóle nie mogli w to uwierzyć, nawet kiedy usłyszeli wiadomość przez głośniki. Wchodzi Woody Pikeman i pyta: „Co to za mądrała?”, mając na myśli gościa przemawiającego z głośników. „Cesarz Hirohito”, odpowiadam.

– Panie Wojakowski – przerwała mu Joanna. – Właśnie sobie przypomniałam, że muszę się zjawić na pewnym zebraniu.

– Wstała i wyłączyła dyktafon. – Jeśli pan pozwoli...

– Jasne, pani doktor. Mam przyjść później?

– Tak. Nie. Nie wiem, jak długo potrwa to zebranie. – Podniosła magnetofon i notatnik.

– Mam jeszcze wiele do opowiedzenia – oświadczył.

– Zadzwoń do pana, aby ustalić inny termin spotkania – stwierdziła stanowczo.

– Kiedy tylko pani zechce – zgodził się i wolno wyszedł. Gdy zniknął za drzwiami, podniosła telefon z zamiarem przesłania Richardowi wiadomości na pager, ale zmieniła zdanie. Musiała sprawdzić notatki, zanim wysunie oskarżenie.

Położyła dyktafon i znieruchomiła, nie odrywając od niego ręki. Usiłowała przypomnieć sobie, co dokładnie powiedział pan Wojakowski na temat swojego wstąpienia do wojska. Jego wojennych opowieści słuchała jednym uchem, lecz nie miała wątpliwości, że zgodnie ze swoją wcześniejszą wersją pan Wojakowski zaciągnął się dzień po Pearl. Nikt nie wiedział, gdzie leży ta wyspa, poza jego młodszą siostrą, która poprzedniego wieczoru oglądała w kinie kronikę filmową.

Zeszła do gabinetu. Jeszcze nie spisała relacji pana Wojakowskiego. Przetrzaśnęła pudełko po butach i po chwili wydobyła z niego odpowiednią kasetę, wrzuciła ją do magnetofonu i przewinęła do środka. „Po tym, jak wypłynęliśmy z Rabaul...” Za daleko. Cofnęła. „Był trupem, zanim ktokolwiek się zorientował...” Do przodu. „...Zabawne pisemko”. Jest: „... jedna pani, leżąca dwie sale dalej, biegnie zadyszana i mówi: Japońce właśnie zbombardowali Pearl Harbor!«”

Joanna przewinęła taśmę do przodu. Młodsza siostra, kronika, *Desperadoes*. „A następnego dnia pojechałem do śródmieścia do punktu rekrutacyjnego i zaciągnąłem się do marynarki wojennej”.

Położyła rękę na ustach i zamyśliła się. Mój Boże, on zmyślał. Ale w którym wypadku? Może obie wersje są nieprawdziwe? A może wszystko, co mówił, to kłamstwo? To nie miało znaczenia. Nawet jeśli choćby część jego wspomnień była konfabulacją, wszystkie relacje z doświadczeń granicznych nie nadawały się do wykorzystania.

Chyba że historię o zaciągnięciu się po Pearl Harbor opowiedział po to, aby ukryć swój prawdziwy wiek. Kiedy po raz pierwszy go ujrzała, pomyślała, że musi mieć pod osiemdziesiątkę. Istniała możliwość, że zmyślał, żeby nie zorientowali się, ile ma lat, a potem, kiedy opisywał doświadczenia graniczne, zapomniał się i wyznał prawdę. Jeśli kłamstwo wiązało się wyłącznie z wiekiem, wszystko inne mogło być prawdą.

Ale jak mogliby to sprawdzić? Pomyślała o jego innych historiach, automacie z napojami, zatonięciu Hammanna i całej jego załogi w dwie minuty, radosnym ocaleniu pana Wojakowskiego przez cudownie wyremontowany *Yorktown*, powiewających flagach, marynarzach wymachujących białymi czapkami w powietrzu. Wszystko to brzmiało zupełnie wiarygodnie. Podobnie zresztą jak jego relacje z siódmego grudnia 1941 roku.

Potrzebowała potwierdzenia z zewnątrz. Mogła zadzwonić do biblioteki i spytać, gdzie znajdował się *Yorktown* siódmego grudnia 1941 roku, ale ta informacja nie potwierdziłaby, że pan Wojakowski był wówczas na pokładzie. Przypuszczała, że mogłaby zadzwonić do Wydziału Spraw Weteranów w Marynarce Wojennej, aby sprawdzić, czy Edward Wojakowski służył na *Yorktown*, ale ten sposób byłby czasochłonny i zapewne trudny do zrealizowania ze względów biurokratycznych. Musiała poznać prawdę szybko, zanim Richard ponownie podłączy go do urzędnika.

Przekartkowała notatki w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby potwierdzić. Pilot bombowca nurkującego – jak on się nazywał? Jest, Jo Jo Powers, rozbił się, kładąc bombę na pokładzie startowym. Nie, to mógł wyczytać w książce albo zobaczyć w filmie. Był taki film, *Bitwa o Midway*, prawda? Przypomniała sobie, że widziała go na półce z filmami wojennymi w wypożyczalni Blockbuster. A zatem nic, co jest związane z Midway. A

może historia o przymusowym lądowaniu w Morzu Koralowym? Pełno w niej faktów, które można by zweryfikować – daty, zdarzenia, nazwy miejsc.

Przejrzała notatki w poszukiwaniu relacji z ocalenia. Jest. Wylądował w Morzu Koralowym, dopłynął do Malakuli, przyjaźnie nastawieni tubylcy przeszmyglowali go na inną wyspę, wypłynął dłubanką do Port Moresby. Tymczasem uszkodzony *Yorktown* dowlókł się do stoczni na Pearl Harbor, naprawiono go w trzy dni, a potem wypłynął prosto do Midway.

Potrzebowała mapy. Kto w szpitalu mógłby mieć mapę? Maisie, uznała Joanna, przypomniawszy sobie mapę na okładce jednej z jej książek o katastrofach. Wypisała sobie podstawowe informacje. Morze Koralowe, Malakula, Yanikalo. Nabazgrała także daty, na wypadek gdyby zatonięcie *Yorktown* również uznano za katastrofę, i zbiegła na trzecie piętro.

Maisie leżała oparta o poduszki i oglądała film na wideo.

– *Pollyanna* – wyjaśniła Joannie z obrzydzeniem. – Jedyne, czym się zajmuje, to nakłanianie ludzi, aby się ze wszystkiego cieszyli. Niedobrze się robi. – Wycelowwała pilota w Hayley Mills, ubraną w białą sukienkę oraz obszerny niebieski szal, i wyłączyła telewizor.

– Później spada z drzewa – poinformowała ją Joanna.

– Naprawdę? – rozjaśniła się Maisie. – Powiem pani coś ciekawego na temat pożaru cyrku w Hartford. Latająca Rodzina Wallendów, taka grupa akrobatów, właśnie występowała wysoko pod dachem, kiedy usłyszeli piosenkę kaczek i...

– Nie teraz – przerwała Joanna. – Maisie, potrzebna mi mapa wysp na Oceanie Spokojnym. Masz może jakąś w którejś ze swoich książek o katastrofach?

– Aha – potwierdziła i zaczęła wygrzebywać się z łóżka.

– Nie ruszaj się – przykazała Joanna. – Podam ci. Wiesz, w której jest książce?

– Chyba w *Największych katastrofach wszech czasów*. W części o Krakatau. To ta ze statkiem *Andrea Doria* na okładce.

Joanna wyciągnęła książkę z torby i przyniosła ją do łóżka, a Maisie rozpoczęła poszukiwania.

– Erupcja Krakatau była największa w historii. Na całym świecie zachody słońca nabrały czerwonej barwy. Krwistoczerwonej. Jest.

Joanna zajrzała jej przez ramię. Rzeczywiście, w książce zamieszczono mapkę, ale w postaci jasnoniebieskiego kwadratu z zarysami Indii i Australii w czarnym kolorze i czerwoną gwiazdką oznaczoną „Krakatau”.

– Miałaś książkę z mapą na okładce – przypomniała Joanna.
– Tak, *Katastrofy świata* – potwierdziła Maisie. – Ale tamta mapka też nie jest zbyt dobra. – Dziewczynka rozkopała koc. – O ile pamiętam, dobra mapka jest w *Trzęsieniach ziemi i wulkanach*.

– Maisie – zaprotestowała Joanna, ale dziewczynka już wstała z łóżka i grzebała w stosie książek.

– Rozsadził całą wyspę. Krakatau – powtórzyła Maisie, wertując książkę. – Ale był huk, jakby wystrzeliła bateria armat. – Maisie przewracała stronicę. – Wiedziałam, że tu ją znajdę! – obwieściła triumfalnie i położyła książkę na łóżku. – Widzi pani? To Krakatau.

Na niebieskim tle oceanu oznaczono Hawaje, Wyspy Salomona i Marshalla.

– Widzisz gdzieś wyspę Midway? – Joanna pochyliła się nad mapą.

Maisie szybko wyciągnęła palec.

– Tutaj. Pośrodku.

No jasne. Właśnie dlatego wyspa nazywała się Midway. A tu leży Pearl Harbor. Gdzie jest Malakula? Przyjrzała się bliżej, usiłując odczytać drobny druk. Wyspa Necker, Nikoa i Kaula, oraz, mnóstwo nie opisanych kropek. Brak Malakuli na mapie niczego by nie dowodził. Między Midway i Hawajami widniały dziesiątki mniejszych wysepek.

– Czego pani szuka? – Maisie z trudem łapała powietrze.

Joanna spojrzała na nią. Usta dziewczynki zrobiły się fioletowe.

– Z powrotem do łóżka – rozkazała Joanna, odsuwając koc.

– Chcę pani pomóc szukać.

– Możesz pomagać z łóżka.

Maisie potulnie wdrapała się na posłanie i oparła o poduszki.

– Czego pani szuka? – powtórzyła.

– Wyspy o nazwie Malakula – wyjaśniła Joanna, kładąc otwartą książkę na kolanach Maisie, żeby obie mogły się wpatrywać w mapę. – I Morza Koralowego.

– Morze Koralowe... – zamruczała Maisie, studiując mapę. Krótkie włosy dziewczynki przyklepiły się do jej opuchniętych policzków. Twarz Maisie nabrała jeszcze bledszej barwy niż wtedy, gdy Joanna widziała małą ostatnio, a pod oczyma pojawiły się fioletowe smugi. Łatwo było zapomnieć o chorobie dziewczynki, gdy nie patrzyło się na jej buzię.

– Tu jest! – wykrzyknęła Maisie.

– Malakula? – Joanna powędrowała wzrokiem za palcem dziewczynki.

– Nie. Morze Koralowe.

Joanna się załamała. Morze Koralowe leżało daleko u wybrzeży Australii. Nie istniała możliwość, aby pan Wojakowski pokonał taki dystans w prymitywnej dłubance. Ani nawet w motorówce. Morze rozpościerało się setki – nie, poprawiła się Joanna, spojrzawszy na podziałkę – tysiące kilometrów za daleko.

Wszystko wymyślił – kokosy i zablokowane karabiny maszynowe, a także pisemko „Dzieciaki w opałach”. Może istnieje jakieś wytłumaczenie, pomyślała, ponownie pochylając się nad mapą. Może chodziło mu o inną wyspę, o nazwie zbliżonej do słowa Malakula. Marakei. Albo Maleolap. Ale żadna z nich nie leżała bliżej Midway niż Malakula, a w promieniu setek kilometrów Midway była jedyną wyspą, której nazwa zaczynała się na literę M. Istniały jednak dziesiątki nie nazwanych wysp, a od zakończenia drugiej wojny światowej minęło sześćdziesiąt lat. Może pomieszały mu się nazwy. Muszę porozmawiać z panem Wojakowskim, zdecydowała Joanna.

Zamknęła książkę i wstała.

– Dziękuję ci. Ogromnie mi pomogłaś. Jesteś świetną badaczką.

– Nie może pani jeszcze iść – zaprotestowała Maisie. – Muszę pani opowiedzieć o ludziach w cyrku. Wszyscy chcieli dostać się do głównego wejścia, ale nie mogli z powodu korytarza dla zwierząt, a rodzina Wallendów...

– Maisie, naprawdę muszę iść – przerwała Joanna.

– Wiem, ale powiem pani jeszcze coś. Latająca Rodzina Wullendów i wszyscy inni usiłowali dostać się do wejścia dla turystów, ale...

– Obiecuję, że wrócę, abyś mogła mi wszystko opowiedzieć o namiocie i Latającej Rodzinie Wallendów. Zgoda? – Joanna podeszła do drzwi.

– Zgoda – potwierdziła Maisie. – Czy ona umrze?

Joanna zamarła.

– Kto?

– Pollyanna. Kiedy spadnie z drzewa.

– Nie – odetchnęła. Wróciła do łóżka, wzięła do ręki pilota i ponownie włączyła telewizor. Uruchomiła też wideo. – To film Disneya.

– Och – rozczarowała się Maisie.

– Ale rozbolą ją plecy i nie będzie mogła chodzić. – Joanna przekazała pilota Maisie. – Zrobi się przez to bardzo paskudna.

– To dobrze. Czy ktoś zobaczył Morze Koralowe podczas doświadczeń granicznych?

– Koniec pytań – oznajmiła stanowczo Joanna. – Oglądaj swój film.

Poszła do gabinetu raz jeszcze odsłuchać taśmę. Nie uległo wątpliwości, że powiedział Malakula i Morze Koralowe. Zadzwoiła do niego i zostawiła wiadomość z prośbą o przyjście o godzinie trzeciej, a następnie zajęła się ponownym przeglądaniem notatek. Szukała niewątpliwych rozbieżności, które pozwoliłyby jej uniknąć kolejnej rozmowy. Czytając jego wypowiedzi, nabierała coraz większego przekonania, że gdzieś musi tkwić błąd.

Terminy marynistyczne – pokłady wyspowe, pokłady startowe i tak dalej – oraz rozliczne szczegóły – nie prosta łódka, lecz dłubanka, nie zwykły automat z napojami, lecz dystrybutor z sokiem wiśniowym. Z całą pewnością nie wymyślił sobie pisemka „Dzieciaki w opałach” ani sąsiadki mieszkającej dwa domy dalej, ani kroniki poświęconej Pearl Harbor. Znał nawet tytuł wyświetlanego filmu.

Niemniej nie mógł jednocześnie przebywać na pokładzie *Yorktown* i w swoim rodzinnym mieście, kiedy zbombardowano Pearl Harbor. Historia z Norfolk również rola się od wiarygodnych szczegółów, począwszy od głośników radiowęzła, a skończywszy na Woodym Pikemanie, pytającym: „Co to za mądrala?” Muszę porozmawiać z Richardem, pomyślała.

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę, w nadziei, że to on. Okazało się, że dzwoni pani Haighton.

– Otrzymałam pani wiadomość. Obawiam się, że ani wtorek, ani czwartek nie wchodzi w grę. We wtorek mam zebranie rady nadzorczej szpitala, a w czwartek pracuję jako wolontariuszka w centrum kryzysowym.

U nas też jest kryzys, pomyślała Joanna.

– A może w środę po południu? O drugiej? Albo o czwartej? Możemy też się umówić na wieczór.

– Oj, wieczory są jeszcze gorsze. – Pani Haighton wyliczyła litanię zebrań rad nadzorczych i komitetów organizacyjnych.

– Wobec tego wcześniej – upierała się Joanna. – Naprawdę muszę panią umówić na ten tydzień, o ile jest to możliwe. To bardzo ważne.

Okazało się, że ten tydzień zupełnie nie wchodzi w grę. Może przyszły. Nie, w przyszłym tygodniu odbywa się kwesta na rzecz Centrum Kobiet. Za dwa tygodnie.

Tylko, że wtedy już nie zostanie nam ani jeden ochotnik, pomyślała Joanna. Wydrukowała treść spisanych wywiadów i zabrała je do laboratorium, aby pokazać Richardowi.

– Witam panią doktor! – wykrzyknął pan Wojakowski. Stał za drzwiami, w tym samym miejscu, w którym go zostawiła.

– Co pan tu robi? – zdumiała się Joanna i gwałtownie odwróciła się w stronę drzwi, aby nie dostrzegł zniechęcenia na jej twarzy.

– Tak sobie wykombinowałem, że poczekam tutaj, aż skończy się to pani zebranie – wyjaśnił, wchodząc za nią do laboratorium. – Pamiętam, co pani mówiła na temat opowiadania o swoich przeżyciach, dopóki wspomnienia są świeże, a nie miałem dokąd pójść, więc pomyślałem, że zaczekam, aż pani wróci, żebyśmy wszystko nagrali, zanim pomiesza mi się w pamięci. – Usiadł na krześle i pochylił się, w oczekiwaniu na pytania. Na jego zarumienionej twarzy pojawił się uśmiech. Joanna ponownie pomyślała, że doszło do jakiegoś nieporozumienia.

Jak jednak się przekonać, w czym tkwi błąd? Mogła zadać mu bezpośrednie pytanie: „Dlaczego opowiedział mi pan dwie różne historie na temat miejsca swojego pobytu w dniu zbombardowania Pearl Harbor?” albo: „Czy ma pan jakieś dowody na to, że faktycznie odbył pan służbę na *Yorktown*?” Nie potrafiła się na to zdobyć, widząc jego szczerą i gotową do współpracy twarz.

– Opowiadałem pani o uczuciu spokoju, które mnie ogarnęło, kiedy znajdowałem się w tunelu, jakby coś się miało wydarzyć – przypomniał. – Tak więc poszedłem jeszcze kawałek i znalazłem się pod drzwiami, i nagle widzę jasne światło, i to naprawdę jasne. Coś równie jasnego widziałem jeszcze tylko raz w życiu, kiedy bomba z Aichi-99 przebiła się przez pokład hangarowy i wysadziła piątą sekcję naprawczą. Tamtego dnia okręt dostał trzy razy.

– Czy to się stało podczas bitwy o Morze Koralowe? – spytała Joanna, czując się trochę jak zdrajca, jak nazista przesłuchujący szpiega i usiłujący przyłapać go na błędzie, niekonsekwencji. Gdyby tym razem opowiedział jej inną wersję, wspomniał o innej wyspie, innej łodzi, czego by to dowodziło? Tylko tego, że jego pamięć jest zawodna. Bitwa o Morze Koralowe toczyła się sześćdziesiąt lat temu, a z biegiem czasu człowiek ubierał wspomnienia w coraz liczniejsze konfabulacje.

– Jedna z bomb głębinowych trafiła w zbiorniki oleju napędowego na lewej burcie i paliwo wylewało się do morza – kontynuował pan

Wojakowski. – Okręt wykrwawiłby się na śmierć, gdybyśmy nie doprowadzili go z powrotem do Pearl. O rany, ale się cieszyliśmy z widoku Diamond Head...

– Dopłynął pan do Pearl Harbor na pokładzie *Yorktown*? – przerwała Joanna.

– Zgadza się – potwierdził pan Wojakowski. – I sam pomagałem go łątać. Pracowaliśmy dzień i noc, spawaliśmy zbiorniki i łąciliśmy kadłub. Znalazłem się w ekipie naprawiającej drzwi wodoszczelne. Tyraliśmy przed siedemdziesiąt osiem godzin non stop i nie przerwaliśmy roboty nawet w chwili wypłynięcia z Oahu. Mówię pani, tak się zmachałem, że po fajrancie położyłem się i spałem całą drogę do Midway.

Rozdział 14

„Mama nie skontaktowała się ze mną. Gdyby... coś się stało... musisz być przygotowana.

Pamiętaj wiadomość: Rosabelle, uwierz. Kiedy usłyszysz te słowa... będziesz wiedziała, że mówi Houdini...”

Słowa wygłoszone do żony przez leżącego na łożu śmierci Harry’ego Houdiniego, który obiecywał nawiązać z nią kontakt z tamtego świata

- Wszystko wymyślił? – zdumiał się Richard. – Nawet pobyt na *Yorktown*?
- Nie wiem – stwierdziła Joanna, przechadzając się po pokoju z rękami w kieszeniach swetra. – Wiem tylko, że nie mógł jednocześnie siedzieć w Pearl Harbor, naprawiać *Yorktown* i jednocześnie dryfować po morzu tysiące kilometrów dalej.
- Czy to musi oznaczać, że kłamie? – powątpiewał Richard. – Może po prostu ma problemy z pamięcią? W sumie ma przecież sześćdziesiąt pięć lat, a na wojnie walczył przeszło pięćdziesiąt lat temu. Mógł zapomnieć, co i kiedy dokładnie robił.
- Jak można zapomnieć o tym, że wróg strącił twój samolot, zabijając drugiego pilota i strzelca pokładowego? Słyszałeś tę opowieść. Mówił wtedy o najpiękniejszym cholernym dniu w swoim życiu.
- Jesteś pewna, że powiedział, iż był w Pearl Harbor, kiedy naprawiano okręt? – spytał Richard. – Może się nieprecyzyjnie wyraził...
- Joanna energicznie kręciła głową.
- Stwierdził jeszcze, że znajdował się na pokładzie *Yorktown*, kiedy usłyszał, że zbombardowano Pearl Harbor, i że w domu czytał śmieszne pisemka. „Dzieciaki w opałach” -uzupełniła gorzko. – Nie wmówisz mi, że nie pamięta, gdzie się znajdował, kiedy dowiedział się o Pearl Harbor. Całe pokolenie pamięta, gdzie było tamtego dnia!
- Ale dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie?

– Nie mam pojęcia – przyznała smutno. – Może usiłuje zrobić na nas wrażenie. Może wysłuchał tak wielu opowieści wojennych, że z biegiem lat wszystkie mu się pomieszały. A może to coś poważniejszego, Alzheimer albo udar. Jedno jest pewne...

– Nie nadaje się do badań – dokończył Richard. – Cholera.

– Wróciłam do gabinetu, żeby sprawdzić notatki i nagrania. Pełno w nich rozbieżności. Zgodnie ze słowami pana Wojakowskiego – wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru i zaczęła czytać – był pilotem, działonowym, lekarzem pokładowym uczestniczącym w ceremoniach pogrzebowych, sygnalistą, a także mechanikiem lotniczym. Poza tym sprawdziłam informację o filmie, który rzekomo grano w sobotni wieczór przed bombardowaniem. *The Desperadoes* nakręcono w 1943 roku.

Złożyła papier.

– Strasznie mi głupio, że wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Umiejętność określenia, czy ludzie mówią prawdę, czy zmyślają, to element mojej pracy. Dałam się nabrać – jego język ciała, nieistotne szczegóły... – Zamyśliła się. – Przykro mi. Zatrudniłeś mnie do zauważania takich rzeczy, a ja dałam się wpuścić w maliny.

– Mimo wszystko w końcu to spostrzegłaś. – Spojrzał na nią. – Myślisz, że kłamał w związku z tym, co widział podczas doświadczeń granicznych? – Joanna zrobiła taką minę, że zaraz dodał: – Nie martw się, wiem, że musi odejść. Tak się tylko zastanawiałem.

– Sama nie wiem. Nie można tego jednoznacznie powiedzieć bez potwierdzenia z zewnątrz. Niektóre jego historie o *Yorktown* były prawdziwe. Sprawdziłam je przed rozmową z tobą. Naprawdę istniał lotnik Jo-Jo Powers, który „sam położył bombę na pokładzie startowym” i zginął podczas ataku, a okręt rzeczywiście naprawiano i wysłano na Midway tuż przed bitwą. Jego pojawienie się przechyliło szalę zwycięstwa na naszą stronę, gdyż Japończycy uważali, że go zatopili.

– Ale nie istnieje sposób uzyskania niezależnego potwierdzenia informacji na temat doświadczeń granicznych – uzupełnił Richard. – Może poza skanami, ale one nie powiedzą nam, co widział badany.

– Ogromnie przepraszam. – Joanna nie mogła dojść do siebie. – Od kiedy nawiązałam z tobą współpracę, nie robię nic innego poza eliminowaniem kolejnych ochotników, a kiedy powinnam dostrzec...

– Dostrzegłaś – uciął Richard. – To najważniejsze. Zresztą zorientowałaś się w samą porę, zanim opublikowaliśmy jakiegokolwiek wyniki. Nie

przejmuj się. Nadal mamy pięciu ochotników. Więcej nie potrzeba...

Zamilkł, ujrawszy jej wyraz twarzy.

– Mamy tylko czterech – jęknęła. – Dzwonił pan Pearsall. Zmarł jego ojciec i musi pozostać w Ohio, żeby się zająć pogrzebem i poukładać inne sprawy.

Czterech. Licząc pana Sage'a, z którego nawet Joanna nie potrafiła nic wydobyć. Oraz pani Troudthaim.

– A co z panią Haighton? – spytał. – Udało ci się wreszcie umówić z nią na wywiad?

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

– Wciąż odwleka termin spotkania. Nie ma co na nią liczyć. Jesteśmy tylko jednym z punktów w jej długim terminarzu. Jak przebiegają formalności związane z naborem nowych ochotników?

– Powoli. Dział dokumentacji potrzebuje jeszcze półtora miesiąca, o ile rada przegłosuje decyzję o kontynuacji projektu.

– Nie bardzo rozumiem. Podobno miałeś zapewnione pieniądze na pół roku.

– Zgadza się – przytaknął. – Ale dzisiaj rano odebrałem telefon od dyrektora instytutu. Zdaje się, że pani Brightman opowiada wszystkim, jak wielkie nadzieje pokłada w naszym projekcie, bo znaleźliśmy nowe oznaki zjawisk nadprzyrodzonych.

– Pan Mandrake – zacisnęła zęby Joanna.

– Strzał w dziesiątkę. W takiej sytuacji dyrektor zażądał raportu z dotychczasowego przebiegu badań, który przekona radę nadzorczą o tym, że zajmujemy się rzetelnymi badaniami naukowymi.

– Nie powiedziałeś mu...?

– Czego? Że połowa naszej listy badanych to ludzie cierpiący na urojenia, oszuści oraz specjaliści od metapsychiki? Że nasi najlepsi ochotnicy nie potrafią określić, czego doświadczyli? – wyliczał z goryczą. – A może powinienem był opowiedzieć o bujnej wyobraźni pana Wojakowskiego? Kiedy rozmawiałem z dyrektorem, jeszcze nie znałem całej prawdy.

– Ile mamy czasu do złożenia raportu?

– Półtora miesiąca – wyjaśnił. – Ciekawy zbieg okoliczności.

– Masz, skany Amelii, pana Sage'a i jeden komplet pana Pearsalla. Może uda mu się szybko załatwić pogrzeb ojca.

– Jasne, jak wiadomo, osoby, które dopiero co pochowały jednego z rodziców, są wyjątkowo obiektywnymi obserwatorami. – Richard momentalnie zawstydził się własnych słów. Joanna w niczym nie zawiniła. On sam zaaprobował listę niewiarygodnych osób. – Wybacz. – Przepaszająco podniósł rękę. – Może... może sam powinienem poddać się badaniu.

– Co takiego? – Joanna nie wierzyła własnym uszom. – Nie możesz.

– Czemu nie? Po pierwsze, uzyskalibyśmy jeszcze jeden komplet skanów i dokładnych sprawozdań. Byłbym co najmniej tak dobrym obserwatorem, jak pan Sage – oświadczył, wskazując na palcach kolejne powody. – Po drugie, nie jestem szpiegiem ani wariatem. I po trzecie, mogę poddać się badaniu od ręki, choćby zaraz, bez czekania na autoryzację.

– Dlaczego nie miałbyś podlegać autoryzacji?

– Bo to mój projekt, więc zaklasyfikowałbym siebie jako przypadek autoeksperymentu. Tak samo robił Louis Pasteur. Albo doktor Werner Forssmann...

– Oraz doktor Jekyll – uzupełniła Joanna. – Jesteś na dobrej drodze, żeby podważyć wiarygodność swoich badań. Doktor Foxx również eksperymentował na sobie, zgadza się?

– Nie zamierzam niespodziewanie ogłosić, że odkryłem duszę. Istnieje długa i uznana tradycja autoeksperymentowania: Walter Reed, Jean Borel, transplantolog J.S. Haldane. Wszyscy eksperymentowali na sobie z dokładnie tego samego powodu – nie potrafili znaleźć chętnych i odpowiednich ochotników.

– A kto siedziałby przy pulpicie? Musiałbyś przeszkolić kogoś w obsłudze skanera i w kontroli podawania leków. Tish się na tym nie zna.

– Ty się tym zajmiesz – zaproponował.

– Mowy nie ma – wyjaśniła. – A jeśli cokolwiek pójdzie źle? To fatalny pomysł.

– Lepszy niż siedzenie tutaj przez najbliższe półtora miesiąca i podejmowanie kolejnych prób wydobycia czegokolwiek z pana Sage'a, zanim obetną nam fundusze. A może masz lepszy pomysł?

– Nie – zasepiła się. – Tak. Przeprowadzisz eksperyment na mnie.

– Na tobie? – osłupiał.

– Tak jest. Jeśli jedno z nas musi poddać się badaniu, logika nakazuje wybrać mnie. Po pierwsze, ja też nie potrzebuję autoryzacji, bo uczestniczę w projekcie. Po drugie, jeśli zobaczę jasne światło, nie uznam, że to

Chrystus. Po trzeciej, pan Mandrake nie przekona mnie do swoich sugestii. – Joanna wyliczała na palcach tak samo, jak przedtem Richard. – Po czwartej, w przeciwieństwie do ciebie nie muszę kontrolować przebiegu sesji. Ja tylko trzymam dyktafon. Równie dobrze mogę go włączyć przed rozpoczęciem badania. Albo poprosić Tish o uruchomienie kasety. Sam też to możesz zrobić.

– A co potem? Wywiad...

– Po piątą – dotknęła kciuka – nikt nie musi przeprowadzać ze mną wywiadu. Sama dobrze wiem, czego chcesz się dowiedzieć. I jestem pewna, że wyciągnę z siebie więcej niż tylko: „było ciemno” albo: „czułam spokój”. Mogłabym opisać wszystko, co widziałam i czułam.

– Zwróciłaś uwagę na więcej szczegółów. – Zamyślił się. Pomysł był kuszący. Zamiast wyciągać odpowiedzi z nie przygotowanych ochotników, Joanna zajęłaby się opisywaniem tego, co istotne. Powiedziała mu, czy wizja wymieszała się jej z rzeczywistością, czy też doznała halucynacji, i co mieli na myśli badani, kiedy twierdzili, że to nie sen.

Poza tym powiązałyby doznania z ich przyczynami. Wiedziałyby, że pewne efekty są wywołane stymulacją płata skroniowego lub endorfinami i dostarczyłyby cennych informacji o procesach wywołujących określone wrażenia. Wiedziałyby też...

I w tym tkwił problem.

– Nic z tego nie będzie – oświadczył. – Sama powiedziałaś, że badany nie powinien mieć ustalonych przekonań w związku z tym, czego dozna. Przeprowadziłaś wywiady z przeszło setką pacjentów. Przeczytałaś wszystkie istniejące książki o doświadczeniach granicznych. Skąd masz pewność, że twoje doznania nie będą całkowicie ukształtowane przez twoją wiedzę?

– Nie da się wykluczyć takiej możliwości – przyznała. – Jednak z drugiej strony mam pewną przewagę – mogę zachować czujność. Jeśli znajdę się w ciemnym, zamkniętym pomieszczeniu, nie uznaję automatycznie, że to tunel, a jeśli ujrzę promieniującą światłem postać, z całą pewnością nie założę od razu, że to anioł. Przyjrzę się jej – dobrze się jej przyjrzę – a potem, nie czekając na jakiegokolwiek pytania, poinformuję cię o tym, co widziałam.

Richard podniósł ręce do góry na znak kapitulacji.

– Przekonałaś mnie. Jeśli jedno z nas powinno się poddać badaniu, ty jesteś lepszą kandydatką. Niemniej nie przeprowadzimy eksperymentu ani

na mnie, ani na tobie. Mamy jeszcze czterech ochotników i powinniśmy się skoncentrować na obmyśleniu sposobów lepszego ich wykorzystania.

– Albo raczej nakłonienia do przyjścia na badanie – poprawiła Joanna.

– No właśnie. Zadzwoń do pani Haighton i sprowadź ją na sesję.

– Nawet nie przeprowadziłam z nią wywiadu – powątpiewała Joanna.

– Jeśli musisz, spytaj ją, o co chcesz, przez telefon. Powiedz, jak bardzo jest nam potrzebna. Tymczasem ja zajmę się panią Troudtheim.

– A co z panem Sage’em?

– Sprawimy sobie łom. – Uśmiechnął się szeroko.

Joanna wyszła, żeby zatelefonować do pani Haighton, a Richard wrócił do porównywania danych z badania pani Troudtheim ze skanami innych ochotników. Szukał różnic między zdjęciami zrobionymi tuż przed osiągnięciem stanu śmierci klinicznej, lecz niczego się nie dopatrzył. Joanna stwierdziła, że pewni pacjenci nie mieli doświadczeń granicznych. Zastanawiał się którzy.

Zszedł do jej gabinetu, aby o tym porozmawiać. Właśnie wychodziła, miała już na sobie płaszcz.

– Dokąd się wybierasz? – zainteresował się.

– Do Klubu Ziemiańskiego Wilshire – odparła afektowanym, arystokratycznym tonem. – Nie udało mi się skontaktować z panią Haighton telefonicznie, ale jej gospodyni poinformowała mnie, że pojechała do Młodzieżowego Klubu Wiosennych Przyjemności, cokolwiek to oznacza, więc jadę tam osobiście.

– Wiosennych przyjemności? – zdumiał się Richard. – Jest środek zimy.

– Wiem. – Joanna naciągnęła rękawiczki. – Vielle dzwoniła. Mówi, że na dworze pada śnieg. Wrócę na sesję pani Troudtheim. – Ruszyła w stronę windy.

– Zaczekaj – poprosił Richard. – Chciałbym cię o coś pytać w sprawie pacjentów z doświadczeniami granicznymi i osób, które nie mają żadnych wspomnień. Czy istnieje jakiś -schemat występowania tego zjawiska?

– Żaden z nich nie jest wiarygodny. – Wcisnęła przycisk „dół”. – Doświadczenia graniczne pojawiają się głównie przy określonych rodzajach wypadków – przy atakach serca, utonięciach, wypadkach drogowych, komplikacjach porodowych – ale mogą też wynikać z tego, że pacjenci z tego typu urazami są częściej ratowani niż na przykład osoby z udarem mózgu lub poważnymi urazami wewnętrznymi.

Otworzyły się drzwi windy.

– A pacjenci bez doświadczeń granicznych zwykle z innych powodów zapadają w stan wymagający reanimacji?

– Tak jest, ale oczywiście nie wiemy, czy nie mieli doświadczeń, czy też po prostu ich nie pamiętają. – Weszła do windy. – Pamiętaj, przed opracowaniem specjalnych technik rejestracji fazy snu REM istniało przekonanie, że pewni ludzie po prostu nie śnią.

Drzwi się zasunęły. Ataki serca, utonięcia, wypadki drogowe, pomyślał Richard, wpatrując się w drzwi. Same wypadki urazowe z wysokim poziomem adrenaliny. I kortyzolu.

Wrócił do laboratorium i wyświetlił analizę pani Troudthaim, aby sprawdzić poziom kortyzolu. Był wysoki, lecz nie wyższy niż u Amelii Tanaki podczas jej czwartej sesji, kiedy znajdowała się w stanie śmierci klinicznej przez prawie pięć minut. Poziom adrenaliny osiągnął nieco niższy pułap, lecz nie niższy niż u pana Sage'a, który szybko doznał doświadczeń granicznych, chociaż koszmarne niejasno je potem opisywał.

Możliwe, że problem wynikał z braku receptorów. Wyświetlił zdjęcia pani Troudthaim i powiększył obszar hipokampa. Urządzenie zarejestrowało żółtą aktywność wzdłuż jego krawędzi, gdzie znajdowała się duża liczba receptorów kortyzolu. Richard po kolei wyświetlił serię ujęć, a następnie cofnął klatki, zaznaczając obszary aktywności. Barwa przedniego hipokampa zmieniała się z żółtej na pomarańczową, a potem na czerwoną. Przywołał jeszcze jedną wcześniejszą klatkę, obejrzał krawędzie hipokampa, a potem receptory adrenaliny w...

Wbił wzrok w ekran, kliknął „stop”, cofnął obraz o trzy klatki, a potem wrócił do tego samego obrazu i znowu zapatrzył się w monitor. Przełączył na tryb wyświetlania dwóch zdjęć obok siebie, odtworzył obraz, standardowy i zestawiał go z wizerunkiem hipokampa Amelii Tanaki.

Nie miał wątpliwości.

– Przynajmniej wiem, że nie chodzi o niedobór adrenaliny – mruknął. To, co miał przed oczyma, było z całą pewnością obrazem mózgu w stanie śmierci klinicznej.

Upewnił się jeszcze, nakładając na oglądany obraz zdjęcie pana O'Reirdona, lecz wszystko było jasne. Pani Troudthaim weszła w stan śmierci klinicznej.

Dowodziła tego zaledwie jedna zarejestrowana klatka, ale to wystarczyło, aby zmienić cały charakter problemu. Dotąd koncentrował się na znalezieniu przyczyny niemożności osiągnięcia przez panią Troudthaim

śmierci klinicznej, gdy tymczasem badana na nią zapadła. Problem w tym, że nie potrafiła w niej wytrwać. Dlaczego? Dlaczego natychmiast wybijała się ze śmierci klinicznej i budziła? Czy to się działo już wcześniej?

Zaczął mapować skan ze śmierci klinicznej w poszukiwaniu anomalii, mogących wyjaśnić nietrwałość tego stanu. Nic. Na zdjęciu widać było taką samą, oznaczoną na czerwono aktywność w prawej przedniej części płata skroniowego, w ciele migdałowatym i w hipokampie, a w korze czołowej widniały tak samo chaotycznie rozrzucone pomarańczowo i żółto oznaczone oznaki aktywności.

Joanna wróciła z rozwianymi przez wiatr włosami i policzkami zaróżowionymi od zimna. Wręczyła Richardowi tkaninę z wyszytą pomarańczowo-żółto-zieloną roślinką w małej glinianej doniczce,

– Z Klubu Wiosennych Przyjemności – zakomunikowała.

– Co to ma być? – Obrócił materiał w dłoni.

– Nagietek. Zrobiony szydełkiem nagietek. Gdy go ujrzałam, od razu pomyślałam o tobie. Wiem, jak bardzo lubisz kolor pomarańczowy i intensywnie zielony.

– Widziałaś się z panią Haighton?

– Tak, i przeprowadziłam z nią wywiad. Wszystko w porządku, nie wierzy skrycie w żadne zjawiska nadnaturalne i umówiłam się z nią na czwartek po południu. Wiem, to czas pana Sage’a, ale między Towarzystwem Filharmonicznym a dobroczynnym pokazem mody był to jedyny moment, kiedy miała chwilę wolnego, więc doszłam do wniosku, że warto go przesunąć. Zaraz do niego zadzwonię.

– Zaczekaj. Chciałbym ci coś pokazać. – Zaprezentował Joannie zestawienie standardowego skana i zdjęcia ze śmierci klinicznej pani Troudthaim.

– Miała doświadczenia graniczne? – zdziwiła się Joanna. – Myślisz, że nam kłamie i wszystko dobrze pamięta?

To wyjaśnienie nie przyszło mu do głowy.

– Nie. Ten stan trwał tylko dziesiątą część sekundy, może nawet krócej. Wątpię, czy ona sobie zdaje sprawę z tego, że się stało. Nawet jeśli coś pamięta, to tylko błysk światła. Lub krótkotrwałe ciemności. Rzecz w tym, że to zmienia charakter problemu. Ona dochodzi do stanu śmierci klinicznej, lecz coś go przerywa. Muszę się dowiedzieć co.

Richard przez resztę dnia i następny ranek pracował wyłącznie nad tym. Rozrysował mapy klatek przed i po rozpoczęciu fazy śmierci klinicznej, a

następnie powrócił do skanów pani Troudtheim z innych sesji. W drugim komplecie dopatrzył się identycznego schematu. W pozostałych sesjach nie spostrzegł tego typu zdjęcia, lecz, skany RIPT powstawały co jedną setną sekundy. Gdyby stan śmierci klinicznej był krótszy, ujrzałby tylko część zjawiska, a klatki przypadające bezpośrednio po obydwu zdjęciach śmierci klinicznej niczym się nie różniły od innych.

Stworzył ich mapy. Nie przypominały map innych badanych. Ukazywały gwałtownie obniżony poziom acetyloholiny i znacznie podwyższony noradrenaliny, analogicznie do skanów innych budzących się pacjentów. Pani Troudtheim się nie myliła. Momentalnie się budziła. Kiedy porównał jej zdjęcia ze skanami innych budzących się badanych, poziomy idealnie się pokrywały.

Spojrzał na pozostałe neuromediatory. Wysoki poziom kortyzolu, brak alfa- i beta-endorfin, śladowe ilości karnozyny, amiglicyny i theta-asparcyny. Musiał porozmawiać ze specjalistą od neuromediatorów. Zadzwoił do doktor Jamison, która miała gabinet na siódmym piętrze, i umówił się na spotkanie, lecz nie przyniosło ono oczekiwanych rezultatów.

– Amiglicyna jest obecna w przedniej części przysadki. Pełni rolę inhibitora. Theta-asparcyna to endorfina, która najprawdopodobniej jest związana z procesem trawienia.

Trawienia, pomyślał Richard. Wspaniale.

– Produkowano ją w warunkach laboratoryjnych – wyjaśniła życzliwie lekarka. – Zdaje się, że niedawno ktoś przeprowadzał badania z nią związane. Sprawdzę, może uda mi się znaleźć coś bliższego. Być może pełni jeszcze inne funkcje. Endorfiny często bywają zaangażowane w rozmaite procesy.

Niewykluczone, że jednym z nich jest inhibicja doświadczeń granicznych, uznał w myślach Richard, wracając do laboratorium. Kiedy przyjrzał się pozostałym skanom ze śmierci klinicznej, okazało się, że theta-asparcyna jest obecna w jednym zdjęciu i pana Sage'a i dwóch Amelii Tanaki. Nie znalazł żadnych innych anomalii w analizie neuromediatorów lub funkcjonowaniu krwiobiegu, które wyjaśniałyby tę niejasność.

Kolejne dwa dni poświęcił na ponowne przeglądanie skanów, lecz badania okazały się bezskuteczne. Kiedy następnego dnia przybyła pani Troudtheim, wciąż nie miał pojęcia, w czym tkwi problem.

Ochotniczka od razu zachwyciła się nagietkiem.

– Czyż nie jest cudowny? – zwróciła się do Joanny. – Nie ma pani przypadkiem wzoru?

– Niestety. Kupiłam go na bazarze.

– Założę się, że mogłabym go skopiować – oświadczyła pani Troudthaim, pochylając się nad pulpitem, aby bliżej się przyjrzeć wyszytym kwiatom. – To podwójny ścieg ryżowy...

– Może to pani wziąć do domu, jeśli ma pani ochotę. – Richard wręczył jej tkaninę.

– Jest pan pewien? – dopytywała się pani Troudthaim.

– Najzupełniej. Może to pani trzymać tak długo, jak ma pani ochotę. Nawet wziąć na zawsze.

– To strasznie miło z pana strony – podziękowała zachwycona. – Spójrz, Tish, czy to nie jest śliczne?

Tish podzieliła zachwyt pani Troudthaim i wszyscy zaczęli przyglądać się płątkom. Może problem wynika wyłącznie z niepokoju, pomyślał Richard, a taka rozluźniająca rozmowa pomoże jej w utrzymaniu stanu śmierci klinicznej. Wbrew jego nadziejom, badana doznała śmierci klinicznej tylko przez jedną pełną klatkę i momentalnie się obudziła.

– Jestem ogromnie zakłopotana, że nic mi z tego nie wychodzi. Nie wiem, w czym tkwi problem.

Ja też nie, pomyślał Richard, wpatrując się w skany po tym, jak pani Troudthaim wyszła z nagietkiem. Klatka ze śmierci klinicznej idealnie odpowiadała zdjęciu wykonanemu panu O'Reirdonowi.

Do laboratorium weszła Joanna.

– Właśnie dzwoniła pani Haighton. Okazało się, że jednak nie może się zjawić w czwartek. Pilne zebranie Przyjaciół Baletu.

– Ustaliłaś kolejny termin?

– Tak. W następny piątek. Posłuchaj, myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy, i doszłam do wniosku, że istnieje jeszcze jeden powód, aby poddać mnie badaniu. Dzięki temu lepiej mi pójdzie przeprowadzanie wywiadów. Opisy pacjentów są bez wyjątku niejasne, nawet jeśli rozmawiam z tak dobrymi obserwatorami, jak Amelia Tanaka, i wydaje mi się, że problem wynika z tego, że po prostu nie wiem, o co pytać. To zupełnie tak samo, jakbyś prosił kogoś o opisanie obrazu i nie miał pojęcia, czy autorem jest Monet czy Salvador Dali. Gorzej, to jest tak, jakbyś kazał komuś opisać obraz, sam nigdy w życiu nie widząc choćby rysunku. Teraz, nie mam zielonego pojęcia, czego doświadczają moi badani. Wszyscy

twierdzą, że to nie sen, tylko rzeczywistość. Co to oznacza? Gdybym poddała się eksperymentowi i sama ujrzała obraz, wiele bym zrozumiała. Przekonałabym się, czy ciemność przypomina warunki panujące w jaskiniach Carlsbadu, czy też łagodne światło na szpitalnym parkingu o dziewiątej wieczorem. Wiedziałabym, czy spokojny oznacza „łagodny” czy też „znieczulony”. Poza tym dostrzegłabym wszystko to, co jest istotne, lecz pomijane przez badanych z powodu pozornej błahości. Teraz nawet nie wiem, jak ich o to spytać. Myślę, że powinnam się poddać eksperymentowi. Powinieneś mnie zbadać.

– Jeszcze nie zrezygnowałem z pani Troudthaim – sprzeciwił się Richard. – Poza tym mamy Amelię Tanakę.

– O jedenastej – zgodziła się Joanna.

– Co oznacza, że trzeba się przygotować. – Richard ponownie skoncentrował uwagę na pulpicie. – Chcę ponownie obniżyć dawkę. Brak szczegółów, którym się tak niepokoisz, nie musi mieć nic wspólnego z twoimi pytaniami. Może wynikać z poziomów endorfiny, a w takim wypadku należy tylko ustalić odpowiedni poziom i nawet pan Sage obsypie nas wspomnieniami.

– A jeśli nie? Co wtedy?

– Zajmiemy się tym, kiedy to nastąpi. Teraz zadzwoń do Tish i każ jej tutaj przyjść. Amelia zjawi się lada chwila.

– Mamy mnóstwo czasu – sprzeciwiła się Joanna. – Amelia zawsze się spóźnia. Nie przyjdzie jeszcze przez przynajmniej kwadrans.

Amelia zjawiła się jednak punktualnie. Przyniosła ze sobą plecak. Richard posłał Joannie triumfalne spojrzenie.

– Świetnie, proszę się przygotować do sesji – zwrócił się do dziewczyny i podszedł do pulpitu.

– Czy mogę zamienić z państwem parę słów? – spytała oficjalnym tonem Amelia, a Richard spostrzegł, że nie poruszyła się, aby zdjąć plecak lub płaszcz.

– Jasne – potwierdził.

– Rzecz w tym, że mój profesor od biochemii coraz bardziej goni nas do pracy, a ja tonę po uszy w nauce...

– Chciałaby pani umówić się na inny termin? Nie ma problemu – oznajmił Richard, usiłując ukryć rozczarowanie. – Jaki dzień pani odpowiada? Czwartek?

Pokręciła głową.

– Nie chodzi tylko o biochemię, ale o moje wszystkie zajęcia. Profesor od anatomii co tydzień robi test, a zajęcia z genetyki... Strasznie dużo nam zadają, a ćwiczenia w laboratorium zrobiły się potwornie trudne. Co do laboratorium z biochemii... – Przerwała z dziwnym wyrazem twarzy, lecz chwilę potem powiedziała: – Potrzebuję dodatkowej oceny z psychologii, ale nic mi po niej, jeśli dostanę dwóję z zajęć. Ze wszystkich zajęć. – Odetchnęła głęboko. – Wydaje mi się, że najlepszym rozwiązaniem dla mnie jest rezygnacja z dalszego uczestnictwa w badaniach, a dla państwa znalezienie kogoś innego na moje miejsce.

Kogoś innego, pomyślał z rozpaczą Richard. Nie ma nikogo innego.

– Jestem pewny, że to nie będzie konieczne – stwierdził, unikając spojrzenia Joanny. – Nie wątpię, że uda nam się wypracować kompromis. Może ograniczymy sesje do jednej w tygodniu? Albo jeśli w przyszłym tygodniu jest pani zbyt zajęta, w ogóle go sobie darujemy?

– Nie chodzi tylko o przyszły tydzień – stwierdziła z ociąganiem Amelia. – Chodzi o każdy tydzień. Po prostu nie wyrabiam się z obowiązkami.

– Będę z panią szczerzy. Brakuje mi ochotników, a pani jest jedną z najlepszych badanych. Naprawdę zależy nam na pani udziale w projekcie.

Widząc spojrzenie Amelii, Richard przez moment myślał, że udało mu się skłonić ją do zmiany decyzji, lecz po chwili dziewczyna ponownie pokręciła głową.

– Po prostu nie mogę...

– Czy to z powodu projektu? – odezwała się Joanna, a Richard popatrzył na nią ze zdumieniem. – Czy podczas jednej z sesji coś się stało? Czy dlatego chce pani zrezygnować?

– Skąd, oczywiście, że nie. – Amelia uśmiechnęła się do Richarda. – Badania są bardzo ciekawe, a ja po prostu uwielbiam z panem pracować, z państwem pracować – poprawiła się, zerknąwszy na Joannę. – To nie jest kwestia projektu. Po prostu przejmuję się swoimi zajęciami. Na przykład psychologia...

– Rozumiem – oznajmił Richard. – Proszę mi wierzyć, absolutnie nie chciałbym, żeby pani oblała psychologię, ale też nie chcę pani tracić. Właśnie dlatego tak bardzo się upieram przy wypracowaniu kompromisu.

– Och, panie doktorze – westchnęła Amelia.

– Może w weekendy? – Wyciągnął asa z rękawa. – Moglibyśmy spotykać się w soboty rano, gdyby pani chciała. Albo w niedziele. Proszę

po prostu powiedzieć, co pani odpowiada, a my się dostosujemy. –
Uśmiechnął się do niej. – To by mi naprawdę pomogło.

Przygryzła wargę i wbiła w niego niepewny wzrok.

– Albo wieczorami. Będziemy się umawiali późno, jeśli pani woli.

– Nie – zdecydowanie stwierdziła Amelia i podniosła głowę. – Już
podjęłam decyzję. Nie ma sensu próbować jej zmienić. Rezygnuję z
dalszego udziału w projekcie.

Rozdział 15

„Adieu, przyjaciele! Jadę ku chwale!”

Ostatnie słowa Isadory Duncan, wypowiedziane po tym, jak wsiadła do kabrioletu i teatralnym gestem owinęła długi szal wokół szyi. Kiedy samochód ruszył, szal wplątał się w koło i ją udusił

Vielle ogarnął szal.

– Co to znaczy, bierzesz udział w eksperymencie? – wrzasnęła, kiedy Joanna zeszła na oddział nagłych wypadków, aby porozmawiać o wieczorze smakołyków. – Nie było o tym mowy, kiedy zaczynałaś z nim współpracować. Miał badać ochotników, a do ciebie należało przeprowadzanie z nimi wywiadów.

– Zaszły pewne komplikacje – wyjaśniła Joanna.

– Jakie znowu komplikacje?

– Niektórzy ochotnicy okazali się nieodpowiedni. – Łagodnie mówiąc, dodała w duchu. – Dwóch musiało zrezygnować, a przez co najmniej półtora miesiąca nie mamy szans na otrzymanie pozwolenia na stworzenie nowej grupy, więc...

– Więc doktor Right, a raczej doktor Frankenstein postanawia poeksperymentować na tobie – dokończyła Vielle.

– Poeksperymentować na mnie? Nie wierzę własnym uszom! Sama zachęcałaś mnie do współpracy z Richardem.

– Współpracy – podkreśliła Vielle. – Miałaś wraz z nim przeprowadzać eksperymenty, po pracy chodzić z nim na drinka, a nie robić z siebie świnkę morską. Nie mogę uwierzyć, że pozwala ci na coś tak niebezpiecznego.

– To nie jest niebezpieczne – sprzeciwiła się Joanna. – Nie martwiłaś się o jego ochotników, którzy przechodzili takie same badania.

– Sami się zgłosili.

– Ja też. To był mój pomysł, nie Richarda. Poza tym procedura jest całkowicie bezpieczna.

- Nie ma takiego pojęcia.
- Richard przeprowadził przeszło dwadzieścia sesji i u nikogo nie wystąpiły żadne skutki uboczne.
- Czyżby? Więc jak to możliwe, że nie możecie utrzymać przy sobie tych ochotników?
- Ich rezygnacje nie mają nic wspólnego z projektem – utrzymywała Joanna. – A dithetaminę stosowano przy dziesiątkach eksperymentów bez żadnych skutków ubocznych.
- No jasne, a ludzie każdego dnia przyjmują aspirynę bez żadnych skutków ubocznych, myją zęby, łykają penicylinę, aż wreszcie któregoś dnia zjawiają się na oddziale nagłych wypadków w stanie wstrząsu anafilaktycznego. Albo z zatrzymaniem akcji serca. Wszystko ma skutki uboczne.
- Ale...
- A nawet jeśli nie ma skutków ubocznych – przerwała jej Vielle – przyjmujesz środek, który ma wywoływać symulowane doświadczenia graniczne, tak?
- Tak...
- Więc może się tak stać, że ciało zasugeruje się tym, że mózg umiera?
- To nie tak przebiega... – zaczęła Joanna.
- Niby skąd wiesz? Zdaje się, że sama mówiłaś o jednej z teorii, która głosi, że doświadczenia graniczne pełnią rolę kierowanej do organizmu informacji o ustaniu czynności życiowych.
- Nasze eksperymenty tego nie potwierdziły. W gruncie rzeczy prawda może wyglądać zupełnie na odwrót. Doświadczenia graniczne mogą pełnić rolę mechanizmu przetrwania. Właśnie to usiłujemy ustalić. Dlaczego tak bardzo się przejmujesz?
- Bo przeprowadzanie wywiadów z pacjentami i rozmawia nie o śmierci podczas wieczoru smakołyków to jedno, a poddawanie się eksperymentom to zupełnie co innego. Wierz mi, codziennie widzę śmierć i najlepszy mechanizm przetrwania to trzymanie się od niej z daleka.
- Nie będę przechodziła śmierci klinicznej. Zostanę jedynie wprowadzona w podobny stan.
- Który daje taki sam skan mózgu, jak rzeczywista śmierć uzupełniła Vielle. – A jeśli coś pójdzie źle? Jeśli światło na końcu tunelu okaże się pędzącym pociągiem?
- Joanna się roześmiała.

– Bardziej się boję, że zobaczę Świetlistego Anioła, który oznajmi mi, że pan Mandrake miał rację, a Tamta Strona to rzeczywistość. Nie martw się – stwierdziła poważnie. – Nic mi nie grozi. Poza tym wreszcie na własne oczy ujrzę to, o czym dotąd tylko słyszałam z drugiej ręki. – Uściskała Vielle. – Muszę wracać. O jedenastej mamy sesję.

– Z tobą w roli głównej?

– Nie, z panią Troudthaim. – Nie poinformowała Vielle, że swoje badanie zaplanowała na popołudnie. Nie chciała jej denerwować. – Przyszłam tu po to, żeby umówić się na wieczór smakołyków i dowiedzieć, jakie filmy mam pożyczyć.

– *Come* – oświadczyła. – Jedna dziewczyna ginie tam w pierwszej scenie, bo jest przekonana, że na stole operacyjnym nic jej nie grozi.

Joanna puściła tę uwagę mimo uszu.

– Może być czwartek czy wychodzisz gdzieś z Harveyem Dowcipnym Gadułą?

– Żartujesz? Był tu dziś rano i opisywał mi subtelności procesu balsamowania zwłok. Może być czwartek... Zaczekaj chwilę – poprosiła i zwróciła się do młodszej pielęgniarki, która podeszła do nich ze zmartwionym wyrazem twarzy. – Co się stało, Nina?

– Facet w sali urazowej numer dwa zachowuje się bardzo dziwnie. Wydaje mi się, że nafaszerował się rogue.

– Przyjdę za chwilę – stwierdziła Vielle i odwróciła się do Joanny.

– Rogue? – powtórzyła Joanna. -Wymieniałaś wcześniej tę nazwę.

– To najnowsza odmiana fencyklidyny – wyjaśniła Nina. – Jest naprawdę przerażająca. Psychotyczne halucynacje plus agresja.

– Powiedziałam, że za chwilę przyjdę – chłodno powtórzyła Vielle.

– Dobrze. Zaczęło się w Los Angeles – rozgadała się Nina. – Ataki na personel oddziału nagłych wypadków zwiększyły się tam o dwadzieścia pięć procent, a teraz to dotarło do nas. W zeszłym tygodniu pielęgniarka w szwedzkim...

– Nina – zagroziła Vielle. – Powiedziałam, że za chwile przyjdę.

– Tak jest, proszę pani – spłoszyła się Nina i ruszyła w stronę wejścia.

Joanna zaczęła, aż dziewczyna znajdzie się na tyle daleko, aby nic nie słyszeć.

– Ataki na personel oddziału nagłych wypadków wzrosły o dwadzieścia pięć procent, a ty mi dajesz wykład o niebezpieczeństwach związanych z eksperymentami?

– No dobrze. – Vielle podniosła ręce do góry. – Zawieszenie broni. Ale i tak myślę, że jesteś stuknięta.

– I vice versa – odparła Joanna, a widząc sceptyczny wyraz, twarzy Vielle, dodała: – Nic mi nie będzie. Nie masz się czym przejmować.

Kiedy jednak po południu leżała na stole zabiegowym, wpatrywała się w zasłonięty żyrandol i czekała, aż Tish podłączy kroplówkę, poczuła tępy strach. To zdenerwowanie, zawsze odczuwane przez pacjentów, pomyślała. Pojawia się wtedy, gdy się włoży szpitalną koszulę i zdejmie okulary. I leży na plecach w oczekiwaniu, aż pielęgniarka się tobą zajmie.

Nie jakaś nieznamiona pielęgniarka, tylko Tish, która na widok Joanny wyłaniającej się z przebieralni stwierdziła:

– Jak się pani udało skłonić pana doktora do przeprowadzenia na pani eksperymencie?

Joanna zastanawiała się, mając cały czas w pamięci niewłaściwą reakcję Vielle, czy Tish niespodziewanie także wygłosi całą litanię zastrzeżeń. Rzeczywiście, pielęgniarka wyraziła sprzeciw, ale nie taki, jakiego oczekiwała Joanna.

– Dlaczego wybrała panią, a nie mnie? – spytała, jakby Joanna namówiła Richarda na drinka. Pozostająca w horyzontalnej i pozycji i chwilowo niedowidząca Joanna postarała się jak najlepiej objaśnić zaistniałą sytuację.

– No jasne, zapomniałam, pani jest lekarzem, a ja tylko skromną pielęgniarką – oświadczyła Tish i przystąpiła do rozmieszczania elektrod na klatce piersiowej Joanny.

Joannie przyszło do głowy, że pod jej nieobecność Tish najchętniej spędziłaby całą sesję sam na sam z Richardem. Naprawdę mam powody do zdenerwowania, uznała. Tish jest gotowa zacząć flirtować z Richardem i zupełnie o mnie zapomnieć. Albo też dojść do wniosku, że nadeszła odpowiednia chwila na definitywne pozbycie się konkurencji, i wyciągnąć wtyczkę.

Rzecz w tym, że nie istniała żadna wtyczka do wyciągnięcia. Nawet gdyby oboje poszli sobie na kolację u Conrada i zostawili ją na pastwę losu, po prostu obudziłaby się, kiedy dihetamina przestałaby działać. Albo ocknęła ze śmierci klinicznej jak pani Troudthaim.

To także był powód do zmartwień. Co się stanie, jeśli okaże się niezdolna do osiągnięcia stanu śmierci klinicznej? Podczas ostatniej sesji pani Troudthaim znowu się przedwcześnie ocknęła, nawet szybciej niż poprzednio, mimo że Richard zaaplikował jej odpowiednią dawkę środka.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić – zasepił się Richard, wpatrując się w jej skany po zakończeniu sesji. – Może masz, rację, a ona należy do czterdziestu procent ludzi, którzy nie mają doświadczeń granicznych.

A jeśli ja też jestem jedną z nich?, martwiła się Joanna. Co wtedy zrobią?

– Proszę się odprężyć – odezwała się pielęgniarka i podniosła jej kolano, aby wsunąć podkładkę. – Jest pani sztywna jak kij. – Wsunęła podkładkę pod lewą rękę Joanny i obeszała stół.

Joanna świadomie usiłowała się zrelaksować. Powoli nabierała powietrza i wolno je wypuszczała, rozluźniała mięśnie rąk i nóg, leżała swobodnie. Odprężyć się. Zrelaksować. Wpatrywała się w zasłoniętą lampę pod sufitem. Tish bez uprzedzenia owinęła gumową rurkę wokół ramienia Joanny i zawiązała pętlę. Joanna podniosła głowę, aby spojrzeć, co się dzieje.

– Proszę się odprężyć! – nakazała pielęgniarka i zaczęła opukiwać wewnętrzną stronę jej ręki w poszukiwaniu żyły.

Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, będę wiedziała, jak należy traktować naszych pacjentów, pomyślała Joanna. Trzeba ich informować o wszystkim, co się stanie. Należy im mówić: „Teraz, podłączę kroplówkę. Słabe ukłucie”, uznała.

Tish nie mówiła nic. Odkaziła rękę Joanny, wbiła igłę i dołączyła kroplówkę, wszystko bez słowa. Znikła z pola widzenia Joanny i niespodziewanie zasłoniła jej oczy maską. Na czole badanej położyła coś lodowatego.

– Co to ma być? – niechętnie spytała Joanna.

– Podłączam elektrody do pani głowy – zirytowała się Tish. – Podobno lekarze to najgorsi pacjenci. Święte słowa. Proszę się odprężyć!

Joanna postanowiła, że pan Sage i pani Troudthaim będą na bieżąco informowani o każdej kolejnej czynności związanej z badaniem. Nie wolno ich także pozostawiać na długi czas bez powiadomienia, co się dzieje. Joanna wyteżyła słuch, pragnąc usłyszeć odgłosy kroków lub czegokolwiek innego. Zastanawiała się, czy Tish i Richard poszli na drinka. Nie, usłyszałaby trzask zamykanych drzwi. Może Tish bez uprzedzenia nałożyła jej słuchawki?

– Wszystko gotowe? – W lewym uchu Joanny nagle rozległ się głos Richarda. Usiłowała po omacku dotknąć jego dłoni. – Jesteś pewna, że

chcesz się na to zdecydować? – zaniepokoił się Richard, a niepewność w jego tonie sprawiła, że Joanna straciła wszelkie wątpliwości.

– Całkowicie – stwierdziła i uśmiechnęła się, mając nadzieję, że do niego. – Chcę definitywnie rozwikłać tajemnice dzwonienia lub brzęczenia.

– W porządku – potwierdził. – Być może niewiele zobaczysz. Zdarza się, że odpowiednią dawkę udaje się dobrać dopiero za którąś z kolei próbą.

– Wiem.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Jestem – potwierdziła i nie oszukiwała. – Do roboty. – Puściła jego rękę.

– Dobrze – zgodził się i ktoś – Richard? Tish? – nałożył słuchawki na uszy. Joanna się odprężyła, pogrążona w białym szumie i ciemnościach. Czekwała, aż środek uspokajający zacznie działać. Odetchnęła głęboko. Wypuściła powietrze. Nabrała powietrza. Wypuściła. Nie działa, pomyślała, i usłyszała dźwięk. Tish źle nałożyła słuchawki, uznała.

– Richard – zaczęła mówić, kiedy uświadomiła sobie, że opuściła laboratorium. Przebywała w wąskim pomieszczeniu. Wyczuwała, że po bokach znajdują się ściany. Trumna, przebiegło jej przez myśl, ale pomieszczenie było zbyt szerokie na trumnę, a zresztą stała. Spojrzała w dół, usiłując przyjrzeć się swojemu ciału, ale nic nie widziała, było zbyt ciemno. Poniosła rękę na wysokość twarzy, lecz również nic nie dostrzegła. Nie poczuła też ruchu ręki.

Nic nie widzę z powodu maski na oczach, pomyślała i sięgnęła żeby ją zdjąć, lecz na twarzy wyczuła tylko okulary. Dotknęła czoła. Nie miała elektrod ani słuchawek. Pomacała rękę. Nie było kroplówki.

To doświadczenia graniczne, pomyślała, jestem w tunelu. Nie, to nie tunel. To przejście. Możesz je opisać?, zadała sobie pytanie i rozejrzała się w ciemnościach.

Jest wąskie, uznała, nie mając pojęcia, skąd to wie. Trudno jej było także stwierdzić, skąd przekonanie, że po bokach wznoszą się ściany, że przed nią i za nią jest wolna przestrzeń, a sufit znajduje się tuż nad jej głową. Zapatrzyła się w niewidzialny sufit, jakby licząc na to, że jej oczy się przyzwyczają do ciemności. Mrok pozostał jednak nieprzenikniony. Skąd wiesz, że to nie sufit tunelu?

Spojrzała na podłogę, której także nie dostrzegała. Ostrożnie dotknęła jej nogą. Podłoga – z całą pewnością podłoga – okazała się twarda i gładka, jak terakota lub drewno, lecz nie słyszała odgłosu tupnięcia.

Może jestem na bosaka, pomyślała. Paul McCartney pojawił się bosko na okładce albumu Beatlesów, stąd wiadomo było, że nie żyje. Ale Joanna nie wyczuwała podłogi pod skórą, więc nie mogła stać na bosaka. Może nie mam stóp. Albo nie słyszę. Jej pacjenci opisywali Świetlistego Anioła, przemawiającego do nich, „myślami jednak, a nie słowami”. Możliwe doświadczenia graniczne mają charakter ściśle wizualny.

Pamiętała dźwięk, kiedy zjawiła się w przejściu. Odwróciła głowę, usiłując go sobie przypomnieć. Był głośny. Słyszała go wyraźnie zaraz po tym, gdy się tutaj zjawiła. A może towarzyszył jej, kiedy się tutaj dostawała. Nie, leżała w laboratorium, a potem nagle stała tutaj.

Kiedy o tym pomyślała, doznała nagłego wrażenia, że wie, gdzie jest to „tutaj”, jakby to było jakieś znajome miejsce. Nie, to złe słowo. Rozpoznawała to miejsce, chociaż w przejściu panowały ciemności.

To miejsce istnieje, doszła do wniosku, naprawdę istnieje. Wiem, gdzie ono się znajduje, przebiegło jej przez głowę, i przejście wypełniło się światłem z przodu. Odwróciła się, aby mu się przyjrzeć. Wypełniało korytarz, oślepiająco jasne, i stwierdziła, że teraz widzi, gdzie jest, ale światło było zbyt intensywne. Zupełnie, jakby chciała spojrzeć bezpośrednio w przednie reflektory samochodu. Nic się wtedy nie widzi.

Reflektory. „Jeśli światło na końcu tunelu okaże się pędzącym pociągiem?”, powiedziała Vielle. Joanna instynktownie zerknęła pod nogi w poszukiwaniu torów kolejowych, lecz światło dobiegało ze wszystkich stron, jego poświata była równie intensywna od dołu, jak i od przodu. Jasność tak silna, że musiała zamknąć oczy z bólu.

Nic dziwnego, że ochotnicy mrużyli oczy. Zupełnie, jakby włączyć światło w środku nocy lub błysnąć fleszem prosto w twarz. Ale to nie to, bo światło było złote.

To też mówili jej pacjenci – „było złote” – a kiedy pytała „Nie było białe?”, odpowiadali zirytowani, „Nie, było białe i złote”. Teraz wiedziała, co mieli na myśli. Światło faktycznie było białe, ale nie zielonkawobiałe, fluorescencyjne, ani palące niebieskobiałe światło lampy łukowej. Miało złotą poświatę, jak świeca, tylko znacznie, znacznie jaśniejszą.

Podniosła dłoń, aby zasłonić oczy. Światło, chociaż otaczało ją zewsząd, emanowało z końca przejścia. Gdzie ktoś otworzył drzwi, pomyślała. Światło przedostawało się z zewnątrz, spoza wejścia.

Skierowała się w stronę końca przejścia, mrużąc oczy przed światłem, a kiedy szła, zdawało się nieco słabnąć. Nie, inaczej, jasność nie uległa

zmianie, ale Joannie niemal udało się dojrzeć sylwetkę w świetle. Postać w bieli.

Świetlisty Anioł pana Mandrake'a, pomyślała, idąc do wejścia, lecz postać nie stawała się wyraźniejsza. Nie była pewna, czy to w ogóle jakaś osoba, czy też po prostu złudzenie świetlne.

Przymrużyła oczy, usiłując przyjrzeć się sylwetce, i nagle znalazła się z powrotem w laboratorium.

– Udało mi się – obwieściła, ale nie usłyszała własnego głosu. Doszła do wniosku, że znajduje się w fazie płytkiego snu i zasnęła.

Obudziła się na dźwięk głosu Richarda, wołającego ją z oddali. Doszła do przekonania, że właśnie to miał na myśli Greg Menotti, kiedy mówił „Za daleko”. Wciąż muszę się znajdować blisko śmierci klinicznej.

– Joanna? – Głos Richarda zabrzmiał znacznie bliżej. Otworzyła oczy. Richard stał pochylony nad nią. Joanna pomyślała, że Vielle ma rację, on jest naprawdę przystojny, i znowu zasnęła.

– Już nie śpi – oświadczyła Tish. – Mam przestać nagrywać? – Trzymała w dłoni magnetofon, a Joanna pomyślała, O Boże, mam nadzieję, że nie powiedziałam głośno, że jest przystojny.

– Mówiłam coś?

Richard nachylił się bliżej, uśmiechając się szeroko.

– Nie uwierzysz, co powiedziałaś.

O nie, przemknęło jej przez głowę.

– Co takiego?

– Powiedziała pani: „Było ciemno” – wyjaśniła nie proszona Tish.

– Podobnie jak wszystkie osoby po doświadczeniach granicznych – uzupełnił Richard.

– Bo było ciemno. – Joanna usiłowała usiąść. – Ciemno jak w kopalni, w jaskini, tylko że nie znajdowałam się w jaskini ani w tunelu. Tylko w przejściu.

– Nie siadaj – powstrzymał ją Richard. – I nie próbuj rozmawiać, dopóki środki uspokajające nie przestanie działać.

Joanna opadła z powrotem na łóżko.

– Mowy nie ma, chcę to opisać, zanim zapomnę. Włączyła pani dyktafon? – zwróciła się do Tish.

– Wszystko się nagrywa – odparła Tish i wręczyła magnetofon Richardowi. Przysunął go do ust Joanny.

– Leżałam w laboratorium, a potem znalazłam się w tunelu – zaczęła.

– Nic pomiędzy? – spytał Richard. – Nie odniosłaś wrażenia, że opuszczasz ciało albo unosisz się nad nim?

– Nie powinieneś sugerować badanemu odpowiedzi – skarciła go Joanna. – Nie, po prostu znalazłam się w przejściu.

– Znowu użyłaś słowa „przejście” – zwrócił uwagę Richard. – Co masz na myśli? Przejście podziemne?

– Ponownie sugerujesz odpowiedź. Nie, nie przejście podziemne. Ani jedno z przejść, którymi grecki żołnierz Er wędrował do królestwa śmierci. To było coś w rodzaju korytarza lub holu, a na jego końcu znajdowały się drzwi. – Opisała przejście, światło i słabo widoczną postać.

Tish zbadała Joannie tętno i zapisała w karcie.

– Odniosłam wrażenie, jakbym przebywała w konkretnym miejscu i miała konkretne przeżycia. To nie był sen ani wizja. Nie miałam poczucia, jakby rzeczywistość wymieszała mi się ze snem, jak w wypadku świętego Pawła na drodze do Damaszku lub Bernadetty w grocie w Lourdes, gdzie nawet pomimo oślepiającego światła lub obecności Matki Boskiej wciąż wiadomo, gdzie się jest. Nie uświadamiałam sobie, że znajduję się w laboratorium i leżę na stole. – Tish owinęła wokół jej ramienia taśmę aparatu do mierzenia ciśnienia. – Czułam się tak, jakbym tam naprawdę była, jakbym znalazła się w istniejącym miejscu.

– Wiesz, co to za miejsce? – spytał Richard.

– Nie, ale miałam poczucie, że je znam.

Rozpoznałaś je?

– Tak. Nie – zmieniła zdanie. – Miałam poczucie, że je znam, ale nie potrafiłam... – Potrząsnęła głową z rezygnacją. Nic dziwnego, że jej badani bezradnie wzruszali ramionami.

Tish ponownie sprawdziła tętno i przystąpiła do zdejmowania elektrod z głowy.

– Rozpoznałam to miejsce, ale... – zawahała się Joanna.

– Ale jednocześnie nie potrafiłaś się pozbyć przekonania, że nigdy wcześniej tam nie byłaś? – uzupełnił Richard. – Miałaś *déjà vu*, doświadczyłaś czegoś nowego, lecz w głębi duszy czułaś, że już, wcześniej to przeżyłaś?

– Nie – zaprzeczyła, usiłując przypomnieć sobie to ulotne uczucie. Miejsce sprawiało wrażenie znajomego, nie, złe słowo, chociaż je rozpoznawała. – Może. To mogło być *déjà vu* – przyznała z powątpiewaniem.

– To znaczące potwierdzenie zaangażowania płata skroniowego. – Richard nie potrafił pohamować podniecenia. – Uczucie *déjà vu* zostało definitywnie przypisane płatowi skroniowemu.

Tish odłączyła kroplówkę i odłożyła sprzęt.

– Jestem panu jeszcze do czegoś potrzebna? – spytała.

– Nie sądzę. – Richard błędził myślami gdzie indziej. – zaangażowanie płata skroniowego... Nie miałaś poczucia, że opuszczasz ciało?

– Sugestia – przypomniała mu Joanna. – Nie. Znajdowałam się w laboratorium, a potem w tunelu, między jednym a drugim nie zdarzyło się nic.

– Czowałaś może... – Przerwał i zaczął od początku. – Jakich uczuć doświadczałaś?

– Światło nie sprawiło, że czułam się ciepło albo bezpiecznie, nie miałam też poczucia, że jestem kochana. Byłam... spokojna. Chyba tak to można określić. Po prostu nie czułam lęku.

– Ciekawe. Czowałaś się oddalona? Miałaś wrażenie separacji od tego, co się dzieje? Że to, co cię otacza, jest nierealne, nierzeczywiste?

– To nie był sen – podkreśliła stanowczo Joanna.

– Skoro nie jestem do niczego potrzebna, to idę – oświadczyła Tish i oboje na nią spojrzeli, zdumieni, że jeszcze nie wyszła. – Będę potrzebna jutro?

– Jeszcze nie wiem – stwierdził Richard. – Myślę, że tak. Zadzwońię do pani. Dzięki. – Odwrócił się niecierpliwie do Joanny. – Czym się to różniło od snu?

– Sny... sprawiają wrażenie realnych, kiedy się je śni, a kiedy się budzisz, uświadamiasz sobie, że wracasz do rzeczywistości. Nawet w tej chwili mam poczucie, że moje doświadczenia graniczne były czymś realnym. Wszystko to powtarzali moi badani, że przeżywali coś rzeczywistego. Nie wiedziałam, o co im chodzi, ale mieli rację. To nie jest tak, jakbym wspominała sen. Raczej mam w pamięci prawdziwe zdarzenia.

– Możesz mówić precyzyjniej?

– Mogłam się poruszać w normalny sposób – uśmiechnęła się Joanna. – Nie odczułam, że płynę lub łagodnie przesuwam się przez tunel, jak to opisywali niektórzy moi badani, a poza tym nie doszło do żadnych typowych dla snu niespójności lub niekonsekwencji. Czułam się tak, jakbym uczestniczyła w prawdziwych zdarzeniach.

– Mówiłaś, że wyczułaś czyjąś obecność w świetle.

– Zgadza się. Miałam wrażenie, że kogoś widzę, ale światło było zbyt jasne.

– Wrażenie czyjejś obecności to również wpływ aktywności płata skroniowego – zdecydował Richard. – Zakładałem, że światło i poczucie spokoju są uwarunkowane działaniem endorfin, ale może to skutek pracy płata skroniowego... Muszę spojrzeć na twoje skany.

Joanna chciała wstać ze stołu do badań.

– Czekaj – powstrzymał ją Richard. – Jeszcze nie skończyliśmy. Wciąż nie odpowiedziałaś na zasadnicze pytanie.

– Zasadnicze pytanie? – zdziwiła się Joanna. – Nie rozumiem, chodzi ci o to, czy to, co widziałam, było rzeczywistością? Trafiłam do nieba? Albo stanęłam w przejściu na Tamtą Stronę?

– Nie. Zasadnicze pytanie. – Uśmiechnął się szeroko. – Mówiłaś, że słyszałaś dźwięk. No i? Dzwonienie czy brzęczenie?

– To było... – Przerwała zdumiona. – Nie mam pojęcia. Wiem, że coś słyszałam. Stałam w tunelu...

– Był głośny czy cichy?

Głośny, pomyślała. Słyszała go wyraźnie. Kiedy jednak próbowała sobie przypomnieć ten dźwięk, stwierdziła, że nie jest w stanie go odtworzyć ani nawet zidentyfikować rodzaju hałasu. Dzwonienie? Brzęczenie? Okropny trzask walącej się sterty puszek, jak to opisał pan Steinhorst?

– Czy ten dźwięk zatarł ci się w pamięci? – spytał Richard.

Zastanowiła się. Na pewno, bo nie potrafiła go sobie przypomnieć, ale reszta doświadczeń granicznych trwała w jej umyśle, jak wtedy, gdy była nieprzytomna. Pamiętała, jak stwierdziła, że coś słyszy, i odwróciła się w stronę hałasu, aby go zidentyfikować. A zatem nawet w stanie śmierci klinicznej nie wiedziała, co to za dźwięk.

– Joanna? – pośpieszył ją Richard.

– Nie, to nie w tym rzecz, że zapomniałam, jaki to hałas. Nie mogę go odtworzyć. Nie, nic z tego. Przykro mi – poddała się. – Tyle ze mnie pożytku, co z pana Sage'a.

– Żartujesz? Jesteś wspaniała. Powinienem był poddać cię badaniu na samym początku i odpuścić sobie pozostałych ochotników. Poddałaś mi więcej szczegółów niż wszyscy inni razem wzięci, a przecież to był twój pierwszy raz. Chciałbym przeprowadzić następną sesję najszybciej, jak to będzie możliwe, czyli musimy poczekać, aż dithetamina zniknie z twojego

organizmu. To trwa jakieś dwanaście godzin. Możemy się umówić na jutrzejsze popołudnie?

– Świetnie – zgodziła się Joanna. – Nie mogę się doczekać.

Nie kłamała. Pragnęła tylko znowu być tam, skąd niedawno wróciła, przekonać się, co to za dźwięk i jakie to miejsce. W całej sesji nie dostrzegła niczego niebezpiecznego ani przerażającego, dlatego więc, kiedy Richard zadawał jej pytania, odczuła niespodziewany lęk?

Czy Amelia Tanaka również doświadczyła podobnego odczucia? Czy dlatego zrezygnowała?

Rozdział 16

„Nawet w dolinie cienia śmierci dwa i dwa nie równa się sześć”.

Słowa Tolstoja, wypowiedziane na łożu śmierci, kiedy nakłaniano go do powrotu do Kościoła prawosławnego

– To skutek uboczny dithetaminy – wyjaśnił Richard, kiedy Joanna poinformowała go o odczuwanym lęku.

– Albo ostrzeżenie, że stanie się coś złego, jeśli ponownie poddasz się eksperymentowi – zasugerowała Vielle, kiedy przyszła na wieczór smakołyków.

– Nic złego się nie stanie – upierała się Joanna, sięgając po torebkę kukurydzy do prażenia. – Przyjrzyj mi się. Nic mi nie jest. Moje ciało się nie pomyliło, kiedy ujrzało tunel i światło, i nie przystąpiło do procesu umierania. Nikt nie miał kłopotów z przywróceniem mi przytomności. Nic się nie wydarzyło.

– Więc widziałas tunel i światło? – zaciekawiała się Vielle. – Był tam Mandrake?

– Nie – parsknęła śmiechem Joanna. – Nie, nie było tam ani pana Mandrake’a, ani Świetlistego Anioła. – Opowiedziała Vielle o przejściu i świetle spoza drzwi. – Nie doświadczyłam także poczucia opuszczenia ciała ani retrospekcji życia. Przynajmniej jeszcze nie tym razem. – Otworzyła lodówkę. – Czego się napijesz? Mam colę, napój imbirowy i... napój imbirowy.

– Poproszę colę. Co to znaczy: „nie tym razem”? Chyba nie zamierzasz pakować się w to ponownie?

– Oczywiście, że tak. – Joanna sięgnęła do lodówki po dwie cole.

– A to uczucie lęku, które cię ogarnęło? A jeśli to był taki sygnał, że za drzwiami czai się coś potwornego?

– Nie przestraszyłam się, kiedy spoglądałam w stronę drzwi. – Joanna wręczyła Vielle colę. – Podczas doświadczeń granicznych wcale się nie

bałam. Złękłam się dopiero prawie godzinę później.

– Kiedy pan Right poprosił cię o udział w kolejnym eksperymencie.

– Tak, ale tylko na kilka sekund i przeszło mi, zanim ustalił termin kolejnej sesji. Richard pokazał mi kortyzol w moich wynikach. Poziomy były niewątpliwie powyżej normy, a kortyzol często pozostaje w organizmie po przebudzeniu. Właśnie dlatego ludzie czują lęk po sennych koszmarach.

– A jeśli miałaś więcej kortyzolu dlatego, że zobaczyłaś coś strasznego? Mówiłaś, że tunel wyglądał znajomo. Może strach wynika właśnie z tego, że go rozpoznałaś? Może wiesz, co się czai za tymi drzwiami?

Zapisała kuchenka mikrofalowa. Uratowana, pomyślała Joanna. Starła się zyskać na czasie, rozrywając torebkę, szukając miski i wysypując uprażoną kukurydzę.

– A jeśli...? – powtórzyła Vielle.

– Zasada numer jeden – przypomniała Joanna. Zniosła popcorn do salonu. – Jakie filmy przyniosłaś?

– *Linie życia* – oświadczyła Vielle. – To o takich studentach medycyny, którzy bawią się w śmierć kliniczną z tragicznymi konsekwencjami. Wydaje się im, że zobaczą anioły, a zaczynają mieć okropne...

– Wiem, o czym to jest – przerwała Joanna. – Nie wierzę, że ty...

– Julia Roberts tam gra – wyjaśniła niewinnie Vielle. – Doktor Right powiedział, że lubi Julię Roberts. A może wciąż obowiązuje zakaz przynoszenia filmów o umieraniu?

Joanna puściła to pytanie mimo uszu.

– Richard nie przyjdzie. Ma spotkanie z doktor Jamison.

– Doktor Jamison? – Vielle zmrużyła oczy. – Co to za jedna?

– Specjalistka od neuromediatorów.

– Jasne. Pewnie dlatego musieli się umówić wieczorem. Założę się, że poszli na drinka. Nieprawdopodobne, najpierw Tish, a teraz ona. Jeśli szybko nie weźmiesz się do roboty, doktor Right zmieni się w doktora Wycofanego z Obiegu.

– Masz rację, mam – przyznała Joanna. Sięgnęła po drugą kasetę. Ciekawe, co jeszcze pożyczyła Vielle. *Odmienne stany świadomości?*

– *Raport Pelikana* – stwierdziła Vielle, wyciągając taśmę z rąk Joanny i wsuwając ją do magnetowidu. – Też z Julią Roberts. Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że doktor Right nie przyjdzie. Na szczęście gra tam Denzel Washington. – Włączyła wideo.

Na szczęście to nie *Linia życia*.

– Oglądałaś kiedyś ten film? – Vielle usadowiła się na kanapie. – To o pewnej młodej kobiecie, która pakuje się po uszy w kłopoty tylko dlatego, że nie zwraca uwagi na sygnały ostrzegawcze.

– Tylko raz poczułam strach, i to na zaledwie dziesięć sekund. Od tego czasu nic mi nie było.

Joanna nie przestraszyła się już ani razu, nawet kiedy następnego popołudnia położyła się na stole do badań, a Tish przystąpiła do rozmieszczania elektrod na jej ciele. Nie bała się nawet w chwili, gdy Richard spytał: „Wszystko gotowe?” Czuła wyłącznie chęć poddania się eksperymentowi. Przepeniała ją ochota rozpoznania nieznanego dźwięku i sprawdzenia, co się kryje za drzwiami. Poza tym musiała się przekonać, co to za miejsce i dlaczego wygląda znajomo. Nie, znajomo to niewłaściwe słowo. Nie pasowało także *déjà*...

Rozległ się dźwięk i Joanna ponownie znalazła się w przejściu. W tym samym miejscu, pomyślała, chociaż panowały egipskie ciemności. Ujrzała światło. Wciąż ją oślepiało, lecz zamiast promieniującej poświaty, dostrzegła złocisty pasek wzdłuż framugi i pod drzwiami.

Drzwi wydawały się znacznie bardziej oddalone niż ostatnio, a przejście nieprawdopodobnie długie, lecz mogło to wynikać z tego, że drzwi były uchylone zaledwie odrobinę. Światło, które przenikało do przejścia, oświetlało kilka metrów podłogi oraz ścian, dzięki czemu Joanna mogła lepiej zobaczyć korytarz. Wzdłuż ścian biegły drzwi, równomiernie rozmieszczone, jak w hotelu.

Nie, nie jak w hotelu, pomyślała. Gdzie jeszcze znajdowały się długie ściany z licznymi drzwiami? W Szpitalu Miłosierdzia? Nie, gdzie indziej. Drzwi do pokoi pacjentów niemal zawsze pozostawały otwarte. Te w przejściu były zamknięte, a zresztą korytarz był węższy niż szpitalny hol.

W dodatku często pracowałam w różnych szpitalach, a nie pamiętam tego miejsca, pomyślała. Więc w jakim budynku mogły być długie, wąskie, zapełnione drzwiami korytarze, których mogliby nie rozpoznać, nawet gdyby nimi chodziła? W Wersalu? Nie, tam wisiały lustra. W dużym domu?

„W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”, powiedziała pani Woollam, ale miała na myśli niebiosa. W pałacu? Może, może, chociaż podłogi w pałacach wykładano dywanami, zakrywając parkiet, prawda? Dobrze widziała podłogę w świetle pod drzwiami. Wykonano ją z długich, wąskich, lakierowanych desek. Nieprawdopodobnie długich. Tak samo długich, jak

przejście, pomyślała, ale kiedy zaczęła iść ku drzwiom, stwierdziła, że są znacznie bliżej, niż sądziła.

To przez tę podłogę, uznała, zatrzymując się w pół drogi do drzwi. Właśnie przez nią hol wygląda na dłuższy niż w rzeczywistości. A może to przez podłogę przy wejściu. Zmrużonymi oczyma spojrzała na miejsce zetknięcia się drzwi z posadzką i stwierdziła, że światło przygasa i się nasila, znowu ciemnieje i się rozjaśnia, pulsuje. Nie, porusza się.

Nie, światło się nie poruszało. Poruszało się coś z drugiej strony. Za drzwiami znajdował się ktoś albo coś, co chodziło i rzucało cień. „A jeśli to coś straszego?”, sugerowała Vielle. Tygrys biegający w tę i z powrotem.

Nikt nigdy nie wspominał o tygrysie, relacjonując swoje doświadczenia graniczne, powiedziała sobie. To jakiś człowiek chodzi z miejsca na miejsce. Joannie wydało się, że słyszy szmer ludzkich głosów. Ruszyła przed siebie, wpatrując się w światło pod drzwiami i natężając słuch.

– Co się stało? – spytał kobiecy głos, a światło ponownie ściemniało, jakby nieznajoma podeszła do drzwi.

Joanna zbliżyła się jeszcze trochę.

– Nic, jestem pewien – odparł męski głos.

Kiedy nieznajomi poruszali się między Joanną a źródłem światła, pod drzwiami pojawiło się więcej cieni.

– Zimno mi – stwierdziła kobieta.

– Okryję cię – zaproponował Richard i owinął ramiona Joanny kocem.

– Nie, nie mnie. Kobiecie. – Joanna zdała sobie sprawę, że jest w laboratorium.

Otworzyła oczy. Nie miała na oczach maski, słuchawki leżały obok, a Tish przykrywała ją białym bawełnianym kocem. Joanna ujrzała nad sobą twarz Richarda.

– I co, tym razem znowu widziałaś to samo? – spytał.

– Niczego nie sugeruj. Gdzie dyktafon?

– Tutaj. – Richard włączył nagrywanie. – Co widziałaś tym razem?

– Znalazłam się w tym samym miejscu, co poprzednio. To zakończony korytarz, pełen drzwi w bocznych ścianach. – Opowiedziała mu o tym, że korytarz zdawał się dłuższy niż w rzeczywistości, i zrelacjonowała rozmowę za drzwiami. – Kobieta spytała: „Co się stało?”, a mężczyzna odpowiedział: „Nic, jestem pewien”, a potem kobieta, chyba ta sama, stwierdziła: „Zimno mi”.

– Jesteś pewna, że to słowa kobiety? – spytał Richard, a następnie wyjaśnił: – Oznajmiłaś: „Zimno mi” jakieś pięć minut po wyjściu ze śmierci klinicznej, kiedy znajdowałaś się w fazie płytkiego snu.

– Dlatego przyniosłam pani koc – dodała Tish.

– Nie, jestem pewna, że to ona powiedziała. Musiałam po niej powtórzyć. Nie miałam żadnego powodu, żeby się skarżyć na chłód. Wcale nie zmarłam.

– Pani cała drży – zwróciła uwagę Tish.

– Nie, skąd... – zaczęła Joanna i uświadomiła sobie, że szczęka zębami. Amelia też marznie, pomyślała.

– Podczas doświadczeń granicznych nie czułaś chłodu? – pytał Richard.

– Nie, nie było mi zimno, gdy stałam w przejściu.

– Mówiła pani, że kobieta tak twierdziła – zauważyła Tish.

– Ona znajdowała się na zewnątrz.

– Widziałaś, co jest za drzwiami? – dopytywał się Richard.

– Nie, ja... – Przerwała, zastanawiając się, skąd wie, że ludzie byli na dworze. Drzwi nie wyglądały na zewnętrzne, a ona nie widziała nic, poza cieniami. – Nie wiem, dlaczego uważam, że byli na zewnątrz. Tak czuję.

– Mówisz, że w przejściu nie było zimno. A więc czułaś ciepło?

– Nie – zaprzeczyła Joanna. – Nie zaobserwowałam niczego związanego z temperaturą. A kiedy dostrzegłam światło, nie ogarnęło mnie uczucie ciepła i miłości, które opisywali inni badani. Niepokoiłam się tym, co może się kryć za drzwiami, a poza tym nie czułam nic.

– Miałaś wrażenie dystansu, jakbyś sama siebie obserwowała?

– Nie – stwierdziła stanowczo. – Przebywałam tam, wiedziałam, że jestem w holu, widziałam światło pod drzwiami, słyszałam głosy. Ta wizja jest niezwykle przekonująca. Całkowicie realna.

– Słyszałaś głosy, ale nikogo nie widziałaś?

– Nie, chyba że można wziąć pod uwagę cienie stóp pod drzwiami.

Richard pracowicie robił notatki.

– Dobrze, tunel, światła, głosy. Doświadczenia pozacielesne?

– Brak.

– A co z dźwiękiem? Słyszałaś go tym razem?

– Dźwięk – powtórzyła z niechęcią Joanna. – Naprawdę chciałam się w niego wsłuchać i spróbować go zidentyfikować, ale kiedy się tam znalazłam, zupełnie o tym zapomniałam. Chciałam sobie przypomnieć, skąd znam ten korytarz.

– Znowu miałaś *déjà vu*?

– To nie *déjà vu* – zaprzeczyła. – Zdarzało mi się czuć, że gdzieś wcześniej przebywałam lub coś robiłam, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe. W tym wypadku było inaczej. Czułam... – zamilkła na chwilę – ...że wiem, że nigdy tam się nie znajdowałam, ale... poznawałam to miejsce.

– Poznawała je pani? – zainteresowała się Tish. – Gdzie to było?

– Nie wiem – odparła przygnębiona. – Czułam, że niemal mogę... – Wyciągnęła rękę, jakby oczekiwała pomocy. Jedna z moich pacjentek wykonała identyczny gest, przypomniała sobie. Muszę znaleźć jej opis i sprawdzić, o czym mówiła.

– Wciąż masz to poczucie? – pytał Richard.

– Nie.

– Dźwięk, tunel, światło, głosy, wrażenie czegoś znajomego – zaznaczał kolejne elementy. – A co z nakazem powrotu?

– Brak, nikt mi nie kazał wracać. Nawet nie wiedzieli, że tam jestem.

– To i tak pięć zasadniczych elementów. – Richard sprawiał wrażenie zachwyconego. – Myślę, że jeśli odpowiednio dostosuję dawkę, osiągniemy pełną dziesiątkę. To wrażenie czegoś znajomego jest niezwykle interesujące.

Joanna zaczęła ponownie szczekać zębami.

– Możemy dokończyć rozmowę, kiedy się ubiorę? Zaraz zamarznię. Systemy monitorujące są już odłączone?

Tish potwierdziła, a Joanna zsunęła się ze stołu i poczłapała do przebieralni, ściśle owijając się kocem. Weszła do środka, zamknęła drzwi i sięgnęła po bluzkę. W tej samej chwili zerknęła do lustra na drzwiach i ponownie ogarnęło ją to uczucie. Wiem, wiem, gdzie to jest, pomyślała.

Poczucie trwało zaledwie ułamek sekundy. Zanim zdążyła się odwrócić i stanąć przodem do lustra, wrażenie minęło. Wpatrywała się w odbicie i zastanawiała, co je wywołało. Koc czy drzwi?

Gdy tylko się ubrała, poinformowała o wszystkim Richarda.

– Może to z powodu lustra? – zasugerował, wskazując na nie głową. – Podczas doświadczeń granicznych widziałaś lustro? Albo odbicie czegoś?

– Sugestia – skomentowała Joanna. – Nie.

– Niemniej było to takie samo *déjà vu*?

To nie *déjà vu*. Nigdy tam nie byłam, ale wiem, gdzie to jest. To jak świadomość, że jesteś w Paryżu, bo widziałeś wieżę Eiffla. Tylko że ja nie

potrafię zlokalizować tego miejsca – uzupełniła słabym głosem.

– Wciąż masz to poczucie?

– Nie, tylko niekiedy mnie ogarnia ponownie.

– Ciekawe. Chciałbym, żebyś mnie poinformowała, jeśli znowu to poczujesz.

– Albo jak przypomnę sobie, gdzie jest to miejsce – dodała i przez resztę popołudnia i cały wieczór usiłowała je zlokalizować. Coś, co ma związek z kocem i drewnianą podłogą. I pałacem. Nie, nie pałacem, ale za to czymś, co zawiera słowo pałac. Hotel Pałacowy? Nie, to nie hotel. Teatr Pałacowy?

Nie osiągnęła zupełnie nic. To bez sensu, uznała, jadąc następnego dnia do pracy, i zdecydowała, że przestaje o tym myśleć. Miała nadzieję, że pamięć spontanicznie podsunie jej rozwiązanie problemu. Skoncentrowała się na przepisywaniu własnej relacji i pomocy w przygotowaniach do kolejnej sesji pani Troudthaim, która budziła się, nie pamiętając o jakichkolwiek doświadczeniach granicznych.

– Było tak samo, jak ostatnio – wyjaśniła ochotniczka. – Leżałam w ciemnościach, usiłując nie zasnąć, lecz zdaje się, że się zdrzemnęłam. Ogromnie przepraszam. Dzisiaj rano nawet położyłam się spać na parę minut, żeby nie zasnąć podczas badania.

– Leżała pani w ciemnościach – powtórzyła Joanna. – Czy mrok zmieniał się w jakikolwiek sposób? Gęstniał? Albo stawał się inny?

– Nie.

– Mówi pani, że zasnęła. Czy pamięta pani cokolwiek z tego snu?

– Nie. Po prostu leżałam i nagle gwałtownie się budziłam.

– Może coś panią budziło? Jakiś ruch? Dźwięk?

– Nie.

– Robisz, co możesz – pochwalił ją Richard, kiedy pani Troudthaim wyszła – ale to bez sensu. Ona nic nie pamięta.

Ja też nie, uzupełniła w myślach Joanna, spisując zwięzłe wyjaśnienia badanej. Unikanie myślenia o tunelu nie dawało lepszych wyników niż usiłowanie zlokalizowania przejścia.

Sprawdziła swoje zasoby, poszukując słów „podłoga” i „koc”, lecz wyszukiwarka nie wyświetliła żadnych wskazań. Spróbowała z „Zimno mi”. Nic. Ograniczyła hasło do „zimno” i tym razem trafiła kilka razy. W większości były to niejasne odniesienia do odczuć, które badany miał w tunelu lub podczas powrotu. Poza tym wyraz „zimno” jeszcze dwukrotnie przewinął się w notatkach Joanny. „Podczas wywiadu badany wielokrotnie

pytał mnie, czy uważam, że w pokoju jest zimno” oraz: „Badany sprawiał wrażenie, jakby mu było zimno, włożył szlafrok i schował ręce w rękawach”.

Wszystko to było niezwykle interesujące, lecz nie podsunęło jej żadnej sugestii, gdzie szukać tunelu, a kiedy Richard poinformował ją, że kolejny eksperyment chciałby przeprowadzić następnego dnia, pomyślała: „Może przypomnę sobie, kiedy ponownie się tam znajdę”, a zaraz potem: „Ale najpierw zidentyfikuję dźwięk, choćby nie wiem co”. Uczepiła się tej myśli i nie zapomniała o niej, kiedy Tish instalowała elektrody, podłączała kroplówkę i dopasowywała maskę na oczy.

– Dźwięk – mruknęła do siebie, kiedy Tish wkładała jej słuchawki. – Najpierw rozpoznam dźwięk, a potem korytarz.

Rozległ się hałas i znalazła się w korytarzu. Kreska światła, wydobywającego się spod drzwi, wciąż wyglądała na dziwnie oddaloną, ale Joanna wiedziała, że musi stać bliżej wejścia niż ostatnio. Wyraźnie słyszała głosy za drzwiami.

Dźwięk! Chciała się wsłuchać w jego brzmienie i znów zapomniała. Odwróciła się, wbijając wzrok w ciemny tunel. Ten hałas przypominał... Co on przypominał? Wyraźnie pamiętała, że coś usłyszała, lecz nie potrafiła tego opisać.

– Dzwonienie czy brzęczenie? – zadała sobie pytanie, a jej głos w tunelu zabrzmiał zaskakująco głośno. Odwróciła się ku drzwiom i światłu, częściowo oczekując, że głosy ucichną ze zdumienia, ale wciąż je słyszała.

– Nic, jestem pewien – oświadczył męski głos, a Joanna zastanawiała się, czy to ma jakiś związek z nią.

– Powinniśmy kogoś wysłać do sprawdzenia? – spytał inny mężczyzna. Może te głosy docierają do mnie z zewnątrz pomyślała Joanna i od razu uznała, że to niemożliwe. Poprzednio nie słyszała nic, dopóki nie przeszła przez połowę korytarza, a za pierwszym razem w ogóle nie dobiegły jej żadne głosy. Po zaniku dźwięku przejście wypełniła całkowita cisza.

I to był na pewno dźwięk, nie głosy. Dźwięk podobny do... zupełnie nie potrafiła odtworzyć go w pamięci. Wydobywał się stąd, uznała i cofnęła się w głąb przejścia. Dobiegał z końca...

Ponownie znalazła się w laboratorium. O nie, pomyślała, obudziłam się, zupełnie jak pani Troudthaim.

– Przepraszam – zaczęła, ale Tish ją zignorowała. Nadal zdejmowała słuchawki i odczepiała elektrody, jakby nie wydarzyło się nic

niepokojącego.

– Nie śpi? – spytał zza pulpitu Richard i on również nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego.

– Zmieniłeś dawkę? – spytała, usiłując wymacać krawędź stołu do badań, aby usiąść.

– Czemu? – Richard stanął przy niej. – Miałaś inne doświadczenia?

– Nie, ale kiedy wróciłam...

– Zaczekaj – powstrzymał ją i wygrzebał z kieszeni dyktafon. – Od początku.

Wpatrywała się w niego, niczego nie pojmując.

– Nie ocknęłam się przed czasem?

– Przed czasem? Skąd. Nie odczułaś fazy doświadczeń granicznych?

– Tak, znalazłam się w przejściu – potwierdziła, a Richard bliżej przysunął magnetofon. – Odwróciłam się, żeby sprawdzić, skąd dobiega dźwięk. Tym razem naprawdę chciałam się tego dowiedzieć i poszłam w jego stronę, i...

– Udało ci się? – przerwał Richard. – Zidentyfikowałaś go?

– Nie. To dziwne. Wiem, że go słyszałam, ale kiedy próbuję go odtworzyć, nic mi nie wychodzi.

– Może dlatego, że nigdy nie słyszałaś tak dziwnego dźwięku?

– Nie, to nie tak. Wyobraź sobie, że się budzisz w środku nocy i wiesz, że coś cię obudziło, ale już tego nie słyszysz, a tak naprawdę nigdy tego nie słyszałaś, bo spałaś, więc nie masz, pojęcia, czy to gałąź skrobała o okno, czy kot coś zrzucił. To właśnie takie uczucie.

– Więc myślisz, że dźwięk się rozlega, zanim znajdziesz się w fazie doświadczeń granicznych?

– Nie jestem pewna – zastanowiła się Joanna i spojrzała zamyślona na Richarda. – Może. Kiedy trzeba było reanimować pewnego pacjenta, z którym przeprowadzałam wywiad na nagłych wypadkach, pielęgniarka wcisnęła przycisk alarmowy i pomyślałam, że niewykluczone, iż ludzie słyszą właśnie taki hałas. Coś pomiędzy dzwonieniem i brzęczeniem.

– Tutaj nie ma żadnego alarmu – przypomniała Tish. Richard spojrzał na nią ze zdumieniem, jakby zapomniał, że jeszcze sobie nie poszła. – Zresztą nie usłyszałyby pani jakiegokolwiek dźwięku, nawet gdyby się tu rozległ dzwonek. Przecież miała pani słuchawki.

– To prawda – zgodziła się Joanna. – To nie mógł być odgłos z zewnątrz. Raczej...

– Mówiłaś, że żaden z twoich pacjentów nie potrafił go opisać – podjął Richard.

– Nie w wiarygodny i spójny sposób, a teraz mam poczucie winy, że zachowywałam się przy nich tak niecierpliwie.

– Jak tylko skończysz opowiadać, chciałbym rzucić okiem na korowy ośrodek słuchu.

– Właśnie opowiadam – przypomniała Joanna. – Odwróciłam się, żeby sprawdzić, skąd dobiega dźwięk, poszłam w głąb przejścia i znalazłam się z powrotem w laboratorium. Właśnie dlatego spytałam, czy ocknęłam się przed czasem.

Zaskoczony Richard opuścił magnetofon.

– Ile czasu spędziłaś w tunelu?

– Nie wiem. Tyle, żeby się odwrócić i przejść dwa kroki.

– Ile czasu przebywałaś tam poprzednio?

– Trudno powiedzieć, kilka minut. Dłużej niż za pierwszym razem.

Richard stał już przy pulpicie i wyświetlał skany.

– Czas w normie? – spytał, a kiedy spojrzała pytająco, wyjaśnił: – Czy miałaś poczucie, że czas zwolnił albo przyspieszył?

– Nie. Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Bo za pierwszym i drugim razem znajdowałaś się w stanie śmierci klinicznej przez nieco ponad dwie minuty – wyświetlił na ekranie kolumnę cyfr – a teraz prawie pięć. – Podniósł na nią wzrok. – Czy kiedykolwiek pytałaś pacjentów, ile trwały ich doświadczenia graniczne?

– Nie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Zawsze zakładała, że doświadczenia graniczne dzieją się w czasie rzeczywistym. Część ludzi wspominała o szybkim przemieszczaniu się tunelem, a ona usiłowała się dowiedzieć, co to znaczy „szybkim”, żeby sprawdzić, czy opisują szybki upływ czasu, lecz nigdy nie spytała, jak długo wpatrywali się w światło lub ile trwała retrospekcja życia. Po prostu zakładała, że tempo upływu czasu w doświadczeniach granicznych odpowiadało długości opisywanych zdarzeń. Nie pomyślała o porównaniu subiektywnych wrażeń z długością czasu spędzonego przez pacjentów w stanie śmierci klinicznej.

– A jak wyglądał sam koniec twoich doświadczeń? Odczułaś spowolnienie czasu, wracając tunelem?

– Nie wracałam tunelem – przypomniała. – Ruszyłam z miejsca i nagle trafiłam z powrotem do laboratorium. To w niczym nie przypominało moich wcześniejszych powrotów. Wszystko stało się tak... nagle. –

Zastanawiała się, jakiego użyć słowa, lecz Richard powrócił do spowolnienia czasu.

– Podczas poprzednich eksperymentów również nie odczułaś rozciągnięcia czasu.

– Nie. – Joanna pomyślała, że musi spytać panią Woollam, czy podczas jej doświadczeń granicznych tempo upływu czasu ulega zmianie. Postanowiła też porozmawiać z Maisie. Mówiła, że widziała wyłącznie mgłę, a Joanna założyła, że jej doświadczenia graniczne musiały trwać zaledwie kilka sekund. Teraz nabrała wątpliwości.

– Spójrz – odezwał się Richard, zatapiając wzrok w monitorze. – Różnica w czasie trwania doświadczeń granicznych Amelii Tanaki sięga aż czterech minut.

Tish stanęła obok niego i z ciekawością zapatrzyła się w ekran.

– Może to przypomina upływ czasu we śnie – zasugerowała. – Czasami człowiekowi się wydaje, że między dzwonkiem budzika i przebudzeniem parę chwil później mija kilka dni. Kilka dni temu śniło mi się, że poszłam na imprezę w Rio Grande, a potem na narty w Breckenridge, a wszystko to stało się w ciągu dwóch sekund między wypowiedzianymi przez faceta z radia słowami: „Już szósta” a: „W rejonie Gór Skalistych spodziewane opady śniegu”.

Richard nie słuchał wywodów Tish. Pisał coś na komputerze, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

– Mogę się ubrać? – spytała Joanna, lecz jej również nie usłyszał. – Idę się ubrać – oświadczyła, zsunęła się ze stołu i poszła do przebieralni.

Gdy wychodziła, Richard cały czas siedział przy pulpicie i intensywnie wpatrywał się w zdjęcia. Tish sięgnęła po płaszcz.

– Wychodzę – oznajmiła z goryczą. – Oczywiście, nic nie zauważy. Jeśli uda się pani do niego dotrzeć, proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił, jeśli będzie mnie potrzebował jutro przed drugą. – Spojrzała na niego tęsknie. – Przynajmniej wiem, że to nie o mnie chodzi. Pani istnienia również nie zauważa. „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi...”

„...Horacjo, niż się ich śniło waszej filozofii”, dokończyła w myślach Joanna.

– ...warto pamiętać, oprócz pracy – ciągnęła Tish. Wsunęła rękawiczki. – Dzisiaj wieczorem jest impreza u Rimaldiego, jeśli chce pani oderwać się od naszego zapracowanego po uszy pana doktora.

– Dzięki – uśmiechnęła się Joanna – ale muszę nagrać swoje doświadczenia, póki mam je świeżo w pamięci.

– Lepiej, żeby umieranie nie wiązało się wyłącznie z pracą. – Tish wzruszyła ramionami. – Bo jeśli tak, to grozi mi życie wieczne. Do widzenia, panie doktorze! – wesoło krzyknęła na odchodnym.

Richard nawet na nią nie spojrzał.

– Różnica w czasie trwania śmierci klinicznych pana Sage’a to dwie minuty i piętnaście sekund. Zakładałem, że istnieje bezpośredni związek między czasem rzeczywistym i subiektywnym, doświadczanym przez badanych, lecz jeśli jest inaczej...

Jeśli jest inaczej, wówczas śmierć mózgu nie następuje w czasie od czterech do sześciu minut, pomyślała Joanna. Może to trwa krócej. Albo dłużej.

– Czy możesz sprawdzić wszystkie odniesienia do upływu czasu, które pojawiły się podczas twoich wywiadów? – spytał Richard.

– Oczywiście – odparła, wiedząc, że nie istnieją. Gdyby czas zdawał się płynąć wolniej lub szybciej niż w rzeczywistości, nikt by nie mówił, że to nie był sen, tylko rzeczywistość.

Bo to było jak rzeczywistość, pomyślała, wracając do gabinetu, aby nagrać wspomnienia. Miała wrażenie, że wszystko się działo w realnym czasie i przestrzeni. Co nie oznaczało, że stała się bliższa rozpoznania miejsca, w którym się znalazła.

Poza tym nic nie wskazywało na to, że uda się jej zidentyfikować dźwięk. W rezultacie przygotowanie nagrania z opisem doświadczeń granicznych zajęło jej zaledwie kilka minut. Opowiedziała o głosach, o tym, co mówiły, wspomniała, jak się odwróciła i poszła w głąb korytarza...

Ciekawe, czy właśnie to sprowokowało wytrącenie mnie ze śmierci klinicznej, przeszło jej przez myśl. Zaczęła wertować notatki, zwracając szczególną uwagę na relacje z powrotu do rzeczywistości. Wiele z nich opisano słowami: „gwałtowny” lub „nagły”. „Czułam się tak, jakby ktoś wciągał mnie z powrotem do ciała”, stwierdziła pani Ankrum, a pan Zamora, opisując koniec doświadczeń granicznych, stwierdził: „Jakby ktoś mnie chwycił za kark i wyrzucił”.

Żadne z nich nie wspomniało o tunelu jako o drodze prowadzącej do realnego świata. Pani Irwin wyznała za to: „Jezus mi powiedział: Twój czas jeszcze nie nadszedł, a ja znalazłam się z powrotem w tunelu”. Przeszło dziesięć osób stwierdziło, że ponownie zjawiono się w tunelu. „Duch wskazał

światło i oznajmił: Azaliż wyborem twoim jest śmierć? a następnie pokazał tunel i spytał: Czy też wolą twoją jest żyć? Dokonaj słusznego wyboru”. Dlaczego każdy duch lub postać religijna czy martwy krewny zawsze posługują się tym pompatycznym, quasi-religijnym stylem mówienia, będącym skrzyżowaniem języka Starego Testamentu i Obi-Wana Kenobiego?, zastanawiała się Joanna.

Sporządziła listę fragmentów relacji, które pokaże Richardowi. Żałowała, że nie poszła na imprezę, gdzie przynajmniej mogłaby przegryźć nachos albo inne chrupki. Z powodu sesji straciła lunch. Wysunęła szufladę w poszukiwaniu jakiegoś zbląkanego balonika lub jabłka, lecz znalazła tylko połówkę listka gumy do żucia, tak starej, że kiedy zdarła z niej sreberko, guma pokruszyła się jej w rękach.

Mogła przetrząsnąć kieszenie fartucha Richarda, zanim wyszła z laboratorium. I tak by nie zauważył, uznała, i znowu ogarnęło ją poczucie bliskie, bardzo bliskie świadomości, gdzie jest tunel. Siedziała całkowicie nieruchomo, usiłując złapać się tego poczucia, lecz momentalnie znikło. Co je wywołało? Coś związanego z kradzieżą żywności z fartucha Richarda? A może guma do żucia? W jakim słynnym miejscu nigdy nie była i gdzie znajdowała się drewniana podłoga, koce i stara guma?

To głód, pomyślała. Głodni ludzie często miewają złudzenia, prawda? Ale Richard kazał jej informować go, gdy znowu poczuje coś podobnego, więc poszła na górę do laboratorium i wszystko opowiedziała.

– Widzisz, nie musisz kraść – oznajmił i wyciągnął z kieszeni paczkę cheetos, gruszkę i butelkę mleka. – Wystarczy poprosić.

– To nie chodzi o żywność – stwierdziła, otwierając mleko. – Po prostu tak się zająłeś swoimi sprawami, że nie spostrzegłbyś, co robię.

– Teraz też tak czujesz?

– Nie.

– To chyba ma związek z płatem skroniowym. – Podeszedł do pulpitu. – Oglądałem twoje skany. Opowiedz mi jeszcze o dźwięku. Słyszałaś go, ale nie potrafisz zidentyfikować?

Skinęła i zatopiła zęby w gruszce.

– Być może ten dźwięk w ogóle nie istnieje. Spójrz tutaj. – Wskazał niebieską plamę na skanie. – W korowym ośrodku słuchu nic się nie dzieje. Zakładałem, że istnieje rzeczywisty bodziec, płynący z wnętrza mózgu, lecz myślę, że to może być bodziec z płata skroniowego.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że nie da się zidentyfikować dźwięku, bo go nie słychać. Masz tylko wrażenie, że coś słyszysz, ale żaden hałas nie istnieje.

Ale ja go na pewno słyszałam, pomyślała Joanna.

– Stymulacja płata skroniowego wyjaśniałaby, dlaczego istnieje tak wielka rozbieżność w opisach. Pacjenci mają wrażenie, że słyszeli dźwięk, dlatego po prostu wymyślają sobie opis ostatnio słyszanego hałasu.

Na przykład dzwonek alarmowego, pomyślała Joanna, lub brzęczenia monitora kardiologicznego pokazującego prostą linię.

– To wyjaśniałoby także niektóre inne zasadnicze elementy związane z doświadczeniami granicznymi – oświadczył Richard. – Zakładałem, że same doświadczenia są wywoływane przez endorfiny, lecz niewykluczone... – Zaczął pisać na komputerze. – Światło, głosy, spowolnienie upływu czasu, nawet *déjà vu*, to wszystko skutki stymulacji płata skroniowego.

– Nie miałam *déjà vu* – sprzeciwiła się Joanna, lecz Richarda pochłoneły już skany, więc dokończyła swoje cheetos i poszła spytać panią Woollam o długość jej śmierci klinicznych i sposób powracania do rzeczywistości.

– Stałam tam i wpatrywałam się w górę schodów. – W białej koszuli nocnej pani Woollam wyglądała jeszcze bardziej krucho. – A następnie okazało się, że jestem w karetce.

– Nic pani nie robiła? Może kroczyła pani w głąb tunelu? Po prostu pani stała?

– Tak. Usłyszałam głos i wiedziałam, że pora wracać, więc wróciłam.

– Co powiedział ten głos?

– Właściwie to nie był głos, tylko przecucie, że muszę wracać, że mój czas jeszcze nie nadszedł. – Zachichotała. – Pewnie pani myśli, że nadszedł, co? Bo jestem taka stara? Nigdy nic nie wiadomo. W szpitalu Portera leżałam ostatnio w jednym pokoju z pewną dziewczyną. Młoda, na pewno nie miała jeszcze dwudziestki, trafiła tam z powodu wyrostka. Wycięcie wyrostka robaczkowego to nie byle co. Takie operacje przeprowadzano już w czasach, kiedy samu byłam dziewczyną. Ale dzień po zabiegu ona zmarła. Ludzie nigdy nie wiedzą, kiedy nadejdzie ich pora. – Pani Woollam otworzyła Biblię i przewertowała cienkie kartki. Znalazła odpowiedni fragment i odczytała: „Lecz o dniu owym i godzinie nikt nie wie”.

– Sądziłam, że ten werset odnosi się do Chrystusa, a nie do śmierci – sprzeciwiła się Joanna.

– To prawda – potwierdziła pani Woollam. – Ale kiedy zbliża się śmierć, Jezus także tam będzie. Właśnie dlatego przybył na świat i umarł, żebyśmy nie musieli sami przez to przechodzić. On nam pomoże stawić temu czoło, bez względu na to, jak bardzo będzie to straszne.

– Myśli pani, że to się okaże straszne? – Joannę ponownie ogarnął lęk.

– Oczywiście – przytaknęła pani Woollam. – Wiem, że pan Mandrake twierdzi, że nie ma się czego obawiać, że wszędzie tam jest pełno aniołów, radosnych spotkań i światła. – Pokręciła nerwowo siwą głową. – Wczoraj znowu tu przyszedł, wyobraża pani sobie? Opowiadał najrozmaitsze bzdury. Stwierdził: „Będzie pani w Świetle. Czego się lękać?” Powiem pani czego – ożywiła się pani Woollam. – Pozostawienia świata, swojego ciała i wszystkich najbliższych. Jakże to ma nie być przerażające, nawet jeśli się idzie do nieba?

I skąd wiadomo, że niebo istnieje?, przebiegło Joannie przez myśl. Skąd wiadomo, że za drzwiami nie czai się tygrys albo coś gorszego? Przypomniała sobie głos Amelii, świadomy i pełen grozy: „O nie, o nie, o nie”.

– Jasne, że się będę bała – ciągnęła pani Woollam. – Nawet Jezus się bał. „Niech Mnie ominie ten kielich”, powiedział w ogrodzie, a na krzyżu wykrzyknął: „Eli, Eli, lema sabachthani?, to znaczy: Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”.

Otworzyła Biblię i przewertowała stronicę. Skóra na jej dłoniach była cienka jak kartki o krawędziach pokrytych złotem.

– Nawet w Psalmach nie napisano: „Chociażbym chodził ciemną doliną, śmierci się nie ulękę”. Napisano... – Głos pani Woollam się zmienił, zaczęła mówić ciszej i nieco smutniej, jakby naprawdę wędrowała doliną. – „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę”.

Zamknęła Biblię i przycisnęła ją do swojej ptasiej piersi jak tarczę.

– Bo Jezus będzie ze mną. „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Uśmiechnęła się do Joanny.

– Ale nie przyszła pani wysłuchiwać kazań. Chciała pani rozmawiać o doświadczeniach granicznych. Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć?

– Kiedy poprzednio zapadała pani w stan śmierci klinicznej, czy powroty zawsze wyglądały tak samo?

– Z wyjątkiem jednego razu. Wtedy znajdowałam się w tunelu i nagle zjawiłam się z powrotem na podłodze przy telefonie.

– Na podłodze?
– Tak. Paramedycy nie zdążyli jeszcze przyjechać.
– Czy powrót przebiegł szybko?
– Zgadza się – potwierdziła pani Woollam. Ponownie otworzyła Biblię i przez chwilę Joanna sądziła, że wysłucha fragmentu Pisma Świętego, na przykład: „w mgnieniu oka będziemy odmienieni”, lecz zamiast tego staruszka podniosła książkę i zamknęła ją z trzaskiem. – O tak.

– Opisała to jako gwałtowny proces, podobny do zatrząskiwania książki.
– Joanna wyjaśniła to Richardowi następnego dnia, kiedy oczekiwali na pana Sage’a. – Pani Davenport też wspomniała, że wracała niespodziewanie.

– Pani Davenport? – powtórzył z powątpiewaniem Richard.

– Wiem, wiem – przyznała Joanna. – Ona powie wszystko, co jej każe pan Mandrake. Ale jego nie interesuje sposób powrotu, a słowo „nagły” kilkakrotnie pojawia się w jej relacji. W obydwu wypadkach serca pacjentek spontanicznie wznowiły reakcję, bez interwencji medycznej.

– A co z twoimi pozostałymi rozmówcami? Czy istnieje związek między techniką przywrócenia ich do życia i sposobem powrotu?

– Sprawdzę to, gdy tylko zakończymy sesję pana Sage’a – obiecała.

– Spytaj go o rozciągnięcie czasu i powrót.

Joanna obowiązkowo wykonała polecenie Richarda, ale to niewiele pomogło. Po dwudziestu minutach borykania się z problemem rozciągnięcia czasu dała za wygraną i spytała:

– Może pan opisać, jak się pan obudził?

– Nie wiem – oznajmił pan Sage. – Po prostu się obudziłem.

– Tak jak się pan budzi na dźwięk budzika? – dopytywała się, a Richard posłał jej pytające spojrzenie.

Wiem, sugeruję odpowiedź, pomyślała. Porzuciłam wszelką nadzieję wydobywania z niego czegokolwiek bez podpowiadania.

– Na dźwięk budzika – powtórzyła – czy też tak, jak się pan budzi w sobotę rano, stopniowo.

– Pracuję w soboty – wyznał pan Sage.

Z ulgą poszła z powrotem do swojego gabinetu i przystąpiła do wyszukiwania przypadków nagłego powrotu, chociaż nie widziała związku między nimi a spontanicznym ocknięciem. „Abraham nakazał: Wracaj!, opowiadał pan Sameshima, i bum! w jednej chwili znalazłem się z powrotem na stole operacyjnym”. Kiedy jednak sprawdziła jego akta,

okazało się, że przywołano go do życia po czterokrotnej defibrylacji. Z kolei pani Kantz, która po wypadku samochodowym samodzielnie zaczęła ponownie oddychać, stwierdziła: „Unosiłam się przez długi czas w takiej zamglonej przestrzeni”.

Do godziny czwartej Joanna zebrała wszystkie dostępne informacje. Drukując je, wysłuchiwała wiadomości nagranych na sekretarkę. Vielle chciała wiedzieć, czy zrobiła jakieś postępy w związku z doktorem Wrightem. Pan Wojakowski pytał, czy będzie potrzebny. Pani Haighton oznajmiła, że musi zmienić termin spotkania z powodu nagłego zebrania Klubu Wiosennych Przyjemności. Pan Mandrake. Do przewinięcia. Guadalupe: „Proszę o kontakt przy najbliższej okazji”.

Pewnie chce wiedzieć, czy wciąż interesuje mnie Carl Śpiączka, doszła do wniosku Joanna. Nie odwiedziłam go od wielu dni.

Zaniosła wydruk Richardowi, który ledwie rzucił na niego okiem, cały czas wpatrując się w skany, a potem udała się do Guadalupe. Pielęgniarka znajdowała się w pokoju Carla, oglądając informacje o nim na ekranie komputera. Joanna spojrzała na łóżko. Przechylnono je pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a podparty ze wszystkich stron poduszkami Carl wyglądał tak, jakby lada chwila miał się zsunąć nogami w dół. Nos i usta zakrywała mu przezroczysta, plastikowa maska tlenowa.

– Jak się miewa? – spytała Joanna Guadalupe, starając się mówić normalnym tonem.

– Nieszczerólnie – szepnęła pielęgniarka. – Przez ostatnie dwa dni miał trudności z oddychaniem.

– Zapalenie płuc? – Joanna ściszyła głos.

– Jeszcze nie. – Guadalupe sprawdziła kroplówkę. Na stojaku wisiały dwie torebki więcej niż ostatnio.

– Gdzie jego żona? – zainteresowała się Joanna.

– Wyszła po coś do jedzenia. – Wystukała kilka cyfr na stojaku do kroplówki. – Przez cały dzień nic nie jadła, a bufet był zamknięty, kiedy tam poszła. Tak się zastanawiam, po co w ogóle otworzyli tu jakikolwiek bufet?

Joanna przyjrzała się pogrążonemu w ciszy Carlowi, leżącemu nieruchomo na pochylonym łóżku. Zastanawiała się, czy mógł je słyszeć, czy wiedział, że jego żona wyszła, a zjawiała się Joanna, czy też raczej znajdował się w pięknym, przepięknym ogrodzie, jak pani Woollam. Albo w ciemnym korytarzu z drzwiami po obu stronach.

– Powiedział coś? – Joanna spytała Guadalupe.

– Nie dzisiaj. Wymówił kilka słów podczas dyżuru Pam, ale ona twierdzi, że trudno było cokolwiek zrozumieć z powodu maski. – Pielęgniarka sięgnęła do kieszeni po kartkę papieru i wręczyła ją Joannie.

Carl ponownie jęknął i coś wymamrotał. Joanna zbliżyła się do łóżka.

– Co się stało, Carl? – spytała i podniosła jego bezwładną dłoń.

W trakcie tej czynności poczuła, jak poruszają się jego palce. Tak ją to zaskoczyło, że niemal puściła rękę chorego. Usłyszał mnie, pomyślała, stara się ze mną porozumieć. Dopiero po chwil i uświadomiła sobie, że to nieprawda.

– Drżę – zwróciła się do Guadalupe.

– Nie przechodzi mu już od dwóch dni. Temperatura jest w normie.

Joanna podeszła do otworu nawiewu ogrzewanego powietrza w ścianie i podniosła rękę, żeby sprawdzić, czy działa. Poczuła słaby powiew ciepła.

– Czy jest tutaj termostat?

– Nie – odparła Guadalupe i skierowała się do drzwi. – Ma pani rację – dodała przed wyjściem. – Tutaj jest dość chłodno. Przyniosę jeszcze jeden koc.

Joanna siadła przy łóżku i przeczytała zapiski na kartce papieru, ofiarowanej jej przez pielęgniarkę. Widniały tam tylko pojedyncze słowa: „woda” oraz „zimno? ciemno?” ze znakami zapytania, a także „o rany”.

Carl jęknął cicho i nieznacznie poruszył nogą, jakby coś lekko kopał. Strząsał coś z siebie? Wspinał się? Zamruczał niezrozumiale, a na jego masce pojawiła się para wodna. Joanna zbliżyła do niego głowę.

– Ona – mruknął. – Szybciej. – Podniósł głowę z poduszek. – Muszę...

– Co musisz, Carl? – spytała Joanna, ponownie podnosząc jego rękę. – Co musisz? – Ale on opadł już na poduszki, drżąc. Joanna podciągnęła koc, przykrywając bezwładne ciało mężczyzny i zastanawiając, co się stało z Guadalupe i kocem, a następnie znieruchomiała, trzymając dłoń Carla w obydwu rękach. Muszę. Woda. O rany.

Nagle w pokoju coś się zmieniło. Zapadła cisza. Joanna spojrzała z niepokojem na Carla, bojąc się, że przestał oddychać, ale nie, nadal widziała, jak delikatnie unosi się i opada jego klatka piersiowa, a maska tlenowa pokrywa się parą.

Coś jednak uległo zmianie. Co takiego? Wszystkie urządzenia kontrolne pracowały, a gdyby w procesach życiowych chorego zaszła jakakolwiek zmiana, zaczęłyby piszczeć. Rozejrzała się po pokoju, spojrzała na

komputer, stojak na kroplówkę, nawiew ciepłego powietrza. Przyłożyła ręce do wentylatora. Nie wydostawało się z niego powietrze.

Ogrzewanie wysiadło, pomyślała, a zaraz potem: To, co słyszałam, nie było dźwiękiem, tylko ciszą, która po nim zapadła. Właśnie to słyszałam w tunelu. Dlatego nie potrafię tego opisać. To nie był dźwięk, lecz cisza po wyłączeniu czegoś, przemknęło jej przez głowę i niemal, o mały włos domyśliła się czego.

– No proszę, Carl, piękny, ciepły koc. – Guadalupe rozpostarła niebieski czworokąt. – Rozgrzałam go dla ciebie w kuchence mikrofalowej. – Znieruchomiała i wbiła wzrok w twarz Joanny, a potem przeniosła go na jej zaciśnięte pięści. – Co się stało?

Już prawie wiedziałam, a teraz znowu mi umknęło, pomyślała Joanna, to się stało.

– Staralam się coś sobie przypomnieć – wyjaśniła, rozluźniając dłonie.

Przyglądała się, jak Guadalupe przykrywa Carla kocem i otula ramiona pacjenta. To ma coś wspólnego z kocem i z ogrzewaniem. Nie, nie z ogrzewaniem, pomyślała, nie z kocem i nie z kobietą, mówiącą: „Zimno mi”. Chodziło o coś innego, związanego ze szkołą średnią, przetrząsaniem kieszeni fartucha Richarda i miejscem, w którym nigdy nie była. Miejscem, które znajdowało się w jej umyśle.

Wiem, wiem, co to jest, pomyślała, i powrócił lęk, silniejszy niż wcześniej.

Rozdział 17

„I w moim śnie przybywa do mnie anioł
z białymi skrzydłami, uśmiechając się”.

Z ostatniego zapisku Paula Gauguina,

opublikowanego po jego śmierci

– Ciekawe – skomentował Richard, kiedy Joanna opowiedziała mu o wypadku z ogrzewaniem. – Opisz to uczucie jeszcze raz.

– To... – szukała odpowiedniego słowa – ...przekonanie, że wiem, gdzie jest korytarz z moich doświadczeń granicznych.

– Nie mówisz o przebłytku wspomnień, prawda? Nie okazuje się, że znowu tam jesteś?

– Nie. I nie ma mowy o żadnym *déjà vu* – uprzedziła jego kolejne pytanie. – Wiem, że nigdy tam nie byłam.

– A może *jamais vu*? To takie przekonanie, że jesteś w obcym miejscu, chociaż w rzeczywistości bywałeś w nim wielokrotnie? Takie zjawisko również jest związane z pracą płata skroniowego.

– Nie – powtórzyła cierpliwie. – To miejsce, w którym z całą pewnością nigdy się nie znalazłam, ale je rozpoznaję. Wiem, co to takiego, ale nie przychodzi mi to do głowy. To zupełnie, jakby... – Popchnęła okulary, zsuwające się jej z nosa, i usiłowała wymyślić porównanie. – No dobrze, to tak, jak wtedy, gdy poszłam z Vielle do kina i zobaczyłam kobietę kupującą popcorn. Wiedziałam, że wcześniej ją widziałam, ale nie potrafiłam określić gdzie. Miałam poczucie, że to coś złego, więc nie chciałam podchodzić i się pytać, zatem cały film spędziłam na zastanawianiu się, czy ona pracuje w szpitalu albo mieszka w moim bloku, albo trafiła do mnie jako pacjentka. To takie przekonanie. – Spojrzała wyczekująco na Richarda.

– Kim ona była?

– Jedną z popiecznic pana Mandrake’a. – Uśmiechnęła się szeroko. – Wpadłam na to po trzech czwartych filmu. Ktoś odczytywał przyszłość

Meg Ryan z jej ręki i przyszło mi do głowy: „Właśnie stąd ją znam. To przyjaciółka pana Mandrake’a”. Vielle i ja wymknęłyśmy się z sali przed napisami końcowymi.

Richard sprawiał wrażenie zamyślnego.

– Twoim zdaniem wyłączenie grzejnika poskutkowało tak samo jak czytanie z ręki w filmie?

– Właśnie tak, z tym, że nic sobie nie przypominałam. We wszystkich trzech wypadkach miałam wrażenie, że odpowiedź jest tuż poza moim zasięgiem... – Uświadomiła sobie, że ponownie wyciąga rękę, jakby chciała coś schwytać, i się zmitygowała. – Ale nie mogłam jej znaleźć.

– Kiedy pojawiło się to uczucie, zrobiło ci się niedobrze?

– Nie.

– Odczułaś jakiś niezwykły smak lub zapach?

– Nie.

– Szczątkowe obrazy?

– Szczątkowe? – Joanna nie rozumiała.

– Tak, jakbyś chciała sobie przypomnieć czyjeś nazwisko, a pamiętała tylko, że zaczyna się na T.

Wiedziała, o co chodzi Richardowi. Kiedy Meg Ryan wyciągnęła rękę do chiromanty, Joanna nagle przypomniała sobie pana Mandrake’a, wołającego ją z głębi korytarza.

– Nie.

Skinął energicznie.

– Tak właśnie myślałem. Wydaje mi się, że doświadczasz poczucia intuicyjnej wiedzy, wyczuwasz znaczenie pewnych spraw. Masz wrażenie dysponowania wiedzą i jednocześnie nie możesz określić, czego ona dotyczy. Mamy do czynienia ze stymulacją płata skroniowego, który uruchamia w układzie limbicznym sygnał znaczenia, nie poparty jakąkolwiek rzeczywistą treścią.

– Tak jak w wypadku dźwięku – stwierdziła Joanna.

– Właśnie. Idę o zakład, że zarówno on, jak i uczucie, że rozpoznajesz tunel, to wynik pracy płata skroniowego.

– Ale ja wiem...

– Temu zjawisku towarzyszy silne poczucie wiedzy. Osoba doświadczająca takiego przekonania będzie z całą mocą twierdzić, że rozumie naturę Boga lub kosmosu, ale poproszona o bliższe wyjaśnienie, zamknie się w sobie. To powszechny objaw padaczki skroniowej.

– I doświadczeń granicznych. Przeszło dwadzieścia procent badanych wierzy, że otrzymało niezwykłą wiedzę lub poznało sens kosmosu.

– Ale nie potrafią tego opisać słowami, zgadza się?

– Całkowicie. – Joanna przypomniała sobie wywiad z panią Kelly. „Anioł powiedział: Spójrz w światło, a ja zrozumiałam znaczenie wszechświata”, opowiadała pani Kelly.

Joanna czekała z włączonym magnetofonem i przygotowanym ołówkiem.

„No i?” – spytała po dłuższej chwili, a kiedy pani Kelly spojrzała na nią ze zdziwieniem, wyjaśniła: „Jakie jest znaczenie wszechświata?”

„Nikt, kto tego nie przeżył, nie będzie w stanie go pojąć”, wyniośle oznajmiła pani Kelly. „To tak, jakby opowiadać ślepcowi o świetle”.

Niemniej Joanna dobrze pamiętała niepewne, przestraszone spojrzenie na twarzy rozmówczyni. Badana nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Ale osobom po doświadczeniach granicznych wydaje się, że posiadli metafizyczną wiedzę. – Joanna zwróciła się do Richarda. – To przekonanie nie ma nic wspólnego z religią lub naturą kosmosu.

– Wiem, lecz w wypadku badanego, dysponującego wiedzą naukową, to przekonanie znajomości sensu kosmosu może przybrać inną, świecką formę.

– Podobnie jak moje przekonanie, że poznaję lokalizację tunelu.

– Właśnie tak. Przypisywanie znaczenia przypadkowym przedmiotom, takim jak koc lub grzejnik, też jest powszechnym zjawiskiem. Wydaje ci się, że coś rozpoznajesz, podczas gdy w rzeczywistości jest to tylko nadmierna stymulacja płata skroniowego.

– Jesteś w błędzie. Ja naprawdę wiem, co to jest. Nie potrafię tylko...

– Otóż to – przerwał Richard. – Nie możesz mi powiedzieć, co to takiego, gdyż doznajesz emocji nie popartej wiedzą. To tylko twoje przekonanie.

Teoria Richarda brzmiała przekonująco. Wyjaśniała, dlaczego pomimo wielokrotnych prób nie przybliżyła się do odpowiedzi, a także czemu bodźce najwyraźniej nie miały żadnego związku ze sobą – koc, wyłączony nawiew ciepłego powietrza, fartuch Richarda, niewłaściwie wyglądająca podłoga. I coś związanego ze szkołą średnią, przypomniała sobie, tego też nie wolno zapomnieć.

– Ale to przekonanie jest tak realistyczne...

– Tylko dlatego, że w grę wchodzi te same neuromediatory, które są obecne, kiedy mózg doświadcza rzeczywistych wrażeń – wyjaśnił Richard.
– Przy następnym takim zdarzeniu postaraj się opisać wszystko, co będzie z nim związane. Okoliczności, symptomy towarzyszące...

– A jeśli następnym razem jednak przypomnę sobie, co to takiego?

– W takim wypadku nie będziemy mieli do czynienia ze stymulacją płata skroniowego. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale i tak idę o zakład, że to właśnie to. W ten sposób uzyskujemy wyjaśnienie obecności rozmaitych endorfin. Niemal wszystkie zasadnicze elementy doświadczeń granicznych są także symptomami stymulacji płata skroniowego – dźwięki, głosy, światło, niewymowne odczucia, ciepło...

Wcale nie było mi ciepło, pomyślała Joanna. Czuję chłód. I wiem, gdzie to jest. Następnym razem, jak mi się coś skojarzy, to sobie przypomnę.

Więcej skojarzeń jednak nie było. Zupełnie, jakby uleczyło ją wytłumaczenie przyczyn zjawiska. Mimo to Joanna nie żałowała, gdyż przez trzy kolejne dni miała zbyt dużo pracy, aby choć na chwilę odetchnąć, nie mówiąc już o próbach przypomnienia sobie czegokolwiek. Poza tym nastąpił prawdziwy wysyp pacjentów reanimowanych po śmierci klinicznej. Pani Jacobson, która rozmawiała z Joanną półtora miesiąca wcześniej, ponownie znalazła się w szpitalu z zatrzymaniem pracy serca. Poza tym zjawily się jeszcze dwa nie związane ze sobą przypadki ataku astmy.

Joanna wysłuchiwała relacji o tunelu (ciemnym), świetle (jasnym) i słyszonym dźwięku (nie do opisanie). Wszystkie osoby zgodziły się tylko pod jednym względem – doświadczenia graniczne sprawiały wrażenie rzeczywistych.

– Byłem tam – niemal nalegał pan Darby. – To się zdarzyło naprawdę. Wiem to.

Między kolejnymi wywiadami Joanna pozostawiała wiadomości dla pani Highton, prosząc o kontakt, i poszukiwała spisanych przykładów szczątkowej wiedzy, niemożności opisanie różnych zjawisk, a także przykładania nadmiernej wagi do zwykłych wspomnień. Niektórzy pacjenci wspominali o powrocie na Ziemię w celu spełnienia misji, chociaż żaden z nich nie potrafił dokładnie opisać, na czym ta misja miałaby polegać.

– To jest po prostu misja – oświadczył z naciskiem pan Edwards.

„Pytania o jej cel powodują zdenerwowanie badanych”, Joanna zaznaczyła w swoich notatkach.

Wypadki przykładania nadmiernej wagi do błahych spraw okazały się rzadsze. Pani Hodges stwierdziła: „Teraz, kiedy patrzę na kwiat lub na ptaka, znacznie więcej dla mnie znaczą”, ale równie dobrze mogła bardziej doceniać walory życia. Żaden z badanych nie wspomniał, że niemalże ma klucz do zrozumienia wszechświata. Wszyscy natomiast byli przekonani o posiadaniu wiedzy i nie twierdzili, że jest ona dla nich nieosiągalna, choć bliska.

Joanna przeszukała wszystkie relacje, usiłując znaleźć słowo „nieuchwytny”, lecz komputer nie wskazał żadnych wypowiedzi. Gdy przystąpiła do poszukiwań określenia „na końcu języka”, musiała w połowie przerwać, gdyż zadzwoniono z OIOM-u z informacją o dwóch kolejnych atakach serca. Gdy prowadziła rozmowę z drugą osobą, Vielle przesłała jej na pager wiadomość o wstrząsie anafilaktycznym.

Joanna natychmiast poszła do pacjenta, lecz i tak się spóźniła.

– Wkroczyłem prosto do tunelu – oświadczył chory, zaraz po tym, jak weszła do jego pokoju. – Dlaczego najpierw nie opuściłem ciała i nie unosiłem się pod sufitem? Zdawało mi się, że od tego powinienem zacząć.

Oho, pomyślała.

– Panie Funderburk, czy odwiedził pana pan Mandrake?

– Właśnie wyszedł. Powiedział mi, że ludzie opuszczają ciała i unoszą się pod sufitem, spoglądając na ratujących ich lekarzy.

– Niektóre osoby mają przekonanie, że opuszczają ciało, a inne nie. Każde doświadczenie graniczne jest inne.

– Pan Mandrake stwierdził, że wszyscy opuszczają ciała, widzą tunel, światło – zaznaczał kolejne palce – krewnych, anioła, retrospekcję życia i otrzymują polecenie powrotu.

Co ja tu jeszcze robię?, pomyślała Joanna, lecz mimo wszystko wyciągnęła dyktafon, włączyła go i zapytała:

– Czy może pan opisać swoje wspomnienia?

Zgodnie z oczekiwaniami, pan Funderburk opisał tunel, światło, krewnych, anioła, retrospekcję i polecenie powrotu.

– Czy otoczenie wydawało się panu znajome?

– Nie, a powinno? – zainteresował się, jakby pozbawiono go jeszcze jednej przyjemności. – Pan Mandrake nic o tym nie wspominał.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim powrocie.

– Najpierw musi pani wysłuchać retrospekcji.

– Dobrze, proszę mi opowiedzieć o retrospekcji.

Pan Funderburk wyrażał się wyjątkowo niejasno, zarówno pod względem formy, jak i treści.

– To była retrospekcja życia. A potem anioł rozkazał mi powrócić, więc powróciłem.

– Może pan opisać swój powrót?

– Wróciłem.

Zaczęła doceniać pana Sage’a.

– Czy pamięta pan jakieś dźwięki usłyszane podczas doświadczeń granicznych?

– Nie. Pan Mandrake powiedział, że powinienem być usłyszeć dźwięk, kiedy wchodziłem do tunelu, ale tego też nie było. – Wyrażał się jak ktoś skarżący się, że nie dostał deseru, choć w menu napisano, że desery podaje się po posiłku.

Pozostałe rozmowy okazały się bardziej owocne, chociaż żadna nie wniosła niczego nowego w sprawie dźwięku i sposobu powrotu. Pani Isakson w ogóle nie potrafiła opisać dźwięku.

– Jest pani pewna, że to był dźwięk? – spytała Joanna.

– Nie bardzo rozumiem – zdziwiła się pani Isakson.

– Czy zamiast dźwięku mogła zapanować cisza, a pani wzięła ją za dźwięk? – zasugerowała Joanna, zdając sobie sprawę, że w inny sposób nie dowie się tego, co ją interesuje. Sugestia nie wywarła wpływu na panią Isakson.

– Nie, z całą pewnością słyszałam dźwięk. Rozległ się zaraz po tym, jak weszłam do tunelu. To było stukanie. Albo zawodzenie. Naprawdę nie pamiętam, byłam zbyt szczęśliwa z powodu spotkania z matką. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Wyglądała na zdrową i szczęśliwą, nie tak, jak ostatnim razem. Tuż przed śmiercią strasznie schudła i zrobiła się żółta.

Klasyczny komentarz. Osoby po doświadczeniach granicznych zawsze mówiły o swoich zmarłych krewnych, że wyglądali zdrowiej niż przed zgonem, odzyskiwali normalną wagę, utraczone kończyny i jasność myślenia.

– Stała w świetle i wyciągała do mnie ręce – wyznała pani Isakson.

– Może pani opisać światło?

– Było piękne. – Spojrzała w górę i rozpostarła ręce. – Wszystko w nim błyszczało.

– Może pani opisać tunel?

– Panowały ciemności – zawahała się. – Przypominał korytarz. Tak jakby.

– Powiedziała pani, że przypominał. Czy wydawał się znajomy?

– Nie – odparła natychmiast. No tak, pomyślała Joanna. Zajrzała do swoich notatek, aby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła.

– Miałam poczucie – wyjaśniała z przejęciem pani Isakson – że gdziekolwiek on jest, znajduje się daleko stąd. – To prawda, uznała Joanna, przypominając sobie przejście. Znajdowało się daleko stąd. Właśnie to miał na myśli Greg Menotti, kiedy mówił, że jest za daleko, aby jego dziewczyna tam przyszła.

Skłamałam Richardowi, przeszło jej przez myśl. Powtórzyłam mu tylko o trzech przypadkach skojarzenia, a były cztery. Zapomniałam o Gregu, mamroczącym: „Pięćdziesiąt osiem”. Kiedy to mówił, znów nabrała przekonania, że wie, co miał na myśli. To nie mogła być nadmierna stymulacja płata skroniowego. Wtedy jeszcze nie poddawała się eksperymentom. Nawet jeszcze nie знаła Richarda.

– Dziękuję za pomoc – zwróciła się do pani Isakson i wyłączyła dyktafon. Wsunęła do kieszeni notatnik wraz z podpisaną zgodą na przeprowadzenie rozmowy, pożegnała się i wyszła z pokoju. Prosto na pana Mandrake’a.

– Pani doktor. – Wyglądał na zaskoczonego jej widokiem i złego, że ukradła mu pacjenta. – Rozmawiała pani z panią Isakson?

– Tak, właśnie skończyłyśmy – potwierdziła i szybko pomaszerowała korytarzem.

– Proszę zaczekać. – Zagroził jej drogę. – Chciałbym omówić z panią kilka spraw.

Żeby tylko nie wiedział, że uczestniczę w eksperymentach, jęknęła w duchu Joanna i spojrzała tęsknie w stronę wind na końcu korytarza, ale nie miała szans – Mandrake dopadł ją między wózkiem zaopatrzeniowym a otwartymi drzwiami pokoju pani Isakson.

– Ogromnie jestem ciekaw, jak przebiegają badania prowadzone przez panią i doktora Wrighta.

Nie wątpię, odparła w myślach, zwłaszcza że straciłeś wszystkich swoich szpicli.

– Muszę przyznać, że poczułem rozczarowanie, kiedy powiedziała mi pani o swojej współpracy z doktorem Wrightem. Gdybym wiedział, że jest pani zainteresowana rozpoczęciem pracy w zespole, zaoferowałbym pani

stanowisko asystentki, lecz, zawsze odnosiłem wrażenie, że woli pani pracować samodzielnie.

Winda cicho zadzwoniła, a Joanna spojrzała w jej stronę, modląc się, aby wysiadł ktoś, kogo zna. Ktokolwiek. Nawet pan Wojakowski.

– Tymczasem zdecydowała się pani na udział w tak wątpliwym projekcie badawczym! Pomyśleć, próby odtworzenia metafizycznego zjawiska fizycznymi środkami!

Drzwi windy się rozsunęły i ze środka wyłonił się masywny mężczyzna z dużą chryzantemą w doniczce.

– Wszystkie te tak zwane eksperymenty w jego wykonaniu sprowadzają się do wywołania wrażenia, że człowiek widzi światelka i się unosi. W żadnym wypadku uczestnicy nie dostrzegli aniołów ani duchów zmarłych. Widziała pani panią Davenport?

Czyżby zmarła?, przyszło Joannie do głowy. Zdumiała się, a potem rozbawiła. Właśnie tego mi trzeba, zobaczyć panią Davenport na końcu tunelu.

Pan Mandrake czekał na odpowiedź.

– Czy pani Davenport wciąż jest w szpitalu? – spytała. – Uznałam, że wróciła do domu.

– Niezupełnie. Ujawniło się kilka symptomów, których przyczyny są trudne do określenia, toteż lekarze zatrzymali ją na kilka dodatkowych badań – wyjaśnił. – W rezultacie udało mi się przeprowadzić z nią jeszcze parę rozmów i za każdym razem przypominały się jej nowe szczegóły związane z doświadczeniami granicznymi.

Jakżeby inaczej, pomyślała Joanna, opierając głowę o ścianę.

– Znam pani pogląd, że wywiady należy przeprowadzać niezwłocznie po zdarzeniu, ale odkryłem, że wspomnienia pacjentów ulegają poprawie z biegiem czasu. Choćby wczoraj pani Davenport przypomniawszy sobie, że Świetlisty Anioł uniósł dłoń i rzekł: „Ujrzyj”, a ona zobaczyła, że śmierć to nie śmierć, tylko przejście.

– Przejście? – powtórzyła Joanna i momentalnie tego pożałowała, ale na szczęście pan Mandrake najwyraźniej nic nie usłyszał.

Przejście na Tamtą Stronę, które ukazało się przed panią Davenport w całej chwale. A ona zapatrzyła się w piękno następnego życia, ujawniły się przed nią tajemnice przeszłości i przyszłości, a także zrozumiała sekrety kosmosu.

– Powiedziała, co to za sekrety?

– Oznajmiła, że słowami nie da się ich wyrazić. – Pan Mandrake sprawiał wrażenie zirytowanego. – Czy doktor Wright może odtworzyć takie objawienie w swoim laboratorium? Oczywiście, że nie. Takie objawienia pochodzą wyłącznie od Boga.

Albo od płata skroniowego, pomyślała Joanna. On ma rację. To są bez wyjątku symptomy aktywności płata skroniowego.

– „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horacjo, / Niż się ich śniło waszej filozofii” – zacytował pan Mandrake, a Joanna uznała, że takie zakończenie rozmowy jest równie dobre, jak każde inne.

– Muszę się spotkać z jeszcze jednym pacjentem, na piątym piętrze w zachodnim skrzydle. – Przepisnęła się obok pana Mandrake’a i podeszła do windy. Kiedy przyjechała, wcisnęła przycisk z siódmką, a gdy pojechała piętro wyżej, nacisnęła czwórkę. To go powinno zająć na jakiś czas, uznała, wysiadając na czwartym piętrze. Poza tym miała nadzieję, że uchroni w ten sposób biedną panią Isakson. Skierowała się w stronę schodów.

– Hej, pani doktor! – rozległ się krzyk za jej plecami.

Sama jestem sobie winna, stwierdziła w myślach. Mogłam się zastanowić, o co proszę.

– Co pan tu robi, panie Wojakowski? – Usiłowała się uśmiechnąć.

– Mój przyjaciel upadł i złamał sobie biodro – uradował się pan Wojakowski. – Idzie sobie na zajęcia z ceramiki, aż tu nagle ląduje na plecach. Przypomniała mi się bitwa na Morzu Koralowym, kiedy dostaliśmy bombę głębinową. Ja i Bud Roop byliśmy wtedy na pokładzie hangarowym i naprawialiśmy iskrownik w Wildcacie, i nagle oberwaliśmy. Jedno ze śmigieł odpadło i ścięło Budowi pół głowy. Trach! – Przesunął ręką w poprzek czoła. – Raz, dwa i po wszystkim. W jednej chwili wszystko w porządku, żuje gumę i gada ze mną – zawsze żuł gumę, blackjack, nie widziałem jej od lat – a w następnej nie ma połowy głowy. Nawet się nie zorientował, co go uderzyło. – Pan Wojakowski pokręcił głową. – Nie najgorsza śmierć. Lepsza, niż się szykuje mojemu przyjacielowi, o tam. – Wskazał kciukiem korytarz. – Rak, zastoinowa niewydolność serca, a jeszcze ta sprawa z biodrem. Wolałbym dostać bombę japońską, niż kończyć tak jak on, ale w sumie śmierci się nie wybiera, prawda?

– Prawda – potwierdziła Joanna.

– Tak czy owak, cieszę się, że na panią wpadłem – rozchmurzył się pan Wojakowski. – Próbowałem się z panią skontaktować, aby ustalić nowy

termin.

– Wiem, proszę pana, ale rzecz w tym...

– Widzi pani, mam problem. Powiedziałem mojemu przyjacielowi w Aspen Gardens, że zapiszę się razem z nim na badania słuchu. Obiecałem mu to, zanim zgłosiłem się do tego eksperymentu i zapomniałem, co mu mówiłem, więc nagle się okazało, że uczestniczę w dwóch projektach badawczych. Spotkania z panią są o niebo ciekawsze, a mój słuch jest bez zastrzeżeń, poza lekkim dzwonieniem w jednym uchu. Dolega mi to od czasu Morza Koralowego, kiedy bomba rąbnęła tuż przed windą numer dwa i...

– Niemniej do tamtego badania zgłosił się pan najpierw. – Joanna uznała, że nie może czekać, aż pan Wojakowski wygłosi kolejną opowieść. – Zatem ono ma pierwszeństwo.

– Nie chcę wystawić państwa do wiatru.

– Proszę się nie martwić.

– To straszna rzecz wystawić przyjaciela do wiatru. Mówiłem pani o tym, jak Ratsy Fogle powiedział Artowi Blazaukasowi, że zgłosi się zamiast niego na wartę, bo Art chciał pójść spotkać się z krewniaczką na Maui?

– Tak – potwierdziła Joanna, lecz nic to nie dało. Musiała wysłuchać całej historii, a potem jeszcze jednej, o Jo-Jo Powersie, aż wreszcie pan Wojakowski dał jej spokój.

Poszła prosto do swojego gabinetu i została w nim, zajęta przeglądaniem przykładów niemożliwych do opisanie objawień i niezwykłych mądrości, aż wreszcie nadszedł czas jej sesji, więc udała się do laboratorium, zabierając ze sobą wydruk.

Richard siedział przy pulpicie i wpatrywał się w skany.

– Gdzie byłaś? – spytał, nie odrywając oczu od monitora.

– Dyskutowałam na tematy filozoficzne z panem Mandrakiem – wyjaśniła. Wręczyła mu przyniesione kartki i poszła się przebrać w szpitalną koszulę. Gdy spojrzała na siebie w lustrze, przypomniało się jej, że nie poinformowała Richarda o sprawie Grega Menottiego. Kiedy tylko wyszła, zwróciła się do niego:

– Richard, pytałeś mnie, czy przytrafiły mi się jeszcze jakieś inne przypadki, oprócz...

– Witam wszystkich. – Do laboratorium wkroczyła Tish, wymachując kartką papieru. – Wiadomość z samej góry. – Wręczyła kartkę Richardowi.

– Co to ma być? – spytał.

– Wisiało na drzwiach.

– „Uwaga, do całego personelu szpitala” – odczytał głośno Richard. – „Ze względu na niedawną serię powiązanych z narkotykami zdarzeń na oddziale nagłych wypadków...” – Podniósł wzrok. – Jakich zdarzeń?

– Dwa postrzelenia i ugodzenie nożem – wytłumaczyła Joanna.

– Oraz atak z użyciem stojaka na kroplówkę – uzupełniła Tish, podłączając przewody z elektrodami do urządzenia kontrolnego.

– „...zdarzeń na oddziale nagłych wypadków” – ciągnął Richard – „cały personel jest proszony o podjęcie następujących środków ostrożności: Jeden. Należy zwracać szczególną uwagę na swoje otoczenie”.

– O tak, to bardzo pomoże, kiedy naćpany gangster zacznie wymachiwać pistoletem maszynowym – skomentowała Tish.

– „Dwa. Nie wolno wykonywać gwałtownych ruchów. Trzy. Należy zlokalizować wszystkie dostępne wyjścia”.

– Cztery. Nie pracować na oddziale nagłych wypadków – wtrąciła się Joanna.

– Trzymajcie mnie! – wykrzyknęła Tish. – Rada nadzorcza podjęła decyzję o zatrudnieniu dodatkowego ochroniarza. Powinni wynająć co najmniej dziesięciu. Jestem gotowa. – Joanna weszła na stół i położyła się na plecach. Tish przystąpiła do wsuwania podkładek pod jej krzyż i nogi.

– „Cztery” – odczytał Richard. – „Nie należy brać udziału w walce ani podejmować prób rozbrojenia pacjenta. Pięć”. – Zmiał kartkę w kulkę i wrzucił ją do śmieci.

– Jenni Lyons powiedziała mi, że przenosi się do Aurora Memorial – stwierdziła Tish, zawiązując gumową rurkę wokół ramienia Joanny. – Twierdzi, że tam mają przynajmniej wykrywacz metali. – Postukała palcem zgięcie w ręce Joanny, usiłując znaleźć żyłę.

Muszę jakoś wydostać stamtąd Vielle, pomyślała Joanna, podczas gdy Tish mocowała elektrody i nakładała jej słuchawki.

Muszę ją koniecznie przekonać do przeniesienia się, zanim będzie za późno, postanowiła i znalazła się w tunelu, lecz znacznie dalej od drzwi niż ostatnio. Tym razem drzwi były otwarte. Zza tych drzwi biło złote światło rozjaśniające połowę przejścia.

Nie widziała żadnych cieni ani oznak ruchu, nie dobiegały jej też żadne głosy. Stała nieruchomo, nasłuchując ich pomruku, a po chwili przyszło jej do głowy, że znowu to zrobiła. Znowu zapomniała wsłuchać się w dźwięk.

Ale kiedy tak stała w tunelu, nie miała żadnych wątpliwości, że dźwięk się rozległ. Dźwięk, przypominający – co? Ryk. Albo odgłos spadającego przedmiotu. Odczuła gwałtowną potrzebę, by się odwrócić i spojrzeć w głąb ciemnego przejścia, jakby to mogło jej pomóc zidentyfikować hałas, miała ochotę wrócić korytarzem w stronę źródła dźwięku.

Nie, nakazała sobie, i nie ruszyła się z miejsca, nawet nie odwróciła głowy. To cię skieruje z powrotem do laboratorium, pomyślała. Nie rób tego. Najpierw sprawdź, co się kryje za drzwiami. Ruszyła przed siebie.

Światło zdawało się jaśnieć w miarę, jak zbliżała się do drzwi, oświetlało ściany i drewnianą podłogę, przez którą korytarz wydawał się nieprawdopodobnie długi. Ściany były białe, podobnie jak drzwi, a kiedy podeszła do końca korytarza, dostrzegła na nich liczby.

A jeśli jedne z nich mają numer pięćdziesiąt osiem?, zastanowiła się, zacisnęła dłonie przy bokach i szła dalej. „C8” widniało na jednych drzwiach, zarówno litery jak i cyfry napisano złotą barwą, „C10, C12”. Światło stawało się coraz jaśniejsze.

Spodziewała się, że kiedy stanie przy drzwiach, zrobi się nieznośnie jasno, lecz nie, gdy się zbliżyła do końca korytarza, potrafiła dostrzec stojące tam postaci. Ubrane na biało osoby, promieniujące złotym światłem.

Anioły.

Rozdział 18

„Ogromnie się lękam podróży”.

Mary Todd Lincoln, w liście napisanym
na krótko przed śmiercią

Pierwsza myśl Joanny brzmiała: Anioły! Pan Mandrake się wścieknie.

Druga: Nie, nie anioły. Ludzie. Światło dobiegało spoza nich, oświetlało ich i otaczało złotą poświatą, zdawało się promieniować z nich i ich białych koszul. Nie, to nie były koszule, tylko białe suknie, których spódnice ciągnęły się po ziemi. Staromodne sukienki.

Zmarli krewni, osądziła Joanna, chociaż nie zebrali się przy drzwiach, w oczekiwaniu na powitanie jej po Tamtej Stronie. Kręcili się po okolicy lub tworzyli dwu-, trzyosobowe grupki, cicho mrucząc coś do siebie. Joanna podeszła bliżej do drzwi, usiłując podsłuchać, o czym mówią.

– Co się stało? – spytała młoda kobieta w długiej sukience z wysokim kołnierzem. Jej włosy spływały po plecach, sięgając niemal do talii.

Dawno zmarła krewna, stwierdziła Joanna, i starała się przyjrzeć mężczyźnie, z którym rozmawiała nieznajoma. Teraz on mówił, a jego głos okazał się zbyt cichy, aby cokolwiek usłyszała. Lekko zmrużyła oczy pod wpływem otaczającego go światła, jakby dzięki temu jego głos miał się stać wyraźniejszy. Wtedy spostrzegła, że ma białą marynarkę i sympatyczną twarz. Nieznaną twarz. Nie rozpoznawała też kobiety. Joanna nigdy wcześniej nie widziała żadnego z nich.

Młoda kobieta powiedziała jeszcze coś do mężczyzny, który skłonił się głęboko i odszedł do stojącej razem pary. Także ta druga kobieta była ubrana na biało, lecz włosy uczesała w kok. Miała białe dłonie: kiedy położyła jedną z nich na rękę swojego towarzysza, dłoń zamigotała. Mężczyzna nosił przystrzyżoną białą brodę, która wyglądała jak ze starego albumu ze zdjęciami, podobnie jak włosy kobiety, ale ich twarze były

nieznajome. Jeśli to zmarli krewni, to na pewno nie moi, doszła do wniosku Joanna.

Kobieta z rozpuszczonymi włosami przemówiła do brodacza. Joanna zbliżyła się jeszcze o krok, niemal do samych drzwi, usiłując usłyszeć cokolwiek. Brodaty mężczyzna powiedział: „Nic, jestem pewien”.

Joanna posłała niespokojne spojrzenie w głąb przejścia. Właśnie to powiedział poprzednim razem, a następnie kobieta poskarżyła się: „Zimno mi” i Joanna ocknęła się ze śmierci klinicznej. Jeśli chciała sprawdzić swoją teorię, że powrotna droga korytarzem prowadziła do rzeczywistego świata, że cofnięcie się w głąb tunelu zakończyłoby doświadczenia graniczne, musiała to zrobić teraz, zanim sama się ocknie, ale chciała zostać i posłuchać, o czym oni mówią.

To wskazówka, gdzie się znajduje to miejsce, pomyślała z wahaniem, podniosła jedną nogę, gotowa biec, próbując podjąć decyzję. Jak Kopciuszek na balu, kiedy zegar wybił północ, pomyślała, a następnie spojrzała jeszcze raz na kobiety w długich białych sukniach i uznała, że na pewno jest na balu. Właśnie dlatego dłoń kobiety na ramieniu mężczyzny była biała, bo obciążnięta białą rękawiczką, a w bransolecie migotały klejnoty. Młody mężczyzna miał na sobie biały smoking. Zasłoniła oczy przed światłem, usiłując przyjrzeć się, w co ubrany jest nieznajomy z białą brodą.

– Zimno mi – poskarżyła się kobieta, a Joanna posłała jej ostatnie, sfrustrowane spojrzenie, odwróciła się i pobiegła w głąb przejścia.

I do laboratorium.

– Muszę wiedzieć, jak wyglądał twój powrót – oświadczył Richard, jak tylko Tish zakończyła monitorowanie i usunęła elektrody oraz kroplówkę.

– Czy to było...? – zaczął i zamilkł. – Opowiedz mi o swoim powrocie.

Zrelacjonowała, co zrobiła.

– Właściwie czemu pytasz? Czy skany wyglądają inaczej?

– Zdecydowanie – odparł z zadowoleniem i podszedł do pulpitu, jakby nic więcej go nie interesowało.

– Zaczekaj, musisz posłuchać, co się jeszcze działo – zawołała Joanna. – Widziałam kolejny zasadniczy element. Anioły.

– Anioły? – powtórzyła Tish. – Naprawdę?

– Nie – sprostowała Joanna. – Niezupełnie. To byli ludzie. Nosili długie białe suknie i wszędzie wokół świeciło światło. Zawsze zakładałam, że ludzie widzieli postaci, które brali za anioły, a następnie dodawali im

tradycyjne białe szaty i aureole, bo właśnie z takim wyglądem aniołów oswoili się w szkółkach niedzielnych. Teraz się zastanawiam, czy nie jest na odwrót, że widzą białe suknie oraz światło i właśnie dlatego uważają, że to anioły.

– Rozmawiali z panią? – zainteresowała się Tish.

– Nie, zdaje się, że nie wiedzieli, że tam jestem – odparła Joanna. Powtórzyła Richardowi, co powiedziała kobieta.

– Słyszałaś ich rozmowę – stwierdził.

– Tak, i to nie była żadna telepatia, jak twierdzą niektórzy badani. Oni mówili, a ja słyszałam część ich wypowiedzi, a jeśli coś do mnie nie dotarło, to z powodu zbyt dużej odległości.

– Albo z braku treści – dopowiedział Richard. – Jak w wypadku hałasu lub poczucia, że coś jest znajome.

Nie, zaprzeczyła w myślach Joanna, tego samego popołudnia spisując swoją relację na komputerze, bo nie wiem, co mówili, a z całą pewnością wiem, gdzie jest tunel.

Gdzieś, gdzie drzwi są opatrzone numerami, a na końcu znajduje się wejście, za którym stoją ludzie, przechadzający się w białych ubraniach. Przyjęcie? Wesele? To mogłoby tłumaczyć dominację koloru białego. Ale dlaczego mieliby ciągle pytać: „Co się stało?” Czy pan młody rzucił pannę młodą? Poza tym dlaczego mężczyźni także mieliby nosić białe ubrania? Kiedy ostatnio widziałam gromadę mężczyzn i kobiet ubranych na biało, stojących w grupkach i skarżących się na chłód?

Podczas ćwiczeń przeciwpożarowych w szpitalu, przypomniała sobie. W szpitalach roi się od ludzi w bieli, a niemal wszyscy pacjenci właśnie tam doznają doświadczeń granicznych. Zdecydowaną większość reanimowano na oddziale nagłych wypadków, w otoczeniu lekarzy i pielęgniarek, brzęczących alarmów i przy rezydencie, pochylającym się nad nimi, świecącym im w oczy latarką i pytającym: „Co mu się stało?” To brzmiało rozsądnie.

Z wyjątkiem tego, że na oddziale nagłych wypadków personel ubierał się na biało, tylko na zielono lub niebiesko albo różowo, a sale na oddziale urazowym nie nosiły numerów C8, C10, C12. C. Co oznaczało C?

Pora przestać o tym myśleć, przykazała sobie. Wystarczy. Postanowiła się czymś zająć, co okazało się łatwiejsze, niż sądziła. Kolejne fale przypadków śmierci klinicznej pojawiały się jeszcze przez kilka kolejnych dni, a Joanna pracowicie przeprowadzała wywiad z każdym pacjentem. Jej

zaangażowanie nie niosło oczekiwanych rezultatów. Żaden chory nie potrafił opisać, czego doświadczył, jakby ich wspomnienia okazały się niemożliwe do wyrażenia słowami – nie mówili nic na temat czasu spędzonego w stanie śmierci klinicznej, sposobu powrotu ani tego, co widzieli, między innymi aniołów.

– Wyglądali jak anioły – zirytował się pan Torres, kiedy Joanna poprosiła go o opisanie postaci stojących w świetle. Gdy zażądała konkretów, usłyszała: – Nigdy pani nie widziała anioła?

Powinam porozmawiać z kimś inteligentnym, uznała i zeszła na oddział nagłych wypadków, lecz cały personel był zavalony robotą.

– Czołowe zderzenie autobusu kościelnego i TIR-a – oświadczyła krótko Vielle i pobiegła do wózków przywiezionych przez paramedyków. – Zadzwoń.

– O tym możesz zapomnieć – stwierdził rezydent. – Zmarły w chwili przybycia.

Zmarły w chwili przybycia. Przybycia dokąd?, zamyśliła się Joanna i poszła spotkać się z panią Woollam. Obiecała, że jeszcze do niej wpadnie, a poza tym chciała się dowiedzieć, czy kiedykolwiek widziała ludzi w ogrodzie albo na klatce schodowej.

Pani Woollam nie było w pokoju i nie ulegało wątpliwości, że nie zabrano jej na badania. U stóp starannie pościelonego łóżka leżał koc, a na nim złożona szpitalna piżama. Musiały się skończyć pieniądze z jej ubezpieczenia, rozczarowała się Joanna i poszła do dyżurki pielęgniarek.

– Czy pani Woollam została przeniesiona do innego pokoju, czy też zwolniono ją do domu? – spytała nieznaną pielęgniarkę.

Zaskoczona zapytana podniosła wzrok, lecz uspokoiła się, widząc identyfikator szpitalny. Joanna od razu wiedziała, co usłyszy.

– Pani Woollam zmarła dzisiaj wczesnym rankiem.

Mam nadzieję, że się nie bała, pomyślała Joanna, przypominając sobie, że staruszka tuliła Biblię do wątej piersi niczym tarczę.

– Odeszła bardzo spokojnie, czytając swoją Biblię – ciągnęła pielęgniarka. – Miała taki łagodny wyraz twarzy.

To dobrze, stwierdziła w duchu Joanna. Miała nadzieję, że pani Woollam trafiła do pięknego, przepięknego ogrodu. Wróciła do pokoju, zajmowanego wcześniej przez zmarłą, i wyobraziła ją sobie na łóżku, z siwymi włosami rozrzuconymi na poduszce i otwartą Biblią, która wysunęła się z jej nieruchomych rąk.

Mam nadzieję, że to wszystko prawda, pomyślała Joanna, to światło, anioły i lśniąca postać Chrystusa. Oby tak było naprawdę, przez wzgląd na panią Woollam, powiedziała sobie i poszła do laboratorium. Zastała tam Richarda, zajętego pracą przy skanach pani Troudtheim, więc postanowiła skoncentrować się na swoich sprawach. Miała mnóstwo nagrań do spisania, a poza tym dwie osoby po doświadczeniach granicznych czekały na rozmowę z nią. Wzięła ze swojego gabinetu kilka pustych kaset i poszła na spotkanie z panią Pekish.

Pacjentka okazała się równie niekomunikatywna jak pan Sage. Paradoksalnie, Joanna poczuła ulgę, gdyż wyciąganie odpowiedzi od badanej pozwalało jej przestać myśleć o pani Woollam, tkwiącej samotnie gdzieś w ciemnościach. Nie samotnie, poprawiła się. Pani Woollam miała pewność, że będzie przy niej Jezus.

– A następnie ujrzałam własne życie – wyznała pani Pekish.

– Może pani powiedzieć coś bliższego?

Pani Pekish zmarszczyła czoło, próbując się skoncentrować.

– To, co się zdarzyło.

– Może pani opowiedzieć mi o kilku takich zdarzeniach?

– Wszystko działo się bardzo szybko – zaprotestowała.

Badana wypowiadała się równie niejasno, kiedy mówiła o świetle. Nawet nie starała się zgadnąć, co przypominał dźwięk. Pani Grant przynajmniej próbowała:

– Zabrzmiał jak muzyka. – Uniosła pociągłą twarz, jakby ponownie wsłuchując się w jej brzmienie. – Niebiańska muzyka.

Pani Grant musiała być reanimowana podczas adoptywnej immunoterapii nowotworu, zastosowanej podczas leczenia raka płuc. Wypadły jej włosy, a twarz przybrała wygląd typowy dla zaawansowanej fazy nowotworu i więźniów obozów koncentracyjnych. Joannę zdumiało, że pacjentka chętnie zaczęła opowiadać o swoich wspomnieniach i o choczko podpisała formularz zgody na przeprowadzenie wywiadu – już ostatni, Joanna musiała wziąć więcej z gabinetu.

– Tam było pięknie – oznajmiła chora, zanim Joanna zdążyła o cokolwiek spytać. – Wszędzie wokół otaczało mnie światło i nie czułam strachu, tylko spokój.

Nie ulegało wątpliwości, że doznała klasycznej formy pozytywnych doświadczeń granicznych, które pan Mandrake uważał za dowód na istnienie nieba. Joanna nie potrafiła opanować zadowolenia.

– Stałam na progu drzwi, a za nimi widziałam piękne miejsce, całe w bieli i złocie, skąpane w błyszczącym świetle. Chciałam tam pójść, ale nie mogłam. Głos powiedział: „Nie możesz przejść na tę stronę”.

To zjawisko również zaliczało się do klasycznych. Osoby po doświadczeniach granicznych często wspominały o chęci przejścia na drugą stronę i o tym, że ktoś im tego zabraniał lub nie potrafiły pokonać bariery – bramy lub jakiegoś progu. Pani Jarvis, pierwsza pacjentka Joanny, stwierdziła: „Wiedziałam, że krainę żyjących od krainy umarłych dzielił most”, a pan Olivetti oświadczył: „Wiedziałem, że gdybym przeszedł przez bramę, nigdy bym nie powrócił”.

– A potem znalazłam się z powrotem tutaj – zakończyła pani Grant, wskazując na łóżko – i zobaczyłam, że wszyscy mnie ratują.

– Wspomniała pani o muzyce. Może pani powiedzieć coś bliższego na jej temat? Jakież głosy? Instrumenty?

– Nie słyszałam głosów. Wokół grała tylko muzyka. Piękna, przepiękna muzyka.

– Kiedy ją pani słyszała?

– Przez cały czas, do samego końca – wyjaśniła pani Grant. – Wszędzie wokół siebie, otaczała mnie jak światło i uczucie spokoju.

– To chyba już wszystko. – Joanna zamknęła notatnik i wyciągnęła rękę, aby wyłączyć magnetofon.

– Co widzieli inni ludzie? – zainteresowała się pacjentka.

Joanna podniosła wzrok, zastanawiając się, czy ma przed sobą kolejnego pana Funderburka, pragnącego za wszelką cenę uzyskać jak najwięcej informacji.

– Zazwyczaj nie...

– Czy widzieli podobne miejsca, białe, złote i pełne światła? – dopytywała się pani Grant, a jej głos wydawał się bardziej napastliwy niż ciekawy. Joanna zerknęła na kroplówkę, zastanawiając się, jakie lekarstwo otrzymuje pacjentka.

– Widzieli? – nie ustępowała pani Grant.

– Tak, niektórzy badani wspominali o pięknym miejscu – odparła ostrożnie Joanna.

– A mówią, co się dzieje potem, jeśli się nie wróci? – W jej tonie pojawił się strach. Joanna rozważała możliwość wezwania pielęgniarki. – Czy ktokolwiek mówił o czymś złym, co mu się tam przytrafiło?

– Czy widziała pani cokolwiek, co panią przeraziło?

– Nie – zaprzeczyła, a potem ciągnęła, jakby pytanie Joanny podniosło ją na duchu. – Nie. Wszystko było piękne. Światło, muzyka i spokój. Nie czułam żadnego lęku, kiedy się tam znajdowałam, tylko spokój.

A potem strach, pomyślała Joanna, wracając do swojego gabinetu. „Jak możemy nie bać się śmierci?”, pytała pani Woollam. Joanna pchnęła drzwi, prowadzące do łącznika z drugim piętrem głównego budynku. Na dworze zrobiło się ciemno, w wielkich oknach odbijał się mrok. Która mogła być godzina? Spojrzała na zegarek. Wpół do siódmej, a wciąż miała wszystkie te relacje do spisania.

W oszklonym przejściu panował przejmujący chłód. Otuliła się swetrem i ruszyła przed siebie.

Stanęła. Coś w wyglądzie korytarza nasuwało jej skojarzenie z tunelem. Co takiego? Na pewno nie dźwięk wyłączanego grzejnika, gdyż nikt go tutaj nie włączał przez cały dzień, a zresztą cały czas słyszała niskie buczenie szpitalnej elektrowni.

Poza tym brak jej było wcześniejszego silnego przekonania, że coś wie. Teraz czuła się tak, jakby zobaczyła kogoś, kto przypominał jej inną osobę. Ten korytarz jest jak tunel, uznała. Tylko pod jakim względem? Korytarz był szerszy i wyższy niż przejście, które w dodatku zapełniały drzwi, a nie okna.

Nagle nabrała pewności, że to musi mieć związek z podłogą. Mimo to posadzka, po której stąpała, w niczym nie przypominała podłogi w tunelu. Tworzyły ją trudne do opisanie szare płytki, pokryte różowymi i żółtymi kropkami.

Spoglądając na terakotę, doszła do wniosku, że nie chodzi o ten korytarz, tylko o inny, w tym samym szpitalu. Korytarz, którym szła. Tylko, że żaden z nich nie miał drewnianej podłogi. Łącznik między budynkami szpitala, usytuowany na pierwszym piętrze, wyłożono wykładziną, a te, które prowadziły do wschodniego skrzydła, pokryto kafelkami. Tylko budynek Instytutu Slopera był na tyle stary, aby znajdowała się w nim drewniana podłoga, lecz podziemne przejście, prowadzące do niego pod ulicą, zbudowano w całości z betonu.

To na pewno jeden z tych korytarzy, myślała, biegnąc przez pozostałą część przejścia, mijając drzwi i zmierzając dalej do windy. Właśnie rozsuwały się drzwi, a w środku nikogo nie było. Wcisnęła jedynekę i z zamkniętymi oczyma oparła się o ścianę. Usiłowała sobie przypomnieć, o który korytarz chodzi, próbowała wyobrazić sobie różne piętra. Łącznik

między budynkami, usytuowany na drugim piętrze, wyłożono beżowymi płytkami i obniżono o pół stopnia w stosunku do korytarzy po przeciwnej stronie. Wykładzina w łączniku na pierwszym piętrze była niebieska, nie, niebieskozielona...

Nie powinnam tego robić, pomyślała Joanna i otworzyła oczy. Powinnam udać się prosto do laboratorium. Richard twierdził, że gdyby ponownie ogarnęło mnie poczucie, że kojarzą jakiś przedmiot lub miejsce, powinnam iść prosto do laboratorium, żeby mógł to uchwycić na skanerze RIPT. Wyciągnęła rękę, żeby wcisnąć przycisk z numerem pięć, lecz jej dłoń opadła. Nad drzwiami rozbłysła jedynka. Joanna energicznie pomaszerowała korytarzem do przejścia. Spojrzała na wytartą wykładzinę w kolorze ciemnofioletowym i od razu wiedziała, że nie o to jej chodzi.

No dobrze, wiedziałaś też, że wykładzina miała niebieskozielony kolor, pomyślała, skracając krok. Skąd wiesz, że te kompulsywne poszukiwania nie są wynikiem stymulacji płata skroniowego? Kiedy winda przyjechała, nacisnęła jednak „dwa” i wysiadła na drugim piętrze, aby sprawdzić łącznik z zachodnim skrzydłem.

Tę część szpitala w całości wyłożono nowymi wykładzinami w kolorze wrzosowoszarym, z narysowanymi na nich kolorowymi liniami, wskazującymi drogę do ambulatorium, kliniki urologicznej i pracowni rentgenologicznej. Linie prowadziły wzdłuż całej długości korytarza. Kiedyś usłyszała, jak jakaś pielęgniarka informuje pacjenta: „Proszę iść żółtą drogą”. To było tego dnia, kiedy wybrała się na skróty do Carla Śpiączki. Podążała czerwoną linią – co za zbieg okoliczności! – do ambulatorium, a następnie skręciła w lewo, w nadziei że nowe wykładziny nie pojawiły się jeszcze w korytarzu.

Jej nadzieje okazały się uzasadnione, lecz niestety, łącznik pomalowano. Na wpół otwarte drzwi, prowadzące na korytarz, zablokowano nie tylko żółtą taśmą, lecz w dodatku dwoma pomarańczowymi słupkami drogowymi. Gdy kręciła się przy zatarasowanym wejściu, usiłując zajrzeć przed drzwi, dostrzegła tylko, że całą podłogę wyłożono folią ochronną.

– Tędy pani nie przejdzie – wyjaśnił przypadkowy sanitariusz. – Trzeba wejść na czwarte piętro.

Stary dobry Szpital Miłosierdzia, pomyślała Joanna. Stąd nie da się tam dostać. Najbliższa winda znajdowała się daleko za ambulatorium. W tej sytuacji zdecydowała się pójść schodami, w nadziei że nie napotka nowych

żółtych taśm ani farby. Nie napotkała i ku jej zdumieniu, wydział techniczny nie zdecydował się na remont obydwu łączników na raz.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Zanim zrobiła pięć kroków, nabrała pewności, że nie chodzi także o ten korytarz. Podłogę pokrywały czarno-białe kafelki, tworzące szachownicę. Płytki stykały się z drzwiami idealnie pod kątem prostym. Podobnie było w tunelu, pomyślała i cofnęła się, żeby spojrzeć na przeciwległy koniec korytarza. Łącznik się nie zakrzywiał. Dlaczego pomyślałam, że miałyby się zakrzywiać? Rzędy czarnych i białych płytek widzianych z perspektywy zdawały się zwężać na końcu, przez co łącznik sprawiał wrażenie dłuższego niż w rzeczywistości. Tak jak tunel? Wydał się jej nieprawdopodobnie długi, lecz to mogło być złudzenie perspektywy.

Kucnęła na kolanach i zapatrzyła się w miejsce styku framugi drzwi z kafelkami. Może drewniane deski miały taki kształt, że w perspektywie stawały się węższe i sprawiały, że podłoga się zakrzywiała? Nie, nie zakrzywiała...

– Coś upadło? – spytał głos z góry.

Spojrzała tam. Barbara.

– Zdaje się, że ja, na głowę – wyjaśniła Joanna i wstała, otrzepując kolana rękoma. – Co pani tu robi?

Barbara wyciągnęła przed siebie dwie puszki pepsi i snickersa.

– Wszystkie automaty w naszym skrzydle wysiadły. To kolacja. Cieszę się, że panią spotykam. Chciałam przekazać, że Maisie Nellis znowu miała atak migotania komór.

– Wszystko z nią w porządku? – zaniepokoiła się Joanna.

Barbara potwierdziła, a serce Joanny ponownie zaczęło bić.

– Straciliśmy ją tylko na kilka sekund i nie wygląda na to, żeby doszło do jakichkolwiek poważniejszych uszkodzeń organizmu. Zostawiłam wiadomość na pani sekretarce.

– Od wczesnego rana nie byłam w gabinecie.

– Domyśliłam się. Gdyby stało się coś niedobrego, przesłałabym pani wiadomość na pager.

Wyłączyłam go, pomyślała z poczuciem winy Joanna.

– Tak czy owak, Maisie jest na gorzej, na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej, i chce się z panią zobaczyć. Muszę wracać. – Obróciła rękę z dwiema puszkami pepsi, żeby spojrzeć na zegarek.

– Pójdę z panią – zaproponowała Joanna, otwierając drzwi na korytarz. – Może przyjmować gości?

– Jeśli nie śpi.

– Która właściwie godzina? – Joanna popatrzyła na zegarek, idąc obok Barbary. Za piętnaście dziewiąta. Ganiała obsesyjnie po całym szpitalu przez niemal dwie godziny, zapomniała o bożym świecie, podczas gdy Maisie...

Nagle bardzo mocno ogarnęło ją przekonanie, że rozwiązanie trapiącego ją problemu jest już blisko. Instynktownie spojrzała na podłogę, na koniec korytarza, lecz nie było tam drzwi, tylko rząd telefonów. To nie to. To musiało mieć związek z czymś, o czym przed chwilą myślała, z tym, że zapomniała o wszystkim, z wyłączeniem pagera, i...

– Wszystko w porządku? – Barbara wpatrywała się w nią z niepokojem. Joanna zdała sobie sprawę, że niespodziewanie stanęła w miejscu, trzymając rękę na brzuchu. – Maisie naprawdę dobrze się miewa, wcale nie chciałam tak pani wystraszyć. Wiem, jak bardzo jest pani do niej przywiązana. Czuje się dobrze, Kiedy wychodziłam, zarzucała Paulę opowieściami o Wezuwiuszu. Założę się, że pani też nie jadła kolacji. Proszę. – Barbara otworzyła jedną puszkę i wręczyła Joannie. – Poziom cukru w pani krwi jest pewnie jeszcze niższy od mojego. Ten bufet należałoby wysadzić w powietrze.

Znikło, równie niespodziewanie, jak się pojawiło, a gdyby teraz poszła prosto do laboratorium, ślady zdarzenia pojawiłyby się na monitorze skanera RIPT. Ale Joanna dzisiaj już raz zawiodła Maisie. Nie miała zamiaru tego powtarzać.

Z wdzięcznością przyjęła puszkę i pociągnęła łyk pepsi.

– Racja. Od rana nic nie jadłam. – Od razu poczuła się lepiej. Być może to tylko skutek niskiego poziomu cukru we krwi pomyślała, kiedy szły na pediatrię, połączony z troską o Maisie.

Z całą pewnością istniały powody do niepokoju.

– Lekarze nie potrafią utrzymać jej w stabilnym stanie – wyjaśniła Barbara, kiedy jechały windą. – Podają jej coraz silniejsze leki przeciwko arytmii, które wywierają bardzo silne skutki uboczne na wątrobę i nerki, lecz to i tak niewiele pomaga. Tylko pani Nellis zachowuje pogodę ducha i sądzi, że wszystko układa się świetnie, Maisie wraca do zdrowia, a jej ataki migotania to tylko przejściowe kłopoty. Tak to właśnie określiła. – Barbara nie potrafiła ukryć niechęci. – Przejściowe kłopoty.

Pan Wojakowski tak określiłby japońskiego zero lecącego na *Yorktown*. Albo wystrzeloną w niego torpedę.

Weszła na oddział intensywnej opieki kardiologicznej. Maisie spała, z przylepioną pod nosem rurką tlenową i elektrodami rozmieszczonymi na klatce piersiowej. Na stojaku do kroplówek wisiało niemal tyle torebek, co u pani Grant. Joanna przeszła na palcach kilka kroków w głąb częściowo pogrążonego w mroku pokoju i znieruchomiła na parę minut, wpatrując się w chorą. Nietrudno było się domyślić, skąd tym razem wzięło się poczucie strachu. Symulowanie umierania to jedno, a spojrzenie śmierci w oczy to zupełnie co innego.

Co widziałaś, dzieciaku, kiedy cię reanimowano?, spytała w myślach Joanna. Uchylone drzwi i ludzi ubranych na biało, którzy mówili: „Co się stało?”, „Zimno mi”? Mam nadzieję, że zobaczyłaś piękne miejsce, całe w złocie i w bieli, i że grała ci niebiańska muzyka, tak jak pani Grant. Nie, nie jak pani Grant. Jak pani Woollam. Obyś ujrzała ogród, zielony i biały.

Joanna przez dłuższy czas stała w ciemnościach, a potem poszła do swojego gabinetu. Barbarze powiedziała, że będzie w szpitalu przynajmniej do jedenastej i poprosiła o wiadomość na pager. Potem spisywała relacje z doświadczeń granicznych, a skończyła dopiero po północy. Cały czas czekała, aż odezwie się pager albo zadzwoni telefon.

Rankiem Maisie obudziła się równie radosna, co zawsze.

– Jutro wracam do swojego pokoju. Nienawidzę tego całego podawania tlenu – poskarżyła się Joannie. – Rurki wcale się nie trzymają w nosie. Gdzie pani była wczoraj? Mówiła pani, że mam opowiadać o swoich doświadczeniach granicznych zaraz po tym, jak się ocknę, żeby niczego nie zapomnieć i nie zmyślić.

– Co widziałaś? – spytała Joanna.

– Nic – odparła z niechęcią Maisie. – Tylko mgłę, tak samo jak ostatnio. Tyle że nieco rzadszą. Ale i tak nic więcej nie dostrzegłam. Za to coś słyszałam.

– Co takiego?

Maisie przybrała skupiony wyraz twarzy.

– Myślę, że to był wybuch.

– Wybuch.

– Tak, zupełnie jakby doszło do erupcji wulkanu, eksplodowała bomba albo coś takiego. Bum! – krzyknęła, rozkładając rękę.

– Ostrożnie. – Joanna z niepokojem spojrzała na kroplówkę w jej rękę.

Maisie ledwie zerknęła na tkwiącą w jej skórze igłę.

– To był potężny wybuch.

– Powiedziałaś, że myślisz, że to wybuch. Dlaczego?

– Niezbyt dobrze go słyszałam. Najpierw rozległ się ten hałas, a zaraz potem trafiłam do tego zamglonego miejsca, lecz kiedy próbowałam sobie przypomnieć, co to za dźwięk, nie bardzo mi to wychodziło. Ale i tak jestem pewna, że to był wybuch.

Podobny do erupcji wulkanu, pomyślała Joanna, a tuż przed atakiem Maisie czytała książkę o Wezuwiuszu. Mimo to dziewczynka lepiej się spisywała jako badana niż którykolwiek z ostatnio przesłuchiwanym pacjentów.

– Co się stało później?

– Nic – zasępiła się Maisie. – Tylko mgła, a potem znalazłam się z powrotem w swoim pokoju.

– Możesz mi opowiedzieć o swoim powrocie? Jak przebiegał?

– Błyskawicznie. W jednej chwili stoję i rozglądam się usiłując dostrzec cokolwiek przez mgłę, a w następnej jestem z powrotem, momentalnie, a facet od reanimacji pociera jedną elektrodę o drugą i mówi: „W porządku”. Cieszę się, że wróciłam właśnie w tym momencie. Nienawidzę, kiedy strzelają elektrodami.

– Nie przeprowadzili defibrylacji? – zdziwiła się Joanna i pomyślała, że musi spytać o to Barbarę.

– Nie, wiem to na pewno, bo ten facet powiedział: „Grzeczna dziewczynka, sama wróciła”.

– Powiedziałaś, że rozglądałaś się we mgle. Możesz mi dokładnie powiedzieć, co robiłaś?

– Kręciłam się w kółko. Mam pani pokazać? – spytała i zaczęła odrzucać koc.

– Nie, jesteś poprzyipinana do aparatury. Trzymaj. – Wręczyła jej różowego misia. – Pokaż mi na nim.

Maisie posłusznie obróciła misia na kocu.

– Stałam tam – oświadczyła, trzymając misia pyszczkiem do siebie – i rozglądałam się. – Obróciła misia wokół jego własnej osi, zatrzymując go w chwili, gdy znajdował się grzbietem do niej. – A potem wróciłam.

Wpatrywała się w głąb tunelu, kiedy wróciła, pomyślała Joanna. O ile to był tunel.

– Czy poszłaś przed siebie, zanim wróciłaś? – Zademonstrowała na misiu.

– Nie, bo nie wiedziałam, co tam może być.

Tygrys, odpowiedziała w myślach Joanna.

– A jak sądziłaś, co tam mogło być?

– Nie wiem – oświadczyła Maisie i zmęczona opadła na poduszki, co Joanna odebrała jako sygnał do zakończenia wywiadu. Wyłączyła dyktafon i wstała.

– Pora odpocząć, dzieciaku.

– Proszę zaczekać, nie może pani jeszcze odchodzić. Jeszcze nie powiedziałam pani o mgłę, jak wyglądała. Ani o Górze Świętej Heleny.

– Górze Świętej Heleny? Wydawało mi się, że czytałaś o Wezuwiuszu.

– Obydwie góry to wulkany. Wiedziała pani, że na Górze Świętej Heleny mieszkał jeden facet, i wciąż mu powtarzali, że nie może tam zostać, bo zbliża się wybuch, a on nie słuchał? Kiedy doszło do erupcji, nie mogli nawet znaleźć jego ciała.

Vielle musi posłuchać tej historii, pomyślała Joanna.

– No dobrze, powiedziałaś mi o Górze Świętej Heleny, a teraz pora na odpoczynek. Siostra Barbara powiedziała, że bym cię nie męczyła.

– Ale jeszcze nie opowiedziałam pani o Wezuwiuszu. Najpierw nastąpiły trzęsienia ziemi, a potem wszystko się uspokoiło, a w końcu, około godziny pierwszej, pojawił się dym i zrobiło się zupełnie ciemno, i ludzie nie wiedzieli, co się stało, i zaczął spadać popiół i skały, więc wszyscy schowali się pod tymi długimi gankami...

– Kolumnadami – podpowiedziała Joanna.

– Kolumnadami, ale to nic nie pomogło, i wtedy...

– Opowiesz mi później – przerwała Joanna.

– ...pobierali swój dobytek i uciekli z miasta. Ta pani miała złotą bransoletę i...

– Naprawdę opowiesz mi później. Najpierw odpoczniesz. Teraz nałóż przewód tlenowy. – Joanna podeszła do drzwi. Nie zdążyła jednak wyjść.

– Kiedy pani przyjdzie? – spytała z naciskiem Maisie.

– Dzisiaj po południu. Obiecuję. – Poszła do swojego gabinetu.

Po drodze spotkała Tish.

– Pytałam doktora Wrighta, czy możemy przełożyć pani sesję na godzinę pierwszą, a on mnie skierował do pani. Muszę, iść do dentysty.

Albo na niespodziewaną randkę, pomyślała Joanna.

– Jasne. Doktor Wright jest u siebie?

– Nie, właśnie wychodził na spotkanie z panią doktor Jamison, ale mówił, że wróci przed południem. Nie denerwuje to pani, że on tak zapomina o całym świecie?

Zapomina, powtórzyła w myślach Joanna. Zapomnieć o czymś strasznym, co się zdarzyło.

– Oczywiście, że to pani nie denerwuje – skrzywiła się Tish. – Pani jest dokładnie taka sama. Czy pani w ogóle słyszała, co mówiłam?

– Tak – potwierdziła Joanna. – O pierwszej.

– Prosił jeszcze, żeby panią spytać, czy udało się pani skontaktować z panią Haighton.

Pani Haighton.

– Teraz spróbuję do niej zadzwonić – wyjaśniła Joanna i poszła do gabinetu, gdzie przez resztę przedpołudnia pozostawiła wiadomości dla pani Haighton, a także wpatrywała się w bluszcz i usiłowała sobie przypomnieć, gdzie widziała tunel.

Coś związanego z zapominaniem, fartuchem Richarda i punktem zetknięcia podłogi na korytarzu z drzwiami. A także hufami połyskującymi od szkarłatu i złota. I szkołą średnią. Była tam drewniana podłoga. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi. Gabinet zastępcy dyrektora, gdzie Ricky Inman spędzał większość czasu. Czy właśnie to pojawiała się w jej pamięci? Wspomnienia ze szkoły? Wraz z obrazem osoby reprezentującej władzę?

To miało sens. Korytarze w szkole były długie, a drzwi nosiły numery. Fartuch mógł się kojarzyć z nauczycielem chemii – jak mi się nazywał? Pan Hobert...wore; dźwięk to mógł być dzwonek, którego odgłos przypominał brzęczenie, a drzwi do gabinetu zastępcy dyrektora...

Nie chodziło jednak o drzwi do gabinetu. Drzwi w tunelu otwierały się na zewnątrz. Muszę otworzyć te drzwi i sprawdzić, co jest za nimi, uznała Joanna. Kiedy to zrobię, przekonam się, gdzie się znajduje to miejsce.

Piętnaście po pierwszej, leżąc sennie z uszami w słuchawkach i maską na oczach, w oczekiwaniu na rozpoczęcie działania dithetaminy, Joanna pomyślała, że odpowiedź kryje się za drzwiami...

Zjawiała się w tunelu. Drzwi były zamknięte. Tylko cienka jak brzytwa linia światła wskazywała próg. Joanna musiała po ciemku przejść przez pograżony w ciemnościach tunel. Jedną ręką dotykała ściany.

Kreska światła okazała się zbyt cienka, aby dostrzec jakiegokolwiek cienie, Joanna nie słyszała też żadnych głosów. W tunelu panowała głucha cisza, zupełnie jak w pokoju Carla Śpiączki po wyłączeniu grzejnika. Nie, nie grzejnika. Jakiegoś innego cichego, jednostajnego dźwięku, niezauważalnego, dopóki nie ustał.

– ...ustał – powtórzył cicho głos zza drzwi, a Joanna zamarła w oczekiwaniu.

Cisza. Joanna przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, potem ponownie ruszyła po omacku w stronę drzwi, zastanawiając się, co robi, jeśli będą zamknięte. Nie były. Z łatwością obróciła gałkę i popchnęła drzwi, zalewając korytarz strumieniem intensywnego światła. Jasność uderzyła ją z niemal fizyczną siłą, Joanna musiała się cofnąć i unieść rękę, aby zasłonić twarz.

– Co się stało? – spytał przestraszony głos kobiety, a Joanna przez moment sądziła, że chodzi o światło i że po otwarciu drzwi jasność poraziła wszystkich wokół, wybuchając niczym bomba.

– Nie, jestem pewien, proszę pani – odparł męski głos, Kiedy oczy Joanny przyzwyczyły się do światła, dostrzegła mężczyznę w białej marynarce. Rozmawiał z kobietą o rozpuszczonych włosach.

– Słyszałam wyjątkowo dziwny hałas – odparła.

Hałas, pomyślała Joanna. A zatem jednak rozlegał się jakiś dźwięk.

Mężczyzna w białej marynarce powiedział coś, lecz Joanna nie potrafiła tego zrozumieć, ani też nie dosłyszała odpowiedzi kobiety. Poszła przed siebie, do drzwi i od razu lepiej widziała ludzi. Młoda kobieta nosiła płaszcz, narzucony na białą sukienkę, a przód białej marynarki mężczyzny zdobiły złote guziki. Kobieta w białych rękawiczkach włożyła krótką pelerynkę z białego futra.

– Tak, proszę pani – potwierdził mężczyzna, a Joanna uznała, że to służący, a jego biała marynarka to uniform.

– To brzmiało jak rozrywany materiał – stwierdziła młoda kobieta i podeszła do mężczyzny z białą brodą. – Słyszałeś to?

– Nie – odparł, a kobieta z upiętymi włosami spytała:

– Czy sądzisz, że doszło do wypadku?

Rękę w białej rękawicze przyłożyła do szyi, przytulając się do futrzanej pelerynki, jakby marzła. To dlatego, że są na dworze pomyślała Joanna i usiłowała się rozejrzeć po okolicy, lecz światło dobiegało spoza miejsca, gdzie stali ludzie, więc nie widziała niczego poza białą ścianą, przy której

się zgromadzili. Opuściła wzrok na podłogę. Wykonano ją z drewna, przypominała podłogę w korytarzu, lecz nie była nawoskowana. Coś w rodzaju ganku stwierdziła Joanna, może patio.

– Jest tak zimno – poskarżyła się młoda kobieta, starannie otulając się płaszczem. Nic dziwnego, że marznie, pomyślała Joanna, spoglądając na jej sukienkę pod rozchylonym płaszczem. Uszyto ją z cienkiego muślinu, stanowczo zbyt lekkiego, jak na taką pogodę. Sukienka sięgała kobiecie do stóp, jak koszula nocna.

– Sprawdź, co się stało – oznajmił brodac, ubrany w garnitur wieczorowy, sztywną nakrochmaloną białą koszulę i białą muchę. Skinął władczo głową w stronę służącego, który podszedł pośpiesznie.

– Tak, proszę pana?

– Co się stało? Dlaczego stanęliśmy?

– Nie wiem, proszę pana. To może mieć związek z mechaniką. Jestem pewien, że nie ma powodu do niepokoju.

– Idź poszukać pana Briarleya – rozkazał brodac. – On będzie wiedział, co się stało.

– Tak jest, proszę pana – potwierdził służący. Znikł w świetle.

– Pan Briarley wszystko nam wyjaśni. – Brodac zwrócił się do kobiet. – Tymczasem panie powinny wracać do środka, gdzie jest cieplej.

Tak, pomyślała Joanna, do środka, gdzie jest cieplej, i znalazła się z powrotem w laboratorium, w którym krzątała się Tish.

– Nie wracała pani latami – odezwała się z przyganą w głosie pielęgniarka, mierząc jej ciśnienie. Spisała wyniki Joanny na karcie, zdjęła elektrody, odłączyła kroplówkę, co kilka minut spoglądając na zegarek.

– W porządku – oświadczyła w końcu. – Może pani usiąść.

– Z całą pewnością rozległ się dźwięk – oznajmiła Joanna, kiedy podszedł do niej Richard. – Jedna z kobiet go słyszała. Powiedziała, że przypominał odgłos rozrywanego materiału.

– Czy może pan odstawić resztę rzeczy? – spytała Tish, chowając kroplówkę. – I tak jestem już spóźniona.

– Tak – odparł Richard. – A co z upływem czasu? Jak długo tam byłeś?

– Jakieś dziesięć minut. Przez ten czas ludzie za drzwiami i rozmawiali, i z całą pewnością znajdowali się na dworze. Mężczyzna z białą brodą powiedział: „Panie powinny wracać do środka, gdzie jest cieplej”. Rozmawiali o hałasie, a następnie mężczyzna z brodą kazał służącemu dowiedzieć się, co się stało,

- Służącemu? – zdziwił się Richard.
- Idę – oświadczyła Tish. – O której jutro?
- O dziesiątej – wyjaśnił Richard i Tish wyszła. – Jeden z nich był służącym?
- Tak. Widziałam złote guziki na jego uniformie, a także haft na białej sukience kobiety, tylko że to nie była sukienka. To była koszula nocna. Narzuciła na nią płaszcz... – Zachmurzyła się, przypomniawszy sobie, jak kobieta się otulała. – Nie, nie płaszcz, raczej koc, bo...
- Nagle zamilkła, głośno oddychając.
- Mój Boże – szepnęła. – Wiem, co to jest.

CZEŚĆ DRUGA

„Czy sądzisz, że śmierć może być łodzią?”

Tom Stoppard, *Rosencrantz i Guildenstern nie żyją*

Rozdział 19

„Vancouver! Vancouver! Zaczęło się!”

Ostatnia wiadomość radiowa od wulkanologa
Dave’a Johnstona, badającego Górę Świętej Heleny

– Wiesz, co to jest? – spytał bez entuzjazmu Richard, przekonany, że Joanna nie może wiedzieć. Poczucie rozpoznawania czegoś, kształtujące się w płacie skroniowym, nie było niczym innym, jak tylko właśnie przekonaniem, nie wiązało się z żadną konkretną treścią. Niemniej Joanna najwyraźniej sądziła, że wie. Jej głos przepełniało zdumione podniecenie.

– Wszystko się zgadza – wyjaśniła. – Podłoga, chłód, koc, a nawet przekonanie, że nie powinnam była wyłączać pagera, że stało się coś straszego, o czym powinnam wiedzieć. Wszystko się zgadza. – Spojrzała na Richarda promiennym wzrokiem. – Mówiłam ci, że poznawałam to miejsce, lecz nigdy tam nie byłam, i miałam rację. Mówiłam ci, że wiem, co to jest.

Richard niemalże odczuł lęk przed zadaniem jej pytania: „No dobrze, co to jest?” Gdyby to zrobił, Joanna przybrałaby zdumiony wyraz twarzy albo rozzłościłaby się, albo i jedno, i drugie. Właśnie tak się zachowywała przez ostatnie dwa tygodnie, gdy ją pytał. To zdumiewające, jak silne jest poczucie wiedzy, związane ze stymulacją płata skroniowego, nawet u kogoś takiego, jak Joanna, rozumiejąca przyczyny tego zjawiska, wiedząca, że jest ono sztucznie wywoływane.

– Mówiłam ci, że dźwięk to nie dźwięk, tylko odgłos czegoś wyłączanego, i miałam rację. Właśnie to ich obudziło, wyłączanie silników. Mało kto usłyszał kolizję. I wtedy wyszli na pokład, żeby sprawdzić, co się stało...

– Na pokład?

– Tak, i było przenikliwie zimno. Większość ludzi po prostu narzuciła na piżamy płaszcze lub koce. Minęła już północ i prawie wszyscy położyli się

spać. Oprócz kobiety z upiętymi włosami. Ona i jej mąż musieli być przez cały czas na nogach. Mieli na sobie wieczorowe ubrania. – Joanna zamyśliła się, jakby dopasowując w myślach elementy łamigłówki. – Właśnie dlatego nosiła białe rękawiczki.

– Joanna...

– Korytarz na drugim piętrze jest wgłębiony, a stopień na jego końcu sprawia wrażenie, jakby podłoga się zakrzywiała do góry. I jeszcze ten twój fartuch.

– Joanno, to, co mówisz, nie ma sensu...

– Oczywiście, że ma. Palacz zaszedł Jacka Phillipsa od tyłu i usiłował zerwać z niego kamizelkę ratunkową, a on niczego nie zauważył. Tak bardzo skoncentrował się na nadawaniu sygnału SOS, i jeszcze...

– SOS? Kamizelki ratunkowe? – wykrzyknął Richard. – Joanno, o czym ty mówisz?

– Mówię, co to jest – wyjaśniła. – Powiedziałam przecież, że wiem co to jest, więc ci tłumaczę.

– I co to takiego?

– Wiedziałam, że to ma coś wspólnego ze słowem pałac. Właśnie tak go nazywano, pływającym pałacem.

– Co tak nazywano?

– *Titanica*.

Odpowiedź Joanny go zdumiała, choć zdziwiłoby go każde konkretne wyjaśnienie. Przez chwilę po prostu się w nią wpatrywał.

– Mówiłam ci, że to jest miejsce, które poznaję, choć nigdy tam nie byłam.

– *Titanic*.

– Właśnie. To nie hol, tylko korytarz, a drzwi prowadzą na pokład. Po tym, jak *Titanic* zderzył się z górą lodową, zatrzymano silniki, aby oszacować uszkodzenia, a pasażerowie wylegli na pokład, żeby sprawdzić, co się stało. Zimno powinno stanowić dla nich wskazówkę. Tamtego wieczoru temperatura spadła o niemal dwanaście stopni, właśnie z powodu lodu. Mogłam się sama tego domyślić, kiedy kobieta w koszuli nocnej stwierdziła: „Zimno mi”.

Titanic. A on ją nazwał oazą zdrowego rozsądku. Powiedział Davisowi, że nie ma możliwości, aby kiedykolwiek zmieniła się w R. Johna Foxxa.

– Wszystko się zgadza – powtórzyła z zapalem. – Uczucie, które ogarnęło mnie w korytarzu: że nie zdaję sobie sprawy z jakiegoś straszego

zdarzenia. Chodziło o *Californian*. Właśnie na tym statku wyłączono na noc radiotelegraf, a pięć minut później *Titanic* wysłał pierwsze SOS. *Californian* spędził całą noc w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od miejsca tragedii, nie mając pojęcia, że *Titanic* tonie.

Davis mówił, że wszyscy, którzy badają doświadczenia graniczne, prędzej czy później dostają świra. Niewykluczone, że miał rację. Być może istniało coś w rodzaju zakaźnej choroby umysłowej. Ale Joanna nie mogła na nią zachorować, skoro przejrzała Mandrake'a na wylot, wraz z jego manipulacjami. Doskonale wiedziała, że śmierć kliniczna to fizyczny proces. Gdzieś musi tkwić błąd.

– Pozwól, że spytam cię wprost. Twierdzisz, że tam byłeś? Na pokładzie *Titanica*?

– Tak jest – potaknęła ochoczo Joanna. – W jednym z korytarzy pasażerskich. Nie wiem, którym. Myślę, że raczej w drugiej klasie, bo tam była drewniana podłoga, a zakrzywienie w niej sprawiało, że korytarz wyglądał na dłuższy niż w rzeczywistości. Wszystkie przejścia w pierwszej klasie pokryto dywanami. Ludzie na pokładzie wyglądali na bogatych pasażerów, więc może jednak znalazłam się w pierwszej klasie. Kobieta z upiętymi włosami nosiła biżuterię z klejnotami i białe rękawiczki. Ciekawe, kim była – mruknęła Joanna. – Możliwe, że to pani Allison.

– A kim ty byłeś? – spytał ze złością Richard. – Lady Astor?

– Co? – Joanna nie rozumiała.

– Kim dokładnie byłeś w swoim poprzednim życiu? Niezatapialną Molly Brown?

– Poprzednim życiu? – powtórzyła Joanna, jakby nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Może byłeś Shirley MacLaine? Czekał, nic nie mów. – Podniósł ostrzegawczo rękę. – Byłeś Bridey Murphy, bo ona przyплыnęła z Irlandii na *Titanicu*.

– Bridey Murphy? – Joanna uniosła zaczepnie brodę. – Uważasz, że wszystko zmyślam?

– Nie wiem, co ty robisz. Powiedziałaś, że byłeś na *Titanicu*.

– Bo byłam.

– I kogo widziałeś na pokładzie? Harry'ego Houdiniego? Elvisa?

Wbiła w niego wzrok.

– Nie wierzę...

– Ty nie wierzysz? To ja nie wierzę, że siedzisz tu i opowiadasz, mi o swoim powrocie do poprzedniego życia.

– Poprzedniego życia...

– „Powinieneś przeprowadzić eksperyment ze mną” – mówił Richard. – „Będę bezstronną naukową obserwatorką. Nie padnę ofiarą przekonania, że widzę Świetliste Anioły”. Skąd, widziałas coś jeszcze ciekawszego. Masz pojęcie, co robi Mandrake, kiedy się o tym dowie? Nie mówiąc już o brukowcach. Już widzę nagłówki. – Przesunął dłonią w powietrzu. – „Badaczka doświadczeń granicznych twierdzi, że utonęła na *Titanicu*”.

– Gdybyś tylko zechciał posłuchać... Nie powiedziałam, że to powrót do poprzedniego życia.

– Nie? Więc co to mogło być? – spytał szyderczo. – Wehikuł czasu? A może teleportowali cię tam kosmici? Zdaje się, że tego samego dnia, kiedy się poznaliśmy, powiedziałaś, że czternaście procent wszystkich osób po doświadczeniach granicznych wierzy w to, że porwało ich UFO. Mogłaś mi wtedy powiedzieć, że należysz do tych czternastu procent.

– Nie zamierzam tego wysłuchiwać. – Joanna zeskoczyła ze stołu, złapała tył szpitalnej koszuli i poczłapała na bosaka do przebieralni.

– Żałuję, że nie zostałem przy panu Wojakowskim, tym kompulsywnym kłamcy! – krzyknął za nią Richard. – Przynajmniej pływał tylko na *Yorktown*.

– Świetnie – obraziła się Joanna i trzasnęła drzwiami.

Niemal natychmiast ponownie je otworzyła i weszła, zapinając bluzkę i wciągając kardigan.

– Pan Mandrake powinien był zaproponować ci swoją współpracę – oświadczyła, przepychając się obok niego. – Stworzylibyście świetną parę. Obaj chcecie słyszeć tylko to, co pasuje do waszych z góry ustalonych teorii, i nic więcej was nie interesuje.

Stanęła przed drzwiami.

– Tak dla twojej informacji, nie odbyłam podróży w czasie ani nie wróciłam do poprzedniego życia. To nie był *Titanic*, tylko... Zresztą, co to ma za znaczenie? I tak mnie nie słuchasz. – Gwałtownie otworzyła drzwi. – Powiem panu Mandrake’owi, że szukasz nowego współpracownika.

To nie był *Titanic*?

– Zaczekaj! – wrzasnął, ale zdążyła już zatrzaskać drzwi.

Otworzył je silnym szarpnięciem. Joanna stała już przy windach.

– Joanno, zaczekaj! – krzyknął i rzucił się pędem w jej stronę.

Zadzwoniła winda.

– Czekaj! – ryknął. – Joanna!

Nawet nie spojrzała w jego stronę. Drzwi się rozsunęły i weszła do środka. Musiała nacisnąć przycisk zasuwania drzwi, gdyż kabina od razu zaczęła się zamykać.

– Joanno, czekaj! – Siłą rozsunał drzwi i wpackował się do windy. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Ale ja nie chcę z tobą rozmawiać – wyjaśniła i sięgnęła do przycisku otwierania drzwi.

Złapał jej rękę w powietrzu. Winda ruszyła na dół.

– Co miałaś na myśli, gdy mówiłaś, że to nie powrót do poprzedniego życia?

– Dlaczego mnie pytasz? Jestem Bridey Murphy, zapomniałeś? – Znowu sięgnęła do tablicy z przyciskami, lecz zdążył ją uprzedzić i przekręcił czerwone pokrętło alarmu. Rozległ się niewiarygodnie głośny dzwonek, a winda gwałtownie stanęła między piętrami.

Joanna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Jesteś stuknięty, zdajesz sobie z tego sprawę? – usiłowała przekrzyknąć alarm. – I ty śmiesz mnie oskarżać, że zwariowałam!

– Przepraszam! – odkrzyknął. – Od razu wyciągnąłem wnioski, ale co miałem robić, skoro poinformowałaś mnie, że trafiłaś na pokład *Titanica*?

– Mogłeś przynajmniej pozwolić mi skończyć zdanie – krzyczała. – Wyłącz to!

– Wrócisz ze mną do laboratorium?

Wbiła w niego wzrok. Z każdą minutą alarm zdawał się dzwonić coraz głośniej.

– Obiecuję, że nie zacznę od wyciągania wniosków! – ryknął. – Proszę cię!

Niechętnie skinęła głową.

– Tylko wyłącz to wreszcie! – wrzasnęła, zatykając uszy rękoma.

Richard ponownie przekręcił czerwone pokrętło. Alarm nie przestawał dzwonić. Wcisnął otwieranie drzwi. Nic. Ponownie obrócił alarm, a potem wcisnął po kolei wszystkie przyciski pięter. Nic. Spróbował przekręcić pokrętło w drugą stronę, lecz dzwonek wyraźnie zadzwijał jeszcze głośniej. O ile to było w ogóle możliwe.

Joanna sięgnęła za jego plecami do przycisku otwierania drzwi, i wówczas winda pojechała w górę, chociaż dzwonienie nie ustało. Richard

gwałtownie obrócił pokrętko alarmowe i hałas raptownie ustał, pozostawiając w ich uszach dzwoniące echo.

– No no, czy to było dzwonienie czy brzęczenie? – spytał Richard, usiłując rozbawić Joannę.

Nie udało mu się. Przycisnęła piątkę i drzwi się otworzyły. Richard spodziewał się ujrzeć tłum zaniepokojonych wybawców, a przynajmniej kogokolwiek, kto przybyłby sprawdzić, co to za hałas, lecz korytarz okazał się zupełnie pusty. Joanna wyniośle opuściła windę i z uniesioną wysoko brodą skierowała się do laboratorium. W środku odwróciła się do Richarda, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogliśmy tam utknąć na zawsze i nikt nie przybyłby nam na ratunek? – zaryzykował Richard, próbując przełamać lody.

Cisza.

– Posłuchaj – zaczął. – Przepraszam, że tak nagle się rozzłościłem. To dlatego...

– ...że myślałeś, że stałam się jednym z wariatów pana Mandrake'a? – dokończyła za niego. – Jak mogłeś tak uznać?

– Bo to się zdarza bez przerwy. Wciąż słyszę o zupełnie rozsądnych osobach, które nagle ogłaszają, że widziały światło i przystępują do rozgłaszania bzdur. Pomyśl o Seagalu. Albo o Foxxie.

– Ale ty mnie znasz.

– Tak jak ty znałeś pana Wojakowskiego?

– Masz rację – cicho przyznała Joanna. – Ale kiedy opowiedział mi o tym, że podczas bombardowania Pearl Harbor przebywał na *Yorktown*, nie zaczęłam go oskarżać. Najpierw sprawdziłam fakty. Uzyskałam potwierdzenie z zewnątrz. A ty nawet nie wysłuchałeś tego, co się starałam powiedzieć.

– Zamieniam się słuch.

– Czyżby? – Znowu uniosła brodę.

– Tak – potwierdził z powagą. Wskazał jej krzesło. Usiadła z napięciem. On też usiadł, pochylił się ku niej, a ręce wsunął między kolana. – Zaczynaj.

– Dobrze. – Poprawiła okulary, osuwające się po jej nosie. – To był *Titanic*...

Najwyraźniej spał się mimowolnie, gdyż powiedziała:

– Zdaje się, że mówiłeś, że będziesz słuchał.

– Słucham. To był *Titanic*.

– Ale nie odniosłam wrażenia, że jestem w tysiąc dziewięćset dwunastym roku albo że widzę statek tamtej nocy. Czułam się zupełnie inaczej.

– Jak?

Przybrała skupiony wyraz twarzy, taki sam, jaki miała, kiedy usiłowała zidentyfikować hałas.

– To był *Titanic*, ale nie *Titanic*. Wiem, że nie znalazłam się na pokładzie prawdziwego statku, że to, co widziałam, nie wydarzyło się tamtej nocy. Choć jednocześnie to był *Titanic*.

– Więc nie miałaś poczucia, że to się dzieje naprawdę? Czy to były nakładające się wizje?

– Nie – zaprzeczyła. – Wszystko było namacalne i trójwymiarowe, tak samo, jak we wszystkich poprzednich wypadkach. Złudzenie, że tam się znalazłam, było całkowite. Naprawdę stałam w przejściu i na pokładzie, tylko że... – Zawahała się. – Odniosłam wrażenie, że za tym wszystkim kryło się coś jeszcze, jakaś głębsza rzeczywistość... – Z ciekawością spojrzała na Richarda. – Ale dlaczego miałabym widzieć *Titanica*?

– Nie sądzę, żebyś go zobaczyła. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z konfabulacją. Podczas doświadczeń granicznych nie stwierdziłaś, że jesteś na *Titanicu*. Doszłaś do takiego wniosku po zakończeniu badania, kiedy przedstawiałaś swoją relację. Świetnie wiesz, jak przebiega ten proces. Twoja świadomość...

– Nie – stanowczo zaprzeczyła Joanna. – Już za pierwszym razem rozpoznałam przejście. Mówiłam ci o tym. Wiedziałam, że je poznaję, ale zdawałam sobie sprawę, że nigdy w nim nie byłam. Gdybyśmy mieli do czynienia z konfabulacją, dlaczego miałabym wymyślać coś tak nieprawdopodobnego jak *Titanic*? Konfabulacje to skutek oczekiwań i wpływów z zewnątrz. Nigdy nie słyszałam o nikim, kto podczas doświadczeń granicznych ujrzałby *Titanica*. Jeśli to moja konfabulacja, to dlaczego nie zobaczyłam Świetlistego Anioła albo złotych schodów?

– Istnieje kilka wytłumaczeń. Podejź tutaj na chwilę – poprosił i zbliżył się do pulpitu. Wyświetlił cztery zdjęcia z jej doświadczeń granicznych. – Przyjrzyj się – powiedział, wskazując na rozrzucone punkty w kolorze pomarańczowym, czerwonym i żółtym, pokrywające korę czołową na każdym skanie. – To są przypadkowe rozbłyśki neuronów w obszarze kory

czołowej odpowiedzialnym za pamięć długotrwałą. Jeden z tych rozbłysków mógł przywołać wspomnienie o *Titanicu*.

– Ale to nie sprowadzało się tylko do pojedynczego wspomnienia, tych wspomnień zebrały się dziesiątki. Zatrzymujące się silniki, przejście, pasażerowie na pokładzie...

– I to wszystko mogą być konfabulacje oparte na pojedynczym wspomnieniu, podobnie jak odczuwane przez ciebie wrażenie dźwięku, światła i pojawienia się postaci w bieli. Właśnie dzięki takiej jednoznaczności odbieramy sny jako spójne historie, a nie serie oddzielnych obrazów.

Nie wydawała się przekonana.

– Ale dlaczego miałyby rozbłysnąć neuron z *Titanikiem*, skoro istnieją – sama nie wiem ile – miliony? Miliardy wspomnień?

– Właśnie to się wiąże z przypadkowością. Zresztą pojawienie się twojego wspomnienia związanego z *Titanikiem* wcale nie jest tak bardzo nieprawdopodobne pod względem statystycznym.

Tym razem Joanna wpatrywała się w niego jak w szaleńca.

– Nie jest nieprawdopodobne?

– Nie. W końcu to katastrofa, a ty spędziłaś sporo czasu z Maisie, rozmawiając o tragediach.

– Ale nie o *Titanicu* – zaprzeczyła Joanna. – Nie przypominam sobie, aby Maisie kiedykolwiek wspominała o tym statku.

– Mówiła o *Lusitanii* i założyła się o wszystko, co mam, że w tych jej książkach są także zdjęcia *Titanica*. Kiedy poznałem Maisie, przewertowała wszystkie strony, aby znaleźć jedno zdjęcie. Mogłaś zobaczyć rysunek *Titanica*, wystającego do połowy z wody.

– Gdyby wspomnienie pochodziło od Maisie, raczej ujrzałabym Pompeje – stwierdziła kategorycznie Joanna. – To nie dlatego przyszedł mi do głowy *Titanic*.

Ciekawe, pomyślał Richard.

– Znasz źródło swojego wspomnienia?

Ponownie przybrała niezwykły, zamyślony wyraz twarzy.

– Nie. Ale wiem, że nie chodzi tutaj ani o pana Wojakowskiego, ani o Maisie. Poza tym wspomnienie nie było przypadkowe.

– Skąd wiesz?

– No bo... Nie wiem – wyznała pokonana. – Nie mam poczucia przypadkowości. Raczej, że to się skądś wzięło.

– To możliwe – zgodził się Richard. – Wspomnienia długotrwałe, do których często sięgamy, mają mocniejsze ścieżki neuronowe niż zwykłe wspomnienia, dzięki czemu łatwiej je przywołać.

– Ale przecież ja nie wspominam często *Titanica*. Nie myślałam o nim od czasu...

– Pojawienia się filmu na ekranach? – podsunął Richard. To najbardziej oczywiste źródło. Na końcu filmu jest nawet scena, w której staruszka widzi siebie na *Titanicu* w białej sukni i jasnym świetle. Widziałaś film...

– Pięć lat temu – przypomniała Joanna. – I wcale mi się nie podobał.

– Podobanie nie ma nic do rzeczy. Zresztą wszędzie znajdziesz odniesienia do *Titanica* – w specjalnych programach telewizyjnych, w książkach. Tę koszmarną piosenkę Celinę Dion słyszałem dzisiaj rano po drodze do szpitala i wiem na pewno, że niedawno dwukrotnie sięgałaś do wspomnień związanych z *Titanikiem*.

– Kiedy? – powątpiewała Joanna.

– W dniu naszego pierwszego spotkania opowiedziałaś mi o spirytualiście – jak on się nazywał? – Stead? – który zatonął wraz z *Titanikiem*, a podczas wieczoru u Vielle sama stwierdziłaś, że wieczór smakołyków to strefa wolna od *Titanica*. Jak widzisz, twoje ścieżki neuronowe nie tylko są nowe, lecz w dodatku wzmocnione. Twoje wspomnienia dotyczące sceny z filmu, w której zatrzymują się silniki, a pasażerowie wylegają na pokład, żeby sprawdzić, co się stało...

Joanna już od dłuższego momentu kręciła głową.

– Ta scena, kiedy stali na pokładzie w koszulach nocnych i strojach wieczorowych, nie jest z *Titanica*.

– No dobrze, więc z książki albo...

– Nie – zaprzeczyła, choć z mniejszą pewnością siebie. – Nie sądzę, żeby chodziło o książkę.

– Może o rozmowę?

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, nie o rozmowę. Wspomnienie wzięło się skądinąd.

– Skąd?

– Nie wiem. Mówisz, że przyczyną ujrzenia przeze mnie *Titanica* jest przypadkowy rozbłysk synapsy...

– Oraz stymulacja płata skroniowego.

– Ale niemal wszystkie osoby po doświadczeniach granicznych twierdzą, że widziały niebo. Gdyby przypadkowe rozbłyski miały

decydować o treści wspomnień, mielibyśmy do czynienia z najrozmaitszymi miejscami i przeżyciami.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Richard. – Rozbłyśki synaps w większości wypadków bywają zbyt słabe, aby stworzyć obraz. Albo też przekonanie o kosmicznej wadze przeżycia może tłumić wszelkie inne obrazy.

– Więc dlaczego nie stało się tak w moim wypadku?

– Ponieważ wystrzegałaś się takich interpretacji. Kiedy starałaś się mnie przekonać do eksperymentów na sobie, powiedziałaś, że jak zobaczysz promieniującą postać, nie założysz automatycznie, że to Świetlisty Anioł.

– Ale dlaczego miałabym myśleć o *Titanicu*, skoro jest tyle możliwości? Czemu nie o tunelu kolejowym? W zeszłym tygodniu Vielle spytała mnie: „A jeśli światło na końcu tunelu okaże się pędzącym pociągiem?” Mieszkam w Kolorado, gdzie jest mnóstwo górskich tuneli. Jeden z nich mógłby mi się skojarzyć i byłoby to absolutnie logiczne, bardziej niż statek. Nigdy nie byłam na statku.

– Starasz się znaleźć logiczne wyjaśnienia, podczas gdy synapsy rozbłyśkują przypadkowo...

– Nie miałam poczucia przypadkowości – upierała się Joanna. – Jestem przekonana, że widziałam *Titanica* z jakiegoś konkretnego powodu, że to coś oznacza.

Proszę bardzo, pomyślał Richard, wracamy do płata skroniowego i odczucia znaczenia.

– Możesz opisać to przekonanie?

– Ono ma jakiś związek z tym wspomnieniem, które przywołało obraz *Titanica*. Jestem przekonana, że wiem, skąd się wzięło to wspomnienie, i gdyby tylko udało mi się przypomnieć sobie...

– Ale nie możesz.

– Mam to... – Wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała coś chwycić. – ...na końcu... – Urwała i odwróciła głowę. – Pewnie znowu myślisz, że to nic nie oznacza, prawda? – spytała ze złością. – Uważasz, że to stymulacja płata skroniowego.

– To by wyjaśniało, dlaczego nie pamiętasz, skąd się wzięło wspomnienie – stwierdził łagodnie. – Czy teraz też masz takie przekonanie? Sądzisz, że wiesz, dlaczego przyszło ci do głowy właśnie takie wspomnienie?

– Owszem.

– Połóż się na stole. – Energicznie podszedł do apteczki. Chcę sprawdzić, czy uda nam się uchwycić to na skanie. – Wyciągnął strzykawkę.

– Mam się rozebrać?

– Nie, darujemy sobie także kroplówkę. Wstrzyknę ci tylko znacznik. – Richard napełnił strzykawkę. – Zdejmij sweter i podciągnij rękaw.

Joanna zdjęła kardigan, położyła się na stole, rozpięła mankiet bluzki i podwinęła rękaw. Przystąpił do skanowania.

– Na pierwszych trzech zdjęciach miałaś poczucie znajomości miejsca i zdarzeń, a na tym rozpoznałaś *Titanica*. Te dwie sprawy mogą być całkowicie niezależne od siebie.

– Jak to, niezależne od siebie?

Przetarł jej zgięcie w łokciu spirytusem i wstrzyknął znacznik.

– Wrażenie czegoś znajomego, którego doświadczyłaś w korytarzu, a także w chwili wyłączenia ogrzewania, mogło być wywołane przypadkowym bodźcem i nie związane z rozpoznaniem *Titanica*.

– Ale te bodźce nie były przypadkowe – zaczerwieniła się Joanna. – Wszystko do siebie pasuje, twój fartuch, chłód i...

– One mogą pasować do rozmaitych sytuacji.

– Na przykład jakich?

– Sama powiedziałaś, że ludzie, których widziałaś, mogli uczestniczyć w przyjęciu albo w balu.

– Ta kobieta stała w koszuli nocnej!

– Ty sama uznałaś, że to koszula nocna, po tym jak uświadomiłaś sobie, że widzisz *Titanica*. Wcześniej utrzymywałaś, że to staromodna sukienka. A na samym początku twierdziłaś, że to anielskie szaty. Połóż się.

– A co z nierówną podłogą? – Wyciągnęła się na stole do badań. – I z twoim fartuchem i...

– Nic nie mów – przykazał, ustawiając skaner. Podszedł do pulpitu. – W porządku. – Uruchomił urządzenie. – Chciałbym, żebyś w myślach policzyła do pięciu.

Obejrzał wyświetlone na ekranie skany.

– Teraz wyobraź sobie tunel. Pomyśl o tym, co widziałaś.

Zaświeciło się kilka punktów w korze czołowej, wskazując na różnorodność źródeł wspomnienia, zarówno wizualnych, jak i słuchowych, co mogło tłumaczyć, dlaczego Joanna nie mogła sobie przypomnieć, czy

słyszała, czy też czytała o zatrzymujących się silnikach i pasażerach wychodzących na pokład, aby sprawdzić, co się stało.

Pomyślał, że mogła też widzieć to w filmie. Wbrew protestom Joanny wciąż uważał to za najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. Film odniósł ogromny sukces i przez ponad rok zasypywano ludzi informacjami o tej superprodukcji – publikowano związane z nią książki, płyty, artykuły z gazet, emitowano programy telewizyjne. A kilka lat wcześniej podobne emocje towarzyszyły odkryciu wraku. Nie istniała możliwość, aby się odizolować od takiego zalewu wiadomości o *Titanicu*, więc Joanna z całą pewnością nie stanowiła wyjątku. Nie tylko wiedziała o dywanach w korytarzach pierwszej klasy, ale także знаła nazwisko radiotelegrafisty Jacka Phillipsa.

– Dobrze, a teraz skoncentruj się na źródle wspomnień – oświadczył Richard i spojrzał na obraz płata skroniowego, oczekując, że się zaświeci.

I rzeczywiście, wkrótce nabrał intensywnej, pomarańczowo-czerwonej barwy. Richard zadał Joannie jeszcze kilka pytań, a potem wyłączył skaner.

– Możesz wstać – pozwolił i przystąpił do graficznego obrazowania skanów.

Joanna podeszła do pulpitu, opuszczając rękaw.

– Wciąż jeszcze nie nagrałam relacji ze swoich doświadczeń granicznych. – Włożyła kardigan. – Będę w gabinecie.

– Nie chcesz obejrzeć zdjęcia swoich wewnętrznych przekonań? – Wyświetlił skan. – Oto ono. – Wskazał na płat skroniowy. – Właśnie dlatego sądzisz, że obraz *Titanica* nic jest przypadkowy.

Ponuro przyglądała się zdjęciu, trzymając ręce w kieszeniach swetra. Richard wskazywał obszary aktywności mózgu.

– Ale to przekonanie, że wiem, skąd się wzięło wspomnienie, jest bardzo silne... – mruknęła.

– Tak samo silne, jak to, którego doznałaś w przebieralni i w korytarzu – podsunął Richard.

– Tak – przyznała.

Wskazał na czerwono-pomarańczowy płat skroniowy.

– Twój umysł po prostu usiłuje nadać sens irracjonalnemu wrażeniu, dopasowując do niego obiekt, w tym wypadku źródło wspomnień, niemniej jest to tylko poczucie.

Wyglądała tak, jakby chciała zaprzeczyć, lecz powiedziała tylko:

– Wciąż nie nagrałam swojej relacji. – Podniosła dyktafon.

- Kiedy ją spieszysz...
- Wiem. Nie mogę dopuścić, aby dostała się w ręce wroga.
- Mandrake zrobiliby...
- Wiem. Zrobiliby z tego użytek.

Podeszła do drzwi. Zanim je otworzyła, odwróciła się i spojrzała na skan.

– Chyba wolałam, jak oskarżałeś mnie, że jestem Bridey Murphy – wyznała smutno i wyszła.

Rozdział 20

„Odmawiam odpowiedzi na tego typu pytanie!”

Królowa Elżbieta I, na łożu śmierci spytana przez
Sir Roberta Cecila, czy widziała jakieś duchy

Richard się myli, pomyślała Joanna, otwierając drzwi do gabinetu. To nie jest tylko wrażenie. Wspomnienie nie pochodziło z filmu i moja długotrwała pamięć nie płata mi figła. To na pewno był *Titanic*.

Richard pojawi się tutaj lada minuta, aby powiedzieć mi, że to, co myślę, stanowi kolejny objaw stymulacji płata skroniowego, a następnie pokaże mi skan, który tego dowodzi. Nie mam ochoty tego oglądać, uznała, i nie chcę wysłuchiwać kolejnego wykładu na temat tego, co się stanie, jeśli pan Mandrake dowie się o wszystkim. Pójdę nagrać swoją relację gdzie indziej.

Wyszła, trzasnęła drzwiami i zamknęła je na klucz, a następnie udała się korytarzem w stronę schodów. Postanowiła przeprowadzić nagranie w bufecie, jeśli będzie otwarty, albo w jednym z pokoiów pielęgniarek. Każde miejsce jest dobre, jeżeli nie będę musiała wysłuchiwać jego opinii, że *Titanic* to tylko przypadkowy rozbłysk synapsy, myślała, zbiegając po schodach. Nie ma mowy o przypadkowości. Widziałam *Titanica* z jakiegoś określonego powodu. Wiem to.

W tej samej chwili w jej głowie zabrzmiał głos pana Darby'ego, twierdzącego stanowczo: „Byłem tam. To się zdarzyło naprawdę. Wiem to”. Mówiła zupełnie tak samo, jak on. Właśnie dlatego nie chcę rozmawiać z Richardem, pomyślała. Wiem, że ma rację.

Nie, on się myli, myślała uparcie. Jestem pewna, że wspomnienie nie pochodzi z filmu.

Tak, a pan Viraldi był pewien, że widział Elvisa, pani Suarez zaś, że porwali ją kosmici, Bridey Murphy była pewna, że w poprzednim życiu mieszkała w Irlandii. Psychiatra Bridey nie miał wątpliwości, że jej wspomnienia stanowią dowód na reinkarnację, chociaż później

dowiedziano, że oboje zmyślali pod wpływem piosenek ludowych i na wpół zapomnianych historii, opowiadanych przez jej nianię. Poza tym wiadomo, że dzięki hipnozie można wmawiać ludziom najrozmaitsze fałszywe wspomnienia. Skąd wiadomo, że Joanna nie doświadcza tego samego? Jaką można mieć pewność, że wspomnienie nie wzięło się z filmu, tak jak twierdzi Richard?

Ale ta scena nie jest z filmu, pomyślała, i uświadomiła sobie, że równie dobrze mogłaby być. W najrozmaitszych badaniach okazywało się, że pamięć jest wyjątkowo mało wiarygodna. Poza tym Joanna i Vielle wielokrotnie kłóciły się o to, czy jakaś scena pojawiła się w jednym z filmów czy nie. Po tym, jak obejrzały wspólnie *Morderstwo doskonałe*, Vielle była przekonana, że Gwyneth Paltrow nie zastrzeliła Micheala Douglasa, tylko zasztyletowała go termometrem do mięsa. Joanna musiała ponownie wypożyczyć kasetę i pokazać koleżance zakończenie filmu, aby ją ostatecznie przekonać. Scena, w której pasażerowie stoją wkoło i pytają stewarda, co się stało, mogła się pojawić w *Titanicu*, a Joanna po prostu o tym zapomniała. Istniał prosty sposób, aby to sprawdzić. Wystarczyło obejrzeć film.

Ale przecież Richard był już przekonany, że jej doświadczenia graniczne ukształtowały się pod wpływem filmu. Gdyby go obejrzała, nieodwracalnie skaziłaby swoją pamięć obrazami z kasety, podobnie jak wszystkie doświadczenia z przyszłych eksperymentów. Bez względu na to, co ujrzałaby w laboratorium, Richard zawsze by twierdził, że to ma związek z treścią superprodukcji.

Muszę kogoś skłonić, aby obejrzał film i sprawdził, czy pojawia się w nim taka scena, pomyślała Joanna. Tylko kogo? Vielle upadnie, jak usłyszy, że byłam na *Titanicu*. Uzna, że to był głos podświadomości, przestrzegającej przed poddawaniem się eksperymentom.

Maisie? Świetnie się znała na katastrofach, ale nigdy nie wspominała o *Titanicu*, co Joanna zaznaczyła w rozmowie z Richardem. Zresztą matka dziewczynki nie pozwoliłaby jej obejrzeć filmu, w którym pojawiała się scena z nagością i seksem na tylnym siedzeniu renault.

Tish? Nie, Joanna nie mogła liczyć na to, że pielęgniarka dochowa tajemnicy, a Richard nie mylił się, twierdząc, że pan Mandrake zrobiłby odpowiedni użytek z tego typu informacji. Innymi słowy, automatycznie odpadała możliwość skorzystania z pomocy kogokolwiek innego ze Szpitala Niemiłosiernej Plotki.

Pozostawała tylko Vielle. Oby nie zadawała zbyt wielu pytań, przeraziła się Joanna i zeszła do piwnicy, minęła kostnicę i dotarła na oddział nagłych wypadków.

Jak zwykle roiło się tam od naćpanych i niebezpiecznych z wyglądu ludzi, chociaż najwyraźniej nikt nie nafaszerował się roque. Siedzący na krześle przy drzwiach nowy ochroniarz sprawiał wrażenie znudzonego. Joanna przedarła się przez tłum i stanęła przy Vielle, przekazującej pacjentkę na noszach dwóm pielęgniarzom.

– Zawieźcie ją na trzecie piętro w zachodnim skrzydle – przykazała Vielle. – Wiecie, jak tam trafić?

Skinęli niepewnie głowami. Vielle w zawiły sposób opisała drogę, położyła kartę na brzuchu pacjentki i odwróciła się do Joanny.

– Spóźniłaś się – oświadczyła. – Mieliśmy pacjenta po dwukrotnej reanimacji. Przyszłaś za późno.

– Zmarł?

– Nie, wszystko dobrze. Gdyby zmarł, mógłby pretendować do nagrody Darwina. To takie wyróżnienie dla ludzi, którzy zginęli przez swoją wyjątkową głupotę. Kiedy zdejmował lampki choinkowe, poraził go prąd.

– Lampki choinkowe? – powtórzyła Joanna. – W lutym?

– Wyjaśnił, że po raz pierwszy od świąt nie padał śnieg.

– Wydawało mi się, że lampki choinkowe są dobrze zabezpieczone.

– Bo są. Chyba że oprzesz drabinę bezpośrednio o przewody elektryczne. Metalową drabinę. – Uśmiechnęła się do Joanny.

– Umieściliśmy go na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej. Trochę się przysmażył, ale może mówić. Lepiej idź tam jak najszybciej. Maurice Mandrake był tutaj przed chwilą, szukał cię i widziałam, jak rozmawiał z lekarzem zajmującym się naszym bohaterem od lampek choinkowych.

– Pan Mandrake mnie szukał? – zdziwiła się Joanna. Tylko tego jej brakowało.

– Zgadza się. Gdybym cię widziała, kazał powtórzyć, że idzie prosto do twojego gabinetu. To było jednak przed przyjazdem tego od lampek, ale jeśli udał się do gabinetu, to masz szansę dotrzeć do pacjenta przed nim. – Vielle odeszła.

Joanna podreptała za nią.

– Nie przyszłam sprawdzić, czy wiesz o kimś w stanie śmierci klinicznej. Vielle, pamiętasz film *Titanic*. Czy była tam scena, w której

ludzie stali na pokładzie i starali się dowiedzieć, co się stało?

– Z *Titanica* zapamiętałam tyle, że ci dwoje spędzili w lodowatej wodzie dwie godziny i nie dostali hipotermii. Wiesz, ile czasu naprawdę można wytrzymać w tak zimnej wodzie? Około pięciu minut.

– Wiem, wiem. Spróbuj sobie przypomnieć. Ludzie stoją na pokładzie, zastanawiają się, co się stało.

– Pamiętam scenę, w której *Titanic* ociera się o górę lodową, a na pokładzie stoją ludzie i rzucają się śnieżkami.

– Nie, nie – zniecierpliwiała się Joanna. – Ci ludzie nie wiedzieli, że statek uderzył w górę lodową. Po prostu stali na pokładzie, niektórzy wciąż ubrani w koszule nocne. Zbudzili się z powodu wyłączenia silników i wylegli na pokład, żeby się dowiedzieć, co się stało. Pamiętasz coś takiego?

– Niestety. – Vielle pokręciła głową.

– Mam ogromną prośbę. Możesz pożyczyć kasetę i sprawdzić, czy w filmie pojawia się taka scena?

– Nie prościej byłoby, gdybyś sama go pożyczyła? Przecież lepiej wiesz, czego szukasz. Jeśli ci zależy, możemy obejrzeć film wspólnie, podczas wieczoru smakołyków, pod warunkiem, że przewiniesz tę durnowatą scenę z „królem świata”.

– Nie mogę. Posłuchaj, zapłacę za wypożyczenie i za benzynę. Chcę tylko, żebyś sprawdziła, czy istnieje taka scena. – zaczęła grzebać w kieszeni swetra.

– Wystarczy, jak zapłacisz za kasety na wieczór smakołyków. – Vielle zmrużyła oczy. – Co jest grane? To ma coś wspólnego z twoimi badaniami, prawda? Nie mów mi tylko, że jeden z twoich ochotników znalazł się na *Titanicu*.

– Cśśś – syknęła Joanna, rozglądając się z niepokojem. Nie powinna była rozmawiać z Vielle w miejscu, w którym kręci się tylu ludzi.

– Mam rację, zgadza się? – Vielle ściszyła głos. – Jeden z twoich pacjentów zobaczył *Titanica*, kiedy przeszedł przez tunel.

– Ależ skąd – zaprzeczyła Joanna. – Po prostu rozmawiałam o tym z Richardem. – Ostatecznie nie kłamię, pomyślała zrezygnowana. Naprawdę o tym rozmawialiśmy, a Vielle spytała, czy to jeden z moich badanych widział *Titanica*, a nie czy ja go zobaczyłam. Zresztą, to nie był *Titanic*.

– Rozmawiałaś o tym z Richardem, tak? – Vielle zmieniła ton głosu. – Proszę, proszę, przynajmniej rozmawiacie o czymś innym niż tylko skany

RIPT i poziomy endorfin, chociaż dlaczego wybraliście *Titanica*, nie mam pojęcia.

Joanna zmusiła się do uśmiechu i z trudem powstrzymała przed rozejrzeniem, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Widzisz, istnieją ciekawsze filmy, o które warto się spierać – wyjaśniła Vielle. – Zdawało mi się, że nie cierpisz *Titanica*. Kiedy chciałam go wypożyczyć, wkurzyłaś się, że jakiś oficer wcale się nie zastrzelił, tylko...

– Oficer Murdoch – uzupełniła Joanna. Vielle mówiła prawdę. Naprawdę się wkurzyła. W filmie roilo się od nieścisłości historycznych. Nie tylko nie istniały dowody na to, że oficer Murdoch zastrzelił pasażera, a potem odebrał sobie życie, lecz twórcy filmu w dodatku zrobili z oficera Lightollera tchórza, chociaż w rzeczywistości był bohaterem, gdyż spuścił na wodę szalupy z kwater oficerskich, przez całą noc utrzymywał na wodzie przewróconą do góry dnem składaną szalupę typu B...

Wspomnienie nie może pochodzić z filmu, uznała w myślach, bo jeszcze przed jego obejrzeniem znałam historię *Titanica*. „Wszyscy ją znają”, stwierdził Richard, ale mówił o najważniejszych faktach. Wszyscy wiedzą, że *Titanic* zatonął, wszyscy słyszeli o górze lodowej i braku wystarczającej liczby łodzi ratunkowych, i o tym, że orkiestra grała do końca *Bliżej Ciebie, Panie*. Niewiele osób zna jednak sprawę Murdocha. Albo składanej szalupy typu B.

– Może pożyczysz ten film, zaprosisz Richarda i przygotujesz kilka moich dipów na pikantnej szynce...?

– To się wiąże z moimi wspomnieniami z filmu – wyjaśniła wymijająco Joanna. – Więc jeśli mogłabyś pożyczyć tę kasetę i sprawdzić, czy istnieje taka scena, byłabym ci bardzo wdzięczna. Nie musisz oglądać całego filmu, wystarczy ta część po zderzeniu z górą.

– Zrobię wszystko, co pomoże w rozwinięciu waszego romansu. Wytłumacz mi jeszcze raz, czego mam szukać.

– Ludzi stojących na pokładzie, zastanawiających się, co się stało i pytających stewarda, dlaczego statek się zatrzymał. Niektórzy z nich powinni mieć na sobie ubrania wieczorowe, a inni muszą wyglądać tak, jakby dopiero wstali z łóżek. Nie powinni się bać ani krzyczeć, ani też usiłować wdrapać się na pokład łodziowy. Mają tylko stać.

– W porządku – odparła Vielle. – Nie przypominam sobie takiej sceny.

Ani ja, dopowiedziała w myślach Joanna.

– Dasz radę sprawdzić to dziś wieczorem?

- Nie. Musisz poczekać do jutra.
- Czemu?
- Och, dzisiaj wieczorem odbędzie się jakieś głupie zebranie – wyjaśniła lekceważąco Vielle.
- Na jaki temat?
- Nie wiem. Bezpieczeństwo pracy na oddziale nagłych wypadków czy coś takiego. Najwyraźniej uznali, że ich pismo obieguje to za mało i teraz chcą nas zapędzić na seminarium. „Należy zwracać szczególną uwagę na swoje otoczenie. Nie wolno wykonywać gwałtownych ruchów”. Zastanawiam się, czy to obejmuje nagłe przebudzenie, jeśli ktoś się zdrzemnie podczas wykładu.
- Nie żartuj sobie. Ten oddział jest niebezpieczny. Naprawdę musisz poprosić o przeniesienie gdzie indziej.
- Nie dam rady – oświadczyła beztrąsko Vielle. – Jestem zbyt zajęta oglądaniem filmów na wideo dla moich przyjaciół.
- Mówię poważnie. Jeśli tu zostaniesz, któregoś dnia ktoś cię zabije. Myślę, że powinnaś...
- Masz rację, mamo – stwierdziła Vielle. – Jeszcze raz, czego szukać? Ludzi w piżamach, stojących na korytarzu i rozmawiających o tym, że usłyszeli, jak zatrzymują się silniki?
- Na pokładzie. Nie w przejściach. Kiedy uda ci się to sprawdzić?
- Jak tylko wydostanę się stąd jutro wieczorem, dotrę do wypożyczalni Blockbuster i przewinę pierwsze dwie godziny, w których Leo i Kate zwieszają się przez burtę i wygłaszają kwestie typu: „Ale mam szczęście, że płynę tym statkiem”. – Vielle uśmiechnęła się, że wpycha palec do gardła. – Do ósmej?
- Jutro o ósmej, pomyślała Joanna, żałując, że nie da się wcześniej.
- Zadzwoń, jak tylko sprawdzisz.
- Jesteś pewna, że żaden z twoich ochotników nie zobaczył *Titanica*? – Vielle przybrała zatroskany wyraz twarzy.
- Jestem pewna. Gdzie leży ten facet od oświetlenia choinkowego?
- Na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej.
- Rozumiem – potwierdziła Joanna i uciekła, zanim Vielle zdążyła jeszcze o coś spytać. Nie miała zamiaru rozmawiać z człowiekiem od lampek na choinkę, dopóki nie wyjaśni się sprawa *Titanica*. Spytała, gdzie szukać tego pacjenta, bo chciała zmienić temat rozmowy. Chociaż z drugiej

strony, jeśli naprawdę chciała zdobyć jego relację, powinna się tym zająć od razu i nagrać wywiad, zanim chory zacznie zmyślać...

Nie nagrałam swojej relacji, uświadomiła sobie ze zgrozą. Do tego stopnia zaabsorbowała ją chęć udowodnienia, że jej wizje nie wzięły się z filmu, że zapomniała, dokąd szła. A wszystkie te spekulacje dotyczące źródła wspomnienia i jego znaczenia będą bezwartościowe, jeśli jej doświadczenia graniczne nie zostaną należycie udokumentowane.

Muszę się tym zająć od razu, uznała, zanim upłynie jeszcze więcej czasu. Postanowiła pobiec do bufetu. W połowie drogi zatrzymała ją siostra Lucille z oddziału intensywnej opieki kardiologicznej,

– Widziała się pani z Maurice’em Mandrakiem? Szukał pani.
– Gdzie mnie szukał?
– Na górze, na moim oddziale. Przyszedł przeprowadzić wywiad z pacjentem.

No jasne, pomyślała Joanna, koniec z relacją faceta od lampek. Ale przynajmniej Mandrake siedział na górze, a nie w bufecie. Podziękowała Lucille i zeszła niżej. Bufet był zamknięty.

Jakżeby inaczej. Joanna szarpnęła klamką podwójnych drzwi, zamkniętych na cztery spusty i wbiła wzrok w czerwone, plastikowe krzesła, poukładane na stołach z formiki. Usiłowała przypomnieć sobie, gdzie jeszcze może się zaszyć. Na pewno nie w swoim gabinecie, i nie w pokoju lekarzy. Musiała uważać, aby nikt nie podsłuchał, jak mówi o *Titanicu*. O tej porze pomieszczenie dla odwiedzających w ambulatorium zwykle świeciło pustkami, lecz aby się tam dostać, musiałyby pokonać trzy korytarze i dwa łączniki między skrzydłami, znacznie zwiększając ryzyko wpadnięcia na pana Mandrake’a.

Muszę znaleźć jakieś opuszczone miejsce, w którym Mandrake nie będzie mnie szukał, zdecydowała Joanna. Tylko gdzie ono jest? W moim samochodzie, uznała i sięgnęła do kieszeni swetra w poszukiwaniu kluczyków. Nie miała ich przy sobie. Dysponowała wyłącznie kluczem do gabinetu. Kluczyki zostały w torebce ukrytej w szufladzie biurka, a samochód był zamknięty. Siedzenie na masce nie wchodziło w grę z powodu niskiej temperatury.

Klatka schodowa, zdecydowała, przypominając sobie półpiętro, na których spędziła z Richardem sporo czasu, kiedy się poznali. Na pewno jednak schody już pomalowano i ludzie znowu mogli z nich korzystać. Mimo to i tak były stosunkowo odosobnionym miejscem.

I znacznie cieplejszym niż parking, stwierdziła Joanna, wsiadając do windy dla personelu i wciskając przycisk na drugie piętro. Gdyby usiadła pośrodku półpiętra, skąd widziała by drzwi u góry i na dole, mogłaby przerywać nagranie, zanim ktokolwiek zbliżyłby się do niej i cokolwiek usłyszał.

Drzwi do windy się rozsunęły. Joanna wychyliła się ostrożnie, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma śladów Mandrake'a, lecz korytarz był pusty. Dotarła do łącznika z drugim skrzydłem, minęła go, skręciła za rogiem i weszła na internę.

– ...a wtedy mój wuj Alvin powiedział: „Przyjdź” – wyjaśniał kobiecy głos, wydobywający się zza nie domkniętych drzwi do jednego z pomieszczeń. – Potem wyciągnął rękę w moją stronę i oznajmił: „Śmierci nie trzeba się lękać”.

O nie, przebiegło Joannie przez głowę. Zatrzymała się przy drzwiach. Nie sądziła, że pani Davenport wciąż leży w szpitalu. Która ubezpieczalnia pozwalała jej tak długo wyciągać pieniądze? I co ważniejsze, z kim rozmawiała, z panem Mandrakiem? Jeśli tak, to czy nagle nie wyłoni się z pokoju?

Joanna usłyszała jeszcze jeden kobiecy głos – pielęgniarki? Bezsilnej sąsiadki pani Davenport z łóżka obok?

– I co się wtedy stało? – z przejęciem spytał głos.

– Z jego dłoni spłynęło światło i rozbłysnęło jak brylanty, szafiry i rubiny.

Pani Davenport się rozkręciła i należało żywić nadzieję, że wpatrywała się w swoją widownię, a nie w drzwi. Joanna przeszła na palcach obok wejścia do pokoju i podeszła do drzwi oznaczonych napisem „Tylko dla personelu”.

– I wtedy chwycił moją dłoń i poprowadził mnie do przepięknego ogrodu – ciągnęła pani Davenport. – Wiedziałam, że to, co widzę, to nie sen ani halucynacja, że to się dzieje naprawdę. Oglądałam Tamtą Stronę. Wie pani, co wtedy powiedział Alvin?

Joanna nie miała ochoty tego wysłuchiwać. Otworzyła drzwi na klatkę schodową i dała nura do środka. Nic się nie zmieniło od czasu jej ostatniego pobytu w tym miejscu. Żółta taśma z napisem „Nie wchodzić” wciąż wisiała między poręczami, jasnoniebieskie, błyszczące schody za nią nadal wyglądały na świeżo malowane.

Na pewno wyschły, pomyślała i ostrożnie sprawdziła palcem. Farba od dawna była sucha jak pieprz, ale nie miało to znaczenia. Ludzie i tak na pewno uważali, że klatka schodowa jest zablokowana, co oznaczało, że Joanna ma całe schody dla siebie. Usadowiła się po lewej stronie półpiętra, skąd widziała drzwi, a następnie włączyła dyktafon.

– Relacja z doświadczeń granicznych, Joanna Lander, sesja czwarta, dwudziesty piąty lutego – zaczęła i zamilkła, wpatrując się w jasnoniebieskie schody. Myślała o szalupach.

Wiedziała o nich, jeszcze zanim obejrzała film, podobnie jak o Lightollerze i Murdochu. A także Lorraine Allison, przypomniała sobie. Pamiętała, jak się skarżyła: „Dlaczego nie kręcą filmów o prawdziwych ludziach, którzy zginęli na *Titanicu*, choćby o Johnie Jacobie Astorze i Lorraine Allison?”, na co Vielle spytała: „Jakiej Lorraine Allison?”, więc Joanna wytłumaczyła: „Miała sześć lat i była jedynym dzieckiem z kabin pierwszej klasy, które zginęło, a jej historia jest o wiele bardziej interesująca niż, tego głupiego Jacka i Rose!”

Znała opowieść o Lorraine Allison jeszcze przed filmem, więc wspomnienie nie mogło pochodzić z kina ani też z książek Maisie. Na pewno pojawiło się znacznie wcześniej. Z książki? Nie, na pewno o tym nie czytała, chociaż książka mogła odgrywać pewne znaczenie. Ktoś jej coś przeczytał albo opowiedział.

A to, co usłyszała, miało związek z tym, dlaczego widziała *Titanica*, a nie tunel kolejowy lub szpitalny korytarz. I było to coś ważnego.

Uznała, że takie przemyślenia prowadzą donikąd. Lepiej nagrać relację, opisać to, co widziała i słyszała. Włączyła dyktafon i zaczęła od początku.

– Znalazłam się w przejściu. Panowały ciemności. – Opisała nie słyszany dźwięk, światło pod drzwiami, ludzi. – Brodaty dżentelmen miał na sobie strój wieczorowy, z długim, eleganckim płaszczem, białym krawatem i kamizelką, natomiast kobieta nosiła długie białe rękawiczki i kremową suknię z perełkami. – Właśnie opisałaś sukienkę Kate Winslet, powiedziała sobie, wyłączając magnetofon. Zaczynasz konfabulować.

Przewinęła do słowa „kobieta” i wznowiła nagrywanie.

– Nosiła długą białą suknię, i zdawało się, że z jej ręki dobiega błyszczące światło. Spytała: „Sądziysz, że doszło do wypadku?”, a następnie zjawił się steward...

Nie, to nieprawda. Steward rozmawiał z kobietą w koszuli nocnej. Powiedziała: „Słyszałam wyjątkowo dziwny hałas”, a on odparł: „Tak,

proszę pani”, a potem podszedł brodacz, ale to też nieprawda, bo stała tam także kobieta w białych rękawiczkach...

Wyłączyła dyktafon i przycisnęła palce do czoła, usiłując przypomnieć sobie, gdzie stał mężczyzna z brodą oraz co powiedział steward.

Kobieta w nocnej koszuli odezwała się do stewarda, a potem podeszła do brodacza i spytała: „Słyszałeś to?” Mężczyzna odparł: „Sprawdzę, co się stało” i skinął na stewarda, aby się zbliżył. „Co się stało? Dlaczego stanęliśmy?”, zapytał go, a potem steward wyjaśnił, że nie ma powodów do niepokoju, a brodacz nakazał: „Idź poszukać pana Briarleya. On będzie wiedział, co się stało”.

– Pan Briarley – powtórzyła głośno. Jej nauczyciel od angielskiego w ostatniej klasie szkoły średniej.

Wciąż go widziała, jak stoi przed tablicą w swojej szarej tweedowej kamizelce oraz muszce, z ironicznie podniesionymi brwiami i mówi: „I cóż, panie Inman, może nam pan wyjaśnić, co się dzieje w *Pieśni o starym żeglarzu*?” Cisza. „Pani Lander? Pan Kennedy? Ktokolwiek?” Wciąż cisza. „Co to takiego?” Pan Briarley przykłada dłoń do ucha, nasłuchuje, a potem kręci głową. „Sądziłem, że to odpowiedź, ale to tylko orkiestra, grająca *Bliżej Ciebie, Panie*”.

Jak mogła o tym zapomnieć? Zapomnieć o panu Briarleyu, który stale mówił o *Titanicu* na swoich zajęciach, który przy każdej okazji wykorzystywał go jako metaforę. „Woda sięga do kotłów”, napisał kiedyś na jednym z jej wypracowań. „Umieścić kobiety w łodziach”. Zawsze opowiadał im historie o wprowadzaniu ludzi do łodzi ratunkowych i gasnących światłach, odczytywał długie teksty o orkiestrze i o *Californian*, a także pasażerach.

– Wiedziałam, że o tym nie czytałam – oznajmiła głośno Joanna. – Słyszałam, jak pan Briarley o tym mówił.

On znał odpowiedź. Powiedział coś o *Titanicu*, kiedyś na lekcji języka angielskiego, i...

– Muszę go znaleźć – postanowiła Joanna, wciskając dyktafon do kieszeni. – Spytam go, co mówił.

Pobiegła po schodach do dyżurnej pielęgniarki.

– Potrzebuję książki telefonicznej – wysapała.

– Z białymi czy żółtymi stronami? – spytała Eileen. – Nic pani nie jest?

– Wszystko w porządku. Z białymi.

Eileen położyła przed sobą ciężką książkę telefoniczną, a Joanna energicznie przeszukała nazwiska na literę B, usiłując przypomnieć sobie imię pana Briarleya. Nie miała pewności, czy kiedykolwiek je słyszała. Nazywała go po prostu pan Briarley, dla niej nie miał imienia, podobnie jak wszyscy nauczyciele. Bo, Br...

Zadźwięczał dzwonek. Eileen wyciągnęła rękę, aby uciszyć alarm.

– Muszę iść do pacjenta. Na pewno nic pani nie jest?

– Czuję się świetnie – mruknęła Joanna, przesuwając palec po kolejnych nazwiskach na Br. Braun, Brazelton.

– To dobrze – stwierdziła Eileen. – Proszę później zostawić książkę na biurku. – Wyszła do pacjenta.

Breen. Brentwood. Joanna miała nadzieję, że nie natrafi na listę kilkudziesięciu Briarleyów. Brethauer. Niepotrzebnie się przejmowała. Nie znalazła żadnego. Zaraz po Brianie widniało nazwisko Briceno. Uznała, że pewnie ma zastrzeżony numer, aby uniknąć dowcipnych telefonów od swoich uczniów. Musiała porozmawiać z nim w szkole.

Zerknęła na zegarek. Trzecia. Lekcje kończyły się piętnaście po trzeciej, a przynajmniej taki panował zwyczaj, kiedy chodziła do liceum, lecz od nauczycieli wymagano, aby zostawali przynajmniej do czwartej. Gdyby się pośpieszyła, jeszcze miała szansę zdążyć. Zamknęła książkę telefoniczną i pośpiesznie poszła korytarzem do windy, po drodze usiłując znaleźć w kieszeni kluczyki do samochodu.

Kluczyków nie było. Zostały w gabinecie, gdzie przed drzwiami czał się pan Mandrake, a zapewne także Richard. Muszę pożyczyć samochód, pomyślała i pobiegła z powrotem do stanowiska pielęgniarki dyżurnej, aby poprosić Eileen o pomoc. Nie zastała jej i nie miała czasu na poszukiwania. Pozostał tylko samochód Vielle. Skierowała się do windy.

– Świetnie się składa, pani doktor – odezwał się znajomy głos i Joanna wbiła przerażony wzrok w panią Davenport, podążającą do niej w swojej nocnej koszuli w pomarańczowo-żółto-jaskrawoniebieskie plamy. – Jest pani właśnie tą osobą, którą pragnęłam spotkać.

Rozdział 21

„Zapalcie światła. Nie chcę wracać do domu po ciemku”.

Ostatnie słowa O. Henry’ego
(William Sydney Portera)

Tak to jest, kiedy nie patrzy się, dokąd się idzie, pomyślała Joanna. „Należy zwracać szczególną uwagę na swoje otoczenie”, głosił szpitalny okólnik, dotyczący ochrony przed nieobliczalnymi pacjentami oddziału nagłych wypadków, nafaszerowanymi rogue. Joanna powinna była wziąć sobie do serca te słowa.

– Przypomniałam sobie kolejne szczegóły moich wspomnień z doświadczeń granicznych – obwieściła pani Davenport, wpychając się idealnie pomiędzy Joannę i windę. W tej koszuli wygląda jak skan RJPT, pomyślała Joanna.

– Po tym, jak Świetlisty Anioł ukazał mi kryształ, mój wuj Alvin poprowadził mnie do błyszczącej szarej zasłony, a kiedy ją rozsunął, ujrzałam salę operacyjną i wszystkich lekarzy ratujących moje martwe ciało, i wtedy...

– Pani Davenport – przerwała Joanna. – Mam ważne spotkanie.

– ...wtedy Alvin powiedział: „Tu, po Tamtej Stronie, wiemy wszystko, co się dzieje na Ziemi – ciągnęła pani Davenport, jakby Joanna w ogóle się nie odezwała – i wykorzystujemy naszą wiedzę do tego, aby chronić i prowadzić żywych”.

– Przed czwartą muszę się znaleźć po drugiej stronie miasta – oświadczyła Joanna, spoglądając znacząco na zegarek.

– „Musisz tylko słuchać, a my do ciebie przemówimy”, oznajmił Alvin i miał rację. Kilka dni temu poinformował mnie, gdzie jest mój kolczyk z perłą, który uznałam za stracony.

Ciekawe, czy może mnie poinformować, jak się uwolnić od jego bratanicy.

– Żałuję, że nie mogę zostać, pani Davenport, ale naprawdę na mnie już pora.

– Dwie doby temu, dokładnie w połowie nocy, usłyszałam, jak mówi: „Obudź się”. Kiedy spojrzałam na zegarek, wskazywał trzecią nad ranem.

Pani Davenport najwyraźniej nie zamierzała jej puścić. Joanna musiała ją po prostu obejść. Tak też zrobiła. Pani Davenport podążyła za nią, wciąż opowiadając.

– A potem usłyszałam, jak mówi, zupełnie jakby był ze mną w pokoju, „Włącz telewizor”. Posłuchałam go, i wie pani, co właśnie leciało?

Telezakupy?, odpowiedziała w myślach Joanna. Wcisnęła przycisk „dół”.

– Program o paranormalnych zdarzeniach. To dowód na to, że ludzie, którzy odeszli, wciąż utrzymują z nami kontakt.

Drzwi windy się rozsunęły, a Joanna niemal wskoczyła do środka, modląc się, aby pani Davenport nie poszła w jej ślady.

– A dzisiaj rano usłyszałam, jak Alvin mówi...

Zamykające się drzwi uniemożliwiły pacjentce przekazanie wiadomości od Alvina. Joanna wcisnęła „P”, a kiedy drzwi się otworzyły, pobiegła na oddział nagłych wypadków, modląc się, aby nikt nie zapadł w stan śmierci klinicznej i Vielle nie musiała go teraz reanimować.

Nikt nie wymagał reanimacji, więc Vielle zajęła się czymś innym. Wrzeszczała na stażystę.

– Kto ci pozwolił się do tego zabierać? – ryczała.

– Eee... eee... nikt – dukał stażysta. – Na akademii medycznej ...

– Nie jesteś na akademii medycznej – przerwała Vielle. – Tylko na moim oddziale.

– Wiem, ale on był... – Przerwał i spojrzał z nadzieją na Joannę, jakby licząc na to, że go uratuje.

– Przepraszam. – Joanna zwróciła się do Vielle. – Mogę pożyczyć twój samochód?

– Jasne. – Vielle zgodziła się od razu, a potem przykazała stażystę: – Zostań tutaj. Niczego nie ruszaj. – Ruszyła na drugą stronę oddziału. – Kluczyki są w mojej szafce. Co się stało? Zdechł, tak?

– Kto? – spytała Joanna, podążając za nią przez poczekalnię. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Vielle miała na myśli samochód. – Nie, jest w porządku.

Błąd. Vielle odwróciła się, a jej ręka znieruchomiła na zamku szyfrowym w szafce. Ściągnęła brwi.

– Więc dlaczego chcesz pożyczyć mój? To nie ma nic wspólnego z tą sceną z *Titanica*, o którą mnie pytałaś, prawda?

– Po prostu nie chcę chodzić do gabinetu po kluczyki. Pan Mandrake się tam zaczął, a ja nie chcę z nim rozmawiać – wyjaśniła wymijająco.

– Trudno się dziwić. – Vielle powróciła do wybierania kombinacji. – O której wrócisz? – Pogrzebała w portmonetce i wyciągnęła kluczyki, które wrzuciła do ręki Joannie. – Kończę o siódmej.

– Gdzie parkujesz?

– Od północy, drugi lub trzeci rząd, nie pamiętam. Dokąd jedziesz?

– Wrócę za jakąś godzinę – odparła Joanna i pobiegła na parking.

Samochód Vielle stał na samym końcu czwartego rzędu i zanim Joanna go znalazła, uruchomiła i ruszyła na południe miasta do Englewood, zrobiło się już wpół do czwartej. Wyjdzie, zanim dojadę, pomyślała, ale pan Briarley zawsze zostawał dłużej niż reszta nauczycieli, a nawet gdyby go nie zastała, jego numer telefonu i adres mogła uzyskać w sekretariacie. Przebywanie w pewnych miejscach mogło przywołać najrozmaitsze wspomnienia – samo znalezienie się w starej sali od angielskiego mogło ożywić pamięć Joanny. To było coś, co powiedział podczas wykładu, stwierdziła w myślach, skręcając na zachód do Hampden. Albo jakiś fragment tekstu, który odczytał na głos.

W każdej chwili mógł zacząć padać śnieg. Joanna zaparkowała jak najbliżej drzwi, prowadzących do sal od angielskiego i podeszła do drzwi. Szarpnęła je, lecz były zamknięte na klucz. Na szybie widniał drukowany napis: „Osobom postronnym wstęp wzbroniony. Proszę się zgłosić do głównego sekretariatu”. Mapka ze strzałkami wskazywała, jak tam dotrzeć – wiązało się to ze spacerem dookoła budynku.

Szkoła znacznie się rozbudowała od czasów Joanny. Obeszła długie skrzydło, zakończone nowym audytorium, i wreszcie dotarła do frontowych drzwi. Obok nich wisiała tabliczka z napisem „Liceum w Dry Creek” oraz skaczący tygrys w szkarłatno-złote pasy.

Szkarłatno-złote, przeszło Joannie przez myśl, i nagle przypomniała sobie Sarah Dix oraz Lisę Meinecke w strojach czirliderek, wchodzące do klasy w połowie lekcji. Pan Briarley odłożył wówczas podręcznik na biurko i spytał:

– Gdzie Assyrczycy?

– Jacy Assyrczycy? – Lisa i Sarah spojrzały na siebie zaskoczone.

– Wasz hufiec. „Assyrczyk na Judeę jako wilk się miota, Huf jego od szkarłatu połyska i złota”{6} – wyrecytował pan Briarley, wskazując na krótkie spódniczki ze szkarłatno-złotymi plisami.

Wiedziałam, że to ma jakiś związek z liceum, zatriumfowała Joanna. Richard się myli. To wspomnienie ma treść. Ono coś oznacza, a pan Briarley zna wyjaśnienie. Otworzyła jedno skrzydło podwójnych drzwi i weszła na korytarz wyłożony złotą wykładziną. Na trzy poziomy szkoły można było dotrzeć po szerokich drewniano-stalowych schodach, prowadzących do góry i na dół. Przy wejściu stała bramka do wykrywania metali.

Przy urządzeniu stał ochroniarz w mundurze i czytał książkę *W niebezpieczeństwie*. Po wejściu Joanny odłożył lekturę i włączył wykrywacz.

– Przepraszam, gdzie znajdę sekretariat? – spytała.

Strażnik w milczeniu pokazał jej torebkę. Wręczyła mu ją, wyobrażając sobie podobny system zabezpieczeń na oddziale wypadków, a potem zastanawiając się, w jaki sposób sanitariusze mogliby przewieźć przez bramkę metalowy wózek. No dobrze, może wykrywacz metali się nie nadawał, ale coś należało tam zainstalować.

Ochroniarz rozpiął torebkę, po kolei przeszukał wszystkie przegródki i zwrócił Joannie jej własność.

– Szukam nauczyciela, który pracował tutaj, kiedy chodziłam do szkoły. Pana Briarleya.

Strażnik nakazał Joannie przejść przez bramkę.

– Pójdzie pani na górę tymi schodami i skręci w lewo – wyjaśnił i podniósł książkę.

Tam znajdę pana Briarleya? Joanna zdumiała się, wspinając się po schodach, ale oczywiście ochroniarzowi nie chodziło o nauczyciela, tylko o sekretariat. Szerokie oszklone pomieszczenie w niczym nie przypominało zapamiętanej przez nią ciasnej nory sekretariatu dyrektora. Na szybie wisiała umocowana taśmą samoprzylepną kartka z napisem: „Przed wejściem do budynku wszyscy odwiedzający muszą uzyskać przepustkę”.

Joanna weszła do środka.

– Słucham panią – odezwała się siedząca przy komputerze kobieta w średnim wieku.

– Szukam pana Briarleya – wyjaśniła Joanna, a na widok pytającego spojrzenia kobiety dodała: – On tutaj uczy.

Kobieta podeszła do blatu i przejrzała zafoliowaną listę.

– Nie pracuje u nas żadna osoba o takim nazwisku.

Joanna nawet nie brała pod uwagę takiej ewentualności.

– Nie wie pani, czy się przeprowadził, czy może przeszedł na emeryturę?

Kobieta pokręciła głową.

– Pracuję tu zaledwie od roku. Może pani sprawdzi w administracji.

– A gdzie jest administracja?

– Na Bannock Street czterdzieści pięć dwadzieścia dwa. Ale o czwartej kończą pracę.

Joanna spojrzała na zegar ścienny nad głową kobiety. Wskazywał za pięć czwarta.

– A może jakiś inny nauczyciel, który tutaj pracował razem z panem Briarleyem? – Joanna z całych sił usiłowała sobie przypomnieć nazwiska swoich pedagogów. – Może pan Hobert? Albo pani Husted? – Jak się nazywał jej pan od WF, ten, którego wszyscy nienawidzili? Jakiś kolor. Pan Green? Pan Black? – A może pan Black?

Kobieta przejrzała listę.

– Niestety. Przykro mi.

– W takim razie nauczyciel angielskiego. Pan Briarley uczył w klasie maturalnej. Kto się tym teraz zajmuje?

– Pani Forrestal, ale już wyszła.

– Może mi pani podać jej domowy numer telefonu?

– Nie jestem upoważniona do przekazywania takich informacji. Proponuję, aby skontaktowała się pani z administracją. Jest czynna od dziesiątej – wyjaśniła i wróciła do komputera.

– Dziękuję. – Joanna wyszła na korytarz. I co teraz?, zastanowiła się, kierując się ku schodom. Administracja jest nieczynna do jutra do dziesiątej, a tam mogła się dowiedzieć dokładnie tego samego: że nie są upoważnieni do przekazywania takich informacji.

Zeszła po schodach do wyjścia. Pogrążony w lekturze ochroniarz nawet nie podniósł głowy. Będzie musiała przyjść jutro, podczas lekcji, i spotkać się z panią Forrestal – o ile w sekretariacie wydadzą jej przepustkę. Poza tym nie miała żadnych gwarancji, że pani Forrestal dysponuje adresem pana Briarleya. Albo że udostępni go Joannie. Muszę pochodzić po korytarzach i

porozmawiać z nauczycielami, aż wreszcie znajdę kogoś, kto go znał, zdecydowała Joanna.

Zatrzymała się z ręką na poręczy i spojrzała na ochroniarza. Wciąż jej nie widział. Po cichu weszła z powrotem na górę, żałując, że sekretariat jest całkowicie oszklony. Na szczęście kobieta, z którą rozmawiała, wciąż siedziała przy komputerze i coś pisała. Joanna szybko przeszła pod oknami i dotarła do klatki schodowej na przeciwległym końcu korytarza. To żalosne, pomyślała, gdy wbiegała po schodach. Złapią cię i wyrzucą z budynku. Albo gorzej, poprawiła się, przypominając sobie kaburę pod pachą ochroniarza.

Kiedy zatrzymała się na szczycie schodów, aby złapać oddech, nie słyszała ani krzyków, ani wrzasków, ani nawet odgłosu kroków za sobą. Wyszła na korytarz. Klasy od angielskiego znajdowały się na północnym krańcu szkoły, na pierwszym piętrze. Weszła piętro wyżej i ruszyła korytarzem, poszukując czegoś znajomego.

Licea najwyraźniej projektowali ci sami architekci, co Szpital Miłosierdzia. Wszędzie rozciągały się łączniki między skrzydłami i korytarze pełne szafek. Jednakowe hole różniły się od siebie wyłącznie wiszącymi na ścianach plakatami, które od czasów Joanny wyraźnie się zmieniły. Znikły wycięte serca, reklamujące potańcówkę walentynkową lub sprzedaż ciast wykonanych przez drugoklasistów. Na wszystkich widniały numery gorących linii w sprawie gwałtu lub informacje o oznakach anoreksji albo tendencji samobójczych. „Znasz kogoś zagrożonego?”, pytało kilka plakatów.

Drzwi do większości sal były zamknięte. Zajrzała przez jedno z nielicznych otwartych, lecz nikogo w środku nie zobaczyła. Korytarz niespodziewanie skręcał pod kątem prostym obok plakatu piętnującego jazdę po alkoholu: „Możesz uratować życie!” Weszła po czterech schodkach i znowu skręciła. Joanna nie miała pojęcia, gdzie się znalazła, a w pobliżu nie dostrzegła nikogo, kto mógłby jej wyjaśnić, dokąd powinna iść. Korytarze świeciły pustkami.

To dlatego, że ludzie nie mogą wejść do środka, pomyślała Joanna, naciskając klamki pozamykanych na klucz drzwi. Korytarz kończył się klatką schodową z jasnyniebieskim transparentem z pytaniem: „Potrzebujesz pomocy?” Joanna zdecydowała się zejść niżej i znalazła się przed salą orkiestry. W środku stało zniszczone pianino, otoczone półkolem krzeseł i stojaków na nuty. Pod ścianą ktoś postawił tubę.

– Przepraszam bardzo. – Joanna zwróciła się do łysiejącego mężczyzny z nadwagą, porządkującego nuty na pianinie. Nie знаła go, lecz wyglądał na osobę w odpowiednim wieku, aby pamiętać pana Briarleya. Poza tym sprawiał wrażenie pogodnego. – Szukam pana Briarleya. Kiedyś uczył tutaj angielskiego. Zastanawiałam się, czy może wie pan, jak mogłabym się z nim skontaktować, panie...

– Crenshaw. Ma pani przepustkę? – Spojrzał wymownie na kołnierz jej swetra.

– Nie – odparła Joanna i pośpiesznie dodała: – Widzi pan, lekcje angielskiego w mojej klasie maturalnej prowadził właśnie pan Briarley. Był moim ulubionym nauczycielem i chciałam...

– Nikt nie może przebywać na terenie szkoły bez ważnej przepustki. – Pan Crenshaw nadal surowo się wpatrywał w jej klatkę piersiową. – Tak głośni regulamin.

– Ja tylko... – zaczęła Joanna, lecz pan Crenshaw zdążył już otworzyć drzwi.

– Nie ma pani tutaj czego szukać. Proszę wrócić do sekretariatu i się zarejestrować. Pójdzie pani tym korytarzem – pokazał palcem – potem skręci w prawo, zejdzie schodami i znowu skręci w prawo. – Wskazał jej drzwi. – Wolałbym uniknąć konieczności wzywania ochrony.

Skrzyżował ręce na ramionach i wpatrywał się w nią cały czas, gdy odchodziła korytarzem, a potem skręcała w prawo.

Miała rację w jednej sprawie – nie miała tutaj czego szukać. Szukała w niewłaściwym miejscu. Pana Briarleya tu nie było i doskonale wiedziała, dlaczego zrezygnował z pracy. Mogła sobie wyobrazić jego reakcję na przepustki i wykrywacze metali.

Skręciła w prawo i przeszła korytarzem, lecz nie zauważyła żadnych schodów. Korytarz rozdwajał się na boki. Pan Crenshaw powiedział, aby iść w prawo, więc poszła w prawo i doszła do drzwi oznaczonych napisem: „Wyjście ewakuacyjne. Uwaga, alarm”. Wróciła i skierowała się w lewą odnogę korytarza, zastanawiając się, o której godzinie zamykają główne wejście.

Krążyła po prawdziwym labiryncie, takim, w którym można się zgubić na zawsze. Zapragnęła spotkać innego pana Crenshawa, który nakaze jej opuścić budynek. Przynajmniej poprosiłaby o odprowadzenie do wyjścia. W klasach nie zauważyła jednak nikogo. Wszystkie drzwi pozamykano na klucz.

Ten korytarz również okazał się ślepy. Na jego końcu znajdował się oszklony pokój. Gabinet zastępcy dyrektora? Nie, jego gabinet znajdował się w połowie korytarza. Biblioteka, pomyślała, rozpoznając pomieszczenie, pomimo napisu: „Centrum zasobów multimedialnych”. Tam, gdzie wcześniej stały stoliki, teraz ustawiono komputery. Nie widziała też żadnych książek, a mimo to miała przed sobą tę samą bibliotekę. Oznaczało to, że znalazła się na południowym krańcu budynku, w punkcie najbardziej oddalonym od sal języka angielskiego.

Ale przynajmniej знаła to miejsce, a drzwi były otwarte. Zdjęła kardigan, przewiesiła go przez rękę, aby bibliotekarka uznała, że przepustka jest ukryta w swetrze, i weszła do środka. Bibliotekarka była młodsza niż Joanna, lecz przynajmniej nie wbiła od razu wzroku w jej klatkę piersiową.

– Zamykamy – oznajmiła na powitanie. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Wątpię – odparła Joanna, dochodząc do wniosku, że powinna od razu spytać o drogę do sekretariatu. I poprosić o mapę. – Szukam pana Briarleya. Kiedyś uczył tutaj angielskiego w klasach maturalnych.

– A tak, pan Briarley – potwierdziła bibliotekarka. – Mój mąż chodził tutaj do szkoły. Miał z nim lekcje. Nie cierpiał go.

– Nie wie pani, gdzie można go znaleźć?

– Skąd. Kiedy zaczęłam tutaj pracować, już go nie było. Wydaje mi się, że ktoś kiedyś wspomniał, że umarł.

Umarł. Jakoś nigdy nie wzięła pod uwagę takiej ewentualności, co było dziwne, zważywszy na to, że wciąż zajmowała się śmiercią.

– Jest pani pewna?

– Chwileczkę – rzekła bibliotekarka i podeszła do półek. – Myra? To nie ty mi mówiłaś, że pan Briarley zmarł? Ten nauczyciel angielskiego?

Zza półek wyłoniła się siwa kobieta ze stosem książek przyciśniętym do piersi.

– Pan Briarley? Nie. Przeszedł na emeryturę.

– Nie orientuje się pani, jak można się z nim skontaktować? – dopytywała się Joanna. – Czy zna pani kogoś, kto mógłby udostępnić mi jego adres?

Kobieta pokręciła głową.

– Wszyscy, którzy mogliby to wiedzieć, już odeszli. Trzy lata temu rada miasta zaproponowała im przejście na wcześniejszą emeryturę i wszyscy o stażu pracy dłuższym niż dwadzieścia lat przyjęli propozycję.

– I właśnie wtedy pan Briarley przeszedł na emeryturę? Trzy lata temu?

– Nie, jeszcze wcześniej. Nie wiem kiedy.

– No cóż, dziękuję pani bardzo. – Joanna wyciągnęła z kieszeni swoją wizytówkę i wręczyła kobiecie. – Jeśli przypomni pani sobie o kimś, kto mógłby wiedzieć, jak znaleźć pana Briarleya, proszę o telefon pod ten numer.

– Wątpię, czy jest ktoś taki. – Myra schowała wizytówkę do kieszeni, nawet na nią nie patrząc.

Joanna podeszła do drzwi. Młoda bibliotekarka już zamykała. Przekręciła klucz, aby wypuścić Joannę.

– Czy dowiedziała się pani czegoś?

Joanna pokręciła przecząco głową.

– Kiedyś mieszkał przy uniwersytecie. Przy jakiejś okazji mój mąż pokazał mi jego dom.

Pager Joanny zaczął piszczeć. Nie teraz, pomyślała, grzebiąc w torbie. Wyciągnęła urządzenie i je wyłączyła.

– Pani mąż pokazał pani, gdzie jest dom pana Briarleya?

Bibliotekarka przytaknęła z uśmiechem.

– Na dzień przed rozdaniem świadectw maturalnych mój mąż podkraść się tam wieczorem razem ze swoimi przyjaciółmi i obrzucił jego dom jajami.

– Pamięta pani adres? – dopytywała się gorączkowo Joanna.

– Nie. Nie pamiętam też nazwy ulicy. To było tuż obok parku z obserwatorium.

– Pamięta pani, jak wyglądał budynek?

– Był zielony. – Bibliotekarka przymknęła oczy w zamyśleniu. – Albo biały z zielonymi elementami. Nie przypominani sobie. Na podwórku rosła wierzba płacząca. O ile się nie mylę, budynek stał od zachodu.

– Bardzo pani dziękuję. – Wyszła, ale zanim bibliotekarka za nią zamknęła, Joanna odwróciła się i wsunęła dłoń w drzwi. – Jedną chwilę. Jeszcze tylko krótkie pytanie. Czy po otwarciu drzwi na dwór uruchamia się alarm?

– Nie – zaprzeczyła zaskoczona bibliotekarka. Joanna przeszła korytarzem i wyszła na zewnątrz pierwszymi drzwiami, które napotkała. Wciąż padał śnieg, a ona znalazła się oczywiście po przeciwnej stronie budynku niż samochód, ale to nie miało znaczenia. Wiedziała, gdzie mieszka pan Briarley. Przy uniwersytecie. Park z obserwatorium. Nie znała

nazwy ulicy, ale wiedziała, gdzie jest ten park, a obserwatorium można było zobaczyć z Evans.

Pojechała do uniwersytetu i skręciła na północ. Dom z zielonymi elementami i płaczącą wierzwą na podwórzu. Chyba że go przemalowano. Albo wierzba uschła. Albo zmarł pan Briarley. „Wydaje mi się, że ktoś kiedyś wspomniał, że umarł”, powiedziała bibliotekarka. Co prawda tą osobą nie była Myra, lecz mogła usłyszeć tę informację od kogoś innego. Kiedy Joanna chodziła na jego lekcje, był mężczyzną w średnim wieku, a minęło przeszło dziesięć lat. Możliwe, że przeszedł na emeryturę z powodu choroby. Albo rok później zachorował i umarł.

Mógł się też wyprowadzić, pomyślała i skręciła na wschód do Iwans. Zaglądała w boczne uliczki, usiłując wypatrzeć park. Jeszcze kilka lat temu w tej dzielnicy mieszkali ludzie zamożni, lecz teraz wiele domów podzielono na mieszkania. Na niemal każdym podwórku stała tablica z napisem: „Mieszkanie do wynajęcia”. Wszystko wskazywało na to, że park zlikwidowano.

Nie, jednak nie. Kopuła obserwatorium nadal znajdowała się na końcu parku, lecz przy domu na rogu ustawiono tabliczkę „Do wynajęcia”. Przed budynkiem stał zardzewiały cadillac.

Dostrzegła park zbyt późno. Podjechała do następnej ulicy, skręciła na południe i zawróciła, wypatrując wierzwy i żałując, że nie spytała bibliotekarki, czy dom stał na obrzeżach kwartału czy gdzieś w środku.

Zielony dom z wierzwą. Najprawdopodobniej oznaczało to jednopiętrowy ceglany budynek z dziką jabłonią. Albo chodziło o zupełnie innego nauczyciela. „Mój mąż go nie cierpiał!”, przyznała bibliotekarka, co nie pasowało do pana Briarleya. Bywał sarkastyczny, a jego klasówki zawsze sprawiały trudności, lecz uczniowie raczej go lubili. Uwielbiał go nawet Ricky Inman, którego niewyparzony język wpędzał go w kłopoty przynajmniej dwa razy w półroczu. Powszechnie nienawidzono pana Browna.

Właśnie tak się nazywał nauczyciel WF, pan Brown, a nie Black. Nic dziwnego, że sekretarka nigdy o nim nie słyszała. To dowód na zawodność pamięci. Dom wskazany przez męża bibliotekarki może stać za jakimś magazynem albo kawiarnią Starbucks, w otoczeniu jodeł.

Zawróciła do Fillmore. Pan Brown. Jeśli poszukiwania domu spełzną na niczym, może sprawdzić, czy pan Brown wciąż pracuje w liceum. Mawiał,

że nigdy nie przejdzie na emeryturę, groził, że będą go musieli wynieść ze szkoły nogami do przodu. Z całą pewnością tam jeszcze będzie.

Dom stał na swoim miejscu, pośrodku kwartału. Był to dwupiętrowy budynek z szerokim gankiem. Joanna zatrzymała samochód przy krawężniku. Dom pomalowano na jasnozielony kolor, a przed wejściem stała najprawdziwsza wierzba. Pod warstwą śniegu wyglądała jak biała fontanna.

To nie oznacza, że pan Briarley wciąż tu mieszka, myślała Joanna, wysiadając z samochodu i idąc chodnikiem. Wiele wskazywało na to, że jej poszukiwania zakończyły się porażką. Na ganku stał rower, a kiedy zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej dziewczyna w dżinsach i cienkiej flanelowej koszuli. Nie nosiła obuwia i miała krótkie jasne włosy, takie same jak Maisie.

Pan Briarley był kawalerem. „Pani Austen ma słuszość w sprawie ludzkich poglądów na temat kawalerów”, przyznał, kiedy przerabiali *Dumę i uprzedzenie*. „Niemniej zapewniam was, że wielu mężczyzn, w tym ja, nie chce wchodzić w związek małżeński. Żony przekładają książki i potem nie można ich znaleźć”. Zresztą dziewczyna była zbyt młoda na żonę pana Briarleya, czy też kogokolwiek innego. Wyglądała na jakieś siedemnaście lat.

– W czym mogę pomóc? – spytała ostrożnie dziewczyna. Charakteryzowała się subtelną urodą, lecz była zbyt chuda. Spod koszulki wystawały ostre obojczyki.

– Czy mieszka tutaj pan Briarley? – zapytała Joanna, chociaż nie ulegało wątpliwości, że nie.

– Tak – odparła dziewczyna.

– Och... och. – Joanna zająknęła się ze zdumienia. – Jestem jego byłą uczennicą. – Mówiąc to, zdała sobie sprawę, z dziewczyna nie poruszyła się, aby otworzyć drzwi. Uchyliła je tak, jakby Joanna była domokrądcą, któremu pod żadnym pozorem nie wolno umożliwić wejścia do środka.

– Nazywam się Joanna Lander. Pan Briarley uczył mnie angielskiego w liceum. Mogę z nim zamienić kilka słów?

– Sama nie wiem... – zawahała się dziewczyna. – Czy chodzi o coś, co sama mogłabym wyjaśnić?

– Niestety. Pan Briarley był moim nauczycielem w klasie maturalnej i chciałabym zadać mu kilka pytań dotyczących lekcji.

– Pytań?

– Zgadza się. Ale nie chodzi mi o ocenę, którą dostałam na koniec roku, ani nic takiego. Już na to za późno. – Zaśmiała się, wiedząc, że robi z siebie idiotkę. – Pracuję w Szpitalu Ogólnym Miłosierdzia Bożego i...

– Czy przysłała panią moja matka?

– Matka? – powtórzyła niepewnie Joanna. – Nie, tak jak mówiłam, pan Briarley był moim nauczycielem. Poszłam do szkoły, żeby się dowiedzieć, czy wciąż uczy, a jedna z bibliotekarek poinformowała mnie, gdzie on mieszka. Znalazłam właściwy dom, prawda? Pan Briarley, którego szukam, uczył angielskiego w liceum w Dry Creek.

– Tak, ale obawiam się, że on nie może...

– Ktoś przyszedł? – Z głębi domu wydobył się męski głos.

– Tak, wujku Pat! – odkrzyknęła dziewczyna, a Joanna pomyślała, że to nie może być prawdziwy pan Briarley. Nie mogła go sobie wyobrazić jako czyjegokolwiek wujka, nie mówiąc już o nazywaniu go wujkiem Patem.

– Kto to? – odezwał się głos i tym razem Joanna go rozpoznała. To był pan Briarley. Wujek Pat.

– Czy to Kevin? – zainteresował się pan Briarley.

– Nie, wujku Pat, to nie Kevin – wyjaśniła dziewczyna. – Obawiam się, że to nie jest odpowiedni...

– Powiedz mu, żeby wszedł – polecił pan Briarley i stanął w drzwiach. Wyglądał dokładnie tak samo jak dawniej, wciąż miał ciemne włosy, lekko siwiejące na skroniach, oraz sardonicznie wygięte brwi. Joanna mogłaby przysiąc, że ma na sobie identyczną tweedową kamizelkę.

Dziewczyna szerzej uchyliła drzwi.

– Wujku, to jest...

– Joanna Lander. Jestem pana byłą uczennicą. – Joanna wyciągnęła rękę.

– Nie sądzę, aby mnie pan pamiętał. Dwanaście lat temu chodziłam na pańskie lekcje angielskiego dla klas maturalnych. W drugim semestrze – dodała niepotrzebnie.

– Mam wyśmienitą pamięć – oznajmił. – Kit, dlaczego trzymasz panią na mrozie? Gości należy wpuszczać do domu. Otwórz drzwi.

Kit otworzyła drzwi na całą szerokość i Joanna weszła do wąskiego przedpokoju.

– Zapraszam do biblioteki – powiedział pan Briarley i zaprowadził Joannę do pokoju, wyglądającego dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Na trzech ścianach wisały półki z książkami, od podłogi do sufitu, a na czwartej, między oknami, znajdowały się ryciny opactwa Westminster i

teatru Globe. W pokoju stało mahoniowe biurko i dwa ciemnoczerwone skórzane fotele, obydwie zawałone stosami książek. Książki leżały także na dwóch małych stolikach, na szerokim parapecie i na podłodze.

Kit pośpiesznie zdjęła książki z jednego z foteli, robiąc miejsce Joannie. Pan Briarley usiadł naprzeciwko, a przy nim stanęła Kit. Wciąż ostrożnie wpatrywała się w Joannę.

Joanna miała teraz możliwość lepiej się przyjrzeć dziewczynie i ogarnęły ją wątpliwości, czy trafnie oceniła jej wiek. Pod oczyma Kit dostrzegła bladoniebieskie cienie, a wokół ust smutne zmarszczki. Z tyłu, na jednej z półek stało zdjęcie przedstawiające ją z naręczem książek. Fotografie wykonano przed budynkiem miejscowego uniwersytetu. Na innym zdjęciu widniała Kit z młodym mężczyzną. Być może Kevinem, o którym pan Briarley wspomniał z głębi domu. Na obydwu ujęciach Kit wyglądała dziesięć kilogramów zdrowiej i znacznie weselej. Co się stało od tamtego czasu? Anoreksja? Narkotyki? Czy właśnie dlatego tutaj mieszkała? Joanna nie potrafiła wyobrazić sobie pana Briarley a jako rehabilitanta, ale z drugiej strony nie wyobrażała go sobie także jako czyjegokolwiek wujka. W dodatku dziewczyna dziwnie nieprzyjemnie zareagowała na wieść, że Joanna pracuje w Szpitalu Miłosierdzia.

– Jestem bardzo wdzięczna, że chce mnie pan wysłuchać – zaczęła Joanna. – Zadzwoiłabym do pana, ale nie znam numeru telefonu. Pojechałam do liceum, bo pomyślałam, że jeszcze tam pan pracuje, ale poinformowano mnie, że przeszedł pan na emeryturę. Kiedy przeszedł pan na emeryturę?

– Pięć lat temu. – Kit odezwała się nie proszona.

Pan Briarley spojrzał na nią.

– Kit, nie stój tak. Zaproponuj naszemu gościowi...

– Herbatę – dokończyła pośpiesznie Kit. – Pani Lander, ma pani ochotę na filiżankę herbaty? Albo kawy?

– Ach, nie, dziękuję bardzo.

– Herbaty – stanowczo stwierdził pan Briarley. – „Śpiesząc się w Nimf towarzystwie napić się herbatki”^{7} – zacytował.

– *Pukiel porwany* – odezwała się Joanna, zadowolona, że pamięta. – Alexander Pope. Pamiętam, jak pan czytał nam jego utwory. A także „Pieśń o starym żeglarzu” Coleridge’a. Mój ulubiony wiersz. „Dokoła woda, woda. Deski paczyły się okropnie”^{8} – zaczęła i przerwała, czekając, aż nauczyciel wyrecytuje dwa kolejne wersy.

– Coleridge – mruknął. – Przeceniony romantyk. – Odwrócił się gwałtownie do Kit i spytał: – Gdzie moja herbata?

Takim tonem można się odzywać do służącej, pomyślała Joanna. Zaskoczona zerknęła na pana Briarleya, a potem na Kit, która odparła jedynie: „Zaraz przyniosę” i skierowała się do drzwi.

– Masz zagotować wodę – warknął pan Briarley. – Nie życzę sobie ciepławej herbaty z tej żalösnej...

– Kuchenki mikrofalowej – dokończyła Kit. – Dobrze, wujku Pat.

– Szybko. Nie będę czekał godzinami, Kit. Kit – powtórzył z pogardą, zwracając się do Joanny. – Co to ma być za imię? Tak się może nazywać breja do uszczelniania okien.

Co tu się dzieje?, zastanawiała się Joanna. Może trafiła w sam środek kłótni? Przypomniała sobie, że Kit nie chciała jej wpuścić do środka. Spojrzała wtedy dziewczynie w twarz, lecz nie dostrzegła w niej irytacji lub złości, tylko niepewność albo troskę. Poza tym Kit niechętnie otworzyła drzwi; ludzie zazwyczaj inaczej reagują na gości.

– Pośpiesz się, Kit. – Pan Briarley nieprzyjemnie zaakcentował jej imię. – Chcę porozmawiać ze swoją uczennicą.

– Wrócę za chwilę. – Kit posłała Joannie jeszcze jedno niespokojne spojrzenie i znikła.

Mam nadzieję, że nie zaczniesz teraz odnosić się w taki sposób do mnie, przeszło Joannie przez głowę, ale kiedy skierowała wzrok na pana Briarleya, uśmiechał się życzliwie.

– No dobrze. Co mogę dla pani zrobić? Powiedziała pani, że poszła do liceum...?

– Tak, szukałam tam pana.

– Już tam nie uczę. – W jego głosie zabrzmiał dziwny, niepewny ton, jakby nie potrafił w to uwierzyć. – „Ani ryba, ani drób, ani żywy, ani trup”.

Musi tęsknić za szkołą, pomyślała Joanna.

– Budynek wygląda zupełnie inaczej, nie do poznania. Nie wiem, czy pamięta pan moją klasę. Razem ze mną chodził do niej Ricky Inman, a także Candy Simons...

– Jak najbardziej pamiętam – potwierdził niemal zaczepnie.

– To dobrze, bo chciałam pana spytać o coś, co pan mówił na naszych lekcjach na temat...

– Herbata będzie gotowa za minutę. – W drzwiach stanęła Kit, niosąc przed sobą tacę. Na stopach miała wsuwane kapcie. Joanna zdjęła książki

ze stolika, a Kit położyła na nim tacę.

– Przyniosłam filiżanki, spodki i cukier – wyjaśniła niepotrzebnie.

Pan Briarley z irytacją obejrzał tacę.

– Zapomniałaś o...

– Łyżeczkach. – Kity rzuciła się do kuchni. – I serwetkach, zaraz wszystko przyniosę.

– Pamiętaj o mleku! – krzyknął za nią pan Briarley. – Czy zrobienie filiżanki herbaty naprawdę jest takie trudne? Myliłem się – zwrócił się do niej, gdy wróciła z dzbanuszkami i łyżeczkami. – Imię Kit doskonale do ciebie pasuje. Zgodzi się pani ze mną, że ona jest do kitu? – zwrócił się do Joanny.

Nie takiego pana Briarleya miała w pamięci. Bywał sarkastyczny, zgoda, czasami nawet uszczypliwy, ale nigdy złośliwy. Nigdy nie poniżyłby Ricky'ego Inmana tak bardzo, jak upokarzał Kit.

– Gotowa – oznajmiła Kit, wchodząc z imbrykiem. – Dla ciebie z cukrem i mlekiem, prawda wujku? – spytała i posłodziła herbatę, a następnie dolała mleka. Wręczyła mu filiżankę.

Joanna obawiała się, że pan Briarley poskarży się na nieodpowiednie proporcje, a także na temperaturę herbaty, która okazała się ledwie ciepła. Nie ulegało wątpliwości, że pomimo wyraźnych nakazów pana Briarleya Kit podgrzała wodę w kuchence mikrofalowej. Nauczyciel stracił jednak zainteresowanie napojem, a także ułomnościami Kit i jej imieniem. Odchylił się na krześle, filiżankę i spodek oparł na kolanie i z zamyśleniem wpatrywał się w rzędy książek.

– To bardzo miło, że wpadła pani odwiedzić wujka Pata – oświadczyła Kit i wyciągnęła rękę po na wpół opróżnioną filiżankę Joanny, jakby wizyta dobiegła końca.

– Nie przyszedł tylko w odwiedziny – wyjaśniła Joanna. – Chciałam spytać pana o coś, co pan mówił podczas lekcji angielskiego, czego pan uczył...

– Niemało w życiu uczyłem – odparł. – Definicji przysłówka, liczby stóp w białym wierszu, różnicy między asonansem i aliteracją... Nie wiem, o co pani konkretnie pyta.

– O coś związanego z *Titanikiem*.

– *Titanikiem*? – nagle spytała Kit.

– Tak, nie wiem, czy odczytał pan to z książki, czy wspomniał podczas wykładu. Pracuję w Szpitalu Ogólnym Miłosierdzia...

- W szpitalu? – Filizanka pana Briarleya zadzwęczała na spodku.
- Tak. Uczestniczę w projekcie badawczym, związanym z pamięcią i...
- Na widok miny swojego rozmówcy Joanna domyśliła się, że jej tłumaczenia są niewłaściwie odbierane. – Współpracuję z neurologiem, który...
- Mam świetną pamięć. – Pan Briarley spojrział na Kit tak, jakby obwinał ją za przyjście Joanny.
- Nie wątpię – potwierdziła Joanna. – Tak naprawdę właśnie na to liczę. Zapomniałam czegoś, czego pan nas uczył albo czytał nam. Mam nadzieję, że pamięta pan, co to takiego. To dotyczy *Titanica*. Pamiętam, że mówił pan coś o ludziach stojących na pokładzie po zderzeniu. Mieli na sobie koszule nocne oraz piżamy i nie wiedzieli, co się stało. Obudziło ich zatrzymanie silników. – Pochyliła się w stronę nauczyciela. – Czy pamięta pan, jak pan o tym mówił? Albo czytał coś takiego klasie?
- Pamiętam – wyjaśnił z przyganą – że rzadko kiedy miałem czas czytać Dickensa i Szekspira, a co dopiero książkę o *Titanicu*.
- Nie wiem, czy to była książka. Może chodzi o esej albo lekcję...
- Lekcję? O czym? O onomatopei rozrywania burty przez górę lodową? Albo opracowanie diagramu wrzasków tonących pasażerów? Jaki u licha istnieje związek między wrakiem statku i lekcją literatury angielskiej?
- A... ale przecież podczas lekcji wciąż pan o tym wspominał – wyjąkała Joanna. – Mówił pan o orkiestrze, i Lorraine Allison i *Californian*...
- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że obecnie podczas lekcji języka angielskiego uczy się wszystkiego z wyjątkiem angielskiego – dziecięcych wyliczanek, skandowanych pieśni indiańskich plemienia Nawaho oraz postmodernistycznego memłania. Czemu nie, można też uczyć o morskich katastrofach.
- Wujku... – zaczęła Kit, ale nawet jej nie usłyszał.
- Być może *Titanic* oraz Toni Morrison stanowią podstawę tematyki współczesnych lekcji angielskiego, ale na swoich zajęciach uczyłem o Wordsworcie i Szekspirze.
- Wujku...
- Pytała pani, kiedy przeszedłem na emeryturę. Odpowiem pani. Kiedy nie mogłem już dłużej znieść rzucania pereł angielskiej literatury przed wieprze z moich klas, kiedy nie potrafiłem ścierpieć ich odrażającej gramatyki i głupich pytań.

Policzki Joanny poczerwieniały z gniewu. Czy właśnie tak się zachowywał podczas ostatnich lat pracy w szkole? Jeśli tak, nic dziwnego, że uczniowie obrzucali jego dom jajami. Odstawiła filiżankę oraz spodek i wstała.

– Przepraszam, że pana niepokoiłam – stwierdziła sztywno.

– Odprowadzę panią do wyjścia – zaproponowała Kit i także wstała. Wyglądała na zakłopotaną.

– Dziękuję, sama trafię do wyjścia. – Joanna ruszyła do drzwi.

– Być może gdyby podczas moich lekcji bardziej pani uważała, pani Lander – usłyszała głos pana Briarleya, dobiegający z biblioteki – nie musiałyby pani...

Zatrzasnęła za sobą drzwi i przygarbiona poszła do samochodu. Część jej umysłu, która nie pogrążyła się we wściekłości, zarejestrowała, że zrobiło się późno i zapadał zmierzch. Wygrzebała z kieszeni kluczyki Vielle i otworzyła samochód.

– Proszę zaczekać!

Joanna podniosła wzrok. Na ganku stała Kit. Zbiegła po schodkach, a jej flanelowa koszula powiewała na wietrze.

– Niech pani nie odjeżdża! Proszę pani! – Podbiegła do Joanny. – Bardzo proszę, chcę pani wszystko wyjaśnić. – Położyła dłoń na otwartych drzwiach samochodu. – Bardzo panią przepraszam za to, co się przed chwilą stało. To wszystko moja wina. Nie powinnam była... – Z trudem łapała oddech. – Nie chcę, aby pani myślała...

– Niepotrzebnie narzucałam się państwu bez zapowiedzi – odparła Joanna. – Pan Briarley miał prawo rozżłościć się na mnie.

– Wujek Pat nie rozżłościł się na panią – zaprzeczyła.

– W takim razie świetnie udawał złość. Nie ma sprawy. Nie wątpię, jak kłopotliwy jest widok byłych uczniów, przychodzących do domu nauczyciela i zadających mu pytania o...

– Pani nie rozumie. On nie wiedział, o czym pani mówi. Cierpi na chorobę Alzheimera. Ma poważne zaniki pamięci. On...

– Alzheimera? – powtórzyła głucho Joanna.

– Tak. Nie wiedział, kim pani jest. Myślał, że pani jest lekarką – boi się, że będzie musiał iść do domu opieki. Właśnie dlatego tak się zdenerwował, pomyślał, że sprowadziłam panią, aby go zbadać.

– Alzheimera – powtórzyła Joanna, usiłując oswoić się z tym faktem. – Cierpi na chorobę Alzheimera?

Kit skinęła głową.

– Złość to jeden z objawów choroby. W ten sposób maskuje zaniki pamięci. Nie sądziłam, że coś go rozwścieczy. Spokojnie spędził dzień i... Jeszcze raz przepraszam.

To dlatego Kit się zawahała, kiedy Joanna oznajmiła, że chce porozmawiać z panem Briarleyem, dlatego kończyła rozpoczynane przez niego zdania i niepokoiła się, gdy usłyszała słowo szpital. Choroba Alzheimera.

– Ale przecież zacytował fragment poematu *Pukiel porwany* – wymamrotała Joanna i przypomniała sobie, że nie dokończył cytatu z *Pieśni o starym żeglarzu*. – Czy to bardzo zaawansowany stan?

– Niekiedy. Czasami zapomina tylko pojedynczych słów, a kiedy indziej jest z nim bardzo źle.

Bardzo źle. Mało powiedziane. Choroba Alzheimera oznacza powolne umieranie, któremu towarzyszy stopniowa utrata pamięci, zdolności mówienia, kontroli nad zaspokajaniem podstawowych potrzeb, a wreszcie paranoja i ślepotą. Przypomniała sobie jedną ze swoich pacjentek, której mąż zapadł na tę chorobę. W połowie wywiadu mężczyzna wstał i spytał przerażonym głosem: „Co ta obca osoba robi w moim domu? Kim pani jest? Czego pani chce?” Joanna pośpieszyła z wyjaśnieniami, lecz on nie zwracał się do niej. Mówił do swojej żony, z którą mieszkał od czterdziestu lat.

– Pani z nim mieszka? – spytała Joanna. – Opiekuje się nim?

Przytaknęła. Dlatego przeszedł na emeryturę, nagle uzmysłowiła sobie Joanna. Nie zrezygnował z pracy w szkole dlatego, że lokalne władze zaoferowały mu wcześniejszą emeryturę. Nie mógł już uczyć. Przypomniała sobie, jak podczas lekcji cytował z pamięci całe stronic *Makbeta* i *Pieśni o starym żeglarzu*. Daty, treść książek, metryka wierszy, dwuwiersze, cytaty. *Antologia literatury angielskiej* Briarleya, jak go nazywał Ricky Inman. Nie potrafi przypomnieć sobie słowa „łyżeczki”.

– Nie chciałam, żeby myślała pani, że on jest taki jak przed chwilą. – Kit zadrżała z zimna. W kamizelce i w kapciach musiała zmarznąć na kość.

– Niech pani lepiej wraca do domu. Zamarznie pani.

– Nic mi nie będzie. – Zaszczekała zębami. – Chciałam też poradzić, aby pani nie dawała za wygraną. On niekiedy przypomina sobie rozmaite rzeczy, zupełnie niespodziewanie, a czasami odpowiada na pytanie zadane mu wiele dni wcześniej, jakby jego umysł przez cały czas grzebał w

pamięci i wreszcie odnajdywał właściwą odpowiedź. On może pamiętać to, co panią interesuje. Mówiła pani, że to coś, co ma związek z *Titanikiem*?

– Tak. Pan Briarley powiedział lub przeczytał coś na głos...

– On jest... był... wielkim tytanikologiem. Jeśli przypomni sobie coś lub cokolwiek powie na ten temat, zadzwonię do pani. Pani pracuje w Szpitalu Miłosierdzia, tak?

– Podam pani numer telefonu. – Joanna wygrzebała z kieszeni długopis i jakąś kartkę. – Mam automatyczną sekretarkę. Proszę zostawić wiadomość.

– Nabazgrała kilka cyfr i wręczyła papier Kit. – Na pewno oddzwonię – a może nie powinnam?

– Proszę się nie martwić – uspokoiła ją Kit. – Jeśli to on podniesie słuchawkę, niech pani poprosi mnie do telefonu. – Podyktowała numer.

– Mam prosić Kit? – spytała Joanna. – A może pani ma na imię Katherine?

– Kit. Kit Gardiner. Otrzymałam imię na cześć Kita Marlowe’a, ulubionego pisarza wujka Pata. To on wybrał dla mnie imię.

I o tym zapomniał, pomyślała zdruzgotana Joanna.

– Zadzwonię, jeśli powie cokolwiek o *Titanicu*. – Kit wsunęła kartkę do kieszeni dzinsów.

– Będę bardzo wdzięczna.

– Kit! – krzyknął pan Briarley, stając w drzwiach. – Gdzie schowałaś moją *Tragiczną historię doktora Faustusa*? – Wyszedł na ganek.

– Zaraz ją znajdę, wujku – odkrzyknęła Kit i ruszyła do domu, otulając chude ciało flanelową koszulą. – Zadzwonię do pani.

– Dziękuję – odpowiedziała Joanna.

– Mówiłem ci, żebyś nie grzebała w moich książkach – odezwał się pan Briarley. – Nigdy nie mogę ich znaleźć.

Kit podbiegła kilka kroków. Joanna wsiadła do samochodu, przyglądając się, jak Kit wbiega na ganek, bierze wujka pod rękę i prowadzi do domu. Joanna wrzuciła jedynekę i zjechała z krawężnika. Minęła dwa kwartały i zaparkowała przy chodniku. Siedziała nieruchomo z rękami na kierownicy i wpatrywała się w szybko zapadający zimowy zmierzch.

Nie wiedział, co mówił o *Titanicu*. Jego pamięć szwankuje, stracił ją tak, jakby umarł. Bo umarł, umierał, sylaba po sylabie, jedno wspomnienie po drugim, zapominał o Coleridge’u, sarkazmie i słowie „cukier”. Nie pamiętał też, że sam nadał imię siostrzenicy.

To musi być męczarnia, zapominać wiersze i ludzi, którzy ukształtowali twoje życie. Z kolei męczarnią dla Kit musiało być obserwowanie tego procesu. Fakt, że pan Briarley nie pamiętał wykładu o *Titanicu*, stanowił najmniej istotny element tragedii, z którą zetknęła się Joanna. Ukryła twarz w dłoniach, nie z powodu Kit ani pana Briarleya, nie dlatego siedziała zrozpaczona w wyziębionym samochodzie, że dotknęła ich tragedia. Chodziło o jej własny problem.

Pan Briarley nie potrafił powtórzyć jej, co mówił o *Titanicu*. Nic wiedział tego. Nie pamiętał. To właśnie było istotne. Najistotniejsze.

Rozdział 22

„Pani pierwsza. Na panią czekają dzieci”.

Ostatnie słowa Edith Evans
do pani Johnowej Murrayowej Brown

Joanna pomyślała, że powinna wracać do szpitala, wciąż nie dokończyła swojej relacji. Mimo to siedziała w samochodzie, myśląc o panu Briarleyu. Kit wspomniała, że od czasu do czasu przypominał sobie rzeczy, których nie pamiętał dzień wcześniej. Może gdyby dłużej pytała go o to, co takiego powiedział...

Nie bądź śmieszna, przykazała sobie. On ma Alzheimera. Neuromediatory znikły, komórki mózgowe zanikają i obumierają, a wraz z nimi pamięć. Jeśli potrzeba dowodu na to, że życie po śmierci nie istnieje, wystarczy spojrzeć na pacjenta w końcowej fazie choroby Alzheimera, kiedy nie tylko przestanie rozpoznawać własną siostrzenicę i zapomni słowa „cukier”, ale z jego pamięci znikną wszystkie słowa, a także umiejętność mówienia, chodzenia, świadomość własnego istnienia. Dusza nie tylko nie może przetrwać śmierci; w wypadku chorego na Alzheimera nie przetrwa nawet życia. Pan Briarley mógł jej odpowiedzieć na pytania równie wyczerpująco jak Greg Menotti.

Ale ja muszę znać odpowiedzi, pomyślała z przekonaniem. Jego słowa na lekcji sprawiły, że ujrzałam *Titanica*. Ten powód ma ogromne znaczenie, wiąże się bowiem z podłożem doświadczeń granicznych.

Co on powiedział? Miała go przed oczyma, jak przycupnął na krawędzi biurka, z podręcznikiem w dłoni. Ktoś coś zauważył, a on gwałtownie zatrzaskał książkę i powiedział... Co powiedział? Przez przednią szybę zerknęła na ciemniejące, stalowe niebo, usiłując sobie przypomnieć. Koncentracja na pozornie nieistotnych szczegółach niekiedy wspomagała pamięć. Co widniało na tablicy? Gdzie siedziała?

W drugim rzędzie, doszła do wniosku Joanna, przy oknie, a na zewnątrz zrobiło się mglisto. Tak mglisto, że pan Briarley musiał poprosić siedzącego przy włączniku Ricky'ego Inmana o zapalenie górnego światła, a potem Ricky coś stwierdził, pan Briarley zatrzasnął książkę, i...

Nie, nie mglisto. Za to mocno się chmurzyło. Mgła ma z tym coś wspólnego. A może po prostu to sobie wymyśliła, bo Maisie widziała mgłę? Albo wszystko stało się innego dnia. Ile razy pan Briarley przysiadł na krawędzi biurka i akcentował swoje słowa zatrzaśnięciem książki? Było szaro, chmurnie. A jeśli padał śnieg, a pan Briarley coś mówił...

To nie miało sensu. Nie potrafiła sobie przypomnieć. Dobrze, więc kto mógłby jej pomóc? Kto jeszcze siedział na tamtej lekcji? Nie Ricky Inman. Nawet gdyby, to i tak nie zwróciłby uwagi. Candy Simons? Joanna wciąż pamiętała, jak Candy siedziała naprzeciwko niej, czesała blond pukle i nakładała makijaż, przeglądając się w lusterku opartym o podręcznik.

Kto jeszcze słuchał tamtej lekcji? Po pójściu na studia zgubiła książkę rocznikową ze zdjęciami kolegów. Jeśli udałoby się przedrzeć obok ochroniarza, mogłaby iść do biblioteki, gdzie na pewno mieli egzemplarz rocznika. Jeśli jednak z popołudniowych doświadczeń mogła wyciągać wnioski na przyszłość, nawet jeśli się dowie, kto z nią chodził do klasy, i tak nie otrzyma od szkoły żadnych informacji o miejscu pobytu tych osób. Poza tym zawsze słabo wychodziło jej podtrzymywanie kontaktów z ludźmi. Jediną osobą z liceum, którą widywała, była Kerri Jakes, i to tylko dlatego, że pracowała w Szpitalu Miłosierdzia, w ambulatorium. Co prawda Kerri chodziła na piąty semestr angielskiego, lecz niewykluczone, że pamiętała osoby z drugiego semestru.

Zadzwonię do niej z domu, zadecydowała Joanna. Powrót do szpitala nie miał sensu. Na pewno minęła już piąta. Zerknęła na zegarek. Dobry Boże, wpół do ósmej. Zmarnowała wiele godzin. Vielle się wścieknie. Pewnie powie, że siedząc bez płaszcza w wyziębionym samochodzie, można dostać hipotermii...

W jej wyziębionym samochodzie. Joanna ze zgrozą uzmysłowiła sobie, że pożyczyla auto od Vielle i obiecała je zwrócić kilka godzin wcześniej. Uruchomiła silnik i wyjechała na drogę. Vielle skończyła zmianę o siódmej i na pewno usiłuje się z nią skontaktować.

Joanna wygrzebała pager z kieszeni i ponownie go włączyła. Zapomniała, że jeszcze w budynku liceum ktoś usiłował porozumieć się z nią, lecz była za bardzo zajęta wysłuchiowaniem informacji bibliotekarki,

aby zwrócić na to uwagę. Na pewno dzwoniła Vielle, chcąc się dowiedzieć, gdzie jest jej samochód. Jak wyjaśni przeszło trzygodzinne spóźnienie? Powie, że jej nauczyciel od angielskiego nie pamięta, co mówił, kiedy uczył w liceum, i teraz cały świat legł w gruzach?

Może zdarzył się karambol z udziałem pięciu samochodów, a Vielle będzie zbyt zajęta, aby mnie spytać, gdzie byłam, pomyślała z nadzieją Joanna, skręcając na szpitalny parking. Niestety, w poczekalni oddziału nagłych wypadków jak zwykle siedziało tylko kilka podejrzanych typów – latynoski nastolatek, przykładający do oka torbę z lodem, bezdomny mężczyzna, mamroczący coś do siebie, trzymający się za brzuch pięciolatek z siedzącą obok zmartwioną matką, która miała w rękach miskę na wymioty. Vielle przynajmniej nie stała przy wejściu, niecierpliwie tupiąc nogą. Może poprosiła kogoś o podrzucenie do domu.

Joanna podeszła do recepcji.

– Czy zastałam jeszcze siostrę Howard? – spytała pielęgniarkę dyżurną.

– Jest na zebraniu – padła odpowiedź.

Jakim zebraniu?, chciała zapytać Joanna, lecz nagle sobie przypomniała. Zebranie poświęcone sprawom bezpieczeństwa na oddziale nagłych wypadków. Jak długo może ono potrwać?

– Trudno powiedzieć. Personel sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego. Po ostatnim wypadku z rogue...

– Wypadku z rogue? Zdawało mi się, że chodziło o jakiegoś członka gangu.

– Gangu? Skąd – zdumiała się pielęgniarka. – Och, pewnie chodzi pani o te sprawę z maszyną do wbijania gwoździ. Więc nie słyszała pani o ostatnim wypadku.

– Nie.

– Widzi pani – zaczęła pielęgniarka, zerkając na Latynosa i matkę, a następnie pochylając się dyskretnie. – Więc tak, wszedł facet, przerażony, jakby zobaczył śmierć, i zaczął coś mówić o Wietkongu i Phnom Penh, a wszyscy myśleli, że to jakiś narkoman z Wietnamu albo zaburzenie stresowe pourazowe, i chwilę później zobaczyli, jak wymachuje strzykawką, nie wiadomo skąd ją wziął, i wrzeszczy, że wszystkich nas zabierze ze sobą. Ten rogue to straszne świństwo, znacznie gorsze niż anielski pył.

– Kiedy to się stało?

– We wtorek. Sądziłam, że Vielle opowiada pani o wszystkim.

– Też tak myślałam – potwierdziła ponuro Joanna. Oczywiście, że Vielle nic jej nie powiedziała. Mogła doskonale przewidzieć reakcję Joanny. Co się odwlecze, to nie uciecze, niech no tylko się zobaczą.

– Pożyczyła pani od niej samochód, zgadza się? – zainteresowała się pielęgniarka. – Vielle prosiła, żeby pani po prostu zostawiła mi kluczyki.

Nie wątpię, pomyślała Joanna, wręczając kluczyki. W sumie i tak się cieszyła, że jeszcze nie musi się z nią spotykać. Poszła do laboratorium. Drzwi były zamknięte na klucz. To dobrze, pomyślała. Z Richardem także mam spokój do jutra.

Automatyczna sekretarka mrugała jak opętana. Joanna zawahała się i wcisnęła przycisk odtwarzania. „Masz osiemnaście wiadomości”, wyrecytowało urządzenie. Wcisnęła „stop”. Wyciągnęła dyktafon z kieszeni. Jeszcze dziś wieczorem muszę nagrać resztę relacji, uznała, zanim minie zbyt dużo czasu. Czuła się jednak za bardzo wyczerpana emocjonalnie. Przełożę to na rano, zdecydowała, wzięła płaszcz, torbę i klucze, a następnie wyszła, zamykając gabinet.

– Dobrze, że jeszcze jesteś – ucieszył się Richard, idąc do niej korytarzem. – Bałem się, że już poszłaś do domu. Chciałem ci coś pokazać.

Kolejne skany, przeszło Joannie przez myśl.

– Usiłowałem się z tobą skontaktować przez pager. Gdzie byłaś?

– Musiałam się z kimś spotkać. Wysłałeś mi wiadomość?

Skinął głową.

– Muszę ci zadać kilka pytań, a poza tym chciałem przekazać, że dzwoniła Maisie.

– Maisie? – Joanna przypomniała sobie, że obiecała się z nią spotkać, a potem miała sesję, pokłóciła się, szukała pana Briarleya i zupełnie jej to wyleciało z głowy. – Nic jej nie jest? – zaniepokoiła się.

– Kiedy z nią rozmawiałem, była w dobrej formie – oświadczył Richard.
– O trzeciej. I o czwartej. I o wpół do piątej. I o szóstej. Wiedziałaś, że mieszkańcy Pompejów podusili się trującymi gazami i popiołem? Powiedziałbym, że towarzyszyły temu wyjątkowo wstrząsające efekty dźwiękowe.

– Wyobrażam sobie. – Joanna uśmiechnęła się. – Muszę do niej iść. – Rzuciła okiem na zegarek. Ósma. Zrobiło się późno, ale powinna się przynajmniej przywitać, bo Maisie może nie chcieć iść spać, dopóki się z nią nie zobaczy. – Nie sądzę, żeby ta sprawa mogła zaczekać do jutra rana, prawda?

– Wątpię. Maisie mówiła, że usiłowała skontaktować się z tobą przez całe popołudnie.

To ona do mnie zadzwoniła na pager, kiedy byłam w bibliotece, domyśliła się Joanna i ogarnęło ją poczucie winy i strachu, jak to, którego doznała w przejściu z Barbarą. Podobnie musiał się czuć kapitan *Californian*, kiedy się dowiedział, że *Titanic* poszedł na dno.

– Prosiła, żeby ci przekazać, że masz się z nią natychmiast spotkać, bo ma ci coś ważnego do powiedzenia.

– Powiedziała, co to takiego?

– Nie, ale sądzę, że to ma jakiś związek z Wezuwiuszem. Wiedziałaś, że archeolodzy natrafili na ciało psa? Wdrapywał się na kolejne warstwy popiołu, aż wreszcie zginął, bo łańcuch był za krótki.

– Ktoś powinien był go uwolnić, a nie porzucać podczas wybuchu wulkanu – skomentowała Joanna.

– Maisie jest podobnego zdania. Ogromnie ją to poruszyło. Poza tym dziwiła się, że pies nie miał identyfikatora.

– Identyfikatora? – Joanna zmarszczyła brwi.

– Żebyśmy mogli poznać jego imię. Powiedziałem jej, że nazywał się Fido, bo wszystkie rzymskie psy miały na imię Fido.

– Uwierzyła ci?

– Żartujesz? Mówimy o Maisie!

– Lepiej pójde się pokazać, żeby nie myślała, że o niej zapomniałam – zdecydowała Joanna i znużona potarła czoło. Zaczynała ją boleć głowa, pewnie dlatego, że od wielu godzin nic nie miała w ustach. Wpadnę na chwilę do Maisie, a potem idę do domu, pomyślała.

– Zanim pójdziesz się z nią zobaczyć, chciałbym, żebyś rzuciła na coś okiem – oświadczył Richard i zaprowadził ją do laboratorium. – Miałś rację w sprawie *Titanica*. To nie przypadkowe wspomnienie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Zatrzymał się przy drzwiach i przekręcił klucz w zamku.

– Właśnie rozmawiałem z doktor Jamison. Po twoim wyjściu zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedziałaś o tym, że doświadczenia graniczne nie są wystarczająco zróżnicowane, aby uzasadnić teorię przypadkowości. – Otworzył drzwi i włączył światło. – Uznałem, że powinienem jeszcze raz się przyjrzeć aktywności synaps w korze czołowej. – Podszedł do pulpitu i włączył komputer. – Kiedy to zrobiłem, spostrzegłem coś frapującego. – Wypisał kilka poleceń. – Znasz może prace doktora Lamberta Oswella?

Joanna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Przeprowadził intensywne badania pamięci długotrwałej, opracowując indeks lateralizacyjny – wyjaśnił Richard. – Kiedy zadasz pacjentowi proste pytanie, choćby: „Kto zwyciężył w bitwie o Midway?”, otrzymasz stosunkowo przejrzysty indeks lateralizacyjny.

– Chyba że jesteś panem Wojakowskim – uzupełniła Joanna. – Wówczas przypomina ci się cała historia.

– Albo powieść. – Richard uśmiechnął się. – Tak czy owak, indeks wygląda w ten sposób. – Napisał na komputerze kilka słów, wyświetlając serię skanów. – Zwróć uwagę, jak szybko lokalizowane są rozbłyśki neuronowe. To oznacza, że mózg bierze problem na celownik, jakby powiedział pan Wojakowski. Nie zdarza się, aby dwóch ludzi w taki sam sposób zareagowało na pytanie „Kto zwyciężył w bitwie o Midway?”, co wynika z tego, że określone wspomnienie nie ma swojego konkretnego miejsca zmagazynowania, a w dodatku może się skrywać pod różnymi kategoriami, jak choćby: druga wojna światowa, wyspy, Ocean Spokojny albo słowa na literę M. Te indeksy nie zawsze są takie same dla określonych pytań. Oswell zadawał identyczne pytania w trzymiesięcznych odstępach i za każdym razem uzyskiwał inny indeks lateralizacyjny. Niemniej potrafił stworzyć matematyczny wzór ich powstawania, dzięki któremu potrafimy odróżnić indeksy lateralizacyjne.

Napisał jeszcze parę słów i po prawej stronie monitora pojawił się inny skan.

– W wypadku pytania takiego, jak „Co to jest *Yorktown*?”, indeks jest odmienny, podobnie jak wzór.

To samo dotyczy pytania: „Co takiego powiedział pan Briarley podczas swojej lekcji?”, uzupełniła w myślach Joanna, przyglądając się, jak neurony zmieniają kolor z czerwonego na zielony, z żółtego na niebieski, rozkwitając jak fajerwerki i przygasając. Siedział na brzegu biurka i o czymś opowiadał. O *Makbecie*? O trybie przypuszczającym? O *Pieśni o starym żeglarzu*?

– Jeśli zadam pytanie typu: „Co to jest *Yorktown*?” – zakładając, że nie jesteś panem Wojakowskim – indeks lateralizacyjny obejmie selekcję oraz odrzucanie możliwości i będzie znacznie bardziej skomplikowany. Poza tym poszukiwania właściwej odpowiedzi obejmą znacznie większy obszar, odpowiednia informacja może się bowiem znajdować w najrozmaitszych wspomnieniach. Czy chodzi o miasto? O bitwę? Tytuł filmu? Konia

wyścigowego? W tym indeksie wchodzi w grę znacznie większa przypadkowość.

Joanna spojrzała na ekran, usiłując nadążyć za tym, co mówi Richard, chociaż jej ból głowy nasilał się z minuty na minutę.

– I właśnie to przypomina indeks na skanach?

– Nie – zaprzeczył. – Doktor Jamison przypomniała mi, że doktor Oswald przeprowadził także serię eksperymentów związanych z interpretacją obrazów. Pokazał ochotnikom abstrakcyjne...

– Masz coś do jedzenia? – przerwała Joanna.

Richard odwrócił się i przyjrzał się jej uważnie.

– Przepraszam, ale nie jadłam kolacji – wyjaśniła. – Właściwie obiadu też nie i pomyślałam, że może ty...

– Pewnie. – Już grzebał w kieszeni. – Co my tu mamy? Baton mars, trochę orzechów nerkowca... – Wyciągał kolejne smakołyki. – Posłuchaj, może lepiej pójdziemy na prawdziwą kolację. O tej porze bufet jest raczej nieczynny?

– Bufet nigdy nie jest czynny.

– Możemy iść do Taco Pierre's.

– Nie, muszę jeszcze wpaść do Maisie – zaprotestowała i sięgnęła po baton. – To mi wystarczy. Co mówiłeś?

– A tak, no więc w trakcie oddzielnej serii eksperymentów Oswald pokazał ochotnikom scenę, w której obiekty i kształty celowo przedstawiono w niewyraźnej i abstrakcyjnej formie.

– Jak u Rorschacha – zwróciła uwagę Joanna.

– Właśnie tak – potwierdził. – Badani otrzymali pytanie: „Co przedstawia ten obrazek?” Proszę, pomarańcza. – Wręczył jej owoc. – W większości wypadków zasada okazała się zbliżona do otwartego indeksu lateralizacyjnego, ze zwiększoną aktywnością w korze pamięci, a badani opisali obrazek jako... skittles... i paczka krakersów serowych z masłem arachidowym. Nie mam nic do picia, więc może fistaszki to zły pomysł. Mogę iść po colę z automatu.

– Dam sobie radę. – Joanna przystąpiła do obierania pomarańczy. – Opisali obrazek jako...?

– Dokładnie to, czego się można było spodziewać. Duży, biały, podłużny obiekt na niebieskim tle z okrągłą różową plamą z prawej strony. W niektórych wypadkach ochotnicy udzielili jednak innych wyjaśnień: „To Antarktyka. Tu jest lód, a tu niebo. A to zachodzące słońce”. W przypadku

takich odpowiedzi badani przeszukali swoją długotrwałą pamięć, znajdując scenariusz wyjaśniający znaczenie nie tylko oddzielnych wizerunków, ale wręcz metaforę, wszystkich zaprezentowanych kształtów i kolorów.

Metafora. Coś związanego z metaforą. Właśnie to wywołało we mnie niepokojące uczucie podczas wieczoru smakołyków, pomyślała Joanna. Vielle wspomniała coś o metaforze. Nie, Vielle użyła słowa porównanie podczas rozmowy o Richardzie, a Joanna ją poprawiła, powiedziała, że porównanie to figura retoryczna, w której pojawia się słowo jak albo jakby, podczas gdy metafora jest bezpośrednia. Uczył mnie tego pan Briarley, stwierdziła w myślach i starała się przypomnieć sobie, co dokładnie powiedział. Coś związanego z mgłą.

– ...z abstrakcyjnym rysunkiem, skany pokazały całkowicie odmienny indeks – ciągnął Richard. – Znacznie bardziej rozrzucony i chaotyczny...

Mgła. Ricky Inman, przeszło jej przez głowę, zapytał pana Briarleya o wiersz. „Nie rozumiem”, stwierdził, kołysząc się na krześle. – Jak mgła może się skradać na kocich łapkach?

Pan Briarley podniósł gąbkę, jakby chciał nią rzucić i zamoczył wytarł tablicę. Następnie znalazł kawałek kredy i energicznie napisał kilka słów. Wciąż słyszała stukot kredy o tablicę. „Metafora. [Stuk.] Bezpośrednie lub sugerowane zestawienie pojęć. [Stuk.] To prawdziwa droga cierniowa«. [Stuk.] W przeciwieństwie do porównania. [Stuk.] Cichy jak śmierć«. [Stuk.] Czy teraz pan rozumie, panie Inman?”

A Ricky, odchylając się na krześle tak daleko, że groził mu upadek, oznajmił: „I tak nie rozumiem. Mgła nie ma łapek”.

– Matematyczny wzór aktywności w korze czołowej jest identyczny – tłumaczył Richard. – Twój umysł najwyraźniej przeszukiwał pamięć długotrwałą, usiłując odnaleźć odpowiedni obraz, który wytłumaczyłby wszystkie twoje wrażenia – dźwięk, tunel, światło, postaci w bieli. Jak sama powiedziałaś, wszystko się zgadzało. Takim odpowiednim obrazem okazał się *Titanic*.

– Właśnie dlatego go ujrzałam, że spośród wszystkich obrazów z długotrwałej pamięci to on najlepiej pasował do bodźca.

Zgadza się. Indeks...

– A co ze Szpitalem Miłosierdzia? Albo Pompejami?

– Pompejami? – powtórzył zaskoczony.

– Szpital pasuje do wszystkich bodźców – długich i ciemnych korytarzy, postaci w bieli, brzęczących alarmów – tak samo jak Pompeje. Ludzie

nosili białe togi, niebo pociemniało od unoszącego się w powietrzu popiołu – wyliczała, zaznaczając kolejne elementy na palcach – do tego dochodzą kolumnady przypominające tunele, erupcji wulkanu towarzyszył głośny, trudny do opisanie dźwięk, a rozmawiałam o tym wszystkim z Maisie niecałe dwie godziny przed eksperymentem.

– W pamięci długotrwałej może się znajdować więcej niż jeden pasujący obraz, a wybierany jest ten, do którego przypadkiem dotrze się szybciej – zasugerował Richard. – To niekoniecznie musi być najświeższe wspomnienie. Pamiętaj, poziom acetylocholin jest wyższy niż zazwyczaj, co oznacza, że mózg łatwiej sięga do wspomnień i kojarzy fakty. Poza tym istnieje możliwość, że zyskuje dostęp do wspomnień tylko w określonych obszarach. Niektóre rejony mogą być zablokowane lub odłączone.

Podobnie jak w wypadku pamięci pana Briarleya, pomyślała Joanna.

– To nie dlatego ujrzałam *Titanica* – stwierdziła głośno. – Wiem, skąd przyszło mi do głowy to wspomnienie.

– Naprawdę? – zainteresował się ostrożnie Richard. Wciąż się boi, że w każdej chwili grozi mi przemiana w Bridey Murphy, przeszło jej przez myśl.

– Tak. To ma związek z moim nauczycielem od angielskiego w liceum, panem Briarleyem.

– W liceum... kiedy się tego domyśliłaś?

– Dzisiaj po południu. – Opowiedziała mu o tym, jak nagrywała swoją relację, i przypomniała sobie, że jeden z mężczyzn, których ujrzała podczas doświadczeń granicznych, wymienił nazwisko pana Briarleya. – Wtedy uświadomiłam sobie, że mówił o *Titanicu* podczas lekcji.

Richard sprawiał wrażenie ogromnie zadowolonego.

– To, co mówisz, świetnie pasuje do teorii o tym, że mózg próbuje ujednoczyć wszystkie fakty, tworząc spójny scenariusz z uwzględnieniem źródła wspomnienia. Twój umysł przeprowadził badanie lateralizacyjne, szukając ujednoczającego obrazu, który uzasadniłby pojawienie się zarysów postaci w świetle, bodźca z kory słuchowej oraz...

– To nie dlatego miałam taką wizję. Przyczyną jest coś innego, co ma związek ze słowami pana Briarleya, wypowiedzianymi przez niego podczas lekcji.

– Jakimi słowami?

– Nie wiem. – Joanna musiała się przyznać. – Nie pamiętam. Ale wiem...

– ...że to coś oznacza – dokończył Richard. Wpatrywał się w nią tym denerwującym wzrokiem pełnym wyższości.

Joanna wbiła w niego spojrzenie.

– Znowu uważasz, że to ma związek z płatem skroniowym, a przecież mówiłam ci, że rozpoznaję to przejście, i nie myliłam się, poza tym zaznaczałam, że wspomnienie nie pochodzi z filmu, i nie pochodziło, a teraz...

– A teraz wiesz, że *Titanic* nie został wybrany jako ujednocający obraz, pasuje bowiem do bodźca – uzupełnił Richard.

– No więc właśnie. Miałam rację wtedy i...

– I kiedy odkryłaś, czym jest przejście, wrażenie, że lada chwila odkryjesz prawdę, powinno było zaniknąć, lecz tak się nie stało, prawda? Przeniosło się do źródła wspomnienia, a teraz do słów pana Briarleya. A jeśli uda ci się przypomnieć sobie jego słowa, to poczucie ponownie się przeniesie na inny problem.

Czy to prawda?, zastanowiła się Joanna. Gdyby w tej chwili zadzwoniła Kit, żeby powiedzieć: „Ponownie spytałam wujka Pata, a on powiedział, że mówił kiedyś na lekcji...” i wyjaśnić jego słowa, czy poczucie przeniosłoby się na inny obszar?

– Jednym z interesujących mnie zagadnień jest to, w jaki sposób to wrażenie wpływa na dobór scenariusza – ciągnął Richard. – Poza tym ciekaw jestem, czy scenariusz pozostaje taki sam, czy też zmienia się w zależności od bodźca lub początkowego bodźca.

– Początkowego bodźca? Myślałam, że powiedziałaś...

– Że wspomnienie ujednocające pasuje do wszystkich bodźców? Tak powiedziałem, ale początkowy bodziec może decydować o wyborze jednego pasującego obrazu i odrzuceniu drugiego. To mogłoby wyjaśniać częstą dominację religijnych obrazów. Gdyby początkowy bodziec był poczuciem unoszenia się w powietrzu, istniałoby bardzo niewiele pasujących wspomnień, z wyjątkiem aniołów.

– Oraz Piotrusia Pana.

Richard puścił jej uwagę mimo uszu.

– Nie odniosłaś wrażenia opuszczania ciała. Twój początkowy bodziec był słuchowy.

Joanna pomyślała, że dlatego ujrzała statek, który zatonął niemal sto lat temu.

– Jeśli zmienia się początkowy bodziec, czy dochodzi też do zmiany obrazu ujednociającego? To jedna z rzeczy, które chciałbym sprawdzić następnym razem, gdy poddasz się eksperymentowi.

– Eksperymentowi? – powtórzyła Joanna. Chciał przeprowadzić kolejną sesję z jej udziałem. Chciał ją wysłać na *Titanica*.

– Tak, musimy się tym zająć jak najszybciej. – Wyciągnął terminarz. – Na pierwszą jest umówiona pani Troudthaim. Tobą możemy się zająć o trzeciej. A może wolałabyś zamienić się z panią Troudthaim na godziny?

O pierwszej, pomyślała Joanna. O trzeciej poszedł już na dno.

– Joanna? Którą godzinę wolisz? Może chcesz przyjść rano? Joanna?

– O pierwszej – odezwała się wreszcie. – Rano będę musiała wpaść do Maisie, jeśli nie uda mi się spotkać z nią dziś wieczorem.

– Więc lepiej idź do niej od razu. – Richard spojrział na zegar, wskazujący wpół do dziewiątej. – Dobrze, zadzwonię do pani Troudthaim, żeby przełożyć sesję. Mam nadzieję, że nic umówiła się na wizytę u dentysty. Jeśli będziesz miała czas – jutro, nie dziś wieczorem – chciałbym, żebyś przejrzała swoje wywiady i sprawdziła, czy istnieje jakiś związek między początkowym bodźcem i dalszym scenariuszem.

Wiem, że nie istnieje, pomyślała, schodząc do Maisie. Nie na tym polega związek. Chodzi o coś innego. Niestety, jedynym sposobem udowodnienia tego jest uzyskanie niezbitych dowodów, co oznacza konieczność wyjaśnienia tego, co powiedział pan Briarley.

Ale w jaki sposób? Nawet gdyby pan Briarley nie cierpiał na chorobę Alzheimera, zapewne nie potrafiłby przypomnieć sobie ani jednego słowa, które wypowiedział podczas lekcji przeprowadzonej przeszło dziesięć lat temu. Jego uczniowie mieli jeszcze mniejszą szansę odtworzyć w pamięci zajęcia z tak odległego okresu. Zresztą nie bardzo wiedziała, jak ich odnaleźć. Musiałaby przypomnieć sobie ich nazwiska. Powinnam zadzwonić do Kerri, pomyślała ponownie. Ale najpierw wpadnę do Maisie, mam nadzieję, że nie śpi.

Nie spała. Leżała oparta o rząd poduszek i wyglądała na znudzoną. Obok łóżka siedziała na krześle jej matka i głośno czytała książkę w żółtej okładce: „– Och, nie bądź takim ponurakiem, wujku Hiramie – powiedziała Dolly. – W końcu wszystko się ułoży. Musisz tylko głęboko wierzyć. – Masz rację, Dolly – przyznał wujek Hiram – chociaż jesteś małą dziewczynką. Nie powinienem się poddawać. Tam, gdzie jest silna wola...”

Maisie podniosła wzrok.

– Wiedziałam, że pani przyjdzie – uradowała się. Odwróciła się do matki: – Mówiłam ci, że przyjdzie. – Ponownie skierowała spojrzenie na Joannę, a jej policzki zaróżowiły się z podniecenia. – Powiedziałam mamie, że obiecała pani przyjść.

– To prawda, obiecałam i przepraszam, że jestem tak późno – stwierdziła Joanna. – Coś mi wypadło...

– Mówiłam ci, że coś się musiało stać – przypomniała matce Maisie. – Inaczej przyszłaby tutaj. A ty powiedziałaś, że pewnie zapomniała.

Naprawdę zapomniałam, pomyślała Joanna, a co gorsza wyłączyłam pager i przez kilka godzin nikt nie mógł się ze mną skontaktować. Przez ten czas mogło ci się coś stać.

– Sugerowałam, że jest pani bardzo zajęta – odezwała się pani Nellis – i że zjawi się pani u niej, jak tylko znajdzie pani czas. To bardzo miło z pani strony, że przy takiej ilości pracy wpadła pani do córki.

Wpadła to dobre słowo, zważywszy na obecność matki Maisie.

– Zastanawiałam się, czy nie miałabyś nic przeciwko temu, abym odwiedziła cię jutro rano? – Joanna zwróciła się do dziewczynki.

– Tak, niech pani przyjdzie – zgodziła się Maisie. – Ale musi pani zostać naprawdę długo.

– Maisie! – Pani Nellis sprawiała wrażenie wstrząśniętej. – Pani doktor jest bardzo zajęta. Musi się spotkać z wieloma pacjentami. Nie może...

– Obiecuję, że przyjdę i zostanę tak długo, jak będziesz chciała – zadeklarowała Joanna.

– To dobrze – odparła Maisie i dodała znacząco: – Mam pani mnóstwo do powiedzenia.

– No pewnie – potwierdziła pani Nellis. – Doktor Murrow przepisał jej nowy lek przeciw arytmii i teraz Maisie czuje się o wiele lepiej. Jej stan w pełni się ustabilizował, a płuca także lepiej pracują. A właśnie, koteczku, przecież nie robiłaś jeszcze swoich ćwiczeń oddechowych. – Odłożyła książkę na łóżko i podeszła do blatu przy umywalce, aby wziąć stamtąd plastikową rurkę inhalacyjną.

– Przyjdę z samego rana – zapowiedziała Joanna, wpatrując się w książkę. Na jej okładce ozdobnymi zielonymi literami wydrukowano tytuł: *Legнды i lekcje*. Jej podręcznik do angielskiego nosił podobny tytuł. Cośtam i cośtam. Nagle przypomniał się jej pan Briarley, siedzący na krawędzi biurka z książką w rękach i czytający coś na głos. Miała przed

oczyrna złote litery tytułu. Cośtam i cośtam. *Poematy i przyjemności* albo *Przygody i parafrazy*, albo *Katastrofy i kolizje*. Nie, to tytuł książki o tragediach, którą czyta Maisie.

– O której? – chciała wiedzieć dziewczynka.

– O dziesiątej. – Coś związanego z wyprawami. *Podróże i perypetie*. *Ekskursje i epepeje*.

To wcale nie jest samo rano – sprzeciwiła się Maisie.

– Maluszk, pani doktor jest bardzo, bardzo zajęta...

W. Zaczyna się na W. Wiersze. Nie, nie Wiersze, ale coś podobnego. Wieże. Wojąże.

– Doktor Murrow mówi, że masz wydmuchiwać piłeczkę powyżej osiemdziesięciu, to ta linia, pięć razy. – Pani Nellis wskazała niebieską kreskę na plastikowym cylindrze. – Wiem, że potrafisz to zrobić.

Maisie posłusznie wsunęła ustnik do buzi.

– Do zobaczenia jutro, dzieciaku. – Joanna pośpiesznie upuściła pokój i zbiegła do samochodu. W. Co jeszcze zaczyna się na W? Wiktorianie. Winiety. *Wiersze i winiety*. Nie, to też źle brzmi. Na pewno chodzi o W.

Wsiadła do samochodu i wyjechała z parkingu. Przednia szyba momentalnie zaparowała. Włączyła ogrzewanie i przesunęła dźwigienkę na „odmrażanie”, usiłując dojrzeć, co się dzieje na jezdni. Wielkość. Wezuwiusz. Wizje. *Wiersze i wizje*. Nie, to brzmi jak tytuł książki pana Mandrake’a.

Zatrzymała się na światłach, oczekując, aż zapali się zielone. Jakiego koloru była tamta książka? Czerwona? Nie, niebieska. Niebieska ze złotymi literami. Albo szkarłatna. Szkarłatno-złota. Konfabulujesz, powiedziała sobie. To nie żaden szkarłat, tylko błękit. Niebieska książka z...

Samochód za nią zatrąbił, a ona podniosła wzrok ze zdumieniem. Paliło się zielone światło. Wcisnęła pedał gazu, a silnik zgasł. Zaczęła pośpiesznie uruchamiać auto. Samochód z tyłu znowu zatrąbił. Nie tylko konfabulujesz, ale w dodatku nie zwracasz uwagi na to, co robisz, pomyślała, przekręcając kluczyk w stacyjce. Samochód wreszcie zapalił, chociaż kierowca z tyłu zdążył już ją wyprzedzić, przejeżdżając niebezpiecznie blisko i wymachując zaciśniętą pięścią. Joanna miała nadzieję, że nie trzymał w niej nabitej broni.

Należy zwracać szczególną uwagę na otoczenie, pomyślała i spróbowała się skoncentrować na prowadzeniu samochodu, lecz obraz pana Briarleya na krawędzi biurka wciąż pojawiał się przed jej oczyma. Trzymał przed

sobą książkę. Niebieską, ze złotymi literami, a na okładce widniał statek zanurzający się dziobem w falach i rozpryskujący wodę. Wyraźnie go widziała. Skąd wiedziała, że to nie konfabulacje? Może było na odwrót, może wymyśliła sobie *Titanica* na podstawie statku z okładki podręcznika?

Ale to nie był taki rodzaj statku. Na rysunku przedstawiono żaglowiec z wydętymi białymi żaglami. Pan Briarley hałaśliwie zatrzasnął książkę, jakby skończył coś głośno czytać. Gdyby tekst pochodził z powieści lub wiersza, nie miałyby znaczenia, że pan Briarley go nie pamięta. Wystarczyłoby znaleźć w podręczniku odpowiedni fragment. O ile zdobędzie egzemplarz właściwego podręcznika.

Na pewno nikt już z niego nie uczy. Był przestarzały już wtedy, gdy z niego korzystała, a jak zauważył pan Briarley, obecnie uczono zupełnie innych rzeczy. Poza tym sam mógł dysponować wersją dla nauczycieli. Sądząc po liczbie zgromadzonych przez niego książek, nigdy nie pozbył się ani jednego egzemplarza. Na pewno jednak nie pamiętał, gdzie jest ten podręcznik.

Może Kit będzie wiedziała. Albo spróbuje przeszukać półki, jeśli Joanna wytłumaczy jej, jak wygląda książka. Wiem, że miała na okładce żaglowiec na niebieskim tle, pomyślała, a jej tytuł brzmiał... Zmrużyła oczy, usiłując przypomnieć sobie złociste litery, i ponownie zagapiła się na zielonym świetle. Wpatrywała się w wiszącą nad ulicą reklamę. „Marlboro”, głosił napis, „\$19.58 za karton”.

Na szczęście tym razem nikt za nią nie jechał, ani też nie nadjeżdżał z boku, niechcący bowiem zgasiła silnik pośrodku skrzyżowania. Dobry sposób na odebranie sobie życia, uznała, uruchamiając auto i zjeżdżając ze skrzyżowania. Potem nie będziesz już musiała się zastanawiać nad tym, co chciał ci powiedzieć Greg Menotti ani też dlaczego widziałaś *Titanica*. Dowiesz się z pierwszej ręki.

Postarała się skoncentrować na ruchu drogowym, światłach i dalszej drodze do domu. Skręciła w swoją ulicę, minęła miejscowego Burger Kinga. „Figurki X-Menów”, głosił napis na markizie. „Zbierz wszystkie 58”. Może chciał jej wskazać numer książki? Ujrzała pana Briarleya, jak podnosi niebieski podręcznik i go otwiera. „Dobrze, proszę otworzyć książki na stronie pięćdziesiątej ósmej”.

Przestań, przykazała sobie Joanna, wjeżdżając na swoje miejsce parkingowe i wysiadając z samochodu. Richard ma rację. Zmieniasz się w Bridey Murphy. Albo pana Mandrake’a. Musisz iść na górę, wykapać się,

obejrzeć wiadomości i pozwolić ochłonać swojemu płatowi skroniowemu, gdyż ta obsesja na punkcie *Powieści i podróży*, czy jakkolwiek się nazywała tamta książka, stanowi objaw stymulacji płata skroniowego.

Otworzyła drzwi i włączyła światło. Gdyby zadzwoniła i spróbowała skłonić Kit do znalezienia *Wierszy i wiktorian*, niczego by nie osiągnęła. Nawet gdyby na pięćdziesiątej ósmej stronie znajdowało się opowiadanie o tym, jak stanęły silniki *Titanica*, wrażenie bliskości odkrycia prawdy przeniosłoby się na coś innego.

Zresztą i tak zrobiło się zbyt późno, aby tam dzwonić. Zdenerwowałyby tylko pana Briarleya, a Kit ma z nim i tak wystarczająco dużo zmartwień. Powinna za to zatelefonować do Vielle, podziękować jej za udostępnienie samochodu i przeprosić za przetrzymanie go tak długo. Poza tym warto spytać, jaki film pożyczyć na wieczór smakołyków w piątek. Tylko nie *Szósty zmysł*.

Joanna podniosła słuchawkę i wystukała numer.

– Dobry wieczór, mówi Joanna Lander – odezwała się, gdy usłyszała głos Kit. – Czy pani wujek wciąż ma podręczniki, z których korzystał, kiedy pracował w szkole?

Rozdział 23

„*Nic na świecie nie trwa wiecznie*”.

Słowa wyryte na murze w Pompejach

Joanna zadzwoniła do Kerri Jakes, a następnie poszła prosto do Maisie, gdy tylko znalazła się w szpitalu następnego ranka. Powiedziała co prawda, że zjawi się o dziesiątej, ale bała się, że coś ją zajmie i znowu zapomni. Poza tym wolała spotkać się z dziewczynką przed pojawieniem się jej matki.

Kit obiecała, że zadzwoni, jak tylko znajdzie podręcznik, przypomniała sobie Joanna, idąc korytarzem między skrzydłami i schodami na pediatrię. Być może będę musiała po niego pojechać. Albo znaleźć kogoś, kto przerabiał angielski w drugim semestrze. Zostawiła wiadomość dla Kerri – rankami w ambulatorium panował największy tłok – a ponieważ nie chciała się bawić w wielokrotne dzwonienie i nagrywanie się na sekretarki, od razu spytała o książkę z drugiego semestru, w nadziei że Kerri przypomni sobie jej tytuł. Liczyła na to, że kiedy wróci od Maisie, zastanie na sekretarce wiadomość od Kerri albo od Kit. Chociaż nie mam pojęcia, jak można oczekiwać od Kit, że znajdzie odpowiedni podręcznik na podstawie tak żałosnego opisu, jaki jej przedstawiłam, pomyślała Joanna.

Kit zachowała się tak, jakby przypominanie sobie rozmaitych spraw stanowiło jej chleb powszedni (co zresztą nie odbiegało od prawdy, zważywszy na jej sytuację) i od razu spytała, w którym roku Joanna robiła maturę, jakich rozmiarów i jak gruba była książka.

– Poza tym sądzi pani, że jej tytuł brzmiał *Cośtam i cośtam*. Na literę W.

– Tak mi się wydaje – odparła Joanna. – Przepraszam, że tak niewiele pamiętam.

– Żartuje pani? Jestem specjalistką od domyślania się, czego nie pamiętają inni. To może chwilę potrwać. Wujek Pat ma mnóstwo książek. Kiedyś stały w określonym porządku, ale...

– Czy na pewno nie żądam zbyt wiele? – zawahała się Joanna.

– Z przyjemnością pomogę – zapewniła szczerze Kit.
– Kevin dzwoni? – Z oddali dobiegł głos pana Briarleya. – Powiedz mu, że ogromnie się cieszę. I gratuluję.

– Zadzwoń jutro – pożegnała się Kit.

Joanna nie miała pewności, czy tak szybko pozna odpowiedź, zważywszy na to, że w domu pana Briarleya znajdowało się mnóstwo książek, a wiele z nich miało niebieskie okładki. O ile ten podręcznik naprawdę był niebieski. Rano wcale nie miała co do tego pewności. Uznała, że Candy „Razpunka” Simons opierała swoje lustro o książkę koloru najprawdopodobniej czerwonego. Konfabulujesz, skarciła się surowo i wbiegła po schodach na pediatrię. Na korytarzu wciąż stał wózek ze śniadaniem, a kościsty sanitariusz zbierał na nim puste tace. Joanna machnęła mu ręką i poszła do Maisie.

Jej taca z jajecznicą, grzanką i szklanką soku nadal stała na blacie, przysuniętym nad łóżko.

– Cześć, dzieciaku – przywitała się Joanna i weszła do pokoju. – Jak tam?

– Jem śniadanie – wyjaśniła Maisie, grubo przesadzając. Na grzance widniały ślady po dwóch maleńkich kęsach, a jajecznica i sok w ogóle nie były ruszone.

– Rozumiem. – Joanna przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. – No dobrze, powiedz mi o Pompejach.

– Więc tak – zaczęła Maisie, odkładając grzankę. – Ludzie usiłowali uciec jak najdalej od wulkanu, niektórym niemal się udało. Pewna pani z dwiema córeczkami i niemowlęciem prawie dotarła do bramy. W mojej dużej niebieskiej książce jest zdjęcie.

Joanna posłusznie podeszła do szafki i wyciągnęła *Katastrofy i kolizje*, ukryte w torbie z Barbie. Wręczyła książkę Maisie, która odepchnęła blat i otworzyła ją na kolanach.

– O, tutaj. – Znalazła jaskrawy rysunek wulkanu wyrzucającego czerwono-czarne kłęby dymu i lawy. Na drugiej stronie znajdowała się czarno-biała fotografia. Maisie przyłożyła do niej palec i przysunęła bliżej Joanny.

Zdjęcie nie było czarno-białe. Wydawało się takie, gdyż znajdowało się na nim kilka gipsowych odlewów, wyglądających jakby powstały z szarego popiołu. Postaci leżały tam, gdzie upadły. Dwie dziewczynki przywarły do matki, tulącej w ramionach niemowlę.

– To jest służąca. – Maisie wskazała zwiniętą kobietę, leżącą w pobliżu.
– Pomagała im uciec. – Z powrotem przysunęła książkę do siebie. – Stratowano mnóstwo małych dzieci. – Przewertowała kilka stron. – Jedno z nich... – Gwałtownie podniosła głowę, zatrasnęła książkę i ukryła ją pod kocem. Kiedy weszła Barbara, Maisie właśnie przysuwała do siebie blat.

– Dzień dobry, moje panie. – Barbara z dezaprobatą spojrzała na nie dokończony śniadanie dziewczynki. – Jajka nie smakują, co? Może wolisz musli?

– Nie jestem zbyt głodna – odparł Maisie.

– Musisz coś zjeść – oznajmiła stanowczo Barbara. – Może trochę owsianki?

– Nie lubię owsianki – wykrzywiła się Maisie. – Mogę zjeść później? Muszę powiedzieć pani doktor coś ważnego.

– To może poczekać, aż skończysz śniadanie. – Joanna natychmiast wstała i skierowała się do drzwi.

– Nie, proszę poczekać! – pisnęła Maisie. – Zaraz zjem. – Podniosła trójkątną grzankę i znowu ugryzła odrobinę. – Mogę jeść, rozmawiając z panią doktor, prawda?

– Pod warunkiem, że naprawdę będziesz jadła – wyjaśniła surowo Barbara. Odwróciła się do Joanny. – Połowę jajecznicy, całą grzankę i cały sok.

– Rozumiem – potwierdziła Joanna.

– Jeszcze wrócę, żeby sprawdzić – zagroziła Barbara. – I nie zgadzam się na chowanie jedzenia w chusteczkach. – Wyszła.

Maisie momentalnie odsunęła blat i pochyliła się, żeby otworzyć szufladę w nocnej szafce.

– Zaraz, zaraz – zaprotestowała Joanna. – Słyszałaś, co mówiła Barbara.

– Wiem, wiem, ale muszę coś wziąć. – Wsadziła rękę do szuflady i wydobyła złożoną kartkę, wyrwaną z notatnika, taką samą, na której napisała nazwisko członka załogi *Hindenburga*. Wręczyła papier Joannie.

– Co to takiego? – zdziwiła się Joanna.

– Relacja z moich doświadczeń granicznych. Kiedy pani wyszła, opisałam resztę, żeby niczego nie zapomnieć.

Joanna rozpostarła kartkę.

„Mgła była koloru szarego”. Maisie miała staranny, zaokrąglony charakter pisma. „Zrobiło się ciemno, jak w nocy, albo jakby ktoś wyłączył

światło. Znajdowałam się w długim, wąskim pomieszczeniu z prawdziwymi, wysokimi ścianami”.

– Pewnie o czymś zapomniałam – odezwała się Maisie.

– Jedz – przykazała Joanna. Podsunęła dziewczynce blat i czytała dalej. Maisie podniosła widelec i zaczęła bezwiednie dłubać w jajecznicy.

– Jeśli nie będziesz jadła, pójdę sobie i przyjdę kiedy indziej.

Maisie momentalnie wpakowała do ust widelec jajecznicy. Joanna przyglądała się, jak dziewczynka żuje i połyka. Dopiero potem wróciła do lektury. „Nie wiem, czy nade mną znajdował się sufit. Czułam się tak, jakbym była na dworze, ale nie wiem tego na pewno. To było tak, jakbym się znajdowała jednocześnie na dworze i w pomieszczeniu”.

– Czy ściany były wysokie? – spytała Joanna.

– Wznosiły się bardzo wysoko z obydwu stron – potwierdziła Maisie i uniosła obydwie ręce, aby zademonstrować. – Myślałam jeszcze o samej chwili powrotu. Ostatnio było inaczej niż poprzednio. Nie tak szybko. Napisałam o tym.

– Mogę wziąć tę kartkę?

– Jasne – przytaknęła Maisie, a Joanna złożyła papier i wsunęła go do kieszeni. – Ale pani jeszcze nie może iść. Mam pani jeszcze mnóstwo do powiedzenia.

– Więc jedz. – Joanna wskazała na jajecznicę.

– Jest zimna – poskarżyła się Maisie.

– A czyja to wina?

– Wiedziała pani, że podczas prac wykopaliskowych w Pompejach znaleziono jajka? Skamieniały pod warstwą popiołu.

– Cztery kęsy – zarządziła Joanna. – I popij sokiem.

– Dobrze. – Masie zjadła cztery małe kęsy i zaczęła powoli żuć.

– Jeszcze sok.

– Pamiętam. Muszę tylko wyciągnąć słomkę.

Mistrzyni opóźnienia, pomyślała Joanna. Odchyliła się na krześle i przyglądała, jak Maisie zdiera folię, wtyka rurkę do kartonika i sący niechętnie, w nadziei że Joanna zajmie się czymś innym. Wreszcie skończyła pić i siorbnęła na dowód, że kartonik jest pusty.

– Wie pani o tym przywiązany psie, który nie miał na szyi żadnego identyfikatora, więc nie można było stwierdzić, jak się wabił? No więc podobnie się stało z jedną małą dziewczynką.

– W Pompejach?

– Nie – zniecierpliwiała się Maisie. – Podczas pożaru w cyrku w Hartford. Miała dziewięć lat. Udusiła się dymem. Wcale się nie spaliła, więc opublikowano jej zdjęcie w gazetach, i mówiono przez radio, i w ogóle. Ale nikt się po nią nie zgłosił.

– Nigdy? – zdziwiła się Joanna. Ktoś musiał ją w końcu zidentyfikować. Dziecko nie może tak po prostu zagać, nie zwracając niczyjej uwagi. Maisie pokręciła jasną czupryną.

– Nigdy. Wszystkie ciała ułożono w jednym wielkim pomieszczeniu, a matki i ojcowie przychodzili, aby je zidentyfikować, ale jej nikt nie rozpoznał. Nie znano jej imienia ani nazwiska, więc nadano jej numer.

Joanna nagle się przelękała. Tylko nie pięćdziesiąt osiem, poprosiła w myślach. Nie mów mi, że pięćdziesiąt osiem.

– Tysiąc pięćset sześćdziesiąt pięć – oświadczyła Maisie. – Takim numerem oznaczono jej ciało. Powinna była mieć identyfikator na szyi albo imię wyszyte na ubraniu, czy coś w tym stylu, jak pan Astor.

– Kto taki? – Joanna się wyprostowała.

– John Jacob Astor. Płynął *Titanikiem*. Jeden z kominów zmiażdżył mu twarz, więc nikt nie potrafił go rozpoznać, ale po wewnętrznej stronie swojej koszuli miał wyszyte inicjały. – Maisie złapała za kołnierz szpitalnej koszuli, aby pokazać. – J. J. A. Dopiero wtedy udało się im wyjaśnić, kto to.

– Dużo wiesz o *Titanicu*, Maisie?

– No pewnie. To najlepsza katastrofa, jaka się kiedykolwiek wydarzyła. Zginęło całe mnóstwo dzieci.

– Nigdy nie słyszałam, abyś kiedykolwiek o niej wspominała.

– To dlatego, że czytałam o niej znacznie wcześniej, kiedy leżałam w innym szpitalu. Chciałam obejrzeć film, ale mama nie pozwoliła mi pożyczyć kasety, bo w filmie jest... – pochyliła się i wyszeptowała – S-E-K-S. Ale taka jedna Ashley, która miała wycinany wyrostek, powiedziała, że to nieprawda, bo pojawiają się tam tylko goli ludzie. Mówiła, że film jest naprawdę super, zwłaszcza kiedy statek unosi się w powietrze i wszystko spada, naczynia, meble, fortepiany i w ogóle, i jest straszny hałas. Wiedziała pani, że na *Titanicu* było pięć fortepianów?

– Maisie... – Joanna żałowała, że przywołała ten temat.

– Wiem wszystko o *Titanicu*. – Maisie nie zwróciła na nią uwagi. – Ludzie wieźli rozmaite rasy psów. Pekinńczyki, airedale, pomeraniany i te śliczne małe francuskie buldogi. Ich właściciele wyprowadzali je na

spacery po pokładzie, choć przez większość czasu musiały siedzieć w psiarni w ładowni, z wyjątkiem tego malutkiego pieska Frou-Frou, który podróżował w kabinie...

– Maisie... – usiłowała się wtrącić Joanna, ale Maisie jej nie słyszała.

– ...a po zderzeniu z górą lodową jeden pasażer, nie pamiętam, jak się nazywał, zszedł do psiarni i...

– Maisie...

– ...wypuścił wszystkie psy – zakończyła dziewczynka. – Ale i tak potonęły.

– Nie możesz mi opowiadać o *Titanicu*. Prowadzę pewne badania...

– Mogę pani pomóc? – spytała ochoczo Maisie. – Pani Sutterly mogłaby przynieść trochę książek, a ja sama już sporo wiem na ten temat. Tak naprawdę, to nie doszło do żadnego zderzenia z górą lodową, statek tylko się o nią otarł burtą. Nawet niezbyt mocno, tylko że wodoszczelne grodzie...

Trzeba to było zakończyć.

– Pan doktor Wright mówił mi, że w Pompejach znaleziono ciało psa – przypomniała Joanna.

– Zgadza się – potwierdziła Maisie. Opowiedziała jej o łańcuchu, na którym uwiązano zwierzę, i o tym, jak próbowało wspinać się coraz wyżej po popiele. – Doktor Wright powiedział mi, że wszystkie psy w Pompejach miały na imię Fido, ale ja w to nie wierzę. Skąd miałyby wiedzieć, że trzeba przyjść, kiedy zawoła je właściciel, gdyby wszystkie tak samo się wabiły?

– Myślę, że pan doktor żartował – wyjaśniła Joanna. – Wiedziałaś, że Fido oznacza po łacinie „wierny”?

– Nie – stwierdziła spokojnie Maisie. – To byłoby dobre imię dla tego psa, którego znaleźli. – Wyciągnęła książkę spod koca i przerzuciła kilka stron. Wreszcie zatrzymała się na jakimś zdjęciu. – Usiłował uratować tę dziewczynkę. – Pokazała Joannie. Gipsowe odlewy psa o długim pysku i przytulonej do zwierzęcia dziewczynki leżały razem pod ścianą. – Ale mu się nie udało. Oboje zginęli.

Przysunęła książkę do siebie.

– Ten pies też nie miał identyfikatora z imieniem. – Niespodziewanie gwałtownie zamknęła książkę.

Joanna spojrzała na drzwi. Maisie podniosła koc, aby ukryć książkę, lecz gdy do pokoju wszedł czarny sanitariusz, uspokoiła się i położyła ją z powrotem na łóżku.

- Cześć, Eugene – ucieszyła się i wręczyła sanitariuszowi tacę.
- Dzień dobry – przywitała się Joanna. – Musi pan zostawić tacę. Maisie ma dokończyć jajecznicę.
- Ale Eugene ma obowiązek zebrać wszystkie tace w tym samym czasie – zaprotestowała Maisie.
- Nie, to nie jest konieczne – stwierdził Eugene i odłożył tacę na blat. – Mogę przyjść po nią później. – Mrugnął do Joanny.
- Dziękuję – powiedziała Joanna i wstała, gdy Eugene wyszedł. – Na mnie też już czas.
- Jeszcze nie. Obiecała pani, że zostanie tak długo, jak tylko zechcę. Muszę pokazać pani jeszcze jedno zdjęcie.

Zanim Joannie udało się wreszcie wyjść, obejrzała co najmniej dwadzieścia fotografii – stanowiska archeologicznego, odtworzonych rzymskich łaźni, złotej bransolety, srebrnego lusterka, rysunków ludzi w białych togach, którzy uciekali z przerażeniem w oczach jak najdalej od tryskającego czerwieni i złotem wulkanu, ludzi kryjących się w przyciemnionych od popiołu kolumnadach. Jeśli tym razem nie zobaczą Wezuwiusza, myślała Joanna w drodze powrotnej, to teoria Richarda nie jest warta funta kłaków.

Otworzyła drzwi do swojego gabinetu i sprawdziła nagrania na sekretarce. Lampka na telefonie błyskała niemal histerycznie.

– Masz dwadzieścia trzy wiadomości – wyjaśniło urządzenie, gdy je uruchomiła. I wszystkie od pana Mandrake’a, żadnej od Kit albo Kerri Jakes, pomyślała Joanna i wcisnęła przycisk odtwarzania.

Nic bardziej mylnego. Trzy nagrała Maisie, jedną Richard i cztery Vielle. Wszystkie pochodziły z wczoraj i były próbami odnalezienia Joanny. „Cześć, pamiętasz, że masz mój samochód, co?” zaczynała się ostatnia od Vielle. „Wychodzę. Jak wrócisz, zostaw kluczyki u pielęgniarki dyżurnej. Na nasz następny wieczór smakołyków pożyczę *60 sekund* albo *Grand Theft Auto*”.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Vielle sapnęła: „O mój Boże, nie uwierzysz, kto właśnie się pojawił. Pamiętasz tego przystojnego policjanta, który przyszedł, aby powiedzieć nam o facecie strzelającym gwoździami? Tego, co wyglądał jak Denzel Washington? No właśnie, oto on, i zdaje się, że weźmie udział w zebraniu. Panie aspirancie Right, nadchodzę!”

Joanna uśmiechnęła się szeroko, wcisnęła „kasuj” oraz „następna wiadomość”.

„Cześć, mówi Kerri Jakes. Czy pamiętam tytuł podręcznika do angielskiego z liceum? Żartujesz? W ogóle słabo pamiętam liceum. Po co ci ta informacja? Nie mów tylko, że tak naprawdę nie zrobiłaś matury i ktoś cię teraz zmusza do zapisania się na kursy uzupełniające. Tak czy owak, nie pamiętam tytułu tej książki, a jedyne, co pamiętam z drugiego semestru, to Ricky Inman, bo strasznie się na niego napaliłam i pętałam się przy drzwiach sali pana Briarleya przed końcem zajęć trzeciego semestru, czekając, aż wyjdzie”.

Kerri nie pamiętała liceum. Joanna wcisnęła przycisk „następna wiadomość”. „Mówi Elspeth Haighton. Staram się skontaktować z panią doktor Lander. Ustalony przez nas termin sesji jest nieaktualny. Tego dnia mam zebranie Junior League{9}. Proszę o telefon w celu ustalenia kolejnego terminu”.

Nikła szansa, pomyślała Joanna, lecz wykręciła numer pani Haighton. Telefon był zajęty. Jak to możliwe?, zastanowiła się Joanna, przecież jej nigdy nie ma w domu. Następnie powróciła do odsłuchiwania wiadomości.

Trzy kolejne nagrał pan Mandrake, zaczynając je niezmiennie od słów: „Nigdy nie odpowiada pani na wiadomości na pager, pani doktor”. Chciał porozmawiać z nią na temat pewnych niesamowitych nowych szczegółów, które przypomniła sobie pani Davenport. „Są tak żywe i autentyczne, że z całą pewnością przekonają panią o prawdziwości doświadczeń granicznych”.

Z tym, że to bzdura, pomyślała Joanna, chociaż prawdą jest, że szczegóły są żywe i autentyczne. Wciąż miała przed oczyma koronki na koszuli nocnej młodej kobiety, jej przerażony wyraz twarzy, a także misterne lampki w przejściu. Mimo to nie znajdowała się na prawdziwym *Titanicu*, chociaż wizja prezentowała się wyjątkowo realistycznie. To było coś innego.

„...nie tylko swojego wuja Alvina, lecz także duchy Juliusza Cezara i Joanny d’Arc, oczekujące, aby powitać ją po Tamtej Stronie”, głosił pan Mandrake.

Joanna skasowała go, a następnie szybko zapoznała się z treścią pozostałych wiadomości, zapisując je i od razu o nich zapominając, z wyjątkiem komunikatu od pana Wojakowskiego, który pozornie zadzwonił po to, aby wyjaśnić, że jego badania związane ze słuchem potrwają dwa miesiące, a po tym czasie będzie ponownie do jej dyspozycji, lecz w gruncie rzeczy chciał jeszcze raz opowiedzieć historię o zatonięciu

Yorktown i marynarzach, układających swoje buty na pokładzie. Tej wiadomości nie zanotowała. Skasowała ją i wcisnęła przycisk „następna wiadomość”, zastanawiając się, kiedy wreszcie dotrze do końca.

„Mówi Kit Gardiner. Mam wiadomość dla Joanny Lander”, oznajmił głos Kit. „Wydaje mi się, że znalazłam pani książkę”.

W tle rozległ się głos pana Briarleya: „Joanna? Panna młoda”. Nauczyciel musiał się potem odsunąć od telefonu, bo Joanna zrozumiała tylko pojedyncze słowa: „...nie był... klucz...”

„Jest niebieska ze złotymi literami, a jej tytuł brzmi: Wyprawy i wspomnienia”, ciągnęła Kit. „Czy to coś pani mówi?”

Nie mówiło, ale tytuł przynajmniej zaczynał się na W, tak jak to zapamiętała Joanna.

„Właściwie jestem zupełnie pewna, że o tę książkę pani chodziło. Na okładce jest statek. Wujek Pat”, Kit ściszyła głos, „zwykle ucina sobie drzemkę między jedenastą i pierwszą, więc byłby to dobry moment”.

„Tam właśnie weszła panna młoda, Piękna w ten czas wesela jak róża” {10}, mówił pan Briarley. „Kit, widziałaś mój dziennik z ocenami?”

„Na mnie już czas”, zakończyła Kit. „Do widzenia”. Sekretarka pisnęła po odegraniu ostatniej wiadomości.

Joanna rzuciła okiem na zegarek. Wpół do dwunastej. Porwała torbę, kluczyki i płaszcz, a następnie pobiegła do laboratorium. Przy pulpicie siedział Richard i wpatrywał się w skany z brodą opartą na dłoni.

– Muszę coś sprawdzić – wyjaśniła. – Wrócę przed pierwszą.

Skinął głową, nie odwracając się do Joanny. Wyszła i skierowała się do windy.

– Czekaj! – krzyknął Richard i puścił się biegiem za Joanną. Kiedy się do niej zbliżał, przyszło jej do głowy, że faktycznie jest przystojny.

– Chciałem zamienić z tobą słowo, zanim zjawi się Tish. Myślę, że nie powinniśmy przy niej rozmawiać o *Titanicu*. Jeśli znowu go ujrzysz, w co wątpię. Zamierzam zwiększyć dawkę, co zmieni bodźce wysyłane do płata skroniowego. Zmianie ulegnie przede wszystkim początkowy bodziec i sądzę, że uzyskamy zupełnie inny indeks lateralizacyjny.

– Ale gdybym jednak zobaczyła *Titanica*, mam nagrać relację w swoim gabinecie.

– Albo w drugim pomieszczeniu laboratorium. Wiem, że swoje wspomnienia musisz zarejestrować jak najszybciej po ocknięciu się z

doświadczeń granicznych – stwierdził potulnie. – Nie o to chodzi, że się boję, że Tish powie wszystko panu Mandrake’owi, ale...

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – uzupełniła Joanna.

– Właśnie. – Richard uśmiechnął się. – Powiedziałaś, że wrócisz przed pierwszą?

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

– Świetnie. – Richard zawrócił do laboratorium. – Znalazłaś czas, żeby sprawdzić te relacje, o które prosiłem?

– Jeszcze nie – przyznała, wciskając „dół”. – Zabiorę się do tego, jak tylko wrócę. Aha, jeszcze jedno. Dzwoniła pani Haighton. Nie przyjdzie w czwartek.

– Wiedziałem, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Do zobaczenia o pierwszej. – Nie odwracając się, pomachał jej ręką na pożegnanie. Drzwi się otworzyły, a Joanna weszła do środka. W windzie stała Vielle. Pielęgniarka miała na sobie niebieski fartuch i czepek, a na butach sterylne nakładki.

Właśnie tak się kończy unikanie bocznych dróg, pomyślała Joanna.

– Vielle, co ty tutaj robisz? Nie doszło do kolejnego wypadku, prawda?

– Wypadku?

– Tak, no wiesz, szalejący narkoman, który nażarł się rogue i usiłuje zabijać ludzi nożem. Tak jak ostatnim razem, o czym zapomniałaś mi wspomnieć. Vielle, musisz się wynieść z...

– Wiem, wiem. – Vielle machnęła niecierpliwie ręką. – Innym razem dasz mi wykład. Teraz mam przerwę. Zaraz muszę wracać, a przyszedłam po to, żeby poinformować cię o trzech sprawach. Jedziesz na dół? – spytała, zauważywszy płaszcz i torbę Joanny.

Nie dało się ukryć.

– Zgadza się – potwierdziła i wcisnęła „P”. – Jakich trzech sprawach?

– Po pierwsze, jutro wieczorem urządzimy wieczór smakołyków, pod warunkiem że przyjdzie Richard. Po drugie, parę dni temu doktor Jamison zjawiała się na oddziale nagłych wypadków – współpracuje z jednym ze stażystów przy jakimś projekcie badawczym – i nie masz się czym przejmować. Z całą pewnością jest po sześćdziesiątce. A po trzecie, dowiedziałam się tego, o co mnie pytałaś.

– W sprawie doktor Jamison? – spytała skołowana Joanna.

– Nie, w sprawie filmu. Pytałaś, czy jest w nim scena z ludźmi, którzy wyszli na pokład po wyłączeniu silników. Otóż nie ma. Jest za to scena, w

której ludzie wystawiają głowy z kabin, a stewardzi każą im wejść na pokład łodziowy. W jeszcze innej scenie matka Kate Winslet i jej odrażający narzeczony stoją w kamizelkach ratunkowych w pobliżu głównych schodów i czekają na wezwanie do swojej szalupy.

– Przecież mówiłaś, że twoje zebranie potrwa do wpół do dwunastej – zdumiała się Joanna. Nie istniała możliwość, aby Vielle pożyczyła coś z wideoteki o tak późnej porze.

– I potrwało – potwierdziła Vielle. – Miałam do ciebie zadzwonić wczoraj w nocy, ale zrobiło się zbyt późno. W jednej ze scen na pokładzie pasażerowie bawią się kawałkami lodu, poza tym jest jeszcze ujęcie wypuszczanej pary, czemu towarzyszy tak ogłuszający hałas, że nikt nic nie słyszy, ale Heidi twierdzi, że nie pamięta żadnej sceny z ludźmi stojącymi bezradnie i nie wiedzącymi, co się stało.

– Heidi? – spytała gwałtownie Joanna.

– Tak, w trakcie jednej z przerw na siusiu podczas zebrania spotkałam Heidi Schlagel. Jest wykwalifikowaną pielęgniarką, pracuje na nocnej zmianie, chociaż kiedyś pracowała od trzeciej do jedenastej, i nikt na świecie nie kocha Leonarda DiCaprio tak jak ona. Kiedyś doprowadzała nas do szału opowieściami o *Titanicu*. Widziała go jakieś pięćdziesiąt razy. Pomyślałam sobie, że jeśli ktokolwiek zna odpowiedź na twoje pytanie, to tylko ona. Nie myliłam się. – Vielle uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona ze swojego sprytu.

– Prosiłam cię, żebyś pożyczyła kasetę. – Joanna zerknęła niespokojnie na wskaźnik piętra w nadziei, że nikt nie wejdzie do windy w trakcie tej rozmowy.

– Wiem. – Vielle sprawiała wrażenie zaskoczonej. – Ale przecież nie dałabym rady wczoraj obejrzeć filmu, a ty zachowywałaś się tak, jakbyś chciała od razu znać odpowiedź.

Jeśli pan Mandrake się o tym dowie...

– Powiedziałam ci, żebyś nikomu nie mówiła.

– Nie poinformowałam Heidi, do czego potrzebna mi ta wiadomość. – Vielle ściągnęła brwi. – Nawet nie wymieniłam twojego nazwiska. Myśli, że ja sama chciałam się dowiedzieć.

– A jeśli zobaczyła, że ze mną rozmawiasz?

– Co takiego? – osłupiała Vielle. – Zachowujesz się tak, jakbyś miała paranoję. Powiedziałam ci, Heidi pracuje na nocnej zmianie, a nawet jeśli nas słyszała, nic z tego nie wywnioskuje. Dla niej wszyscy poświęcają

każdą wolną chwilę na rozmowy o *Titanicu*. Kiedy jej powiedziałam, że mam pytanie związane z tym filmem, musiałam wysłuchać całego wykładu na temat niezwyklej urody Leo... – Słowo „Leo” pisnęła jak rozhisteryzowana nastolatka. – ...w *Niebiańskiej plaży*, i jak bardzo nie doceniają go krytycy. Nie zdążyłam nawet zadać tego pytania. A kiedy już się dowiedziałam, czego chciałam, przez resztę przerwy wyłuszczała mi, że główne schody to idealna replika tych ze statku, poza tym rozwodziła się jeszcze nad zegarem, niebem i w ogóle. Wierz mi, nie sądzę, aby zapamiętała, że zadałam jej jakiegokolwiek pytanie, tak bardzo się cieszyła, że znalazła kogoś, kto wysłucha jej paplaniny.

Mam nadzieję, pomyślała Joanna, ale ilu ludzi słyszało, jak one o tym rozmawiały? Ten plotkarski szpital...

– A poza tym nie rozumiem, dlaczego twój zakład z Richardem ma być owiany taką wielką tajemnicą. Jeśli jednak to cię trapi, poproszę Heidi, aby nikomu nie mówiła o...

– W żadnym wypadku! – zaprotestowała Joanna. Gdyby Heidi nie nabrała dotąd podejrzeń, taka prośba od razu wzbudziłaby w niej czujność, a jeśli i tak zaciekawiała ją ta sprawa, dodatkowe sugestie tylko pogorszyłyby sprawę. – Nie ma potrzeby, to nie ma znaczenia. – Joanna usiłowała utrzymać swobodny ton. – Martwię się tylko, że teraz za każdym razem, gdy ją spotkasz, będziesz musiała wysłuchiwać peanów na cześć Leo. – Usiłowała się uśmiechnąć. – Udało ci się ruszyć z miejsca sprawę aspiranta Righta?

– Nie było możliwości – wyjaśniła Vielle. – Trochę miałam nadzieję, że nie zwrócisz mi na czas samochodu i namówię go na podrzucenie mnie do domu. A właśnie, dokąd tak pośpiesznie pojechałaś?

– I dlaczego odstawiłam samochód, niwecząc twoje plany? – uzupełniła Joanna. – Gdybym wiedziała...

– To nie twoja wina. Wyszedł przed przerwą. Gdzie byłaś? – Drzwi windy otworzyły się na parterze. – I dokąd się teraz wybierasz?

– Muszę gdzieś wyjść w sprawach zawodowych – wytłumaczyła niejasno Joanna. Nie miała jednak ochoty maszerować z Vielle na oddział nagłych wypadków, dając jej możliwość zadawania kłopotliwych pytań. – Właśnie mi się coś przypomniało, muszę pojechać na pierwsze – stwierdziła nagle i wcisnęła jedynekę. – Wieczór smakołyków możemy urządzić jutro – zgodziła się, czekając, aż drzwi wreszcie się zamkną. – Spytałam Richarda, czy może przyjść.

Vielle zatrzymała drzwi dłonią.

- Na pewno nic ci nie jest? Wczoraj...
- Czuję się świetnie, tylko jestem strasznie zajęta. Ostatnio doszło do tyłu śmierci klinicznych...
- Czy właśnie dlatego tak pośpiesznie wczoraj przyszłaś? Żeby porozmawiać z pacjentem? – dopytywała się Vielle. Na szczęście w drzwiach rozległ się ostrzegawczy dzwonek.
- Czyja teraz kolej na wypożyczenie filmów? – Joanna usiłowała przekrzyczeć dzwonienie.
- Twoja. – Vielle niechętnie puściła drzwi. – Wciąż jeszcze...

Drzwi zaczęły się zamykać.

- Postaram się znaleźć coś z Denzelem Washingtonem. Jaki był tytuł tego filmu o wojnie secesyjnej?
- *Chwała*.
- *Chwała* – powtórzyła Joanna, wpatrując się w znikającą za drzwiami zmartwioną twarz Vielle.

Rozdział 24

„Zaczekaj, aż rozwiążę mój problem”.

Ostatnie słowa Archimedesesa, wypowiedziane do rzymskiego żołnierza, który rozkazał mu iść ze sobą

Po ulicach jeździło równie mało samochodów jak poprzedniego wieczoru. Joanna dotarła do domu pana Briarleya w niecały kwadrans. Żeby tylko znaleziona przez Kit książka okazała się tą właściwą.

Niestety. Joanna przekonała się o tym, jak tylko Kit, na bosaka, w białej bluzce i dżinsach, zaprowadziła ją do biblioteki, wyjaśniając przyciszonym głosem:

– Wujek Pat właśnie się położył.

Wszystko się zgadzało. Książka miała niebieską okładkę, złote litery, rysunek zgrabnego klipera pod pełnymi żaglami, przecinającego niebieskozielone fale. Tak, jak to opisała Joanna. Tylko że to nie o tę książkę jej chodziło.

– Nie, to nie był kliper. – Przyjrzała się okładce. – Chodziło mi o jeden ze statków Francisa Drake’a, karawelę. – Niespodziewanie przypomniała sobie nazwę jednostki, tkwiącą gdzieś głęboko w zakamarkach jej pamięci długotrwałej. – Poza tym jest za duża. Przykro mi. – Przepraszająco pokręciła głową. – Ale wiem, że znalazła pani książkę świetnie odpowiadającą mojemu opisowi.

– Skoro to nie ta książka, nic tego nie zmieni – stwierdziła filozoficznie Kit. Wskazała ręką książki w bibliotece. – Dopiero zaczęłam szukać. Powinna być mniejsza? – Pokazała wzrokiem *Wyprawy i wspomnienia*.

– Nie, książka ma odpowiednie rozmiary, ale pamiętam, że karawela była mniejsza niż ten kliper.

– A kolor? Chodzi pani o jasno- czy ciemnoniebieski?

– Raczej ciemnoniebieski – zawahała się Joanna. – Nie jestem pewna. Przepraszam, że nie potrafię powiedzieć nic konkretnego. Gdybym ją

zobaczyła, od razu bym ją poznała.

Kit pokiwała głową i odłożyła książkę na półkę.

– Dzisiaj rano zadzwoniłam do liceum, żeby sprawdzić, czy przypadkiem teraz nie korzystają także z tej samej książki, ale nikt nie potrafił udzielić mi konkretnych informacji. Odniosłam wrażenie, że potraktowano mnie tak, jakbym miała ukraść ściśle tajne dokumenty.

Joanna doskonale pamiętała kobietę z sekretariatu.

– Nie chciałam sprawiać pani tylu kłopotów.

– Och, nie mam nic przeciwko temu. – Kit uśmiechnęła się. – Dzięki temu mogę skupić się na czymś innym niż tylko... To dla mnie rozrywka. Coś w rodzaju poszukiwania skarbów.

– Naprawdę jestem bardzo zobowiązana – podziękowała Joanna i podeszła do drzwi. – Jeśli przypomnę sobie coś jeszcze, na pewno zadzwonię.

– O, ale pani jeszcze nie wychodzi, prawda? – Kit zabrzmiała tak samo jak Maisie. – Liczyłam na to, że zostanie pani na filiżankę herbaty.

Joanna zerknęła na zegarek.

– Muszę się znaleźć w szpitalu przed pierwszą – wyjaśniła z powątpiewaniem.

– Zagotowanie wody potrwa tylko minutę – obiecała Kit, prowadząc Joannę przez przedpokój, obok schodów, do kuchni.

– Upiekłam ciasteczka... o, nie!

– Co się stało? – Joanna usiłowała zajrzeć Kit przez ramię, żeby sprawdzić, co się stało w kuchni.

– Myślałam, że śpi – jęknęła Kit, jakby nie usłyszała Joanny, a następnie minęła ją i pobiegła po schodach na górę. – Proszę mi wybaczyć. Zaraz wrócę.

Joanna zerknęła do kuchni, zaniepokojona tym, co tam zobaczy. Na stole stał pusty talerz z okruszkami. Obok niego znajdowała się patelnia i dwa garnki, a na podłodze w czerwono-białe kafelki leżały jeszcze inne patelnie, pokrywki, puszki na ciastka, tacki i wielka brytfanna.

Kit zbiegła ze schodów.

– Przepraszam – oznajmiła rzeczowym tonem. Weszła do kuchni i zaczęła zbierać garnki. – Teraz już śpi. Musiał zejść, kiedy siedzieliśmy w innym pokoju. – Wsunęła dwa małe rondelki do większego i upchnęła je wszystkie w szafce obok zlewu. – Wyciąganie przedmiotów z szuflad i

szafek to typowe zachowanie przy chorobie Alzheimera – wyjaśniła, chowając patelnię.

I koszmar dla domowników, pomyślała Joanna.

– Mogę pani jakoś pomóc? – spytała.

– Nie, dam sobie radę. – Kit zdjęła pokrywkę z brytfanny i wyciągnęła ze środka dwie książki. Położyła je na stole. – Proszę usiąść. Już parzę herbatę.

Wyciągnęła dwa kubki z szafki na ścianie, wypełniła je wodą i wstawiła do kuchenki mikrofalowej, a następnie wstukała kod.

– Problem w tym, że coraz mniej sypia – wyjaśniła, stawiając na stole cukier i torebki herbaty. – Kiedyś spał dwie godziny dziennie – wyciągnęła dwie łyżeczki – ale obecnie często się budzi, nawet w nocy. No dobrze, a teraz zasadnicze pytanie. – Oparła ręce na biodrach i rozejrzała się po kuchni. – Gdzie schował ciasteczka? – Sprawdziła w lodówce, zamrażalniku i koszu na śmieci.

– Może je zjadł? – zasugerowała Joanna, nie mogąc uwierzyć, że rozmawiają o panu Briarleyu, który wiedział wszystko o Dylanie Thomasie, żonach Henryka VIII i dramacie epoki odrodzenia.

– Zwykle nie sięga po żywność. Niemal zupełnie stracił apetyt. – Po kolei otworzyła szuflady, a potem stanęła zamyślona pośrodku kuchni. – W tym, co robi i mówi, zwykle kryje się ziarno logiki, chociaż czasami trudno się go dopatrzeć.

Podeszła energicznie do piekarnika i otworzyła drzwiczki.

– No i proszę – zatriumfowała, wyciągając górną półkę, na której leżały ciasteczka, elegancko ułożone rzędami. Wzięła talerz i przystąpiła do przekładania ciasteczek. – Miałyśmy szczęście, że nie schował ich w zmywarce. – Postawiła talerz na stole.

Rozległ się dźwięk kuchenki mikrofalowej, Kit wyciągnęła kubki, wręczyła jeden Joannie i siadła naprzeciwko niej.

– Od jak dawna pan Bri... pani wujek tak się zachowuje? – zainteresowała się Joanna.

– Wyciąga rzeczy z szafek i zapomina o wszystkim? Szafki to problem ostatnich dwóch miesięcy. Chorobę Alzheimera zdiagnozowano u niego pięć lat temu, ale już dwa lata wcześniej zaczęłam dostrzegać jej objawy.

Joannę zaskoczyły słowa Kit. Z jej wcześniejszych wypowiedzi wywnioskowała, że dziewczyna wprowadziła się do wujka po stwierdzeniu u niego choroby Alzheimera, lecz najwyraźniej mieszkali razem jeszcze

wcześniej. W czasie gdy chodziła do szkoły?, zastanawiała się Joanna, przypominając sobie zdjęcie Kit przed gmachem uniwersytetu. Uczelnia znajdowała się zaledwie kilka ulic dalej.

– Zaniki pamięci zaczęły się zapewne kilka lat wcześniej – opowiadała Kit, zanurzając torebkę herbaty w wodzie. – Choroba rozwijała się przez dłuższy czas, a chorzy na Alzheimera szybko się uczą dobrze maskować objawy.

Joanna przypomniała sobie, jak poprzedniego dnia pan Briarley mruknął: „Coleridge. Przeceniony romantyk”. Zastanawiała się, czy jej były nauczyciel w ogóle zdawał sobie sprawę, kim był Coleridge.

– Nie wiem, jak dużo pani wie o tej chorobie. – Kit wręczyła Joannie ciasteczko. – Pierwsze objawy to drobiazgi, zapominanie o spotkaniach, odkładanie przedmiotów na niewłaściwe miejsca – wujek Pat ciągle gubił swój dziennik z ocenami, a kilka razy zapomniał o zebraniach grona pedagogicznego – takie sprawy często się uznaje za skutek przemęczenia lub podeszłego wieku. – Wsypała cukier do kubka i zamieszała. – Wczoraj wspomniała pani o *Titanicu*, a ja właśnie przez ten film uzmysłowiłam sobie, że coś jest nie tak. Poszłam na niego do kina, i po wielu latach wysłuchiwania opowiadań wujka o tej katastrofie, uznałam, że film jest koszmarny.

– Mnie również nie przypadł do gustu – przytaknęła Joanna.

– To dobrze, zatem wie pani, o czym mówię. Tak czy owak, wróciłam do domu i opowiedziałam wujkowi, że autorzy filmu ze wszystkich zrobili tchórzy, nawet z Lightollera i Molly Brown, zupełnie pomieszaliby fakty – według nich Murdoch zastrzelił pasażera! – a wujek się wściekł, zgodnie z moimi przewidywaniami. Oznajmił, że rano napisze ostry list do Jamesa Camerona, a kiedy szłam do łóżka, widziałam, że wyciągnął wszystkie swoje książki o *Titanicu*, aby dokładnie przepisać cytaty. Wypiła łyk herbaty. – Następnego ranka spytałam go, czy napisał już list. – W jej głosie zabrzmiała cała rozpacz Amelii Tanaki i Grega Menottiego. – W ogóle nie pamiętał o liście ani o naszej rozmowie. Nie przypominał sobie nawet, że byłam w kinie, i nie miał pojęcia, kim był Lightoller.

A wczoraj zjawiłam się ja, pomyślała Joanna, i nie tylko zaczęłam mówić o *Titanicu*, lecz w dodatku dopytywałam się, czy pan Briarley pamięta, co mówił na lekcji.

– Ogromnie mi przykro – odezwała się Joanna. – Gdybym tylko wiedziała...

– O, nic się nie stało. Chciałam tylko wyjaśnić pani, dlaczego wczoraj zachowywałam się tak dziwnie, pytałam, czy przysłała panią moja matka i w ogóle. Mamy odmienne poglądy na temat opieki nad wujkiem. Mama ciągle nasyła rozmaitych ludzi, aby namówili mnie na skierowanie wujka do domu opieki. Uważa, że sama nie daję sobie rady.

Nietrudno się domyślić, dlaczego tak sądzi, uznała Joanna, przyglądając się potwornie wystającym obojczykom Kit i jej podkrążonym oczom. Wspominała, że pan Briarley mało sypia, Joanna mogłaby się założyć, że Kit także.

– Wiem, że któregoś dnia wujek Pat trafi do zakładu, ale chciałabym, aby jak najdłużej pozostał tutaj. Był dla mnie bardzo dobry, a kiedy pani powiedziała, że pracuje w Szpitalu Miłosierdzia, uznałam... Czym się pani zajmuje w szpitalu? – zaciekawiała się nagle.

– Jestem psychologiem kognitywnym – wyjaśniła Joanna i zaczęła się zastanawiać, czy powinna rozwinąć ten temat, lecz Kil pod wieloma względami przypominała jej Maisie, a Maisie nienawidziła kłamstw. – Zajmuję się projektem badawczym związanym z doświadczeniami granicznymi. Pewnie słyszała pani o zjawisku tunelu i światła?

– Czytałam *Światło na końcu tunelu* – potwierdziła Kit. – Skłoniła mnie do tego moja kuzynka, kiedy... – Urwała, a jej policzki zaczerwieniły się ze złości lub zakłopotania.

Co może być gorsze od odkrycia, że jej wujek ma Alzheimera?, zastanowiła się Joanna. Zażenowanie, związane z tym, że kuzynka usiłowała ją pocieszyć przy pomocy Maurice'a Mandrake'a?

– Nie współpracuje pani z panem Mandrakiem, prawda? – zaryzykowała Kit.

– Nie – odparła stanowczo Joanna.

– To dobrze. Jego książka wydała mi się koszmarna. „Nie martw się, tak naprawdę umarli wcale nie umarli i nigdzie nie odeszli. Wciąż mogą przesyłać ci wiadomości z Tamtej Strony”.

– Znam to. Pracuję z doktorem Wrightem. Jest neurologiem. Usiłujemy stwierdzić, czym naprawdę są doświadczenia przedśmierne i dlaczego umierający mózg doznaje pewnych wrażeń.

– Umierający mózg? – zdumiała się Kit. – Czy to znaczy, że wszyscy ludzie czegoś doświadczają przed śmiercią? Wydawało mi się, że tylko niewielka grupa osób ma takie doznania.

– Nie, w rzeczywistości około sześćdziesięciu przywróconych do życia pacjentów twierdzi, że pamięta swoje doświadczenia graniczne ze śmierci klinicznej wywołanej pewnymi określonymi czynnikami – atakami serca, wykrwawieniem, wstrząsem.

– Tak jak podczas wypadków samochodowych?

– Zgadza się, a także po ugodzeniu nożem, po wypadkach w miejscu pracy, po postrzale. Oczywiście nie sposób stwierdzić, ilu nie uratowanych ludzi miało jakieś przedśmiertne doznania.

– Czy one są przyjemne, to znaczy dla tych, którzy je mają? Nie są przerażające?

Joanna przypomniała sobie młodą kobietę, stojącą na pokładzie i przepełnionym strachem głosem pytającą stewarda: „Co się stało?” Oraz Amelię powtarzającą: „O nie, o nie, o nie”.

– Czy one są przerażające? – Nie ustępowała Kit. – Wujek Pat ma niekiedy halucynacje. Widzi ludzi stojących u stóp swojego łóżka albo w drzwiach.

W drzwiach. Joanna uznała, że koniecznie musi powiedzieć o tym Richardowi. Choroba Alzheimera jest wywoływana pojawieniem się niewłaściwych substancji neurochemicznych. Niewykluczone, że istniał jakiś związek.

– ...a czasami to, co mówi, wydaje się wskazywać, że ponownie doświadcza wydarzeń z przeszłości.

Lateralizacja, pomyślała Joanna.

– Większość ludzi po doświadczeniach granicznych twierdzi, że czuła ciepło, bezpieczeństwo i miłość – wyjaśniła pokrzepiająco. – Doktor Wright ma dowody na to, że podczas doświadczeń granicznych podnoszą się poziomy endorfin, co tłumaczy taki stan.

– To dobrze – odetchnęła Kit, lecz zaraz potem pokręciła głową. – Wujek Pat niemal zawsze widzi przygnębiające lub przerażające rzeczy. Zupełnie, jakby nie potrafił ich zapomnieć i jednocześnie ich nie pamiętał, więc wciąż do nich powraca. Mam wrażenie, że chce je zrozumieć, chociaż pamięć go zawodzi. – Na chwilę przyłożyła dłonie do twarzy. – W książkach jest napisane, żeby nie sprzeciwiać się choremu ani mu nie zaprzeczać, ale jednocześnie nie dawać wiary jego halucynacjom. To niełatwe.

– Zdaje się, że w przypadku choroby Alzheimera nic nie jest proste.

Kit uśmiechnęła się słabo.

– Wydawało mi się, że nagła śmierć jest najgorszą rzeczą, jaka się może przydarzyć. Teraz nie wątpię, że to nieprawda. – Wstała. – Przepraszam, pani wcale nie ma ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego. Nie chciałam o tym rozmawiać. Rzecz w tym, że rzadko kiedy mam okazję porozmawiać z kimkolwiek o tej chorobie, a kiedy już zacznę, to... – Wykrzywiła twarz. – Powinnam częściej wychodzić z domu.

– Może pani przyjdzie jutro na wieczór smakołyków? – spytała impulsywnie Joanna.

– Wieczór smakołyków?

– Tak. To nie jest impreza ani przyjęcie, tylko zwykłe spotkanie w małym gronie. Zjawi się doktor Wright i moja przyjaciółka Vielle – na pewno przypadnie pani do gustu. Spotykamy się razem, oglądamy filmy na wideo, jemy i rozmawiamy. Głównie rozmawiamy. To taki nasz wentyl bezpieczeństwa, a zdaje się, że pani również przydałoby się coś podobnego. Lubi pani filmy?

– Bardzo. Od dawna nie miałam okazji nic obejrzeć. Wujkowi Patowi rzeczywistość miesza się z tym, co widzi na ekranie. To powszechne zjawisko u chorych na Alzheimerera. Z przyjemnością obejrzałabym jakiś film, ale... – Pokręciła głową. – Dziękuję, obawiam się, że to nie wchodzi w grę.

– Dlatego, że nie ma pani go z kim zostawić?

– Ależ nie, moja mama zawsze się zjawia, kiedy muszę iść do sklepu, ale... -Wpatrywała się w szafkę z garnkami, a Joanna domyślała się, o czym myśli. Gdyby pan Briarley znowu wyciągnął wszystkie naczynia, jej matka wykorzystałaby to jako argument za umieszczeniem chorego w zakładzie zamkniętym.

– Czy korzystała pani kiedykolwiek z programu opieki nad ludźmi w podeszłym wieku? – zainteresowała się Joanna. – Prowadzą go pracownicy Szpitala Miłosierdzia. Opiekunowie zjawiają się w domach osób chorych lub niedołączonych, aby się o nich zatroszczyć. Są bardzo dobrzy. Znam jedną kobietę, która się tym zajmuje. Z przyjemnością się z nią skontaktuję.

– Ale przecież wieczór smakołyków jest już jutro wieczorem.

– Istnieje specjalny, dwunastogodzinny program zapewniania szybkiej pomocy. Pracownicy zdają sobie sprawę, że osoby dzwoniące do nich są zwykle w awaryjnej sytuacji. Część personelu jest specjalnie przeszkolona w opiece nad chorymi na Alzheimerera – zachęcała Joanna, ale Kit kręciła głową.

– To wszystko świetnie brzmi, ale kiedy wychodzę z domu, zawsze się denerwuję, że coś się stanie, a jeśli zadzwonię, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, dzwonek telefonu go zdenerwuje. Tak więc dziękuję za zaproszenie, ale lepiej zostanę.

– Powinna pani kupić sobie pager – zasugerowała Joanna, wyciągając swoje urządzenie, aby zaprezentować je Kit. – Albo telefon komórkowy. Dzięki temu będzie się można z panią zawsze skontaktować. – Chyba że zostawi go pani w samochodzie, kiedy pobiegnie do sklepu spożywczego, tak jak dziewczyna Grega Menottiego.

– Telefon komórkowy – powtórzyła Kit. – O tym nie pomyślałam. Muszę sprawdzić... Myśli pani, że ktoś mógłby się zjawić na jutrzejszy wieczór?

– Na pewno. Jeśli ma pani ochotę przyjść, mogę po panią podjechać. I proszę mi mówić po imieniu.

– Z przyjemnością. Mogę zadzwonić do ciebie jutro, żeby powiedzieć, czy się zdecydowałam?

– Jasne – potwierdziła Joanna.

– Albo jeszcze wcześniej, jeśli znajdę książkę. Gdyby wujek Pat zasnął na chwilę, mogłabym zejść do piwnicy i przejrzeć książki, które tam leżą...

– O, upiekłaś ciasteczka – ucieszył się pan Briarley, wchodząc do kuchni.

– Myślałam, że jesteś w łóżku, wujku.

– Bo byłem, ale usłyszałem głosy, więc przyszło mi do głowy, że przyszedł Kevin. Dzień dobry – przywitał się z Joanną.

– Dzień dobry, panie Briarley – odparła Joanna.

– Masz ochotę na herbatę? – Kit sięgnęła po porcelanową filiżankę i spodek.

– Raczej nie, czuję się zmęczony. Chyba pójdę się położyć. Miło było panią poznać – zwrócił się do Joanny i wyszedł do przedpokoju.

– Zaraz wrócę. – Kit wybiegła za nim z kuchni.

Joanna słyszała, jak wchodzi po schodach, a potem dobiegł ją głos pana Briarleya: „Przekonają się, kiedy zobaczą. To lustrzany wizerunek”.

Pora się zbierać, pomyślała Joanna i spojrzała na zegarek. Wskazywał wpół do pierwszej.

– Do diabła – sapnęła i sięgnęła po płaszcz. Wyszła do przedpokoju i stanęła pod wąskimi drewnianymi schodami. – Kit! – krzyknęła, kładąc

rękę na poręczy. – Muszę się zbierać, zadzwonię jutro w sprawie wieczoru smakołyków.

Kit pokazała się na górze.

– W porządku – potwierdziła. – A ja zadzwonię, jak tylko znajdę książkę.

Joanna otworzyła drzwi na dwór. Kiedy wychodziła, dobiegł ją głos pan Briarleya: „Nie pożegnasz się z Kevinem?”

Czy Kevin w ogóle istnieje?, zastanawiała się Joanna, jadąc z powrotem do szpitala tak szybko, jak na to pozwalał ruch uliczny. A może była to jedna z halucynacji, o których wspominała Kit? Pamiętała jej zdjęcie z blondynem, zrobione w bibliotece. Może nic chciał lub nie potrafił poradzić sobie z codziennym koszmarem opieki nad chorym na Alzheimera? A może Kit po prostu zerwała z nim, tak jak najwyraźniej zrezygnowała z wolności, oglądania filmów i kontynuowania nauki?

Dlaczego została opiekunką chorego?, zastanawiała się Joanna, przejeżdżając skrzyżowanie na żółtym świetle. Logika nakazywałaby, żeby opieką nad panem Briarleyem zajęła się matka Kit, która najwyraźniej martwiła się tym, co się dzieje z jej córką.

– Nic dziwnego – mruknęła do siebie Joanna.

Szybko wjechała na szpitalny parking. W całej sprawie kryła się jakaś tajemnica, lecz bez względu na wszystko, Joanna nie miała teraz czasu się nią zająć. Musiała jak najszybciej znaleźć się na górze. Za dziesięć pierwsza. Za mało czasu, aby szukać bocznych dróg do laboratorium. Trzeba było skorzystać z głównej windy. Żeby tylko nie natknąć się na pana Mandrake’a.

Miała szczęście. Dotarła na piąte piętro, nie spotykając nikogo znajomego. Pobiegnęła do laboratorium, a po drodze ściągnęła z siebie płaszcz. Przy pulpicie siedział Richard, a Tish stała przy stole do badań, zawieszając na kroplówce torebkę z roztworem soli fizjologicznej.

– ...znalazłam nowe miejsce na imprezę – tłumaczyła Tish.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczęła Joanna. – Mam coś ciekawego. Pan Briarley... – Richard posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i kiwnął głową do Tish, lecz Joanna go zignorowała – ...jest chory na Alzheimera, a jego siostrzenica twierdzi, że on cierpi na halucynacje, w których widzi ludzi stojących wokół jego łóżka lub przy drzwiach.

– Ciekawe – zainteresował się Richard. Choroba Alzheimera jest wywoływana niedoborem acetylocholino, a nie jej nadmiarem.

Wspomniała, czy chory ma jakieś inne symptomy doświadczeń granicznych?

- Podobno na nowo przeżywa wydarzenia z przeszłości.
- Retrospekcja życia. – Richard się zamyślił. – Zastanawiam się...
- Możemy zaczynać? – spytała Tish. – Mam wizytę u okulisty.

U dentysty, poprawiła ją w myślach Joanna, idąc do przebieralni. Włożyła szpitalną koszulę nocną, podeszła do stołu do badań, wspięła się na niego i położyła. Tish przystąpiła do wsuwania poduszek z gąbki pod jej ręce i nogi.

– Lubi pan Tommy’ego Lee Jonesa? – spytała pielęgniarka, wpatrując się w Richarda. – Występuje w nowym filmie, który koniecznie muszę obejrzeć. – Obeszła Joannę i zaczęła instalować elektrody.

– Jesteś gotowa? – spytał Joannę Richard. Skinęła, unieruchomiona przez elektrody. – Zmieniłem dawkę i zamierzam wydłużyć czas, który spędzasz w fazie płytkiego snu. Zobaczymy, co z tego będzie.

Ciekawe, co takiego, zastanowiła się Joanna, obserwując Tish podłączającą kroplówkę.

– Niesamowicie mi się podobał w *Wulkanie* – stwierdziła Tish, unieruchamiając igłę plastrem. – Widział pan to?

Przygotowania trwają zbyt długo, uznała Joanna. Cały czas widziała zegar, chociaż Richard go przesunął. Wskazywał za pięć pierwsza. Musimy w ogóle się go pozbyć, pomyślała.

– Ta scena w tunelu metra była fantastyczna. – Tish zasłoniła oczy Joanny czarną maską i zabrała się do mocowania elektrod. – Widzieli światło na końcu i nie mieli pojęcia, co to, a dopiero później zdali sobie sprawę, że to płynna lawa, podążająca w ich stronę. A ta część, w której lawa porwała tego faceta i...

W tym momencie Tish litościwie zasłoniła słuchawkami uszy Joanny, która leżała w oczekiwaniu na Richarda. Spodziewała się, że podejdzie, podniesie słuchawkę i spyta, czy jest już gotowa.

Gotowa na co?, zamyśliła się. Na opadnięcie popiołu? Na Tommy’ego Lee Jonesa? Wezuwiusz eksplodował o pierwszej, pomyślała i znalazła się w tunelu.

W przejściu panowała cisza, jakby głośny dźwięk ucichł. Od otwartych drzwi oślepiająco błyszczało złote światło. Jeśli to Wezuwiusz, przykryj usta i nos ręką, a potem biegnij z powrotem do korytarza, przykazała sobie, ruszając w stronę drzwi. Nie był to jednak Wezuwiusz ani zbliżający się

pociąg, ani też nie stała w korytarzu na drugim piętrze, co zresztą wiedziała od chwili, gdy się tu znalazła. Przebywała na *Titanicu*, a przez otwarte drzwi widziała ubraną w białą nocną koszulę kobietę rozmawiającą z panią w białych rękawiczkach.

– Jestem pewna, że nie ma się czym przejmować, Edith – stwierdziła kobieta w białych rękawiczkach.

– Idź poszukać pana Briarleya – Przykazał brodacz stewardowi. – On będzie wiedział, jaka jest sytuacja.

– Tak jest, proszę pana – potwierdził steward.

– Będziemy w kabinie.

– Tak jest, proszę pana – oświadczył steward i skierował się ku światłu.

Joanna próbowała wypatrzeć, dokąd idzie, lecz poświata okazała się zbyt jasna. Poszła krok do przodu, usiłując jak najwięcej zobaczyć, ale zaraz się zatrzymała. Muszę przekroczyć próg, pomyślała, i znowu ogarnął ją strach.

Głos powiedział: „Nie możesz przejść na tę stronę”, jak stwierdziła pani Grant, a pan Olivetli mówił: „Wiedziałem, że gdybym przeszedł przez bramę, nigdy bym nie powrócił”. A jeśli wejdzie na pokład, czy będzie mogła powrócić? A może Vielle się nie myliła i doświadczenia graniczne stanowiły element procesu umierania, zapoczątkowywanego przez przekroczenie progu?

To niemożliwe, zdecydowała Joanna. Oboje się mylą, a wraz z nimi pan Mandrake. Doświadczenia graniczne nie są bramą prowadzącą na Tamtą Stronę. Są czymś innym, a ja muszę się dowiedzieć czym. Kiedy stanęła na progu, ponownie spojrzała na podłogę, wyraźnie widoczną w mocnym świetle. Pomędzy wyłożoną woskowanym drewnem podłogą korytarza i nic lakierowanymi deskami pokładu przebiegała zauważalna granica.

Joanna przyłożyła rękę do klatki piersiowej, jakby pragnąc uspokoić serce.

– „Śmierć jest także wielką przygodą” – powiedziała, przekroczyła próg i wyszła na pokład.

Rozdział 25

„Teraz możemy pokonać ruchome piaski”.

Ostatnie słowa Lymana Franka Bauma

– Pan Briarley wszystko nam wyjaśni – odezwał się brodacz do kobiety. Żadne z nich się nie odwróciło, kiedy Joanna wyszła na pokład. Zastanawiała się, czy ją widzą.

– Tymczasem – ciągnął mężczyzna – panie powinny wracać do środka, gdzie jest cieplej.

Młoda kobieta skinęła głową, otulając się płaszczem.

– Zimno mi – zadrżała.

Steward zniknął w świetle. Joanna poszła za nim, w nadziei że dostrzeże, dokąd się udał. Minęła grupkę ludzi i przeszła obok młodej kobiety oraz grubego siwego mężczyzny w tweedowym ubraniu.

– Wyjaśnili, co się stało? – spytał gruby nieznajomy wysokiego mężczyzny w czarnym płaszczu, gdy Joanna ich mijała.

– Co ty tu robisz? – krzyknął brodacz.

Joanna podskoczyła i ze zdumieniem odwróciła się w jego stronę, lecz mężczyzna nie zwracał się do niej. Swoje słowa skierował do młodego mężczyzny w brudnym swetrze i miękkiej czapce.

– Nie powinieneś tu wchodzić – surowo wyjaśnił brodacz.

– Osoby postronne nie mają tu prawa wstępu.

– Przepraszam. – Młody człowiek rozejrzał się nerwowo.

– Usłyszałem hałas i przyszedłem sprawdzić, co się dzieje.

Tak samo jak ja, pomyślała Joanna. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła, że światło dobiega z lampy umocowanej na pomalowanej na biało metalowej ścianie. Jedno ze świateł pokładowych, uznała. Musi być jeszcze bardzo wcześnie, gdyż pod sam koniec światło zaczęło zanikać i świecić na czerwono, inżynierowie nic mogli bowiem podtrzymać pracy prądnic.

A potem zgasło, przypomniała sobie Joanna. To światło było jednak pokrzepiająco jasne, tak jasne, że w jego promieniach nie widziała niczego, nawet kiedy przysłoniła oczy. Uznała, że musi je obejść, aby cokolwiek zobaczyć.

Ponownie się zatrzymała, tak samo jak wtedy, gdy przystanąła na progu. Przyłożyła rękę do piersi i zeszła pod pokład w miejscu, w którym zniknął steward. Ruszyła ku światłu, przeszła przez nie i za nie.

Myliła się. Nie znajdowała się na dworze, chociaż czuła przenikliwe zimno. Pokład był oszklony, na całej jego długości znajdowały się długie i szerokie okna z białymi framugami. Joanna do nich podeszła i wyjrzała na zewnątrz, lecz szkło odbijało światło tak silnie, że dostrzegła tylko odbłask białej ściany i pustego pokładu. Joanna odwróciła się w stronę prowadzących do przejścia drzwi. Ujrzała czarny otwór.

Pasażerowie zapewne znikli we wnętrzu statku. Brodacz powiedział stewardowi: „Będziemy w kabinie”, a kobieta poskarżyła się na zimno. Na pewno poszli do swoich kajut, uznała Joanna i ruszyła za nimi do przejścia.

Do tunelu. Nie rób tego, zabroniła sobie. Jeszcze nie chcesz wracać, jeszcze się nie dowiedziałaś, dlaczego widzisz *Titanica*, ani nie poznałaś związku między nim a twoimi doświadczeniami. Nawet nie patrz w tamtą stronę. Pamiętaj, co się przydarzyło Orfeuszowi, przykazała sobie i zmusiła się do odwrócenia głowy od drzwi.

– A jeśli nie uda mi się znaleźć przejścia, kiedy będę gotowa do powrotu? – spytała głośno, a jej głos rozszedł się głuchym echem po zamkniętej przestrzeni pokładu. Żałowała, że nie miała przy sobie okruchów chleba albo kłębka wełny pani Troudthaim. Musisz zapamiętywać, dokąd idziesz, pomyślała, i nie wolno ci zostać tutaj zbyt długo. Masz tylko nieco ponad dwie i pół godziny. Albo cztery do sześciu minut.

Ale przecież nie znajdowała się w stanie prawdziwej śmierci klinicznej. To tylko symulacja, która się skończy, gdy Richard przestanie jej podawać dithetaminę, co może nastąpić lada chwila. Trzeba działać.

Ruszyła przed siebie. Steward zniknął. Pokład był długi i pusty, stały na nim tylko leżaki oraz niskie, pomalowane na biało schowki z namalowanymi szablonem napisami „Kamizelki ratunkowe” na wiekach. Co kilka metrów na ziemi znajdowały się linie, wyznaczające boiska do gry w shuffleboard^{11}.

W oddali mignęła biała marynarka stewarda, który wyszedł przez jedne z drzwi i ruszył w głąb pokładu. Jego biały uniform rozblysnął w świetle lampy pokładowej, a następnie zniknął w cieniu, jakby ktoś zapalił i zgasił żarówkę.

Joanna przyśpieszyła kroku, usiłując dogonić stewarda; już otwierał inne drzwi. Pobiegnęła w jego stronę, usiłując je odnaleźć, lecz ściana okazała się pusta, choć Joanna była niemal pewna, że minęła miejsce, w którym zniknął steward.

A jednak nie, dopiero po chwili dostrzegła białe metalowe drzwi. Wyciągnęła do nich rękę, niepewna, co się stanie. Nie wiedziała, czy uda jej się otworzyć drzwi, czy też jej ręka zagłębi się w nich, jakby była duchem.

Ani jedno, ani drugie. Zaciśnęła dłoń na klamce i pociągnęła, lecz drzwi okazały się zamknięte na klucz. Spróbowała jeszcze raz, obiema rękami, a po chwili dała za wygraną i poszła dalej w głąb pokładu. Kilka metrów za pierwszymi znajdowały się drugie drzwi, a potem jeszcze jedne, lecz i one nie dały się otworzyć.

Od pewnego punktu pokład się zwężał i skręcał zgodnie z linią dziobową statku. Nieco dalej, idealnie pod lampą, znajdowały się drzwi. Podbiegła do nich i szarpnęła za klamkę.

Drzwi się otworzyły. Już miała wejść do środka, gdy zatrzymała się i odwróciła. Nie dostrzegała przejścia z powodu krzywizny pokładu, więc się zawahała, czy powinna wrócić i upewnić się, że wejście nadal jest otwarte. Następnie otworzyła drzwi i zniknęła w środku.

Znalazła się na korytarzu. Na polakierowanej drewnianej podłodze leżały chodniki, a przy ścianach stały ławki z wysokimi i oparciami. Pośrodku umieszczono proste drewniane schody z rzeźbionymi tralkami. Joanna podeszła bliżej, położyła dłoń na poręczy i wychyliła się za wypolerowaną balustradę. Schody sięgały dwóch niższych pokładów, a głębiej niknęły w mroku.

Podniosła głowę, usiłując dojrzeć szczyt schodów, lecz na górnych pokładach także panowały ciemności. Nigdzie nie dostrzegła stewarda. Zawahała się, nie potrafiąc się zdecydować, w którą stronę pójść. Nie na dół, doszła do wniosku, na pewno nie na *Titanicu*, i zaczęła się wspinać po schodach.

Wyżej znajdował się znacznie elegantszy korytarz i kolejne schody, węższe i bardziej strome. Podłogę przykrywały perskie dywany, a na oklejonych tapetą ścianach wisiały obrazy. Wejście po prawej stronie

zagrodzono podwójnymi drzwiami z pochyłymi szybami. Przez szkło Joanna dostrzegła duży pokój z różowymi dywanami, na których umieszczono zastawione stoły.

Jadalnia pierwszej klasy, pomyślała i popchnęła podwójne drzwi, lecz okazały się zamknięte na klucz. W środku nie dostrzegła nikogo, a między przykrytymi białymi obrusami stołami nie kręcili się kelnerzy. Każdy stół udekorowano kwiatami i niewielką lampą z różowym kloszem. Srebrne sztuce i porcelanowe naczynia połyskiwały czerwono w ich świetle.

Na ścianach wisiały podobne różowe lampy, wykonane z jasnego, spłowiałego drewna. Na fortepianie także ustawiono lampę. Instrument wykonano z takiego samego jasnego drewna, lecz starannie polakierowanego. Podniesiona kłapa fortepianu błyszczała złoto w świetle kryształowego żyrandola. Przed instrumentem stała połączona klatka, lecz z takiej odległości Joanna nie potrafiła określić, czy znajduje się w niej jakiś ptak. Czy na *Titanicu* przewożono jakieś ptaki? Maisie nic o tym nie wspominała.

Wąskie drewniane stopnie prowadziły na górę obok okien jadalni, a wyżej usytuowano kolejne schody. Joanna wdrapała się po stopniach. Na końcu schodów znajdowały się drzwi z iluminatorem. Na pewno prowadzą na zewnętrzny pokład, uznała Joanna, lecz kiedy zerknęła przez szybę, dostrzegła wyłącznie ciemności. Otworzyła drzwi.

Nadal nic nie widziała. Nagły powiew chłodu uświadomił jej, że się znajduje na dworze, lecz nie czuła wiatru, ani nawet łagodnej bryzy. Tej nocy było zupełnie bezwietrznie, przeszło jej przez myśl. Pan Briarley wspominał o tym na lekcji. Wszyscy rozbitekowie potwierdzali, że woda zupełnie się nie ruszała, nie odczuli żadnych fal.

Wbiła wzrok w ciemności, ręką trzymając się drzwi i czekając, aż jej wzrok przystosuje się do mroku. Możliwe, że tu jest jak w przejściu, pomyślała, że nie ma tu światła, do którego się można przyzwyczaić. Po bardzo długim, jak się jej zdawało, czasie, zaczęła jednak rozróżniać kształty. Burty, zagięta rura wentylacyjna, a z prawej strony wysoka i masywna konstrukcja.

To jeden z kominów, doszła do wniosku, wpatrując się w czarną sylwetkę na jeszcze ciemniejszym niebie. Znalazła się na otoczonym poręczami małym tarasie. Z początku sądziła, że balustrada całkowicie zamyka przestrzeń tarasu, lecz po minucie dostrzegła małe stalowe schodki o czterech stopniach, prowadzące na wyższy pokład.

Podeszła bliżej, puszczając drzwi, które zaczęły się zamykać. Joanna złapała za klamkę i znieruchomiała, nie chcąc odcinać sobie drogi powrotu. Rozejrzała się wokoło, lecz na tarasie nie znajdowało się nic, czym mogłaby zablokować drzwi. Nie ośmieliła się ich zamknąć z obawy przed zatrzaśnięciem.

Złapała klamkę drugą dłonią, schyliła się i zdjęła but. Zablokowała nim drzwi, ostrożnie je przymknęła i podeszła do schodków. Wspięła się po nich, trzymając się obydwu poręczy, i poszła górnym pokładem. To na pewno pokład łodziowy, zdecydowała. Powyżej wznosiły się cztery ogromne kominy oraz zwisały grube liny dźwigów przeładunkowych. Ale gdzie się podziały szalupy ratunkowe? Nigdzie ich nie widziała. Powinny wisieć wzdłuż całego pokładu.

A jeśli już są na wodzie? Nagle ogarnęła ją panika. To niemożliwe. Łodzi ratunkowej A nie opuszczono aż do piętnaście po drugiej, kiedy dziób zniknął już pod wodą, a pokład tak bardzo się pochylił, że zachodziła konieczność odcięcia lin. Pokład, na którym teraz stała Joanna, wciąż znajdował się w pozycji poziomej.

Poza tym nawet po wodowaniu szalup na pokładzie łodziowym pozostali ludzie, Strausowie i Allisonowie, a także wszyscy nie wpuszczeni do łodzi mężczyźni i pasażerowie z niższych klas, którzy przedostali się z dolnych pokładów.

Przypomniała sobie o orkiestrze. Muzycy stali na pokładzie łodziowym, grając ragtime i walce przez cały czas wprowadzania ludzi na szalupy, a wreszcie *Bliżej Ciebie, Panie*. Grali do samego końca.

A zatem to niemożliwe, aby spuszczone już łodzie, gdyż na ciemnym pokładzie nie znajdowała się ani jedna osoba. Poza tym panowała kompletna cisza, zakłócana jedynie przez nierówny stukot buta i odgłos bosej stopy Joanny.

Pokład kończył się niespodziewanie na niskiej, białej konstrukcji, zwieńczonej kratownicą. Obok znajdowały się stalowe schody, dłuższe niż poprzednie, przez otwór w podłodze prowadzące na dół, do zadaszonego pokładu. Joanna zeszła tam, spoglądając w górę, aby zapamiętać drogę powrotną.

Gdy się odwróciła, dostrzegła łodzie. Wisiały na białych stalowych żurawikach, przyczepione do wózków i grubych zwojów lin. Kapitan Smith najwyraźniej nie wydał jeszcze rozkazu opuszczenia szalup. Wciąż przykrywały je płócienne pokrowce.

Mimo to na pokładzie powinni znajdować się oficerowie. Kapitan Smith wysłał dwóch podkomendnych, aby oszacowali zniszczenia, a sam pozostał na mostku wraz z pozostałymi oficerami do czasu ich powrotu. Niektórzy pasażerowie zjawili się u niego, aby sprawdzić, co się stało. Joanna nie dostrzegła też marynarzy pełniących wachtę ani pasażerów przechadzających się po pokładzie. Pokład łodziowy nigdy nie był tak pusty.

Może to nie jest *Titanic*, może to *Mary Celeste*, zastanowiła się Joanna i wsunęła ręce do kieszeni. Statek nie jest opuszczony, odpowiedziała sobie. Po prostu jest zbyt zimno, żeby ludzie stali na pokładzie. Wszyscy są w środku.

To musiało być właściwe wyjaśnienie. Gdy oddychała, widziała parę wodną, a jej bosa stopa zmarzła na kość. Ukryli się pod pokładem. W oddali dostrzegła światła wydobywające się z rzędu iluminatorów i układające się w złocisty kwadrat na pokładzie. Właśnie tam przebywali, stwierdziła i poszła do światła, mijając długie i niskie pomieszczenie w białym kolorze. „Kwatery oficerskie”, głosił napis na drzwiach.

To tutaj przechowywano składane łodzie ratunkowe, pomyślała Joanna i spojrzała na płaski dach, usiłując wypatrzeć szalupy. Było jednak zbyt ciemno, aby je dostrzec.

Skoro tutaj mieściły się kwatery oficerskie, światła musiały dobiegać ze sterówki i z mostku. Szła niestrudzenie, aż wreszcie zatrzymała się w jasnej części pokładu. Stała przed schodami prowadzącymi na górę. Pasażerowie nie mogą wchodzić na mostek, przypomniała sobie i wdrapała się po schodach.

Na mostku nie zastała nikogo. Duży drewniany ster znajdował się pośrodku pomieszczenia, przed oknami. Za nim ustawiono dwa duże metalowe bębny z dźwigniami: telegraf do kotłowni i do maszynowni. Na bębnach widniały napisy: Wstecz. Naprzód. Cała naprzód. Bardzo wolno. Stop. Obydwie dźwignie ustawiono na bardzo wolno.

Joanna przeszła między bębnami i podeszła do okna. Wyjrzała, lecz wokół panowały ciemności. Kompletne ciemności. Nic dziwnego, że nie zauważyli góry lodowej, skonstatowała, wbijając spojrzenie w mrok. Nie widziała nawet linii horyzontu. To była czarna bezksiężycowa noc, przypomniała sobie słowa pana Briarleya, tak czarna, że nad horyzontem dało się ujrzeć gwiazdy. Joanna nie widziała jednak gwiazd. Wszędzie panował nieprzenikniony mrok.

– Nie ma na to czasu – rozległ się męski głos, dobiegający z boku, spod podłogi.

Joanna wyjrzała przez boczny iluminator na mostku, lecz nikogo nie zauważyła. Podbiegła do schodów. Niżej stali dwaj mężczyźni, jeden w ciemnoniebieskim mundurze oficerskim, a drugi w białym stroju marynarza.

– Kapitan rozkazał ustawić lampę sygnalizacyjną – wyjaśnił oficer. – W tym miejscu.

Kiedy to powiedział, obaj się cofnęli, a Joanna zeszła na dół, usiłując ich dojrzeć w ciemności.

– Lampę sygnalizacyjną? – z niedowierzaniem powtórzył marynarz. – A do czego mu ona?

– Do tego – odparł oficer. Stali przy burcie, a oficer wskazywał ręką punkt w mroku. Joanna widziała, że marynarz oparł obydwie ręce na poręczy, wychylił się i wyciągnął szyję.

– Do czego? Nic nie widzę.

– Światło – wyjaśnił oficer, ponownie wskazując ręką. – Tam.

Californian, przeszło Joannie przez myśl. Chciała nawiązać łączność z *Californian*. Zapatrzyła się w dal. Nie dostrzegła jednak światła, panował całkowity mrok, lecz marynarz zapewne zauważył coś w ciemnościach, gdyż powiedział:

– Wątpię, czy nas zobaczy z takiej odległości. Muszą przesłać wiadomość drogą radiową.

– Właśnie to robią. Nie mogą nawiązać łączności. Masz klucz?

– Jest w... – Joannie nie dosłyszała ostatniego słowa, gdyż marynarz się odwrócił. Wyszli na pokład przed mostek, a Joanna podążyła za nimi, lecz ta część statku była zavalona zwiniętymi linami i łańcuchami, więc zanim udało się jej przez nie przedrzeć, obaj mężczyźni zniknęli.

Joanna się zawahała, zastanawiając się, dokąd poszli. Po minucie członkowie załogi wrócili, minęli ją i podeszli do burty. Marynarz dźwigał staroświecką latarnię.

Uniósł ją na burcie dziobówki. Oficer zapalił zapałkę i wsunął ją do lampy, która zajaśniała żółtym światłem. Marynarz podniósł latarnię tak, aby znalazła się pod odpowiednim kątem, i wsunął przed płomień kawałek blachy, zasłaniając światło. Przysłona, pomyślała Joanna. Metal ostro zgrzytał, kiedy marynarz go wsuwał na miejsce.

– Jaką wiadomość mam przesłać? – spytał.

Oficer pokręcił głową.

– Mayday. SOS. Pomocy. Nie wiem, cokolwiek, co podziała.

Marynarz uniósł przysłonę i w mroku ponownie zajaśniało światło. W dół, w górę, w dół, metal zgrzytał o szkło. W górę, w dół, w górę.

Joanna wbiła wzrok w ciemności, wypatrując odpowiedzi, światła, lecz nie dostrzegła nic, nawet pojedynczego błysku. Nie rozległ się też żaden dźwięk poza zgrzytaniem latarni. W dół, w górę, w dół. Zgrzyt, zgrzyt. Odsunęła się nieco od mężczyzn, nasłuchując chlupotu wody, lecz dziób nie przecinał fal, nie wiała bryza. To dlatego, że stoimy, pomyślała, że się nie poruszamy.

– Nie odpowiada – oznajmił marynarz, opuszczając przysłonę. – Jest pan pewien, że to było światło, a nie gwiazda?

– Lepiej, żeby to nie była gwiazda – odparł oficer. – Nabieramy wody.

Dłoń marynarza poruszała się przy latarni, światło migało.

– Żaden statek nie nadpływa?

– *Baltic*, ale jest przeszło trzysta dwadzieścia kilometrów stąd.

– *A Frankfurt?*

– Nie odpowiada – wyjaśnił oficer, a marynarz ponownie przystąpił do sygnalizowania. Światło rozbłyskiwało, gasło i rozbłyskiwało, metal zgrzytał jak paznokcie o tablicę.

– Żadnej odpowiedzi. Jak długo mam sygnalizować?

– Dopóki się nie porozumiesz.

Lampa sygnalizacyjna cały czas migotała. Jasno, ciemno, zgrzyt, zgrzyt.

– Sir? – Z lewej strony rozległ się głos i obok Joanny przebiegł oficer, zatrzymując się obok mężczyzn.

Zasalutował sumiennie.

– Właśnie wracam spod pokładu, sir. Kotłownia piąta i szósta oraz magazyn pocztowy zalane, a na pokład D wdziera się woda.

Pokład D. Joanna przyszła z pokładu C. To dlatego kajuty ponumerowano C8, C10, C12. Ale teraz znajdowała się trzy poziomy wyżej, a pokład poniżej to promenada. Czy teraz stała na pokładzie A, czy właśnie z niego przyszła? Jeśli przebywała na pokładzie A, pokład B był tym z promenadą, a poziom z przejściem znajdował się...

Rzuciła się przed siebie biegiem, cały czas słysząc rozchodzący się po pokładzie zgrzyt lampy sygnalizacyjnej, w górę, w dół, w górę. Żeby tylko drzwi się nie zamknęły, modliła się Joanna, wbiegając po stalowych schodkach. Żeby tylko mój but wciąż tam tkwił.

But znajdował się na swoim miejscu, lecz nie miała czasu się po niego schylić. Otworzyła drzwi i zbiegła po stopniach. Jedne schody, drugie. Obok jadalni z błyszczącymi kryształami i fortepianem. Trzecie. Żeby tylko woda jeszcze tu nie dotarła, błagała w myślach i popchnęła drzwi.

Pokład był suchy, lecz ze względu na krzywiznę nie widziała i całej drogi do przejścia. Minęła zamknięte drzwi, okrążyła krzywiznę. Jest, czarny prostokąt drzwi do przejścia, wciąż otwartych, wciąż powyżej poziomu wody. Rzuciła się w jego stronę, bosą stopą i butem wybijając nierówny rytm.

Biegła przed siebie po pokładzie, chwala Bogu, jeszcze suchym, obok leżaków, a w szybach iluminatorów błyskało jej odbicie. Minęła światło. Do przejścia, w ciemności.

Coraz ciemniej. Co się stało?, zadała sobie pytanie Joanna, a w jej sercu pojawiła się panika. Dlaczego nie wróciłam? W tej chwili uświadomiła sobie, że wróciła, że wciąż ma na oczach maskę, w zgięciu łokcia tkwi igła kroplówki, a do jej głowy wdziera się biały szum ze słuchawek.

– Siostró? – odezwała się i lewą ręką ściągnęła słuchawkę z ucha.

– ...puls podskoczył – mówiła Tish. – Tętno dziewięćdziesiąt pięć, ciśnienie sto trzydzieści na dziewięćdziesiąt. Zaraz, obudziła się.

– To dobrze – stwierdził Richard i Joanna usłyszała, jak podchodzi do stołu do badań. Poczują, że Tish zdejmuje jej z głowy elektrody, a potem maskę na oczy. Mogła spojrzeć na Richarda.

– I jak? – spytał.

– Wbrew twoim oczekiwaniom, nie miałam innej wizji – wyjaśniła i usiłowała usiąść. -Byłam...

– Nie wstawaj. – Położył dłoń na jej ramieniu.

– Ale ja muszę ci opowiedzieć – zaprotestowała Joanna, kładąc się z powrotem. – To był z całą pewnością...

– Zaczekaj – przerwał. – Nie mów nic, dopóki nie rozpocznę nagrywania. – Zaczął na chybił trafił wciskać przyciski w dyktafonie. Z boku urządzenia wyskoczyła taśma. Wysunął ją i obejrzał z obydwu stron. Co on wyprawiał? Przecież widział, jak wkładała nową kasetę przed rozpoczęciem eksperymentu.

– Może pani przynieść Joannie koc? – spytał pielęgniarke. – Cała drży.

Wcale nie, pomyślała Joanna i uświadomiła sobie, że Richard zwleka z rozpoczęciem rozmowy do czasu wyjścia Tish, aby nie słyszała relacji.

– Oczywiście – odparła Tish i podeszła do szafki.

– Co widziałaś? – zapytał Richard, kiedy Tish oddaliła się na tyle, aby nic nie słyszeć.

– *Titanica*.

– Na pewno? Miałaś taką samą wizję, jak poprzednio? Przejście i ludzie kręcący się za drzwiami?

– Tak, tylko że tym razem wyszłam na pokład i... – Przerwała, kiedy Tish wróciła z kocem.

– Zaczekam z zarejestrowaniem relacji do czasu, aż skończy pani monitorowanie – zwrócił się Richard do Tish. – A teraz proszę zdjąć pozostałe elektrody. – Wrócił do pulpitu, nie patrząc na Joannę, i przystąpił do przeglądania skanów. Co powie, kiedy Tish wyjdzie?, zastanawiała się Joanna, przyglądając się, jak pielęgniarka przykrywa kocem jej nogi i podciąga go wyżej, do ramion. Czy dlatego, że widziała *Titanica*, znowu nazwie ją Bridey Murphy?

Nic na to nie poradzę, uznała. To z całą pewnością był *Titanic*. Kiedy Tish zdejmowała elektrody, sprawdzała jej tętno i ciśnienie, Joanna odtworzyła w pamięci wszystkie doświadczenia graniczne, aby żadnego nie pominąć – schody, jadalnia pierwszej klasy, drzwi na pokład łodziowy...

Zostawiłam w drzwiach but, przypomniała sobie i usiadła. Wciąż jest na statku.

– Zaraz zaraz, co to ma być? – zaprotestowała Tish.

– Ja... – zaczęła Joanna i wbiła wzrok w swoje stopy w granatowych pończochach, wystające spod koca. Przecież byłam na bosaka, bez pończoch, uświadomiła sobie.

– Jeszcze nie odłączyłam kroplówki – stwierdziła Tish, a Joanna posłusznie się położyła. To poczucie było tak realne. Wciąż czuła, jak gołą stopą dotyka lodowatego pokładu, pamiętała, jak zdjęła but, aby zaklinować go w drzwiach... Roześmiała się.

– Zrobiłam coś zabawnego? – zainteresowała się Tish, przykładając wate do igły.

– Mój but...

– Są w przebieralni, ale nigdzie pani jeszcze nie idzie. Muszę po raz ostatni przeprowadzić badanie tętna i ciśnienia. – Gdy skończyła, spytała: – Więc co takiego śmiesznego było w pani butach?

Nic, pomyślała Joanna. Nie miałam ich na nogach.

– No proszę powiedzieć, co panią rozbawiło? – nalegała Tish.

Nie mogę. i tak byś nie zrozumiała. Na *Titanicu* zostawiła czerwoną tenisówkę, taką samą, jaką podobno ujrzał pacjent unoszący się nad stołem operacyjnym.

Tish wciąż czekała na wyjaśnienie dowcipu.

– To nic takiego, przepraszam – stwierdziła Joanna. – Chyba jestem trochę zdezorientowana. – Leżała nieruchomo, czekając, aż Tish usunie poduszki z gąbki, podpierające jej ręce i nogi. Muszę o tym powiedzieć Richardowi, pomyślała. Ciekawe, czy można to uznać za wspomnienie związane z opuszczeniem własnego ciała.

Ale Richarda nie interesowało to, które zasadnicze elementy pojawiły się w jej doświadczeniach granicznych, ani też co widziała, gdy straciła świadomość. Ciekawiło go wyłącznie to, czy ujrzała *Titanica*.

– Znowu miałaś taką samą wizję? – spytał, gdy tylko Tish wyszła z laboratorium.

– Nie. – Joanna usiadła na stole. – Niezupełnie taką samą.

Zdawało się, że ta odpowiedź zadowoliła i odprężyła Richarda.

– Niemniej znalazłam się w tym samym miejscu. Na *Titanicu*.

– Skąd masz pewność?

Joanna opowiedziała mu o jadalni i pokładzie łodziowym.

– To musiał być *Titanic* – podkreśliła. – Usiłowali skontaktować się z *Californian* za pomocą latarni sygnalizacyjnej.

– Panie doktorze? – W drzwiach stała Tish. Joanna zastanawiała się, jak długo przysłuchiwała się rozmowie. – Przed wyjściem zapomniałam pana spytać, czy jest pan zainteresowany’?

– Czym? – zdziwił się Richard.

– Obejrzeniem nowego filmu z Tommym Lee Jonesem.

– Ach. – Z jego tonu jasno wynikało, że nie ma pojęcia, o czym mówi Tish. – Eee, nie bardzo, muszę omówić z Joanną jej relację, a potem przeanalizować skany. To może się przeciągnąć.

– Nie musimy się umawiać na dzisiejszy wieczór – oświadczyła Tish i nie czekając na kolejną wymówkę, dodała: – Porozmawiamy o tym jutro.

– Jutro?

– Tak. Pan Sage. O dziesiątej?

– A, tak – potwierdził. – Racja. Pan Sage. No, to do jutra.

– Proszę zaczekać – zatrzymała ją Joanna. – A co z panią Troudthaim? Nie ma sesji o trzeciej?

– Dzwoniła, żeby odwołać – wyjaśnił Richard.

– Kiedy pani była nieprzytomna – uzupełniła Tish.
– Powiedziała, że ma wrażenie, że dopadła ją grypa, więc zadzwoni, żeby ustalić nowy termin, gdy lepiej się poczuje – dodał Richard. – Jutro o dziesiątej – zwrócił się do Tish, wciąż stojącej przy drzwiach.

Tish wyszła, a Richard odwrócił się do Joanny.

– Powiedzieli, że usiłują nawiązać łączność z *Californian*?

– Nie, ale stwierdzili, że nabierają wody i że *Baltic* oraz *Frankfurt* już płyną. A jadalnia musiała być pomieszczeniem dla pasażerów pierwszej klasy...

– Powiedz mi o początku. Niczym się nie różnił od poprzednich?

– Niczym – potwierdziła Joanna. – Wcześniej nie widziałam tylko młodego mężczyzny w swetrze. – Opowiedziała Richardowi o brodaczu, twierdzącym, że osoby postronne nie mają tam prawa wstępu i młodym człowiekiem, który oznajmił, że usłyszał hałas i przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

– Ale hałas brzmiał tak samo?

– Tak.

– A przejście, drzwi? I światło?

– Też – przytaknęła zaskoczona Joanna.

– Ujednolicający obraz był taki sam – mruknął. – Chodź, coś ci pokażę.

Joanna zarzuciła koc na ramiona, zsunęła się ze stołu do badań i podeszła do pulpitu. Richard już wyświetlał skany.

– To są zdjęcia z twoich ostatnich doświadczeń granicznych – wyjaśnił i szybko wystukał coś na klawiaturze. Pociemniały wszystkie obszary z wyjątkiem kory czołowej. – Masz przed sobą mózg uaktywniający pamięć długotrwałą. – Dopisał jeszcze kilka znaków. – Teraz przyspieszymy – stwierdził i skany zaczęły się szybko zmieniać. Niewielkie rozsiane punkty rozbłyskiwały i gasły, zmieniały barwy z pomarańczowej na czerwoną, a potem na niebieską, wybuchały na ekranie jak sztuczne ognie, tworząc misterny wzór.

– No dobrze – oświadczył, zatrzymując obraz i wyświetlając obok inny skan. – To jest zdjęcie z wtorku. – Powtórzył ten sam proces. – Teraz nałożę na siebie obydwie fotografie. Na dzisiejszej są ciemniejsze cienie, a na wtorkowej – jaśniejsze.

Joanna przyglądała się, jak migoczą kolory, przybierając barwę niebieską, potem pomarańczową, czerwoną i ponownie niebieskozieloną,

zapalając się przypadkowo i gasnąc z różną szybkością, w rozmaitych miejscach.

– Te zdjęcia są zupełnie inne.

– Otóż to – potwierdził Richard. – Lateralizacja jest całkowicie odmienna, co powinno oznaczać zupełnie różne doświadczenia i inne wspomnienie, pełniące rolę ujednocniającego obrazu. Na tych zdjęciach nie ma ani jednej wspólnej cechy, a mimo to twierdzisz, że widziałas te same wizje i taki sam ujednocniający obraz. – Zapatrzył się w ekran. – Możliwe, że aktywność kory czołowej jest przypadkowa, a przecież wspomnienia tworzą się w płacie skroniowym.

Odwrócił się do Joanny.

– Chciałbym, żebyś nagrała jak najbardziej szczegółową relację. Potem spisz wszystko, co widziałas i słyszałaś. – Wbił wzrok w skany. – Czy twoi pacjenci, którzy przeżyli więcej niż jedną śmierć kliniczną, za każdym razem mieli takie same doświadczenia?

– Nie – zaprzeczyła Joanna. – Pani Woollam za jednym razem widziała ogród, schody i ciemną, otwartą przestrzeń. Takie wspomnienia towarzyszyły jej więcej niż raz. Poza tym stwierdziła, że dwukrotnie znalazła się w tunelu.

– Czy masz jeszcze innych pacjentów po więcej niż jednej śmierci klinicznej?

– Tak – usiłowała sobie przypomnieć. – Muszę sprawdzić ich relacje.

– Przygotuj mi ich listę, z uwzględnieniem tego, co widzieli za każdym razem, zwłaszcza jeśli dostrzegli to samo. – Ponownie zapatrzył się w monitor. – Musi istnieć wyjaśnienie przyczyny, dla której widzisz *Titanica*.

Z całą pewnością, zgodziła się w myślach Joanna. Ale nie na skanach. To coś, co pan Briarley powiedział podczas lekcji albo odczytał nam z niebieskiej książki z karawelą na okładce. Zastanowiła się, czy Kit już znalazła książkę.

Mało prawdopodobne. Miała tylko kilka godzin na poszukiwania, a Joanna nie zapewniła jej żadnych pomocnych wskazówek. Mimo to sprawdziła wiadomości na automatycznej sekretarce. Dzwonił pan Mandrake i Guadalupe. „Czy nadal mamy spisywać wszystko, co powie Carl Aspinall?”, pytała pielęgniarka.

Tak, pomyślała ogarnięta poczuciem winy Joanna. Od niemal dwóch tygodni nie zawitała na czwartym piętrze wschodniego skrzydła. Guadalupe pewnie sądziła, że Joanna zupełnie zapomniała o Carlu. Przyszło jej do

głowy, że od razu pobiegnie go odwiedzić, lecz minęła już przeszło godzina od chwili, gdy się ocknęła. Powinna nagrać swoje wspomnienia, zanim cokolwiek zapomni. Obiecała też zadzwonić do biura opieki nad ludźmi w podeszłym wieku, aby skontaktować kogoś z Kit.

Po załatwieniu tej sprawy zarejestrowała swoją relację, od razu spisując ją na komputerze dla zaoszczędzenia czasu. Następnie przygotowała wydruk i zniosła go Richardowi, który właśnie rozmawiał przez telefon. Potem postanowiła porozmawiać z Guadalupę i w tym celu zeszła schodami na czwarte piętro i przez patologię dotarła do łącznika między skrzydłami.

Także tutaj dali o sobie znać malarze. Wejście na korytarz zablokowano żółtą taśmą z napisami „Nie wchodzić”, a na wszelki wypadek ktoś wepchnął metalowy pręt między uchwyty na drzwiach. W takiej sytuacji najkrótsza droga prowadziła przez drugie piętro, obok pokoju pani Davenport. Zbyt duże ryzyko.

Zeszła na pierwsze, pokonała łącznik między skrzydłami i windą dla personelu, dotarła na czwarte, gdzie zastała malarzy zajmujących się sufitem na korytarzu.

– Tędy pani nie przejdzie – odezwał się najbliższy stojący robotnik i machnął wałkiem z lewej strony Joanny. – Musi pani zejść na trzecie i przejść schodami dla odwiedzających.

Taka trasa oznaczała konieczność przejścia przez pediatrię bok pokoju Maisie, lecz lepsza Maisie niż pani Davenport, a zresztą może ogląda jakiś film na wideo i nic nie zauważy.

Płonne nadzieje.

– Pani Joanno! – wrzasnęła Maisie w chwili, gdy Joanna mijiała drzwi.

– Cześć, dzieciaku. – Joanna zajrzała do środka.

– Muszę pani coś pokazać – oznajmiła zadyszana dziewczynka.

Organizm Maisie ponownie zaczął zatrzymywać płyny. Ręce i nogi dziewczynki opuchły, a twarz nabrzmiała.

– Mogę zostać tylko przez chwilę. Śpieszę się do pacjenta.

– To zajmie tylko minutę. – Maisie wydobyła książki spod koca. – Poprosiłam panią Sutterly o przyniesienie mi książek o *Titanicu*. Niech pani popatrzy! – Podniosła wielki album. Na okładce widniał znajomy rysunek statku z rufą sterczącą nad wodą, śrubami ociekającymi wodą i dymem wciąż wydobywającym się z kominów. Statek lada chwila miał się zanurzyć, choć jeszcze nie zgasły jego światła.

– Wiedziała pani, że orkiestra grała do samego końca? – spytała Maisie.

– Tak – potwierdziła Joanna, zastanawiając się, dlaczego kiedykolwiek wspomniała przy Maisie o *Titanicu*. – Grali *Blżej Ciebie, Panie*.

– Ha! – wykrzyknęła dziewczynka. – Nikt nie wie na pewno, co grali. Niektórzy sądzą, że *Blżej Ciebie, Panie*, a inni uważają, że piosenkę *Jesień*. Ale nikt nie wie na pewno, bo wszyscy zginęli.

– Twoja nauczycielka przyniosła ci te wszystkie książki? – Joanna spróbowała zmienić temat.

– Tak – potwierdziła Maisie, znowu wygrzebując coś spod koca. – Przyniosła mi jeszcze więcej, ale niektóre to książeczki dla małych dzieci. Wiedziała pani, że istnieje elementarz *Titanica*? – zapytała z obrzydzeniem.

– Nie – odparła Joanna, zadowolona, że Maisie nie traktuje bezkrytycznie wszystkich pozycji o katastrofach. Zastanowiła się, co oznaczały litery z książki. G jak góra lodowa? L jak Lorraine Allison? Z jak zatonięcie?

– Wie pani, co wpisali pod F? – zapytała z pogardą Maisie. – Film fabularny.

– A co powinni byli wybrać? – Joanna niemal obawiała się zadać to pytanie.

Maisie posłała jej spojrzenie pełne potępienia.

– F jak francuski buldog. Wie pani, ten, o którym mówiłam. Wiedziała pani, że pewna mała dziewczynka cały czas się z nim bawiła na pokładzie z promenadą?

– Maisie...

– Jest jeszcze książka z trójwymiarowymi obrazkami *Titanica*. Powiedziałam pani Sutterly, żeby je zabrała z powrotem do biblioteki, ale zostawiłam sobie te, w których jest naprawdę dużo informacji, więc jeśli potrzebuje pani pomocy w badaniach, jestem dobrze przygotowana – wyjaśniła, cały czas ciężko oddychając. Czyżby z powodu wysiłku związanego z wyciąganiem książek spod koca? A może przyczyna była inna? Organizm dziewczynki nie tylko zatrzymywał płyny w organizmie, ale jej usta wyglądały na jeszcze bardziej sine niż zwykle, a kiedy wdychała powietrze, Joanna słyszała lekki pogłos, przypominający świst. Jej stan się pogarsza, uznała, przyglądając się, jak Maisie wertuje książkę.

– Mam coś dla pani sprawdzić? – spytała Maisie.

– Teraz wolałabym, żebyś poczytała o *Titanicu*, a gdy nasuną mi się jakieś pytania, będziesz mogła od razu udzielić mi odpowiedzi. Poza tym

masz odpoczywać i robić wszystko, co ci każą lekarze i pielęgniarki. – Joanna pozbiierała książki. – Gdzie mam je schować?

– Do torby z Barbie, w szafce. Oprócz tej jednej. – Złapała dużą czerwoną książkę, zatytułowaną *Titanic dla dzieci*.

Joanna wsunęła pozostałe do różowej torby, którą wepchnęła do szafki.

– A teraz muszę się spotkać z pacjentem. Wkrótce do ciebie wpadnę, dzieciaku. – Poszła w stronę drzwi.

– Zaraz! – krzyknęła Maisie, zanim Joanna zdążyła zrobić dwa kroki. – Muszę panią o coś spytać. – Przerwała, żeby nabrać powietrza, a Joanna ponownie usłyszała świst w jej oddechu. – Co robić, kiedy bransoletka robi się zbyt ciasna? – Wyciągnęła opuchniętą rękę z plastikowym identyfikatorem na przegubie.

– Przychodzi siostra Barbara, odcina ją i przygotowuje większą – wyjaśniła Joanna. Czyżby dziewczynka martwiła się, że puchnie? Opaska na rękę nawet nie przylegała do skóry, nie mówiąc już o uciskaniu ciała.

– A jeśli stanie się coś złego, kiedy nie będę jej miała na ręku? Na przykład katastrofa, i nikt nie zdąży założyć mi nowej?

Może Maisie przypomniała się zgubiona złota bransoletka, którą znaleziono w ruinach Pompejów?

„Nic takiego nam nie grozi”, chciała powiedzieć Joanna, lecz zmieniła zdanie.

– Powiem Barbarze, aby w razie potrzeby najpierw założyła ci nową, a potem odcięła starą. Zgoda?

– Wiedziała pani, że strażacy co roku odwiedzają jej grób? – zapytała Maisie.

– Czyj?

– Dziewczynki – odparła, jakby to było coś oczywistego. – Z pożaru cyrku w Hartford. Co roku zostawiają jej kwiaty. Myśli pani, że jej mama zmarła?

– Trudno powiedzieć – stwierdziła Joanna. Śmierć matki w płomieniach wyjaśniałaby, dlaczego nikt nie przyszedł zidentyfikować ciała dziewczynki, ale skoro rozpoznano wszystkie pozostałe ciała, to także matki, a jeśli tak, to dlaczego nie dziecka? – Nie wiem.

– Strażacy pochowali ją na cmentarzu i co roku kładą kwiaty na jej grobie – mówiła Maisie. – Wzniesli nagrobek i w ogóle. Napisali na nim „Mała Panienska 1565”, a także rok śmierci i wszystko, ale to nie to samo, co imię i nazwisko.

- Nie – przyznała Joanna. – To nie to samo.
- Chodzi o to, że przynajmniej wiadomo było, jak się nazywają wszystkie małe dzieci na *Titanicu*, Lorraine Allison, Beatrice Sandstrom, Nina Harper i Sigrid... Czy Sigrid to chłopiec czy dziewczynka?
- Dziewczynka.
- I Sigrid Andersen. Oczywiście, żadne z nich nie ma swojego nagrobka, ale gdyby...
- Maisie...
- Może pani włożyć kasetę? – Maisie położyła się na poduszkach.
- Jasne. Którą? *Kubusia Puchatka*? – Joanna przeglądała tytuły. – *Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu*?! *Alicję w krainie czarów*?
- *Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu* – odparła dziewczynka.
- To dobry film. – Joanna wsunęła taśmę do magnetowidu i wcisnęła przycisk odtwarzania.
- Aha. Podoba mi się trąba powietrzna – przytaknęła Maisie. Jakżeby inaczej, pomyślała Joanna. Bo niby co?
- I jeszcze, kiedy kończy się piasek w klepsydrze – dodała Maisie. – I zostaje im niewiele czasu.

Rozdział 26

„Do zobaczenia rano”

Ostatnie słowa Johna Jacoba Astora,
skierowane do jego świeżo poślubionej żony,
kiedy umieścił ją w jednej z łodzi ratunkowych na *Titanicu*

Joannie nie udało się dotrzeć do Carla Śpiączki. Zanim zdołała się wydostać z pokoju Maisie – dziewczynka koniecznie musiała opowiedzieć kilka szczegółów, dotyczących trąby powietrznej z Waco w Teksasie, w 1953 roku – minęła czwarta.

Guadalupe na pewno już poszła do domu. To zresztą nie miało znaczenia. Joanna chciała porozmawiać z Barbarą, spytać ją o stan Maisie i dowiedzieć się, o co chodziło z tą sprawą z opaską na przegubie. Barbara była jednak zajęta trzyletnim chłopcem z zaawansowaną białaczką, bezskutecznie usiłowała podłączyć mu kroplówkę.

Joanna wróciła do gabinetu i resztę popołudnia spędziła na przygotowywaniu listy osób, które przeżyły więcej niż jedną śmierć kliniczną. Zauważyła, że tę grupę pacjentów można podzielić na dwie równe części – tych doświadczających całkowicie różnych wizji i tych za każdym razem widzących to samo. Pan Tabb ujrzał kolejno: otwór, z którego wydobywało się światło, a w środku stały „jasne postaci”, schody, czerwone ciemności, a poza tym miał poczucie intensywnego ciepła. Z kolei chora na cukrzycę, wrażliwa pani Burton, czterokrotnie reanimowana, za każdym razem widziała to samo: „i stąd wiem, że to rzeczywistość”.

Joannie wydało się, że dowodem na istnienie wcześniej zakodowanego w umyśle doświadczenia jest jego powtarzalność, ciągłe przywoływanie go przez mózg, jakby było uszkodzoną płytą gramofonową. Żałowała, że nie spytała pani Burton, co dokładnie ma na myśli, mówiąc „rzeczywistość”, wyrzucała sobie, że nie zadała wszystkim swoim pacjentom pytania, czy to miejsce wydawało się realne, czy sądzili, że tam naprawdę przebywają.

Właśnie tak się czuła, chociaż zdawała sobie sprawę, że doznała wyłącznie halucynacji i wcale nie opuściła laboratorium, cały czas leżała na stole do badań, bez butów, a Tish kontrolowała jej ciśnienie krwi i flirtowała z Richardem. Niemniej miała poczucie realizmu, trójwymiarowości, tak samo jak w gabinecie z bluszczem i pudełkiem po butach, pełnym wywiadów do przepisania.

Joanna zajęła się oddzielnymi relacjami pani Burton, które rzeczywiście prezentowały się identycznie. Z kolei przeżycia pana Rutledge'a różniły się nieco między sobą, chociaż on sam także utrzymywał, że są identyczne.

Znalazła dwa wywiady z panią Woollam. Joanna powiedziała Richardowi, że pani Woollam dwukrotnie przebywała w tunelu, jednak pani Woollam oświadczyła, że nie sądzi, aby chodziło o to samo miejsce. Za drugim razem tunel był podobno węższy, a podłoga bardziej nierówna. Najwyraźniej „ciemne, otwarte miejsce”, w którym przebywała cztery pozostałe razy, było ciągle tym samym, lecz przypatrując się relacjom pani Woollam, Joanna nabrała wątpliwości. Pacjentka twierdziła, że było zbyt ciemno, aby cokolwiek dostrzec. To samo dotyczyło mgły Maisie. A kilku ludzi zostało całkowicie oślepionych przez światło.

Joanna dopiero po siódmej zdołała przygotować szczytkową listę, a potem włożyła płaszcz i zabrała ją do laboratorium. Richard wciąż tam siedział, wpatrując się w skany z głową opartą na dłoniach. Kiedy wręczyła mu listę, ledwie wymamrotał podziękowanie.

– Jutro wieczorem organizujemy wieczór smakołyków. Przyjdiesz?

– Jasne. – Odwrócił się do monitora.

No cóż, trudno to nazwać szalonym entuzjazmem, pomyślała Joanna i wyszła na korytarz. Przynajmniej nie odmówił. Zbliżając się do końca korytarza, usłyszała dzwonek windy, więc podbiegła, żeby ją zatrzymać. Otworzyły się drzwi, a ze środka wyszedł pan Mandrake.

– O, świetnie się składa, pani doktor – uradował się. – Cieszę się, że jeszcze panią zastałem. Od dwóch dni usiłuję się z panią skontaktować. – Ściągnął usta.

– Obawiam się, że to nie jest dobra pora na rozmowę, proszę pana – wyjaśniła Joanna, wiedząc, że sprawa jest przegrana. Widać było, że idzie do domu, więc nie mogła utrzymywać, że się śpieszy na spotkanie. Może na randkę? Nie, wtedy po prostu powie: „To zajmie tylko kilka minut”.

– To zajmie tylko kilka minut – stwierdził pan Mandrake. – Chciałem tylko się dowiedzieć czegoś bliższego w związku z pani eksperymentami.

Wiedział, że przeprowadzała na sobie eksperymenty! Kto mu o tym powiedział? Tish? Zdenerwowała się, że Richard nie chce się z nią umówić, więc opowiedziała wszystko innej pielęgnowarce i ujawniła, że Joanna poddała się eksperymentowi, a potem plotka obiegła cały szpital! A może Heidi widziała ją podczas rozmowy z Vielle i domyśliła się wszystkiego, łącznie z *Titanikiem*?

– Moimi eksperymentami? – powtórzyła, niespokojnie patrząc w stronę drzwi do laboratorium.

– I doktora Wrighta, jak najbardziej – potwierdził pan Mandrake. – O ile, oczywiście, udało się państwu przeprowadzić te tak zwane symulacje śmierci klinicznej na swoich ochotnikach. Właśnie, udało się państwu tego dokonać?

– Tak. – Joanna odprężyła się, że pan Mandrake nic nie wie, i momentalnie pożałowała swojej odpowiedzi.

– Czy badani ujrzeli tunel, światło i oczekujących ich zmarłych?

Tak, pomyślała Joanna, a także pokład łodziowy, lampę sygnalizacyjną i czerwoną tenisówkę.

– Doświadczenia graniczne okazały się zróżnicowane – odparła wymijająco.

– Co oznacza, że żaden z badanych nie widział tego, co wymieniłem. Spodziewałem się tego. Czy doświadczyli retrospekcji życia lub objawienia tajemnic kosmosu?

– Nie.

– A może przeżyli ofiarowanie mocy?

– Ofiarowanie mocy? – zdumiała się Joanna. Coś nowego.

– Tak, wielu moich pacjentów po powrocie wykazuje nabyte zdolności paranormalne: jasnowidzenie, telepatie, umiejętność nawiązywania kontaktu ze zmarłymi. Wątpię, aby którykolwiek z pani ochotników zdradzał takie zdolności.

Nie, pomyślała Joanna, bo gdybym sama potrafiła coś takiego zrobić, przesłałabym Richardowi telepatyczną wiadomość, aby wyszedł i mnie uratował.

– Z pani milczenia wnioskuję, że do niczego podobnego nie doszło, co mnie nie dziwi. Laboratoryjna stymulacja mózgu może jedynie wywołać wrażenia o charakterze fizycznym, podczas gdy doświadczenia graniczne nie mają związku z fizycznością, są zjawiskiem czysto duchowym. Dzięki nim wiemy, jak wygląda świat po Tamtej Stronie, rzeczywistość poza

rzeczywistością, z którą zetknął się szereg moich pacjentów. Pani Davenport...

Może jednak mam zdolności telepatyczne, uznała Joanna. Wiedziałam, że prędzej czy później pojawi się temat pani Davenport.

– ...wczoraj w nocy otrzymała wiadomość od swojej prababki. Przekaz był niewątpliwie autentyczny. Wie pani, jak brzmiał?

– „Rosabelle, uwierz”? – podsunęła Joanna.

Pan Mandrake wbił w nią wzrok.

– Powiedziała: „Nie kryje się tu lęk ani żal” – wyrecytował. – Czy pani ochotnicy rozmawiali kiedykolwiek ze zmarłymi? Oczywiście, że nie, bo te tak zwane symulacje śmierci klinicznej są zaledwie fizycznymi imitacjami. Pani Davenport uzyskała także wiadomości od rozmaitych...

Joanna zerknęła tęsknie na drzwi i stała się rzecz niewiarygodna – wyłonił się zza nich Richard, z rękami pełnymi teczek oraz wydruków skanów.

– O, pani doktor, tu pani jest – oznajmił, schylając się, aby zamknąć drzwi do laboratorium. – Bałem się, że pani zapomniała.

– O czym? – zdziwiła się Joanna.

– O naszym spotkaniu.

– Ach, spotkaniu! – wykrzyknęła Joanna, kładąc dłoń na ustach. – Z doktorem Tabbem. Rzeczywiście, zapomniałam. Co za szczęście, że pana spotkałam. Właśnie szłam do domu. Musi mi pan wybaczyć – zwróciła się do pana Mandrake’a. – Doktor Wright i ja mamy spotkanie...

– Już od dziesięciu minut. – Richard wymownie spojrział na zegarek. – A świetnie pani wie, że doktor Tabb przykłada wielką wagę do punktualności. – Ujął Joannę pod rękę.

– To jest niezwykle... – Pan Mandrake zacisnął usta.

– Jesteśmy spóźnieni. Ogromnie nam przykro. – Richard przeprosił pana Mandrake’a i energicznie poprowadził Joannę do schodów i przez drzwi.

– Dziękuję – sapnęła Joanna, zbiegając po schodach u boku Richarda. – Jeszcze chwila, a zaprowadziłby mnie do pani Davenport, które ostatnio otrzymuje wiadomości od zmarłych. Skąd wiedziałeś, że tam stoimy?

– Telepatia. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – I przenikliwy głos pana Mandrake’a. Kim jest doktor Tabb?

– Pan Tabb jest pacjentem, z którym rozmawiałam dwa lata temu. Nie chciałam wymieniać nazwiska prawdziwego lekarza z obawy, że pan Mandrake pójdzie wyciągać z niego informacje.

– Mam nadzieję, że przez kilka następnych dni zajmie się poszukiwaniem doktora Tabba zamiast wysyłaniem nam wiadomości na pagery. – Dotarli na sam dół. – Dokąd iść, żeby na pewno go nie spotkać?

– Chodźmy tędy – zaproponowała Joanna, prowadząc Richarda przez onkologię do windy technicznej. – Stąd przedostanę się na parking. Zaraz, ale ty nie możesz wrócić do laboratorium, prawda? Przecież jesteśmy teraz na spotkaniu.

– Nie ma sprawy. I tak chciałem z tobą porozmawiać. Może pójdziemy coś zjeść?

– Z przyjemnością – odparła ochotczo Joanna. – Wydaje mi się jednak, że bufet jest zamknięty.

Nie myliła się.

– Czy on w ogóle bywa otwarty? – spytał Richard, kiedy oboje stali przed zamkniętymi szklanymi drzwiami i patrzyli do środka.

– Nie – stwierdziła Joanna. – Co teraz? Nie masz nic do jedzenia w swoim fartuchu?

Richard przystąpił do poszukiwań, zakończonych wydobyciem napoju Mountain Dew i połówki ciastka Hostess.

– Musze uzupełnić zapasy – oświadczył. – Może wybierzemy się do Taco Pierre's? Oj, zaczekaj. – Znowu przetrząsnął kieszenie. – Nie wziąłem kluczyków.

– Za to ja wzięłam swoje. Tylko że nie masz płaszcza.

– W Taco Pierre's podają ostry sos, a w twoim samochodzie jest grzejnik, prawda?

– Jest – przyznała Joanna.

Gdy tylko wsiedli do samochodu, nastawiła ogrzewanie na pełną moc i wręczyła Richardowi swoje rękawice, lecz zanim dotarli do baru, cały drżał. Gdy składali zamówienie na taco, poprosił jeszcze o dwie kawy dla siebie.

– Jedną na każdą rękę – wyjaśnił i po drodze do stolika zgarnął sześć torebek ekstra ostrego sosu. – Ktoś musi wreszcie otworzyć jakiś bar bliżej szpitala – oznajmił.

– Najlepiej dobry bar – szepnęła z uśmiechem Joanna. Lokal był brudny, a stojący za ladą młody, wytatuowany blondyn wyglądał tak, jakby ktoś postrzelił go w twarz z maszyny do wbijania gwoździ. W takim miejscu trudno o romantyczny nastrój, lecz było ciepło i pusto. Co za randka, pomyślała Joanna. Vielle by się zachwyciła. Joanna sama poczuła

zadowolenie, gdy ugryzła kęs tater torro, upieczonego co najmniej tydzień wcześniej.

– Przynajmniej mam ciepło – skomentowała.

– Za to kawa jest zimna. Co takiego dowiedziałaś się od Mandrake’a? Umknęła mi pierwsza część rozmowy.

Opowiedziała mu wszystko podczas kolacji.

– A teraz pani Davenport otrzymuje wiadomości od zmarłych. – Zamyśliła się, sącząc colę. – Ciekawe, czy stosują szyfr.

– Szyfr? – zdziwił się Richard, popijając swoją zimną kawę.

– Tak, taki sam jak ten, którego obiecał użyć Houdini, przesyłając swojej żonie wiadomość po śmierci – wyjaśniła Joanna. – „Rosabelle, uwierz”, przykazał żonie, lecz w rzeczywistości wiadomość brzmiała: „Rosabelle, odpowiedz, powiedz, poproś o odpowiedź, spójrz, odpowiedz na odpowiedź, zapytaj”. Kolejne słowa oznaczały litery w wyrazie „uwierz”. Właśnie takiego szyfru używali w swoim starym tricku z odczytywaniem myśli.

– Udało mu się?

– Nie, a jeśli ktokolwiek potrafiłby przekazać wiadomość z tamtego świata, to tylko Houdini. – Joanna napiła się coli. – Nie wątpię jednak, że w ciągu dwóch najbliższych dni pani Davenport ogłosi, że rozmawiała z nim osobiście i powiedział jej, że... – przybrała grobowy ton – „...Nie kryje się tu lęk ani żal”.

– „Ani śmiałe ucieczki pod wodą” – dodał Richard, takim samym ponurym głosem. – Dlaczego życie po śmierci zawsze wydaje się najnudniejsze, jakie sobie tylko można wyobrazić?

– Nuda nie musi być zła – sprzeciwiła się Joanna, myśląc o pustce i ciemnościach za mostkiem i oficerze oznajmającym: „Na pokład D wdziera się woda”.

– Chodzi ci o przeciwieństwo tego, co się działo na *Titanicu* – stwierdził Richard, jakby miał zdolności telepatyczne. Zgniół papier po swoim burrito i odniósł tacę. – Prawdę mówiąc, właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. – Pogrzebał w stercie teczek, które położył na sąsiednim krześle, i wy dobył jej relację. – Ciągłe powtarzasz, że to *Titanic*. Skąd masz pewność?

Tyle tytułem randki, stwierdziła w myślach Joanna.

– Nie twierdzę, że to prawdziwy *Titanic* – wyjaśniła cierpliwie. – Już ci to mówiłam. To nie jest statek, który poszedł na dno w tysiąc dziewięćset

dwunastym roku. To jakiś – sama nie wiem – *Titanic* stworzony przez umysł.

– To rozumiem, ale co innego mnie interesuje. Skąd wiesz, że widzisz *Titanica*?

– Skąd to wiem? – zastanowiła się. – Słyszałam, jak przestają pracować silniki i widziałam pasażerów na pokładzie. Widziałam też, jak załoga wysyła sygnały do *Californian*.

– Poprawka – przerwał Richard, zaglądając do relacji. – Widziałas, że załoga wysyła jakieś sygnały. Nie wspomniałaś, że chodzi o *Californian*. Sama to założyłaś. – Napił się kawy. – Żadna z osób, które widziałas, nie wspomina o górze lodowej ani o zderzeniu. Przeciwnie, steward sugeruje, że chodzi o problem mechaniczny.

– Ale młoda kobieta w sukni wieczorowej słyszała hałas.

– Usłyszała dźwięk przypominający rozdzieranie materiału. To może oznaczać cokolwiek.

– Na przykład?

– Zderzenie, wybuch, wspomniany przez stewarda problem mechaniczny. Dostrzegłaś coś, co pozwoliłoby konkretnie rozpoznać *Titanica*? Coś z napisem SS *Titanic*?

– RMS – poprawiła Joanna. – To był królewski statek pocztowy.

– No dobrze, z napisem RMS *Titanic*. – Przerzucił kilka kartek. Zauważyła, że parę linijek tekstu zaznaczył żółtym flamastrem. – Powiedziałaś, że zauważyłaś łodzie ratunkowe. Czy na ich burtach widniała nazwa statku?

– Były przykryte płóciennymi pokrowcami. – Joanna usiłowała przypomnieć sobie, czy gdziekolwiek zauważyła napis *Titanic*. Może na białej marynarce stewarda? Albo na oficerskiej czapce? Nie pamiętała. Gdzie jeszcze mogły się znajdować insygnia statku albo jego nazwa?

Na kamizelkach ratunkowych, doszła do wniosku i starała się odtworzyć w myślach obraz pokładu łodziowego. Nie, nie widziała tam żadnej, chociaż zdaje się, że jakaś kamizelka z czerwonym, szablonowym napisem RMS *Titanic* wisiała na wewnętrznej ścianie pokładu, tuż obok przejścia, w pobliżu lampy.

Konfabulujesz, zarzuciła sobie ostro. To obraz z filmu, a gdyby jakaś kamizelka wisiała obok lampy pokładowej, nie zauważyłabyś jej z powodu zbyt silnej poświaty.

– Nie, nie widziałam żadnego przedmiotu z napisem *Titanic*.

– Tak przypuszczałem. Nie jestem pewien, czy znalazłaś się na *Titanicu*. Przeglądałem twoją relację... – Otworzył na intensywnie pomazanej na żółto stronie w połowie tekstu i odczytał na głos: „Żaden statek nie nadpływa?”, „*Baltic*, ale jest przeszło trzysta dwadzieścia kilometrów stąd”. „A *Frankfurt*?” – Podniósł wzrok na Joannę. – Na pomoc *Titanicowi* przybyła *Carpathia*. A zgodnie z twoimi słowami... – Ponownie zagłębił się w tekście. – ...statkiem, który nie odpowiedział, był *Californian*, a nie *Frankfurt*.

– Ale oni nawiązali łączność z więcej niż jednym statkiem. Marynarze mówili, że obydwie jednostki znajdowały się zbyt daleko, aby przybyć na pomoc. To mogły być dwa statki spośród dziesięciu, z którymi próbowali się porozumieć.

– Pozostaje sprawa schodów. Wiem. – Podniósł ręce w obronnym geście. – Powiedziałaś, że wspomnienie nie pochodzi z filmu, ale pokazane w nim schody obok jadalni miały wymyślną, wijącą się konstrukcję i wielki, podniebny...

– Główne schody – mruknęła Joanna. Richard się nie mylił. Schody prowadzące na dół do jadalni pierwszej klasy wykonano z marmuru i misternie kutej, połączanej balustrady z żelaza z krańcowym słupem ozdobionym brązowym cherubinem, trzymającym pochodnię elektryczną. Na szczycie schodów ustawiono ogromny zegar z dwiema brązowymi postaciami, podtrzymującymi laurowy wieniec nad cyferblatem. Honor i Chwała koronujące Czas.

Musiałam się znaleźć na innej klatce schodowej, pomyślała Joanna, lecz przecież obok jadalni pierwszej klasy nie wznosiły się żadne inne schody. Poza tym pokład był pusty, podobnie jak mostek.

– A zatem uważasz, że to inny statek? – spytała Joanna.

– Nie wykluczam takiej ewentualności. Z twojego opisu może równie dobrze wynikać, że znalazłaś się, przykładowo, na *Lusitanii*.

– Poza tym, że *Lusitania* zatonała w środku dnia. A oprócz tego nikt nie stoi spokojnie i nie pyta, co się stało, kiedy w statek uderzy torpeda.

– Albo na innym statku, o którym usłyszałaś od Maisie – ciągnął Richard. – Albo też przypomniał ci się jakiś okręt z opowieści pana Wojakowskiego.

– *Yorktown* był lotniskowcem, a ja widziałam liniowiec oceaniczny. Pamiętam kominy.

– Poprawka. – Richard ponownie zajął do relacji. – Widziałas duże, czarne, wznoszące się nad tobą kształty. Pomost wyspowy na lotniskowcu też byłby dużym, czarnym, piętrzącym się kształtem, i nie... – Spojrzał na chłopaka zza lady, który teraz stał przy ich stoliku.

– Zamykamy – oświadczył barman i zaczął ze skrzyżowanymi na klatce piersiowej rękoma w liczne tatuaże, aż Richard wyrzuci kubek po kawie, a Joanna włoży płaszcz.

Wyszli na mroźną noc. Kiedy siedzieli w barze, zaczął padać mokry śnieg.

– Ile czasu, według Vielle, mogą wytrzymać pasażerowie, zanim dostaną hipotermii? – zainteresował się Richard, chuchając w dłoń.

– To nie był lotniskowiec. – Joanna uruchomiła samochód i ruszyła do szpitala. – Lotniskowce mają płaskie pokłady i trudno na nich o wymyślne jadalnie z kryształowymi żyrandolami oraz fortepianami.

– A na twoim statku nie było głównych schodów. Dlatego uważam, że połączyłaś w umyśle statki prawdziwe i nie istniejące, korzystając ze wspomnień zmagazynowanych w pamięci długotrwałej. Zresztą sama powiedziałaś, że mogłaś się znaleźć na *Mary Celeste*.

– *Mary Celeste* była żaglowcem – sprzeciwiła się, ale wiedziała, że Richard ma rację. W jej opisie pojawiały się nieścisłości. Widziała pusty pokład i nikogo nie zastała na mostku.

Wjechała na parking.

– Gdzie parkujesz? Och, zaraz, przecież musisz wrócić po płaszcz.

– Tak, i chciałabym przyjrzeć się jeszcze twoim skanom.

Joanna podjechała pod północne wejście i zatrzymała samochód.

– Dziękuję za oswobodzenie mnie ze szponów Złego – zwróciła się do Richarda.

– Mam nadzieję, że nie zaczął się gdzieś pod laboratorium.

– A ja mam nadzieję, że pani Davenport naprawdę nie ma zdolności telepatycznych.

Richard roześmiał się, wysiadł i pochylił nad samochodem.

– Wcześniej stwierdziłaś, że wiesz, że to *Titanic*. Czy to przekonanie jest takie samo jak tamto, które cię ogarnęło, gdy po raz pierwszy uznałaś, że przejście znajduje się na *Titanicu*?

Wiem, do czego zmierzasz, przeszło Joannie przez myśl.

– Tak – odparła ostrożnie.

– Otóż to. Fałszywe przekonanie o tym, że się znalazłaś na *Titanicu*, może się kształtować w płacie skroniowym, a nie w długotrwałej pamięci. – Poklepał dach samochodu. – Zaraz zamarzną. Dobranoc. Widzimy się rano. – Zatrzasnął drzwi.

Życzę ci hipotermii, pomyślała Joanna, wyjeżdżając z parkingu. To nie żadne fałszywe przekonanie, tylko *Titanic*.

Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, usłyszała dzwonek telefonu. To pewnie pan Mandrake, stwierdziła, który chce zostawić czternastą wiadomość. Poczekala, aż włączy się sekretarka.

– Dobry wieczór, mówi Kit Gardiner...

Joanna złapała słuchawkę.

– Jestem, jestem. Przepraszam, Kit, właśnie weszłam.

– Wiem, że jest późno, ale coś znalazłam. Niestety, nie podręcznik – dodała pośpiesznie. – Mówiłaś, że usiłujesz sobie przypomnieć, co wujek Pat powiedział w związku z *Titanikiem*. No więc po południu znalazłam wszystkie jego książki o *Titanicu* i pomyślałam, że to, co chcesz odtworzyć w pamięci, znajduje się w jednej z nich. Może jesteś zainteresowana ich przejrzeniem. Sama też to mogę zrobić, jeśli wolisz. Wspominałaś, że to ma jakiś związek z zatrzymaniem się silników i wyjściem na pokład pasażerów w piżamach.

– Zgadza się – potwierdziła Joanna. – Kit, mogłabyś jeszcze coś dla mnie sprawdzić? Muszę wiedzieć, jak wyglądała jadalnia pierwszej klasy na *Titanicu*.

– Nie ma sprawy, z przyjemnością poszukam zdjęć. Coś jeszcze?

– Owszem. – Joanna zastanawiała się, co mogłoby dowieść, że widziała *Titanica*. – Sprawdź, czy tamtej nocy załoga *Titanica* korzystała z lampy sygnalizacyjnej, aby skontaktować się ze statkiem *Californian*. Poza tym spróbuj przygotować mi listę statków, z którymi udało się nawiązać wtedy łączność radiową. O ile nie za bardzo zawracam ci głowę.

– Wcale nie zawracasz – ucieszyła się Kit. – Na kiedy ci to potrzebne? Może być na jutro? O ile twoje zaproszenie na wieczór smakołyków wciąż jest aktualne. Postanowiłam, że jednak spróbuję się zjawić. Miałaś rację co do tego programu opieki. Faktycznie, można zamówić kogoś na szybki termin.

– Wspaniale. Podjechać po ciebie?

– Byłoby świetnie. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna – wyznała Kit, zupełnie jakby to Joanna wyręczała ją w poszukiwaniach

podręczników i sprawdzaniu informacji. – O której?

– Wieczór smakołyków rozpoczynamy o siódmej. Przyjadę pół godziny wcześniej.

– Rewelacyjnie. No to do zobaczenia ju...

Nagle rozległ się przeraźliwy, ogłuszający dźwięk.

– Co, do diabła! – wykrzyknęła Kit. – Zaczekasz chwilę?

– Wszystko w porządku? – spytała Joanna, lecz usłyszała wyłącznie piskliwe dzwonienie. Albo brzęczenie, przyszło jej do głowy. Zastanawiała się, czy powinna odłożyć słuchawkę, aby Kit mogła zadzwonić po pogotowie. A może lepiej by było, gdyby sama wezwała pomoc?

– Wszystko w porządku, wujku Pat – dobiegł ją cichy i spokojny głos Kit. – Nic się nie stało. – Dźwięk jednak nie ucichł. Ciekawe, skąd się bierze, myślała Joanna. Brzmi jak skrzyżowanie gwizdka czajnika z alarmem reanimacyjnym w szpitalu. Pewnie taki odgłos wydawały kominy na *Titanicu*, kiedy wypuszczano przez nie parę. Może usłyszała w przejściu właśnie to, a nie zatrzymanie silników.

– Większość z nich wcale tego nie słyszała. – W słuchawce rozległ się nagle głos pana Briarleya. Pewnie wszedł do biblioteki, kiedy Kit usiłowała uciszyć hałas.

– Pan Briarley? – spytała.

– Tak. Kto mówi?

– Joanna Lander.

– Joanna Lander – powtórzył, nie rozpoznając nazwiska.

– Jestem pana byłą uczennicą. Z liceum w Dry Creek.

– Z liceum... – Rozległo się ciche stuknięcie, jakby położył słuchawkę, lecz najwyraźniej tego nie zrobił, gdyż kilka sekund później stwierdził: – To było niespodziewane wyłumienie wibracji spowodowanych pracą silnika. Usłyszał to Jack Thayer, Ryersonowie i pułkownik Gracie, i wszyscy wyszli na pokład, żeby sprawdzić, co się stało.

Opowiada mi o wyłączeniu silników na *Titanicu*, pomyślała Joanna, ściskając słuchawkę. Kit mówiła, że jej wujek następnego dnia czasami coś sobie przypomina.

– Nikt nic nie wiedział – ciągnął pan Briarley. – Howard Case sądził, że zgubili śrubę. Jeden ze stewardów oznajmił, że to tylko drobna usterka mechaniczna. Nikt nie podejrzewał, że to coś poważnego... – Urwał, jakby czekając, aż Joanna coś powie.

– Panie Briarley – zaczęła Joanna, czując, jak mocno bije jej serce. – Co pan powiedział o *Titanicu* podczas tamtej lekcji?

Rozdział 27

*„Czasami myślę, jak wspaniale byłoby powiedzieć sobie:
Śmierć dobiegła końca; z tym doświadczeniem już się nie zetknę”.*

Charles Dodgson (Lewis Carroll),
na krótko przed śmiercią

Przez dłuższą chwilę Joanna słyszała wyłącznie przenikliwy dźwięk, a wreszcie dotarł do niej głos pana Briarleya:

– Mówią do nas – oznajmił. Joanna czekała, nie rozumiejąc, o co chodzi, i jednocześnie obawiając się, że jeśli zakłóci tor myślenia swojego byłego nauczyciela, zaprzepaści szansę dowiedzenia się czegoś więcej.

– Nudne, zakurzone zabytki. Oto, czym jest literatura – stwierdził pan Briarley, a następnie dodał niecierpliwie: – Tak, panie Inman, właśnie to będzie na egzaminie końcowym. Wszystko będzie na egzaminie końcowym. – W tej chwili nagle zapadła cisza.

Nie ulega wątpliwości, że właśnie to słyszę w przejściu, pomyślała nie na temat Joanna, wsłuchując się w dzwoniącą ciszę. To na pewno chodzi o urywający się hałas.

– Panie Briarley, czy pamięta pan, co powiedział wtedy na lekcji?

– Czy pamiętam? – powtórzył głucho. Zapadła długa cisza, zakłócona wyłącznie jego oddechem. – Zapamiętam to na zawsze – odezwał się wreszcie, tonem przepełnionym smutkiem i rozpaczą.

Pytanie go o cokolwiek nie ma sensu, skostatowała Joanna.

– Przepraszam – mruknęła. – Ja...

– Kto to? – spytał stanowczo pan Briarley. – Jesteś przyjaciółką Kevina?

– Jestem pana byłą uczennicą, panie Briarley. Joanna Lander. I niech tak pozostanie – zdecydował, a w tle rozległ się głos Kit:

– Nie odkładaj słuchawki, wujku. To do mnie.

– Nie wiem, kto to taki – poskarżył się niezadowolony. – Ludzie dzwonią i się nie przedstawiają. – Joanna usłyszała, jak Kit odbiera mu słuchawkę.

– Przepraszam – odezwała się. – Wujkowi udało się jakoś uruchomić alarm przeciwpożarowy, a wyłącznik się zablokował, więc nie mogłam uciszyć tego wycia. Powiedziałaś, że wpadniesz wół do siódmej?

– Tak. Kit...

– Ojoj, muszę kończyć. Na razie. – Kit odłożyła słuchawkę.

Joanna stała nieruchomo, wpatrując się w telefon. „Zapamiętam to na zawsze”, stwierdził pan Briarley, ale to nie była prawda. Nic nie pamiętał, tak samo jak Joanna. Nagle poczuła przytłaczające zmęczenie.

Odłożyła słuchawkę. Zobaczyła, że na sekretarce miga lampka. Wcisnęła przycisk odsłuchiwanie. „Masz jedną wiadomość”, oświadczyło urządzenie. „Mówi Vielle. Pamiętałaś, żeby pożyczyć filmy?”

– Nie – stwierdziła głośno Joanna. – Zajmę się tym rano. – Poszła do łóżka. Dopiero następnego dnia w drodze do pracy przekonała się, że wypożyczalnię Blockbuster otwierają o jedenastej. Czy wszystko zawsze jest pozamykane?, zastanawiała się, wpatrując się w zamknięte drzwi i myśląc o tym, kiedy uda się jej wyskoczyć po kasety.

Na pewno po południu. Sesja z panem Sage'em rozpocznie się o dziesiątej i trzeba na nią poświęcić jakieś pół godziny, plus co najmniej dwie dalsze na wydobywanie z niego relacji. A zatem o wół do pierwszej przystąpi do spisywania jego wspomnień. Przynajmniej to potrwa krótko, stwierdziła w myślach. Ale musiała też dokończyć dla Richarda listę osób po wielu śmierciach klinicznych i spróbować skontaktować się z panią Haighton. Oraz porozmawiać z Guadalupe. I powiedzieć Vielle, że zaprosiła Kit na wieczór smakołyków.

Od tego zaczęła, mając nadzieję, że Vielle będzie zbyt zajęta, aby ponownie zadawać kłopotliwe pytania. Nie myliła się. Na oddziale nagłych wypadków panował nieopisany tłok.

– Wiosna całą gębą! – wykrzyknęła Vielle, a kiedy Joanna zrobiła zdumioną minę, wyjaśniła: – Sezon na grypę. Gorączki, odwodnienia, nagłe wymioty – lepiej się stąd wynoś.

– Ty też – odwzajemniła się Joanna. – Przyszłam poinformować cię, że zaprosiłam kogoś na wieczór smakołyków.

– Błagam, powiedz, że aspiranta Denzela!

– Niezupełnie. Siostrzenicę mojego nauczyciela angielskiego z liceum. To właśnie do niej pojechałam parę dni temu, kiedy pożyczyłam od ciebie samochód. Pan Briarley – wyjaśniła Joanna, zastanawiając się, jak

wytłumaczy przyczyny swojej wizyty u niego. – Cierpi na chorobę Alzheimera.

– Alzheimer – powtórzyła Vielle, kręcąc współczująco głową. – Czy wydał polecenie wstrzymania się od reanimacji? Jego najbliżsi powinni załatwić tę sprawę na wypadek, gdyby znowu do tego doszło. Dostajemy tutaj pacjentów w końcowej fazie Alzheimera i ratowanie ich to marna przysługa – wyznała, a Joanna uświadomiła sobie, że jej przyjaciółka sądzi, że pan Briarley przeżył śmierć kliniczną i teraz opowiada o swoich doświadczeniach.

Może powinnam pozwolić jej dalej tak myśleć, zastanowiła się Joanna. Tylko że Kit pewnie coś chlapnie, a Vielle jest przecież jej najlepszą przyjaciółką. Okłamywanie najlepszych przyjaciół to głupota. Nie mogła jednak powiedzieć jej prawdy. Skoro powiedziała o *Titanicu*...

– Pamiętasz, jak któregoś wieczoru rozmawialiśmy o najlepszej śmierci? – przypomniała Vielle. – No więc Alzheimer to chyba najgorszy rodzaj umierania. Zapominasz wszystko, co kiedykolwiek wiedziałaś, kogo kochałaś, kim byłaś i zdajesz sobie z tego sprawę. Lubiałaś go jako nauczyciela?

– Tak. Potrafił recytować Keatsa i Szekspira całymi stronami i zawsze przygotowywał potwornie trudne klasówki.

– Prawdziwy skarb – skomentowała sarkastycznie Vielle.

– Żebyś wiedziała. Miał takie rzeczowe poczucie humoru i wiedział wszystko o literaturze, pisarzach i historii. Zawsze opowiadał nam o najbardziej fascynujących zdarzeniach. Wiedziałaś, że siostra Charlesa Lamba zadźgała ich matkę nożem kuchennym podczas kolacji?

– Najwyraźniej bardziej uważałaś na lekcjach angielskiego niż ja – podsumowała Vielle.

I tak niewystarczająco, pomyślała Joanna, bo nie pamiętam, co powiedział o *Titanicu*.

– Wiedział wszystko. Właśnie dlatego poszłam go odwiedzić – wyznała, licząc na to, że Vielle nie zażąda bliższych wyjaśnień. – Nie wiedziałam, że ma Alzheimera, poznałam jego siostrzenicę i zaprosiłam ją na wieczór. Jest całodobową opiekunką do chorego i nigdy nigdzie nie wychodzi, z wyjątkiem krótkich wypraw po zakupy. Nikt jej nie odwiedza...

– Gilbert i Sullivan usiłują uratować kolejną tonącą ofiarę – mruknęła Vielle.

– Nie usiłuję... No dobrze, może i tak, ale ona jest naprawdę bardzo sympatyczna, od razu ją polubisz.

– To dlatego tak pośpiesznie wyjechałaś moim samochodem i zniknęłaś na przeszło cztery godziny – przypomniała sceptycznie Vielle. – Chciałaś zadać swojemu byłemu nauczycielowi pytanie? O siostrę Charlesa Lamba?

– Nie. Czy jest jakiś konkretny film, który mam pożyczyć? Oprócz *Chwały*?

– Może *Joe Black*? – zasugerowała Vielle. – To o kobiecie, która tak bardzo zakochuje się w śmierci, że niemal umiera.

– Wezmę jakąś komedię – oświadczyła Joanna i poszła zobaczyć się z Guadalupe, której zresztą nie zastała.

– Nie ma jej dzisiaj – stwierdziła nieznajoma pielęgniarka dyżurna. – Zachorowała na tę szalejącą wszędzie gripę.

– Hm – mruknęła Joanna. – No cóż, wobec tego prosiłabym, aby pani jej przekazała, jak wróci, że wciąż chciałabym, aby spisywać słowa pana Aspinalla.

– Zostawię jej wiadomość – postanowiła pielęgniarka i sięgnęła po karteczki samoprzylepne. – Wciąż chciałaby... spisywać... pan Aspinall – zanotowała i podniosła głowę. – Jest pani pewna, że chodzi właśnie o niego? On...

– Tak, wiem, że jest w stanie śpiączki. Guadalupe będzie wiedziała, co oznacza wiadomość.

Przyjrzała się, jak pielęgniarka kończy spisywanie informacji i przylepiają w szafce Guadalupe, a następnie udała się do pokoju Carla Śpiączki. Przy łóżku zastała jego żonę, czytającą na głos jakąś książkę.

– „Teraz go mamy”, wycedził Buck, ściągając lejce. „Tędy się nie przedostanie. Nawet tropiciel z plemienia Apaczów zgubiłby się w tych kanionach” – usłyszała Joanna.

Spojrzała na Carla. Minął tydzień od jej ostatnich odwiedzin i stan chorego wyraźnie się pogorszył. Jego klatka piersiowa i policzki wyglądały na jeszcze bardziej zapadnięte i poszarzałe. W dodatku podłączono go do kolejnych kroplówek i urządzeń kontrolnych.

– Pani doktor! – wykrzyknęła przyjemnie zaskoczona pani Aspinall. Zamknęła książkę.

– Przyszło mi do głowy, że wpadnę na moment, żeby sprawdzić, jak się miewa pan Aspinall.

– Nie jest najgorzej – oświadczyła pani Aspinall, a Joanna zastanowiła się, czy żona chorego stosuje taki sam system negacji faktów jak matka Maisie, lecz widać było po niej, że nie. Straciła na wadze, a na twarzy uwidoczniło się napięcie. – Carl? – Pani Aspinall pochyliła się, aby dotknąć ręki męża. – Carl, pani doktor Lander przysłała cię odwiedzić.

– Dzień dobry, Carl – przywitała się Joanna.

Pani Aspinall odłożyła na nocną szafkę książkę z rysunkiem galopującego konia i jeźdźca na okładce.

– Czytam Carlowi na głos – wyjaśniła. – Pielęgniarki twierdzą, że mnie słyszy. Sądzi pani, że to prawda?

Joanna pomyślała, że nie, i przypomniała sobie ciszę, panującą na pokładzie łodziowym, oraz ciemność za burtami. Nawet gdyby Tish zdjęła słuchawki, a Richard wrzeszczał jej prosto do ucha, i tak nic by nie usłyszała.

– Czasami wydaje mi się, że naprawdę mnie słyszy – ciągnęła pani Aspinall – ale kiedy indziej wydaje się taki... Tak czy owak, to na pewno nie zaszkodzi. – Uśmiechnęła się.

– Za to może pomóc – potwierdziła Joanna. – Niektórzy pacjenci twierdzą, że podczas śpiączki zdawali sobie sprawę z obecności bliskich.

– Mam nadzieję. – Pani Aspinall poklepała chorego po bezwładnej dłoni. – Chciałabym, żeby wiedział, że jestem tutaj i że zrobiłabym dla niego wszystko. Wszystko – powtórzyła stanowczo.

Joanna przypomniała sobie o Maisie.

– Nie wątpię – stwierdziła, a pani Aspinall zrobiła zakłopotaną minę, jakby zapomniała o obecności innej osoby.

– To bardzo miło z pani strony, że odwiedza pani Carla. – Pani Aspinall wzięła książkę.

– Cieszę się z naszego spotkania – odparła Joanna. – Trzymaj się, Carl – zwróciła się do chorego, chociaż nie wątpiła, że znajdował się w miejscu, do którego nie dociera jej głos.

Bocznymi korytarzami wróciła do gabinetu, a zanim wyszła z klatki schodowej, ostrożnie uchyliła drzwi. Nie zauważyła pana Mandrake'a, lecz na sekretarce znajdowały się trzy wiadomości od niego. Dzwoniła także pani Troudthaim, która stwierdziła, że jednak nie zachorowała na gripę i nie wie, kiedy ma przyjść na sesję. Kit nie telefonowała.

Joanna liczyła na wiadomość od niej, chociaż wieczorem ze sobą rozmawiały. Zresztą gdyby Kit ponownie zadzwoniła, to zapewne po to, by

odwołać spotkanie z powodu złego samopoczucia pana Briarleya. Joanna miała jednak nadzieję, że usłyszy komunikat typu: „*Titanic* nawiązał łączność z *Baltikiem* i *Frankfurtem*” albo: „W jadalni znajdowały się różowe lampy i dywan”. Dzięki temu mogłaby przekonać Richarda, że jednak widziała *Titanica*, a nie kombinację różnych statków.

Miała pewność, że się nie myli. Nie ujrzała wyłącznie serii obrazów o tematyce morskiej, przywołanych przez długotrwałą pamięć. Nie widziała *Titanica* bez powodu. Pan Briarley zatrzaskał książkę, położył ją na biurku i oznajmił... Joanna zapatrzyła się w automatyczną sekretarkę, usiłując sobie przypomnieć. Pomyślała, że na dworze było mglisto, i nagle ujrzała przed oczyma słoneczny dzień, z promieniami światła migoczącymi i błyszczącymi w śniegu i w soplach lodu...

Konfabulujesz, upomniała się surowo. Może powinna przyjąć inną taktykę, nie starać się przypomnieć jednego, konkretnego zdarzenia, lecz wszystko to, co wie o *Titanicu*. Dzięki temu odświeżyłaby pamięć.

Dobrze. Wiedziała, że statek pędził cała naprzód, chociaż dowódca otrzymywał dziesiątki informacji o niebezpieczeństwie związanym z obecnością gór lodowych. Pamiętała, że nawet po opuszczeniu łodzi ratunkowych, w palarni pierwszej klasy mężczyźni spokojnie grali w brydża. Przypomniała sobie panią Straus, która odmówiła pozostawienia męża, i Benjamina Guggenheima, który zszedł do swojej kajuty, aby ubrać się we frak i białą kamizelkę. „Włożyłem najlepsze ubranie”, oświadczył, „i jestem przygotowany, aby pójść na dno jak prawdziwy dżentelmen”. Wspomniała też *Californian*, którego załoga nie dostrzegła wiadomości przesyłanych z *Titanica* za pomocą lampy sygnalizacyjnej i nie zrozumiała, że wystrzeliwane ze statku rakiety to wzywanie pomocy...

– Pani doktor Lander? – Tish zapukała do drzwi. – Doktor Wright prosił, aby pani przekazać, że jest już gotowy do rozpoczęcia sesji.

– Naprawdę? – Joanna spojrzała na zegarek. Mój Boże, już prawie dziesiąta. – Przepraszam, już idę. – Pośpiesznie zgarnęła dyktafon, nową kasetę oraz notatnik. – Przyszedł pan Sage?

– Tak – potwierdziła Tish. – Rozmowny jak zwykle.

Joanna uśmiechnęła się i zamknęła drzwi na klucz, na wypadek, gdyby pan Mandrake przyszedł węszyć. Obydwie udały się do laboratorium.

– Przynajmniej pan Sage nie siedzi z nosem w skanach jak pewne osoby, które mogę wymienić z nazwiska – stwierdziła sarkastycznie Tish. – I w dodatku słucha, kiedy się do niego mówi. Przyszłam do pani z pewnego

powodu. – Tish pochyliła się tajemniczo w stronę Joanny. – Chciałam panią poinformować, że odpuszczam sobie doktora Wrighta. Teraz w całości należy do pani.

– Mnie też nie słucha – oświadczyła Joanna, przypominając sobie rozmowę w Taco Pierre's.

– Wszystko dlatego, że cały czas myśli o doświadczeniach granicznych. Naprawdę cały czas. Wie pani, co powiedział, kiedy go poinformowałam, że pożyczyłam film z Tommym Lec Jonesem, o którym wcześniej rozmawialiśmy?

O którym sama mówiłaś, poprawiła Joanna.

– I że kupiłam steki i przyrządziłam sałatkę? Powiedział, że nic z tego, bo dziś wieczorem jest zajęty. Pewnie gapieniem się na skany.

Joanna uznała, że to niedobra pora na informowanie Tish o wieczorne smakołyków.

– On ma jakąś obsesję na punkcie tych zdjęć. Jeszcze trochę i podzieli przekonanie pana Mandrake'a, że doświadczenia graniczne to rzeczywistość.

– Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić – stwierdziła Joanna i weszły do laboratorium.

Richard siedział przy pulpicie i wpatrywał się w skany, podpierając głowę ręką.

– Widzi pani? – Tish szepnęła do Joanny.

Joanna podeszła do stołu badawczego, na którym siedział pan Sage, ubrany w szpitalną koszulę.

– Dzień dobry panu – przywitała się. – Jak się pan miewa?

Pan Sage zastanawiał się przez dobre czterdzieści sekund.

– Może być – odparł wreszcie.

Tish posłała Joannie znaczące spojrzenie.

Przyglądając się, jak Tish przygotowuje pana Sage'a, Joanna pocieszyła się, że przynajmniej spisanie jego relacji nie potrwa długo. Dziesięć minut sesji i kolejne dziesięć na wydobycie z niego informacji o tym, że było ciemno.

Myliła się. Po dwóch minutach i czterdziestu sekundach w fazie płytkiego snu pan Sage przeszedł w stan doświadczeń granicznych. I w nim pozostał.

Po dziesięciu minutach Richard spytał:

– Po jakim czasie ocknął się ostatnim razem?

– Po dwóch minutach i dziewiętnastu sekundach – przypomniała Joanna.
– Siostró, jak tam jego odczyty?
– W porządku – oświadczyła Tish. – Tętno sześćdziesiąt pięć, ciśnienie sto dziesięć na siedemdziesiąt.

– A teraz? – spytał Richard minutę później.
– Bez zmian – padła odpowiedź. – Tętno sześćdziesiąt pięć, ciśnienie sto dziesięć na siedemdziesiąt. Czy jest już w fazie płytkiego snu?

– Nie. – W głosie Richarda zabrzmiała konsternacja. – Wciąż jest w stanie śmierci klinicznej. Wstrzymujemy dithetaminę.

Tish wykonała polecenie, lecz nic to nie dało.

– Jakies kłopoty? – spytała.

– Nie – odparł Richard. – EKG w porządku, objawy czynności życiowych w granicach normy, a na skanach nie widzę niczego niepokojącego. Po prostu zapadł w długą śmierć kliniczną.

Joanna przyjrzała się panu Sage'owi. A jeśli nie może znaleźć powrotnego przejścia, tunelu czy innego miejsca, przez które przyszedł? Może zapomniał zaklinować tenisówka jakieś drzwi, bramę lub furtkę i teraz nie może wrócić?

Po dwudziestu ośmiu minutach i czternastu sekundach Richard oświadczył:

– Dobrze, wystarczy – i nakazał Tish podanie noradrenaliny w celu przywrócenia badanemu przytomności. Kiedy przyglądał się, jak na skanach wreszcie zaczęły się pojawiać obrazy wskazujące na przejście do fazy płytkiego snu i budzenia, oświadczył: – Przynajmniej tym razem sporo się od niego dowiemy.

Pan Sage okazał się jednak równie mało komunikatywny jak zawsze.

– Było ciemno... – stwierdził. – A potem zrobiło się jasno... i znowu ciemno.

– Czy tym razem znajdował się pan tam dłużej niż zazwyczaj! – spytała Joanna.

– Dłużej?

Joanna pomyślała, że mimo wszystko ma do czynienia z osobą opóźnioną w rozwoju.

– Tak – potwierdziła cierpliwie. – Czy odniósł pan wrażenie, że minęło więcej czasu?

– Kiedy?

– W ciemnościach – wyjaśniła Joanna, a kiedy dostrzegła zmieszanie na twarzy swojego rozmówcy, dodała: – Albo w świetle.

– Nie.

– Znalazł się pan w tym samym miejscu?

– Miejscu?

Przez niemal dwie i pół godziny próbowała coś z niego wyciągnąć i w końcu musiała przyznać się do porażki.

Cieszyła się wyłącznie z tego, że nie będzie miała wiele do spisywania, więc zdąży do wideoteki. Kiedy jednak zaniósła gotowy wydruk Richardowi, poprosił ją o wszystkie pojawiające się w jej wywiadach informacje związane z upływem czasu, a także długością trwania doświadczeń granicznych, o ile dysponowała takimi danymi. Gromadzenie informacji zajęło Joannie całe popołudnie. Kiedy znajdowała się w połowie pracy, do drzwi zapukał Richard.

– Nie sądzę, aby udało mi się dzisiaj dołączyć do was na wieczorne smakołyków. Jeszcze nie skończyłem analizować skanów pana Sage’a, do tego dochodzi analiza neuromediatorów.

– Która godzina? – zaniepokoiła się Joanna i zerknęła na zegarek. – O, do licha, już za piętnaście szósta! – wykrzyknęła, zapisała tekst na twardym dysku. O wpół do siódmej miała przyjechać po Kit, a wciąż jeszcze nie wypożyczyła kaset.

– Powiedz Vielle, że ogromnie żałuję. Spróbuję następnym razem – obiecał Richard, kiedy szukała kluczyków.

– Przekażę – zobowiązała się Joanna i pojechała do wypożyczalni Blockbuster. W drodze stwierdziła, że wszystko jest w porządku, wystarczy, że wejdzie, zdejmie z półek dwie kasety i podskoczy po Kit. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. *Chwała* była wypożyczona, podobnie *Jumpin Jack Flash*, a kiedy przeszła się między stojakami, najpierw trafiła na Woody’ego Allena, a potem na jakiś film z Kevinem Costnerem. Odniosła wrażenie, że autorami wszystkich pozostałych są specjaliści od efektów pirotechnicznych.

– Mogę w czymś pomóc? – zainteresował się niski chłopak w niebiesko-żółtej koszuli.

Joanna pomyślała, że byłaby wdzięczna za informacje o tym, gdzie są główne schody albo dlaczego widzi *Titanica*.

– Zna pan jakąś dobrą komedię?

– Pewnie. – Chłopak powędrował wzdłuż stojaka z nowościami i wybrał pudełko ze zdjęciem Robina Williamsa, ucharakteryzowanego na klauna. – *Umrzeć ze śmiechu* – zaproponował. – To o facecie, który umiera na serce. Joanna potrząsnęła przecząco głową.

– A może to? *Brakujące ogniwo*. Komedia o człowieku z amnezją, który nie wie, kim jest ani jak się nazywa...

– Może coś z Julią Roberts? Jest jakiś film z jej udziałem?

– Jasne. – Podszedł do dramatów obyczajowych. – *Zbyt wcześnie umierać*. Julia Roberts i Campbell Scott. O młodej kobiecie, która opiekuje się człowiekiem umierającym na białaczkę...

– Chodziło mi o komedię z Julią Roberts – wytłumaczyła z rozpaczą Joanna.

– Jej wszystkie nowe komedie są w oglądaniu – zmarszczył brwi chłopak. – Może *Uciekająca panna młoda*!

– Świetnie. – Joanna wyrwała mu niebiesko-żółte pudełko, a kiedy odwrócił się, aby odejść, upewniła się: – Ale w tym filmie nikt nie umiera? Ani nie traci pamięci?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Wspaniale. – Joanna zaczęła szperać po kieszeniach w poszukiwaniu karty członkowskiej. Pamiętała, że na wieczorze smakołyków obowiązują dwa filmy, lecz nie potrafiłaby znieść kolejnych poszukiwań. Jeden musiał wystarczyć.

Poza tym nie miała czasu. Obiecała Kit, że przyjedzie po nią o wpół do siódmej, a zegarek już wskazywał dwadzieścia pięć po szóstej. Wyciągnęła *Uciekającą pannę młodą* z dłoni chłopaka i rzuciła się pędem do samochodu, mając nadzieję, że przez jej spóźnienie Kit nie postanowi pozostać w domu. Na szczęście Kit czekała już na nią w płaszczu.

– Cześć, wejdz – zaprosiła ją. – Jestem już prawie gotowa.

– Dokąd się wybierasz? – Z biblioteki dobiegł głos pana Briarleya.

– Wychodzę, wujku – odrzyknęła Kit. – Z Joanną. Idziemy na film.

– Przepraszam – szepnęła Joanna. – Powinnam była poczekać na ciebie w samochodzie?

Kit zaprzeczyła ruchem głowy.

– Kilkakrotnie próbowałam wyjść z domu tak, aby tego nie zauważył – szepnęła w odpowiedzi. – To tylko pogorszyło sprawy. Wejdz. Muszę coś powiedzieć opiekunce. Znalazłam odpowiedzi na część twoich pytań.

Poszła przodem do biblioteki. Pan Briarley usadowił się na swoim krześle z ciemnoczerwonej skóry i czytał książkę. Nie podniósł wzroku, kiedy weszły.

Na kanapie siedziała siwa kobieta w kamizelce. Joannie skojarzyła się z panią Troudthaim. Zachowywała się w taki sam przyjacielski, rzeczowy sposób, jakby chciała powiedzieć, że zawsze da sobie radę. Nawet miała ze sobą koszyk wypełniony oliwkowozieloną i jasnofioletową wełną. Joannie przyszło do głowy, że osoby, które uczą się szydełkować, najwyraźniej od razu stają się daltonistami.

– Ma pani mój numer telefonu. – Kit zwróciła się do opiekunki i wyjaśniła Joannie: – Pożyczyłam komórkę od kuzyna, oddam mu, jak sobie sprawię własną.

– Jest tutaj – odparła pani Gray, klepiąc się po kieszeni sukienki.

– Podać ci numer do Vielle? – Joanna spytała Kit i po uzyskaniu potwierdzenia podyktowała go opiekunce.

– Jeśli coś się zdarzy, zadzwoni pani do mnie, prawda? – upewniła się niespokojnie Kit. – Cokolwiek?

– Zadzwoń – uspokoiła ją pani Gray i wyciągnęła robótkę. – Ale niech panie już idą. Życzę dobrej zabawy i proszę się nic martwić. Wszystko mam pod kontrolą.

– Idą? – odezwał się pan Briarley, zamykając książkę i zaznaczając miejsce kciukiem. – Dokąd idziesz?

– Wychodzę, wujku. Idę na film. Z Joanną. Joanną Lander – przedstawiła ją.

Ani jednym gestem nie okazał, że ją poznaje.

– Była twoją uczennicą w liceum – wyjaśniła Kit. – Idziemy razem obejrzeć film.

Joannie przypomniał się steward, wędrujący po pokładzie, a także młoda kobieta w koszuli nocnej, powtarzająca: „Zimno mi”. Czy właśnie tak się czuli ludzie cierpiący na chorobę Alzheimera? Uwięzieni w świecie halucynacji, we śnie, wielokrotnie powtarzają te same kwestie? A co z Kit? Ona też ugrzęzła w nieustającym koszmarze, chociaż nie sposób było to poznać po cichym, pełnym uczucia tonie, jakim odpowiadała na pytania wujka, i po tym, jak delikatnie poklepywała go po ramieniu.

– A co z Kevinem? – spytał. – Nie idzie z tobą?

– Nie, wujku. – Odwróciła się do Joanny. – Gotowa? Ojej, zaraz, zanim wyjdziemy, pokażę ci książkę – przypomniała sobie i pobiegła na piętro.

Przy słowie „wyjdziemy” Joanna spojrzała niepewnie na pana Briarleya, lecz on ponownie zagłębił się w swojej książce. Po chwili wróciła Kit, dźwigając dwa podręczniki.

– Nie sądzę, żeby chodziło ci o którykolwiek z nich – oświadczyła, wręczając je Joannie. – No, ale skoro już tu jesteś...

To prawda, Joannie nie chodziło o żadną z tych książek. Wiedziała o tym, gdy tylko je zobaczyła.

– Trudno, zawsze warto spróbować – oznajmiła Kit, odniosła podręczniki na górę i wróciła z komórką w dłoni. – Dobrze, jestem gotowa. Na razie, wujku. – Pocałowała go w policzek.

– Wbrew powszechnie panującemu przekonaniu, „Pieśń o starym żeglarzu” nie jest wierszem pełnym porównań, aliteracji i onomatopei – objaśnił pan Briarley, jakby wygłaszał wykład przed klasą Joanny. – Nie chodzi w nim również o albatrosy i niecodzienną pisownię. To wiersz o śmierci i rozpacz. I o zmartwychwstaniu. – Wstał, podszedł do okna i odciągnął zasłonę, aby wyjrzeć na dwór. – Gdzie się podziewa Kevin? Już dawno powinien tu być.

Kit podeszła do niego i zaprowadziła go z powrotem na fotel. Usiadł.

– Niedługo wrócę – wyjaśniła.

– Dokąd idziesz? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Wychodzę z Joanną. Idziemy na film – odparła i podniosła telefon, aby pokazać go pani Gray, która spokojnie szydełkowała. – Proszę do mnie zadzwonić.

– Czy to się powtarza za każdym razem, gdy wychodzisz? – spytała Joanna, kiedy wsiadły do samochodu.

– Zazwyczaj – potwierdziła Kit i włączyła komórkę. – Miałś świetny pomysł. Teraz nie będę się martwić, że pani Gray nie uda się ze mną skontaktować.

Joannie przypomniał się statek *Californian*. Zastanawiała się, jak rozpocząć rozmowę o pytaniach, na które Kit podobno znalazła odpowiedzi. Gdyby podjęła temat w tej chwili, dziewczyna mogłaby odnieść wrażenie, że tylko dlatego została zaproszona na wieczór smakołyków. Z kolei dłuższe oczekiwanie groziłoby poruszeniem drażliwego zagadnienia podczas oglądania filmu, w obecności Vielle, która i tak coś podejrzewała.

Joanna zdecydowała, że lepiej będzie załatwić sprawę od razu. Postanowiła nakierować Kit na właściwy temat.

– Bardzo się cieszę, że jednak postanowiłaś przyjść.

– Ja też – odparła Kit i z kieszeni płaszczka wyciągnęła złożoną kartkę papieru. – Więc tak, lampa sygnalizacyjna znajdowała się na *Titanicu* i korzystano z niej, by nawiązać kontakt ze statkiem *Californian*. Lampę zainstalowano po lewej stronie mostka. Zgodnie z planem statku, zamieszczonym w książce *Ilustrowany Titanic*, urządzenie znajdowało się nieco przed mostkiem, bliżej lewej burty.

Nieco przed mostkiem, bliżej lewej burty. Właśnie tam stali obydwaj mężczyźni, wysyłając sygnały za pomocą latarni.

– Nie wiesz może, jak wyglądała ta lampa?

– Niestety. – Kit pokręciła głową. – Chociaż ta książka nosi tytuł *Ilustrowany Titanic*, nie ma w niej ani ilustracji, ani opisu. Spróbuję jeszcze poszukać. Co do statków, z którymi próbowano nawiązać łączność, nie jestem pewna, czy wyłapałam je wszystkie. Temat radiotelegrafu jest poruszany w rozmaitych miejscach różnych książek, a połowa z nich nie ma indeksów, więc nie wiem, czy wypisałam wszystkie jednostki, ale te, co mam, to... – Zerknęła na kartkę, usiłując odczytać coś w świetle latarni drogowych. – *Virginian*, *Carpathia* – na jej pokład zabrano rozbitków – *Burma* i *Olympic*.

Virginian, *Carpathia*, *Burma* i *Olympic*. Nie *Baltic* i nie *Frankfurt*. Ale Kit podkreśliła, że informacje o radiotelegrafie są rozsiane w różnych miejscach, a *Titanic* mógł próbować skontaktować się z dziesiątkami statków. Niewykluczone, że w książkach pojawiły się wzmianki wyłącznie o jednostkach znajdujących się wystarczająco blisko, aby udzielić pomocy rozbitkom, lub o statkach, które odpowiedziały na wezwanie. Oficer stwierdził, że *Frankfurt* nie odpowiadał.

– No i oczywiście *Californian* – uzupełniła Kit – ale chodziło ci o statki, z którymi udało się nawiązać łączność radiową, a *Californian* nie reagował na żadne wezwania. Wiedziałaś, że radiooperator wyłączył urządzenia i poszedł spać na pięć minut przed tym, jak *Titanic* wysłał pierwsze SOS?

Joanna wybuchnęła śmiechem.

– Co się stało? – zdziwiła się Kit. – Powiedziałam coś zabawnego?

– Właśnie przypomniała mi się pewna dziewczynka, która zawsze rozpoczyna zdania od „Wiedziała pani...?”

– To jedna z twoich pacjentek?

– Mniej więcej. A dowiedziałaś się czegoś o jadalni pierwszej klasy?

– Salonie jadalnianym pierwszej klasy – poprawiła Kit. – Tak, na ten temat jest mnóstwo materiałów. To było... – Znowu zerknęła do notatek, próbując dojrzeć cokolwiek w słabym świetle lamp ulicznych. – „... luksusowe pomieszczenie restauracyjne, urządzone na wzór angielskiego Haddon Hall i umeblowane w stylu Jakuba I”.

W stylu Jakuba I. Joanna nie miała pojęcia, jak wyglądają meble w stylu Jakuba I. Zatrzymała się na parkingu przed blokiem Vielle.

– A teraz muszę cię ostrzec – zwróciła się do Kit – że podczas wieczorów smakołyków obowiązuje zakaz rozmawiania o pracy, więc naszą rozmowę będziemy musiały dokończyć w drodze powrotnej.

– W porządku. Tylko dopowiem o tym salonie jadalnianym.

Joanna skinęła głową i włączyła lampkę nad lusterkim.

– Znajdował się w samym środku statku, na pokładzie salonowym, obok głównych schodów. Miał trzydzieści pięć metrów długości i jednorazowo mógł pomieścić pięciuset pasażerów. Jego ściany pomalowano na biało, a przez środek przebiegały dwa rzędy białych kolumn. Krzesła i stoły wykonano z ciemnego dębu, a krzesła obito ciemnozielonym aksamitem. Zagłówki ozdobiono haftami przedstawiającymi irysy. – Kit złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni płaszcza. – Jak będziemy wracały, i powiem ci, czego się dowiedziałam na temat zatrzymania pracy silników – dodała, ale dalsza rozmowa straciła sens.

Richard miał rację. To nie był *Titanic*.

Rozdział 28

„SOS. Przybywajcie natychmiast – duży przechył – dziesięć mil na południe od Head Old Kinsale – SOS...”

Wiadomość radiotelegraficzna z *Lusitanii*

Vielle się wściekła na widok Kit.

– Oszalałaś? – wyszeptała do Joanny, kiedy Kit zaniósła prażoną kukurydzę do pokoju. – Chcesz ją poznać z Richardem? Przyjrzałaś się jej? Jest piękna, a faceci od razu lecą na delikatne i bezbronne panienki. Wystarczy, że raz na nią spojrzysz, i możesz pożegnać się ze swoimi szansami na doktora Righta.

– Richard nie może przyjść – wyjaśniła Joanna. – Podczas dzisiejszej sesji doszło do pewnych komplikacji i teraz musi...

– Jakich komplikacji? – wykrzyknęła Vielle. – I czyjej sesji? Twojej?

– Zasada numer jeden, podczas wieczoru smakołyków nie mówimy o pracy – wykręciła się Joanna. – Już poinformowałam o tym Kit.

– Właśnie dlatego ją przyprowadziłaś? Żeby nie mogła cię wypytywać o sprawy związane z projektem? Albo dlaczego nagle się zainteresowałaś filmem, który nie podobał się żadnej z nas? Albo dlaczego nie chciałaś go obejrzeć...? – Urwała, kiedy do kuchni weszła Kit, trzymając w ręku telefon komórkowy i wpatrując się w jego przyciski.

– Skąd wiadomo, że jest włączony?

Vielle rzuciła okiem na aparat.

– Jest włączony – zdecydowała. – Chciałaś zadzwonić, aby sprawdzić, co z wujkiem?

– Nie, tylko się upewniłam. Pani Gray ma twój numer. Trochę się denerwuję. Kiedy nie ma mnie przy wujku, czasami czuje się zagubiony. – Odwróciła się do Joanny. – Przepraszam, wiem, że podczas wieczoru

smakołyków nie można rozmawiać o takich sprawach. Właściwie o czym mogę mówić?

– O filmach – oświadczyła Joanna. – A raczej o filmie. Wizyta w Blockbusterze zakończyła się tylko częściowym powodzeniem. Nie mieli *Chwały*. Ani *Jumping Jack Flash*. – Wręczyła kasetę Vielle. – Pożyczyłam komedię. Z Julią Roberts.

– *Uciekająca panna młoda*. – Vielle odczytała tytuł.

– Panna młoda? – powtórzyła Kit.

– Już to widziałaś? – zainteresowała się Vielle.

– Nie – zaprzeczyła Kit, ale jej ton sprawił, że Joanna zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem kłamstwo, które ma na celu ochronienie ich odczuć. Policzki Kit nabrały intensywnie różowej barwy. – Przez kilka ostatnich lat w ogóle nic oglądałam żadnych filmów, a Julia Roberts ogromnie mi się podobała w *Pretty Woman*. I w *Linii życia*.

– Tylko że w *Linii życia* niepotrzebnie się naraża. – Vielle spojrzała znacząco na Joannę.

– I kończy z Kieferem Sutherlandem – dodała beztrąsko Joanna. – Kevin Bacon podobał mi się znacznie bardziej. – Wyciągnęła kasetę z rąk Vielle. – W tym filmie gra Richard Gere. – Wsunęła taśmę do magnetowidu i włączyła telewizor. – No to zaczynamy seans. Kit nie chce zbyt długo pozostawać poza domem. – W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Kit rzuciła się, żeby go odebrać.

– Słucham? – odezwała się niespokojnie. – To pani Gray – wyjaśniła Joannie i Vielle.

– Możesz przejść do sypialni, jeśli wolisz – zaproponowała Vielle, a Kit z wdzięcznością skinęła głową. Vielle zaprowadziła ją do drugiego pokoju i zamknęła drzwi.

– Mam nadzieję, że pan Briarley nie zdenerwował się tak bardzo, by Kit musiała wracać – stwierdziła Joanna. – Bardzo się cieszyła, że obejrzy film.

– Nie zmieniaj tematu – przerwała jej Vielle. – Wspomniałaś o komplikacjach podczas dzisiejszej sesji. Kto był badany?

– Nie ja – oświadczyła Joanna, a Vielle odetchnęła z ulgą. – Poza tym niepotrzebnie użyłam słowa „komplikacje”. Nic się nikomu nie stało. – Zerknęła na drzwi do sypialni.

– A co z twoimi sesjami? Chcesz mi powiedzieć, że one też przebiegły bez zakłóceń?

– Nie bardzo rozumiem.

– Posłuchaj, biegiesz jak oszalała na oddział nagłych wypadków, jesteś blada jak trup i koniecznie chcesz wiedzieć, czy w *Titanicu* jest scena, w której zatrzymuje się silnik, a kiedy dowiaduję się tego dla ciebie, nic cię to nie obchodzi, za to odchodzisz od zmysłów ze strachu, że komuś o tym powiedziałam. A potem Barbara z pediatrii mówi mi, że poprzedniego wieczoru widziała cię w łączniku między skrzydłami na czwartym piętrze i że wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha.

Wszystko jasne. Stara dobra szpitalna plotka. Właśnie dlatego Vielle nie powinna nic wiedzieć. W Szpitalu Miłosierdzia nie istniało pojęcie tajemnicy.

– A powiedziała ci, że chwilę wcześniej dowiedziałam się, że Maisie Nellis znowu trzeba było reanimować?

– Stwierdziła, że się o ciebie martwi. Ja też się o ciebie martwię. Chodzi o projekt, przyznaj się. Podczas swoich doświadczeń granicznych widzisz jakieś dziwne rzeczy. Zobaczyłaś *Titanica*, zgadza się?

Joannie przeszło przez myśl, że najwyraźniej nie.

– Nie, nie zobaczyłam *Titanica*.

– Więc co ujrzałaś?

– Nie wiem. Coś...

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Kit, cała w skowronkach.

– Pani Gray chciała tylko wypróbować telefon, żebym wiedziała, że jest sprawny, i żeby powiedzieć mi, jak się miewa wujek Pat.

– I jak tam u niego? – zainteresowała się Joanna.

– Nie najgorzej. Cały czas wygląda przez okno i pyta, gdzie jestem.

Joanna pomyślała, że po kimś tak podobnym do pani Troudthaim mogła się spodziewać większego rozsądku. Taka informacja musiała zmartwić Kit. Dziewczyna zapewne dostrzegła rozterki Joanny, gdyż powiedziała:

– Gdyby mi powiedziała, że wszystko jest w porządku, nie uwierzyłabym. Chcę znać prawdę.

Joannie od razu nasunęło się skojarzenie z Maisie. Kiedy siadły przed telewizorem, przyszło jej do głowy, że są podobne także fizycznie. Obydwie miały krótkie, jasne włosy, szczupłe ręce i ramiona. Poza tym Kit była równie odważna jak Maisie, podobnie urocza i szczerza. Oglądała film tak uważnie, jakby pokazywano w nim pana Briarleya podczas jednego z jego słynnych egzaminów końcowych.

Z kolei Joanna nie potrafiła się skoncentrować. Skoro nie *Titanic*, to co? Połączenie statków i obrazów związanych ze statkami, stwierdził Richard.

Jakich obrazów związanych ze statkami? Dorastała w stanie bez dostępu do morza. Nigdy w życiu nie przebywała na pokładzie statku.

Starła się skupić na filmie. Richard Gere właśnie był przedstawiany gromadce rozchichotanych kobiet. „Nazywam się Betty Trout”, oświadczyła jedna z nich, a Joanna pomyślała o Betty Peterson. Siedziała obok niej w drugim semestrze. Betty należała do piątkowych uczennic. Z całą pewnością pamiętała tytuł podręcznika do angielskiego. Może nawet potrafiłaby odtworzyć w pamięci słowa pana Briarleya. Ale przecież nie chodziło o *Titanica*, więc nauczyciel nie ma związku z jej doświadczeniami granicznymi.

– To nie fair – oświadczyła Vielle.

– Co takiego? – Joanna ocknęła się z zamyślenia.

– O, to. – Vielle wskazała na ekran, gdzie Richard Gere całował Julię Roberts. – Ona ma do wyboru pięciu niesamowitych facetów, a ja nie mogę znaleźć nawet jednego, chyba że liczyć Harveya, specjalistę od balsamowania.

Kit zamarła z ręką pełną popcornu, który właśnie zamierzała włożyć do ust.

– Specjalista od balsamowania?

– Jak najbardziej, a przy tym błyskotliwy rozmówca potwierdziła Vielle.

– Wiedziakiście, że błyszczące i białe zęby najlepiej się otrzymuje za pomocą pocierania ajaksem?

– Ajaksem? – Kit odłożyła popcorn na serwetkę.

– Zasada numer osiemnaście – odezwała się Joanna. – Podczas wieczoru smakołyków obowiązuje zakaz dyskusowania o technikach balsamowania. – Sięgnęła po prażoną kukurydzę.

– Co tam z aspirantem Denzelem? Vielle poznała pewnego funkcjonariusza policji, który wygląda kubek w kubek jak Denzel Washington – wyjaśniła Kit.

– I teraz nie ma zielonego pojęcia, jak zaaranżować kolejne spotkanie – uzupełniła Vielle. – Jeśli będę miała odrobinę szczęścia, na oddziale nagłych wypadków znowu pojawi się jakiś szaleniak napakowany rogue – oświadczyła i momentalnie pożałowała swoich słów.

– Vielle pracuje na oddziale nagłych wypadków. – Joanna wyjaśniła Kit.

– To najbardziej niebezpieczne miejsce w całym szpitalu. Wciąż jej powtarzam, że musi się przenieść...

– A ja powtarzam Joannie, że zabawa w *Linię życia* nie ma żadnego sensu – odwzajemniła się Vielle.

– *Linię życia*?

– Chodzi jej o projekt badawczy, w którym uczestniczę z doktorem Wrightem, ale to nie ma nic wspólnego z *Linią życia* – sprzeciwiła się Joanna.

– Poza tym, że doprowadzasz się do stanu śmierci klinicznej.

– Za pomocą leków wywołujemy halucynacje, które są stuprocentowo bezpieczne. W przeciwieństwie do pracy na oddziale nagłych wypadków, gdzie pacjenci strzelają do personelu i wymachują nożami...

– Zasada numer jeden – przerwała Vielle, cofając taśmę do sceny pocałunku. – Żadnych rozmów o pracy podczas wieczoru smakołyków. Mam rację, Joanno?

– Całkowitą. Kit, która z sukni ślubnych Julii najbardziej ci się podoba?
– Joanna zmieniła temat.

– Sama nie wiem. – Kit pochyliła się, żeby sprawdzić, czy telefon komórkowy się nie wyłączył. – Wszystkie są ładne.

– Ta z trenem – oświadczyła Vielle. – Z całą pewnością chciałabym mieć suknię z trenem. I wystawny ślub, ze wszystkimi szczegółami. Druhnami, kwiatami i tak dalej. Czy funkcjonariusze policji biorą ślub w mundurach?

– Chyba tylko żołnierze – zasugerowała Kit.

– Dzielisz skórę na niedźwiedziu – wtrąciła się Joanna. – Nawet nie wie, jak się nazywa, a co dopiero mówić o zaciągnięciu go przed ołtarz. Zanim to nastąpi, może się wiele zdarzyć, prawda, Kit?

– Lepiej będzie, jeśli zadzwonię i spytam, czy u wujka wszystko w porządku – oświadczyła Kit i wstała.

– Przecież mówiłaś, że sygnał dzwonka telefonu może go zdenerwować – przypomniała Joanna.

– To prawda – potwierdziła niepewnie Kit.

– Chcesz, żebym cię zawiozła do domu?

– Nie, przecież nic się nie stało. – Kit usiadła na miejscu. – Jestem pewna, że wszystko w porządku. Poza tym pani Gray powiedziała, że zadzwoni, gdyby pojawiły się problemy. – Mimo to, gdy tylko skończył się film, Kit uparła się, aby wracać. – Świetnie się bawiłam, ale lepiej będzie, jeśli nie zostanę zbyt długo poza domem. Nie ma potrzeby kusić losu.

– Mam nadzieję, że jeszcze wpadniesz – pożegnała ją Vielle. – Obiecuję, że następnym razem ani słowem nie wspomnimy o pracy.

– Ani o balsamowaniu – dodała Joanna, a Kit się uśmiechnęła. Kiedy jednak wsiadły do samochodu, spytała poważnie:

– Mogę ci zadać pytanie?

– W związku z balsamowaniem? – Joanna uruchomiła silnik.

– Nie. W związku z twoim projektem badawczym. O ile nie masz nic przeciwko temu. Wiem, że macie tę zasadę, dotyczącą rozmów o pracy.

– Której i tak nie przestrzegamy – dodała Joanna, wyjeżdżając z parkingu. – Zresztą wieczór smakołyków oficjalnie dobiegł końca. – Skręciła na ulicę i skierowała się ku domowi Kit. Po drodze wyjaśniła, jaki jest cel badań. – Nie ma mowy o żadnej *Linii życia*, jeśli o to chciałaś spytać.

– Nie, nie to mnie interesuje. – Zamilkła na długość niemal jednego kwartału, a kiedy Joanna przystanęła na światłach, odezwała się ponownie: – Co *Titanic* ma wspólnego z twoim projektem? Myślisz, że go widzisz, kiedy masz te doświadczenia graniczne?

Joanna pomyślała, że nie musi jej tego mówić. Wystarczy, że stwierdzi, że wyniki badań są objęte tajemnicą. Jednak podobnie jak Maisie, Kit domyśliła się już wszystkiego, i tak samo jak dziewczynka, zasługiwała na szczerą odpowiedź.

Żałowała, że Kit nie zadała tego pytania tak jak Vielle, aby odpowiedź mogła brzmieć „nie”. Joanna naprawdę sądziła, że właśnie ten statek ujrzała, pomimo niewłaściwych barw w jadalni pierwszej klasy i nieodpowiednich statków wymienionych przez oficera. To musiało mieć związek ze słowami pana Briarleya. Joanna uznała, że on i Kit to jedyne osoby, które mogą jej pomóc.

– Tak, wydaje mi się, że widzę *Titanica* – wyznała, a Kit wzięła głęboki oddech. – Ale nie wiem tego na pewno, a gdybym zaczęła czytać o *Titanicu*, żeby się o tym przekonać...

– Wówczas nie będziesz mogła stwierdzić, czy książki o nim nie wywołały u ciebie kolejnych takich wizji. *Titanic* – mruknęła Kit. – Okropność.

– Niezupełnie – sprostowała Joanna. – To, co widzę, jest bardzo niecodzienne. Mam poczucie pełnego realizmu, ale jednocześnie wiem, że to nieprawda. – Spojrzała na Kit. – Boisz się, co to może oznaczać w związku z halucynacjami twojego wujka, prawda? Moje wizje nie są porównywalne z obrazami zazwyczaj dostrzeganymi przez ludzi, których mózgi przestają normalnie funkcjonować. Wszystko wskazuje na to, że

mam dość wyjątkowe doznania. Większość ludzi czuje ciepło i trudno im opisać swoje wrażenia. Poza tym widzą światła i anioły. Właśnie dlatego przyszedłam spytać pana Briarleya, co powiedział na lekcji, bo myślę, że mój umysł dostrzegł jakiś związek między jego słowami oraz standardowymi doświadczeniami granicznymi, przez co powstała tak niezwykła wizja.

– Przecież wujek Pat jest specjalistą od spraw związanych z *Titanikiem*. Czy on nie wytworzy takiej samej wizji?

– Niekoniecznie. – Joanna wyjaśniła znaczenie acetylocholiny oraz zwiększonych zdolności skojarzeniowych mózgu. – Doktor Wright sądzi, że to kombinacja przypadkowych obrazów z mojej pamięci długotrwałej, ale ja jestem przekonana, że moja wizja nie pojawiła się bez powodu, a *Titanic* coś oznacza. – Spojrzała na Kit. – Jeśli już nie chcesz mieć z tym nic wspólnego, zrozumieć to. Kiedy usiłuję wszystko wyjaśnić, sama widzę, że to szaleństwo. Nie ma powodu, abym cię w to wciągała. Ani pana Briarleya.

Joanna poczuła ulgę, że się zwierzyła, nawet gdyby Kit miała stwierdzić: „Wolę się do tego nie mieszać” albo spojrzeć na nią jak na wariatkę opowiadającą bzdury o swoich doświadczeniach granicznych.

Kit zachowała się inaczej.

– Wujek z ochotą pomógłby ci, gdyby istniała taka możliwość, a skoro nie istnieje, ja spróbuję. A właśnie, wciąż jeszcze nie opowiedziałam ci o zatrzymaniu pracy silników. Chyba natrafiłam na to, co cię interesuje. Znalazłam to w książce Waltera Lorda *SOS Titanic*. Pasażerowie zauważyli, że ustał pomruk silników, więc wyszli na pokład, aby sprawdzić... Zaczekaj. – Przerwała i zaczęła grzebać w kieszeni płaszcza. – Wzięłam z domu tekst, żeby ci przeczytać fragment...

Wyciągnęła książkę w miękkiej okładce, a Joanna włączyła lampkę przy lusterku i zerknęła niespokojnie w stronę domu, zastanawiając się, czy pan Briarley zobaczy samochód i oświetloną Kit.

– Jest. „...plątali się bez celu lub stali przy burcie, zapatrzeni w mrok nocy, wyczekując jakiejś wskazówki, świadczącej o kłopotach”, odczytała Kit, a Joanna rzuciła okiem na książkę.

Była to stara i zniszczona pozycja, z pozaginanymi rogami i takim samym rysunkiem *Titanica* na okładce, jaki zamieszczono w książce Maisie: rufa sterczała nad wodą, łodzie na pierwszym planie były pełne ludzi okrytych kocami i wodzących wokół przerażonym wzrokiem. Takie obrazki widniały na każdej książce poświęconej *Titanicowi*, z tym że na

tym dominowała czerwień, jakby autor utrwalił scenę z piekła. Morze krwistoczerwone, statek w kolorze burgunda, gigantyczne kominy ciemnoczerwone.

Wielokrotnie widziała, jak pan Briarley odczytywał fragmenty z tej książki, powoływał się na nią. Wyglądała równie znajomo jak jej podręcznik do angielskiego na drugi semestr. Nie dlatego jednak wpatrywała się w książkę. Tamtego dnia właśnie ją widziała w ręku pana Briarleya. Zatrzasnął ją głośno i rzucił na biurko. To jednak nie chodziło o podręcznik, tylko o *SOS Titanic*. Ale podręcznik też się musiał pojawić na lekcji. Wciąż widziała jego niebieską okładkę i złote litery, a poza tym książki w miękkich okładkach nie da się głośno zatrzasnąć ani hałaśliwie rzucić na biurko. Niemniej znalazła to, czego szukała.

– „...ubrani byli w osobliwą mieszaninę szlafroków, strojów wieczorowych, futer, golfów...” – czytała Kit.

– Kit – przerwała Joanna. – Czy jadalnia pierwszej klasy była jedyną restauracją na pokładzie? – Skąd, oczywiście, że nie, z pewnością były także jadalnie drugiej i trzeciej klasy, ale srebra, kryształy i fortepian musiały się znajdować w pierwszej. – Chodzi mi o to, czy istniała jeszcze inna jadalnia pierwszej klasy?

– Nie. Było jeszcze kilka mniejszych restauracji. Palm Court, kawiarnia Verandah...

– A schody? Skonstruowano tylko jedno?

– Chodzi ci o schody dla załogi czy pasażerów?

– Pasażerskie – stwierdziła Joanna.

– Wiem, że istniały przynajmniej dwie klatki schodowe – odparła Kit, zaglądając na koniec książki. – Możliwe... Cholera, to jedna z książek bez indeksu. Mogę pobiec do domu i...

– Nie, nie ma potrzeby. Nie muszę tego wiedzieć w tej chwili. Możesz do mnie zadzwonić, kiedy się dowiesz.

– Chcesz wiedzieć, ile wzniesiono klatek schodowych i jadalni?

– Tak – potwierdziła Joanna. – A dokładnie potrzebna mi informacja, czy istniała jadalnia wyłożona boazerią z jasnego drewna oraz z różowym dywanem i krzesłami w tym samym kolorze.

– Poza tym mam sprawdzić, z którymi statkami *Titanic* próbował nawiązać łączność – przypomniała Kit.

Joanna skinęła głową i pomyślała, że to będą *Baltic* oraz *Frankfurt*. Ledwie dosłyszała, jak Kit jej dziękuje i się żegna.

Joanna zdecydowała, że musi sprawdzić, czy Betty Peterson widnieje w książce telefonicznej, a jeśli nie, następnego dnia będzie jej musiała poszukać w Internecie.

Betty figurowała w książce i nadal mieszkała w Englewood. Kiedy rankiem Joanna zadzwoniła do niej z gabinetu, usłyszała w głosie swojej dawnej koleżanki szczerą radość. Joanna spytała czy Betty pamięta tytuł podręcznika.

– Powinam – usłyszała w odpowiedzi. – Pamiętam, że miał niebieską okładkę ze złotymi literami, a tytuł zaczynał się na L. A w środku znajdowało się „i”. L cośtam i cośtam.

Joanna zapytała o *Titanica*.

– Z tamtego kursu zapamiętałam tylko tyle, że pan Briarley kazał mi czterokrotnie zmieniać przypisy do mojej pracy semestralnej. Dlaczego nie zwrócisz się do niego?

Joanna wyjaśniła, że zachorował na Alzheimera.

– Ach, rzeczywiście. Pamiętam, słyszałam o tym. To straszne.

– Przypominasz sobie, kto jeszcze chodził z nami na lekcje?

– Psiakość, kto jeszcze... – zastanowiła się Betty. – Ricky Inman. Wiedziałaś, że teraz jest maklerem? Wyobrażasz sobie? – Joanna sobie nie wyobrażała. – John Ferguson, nie, pojechał do Japonii. Melissa Taylor?

Melissa Taylor mogła pomóc.

– A co z Candy Simons? – spytała Joanna. – To ta, którą nazywaliśmy Raszpunką, bo ciągle czesała włosy. Wiesz, gdzie jej szukać?

– Och – westchnęła zaskoczona Betty. – Więc nic nie słyszałaś. Zmarła dwa lata temu. Rak jajnika.

– Nie wiedziałam – powiedziała cicho Joanna i przypomniała się jej Candy, bezustannie czesząca długie blond włosy. Pewnie jej wypadły podczas chemioterapii, pomyślała wstrząśnięta.

Betty nie przestawała trąkotać. Przypominała sobie rozmaitych uczniów, lecz żaden z nich nie chodził na drugi semestr angielskiego. Mówiła też o sobie. Pracowała w firmie komputerowej, miała męża i troje dzieci.

– Trudno mi uwierzyć, że jeszcze nie wyszłaś za mąż – oświadczyła zupełnie jak Vielle, a Joanna poinformowała ją, że musi kończyć i podyktowała swój numer telefonu, „na wypadek, gdybyś jeszcze coś sobie przypomniała”.

– Postaram się – obiecała Betty. – Ojej, zaczekaj. Właśnie coś mi przyszło do głowy w związku z tą książką. Na okładce znajdował się

rysunek królowej Elżbiety w sukni z krezą.

Królowa Elżbieta? Nie statek?

– Jesteś pewna? – spytała Joanna.

– Całkowicie. Pamiętam to dlatego, że Ricky Inman dorysował jej okulary i wąsy.

Joanna pamiętała to zdarzenie jak przez mgłę, lecz przypominała sobie także statek. Melissa Taylor, do której zatelefonowała po lunchu, również wspomniała o statku. Co dowodziło wyłącznie tego, że pamięć ludzka jest zawodna.

Usłyszała pischczenie pagera, a kiedy zadzwoniła do szpitalnej centrali, usłyszała wiadomość od Vielle: „Mam dla ciebie wiadomo co”. Albo kolejny przypadek śmierci klinicznej, albo nowy zestaw pytań. Joanna uznała, że pewnie jedno i drugie. Postanowiła zatelefonować do Vielle, a nie schodzić na jej oddział. W ten sposób zawsze mogła się rozłączyć, jeśli pielęgniarka zacznie się o coś dopytywać. Najpierw jednak musiała zadzwonić do pani Haighton. Jej gospodyni stwierdziła, że pani wyszła na imprezę dobroczynną na rzecz Związku Teatrów w Denver.

Joanna zatelefonowała na oddział nagłych wypadków. Przez dłuższy czas nikt nie odbierał, więc przyszło jej do głowy, że jednak będzie musiała się tam udać osobiście. Właśnie miała odłożyć słuchawkę, kiedy dobiegł ją męski głos. Pomyślała, że to jeden ze stażystów, do których Vielle krzyczała: „I co ty robisz?”, a następnie wyrywała im słuchawkę.

– Mówi doktor Lander. Jest tam gdzieś Vielle?

– Vielle? – powtórzył mężczyzna, jakby pierwszy raz usłyszał takie imię. Bez wątpienia stażysta.

– Tak, Vielle Howard. Mogę ją prosić do telefonu?

– Ja... jeden moment... – W słuchawce rozległ się szmer niezrozumiałej rozmowy.

– Kto mówi? – spytał po chwili kobiecy głos.

– Joanna Lander. Usiłuję się skontaktować z Vielle Howard. Zostawiła mi wiadomość z prośbą o telefon.

– Pani doktor, dzień dobry. Vielle wyszła. Kazała pani powtórzyć, że idzie do domu, bo jest chora.

– Chora? – Vielle nigdy nie zwalniała się z pracy z powodu choroby, nawet kiedy ślaniała się na nogach. – Wszystko z nią w porządku? Czy to ta epidemia grypy?

– Miałam pani jeszcze powtórzyć, że Vielle zadzwoni później.

– A mówiła coś na temat tej wiadomości, którą mi zostawiła? – dopytywała się Joanna, chociaż Vielle raczej nie informowałaby nikogo o kolejnej śmierci klinicznej ze względu na wężącego wszędzie pana Mandrake’a.

– Nie, nic nie wspominała o żadnej wiadomości. – Pielęgniarka potwierdziła przypuszczenia Joanny. – Mówiła tylko, że do pani zadzwoni – dodała i odłożyła słuchawkę.

Joanna miała nadzieję, że podczas jej rozmowy z gospodynią pani Haighton, Vielle nie dzwoniła z prośbą o podwiezienie jej do domu. Wykręciła jej numer, lecz nikt nie odpowiadał. Joanna uznała, że Vielle ma pewnie wyłączony telefon, żeby jej nikt nie przeszkadzał, ale ta myśl zaniepokoiła ją jeszcze bardziej. Skoro Vielle poszła do domu, to musiała stać jedną nogą w grobie, a zatem sama nie powinna prowadzić samochodu.

Joanna ponownie zadzwoniła na oddział nagłych wypadków, aby się dowiedzieć, czy ktoś odwiózł Vielle do domu i kiedy, ale nikt nie odpowiadał. Przyszło jej do głowy, że mogłaby podjechać do Vielle, gdyby pani Troudthaim nie była umówiona. Na szczęście jej sesja nie mogła trwać długo.

I rzeczywiście. Pani Troudthaim ocknęła się po zaledwie jednym skanie i nic nie pamiętała. Kiedy wyszła z laboratorium wraz ze swoimi robótkami, Joanna ponownie zadzwoniła do Vielle. Tym razem numer okazał się zajęty.

– Pewnie zdjęła słuchawkę z widełek – zasugerowała Tish. Jeśli to ta sama odmiana grypy jak ta, na którą zachorowała moja współlokatorka, Vielle pewnie czuje się tak, jakby zwała się na nią ciężarówka cegieł. Szybko jej przejdzie, ale przedtem będzie myślała, że umiera.

Joanna nie uznała tych słów za szczególnie pokrzepiające i ponownie zadzwoniła do koleżanki. Tym razem Vielle podniosła słuchawkę.

– Cześć, to ja – przywitała się Joanna. – Poty dzban wodę nosi, co?

– Co? – spytała zaskoczona Vielle.

– Na oddziale powiedzieli mi, że pojechałaś do domu z powodu grypy. Dzwoniłaś do mnie, żeby mnie poprosić o podwiezienie? Jeśli tak, jest mi ogromnie przykro. Usiłowałam się umówić na wywiad z ochotniczką.

– Nie. – W głosie Vielle słychać było zmęczenie, graniczące z płaczem. – Nie dzwoniłam do ciebie.

– Jak dotarłaś do domu? – spytała Joanna. Ponieważ Vielle milczała, ciągnęła: – Nie siadłaś sama za kierownicą, prawda?

– Nie. Jedna osoba ze szpitala mnie podrzuciła.

– No i dobrze. Wpadnę do ciebie. Mam ci coś przynieść? 7Up? Albo chińską zupkę błyskawiczną?

– Nie – sprzeciwiła się Vielle. – Nie chcę, żebyś przyjeżdżała. Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna? Mogłabym przynajmniej poprawić ci poduszki i zrobić herbatę.

– Lepiej nie. Nie chcę, żebyś się ode mnie zaraziła. Dam sobie radę. Po prostu zdecydowałam, że tym razem zostanę w domu, żeby wydobrzeć, a nie ignorować grypę i skończyć w naprawdę fatalnym stanie. Gdy tylko odłożę słuchawkę, kładę się do łóżka.

– Dobry pomysł – pochwaliła Joanna. – Mam coś załatwić za ciebie w szpitalu? Może przekazać jakieś informacje na twój oddział?

– Nie ma potrzeby. Już wiedzą, że przez kilka dni mnie nie będzie.

– Dobrze. Rano zajrzę do ciebie po drodze do pracy, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz.

– Nie – stanowczo zaprotestowała Vielle. – Wyłączam dzwonek do drzwi i telefon. Zamierzam dużo spać.

– Jak wolisz – odparła z powątpiewaniem Joanna. – W razie czego możesz do mnie dzwonić. Obiecuję, że nie wyłączę pagera. I dbaj o siebie. Ta grypa to podobno nie byle co. Wolałabym, żebyś nie zapadła w stan śmierci klinicznej.

– Będę pamiętać. – W głosie Vielle ponownie zabrzmiało wyczerpanie.

– A teraz odpoczywaj. Pogadamy jutro.

– Zadzwoń do ciebie – oznajmiła Vielle.

Kiedy tylko odłożyły słuchawki, Joanna uświadomiła sobie, że nie spytała Vielle o informację „mam dla ciebie wiadomo co”. Przyszło jej nawet do głowy, że zadzwoni jeszcze raz, ale Vielle w swoim stanie nie powinna się przejmować cudzymi doświadczeniami granicznymi. Zresztą minęło już kilka godzin i pan Mandrake zapewne dotarł do potencjalnego rozmówcy Joanny. W takiej sytuacji zatelefonowała do Kit, aby poinformować ją, że być może zaraziła się grypą.

– Nawet gdyby tak się stało, i tak było warto. Bardzo się cieszę, że udało mi się wyrwać z domu choć na chwilę – wyznała Kit. – Znalazłam odpowiedź na jedno z pytań, które mi zadałaś wczoraj wieczorem. Ta jadalnia, którą opisałaś – jasna boazeria, różowe zasłony, fortepian – to restauracja A La Carte. Posłuchaj sama, przeczytam ci opis. „W luksusowej restauracji a La Carte jasna boazeria z orzecha pięknie kontrastuje z

ozdobnym dywanem Rose du Barry. Krzesła obito różową tkaniną Aubusson”.

– W którym miejscu znajdowała się ta jadalnia?

– Na pokładzie z promenadą, z tyłu statku – wyjaśniła Kit.

– Na rufie. – Z oddali dobiegł głos pana Briarleya.

– Właśnie, na rufie – potwierdziła Kit. – W pobliżu znajdowały się schody drugiej klasy. Z całą pewnością istniały dwie klatki schodowe, a wydaje mi się, że nawet trzy, ale nie potrafię tego powiedzieć na pewno. W jednej książce jest mowa o schodach na rufie i jeszcze jednych, z tyłu. Trudno mi zagwarantować, czy w obu wypadkach chodzi o ten sam obiekt. Wiem za to, że główne schody znajdowały się pośrodku statku.

Joanna pomyślała, że musi ją znaleźć. Rano zadzwoniła do Vielle, która rzeczywiście odłączyła aparat. Nikt nie odpowiadał. Kiedy Joanna dotarła do pracy, na automatycznej sekretarce nie zastała żadnych wiadomości. Rozbierając się przed sesją, pomyślała, że powinna była zajrzeć do przyjaciółki. Postanowiła, że jeśli po eksperymencie wciąż nie zostanie żadnej informacji, wpadnie do Vielle.

– Właśnie dzwonił z centrali – oświadczył Richard, kiedy wyszła z przebieralni. – Tish nie ma w pracy. Wczoraj po południu poszła do domu. Grypa.

– Czy to oznacza, że przekładamy sesję? – Joanna ucieszyła się, że będzie mogła podjechać do Vielle, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

– Mają przysłać zastępstwo – wyjaśnił Richard. – Gdy tylko kogoś znajdą. Podobno ludzie masowo chorują. Właśnie, jak się czujesz?

– Wyśmienicie.

– Świetnie. Tym razem zwiększam dawkę. Dzięki temu nasili się stymulacja w płacie skroniowym i zmienia poziom endorfin. W rezultacie otrzymasz inny bodziec, co wywoła odmienny obraz ujednocający.

Joanna pomyślała, że nic z tego. Surowa kobieta po sześćdziesiątce w milczeniu nasunęła jej na głowę słuchawki, a na oczy nałożyła maskę. To niemożliwe, rozumowała Joanna, bo to jest *Titanic*, a ja to udowodnię. Znajdę główne schody. Nagle znalazła się w przejściu. Spojrzała na drzwi. Były na wpół przymknięte, a zza nich dochodziło światło i wytłumione głosy.

– ...hałas... – stwierdził jakiś mężczyzna.

– Jaki... hałas...? – spytał niespokojnie kobiecy głos, zdaniem Joanny należący do młodej kobiety w koszuli nocnej. Otworzyła drzwi.

Młoda kobieta rozmawiała z młodym mężczyzną, który przyszedł dowiedzieć się czegoś bliższego.

– Powiedziałaś, że słyszałaś hałas. – Chwyciła biały rękaw jego swetra.
– Czy przypominał odgłos miażdżenia?

– Nie – zaprzeczył mężczyzna. – Raczej płacz dziecka.

Joanna zerknęła na ścianę. Obok lampy wisiała kamizelka ratunkowa, lecz nie mogła odczytać umieszczonego na niej napisu. Tęgi mężczyzna w tweedowym ubraniu stał przed kamizelką. Joanna ruszyła w jego stronę.

– Powiedzieli, w czym rzecz? – Tęgi mężczyzna zwrócił się do swojego przyjaciela.

Joanna wyteżyła słuch, aby usłyszeć odpowiedź, lecz była ona zbyt cicha. Mężczyzna nie mógł powiedzieć: „Zderzyliśmy się z górą lodową”, jego otyły przyjaciel rozsiadł się bowiem na leżaku i otworzył książkę, ale przynajmniej zszedł Joannie z drogi. Ręką zasłoniła oczy przed światłem i wyteżyła wzrok, aby odczytać napis na kamizelce.

Myliła się. Nie widniał na niej żaden napis. Niczego nie napisano także z tyłu leżaków ani na metalowych schowkach, ani na drzwiach. Joanna pomyślała, że jedno z nich muszą prowadzić do głównych schodów i zaczęła po kolei naciskać klamki.

Dwoje pierwszych drzwi było zamkniętych. Za trzecimi znajdowała się goła żarówka i prowadzące w dół stalowe schody. Joanna uznała, że to schody dla załogi, i ruszyła dalej.

Kolejne drzwi również nie ustąpiły, lecz następne prowadziły do ciemnych drewnianych schodów, szerszych niż te, którymi poprzednio wchodziła na górę. Barierki i słupki były wytwornie rzeźbione, a stopnie przykrywał różowy dywan.

Joanna przypomniała sobie, że schody powinny być marmurowe i zdziwiła się, że jest tak ciemno. Na ścianach zamontowano lampy, lecz nigdzie nie dostrzegła włącznika. Podeszła do poręczy i spojrzała w górę. Odniosła wrażenie, że wysoko, kilka pokładów nad nią, dostrzegła szarość. Niebo? Może biała marynarka stewarda? Albo jeszcze coś innego? Istniał tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Joanna położyła rękę na poręczy i zaczęła wspinać się po schodach.

W miarę pokonywania kolejnych stopni ogarniały ją coraz większe ciemności. Z trudem dostrzegła schody i nie widziała nic wokół siebie.

Zatrzymując się na podeście, doszła do wniosku,, że gdzieś w pobliżu powinien się znajdować salon jadalniany pierwszej klasy. Nie, przypomniała sobie, że usytuowano go na pokładzie salonowym, ale w tym miejscu powinna widzieć cherubina, a także Honor i Chwałę, koronujące Czas, oraz niebo.

Niebo rozpościerało się nad jej głową, tworząc wielką, szarą kopułę. Dostrzegła je, kiedy wchodziła po trzecich schodach. Widziała też wykute z żelaza mocowania, ciemniejsze między fragmentami przyciemnionego szkła. Nigdzie nie zauważyła jednak cherubina. Słupki balustrady wyrzeźbiono w formie koszy owoców. Na szczycie schodów znajdował się zegar, lecz jego tarcza była kwadratowa i drewniana. Mimo to Joanna na pewno stała na głównych schodach. Na jednym statku nie zbudowano by tak wspaniałych świetlików. Joanna zastanowiła się, czy przypadkiem Richard nie ma racji i rzeczywiście jest to połączenie różnych statków? Otworzyła drzwi na szczycie schodów.

Ponownie znalazła się na pokładzie łodziowym, wciąż pustym i ciemnym. Nawet na mostku nie świeciło światło. Spojrzała w stronę dziobu, usiłując wypatrzeć migotanie lampy sygnalizacyjnej lub usłyszeć zgrzyt poruszanych w urządzeniu żaluzji. Na pokładzie panowała jednak grobowa cisza. Łodzie po prawej stronie wciąż wisały na swoich żurawikach, owinięte płótnem.

Joannie przyszło do głowy, że szalupy powinny nosić oznaczenia statku. Usiłowała unieść fragment płótna na najbliższej, lecz było zbyt mocno przywiązane, a liny splątano w węzły wielkości pięści. Nie udało się jej uchylić płótna nawet o centymetr.

Przeszła wzdłuż linii łodzi, sprawdzając, czy któraś z nich nie jest przykryta luźniejszym materiałem, lecz wszystkie zabezpieczono równie solidnie jak pierwszą. Po drugiej stronie statku świeciło światło. Czyżby dobiegało z mostku? Nie, jego źródło znajdowało się bliżej. W otwartych drzwiach na końcu kwater oficerskich. Joanna podeszła bliżej i zajrzała do środka.

Ujrzała coś w rodzaju sali gimnastycznej. Zgromadzono w niej maczugi i piłki lekarskie, ułożone w stosy pod ścianą, a także sprzęt do ćwiczeń, rozrzucony po podłodze w biało-czerwone kafelki. W pomieszczeniu stał też mechaniczny koń i urządzenie do wiosłowania, a także wysoki czarny przyrząd do podnoszenia ciężarów, kształtu i rozmiaru gilotyny. Z sufitu zwisał worek bokserski.

Naprzeciwko ściany z prawej strony ustawiono szereg rowerów treningowych. Młody mężczyzna w podkoszulku i szarych spodniach dresowych zacięcie pedałowal na jednym z nich. Na ścianie przed nim zawieszono duży zegar z czerwoną i niebieską wskazówką.

Mężczyzna pedałowal do chwili, w której obydwie wskazówki znalazły się na ostatniej cyfrze na zegarze. W ostatnim momencie nacisnął mocno na pedały i pochylił się nad kierownicą. Czerwona i niebieska wskazówka zatrzymały się na zerze, a mężczyzna przestał pedałowal i uniósł pięści niczym biegacz po zwycięskim wyścigu. Zszedł z roweru i schylił się, aby podnieść licznik. Wtedy Joanna ujrzała jego twarz.

– Och – westchnęła z przejęciem i wypuściła powietrze z płuc.
To był Greg Menotti.

Rozdział 29

„Umieram, ale nie oczekuję szybkiego zejścia. Czy to nie dziwne, że wspomnienia z dawnych lat i sceny z dzieciństwa wkradły się do mojego umysłu...?”

Z listu autorstwa Samuela Taylora Coleridge'a

– Znam cię – oznajmił Greg Menotti, przykładając ręcznik do twarzy. Podszedł bliżej do miejsca, w którym stała.

– Nazywam się... – Joanna przez krótką, koszmarną chwilę nie pamiętała swojego nazwiska. – Joanna Lander. Doktor Lander – uzupełniła, gdy sobie przypomniała, że tak mu się przedstawiła.

– Doktor Lander? – powtórzył, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się poznali. – Wyglądasz znajomo... o, zaraz, pamiętam cię. To ty zadawałaś mi te wszystkie pytania w dniu, kiedy dostałem w głowę. Nie chciałaś mi dać numeru telefonu. Co ty tu robisz? Zmieniłaś zdanie?

– Dostałeś w głowę?

– Tak, kawałkiem lodu z przejeżdżającej furgonetki. Wykopywałem samochód z rowu i straciłem przytomność, więc zabrali mnie na oddział nagłych wypadków, a potem przysłałaś i zadawałaś mi mnóstwo pytań o tunele, światła i anioły. Nie mów tylko, że nic nie pamiętasz.

– Nie mówię – odparła powoli Joanna. – Pamiętam.

– W kółko powtarzałem to tym ludziom z oddziału, ale oni się upierali, że miałem zawał. – Rozbawiony pokręcił głową. – A więc dlatego tu przysłałaś? Zdecydowałaś, że jednak dasz mi swój numer?

– Nie – odparła Joanna, dochodząc do wniosku, że Greg nic wie, że nie żyje. – Przyszłam, żeby się dowiedzieć, jak się nazywa ten statek.

– Statek? – powtórzył, nic nie rozumiejąc. – Jaki znowu statek? To siłownia. Przychodzę tu trzy razy w tygodniu. Nigdy tu wcześniej nie byłaś? Chodź, oprowadzę cię. – Wziął ją pod rękę i zaprowadził do rowerów treningowych. – Widzisz tę tarczę? Niebieska strzałka wskazuje przebytą odległość, a ta czerwona mierzy prędkość.

Podeszli do urządzenia przypominającego mechanicznego byka, tylko że na jego grzbiecie znajdował się niewygodny garb.

– To jest mechaniczny wielbłąd, a tam przyrząd do wiosłowania. Wyśmienite ćwiczenie na serce. Jest jeszcze kort do squasha, basen, sala masażu...

Joanna wpatrywała się w stertę maczug i piłek lekarskich. Powinny na nich widnieć napisy: „Własność...” i nazwa statku. Wyszarpnęła rękę z uścisku Grega i podeszła bliżej. Z trudem podniosła jedną z ciężkich piłek. Greg odebrał ją od niej i rzucił o ścianę. Piłka odbiła się z głośnym hukiem.

Joanna schyliła się i przyjrzała innej piłce, a potem maczugom, lecz na żadnej nie dostrzegła jakiegokolwiek napisu. Przypomniała sobie, że Greg nie może jej pomóc, bo nawet nie wie, że się znajduje na statku.

– Greg, słyszałeś coś?

– Czy coś słyszałem? – Znowu cisnął piłką o ścianę.

– Właśnie.

– Co takiego? – Huk.

– Jakby zatrzymujące się silniki. Albo zderzenie? – Uświadomiła sobie, że sugeruje odpowiedź.

– Zderzenie? Nie, chwała Bogu. Zwłaszcza że to był jeden z tych jeepów cherokee. To wielkie maszyny. – Ponownie rąbnął piłką o ścianę. – Nie, tylko trochę walnęło mnie w głowę, ale musiałem nieźle odlecieć, skoro paramedycy uznali, że to zawał serca. Powiedziałem im: „Nie mogę mieć zawału...”

– Bo ćwiczę trzy razy w tygodniu na siłowni – zakończyła Joanna i pożałowała tego, bo Greg znieruchomiał, przyciskając ciężką piłkę do klatki piersiowej i spoglądając na Joannę ze strachem. Podeszedł do maszyny do wiosłowania, usiadł i zaczął przyciągać do siebie wiosła mocnymi, miarowymi ruchami.

– Greg... – zaczęła Joanna i kątem oka dostrzegła poruszającą się postać. Podbiegła do drzwi. Steward. Szedł w stronę mostka, trzymając w dłoni złożoną kartkę papieru.

Joanna rzuciła się za nim. Minął kwatery oficerskie i wszedł w nie oświetlony korytarz. Joanna podążyła za nim, skręciła za rogiem, przeszła krótkim, wąskim przejściem i znowu skręciła. Zupełnie jak w labiryncie, pomyślała. Minęła jeszcze jedno przejście i wydostała się na pokład po przeciwnej stronie. Tutaj także znajdowały się łodzie ratunkowe. Może właśnie do nich szedł oficer, chciał z nich zdjąć płótno?

Nie. Zapukał do drzwi i nacisnął klamkę. Pokład zalało złociste światło, a Joanna usłyszała szmer głosów.

– Może nigdy nie nadarzy się kolejna sposobność – oświadczył oficer i wyszedł z rozbawionym wyrazem twarzy. Skierował się ku rufie: najwyraźniej zmierzał w stronę schodów. Joanna udała się za nim, zatrzymując się obok wciąż otwartych drzwi.

Jasnowłosa mężczyzna w białej koszuli siedział odwrócony plecami do wejścia. Pochylił się nad stołem i rytmicznie stukał kluczem telegraficznym. Płaszcz przewiesił przez oparcie krzesła, a na uszach miał staromodne słuchawki z dwoma pałkami – jednym z tyłu, a drugim na czubku głowy. Nad nim, między dwoma słupkami, rozbłyskiwała niebieska iskra, migocząc i trzeszcząc podczas naciskania klucza.

To pomieszczenie radiotelegrafisty, uznała Joanna i momentalnie zapomniała o oficerze, za którym podążała. A mężczyzna siedzący przy stole to Jack Phillips, z przejęciem wysyłający wiadomości. Joanna przyjrzała się niebieskiej iskrze, tańczącej wesoło nad głową radiotelegrafisty, przypomniała sobie śmiech oficera i doszła do wniosku, że to nie SOS. Zresztą Jack nie miał jeszcze na sobie kamizelki ratunkowej.

Na pewno wysłała wiadomości od pasażerów, nadrabia zaległości z weekendu. Joanna przypomniała sobie, jak pan Briarley opowiadał na lekcji, że radiotelegraf był wówczas taką nowinką, że każdy pasażer chciał przesłać chociaż jedną wiadomość. Tuż przed zderzeniem Jack Phillips był tak zapracowany, że kiedy *Californian* usiłował przekazać ostrzeżenie o górach lodowych, radiotelegrafista zerwał z nim łączność, kazał mu się wyłączyć, bo musiał utrzymywać kontakt ze stacją przekaźnikową na przylądku Race.

Poza tym sygnały SOS były proste. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki. Pamiętała, że pan Briarley wspominał, dlaczego SOS stało się sygnałem alarmowym. Po prostu te litery były tak proste, że każdy mógł je wysłać. Wiadomości wysyłane przez Jacka Phillipsa nie były proste. „Cudownie się bawimy”, pomyślała Joanna, wsłuchując się w skomplikowany stukot. „Szkoda, że was tu nie ma”.

Pochyliła się, usiłując rozpoznać jakiś schemat, odcyfrować wiadomość, ale sygnały rozlegały się zbyt szybko, aby mogła odróżnić kropki od kresek, a brzęczenie iskry pod sufitem utrudniało jej koncentrację.

Podeszła bliżej i dobiegło ją ciche mruczenie. Domyśliła się, że mężczyzna mówi wystukiwane litery.

– C – powiedział radiotelegrafista i szybko wystukał kod. – Q... D... C... Q... D... – Nie słowo. Szyfr? Sygnały identyfikacyjne *Titanica*?

Gdzieś na pokładzie rozległ się huk. Joanna pomyślała, że to Greg Menotti tłucze piłką lekarską o ścianę sali gimnastycznej, zerknęła na Jacka Phillipsa, który nie podniósł głowy i nie przestał wystukiwać wiadomości.

Nic nie słyszy ze słuchawkami na uszach, stwierdziła, tak samo jak ja nie słyszę Richarda ani Tish, kiedy mam na głowie słuchawki. Podczas katastrofy *Titanica* Jack był tak pochłonięty nadawaniem, że nie usłyszał palacza, który zaszedł go od tyłu, aby ukraść kamizelkę ratunkową. Joanna zrobiła jeszcze jeden krok, usiłując wsłuchać się w jego mamrotanie, zagłuszane przez głośnie huki.

– Q... D... – mamrotał radiotelegrafista.

Huk. Nic nie usłyszy w takim hałasie. Wyszła na pokład, aby kazać Gregowi przestać, ale hałas nie dobiegał z sali gimnastycznej, tylko ze schodów.

Joanna otworzyła drzwi prowadzące na schody i weszła do środka. Huk. Dźwięk wydobywał się z głębi statku. Wychyliła się za balustradę i spojrzała na dół, lecz nie widziała niczego poza najbliższym podestem.

– Przestań! – nakazał męski głos. Joanna rozpoznała oficera, który rozkazał marynarzowi uruchomić lampę sygnalizacyjną.

– Co ty wyprawiasz?

W odpowiedzi rozległ się jeszcze jeden huk, a po nim następny. Joanna zeszła na pierwszy podest. Mężczyzna w ciemnoniebieskim mundurze wciągał coś ciężkiego po schodach. Przedmiot przypominał ludzkie ciało.

Oficer wspinał się po schodach za mężczyzną. Wyglądał na rozłoszczonego.

– Nie możesz tego tutaj wnosić.

– To jedyna droga na górę, która jeszcze nie jest zalana – wyjaśnił mężczyzna w mundurze i pokonał kolejny stopień, a po nim jeszcze jeden, aż wreszcie znalazł się pięć stopni od Joanny. To nie było ciało, tylko wielki płócienny worek z szablonowym znakiem. Joanna domyśliła się, że to worek pocztowy.

– Całe pomieszczenie poczty jest zalane – stwierdził mężczyzna, zapewne urzędnik pocztowy. Otworzył worek, sięgnął do środka i wydobył garść zamoczonych listów.

– Patrz! – krzyknął, wymachując nimi przed twarzą oficera. – Zniszczone! – Potrząsnął listami w stronę Joanny. Cofnęła się

przestraszona. – I jak ja mam to komukolwiek przekazać? – spytał gniewnie. Cisnął listy do worka, zamknął go i podciągnął kolejny stopień wyżej.

– Więc będziesz musiał wnieść ten worek w inny sposób – oznajmił oficer, zagradzając mu drogę. – Zniszczysz podłogę. – Wskazał na dywan. Pod leżącym workiem rozlała się wielka kałuża wody.

– Nic się z tym nie da zrobić – stwierdził stanowczo urzędnik i wciągnął worek na następny stopień. – Poczta musi dotrzeć do adresatów. Muszę ją umieścić na łodzi. Niech pani mi pomoże – zwrócił się do Joanny, która zapatrzyła się w mokry dywan. Woda sprawiła, że róż zmienił się w ciemną, niepokojącą czerwień, przypominającą krew.

– Jaka jest sytuacja? – spytał oficer.

– Woda sięga do pokładu salonowego – odparł urzędnik. – To już nie potrwa długo.

– Co to znaczy, że to już nie potrwa długo? – spytał Greg Menotti, stając za Joanną. Odwróciła się. Przystanął stopień wyżej i przyglądał się, jak urzędnik pocztowy wciąga worek. – Po co on to robi?

– Bo statek tonie – wyjaśnił urzędnik i zwrócił się do Joanny. – Niech pani lepiej schroni się w łodzi.

– Gdzie jest pokład salonowy? – spytała go Joanna. – Czy to pokład C?

– Jaki statek tonie? – pytał Greg. – To nie jest żaden statek, tylko siłownia. – Złapał Joannę za ramię. – Zdaje się, że chciałaś obejrzeć pozostałe urządzenia.

– Nie ma na to czasu – odparła, usiłując wyzwolić się z uścisku. – Czy pokład salonowy to pokład C?

– Musisz znaleźć czas – stwierdził Greg, wciągając ją po schodach. – Najważniejsze w życiu jest zdrowie. Mamy pełny program squasha, racquetballa, tenisa...

Szedł zbyt szybko. Straciła równowagę i niemal upadła.

– Ostrożnie, zdaje się, że powinnaś trochę poćwiczyć wchodzenie po schodach – skomentował Greg, stawiając ją na nogi. Nie mogła utrzymać równowagi. Schody pochyliły się pod dziwnym kątem, a stopy Joanny ciągle się zsuwały na bok...

Boże świąty, pomyślała, pojawił się przechył.

– Muszę iść. – Usiłowała wyzwolić rękę z uchwytu Grega. – Pokład salonowy...

– Ćwiczę trzy razy w tygodniu – kontynuował. Wciąż bezlitośnie ścisnął jej ramię.-Regularne ćwiczenia to podstawa...

Joanna wyrwała mu się i pobiegła w stronę schodów, potykając się i rozstawiając szeroko ręce dla utrzymania równowagi. Popchnęła drzwi prowadzące na schody. Urzędnik pocztowy wciągnął już worek na niemal sam szczyt schodów. Joanna minęła mężczyznę i zbiegła po schodach, omijając ciemną, mokrą plamę po worku z pocztą.

– Nie powinnaś biegać bez rozgrzewki – krzyknął za nią Greg. Dostaniesz skurczu... – Jego głos ucichł za zamykającymi się drzwiami, a Joanna popędziła w dół schodów, mijając kolejne podesty i prześlizgując dłonią po wypolerowanych dębowych poręczach. Coraz niżej i niżej, nie liczyła podestów, pokładów ani drzwi, biegła na oślep, przez drzwi, po pokładzie, gwałtownie popchnęła drzwi i wskoczyła do przejścia, w ciemność, ciemność...

I ciemność. Wciąż jestem w przejściu, pomyślała z rozpaczą i usłyszała głos Richarda:

– Proszę jej zdjąć z oczu maskę.

Otworzyła oczy i zamrugała, widząc zupełnie obcą kobietę. Dopiero po chwili paniki przypomniała sobie, że Tish zachorowała na grype, a na jej miejsce przysłano zastępstwo.

– Odpoczywaj. Nic nie mów – polecił Richard i zaczął objaśniać pielęgniarce procedury obowiązujące po sesji. Nie chce, żebym przy niej wspomniała o *Titanicu*, pomyślała Joanna.

Rzecz w tym, że to nie był *Titanic*. Schody wyglądały zupełnie inaczej, podobnie jak sala gimnastyczna. Na *Titanicu* znajdowała się sala gimnastyczna. Pamiętała, że pan Briarley o niej wspomniał przy okazji opowieści o wspaniałościach *Titanica*. Niemożliwe jednak, aby usytuowano ją na pokładzie łodziowym. Poza tym, chociaż *Titanic* był królewskim statkiem pocztowym, nikt nie wyciągałby worków z listami z ładowni pocztowej. Tamtej nocy utonęło półtora tysiąca ludzi. Nikt nie przejmowałby się przesyłkami. Zresztą Greg Menotti na pewno nie płynął *Titanikiem*, uzupełniła w myślach przygnębiona Joanna.

Znacznie bardziej przygnębiony był Richard.

– Znowu widziałas *Titanica*! – wykrzyknął, gdy pielęgniarka skończyła kontrolę objawów czynności życiowych i wyszła, a Joanna poinformowała go o swoich przeżyciach. – Jak to możliwe? Spójrz na te skany. – Zaprowadził ją do pulpitu. – Schemat aktywności płata skroniowego jest

całkowicie odmienny, a poziom acetylocholino znacznie wyższy niż wcześniej.

– To wygląda tak samo. – Joanna wskazała czerwonopomarańczową plamę na hipokampie.

– Zgadza się, podobnie wygląda także aktywność ciała migdałowatego. Obydwa organy zachowują się tak samo we wszystkich wypadkach doświadczeń granicznych, ale one nie mają nic wspólnego z tworzeniem wizji.

– Czy schemat pamięci długotrwałej także się zupełnie nie różnił? – spytała Joanna, spoglądając na przesuwające się plamy czerwieni, błękitu i żółci.

– Nie – przyznał Richard. – Kilka ostatnich skanów przypomina wcześniejsze, chociaż nie pasują do żadnych z formuły lateralizacyjnej. Czy zakończenie twojej wizji wyglądało tak samo jak ostatnio?

– Nie – stwierdziła Joanna. Opowiedziała mu o biegu w dół schodów i gwałtownym wpadnięciu do przejścia. – Przejście było takie samo, ale tym razem drzwi okazały się zamknięte i musiałam biec znacznie dalej, aby się znaleźć w laboratorium.

– Mówisz, że przejście było takie samo. Czy to znaczy, że wyglądało tak samo?

– Nie – zaprzeczyła. – To było to samo przejście. Znajdowało się w tym samym miejscu, a wyjście prowadziło na tę samą część pokładu. To miejsce istnieje naprawdę. Drzwi zawsze wychodzą na te same schody, pokład łodziowy znajduje się zawsze w tej samej odległości, łódzie ratunkowe, kwatery oficerów i mostek są niezmiennie usytuowane w tych samych punktach względem siebie.

– Wspomniałaś, że tym razem widziałaś salę gimnastyczną – odezwał się z powątpiewaniem Richard.

– Zawsze się tam znajdowała, tylko wcześniej drzwi były zamknięte. To nie jest sen, w którym wszystko się miesza i raz jesteś w jednym miejscu, a raz w drugim, nigdzie nie chodząc. To prawdziwe miejsce.

– Prawdziwe – powtórzył, a na jego twarzy ponownie pojawiło się powątpiewanie i ostrożność. Wyglądał, jakby lada chwila miał ją znowu nazwać Bridey Murphy.

– Nie chodzi mi o to, że to miejsce istnieje – przyznała pokonana. – Rzecz w tym, że jest trójwymiarowe.

– Na obszarze korowego ośrodka orientacji przestrzennej nie dostrzegam żadnej aktywności. – Pokręcił głową. – A co z początkiem? Był taki jak zawsze?

– Nie – zaprzeczyła. – Tym razem znalazłam się na miejscu nieco później, kiedy przyszedł już młody mężczyzna, chcąc się dowiedzieć, co to za hałas.

– Ale ludzie byli ci sami, i mówili to, co wcześniej?

– Zasadniczo tak.

– Zasadniczo tak... – mruknął, wpatrując się w monitory. – Chociaż płat skroniowy oraz indeksy lateralizacyjne są całkowicie odmienne. O czym myślałaś, zanim przesłaś do fazy płytkiego snu? Może twoja świadomość wpływa na to, co widzisz.

– O *Titanicu* – przyznała Joanna, a Richard wyglądał na pokrzepionego.

– Ale poprzednim razem myślałam o Pompejach, a przed trzema pierwszymi sesjami na pewno nie przychodził mi do głowy *Titanic*, a jednak zawsze trafiałam w to samo miejsce.

– A na samym początku zawsze słyszysz ten sam dźwięk. – Richard zamyślił się i zaczął coś pisać na klawiaturze.

Joanna zeszła do gabinetu, aby spisać relację i sprawdzić, co słyhać u Vielle. Nikt nie podnosił słuchawki, więc postanowiła odsłuchać siedem wiadomości na swojej sekretarce. Każdą z nich przewijała, gdy tylko przekonała się, że to nie Vielle. Archiwum. Maisie. Guadalupe.

Na pewno nie odsłuchiwała wiadomości ode mnie, uznała Joanna. I pewnie wróciła już do pracy, a Tish miała rację, że ta grypa nie trwa długo. A skoro jest w pracy, to nie miała kiedy oddzwonić. Wcisnęła przycisk „następna wiadomość”. Pan Mandrake. Wcisnęła „skasuj”. Betty Peterson.

– Znalazłam ten tytuł – oświadczył głos Betty, a Joanna cofnęła palec, który zawisł nad przyciskiem „następna wiadomość” i wysłuchiwała nagrania.

– Nie masz pojęcia, jak mi się to udało! – entuzjazmowała się Betty. – Wczoraj wieczorem przeglądałam swój egzemplarz szkolnej książki rocznikowej, żeby sprawdzić, kto jeszcze był w naszej klasie, i obejrzałam sobie rozdział ze zdjęciami – i wiesz co? Mój Boże, ale miałyśmy włosy! I te ubrania! A kiedy przeglądałam te zdjęcia, zobaczyłam Nadine Swartheimer – pamiętasz Nadine? Rozczochrana czupryna i sandały – w środku zimy? Zresztą nieważne, podpisała mi się na zdjęciu, no i trafiony, zatopiony! Ale to nie wszystko, znalazłam coś jeszcze. Musisz do mnie przekręcić. Na razie!

Nie wierzę, stwierdziła w duchu Joanna. Po takiej przemowie nie powiedziała mi, jak brzmiał ten tytuł, a teraz muszę oddzwaniać i pewnie przez tydzień będziemy się bawiły w telefonicznego berka. Jak to możliwe, że Betty miała same piątki?

Joanna postanowiła oddzwonić zaraz po wysłuchaniu pozostałych wiadomości. Szybko sprawdziła ich treść. Znowu pan Mandrake – do skasowania. Jeszcze niejaki Leonard Fanshawe.

Vielle nie dzwoniła. Joanna spróbowała jeszcze raz do niej zatelefonować, ale wciąż nikt nie odpowiadał. Najlepiej od razu pójść na oddział nagłych wypadków i sprawdzić, czy wróciła, a jeśli nie, sama do niej pojedę, zdecydowała i sięgnęła po płaszcz, klucze i torebkę. Właśnie miała nacisnąć klamkę, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Joanna zaczekała, aż włączy się sekretarka.

– Cześć – przywitała się Vielle, a Joanna rzuciła się do słuchawki.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Lepiej – oświadczyła Vielle i rzeczywiście, jej głos brzmiał już normalnie. Przynajmniej częściowo odzyskał siłę i energię. – Zostanę jeszcze w domu przez dwa dni i nie, nie musisz mi niczego przynosić. Nie chcę, żebyś się zaraziła.

– Nie ma sprawy – zgodziła się Joanna. – Chociaż jeśli to się miało stać, to już jestem zarażona. Tish zachorowała, i Guadalupe też.

– Tak czy owak, nie zarazisz się ode mnie. Zamknęłam drzwi na klucz i nie zamierzam cię wpuszczać. Nawet nie myśl o odwiedzinach.

– Dobrze – zobowiązała się Joanna. – Ale ty musisz mi obiecać, że będziesz dzwonić, opowiadać mi, jak się czujesz, i mówić, czy czegoś nie potrzebujesz. – Zanim Vielle zdążyła zaprotestować, dodała: – Spokojnie, mogę wszystko zostawić pod drzwiami.

– Obiecuję, że będę się meldowała – oznajmiła Vielle i chciała odłożyć słuchawkę.

– Zaraz, zaraz – powstrzymała ją Joanna. – A co z wiadomo czym?

– Jakim wiadomo czym?

– Skąd mam wiedzieć? Sama to tak nazwałaś. Zostawiłaś mi wiadomość, że mam do ciebie zadzwonić, bo masz wiadomo co. Wczoraj. Zanim poszłaś do domu na chorobowe. Dzwoniłaś na mój pager.

– Ach. – Vielle wreszcie sobie przypomniała. – Tak. Przyjeliśmy pacjenta z atakiem pęcherzyka żółciowego. Przypadkiem wspomniał, że parę lat temu przeszedł śmierć kliniczną. Skierowaliśmy go na operację. –

Joanna zastanawiała się, czy chodzi o Leonarda Fanshawe'a, który zostawił jej wiadomość, lecz Vielle dokończyła: – Nazywa się Eduardo Ortiz.

– Kto jeszcze słyszał, jak ten człowiek o tym wspomina?

– Tylko ja. Pomyślałam, że to może być dobry materiał, bo nic nie zagraża jego życiu, więc można powiedzieć, że lata poza zasięgiem radaru pana Mandrake'a.

Joanna podzielała opinię Vielle. Kiedy tylko skończyła rozmowę, zadzwoniła do centrali, aby sprawdzić numer pokoju pacjenta, a potem zatelefonowała na chirurgię.

– Dzisiaj rano przeszedł operację, wciąż jest nieprzytomny – oznajmiła pielęgniarka.

– Kiedy wraca do domu?

– Jutro – padła odpowiedź. Oto, jak funkcjonują nasze ubezpieczalnie, pomyślała Joanna. Pacjenci są zbyt krótko w szpitalu, aby zdążyć poinformować kogokolwiek, że mieli przeżycia graniczne, nie mówiąc już o ich opisywaniu. Pielęgniarka sądziła, że pan Ortiz obudzi się koło południa, dzięki czemu Joanna zyskiwała sporo czasu na nagranie i spisanie swojej relacji.

Zrobiła jedno i drugie, a następnie zaniósła wydruk Richardowi, który wpatrywał się w monitor.

– Jak ci idzie? – spytała, wręczając mu tekst.

– Koszmarnie. Sądziłem, że może bodziec początkowy odpowiada za kształt obrazu ujednocającego i właśnie dlatego ciągle widziałas *Titanica*, chociaż bodźce były różne, ale w ostatnim badaniu nie zaobserwowałem żadnej aktywności w korowym ośrodku słuchu. – Przeczesał włosy ręką. – Brakuje mi danych. Udało ci się umówić z panią Haighton?

– Nie.

– A pan Pearsall nie dzwonił, że wraca?

Pokręciła przecząco głową.

– Wobec tego muszę się dowiedzieć, co budzi panią Troudthaim, i to wyeliminować. Ona jest nam potrzebna.

– Jeszcze zadzwonię do pana Pearsalla i do pani Haighton – obiecała Joanna. I pojedę do Klubu Wiosennych Przyjemności, czy też gdziekolwiek, gdzie można ją zastać, a następnie osobiście ją sprowadzę, uzupełniła w myślach. Wróciła do gabinetu, żeby zadzwonić, lecz gospodyni nie wiedziała, gdzie jest pani.

– Na jakimś zebraniu – stwierdziła. – Ma ich tak wiele, że wszystkie mi się mylą.

U pana Pearsalla nikt nie podnosił słuchawki.

Joanna zanotowała sobie, żeby jeszcze spróbować do nich zatelefonować, a potem odsłuchiwała wiadomości, które wcześniej przewinęła. Guadalupe chciała, aby Joanna się z nią skontaktowała. Maisie miała jej coś ważnego do powiedzenia. Leonard Fanshawe stwierdził: „Jak rozumiem, jest pani zainteresowana doświadczeniami granicznymi. Pół roku temu przeżyłem coś podobnego i od tamtego czasu odkryłem w sobie niezwykłą moc: telekinezy, jasnowidzenia, widzenia na odległość i teleportacji. Chciałbym z panią o tym porozmawiać”. Pan Fanshawe zostawił swój numer telefonu.

Joanna oddzwoniła i podyktowała mu numer pana Mandrake’a. Następnie ponownie spróbowała się skontaktować z panem Pearsallem. Bezowocnie. Zadzwoiła więc do Betty Peterson. Zajęte.

Wydrukowała jeszcze jeden egzemplarz swojej relacji, aby dołączyć go do archiwum, a potem zapatrzyła się w monitor komputera, usiłując cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć. To z całą pewnością był *Titanic*, nie miała żadnych wątpliwości, pomimo schodów, worka z pocztą i braku aktywności w korowym ośrodku słuchu.

Zatelefonowała do Kit, aby ją spytać, jakie były litery wywoławcze *Titanica* i na którym pokładzie umieszczono salę gimnastyczną. Poza tym interesowało ją, czy wśród dostępnych tam urządzeń znajdował się mechaniczny wielbłąd. Uznała, że tak konkretnego szczegółu na pewno nie mogłaby wymyślić, a kiedy wystukiwała numer do Kit, przypomniała sobie pana Wojakowskiego i *Dzieciaki w opałach*.

U Kit było zajęte. Joanna spojrzała na zegarek. Wpół do dwunastej. Postanowiła spróbować szczęścia u pana Ortiza, który mógł ocknąć się nieco wcześniej, i zeszła na oddział chirurgiczny. Pacjent był przytomny, lecz właśnie rozmawiał z lekarzem.

– A potem zabieramy go na badanie pooperacyjne – poinformowała Joannę pielęgniarka, wyznaczona w zastępstwie Patricii. – To potrwa jakieś dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut. Za mało czasu, aby wrócić do gabinetu i zrobić coś pożytecznego. Mogła wpaść do Maisie – pediatria znajdowała się zaledwie dwa piętra wyżej, w tym samym skrzydle – ale prawdopodobieństwo zakończenia rozmowy z dziewczynką w czasie krótszym niż jedna godzina

było niemożliwe. W tej sytuacji Joanna postanowiła zajrzeć do Guadalupe i udała się do windy.

Przed drzwiami stały dwie nie znane Joannie pielęgniarki, toczące cichą rozmowę.

– ...i wtedy powiedziała: wystarczy, nie przepracuję na nagłych wypadkach ani jednego dnia więcej – opowiadała jedna.

– Wcale się jej nie dziwię – skomentowała druga.

Joanna pomyślała, że Vielle powinna tego posłuchać, i wtedy drzwi się rozsunęły.

W środku stał pan Mandrake.

– ...dowody, które przekonają sceptyków, że doświadczenia graniczne to rzeczywistość – tłumaczył mężczyźnie, trzymającemu w dłoniach egzemplarz *Światła na końcu tunelu*. – Nie ma czegoś takiego jak „racjonalne” wytłumaczenie.

Pan Mandrake całą uwagę skoncentrował na rozmówcy, a ciągle plotkujące pielęgniarki przez moment zasłoniły Joannę.

– ...chwała Bogu, tylko zraniony mięsień – tłumaczyła jedna z nich. – Ale chodzi o fakt.

Pan Mandrake wciąż nie dostrzegł Joanny. Odwróciła się i energicznie odeszła, starając się, aby jej twarz nie była widoczna od strony windy. Doszła do wniosku, że później odwiedzi Guadalupe, a tymczasem zejdzie do gabinetu po formularze zgody na przeprowadzenie wywiadu.

– Joanna Lander – powiedział pan Mandrake.

O nie, zobaczył ją. Nie zwolniła jednak kroku, z trudem powstrzymując się od chęci zerknięcia do tyłu, aby sprawdzić, czy pan Mandrake za nią nie idzie.

– ...moja koleżanka – kontynuował.

Nie widział jej. Tylko o niej wspominał.

– Bierze udział w projekcie badawczym, który potwierdzi moje odkrycia.

Moja koleżanka, zgotowała się Joanna i przyśpieszyła. Uznała, że jeszcze chwila, a odwróci się, aby wyjaśnić nieznanemu, że nie jest koleżanką pana Mandrake’a, natomiast badania, w których uczestniczy, nie potwierdzają żadnych jego odkryć.

Jeszcze chwilę, powiedziała sobie i dała nura na schody. Mogła nimi zejść tylko jedno piętro niżej, lecz przynajmniej uciekła przed panem Mandrakiem. Może powinna skorzystać z windy technicznej, aby dotrzeć

do łącznika między skrzydłami na czwartym piętrze? Nie, wtedy musiałaby minąć internę, a nie miała ochoty natknąć się na panią Davenport. Trafiłaby z deszczu pod rynnę. Lepiej pójść łącznikiem na pierwszym piętrze.

Zeszła po schodach i minęła korytarz pełen gabinetów. Zwykle było tu pusto, lecz dzisiaj zjawiała się grupa emerytów. Starsi panowie rozsiedli się na plastikowych krzesłach i grali w karty. Jeden z nich dostrzegł Joannę, wstał i pomachał w jej stronę kartami.

– Witam panią doktor – oznajmił.

Rozdział 30

„Przypływaj jak najszybciej, staruszk. Maszynownia zalana do wysokości kotłów”.

Wiadomość radiotelegraficzna z *Titanica* do *Carpathii*

Mam kiepski dzień, uznała Joanna.

– Pan Wojakowski – przywitała się. – Co pan tutaj robi?

– Ed – poprawił ją. Kciukiem wskazał drzwi za plecami. – To te badania związane ze słuchem, o których pani wspominałem. – Pochylił się do niej, dyskretnie ścisząc głos: – Muszę przyznać, pani doktor, że wasz projekt był o niebo ciekawszy od tego. Siedzimy tylko ze słuchawkami na uszach i podnosimy ręce, kiedy usłyszymy pisk.

Joanna zerknęła na graczy.

– I gracie w tryktraka?

– Skąd, żaden z nich nie był w marynarce. Znają tylko kierki. Usiłowałem namówić ich na pokera, ale są zbyt skąpi. Podobno postrzelono jednego z lekarzy na oddziale nagłych wypadków. Wie pani coś o tym?

Pielęgniarki przy windzie na pewno komentowały to zdarzenie.

– Nie.

– Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Opowiadałem pani o tym, jak pływałem na *Yorktown* i dostałem kulkę prosto w... – no cóż, nie mogę powiedzieć gdzie, bo to nie przystoi – i zacząłem wrzeszczeć, a wtedy Wielki Odcisk Pakigian mówi...

– Pan Wojakowski? – odezwał się spod drzwi technik laboratoryjny w białym fartuchu i z segregatorem w ręku.

– Już idę – odparł pan Wojakowski. – Tak czy owak, pani doktor, proszę uważać, żeby nikt pani nie postrzelił. A jeśli mogę się do czegoś przydać w badaniach, proszę mnie zapisać w ciemno. Jak mówiłem, tutaj tylko siedzimy i nic nie robimy. Mam mnóstwo czasu, wystarczy i na pani projekt, i na ten także.

– Pan Wojakowski – powtórzył z dezaprobatą technik.

Pan Wojakowski nachylił się w stronę Joanny i szepnął:

– Do kitu.

Joanna musiała się roześmiać, a technik zjeżył się jeszcze bardziej.

– Żegnam panią doktor – oświadczył swobodnie pan Wojakowski, przekazał swoje karty jednemu z ochotników i zniknął za drzwiami.

Spojrzała na zegarek i wróciła na oddział chirurgiczny. Drzwi do pokoju pana Ortiza były zamknięte.

– Wypadł jeden z jego drenów – wytłumaczyła pielęgniarka. – To potrwa najwyżej dwadzieścia minut.

Joanna podziękowała jej i poszła na górę do Maisie. Pani Nellis właśnie wychodziła z pokoju, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Maisie przyjmuje nowy lek i od razu widać ogromną poprawę. Jej stan uległ stabilizacji i całkowicie wyeliminowano problem zatrzymywania płynów w organizmie. Tylko tak dalej, a zabiorę ją do domu, zanim się pani zorientuje.

Pani Nellis się nie myliła. Z rąk i nóg Maisie zeszła opuchlizna, teraz łatwo się było przekonać, jak mizernie wygląda dziewczynka. Jej szpitalna bransoletka identyfikacyjna zwisała luźno jak obrączka na nóżce ptaszka. Joannie przyszło do głowy, że przynajmniej przestała się przejmować koniecznością odcięcia identyfikatora.

– Czytałam o *Titanicu*, więc mogę pani pomóc w badaniach – oznajmiła ochotczo Maisie, od razu sięgając do szuflady w nocnej szafce po podkładkę do pisania i ołówek. – Więc co mam dla pani sprawdzić?

– Na pewno nie powinnaś odpoczywać? Przed chwilą widziałam się z twoją mamą i wiem, że przyjmujesz nowe lekarstwo.

– Wcale nie jest nowe – sprostowała Maisie. – To nadolal, ten sam, który dostawałam, zanim zaczęto mi podawać amiodipril.

Ten, który nie potrafił ustabilizować jej stanu, dodała w myślach Joanna. Właśnie przy amiodiprilu trzeba ją było reanimować.

– Zresztą nie robię nic innego, tylko odpoczywam. Przeglądanie książek mnie nie męczy. To znacznie ciekawsze niż oglądanie głupawych filmów na wideo. – Wskazała ręką telewizor, w którym leciał Kubaś Puchatek z wyłączonym dźwiękiem.

– No dobrze. Muszę znać nazwy wszystkich statków, do których *Titanic* wysłał sygnał SOS – wyjaśniła Joanna. To zadanie powinno być bezpieczne i, zgodnie ze słowami Kit, czasochłonne.

Maisie zmarszczyła brwi.

– Sygnału SOS nie wysyła się do żadnych konkretnych statków, tylko po to, żeby ktokolwiek go usłyszał.

– Właśnie o to mi chodziło. Chcę znać nazwy statków, z którymi nawiązał łączność radiotelegrafista *Titanica*.

Maisie zapisała dziecinnym, starannym charakterem pisma: „statki”.

– Założę się, że było ich mnóstwo. Radiotelegrafista nadawał aż do samego zatonięcia.

– Maisie...

– Nazywał się Jack Phillips, a kapitan powiedział mu, że może już przestać. „W takiej chwili każdy jest zdany na siebie”, oznajmił, lecz radiotelegrafista nie przestał nadawać.

– Maisie – oświadczyła poważnie Joanna. – Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, nie możesz mi nic mówić o *Titanicu*, tylko odpowiadać na moje pytania. Nic więcej. To ważne. Rozumiesz?

– Aha – potwierdziła dziewczynka. – To z powodu możliwości konfabulacji, tak?

Joanna pomyślała, że ma do czynienia ze stanowczo zbyt inteligentną osobą.

– Tak. Przekazywanie mi pewnych informacji może podważyć wiarygodność wyników prac badawczych. Jak myślisz, będziesz potrafiła się opanować? Uda ci się mówić mi wyłącznie o sprawach związanych z moimi pytaniami i niczym więcej?

– No pewnie. A mogę pani mówić o rzeczach nie związanych z *Titanikiem*?

– Oczywiście – zgodziła się Joanna. – Czy właśnie dlatego do mnie dzwoniłaś? Masz mi coś do powiedzenia?

– Tak naprawdę to chciałam o coś spytać – wyznała dziewczynka, a Joanna znieruchomiała w wyczekiwaniu. – Co będzie, jeśli Szpital Miłosierdzia spłonie?

Joanna nie miała pojęcia, skąd Maisie przyszło do głowy takie pytanie.

– Od razu uruchomi się system alarmowy i wyprowadzimy wszystkich pacjentów na dwór – wyjaśniła. – Poza tym w każdym pomieszczeniu znajduje się system zraszający, włączany automatycznie.

– Nie, ja to wszystko wiem. Chodzi mi o coś innego. Co się stanie z bransoletkami identyfikacyjnymi? Są z plastiku. Jeśli szpital spłonie, stopią się i nikt nie będzie w stanie rozpoznać zwłok.

Znowu temat identyfikatorów. Joanna nie miała wątpliwości, że to ma związek z Małą Panienką 1565. Maisie się boi, że umrze i nikt nie rozpozna jej ciała. Ale przecież wszyscy w szpitalu ją znali, otaczali ją członkowie rodziny i przyjaciele. Czym się przejmowała? Może znalazła niewielką i łatwą do ogarnięcia troskę, aby odsunąć na dalszy plan sprawy, które naprawdę ją martwiły, stworzyła metaforę dla lęków, którym nie potrafiła stawić czoła z powodu zbyt dużego strachu? Lęków takich jak utrata tożsamości?

Joanna wiedziała, że każdy człowiek obawia się tego w obliczu śmierci. Ludzi nie zatrważa sąd ani samotność, ani też ogień piekielny, lecz świadomość nieistnienia. Właśnie dlatego pan Mandrake i jego wizja Tamtej Strony cieszą się taką popularnością. Nie wynika to z faktu, że stoi za tym obietnica światła, ciepła i przytulności. Chodzi o zapewnienie, że pomimo zatrzymania pracy serca i śmierci całego organizmu, ludziom nie grozi los Małej Paniarki 1565. Rzecz w tym, że ludzie zgromadzeni przy bramie będą wiedzieli, kim jesteś, i ty sam też o tym nie zapomnisz.

– Pani lekarski identyfikator także spłonie – mówiła Maisie. Wskazała na legitymację Joanny, zwisającą na plecionym sznurku. – Powinny być metalowe.

Jak identyfikatory wojskowe, pomyślała Joanna.

– No dobrze, więc co jeszcze mam dla pani znaleźć? – spytała dziewczynka, jakby uznała poprzednią sprawę za zamkniętą. – Mam spisać treść wiadomości kierowanych z *Titanica* do różnych statków?

– Nie, wystarczą ich nazwy – stwierdziła Joanna i coś sobie przypomniała. – I jeszcze kod wywoławczy *Titanica*.

– Nie muszę tego sprawdzać, bo pamiętam. To są litery MGY, dlatego że... – zaczęła i zamilkła.

– Dlaczego? – spytała Joanna, ale Maisie nie odpowiedziała. Skrzyżowała ręce na piersiach i wpatrywała się nieprzyjaźnie w Joannę.

– Maisie? Co się stało?

– Sama pani mówiła, że mam odpowiadać na pytania i nic więcej nie dodawać.

– Masz rację, tak powiedziałam. Właśnie tego się chciałam dowiedzieć – potwierdziła Joanna i pomyślała, że wołałaby, aby literami wywoławczymi *Titanica* były CQD, a nie MGY.

– Dobrze, co jeszcze? – dopytywała się Maisie.

– To wszystko, wystarczy kod wywoławczy i lista statków.

– To strasznie mało – zaprotestowała Maisie. – W pięć minut będę gotowa. Może jest jeszcze coś, w czym mogłabym pani pomóc?

Joanna poczuła ogromną pokusę, aby spytać dziewczynkę o lampę sygnalizacyjną. Na pewno uzyskałaby precyzyjniejsze informacje niż od Kit, a w dodatku Maisie z całą pewnością dochowałaby tajemnicy. Świetnie sobie z tym radziła. Poza tym oparłaby się chęci zapytania: „A wiedziała pani, że...?”

– Muszę się czegoś dowiedzieć o *Carpathii*. – Joanna nagle podjęła decyzję. *Carpathia* pojawiła się na miejscu katastrofy długo po tym, jak *Titanic* poszedł na dno, więc informacje o tym statku nie mogą skazić jej doświadczeń granicznych. Poza tym na temat *Carpathii* bardzo wiele napisano. Maisie zyska zajęcie na kilka dni.

– Car-pa-thia – przesyłabizowała Maisie, zapisując nazwę statku. – Co pani chce wiedzieć?

– Wszystko. Gdzie się znajdowała, kiedy jej załoga dowiedziała się o kłopotach *Titanica* i jak zareagowała, a także w jaki sposób uratowano rozbitków.

– I kim oni byli – dodała Maisie, pracowicie wszystko zapisując. – Pamiętam jednego z nich. Pan Ismay. – W jej głosie dało się wyczuć wzgardę. – To był właściciel, ale nawet nie próbował nikogo ratować, tylko wlaźł do jednej z szalup, chociaż mężczyźni nie mogli tego robić, bo w pierwszej kolejności trzeba było ratować kobiety i dzieci, i uratował się, parszywy tchórz. Wszyscy inni zachowali się naprawdę dzielnie, choćby...

– Maisie – ostrzegła Joanna. – Tylko odpowiedzi na pytania zadane przeze mnie.

– Jasne. Mogę pani powiedzieć, co Molly Brown powiedziała panu Ismayowi? Znajdowała się na pokładzie *Carpathii*, kiedy to mówiła.

– No dobrze – zgodziła się Joanna, zastanawiając się, czy nie powinna była zdecydować się na *Californian*, który w ogóle nie skontaktował się z *Titanikiem*. – Co takiego powiedziała Molly Brown?

– Podeszła do pana Ismaya – Maisie położyła ręce na biodrach – i powiedziała: „Tam, skąd pochodzę, powiesilibyśmy cię na najbliższej sośnie”. Myślę, że zasługiwałby na to. Parszywy tchórz.

– Może się bał. – Joannie przypomniała się jej paniczna ucieczka do przejścia po pochyłających się schodach.

– No pewnie, że się bał – obruszyła się Maisie. – Mimo to powinien był postarać się uratować Lorrai... – Ugryzła się w język. – O mały włos o

kimś nie wspomniałam, ale pani chciała znać wyłącznie odpowiedzi na pytania, więc się powstrzymałam.

– Brawo – pochwaliła Joanna i spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. – Pora na mnie. – Wstała.

– Prześlę pani wiadomość na pager, jak tylko coś znajdę – oświadczyła Maisie i wyciągnęła spod koca *Titanica dla dzieci*.

– Nie – zaprotestowała Joanna, wyobrażając sobie, że Maisie dręczy ją co kwadrans. – Najpierw ustal nazwy wszystkich statków.

– Dobrze – zgodziła się dziewczynka, otwierając książkę. O dziwo, nie starała się zatrzymać Joanny.

Idąc przez pediatrię, Joanna przypomniała sobie, że musi odwiedzić pana Ortiza, lecz mimo to wróciła do centrum leczenia słuchu. Grupa ochotników skurczyła się do czterech osób, a pan Wojakowski jednak nie poszedł jeszcze do domu. Joanna odniosła wrażenie, że został dla towarzystwa, chociaż nie był już potrzebny.

– Proszę, proszę, witam panią doktor! – wykrzyknął na jej widok, szczerze zaskoczony i zadowolony. Joanna poczuła wstyd, że starała się go unikać.

Nie mam powodu prosić go o przysługi, pomyślała, lecz chodzi o Maisie, a jeśli nie będzie potrafił pomóc, po prostu mi o tym powie. Właściwie jak mógłby to wiedzieć? Pewnie nawet nie służył w marynarce. Wszystko zmyślił.

– Ed, służył pan w marynarce wojennej. Wie pan, gdzie mogłabym zamówić wojskowe identyfikatory osobiste? Dla przyjaciółki.

– Ciężka sprawa – westchnął i zdjął czapkę baseballową, żeby się podrapać w głowę. – Na wojnie dostawaliśmy je podczas rekrutacji. Oznaczenia nanosiło się za pomocą ręcznej wyciskarki, wyglądającej jak skrzyżowanie maszyny do pisania i maszyny do wytłaczania kart kredytowych. Identyfikatory trzeba było zawiesić na szyi zaraz po wyjściu spod prysznic, przed przydzieleniem munduru. Pytam oficera dowodzącego: „Chyba spodnie bardziej by nam się przydały niż nieśmiertelniki?”, a on odpowiada: „Możesz zginać, zanim zdążysz włożyć spodnie, a my musimy wiedzieć, kim jesteś”, na to Fritz Krauthammer mówi: „Cholera, jeśli mam zginać bez portek, to wolę, żeby nikt nie wiedział, kim jestem!” Niezły był z niego numer. Któregoś razu...

– A wie pan przypadkiem, gdzie teraz można zdobyć identyfikatory? Nie muszą być prawdziwe.

– Kiedyś sprzedawali je w sklepie z tanimi rzeczami albo na stacji kolejowej. – Znowu się podrapał. – Muszę pomyśleć. A co ma być na nich napisane?

– Tylko imię i nazwisko – wyjaśniła Joanna i z kieszeni swetra wyciągnęła notatnik. – Nie musi przypominać wojskowego identyfikatora. Wystarczy blaszka na łańcuszku na szyję. Musi być metalowy – dodała niepotrzebnie. Napisała drukowanymi literami imię i nazwisko Maisie, wydarła kartkę i wręczyła ją panu Wojakowskiemu.

– Spytam kilka osób – oznajmił z powątpiewaniem. – Niekiedy można znaleźć rzeczy, o których nawet się człowiekowi nie śniło. Mówiłem pani o tym, jak kiedyś musiałem przymusowo wodować swojego Wildcata i wylądowałem na Malakuli?

Owszem, odparła w duchu Joanna, lecz miała świadomość, że właśnie poprosiła go o przysługę. W rezultacie stała się jego dłużniczką. Poza tym wiedziała, jak się czuje człowiek, kiedy nikt nie chce słuchać jego opowieści albo mu nie wierzy. Usiadła więc na plastikowym krześle i wysłuchiwała całej relacji: o ucieczce w dłubance, dryfowaniu po morzu przez wiele dni, pojawieniu się *Yorktown*, powiewaniu flagami, wiwatujących marynarzach, malowaniu go, „zupełnie jak Jezus Chrystus, powstałem z martwych” i musiała przyznać, że bez względu na wiarygodność, opowieść była wspaniała.

Pan Wojakowski odprowadził Joannę do windy.

– Sprawdzę, co się da zrobić z tym nieśmiertelnikiem. Na kiedy jest pani potrzebny?

– Jak najszybciej – odparła Joanna, myśląc o cienkich przegubach Maisie i jej niebieskich wargach.

– Wielka szkoda, że nie ma już z nami Chicka Upchurcha. Opowiadałem pani o Chicku? Oficer maszynowni na Starym Yorky. Potrafił zrobić wszystko, i to naprawdę wszystko – przypomniał sobie pan Wojakowski i Joanna musiała dosłownie przytrzasnąć mu rękę drzwiami windy, żeby się uwolnić. Mimo to nie wydawał się zniechęcony.

Równie pogodnie zachowywał się pan Ortiz, pomimo wystających z jego ciała trzech drenów. Pielęgniarki musiały wymienić już dwa z nich.

– Wcale mnie to nie martwi – cieszył się chory. – Od dwóch lat nie czułem się tak dobrze. Szkoda, że wcześniej się tym nie zajęli.

Z przyjemnością porozmawiał z Joanną.

– To, co przeżyłem, jest dla mnie równie realne jak dwa lata temu – stwierdził i opisał wszystko szczegółowo: unosił się w powietrzu pod sufitem na sali operacyjnej, widział tunel, światło, Najświętszą Marię Pannę promieniującą jasnością i zmarłych krewnych, oczekujących, aby go powitać w Niebie.

Wysłuchując się w opis retrospekcji życia pana Ortiza, Joanna zastanowiła się, czy pan Mandrake nie ma jednak racji, a to, co widziała podczas eksperymentów, wcale nie przypomina prawdziwych przeżyć granicznych. Nie ulegało wątpliwości, że nikt inny nie widział urzędnika pocztowego ciągnącego worek mokrych listów po wyłożonych dywanem schodach.

– A potem ogarnęło mnie przekonanie, że pora wracać – ciągnął pan Ortiz – i wróciłem tunelem, na końcu znajdowała się sala operacyjna.

– Może pan podać więcej szczegółów? W związku z tym poczuciem.

– To było jakby ciągnięcie – oświadczył, lecz ręką wykonał gest popychania. – Trudno mi to opisać.

Joanna zerknęła do notatek.

– Może pan opowiedzieć, jak wyglądała Najświętsza Maria Panna?

– Miała biały strój i biło od niej światło – opisał, i tym razem jego gestykulacja pasowała do słów. – Jak od brylantów.

Zadała jeszcze kilka pytań, a następnie wyłączyła dyktafon i podziękowała pacjentowi za poświęcony jej czas.

– Prawdę mówiąc, niespecjalnie mnie interesują przeżycia graniczne – wyznał pan Ortiz. – Bardziej ciekawią mnie sny. Czy pani badania są w jakikolwiek sposób związane z marzeniami sennymi?

– Nie – odparła Joanna i wstała.

Pan Ortiz pokiwał głową.

– Większość naukowców ma zbyt ograniczone umysły, aby wierzyć w sny. Wiedziała pani, że dzięki analizie obrazów sennych można wyleczyć raka?

– Nie.

– Jeśli przyśni się pani rekin, to oznacza raka. Sznur oznacza śmierć. Jeżeli ma pani ochotę, może pani opowiedzieć mi jakiś swój sen, a ja go od razu przeanalizuję.

– Śpieszę się na spotkanie – wyjaśniła Joanna i uciekła.

W drodze do gabinetu zastanawiała się, czy wszyscy ludzie to wariaci. Marzenia senna. Kiedy zasiadła do pracy przy relacjach osób, które

wielokrotnie zapadały w śmiertelność kliniczną, zaczęła się zastanawiać, czy marzenia senné mogą stanowić klucz do rozwiązania problemu. Nie chodziło jej oczywiście o interpretację snów w wykonaniu pana Ortiza, który przypisywał obrazom dowolne znaczenia: wąż oznaczał seks, książka – nieoczekiwanego gościa. Takie myślenie stanowi gloryfikację przepowiadania przyszłości.

W gruncie rzeczy freudowska analiza snów prezentowała się bardzo podobnie. Zgodnie z nią wszystko można sprowadzić do podstawowych potrzeb seksualnych, ewentualnie lęków, kiedy sny są bardziej złożone. Niektóre marzenia senné bywają bezpośrednio zaczerpnięte z ukrytych niepokojów i trosk, inne wynikają z zewnętrznych bodźców, takich jak dzwonienie budzika, a na jeszcze inne mają wpływ substancje neurochemiczne, powstające w fazie REM, w szczególności acetylocholina, która zgodnie ze słowami Richarda intensywnie się wyzwała podczas doświadczeń granicznych.

Właśnie acetylocholina tworzy pomost między informacjami z zewnątrz oraz pamięcią długotrwałą. Takie połączenie jest niekiedy obrazowane w sposób bezpośredni, a w innych wypadkach – symboliczny. W rezultacie dzwonek budzika może się przekształcić w syrenę alarmową lub wrzask, a ten sam dzwonek, wraz z ciastkiem zjedzonym na śniadanie i pacjentem, o którego się martwimy, tworzą jednolite marzenie senné. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, istnieje możliwość analizowania snów. Właśnie o to chodziło Richardowi, kiedy stwierdził, że acetylocholina równie dobrze mogła przywołać obraz korytarza szpitalnego, jak *Titanica*, z tym, że miał na myśli całość przeżyć granicznych, a nie pojawiające się w nich pojedyncze obrazy.

Joanna nie myślała o traktowaniu swoich wspomnień tak jak snów, co po części wynikało z faktu, że przeżycia graniczne nie przypominały marzeń sennych, a po części stąd, że niektóre z obrazów – światło i tunel – stanowiły wyraźne objawy wpływu tego samego bodźca. Nie oznaczało to jednak, że wszystkie wizje miały taki sam początek. A może część przeżyć stanowiła symboliczną interpretację tego, co się działo podczas doświadczeń granicznych?

Czy to możliwe, że wciąż przypominała sobie wykład pana Briarleya o metaforach, dlatego że obrazy z jej przeżyć granicznych same były metaforami? Całą uwagę skoncentrowała na przypomnieniu sobie, co

mówił pan Briarley, ale niewykluczone, że rozwiązanie znajdowało się w samych przeżyciach granicznych, ukryte w tym, co widziała i słyszała.

Na ekranie komputera wyświetliła relację ze swojej ostatniej sesji i przystąpiła do analizowania kolejnych zdań opisu. Niektóre rzeczy ujrzała niewątpliwie w wyniku pojawienia się bodźca uaktywniającego płąt skroniowy. Światła z lampy sygnalizacyjnej, światła na pokładzie oraz jasność dobiegająca z sali gimnastycznej i z mostka ponad wszelką wątpliwość należały do tej kategorii. Zastanawiała się, czy biała odzież noszona przez wszystkich ludzi na statku – rękawiczki, koszule nocne, marynarka stewarda – również wynikała z pobudzenia płata skroniowego.

Niektóre obrazy wyraźnie pochodziły z *Titanica* – łodzie ratunkowe, pasażerowie na pokładzie, leżaki – a inne ze świadomego życia Joanny – Greg Menotti i czerwona tenisówka, a być może nawet koc, chociaż równie dobrze mógł pochodzić z ilustracji na okładce *SOS Titanic*.

Pozostawały tylko szczegóły, których nie dało się przypisać *Titanicowi* ani aktywności płata skroniowego, przez co mogły mieć istotne znaczenie: Jack Phillips wystukiwał kod CQD zamiast MGY; urzędnik pocztowy ciągnął po schodach mokry worek z listami; same stopnie również odgrywały jakąś rolę, skoro przypominały główne schody, lecz bez cherubina oraz Honoru i Chwały. Poza tym widziała jeszcze salę gimnastyczną i mechanicznego wielbłąda. Jeśli to wszystko można uznać za symbole, ich wymowa była znacznie subtelniejsza niż węża oznaczającego seks.

Jeśli to były symbole. Rozszyfrowanie ich znaczenia nie miało sensu, jeśli tak naprawdę należały do wspomnień związanych z *Titanikiem*. Joanna uznała, że powinna zwrócić się do Kit z prośbą o sprawdzenie, czy istnieje taka możliwość. Przygotowała listę rzeczy, które należało potwierdzić, a następnie wykreśliła numer Kit. Słuchawkę podniósł pan Briarley.

– Ma pani przepustkę do holu? – spytał stanowczo, na co Joanna odpowiedziała, że chciałaby rozmawiać z Kit.

– „Odciął linę ze złamanego drzewa i przywiązał ją do masztu”^[12]. – padła odpowiedź.

Słuchawkę przejęła Kit.

– Przepraszam – zwróciła się do Joanny. – Przez cały ranek czytał *Rozbicie się okrętu Hesperus*. Pomyślałam, że może Longfellow nasunie mu jakieś wspomnienia, ale to lektura z młodszych klas, a nie maturalnych.

– „Och, ojczy! Słyszę...” – z oddali dobiegła recytacja pana Briarleya. – „To...”

– Chciałabym cię prosić o sprawdzenie kilku rzeczy, o ile to nie sprawi ci kłopotu.

– Już ci mówiłam, że chcę pomóc.

Joanna odczytała listę. Kiedy dotarła do mechanicznego wielbłąda, Kit oświadczyła:

– Kojarzę go. Zgadza się, w jednej z książek znajduje się jego fotografia.

– Wiesz może, na którym pokładzie znajdowała się sala gimnastyczna?

– Tak, na...

– Podobno martwi nie mówią – zakrzyknął pan Briarley. – Ale to nieprawda!

– Znajdowała się na pokładzie łodziowym – dokończyła Kit. – Przeczytałam o tym, jak szukałam czegoś o lampie sygnalizacyjnej.

W porządku, sala gimnastyczna odpada. Odczytała listę do końca.

– Zajmę się tym dziś wieczorem – obiecała Kit. – Aha, jeszcze jedno. Dokopałam się do informacji o klatkach schodowych. Na *Titanicu* zbudowano trzy. Tylne służyła pasażerom drugiej klasy. Znajdowała się na samej rufie, obok restauracji A La Carte. Środkową zbudowano w połowie drogi między tylnymi a głównymi schodami. Opisywano ją jako mniej elegancką wersję głównych schodów, z własnym świetlikiem i takimi samymi pozłacanymi balustradami z kutego żelaza.

Po zakończeniu rozmowy Joanna postanowiła wykreślić z listy schody. Wyglądało na to, że przechowała w pamięci długotrwałej wszystko, co pan Briarley kiedykolwiek opowiedział o *Titanicu*. A podobno człowiek zapomina wszystko, czego się uczył w liceum.

Przepisała relację pana Ortiza, a następnie zadzwoniła do Vielle, lecz numer był zajęty. Spróbowała ponownie po powrocie do domu i tym razem udało się jej obudzić chorą.

– Przepraszam. – Joannie zrobiło się przykro. – Sądząc po głosie, dochodzisz do zdrowia.

– Bo dochodzę.

– Będziesz jutro w pracy?

– Nie – oświadczyła Vielle. – Wciąż kręci mi się w głowie.

Kiedy zakończyły rozmowę, Joanna pomyślała, że Vielle nie tylko kręci się w głowie, ale w dodatku musi być strasznie senna, skoro nie

wspomniała o niebezpieczeństwach związanych z uczestnictwem w eksperymentach.

Następnego dnia Tish również nie przyszła do pracy, a o pielęgniarkę na zastępstwo można było tylko pomarzyć.

– Wiesz, co mi powiedziano, kiedy zadzwoniłem po inną pielęgniarkę? – spytał Richard, kiedy Joanna dotarła do laboratorium. – „Wiosna całą gębą”. W takiej sytuacji przesunąłem sesję pana Sage’a na jutro. Podobno ten wirus jest aktywny tylko przez dobę, zgadza się?

– Nie mam pojęcia. Vielle nie ma w pracy już od dwóch dni – odparła Joanna, myśląc, że odwołanie spotkania jest jej na rękę. Musiała dokończyć listę ludzi, którzy co najmniej dwukrotnie mieli doświadczenia graniczne, a poza tym chciała przypomnieć sobie swoje wcześniejsze relacje i przeanalizować je pod kątem ewentualnych wskazówek.

Poświęciła temu cały ranek. Nie zainteresowała się nawet mrugającą lampką na automatycznej sekretarce. Podczas przerwy na lunch zeszła do laboratorium i poprosiła Richarda o coś do jedzenia z kieszeni fartucha. Całe przedpołudnie lekarz spędził przed ekranem komputera, podobnie jak Joanna.

– I jak tam? – spytała go, przyjmując paczkę ciastek maślanych.

– Dno – odparł, odchylając się na krześle. – Nadal nie znalazłem niczego, co mogłoby wytłumaczyć, dlaczego pani Troudthaim wciąż powraca świadomość. Ani też dlaczego czujesz lęk, który mi opisałaś. Aktywność wykazywało tylko kilka receptorów kortyzolu.

– Bałam się, bo byłam na *Titanicu*, a pokład D znalazł się pod wodą, więc mogłam nie wrócić do rzeczywistości.

– Wciąż jesteś przekonana, że to, co widzisz, to *Titanic*, prawda?

– Tak jest, z tym, że to nie tylko przekonanie. Miejsca, które opisałam, naprawdę znajdowały się na statku, a schody nie miały marmurowych stopni i cherubina, bo to nie były główne schody. Znalazłam się na klatce schodowej drugiej klasy, położonej idealnie tam, gdzie się powinna znajdować, obok restauracji A La Carte. Tak właśnie nazywała się jadalnia, którą widziałam, i naprawdę wykończono ją orzechową boazerią, umeblowano różowymi krzesłami i...

– Skąd to wiesz? – wyprostował się Richard, a następnie wbił w nią oskarżycielski wzrok. – Czytałaś coś o *Titanicu*? Nic dziwnego, że wciąż go widzisz.

– Oczywiście, że nic na jego temat nie czytałam – zaprotestowała. – Dobrze wiem, że to skaziłoby moje doświadczenia graniczne. Poprosiłam kogoś...

– Poprosiłaś kogoś? – Richard wstał z krzesła. – W tym szpitalu? Chryste Panie, jeśli Mandrake...

– To nie jest osoba zatrudniona w naszym szpitalu – pośpiesznie wyjaśniła Joanna. – Poprosiłam przyjaciółkę, która nie ma nic wspólnego z naszym miejscem pracy, i jeszcze zabroniłam jej przekazywania mi jakichkolwiek dodatkowych informacji. Ma sprawdzać wyłącznie to, co zobaczę w trakcie swoich sesji. Dzięki temu wiem, że na *Titanicu* znajdowała się sala gimnastyczna z mechanicznym wielbłądem, pomieszczenie radiotelegrafisty i...

Znowu posłał jej spojrzenie, które mówiło: „Bridey Murphy”.

– O czym ty mówisz? Zmierzasz do tego, że nie ma możliwości, abyś знаła te wszystkie szczegóły, więc to, co widzisz, jest rzeczywistością?

– Skąd, oczywiście, że nie.

– Powiedziałaś, że bałaś się, że nie uda ci się wrócić...

– To dlatego, że czuję się tak, jakbym znalazła się w prawdziwym miejscu, jakby wszystkie zdarzenia były rzeczywiste, ale wiem, że to nieprawda – wyjaśniła szybko. – Poza tym pan Briarley ciągle opowiadał o *Titanicu*. Każdy z opisanych przeze mnie szczegółów może pochodzić z jego lekcji, z filmu albo z książki *SOS Titanic*.

Richard wyraźnie się odprężył.

– A więc co chcesz mi powiedzieć?

– Chcę ci powiedzieć, że to jest *Titanic*, a nie amalgamat rozmaitych wspomnień albo pierwszy obraz, który pasuje do wszystkich bodźców lateralizacyjnych. Z jakiegoś powodu widzę *Titanica*. To ma coś wspólnego z podłożem doświadczeń granicznych.

– Niemniej nie wiesz, jak wygląda to podłoże – oświadczył Richard. – Czy wszystko, co widzisz, pasuje do *Titanica*?

– Nie. Na pokładzie łodziowym powinni znajdować się ludzie zajęci odsłanianiem łodzi, mostek nie powinien być pusty, a kod wywoławczy wysyłany przez radiotelegrafistę nie zgadzał się z oznaczeniem statku.

– Poza tym wciąż nie widziałaś ani nie słyszałaś nazwy *Titanic*, ani też jakiegokolwiek wzmianki o górze lodowej. Zgadza się?

– Tak, ale wydaje mi się, że te nieścisłości i braki mogą stanowić klucz do wyjaśnienia doświadczeń granicznych. – Przedstawiła mu swoją teorię

na temat snów. – Odnoszę wrażenie, że obrazy nie pasujące do całości są symboliczne.

Pokiwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał. Zaraz się zaczęło, pomyślała. Nie myliła się.

– Twój świadomy umysł dokonał pozornie racjonalnej konfabulacji, aby usprawiedliwić przekonanie o znaczeniu tego, czego doświadczasz – stwierdził. – To przekonanie jest tak rozbudowane, że obejmuje nawet szczegóły nie stanowiące elementu wizji, co oznacza, że stymulacja płata skroniowego jest zasadniczym powodem powstawania doświadczeń granicznych. Twoje przekonanie o istnieniu związku...

– Wiem, wiem. Nieważne – przerwała mu. – Moje przekonanie to poczucie intuicyjnej wiedzy, a wydedukowałeś to ze skanów. Mam tylko jedno pytanie.

– Mianowicie?

– Jak wyglądałyby skany, gdyby nie chodziło wyłącznie o stymulację płata skroniowego i naprawdę istniał jakiś związek z rzeczywistością? Czy wówczas zdjęcia prezentowałyby się inaczej? Zresztą wszystko jedno. – Nie miała go jak przekonać, dopóki naprawdę nie ustali, jaki to związek i nie dowiedzie jego istnienia.

Miała szansę dokonać tego tylko wtedy, gdy ponownie podda się eksperymentowi, lecz teraz mogła przynajmniej spróbować odcyfrować to, co już widziała. Rozbiła swoje relacje na pojedyncze obrazy i narysowała mapę trasy, którą pokonała. Opracowała także plan pokładu łodziowego, z uwzględnieniem pokoju radiotelegrafisty, mostka i miejsca, w którym stał marynarz odpowiedzialny za obsługę lampy sygnalizacyjnej. Potem przygotowała kolejną listę dla Kit. Czy w restauracji A La Carte znajdował się fortepian? Klatka dla ptaków? Czy pokład C był oszklony czy otwarty? Czy na *Titanicu* znajdował się kort do squasha?

Późnym popołudniem – a przynajmniej sądziła, że to późne popołudnie; kiedy spojrzała na zegarek, dochodziła szósta – ktoś zapukał do drzwi. Pan Mandrake, spłoszyła się Joanna i wbiła wzrok w szparę pod drzwiami, aby sprawdzić, czy za drzwiami nie świeci światło.

Pukanie rozległo się ponownie.

– To ja, Ed Wojakowski. Pani doktor, zdobyłem dla pani identyfikator. – Otworzyła drzwi. – Nie jest prawdziwy – wyjaśnił, wręczając jej łańcuszek z metalową plakietką, na której widniało imię i nazwisko Maisie, wygrawerowane zgrabnymi literami. – Tak naprawdę to jedna z odznak

medycznych, ale powiedziała pani, że chodzi o coś metalowego na łańcuszku na szyję, więc znalazłem to.

– Jest idealny – przyznała Joanna i odwróciła blaszkę, spodziewając się ujrzeć czerwony symbol służb medycznych, lecz srebrny identyfikator był zupełnie gładki.

– Odszlifowałem oznaczenia medyczne – pochwalił się pan Wojakowski, wyraźnie zadowolony z siebie. – Tak jak obiecałem, popytałem trochę tu i tam, ale nikt od lat nie widział żadnej maszyny do tłoczenia identyfikatorów. Kiedy poszedłem zrealizować receptę, patrzę – jest. Plakietki grawerowane od ręki.

– Ogromnie panu dziękuję – powiedziała Joanna. – Ile jestem panu winna?

Sprawił wrażenie urażonego.

– Zrobiłem to z przyjemnością – oznajmił. – Od razu przypomniały mi się czasy, kiedy pływałem na *Yorktown* i z Buckym Parterim musiałem zdobyć dwie przepustki na zejście na ląd, żebyśmy mogli zobaczyć te panienki z Korpusu Kobiet na Lanai. No i tak prosiliśmy rozmaite osoby o oficjalne zezwolenia i nic, a dowódca i patrol lądowy naprawdę byli ostrzy, więc pomyśleliśmy, że może ktoś sfalszowałby nam dwie przepustki i...

Opowieść była długa, niewątpliwie oparta częściowo na faktach, lecz w wielu miejscach fikcyjna. Joanna nie próbowała nawet się zastanowić, co jest czym. Czekwała na moment, który choćby w przybliżeniu przypominał przerwę w akcji, i wreszcie stwierdziła:

– Z przyjemnością posłuchałabym do końca, ale naprawdę muszę już zanieść identyfikator Maisie.

Pan Wojakowski przyjął to ze spokojem.

– Proszę ją ode mnie pozdrowić. Żałuję, że nie jest prawdziwy, tak jak ten, który nosiłem w marynarce. Opowiadałem pani, jak kiedyś wypadłem za burtę i go zgubiłem? Wracaliśmy właśnie do Pearl...

Zanim Joanna uwolniła się od pana Wojakowskiego, było już po ósmej i Maisie spała.

– Przyniosę go rano. – Joanna poinformowała Barbarę. – Jak się czuje?

– Musieli jej odstawić amidipril.

– Wiem. Maisie powiedziała mi, że znowu bierze nadolal.

Barbara potwierdziła skinieniem głowy.

– Nie mają już innych leków do wypróbowania. Właśnie dlatego jej matka tak bardzo walczyła o włączenie Maisie do programu klinicznego

testowania amiodiprilu. Mówi się o przestawieniu dziewczynki na nowy inhibitor konwertazy angiotensyny, ale ma naprawdę fatalne skutki uboczne, a ona i tak jest strasznie osłabiona.

– Co z sercem?

– Można się tylko modlić o wypadek autobusu z dziećmi – oświadczyła.

– Przepraszam. Miałam ciężki dzień i zdaje się, że dopada mnie grypa. W tej chwili nie jest źle. Kto wie, może czeka nas cud.

– Może. – Joanna poszła na górę, żeby jeszcze staranniej przejrzeć swoje relacje w poszukiwaniu dodatkowych wskazówek. Skończyła pracę po jedenastej.

Nic nie znalazła, a rano, kiedy udała się do Maisie, okazało się, że dziewczynka ma cewnikowanie serca.

– Póki co nie stwierdzono migotania przedsionków – doniosła Barbara. – Prosiła, żeby pani to przekazać. – Wręczyła Joannie kartkę papieru z notatnika, wielokrotnie złożoną na pół.

Joanna zaczęła z rozłożeniem kartki do czasu, kiedy znalazła się sama w gabinecie. Maisie wypisała ołówkiem listę statków: *Carpathia*, *Burma*, *Olympic*, *Frankfurt*, *Mount Temple*, *Baltic*. Joanna pomyślała, że nie była zbyt pilną uczennicą, skoro nawet słysząc te nazwy, nie przypominała sobie, aby pan Briarley o nich wspominał.

Co nie oznacza, że tego nie robił, dodała w myślach. Niektórzy ludzie potrafią przypominać sobie książki i filmy z niemal doskonałą precyzją. Takie zjawisko nosi nazwę kryptomnezji. Jak ustalono, właśnie na to cierpiała Bridey Murphy, skonstratowała ironicznie Joanna.

– Mamy problem – przywitał ją Richard, gdy tylko weszła do laboratorium.

– Tish wciąż jest na chorobowym?

– Nie, wróciła, ale właśnie dzwonił pan Sage, żeby odwołać sesję.

– Też ma grypę?

– Cały on – zirytował się Richard. – Dopiero po dziesięciu minutach rozmowy wyciągnąłem z niego, że odwołuje spotkanie. Więc jak, zajmujemy się tobą?

– Jasne – zgodziła się Joanna. – O której?

– Powiedziałem Tish, że o jedenastej.

Joanna skinęła głową i wróciła do gabinetu. Dzwoniła Kit. „Sala gimnastyczna znajdowała się na pokładzie łodziowym”, głosiła wiadomość.

„Na prawej burcie, tuż za kwaterami oficerskimi. Radiotelegrafista urzędował na lewej burcie, obok kwater oficerskich”.

Wszystko, co kiedyś mówił pan Briarley. Czy pokazywał im także plan pokładu łodziowego? Nie pamiętała, ale nie mogła tego wykluczyć. W książkach Maisie roilo się od mapek i diagramów: trasy pokonanej przez samolot Amelii Earhart, ruin Pompejów, schematu gondoli *Hindenburga*.

Joanna zadzwoniła do Kit, ale telefon był zajęty. Przekręciła więc do Maisie.

– Maisie, stwierdziłaś, że litery MGY to kod wywoławczy *Titanica*, a potem zaczęłaś coś mówić. Co chciałaś powiedzieć?

– Przecież zabroniła mi pani wspominać o czymkolwiek, co nie jest związane z pytaniami.

– Pamiętam, to jest wciąż aktualne, z wyjątkiem tej jednej informacji. Co chciałaś powiedzieć?

– Chodziło o to, że wiem, co oznacza MGY, bo pamiętam wiadomość przesyłaną przez *Titanica*. „MGY CQD PB. Przybywajcie natychmiast. Zderzyliśmy się z górą lodową”. CQD oznacza „pomocy” – wytłumaczyła Maisie.

– Wydawało mi się, że *Titanic* wysyłał sygnał SOS.

– Bo tak było, tylko że... Jest pani pewna, że mogę o tym mówić?

– Jestem pewna.

– No więc najpierw wysyłano CQD, a potem Harold Bride, to był drugi radiotelegrafista, powiedział, jakby żartem: „Wysyłajmy SOS. To nowy kod oznaczający wezwanie o pomoc, i może nigdy nie nadarzy się kolejna sposobność”.

Rozdział 31

„No cóż, na to nic się nie poradzi”.

Ostatnie słowa George’a C. Atchesona, adiutanta generała MacArthura, kiedy zorientował się, że samolot niosący jego i dwanaście innych osób zaraz rozbije się w Oceanie Spokojnym

Podczas przygotowywania Joanny do seansu Tish cały czas trąkotała o swojej strasznej chorobie.

– Myślałam, że umrę – zaszczębiotała, wcale nie przejęta. – Bolało mnie wszystko i kręciło mi się w głowie. – Podłączyła elektrody do klatki piersiowej Joanny. – Niemal zemdlałam, kiedy schodziłam do samochodu – dodała, zakrywając jej oczy maską – a do domu musiał mnie odwieźć ten lekarz, który akurat jechał ze mną windą. Ma na imię Ted.

Joanna dopiero teraz zdała sobie sprawę, dlaczego Tish jest taka radosna. Pomyślała, że lepiej by było, gdyby pielęgniarka szybciej założyła jej słuchawki, bo chciała się zastanowić nad tym, co powinna robić i dokąd pójść, kiedy się znajdzie na pokładzie.

Jeśli się znajdzie na pokładzie. Richard oznajmił, że zmniejsza dawkę, „dzięki czemu ograniczy się stymulacja płata skroniowego. To powinno zmniejszyć intensywność przekonania o znaczeniu i wytworzyć inny obraz ujednocający”.

Joanna uznała, że nic z tego nie będzie, bo nie o to chodzi. Była pewna, że istnieje głębszy sens tego, co widzi i zamierzała się przekonać, jaki on jest. Ale najpierw chciała się upewnić, że wizja *Titanica* nie jest amalgamatem różnych wspomnień.

– Ted upierał się, żeby wejść ze mną do domu i położyć mnie do łóżka, zanim odjedzie – paplała Tish. Trzymała w dłoniach słuchawki, lecz jeszcze nie założyła ich Joannie. – Pracuje tu od niedawna. Jest położnikiem i... – Pochyliła się nad Joanną i szepnęła: – I jest naprawdę przystojny, ma włosy w nieco ciemniejszym odcieniu blondu niż doktor Wright i ma szare...

– Siostrze, czy Joanna jest gotowa? – zawołał Richard zza pulpitu.

– Już prawie. – Ponownie ściszyła głos. – Szare oczy i wcale go nie interesują skany. – Tish na szczęście założyła Joannie słuchawki.

No dobrze, pomyślała Joanna, spróbuję znaleźć główne schody, a jeśli mi się nie uda, poszukam salonu jadalnianego pierwszej klasy. Jeśli będą tam krzesła obite zielonym aksamitem haftowanym w irysy, to znaczy, że jestem na *Titanicu*. Może znajdę też menu z napisem *RMS Titanic*. Tylko że restauracja *A La Carte* była zamknięta. A jeśli salon jadalniany też okaże się nieczynny? I znalazła się w przejściu.

Podłoga była sucha i pozioma, a za drzwiami stało zaledwie kilka osób. Joanna uznała, że pewnie zjawiała się wcześniej, lecz gdy przekroczyła próg, spostrzegła, że młoda kobieta przebrała się z koszuli nocnej i miała teraz na sobie czerwony płaszcz oraz futrzany kołnierz z rudych lisich łbów ze spiczastymi nosami i lśniący czarno szklanymi oczyma. Także kobieta z upiętymi włosami włożyła płaszcz, a na niego kamizelkę ratunkową.

– Jest tak zimno – poskarżyła się młoda kobieta i zadrżała. – Nie powinniśmy iść na pokład łodziowy?

Joanna liczyła na to, że pójdą. Wówczas przekonałaby się, gdzie są drzwi prowadzące do głównych schodów. Brodaty mężczyzna potrząsnął jednak głową i stwierdził:

– Posłałem stewarda, aby sprawdził, co się dzieje. Dopóki nie wróci, najlepiej będzie pozostać tutaj.

– Tak, Edith – przyłączyła się druga kobieta, kładąc dłoń w białej rękawiczce na ramieniu młodej kobiety. – Powiemy stewardowi, aby rozpałił ogień.

Wszyscy się odwrócili, aby wejść z powrotem do przejścia.

Joanna zeszła im z drogi i udała się do środkowej części pokładu. Główne schody powinny się znajdować właśnie tam albo nieco bliżej dziobu. Joanna nie miała pewności, czy powinna tam iść, gdyż spacer w tamtą stronę mógł się zakończyć powrotem do laboratorium.

Mimo wszystko uznała, że musi zaryzykować, i spojrzała przed siebie. Bliżej dziobu paliła się jeszcze jedna lampa, roztaczając wokół oślepiający blask, który uniemożliwiał dostrzeżenie czegokolwiek, co znajdowało się dalej. Przysłoniła oczy ręką i zgłębiła się w światło.

Za światłem nie znajdowały się żadne drzwi. Ściana przebiegała do okien i nie było w niej ani jednego otworu drzwiowego. I co teraz, zastanowiła się Joanna. Będę musiała dostać się do głównych schodów z

pokładu łodziowego. Orkiestra grała tuż za drzwiami prowadzącymi właśnie na te schody.

Przebiegła po pokładzie do tylnych schodów. Wejście okazało się zamknięte, lecz otwarte były drzwi do schodów drugiej klasy. Pobiegnęła trzy piętra w górę i dotarła do pokładu łodziowego. Jej czerwona tenisówka wciąż blokowała drzwi. Postanowiła pozostawić but i udała się w stronę dziobu, naciskając klamki wszystkich drzwi po drodze. Żadne nie ustąpiły, nawet te, prowadzące do kabiny radiotelegrafisty. Dotarła do sali gimnastycznej.

Greg Menotti właśnie wychodził, ubrany w białą bluzę Nike i ciemnoniebieskie spodnie dresowe. Do nogi miał przyczepiony bidon.

– Greg – odezwała się do niego. – Nie wiesz, gdzie są główne schody?

– Główne schody? – powtórzył. – Chodzi ci o klatkę schodową? Tutaj. – Pobiegnął do tylnych schodów. Joanna pośpieszyła za nim.

– Nie, nie o te mi chodzi – wysapała zadyszana. – Główne schody. Z marmurowymi schodami i cherubinem z brązu.

Greg pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zupełnie nie masz formy, wiesz? Jak często biegasz?

– Nie widziałeś żadnych innych klatek schodowych? A może na innych pokładach? Są tu jakieś inne schody?

– Chodzi ci o inne piętra? Nie. Trzymaj się. Muszę jeszcze zrobić sześć okrążeń. – Pobiegnął na rufę. Jego biała bluza co chwila pojawiała się w świetle i znikwała w cieniu.

I co? Nie miała wątpliwości, że na pokładzie łodziowym znajduje się wejście na główne schody. Heidi powiedziała, że matka Kate Winslet i ten odrażający narzeczony stali u podnóża schodów w oczekiwaniu na wywołanie do łodzi, więc musiała tylko znaleźć odpowiednie drzwi. Problem w tym, że jedyne, które pozostały, prowadziły do kwater oficerskich.

Mimo to postanowiła je sprawdzić. Wszystkie były zamknięte na klucz, poza ostatnimi. Za nimi znajdował się schowek wypełniony kocami. Joannie przyszło do głowy, że mają naszywki *Titanica*, więc rozłożyła jeden z nich. Okazał się jednolicie szary. Odkładając go na półkę, dostrzegła schowaną wysoko lampę sygnalizacyjną, którą marynarz nadawał wiadomości z dziobu.

Nazwa musi być wypisana na dziobie, uświadomiła sobie Joanna, wybiegła na dziobówkę i zatrzymała się przy relingu. Chwyliła go mocno

oburącz i wychyliła jak najdalej, usiłując dojrzeć napis na burcie, lecz było zbyt ciemno. Wbiła wzrok w horyzont, wypatrując światła *Californian*, a następnie znowu opuściła wzrok. Pomyślała, że tam w dole nic nie ma. Nie tylko światła. Zupełnie nic. A jeśli okręt zatonie...

Puściła się biegiem, minęła mostek, kwatery oficerskie i łodzie ratunkowe. W duchu modliła się, aby jej but wciąż tkwił w drzwiach, aby nie zatrzasnęły się drzwi prowadzące do przejścia. Zbiegła po schodach, mijając restaurację *A La Carte*, i dopiero wtedy zatrzymała się, chwyciła wypolerowaną poręcz, jakby to była lina ratunkowa, i z wysiłkiem starała się pomyśleć.

– Nie możesz jeszcze wracać – oświadczyła głośno, zaciskając ręce na poręczy. – Musisz sprawdzić, czy to na pewno jest *Titanic*. – Pokład nie przechylił się jeszcze, a schody wciąż były suche. Zostało mnóstwo czasu. Wejście na główne schody musiało się znajdować na pokładzie z promenadą.

Wróciła do restauracji i pokonała przejście. Na jego końcu znajdowały się drzwi. Otworzyła je i wyszła na pokład z promenadą. Wszędzie panowały ciemności, lecz światło świeciło w oknach w głębi pokładu. Witraże. Światło rozbłyskiwało na drewnianej podłodze na czerwono, żółto, niebiesko i zielono. Podeszła bliżej i zajrzała do środka.

Ujrzała coś w rodzaju baru. Słabo oświetlone pomieszczenie spowijał dym, a przy ścianie ulokowano wyłożony lustrami mahoniowy bar z rzędami butelek i błyszczących kieliszków. Przy jednym ze stołów siedział wąsaty mężczyzna w wieczorowym stroju i rozkładał karty z talii. Kładł je pojedynczo na stole, koszulkami do góry, a potem podnosił, wpatrywał się w nie, brał w dłonie i znowu się im przyglądał. Po chwili je tasował, tworzył z nich talię i znowu rozkładał.

Joanna pomyślała, że mogłaby spytać nieznanego o nazwę statku. W przeciwieństwie do Grega Menottiego wyglądał na człowieka pozbawionego złudzeń co do miejsca swojego pobytu. W jego twarzy Joanna dostrzegła jednak coś, co sprawiło, że zdjęła rękę z klamki i pozostawiła obcego przy kartach, które na przemian tasował i rozkładał.

W następnym pomieszczeniu, znacznie bardziej eleganckim od poprzedniego, nie zastała nikogo. Ściany i białe kolumny ozdobiono drobnymi ornamentami, a krzesła i kanapy obito złotym brokatem. Obok krzesła, na niewielkich stolikach ustawiono lampy z kloszami z żółtego jedwabiu, które rozświetlały całe pomieszczenie. Na stołach leżały książki,

ustawiono je także na oszklonych półkach, przymocowanych do bocznych ścian.

Biblioteka, stwierdziła w myślach Joanna, albo jakieś pomieszczenie do czytania i pisania. Na ścianie w głębi, obok okien wychodzących na pokład, znajdował się rząd biurka. Na każdym stała lampa, a także elegancko ułożone pióra i koperty, również kremowy papier listowy. Joanna pomyślała, że na papeterii powinna się znajdować nazwa statku.

Pchnęła oszklone drzwi, weszła do środka i podeszła do najbliższego biurka. Zbyt późno się przekonała, że pomieszczenie nie jest zupełnie puste. Przy biurku na końcu rzędu siedział mężczyzna i pochylał się nad listem. Widziała siwiejące włosy nieznanego i biały rękaw jego koszuli, kiedy zanurzył pióro w kałamarzu, napisał parę słów i znowu je zanurzył.

Zawahała się, lecz mężczyzna nie podniósł głowy, kiedy przeszła przez całą szerokość pokoju. Ponownie wsunął pióro do kałamarza i przeniósł je nad papier. Joanna podeszła na palcach do najbliższego biurka. Koperty i papier listowy leżały w osobnych przegródkach. Wyciągnęła rękę do jednej z nich.

– Ma pani przepustkę do holu, pani Lander? – spytał surowo mężczyzna, a Joanna gwałtownie się odwróciła.

– Pan Briarley! – zająknęła się.

– Joanna Lander – powiedział pan Briarley, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Nie miałem pojęcia, że pani się tutaj znajduje. – Wstał i skierował się ku niej, przypadkowo trącając nogą biurko. Kałamarz się zatrząsł, a pióro stoczyło na złocisty dywan. Pan Briarley przytrzymał kałamarz, a następnie obiema rękoma chwycił dłoń Joanny. – Wspaniale! Proszę usiąść, zapraszam. – Zachęcił ją, przysuwając krzesło stojące przy sąsiednim biurku. – Nie przypuszczałem, że zastanę panią na pokładzie.

– Pamięta mnie pan? – zdumiała się Joanna.

– Pamiętam wszystkich swoich uczniów – oznajmił – chociaż miałem ich całe hufy, od szkarłatu połyskujące i złota. Uczyłem panią w drugim semestrze. O ile dobrze pamiętam, podobała się pani *Pieśń o starym żeglarzu*. „Sam pozostałem, sam, sam jeden na wielkim wód rozłogu!”^{13}. I nigdy pani nie spytała: „Czy to będzie na egzaminie końcowym?”

– Tylko dlatego, że wiedziałam, co pan powie – uśmiechnęła się Joanna. – Zawsze pan powtarzał: „Wszystko będzie na egzaminie końcowym”.

– I było – potwierdził pan Briarley. – Ricky Inman też o tym wiedział, a jednak nie przestał się dopytywać. Proszę mi powiedzieć, czy wciąż kołysz

się na krześle i traci równowagę?

– Nie wiem – roześmiała się Joanna. – Teraz pracuje jako makler.

– A pani? – zainteresował się pan Briarley. – Zaraz, o ile pamiętam, zamierzała pani studiować psychologię.

– Zgadza się. – Joanna ucieszyła się, że pan Briarley to pamięta. Cały on, taki, jaki powinien być zawsze. Wesoły, kąśliwy i inteligentny. Tak właśnie powinna przebiegać rozmowa w jego domu. – Pracuję w Szpitalu Miłosierdzia. Zajmuję się projektem badawczym związanym z doświadczeniami z pogranicza życia i śmierci.

– Co tłumaczyłoby, dlaczego pani nazwisko nie znajdowało się na liście pasażerów. Jestem pewien, że nie dostrzegłem tam pani godności. Doświadczenia z pogranicza życia i śmierci. Relacje osób, które powróciły, aby opowiedzieć swoją historię. „Do tej pory po wyjściu duszy umierali ludzie i wszystko już się kończyło: dziś oni podnoszą z grobu czoło”^{14}. I czego się pani dowiedziała z tych wypraw do „krajiny, z której nie powraca żaden wędrowiec”?

– Ja... – zaczęła Joanna, lecz po przeciwnej stronie biblioteki otworzyły się drzwi i wszedł przez nie steward.

Podszedł do nich energicznie.

– Zechce mi pani wybaczyć – zwrócił się do Joanny, a następnie odezwał się do pana Briarleya: – Czy mógłbym zamienić z panem słowo?

– Oczywiście – odparł zapytany. Mężczyźni podeszli do półek z książkami i steward zaczął coś pośpiesznie tłumaczyć stłumionym głosem. Joanna wychwyciła słowa: „prosil mnie, abym pana spytał” oraz „wie pan, co się stało”.

– Proszę im przekazać... – zaczął pan Briarley, a Joanna zrobiła krok do przodu, aby lepiej słyszeć. W tym samym momencie przesunęła ręką po biurku, przewracając kałamarz. Atrament rozlał się na podłogę, wsiąkając w dywan i tworząc na nim ciemną plamę. Joanna schyliła się, aby postawić butelkę, i sięgnęła do kieszeni po paczkę chusteczek.

– Tak jest, proszę pana, dziękuję ogromnie – stwierdził steward. – Wszystko im przekażę. Poczują znaczną ulgę.

Steward wyszedł, a pan Briarley wrócił do biurka, przy którym Joanna na klęczkach ścierała rozlany atrament.

– Proszę sobie darować – powstrzymał ją pan Briarley i delikatnie chwycił za ramię, aby wstała. – To nieistotne. Niech pani spocznie, za

chwilę pójdziemy na herbatę – oświadczył i usiadł za biurkiem. – Muszę dokończyć pisanie. – Podniósł pióro i wrócił do pracy.

Joanna zapomniała, że przyszła do biblioteki po to, aby sprawdzić, czy na papeterii widnieje nazwa *Titanica*. Spojrzała, co pisze pan Briarley. Miała nadzieję, że list będzie leżał tak, aby dało się sprawdzić nagłówek, lecz okazało się, że pan Briarley pisze pocztówkę.

– Muszę wysłać wiadomość dla mojej siostrzenicy – wyjaśnił.

Na pocztówce nie umieszczono drukowanego nagłówka, tylko trzy linijki na adres. Pan Briarley zdążył napisać tylko: „Droga Kit”.

– Zna pani moją siostrzenicę? – spytał, a zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Polubiłaby ją pani. Nosi imię na cześć Kita Marlowe’a. „Więc to oblicze wysłało na morze / Tysiąc okrętów (...)?”^{15} Chociaż wątpię, czy miał na myśli właśnie ten. I jeszcze: „Honor kupujemy własnymi uczynkami. / Nie zdobędziesz go, dopóki nie uczynisz czegoś godnego”^{16}. Czy mu się to udało? Ciekawe. Zawsze jest mniej czasu, niż nam się wydaje. Czas w jego wypadku dobiegł nagle końca w gospodzie w Deptford.

– Wiem – stwierdziła Joanna.

Pan Briarley sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Zapamiętała to pani z lekcji?

– Nie, oglądałam film *Zakochany Szekspir* – wyjaśniła. – Z Gwyneth Paltrow. – Joanna pomyślała, że to niewiarygodne, że prowadzi tę rozmowę. – Pożyczyłam ją do spółki z Vielle.

– Zasztyletowany – westchnął pan Briarley. – Szybka śmierć, choć pewnie nie tak szybka, jak sobie wyobrażał. Ani tak spokojna, chociaż miał o tym pewne pojęcie. Faust mówi: „Tak, módlcie się za mnie, módlcie się za mnie; a jakikolwiek hałas usłyszycie, nie wchodźcie tu do mnie, bo nic uratować mnie nie może”. Ale to nie zawsze prawda. Tak czy owak, mamy jeszcze trochę czasu na herbatę. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem o pani pobycie na pokładzie. Mielibyśmy czas, aby podyskutować. „Rozmowę bawmy się o butach, bułkach, błaznach...” – Wstał, zdjął płaszcz z oparcia krzesła i włożył go na siebie. – Zdążylibyśmy także rozwikłać tajemnice wszechświata. No cóż, na to nic się nie poradzi, ale przynajmniej mamy czas na herbatę.

Podniósł pocztówkę i wsunął ją do kieszeni, zbyt szybko, aby Joanna dostrzegła coś więcej poza ręcznie kolorowanym zdjęciem statku oraz jasnyniebieskim oceanem i błękitnym niebem.

– Muszę najpierw pójść w pewne miejsce, a potem udamy się do restauracji A La Carte. Nie, lepiej chodźmy do Palm Court. Jest nieco bliżej rufy. – Zerknął na zegarek. – Tak, zdecydowanie Palm Court, ale najpierw muszę zanieść przesyłkę na pocztę.

– Na pocztę? – powtórzyła Joanna, przypominając sobie urzędnika pocztowego, ciągnącego mokry worek płócienny po schodach. – Nie, panie Briarley, proszę zaczekać! – wrzasnęła, lecz nauczyciel zniknął już za drugimi drzwiami. – Nie może pan zejść do magazynu pocztowego! – krzyknęła za nim, otwierając drzwi i zbiegając po kręconych marmurowych schodach, prowadzących do postaci odlanej w brązie. – Już jest pod wodą – wydyszała i znieruchomiała, wpatrując się w posąg.

Był to cherubin, ze skrzydłami i kręconymi włosami, trzymający w ręku złotą pochodnię. Wiedziała, że na pokładzie z promenadą znajdowało się wejście, pomyślała Joanna. Nie miała wątpliwości, że widzi główne schody. Wiedziała też, na jakim statku się znajduje.

Odwróciła się i spojrzała w górę schodów, gdzie ujrzała zegar z brązu, a obok niego dwa anioły w długich szatach i ze skrzydłami. Honor i Chwała koronujące Czas. Joanna odchyliła głowę, aby spojrzeć w oszklony dach. Szyby na suficie miały taki sam mlecznozłoty kolor, jak okna osłaniające tylne schody, lecz były znacznie większe, a pośrodku wisiał kryształowy żyrandol. Promieniował światłem niczym oszlifowany brylant.

– To na pewno *Titanic* – szepnęła Joanna i odwróciła się do pana Briarleya.

Nie dostrzegła go. Znikł, kiedy wpatrywała się w przeszklony sufit. Dokąd poszedł? Zbiegła na dół schodów, aby przez balustradę przyjrzeć się niżej położonym pokładom.

– Panie Briarley! – krzyknęła, lecz nie było go na schodach. Kiedy się wychyliła, usiłując dojrzeć coś w ciemnościach, z lewej strony dobiegł ją dźwięk zatraskiwanych drzwi. Popędziła w tę stronę. Biegła długim, jasno oświetlonym korytarzem, wyłożonym czerwonym dywanem, widząc zamykające się drzwi.

– Panie Briarley! – zawołała, otwierając je. Korytarz za nimi rozszerzał się i zakręcał, dochodząc do kolejnych schodów. Na niższym pokładzie znowu rozległ się dźwięk zamykanych drzwi. Joanna zbiegła po schodach. Tuż obok nich znajdowało się niewielkie pomieszczenie, z reklamą w czerwono-białe pasy. Fryzjer. Obok, na rogu, znajdowało się okienko ze złotym napisem: „Intendent”. Poczta musiała być gdzieś w pobliżu.

Między salonem fryzjerskim i biurami intendenta znajdowały się drzwi. Nie widniał na nich żaden znak, ale kiedy Joanna położyła dłoń na klamce, otworzyły się bez oporu. Wewnątrz zauważyła plątaninę przewodów w czerwono-czarnej izolacji, rozpiętych na dużej drewnianej tablicy. Usłyszała dzwonienie: jak się przekonała, dobiegało ono ze słuchawek, leżących przed tablicą.

Joanna pomyślała, że ma przed sobą łącznicę pokładową, po czym pobiegła obok biur intendentów i wypadła za róg. To przejście okazało się zupełnie ciemne i Joanna nic nie widziała, zwłaszcza że długo przebywała w jasnym świetle lamp na schodach. Ostrożnie przeszła kilka kroków.

- Przecież to jest moje przejście – zdziwiła się głośno.
- Co powiedziała? – ostro spytał Richard.
- „Przejdźcie” – wyjaśniła Tish. – Wydaje mi się, że jest przytomna.
- To niemożliwe – stwierdził Richard, a Joanna poczuła, jak ktoś zdejmuje jej maskę.

Otworzyła oczy.

– Jestem – odezwała się – ale nie powiedziałam „przejdźcie”, tylko „przejsście”. Weszłam do niego omyłkowo. Nie zdawałam sobie sprawy, że to moje przejście. – Usiłowała usiąść.

- To był jego drugi koniec. Byłam...
- Proszę leżeć nieruchomo – przykazała Tish, owijając taśmę ciśnieniomierza wokół ramienia Joanny. – Jeszcze nie zbadałam pani objawów czynności życiowych.
- Nie wchodziłabym do środka, gdybym wiedziała...
- Nieruchomo – podniosła głos Tish. Joanna posłuchała i zaczęła, aż Tish skończy badanie i przystąpi do zdejmowania elektrod oraz odłączenia kroplówki.

– Myśli pan, że to z powodu zmniejszenia dawki? – spytała Tish, odlepiając plaster przytrzymujący igłę kroplówki.

– Nie wiem – odparł Richard. – Dawkę ustaliłem znacznie powyżej poziomu progowego.

– Co się stało? – zainteresowała się Joanna, obracając się tak, aby widzieć Richarda.

– Ocknął się przed czasem – wyjaśniła Tish. – Tak samo jak pani Troudthaim.

– Przed czasem? – zdumiała się Joanna. – Niemożliwe. Byłam... – Spojrzała na Tish. – Byłam tam bardzo długo.

Richard pomógł jej usiąść.

– Jak długo? – spytał.

– Trudno powiedzieć. – Joanna usiłowała zebrać myśli. Poszła na pokład łodziowy, rozmawiała z Gregiem Menottim, a potem z panem Briarleyem. Ile to wszystko mogło trwać? Wreszcie zeszli po głównych schodach...

– Ach, muszę ci coś powiedzieć – wykrzyknęła. – O tym, co widziałam. To z całą pewnością... to, o czym ostatnio rozmawialiśmy.

– Jak długo? – powtórzył, jakby jej nie słyszał.

– Przynajmniej godzinę.

– Godzinę? – osłupiała Tish.

– Pamiętasz, czy wydarzenia rozgrywały się w sposób ciągły? – indagował Richard. – A nie fragmentaryczny?

– Nie. Było tak samo jak zawsze. Wszystkie zdarzenia w jednej sekwencji.

– A co z rozciągnięciem czasu?

Pokręciła głową.

– Nie zauważyłam, żeby cokolwiek odbywało się szybciej lub wolniej niż w rzeczywistości. Wszystko rozgrywało się w czasie rzeczywistym. – Z tym, że najwyraźniej było inaczej. – Jak długo pozostawałam nieprzytomna?

– Osiem sekund – odparł Richard. – Jak dużo czasu spędziłaś tam w porównaniu z poprzednimi badaniami?

– Więcej – odparła bez wahania.

– A zatem twoje doświadczenia oraz przebieg sesji pana Sage'a potwierdzają, że nie istnieje bezpośredni związek między subiektywnym odczuciem upływu czasu a czasem rzeczywistym – zdecydował Richard, a Joanna nagle przypomniała sobie Lavoisiera. Jak długo naprawdę był przytomny? Ile czasu w jego odczuciu minęło między kolejnymi mrugnięciami oczyma?

– Czy to było pełne doświadczenie graniczne, czy też urwało się w połowie?

– Jedno i drugie – stwierdziła Joanna, żałując, że nie może wyjaśnić nic więcej, bo Tish jeszcze nie skończyła odczepiania elektrod. – Usiłowałam znaleźć pana Briarleya. Szedł do magazynu pocztowego, a ja starałam się go dogonić i weszłam do przejścia...

– Na pocztę? – odezwała się Tish. – Zdawało mi się, że miała pani widzieć niebo.

– ...i dopiero w środku uświadomiłam sobie, że to jest to samo przejście, ale było już za późno. Z powrotem zjawiłam się w laboratorium.

– A zatem zakończenie było inne? – podchwycił Richard.

– Tak i nie. Wróciłam przez to samo przejście, lecz nastąpiło to w sposób bardziej nagły niż zwykle. Ocknęłam się gwałtowniej niż dotąd.

Richard podszedł do pulpitu i napisał coś szybko na klawiaturze, a potem wbił wzrok w ekran.

– Tak myślałem. Twój ostatni skan jest wierną kopią zdjęcia z sesji pani Troudthaim. – Znowu coś wystukał. – Chciałbym, żebyś jak najszybciej nagrała i spisała swoją relację.

– Oczywiście – zgodziła się Joanna. – Chciałbym jeszcze porozmawiać z tobą o tym, co widziałam.

Z roztargnieniem skinął głową, wpatrując się w skany. Joanna dała za wygraną i schowała się w przebieralni, gdzie wciągnęła bluzkę i żakiet, włożyła buty i wyszła. Richard wciąż coś pisał na komputerze. Tish zwijała przewody urządzeń monitorujących. Wszystko inne już odłożyła na miejsce. Joanna pomyślała, że zaczeka, aż pielęgniarka skończy i wtedy opowie Richardowi o głównych schodach. Postawiła krzesło w kącie laboratorium, usiadła i włączyła dyktafon.

Nie miała wątpliwości, że Richard oskarży ją o konfabulację rozmowy, którą odbyła z panem Briarleyem. Mimo to rozpoczęła relacjonowanie:

– Joanna Lander, sesja szósta, drugi marca. Usłyszałam hałas i znalazłam się w przejściu – powiedziała cicho od mikrofonu. Opisała swoje próby znalezienia głównych schodów, bezowocną rozmowę z Gregiem Menottim, wyjście na pokład z promenadą. – Przeszłam po pokładzie do miejsca, na które padało światło z baru... – Zawiesiła głos i zamyśliła się nad czymś.

Powiedziała, że przebywała na *Titanicu* przez godzinę, i z całą pewnością odniosła takie wrażenie, lecz w przeciągu godziny od zderzenia statek przechyliłby się znacznie. Możliwe, że jednak doszło do spowolnienia upływu czasu, choć niewykluczone, że to kolejna nieścisłość, która ma jakieś znaczenie.

Joanna uznała, że musi o tym poinformować Richarda, i podniosła wzrok na pulpit. Richard właśnie skończył drukować jakiś tekst.

– Joanno – odezwał się do niej. – Chciałbym pokazać te wydruki pani doktor Jamison, żeby powiedziała, co o tym myśli. – Wyszedł, zanim zdążyła wyłączyć magnetofon.

Gdy opuszczał pomieszczenie, właśnie wstawała z krzesła, więc opadła na nie zniechęcona i powróciła do nagrywania relacji. Opisała męczyzną rozkładającego karty, bibliotekę, człowieka przy biurku.

– A kiedy spojrzałam w jego stronę, okazało się, że to pan Briarley, mój nauczyciel angielskiego w szkole średniej. W niczym nie przypominał pana Briarleya, którego spotkałam pięć dni temu. Pamiętał moje nazwisko i klasę, do której chodziłam, poza tym wyglądał na zdrowego i szczęśliwego...

Zdrowy i szczęśliwy. „Moja matka wyglądała na zdrową i szczęśliwą, nie tak jak ostatnim razem”, opowiadała pani Isakson. Tuż przed śmiercią strasznie schudła i zrobiła się żółta”. Joanna uświadomiła sobie, że osoby po doświadczeniach granicznych właśnie w taki sposób opisują swoich zmarłych krewnych, widzą ich z utraconymi kończynami i w pełni władz umysłowych.

Pan Briarley pamiętał, na czyją cześć nazwano Kit, potrafił zacytować *Pieśń o starym żeglarzu*.

On nie żyje, przeszło jej przez głowę i poczuła ukłucie strachu. Zmarł. Właśnie dlatego widziałam go na pokładzie. Pan Mandrake miał rację, opowiadając o tym, że osoby widziane podczas doświadczeń granicznych już nie żyją.

Bzdura, skarciła się Joanna, patrząc na magnetofon. Wiesz doskonale, że żaden z tych wypadków nie został udokumentowany, a pacjenci nigdy nie wspominali o spotkaniu z jakąś osobą, dopóki nie otrzymali z zewnątrz potwierdzenia jej śmierci, tak jak te wszystkie media, utrzymujące, że „widziały” W.T. Steada o drugiej dwadzieścia w nocy, kiedy zatonął *Titanic*. Żadne z nich nie podało swojej wizji do publicznej wiadomości, dopóki nazwisko Steada nie pojawiło się na liście osób zaginionych. Te historie są nieprawdziwe. Pan Briarley żyje. Ujrzałaś go, gdyż o nim myślałaś i martwiłaś się o niego. Tylko dlaczego nie zobaczyłam Vielle? Albo Maisie? I dlaczego spotkałam Grega Menottiego?

Dlatego, że nie żyje, uznała Joanna. Na pokładzie przebywają zmarli. Znowu poczuła strach. Muszę to sprawdzić. Zadzwońię do Kit.

Ale gdyby zadzwoniła, a panu Briarleyowi coś się stało, znalazłaby się w identycznej sytuacji, co pacjenci pana Mandrake’a. Nie dysponowała żadnymi dowodami na to, że wcześniej nie dowiedziała się o śmierci nauczyciela, że najpierw nie odbyła rozmowy z Kit, a potem nie wymyśliła sobie obecności pana Briarleya w bibliotece.

Postanowiła najpierw opowiedzieć Richardowi o swoich doświadczeniach, a potem zatelefonować do Kit. Nie miała jednak pojęcia, kiedy wróci. Mogła spróbować go znaleźć, ale nawet gdyby jej się to udało, i tak nie przebywała z nim przez cały czas po eksperymencie. Mógł bez trudu stwierdzić, że skontaktowała się z Kit pod jego nieobecność.

Tish mogła poświadczyć, że Joanna nie opuściła laboratorium, ani też z nikim nie rozmawiała telefonicznie. Problem w tym, że Richard nie chciał, aby pielęgniarka dowiedziała się czegokolwiek na temat *Titanica*. Zresztą Joanna zgadzała się z nim pod tym względem. Gdyby pan Mandrake dowiedział się o treści jej doświadczeń granicznych... Wyobraziła sobie nagłówki w piśmie „Star”: „Widzę zmarłych! Naukowiec otrzymuje wiadomości z tamtego świata”.

Nikt inny nie mógł jednak udowodnić, że nic nie wiedziała o śmierci pana Briarleya. Joannie przyszło w dodatku do głowy, że jeśli się nie pośpieszy, także Tish nie będzie mogła wystąpić w charakterze świadka. Spojrzała na pielęgniarkę, przygotowującą sprzęt do sesji pana Sage’a. Za pięć minut będzie gotowa do wyjścia.

Joanna przygryzła wargę, usiłując podjąć decyzję, co robić dalej. Po chwili włączyła magnetofon i zaczęła pośpiesznie opowiadać, opisując wszystko, co zapamiętała z wyglądu pana Briarleya i tego, co powiedział. „Zawsze jest mniej czasu, niż nam się wydaje”. I jeszcze: „jakikolwiek hałas usłyszycie, nie wchodźcie tu do mnie, bo nic uratować mnie nie może”^{17}.

Starał się przekazać mi, że nie żyje, uznała Joanna. Całą siłą woli powstrzymała się przed wstaniem i podejściem do telefonu. Postanowiła zakończyć nagranie.

– Pan Briarley wyglądał zupełnie normalnie – stwierdziła do dyktafonu – ale kiedy...

– Mówiła pani coś? – zainteresowała się Tish, stojąca przy stole do badań.

– Nie, tylko nagrywam swoją relację – wytłumaczyła Joanna.

– Aha. Mam zrobić coś jeszcze czy mogę iść na lunch?

– Jest jeszcze jedna sprawa – oświadczyła Joanna.

– O – rozczarowała się Tish. – Co takiego? Jest już pierwsza, a bufet...

Pewnie jest nieczynny od kwadransa, dokończyła w myślach Joanna, a jeśli wyjdiesz, przypadnie moja dokumentacja.

– Chciałabym, aby była pani moim świadkiem.

– Świadkiem? Jak przy sporządzaniu testamentu?

– Nie, nie chodzi mi o testament, tylko o stwierdzenie faktu. Rzecz w tym, że zanim pani wyjdzie, muszę dokończyć nagrywanie swojej relacji z doświadczeń granicznych, co zajmie kilka minut.

– A nie mogę wyjść i wrócić?

– Nie – odparła stanowczo Joanna. – Musi pani ze mną zostać. Potrzebuję świadka, że nie opuściłam laboratorium ani z nikim nie rozmawiałam przez telefon.

Ponownie uruchomiła magnetofon i zaczęła szybko opowiadać.

– ...ale kiedy się ocknęłam i przystąpiłam do nagrywania swojej relacji z doświadczeń granicznych, odniosłam silne wrażenie, że jego obecność w tamtym miejscu oznacza, że zmarł – mówiła Joanna, usiłując nie zwracać uwagi na Tish, która stała pośrodku laboratorium, tupiała nogą o podłogę i co kilka sekund spoglądała na zegarek. – O ile mi wiadomo, pan Briarley... Nie musi pani się we mnie wpatrywać. – Tish wzruszyła ramionami i poszła do przebieralni, aby umalować usta szminką i przejrzeć się w lustro wiszącym po wewnętrznej stronie drzwi.

– O ile mi wiadomo, pan Briarley żyje – kontynuowała Joanna. – Widziałam go pięć dni temu, a wczoraj rozmawiałam z nim przez telefon. O ile mi wiadomo, cieszył się dobrym zdrowiem, z wyjątkiem choroby Alzheimer'a. Nie był także ranny. Od tamtego czasu nie kontaktowałam się z nim i nikt mnie nie informował o jego stanie. Koniec relacji Joanny Lander. Godzina trzynasta osiem.

Wyciągnęła taśmę z magnetofonu.

– W porządku – zwróciła się do Tish, która właśnie pociągała rzesę maskarą, i podeszła do biurka Richarda. Sięgnęła ręką do włącznika komputera, lecz powstrzymała się przed uruchomieniem urządzenia, kiedy uświadomiła sobie, że nie powinno być żadnej możliwości nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym. Wzięła więc kartkę papieru. Do biurka podeszła Tish. Z jej ramienia zwisała już torebka. Pielęgniarka najwyraźniej śpieszyła się do wyjścia. Joanna pomyślała, że to dobrze, bo nie będzie zadawała wielu pytań.

„Znajdowałam się w obecności J. Lander”, napisała Joanna, „od początku procedury do zakończenia nagrywania jej relacji. J. Lander ani na moment nie opuściła laboratorium, ani też nie kontaktowała się z kimkolwiek spoza laboratorium”. Przesunęła papier do Tish.

– Proszę to podpisać i podać datę oraz godzinę – przykazała, wręczając pielęgniarce długopis.

Tish przeczytała oświadczenie.

– Po co to wszystko? – zainteresowała się. – Nie zapewniam pani alibi, co?

– Nie – odparła Joanna. – Chcę tylko, żeby pani udokumentowała, kiedy i gdzie sporządziłam relację z doświadczeń granicznych.

– Nigdy dotąd nie musiałam dokumentować pani eksperymentów – oświadczyła podejrzliwie Tish.

– Zwykle zajmuje się tym doktor Wright – skłamała Joanna. Spojrzała wymownie na zegarek. – Jest piętnaście po pierwszej.

– Naprawdę? – zaniepokoiła się Tish i podpisała oświadczenie. – Czy to już wszystko?

– Nie. – Joanna podniosła taśmę. – To jest nagranie mojej relacji. – Owinęła kasetę w inną kartkę papieru i zakleiła ją taśmą. – Podpisz się tutaj i napisz dzisiejszą datę.

– Wszystko to z powodu doświadczeń granicznych, podczas których zobaczyła pani pocztę? – Tish nie mogła się nadziwić. – Jeśli kiedykolwiek przydarzą mi się doświadczenia graniczne, mam nadzieję, że ujrzę coś ciekawszego.

Wcale byś sobie tego nie życzyła, pomyślała Joanna i wręczyła Tish długopis.

– Jest siedemnaście po pierwszej.

Tish sprawdziła na swoim zegarku i podpisała.

– Mogę wreszcie iść?

– Jeszcze tylko jedna sprawa. – Joanna podniosła słuchawkę. – Chcę, żeby była pani świadkiem mojej rozmowy telefonicznej. – Wystukała numer Kit, po raz pierwszy mając nadzieję, że odbierze pan Briarley. Nie miała pojęcia, co powie, jeśli odezwie się Kit. „Cześć, przeprowadzamy tu taki mały eksperyment. Czy wujek Pat żyje?”

Tish znowu zaczęła tupać nogą. A jeśli nikt się nie zgłosi? Na pewno nie będzie chciała stać tu i czekać, kiedy Joanna zacznie dzwonić w rozmaite miejsca...

– Słucham? – rozległ się kobiecy głos. To nie była Kit. – Halo?

Joanna pomyślała, że pomyliła numery.

– Czy... Chciałam rozmawiać z Kit Gardiner – wyjąkała. – Mogę ją prosić do telefonu?

– Niestety, wyszła. Moje nazwisko Gray, z ośrodka opieki nad osobami w podeszłym wieku.

– Zastałam pana Briarleya?

– Nie – odparła pani Gray. – Oboje właśnie pojechali na oddział nagłych wypadków.

Rozdział 32

Ośrodek kontroli lotu: *Challenger, możecie przyśpieszyć.*

Challenger: *Zrozumiano, przyśpieszamy, (zakłócenia atmosferyczne)*
(Przerwa)

Ośrodek kontroli lotu: *Kontrolerzy lotu bardzo uważnie obserwują rozwój sytuacji. Niewątpliwie doszło do poważnej awarii.*

– Oddział nagłych wypadków – powtórzyła spokojnie Joanna. Pan Briarley nie żyje, a ja o tym wiedziałam, chociaż nie miałam możliwości się o tym dowiedzieć. Rzuciła słuchawkę i ruszyła w stronę drzwi.

– Dokąd pani idzie? – zdziwiła się Tish. – Zdaje się, że miałam być świadkiem pani rozmowy telefonicznej.

Joanna stanęła nieruchomo, wpatrując się w pielęgniarkę.

– Więc jak, mam podpisać jakieś oświadczenie o tym, do kogo pani dzwoniła i co mówiła? – dopytywała się Tish.

– Nie – wykrztusiła wreszcie Joanna. – To już wszystko.

– Nie ma sprawy – odparła z powątpiewaniem Tish. – Chociaż myślałam, że mam zostać i być świadkiem.

Być świadkiem. Potwierdzić fakt, że Joanna nie mogła wcześniej się dowiedzieć o śmierci pana Briarleya. On nie żył. Znowu był sobą, nie męczył się już, usiłując przypomnieć sobie swoją siostrzenicę albo słowo „herbata”. Zdrowy i szczęśliwy, z pamięcią funkcjonującą tak jak dawniej. Na tamtym świecie.

– Pani Joanno? – Tish wpatrywała się w nią z niepokojem. – Wszystko w porządku?

Joanna pomyślała, że nic nie jest w porządku. To są prawdziwi ludzie. Nie miała halucynacji.

– Nic mi nie jest. Naprawdę może pani już iść. Wiem, że się pani śpieszyła na lunch.

– Ten przystojny położnik, o którym wspominałam, jeszcze nie wykombinował, w jakich godzinach pracuje bufet – oświadczyła, grzebiąc w torebce. – Mam ze sobą całą masę dwudziestopięciocentówek do

automatów. Gdzie jest moja portmonetka? Fakt, doritos i skittles nie są szczególnie romantyczne, ale skoro nigdzie w pobliżu nie ma żadnych restauracji... O, jest. Dobrze. – Wyciągnęła czerwoną portmonetkę w grochy i wsunęła ją do kieszeni. – Ktoś naprawdę powinien otworzyć jakiś lokal naprzeciwko – stwierdziła i podeszła do drzwi. – Zbiłby majątek – dodała na koniec i wreszcie wyszła.

Joanna zmusiła się do tego, aby poczekać, aż usłyszy dzwonek i szum windy, a następnie wybiegła z laboratorium i popędziła na oddział nagłych wypadków. Zbiegając po schodach, powtarzała sobie, że to niemożliwe. Media to oszuści, a pani Davenport to ciemnota. W ich słowach nie ma ani krztyny prawdy. To nie może być prawda. Ale przecież nie mogła się o tym dowiedzieć w żaden inny sposób. Nikt o tym nie rozmawiał, kiedy była nieprzytomna. Richard i Tish nawet nie znali pana Briarleya, a gdyby Kit dzwoniła i zostawiła dla niej wiadomość, Richard na pewno wspomnieliby o tym, jak tylko się ocknęła.

Joanna wbiegła przez boczne drzwi na oddział nagłych wypadków i zatrzymała się, ciężko dysząc. Nigdzie nie widziała Kit ani paramedyków, ani też zespołu reanimacyjnego. Na dworze, przy drzwiach karetki, stał ochroniarz, który nagle przestał podpierać ścianę, wyprostował się i spojrzał na Joannę. Zachowuj się normalnie, przykazała sobie i spróbowała uspokoić oddech, opanować się i sprawiać wrażenie osoby, która kogoś szuka.

Usiłowała wypatrzeć asystentkę – jak ona miała na imię, Nina? – na którą Vielle zawsze wrzeszczała, albo tego niezdarnego stażystę, lecz najwyraźniej grypa zebrała swoje żniwo. Joanna nie знаła ani jednej osoby z personelu, a nie mogła tak po prostu wejść do sal urazowych, zwłaszcza że ochroniarz cały czas bardzo uważnie się jej przyglądał, chociaż z całą pewnością widział identyfikator zawieszony na jej szyi i musiał wiedzieć, że Joanna należy do osób na stałe zatrudnionych przez szpital. Ponownie oparł się o ścianę.

Musiła porozmawiać z pielęgniarką dyżurną. Podeszła do recepcji.

– Szukam Patricka Briarleya – odezwała się do nieznanej pielęgniarki. – Podobno przywiozła go tutaj jego siostrzenica, Kil Gardiner.

– Briarley? – powtórzyła pielęgniarka, wstukała jego nazwisko do komputera i przez chwilę wpatrywała się w ekran. – Spóźniła się pani.

Spóźniłam się. Mogłam się domyślić. Widziałam go po Tamtej Stronie. Mogę to udokumentować, myślała Joanna.

– Właśnie wyszedł – stwierdziła pielęgniarka.

– Wszedł? – To nie miało żadnego sensu.

Pielęgniarka sprawiała wrażenie lekko przestraszonej.

– Do chwili pani przyjścia w jego karcie nie odnotowano niczego, pani doktor... – Usiłowała odczytać nazwisko na identyfikatorze Joanny. – Chce pani jego numer telefonu? Mogę tam zadzwonić, ale wątpię, czy już dotarli na miejsce. Właśnie wyszli, nie dalej jak pięć minut temu.

– Zabrali go na górę? – Jednak nie umarł. Zespół reanimacyjny go odratował. – Przyjęto go?

– Z powodu skaleczeni a kciuka? – zdumiała się pielęgniarka.

Skaleczenie kciuka? A więc to nie udar ani atak serca. Skaleczenie kciuka. Żyje. Przestraszyła się jak przesądne dziecko, bojące się własnego cienia.

– A więc się skaleczył – stwierdziła Joanna. – Głęboko?

– Musi pani porozmawiać z dyżurnym rezydentem stacjonarnym – wyjaśniła pielęgniarka, podejrzliwie wpatrując się w identyfikator Joanny. – Doktor Carroll. On przyjął pana Briarleya.

Joanna się odwróciła i weszła w głąb oddziału nagłych wypadków, żałując, że panem Briarleyem zajął się rezydent, a nie stażysta, który na pewno chętnie opowiedziałby wszystko o pacjencie i jego leczeniu. Vielle zawsze upominała ich, aby przestrzegali tajemnicy lekarskiej. „Przynajmniej będą to wiedzieli, zanim zostaną rezydentami”, oznajmiła Joannie. „Nawet gdyby niczego więcej się nie nauczyli”.

Będzie musiała spytać jedną z asystentek. Nina jednak była w pracy, stała przy sterylizatorze. Joanna podeszła do niej.

– Pani Nino, muszę...

Nina podskoczyła i upuściła kleszcze.

– Ojej, pani doktor, co pani tu robi? – wykrzyknęła i rozejrzała się nerwowo dookoła. – Pani Howard nie ma dzisiaj na oddziale, jeśli właśnie jej pani szuka.

– Wiem. Chciałam porozmawiać z panią. Kto asystował doktorowi Carrollowi przy przyjmowaniu pacjenta ze skaleczonym kciukiem? Nazywał się Briarley.

– Pan Briarley? – powtórzyła z ulgą Nina. Zamiast odpowiedzieć, pociągnęła Joannę za sobą do centrali komunikacyjnej. Pomieszczenie wciąż nie było gotowe, z pulpitych radiowych sterczały druty i wszędzie

stały nierozpakowane pudła. Nina zamknęła za sobą drzwi. – Teraz możemy spokojnie porozmawiać.

Przy sterylizatorze wcale nie było niespokojnie, ale możliwe, że Vielle nauczyła Ninę przestrzegania tajemnicy lekarskiej.

– Kto asystował doktorowi Carrollowi przy bandażowaniu skaleczonego kciuka pana Briarleya? – powtórzyła Joanna.

– Nikt – odparła asystentka. – Skaleczenie okazało się zbyt płytkie, aby zakładać szwy. Doktor Carroll tylko przykleił plaster z opatrunkiem, a potem owinął bandażem, bo siostrzenica pana Briarleya powiedziała, że jej wujek zapomni, po co jest plaster, i go oderwie.

Pan Briarley skaleczył się w kciuk. Znajdował się na oddziale nagłych wypadków, kiedy ona widziała go na *Titanicu*, a przekonanie o jego śmierci wzięło się z płata skroniowego, a nie z Tamtej Strony. A skoro poczucie, a wręcz przekonanie, że pan Briarley nie żyje, okazało się fałszywe, co można powiedzieć o przekonaniu, że *Titanic* stanowi klucz do poznania znaczenia doświadczeń granicznych?

– ...zabawny staruszek – ciągnęła Nina. – Wciąż powtarzał: „Kto by pomyślał, że starszy człowiek może pomieścić w sobie tyle krwi?” I wspominał coś o oceanie.

– „Mógłżeby cały ocean te krwawe ślady spłukać z mojej ręki?”[{18}](#) – podsunęła Joanna.

– Zgadza się, właśnie tak. To jakiś cytat?

– Z *Makbeta* – wyjaśniła Joanna. Pamiętała, jak pan Briarley odgrywał na lekcjach sceny z dramatu, wymachując linijką jak mieczem. – „Obecna zgroza nie tyle jest straszna, Ile okropne twory wyobraźni”[{19}](#).

Okropne twory wyobraźni. Ten cytat niezwykle dobrze pasował do całej sytuacji. Właśnie one ją nawiedzały. „Lady Makbet doskwiera brak wyobraźni”, opowiadał na lekcji. „A Makbet ma jej zbyt wiele, słyszy głosy i widzi duchy”.

– Czy w poczekalni jest telefon? – spytała Ninę.

– Jasne, ale mogę pani przynieść inny aparat.

Wyszła. Joanna usłyszała kobiecy głos, melancholijnie twierdzący:

– Nic nie rozumiesz, Brytyjczycy potrafią współ... – Zdanie urwało się w chwili, gdy Nina zamknęła za sobą drzwi.

Asystentka momentalnie powróciła z bezprzewodowym telefonem w dłoni.

– Telefony będą się znajdowały w tym pokoju, kiedy wreszcie zmontują centralę – oświadczyła, wręczając słuchawkę Joannie.

– Dziękuję – stwierdziła Joanna i wystukała numer, nie czekając, aż Nina wyjdzie. Linia była zajęta. Joanna rozłączyła i następnie wcisnęła przycisk ponownego wybierania.

– Muszę ich ostrzec – rozległ się kobiecy głos, jeszcze głośniejszy niż poprzednio. – Jeden jeśli lądem, dwa jeśli morzem! – oznajmiła złowroźnie.

– Oho! – Nina zajrzała za drzwi. – Zdaje się, że przywieźli kolejnego czubka. Mam nadzieję, że to tylko schizofrenia, a nie amator rogue. Po tym, co się wydarzyło... – Przerwała zdenerwowana. – Chodzi o to, że oni tak bardzo odlatują, że nawet nie wiedzą, co robią. Patrzą na ciebie i nic nie widzą. Zupełnie, jakby przebywali w innym miejscu.

Joanna nie słuchała. W słuchawce rozległ się sygnał dzwonka.

– Nina! – krzyknął jakiś mężczyzna. – John! Potrzebuję pomocy. Natychmiast!

– Muszę iść. – Nina wyrzała za drzwi. Trzy dzwonki. Cztery.

– Nic mi nie jest! – zaskrzeczała kobieta. – Nic nie rozumiecie! Ujrzałam znak! To się działo naprawdę!

– Nina! Chodź tu w tej chwili! Uwaga!

– Jak pani skończy, proszę zostawić telefon w recepcji. – Nina wybiegła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Sześć dzwonek. Siedem.

– Słucham – odezwał się pan Briarley.

Joanna poczuła przyływ ulgi.

– Pan Briarley?

– Przy telefonie. Kto mówi?

– Ja... Joanna Lander – wyjąkała. – Chciałam...

– Ach tak, pani Lander. Życzy sobie pani rozmawiać z Kit?

– Tak.

– Zaraz ją zawołam. Kit! – Joanna usłyszała krzyk pana Briarleya. – Dzwoni Joanna Lander!

W słuchawce rozległ się głos Kit.

– Cześć, Joanna. Wiesz, przepraszam, ale naprawdę nie miałam czasu, żeby poszukać tej książki albo sprawdzić rzeczy, o które mnie prosiłaś. Wujek Pat skaleczył się w kciuk i...

– Wiem – przerwała Joanna. – Wszystko z nim w porządku?

– Czuje się dobrze, chociaż strasznie się przeraziłam na widok takiej ilości krwi. Nie przypuszczałam, że skaleczony kciuk może tak krwawić.

– „Ręce ich i twarze nosiły ślady krwi”. – Z oddali dobiegł głos pana Briarleya.

– Na szczęście była u nas pani Gray – opowiadała Kit. – Zabandażowała palec i mogłam zawieźć wujka na oddział nagłych wypadków.

– Jak to się stało?

– Stłukła się szklanka z sokiem, a wujek chciał pozbierać kawałki szkła – wyjaśniła Kit, a Joanna zastanowiła się, czy to cała prawda, czy też pan Briarley ponownie zdemolował kuchnię.

– Ale teraz wszystko z nim w porządku?

– Jak najbardziej – zapewniła ją Kit. – Obawiałam się, że oddział nagłych wypadków go zdenerwuje, ale to jeden z jego lepszych dni. – Roześmiała się. – Wciąż cytował *Makbeta*. „Toż ich sztylety, Któreśmy na ich posłaniu znaleźli” – wyrecytował pan Briarley.

Nic mu nie było. Co więcej, czuł się wyśmienicie.

– Kto dzwoni? – spytał pan Briarley. – Kevin?

– Lepiej będę już kończyć – powiedziała Kit.

– Jeśli to Kevin, przekaż mu, że zadanie domowe to *Rozbicie się okrętu Hesperus*, strony sto sześćdziesiąt dziewięć do sto osiemdziesiąt. Powiedz mu, że to będzie na egzaminie końcowym.

– Cieszę się, że nic mu nie jest – oświadczyła Joanna.

– „Och, ojczy! Widzę połyskujące światło” – ciągnął pan Briarley. – „Powiedz, czymże ono być może?” {20}

Joanna pomyślała, że tyle tytułem wyśmienitego samopoczucia.

– Zadzwoń, jak tylko znajdę książkę – obiecała Kit i odłożyła słuchawkę.

Żył. Uzyskała potwierdzenie z zewnątrz. Więc dlaczego nie mogła pozbyć się tego natrętnego uczucia? Nie ustępowało, chociaż kamień spadł jej z serca, kiedy usłyszała głos pana Briarleya. Niepokoiła się, chociaż wiedziała, że ludzie nie umierają z powodu skaleczenia w kciuk. Może to jakaś wiadomość, niepokój dotyczący przyszłych zdarzeń?

Na zewnątrz rozległ się pisk i grzechot.

– Pani Rosen! – krzyknęła zdesperowana Nina. – Brytyjczycy nie nadchodzą?

– Ależ nadchodzą! – upierała się kobieta i znowu krzyknęła złowróźnie: – Widziałam światło!

Tak, tak, to przekonanie to wiadomość, pomyślała Joanna, wiadomość, że zaczynasz się zachowywać tak samo, jak ta wariatka za drzwiami. Richard się nie mylił. Zmieniasz się w Bridey Murphy.

To nie był żaden niepokój dotyczący przyszłych zdarzeń, ani tym bardziej jasnowidzenie, ani wreszcie dowód na to, że pan Briarley nie żyje. To tylko wrażenie, wywołane przez stymulację płata skroniowego. A co z przekonaniem, że *Titanic* stanowi klucz do wyjaśnienia podłoża doświadczeń granicznych? Czy ostatnia wizja to nie dowód na to, że statek pojawił się w jej myślach wyłącznie na skutek działania odpowiednich związków chemicznych?

– Nie – oświadczyła uparcie, wpatrując się w radiowy pulpit kontrolny i sterczące z niego przewody. – To coś oznacza, a ja się dowiem co. – Innymi słowy musiała oddzwonić Betty Peterson i linijka po linijce przejrzeć wszystkie relacje z doświadczeń granicznych w poszukiwaniu wskazówek.

Nina poprosiła, żeby telefon zostawić w recepcji. Podniosła go i otworzyła drzwi. Kobieta przestała krzykiem obwieszczać przybycie Brytyjczyków. Joanna wychyliła się za drzwi, aby sprawdzić, czy chora wciąż znajduje się w zasięgu wzroku.

Nieznajoma znikła, nie widać też było Niny. Ochroniarz niezmiennie podpierał ścianę, a pielęgniarki w fartuchach kręciły się między salami urazowymi. W połowie korytarza stał młody mężczyzna w białym fartuchu i tenisówkach – doktor Carroll? – i uważnie czytał kartę choroby.

Nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie pojawi się jakiś oszalały ćpun albo wymachujący pistoletem gangster. Joanna skierowała się do bocznych drzwi, uważnie wypatrując każdej niebezpiecznie wyglądającej osoby. Kiedy mijała dwa urządzenia do kontroli pracy serca, przyszło jej do głowy, że przynajmniej nie ma tutaj Vielle. Może kilka dni z dala od oddziału nagłych wypadków pozwoli jej spojrzeć na pewne sprawy z nowej perspektywy. Podeszła do recepcji i odłożyła telefon. Nagle drzwi do sali urazowej numer dwa się otworzyły i wyszedł z nich sanitariusz, rozmawiający z czarną pielęgniarką w czepku chirurgicznym i ciemnoniebieskim...

– Vielle! – wykrzyknęła Joanna. Podeszła do nich, przepychając się przez stłoczonych ludzi. – Co ty tutaj robisz?

Vielle odwróciła się na dźwięk swojego imienia. Gdy dostrzegła Joannę, złapała się odruchowo za prawą rękę i przycisnęła ją blisko do ciała, jakby usiłując ją zasłonić.

– Byłam przekonana, że wracasz dopiero w przyszłym tygodniu – stwierdziła Joanna. – Dlaczego zmieniłaś... – W tym momencie dostrzegła, co zasłaniała Vielle. Właściwie nie tyle zasłaniała, ile ukrywała. To był bandaż owinięty wokół połowy przedramienia.

– Co się stało? – spytała głucho Joanna.

– Nie słyszała pani, że Vielle została postrzelona? – zdziwił się sanitariusz.

– Postrzelona?

– Wlazł jakiś facet i wymachiwał pistoletem. – Sanitariusz pośpieszył z wyjaśnieniem. – Powiedział: Gdzie, do...

– Nie masz się czym zająć? – przerwała mu ostro Vielle. – Trzeba zmienić pościel na łóżkach w czwórce. I wyczyścić podłogę. – Vielle wpatrywała się w Joannę, która nie mogła oderwać wzroku od jej zabandażowanej ręki.

– Wcale nie zachorowałam na grypę – wymamrotała z osłupieniem. – Postrzelono cię.

– Joanna...

– Mogłaś zginąć.

Vielle pokręciła głową w czepku.

– Kula przeszła tylko przez mięsień. To...

– Powiedziano mi, że pojechałaś do domu z powodu grypy. Gdzie byłaś? Na OIOM-ie?

– Skąd, oczywiście, że nie – obruszyła się Vielle. – Kula ledwie drasnęła skórę. Nie potrzebowałam nawet szwów.

– Więc dlatego nie pozwoliłaś mi przyjechać. Twierdziłaś, że nie chcesz, żebym zaraziła się grypą, a tak naprawdę bałaś się przyznać, że ktoś do ciebie strzelał.

– Joanna...

– Mówiłaś, że zostaniesz w domu, aż wydobrzejesz. Naprawdę zostałaś, czy to też było kłamstwo, a ty wróciłaś do szpitala już następnego dnia, bo nie mogłaś się doczekać, aż ktoś znowu cię postrzeli?

– Nic ci nie mówiłam, bo wiedziałam, że zaczniesz się przejmować. Poza tym nie widziałam sensu...

– Co takiego? Przejmować?! – wrzasnęła z wściekłością Joanna, a doktor Carroll i jedna z pielęgniarek odwrócili się, aby sprawdzić, co się stało. Ochroniarz przestał się opierać o ścianę. – Dlaczego miałabym się

przejmować, skoro moja najlepsza przyjaciółka została tylko trochę postrzelona?

– Mów ciszej – syknęła Vielle, spoglądając niespokojnie na ochroniarza.
– Właśnie dlatego ci nie powiedziałam. Wiedziałam, że twoja reakcja będzie przesadna.

– Przesadna?

– Jakież problemy, siostrze Howard? – spytał ochroniarz, podchodząc z ręką na pistolecie.

– Nie – odparła Vielle. – Nie ma żadnych problemów.

– Owszem, są – zwróciła się do niego Joanna. – Gdzie pan był, kiedy ten facet wymachiwał pistoletem? – Odwróciła się do Vielle. – Kiedy dokładnie zamierzałaś mnie o wszystkim poinformować? W ogóle zamierzałaś cokolwiek mi mówić? Powiedziałaśbyś mi, gdyby trafił cię w serce? – wykrzyzczała i rzuciła się biegiem przez cały oddział.

– Joanna! – wrzasnęła za nią Vielle.

Wskoczyła w boczne drzwi. Usłyszała za sobą głos Vielle:

– Zastąp mnie. Wrócę za kilka minut. Joanna, zaczekaj...

Joanna zignorowała przyjaciółkę i popędziła przed siebie korytarzem.

– Joanna, proszę cię! – Vielle dogoniła ją tuż przy schodach. – Nie wściekaj się – poprosiła, lewą dłonią trzymając Joannę za rękę. – Nie powiedziałam ci dlatego, że...

– Dlatego, że wiedziałaś, co powiem. Nie myliłaś się. Powiedziałabym to. Naprawdę myślisz, że będę stała bezczynnie i wpatrywała się, jak ginie moja najlepsza przyjaciółka?

– To tylko zadrapanie – zaprotestowała Vielle. – Nie strzelał do mnie. Wątpię nawet, czy w ogóle zdawał sobie sprawę z tego, że ma w ręku broń. Nafaszerował się rogue...

– Rogue – sapnęła Joanna. – To świństwo o dwadzieścia pięć procent zwiększyło liczbę poszkodowanych trafiających na oddział nagłych wypadków.

– Nic nie rozumiesz. W tym wypadku można równie dobrze winić mnie. Powinnam była się zorientować, że zupełnie stracił zdrowy rozsądek. Myślałam, że mogę go uspokoić, i złapałam go za rękę. W szpitalnym okólniku na pierwszym miejscu napisano: „Nie należy brać udziału w walce”. Nie miałam żadnego powodu...

– Nie masz żadnego powodu, aby pracować na tym oddziale – przerwała Joanna. – Ile jeszcze ostrzeżeń potrzeba, abyś to pojęła? Tutaj nie ma się

nad czym zastanawiać. Musisz po prostu zmienić oddział.

– Nie mogę. I tak brakuje nam personelu. Dwie pielęgniarki leżą z grypą, a fatalna opinia o oddziale sprawia, że nie możemy znaleźć nikogo na zastępstwo. Posłuchaj, to się więcej nie powtórzy. Zatrudnili dodatkowego ochroniarza. Zaczyna od jutra, a dyrekcja napomyka o zainstalowaniu wykrywacza metali.

– Dyrekcja, która na ostatnią strzelaninę zareagowała wydaniem okólnika? Vielle, posłuchaj mnie uważnie. Musisz się przenieść natychmiast.

Vielle spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– W porządku – oznajmiła.

– Poprosisz o przeniesienie? – zamrugła Joanna.

– Zawrzemy układ. Ja się wyniosę z oddziału, a ty powiesz Richardowi, że przestajesz pełnić rolę świnki morskiej.

– Mam zrezygnować z projektu? Dlaczego? – Joanna wpatrywała się w nią z osłupieniem.

– Powiedziałaś, że nie możesz stać beczynną i wpatrywać się, jak ginie twoja najlepsza przyjaciółka? Widzisz, ja też nie. Martwię się o ciebie.

– Martwisz się o mnie? To ty nosisz bandaż na rękę. To ty...

– To ty masz cienie pod oczyma, sięgające kolan – przerwała Vielle. – Zaglądałaś ostatnio do lustra?

– Nic mi nie jest – stwierdziła Joanna.

– To samo powiedziała pewna kobieta z mojego oddziału, ta, która wciąż wrzeszczy „Brytyjczycy nadchodzą!” Ona nie zdaje sobie sprawy, że zwariowała. Jesteś kłębką nerwów, dekoncentrujesz się, kiedy się do ciebie mówi. Kiedy dzisiaj zjawiałaś się na moim oddziale, wyglądałaś...

– Widziałaś mnie? – Joannę znowu zalała krew. – Nie bardzo rozumiem, chowałaś się przede mną? No jasne! – wykrzyknęła, nagle przypominając sobie zdenerwowaną Ninę, niespokojnie rozglądającą się na boki, a potem dającą nura do centrali komunikacyjnej i ciągnącą ją za sobą. – Czekalaś, aż wreszcie doszłaś do wniosku, że sobie poszłam i dopiero wtedy się pokazałaś.

– Nie zmieniaj tematu – sapnęła Vielle. – Byłaś blada jak prześcieradło. Wciąż jesteś zupełnie biała na twarzy.

– A jak mam wyglądać? Właśnie się dowiedziałam, że moja najlepsza przyjaciółka została postrzelona przez chorego psychicznie ćpuna.

Sytuacja stała się patowa. Stały naprzeciwko siebie, jeżąc się jak psy przed walką, aż wreszcie Vielle odezwała się spokojnym tonem:

– Jesteś zdenerwowana, tracisz na wadze...

– Byłam trochę zajęta – przyznała Joanna. – A bufet jest ciągle zamknięty...

– Bufet nie ma nic wspólnego z twoim znikaniem na długie godziny i podskakiwaniem, kiedy ktoś się do ciebie odezwie. Wiesz, jak się zachowujesz?

– Jak Julia Roberts w *Linii życia!*

– Jak Julia Roberts w *Mary Reilly*. Ona też miała podkrążone oczy i omal nie zginęła, bo nie chciała przestać pracować dla doktora Jekylla.

– Richard to nie pan Hyde.

– Richard nie zauważyłby, gdybyś upadła, chyba że utrwaliłoby się to na jednym z tych jego skanów. Musisz go poinformować, że nie możesz już więcej uczestniczyć w sesjach.

– To niemożliwe – odparła Joanna.

– Niby czemu?

Bo to coś oznacza, pomyślała Joanna. Bo to ważne.

– Richard nie ma innych ochotników – oświadczyła. – Z wyjątkiem pana Sage’a, a on jest bezużyteczny. W przeciągu dwóch tygodni musimy przedstawić raport z dotychczasowych osiągnięć, a jeśli wkrótce nie odkryjemy, z czego wynikają doświadczenia graniczne... – Przerwała i zaczęła od początku: – Jeśli to jest mechanizm przetrwania, można będzie wykorzystać go do ratowania pacjentów w stanie śmierci klinicznej, a kluczem do rozwiązania całej zagadki są obrazy, które widuję w trakcie swoich sesji. Muszę wiedzieć, co one oznaczają.

Vielle wpatrywała się w nią uroczyście.

– To na pewno z powodu Maisie Nellis. – Zamyśliła się. – Uważasz, że jesteś w stanie dokonać przełomowego odkrycia, dotyczącego doświadczeń granicznych, dzięki czemu lekarze będą potrafili przywracać życie pacjentom, których serca przestały bić. Przed wszystkim dlatego zdecydowałaś się uczestniczyć w projekcie badawczym. Nie chodziło ci o to, że pierwsza wysłuchasz relacji pacjentów, ani o to, że doktor Wright może być doktorem Rightem. Zrobiłaś to, bo uznałaś, że w ten sposób ocalisz Maisie.

– Wcale nie...

– Siostrzynie Howard – zawołała Nina, wsadzając głowę przez boczne drzwi. – Siostrzynie Gilbert chce z panią rozmawiać.

– Powiedz jej, że zaraz przyjdę – przykazała Vielle.

Nina cofnęła głowę, ale po chwili ponownie wetknęła ją w drzwi.

– Gdzie jest gastrokop?

– W sali numer dwa – odparła Vielle. – Po lewej stronie szafki nad umywalką. – Nina schowała głowę.

Vielle odwróciła się do Joanny.

– Kiedy zaczynałam pracę na oddziale nagłych wypadków, wydawało mi się, że jeśli tylko będę pracowała wystarczająco długo i wytrwale, uda mi się wszystkim zająć, uratować każde ludzkie życie. – Uśmiechnęła się krzywo. – Nic z tego. Jesteśmy tylko ludźmi.

– Mimo to nie wolno dawać za wygraną – oświadczyła Joanna.

– Nawet za cenę własnego zdrowia? Nie mów mi tylko, że chciałabyś umrzeć jak Sullivan lub Gilbert, wszystko jedno który, bo wierz mi, tak naprawdę wcale nie chciałabyś oddać życia. Każdego dnia stykam się ze śmiercią. Wiem, że należy jej unikać za wszelką cenę.

– Więc dlaczego wciąż tutaj pracujesz?

Nina ponownie uchyliła drzwi.

– Szafka jest zamknięta.

– Klucz znajdziesz w recepcji. Górna szuflada, po prawej stronie.

– Stan chciałby wiedzieć, czy dzisiaj wieczorem ma zostać na drugi dyżur.

– Powiedz mu, żeby spytał pana Avilę z bloku operacyjnego. On będzie wiedział, jaka jest sytuacja.

On będzie wiedział, jaka jest sytuacja. „Idź poszukać pana Briarleya”, brodaty mężczyzna przykazał stewardowi. „On będzie wiedział, jaka jest sytuacja”. Miał rację. Pan Briarley, którego ujrzała na pokładzie, pamiętał Ricky’ego Inmana i *Pieśń o starym żeglarzu*.

Pamiętał też, co mówił na lekcji. Joanna pomyślała, że powinna była spytać go, gdy się z nim spotkała na statku. On potrafiłby jej wszystko wyjaśnić. Nagle olśniło ją – przecież właśnie dlatego ujrzała go na pokładzie. Nie znalazł się tam, bo był martwy, tylko dlatego, że znał odpowiedź.

– Więc spytaj ją, gdzie jest pan Avila – zirytowała się Vielle.

Joanna doszła do wniosku, że musi powiedzieć Richardowi, aby przeprowadził z nią kolejną sesję. Dzięki temu zyska szansę pytania pana

Briarleya, co mówił.

– No dobrze – stwierdziła z rezygnacją Vielle. – Zaraz tam będę. – Odwróciła się do Joanny. – Co powiesz na to, abyśmy obydwie natychmiast zrezygnowały z pracy i wyszły tymi drzwiami? – zaproponowała i wskazała na drzwi prowadzące na parking. – Możemy wsiąść do mojego samochodu i pojechać tam, gdzie nigdy nie pada śnieg i nie ma żadnych Nin.

– Ani naćpanych szaleńców.

– Ani chorych.

– Ani pań Davenport.

– A bufet jest czynny przez całą dobę. – Uśmiechnęła się Vielle.

– Właśnie opisałaś Tamtą Stronę pana Mandrake’a. – Joanna wyszczerzyła zęby.

– Z wyjątkiem tego fragmentu o paniach Davenport – uzupełniła Vielle. – Wyobrażasz sobie, jakie to musiałyby być okropne? Umierasz, idziesz tunelem, a na jego końcu, skąpana świetle, stoi pani Davenport. Myślisz, że mogłoby się zdarzyć coś koszmarniejszego?

Owszem, odpowiedziała w duchu Joanna.

– W sumie wystarczyłoby, żeby nie padał śnieg – doszła do wniosku Vielle. – Nieprawdaż? Pojedźmy do Hollywood. Zatrudnimy się tam jako konsultantki filmowe. Ja mogę tłumaczyć, dlaczego ludzie nie są w stanie wytrzymać w zamarzającej wodzie, a ty będziesz przypominać, co na łożu śmierci powiedział John Belushi. Jesteśmy odpowiednio przygotowane dzięki tym wszystkim wieczorom smakołyków.

Nina po raz kolejny uchyliła drzwi.

– Doktor Carroll mówi, że ma siostra nowych pacjentów. Na I-70 doszło do karambolu z udziałem trzech samochodów.

– Idę – stwierdziła krótko Vielle i podeszła do drzwi. Oparła dłoń na klamce. – Pomyślisz o tym, prawda?

– O Hollywood?

– O rezygnacji z pracy. Twój stan naprawdę mnie martwi.

– Nawzajem.

– A jeśli nie rzucisz tej roboty, to może weźmiesz przynajmniej dwa tygodnie wolnego, żeby odespać zaległości i usunąć z organizmu nadmiar dithetaminy. Obiecuj, że się zastanowisz.

– Obiecuję – odparła Joanna, lecz gdy tylko Vielle zniknęła na oddziale, pobiegła po schodach na górę, minęła korytarz łączący skrzydła i wpadła do

laboratorium, aby namówić Richarda na natychmiastowe przeprowadzenie eksperymentu.

Rozdział 33

„Wszystko poszło źle, moja panno”.

Ostatnie słowa pisarza Arnolda Bennetta

Richard wyszedł. Joanna zerknęła do lustra na drzwiach przebieralni i uznała, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tish nie zamknęła pomieszczenia po swoim seansie kosmetycznym, dzięki czemu Joanna mogła się przekonać, że jest rozczochrana, zdenerwowana i wygląda, jakby właśnie uciekła przed zagładą Pompejów.

Doszła do wniosku, że gdyby Richard ujrzał ją w takim stanie, z całą pewnością nie zgodziłby się na natychmiastową sesję. A przecież musiał to zrobić. Joanna chciała od razu spytać pana Briarleya, jaki jest związek między jego lekcjami i *Titanikiem*.

Oświadczenie oraz zaklejona taśma wciąż leżały na biurku Richarda, tam, gdzie je zostawiła. Podniosła dokument i kasetę. Mogła zniszczyć papier i odpakować nagranie, a Richard nigdy o niczym by się nie dowiedział. Gdyby Tish coś zdradziła, Joanna mogłaby stwierdzić, że chciała tylko udokumentować fakt zarejestrowania swojej relacji bezpośrednio po sesji.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest w równie fatalnej sytuacji jak Vielle. Nawet w gorszej, bo uczestniczy w naukowym eksperymencie, a Richard nie może sformułować żadnej teorii bez wszystkich danych. Musi mu powiedzieć, ale nie ma powodu, aby podczas rozmowy wyglądała jak wariatka. Uczesała się i nałożyła na usta nieco szminki, żeby ukryć koszmarnie sine usta. Gdy skończyła, zamyśliła się nad tym, jak wyjaśnić wszystko Richardowi. Nie mogła się skoncentrować, gdyż przed oczyma wciąż pojawiał się jej obraz Vielle i jakiegoś ćpuna wymachującego pistoletem. Gdyby machnął odrobinę bardziej w prawo albo kula odbiła się rykoszetem pod nieco innym kątem...

Wszedł Richard i skierował się prosto do pulpitu.

– Wydaje mi się, że wreszcie mamy coś konkretnego. Wasze odczyty nie są identyczne, lecz zauważyłem u ciebie co najmniej jeden taki sam neuromediator, jak u pani Troudthaim. Muszę tylko sprawdzić kortyzol, ale sądzę, że też jest taki sam. Spisałaś już swoją relację? Jeśli tak, to musisz dać mi wydruk. O wpół do trzeciej spotkam się z doktor Jamison i... – Urwał. – Chryste Panie, co się stało? Nic ci nie jest?

– Nie. Vielle została postrzelona.

– Postrzelona? – osłupiał. – Boże Świąty, jak się czuje?

– W porządku. Kula zraniła tylko mięsień.

– Boże. Kiedy to się stało?

– Trzy dni temu – powiedziała Joanna i wybuchnęła płaczem.

Richard natychmiast do niej podszedł i otoczył ją ramionami.

– Dlaczego płaczesz?

– Nie powiedziała mi, bo wiedziała, jak zareaguję – wyłkała.

– To nie twoja wina. Ona musi się przenieść na inny oddział. Tam się robi potwornie niebezpiecznie.

– Wiem, ale Vielle nie chce tego zrobić – chlipnęła Joanna, wycierając oczy ręką. – Mówi, że mają za mało personelu.

Sięgnął do kieszeni fartucha i wyciągnął paczkę chusteczek.

– Przepraszam, że się na tobie wypłakuję – roześmiała się Joanna.

– Do usług – odparł. – Lepiej ci trochę?

Skinęła głową i wydmuchała nos.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby...

– Wiem. Posłuchaj, zadzwonię do doktor Jamison, żeby odwołać spotkanie, a potem wybierzemy się coś przekąsić.

Propozycja zabrzmiała niezwykle atrakcyjnie, lecz gdyby z nim poszła, mogłaby niechcący wypaplać, co się stało z panem Briarleyem, tak samo jak mimowolnie powiedziała prawdę o Vielle. Co gorsza, istniało niebezpieczeństwo, że zdradzi swoją opinię o tym, iż pan Briarley mógłby wyjaśnić jej, dlaczego widzi *Titanica*. W rezultacie Richard zapewne doszedłby do wniosku, że Joanna jest zbyt rozkojarzona lub roztrzęsiona, aby ponownie poddać się eksperymentowi.

Musiała znowu znaleźć się na statku, aby porozmawiać z panem Briarleyem i spytać go: „Co pan powiedział wtedy na lekcji? Co *Titanic* ma wspólnego z doświadczeniami granicznymi?”

– Nie, naprawdę czuję się już lepiej – oświadczyła. – Nie chcę cię odrywać od pracy, zwłaszcza kiedy jesteś na tropie odkrycia. Poza tym

muszę spisać swoją relację. – Podniosła zaklejoną kasetę i ukryła ją pośpiesznie w kieszeni swetra. – Mówisz, że potrzebujesz wydruk na wpół do trzeciej?

– Tak naprawdę zależy mi tylko na zakończeniu. Mówiłaś, że wracałaś przez to samo przejście, lecz położone w innym miejscu, tak?

– Nie. – Opowiedziała Richardowi o pogoni za panem Briarleyem, o tym, jak otworzyła drzwi do przejścia i uzmysłowiła sobie, że jest w tym samym miejscu, w którym zawsze zaczyna i kończy pobyt na statku. – Przejście niezmiennie znajduje się w tym samym punkcie. Wszystko na statku jest zawsze w tych samych miejscach. To prawdziwy świat. – Dostrzegła jego spojrzenie. – A raczej czuję się tam, jakbym przebywała w prawdziwym świecie.

– Wspomniałaś, że powrót przebiegł gwałtownie?

– Zgadza się, zupełnie jakby ktoś zatrzasnął książkę... Właśnie coś mi przyszło do głowy. Pani Woollam mówiła, że jeden z jej powrotów wyglądał właśnie tak. Wydaje mi się, że właśnie wtedy udało się jej ocknąć samodzielnie.

– Przynieś mi jej relację. Na pewno dobrze się czujesz?

– Najzupełniej. Dzięki za chusteczkę. I za ramię.

– Jak mówiłem, do usług – rozpromienił się Richard i podszedł do pulpitu.

Stała nieruchomo przez minutę, wpatrując się w jego blond włosy i głowę pochyloną nad klawiaturą. Poczowała chęć, by mu wszystko opowiedzieć, lecz spytała tylko:

– Kiedy chcesz przeprowadzić ze mną kolejną sesję?

– Jutro, o ile to możliwe. Chciałbym jeszcze raz spróbować podać ci zmniejszoną dawkę i przekonać się, czy jest to czynnik odpowiedzialny za zmianę przebiegu eksperymentu. Poza tym ciekawi mnie, czy skany okażą się podobne.

– Zadzwoń do Tish. – Joanna udała się do gabinetu, rozpakowała kasetę i przystąpiła do spisywania relacji.

Słuchając nagrania, odnosiła wrażenie, że przeżywa wszystko ponownie: wychylała się za reling na dziobie, wpatrywała w burtę statku, wbijała wzrok w ciemności, zauważała pana Briarleya w bibliotece. „Zna pani moją siostrzenicę?”, napisała Joanna i pomyślała, że pan Briarley tego nie pamiętał. Przyjrzała się spisanej przez siebie rozmowie. Powitał ją tak,

jakby nie widzieli się od licealnych czasów. Ani słowem nie wspomniał, że się spotkali kilka dni wcześniej.

Uznała, że to dlatego, iż niczego nie pamiętał z ich spotkania. Widziała się nie ze zdrowym panem Briarleyem, którego nie spotykała przez lata, lecz ze swoim starym nauczycielem z drugiego semestru, z tą częścią pana Briarleya, która umarła. „Śmierć na raty”, powiedziałaaby Vielle. Pod wpływem acetylocholino jej mózg nadał tej wizji konkretną formę. Nic dziwnego, że nabrała przekonania o jego śmierci. Część pana Briarleya nie żyła, i być może właśnie dlatego Joanna ujrzała go na *Titanicu*. W takiej sytuacji nie powinna liczyć na uzyskanie od dawnego nauczyciela informacji o źródłach swoich doświadczeń granicznych.

Pomyślała, że on coś musi wiedzieć, i powróciła do dalszej pracy, poszukując wskazówek w swojej relacji: „jakikolwiek hałas usłyszycie, nie wchodźcie tu do mnie, bo nic uratować mnie nie może”^[21], wystukała. Zaraz potem dopisała: „Ale najpierw muszę zanieść przesyłkę na pocztę”.

Zapatrzyła się w ekran, opierając głowę na dłoniach. Z tych słów wywnioskowała, że chodzi mu o pomieszczenie, gdzie przewożono listy. Właśnie dlatego za nim pobiegła – wiedziała, że magazyn pocztowy jest pod wodą. Teraz była niemal całkowicie pewna, że pan Briarley użył słowa „poczta”. Doszła do wniosku, że to niemożliwe, aby pasażerowie mieli prawo wstępu aż na pokład G. Bardziej prawdopodobne było to, że musieli przekazywać swoje listy stewardowi lub wrzucać je do ogólnodostępnej skrzynki pocztowej. Ale pan Briarley powiedział „na pocztę” i znikł w jednym z przejść na pokładzie C. Inne pomieszczenia, które widziała Joanna – restauracja A La Carte oraz hol i sala gimnastyczna – istniały naprawdę.

Zadzwoiła do Kit.

– Muszę wiedzieć, czy na *Titanicu* znajdowała się poczta, a jeśli tak, to w którym miejscu.

– Nie chodzi ci przypadkiem o magazyn pocztowy? – zasugerowała Kit.

– Znalazłam o nim informacje, a także o listach transportowanych *Titanikiem*.

– Nie, mam na myśli pocztę dla pasażerów.

– Poczta... dla... pasażerów – powtórzyła Kit, najwyraźniej notując sobie, czego ma szukać. – Coś jeszcze?

Joanna pomyślała, że jest jeszcze sporo rzeczy do sprawdzenia, ale najpilniej potrzebowała informacji o poczcie. Gdyby podsunęła Kit listę

innych pomieszczeń do znalezienia oraz garść cytatów do zweryfikowania, dziewczyna mogłaby nie wyrobić się na czas.

– To na razie wszystko. Co z tymi listami?

– Urzędnicy pocztowi rzeczywiście przyciągnęli worki z pocztą na pokład łodziowy – oświadczyła Kit. – Magazyn wybudowano na dziobie, a zatem znalazł się pod wodą wcześniej niż inne pomieszczenia. Pracownicy poczty usiłowali uratować listy z pierwszej klasy, a także przesyłki polecane.

Joanna przypomniała sobie, że listy i tak uległy zniszczeniu pod wodą. Przed jej oczyma pojawił się obraz ociekającego worka spoczywającego pośrodku mokrej plamy na schodach.

– Wiesz może, którymi schodami przenoszono worki z przesyłkami?

– Nie. Chcesz, żebym to sprawdziła?

– Poczta jest ważniejsza.

Joanna pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Zadzwoiła do Tish, od której się dowiedziała, że do czwartku jest zajęta.

– Skierowano mnie na zastępstwo na internę. Wszystko przez tę gripę – wyjaśniła. Do czwartku. Dopiero za dwa dni Joannie uda się porozmawiać z panem Briarleyem. Przynajmniej będzie wystarczająco dużo czasu, aby Kit zlokalizowała urząd pocztowy.

– ...i dlaczego nie powiedziała mi pani, że Vielle Howard została postrzelona? – spytała Tish. – Właśnie się tego dowiedziałam.

Joanna uzmysłowiła sobie, że sama też się właśnie o tym dowiedziała.

– Uznałam, że wszyscy już o tym wiedzą – skłamała.

– Wszystko z nią w porządku?

– Tylko lekka rana mięśnia – wytłumaczyła Joanna. Odwiesiła słuchawkę i dokończyła spisywanie relacji. Zastanawiała się nad wyrzuceniem ostatniego fragmentu, stanowił on jednak część potencjalnie istotnych danych. W końcu kompromisowo zapisała: „Kiedy sprawdziłam, okazało się, że pan Briarley żyje i poza chorobą Alzheimera cieszy się dobrym zdrowiem. W ten sposób uzyskałam dowód stanowiący zaprzeczenie głoszonych przez pana Mandrake’a sugestii na temat pozazmysłowej percepcji”.

Wydrukowała relację i sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu spinacza biurowego. Zamiast niego wyciągnęła identyfikator Maisie. Ogarnęło ją poczucie winy, bo już dawno powinna go przekazać dziewczynce. Postanowiła odwiedzić ją po przekazaniu relacji Richardowi.

Nie zastała go w laboratorium. Uznała, że to korzystny zbieg okoliczności, i pobiegła na trzecie piętro w zachodnim skrzydle.

Dobrze, że pani przyszła – przywitała ją Barbara. – Maisie się ucieszy. Ma kiepski dzień.

– Znowu mam migotanie przedsionków – wyjaśniła z niechęcią Maisie, oparta plecami o poduszki. Nosiła na twarzy maskę tlenową, którą zdjęła, jak tylko Joanna weszła do pokoju. – Starają się je opanować. Czy Barbara przekazała pani listę?

– Tak. Włóż maskę z powrotem.

– Mogą wchodzić w grę jeszcze inne statki. Nie szukałam jeszcze w *Katastrofach i kolizjach*.

– Włóż...

– Dobrze – pośpiesznie zgodziła się Maisie i zasłoniła maską usta oraz nos. Przezroczysty plastik momentalnie zaparował.

– Nie musisz już szukać dalej – wyjaśniła Joanna. – Wiem już to, co mi było potrzebne.

– Dziś wieczorem... – Głos Maisie był przytłumiony przez maskę, więc ściągnęła ją ponownie. – Dziś wieczorem poczytam o *Carpathii* – oznajmiła i ponownie nasunęła maskę na twarz.

– Nie chcę, abyś cokolwiek robiła, dopóki nie ustanie migotanie przedsionków – przykazała jej Joanna, a następnie oznajmiła pogodnie: – Mam dla ciebie niespodziankę! – Z wyrazu twarzy Maisie domyśliła się, że zachowała się jak jej matka. – Coś ci przyniosłam. – Wyciągnęła z kieszeni łańcuszek i zakołysała nim przed oczyma dziewczynki. – To jest...

– Identyfikator – rozpromieniła się Maisie. – Na wypadek pożaru w szpitalu. Pomoże mi go pani zawiesić na szyi?

– Pewnie – potwierdziła Joanna i złapała chorą za wątle ramiona, aby ją lekko przechylić do przodu. Czuła się tak, jakby opiekowała się wróblem. Przełożyła łańcuszek przez głowę dziewczynki, uważając, aby nie uszkodzić jej przewodów tlenowych i kroplówek. Następnie ułożyła identyfikator na klatce piersiowej Maisie.

– Kupił go dla ciebie mój przyjaciel, pan Wojakowski.

Do pokoju weszła Barbara.

– Proszę spojrzeć, co dostałam od pani doktor! – Maisie podniosła blaszkę, aby pielęgniarka mogła ją podziwiać. – Identyfikator osobisty! Fantastyczny, prawda?

– Zawsze pani wie, jak jej poprawić samopoczucie. – Barbara wyprowadziła Joannę z pomieszczenia.

Pielęgniarka się myliła. Joanna niczego nie osiągnęła. Maisie wciąż była krucha jak ptaszek i z dnia na dzień traciła siły, a Joanna nie wiedziała nic więcej o doświadczeniach granicznych niż w dniu, w którym całymi godzinami siedziała przy pani Davenport, wysłuchując jej wynurzeń. Nie miała nawet zielonego pojęcia, co pan Briarley powiedział na lekcji ani jaki tytuł nosił używany przez nich podręcznik.

Przynajmniej to ostatnie mogła zmienić. Zadzwoiła do Betty Peterson, lecz było u niej zajęte. Zanim ponowiła próbę, odsłuchiwała wiadomości na sekretarce. Pan Mandrake, pan Mandrake, pan Ortiz, który wyraził ochotę opowiedzenia jej swojego snu z poprzedniej nocy, Guadalupe. Na pewno nie otrzymała wiadomości, którą Joanna zostawiła jej za pośrednictwem pielęgniarki skierowanej na zastępstwo.

Joanna pośpiesznie udała się na trzecie piętro w zachodnim skrzydle. Gdy tylko Guadalupe ją ujrzała, wręczyła jej kartkę papieru, na której zapisano tylko jedną linijkę: „...(niezrozumiałe)... dym... (niezrozumiałe)”.

– Nie dostała pani wiadomości ode mnie? – spytała Joanna. – Napisałam, że chciałabym, aby wciąż spisywała pani wszystko, co powie Carl Śpiączka.

– Dostałam, i to jest wszystko, co powiedział – oświadczyła Guadalupe. – Prawie zupełnie zamilkł.

– Kiedy do tego doszło?

– Proces przebiegał stopniowo – wyjaśniła pielęgniarka. – Mruczał coś w coraz większych odstępach czasu, a dosłyszenie go stawało się coraz trudniejsze.

Joanna pomyślała, że Carl zachowywał się tak, jakby się coraz bardziej oddalał.

– Do czasu, kiedy nagrałam się pani na sekretarkę, Carl właściwie przestał cokolwiek mówić, poza kilkoma niezrozumiałymi słowami. Właściwie dlatego do pani dzwoniłam. Chciałam spytać, czy w takiej sytuacji nie chce pani zrezygnować z dalszego badania.

Zrezygnować. Joannie przypomniał się radiotelegrafista z *Titanica*, zgarbiony nad kluczem i nadający bez wytchnienia.

– Od prawie tygodnia nie powiedział ani słowa.

– Mogę go zobaczyć? – spytała Joanna. – Jest przy nim jego żona?

Guadalupe zaprzeczyła ruchem głowy.

– Pojechała na lotnisko. Przyjeżdża brat Carla. Oczywiście, proszę bardzo.

Na stojaku wisiały trzy dodatkowe torby, a obok łóżka ustawiono dwa urządzenia kontrolne. Automat kontrolujący kroplówkę zaczął piszczeć, a nie znana Joannie pielęgniarka rzuciła się sprawdzić rurki.

– Może pani z nim rozmawiać – wyjaśniła Joannie.

I co powiedzieć? „Moją najlepszą przyjaciółkę postrzelił szaleniec nafaszerowany roque?” „Umiera dziewczynka, którą znam?” „*Titanic* idzie na dno?”

Do pokoju weszła pani Aspinall w towarzystwie wysokiego łysiejącego mężczyzny.

– O, dzień dobry, pani doktor – przywitała się i podeszła do łóżka. Chwyciła Carla za jego posiniaczoną i pokłutą rękę. – Carl? Martin do ciebie przyjechał.

– Cześć, Carl – powiedział Martin. – Przybyłem najszybciej, jak mogłem. – Joanna niemal spodziewała się, że Carl poruszy się i pomimo maski tlenowej i rurki mruknie: „Za daleko dla niej”. Chory nie poruszył się jednak. Leżał nieruchomo, siwy i cichy, a Joannę ogarnęło nagle zmęczenie, tak silne, że mogła tylko pojechać do domu i położyć się do łóżka.

Po drodze do mieszkania uświadomiła sobie, jak fatalnie byłoby złapać grypę w takim momencie. Pomyślała, że gdyby zachorowała, Richard na pewno nie pozwoliłby jej wziąć udziału w kolejnej sesji. Na szczęście rankiem poczuła się znacznie lepiej, a gdy dotarła do pracy, na automatycznej sekretarce zastała wiadomość od Betty Peterson. „Właśnie uzmysłowiłam sobie, że nie podałam ci tytułu tej książki: *Lustra i labirynty*.

Lustra i labirynty. Joanna momentalnie ujrzała w myślach tytuł podręcznika, wydrukowany złotymi literami na niebieskiej okładce. Zdumiało ją, że nie dostrzegła innych szczegółów. Przymknęła oczy, aby wyobrazić sobie statek, narysowany pod tytułem, a potem królową Elżbietę z wężami i w okularach, lecz ani jedno, ani drugie nie pasowało do jej wspomnień. Pomyślała, że pewnie się okaże, iż na okładce widniał rysunek zamku w Windsorze, ale przynajmniej znała tytuł.

– Mówiłam ci, że zaczyna się na L – kontynuowała Betty. – No i proszę, był na marginesie, tuż obok zdjęcia Nadine. Poczekaaj, przeczytam ci. Mam to tutaj. – Po krótkiej przerwie mówiła dalej: – „Betty, tylko pomyśl, koniec z nudnymi historiami pana Briarleya o *Titanicu*, koniec z *Lustrami* i

labiryntami. Twoja koleżanka z drugiego semestru, Nadine”. Ale i tak musisz do mnie zadzwonić. Rozmawiałam z moją młodszą siostrą, która powiedziała mi coś na temat pana Briarleya. Aha, jeszcze zadzwoniłam do Blake’a Dirksona. Był w klasie wyżej. On też nie pamiętał tytułu książki, ale powiedział, że na okładce narysowano gęsie pióro do pisania i kałamarz. W liceum palił mnóstwo trawy, więc nie ręcę. Zresztą zadzwoń do mnie. Na razie!

Gęsie pióro i kałamarz? Takie zestawienie wydało się Joannie dziwnie znajome. Pomyślała, że i ona, i jej znajomi konfabulują. Zadzwoniła do Betty, ale telefon znowu okazał się zajęty. Joannie przyszło do głowy, że to nic dziwnego, zważywszy na to, jak długie wiadomości zostawia Betty. W takiej sytuacji wykręciła numer Kit.

– *Lustra i labirynty* – powtórzyła Kit. – Świetnie. To znacznie ułatwi sprawę.

– Mówi, że chyba pamięta na okładce rysunek królowej Elżbiety w sukni z krezą albo gęsie pióro i kałamarz. I tak wydaje mi się, że to był jednak statek, ale nie zamierzam się upierać.

– Zaraz się biorę do poszukiwań – stwierdziła Kit. – Jak dotąd niczego nie znalazłam na temat poczty, ale jeszcze nie dałam za wygraną.

A jeśli nie zlokalizuje poczty, to jak Joanna znajdzie pana Briarleya? Wspomniał coś o Palm Court. Musi spytać Kit, gdzie szukać tego lokalu i na którym pokładzie, chociaż najprościej byłoby chyba podążyć za stewardem, kiedy brodaty mężczyzna wydał mu polecenie znalezienia pana Briarleya.

Drzwi do gabinetu Joanny się uchyliły i pojawiła się w nich głowa Richarda.

– Tak się tylko zastanawiałem, czy skończyłaś już spisywać swoją relację – oświadczył. – Chciałem też zapytać cię, czy czujesz się lepiej.

– Tak – odparła, wręczając mu wydruk swojej relacji i opowieści pani Woollam. – Tish może przyjść jutro o drugiej. Co tam słyhać u pani Troudthaim?

– Wyodrębniłiśmy trzy neuromediatory, obecne zarówno w swoich skanach z chwili dochodzenia do świadomości, jak i we wszystkich zdjęciach pani Troudthaim: hormon uwalniający hormon luteinizujący, theta-asparcyne oraz kwas deltaaminomasłowy. HUHL był także obecny w skanie wzorcowym, więc pewnie nie on jest winowajcą, lecz nie można wykluczyć kwasu deltaaminomasłowego. Jest inhibitorem endorfiny, a

doktor Jamison uważa, że pojawienie się beta-endorfin nie stanowi wyłącznie skutku ubocznego, lecz jest czynnikiem istotnym dla podtrzymania doświadczeń granicznych, i właśnie kwas deltaaminomasłowy może je hamować. – Richard pomachał wydrukami. – Dzięki. Widzimy się jutro o drugiej.

Zadzwoił telefon.

– Porozmawiamy później – oświadczył Richard, a Joanna podniosła słuchawkę, myśląc poniewczasie, że to pewnie pan Mandrake.

– Nie wierzę własnym uszom – wykrzyknęła Betty Peterson. – To ty! Od kilku dni usiłuję się z tobą skontaktować. Dowiedziałaś się już wszystkiego, co chciałaś?

– Dowiedzieć?

– Z Luster i labiryntów.

– Ach, nie. Jeszcze nie – powiedziała Joanna.

– Ale miałyśmy szczęście, że tak od razu znalazłam ten tytuł w naszej książce rocznikowej. To chyba dobrze, że Nadine nie cierpiała pana Briarleya, co?

– Wspomniałaś, że masz mi coś do powiedzenia na jego temat. Coś, czego się dowiedziałaś od swojej młodszej siostry.

– A tak. Zadzwoiłam do niej zaraz po rozmowie z tobą, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pamięta tytułu książki. Uczyła się trzy klasy niżej niż my, ale przyszło mi do głowy, że może korzystała z tego samego podręcznika. Rozumiesz, nasze książki do historii były nieaktualne. Napisano w nich, że prezydentem jest John F. Kennedy.

Pogawędka zaczęła przypominać rozmowy z niektórymi osobami po doświadczeniach granicznych.

– I co, znała ten tytuł? – spytała Joanna, żeby wrócić do tematu.

– Nie, ale opowiedziała mi pewną okropną historię. Powinnaś ją poznać, skoro, jak twierdzisz, wybierasz się na spotkanie z panem Briarleyem. Widziałaś jego siostrzenicę? Ma na imię Kathy czy Katie, czy jakoś tak.

– Kit – podsunęła Joanna.

– No właśnie, Kit. Więc tak, miała wziąć ślub, zorganizowano ogromne wesele, a pan Briarley miał ją poprowadzić do ołtarza i pana młodego. Moja młodsza siostra opowiadała, że pan Briarley wciąż mówił o tym na lekcjach, nawet więcej niż o *Titanicu*. Zdaje się, że nikogo nie lubił tak bardzo, jak tej swojej siostrzenicy. Jej narzeczoną – siostra wspomniała, jak miał na imię, ale nie pamiętam...

– Kevin – odezwała się Joanna, myśląc, że się nie myliła. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za człowieka cierpiącego na chorobę Alzheimera. Zostawił Kit przed ołtarzem.

– O tak, Kevin. Zresztą nieważne, rankiem w dniu ślubu poszedł po jakiś film, a jeden szczeniak chciał przeskoczyć na czerwonym świetle i go rozjechał.

Opowieść Betty była tak odmienna od tego, co się spodziewała usłyszeć Joanna, że przez dłuższą chwilę zupełnie nie pojmowała jej treści.

– Zginął na miejscu – ciągnęła Betty. – Coś okropnego. Zdaje się, że pan Briarley musiał jej o tym powiedzieć. Siostra uważa, że właśnie to wywołało Alzheimera, a pan Briarley chce tylko zapomnieć o wszystkim.

Joanna chciała wykrzyknąć, że to bzdura, bo nie takie są przyczyny choroby Alzheimera, ale nie mogła tego uczynić. Zbyt późno zrozumiała całą sytuację. Przypomniała sobie słowa, które wcześniej nie miały dla niej sensu, które błędnie interpretowała. Powróciły do niej, tłukąc się w jej umyśle niczym piłka lekarska w sali gimnastycznej.

Kit spytała ją, czy ludzie uczestniczący w wypadkach samochodowych mają doświadczenia graniczne i czy są one przyjemne. „Nie są przerażające, prawda?“, dopytywała się. A także: „Czytałam *Światło na końcu tunelu*. Skłoniła mnie do tego moja ciotka, kiedy...“, i „Wujek Pat był dla mnie bardzo dobry“, czy „niekiedy ponownie doświadcza wydarzeń z przeszłości“.

Powinna była to dostrzec. Chudość Kit, jej podkrążone oczy, zdjęcie z uśmiechniętym blondynem, słowa pana Briarleya: „Kevin już dawno powinien tu być“, cytat: „Tam właśnie weszła panna młoda“.

Chryste Panie, przeraziła się Joanna, zmusiłam ją do obejrzenia *Uciekającej panny młodej*.

– Moja siostra знаła jedną dziewczynę, która miała uczestniczyć w ślubie. Podobno to była prawdziwa tragedia – opowiadała Betty. – Zdaje się, że Kit ubrała się już w suknię ślubną i w ogóle.

Z trenem?, zastanowiła się Joanna i zrobiło się jej niedobrze. Przypomniała sobie, jak pytały Kit, która suknia ślubna najbardziej jej się podoba. Vielle oświadczyła wtedy, że chciałaby mieć wystawny ślub, ze wszystkimi szczegółami.

– Powiedziałaś, że się wybierasz do pana Briarleya, więc pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć, żeby uniknąć jakiegóż niezręczności.

Niezręczności. Siedziała w kuchni i swobodnie dyskutowała o doświadczeniach granicznych, radośnie oznajmiając Kit, że niebo to halucynacja umierającego mózgu.

Muszę zadzwonić do Kit i powiedzieć jej, jak ogromnie mi przykro, uznała. Bezceremonialnie rozłączyła się z trajkoczącą Betty. Wystukała numer telefonu Kit, odłożyła słuchawkę i wstała, aby do niej pojechać.

Myślała, że ją uratuje. Chciała zachować się jak W.S. Gilbert i ocalić ją przed utonięciem, dlatego zaprosiła ją do Vielle, aby porozmawiać o ślubach i obejrzeć film o aż pięciu weselach. Przypomniała sobie, z jaką uwagą Kit wpatrywała się w ekran, jakby się bała, że to jakiś test. Tym testem był sam film. Nie, nie testem. Próba. Próba ognia.

Joanna wiedziała, że nie mogłaby postąpić gorzej, niż postąpiła. Wysiadła z samochodu i podeszła do drzwi domu. I co ja jej teraz powiem? Przepraszam, że cię torturowałam? Byłam zbyt głupia, aby dodać dwa do dwóch?

Nie musiała nic mówić.

– Jak się dowiedziałaś? – spytała Kit. Wyglądała tak, jakby ją aresztowano za popełnienie zbrodni. Otworzyła i zadrżała. Miała na sobie krótką koszulkę i obcisłe spodnie. Stała na bosaka, a Joannie wydała się jeszcze szczuplejsza i bardziej spięta niż zwykle. Może tylko dlatego, że znała jej historię?

– Dlaczego nie powiedziałaś nam tamtej nocy? Sama rozumiesz, *Uciekająca panna młoda!*

– Zasada numer jeden wieczoru smakołyków – przypomniała Kit. – Żadnych rozmów o pracy. To dobra zasada. Czułam okropnie, jak wszyscy chodzili przy mnie na palcach. Wciąż chodzą przy mnie na palcach. – Uśmiechnęła się bez przekonania. – W lecie moja kuzynka wzięła ślub i nikt mnie nie powiadomił. Dowiedziałam się przypadkiem. Przypuszczam, że ty także.

– Betty Peterson mi powiedziała – potwierdziła Joanna. – Dzięki niej znam tytuł książki. Dowiedziała się od młodszej siostry.

– Sama powinnam była wszystko ci wyjaśnić. Tylko że tak dobrze się czułam w towarzystwie kogoś, kto traktuje mnie jak człowieka, a nie...

Ofiarę tragedii, dokończyła w myślach Joanna i uzmysłowiła sobie, dlaczego Kit tak bardzo przypomina jej Maisie.

– Nie masz pojęcia, co ludzie wyprawiają, żeby kogoś pocieszyć. Mówią: „Jeszcze się zakochasz” albo: „Przynajmniej nie cierpiał”. Zawsze

chciałam ich wtedy spytać: „Skąd to wiesz? Skąd wiesz, że nie cierpiał?”

Joannie zrobiło się słabo. Powiedziała jej, że widziałam *Titanica*. Pozwoliłam jej myśleć, że Kevin niekoniecznie zmarł od razu, lecz doświadczył czegoś okropnego, czegoś przerażającego.

– Ciotka Julia powtarza: „Bóg nigdy nie zsyła na nas więcej, niż możemy znieść” – ciągnęła Kit. – I mówi jeszcze, że powinnam być wdzięczna, że to się stało szybko. To fakt. Tak szybko, że nie zdążyłam nawet tam dotrzeć, aby się pożegnać.

I teraz żegnasz się z panem Briarleyem, dopowiedziała w myślach Joanna. Nie kończące się, bolesne pożegnanie.

– Jediną osobą, która nie wygłaszała podobnych przemyśleń, był wujek Pat. Zachował się cudownie. Nie próbował mi wmawiać, że wszystko będzie dobrze albo że Kevin jest teraz w lepszym miejscu i że dam sobie radę. Darował sobie te wszystkie kłamstwa. Wziął mnie do siebie, opowiadał mi o Coleridge’u, Kevinie i Szekspirze, robił mi herbatę, pomógł w ukończeniu studiów. Ocalił mi życie. – Kit wbiła przygaszone spojrzenie w drzwi do biblioteki. – A kiedy się rozchorował... Mojej matce wydaje się, że postępuję wbrew rozsądkowi, że wierzę, iż mogę go uzdrowić, albo że narzuciłam sobie taką karę... On nie mówi tych wszystkich rzeczy celowo. On... Wydaje mi się, że w jego umyśle krążą fragmentaryczne wspomnienia dotyczące Kevina, jakiegoś złego zdarzenia oraz ślubu, a on usiłuje je wszystkie poukładać, chociaż wielu elementów brakuje.

Joanna uświadomiła sobie, że ona również stara się przypomnieć sobie, co mówił pan Briarley, i dopasować do siebie rozmaite wskazówki.

– Wiem, że go nie uratuję – kontynuowała Kit. – Zdaję sobie sprawę, że w końcu będzie musiał trafić do zakładu opiekuńczego, ale...

– Musisz spróbować – dokończyła Joanna, a Kit nagle się do niej uśmiechnęła.

– Muszę spróbować. Ocalił mi życie. Chcę zostać z nim tak jak najdłużej.

I nie gasić świateł, aby pasażerów nie ogarnęła panika, stwierdziła w myślach Joanna.

– Poza tym pragnę ci pomóc. Wciąż jeszcze nie znalazłam niczego na temat poczty, ale...

– Nie – sprzeciwiła się Joanna. – W żadnym wypadku. Zmusiłam cię do obejrzenia *Uciekającej panny młodej*. Nie zamierzam wciągać cię w dalsze badanie dotyczące katastrofy.

– Ale ja chcę. Podoba mi się, że dla odmiany ja mogę komuś pomóc. Zresztą ta katastrofa jest odpowiednia.

– Odpowiednia?

– Jak najbardziej. Na *Titanicu* płynęło osiem młodych par, wyruszających na miesiąc miodowy. Większość z nich także nie miała okazji się pożegnać. – Kit uśmiechnęła się smutno. – Nie zdawali sobie sprawy, że nigdy się już nie zobaczą. Niektórzy mężczyźni dowcipkowali sobie nawet, kiedy opuszczano łodzie. Chichotali i mówili: „Najpierw młode małżeństwa” oraz: „Bez przepustek nie wpuścimy was z powrotem na statek”.

– I co? Najpierw wpuszczono młode pary?

– Dwie. – Kit nagle wstała, wyciągnęła z szuflady kilka mych kartek papieru i wręczyła je Joannie. – Tutaj jest spisane wszystko, co znalazłam na temat wyłączenia silników i dźwięków, słyszanych przez pasażerów i załogę w chwili zderzenia z górą lodową.

Joanna przejrzała zapiski. „Zupełnie, jakby fala zatrzęsała statkiem”, „... lekki wstrząs...”, „zupełnie jakby statek poślizgnął się na tysiącu szklanych kulek”. To ostatnie brzmiało znajomo. Czy pani Briarley o tym wspominał? „Pomyślałem, że przybijamy do brzegu. Dziwne”.

– Wracając do tego urzędu pocztowego – odezwała się rzeczowo Kit. – Nie mogłam znaleźć niczego z wyjątkiem magazynu pocztowego na pokładzie G. Jesteś pewna, że na *Titanicu* znajdowała się poczta? Żadne listy napisane przez pasażerów i tak nie zostałyby doręczone przed dotarciem statku do Nowego Jorku, więc nie prościej by było, gdyby ludzie po prostu nadali je po wylądowaniu? Widziałaś tam jakąś pocztę?

– Nie – odparła Joanna i chciała dodać, że pan Briarley powiedział, że idzie na pocztę, ale ugryzła się w język. Zadała Kit wystarczająco dużo bólu, nie musiała jej jeszcze mówić, że w swoich doświadczeniach granicznych widziała jej wujka w pełni władz umysłowych.

– Tak czy owak, będę szukać dalej. Coś jeszcze? – spytała Kit, a z wyrazu jej twarzy Joanna domyśliła się, że to prośba.

– Owszem. – Na ustach Kit ponownie wykwitł uśmiech, zupełnie jak u Maisie. – Chciałabym ... – Czego bym chciała? – Chciałabym wiedzieć, czy na pokładzie znajdowała się kobieta o imieniu Edith.

– Edith Evans – odparła natychmiast Kit. – Pamiętam, że wujek o niej wspominał. Oddała swoje miejsce w łodzi kobiecie z dwójką dzieci.

I zginęła, szepnęła do siebie Joanna. Pomyślała o młodej kobiecie, niespokojnie pytającej, czy nie powinni iść na pokład łodziowy.

Wiem, dlaczego ją widziałam, przyszło jej do głowy. Zmarła tak jak W.S. Gilbert. Jednak kiedy Kit oświadczyła, że sprawdzi, czy na statku płynęły jeszcze inne Edith, Joanna jej nie powstrzymała. Kit sprawiała wrażenie, jakby koniecznie chciała komuś pomóc.

W drodze do samochodu Joanna uznała, że Kit ma rację. To straszne tylko przyglądać się panu Briarleyowi, Carlowi Śpiączce, Maisie i nie wiedzieć, jak im pomóc, jak powstrzymać ich powolną śmierć. Właśnie dlatego muszę znaleźć pana Briarleya i spytać go, co powiedział na lekcji, pomyślała.

Zerknęła na zegarek. O Boże, sesja zaczyna się za niecałe dwadzieścia minut. Popędziła z powrotem do szpitala i pobiegła do gabinetu. Przy drzwiach stała Tish.

– Spóźniła się pani – oświadczyła. – A ja chcę wyjść o czasie, więc proszę o jeszcze jedną ośmiosekundową sesję, dobrze?

– Wybiera się pani na randkę z tym położnikiem? – zainteresowała się Joanna, idąc z pielęgniarką do laboratorium.

– Nie, pracuję. Połowa szpitala jest na zwolnieniu z powodu grypy, a ja akurat mogę wziąć godziny nadliczbowe. Co nie oznacza, że nie mam nic innego do roboty.

– Nic nie wyszło z położnikiem?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Richarda nie było w laboratorium.

– Jest na gorze z doktor Jamison – wyjaśniła Tish. – Powiedział, żebym zaczęła bez niego. Mam panią przygotować do sesji, a on zaraz przyjdzie.

Joanna włożyła szpitalną koszulę i wspięła się na stół.

– Co się dzieje z tymi facetami? Wszyscy dostali obsesji na punkcie pracy? – skarżyła się Tish. – Położnik okazał się równie beznadziejny jak doktor Wright. Cały czas wpatruje się w USG. To zupełnie nienormalne. Któregoś dnia obaj po prostu się przekręcą.

Podłączyła kroplówkę i cały czas trajkocząc, przyczepiła elektrody. Joanna usiłowała ją zignorować. Chciała się skoncentrować na znalezieniu pana Briarleya. Obiecała sobie, że zacznie od zlokalizowania stewarda, a potem będzie się trzymała blisko niego. Nie spuści z niego wzroku.

Wszedł Richard.

– Przepraszam, rozmawiałem z doktor Jamison. Wszystko gotowe? – spytał Tish, która potwierdziła. – A ty? – zwrócił się do Joanny.

– Gotowa.

Richard nasunął maskę na jej oczy. Nie odwracaj się, powtarzała sobie Joanna. Patrz prosto przed siebie. Znajdź stewarda.

– W porządku. Proszę podać środek uspokajający. – Założył Joannie słuchawki.

Sprawdź, dokąd pójdzie steward, myślała, idź za nim po schodach. Nagle przypomniała sobie urzędnika pocztowego, ciągnącego mokry worek, ujrzała wilgotną plamę na dywanie, przechylający się pokład...

– Zaczekaj! – krzyknęła i poczuła, jak ktoś zdejmuje jej słuchawki. – Richard...

– Co się stało? – Usłyszała jego głos. – Cała drżysz. Chcesz koc? Siostrze, proszę przynieść Joannie koc.

Dobiegł ją odgłos kroków oddalającej się pielęgniarki.

– Richard... – Wymacała jego dłoń. – Jeśli statek zacznie tonąć, obiecay mi, że przyjdiesz i mnie uratujesz...

Rozdział 34

„Będę słyssał w niebie”.

Ostatnie słowa Beethovena

Nie powinnam była tego mówić, pożałowała Joanna, jeszcze zanim skończyła. Teraz nie zgodzi się na przeprowadzenie eksperymentu. Miała nadzieję, że może tylko tak pomyślała, ale nie powiedziała, lecz Richard już zdejmował maskę z jej oczu i dopytywał się, czy wszystko w porządku.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się do niego. Zastanawiała się, czy udałoby się jej obrócić wszystko w żart. Nie, zbyt mocno złapała go za rękę. – Zdaje się, że się trochę pogubiłam. Czy Tish podała środek uspokajający? – spytała, doskonale wiedząc, że nie.

– Nie. – Richard zmarszczył brwi.

– W takim razie sama przysnęłam. Ostatnio źle sypiałam z powodu Vielle... – Nie, tego także nie mów. – Znasz to uczucie, kiedy zasypiasz, masz wrażenie, jakbyś spadał, i nagle się budzisz? Właśnie tak się poczułam. Przepraszam – powtórzyła i posłała mu uśmiech godny matki Maisie. – Nie chciałam, żebyś pomyślał, że zwariowałam.

Wróciła Tish i przykryła Joannę kocem.

– Dziękuję. – Joanna wpatrywała się w Richarda. – Teraz jest znacznie lepiej. Jestem gotowa. Możemy wreszcie zacząć?

Richard wciąż wydawał się zaniepokojony. Podeszedł do pulpitu i przez kilka minut pracowicie coś pisał, lecz to, co ujrzał na monitorze, zapewne go uspokoiło, gdyż zarządził:

– Dobrze, proszę podać środek uspokajający.

Joanna pośpiesznie zasłoniła oczy maską, bojąc się, że Richard zmieni zdanie. Cały czas myślała, żeby nic nie mówić i nie zrobić niczego głupiego. Po chwili znalazła się w przejściu.

Drzwi były otwarte, a za nimi dostrzegła ludzi kręcących się po pokładzie. Pobiegła przed siebie i wydostała się na zewnątrz, wypatrując

stewarda. Nie mogła go dostrzec w tłumie. Na pokładzie pojawiło się znacznie więcej osób niż ostatnio. Niektórzy z nich mieli na sobie kamizelki ratunkowe.

Jest później niż poprzednio, zaniepokoiła się Joanna. Steward już sobie poszedł. Przyjrzała się podłodze, aby sprawdzić, czy przechył jest zauważalny. Odniosła wrażenie, że tak, lecz tylko nieznacznie. Gdy podniosła wzrok, dostrzegła młodą kobietę. Wciąż miała na sobie koszulę nocną, a tęgi mężczyzna w tweedowym ubraniu jeszcze stał w pobliżu, po przeciwnej stronie tłumy, tocząc rozmowę z przyjacielem.

Joanna uniosła głowę, aby nad głowami zebranych przyjrzeć się pokładowi. Starła się wypatrzeć białą marynarkę stewarda, pojawiającą się i znikającą w świetle lamp pokładowych, lecz w oddali nie zauważyła nikogo.

– Idź poszukać pana Briarleya – rozległ się męski głos. – On będzie wiedział, jaka jest sytuacja – stwierdził brodac.

– Tak jest, proszę pana – potwierdził steward i odwrócił aby odejść.

Joanna precyzyjnie się między młodą kobietą i młodym mężczyzną w swetrze i ruszyła ku grubemu mężczyźnie.

– Co się stało? – spytał.

– Góra lodowa – wyjaśnił jego przyjaciel. Proszę bardzo, Richard, oto twój dowód, że to *Titanic*. Joanna ominęła mężczyznę.

– Góry lodowe. – Grubas pokiwał głową. – Mam nadzieję, że to nic poważnego. – Joanna odwróciła się w jego stronę i wbiła w niego wzrok, myśląc, że to W.T. Stead, spirytualista.

– Nie idziesz na pokład łodziowy? – spytał go przyjaciel.

– Raczej nie. Wolę trochę poczytać – oświadczył W.T. Stead i podszedł do jednego z leżaków. Rozsiadł się i otworzył książkę.

– Tymczasem panie powinny wracać do środka, gdzie jest cieplej – zasugerował brodac. Joanna obróciła się gwałtownie, lecz steward zniknął już z pokładu.

To niemożliwe, minęło zaledwie kilka sekund. Miał za mało czasu, aby przejść przez cały pokład lub choćby dojść do tylnych schodów. Gdzie się podział? Pobiegnęła przed siebie, naciskając klamki drzwi. Za drugimi z kolei znajdowały się wąskie stalowe stopnie. Schodki dla członków załogi. Zaczęła się wspinać, lecz schody urywały się na wyższym pokładzie. Drzwi na górze okazały się zamknięte na klucz. Błyskawicznie zbiegła i otworzyła kolejne drzwi. Wyglądały tak samo, jak wejście na schodki dla załogi, lecz

za nimi widniał szeroki korytarz wyłożony dywanami. Nieco w głębi wznosiły się marmurowe stopnie. Główne schody. Prowadziły na pokład z promenadą, do biblioteki, a jeśli pana Briarleya tam już nie było, mogła się udać do Palm Court na tym samym poziomie. A jeśli nie zastanie go w żadnym z tych miejsc? Mówił, że idzie na pocztę, a ona nie miała pojęcia, gdzie jej szukać.

Pomyślała jednak, że wie, gdzie jest biblioteka, dlatego postanowiła zacząć od niej, a następnie pójść do Palm Court. Wbiegła po lekko pochyłających się schodach, minęła cherubina, Honor i Chwałę, dotarła do pokładu z promenadą i popędziła do oszklonych drzwi biblioteki.

W środku zastała pana Briarleya, siedzącego nie za biurkiem pod oknem, lecz przy małym stoliku obok oszklonych szafek na książki. Pisał coś energicznie, a lampa w żółtym kloszu oświetlała złotym kręgiem biały papier pocztówki i mankiety wyjściowej koszuli pana Briarleya.

– Panie Briar... – krzyknęła i zorientowała się, że to nie on. Przy stoliku siedział wąsaty mężczyzna, który poprzednio rozkładał przed sobą karty. Podeszła do niego, lawirując między krzesłami obitymi złotym materiałem.

Nieznajomy nie podniósł wzroku, gdy stanęła obok. Cały czas pisał, co chwila zanurzając pióro w kałamarzu, podnosząc je, zapisując słowo i znowu maczając pióro w atramencie. Joanna przyjrzała się listowi. Mężczyzna nie korzystał z papeterii z nadrukiem nazwy statku. Papier został wydarty z notesu, jedna z krawędzi kartki była postrzępiona. Pośrodku strony mężczyzna napisał: „W razie znalezienia proszę powiadomić moją siostrę, panią F.J. Adams z Findlay, Ohio. Zaginiony. J.H. Rogers”.

– Panie Rogers – odezwała się Joanna. – Przy tamtym biurku siedział pewien mężczyzna. – Wskazała na mebel. – Pisał wiadomość dla swojej siostrzenicy. Widział pan, dokąd poszedł?

Mężczyzna starannie osuszył list.

– Bardzo pana proszę, to ważne. Siedział tu wcześniej i pisał pocztówkę do siostrzenicy.

Mężczyzna złożył kartkę na cztery części i zanotował coś na wierzchu.

– Panie Rogers... – jęknęła Joanna i sięgnęła do jego ramienia.

– Nie nazywam się Rogers – zaprzeczył, jakby przed chwilą stwierdziła, że właśnie jego szuka. – Przykro mi. – Wsunął list do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wstał. – Jestem potrzebny na pokładzie łodziowym. Powinna pani

ukryć się w jednej z łodzi. – Przeszedł przez środek pokoju i wyszedł drzwiami prowadzącymi do głównych schodów.

– Czy wobec tego może mnie pan poinformować, gdzie się znajduje Palm Court? – zawołała Joanna, wychodząc za nim przez drzwi i wbiegając po schodach. Mężczyzna zdążył jednak zniknąć na pokładzie łodziowym, a w ciemnościach nie potrafiła określić, w którą stronę się udał. Jedyne światło dobiegało zza otwartych drzwi do sali gimnastycznej. Joanna zajrzała do środka, lecz w środku nie dostrzegła ani mężczyzny, ani Grega Menottiego. Rowery treningowe, urządzenia do wiosłowania i przypominający gilotynę przyrząd do podnoszenia ciężarów stały bez ruchu na białoczerwonej terakocie.

Sama będzie musiała znaleźć Palm Court. Powinien się znajdować na pokładzie z promenadą lub pokładzie średniówki, gdzieś na rufie. Oznaczało to, że może tam przejść schodami drugiej klasy. Skierowała się w jej stronę, lecz mijając tylne schody, odniosła wrażenie, że słyszy głosy. Weszła do środka i przechyliła się za balustradę, nasłuchując. Głosy ucichły, lecz na górze rozległy się głucho uderzenia. Urzędnik pocztowy, uznała i spojrzała w górę.

Zobaczyła Grega Menottiego w kąpielówkach i klapkach, które przy każdym kroku głośno uderzały o jego pięty. Ramiona miał owinięte ręcznikiem.

– Idę na basen – oświadczył. – Przyłączysz się do mnie? Woda jest dość chłodna, ale to korzystnie wpływa na krążenie.

– Szukam pana Briarleya – wyjaśniła Joanna. – Jest wysoki i ma na sobie szarą tweedową kamizelkę. Widziałeś go?

– Nie – odparł i poszedł dalej.

Joanna zbiegła po schodach, aby zagrozić mu drogę.

– Nie ma czasu na pływanie. Musisz mi pomóc znaleźć pana Briarleya. To ważne.

– Śpieszę się – stwierdził i ją ominął. – Piętnaście po drugiej jestem umówiony na mecz squasha.

– Nie. – Ponownie stanęła mu na drodze. – Musisz mi pomóc. To ważne. Pan Briarley wie, dlaczego to jest *Titanic*.

– *Titanic*? – W oczach Grega pojawił się strach.

– Tak. *Titanic*. Który idzie na dno. Musisz mi pomóc go znaleźć. – Minął ich mężczyzna, szybko zbiegający po schodach. Joanna rzuciła na niego

okiem, zastanawiając się, czy to steward, lecz był to starszy pan w szarej tweedowej kamizelce i...

– Panie Briarley! – wrzasnęła.

– To nie może być *Titanic* – stwierdził Greg. – Ćwiczę trzy razy w tygodniu.

Pan Briarley był już prawie pokład niżej. Pobiegła za nauczycielem, licząc kolejne pokłady: B, C, D. „Na pokładzie D pojawiła się woda”, mówił oficer na pokładzie łodziowym. Spojrzała z niepokojem na podłogę, spodziewając się ujrzeć na dywanie czerwone wilgotne plamy.

Pokład E. Niżej otworzyły się drzwi. Zawróciła na podeście w samą porę, aby dostrzec, jak się zamykają. Pokład F. Otworzyła drzwi. Pan Briarley zdążył już dojść do połowy przejścia.

– Panie Briarley! – zawołała i rzuciła się za nim w pogoń, wpadając na stewarda.

– Przykro mi, proszę pani, tutaj nie wolno wchodzić.

– Ale ja muszę porozmawiać z panem Briarleyem. – Zajrzała niespokojnie przez ramię stewarda, który się odwrócił i spojrzał za siebie, lecz pan Briarley zdążył już gdzieś zniknąć.

– Pan Briarley? – Steward zmarszczył brwi, a Joanna dopiero teraz spostrzegła, że rozmawia z innym członkiem załogi niż ten, którego brodaty mężczyzna wysłał na poszukiwania pana Briarleya.

– To mój... – zaczęła i urwała. To mój kto? Nauczyciel angielskiego z liceum? Czy w 1912 roku w ogóle istniały licea?

– Odprowadzę panią do kabiny.

– Zaraz – powstrzymała go. – Dokąd prowadzi to przejście?

– Do kotłowni, ale pasażerowie nie mają prawa wstępu...

– Kapitan Smith powiedział mi, że mogę obejrzeć... – Co się znajdowało w kotłowni? – ...telegraf – oświadczyła na oślep. – Ogromnie interesują mnie nowoczesne środki komunikacji.

– Tylko załoga ma prawo wstępu do kotłowni. – Steward me zamierzał ustąpić. Położył rękę na jej ramieniu. – Odprowadzę panią do pani kajuty.

– Bardzo proszę – nalegała Joanna. – Pan nie rozumie. To ważne...

– Przepraszam, że przerywam – rozległ się męski głos, a Joanna odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

– Pan Briarley! – krzyknęła z ulgą.

– Pani Lander – stwierdził z dezaprobatą. – Co pani tutaj robi?

– Muszę z panem porozmawiać. Chodzi o...

– Obawiam się, że jednak nie możemy liczyć na herbatę w Palm Court. – Pan Briarley pokręcił głową. – Zaistniały nowe okoliczności. – Odciągnął stewarda na bok i coś mu szybko powiedział. Joanna nie usłyszała ani słowa z ich rozmowy, lecz po kilku zdaniach pan Briarley sapnął z niechęcią.

– Jak najszybciej się tam dostać? – spytał stanowczo.

– Trzeba wrócić na pokład E i przejść Scotland Road do schodów obok windy – brzmiało wyjaśnienie. Pan Briarley niezwłocznie cofnął się w stronę schodów.

– Panie Briarley! – Joanna popędziła za nim. – Muszę z panem porozmawiać – wydyszała, gdy go dogoniła.

– O co chodzi? – spytał, wchodząc po schodach. Joannie przypomniały się czasy, kiedy goniła za panem Briarleyem na przerwach i podskakując u jego boku, usiłowała się dowiedzieć, ile stron powinna liczyć praca domowa.

– Muszę się dowiedzieć, co pan powiedział na lekcji – stwierdziła.

– Dobrze pani wie, że nigdy nie podpowiadam, co może się pojawić na egzaminie końcowym. – Pan Briarley dotarł na półpiętro.

– Nie potrzebuję tego do egzaminu końcowego. Powiedział pan coś na lekcji...

– Na lekcjach mówiłem bardzo wiele rzeczy. – Pan Briarley wszedł na pokład E. – Może pani sprecyzować, o co chodzi?

– Popchnął drzwi i wszedł na korytarz. Na pewno cały czas się znajdowali w kwaterach przeznaczonych dla załogi. Ściany pomalowano na szaro, a pod sufitem przebiegały rury.

– Mówił pan o *Titanicu*, a potem zamknął pan *Lustra i labirynty* i rzucił je na biurko. I wtedy powiedział pan coś na temat *Titanica*.

– Labirynty. – Pan Briarley zamyślił się i skręcił za rogiem. Energicznie otworzył metalowe drzwi. – Panie przodem. – Ukłonił się, a Joanna weszła na inny korytarz, tym razem pomalowany na białą. Zdawał się nie mieć końca. Pan Briarley ruszył prędko przed siebie.

– Cokolwiek to było – ciągnęła Joanna – podczas swoich pierwszych doświadczeń granicznych podświadomie dostrzegłam jakąś relację z tym miejscem, i oto tu jestem.

– A nie w tunelu ze światłem na końcu. – Pan Briarley się zatrzymał i spojrzał smutno w dal korytarza, po czym odwrócił się do Joanny. – I pani chce, abym wyjaśnił, na czym polega owa relacja.

- Właśnie.
- Relacja. Fascynujące słowo. Z łaciny, „opowiadać”. Ale pani przecież musi już znać tę relację, skoro ją pani stworzyła.
- Nie pamiętam jej. Mój świadomy umysł o niej zapomniał.
- Zapomniał? Powinna pani była bardziej uważać na lekcjach, pani Lander – skarcił ją i ruszył dalej. – Podejrzewam, że zapomniała pani także, czym jest onomatopeja. Oraz aliteracja. I metafora.
- Proszę pana, to ważne!
- Niewątpliwie. Więc? – Rozejrzał się po korytarzu, jakby znalazł się w klasie. – Czym jest metafora? Kto wie?
- Metafora to figura retoryczna, która służy do upodobnienia dwóch obiektów.
- Źle, źle, źle. Podobieństwo między nimi już istnieje. Metafora jedynie je uwypukla. Poza tym to nie tylko figura retoryczna to esencja naszych umysłów, starających się zrozumieć otoczenie, doświadczenia, nas samych, poprzez poszukiwanie podobieństw, odpowiedników, relacji. Nie potrafimy powstrzymać tego procesu. Nawet kiedy umysł przestaje funkcjonować, wciąż stara się pojąć to, co się z nim dzieje.
- Właśnie to staram się zrobić, proszę pana. Chcę zrozumieć, co się ze mną dzieje. A to, co pan powiedział na lekcji, jest kluczem do zrozumienia tej relacji. Wspomniał pan coś na temat *Titanica*... – podsunęła.
- Istnieje tak wiele zależności między *Titanikiem* i różnymi pojęciami. – Pan Briarley się zachmurzył. – *Titanic* to symbol. Na przykład prometejskiej arogancji – wyjaśnił, niezmiernie podążając korytarzem. – Człowiek rzuca wyzwanie Losowi i przegrywa. – Joanna dreptała obok, usiłując słuchać i nie zostawać w tyle. – Albo pychy Frankensteina, człowieka pokładającego wiarę w naukę oraz technikę i otrzymującego za to odpowiednią należność od natury.
- Przejście zdawało się nie mieć końca. Joanna utkwiała wzrok na drzwiach na końcu korytarza.
- Albo bezsensowności ludzkich wysiłków. „Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy!” {22}. – zacytował. – *Ozymandias*. Percy Bysshe Shelley. Który również skończył na dnie oceanu.
- Woda cienkim, nierównym strumykiem ciekła z końca korytarza samym środkiem lśniącej podłogi.
- Panie Briarley. – Joanna złapała go za rękaw koszuli. – Proszę spojrzeć. Woda.

– Ach, tak – oświadczył, nawet nie zwalniając kroku. – Woda to także symbol.

Cienki strumyk wody stawał się coraz szerszy, w miarę jak się zbliżali do końca korytarza. Pojawiła się jeszcze jedna, a potem dwie dodatkowe strugi.

– Przebycie wody od starożytności uważano za symbol śmierci. – Pan Briarley bez trudu omijał strumyki. – Egipcjanie podróżowali do Krainy Zmarłych w złotej łodzi.

Dotarli niemal do samego końca przejścia. Joanna przeraziła się, że pan Briarley zaraz otworzy drzwi, lecz w ostatniej chwili nauczyciel skręcił i zbiegł po stalowych schodkach.

– Kierując się do świata podziemi, Eneasza pokonuje Styks na łodzi kierowanej przez Charona. – Głos pana Briarleya odbijał się echem w klatce schodowej, mieszając się z odgłosem drobnych kroków Joanny. – A Frodo płynie do Błogosławionego Królestwa.

Dotarł na samo podnóże schodów i pomaszerował innym korytarzem. Joanna z ulgą przekonała się, że podłoga była sucha, chociaż nie wiedziała, jak to możliwe, skoro na pokład wyżej dotarła woda? Przyjrzała się niespokojnie sufitowi. Pan Briarley swobodnie mówił o „In Memoriam”.

– Zmarły przyjaciel Tennysona wypływa na nieznaną morze i kieruje się do jeszcze słabiej znanego lądu. – Otworzył drzwi. – No i oczywiście jest jeszcze rzeka Jordan. Pani przodem, pani Lander. – Ukłonił się, a Joanna przekroczyła próg i wpadła w piętnastocentymetrową warstwę wody.

Cała podłoga była zalana. Listy, paczki i pocztówki pływały w wodzie sięgającej do kostek. Napisane atramentem adresy zamazały się i spływały z kopert jak łyż. Na końcu pomieszczenia urzędnik pocztowy w ciemnoniebieskim mundurze i czapce pochylał się przy drewnianych przegródkach, wyciągał z nich listy znajdujące się najbliżej wody i przekładał je na wyższe półki.

Joanna wiedziała, że to nic nie pomoże. Za kilka minut cały pokój znajdzie się pod wodą.

– Proszę pana, wszyscy musimy się stąd wynosić – zwróciła się do pana Briarleya, który ją zignorował i podszedł do urzędnika. Wyciągnął z kieszeni szarej tweedowej kamizelki złożoną kartkę papieru i wręczył ją pracownikowi.

Urzędnik przełożył garść listów do jednej ręki, po czym rozpostarł papier. Odczytał wiadomość, skinął głową i wręczył panu Briarleyowi

zalane przesyłki. Następnie sięgnął do kołnierza munduru i wyciągnął pęk żelaznych kluczy na łańcuszku. Zdjął je z szyi i przekazał panu Briarleyowi, odbierając od niego pocztę.

– Który to? – spytał pan Briarley, lecz urzędnik powrócił już do przekładania listów, wsuwając je do coraz wyższych przegródek.

Pan Briarley dobrnął z powrotem do drzwi, wyszedł z pomieszczenia i wrócił korytarzem do schodów.

– Dokąd teraz idziemy? – spytała Joanna, usiłując dotrzymać mu kroku.

– Oto jest pytanie – stwierdził pan Briarley. – Do Hadesu czy do nieba? A może do komnaty sądowej faraonów? – Dotarł na szczyt schodów skierował się z powrotem do Scotland Road, gdzie woda strumieniem płynęła przez środek wyłożonego terakotą korytarza. – I jaką łodzią? – ciągnął. – Promem Charona? – Poprowadził ją do stalowych schodów, minął je i zatrzymał się przy windzie z mosiężną kratą. – A może barką pogrzebową króla Arthura?

Jednym ruchem rozsunał kratę.

– Pani przodem. – Ukłonił się. Gdy Joanna weszła do środka, podążył za nią i zasunął kratę. – Frodo wszedł na pokład statku Elfów w Szarej Przystani. – Wcisnął przycisk z kości słoniowej z napisem „góra”. Winda ruszyła.

Winda raptownie się zatrzymała, a pan Briarley rozsunał kratę i wyszedł przed Joanną, kierując się w stronę drzwi prowadzących na pokład.

– No i oczywiście był jeszcze statek Starego Marynarza. „Był okręt – opowiada...”[{23}](#) – stwierdził i otworzył drzwi. Znaleźli się na pokładzie łodziowym. Widziała światła z pomieszczenia radiotelegrafisty i z mostku.

– Fakt, że był to pani ulubiony wiersz, doskonale pasuje do naszej obecnej sytuacji. – Pan Briarley mijał kolejne szalupy, zmierzając do kajuty radiotelegrafisty. – Pojawiły się w nim góry lodowe. „Jak maszt wysoka, szmaragdowa kra obok nas płynęła”[{24}](#).

– Czy na tym polega związek? – spytała Joanna. – Czy właśnie to czytał pan wtedy w klasie?

Nie odpowiedział. Zatrzymał się przed wejściem do pomieszczenia, przed stalową skrytką zamkniętą na kłódkę i zdjął z szyi łańcuszek z kluczami.

– Czy to jest właśnie ten związek? – Joanna szarpnęła go za rękaw.

Ukląkł przed szafką.

– Nie – odparł, po kolei wsuwając klucze do kłódki. – Chociaż wszystko by pasowało. W tym wierszu jest sporo mowy o statkach i wodzie. – Wsunął kolejny klucz. Nie pasował. Jeszcze jeden. – I o śmierci. „Czterykroć pięćdziesięciu ludzi, Koleją, stary, młody, Jeden za drugim, bez westchnienia walili się jak kłody”^{25}. – Zły. Następny. – Uniwersalność śmierci, czy właśnie tego symbolu pani poszukuje?

Ten klucz pasował. Pan Briarley otworzył skrytkę, wyciągnął ze środka drewniane pudełko i podszedł z nim do relingu.

– Z całą pewnością to był *Titanic*. Państwo Astor, irlandzcy emigranci, maklerzy i nauczyciele, ginący pospołu w lodowatej wodzie.

Otworzył pudełko, kucnął, wyciągnął ze środka kartonowy cylinder, oparł go o reling i wstał.

– Dzieci i dorastająca młodzież, zawodowi oszuści karciani, wszyscy jednakowo bezsilni, tak samo skazani na zagładę.

Poklepał kieszenie szarej kamizelki, jakby czegoś szukał.

– Chyba że ktoś podróżował w najniższej klasie. Wówczas jego szanse przetrwania były cokolwiek mniejsze. – Wyciągnął z jednej z nich pudełko zapalek. – W takim wypadku... proszę się cofnąć.

– Słucham?

– Proszę się cofnąć – powtórzył i wyciągnął rękę, aby odsunąć Joannę. Ukląkł, zapalił zapalniczkę i przyłożył ją do dolnej części cylindra.

W ułamku sekundy poprzedzającym zapłonienie zapalnika Joanna pomyślała, że to rakiety. Pan Briarley wystrzeliwuje rakiety alarmowe! Spod cylindra wydobył się gwałtowny płomień i rakietka wystrzeliła, bryzgając strumieniem białych iskier. W tej chwili Joanna poczuła, że to ma ogromne znaczenie, że przybliżyła się do rozwiązania problemu.

– Czy mam pana zastąpić? – rozległ się męski głos. Joanna spojrzała w jego stronę i dostrzegła oficera w białym mundurze.

– Tak, dziękuję. – Nauczyciel przekazał mu zapalniczkę i energicznie pomaszerował na schody.

Joanna natychmiast pobiegła za nim.

– Proszę pana! Niech pan zaczeka! – Dogoniła go na podeście. – W takim wypadku co?

– W takim wypadku – schodził pośpiesznie wyłożonymi dywanem schodami – *Titanic* nabiera politycznego znaczenia. Zło związane z podziałem klasowym społeczeństwa albo z plutokracją, albo z prześladowaniem kobiet.

– Nie chodzi o sprawy polityczne, tylko o coś ważnego.
– Ważnego – powtórzył, docierając do podnóża schodów. Przeszedł przez hol, zatrzymał się przy drzwiach i je otworzył. – Panie przodem. – Ukłonił się, a Joanna weszła do środka.

Zbyt późno spostrzegła, że znalazła się w przejściu, przez które trafiała na statek.

– Nie, proszę poczekać, pan jeszcze... – krzyknęła i ocknęła się w laboratorium.

Za wcześnie. Już prawie wiedziałam. Coś związanego z rakietami, z panem Briarleyem...

– Joanna? – Gdzieś z góry dobiegł głos Richarda. – Joanna?

Otworzyła oczy. Tish odłączyła już kroplówkę i teraz sprawdzała objawy czynności życiowych.

– Znowu się ocknęłam za wcześnie?

– Nie. – Richard wyglądał na równie zaniepokojonego jak Vielle na oddziale nagłych wypadków. – Wszystko w porządku?

Powiedziałam coś, kiedy dochodziłam do siebie. Znowu mu kazałam obiecać, że po mnie przyjdzie.

– Nic mi nie jest – oświadczyła pogodnie. – Ile czasu byłam nieprzytomna?

– Cztery minuty i dziesięć sekund. – Tish uniosła jej rękę, żeby usunąć poduszki z gąbki.

– Czy podczas swoich doświadczeń granicznych czułaś lęk?

Pomyślała, że Richard sugeruje odpowiedź. Na pewno znowu go poprosiłam, aby przyszedł i mnie uratował. Myśli, że jestem przekonana, że trafiam do rzeczywistego świata, więc nie przeprowadzi kolejnego eksperymentu, a ja muszę się tam znaleźć z powrotem. Byłam tak blisko.

– Lęk? – Uśmiechnęła się. – Dlaczego? Mówiłam coś?

– Owszem – pośpieszyła z odpowiedzią Tish. – Winda.

– Winda? – Joanna poczuła ulgę i zaskoczenie. Dlaczego powiedziała „winda”, skoro chodziło o rakiety...

– Ma pani wyjątkowo nudne doznania. – Tish stanęła nad nią i spojrzała na zegarek, aby skontrolować upływ czasu monitorowania. – Najpierw poczta, a teraz winda? Nigdy nie widuje pani nic ciekawszego?

Ponownie zbadała Joannie tętno oraz ciśnienie krwi, odnotowała wyniki na wykresie, a potem spytała Richarda, czy może już iść.

– Muszę się z kimś spotkać przed wizytą pana Sage’a o trzeciej.

Richard potwierdził ruchem głowy, a kiedy pielęgniarka wyszła, ponownie zwrócił się do Joanny:

– Naprawdę się nie bałaś, kiedy byłaś nieprzytomna?

– Czemu pytasz? Kiedy powiedziałam „winda”, sprawiałam wrażenie przestraszonej?

– Nie, ale skany wykazały niezwykle wysoki poziom kortyzolu. Co się stało podczas sesji?

– Znowu zobaczyłam pana Briarleya. – Opowiedziała o wyprawie do magazynu pocztowego, o raketach i windzie. – A kiedy otworzył drzwi, weszłam do środka, zanim zdałam sobie sprawę, że znowu jestem w przejściu. Dlatego bałam się, że się przedwcześnie ocknęłam. Czułam się tak samo, jak poprzednim razem.

– I wcale się nie bałaś?

– Bałam się, kiedy zobaczyłam wodę na podłodze Scotland Road i zalany magazyn pocztowy – wyliczyła, usiłując sobie wszystko przypomnieć. Tak bardzo zajęła się poszukiwaniami pana Briarleya, aby go spytać o znaczenie jej doświadczeń granicznych, że nie czuła szczególnego strachu. Z całą pewnością nie można go było porównywać z tym, co czuła, spoglądając na mokrą plamę na dywanie, w miejscu, gdzie urzędnik pocztowy położył worek, a także z uczuciem, które ogarnęło ją, gdy spojrzała w ciemność za burtą statku.

– Czy mój poziom kortyzolu był wyższy niż podczas dwóch ostatnich sesji?

– Jeszcze nie sprawdziłem analizy neuromediatorów, lecz wnioskując ze skanów, tak. Czy wtedy bardziej się bałaś?

Przypomniała sobie paniczną ucieczkę po schodach, po pokładzie i gwałtowne wpadnięcie do przejścia.

– Tak.

– Tego się obawiałem. – Podeszedł do pulpitu.

Joanna szybko się ubrała.

– Idę nagrać swoją relację. Wrócę o trzeciej. – Pośpiesznie zamknęła drzwi i uciekła do gabinetu, zanim zdążył zadać jej inne pytania. Musiała pomyśleć o swoich przeżyciach, zanim straci przekonanie, że za chwilę odkryje tajemnicę. To miało coś wspólnego z raketami i ich odpaleniem przez pana Briarleya.

Odtworzyła w myślach całą sytuację, usiłując przypomnieć sobie dokładne słowa pana Briarleya. „Proszę się cofnąć”, powiedział, a wtedy

wystrzeliła rakietą, rozsiewając białe iskry...

Nagrała opis sceny, a potem cofnęła się myślami do początku eksperymentu i zarejestrowała całą relację, usiłując nie dopuścić do zaniku przekonania o rychłym odkryciu prawdy. Coś związanego z raketami, chociaż one faktycznie odegrały pewną rolę na *Titanicu*. Chyba że ujrzała inne rakiety niż te, które wystrzelowano z tonącego statku.

Zadzwoiła do Kit i spytała ją, jakich raket alarmowych użyto na liniowcu.

– Białych fajerwerków. Pamiętam, jak wujek Pat wspominał, że biel była międzynarodowym kolorem alarmowym. Poza tym w filmie pojawiła się scena z białymi ogniami sztucznymi.

No pewnie. Pamiętała tę scenę. Oficer oparł cylinder o reling.

– Coś jeszcze? – spytała Kit.

– Tak. Chciałabym wiedzieć, czy na statku znajdowało się coś, co określano jako Scotland Road. To może być jakiś długi korytarz na... – zamyśliła się – ...na pokładzie E lub F. Poza tym sprawdź, czy na statku znajdowała się biblioteka. Mogła być na pokładzie z promenadą, obok baru. Interesuje mnie jeszcze wszystko, co się wiąże z raketami i miejscem ich przechowywania.

– Scotland Road, biblioteka, rakiety. Załatwione – potwierdziła Kit. – Aha, jeśli masz chwilę, mogę ci podyktować nazwiska Edith, które płynęły statkiem. Doliczyłam się czterech. Nie jestem pewna, czy to już wszystkie. Członkowie załogi są wyszczególnieni jedynie z nazwiska i inicjału imienia, a niektóre pasażerki określono mianem pani NN.

– Ile z nich zginęło? Z tej czwórki?

– Tylko Edith Evans.

Joanna powróciła myślami do swoich doświadczeń granicznych. Nie rakiety, lecz coś, co się znalazło w tej części sesji. Winda? Z całą pewnością odbiegała od ówczesnej rzeczywistości. W 1912 roku nie budowano wind, a nawet jeśli, to na pewno nie na pokładach statków. A kiedy odzyskiwała przytomność, mruknęła: „Winda”.

Ponownie zadzwoniła do Kit. Numer był zajęty. Zerknęła na zegarek. Kwadrans po drugiej. Zbyt mało czasu, aby pojechać do domu pana Briarleya. Musiała znać odpowiedź natychmiast, zanim straci poczucie bliskości odkrycia prawdy. Trzeba spróbować z Maisie.

Pobiegła na górę, licząc na to, że Maisie nie zaprowadzono na badania. Dziewczynka leżała w łóżku, obojętnie oglądając *Kubusia Puchatka*. Gdy

ujrzała Joannę, poprawiła się na poduszkach i oznajmiła:

– Dowiedziałam się wszystkiego o *Carpathii*.

– Świetnie. Muszę cię o coś spytać. Czy na *Titanicu* znajdowała się winda?

– Tak. – Maisie nie miała wątpliwości. – Nie pamięta pani, jak na filmie uciekali przed tym złym gościem, wskoczyli do windy i zjechali na dół?

– Zdawało mi się, że twoja mama nie pozwoliła ci oglądać z *Titanica*.

– I nie obejrzałam. Przyjaciółka, o której pani wspominałam, obejrzała film i opowiedziała ten fragment – stwierdziła przekonująco Maisie, lecz Joanna nawet przez chwilę jej nie wierzyła.

– Czy przyjaciółka opowiedziała ci, jak wyglądała ta winda?

– Tak. Wchodziło się do niej przez taką rozsuwaną kratę. – zademonstrowała ręką.

Winda z kratą. A więc na *Titanicu* znajdowała się winda. Nie ma mowy o rozbieżności. Joanna mogła sobie wyobrazić, co powie Richard, kiedy się dowie o wszystkim. Mogła tylko liczyć na to, że w jej relacji pojawią się inne nieścisłości. Uznała, że powinna od razu zająć się spisywaniem wspomnień, zanim zapomni, co powiedział pan Briarley.

– Pora na mnie, dzieciaku. – Poklepała Maisie po kolanach.

– Nie może pani iść. Jeszcze nie zdążyłam opowiedzieć o *Carpathii*. Poza tym chciałam pani zadać pytanie. Z jaką prędkością poruszają się statki?

– Z jaką prędkością? – Joanna wiedziała, że *Titanic* płynął zbyt prędko, ignorując ostrzeżenia o górach lodowych, ale ile dokładnie wynosiła jego prędkość? – Nie wiem.

– Bo w mojej książce napisali, że *Carpathia* płynęła bardzo prędko, a w tej drugiej, że znajdowała się pięćdziesiąt osiem mil od *Titanica*...

– Pięćdziesiąt osiem? – powtórzyła Joanna. – *Carpathia* znajdowała się pięćdziesiąt osiem mil od *Titanica*?

– Zgadza się. A dotarcie na miejsce zajęło jej trzy godziny. *Titanic* zatonął znacznie wcześniej. Dlatego trudno mi uwierzyć, że *Carpathia* płynęła bardzo prędko. Przecież pięćdziesiąt osiem mil to nie jest aż tak dużo.

Rozdział 35

„Zdaje się, że to śmierć”.

Słowa wypowiedziane na łożu śmierci przez Czajkowskiego

– Co się stało? – Maisie przyglądała się Joannie z niepokojem. – Nic pani nie jest?

– Zupełnie nic – odparła Joanna. – Masz rację. Pięćdziesiąt osiem mil to niezbyt daleko. Jak daleko znajdował się *Californian*? – Pięćdziesiąt osiem mil. Tego dnia, na oddziale nagłych wypadków, Greg mówił o *Carpathii*.

– Wyglądała pani bardzo dziwnie, kiedy powiedziałam o tej odległości. – Maisie nie zamierzała ustąpić. – Czy któryś z pani pacjentów widział *Carpathię*?

– Nie. Jak daleko znajdował się *Californian*?

– Bardzo blisko. – Maisie wciąż spoglądała podejrzliwie na Joannę. – Załoga dostrzegła rakiety, więc pewnie dałoby się ocalić większość ludzi, lecz radiotelegrafista wyłączył urządzenia nasłuchowe. Na *Californian* nie dotarło ani jedno SOS, więc załoga aż do rana nie wiedziała, że coś się wydarzyło.

Joanna nie słuchała. Usiłował mi przekazać, że *Carpathia* znajdowała się zbyt daleko i nie mogła dotrzeć na czas.

– Wydaje mi się, że nie powinni byli tego robić – stwierdziła Maisie. – Jak można wyłączyć radiotelegraf? Jak pani myśli?

– Nie powinni. – Właśnie dlatego słowa Grega tak mnie prześladowały, dlatego wciąż miałam wrażenie, że wiem, co znaczą. Znaczyły, że Greg znalazł się na *Titanicu*.

– Statek znajdował się bardzo blisko. Tak blisko, że z *Titanica* dostrzeżono jego światła. Ludzie na łodziach ratunkowych mieli wiosłować w tamtą stronę.

– Muszę iść. – Joanna nagle wstała.

– Już więcej nie będę mówić o *Titanicu*, obiecuję. Jeszcze tylko powiem coś na temat pożaru cyrku w Hartford, dobrze? – Maisie pośpiesznie zmieniła temat. – Ludzie usiłovali uciec przez główne wejście, ale na drodze postawiono klatkę z lwami i tygrysami, więc zrobił się korek, a treser próbował powiedzieć, że trzeba wyjść przez wejście dla artystów – czyli tamtędy, którędy wchodzili wszyscy klauni, akrobaci i inni, kiedy zbliżała się pora ich występu – ale wszyscy i tak chcieli wydostać się tą samą drogą, którą przyszli.

Zdążyła nabrać pewności, że *Titanic* nie jest rzeczywisty, że coś symbolizuje, stanowi obraz, wybrany przez jej mózg z powodu czegoś, co powiedział pan Briarley. A jeśli jest inaczej?

– Rzecz w tym, że nikt nie musiał wychodzić przez wejścia – ciągnęła Maisie. – Wystarczyło podnieść ścianę namiotu i wyczołgać się na zewnątrz.

Magazyn pocztowy, tylne schody, Scotland Road, wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Przedmioty i obiekty wyglądały tak jak w rzeczywistości, nawet czerwone i niebieskie strzałki na rowerach treningowych. One naprawdę istniały. Joanna naprawdę znajdowała się na *Titanicu*.

Ale jak to możliwe? Ogarnęła ją rozpacz. Doświadczenia graniczne nie stanowią bramy na tamten świat ani do innych czasów. To tylko halucynacja, wywołana środkami chemicznymi. Amalgamat obrazów z pamięci długotrwałej. Niemniej Greg powiedział: „Pięćdziesiąt osiem” i nie chodziło mu o adres ani ciśnienie tętnicze krwi. Miał na myśli mile i mówił o *Carpathii*.

Joannie przeszło przez myśl, że musi się wydostać z pokoju Maisie. Muszę się znaleźć gdzieś, gdzie w spokoju o wszystkim pomyślę. Ruszyła na oślep w stronę drzwi.

– Nie może pani jeszcze wychodzić – zajęczała Maisie. – Nie zdążyłam opowiedzieć o orkiestrze.

– Muszę – odparła zdesperowana Joanna i niczym w odpowiedzi na modlitwę, rozległo się brzęczenie pagera. – Widzisz? Już mnie wzywają.

– Proszę oddzwonić z mojego telefonu. Może to nie dzwoni żaden z pani pacjentów. Albo to ktoś z informacją, że nie musi pani jeszcze przychodzić, bo spotkanie się opóźni z powodu czyjogoś pójścia na radiologię.

– Ja muszę iść, a ty musisz...

– Odpoczywać – dokończyła lekceważąco Maisie. – Nie znoszę odpoczywać. Może zająć się jakimiś badaniami dla pani? Bardzo proszę. Wcale się przy tym nie męczę i obiecuję, że nie będę...

– No dobrze – zdecydowała się Joanna, a dziewczynka momentalnie wyciągnęła notatnik i ołówek. – Chciałabym, żebyś... – zastanowiła się nad jakimś prostym zadaniem -...przygotowała listę wszystkich wiadomości radiotelegraficznych wysłanych przez *Titanica*.

– Mówiła pani, że wystarczą tylko nazwy statków.

– Wtedy wystarczyły. – Joanna usiłowała zachowywać się swobodnie. – Ale teraz potrzebuję listy wszystkich wiadomości z *Titanica*.

– W porządku. Co jeszcze?

Co jeszcze?

– Chcę jeszcze wiedzieć, gdzie na *Titanicu* znajdował się basen.

– Basen? Na statku?

– Tak. I musisz mi powiedzieć, na którym był pokładzie. – Kiedy Maisie notowała, Joanna podeszła do drzwi.

– Wszystkie wiadomości radiotelegraficzne czy tylko wezwania o pomoc? – zawołała Maisie.

– Tylko wezwania o pomoc. A teraz naprawdę muszę oddzwonić. – Joanna wyszła z pokoju. Ponieważ nie było możliwe, aby Maisie nie zaczęła podsłuchiwać rozmowy, Joanna poszła do recepcji i stamtąd zadzwoniła do centrali, aby spytać, kto chciał się z nią skontaktować.

– Ma pani cztery wiadomości – wyjaśniła telefonistka. – Pan Mandrake chce, żeby do niego zadzwonić w bardzo ważnej sprawie. Doktor Wright prosi o kontakt w sprawie sesji pana Sage’a. Vielle Howard chce, aby zadzwoniła pani do niej w wolnej chwili, jest na oddziale nagłych wypadków, a Kit Gardiner żąda natychmiastowego telefonu. Mówi, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Czy mam panią przełączyć do biura pana Mandrake’a?

– Nie – zaprzeczyła Joanna i przycisnęła widełki dłonią. Nie miała ochoty z kimkolwiek rozmawiać, a w szczególności z panem Mandrakiem. Ani z Vielle, ani z Richardem... – O Boże, Richard! Co powie, kiedy usłyszy, że na *Titanicu* przebywał Greg Menotti?

Muszę się ukryć tam, gdzie spokojnie wszystko przemyślę. Już chciała odłożyć słuchawkę, kiedy dotarło do niej, że Kit żądała szybkiego kontaktu. A jeśli pan Briarley znowu się skaleczył? Wykręciła numer Kit.

– Cześć, Kit.

– Świetnie, że dzwonisz. Mam ją!

– Kogo?

– Książkę! *Lustra i labirynty*. Jestem absolutnie pewna, że o nią ci chodziło – wykrzykiwała z entuzjazmem. – Wujek opisał w niej zadanie domowe z czternastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Nie uwierzysz, gdzie ją znalazłam. W szybkowarze. Pewnie dlatego wujek Pat bez przerwy wszystko wyciągał z szafek. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczysz. Możesz przyjść dzisiaj po południu?

Joanna pomyślała, że to wykluczone, bo najpierw musi wszystko przemyśleć.

– Szczerze mówiąc, jestem zajęta – oświadczyła.

– Naprawdę? – rozczarowała się Kit. – Przyniosłabym ci ją do szpitala, ale wujek ma kiepski dzień...

– Lepiej nie, to byłby dla ciebie zbyt duży kłopot. Wpadnę wieczorem – zapowiedziała Joanna i odwiesiła słuchawkę. Postanowiła zadzwonić do Kit później i wymyślić jakąś wymówkę.

Na przykład nie mogę przyjść, bo podróżuję w czasie i przebywam na tonącym statku. Albo jeszcze lepiej: nie mogę przyjść, bo dołączyłam do grona wariatów po doświadczeniach granicznych.

– Pani doktor, a jednak pani tutaj jest – odezwała się asystentka, którą Joanna widziała raz czy dwa. – Pan Mandrake pani szuka. Barbara powiedziała, że nie ma pani na tym piętrze, i właśnie to mu powtórzyłam.

Niech żyje Barbara, pomyślała Joanna, spoglądając niespokojnie w stronę windy.

– Kiedy on tutaj był? – spytała.

– Jakies dziesięć minut temu. Powiedział, że gdybym panią zobaczyła, mam powtórzyć, żeby zadzwoniła pani do niego natychmiast, bo znalazł dowód na to, że doświadczenia graniczne to rzeczywistość.

Joanna pomyślała pośpiesznie, że sama do tego doszła.

– Powiedział, dokąd idzie?

– Nie, ale mogę przesłać mu wiadomość na pager – zaproponowała asystentka, sięgając po telefon.

– Nie! Nie ma potrzeby. Będzie szybciej, jeśli po prostu pójde do jego gabinetu – oświadczyła Joanna i skierowała się do drzwi na klatkę schodową.

– Tymi schodami nie dojdzie pani na szóste! – zawołała za nią asystentka.

– Idę na skróty – odkrzyknęła Joanna i otworzyła drzwi.

– Aha. – Dziewczyna skinęła głową. Joannie udało się uciec, lecz co dalej? Zaczęła zbiegać po schodach. Nie mogła wrócić do gabinetu ani do laboratorium, a skoro pan Mandrake wędrował po całym budynku, nigdzie nie mogła się czuć bezpieczna. Wiedziała, że w żadnym wypadku nie powinna się z nim spotykać w tej chwili i wysłuchiwać jego opowiadań o niebie i szczęśliwościach tamtego świata. Zbiegła po schodach na drugie piętro i znieruchomiała z dłonią na klamce. Aby dotrzeć stąd na parking, musiałaby pokonać łącznik między skrzydłami, minąć internę i pokój pani Davenport. Z kolei na pierwszym piętrze czaił się pan Wojakowski.

Puściła klamkę, zbiegła na parter i wyszła na zewnątrz. Taksówka, przy wejściu zawsze stoją taksówki. Ale trzeba mieć pieniądze. Sięgnęła do kieszeni. Wygrzebała stamtąd dwa dolary, dwadzieścia pięć centów i trzy jednocentówki. Zbiegła do piwnicy, minęła kostnicę i wydostała się na dwór.

Przywitało ją mroźne powietrze. Ciemnoszare niebo wyglądało tak, jakby lada moment miał spaść śnieg. Opatuliła się swetrem i przebiegła obok generatora prądu, kierując się przed wejście do szpitala. Stała tam jedna poobijana żółta taksówka. Kierowca zaparkował bezpośrednio przed oszklonymi drzwiami. Joanna dała nura na tylne siedzenie.

– Dokąd? – spytał taksówkarz.

Joanna się pochyliła.

– Na szpitalny parking – odparła.

To jakiś dowcip? – zerknął do lusterka.

– Nie. Muszę dotrzeć do własnego samochodu. Tam zaparkowałam.

Taksówkarz przyjrzał się jej uważnie, jakby miał do czynienia z wariatką. Do pewnego stopnia jego obawy były uzasadnione. Po co uciekała przed panem Mandrakiem jak przed potworem, skoro był tylko natrętny? Dlaczego wierzyła w coś niewiarygodnego?

– Chciałam się przejść, ale jest za zimno.

Wyjaśnienie nie miało sensu, więc czekała na sugestię typu: „Niech pani wejdzie do budynku i przejdzie środkiem”, lecz taksówkarz burknął tylko: „Minimalna stawka dwa dolce”, wrzucił jedynekę i zjechał z podjazdu. Dlaczego miałyby nie wierzyć jej wyjaśnienia, skoro ona sama wierzyła, że wraz z Gregiem Menottim znalazła się na pokładzie *Titanica*? Kierowca stuknął taksometr.

– Dwa dziesięć – oznajmił.

Joanna wręczyła mu wszystkie swoje pieniądze.

– Dziękuję panu. Ocalił mi pan życie. – Pożegnała się z nim i poszła do samochodu. Podświadomie spodziewała się pana Mandrake’a, oczekującego przy jej aucie na nią.

Obawy okazały się nieuzasadnione. Pana Mandrake’a nie dostrzegła także przy wyjeździe. Skręciła na południe, na Colorado Boulevard, potem na zachód, na Szóstą Aleję, i znowu na południe, do uniwersytetu. Zachowywała się jak jedna z postaci z filmu z Sylwestrem Stallone’em, usiłująca zgubić śledzącego ją faceta. Zauważyła straż pożarną, pędzącą w jej stronę z potwornym rykiem syren i trąbieniem, więc zjechała na pobocze i zatrzymała się tam z rękami mocno zaciśniętymi na kierownicy oraz wzrokiem utkwionym w pustce.

Greg Menotti znajdował się na *Titanicu*. Widziała go tam, założyła, że go tam zastanie, podobnie jak pana Briarleya, dopasowała ich postaci do swojej wizji na podstawie wspomnień i chęci. Ale jeśli *Titanic* w jej doświadczeniach jest realny, a wszystkie osoby, które widziała, naprawdę się na nim znajdują? Może pan Briarley jest zawieszony w jakimś okropnym niebycie, między dwoma światami. Czy można wykluczyć możliwość, że część pana Briarleya zmarła, a miejsce, do którego wędrują ludzie po śmierci, to nie niebo, tylko pokład *Titanica*?

Sama w to nie wierzysz, powiedziała sobie Joanna. I rzeczywiście, nie wierzyła. Cała jej wizja nie miała sensu, nawet gdyby ją uznać za doświadczenie o charakterze duchowym. Niebo, Pola Elizejskie, Hades, Walhalla, nawet Tamta Strona pana Mandrake’a – wszystko to wydawało się bardziej logiczne. Nawet gdyby zmarli cofali się w czasie w jakiejś osobliwej wstecznej reinkarnacji, dlaczego mieliby trafiać na *Titanica*? Czy to jakaś kara? A może umarli powinni tonąć w głębinach Atlantyku, a *Titanic* po prostu pojawił się na ich drodze?

Zresztą to nie jest *Titanic*, zdecydowała. Ani razu, nawet kiedy rozpoznała miejsce, w którym się znalazła, nie pomyślała, że to naprawdę liniowiec oceaniczny. To było coś innego, a *Titanic* stanowił jedynie metaforę tego miejsca, nie tylko dla niej, lecz także – w co trudno uwierzyć – dla Grega Menottiego. Jak to możliwe?

Może chodził do liceum w Dry Creek i słyszał ten sam wykład pana Briarleya. Nie, przypomniała sobie, jak mówił, że właśnie się sprowadził z Nowego Jorku.

Dobrze, może więc należał do grona wielbicieli *Titanica*, tak samo jak pan Briarley. Żartujesz?, zadała sobie pytanie Joanna. Ten człowiek trzy razy w tygodniu chodził na siłownię. Z drugiej strony, Richard słusznie zauważył, że filmy, książki i programy telewizyjne o *Titanicu* atakowały człowieka ze wszystkich stron. Informacja, że *Carpathia* płynęła pięćdziesiąt osiem mil od liniowca, mogła się pojawić gdziekolwiek...

Jeśli naprawdę znajdowała się w takiej odległości. Jak dotąd tylko Maisie o tym wspomniała. Stwierdziła też, że *Titanic* poszedł na dno na kilka godzin przed przyplłynięciem *Carpathii*. Mogła przesadzać, źle zapamiętać liczbę, może chodziło o pięćdziesiąt siedem mil albo sześćdziesiąt, a ty niepotrzebnie się przejmujesz, zupełnie jak wtedy, gdy wszędzie widziałas liczbę pięćdziesiąt osiem, począwszy od numerów rejestracyjnych, a skończywszy na reklamach McDonalda.

Joanna zapatrzyła się przez przednią szybę na śnieg, który właśnie zaczynał padać. Nie, to naprawdę chodzi o liczbę pięćdziesiąt osiem. Nie miała żadnych wątpliwości od chwili, gdy usłyszała słowa Maisie. Od razu nasunęło się jej pytanie, czy tak samo nie wątpiła w śmierć pana Briarleya, kiedy biegła zapłakana na oddział nagłych wypadków? Potwierdzenie z zewnątrz. Można przynajmniej sprawdzić fakty, poprosić Maisie o pokazanie książki albo spytać Kit.

Kit. Zaprosiła Joannę do siebie, aby obejrzała podręcznik. Wystarczyło zwrócić się do niej, żeby zerknęła do książek, zweryfikowała informację. To zajmie tylko kilka minut.

Joanna uruchomiła samochód i zjechała z krawężnika. Uświadomiła sobie, że jest prawie na miejscu. Uciekając, pokonała niemal całą drogę na uniwersytet. Dojechała do domu pana Briarleya, myśląc, że nie będzie nawet musiała nic wyjaśniać. Wystarczy, że powie, iż przyjechała zapoznać się z podręcznikiem. Będzie udawała, że to tylko kolejna przydatna informacja.

Dopiero gdy stanęła na ganku i drząc z zimna, zadzwoniła do drzwi, przypomniała sobie, że Kit wspomniała, iż wujek ma kiepski dzień. Poniewczasie doszła do wniosku, że nie powinna była przyjeżdżać. Kit otworzyła drzwi.

Miała na sobie dzinsy i koronkową kamizelkę do pępka, a na stopach baletki. Joanna pomyślała, że musi być naprawdę zimno, skoro włożyła obuwie.

– Cześć! – rozpromieniła się Kit. – Myślałam, że dzisiaj nie przyjdiesz.

– Jakoś udało mi się wyrwać. Przychodzę nie w porę?

– Skąd, bardzo się cieszę. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci książkę. Kiedy ją zobaczyłam, od razu wiedziałam, że to ta. Znasz to uczucie, kiedy coś się wie od samego początku? Mówiłaś, że różne osoby opowiadały różne rzeczy na temat okładki. Proszę bardzo, wszystkie miały rację. Rany, ale tu zimno. – Zadrżała w swojej króciutkiej kamizelce i szeroko otworzyła drzwi. – Dlaczego nie masz płaszcza?

Joanna nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie, ale Kit najwyraźniej nie spodziewała się żadnych wyjaśnień.

– Idę po książkę – powiedziała i udała się do biblioteki. Wróciła po niecałej minucie, cicho zamykając za sobą drzwi. – Wujek Pat zasnął – szepnęła i zaprowadziła Joannę do kuchni.

– Za kilka minut się obudzi, ale nie chcę mu przeszkadzać. Ma kiepski dzień. Dziś w nocy niewiele spał.

Niewiele spał. Znowu porzrzucał wszystko w kuchni, jeszcze bardziej niż poprzednio. Wszędzie walały się naczynia i sztucce, a cała zawartość lodówki wylądowała na podłodze. Między pojemnikami z żywnością, prześcieradłami i zastawą widać było wstęgę rozwiniętej rolki papierowych ręczników. Z blatu ściekała do zlewu zawartość rozbitej butelki keczupu, tworząc wielką, czerwoną plamę. Na stole stała szufelka pełna rozbitego szkła, a kosz na śmieci był przeładowany potłuczonymi naczyniami.

– Wujek Pat szukał książki – wyjaśniła Kit, sięgając po dwie filiżanki z chybottliwego stosu ocalałych przedmiotów. – Wydaje mi się, że jak przez mgłę pamiętał, że ukrył ją gdzieś w kuchni i właśnie dlatego narobił bałaganu.

Ominęła główkę sałaty i podeszła do zlewu, aby napęlnić filiżanki.

– Ogromnie się cieszę, że przyszedłaś. Jestem pewna, że znalazłam właściwą książkę. Tak jak opisałaś, jest niebieska i ma na okładce wszystko to, o czym wspomniałaś. – Wsunęła filiżanki do kuchenki mikrofalowej i nacisnęła kilka przycisków. – Te przedmioty narysowano w szarych prostokątach. O ile się nie mylę, to właśnie miały być lustra...

Lustra i labirynty. Joanna ujrzała pochylone zwierciadła, a w każdym inny rysunek – kałamarz i pióro, królową Elżbietę, której Ricky Inman dorysował wąsy i okulary, zakrzywiony dziób karaweli przecinającej niebieskie fale.

Kit zajrzała pod stos ściereczek do trzymania gorących naczyń.

– Na jednym widnieje statek, tak jak mówiłaś, a także...

– ...zamek i korona na czerwonej poduszce z aksamitu – dokończyła Joanna. – To z całą pewnością książka, o którą mi chodziło.

– Świetnie! – Kit klasnęła w dłonie. – A teraz mam nadzieję, że równie owocnie zakończą się moje poszukiwania herbaty w torebkach... – Zajrzała pod chwiejny stos pudełek z płatkami śniadaniowymi i przypraw.

– W jakiej odległości od *Titanica* płynęła *Carpathia*? – zainteresowała się Joanna.

– Chodzi ci o ten statek, który przybył na pomoc rozbitkom? Nie wiem. Mogę to sprawdzić. – Postawiła na stole puszkę z cynamonem i poszła do drzwi, przeskakując nad brytfanną, słoikiem oliwek i kartonem z jajkami. – Zaraz wrócę.

Podreptała przez przedpokój, weszła po schodach i niemal natychmiast zjawiła się z powrotem, trzymając naręcze książek.

– Sprawdziłam, co u wujka. Wciąż śpi. – Przesunęła przedmioty na stole w jedno miejsce, aby położyć książki. – Zobaczmy. – Otworzyła pozycję z samej góry i zajrzała do indeksu. – *Carpathia, Carpathia*. Jest. Pięćdziesiąt osiem mil.

– Jesteś pewna? – spytała Joanna. Oczywiście, że tak. Wiedziałaś, że to prawda już w chwili, gdy usłyszałaś słowa Maisie. Sama się oszukiwałaś, że potrzebujesz potwierdzenia z zewnątrz.

– Tak jest tu napisane – potwierdziła Kit. – „Pięćdziesiąt osiem mil na południowy zachód od *Titanica*, kiedy radiotelegrafista odebrał pierwsze SOS” – odczytała. – „*Carpathia* popłynęła pełną parą, ale dotarła zbyt późno, aby przyjąć pasażerów ze statku”. – Zamknęła książkę, aby spojrzeć na okładkę. – To z *Titanica* – symbolu naszych czasów. Mam sprawdzić w innej książce?

– Nie, to nie jest konieczne.

– Co się stało? Joanna, dobrze się czujesz?

– Nie.

– To ma jakiś związek z twoimi doświadczeniami granicznymi, zgadza się? – niepokoiła się Kit.

– Nie. Z doświadczeniami kogoś innego.

Opowiedziała jej o ostatnich słowach Grega Menottiego i powracającym uczuciu, że powinna wiedzieć, co one oznaczają, a także o tym, że Maisie wspomniała o odległości dzielącej *Titanica* i najbliższy statek, który odebrał wezwanie o pomoc.

– On miał na myśli *Carpathię* – zakończyła.

– A więc sądzisz, że Greg Menotti przed śmiercią ujrzał *Titanica*, tak jak ty go widzisz na swoich sesjach?

– Właśnie. Tylko dlaczego on miałby widzieć to samo, co ja? Skany RIPT dowodzą, że doświadczenia graniczne pochodzą z pamięci długotrwałej. Każdy badany ma inne wyobrażenia zakodowane w umyśle. Dlaczego więc my dwoje mielibyśmy ujrzeć takie same wizje? Dlaczego Greg miałby zobaczyć *Titanica*?

– Jesteś pewna, że naprawdę go widział? Rzecz w tym, że liczba pięćdziesiąt osiem może się odnosić do najrozmaitszych rzeczy – adresów, kodów PIN... Ile on miał lat?

– Trzydzieści cztery – wyjaśniła Joanna. – Nie chodziło o jego ciśnienie krwi ani o numer telefonu komórkowego, ani też o kombinację w skrytce. Na pewno miał na myśli mile. Stwierdził: „Za daleko dla niej”. Mówił o *Carpathii*. Jestem tego absolutnie pewna. Znalazł się na pokładzie *Titanica*, zupełnie jak ja.

– A może... Widzisz, istnieje jeszcze jedna ewentualność – zamyśliła się Kit. – Powiedziałaś, że on miał takie same doświadczenia graniczne jak ty. Nie da się wykluczyć odwrotnej sytuacji.

– Odwrotnej? – zdumiała się Joanna. – Nie bardzo rozumiem.

– Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że wszyscy widzą tunele, światła i krewnych tylko dlatego, że tego oczekują? I jak pan Mandrake wpływa na swoich rozmówców, sugerując im, że ujrzeli Świetlistego Anioła?

Joanna skinęła głową, nie rozumiejąc, do czego zmierza Kit.

– Można więc wyobrazić sobie, że kiedy usłyszałaś, jak tamten pacjent mówi: „Pięćdziesiąt osiem”, twoja podświadomość powiązała to z *Titanikiem* z powodu tych wszystkich historii, opowiedzianych ci przez wujka Pata. Możliwe, że właśnie dlatego znalazłaś się na *Titanicu*, kiedy poddałaś się eksperymentowi. Myślę, że Greg Menotti wpłynął na ciebie i twój sposób myślenia. Mógł mówić o czymkolwiek, ale ty powiązałaś to z *Carpathią*.

Słowa Kit brzmiały niezwykle rozsądnie. Joanna nastawiła się negatywnie wobec wizji związanych z krewnymi, aniołami i retrospekcjami życia, wspomnianymi przez wszystkich swoich badanych. Nie oznaczało to jednak, że nie spodziewała się niczego ujrzeć. Przez dwa ostatnie lata przyglądała się zachowaniom pacjentów, obserwowała ich język ciała, usiłując się w ten sposób przekonać, jakie były ich doświadczenia graniczne. „O nie, o nie, o nie”, powiedziała Amelia, a pani Woollam

przytuliła Biblię do swojej klatki piersiowej i spytała: „Jakże to ma nie być przerażające?”

Poza tym w czasie bezpośrednio poprzedzającym eksperyment Joanna intensywnie myślała o Gregu Menottim, przejmując się tym, co powiedział, usiłując zrozumieć jego słowa. Uznała, że liczba pięćdziesiąt osiem brzmi znajomo. Jej podświadomość musiała zapamiętać, jak daleko znajdowała się *Carpathia*, i uruchomić inne wspomnienia, które wpłynęły na kształt doświadczeń granicznych i przywołały postać pana Briarleya. Zatrzymanie silników statku nie stanowiło pomostu między jej wspomnieniami i doświadczeniami z sesji. Istotne były słowa pana Briarleya: „*Carpathia* znajdowała się w odległości pięćdziesięciu ośmiu mil, za daleko, żeby przybyła na czas”.

– Masz rację – przyznała Joanna. – To brzmi bardzo logicznie.

– Tylko, jakie znaczenie ma książka? – zapytała Kit. – Założę się, że jest w niej jakiś wiersz lub coś związanego z *Carpathią*. Jeśli tak będzie, wszystko stanie się jasne. Czuję się, Jakbym uczestniczyła w rozwiązywaniu zagadki kryminalnej – Przyznała z podnieceniem i położyła książkę o *Titanicu* na stole. – Idę po podręcznik – oświadczyła, omijając garnki i żywność.

– Nie chcę, żebyś przeszkadzała panu Bri...

– Będę cicho. Zaraz wrócę. – Kit wyszła do przedpokoju.

Joanna podniosła *Titanica – symbol naszych czasów* i przyjrzała się rysunkowi tonącego statku z rozbłyskującą nad nim rakietą. Gdyby Greg Menotti rzeczywiście wpłynął na jej doświadczenia graniczne, stałoby się jasne, dlaczego go ujrzała podczas sesji. A pan Briarley...

– O nie! – krzyknęła z biblioteki Kit. Joanna błyskawicznie zerwała się z krzesła, przy okazji uderzając boleśnie kolanem o nogę stołu. Stos talerzy niebezpiecznie przesunął się blisko krawędzi blatu, a na ziemię spadło z brzękiem sześć noży.

Joanna rzuciła się, aby uratować talerze. Złapała je i odsunęła bliżej środka stołu.

– Co się stało? – zawołała do Kit, przedzierając się przez labirynt patelni i butelek z sosem do sałatek, odgradzający ją od drzwi.

Kit milczała.

– Kit! Wszystko w porządku? – wrzasnęła ponownie, biegnąc przez przedpokój i myśląc, że pan Briarley na pewno nie żyje. – Co się stało?

Kit stała przy wujku i opierała ręce na biodrach. Pan Briarley z całą pewnością żył. Nie spał i wpatrywał się tępo przed siebie, zatopiony w swoim fotelu obitym ciemnoczerwoną skórą. Ręce trzymał swobodnie oparte na udach. Joanna spostrzegła z przykrością, że jego szara tweedowa kamizelka jest krzywo zapięta. Widząc swojego byłego nauczyciela, zrozumiała, dlaczego Kit stwierdziła, że ma kiepski dzień. Nie chodziło jej o bałagan w kuchni.

– Nie ma jej – oświadczyła przygnębiona dziewczyna.

– Czego? – Joanna nie zrozumiała.

– Książki. *Luster i labiryntów*. – Kit uklękła przed panem Briarleyem. – Wujku, wzięłeś tę książkę?

Nie odpowiedział, ani nawet nie dał znaku, że dotarł do niego głos siostrzenicy. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z jej obecności. Cały czas nie odrywał spojrzenia od ściany.

– Gdzie ją schowałeś, wujku? – nie ustępowała Kit. Nie usłyszawszy odpowiedzi, wyprostowała się. – Znowu ją ukrył. Nie mógł być przytomny dłużej niż pięć minut. Jeszcze spał, kiedy przyniosłam do kuchni książkę o *Titanicu*.

– Gdzie ją położyłaś?

– Tutaj. – Wskazała puste miejsce na półce. – Myślałam, że jej nie zauważą między innymi książkami. To moja wina, nie powinnam była jej tutaj zostawiać. Nie rozumiem, dlaczego nie zabrałam jej na górę razem z książkami o statku.

– To bez znaczenia – pocieszyła ją Joanna, zmartwiona, że się tak przejmuje. – Wykorzystałam podręcznik jako pretekst, żeby do ciebie przyjechać. Tak naprawdę interesowała mnie *Carpathia*, chciałam się dowiedzieć, dlaczego Greg Menotti w chwili śmierci zobaczył *Titanica*...

– To ma ogromne znaczenie. – Kit tłumila łzy. – Powinnam była ją stąd zabrać. Wczoraj nakryłam go, jak chował moje buty w koszu na ubrania – zaraz, zaraz! Coś mi przyszło do głowy! – Pobiegła na górę.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zawołała za nią Joanna.

– Nie, lepiej zostań przy nim – odrzyknęła. – Nigdy nie wiadomo, co ukryje następnym razem!

Joanna wróciła do biblioteki, chociaż wydawało się mało prawdopodobne, że pan Briarley wstanie z fotela i ucieknie z pokoju, aby coś ukryć. W swoim bezruchu i otępieniu przypominał Carla Śpiączkę, a Joannę ogarnął nagle wstyd, że ogląda go w takim stanie. Poczuli się tak,

jakby włamała się do czyjegoś domu pod nieobecność właścicieli. Odwróciła się i spojrzała na książki.

Gdyby zdjął książkę z jednej półki, zapewne położyłby ją na drugą. Przejrzała pobieżnie pozycje leżące na innych, a następnie szybko odczytała tytuły książek ustawionych jedna obok drugiej. Szukała grubego podręcznika w charakterystycznej oprawie. Proszę bardzo, oto on, wciśnięty między *Bleak House* oraz antologię *Umarli ze Spoon River*.

– Znalaz... – zaczęła Joanna, lecz urwała, przyglądając się bliżej okładce.

– Znalazłaś? – zawołała z góry Kit.

– Nie! – odkrzyknęła. – Przepraszam, to ta druga, która się okazała niewłaściwa.

Ta, która się okazała niewłaściwa. Joanna zapatrzyła się w rysunek klipera, niebieskie tło i pomarańczowe litery. Niewłaściwa, chociaż spełniała wszystkie kryteria.

Podobnie rzecz się miała z teorią Kit. Brzmiała logicznie, pasowała do wszystkich okoliczności, ale nawet gdyby znalazły *Lustra i labirynty*, a w nich wiersz poświęcony *Carpathii*, z napisanym kursywą wstępem: „W noc zatonięcia *Titanica* parowiec *Carpathia* znajdował się w odległości pięćdziesięciu ośmiu mil, za daleko, żeby przybyć na ratunek pasażerom liniowca...”, to wyjaśnienie i tak nie przekonałoby Joanny.

Pomyślała, że to nie ostatnie słowa Grega sprawiły, że widzi *Titanica*. Jej doświadczenia graniczne mają związek z czymś, co pan Briarley powiedział na lekcji. Joanna wiedziała, że przekona się o tym, gdy usłyszy właściwe wyjaśnienie, tak samo jak domyśliła się, że dobiegający ją nieznaną dźwięk to wyłączane silniki. Podobnie Kit od razu miała świadomość, że znalazła odpowiednią książkę.

Joanna podeszła do fotela pana Briarleya.

– Proszę pana. – Uklękła obok poręczy mebla. – Na lekcji wspomniał pan coś na temat *Titanica* i jego znaczenia. Co takiego? Pamięta pan?

Pan Briarley cały czas wpatrywał się obojętnie w przeciwległą ścianę.

– Wiem, że ma pan trudności z przypomnieniem sobie tego – ciągnęła łagodnie Joanna – ale to bardzo ważne. To ma związek z *Titanikiem*. Zamknął pan książkę, a potem powiedział pan... – Uderzyła dłonią w skórzaną poręcz fotela, usiłując odświeżyć pamięć. – Coś. Coś, co ma związek z *Titanikiem*. Na dworze było mgliście, a pan trzymał książkę...

Joanna zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć, czy miał w dłoniach *Lustra i labirynty*, czy też egzemplarz *SOS Titanic* w zniszczonej, miękkiej okładce.

– Proszę sobie przypomnieć, co pan mówił – szepnęła. – Bardzo proszę. To dla mnie ważne.

Żadnej reakcji.

Joanna pomyślała, że pan Briarley jest za daleko, żeby ją usłyszeć. Gdzie pan właściwie jest? Stoi pan w magazynie pocztowym, zanurzony po kostki w wodzie, i prosi urzędnika o klucz? A może w bibliotece, usiłując napisać wiadomość dla Kit?

Albo nigdzie. Może komórki mózgowy, które odpowiadały za świadomość, rozumienie oraz tożsamość uległy zniszczeniu pod wpływem choroby Alzheimera, a synapsy przechowujące wspomnienie tamtego mglistego popołudnia znikły bez śladu?

– Nie pamięta pan – stwierdziła, straciwszy nadzieję, i wstała. – Nie szkodzi. Proszę się tym nie martwić.

Odłożyła *Wyprawy i wspomnienia*, a następnie uważnie przejrzała pozostałe książki, chociaż nie miało to sensu. *Lustra i labirynty* nie zawierały niczego, co mogło mieć związek z *Titanikiem*. Zapamiętała je nie dlatego, że w środku zamieszczono jakiś odpowiedni wiersz lub esej. Doświadczenia graniczne Joanny zostały wywołane tym, że podczas jednego z wykładów pan Briarley trzymał w dłoniach właśnie tę książkę. Właśnie dlatego momentalnie przypomniała sobie podręcznik, kiedy Betty wymieniła jego tytuł. Zapamiętała okładkę, gdyż miała ją przed oczyma, gdy nauczyciel wygłaszał kluczowe zdania.

Zakończyła przeszukiwanie półek i zajęła się książkami zgromadzonymi w schowku pod parapetem. Zastanowiła się, czy pan Briarley mógłby tam ukryć podręcznik.

– Co jeszcze mógłby ujrzeć? – spytał pan Briarley, nie ruszając się z fotela.

– Słucham? – zająknęła się Joanna. Nauczyciel wstał i skierował wzrok obok fotela, tam gdzie przed chwilą klęczała.

– Kto mi może powiedzieć, czym jest metafora? – zapytał, lustrując pokój. Jego lekcja, przeszło Joannie przez myśl. Wydaje mu się, że prowadzi swoją lekcję angielskiego.

– Pani Lander? – zwrócił się do niej, a jego spojrzenie ponownie utkwilo w punkcie obok fotela. – Może pani zdefiniować metaforę?

Joanna zerknęła na schody, zastanawiając się, czy zawołać Kit.

– Metafora to sugerowane lub bezpośrednie zestawienie dwóch pojęć, które pod pewnym względem są do siebie podobne – oświadczył. – Śmierć jest podróżą, wyprawą, przejściem. Tak jest, panie Inman, wiem, że nigdy pan nie widział mgły z nogami. To dlatego, że większość rzeczy jest podobna tylko pod jednym lub dwoma względami. Mgła jest cicha i tajemnicza, jak kot, ale z drugiej strony nie jada ryb, ani też, jak pan słusznie zauważył, nie ma nóg. – Pan Briarley wstał, podszedł do stołu i usiadł na jego krawędzi.

Joanna wstrzymała oddech.

– Zwykle istnieje tylko kilka porównywalnych elementów, lecz niekiedy, niekiedy, dwie rzeczy są swoimi lustrzanymi odbiciami. Czy zastanawiali się kiedyś państwo nad tym, dlaczego poświęcam cenny czas naszych lekcji na rozmowy o wraku? Czy ktokolwiek z państwa pomyślał, dlaczego po tylu latach te wszystkie książki, filmy i sztuki wciąż fascynują ludzi?

On mówi o *Titanicu*. Przypomniał sobie. Joanna usiadła na schowku pod oknem i zamarła w oczekiwaniu.

– Wiedzą to, kiedy go widzą – ciągnął. – Rozpoznają go natychmiast, chociaż nigdy wcześniej nie mieli go przed oczyma. I nie mogą od niego oderwać oczu.

Mówił zagadkami, mieszał wspomnienia z metaforami, a jego słowa mogły oznaczać tyle samo, co pytanie o przepustkę, które zadał Joannie. Mimo to wciąż cicho siedziała pod oknem, bojąc się poruszyć, bojąc się nawet odetchnąć.

– Wmawiają sobie, że nie jest tym, czym jest, że to moralitet albo komedia omyłek – mówił pan Briarley. – Mówią, że kojarzy im się z wojną klas lub z nadmierną wiarą w możliwości techniki albo z zemstą gniewnego Boga, ale tylko się oszukują. Wiedzą, dobrze wiedzą, co to przypomina. On też to wiedział. Dlatego go ujrzał.

Joanna nagle uświadomiła sobie, o czym mówi pan Briarley. Nie usłyszał jej, kiedy uklękła przy jego fotelu i poprosiła go, aby sobie przypomniał. Słyszał ją wcześniej, kiedy toczyła rozmowę z Kit i pytała ją, dlaczego Greg Menotti ujrzał *Titanica*. Przez następny kwadrans cierpliwie przeszukiwał zakamarki swojego niesprawnego i uszkodzonego mózgu, usiłując znaleźć odpowiedź.

– „Nigdy tego nie zapomnę” – mruknął. – To słowa Edith. Edith Haisman – dodał, zupełnie jakby się domyślił, że Joanna chce go o to

spytać. – Powiedziała: „Nigdy tego nie zapomnę, ciemności i zimna”, ale nie chodziło jej o *Titanica*. Obserwator dziobowy, który pierwszy to ujrzał – który dał sygnał ostrzegawczy – powiesił się na latarni. On wiedział, co to jest naprawdę. Wiedział to, gdy tylko to ujrzał, wiedział...

– Nigdzie nie mogę jej znaleźć – poskarżyła się Kit, a Joanna usłyszała jej kroki na schodach.

Nic, jeszcze nie teraz. Joanna wcisnęła się we wnękę w ścianie tak jak wtedy, gdy wraz z Richardem ukrywała się przed panem Mandrakiem na klatce schodowej.

– Nie było jej w koszu na ubrania ani pod materacem, ani za kaloryferem – mówiła Kit, mijając połowę schodów, dwie trzecie.

Nie, błagała w myślach Joanna, nie teraz...

– Zaraz! – wykrzyknęła Kit na kilka stopni przed podłogą. – Coś mi przyszło do głowy. Muszę sprawdzić jeszcze jedno miejsce. – Pobiegnęła z powrotem na górę.

Pan Briarley powiódł za nią wzrokiem. Poruszył głową, jakby wsłuchiwał się w jej głos, po czym ponownie opadł na fotel. Joanna czekała, ale swoimi słowami Kit nieświadomie zdjęła zakłęcie i pan Briarley znów się pogrążył w nieświadomości.

Jak to wygląda, proszę pana?, chciała spytać Joanna, lecz obawiała się zakłócić tok myślenia swojego nauczyciela, który być może wciąż chciał dokończyć swój wykład. Zaczekaj, przykazała sobie, niespokojnie nasłuchując głosu Kit. Nie naprowadzaj. Czeka.

– Wciąż gubię swój dziennik – stwierdził pan Briarley, a jego ton uległ zmianie. Stał się bardziej introspekcyjny, wręcz łagodny. – I nie mogłem sobie przypomnieć imion córek Leara. Ostrzeżenia przed górami lodowymi. Nie słuchałem ich. „Starzeją się”, wmawiałem sobie. „Typowy rozkojarzony profesor”. Bardzo niewielu pasażerów usłyszało odgłos zderzenia. Obudziło ich dopiero zatrzymanie silników.

Serce Joanny waliło jak młotem. Czeka.

– Powiedziałem sobie, że nie ma się czym przejmować. Współczesna medycyna sprawiła, że statek stał się niezatapialny, a światła wciąż się paliły, na pokładach trudno było zauważyć przechył. Lecz wewnątrz...

Przez chwilę wpatrywał się przed siebie niewidzącymi oczyma, a następnie ciągnął:

– Doskonała metafora. Nieoczekiwanie pojawia się znikąd w samym środku dziewiczej podróży, niezauważalna, dopóki nie znajdzie się zbyt

blisko, nieunikniona, chociaż skęcisz, aby jej uniknąć, niespodziewana, chociaż docierają do ciebie liczne ostrzeżenia. Literatura, to ona jest ostrzeżeniem. – Jego głos zadrżał. – „Nie, i po śmierci sen się mój przeciągnął”. Szekspir napisał to, aby ostrzec nas przed tym, co nadchodzi. „W marzeniu czarne przepłynąłem wody Łódką, o której śpiewają poeci, W krainę cieniów, z groźnym przewoźnikiem”^{26}. – Rozejrzał się po bibliotece jak po klasie. – Czy ktoś może mi wyjaśnić, co to oznacza?

Gdzieś na górze Kit głośno zamknęła szufladę, a pan Briarley oznajmił, jakby ten dźwięk był pytaniem:

– Nic was nie uratuje, ani młodość, ani uroda, ani bogactwo, ani inteligencja, siła czy odwaga. Jesteście samotni, pośrodku oceanu, przy gasnących światłach.

Na piętrze Kit zatrzasnęła drzwi i zbiegła do przedpokoju. Lada chwila mogła wejść do biblioteki. Nie było czasu do stracenia.

– Dlaczego umierając, ujrzał *Titanica*? – spytała Joanna, a pan Briarley odwrócił się do niej i spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Bynajmniej. Ujrzał śmierć.

Śmierć.

– I ona wyglądała jak *Titanic* – powiedziała Joanna.

– I ona wyglądała jak *Titanic*.

W drzwiach stanęła Kit.

– Słyszałam, że coś mówiłaś. Znalazłaś książkę?

Rozdział 36

„Godzina siódma rano, dzisiaj, w czwartek, wypływam na Titanicu w dziewiczym rejsie do Nowego Jorku, pierwsza podróż tego statku przez Atlantyk. Na razie. Pozdrowienia, P.D.”.

Pocztówka wysłana z Queenstown
przez Patricka Dooleya do Mary Tonner

Joanna nie była pewna, jak wróciła do szpitala. Chciała tylko uciec, uwolnić się od tego, co usłyszała od pana Briarleya, i tego, co mogłaby powiedzieć Kit.

– Co się stało? – spytała Kit, widząc wyraz twarzy Joanny. – Coś nie tak?

– Wszystko dobrze – odparła Joanna, usiłując zachowywać się normalnie. – Nie znalazłam podręcznika. – Kit weszła do biblioteki i zatrzymała się przed ustawionymi w szeregu zdjęciami. Kevin uśmiechał się z fotografii wystającej spoza jej ramienia. Nie mogę jej powiedzieć, nie mogę pozwolić, aby się dowiedziała, myślała Joanna.

– Pora na mnie – oświadczyła i wyszła do przedpokoju.

– Wujek Pat nie powiedział niczego, prawda? – zaniepokoiła się Kit, odprowadzając Joannę do drzwi. – Niekiedy wygaduje okropieństwa, ale nie trzeba się nimi przejmować. To element jego choroby. Nawet nie wie, co mówi.

– Nie, nie powiedział niczego okropnego. – Joanna usiłowała uśmiechnąć się pokrzepiająco. Mówił tylko prawdę. Straszna, potworna prawda.

Nie wątpiła, że pan Briarley wypowiadał się szczerze, chociaż słuchając go, nie doznała nagłego objawienia. Poczła tylko dławiący strach. Pograżyłam się w oceanie lęku, pomyślała i jej usta wykrzywił uśmiech. Dobrze powiedziane. Jak to nazwał pan Briarley? Lustrzane odbicie śmierci.

Właśnie dlatego zapamiętałam jego słowa na długie lata. Wszystkie katastrofy – opisany przez Maisie pożar *Hindenburga*, zagłada Pompejów, tragedia w cyrku w Hartford – kryły w sobie niektóre atrybuty śmierci: jej nieoczekiwane nadejście, strach przed nią, jej grozę. *Titanic* zawierał wszystkie: odwagę, zniszczenie, przypadkowość, przerażającą mieszankę zbiegu okoliczności i zaniedbania, grozę, rycerskość i rozpacz.

Tragedia *Titanica* okazała się zarówno niespodziewana, jak i powolna – zderzenie z górą lodową nastąpiło równie nieoczekiwanie jak kolizja dwóch pędzących samochodów, jak zawał serca. Z drugiej strony katastrofa rozciągnęła się w czasie. Pasażerowie spokojnie siedzieli na leżakach po tym, jak wszystkie łodzie opuszczono na wodę, albo grali w brydża w palarni, niczym pacjenci w hospicjum onkologicznym, w nieskończoność oczekujący śmierci.

Wszystkie atrybuty. Rana, która początkowo wydawała się drobna – guzek, cień na zdjęciu rentgenologicznym, kaszel – nic szczególnego. Współczesna medycyna sprawiła, że statek stał się niemal niezatapialny, a kapitan doskonale wie, co robić.

Pomyślała o Gregu Menottim, jak protestował, że przecież często chodził na siłownię, nie zważając, że jego klatkę piersiową przeszywa zabójczy ból. O matce Maisie, upierającej się, że nowy lek wpływa stabilizująco na arytmie córki. O mężczyznach na *Titanicu*, wychylających się za reling i śmiejących się do kobiet w łodziach: „Do zobaczenia na śniadaniu” oraz: „Bez przepustek nie wpuścimy was z powrotem na statek”.

Negacja, a potem niepokój. Lekarz zalecił operację zwiadowczą, tomografia komputerowa wykazuje postępującą degenerację korowych komórek nerwowych, na pokładzie odczuwa się przechył. Mimo to wciąż nie ma oznak, że sytuacja jest naprawdę poważna. Z całą pewnością nie istnieją powody, aby przyjeżdżał brat, nie trzeba wkładać kamizelki ratunkowej ani sporządzać testamentu. Po co to robić, skoro pokłady są wciąż rozświetlone, a orkiestra nie przestała grać.

Jeszcze przez pewien czas negacja, a potem historyczny wyścig do łodzi ratunkowych, na chemioterapię, do kliniki w Meksyku, a kiedy wszystkie szalupy opuszczą pokład, pozostają tylko pożegnania i desperackie pokładanie się na leżakach, religia, pozytywne myślenie, książki pana Mandrake'a, światło na końcu tunelu. Nic jednak nie skutkuje, wszystko się kruszy, bo cały statek się rozpada, pęka, niszczy, tak jak ciało się rozpada, znika, idzie na dno, a *Titanic* nie jest tylko lustrzanym odbiciem śmierci,

lecz tego, co dzieje się z organizmem, który nie umiera jednocześnie z człowiekiem, tylko etapami, najpierw ustaje oddech, potem zatrzymuje się serce i krew w żyłach, jeden wodoszczelny przedział po drugim ulegają zalaniu i przepuszczają wodę do kolejnego: kora mózgowa, rdzeń, pień mózgu, wszystko przestaje działać i obumiera, a w ostatniej chwili człowiek widzi własny koniec. Statek idzie na dno dziobem w dół.

Przy tej nie kończącej się agonii źrenice wciąż się rozszerzają, chociaż zaszyły już mgłą w beznadziejnej próbie utrzymania włączonych świateł. Niektóre komórki potrafią przetrwać godzinami, wątroba wciąż dokonuje przemiany materii, kości nadal produkują szpik, niczym palacze w maszynowni, wciąż utrzymujący ogień pod kotłami, napędzający prądnice, nieświadomi, że statek już zatonął. Najpierw pogrążał się powoli, potem szybciej, ciało stopniowo ciemniało i wychładzało się.

„Nigdy tego nie zapomnę, ciemności i zimna”, przypomniała sobie Joanna, drżąc. Siedziała w samochodzie na szpitalnym parkingu, z rękami na kierownicy. Zastanawiała się, ile czasu tak spędziła, wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w budynek, w szare niebo.

Dużo. Robiło się ciemno, szarość nieba się pogłębiała, a w niemal wszystkich oknach szpitala zapaliły się światła. W którymś momencie musiała wyłączyć silnik, gdyż wewnątrz samochodu było zupełnie wyziębione. Nie czuła stóp. Doczekasz się własnej śmierci, pomyślała, wysiadła i weszła do budynku. W środku było jasno, musiała przymknąć oczy. Na końcu korytarza, w oślepiającym świetle stała kobieta w białym płaszczu i białej czapce zrobionej na drutach, oraz mężczyzna w ciemnym garniturze.

Pan Mandrake, uznała Joanna. Zupełnie o nim zapomniwała.

– Ale nic mu nie będzie, prawda? – drżącym głosem spytała kobieta.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – odparł mężczyzna.

Lekarz, nie pan Mandrake. Mimo to Joanna dała nura do najbliższej klatki schodowej i skierowała się do laboratorium.

„Robimy wszystko, co w naszej mocy”, stwierdził lekarz, ale nic nie było w niczyjej mocy. Dopiero kiedy zniknęła wszelka nadzieja, Joanna przypomniała sobie, jak bardzo pragnęła, aby doświadczenia graniczne okazały się zjawiskiem o charakterze fizycznym, mechanizmem przetrwania, jak bardzo chciała triumfalnie przedstawić Richardowi rozwiązanie zagadki. Jak bardzo pragnęła powiedzieć Maisie: „Mamy nowe lekarstwo”.

Tylko że to zawsze było wyjątkowo nieprawdopodobne. Mijały lata, czasami dekady, zanim odkrycia medyczne wykorzystywano do leczenia pacjentów. Osoba, która zapoczątkowywała badania, rzadko kiedy korzystała z ich dobrodziejstw. Joanna powinna wiedzieć to lepiej niż inni. Po katastrofie *Titanica* wprowadzono nowe przepisy, na mocy których trasy statków przesunięto bardziej na południe, kapitanów wszystkich jednostek zobligowano do prowadzenia całodobowego nasłuchu radiotelegraficznego i nakazano wyposażenie statków w odpowiednią liczbę łodzi ratunkowych, wystarczającą dla wszystkich ludzi obecnych na pokładzie. Wszystko to za późno, za późno dla półtora tysiąca utraconych istnień ludzkich.

Gdyby nawet doświadczenia graniczne stanowiły mechanizm przetrwania, nie istniały żadne gwarancje, że udałoby się stworzyć odpowiedni system leczenia ludzi. Ale przecież nie były żadnym mechanizmem przetrwania ukształtowanym w wyniku ewolucji. Nieustające przekonanie Joanny, że jest inaczej, że znalazła się u progu epokowego odkrycia w medycynie, okazało się tylko chciejstwem, chemicznie wywoływaną konfabulacją.

Doświadczenia graniczne nie służyły do obrony organizmu przed śmiercią. Wręcz przeciwnie. Człowiek stawał przed jej obliczem zupełnie bezbronny i zaczynał dostrzegać całą grozę umierania. Nic dziwnego, że pan Mandrake, pani Davenport i wszyscy pozostali woleli wierzyć w światła, krewnych i anioły. Prawda była zbyt straszna, aby ją brać pod uwagę.

Dotarła na piąte piętro. Wyciągnęła rękę, aby otworzyć drzwi, zawahała się i ją cofnęła. Pomyślała, że nie może tego zrobić. Nie potrafiłaby spokojnie się przyglądać, jak Richard wysyła pana Sage'a przed lustrzane oblicze śmierci.

Gdyby mu o tym powiedziała, spytałby, co się stało. A na to pytanie nie potrafiłaby mu odpowiedzieć. Nabralby przekonania, że zwariowała, tak samo jak Seagal czy Foxx. Oskarżyłby ją o dawanie wiary teoriom pana Mandrake'a.

Coś wymyślę. Powiem mu... Ale przecież nie mogła stanąć mu przed oczyma. Podobnie jak Kit, od razu zapytałby, co się stało, dlaczego tak dziwnie wygląda. Zadzwoń do niego z gabinetu. Najlepiej będzie, jak mu powie, że boli ją głowa i idzie do domu. Wróciła na schody. Powie mu, że musimy przełożyć sesję.

Na drzwiach do swojego pokoju zauważyła przyklejoną kartkę papieru. „Pan Sage musiał odwołać eksperyment”, przeczytała Joanna i poczuła, jak ogromny kamień spada jej z serca. „Zachorował na grypę. Pojechałem do doktora [nieczytelne] w szpitalu Świętego Antoniego...”

Nie potrafiła odcyfrować pozostałej części wiadomości. Nie miała pojęcia, dlaczego Richard pojechał do szpitala Świętego Antoniego. Informacja była tak zabazgrana, że nie miała nawet pewności, czy na pewno chodzi o niego. Równie dobrze pan Sage mógł pojechać do doktora [nieczytelne] w związku ze swoją gripą. Jedyne słowo, które potrafiła odczytać, to „Richard” na samym końcu wiadomości. To jednak nie miało znaczenia. Najważniejsze, że chwilowo nie musiała się z nim spotykać.

Na końcu korytarza zadzwoniła winda. Przeszło jej przez głowę, że to na pewno Richard albo pan Mandrake. Pośpiesznie namacała w kieszeni klucze i je wyciągnęła. Dobiegł ją odgłos rozsuwanych drzwi windy. Wsunęła klucz do zamka, obróciła go i położyła dłoń na klamce.

– Joanna! – zawołała Vielle. W takiej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak tylko odwrócić się, uśmiechnąć i mieć nadzieję, że pielęgniarka chciała tylko omówić szczegóły najbliższego wieczoru smakołyków.

Nic podobnego.

– Dobrze się czujesz? – spytała Vielle. Na jej twarzy pojawił się taki sam zatroskany wyraz, jaki zawsze przybierała na swoim oddziale. – Coś się stało? Widziałam, jak odjeżdżałaś spod szpitala taksówką. Zawołałam cię, ale zdaje się, że mnie nie usłyszałaś. Dokąd pojechałaś?

Joanna rozejrzała się niespokojnie po korytarzu. Nie powinny rozmawiać w tym miejscu.

– Do Kit. – Otworzyła drzwi i schroniła się w gabinecie.

– Taksówką? – Vielle weszła za nią do środka. – Zepsuł ci się samochód? Mogłaś pożyczyć mój.

– Pan Mandrake mnie ścigał. – Joanna spróbowała się uśmiechnąć. – Zaczął się przy wejściu na parking.

Vielle najwyraźniej przyjęła to wytłumaczenie.

– Dlaczego pojechałaś do Kit?

– Po książkę – wytłumaczyła, choć przecież nie miała jej przy sobie.

– Zaniepokoiłam się, że nie włożyłaś płaszcz.

– Już ci mówiłam, pan Mandrake deptał mi po piętach. Nie mogłam nawet wrócić do gabinetu po torebkę. On bez przerwy wokół mnie węszy. Jeszcze trochę i będziemy musiały urządzać nasze wieczory smakołyków w

specjalnie przygotowanych kryjówkach. – Spróbowała zmienić temat. – Właśnie, kiedy się spotykamy w tym tygodniu?

Nic z tego.

– Na pewno nic ci nie jest? Od dwóch tygodni sprawiasz wrażenie rozkojarzonej.

– Bo jestem rozkojarzona. Moja najlepsza przyjaciółka wciąż pracuje na oddziale nagłych wypadków, chociaż naćpany szalowiec omal nie odstrzelił jej ręki. – Wskazała na zabandażowane ramię Vielle. – Jak ci poszło dzisiaj? Jakies nowe próby zabójstwa?

– Już dobrze, dobrze. – Vielle podniosła ręce w geście kapitulacji. – Może jutro? Chodzi mi o wieczór smakołyków. Ty powiesz Richardowi, a ja zadzwonię do Kit.

A wtedy Kit i Vielle wymienią się spostrzeżeniami, zaczną wypytywać, dlaczego tak szybko wyszłam i co powiedział Briarley.

– Nie mogę – stwierdziła Joanna. – Jestem zawałona relacjami, które muszę przepisać. – Siadła przy biurku i włączyła komputer na potwierdzenie swoich słów. – Nie ma szans, abym w tym tygodniu wróciła do domu przed dziesiątą. Może w sobotę?

– Wyśmienicie. Powiem Harveyowi Żywemu Trupowi, że jestem zajęta. Wiedziałaś, że w kostnicach wstrzykuje się trupom mastykę w policzki, żeby wyglądały zdrowiej?

– A zatem sobota? – Joanna wyciągnęła kasetę i wsunęła ją do dyktafonu.

– I w ten sposób pozwalam ci się przepracowywać. – Vielle ponownie przybrała zatroskany wyraz twarzy. – Chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie jest. – Wychodząc, odwróciła się jeszcze na progu. – Wiem, że ta dithetamina powinna być całkowicie nieszkodliwa, ale wszystkie substancje chemiczne mają skutki uboczne, nawet aspiryna. Powiedziałaś Richardowi o tym, co cię trapi, cokolwiek to jest?

Nie mogę powiedzieć Richardowi. Nie mogę powiedzieć nikomu, nawet tobie. Zwłaszcza tobie. Codziennie stykasz się z umierającymi ludźmi. Jak mogłabyś znieść świadomość, że wiesz, co się z nimi później dzieje?

Spojrzała pogodnie na Vielle.

– Nic mnie nie trapi, poza tym, że nie wiem, jak mi się uda spisać te wszystkie nagrania.

– Wobec tego lepiej bierz się do roboty. – Vielle odwzajemniła uśmiech. – Po prostu się o ciebie martwię.

– Wiem. Vielle... – zaczęła, kiedy pielęgniarka znalazła się już na korytarzu.

Vielle odwróciła się gwałtownie i szybko przymknęła za sobą drzwi.

– Pan Mandrake właśnie wysiadł z windy – szepnęła. – Zarygluj drzwi i wygaś światła. – Błyskawicznie wyszła na korytarz, zamykając drzwi.

Joanna rzuciła się do wyłącznika światła, a następnie do zamka.

– Nie ma jej tutaj – usłyszała głos Vielle. – Właśnie zostawiałam jej wiadomość.

– Wie pani, kiedy wróci? – spytał pan Mandrake.

– Nie mam pojęcia.

– Mam jej coś niezwykle ważnego do zakomunikowania, a ona nigdy nie odpowiada na wiadomości na pager – stwierdził z przyganą. – Wspomniała pani coś o wiadomości? To dobry pomysł, sam też zostawię notatkę.

Rozległo się szuranie, jakby Vielle usiłowała nie dopuścić pana Mandrake do drzwi, a potem ktoś nacisnął klamkę.

– Musiałam niechcący zatrzasać blokadę, kiedy wychodziłam – oświadczyła Vielle. – Strasznie mi przykro. – Po chwili jej głos dobiegł z głębi korytarza: – Powtórzę jej, że chciał się pan z nią widzieć. – Zadzźwięczała winda.

Joanna stała przy drzwiach, nasłuchując pana Mandrake’a i obawiając się włączyć światło. Zastanawiała się, czy wciąż tam się czai, lecz po chwili zdecydowała się wrócić za biurko. Usiadła i zamyśliła się, co robić dalej.

Będę musiała zrezygnować z uczestnictwa w badaniach. Wymyślę wymówkę, powiem Richardowi, że jestem zbyt zajęta, a projekt uniemożliwia mi normalną pracę. A jak zrezygnuję, to co? Wrócę do przeprowadzania wywiadów z ludźmi, którzy przeszli śmierć kliniczną? Jak mogę kontynuować badania z wiedzą, którą dysponuję? Jak mogę rozmawiać z Maisie, która pewnie umrze, zanim się doczeka nowego serca? Albo z Kit, której narzeczony poszedł na dno wraz z *Titanikiem*, a wujek jest uwięziony na jego pokładzie i wystrzeliwuje rakiety, których nikt nie widzi? Nie mogę. Będę musiała porzucić szpital, poszukać sobie innego miejsca, uciec. Jak Ismay, wślizgujący się ukradkiem do łodzi ratunkowej, pozwalający utonąć kobietom i dzieciom. „Parszywy tchórz”, stwierdziła z pogardą Maisie, a ona z całą pewnością wiedziała, czym jest odwaga. Od dawna zaglądała śmierci w oczy i nigdy nie usiłowała uciec.

Tylko dlatego, że nie mogła, stwierdziła Joanna, lecz to nie była prawda. Wystarczyło spojrzeć na pana Mandrake’a i panią Davenport. I na matkę

Maisie. I Amelię.

Joanna uświadomiła sobie, że właśnie dlatego Amelia zrezygnowała z dalszych sesji. Dotąd tylko częściowo wierzyła w jej opowieść o przejmowaniu się ocenami, lecz zakładała, że brak zainteresowania kolejnymi eksperymentami wynikał z obojętności Richarda. W rzeczywistości było inaczej. Amelia rozpoznała śmierć, jęknęła: „O nie, o nie, o nie” i zrezygnowała z badań.

Ale Amelia miała tylko dwadzieścia dwa lata. Była ochotniczką, a nie osobą współodpowiedzialną za przebieg badań. Nie zgłosiła się po to, aby dowiedzieć się, czym są doświadczenia graniczne, a kiedy poznała prawdę o nich, ogarnęła ją panika, straciła zimną krew, schroniła się na najbliższej łodzi ratunkowej. „Tam, skąd pochodzę, powiesilibyśmy cię na najbliższej sośnie”, mruknęła Joanna.

Gdyby nawet została, gdyby powiedziała o wszystkim Richardowi, co by osiągnęła? Nie uwierzyłby jej. Uznałby, że zmieniła się w Bridey Murphy. Poinformowałby ją, że cierpi na złudzenia powstające w płacie skroniowym.

Bardzo dobrze. W takim razie musi mu udowodnić, że ma rację. Podeszła do drzwi, uderzając kolaniem w szafkę. Zapaliła światło. Zbierz dowody. Zdobądź informacje z zewnątrz. Zaczynaj od Amelii Tanaki.

Tego samego wieczoru zadzwoniła do niej i poprosiła ją przyjście.

– Nie uczestniczę już w projekcie – oświadczyła, a Joanna chwilę myślała, że Amelia odłoży słuchawkę.

– Wiem, że nie – pośpiesznie wyjaśniła Joanna. – Mam tylko kilka pytań, które chciałabym pani zadać. Dotyczą naszych sesji. Po prostu muszę uzupełnić archiwa. To zajmie tylko kilka minut.

– W tej chwili jestem bardzo zajęta. W tym tygodniu mam trzy egzaminy i cały czas ślęczę nad pracą z biochemii. Do końca semestru nie mam czasu – stwierdziła i tym razem odłożyła słuchawkę.

Czy potrzeba było lepszego dowodu niż ten? Lęk i niechęć przebijały z każdego słowa dziewczyny. Joanna wyciągnęła z szafki teczkę Amelii. Podczas wypełniania kwestionariusza, na prośbę Joanny Amelia napisała nie tylko swój adres, ale także plan zajęć, wraz z budynkami i numerami sal. Ćwiczenia z biochemii wypadały jutro od pierwszej do drugiej czterdzieści.

Jutro o pierwszej. A do tego czasu... Joanna wsunęła do komputera dyskietkę z relacją Amelii i zaczęła przeglądać jej treść w poszukiwaniu

wskazówek. Nie znalazła nic ciekawego. Ciepło, spokój, jasne światło, ani słowa o wodzie, pochylonej podłodze lub ludziach, stojących na pokładzie.

Nie, zaraz. Kiedy Joanna spytała ją, czy światło świeciło cały czas, powiedziała: „Nie, dopiero kiedy otworzyli drzwi”. Później poprawiła się: „Nagle zrobiło się jasno, jakby ktoś otwierał drzwi w nocy i wpuszczał światło”. Joanna zastanowiła się, która wersja jest prawdziwa.

Doczytała relację do końca. Gdy spytała Amelię o odczucia, usłyszała: „Spokojnie”, co mogło się odnosić do zatrzymania silników. Po sesji dziewczyna skarżyła się na chłód. Co niczego nie dowodziło, poza tym, że jeśli się chce, to w relacjach z doświadczeń granicznych można się doszukać wszystkiego, jak pan Mandrake.

Wyciągnęła dyskietkę Amelii, wsunęła w jej miejsce jedną z relacji z ostatniego roku, wydrukowała sześć plików i zajęła się ich przeglądaniem z flamastrem w dłoni. Podkreślała wszystkie słowa i zdania, które wzbudziły jej zainteresowanie. „Leżałem w karetkce i nagle znalazłem się poza ciałem. Poczuję się tak, jakby w moim ciele pojawił się iluminator, a dusza po prostu uleciała przez niego”. Joanna podkreśliła na żółto słowo iluminator.

„Czułam się tak, jakbym wyruszała na daleką podróż”.

„Wszędzie wokół światło”, powiedziała Kathie Holbeck, wpatrując się w sufit i rozkładając ręce jak rozkwitający kwiat płatki. Albo jak startująca rakietka. Pani Isakson wykonała podobny gest. Joanna przejrzała jej relację. „Wszystko rozświetlone”, oświadczyła. Jak płomień rakiety.

„Był tam mój ojciec i ucieszyłam się ze spotkania z nim. Zginął na Salomonach. Na amfibii”.

Joanna postukała flamastrem w kartkę, myśląc o panu Wojakowskim i jego opowieściach z Yorkshire. Czy to możliwe, że przypomniał je sobie, bo pływał na statku?

Pan Wojakowski niczego sobie nie przypomniał, bo zmyślał, odpowiedziała sobie od razu. A gdyby nawet, to tak mizerny dowód nie nadawałby się do przedstawienia Richardowi. Powróciła do przeglądania relacji.

„Usłyszałem dźwięk, ale bardzo dziwny, zupełnie nie przypominający dźwięku, rozumie pani?”

„Zabrzmiał dokładnie tak, jakby coś przetoczyło się po rozsypanych szklanych kulkach”. Szklanych kulkach. Odszukała notatki Kit, dotyczące zatrzymania silników. Jest. „Zupełnie jakby statek poślizgnął się na tysiącu

szklanych kulek”, stwierdziła pasażerka *Titanica* Ella White, kiedy spytano ją, jaki dźwięk towarzyszył zderzeniu z górą lodową.

Joanna jeszcze raz przejrzała wydruki. „Przemieszczałem się przez tunel, bardzo szybko, lecz gładko, jakbym się znajdował w windzie”.

„Wiedziałem, że przekraczam rzekę Jordan”.

Nie kłamała Vielle, kiedy stwierdziła, że nie uda jej się dotrzeć do domu przed dwudziestą drugą. O wpół do dziesiątej miała jeszcze do przejścia drugie tyle wydruków. Wyłączyła komputer, włożyła płaszcz i usiadła, nie zdejmując go. Znowu włączyła komputer.

Zapisała wywiady z ostatnich dwóch lat na jednym pliku, następnie zaczęła wyszukiwać wszystkie wypowiedzi, w których pojawiło się słowo „woda”.

„Czułem się tak, jakbym pływał w wodzie”.

„Światło było ciepłe i błyszczące, jakbym znajdowała się pod wodą.”.

„Znajdowaliśmy się nad jeziorem (z opisu retrospekcji życia Pauline Underhill), nad które chodziliśmy, gdy byłam mała. Siedziałam w naszej starej łodzi wiosłowej. Przeciekała, woda dostawała się do środka przez burzę”.

Wiosłowanie na jeziorze, pomyślała Joanna i wyświetliła plik Carla Śpiączki, gdzie zapisała długą listę pojedynczych słów i niezrozumiałych dźwięków.

„Woda”, „zimno” lub „ciemno”. Przeczytała pozostałe słowa. „Zniszczyć” albo „zniżyć” lub „zmiażdżyć” oraz „przeciąć węzeł”. Przeciąć węzeł. Mężczyźni w kwaterach oficerskich, usiłujący odciąć łodzie, kiedy dziób statku zanurzył się w wodzie. Czytała dalej. „Woda”, „o rety”. Przerazenie z powodu podnoszącej się wody?

Skończyła pracę o pierwszej, poszła do domu, a przed zaśnięciem czytała *Światło na końcu tunelu*. Pozaznaczała strony, na których pojawiały się słowa: „woda”, „podróż” oraz „ciemność”.

Rankiem udała się do Carla Śpiączki, z nadzieją że znowu coś powiedział, ale jego twarz skrywała się pod maską tlenową, a z ust wystawała mu rurka dotchawiczna.

– Ma kiepski dzień – szepnęła pani Aspinall. Łagodnie powiedziane. Carl przypominał trupa, był cały siny, pomimo koca wyraźnie była widoczna jego zapadnięta klatka piersiowa i kościste ręce oraz nogi. Wydawało się, że zapada się w łóżko, pogrąża w nim jak w śmierci.

– Nie potrafią mu obniżyć temperatury – płaczliwym głosem poskarżyła się pani Aspinall. Ona również wyglądała fatalnie. Miała ciemnoszare cienie pod oczyma i była wyraźnie wyczerpana. Na parapecie leżała poduszka i zgrabnie złożony szpitalny koc, co oznaczało, że spędzała noce w jednym pokoju z mężem. I nigdy nie spała.

– Wygląda pani na zmęczoną – odezwała się Joanna. – Może przynieść pani kawy? Nie chciałaby pani położyć się w poczekalni? Ja mogę przy nim posiedzieć.

– Nie, on może... Nie – odmówiła pani Aspinall. – Nic mi nie jest. Ale dziękuję za troskę. To miło z pani strony. – Spojrzała na męża. – Przestał cokolwiek mówić. Oczywiście, nie może mówić przy włożonej rurce dotchawicznej, ale nawet nie stara się już wydawać jakichkolwiek dźwięków. Po prostu tak leży w łóżku... – Głos jej się załamał. – Taki nieruchomy.

Joanna pomyślała, że on wcale nie leży w łóżku, i przypomniała sobie, jak stała przy nim w dniu, kiedy poznała Richarda. Przypuszczała wtedy, że Carl Śpiączka znajduje się gdzieś daleko. Zastanawiała się gdzie. U stóp głównych schodów? Czeka, aż ktoś go wywoła do jego łodzi? A może już w jednej z szalup, wiosłując w ciemności i zimnie?

Stała z drugiej strony łóżka.

– Carl – odezwała się i położyła rękę na jego chudej, zmęczonej dłoni. – Przyszłam sprawdzić, jak się miewasz... – Urwała, nie mając pojęcia, co powiedzieć. „Szybkiego powrotu do zdrowia”? Bzdura. „Lekarz mówi, że dobrze się trzymasz”?

Maisie powiedziała kiedyś, że ludziom trzeba mówić prawdę, nawet jeśli jest ona zła. Albo kiedy są zbyt daleko, aby usłyszeć.

– Jest tutaj twoja żona. Pielęgniarki bardzo się o ciebie troszczą. Wszyscy chcemy, żebyś do nas wrócił.

Za plecami Joanny pani Aspinall przeszukiwała torebkę w poszukiwaniu chusteczek. Joanna pochyliła się nad chorym i pocałowała go w blady i cienki jak pergamin policzek.

– Nie bój się – szepnęła i wróciła do gabinetu, aby ponownie zająć się przeglądaniem relacji.

Pani Woollam stwierdziła, że jeden tunel okazał się węższy i miał bardziej nierówną podłogę. Musiała się łapać ścian, żeby nie upaść. Poza tym widziała schody oraz otwartą przestrzeń, zupełnie pustą na przestrzeni wielu kilometrów.

Poza tym ujrzała ogród, „zielony i biały, otoczony winoroślami”. I jeszcze była Maisie, która nie widziała światła ani ludzi w bieli, tylko mgłę.

O wpół do drugiej Joanna pojechała na uniwersytet, żeby się spotkać z Amelią. Zostawiła sobie sporo czasu na odszukanie właściwego budynku, sali i miejsca parkingowego. Pamiętała, jakim koszmarem jest znalezienie tam kawałka wolnej przestrzeni na samochód. Na szczęście fatalna pogoda zmusiła wielu studentów do pozostania w domach. Znalazła miejsce w pierwszym rzędzie.

Na parkingu urządzono kino samochodowe. Pomyślała, że musi powiedzieć o tym Vielle. Tylko że ona zaraz spyta: „A co robiłaś na uniwersytecie?” Jeśli jej wytłumaczę, oskarży mnie o prześladowanie Amelii. I będzie miała rację. Joanna stanęła przed drzwiami do sali, w oczekiwaniu na wyjście studentów. Amelia zrezygnowała z uczestnictwa w badaniach i jasno dała do zrozumienia, że nie chce ze mną rozmawiać. Nie mam prawa tu przychodzić.

Kiedy jednak dziewczyna wyłoniła się zza drzwi, z zarzuconym na ramię plecakiem i rękawicami w dłoniach, Joanna podeszła do niej i spytała pośpiesznie, jakby spodziewając się, że ucieknie:

– Pani Amelio? Czy możemy gdzieś pójść na chwilę, żeby porozmawiać?

Sądząc po przerażonym spojrzeniu, które posłała Joannie, rzeczywiście miała ochotę się gdzieś ukryć. Rozejrzała się wokół, najwyraźniej próbując zlokalizować jakąś klatkę schodową, do której mogłaby dać nura. Joannie przyszło do głowy, że na pewno wygląda tak samo, kiedy widzi pana Mandrake’a. Nie miała pewności, czy Amelia traktuje ją w podobny sposób. Czy to możliwe, że Amelia zrezygnowała nie dlatego, że ujrzała coś, co ją przeraziło, tylko dlatego, że doszła do wniosku, iż projekt to pseudonaukowe bzdury?

Nie dało się tego wykluczyć, kiedy bowiem poszły do bufetu, który, o dziwo, był otwarty po południu, a Joanna zaproponowała Amelii coś do picia, usłyszała w odpowiedzi:

– Za kilka minut mam kolejne zajęcia.

Joanna wiedziała, że to jawne kłamstwo.

– Nasza rozmowa potrwa właśnie kilka minut. – Joanna otworzyła notatnik. – Chciałam tylko uzupełnić dane do wywiadu na zakończenie uczestnictwa w badaniach. – Miała nadzieję, że to zabrzmiało oficjalnie i poważnie. – Jak długo brała pani udział w badaniach?

- Cztery tygodnie.
- Joanna zapisała.
- Powody rezygnacji?
- Już mówiłam, moje zajęcia zrobiły się w tym semestrze wyjątkowo trudne. Po prostu nie mam czasu.
- W porządku – potwierdziła Joanna, jakby sprawdzając listę pytań. – Pierwsza sesja, przy której asystowałam, była pani trzecią sesją z kolei. Mówiła pani wtedy, że czuła ciepło i spokój.
- Zgadza się – potwierdziła Amelia, lecz tym razem na jej twarzy nie pojawił się nieznaczny uśmiech, który Joanna zapamiętała. Dziewczyna zacisnęła mocno dłonie.
- A podczas ostatniej sesji stwierdziła pani, że widziała wszystko wyraźniej, i dostrzegła stojących w świetle ludzi, lecz nie potrafiła pani ich rozpoznać.
- Nie, światło było zbyt intensywne.
- Czy widziała pani cokolwiek ze swojego otoczenia?
- Nie – zaprzeczyła, a jej ręce ponownie się zacisnęły. Joanna odniosła wrażenie, że rozmówczyni zdała sobie z tego sprawę i dlatego położyła dłonie na udach.
- Jak się pani czuła podczas tej czwartej sesji?
- Już pani mówiłam, czułam spokój. Ma pani jeszcze jakieś pytania? Śpieszę się na zajęcia.
- Tak. Czy pani zajęcia były jedynym powodem rezygnacji z uczestnictwa w badaniach?
- Przecież mówiłam pani...
- Odniosłam wrażenie, że podczas ostatniej sesji ujrzała pani coś, co panią przestraszyło. Czy mam rację?
- Nie – oznajmiła stanowczo Amelia i wstała. – Mówiłam, że w tym semestrze mam bardzo trudne zajęcia. Czy to wszystko?
- Chciałabym, żeby pani to podpisała. – Joanna podsunęła kurtkę i długopis. Amelia pochyliła się nad formularzem. Jej twarz, przysłoniły długie czarne włosy. – Jeżeli widziała pani cokolwiek, co panią przestraszyło, bardzo bym chciała o tym wiedzieć. To ważne.
- Widziałam tylko światło. – Amelia się wyprostowała. Oddała Joannie długopis i sięgnęła po plecak. – Czułam ciepło i spokój. – Zarzuciła plecak przez ramię i posłała Joannie wyzywające spojrzenie. – Nie ma w tym absolutnie nic strasznego.

Joanna pomyślała, że jej rozmowa niczego nie dowiodła, poza tym, że Amelia nie ma ochoty z nią dyskutować. Przyglądała się, jak studentka przepycha się przez tłum ludzi zgromadzonych w bufecie. Joanna z całą pewnością nie uzyskała potwierdzenia, że Amelia widziała *Titanica*. Niemniej tak właśnie było. I przeraziła ją perspektywa kolejnej sesji. Dlatego zrezygnowała.

Trudno to jednak uznać za dowód, podobnie jak pojedyncze słowa i określenia, pojawiające się w różnych relacjach. Wyobraziła sobie, jak Richard mówi: „Słowo srebrny również występuje w wywiadach. To nie oznacza, że badani widzieli *Hindenburga*”. Miałby rację. Diabeł może cytować Pismo Święte dla własnych celów. Przeszukiwanie materiałów i zwracanie uwagi wyłącznie na fragmenty, potwierdzające jakąś tezę, było systemem stosowanym przez pana Mandrake’a, a nie szanującego się naukowca, zwłaszcza jeśli istniało sporo elementów zupełnie nie pasujących do teorii, takich jak ogród pani Woollam czy mgła Maisie.

Potrzebowała dowodów. Musiała uzyskać wypowiedzi świadków. Problem w tym, że nie miała się do kogo zwrócić. Tylko ona sama mogła wystąpić w roli świadka, lecz Richard już zakwestionował jej słowa. Amelia odmówiła udzielania dalszych wyjaśnień, pani Troudthaim odmówiła poddawania się eksperymentowi, a Carl Aspinall znajdował się w stanie śpiączki. Pozostawał jeszcze pan Briarley, tylko dlaczego Richard miałby wierzyć gadaniu człowieka cierpiącego na chorobę Alzheimera, nawet gdyby Joannie udało się zmusić go do powtórzenia tego, co opowiedział w bibliotece. Musiała znaleźć sposób na uzyskanie potwierdzenia z zewnątrz, tak samo jak sprawdziła fakty dotyczące Midway i Morza Koralowego, które wykorzystała do udowodnienia, że pan Wojakowski kłamał.

W tej samej chwili ujrzała go i pomyślała, że przywołała go telepatycznie albo co gorsza ma halucynacje. Pan Wojakowski szedł do niej przez bufet, z czapką baseballową w dłoni i szerokim uśmiechem na ustach.

– Witam panią doktor, co pani tu robi? – spytał. – Nie powinna pani być w szpitalu?

– Co ja tutaj robię? – zdumiała się Joanna. – To ja powinnam spytać, co pan tutaj robi.

– Przyszedłem obejrzeć galerię sztuki współczesnej – skrzywił się pan Wojakowski. – Cholerne brzydactwa z drutów i sedesów. Dyrekcja Aspen Gardens zafundowała nam przejażdżkę mikrobusem, żebyśmy się

rozerwali. – Pomachał czapką do kilku błękitnowłosych pań, kupujących kawę przy ladzie. – Ustaliła pani już ten nowy plan?

– Nie – odparła. – Jeszcze nie.

– Tak myślałem. Dzwoniłem do pani przez cały tydzień. Zacząłem się czuć jak Norm Pichette. Pomyślałem, że pora sobie sprawić karabin maszynowy.

Joanna posłała mu zaskoczone spojrzenie, lecz pan Wojakowski uśmiechał się z sympatią.

– Chyba nigdy pani nie mówiłem, jak przypadkiem zostawiliśmy go na pokładzie podczas ewakuacji z *Yorktown*. Leżał w izolatce, a kiedy się obudził, zobaczył, że na okręcie nie ma nikogo poza nim i George'em Weisem, który ma pękniętą czaszkę i nie żyje. Wszyscy pozostali znaleźli się już na Hammanie i Hughesie.

To niemożliwe, żeby zmyślał. Podaje zbyt wiele szczegółów. Na pewno częściowo mówi prawdę.

– Woła nas, ale go nie słyszymy, bo jesteśmy za daleko. Robi, co w jego mocy – wrzeszczy i macha rękami. – Pan Wojakowski zademonstrował, rytmicznie unosząc ramiona nad głową i opuszczając, jakby udawał semafor. – Z kuchni wy dostał nawet jakiś garnek i tłukł w niego co sił, ale i tak nic nie słyszeliśmy, bo byliśmy za daleko i zajmowaliśmy się zupełnie czym innym. No więc stoi tam, na okręcie idącym na dno i nie przychodzi mu do głowy żaden sposób, aby kogokolwiek powiadomić.

– Panie Wojakowski... – usiłowała się wtrącić Joanna.

– I co robi? Bierze karabin maszynowy i strzela w wodę. Jesteśmy za daleko, aby usłyszeć, ale Pulpet Fratelli widzi kule odbijające się rykoszetem od wody i wrzeszczy: „Okręt podwodny” Wszyscy zaczynają się gapić, ale nikt nie potrafi wykombinować, co jest grane. Widać, że to nie okręt podwodny ani bomba głębinowa. Podnoszę więc wzrok i oto on! Stoi sobie na pomoście komunikacyjnym na lewej burcie. Niezły był z niego cwaniak, co? Tak sobie wykombinować, jak przekazać nam wiadomość?

– Panie Wojakowski, chciałam panu zadać jedno pytanie.

– Ed.

Zastanowiła się, po co miałyby go o cokolwiek pytać, skoro w rezultacie przypomni sobie kolejną historię z *Yorktown*. A nawet jeśli udzieli jakiejś odpowiedzi, Richard i tak nie uwierzy kompulsywnemu kłamcy.

– Proszę walić śmiało, pani doktor.

– Panie Wo... Ed, przedstawiając swoje relacje, sporo mówił pan o drugiej wojnie światowej. Czy w swoich doświadczeniach granicznych zauważył pan coś, co przypomniało panu o przeżyciach wojennych?

– Chodzi pani o *Yorktown*? – Zdjął czapkę i podrapał się po piegowatym czole. – Nie przypominam sobie.

Jeden jedyny raz chciałabym, aby coś mi opowiedział, a on milczy.

– Nic konkretnego, pani doktor. Przykro mi.

– Nie ma sprawy – oświadczyła i pozbierała swoje rzeczy. – Tak się tylko zastanawiałam.

Pan Wojakowski włożył czapkę na głowę.

– To znaczy oprócz tego, że znajdowałem się na statku, tak?

Rozdział 37

„Pora na mnie, mgła się podnosi”.

Ostatnie słowa Emily Dickinson

– Znajdował się pan na statku? – powtórzyła ostrożnie Joanna. – Jakim statku?

– Trudno powiedzieć – stwierdził pan Wojakowski. – Na pewno nie na *Yorktown*. Znałem każdy centymetr mojego okrętu, a tamtego korytarza zupełnie sobie nie przypominałem. Poza tym drzwi nie wyglądały znajomo. Takie drzwi częściej się widuje w wejściu do kajuty dowódcy. Pamiętam, jak kiedyś poszedłem po coś do kapitana okrętu i widzę, jak z jego kabiny wychodzi Śmierdziel Malone. Wiadomo, że Śmierdzielowi tylko złe w głowie, to największy łobuz w całej marynarce, a to niemało. Tak czy owak, Śmierdziel mnie widzi i mówi...

– Dlaczego uważa pan, że to był statek? – wtrąciła się Joanna.

– Była pani kiedyś na pokładzie? Jeśli tak, to wie pani, że tego uczucia nie da się z niczym pomylić. Poznałaby to pani nawet z zawiązanymi oczyma i z zatkanymi uszami. Jak teraz o tym myślę, to chyba właśnie tak wtedy wyglądałem.

– Nie potrafi pan określić, co to był za statek?

– Nie. Ale wiem, że chodzi o jednostkę marynarki wojennej, bo za drzwiami widziałem marynarzy.

– Widział pan marynarzy?

– Na pewno ludzi. Pomyślałem, że to marynarze. Światło było zbyt jasne, aby dostrzec szczegóły, ale zauważyłem białe ubrania, więc uznałem, że to muszą być marynarze.

Statek, a za drzwiami ludzie ubrani na biało.

– Powiedział pan, że czuł się tak, jakby znajdował się na morzu. Czy silniki pracowały?

– Silniki? – zdumiał się. – Nie. – Panie z błękitnymi włosami podeszły do niego ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

– Samochód czeka, Edward – oznajmiła jedna z nich, wpatrując się w Joannę.

– Już idę – odparł. – Idźcie same, dziewczyny. Muszę się pożegnać z przyjaciółką – mrugnął do Joanny. Panie odeszły kilka kroków i zatrzymały się, z niecierpliwością czekając na swojego towarzysza. – Jeszcze jakieś pytania, pani doktor?

– Dlaczego wcześniej mi pan tego nie mówił?

– Powiem pani, że po prostu nie chciałem gadać jak nakręcony, zupełnie jak Gaduła Eggleton. Opowiadałem pani o nim? Nazywaliśmy go tak, bo jak zaczynał gadać, to nie dawał nikomu dojść do słowa i...

– Lepiej niech już pan idzie – przerwała mu Joanna i wskazała na panie, które wyglądały tak, jakby lada chwila miały dostać zawału. – Może pan nie zdążyć do autokaru.

– Ciągłe to samo – westchnął pan Wojakowski. – Niech pani do mnie zadzwoni, jak tylko ustali pani plan. Mogę przyjść w każdej chwili. – Powoli ruszył się w stronę kobiet, lecz zaraz zawrócił. – Przyszło mi coś do głowy. To mógł być Franklin. Nie wiem tylko, jak zatonął.

– Zatonął?

– Nie, jak tak myślę, to na pewno nie Hammann, bo jego rufa się przełamała. Ani Wasp, bo odwrócił się do góry dnem, a Lexington położył się na burcie. Ten okręt, wszystko jedno, jak się nazywał, tonął dziobem w dół.

No i proszę, oto potwierdzenie z zewnątrz. Joanna pomyślała, że i tak nie uda się jej przekonać Richarda ani kogokolwiek innego. Pan Wojakowski nie był wystarczająco wiarygodny. Nabrała jednak pewności, że jest na właściwej drodze. Poza tym, skoro znalazła jeden dowód, to natrafi także na inne. Musiała ich tylko poszukać.

Pojechała z powrotem do szpitala i resztę dnia, a także cały następny, spędziła zabarykadowana w gabinecie, przeglądając relacje. Wyłączyła pager, ale pozostawiła działający telefon i automatyczną sekretarkę. Większość nagrań pochodziła od pana Mandrake'a.

Dzwonił w dwugodzinnych odstępach, coraz wyraźniej zirytowany, że nie może skontaktować się z Joanną.

– Skoro nie może pani znaleźć odrobiny czasu na to, aby mi oddzwonić – gderał – mogłaby pani przynajmniej wysłuchać, co pani Davenport ma do

powiedzenia na temat swoich wizji. Dowodzą one jednoznacznie, że istnieje możliwość przesyłania wiadomości zza grobu.

Joanna skasowała nagranie i zakleiła szparę pod drzwiami czarnym papierem, aby nikt z zewnątrz nie zauważył światła. Następnie powróciła do czytania relacji.

„Szedłem długim, pochyłym tunelem”.

„Czułam ciepło, jakbym owinęła się kocem”.

„W drzwiach stała kobieta i mała dziewczynka. Wiedziałam, że to na pewno moja matka i młodsza siostra, która zmarła w wieku sześciu lat, chociaż były zupełnie niepodobne do siebie. Dziewczynka wzięła mnie za rękę i poprowadziła do pięknego ogrodu”.

Znowu coś o ogrodzie. Joanna włączyła wyszukiwarkę. „Byłem w czymś w rodzaju ogrodu”. „Eliasz stał w Ogrodzie Edeńskim”. „Za progiem ujrzałam ogród”.

Najbardziej szczegółowy opis przedstawiła Gladys Meers. „Wszędzie wokół wznosiły się drzewa i stały treliAZE, obrośnięte winoroślą. Zasiądz, powiedział anioł, więc usiadłam na białym krześle z plecionej wikliny, takim, jakie się często widuje przed domami na patio”.

Joanna doszła do wniosku, że na *Titanicu* z całą pewnością nie było żadnego ogrodu i bardzo pragnęła w to uwierzyć, lecz pamiętała o znajdującym się na statku basenie i łaźni tureckiej. Niewykluczone, że zaprojektowano tam także ogród.

Zatelefonowała do Kit, lecz linia była zajęta. Wydrukowała wszystkie fragmenty opisów odnoszące się do ogrodów i poszła porozmawiać z Maisie. Dziewczynka leżała i oglądała telewizję, ale zdradził ją płytki oddech i szybko poruszające się nozdrza. Joanna nie wątpiła, że Maisie przed chwilą wskoczyła na łóżko. Zaciekawilo ją, jaką książkę właśnie ukryła, lecz dostrzegła tylko przewody wystające spod koszuli z nadrukiem lalki Barbie i podłączone do urządzenia monitorującego pracę serca.

– Jeszcze nie znalazłam wiele o wiadomościach radiotelegraficznych – oświadczyła Maisie, kiedy ujrzała Joannę. Wyłączyła telewizor pilotem. – Znowu mam migotanie przedsionków. Zabronili mi nawet czytać. Jak dotąd mam tylko dwie wiadomości. – Kilka razy odetchnęła głęboko i kontynuowała: – Są w szufladzie. – Ruchem głowy wskazała nocną szafkę. – Pozostałe sprawdzę, jak tylko się poczuje lepiej.

Joanna wysunęła szufladę i wyciągnęła notatnik Maisie. Na pierwszej stronie widniał napis: „Toniemy. Nic nie słyhać z powodu szumu pary”. I

poniżej: „Przybywajcie szybko. Maszynownia zalana do wysokości kotłów”.

Joanna starała się nie myśleć o Maisie na pochylających się pokładach *Titanica*, na odchylonych od pionu stopniach głównych schodów. Ale przecież dziewczynka widziała mgłę, a w noc zatonięcia liniowca powietrze było przejrzyste. Jeśli na *Titanicu* nie istniał żaden ogród, to pan Briarley się mylił.

– Maisie – odezwała się Joanna. – Czy na *Titanicu* był ogród?

– Ogród? – powtórzyła z niedowierzaniem Maisie. – Na statku?

– Albo coś, co przypominało ogród, z kwiatami i drzewami. – Maisie pokręciła głową. Joanna pomyślała, że gdyby na statku znajdowało się takie pomieszczenie, Maisie na pewno wiedziałaby o tym.

– Nigdy nie słyszałam o ogrodzie – oznajmiła dziewczynka. – Założę się, że gdyby istniał, jego rysunek na pewno znalazłby się w książce *Ilustrowany Titanic*. – Odrzuciła koc i usiadła.

– Nie – zabroniła Joanna. – Nie ma mowy o sprawdzaniu jakichkolwiek informacji, dopóki nie ustanie migotanie przedsionków.

– Ale przecież...

– Masz mi to obiecać, bo skreślę cię z listy moich asystentów naukowych.

– No dobrze – przystała z niechęcią Maisie. – Obiecuję. – Widząc powątpiewające spojrzenie Joanny, dodała: – Przysięgam z ręką na sercu.

Joannie przyszło do głowy, że serce dziewczynki nie jest wiele warte.

– Połóż się i odpoczywaj, dzieciaku – przykazała, podniosła pilota i włączyła telewizor. – Wkrótce znowu do ciebie zajrzę.

– Nie może pani jeszcze wychodzić – zaprotestowała. – Nie zdążyłam opowiedzieć o sprawie Mackay-Bennetta.

– No dobrze. Dwie minuty, a potem odpoczywasz. Co to jest Mackay-Bennett?

– To statek wysłany na miejsce katastrofy w celu wyłowienia ciał.

– Myślałam, że wszystkie zwłoki zatoneły.

– Większość tak, ale nie wszystkie. Niektórzy ludzie mieli na sobie kamizelki ratunkowe, więc unosili się na wodzie. – Maisie oparła głowę na poduszce, rozpostarła ramiona i otworzyła oczy, aby groteskowo zobrazować pływającego trupa. – Istniały obawy, że pasażerowie innych statków mogą ujrzeć zwłoki, więc do ich zebrania skierowano Mackay-Bennetta z trumnami i pastorem na pokładzie. Kto to jest balsamista?

– To człowiek, który przygotowuje ciała do pogrzebu. Zabezpiecza je przed rozkładem.

– Aha. No więc zabrano też balsamistę i mnóstwo lodu. Pewnie także po to, żeby uniemożliwić rozkład ciała?

– Zgadza się – potwierdziła Joanna. – No dobrze, dwie minuty minęły. – Wstała.

– Nie – zaprzeczyła Maisie. – Jeszcze nie zdążyłam o czymś pani powiedzieć. Znalaziono ciało małego chłopca, którego nikt nie znał i po którego nikt się nie zgłosił, dlatego dowódca i załoga Mackay-Bennetta urządzili jego pogrzeb, przygotowali małą białą trumienkę i wzniesli nagrobek z napisem: „Nieznane dziecko, którego szczątki wyłowiono po katastrofie *Titanica*”.

– Tak samo jak Małej Panienci 1565 – zauważyła Joanna.

– Nie – sprzeciwiła się Maisie. – W końcu odkryto, kim był chłopczyk. – Owinęła identyfikator wokół dłoni, jakby trzymała różaniec. – Nazywał się Gosta Paulsson. – W rezultacie Joanna siedziała z Maisie do czasu przybycia jej matki, jak zwykle tryskającej radością.

– Pielęgniarki mówią, że twój stan znacznie się poprawił – usłyszała Joanna, pośpiesznie wychodząc z pokoju. – Przyniosłam ci zupełnie nową kasetę wideo. *Rebecca z farmy Sunnybrook*.

Joanna z ulgą wróciła do gabinetu. Na *Titanicu* nie znajdował się ogród ani nie zasnuwała go mgła, a Maisie nie była jedyną osobą po śmierci klinicznej, która widziała mgłę. W książce *Oślepieni światłem* zjawisko to sklasyfikowano w oddzielnej kategorii doświadczeń granicznych. Odczytała fragment: „Niektórzy pacjenci twierdzą, że znaleźli się w otwartej, nieokreślonej i zamglonej przestrzeni. Część osób wspomina o ciemnościach przypominających nocną mgłę, inni mówią, że widzieli światło. Niemal wszyscy opisują to miejsce jako zimne i przerażające. Niewątpliwie chodzi o czyściec, a ludzi, którzy go widzą, można określić mianem niewierzących lub nie zbawionych”.

Joanna głośno zatrasnęła książkę i sprawdziła wyszukiwarką słowo „mgła”. Przyjrzała się wynikom poszukiwań. „Było zimno”, wspominał Paul Smetzer, „i otaczała mnie tak gęsta mgła, że nie widziałem dłoni uniesionej przed twarzą”.

Paul Smetzer. To nazwisko wydało się jej znajome. Otworzyła jego plik i przeczytała całą relację. A tak, Paul. „Nie widziałem dłoni uniesionej przed

twarzą. Oczywiście, jako zmarły raczej nie miałbym dłoni, prawda? Ani twarzy, rzecz jasna”.

Paul Smetzer, czyli Ricky Inman osób po śmierci klinicznej. Opowiedział jej także o aniele-kobiecie, „niemal tak ślicznej jak ty”, i spytał ją, czy to prawda, że w niebie nie ma seksu, „bo jeśli faktycznie go nie ma, to chciałbym sobie pójść gdzie indziej”.

Jego uwagi można by uznać za nieistotne, lecz nie tylko on wspominał o mgłę: „Stali tam ludzie, lecz nie mogłem ich rozpoznać z powodu mgły”. „Nie, było ciemno” (odpowiedź na pytanie Joanny, skierowane do Raya Gomeza, mającego opisać tunel) „i wszystko się rozmywało, jakby otaczała mnie mgła lub coś podobnego”. „Pływałem w jakiejś gęstej mgłę”.

Tamta noc z całą pewnością nie była mglista. Aby się upewnić, Joanna zadzwoniła do Kit, ale ktoś wciąż rozmawiał przez jej telefon. Wydrukowała zestaw wypowiedzi związanych z mgłami, aby je zabrać do domu, i zaczęła się zbierać do wyjścia.

Zadzwonił telefon.

– Cześć, mówi Richard – odezwał się do automatycznej sekretarki. – Chciałem tylko powiedzieć, że pani Troudthaim przychodzi jutro o czwartej, jeśli to...

Joanna podniosła słuchawkę.

– Cześć, jestem tutaj.

– Myślałem, że poszłaś do domu – stwierdził. – Przechodziłem koło twojego gabinetu i nie zauważyłem światła pod drzwiami.

– Nie, jeszcze tu siedzę. Zajął się zaległymi relacjami – odparła. Przynajmniej nie do końca mijają się z prawdą. – Zdawało mi się, że nie zamierzasz przeprowadzać kolejnych sesji z panią Troudthaim, dopóki nie określisz przyczyn jej szybkich powrotów do rzeczywistości.

– To prawda, ale kiedy poinformowałem doktor Jamison o kwasie deltaaminomasłowym, zasugerowała, żebym udał się do doktora Friedmana w szpitalu Świętego Antoniego. Doktor Friedman sporo zajmował się tym kwasem i jego sztucznymi substytutami. Dowiedziałem się od niego, że kwas deltaaminomasłowy samodzielnie nie może pełnić roli inhibitora endorfin, lecz w połączeniu z kortyzolem, jak najbardziej.

– Innymi słowy, inhibicja endorfin mogła jej przywracać świadomość?

– Tego jeszcze nie wiem. Spytałem go także o theta-asparcyne, ale to nie jest inhibitor. Doktor Friedman specjalizuje się w inhibitorach, więc niewiele wiedział o tej substancji. Powiedział, że wydaje mu się, iż pełni

ona funkcje regulacyjne. Podobno wyprodukowano jej syntetyczny odpowiednik. Muszę przeprowadzić jeszcze trochę badań, ale przede wszystkim zajmę się panią Troudtheim. Chcę sprawdzić, czy kortyzol pojawiał się podczas wszystkich jej sesji. Jeśli tak, znam kilka sposobów przeciwdziałania jego obecności, które umożliwią mi utrzymanie jej w stanie śmierci klinicznej. I to właściwie tyle. Do zobaczenia jutro o czwartej.

O czwartej. Do tego czasu będzie już coś wiedziała. Może nawet wcześniej, jeśli uda się jej skontaktować z Kit. Gdy tylko dotarła do domu, zadzwoniła do niej po raz kolejny, a potem ponawiała próby co kwadrans, coraz bardziej się denerwując. Wreszcie udało się jej połączyć.

– Bardzo się cieszę, że dzwonisz – przywitała ją Kit. – Chciałam cię przeprosić za pozostawienie książki w miejscu, w którym wujek Pat mógł ją znaleźć. Nie mam ci za złe, że tak wyszłaś.

– To nie był powód... – zaczęła Joanna, ale Kit nie słuchała.

– Zrobiłam coś niewyobrażalnie głupiego – oświadczyła. – Widzisz, on ją już wcześniej ukrył. Nietrudno się było domyślić, że ponowi próbę. Wcale się nie dziwię, że jesteś wściekła.

– Wcale nie jestem wściekła... – zaprzeczyła Joanna.

– A powinnaś. Wciąż jej nie znalazłam, chociaż szukałam wszędzie. Za kaloryferami, wewnątrz...

– Prawdę mówiąc, nie dzwonię w sprawie podręcznika.

– No pewnie, przecież miałam przygotować odpowiedzi na twoje pytania. Na *Titanicu* nie było biblioteki, za to na pokładzie z promenadą znajdowała się sala czytelniczo-pisarska, wyposażona w półki z książkami i biurka. Tuż obok salonu pierwszej klasy z barem. Poza tym zgadza się, Scotland Road to przejście dla załogi, usytuowane na pokładzie E i biegnące przez niemal całą długość statku. Jego...

– Potrzebuję jeszcze jednej informacji. Możesz mi powiedzieć, czy tamta noc była mglista?

– Nie – odparła bez wahania Kit. – Powietrze było idealnie przejrzyste. I nie wiał wiatr. Jeden z rozbitków opowiadał później, że zdawało mu się, że pływa po jeziorze. Właśnie dlatego załoga nie dostrzegła fal rozbijających się o górę lodową.

– Może potem pojawiła się mgła? Już po zderzeniu?

– Nie sądzę. – Kit nie miała wątpliwości. – Wszyscy rozbitkowie twierdzili, że nigdy nie widzieli równie przejrzystej nocy. Podobno gwiazdy

dochodziły do linii horyzontu. Mam poszukać potwierdzenia w książkach?

– Nie, to mi wystarczy. Dzięki. Powiedziałaś mi wszystko, co chciałam wiedzieć. – Kiedy Joanna odłożyła słuchawkę, pomyślała, że i tak to wszystko wiedziała. Informacje od Kit w połączeniu z często pojawiającą się wizją ogrodu oznaczały, że pan Briarley się mylił.

Oczywiście miał rację, dlaczego zobaczyła *Titanica*. To prawda, ujrzała lustrzane odbicie śmierci. Na szczęście mylił się, twierdząc, że wszyscy są skazani na ujrzanie go i może Kit miała rację, a Greg Menotti mówił o czymś zupełnie innym niż *Carpathia*.

Mam nadzieję, pomyślała następnego ranka, idąc do gabinetu. Mam nadzieję.

Automatyczna sekretarka mrugała jak oszalała. Joanna zdjęła płaszcz, i wcisnęła przycisk odtwarzania. Pierwsze nagranie pochodziło od Richarda: „Tish nie może przyjść o czwartej. Przesunąłem panią Troudtheim na drugą. Zadzwoń, jeśli pora ci nie odpowiada”.

Leonard Fanshawe. Pan Mandrake. „Dowiedziałem się z niezwykle wiarygodnego źródła, że poddaje się pani eksperymentom w projekcie badawczym doktora Wrighta”.

O nie, tylko tego mi było trzeba.

„Bardzo pragnąłbym podyskutować na temat pani wspomnień, aby ustalić, czy doświadcza pani rzeczywistych przeżyć granicznych. Taka ewentualność wydaje mi się wątpliwa”.

Mam nadzieję, że pan ma rację. Joanna skasowała resztę jego wiadomości. Zadzwoił telefon. Jeśli pan Mandrake uważa, że podniosę słuchawkę, to się bardzo myli, pomyślała. Sekretarka rozpoczęła nagrywanie.

– Musi pani natychmiast przyjść – oświadczyła zadyszana Maisie. – Chcę pani coś pokazać.

Joanna podniosła słuchawkę.

– Maisie, jestem przy telefonie. Co takiego mam zobaczyć?

– Oglądałam... *Ilustrowanego Titanica* – urwała, żeby wziąć głęboki oddech – i...

– Nadal masz migotanie przedsionków? – spytała surowo Joanna.

– Tak, ale... czuję się znacznie lepiej – zadyszała się Maisie.

– Powiedziałaś ci, że nie wolno ci niczego sprawdzać, dopóki ci nie przejdzie.

– Zajrzałam tylko do jednej książki – zaprotestowała dziewczynka. – Zresztą nie wiem, czy można to uznać... za ogród, dlatego musi pani przyjść.

– Co można uznać za ogród?

– Kawiarnię Verandah. Są w niej kwiaty i drzewa, i winorośle... rosnące na tych siatkach, nie pamiętam jak się nazywają, takie białe, z drewna...

Treliaże, stwierdziła w myślach Joanna.

– Powiedz mi, jak wyglądały krzesła – poprosiła, otwierając plik z relacją Gladys Meers.

– Są białe, wykonane z takich drobnych, cienkich... Sama nie wiem. – Maisie wydawała się sfrustrowana. – Musi pani przyjść zobaczyć.

– W tej chwili nie mogę. Jakich drobnych i cienkich?

– Takich długich, pogiętych patyków. Jak koszyk.

Wiklina. Ujrzała to słowo na ekranie komputera. „Wszędzie wokół wznosiły się drzewa i stały treliaże, obrośnięte winoroślą. Usiadłam na białym krześle z plecionej wikliny, takim, jakie się często widuje przed domami na patio”.

– Są tam jakieś drzewa? – spytała Joanna, otwierając plik pani Woollam.

– Tak – potwierdziła Maisie, a Joanna wiedziała już, co usłyszy. – Palmy, ale musi pani sama przyjść je obejrzyć.

To nie ogród niebiański, tylko kawiarnia Verandah. Na *Titanicu*.

– Może pani przyjść dzisiaj rano? – dopytywała się Maisie.

Nie, o drugiej zjawi się pani Troudthaim. Muszę się upewnić, że nie było tam żadnej mgły.

– Dzisiaj rano mi się nie uda, jestem zbyt zajęta.

– Wobec tego niech pani przyjdzie po lunchu. Znalazłam wszystkie wiadomości radiotelegraficzne. Powiedziała pani, że kiedy sporządzą pełną listę, wtedy pani przyjdzie.

– Przyjdę dzisiaj po południu.

– Zaraz po lunchu?

– Zaraz po lunchu.

– Obiecuje pani? Słowo honoru?

– Słowo honoru – potwierdziła Joanna i odłożyła słuchawkę. Ponownie wyświetliła wszystkie wypowiedzi, w których pojawiło się słowo mgła. „Znajdowałem się wysoko na suficie i wpatrywałem się w stół operacyjny. Widziałem, jak lekarz przykłada mi do klatki piersiowej te płaskie talerzyki, przypominające rakiety do ping-ponga, a potem nic nie widziałem, bo

pojawiła się mgła”, opowiadał pan James. Pani Katzenbaum mówiła: „Tunel był ciemny, lecz na jego końcu świeciło złote światło, zamazane, jakby przebijało się przez dym albo mgłę”.

Dym. Carl Śpiączka też coś wspominał o dymie. A może wcale nie chodzi o mgłę, tylko o dym? Albo parę? *Titanic* był parowcem. „Toniemy. Nic nie słychać z powodu szumu pary”, głosił spisany przez Maisie telegram.

Ale przecież para wydostawałaby się kominami. Nie kładłaby się po pokładach. A dym? Czy na statku mogły wybuchnąć pożar, kiedy przechył się pogłębił? Może płonący węgiel wysypał się z pieców na podłogę kotłowni albo świeca przewróciła się na obrus w salonie jadalnianym pierwszej klasy?

Zadzwoiła do Kit, ale linia była zajęta. Maisie wiedziałyby, czy na statku wybuchł pożar, zwłaszcza że tak bardzo interesowała się pożarem w cyrku w Hartford. Poza tym można by ją bezpiecznie spytać, bo nie chodziło o mgłę, tylko o dym. Kogo chcesz oszukać?, zadała sobie pytanie Joanna. Maisie od razu dostrzeże analogię.

Ponownie zatelefonowała do Kit. Odebrał pan Briarley.

– Proszę pana, chciałabym rozmawiać z Kit.

– Nie ma jej w domu – odparł. – Poszła do kościoła. Wszyscy są w kościele, poza Kevinem. Nie wiem, gdzie on jest.

Właśnie to miała na myśli Kit, kiedy wspominała, że pan Briarley mówi okropne rzeczy. Joanna przypomniała sobie, że była przekonana, iż chodzi o coś obscenicznego.

– „Umieramy samotni, zgodnie z wolą Nieba” – zacytował. – Kevin poszedł po film. Kit go wysłała. Nie mam pojęcia, czemu wcześniej o tym nie pomyślała.

Joanna uznała, że to gorsze niż wulgaryzmy i Kit nie może tego słuchać.

– Proszę jej przekazać, że dzwoniłam. Do widzenia. – Pożegnała się i chciała się rozłączyć, lecz było za późno. Kit podniosła słuchawkę.

– Cześć. Kto mówi? – spytała radosnym tonem. – O, cześć Joanna, o czymś zapomniałaś?

Joanna pomyślała, że może Kit nie słyszała, co powiedział jej wujek, może właśnie zeszła po schodach i ujrzała, jak trzyma telefon. Wiedziała jednak, że to nieprawda, że słyszała każde słowo. Zresztą ile razy musiało się to jej przytrafić? Dziesiątki? Setki?

– Joanna? – przypomniała o sobie Kit. – Chciałabyś wiedzieć coś jeszcze na temat *Titanica*?

– Tak – potwierdziła Joanna, starając się mówić równie spokojnie jak przyjaciółka. – Wiesz może, czy na pokładzie coś się paliło?

– Chodzi ci o przypadkowy pożar czy normalny ogień?

– Normalny ogień?

– No wiesz, taki jak pod kotłami i w kominkach.

– Na *Titanicu* były kominki? – zdumiała się Joanna i przypomniała sobie kobietę z upiętymi włosami, mówiącą: „Powiemy stewardowi, żeby rozpałił ogień”.

– Tak – potwierdziła Kit. – W palarni, o ile się nie mylę, i w niektórych kabinach pierwszej klasy. – Joanna uznała, że rozpalono ogień w kominku, bo pasażerowie zmarzli na pokładzie, a potem nie ugaszono go, gdy statek zaczął się przechylać. Wtedy drewno i popiół wysypały się na dywan, a od ognia zajęły się zasłony i całą kabinę wypełnił dym.

– Czy o taki ogień ci chodziło? – spytała Kit.

– Sama nie wiem, o jaki ogień mi chodziło. Zastanawiam się, skąd się mogło wziąć dużo dymu. Albo pary.

– Pamiętam, że wujek Pat wspominał kiedyś o ogniu w jednej z kotłowni, w magazynie na węgiel. Pożar tlił się od chwili opuszczenia portu, ale nie sądzę, aby pojawił się jakiś dym. Albo para, zgadza się?

– Tak.

– Myślałam o tej scenie w filmie, kiedy rozlega się ogłuszający wybuch, a na pokładzie łodziowym wszystkich przysłania para. Postaram się coś znaleźć na ten temat. Dzwoniłaś może wcześniej, kiedy było zajęte?

– Tak – przyznała Joanna.

– Tego się obawiałam. Wujek Pat zaczął zdejmować słuchawkę z widełek. Wciąż sprawdzam, czy telefon jest sprawny, niemniej...

– „Och, ojczy, słyszę odgłosy wystrzałów”^{27} – usłyszała głos pana Briarleya.

– Zadzwoń do ciebie, jak tylko cokolwiek znajdę – zobowiązała się Kit.

– Potrzebuję informacji jak najszybciej...

– „Och, powiedz, cóż to być może?”^{28} – ciągnął pan Briarley.

– ...najszybciej jak się da. – Zakończyła Joanna, a Kit powiedziała, że w porządku, lecz Joanna nie wiedziała, czy dobrze słyszy, z oddali dochodził

bowiem głos pana Briarleya, deklamującego: „Jakiś okręt w potrzebie, który żyć nie może” {29}. Przemawiają do nas!

Joanna odwiesiła słuchawkę i wbiła w nią wzrok, zastanawiając się, czy mgła mogła być parą. Żadna z osób po doświadczeniach granicznych nie twierdziła nigdy, że mgła wirowała lub poruszała się w jakikolwiek sposób, a Maisie powiedziała, że znajdowała się w jakimś pomieszczeniu, a nie na zewnątrz, na pokładzie łodziowym.

A może się myliła? Joanna powróciła do pierwszej rozmowy przeprowadzonej z dziewczynką. „Znalazłam się w jakimś pomieszczeniu, wydaje mi się, że w tunelu, ale prawie nic nie widziałam, bo było ciemno i mglisto”, wspominała Maisie, a potem powiedziała jeszcze o ścianach po obu stronach. „Były naprawdę wysokie. Sufit znajdował się tak wysoko, że go nie widziałam”.

W żadnym pomieszczeniu na statku nie było wysokich sufitów, nawet w luksusowych kabinach *Titanica*. Maisie znalazła się zapewne na pokładzie łodziowym, a dobiegający ją hałas był odgłosem pary wypuszczanej przez kominy. Maisie stwierdziła, że usłyszała ryk. Na pokładzie łodziowym nie było jednak wąskiego pomieszczenia z wysokimi ścianami po obu bokach. Z drugiej strony, dym ma charakterystyczny zapach, a para nie.

Joanna wystukała słowa para, mgiełka i wirująca, a następnie przeszukała wszystkie swoje pliki, cały czas licząc na telefon od Kit. Doczekała się o jedenastej.

– Cześć – powiedziała z podnieceniem. – Znalazłam.

Joanna porwała słuchawkę.

– I co, na *Titanicu* wybuchł pożar?

– Pożar? – powtórzyła niepewnie Kit. – Ach, nie, jeszcze niczego o tym nie znalazłam. W indeksach są tylko wzmianki o ogniu pod kotłami oraz o palaczach, usiłujących go zgasić, zanim woda dotrze do kotłowni i spowoduje wybuch. Nie mam też nic o dymie, ale wciąż szukam. Nie dlatego dzwonię. Znalazłam książkę!

Tym razem Joanna powtórzyła niepewnie:

– Książkę?

– *Lustra i labirynty!*. Wreszcie się udało. Przewróciłam cały dom do góry nogami. Kuchnia wygląda tak samo jak wtedy, gdy zdemolował ją wujek Pat. Nie uwierzysz, gdzie znalazłam tę książkę. W szufladzie lodówki, dlatego jest trochę wilgotna i chłodna, ale przynajmniej ją mam.

Ukryłam ją w bezpiecznym miejscu, teraz wujek Pat na pewno jej nie znajdzie i nie schowa. Może wpadniesz? Zrobię coś na lunch.

– Nie bardzo, jestem zajęta. Zresztą... – Zresztą już wiem, co oznacza *Titanic*. Nie potrzebuję już książki, tylko dowodów.

– Zresztą nie jestem pewna, czy uda mi się wydostać z pracy. Mam strasznie dużo roboty.

– Mogę ci ją dostarczyć do szpitala – zaproponowała Kit. – Dziś wieczorem ma przyjść opiekunka do wujka, ale mogę zadzwonić i sprawdzić, czy mogą przysłać kogoś na popołudnie.

– Nie – stwierdziła sucho Joanna i zmusiła się, aby jej głos zabrzmiał bardziej entuzjastycznie. – Sama po nią przyjadę.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać, aż sprawdzisz, czy w książce kryje się rozwiązanie twojego problemu. Upiekę ciasteczka.

– Och, nie rób sobie kłopotu. Nie wiem, kiedy dokładnie...

– To nie jest dla mnie kłopot. Zresztą wszystkie składniki mam na wierzchu – oświadczyła Kit. – Poza tym ciepło z piekarnika osuszy książkę. Do zobaczenia po południu – zakończyła rozmowę i rozłączyła się, zanim Joanna zdążyła jej przypomnieć, aby jak najszybciej zadzwoniła, gdy natrafi na wzmianki o jakimś pożarze.

Joanna pomyślała, że i tak nie ma co czekać na jej telefon, bo na *Titanicu* nie wybuchły żadne pożary. Gdyby coś się zaczęło odpowiednia scena z całą pewnością pojawiłaby się w przepełnionym efektami specjalnymi hollywoodzkim filmie. Z kolei pożar, który wyobraziła sobie Joanna, z płonącymi kawałkami drewna, wypadającymi z kominka w wyniku przechyłu i podpalającymi dywan, zgasłby niemal natychmiast, zalany wodą. Joanna doszła do wniosku, że musiało chodzić o parę, chociaż z drugiej strony pani Katzenbaum wyraźnie powiedziała „dym”, tak samo jak Carl Śpiączka.

Zadzwonił telefon. Joannie przeszło przez myśl, że to Kit z nowymi informacjami. Sięgnęła po słuchawkę, lecz momentalnie cofnęła rękę i poczekała, aż włączy się sekretarka. I dobrze, bo telefonował pan Mandrake.

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie chce się pani ze mną skontaktować. Przesyłałem pani wiadomości na pager i wielokrotnie chodziłem do pani gabinetu – poskarżył się głosem drżącym od irytacji. – Dysponuję dowodami...

Dowodami, pomyślała pogardliwie Joanna. Ciekawe jakimi. Czyżby pani Davenport znowu coś sobie przypomniała na pańskie zamówienie? Znowu zadawał pan naprowadzające pytania? Zmieniał pan dane, aby dopasować je do swojej teorii, usuwając wszystko, czego się nie dało zmienić?

A właściwie jak byś nazwała to, czym sama dysponujesz?, zadała sobie pytanie. Czym różnią się twoje dowody od tego, co zebrał pan Mandrake? Zgromadziłaś kilkadziesiąt odniesień do *Titanica*, które niczego nie dowodzą poza tym, że odpowiednio intensywnie pracując, można dowieść wszystkiego. To, co masz, to twoje subiektywne odczucia, bez względu na to, ile procent relacji jest zbieżnych. Nie ma możliwości przeprowadzenia jakiegokolwiek weryfikacji z zewnątrz. Joannie przyszło do głowy, że potrzebuje czerwonej tenisówki albo mapy południowego Pacyfiku.

Jak mam zdobyć coś takiego? Pan Wojakowski to kompulsywny kłamca, pan Briarley nic nie pamięta, Amelia Tanaka odmawia prowadzenia rozmowy, Carl Śpiączka...

– Carl Śpiączka – wykrzyknęła głośno. Nie tylko ona go słyszała. Guadalupe i jego żona mogły wszystko poświadczyć. W tym, co mówił, pojawiały się wyraźne odniesienia do *Titanica*...

Ponownie otworzyła jego plik. Powiedział: „dym” oraz „o rety”, co niczego nie dowodziło. Przesunęła kursor niżej. „Woda... musimy...” Guadalupe dopisała: „...nie ma...” Nie ma łodzi?

Rozległo się pukanie do drzwi. Joanna wyobraziła sobie, że to pan Mandrake, i znieruchomiała.

– Joanna? – zawołał Richard. – Jesteś tam?

– Chwileczkę – odpowiedziała. Zamknęła plik, położyła teczkę pana Wojakowskiego na wierzchu stosu ze spisanyimi relacjami i otworzyła drzwi.

– Cześć – przywitał się Richard. – Przyszedłem powiedzieć, że na jakiś czas znikam z laboratorium. W razie czego będę na siódmym piętrze u doktor Jamison. Mam nadzieję, że przyjrzy się skanom pani Troudthaim i dostrzeże coś, czego ja nie widzę.

– I co, znalazłeś kortyzol we wcześniejszych sesjach pani Troudthaim? – Joanna oparła się o drzwi, aby nie wszedł do środka.

– Tak, było go tam bardzo wiele. – Przeczesał dłonią włosy. – Niestety, zarówno kortyzol, jak i kwas deltaaminomasłowy pojawiły się w jednym

badaniu Amelii Tanaki, dwóch twoich i trzech pana Sage'a, łącznie z jego rekordową sesją długości dwudziestu ośmiu minut.

– A więc nie zamierzasz dzisiaj badać pani Troudthaim – spytała z nadzieją Joanna.

– Przeciwnie, zamierzam. Biorę pod uwagę jeszcze kilka innych rozwiązań. Jedno z nich to theta-asparcyna.

– Wydawało mi się, że twierdziłeś, iż to nie jest inhibitor.

– I mówiłem prawdę, ale istnieje możliwość, że ta substancja w inny sposób przerywa doświadczenia graniczne. Poza tym ocknął się, kiedy zmniejszyłem dawkowanie. To może oznaczać, że próg występowania doświadczeń granicznych u pani Troudthaim jest wyższy niż u innych osób, więc zwiększę dawkę i zobaczymy, czy to umożliwi przeprowadzenie eksperymentu. Właśnie dlatego przyszedłem. Chciałem się upewnić, że odpowiada ci godzina druga. Umówiłem się z doktor Jamison na pierwszą, lecz przyjdę znacznie przed czasem. Powiedziałem Tish, aby zjawiała się o wpół do drugiej, na wypadek, gdyby pani Troudthaim pokazała się za wcześnie. No więc – oświadczył, uderzając kławkę otwartą dłonią – widzimy się o drugiej.

– Dobrze – potwierdziła. – Do tego czasu skończę swoje sprawy. – W jej głosie musiał zadźwięczeć żal, gdyż Richard się odwrócił.

– Wiesz co? – spytał. – Oboje pracujemy o wiele za ciężko. Może kiedy już skończymy, wybierzemy się razem na kolację? Nie do Taco Pierre's. Do prawdziwej restauracji.

Kiedy już skończymy.

– Z przyjemnością – zgodziła się Joanna.

– Świetnie. – Uśmiechnął się. – Stęskniłem się za tobą przez tych kilka dni.

– Ja za tobą też – odparła.

– Aha, na twoim miejscu zamknąłbym drzwi na klucz. Pan Mandrake przed chwilą wpadł do laboratorium. Szukał cię. Powiedziałem mu, że jesteś w bufecie.

– Dziękuję – odetchnęła Joanna.

– „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi” – zacytował z szerokim uśmiechem i zniknął w windzie.

Joanna zamknęła drzwi, przekręciła zamek i powróciła do przeglądania zapisków Guadalupe. „...muszę... nie mogę... łąty”. Łaty?

Muszę się przyjrzeć oryginalnym notatkom pielęgniarki, uznała Joanna, po czym wyciągnęła stosik karteczek i skrawków papieru, na których Guadalupe spisywała słowa Carla Śpiączki. Pierwsza kartka nosiła nadruk formularza żywieniowego. Z tyłu widniał napis: „Ponownie jeńcy Wietkongu. Brak rozumiałych słów. Wyrwał kroplówkę”. „...dym...” Następna kartka była wyrwana z bloczka recept: „...nie mogę... dwa”. A może powiedział „za”, jak w „za daleko dla niej”? A może chciał powiedzieć „tak”? Co tak?

Notatki w większości były krótkie. „Wiosłuje na jeziorze” albo „długo mamrocze. Nic nie można zrozumieć”. Wreszcie złowróźbne: „Bardzo cichy przez cały dzień”. Jedna informacja okazała się długa, a spisano ją na odwrocie ulotki koncertu farmaceutycznego. „Podczas mojej wczorajszej zmiany nie rozumiałam niczego. Od trzeciej do jedenastej zastępstwo, a Paula zapomniała powiedzieć o robieniu notatek, więc nic nie ma. Dzisiaj pytałam, czy cokolwiek mówił. Pielęgniarka wyznaczona na zastępstwo odparła, że nie, tylko mrucał. Nie potrafiła rozpoznać melodii, ale stwierdziła, że brzmiała jak hymn”.

Hymn. Carl Śpiączka mrucający, długo, długo, krótko, krótko, długo. Joanna odwróciła się do komputera, żeby przeszukać własne pliki. Napisała hasło „mruczenie”. „Długo, długo, krótko, krótko”, głosiły zapiski w komputerze. „W skali opadającej”.

– Hmmm, hmmm, hm, hm, hm, hmm – zamruczała, usiłując odtworzyć zasłyszane dźwięki. – Półnuta, półnuta, ćwierćnuta...

Blżej Ciebie, Panie.

Na taśmie. Potwierdzenie z zewnątrz. Pochyliła się i porwała pudło z taśmami. To było w dniu, kiedy poznała Richarda. Czyli kiedy? Dziewiątego stycznia. Przejrzała nagrania w poszukiwaniu odpowiedniej daty. Jest. Wrzuciła ją do magnetofonu i wcisnęła przycisk odtwarzania.

„Było ciemno...”, burknęła pani Davenport. Joanna przewinęła. „A potem ujrzałam siebie na przyjęciu z okazji ósmych urodzin. Bawiłam się w przypinanie ogona osiołkowi i...” Dalej, „...mój ślub...” Dalej. „I anioł wręczył mi telegram”.

Znowu przewinęła, tym razem za daleko, nagranie się skończyło. Cofnęła. Jest. Powoli zanikające mruczenie Carla Śpiączki. Odtworzyła całość, jednocześnie zapisując nuty na kartce. Liniami oznaczyła ich głośność, a strzałkami wysokość – długa, długa, obydwie opadające, krótka,

długa. Joanna żałowała, że nie zna nut. Czy w melodii *Blżej Ciebie, Panie* ton opadał czy rósł?

Zamruczała początkowe takty, starając się dostosować ich długość do tempa Carla Śpiączki, lecz to nic nie dało. To mogła być zupełnie dowolna melodia. Pomyślała, że musi odtworzyć nagranie w szybszym tempie. Cofnęła taśmę do początku i wcisnęła jednocześnie odtwarzanie i przewijanie do przodu, lecz usłyszała wyłącznie pisk. Na swoim małym magnetofonie nie miała możliwości kontrolowania szybkości przewijania.

Pomyślała, że potrzebuje bardziej wymyślnego sprzętu i zastanowiła się, u kogo mogłaby go znaleźć. U Kit? Gdyby tak było, mogłaby odsłuchać taśmę i jednocześnie odebrać książkę, lecz w bibliotece pana Briarleya nie przypominała sobie żadnej wieży ani nawet zwykłego gramofonu. Niewykluczone jednak, że Kit miała coś takiego u siebie w pokoju. Joanna wykręciła jej numer, lecz linia była zajęta.

No dobrze, a może ktoś na miejscu, w szpitalu? Magnetofon Maisie to różowa plastikowa zabawka, pewnie jeszcze gorsza niż dyktafon. Vielle? Skąd, w pokoju lekarskim na swoim oddziale miała tylko odtwarzacz ośmiościeżkowy, „bo od 1974 roku nikt nie został u nas na tyle długo, aby posłuchać muzyki”, skarżyła się któreś nerwowej nocy.

Joanna zerknęła na dyktafon, usiłując sobie przypomnieć, gdzie widziała magnetofon. W jednym z biur, gdzie słuchano muzyki podczas pracy. Rachunkowość lub kadry. Archiwum, zadecydowała. Wyciągnęła taśmę, wcisnęła ją do kieszeni i zbiegła do archiwum.

Pamięć jej nie zawiodła. Naprzeciwko drzwi, nad wnękami, stał rząd drogo wyglądającego sprzętu. Joanna musiała tylko przełamać opór kobiety przy pierwszym biurku. Wyglądała na osobę nieprzejednaną i gorliwie przestrzegającą przepisów. Zanim Joanna się przywitała, kobieta obróciła się twarzą do kilku rzędów półek z zadrukowanymi formularzami i wyciągnęła rękę, aby od razu wziąć właściwy.

– Myślę, że nie znajdzie pani dla mnie odpowiedniego formularza, pani Zaneto – oświadczyła Joanna, odczytując imię z tabliczki na biurku. – Potrzebuję magnetofonu mogącego odgrywać taśmy z różną prędkością. – Zaneta ponownie odwróciła się do niej.

– Jest pani w archiwum. Sprzęt znajduje się w następnym pomieszczeniu.

– Nie, nie chcę składać zamówienia na magnetofon. Potrzebuję pani sprzętu na kilka minut, żeby przesłuchać taśmę – wyjaśniła i wyciągnęła z

kieszeni kasetę, aby dowieść prawdziwości swoich słów. – Mój magnetofon nie ma opcji kontroli prędkości przewijania, a ja chcę...

– Pracuje pani tutaj? – spytała Zaneta.

– Tak, nazywam się Joanna Lander. Pracuję z doktorem Wrightem przy badaniach naukowych. – Zaneta obróciła się w stronę monitora komputera. – Chciałabym tylko...

– Lander? – spytała Zaneta, wystukując litery na klawiaturze. – L-a-n-d-e-r?

– Tak – potwierdziła Joanna. – Muszę spisać tekst z tej taśmy, ale jej fragmentu trzeba wysłuchać ze zwiększoną prędkością, więc zastanawiałam się, czy...

Pager Joanny zapiszczał. Nie, pomyślała i sięgnęła do kieszeni, żeby go wyłączyć, lecz Zaneta już popychała telefon w jej stronę.

– Ktoś chce się z panią skontaktować – oświadczyła surowo.

Joanna dała za wygraną. Byle tylko to nie był pan Mandrake, pomyślała i zadzwoniła do centrali.

– Proszę niezwłocznie zadzwonić do pokoju pielęgniarek na trzecim piętrze. Wewnętrzny trzysta dwadzieścia osiem.

Trzecie piętro. Carl Śpiączka, uznała i uświadomiła sobie, że spodziewała się tej wiadomości.

Zaneta podsunęła jej notatnik i ołówek. Joanna zignorowała ją i wystukała wewnętrzny. Słuchawkę podniosła Guadalupe.

– Co się stało? – spytała Joanna. – Chodzi o Carla Śpiączkę?

– Tak, od pewnego czasu usiłuję się z panią porozumieć. Nie wie pani, gdzie jest pani Aspinall, prawda? Nigdzie nie możemy jej znaleźć. – Wstrząśnięty i poruszony głos pielęgniarki powiedział Joannie wszystko.

– Kiedy zmarł? – spytała, mając go przed oczyma, jak samotnie wiosłuje w łodzi i mruczy.

– Zmarł? – zdumiała się Guadalupe. – Ależ skąd. Obudził się.

Rozdział 38

„(...) Morse (...) Indianin (...)”

Jedyne zrozumiałe słowa w ostatnim zdaniu
wygłoszonym przez Henry’ego Davida Thoreau

Kiedy przyszła Joanna, Guadalupe siedziała w pokoju pielęgniarek i rozmawiała przez telefon.

– Naprawdę się obudził? – spytała Joanna, pochylając się nad biurkiem.

Guadalupe podniosła rękę, dając jej znak, aby zaczekała.

– Tak, chcę się skontaktować z doktorem Cherikovem – wyjaśniła do słuchawki. – No dobrze, a mogę rozmawiać z jego pielęgniarką? To ważne.

– Zasłoniła dłonią mikrofon. – Tak, naprawdę się ocknął – potwierdziła. – Nie uwierzy pani, nie możemy znaleźć jego lekarza prowadzącego. Ani żony. Pewnie nie widziała pani po drodze pani Aspinall?

– Nie. Może jest w bufecie?

– Wysłałam pielęgniarkę, żeby sprawdziła. Pani Aspinall siedziała tu dzień i noc przez dwa tygodnie i zawsze nas informowała, kiedy wychodzi. Dzisiaj zrobiła wyjątek. Ile czasu musi minąć, zanim ta pielęgniarka podejdzie do telefonu? – sapnęła niecierpliwie.

– Czy Carl coś powiedział? – zainteresowała się Joanna.

– Spytał, czy może się zobaczyć z żoną. Poza tym powiedział, że jest głodny, ale nie możemy dać mu nic do jedzenia, bo nie mamy żadnych zaleceń, a jego lekarz zniknął. Nie odpowiada na wiadomości przesyłane na pager.

– Wspominał coś o swojej śpiączce?

Guadalupe pokręciła głową.

– Większość pacjentów ze śpiączką... Tak – odezwała się do słuchawki.

– Mówi Guadalupe Santos ze szpitala Miłosierdzia. Muszę rozmawiać z doktorem Cherikovem. To pilne. Sprawa dotyczy jego pacjenta, Carla Aspinalla. – Zapadła cisza. – Nie – odezwała się Guadalupe, a Joanna

wywnioskowała z jej tonu, że odpowiada na pytanie, czy Carl umarł. – Odzyskał świadomość.

Pielęgniarka ponownie zasłoniła mikrofon dłonią.

– Jakies pół godziny temu Paula poszła sprawdzać jego objawy czynności życiowych. Rozsunęła zasłony, a on powiedział: „Nie jest ciemno”. Śmiertelnie ją przeraził... Już próbowałam przesłać mu informację na pager – wyjaśniła do słuchawki.

– Wie pani, dokąd pojechał?

Odwróciła się do Joanny.

– Większość pacjentów ma bardzo niejasne wspomnienia z okresu spędzonego w stanie półśpiączki.

Joanna pomyślała, że te niejasne wspomnienia z każdą chwilą zacierają się coraz bardziej. Zerknęła w stronę pokoju Carla i uznała, że natychmiast musi tam iść.

– Może przyjmować gości?

Guadalupe zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, kto jest... Tak – powiedziała do telefonu. – Harvest? – Chwyciła długopis i zapisała coś na bloczku recept. – Proszę mu powtórzyć, aby zadzwonił do mnie zaraz po powrocie.

Odłożyła słuchawkę.

– Doktor Cherikov poszedł na lunch – wyjaśniła z niechęcią, sięgając po książkę telefoniczną. – Jest w restauracji Harvest albo Sfuzzi's. Obydwa lokale figurują w jego kalendarzyku. – Zaczęła przerzucać strony książki telefonicznej. – Żona Carla pewnie także poszła coś zjeść. Harvest, Harvest...

Joanna ponownie rzuciła okiem w stronę pokoju pacjenta. Musi tam wejść i porozmawiać z nim przed zjawieniem się jego żony i doktora Cherikova, ale jeśli ktoś przy nim czuwa, a na pewno tak, bo pacjent, który właśnie odzyskał świadomość, nie może być zostawiany sam...

Zadzwoniła winda. Guadalupe i Joanna spojrzały w stronę drzwi, zza których wyłoniła się pielęgniarka.

– Znalazłaś ją? – spytała Guadalupe.

Pielęgniarka podeszła bliżej, kręcąc głową.

– Nie znalazłam jej w bufecie. Może powiadomić ją przez pager?

– Nie chcę jej przerazić – sprzeciwiła się Guadalupe. – Chodzi tylko o to, aby przyszła do męża. – Podniosła słuchawkę.

– A może w kaplicy? – podsunęła Joanna.

– Corinne już tam poszła – odparła Guadalupe. Wystukała numer telefonu, kilkakrotnie sprawdzając go w książce telefonicznej. – Byłaś w sklepiku z upominkami? – spytała pielęgniarkę.

– Tak, przy automatach z żywnością też.

– A poszłaś do... Mówi siostra Santos ze Szpitala Miłosierdzia. Usiłuję się skontaktować z doktorem Antonem Cherikovem. Poszedł do państwa na lunch. – Cisza. – Nie, nie odbiera wiadomości na pager. – Cisza. – Czy mógłby pan sprawdzić? To bardzo pilne. – Znowu zasłoniła mikrofon. – Sprawdzałaś w solarium? – zwróciła się do pielęgniarki.

Żadna z nich nie zwracała uwagi na Joannę, która wyszła z pokoju, a gdy Guadalupe podniosła wzrok, wskazała na zegarek i machnęła ręką.

– Sprawdziłam wszędzie – odparła cierpliwie pielęgniarka. – Założę się, że poszła do domu.

– Już tam dzwoniłam. Nikt nie odpowiadał, więc zostawiłam wiadomość.

– Nie przerazi się, kiedy odsłucha sekretarkę? – zaniepokoiła się pielęgniarka.

Joanna poszła szybko korytarzem, mijając pokój Carla. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zniknęła z pola widzenia Guadalupe.

– Jest pan pewien, że go tam nie ma? – spytała pielęgniarka i rozległ się stuk odkładanej słuchawki. Zapadła krótkotrwała cisza. – Jak się pisze Sfuzzi's?

– Sfuzzi's? Nie mam pojęcia. Co to takiego?

– Restauracja.

Znowu cisza. Joanna ukradkiem cofnęła się kilka kroków, aby ponownie zerknąć na pokój pielęgniarek. Guadalupe i pielęgniarka stały przy biurku i wpatrywały się w otwartą książkę telefoniczną. Joanna szybko się pochyliła i przeszła na drugą stronę korytarza do pokoju Carla.

Pomyślała, że wystarczy jej jedna minuta rozmowy. Spojrzała na drzwi. W środku nie było pielęgniarki. Wślizgnęła się do środka. Uznała, że spyta tylko, czy był na pokładzie *Titanica*. Przymknęła za sobą drzwi. Musi zdążyć, zanim Carl o wszystkim zapomni, zanim...

– Dzień dobry – dobiegł ją głos z łóżka. Odwróciła się i ujrzała siwego mężczyznę, siedzącego na łóżku. Miał na sobie niebieską piżamę. – Z kim mam przyjemność? – spytał.

Przez długą chwilę serce Joanny waliło jak młotem. Myślała, że wkradła się do niewłaściwego pokoju, i nie miała pojęcia, jak to wyjaśni Guadalupe.

Jak to wytłumaczyć Richardowi?

– Czy znaleziono już moją żonę? – spytał mężczyzna, a Joanna przekonała się, że to Carl Śpiączka. Miała wrażenie, że znajduje się w kinie, a kamera nagle robi najazd na jego twarz.

Nie sprawiał wrażenia nieznanego. Joanna zdumiała się, bo wyglądał jak człowiek, a przedtem przypominał pustą skorupę. Zdawało się, że jego zapadła klatka piersiowa i cienkie ramiona napęczniały, jakby przybrał na wadze, co nie było możliwe. Twarz Carla, pokryta takim samym siwym zarostem, wyglądała na żyjącą, zupełnie jak dom, do którego nagle wrócili właściciele. Jego siwobrzązowe włosy, codziennie starannie zaczesywane do tyłu, rozdzieliły się na boku i opadały niemal chłopięco na czoło. Joanna zawsze sądziła, że Carl ma szare oczy, tak bowiem wyglądały spod na wpół przymkniętych powiek, lecz w rzeczywistości okazały się ciemnobrzązowe.

Wpatrywała się w niego jak idiotka.

– Ja... – wyjąkała, usiłując sobie przypomnieć, o co spytał.

– Czy jest pani jednym z moich lekarzy? – zainteresował się, patrząc badawczo na kitel Joanny.

– Nie – odparła. – Nazywam się Joanna Lander. Pamięta mnie pan, panie Aspinall?

Pokręcił głową.

– Niewiele pamiętam. – Miał inny głos, wciąż szorstki, lecz znacznie donośniejszy i głębszy niż dotąd. – Byłem w stanie śpiączki, rozumie pani.

– Wiem. – Skinęła głową. – Właśnie o tym chciałam z panem porozmawiać. Co pan pamięta. Jeśli pan pozwoli, zadam kilka pytań.

Joanna pomyślała, że Carl miałby prawo nie pozwolić. Potrzebowała jego pisemnej zgody. Formularz podpisany przez jego żonę stracił aktualność, gdy pacjent się obudził. Teraz należało sporządzić nowy dokument. Zachowywała się zupełnie wbrew zasadom. Nie miała jednak czasu na wypełnianie formularzy i wyjaśnienia. Lekarz albo pani Aspinall mogli się zjawić lada chwila.

Joanna przysunęła krzesło do łóżka, niespokojnie przyglądając się kołysaniu trąconej przez nią kroplówki. Usiadła.

– Czy mógłby pan opowiedzieć mi, co pan pamięta?

– Pamiętam, jak przyjechałem do szpitala. Alicia mnie przywiozła.

Joanna ostrożnie sięgnęła do kieszeni swetra, aby uruchomić dyktafon. Kieszeń była pusta. Uświadomiła sobie, że zostawiła magnetofon w gabinecie, kiedy zanosila taśmę do archiwum.

– Potwornie bolała mnie głowa. Nie mogłem prowadzić, bo nic nie widziałem.

Joanna grzebała w kieszeni, poszukując czegoś do pisania, ale nie miała przy sobie nawet formularza dokumentu z wyrażeniem zgody na przeprowadzenie rozmowy. Przynajmniej zabrała z gabinetu długopis. Rozejrzała się dyskretnie, szukając kawałka papieru do pisania, jadalospisu, koperty, czegokolwiek. Guadalupe zabrała z pokoju kartę pacjenta, a na stoliku nic się nie znajdowało.

– Zamierzała pójść ze mną do lekarza, ale ból głowy stawał się coraz silniejszy...

Joanna sięgnęła do kosza na śmieci i wyciągnęła wyrzuconą kartkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Na kartce widniało zdjęcie modraszki z listem w dziobie. „Te życzenia fruną do Ciebie jak na skrzydłach”, głosił napis na kartce. Joanna odwróciła ją. Z tyłu była pusta.

– ...więc zawiozła mnie na oddział nagłych wypadków i wtedy... – Carl zawiesił głos, wpatrując się prosto przed siebie. – Było ciemno.

Ciemno, pomyślała Joanna, a jej ręka zadrżała, gdy zapisywała to słowo.

– Alicia nie znosi jeździć po zmroku, ale tym razem musiała. Było bardzo zimno. – Podniósł rękę i delikatnie dotknął karku, jakby wciąż był obolały. – Pamiętam, jak doktor powiedział, że mam zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, a potem posadzono mnie na wózku inwalidzkim. Następnie pamiętam, że pielęgniarka rozsunęła zasłony, a ja zdumiałem się, że nie jest ciemno. – Uśmiechnął się do Joanny. – I to by było wszystko.

Zupełnie, jakby rozmawiała z Gregiem Menottim.

– Pamięta pan cokolwiek z okresu między wózkiem inwalidzkim i rozsuwaniem zasłon?

– Nie – padła odpowiedź. – Zupełnie nic.

– Miał pan jakieś sny? – nie ustępowała Joanna. – Pacjenci w śpiączce niekiedy śnią.

– Sny – zamyślił się. – Nie. – W jego głosie nie zabrzmiała niepewność czy chęć uniknięcia odpowiedzi. Powiedział to zupełnie rzeczowym tonem.

No i wszystko jasne. Nic nie pamiętał. Powinna mu podziękować, kazać odpocząć i wynosić się z jego pokoju, zanim Guadalupe przyłapie ją na gorącym uczynku. Mimo to Joanna nie wstała.

– Czy coś pan słyszał?

Pokręcił głową.

– Carl, może docierały do ciebie jakieś głosy? – nie rezygnowała, bezwiednie zwracając się do niego po imieniu. – Przypominasz sobie jakiegokolwiek głosy?

Zaczął kręcić głową, lecz nagle znieruchomiał i wbił wzrok w Joannę.

– Pamiętam pani głos. Mówiła pani, że pani przeprasza.

Joanna przypomniała sobie, jak przeprosiła Carla za to, że zabrzączał jej pager i że musiała wyjść.

– Słyszałem głosy mówiące mi, że jestem w stanie śpiączki i mam podwyższoną temperaturę.

Joanna przypomniała sobie, że wraz z innymi osobami szeptała o jego stanie, zwracając się do niego Carl Śpiączka. Guadalupe miała rację, słyszał je. Zawstydziała się.

– Była pani tutaj? – spytał, rozglądając się po pokoju.

– Tak. Czasami przychodziłam i siedziałam z panem.

– Słyszałem pani głos – powtórzył, jakby nie potrafił tego zrozumieć. – A zatem musiałem spać. Naprawdę leżałem tutaj, przez cały czas. – Podniósł na nią wzrok. – Nie miałem wrażenia jakbym spał.

– Tylko jakie?

Nie odpowiedział.

– Mówiłem coś? – spytał.

– Czasami – odparła ostrożnie. – Niekiedy pan mruczał, a raz powiedział pan „o rety”.

Pokiwał głową.

– Skoro coś mówiłem, to na pewno był tylko sen.

Całą siłą woli powstrzymała się przed zapytaniem, czy krzyknął „o rety” ze strachu przed podnoszącą się wodą? Jaką melodię pan mruczał? Nie mogła wykrzyknąć: „Był pan na *Titanicu*, prawda? Prawda?”

– Skoro mnie pani słyszała, to nie mogłem tam być naprawdę – powiedział pośpiesznie.

– Dlaczego nie?

– Bo było za daleko... – Urwał i spojrzał na drzwi.

Za daleko dla niej.

– Za daleko na co? – ponagliła go i w tej samej chwili drzwi się otworzyły.

– Witam – stwierdził technik z laboratorium, wchodząc do środka z metalowym koszykiem, pełnym próbek i igieł. – Nie, proszę nie wstawać – zwrócił się do Joanny, która zerwała się na równe nogi. – Mogę

podejść z drugiej strony. – Postawił koszyk na stole nad łóżkiem. – Niech państwo sobie nie przeszkadzają – oznajmił, wciągając gumowe rękawiczki. – Chciałbym tylko pobrać trochę krwi. – Owinął ramię Carla gumową rurką.

Joanna wiedziała, że powinna oświadczyć: „Oczywiście, w porządku” i porozmawiać z nim podczas pobierania próbki, lecz bała się, że w tym czasie Carl straciłby wątek.

– Za daleko na co? – powtórzyła, lecz Carl nie słuchał. Ze strachem wpatrywał się w igłę wyciągniętą przez technika.

– Tylko małe ukłucie. – Technik usiłował pocieszyć pacjenta, który najwyraźniej i tak przestał się bać.

– To igła – powiedział takim samym zdziwionym głosem jak wtedy, gdy spytał Joannę, czy była w jego pokoju. Wyprostował rękę, aby technik mógł wbić igłę i przyłożyć ją do szklanej probówki. Z igły wypłynęła ciemna krew.

Technik zręcznie napełnił probówkę, wyciągnął igłę i przycisnął wacik do ręki Carla.

– No i już – oznajmił, przylepiając watę plastrem. – Nic było tak złe, prawda?

– Nie – potwierdził Carl i odwrócił głowę, aby przyjrzeć się kroplówce, tkwiącej w jego drugiej ręce.

– Na razie to będzie wszystko. Do zobaczenia później – pożegnał się technik i wyszedł, pobrząkując koszykiem.

Nie zamknął za sobą drzwi, więc Joanna wstała, żeby je domknąć.

– To była tylko kroplówka – stwierdził Carl, z ciekawością wpatrując się w przezroczystą rurkę, zwisającą z torebki zawieszanej na stojaku. – Sądziłem, że to grzechotnik.

– Grzechotnik? – Joanna zatrzymała się w miejscu.

– W kanionie – potwierdził Carl, a Joanna znowu usiadła, trzymając w dłoniach długopis i kartkę.

– Ukrywałem się – ciągnął Carl. – Wiedziałem, że tam są, gotowi wciągnąć mnie w pułapkę. Dostrzegłem jednego na końcu kanionu.

Spojrzał przed siebie i podniósł rękę, jakby chciał się zasłonić przed słońcem.

– Próbowaliśmy wspinać się po skałach, ale wszędzie czaiły się grzechotniki. Pełno ich było wokół – powiedział piskliwym, przerażonym tonem. – Grzechotały. Zastanawiałem się, co to za hałas – oświadczył

zupełnie innym tonem. – Grzechotanie. – Rozejrzał się po pokoju. – Może ogrzewanie? Słyszała pani jakieś grzechotanie, jak pani tutaj przychodziła?

– Znajdował się pan w kanionie? – upewniła się, usiłując zrozumieć znaczenie jego słów.

– W Arizonie – potwierdził. – W długim, wąskim kanionie.

Joanna słuchała, wciąż starając się pojąć znaczenie tej informacji. Niemal machinalnie robiła notatki. W Arizonie. W kanionie.

– Kiedyś płynął nim strumień – ciągnął Carl – ale wysechł. Było za gorąco. Wszędzie panowały ciemności, bo strome skały wznosiły się wysoko, więc ich nie widziałem, lecz wiedziałem, że tam są i czekają.

Grzechotniki?

– Kto tam jest i czeka?

– Oni – stwierdził lekliwie. – Cała banda, ze strzałami, nożami i tomahawkami. Chciałem ich ominąć, ale postrzelili mnie w rękę. – Carl chwycił się za ramię, jak gdyby usiłując wydobyć strzałę. – Oni... – Otrząsnął się i wykrzywił twarz. Podniósł rękę podłączoną do kroplówki, jakby odpierał atak. – Zabili Cody’ego. Znalazłem jego ciało na pustyni. Oskalpowali go. Miał całkiem czerwoną głowę. Zupełnie jak kanion. Zupełnie jak płaskowyże. – Bezwiednie zacisnął i rozluźnił pięści. – Wszystko czerwone.

– Kto to zrobił? – spytała Joanna. – Kto zabił Cody’ego?

Popatrzył na nią, jakby odpowiedź była oczywista.

– Apacze.

Apacze. Nie znalazł się na *Titanicu*. Był w Arizonie. Myliła się. *Titanic* nie był uniwersalny. Ale przecież wykonywał rękoma gesty przypominające wiosłowanie. A przed chwilą powiedział: „Było za daleko...”

– Znajdował się pan w Arizonie? – zaczęła, zamierzając spytać, czy przypomina sobie pobyt w jeszcze innych miejscach.

– Nie! – krzyknął, gwałtownie potrząsając głową. – To nie była Arizona. Myślałem, że to ona, z powodu czerwonego piaskowca. Myliłem się.

– Więc gdzie pan był?

– Gdzie indziej. Naprawdę tam przebywałem, cały czas – wyznał, jakby chcąc się utwierdzić w przekonaniu. – To był tylko sen.

– Miał pan jeszcze inne sny? – spytała. – Czy znalazł się pan gdzie indziej, nie w Arizonie?

– Nie było żadnego innego miejsca – odparł.

– Powiedział pan „o rety”.

Skinął głową.

– Gdzieś w oddali dostrzegłem słupy telegraficzne. Myślałem, że przebiegają w pobliżu torów kolejowych. Przyszło mi do głowy, że tam dotrę, zanim przejedzie pociąg – stwierdził, jakby to było wytłumaczenie.

– Nie rozumiem.

– Sądziłem, że uda mi się dotrzeć do Rio Grande. Ale tamteży nie przebiegały żadne tory, tylko przewody telegraficzne. Mimo to mogłem przecież wysłać wiadomość. Mogłem wspiąć się na jeden ze słupów i przesłać wiadomość.

Joanna nieuważnie słuchała opowieści Carla. Nie było żadnej podnoszącej się wody ani głównych schodów, tylko pustynia i Rio Grande.

– ...było za daleko, aby dojechać tam konno – ciągnął Carl, wpatrując się przed siebie. – Mimo to musiałem jakoś przekazać informację. – Opowiadając, lekko się unosił i opadał, trzymając ugięte ręce, jakby jechał konno.

Joannie przyszło do głowy, że Guadalupe właśnie ten gest wzięła za wiosłowanie, chociaż wykonywane przez Carla czynności wcale nie przypominały wiosłowania. Raczej jakby Carl symulował jazdę konną. Pewnie wcale nie mrucał *Bliżej Ciebie, Panie*, tylko *Dom nad kanionem*.

Pani Woollam przebywała w ogrodzie. Pani Davenport widziała anioła. Tylko Joanna nabrała przekonania, że chodzi o kobietę w koszuli nocnej. Chciała ujrzeć kawiarnię Verandah i główne schody tylko po to, aby pasowały do jej teorii. Z tego samego powodu wymyślała dowody, ignorowała rozbieżności, naprowadzała świadków i wierzyła w to, co chciała. Tak samo jak pan Mandrake.

Tak bardzo uwierzyła w swoje pomysły, że przestała akceptować prawdę – Carl widział pustynię i Apaczów dlatego, że żona czytała mu westerny, zmieniając jego sny w taki sam sposób, jak snute przez pana Briarleya opowieści o *Titanicu* zniekształcały wizje Joanny. Wszystko dlatego, że przez lata przechowywała je w pamięci długotrwałej.

To, co oglądała podczas swoich sesji, nic nie oznaczało. Jej doświadczenia graniczne nie miały uniwersalnego charakteru. Były przypadkowe, zupełnie jak Elvis widziany przez pana Bendixa. Z kolei poczucie istotnej wagi tych wizji wynikało z nadmiernej stymulacji płata skroniowego. Zanim się o tym przekonała, prześladowała Amelię Tanakę, zasypała pytaniami człowieka, który dopiero co ocknął się ze śpiączki, i

najprawdopodobniej naraziła jego zdrowie na szwank, na lewo i na prawo łamiąc szpitalne reguły. Zachowywała się jak wariatka.

– ...zanim zrobiło się ciemno – ciągnął Carl. – Kiedy jednak dotarłem bliżej, przekonałem się, że Apacze już są na miejscu.

Joanna wsunęła do kieszeni kartkę z modraszka oraz długopis i wstała.

– Pora na mnie – oświadczyła. Zanim Guadalupe mnie tutaj znajdzie, dodała w myślach. Zanim dyrekcja nie przekona się, że nie podpisałeś zezwolenia na przeprowadzenie rozmowy, zanim ktokolwiek się dowie o moim zachowaniu. Poklepała koc, którym się okrył Carl. – Musi pan się przespać.

– Już pani idzie? – zdziwił się i jego ręka złapała ją za przegub niczym atakujący wąż. – Niech pani nie odchodzi. – Zacisnął dłoń. – Boję się, że wrócę w miejsce, z którego właśnie przybyłem, a tam się robi coraz ciemniej. I coraz bardziej czerwono.

– Wszystko w porządku, Carl – uspokajała go Joanna. – To tylko sen.

– Nie. To prawdziwe miejsce. Arizona. Wiem to, bo znam te płaskowyże. Ale jednocześnie to nie jest Arizona. I jest, i nie jest. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Wiedział pan, że Arizona coś symbolizowała.

– Tak – powiedział z naciskiem, a Joanna pomyślała, że sen Carla naprawdę coś oznacza. Doświadczenia graniczne to nie tylko przypadkowe rozbłyśki synaps i dowolne skojarzenia.

– Carl, co symbolizowała Arizona? – spytała i z zapartym tchem czekała na odpowiedź.

– Oskalpowali Cody'ego. Ściągnęli mu skórę z czaszki i widziałem jego mózg. Był cały czerwony. Musiałem uciec, zanim się ściemni. Musiałem przesłać pocztę.

Poczta. Listy pływające w wodzie, sięgającej do kostek i zalewającej magazyn pocztowy. Nazwiska na kopertach zamazały się i stały nieczytelne, a urzędnik układał przesyłki na coraz, wyższych półkach, wciągał po pokrytych dywanem schodach.

– Poczta? – spytała Joanna, czując ucisk w klatce piersiowej.

– Dla Pony Express – wyjaśnił. – Zazwyczaj jeździł Cody, ale go zabili i nie miałem możliwości przesłania poczty. Było za daleko, aby pojechać konno, a Apacze pocięli przewody.

Joanna przypomniała sobie, że *Carpathia* też była za daleko. *Californian* nie odpowiadał. Przed jej oczami pojawił się pan Briarley, piszący

pocztówkę do Kit, odpalający rakiety i usiłujący wysyłać sygnały. Żadna z tych prób nie zakończyła się sukcesem.

– Płaskowyz rozpościerał się daleko – opowiadał Carl. – Bałem się, że nie znajdę tam nic, na czym mógłbym rozpaść ogień.

– Ogień? – powtórzyła Joanna, myśląc o Maisie.

– Żeby nadawać sygnały dymne. To pomysł Apaczów. Zasłania się ognisko kocem, a potem zdejmuje koc i unosi się dym. – Pociągnął wyimaginowany koc, obydwoma rękoma przytrzymując jego nie istniejące krawędzie i szarpiąc gwałtownie. Zupełnie jakby wiosłował. Jakby wiosłował.

– Nie znałem języka Apaczów. Pamiętałem tylko alfabet Morse’a.

Marynarz nadający wiadomości za pomocą lampy sygnalizacyjnej i Jack Phillips, niezmordowanie wystukujący CQD, SOS...

– SOS – powiedziała głośno. – Nadał pan SOS.

– A gdy tylko to zrobiłem, pielęgniarka rozsunęła zasłony, a ja znalazłem się tutaj.

– Znalazł się pan tutaj – powtórzyła Joanna, przypominając sobie, co powiedział pan Edwards. „Światło zaczęło błyskać, wiedziałem, że muszę wracać, i nagle znalazłem się z powrotem w sali operacyjnej”. Przypomniała sobie także panią Woollam opowiadającą: „Znajdowałam się w tunelu i nagle pojawiłam się na podłodze przy telefonie”. Richard powiedział: „Coś ich wyrzucało do rzeczywistości”.

Na korytarzu rozległ się triumfalny okrzyk: „Znaleźliśmy ją!”, a potem: „Gdzie pani była? Wszędzie pani szukaliśmy”.

Wszędzie szukaliśmy. Steward, wchodzący na górę tylnych schodów i zmierzający ku pokładowi z promenadą, zaglądający do palarni, sali gimnastycznej, szukający pana Briarleya. I pan Briarley, zbiegający na pokład G, pokonujący Scotland Road, wbiegający do magazynu pocztowego i szukający klucza. Klucza.

– O Boże! – westchnęła głośno Joanna. – Wiem, co to takiego! – Zasłoniła usta dłonią. – Pamiętam, co powiedział pan Briarley!

Rozdział 39

„Dobra, Wiley rozgrzał już silnik. Ruszamy”.

Ostatnia wiadomość radiowa nadana przez Willa Rogersa przed katastrofą lotniczą, w której zginął wraz z Wileym Postem

– Słucham? – zaniepokoił się Carl. – Co to znaczy, że pani wie, co to takiego?

Joanna go nie słyszała. Pomyślała, że musi powiedzieć Richardowi. Musi mu przekazać, że rozwiązała zagadkę. Wstała.

– Jeszcze pani nie wychodzi, prawda? – Carl ponownie chwycił ją za nadgarstek. – Co pani wie? Wie pani, co oznacza Arizona?

– Nie śpi i może rozmawiać – rozległ się głos Guadalupe.

Idą tutaj, przebiegło Joannie przez myśl. Wstała.

– Pańska żona tu jest – oświadczyła i podbiegła do drzwi, nie czekając na protesty Carla.

Jak miała wyjaśnić swoją obecność w pokoju pacjenta? Wyjrzała na korytarz. Pani Aspinall stała przy pokoju pielęgniarek, a Guadalupe i pielęgniarka wspierały ją na duchu.

– Nie powinna pani teraz płakać – mówiła pielęgniarka. – Już po wszystkim.

– Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie – poskarżyła się płaczliwie pani Aspinall, wycierając oczy ręką.

– Przyniosę pani chusteczki – zaproponowała Guadalupe i zniknęła za drzwiami pokoju dla pielęgniarek.

Joanna nie wahała się ani chwili. Wskoczyła na korytarz, przebiegła do poczekalni i ukryła się tam w ostatniej chwili, gdyż Guadalupe ponownie się pojawiła, przynosząc chusteczki. Pani Aspinall wydmuchała nos i wszystkie trzy poszły do pokoju Carla.

W poczekalni było pusto. Joanna oparła się o drzwi w oczekiwaniu, aż trzy panie znikną z pola widzenia. Z pewnym opóźnieniem dotarło do niej,

że wszystko to jest sygnałem SOS i zrozumienie wypełniło jej umysł niczym woda *Titanica* z rozdartym kadłubem. Uświadomiła sobie, że rozumiała znaczenie doświadczeń granicznych. W ten sposób umierający mózg wysyła wezwanie o pomoc, wystukuje alfabetem Morse'a wiadomość dla układu nerwowego: „Przybywajcie natychmiast. Zderzyliśmy się z górą lodową”.

Mózg przesyła sygnały do neuromediatorów, próbuje znaleźć taki z nich, który zmusi beczynne płuca do wznowienia procesu oddychania, usiłuje zlokalizować ten jeden, mogący ożywić zastygłe serce. W ten sposób mózg poszukuje sposobu ratunku.

Niekiedy mu się to udaje i pacjenci w stanie śmierci klinicznej ożywają, niespodziewanie, cudownie. Tak jak pan O'Reardon. Jak pani Woollam. Tylko dlatego, że komunikat z mózgu dotarł do adresata.

– Carl, och, Carl! – jęknęła łamiącym się głosem pani Aspinall. – Wróciłeś!

Joanna zajrzała w głąb korytarza. Pani Aspinall i Guadalupe weszły do pokoju, a pielęgniarka zmierzała ku windom z jakimś urządzeniem w rękach.

Joanna zaczekała, aż zniknie w windzie, a potem pobiegła do pokoju pielęgniarek. Chwyciła słuchawkę ukrytego za biurkiem telefonu i pochyliła się, aby wystukać numer laboratorium. Gdyby Guadalupe ją tutaj zastała, pomyślałaby tylko, że Joanna poszła i wróciła.

O ile Carl niczego nie wypaplał. Joanna wsłuchiwała się w sygnał dzwonka.

– Odbierz, Richard – mruknęła. – Odbierz.

Przyszło jej do głowy, że do tego samego sprowadzają się przeżycia graniczne. Są tylko wystukiwaniem numerów i oczekiwaniem, aż ktoś odbierze, próbą dodzwonienia się do kogoś na drugim końcu linii. Joanna pomyślała, że jeśli Richard dowie się, że to SOS, będzie potrafił znaleźć adresata tego wezwania.

Nic dziwnego, że jej umysł, usiłując rozgryźć problem, skoncentrował się na *Titanicu*. To doskonała metafora. Sygnał SOS wysłany pięć minut po tym, jak radiotelegrafista z pokładu *Californian* poszedł spać, lampa sygnalizacyjna, rakiety, krzyki ludzi wzywających pomocy z wody. No i przede wszystkim Phillips, siedzący w pomieszczeniu radiotelegrafisty i ofiarnie, do samego końca wystukujący „SOS, CQD”, a także: „Woda sięga już do kotłów”.

Richard nie odbierał. Joanna uznała, że na pewno siedzi przy pulpicie, wpatruje się w skan pani Troudthaim i usiłuje rozwikłać problem.

– To nie problem, Richard – mruknęła. – To odpowiedź.

Jej teoria miała sens także pod względem ewolucyjnym, tak jak to Richard przewidział. Doświadczenia graniczne nie chroniły ciała przed stresem, nie uruchamiały programu umierania. Przeciwnie, zmierzały do jego powstrzymania.

Włączyła się automatyczna sekretarka. „Tu laboratorium doktora Wrighta. Jeśli chcesz zostawić wiadomość...”, oświadczył głos lekarza, a Joanna cisnęła słuchawkę i poszła po schodach do laboratorium.

Nie zastała tam Richarda. Drzwi były zamknięte na klucz, a zatem wyszedł na więcej niż kilka minut. Przekreśliła klucz, weszła do środka i znieruchomiła, błędząc wzrokiem po opustoszałym pomieszczeniu i usiłując wydedukować, dokąd poszedł. Do bufetu na lunch?, zastanowiła się i zerknęła na zegarek. O tej porze bufet mógł być otwarty.

Powiedział, że idzie na spotkanie, przypomniała sobie i spróbowała odtworzyć słowa, które wypowiedział w jej gabinecie. Stwierdził wtedy: „Na jakiś czas znikam z laboratorium”. Dokąd?

Doktor Jamison, przypomniała sobie, co mówił Richard. Szybko podeszła do telefonu i zadzwoniła do centrali.

– Poproszę z gabinetem doktor Jamison. – Wysłuchała się w sygnał dzwonka.

Czy nikt nie odbiera telefonów? Nie, a mózg dzwoni i dzwoni, próbując się skontaktować z pierwszym numerem, potem z drugim, i innymi. Dzwoni i dzwoni, wystukuje kod za kodem, usiłując nawiązać łączność.

Joanna się rozłączyła i ponownie zadzwoniła do centrali.

– Gdzie się znajduje gabinet doktor Jamison? Na którym piętrze?

– Muszę to sprawdzić – oświadczyła telefonistka i po denerwującej chwili milczenia odparła: – Siedemset czterdzieści jeden. Dziękuję – stwierdziła Joanna i już miała odłożyć słuchawkę kiedy coś jej przyszło do głowy. – Właściwie prosiłabym, aby przesłała jej pani wiadomość na pager.

– Czy doktor Jamison ma zadzwonić do laboratorium?

– Nie, niech da mi znać na mój pager. Chciałabym też, aby doktor Wright został powiadomiony tą samą drogą. – Joanna sięgnęła do kieszeni, żeby włączyć pager, i pomyślała z przygnębieniem, że Richard również musiałby uruchomić swoje urządzenie.

Rozłączyła się. Gabinet doktor Jamison znajdował się w zachodnim skrzydle. Najkrótsza droga prowadziła na czwarte piętro i przez, łącznik między skrzydłami. Zaraz, nie, w tym przejściu właśnie trwały prace malarskie. Wobec tego musiała zejść na drugie. Pośpiesznie napisała notatkę: „Poszłam cię szukać. Wyślij mi wiadomość na pager”, zostawiła ją na jego biurku i wyszła, zatraskując za sobą drzwi. Nie chciała nawet tracić czasu na zamykanie ich na klucz. Kilka razy wcisnęła przycisk windy, jakby w ten sposób mogła uniemożliwić jej zatrzymanie się na czwartym lub trzecim piętrze.

Kiedy kabina stanęła na drugim, pobiegła korytarzem, przebiegła przez łącznik między skrzydłami i interną, aby dotrzeć do kolejnego przejścia. Oby tylko pani Davenport nie wyszła na spacer, pomyślała, nerwowo zerkając na drzwi jej pokoju. Nie mam czasu wysłuchiwać jej najnowszych konfabulacji.

Joanna przylgnęła do ściany i przebiegła obok na wpół otwartych drzwi. Minęła solarium i pokój pielęgniarek.

– Hej, pani doktor! – Za jej plecami rozległ się głos. – Pani doktor! – Pan Wojakowski. Nie zatrzymała się, udając, że go nie słyszy. Doszła do końca korytarza i skręciła za róg. Prawie wbiegła w łącznik między skrzydłami.

Moment później usłyszała, jak otwierają się za nią drzwi.

– Pani doktor! – zawołał zadyszany pan Wojakowski. – Pani doktor Lander! Proszę zaczekać! – Joanna nie miała wyjścia, musiała się odwrócić.

– Tak myślałem, że to pani! – promieniał pan Wojakowski. – Zobaczyłem panią z daleka i usiłowałem dogonić, ale pani pędziła, jakby zagrani sygnał do boju. Dokąd się pani tak śpieszy?

– Szukam doktora Wrighta. Muszę go jak najszybciej znaleźć.

– Nie widziałem go – oświadczył radośnie. – Przyszedłem z wizytą do przyjaciela. – Wskazał głową interną. – Przeszedł zawał. Kiepska sprawa. Jest w połowie sparaliżowany i nie może mówić. Rąbnęło go, jak tańczył w cztery pary. Upadł w połowie do-si-do...

– Przykro mi to słyszeć. – Joanna zerknęła na koniec przejścia. – Żałuję, że nie mogę zostać, aby porozmawiać, ale...

– Wie pani, kogo mi pani przypomina? Ace’a Willeya. Był asystentem nawigacyjnym na *Yorktown* i zawsze wszędzie się śpieszył. „Gdzie się tak śpieszysz, do cholery?”, pytałem go. „W końcu jesteś na okręcie”. Tak czy

owak, któregoś dnia pędzi przez pokład hangarowy i wpada w otwarty luk, a wtedy...

– Panie Wojakowski, z przyjemnością wysłuchałabym dalszego ciągu pańskiej historii, lecz muszę iść poszukać doktora Wrighta. – Joanna zdecydowanie ruszyła korytarzem.

– Zaraz, pani doktor. – Dogonił ją przy drzwiach. – Chciałem panią o coś spytać.

Otworzyła drzwi.

– Panie Wojakowski, ja naprawdę...

– Ed.

– Ed – powtórzyła, nie zatrzymując się. – Przykro mi, ale nie mam czasu na rozmowy.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy ustaliła już pani plan sesji – wysapał, podbiegając za nią.

– Nie. – Joanna minęła róg i zatrzymała się przy windach. Wcisnęła przycisk, modląc się, aby drzwi jak najszybciej się rozsunęły. – Damy panu znać, jak tylko plan będzie gotowy.

– To dobrze. Proszę do mnie dzwonić o każdej porze. Mam teraz dużo wolnego czasu.

Winda wreszcie nadjechała i Joanna weszła do kabiny. Przez jedną okropną chwilę sądziła, że pan Wojakowski wsiądzie za nią, lecz na szczęście zatrzymał się przed progiem.

– Tak czy owak, pani doktor, Ace nie patrzył, dokąd idzie, i wpadł do otwartego luku. Spadł całe dwa pokłady niżej, łamiąc obydwie nogi. Półtora roku spędził w szpitalu na Oahu.

Joanna wcisnęła przycisk siódmego piętra i drzwi zaczęły się wyjątkowo wolno zamykać.

– No i co ci dał ten twój pośpiech, pytam go. – Pan Wojakowski pośpiesznie kończył opowiadać. – Trzeba go było widzieć, jak wisiał na tych linkach i w dwóch odlewach gipsowych sięgających mu aż do...

Nie przestawał mówić, chociaż drzwi się już zamknęły. Wysiadając na siódmym piętrze i szukając gabinetu, Joanna pomyślała, że pan Wojakowski pewnie wciąż opowiada.

– „730-750”. – Joanna odczytała jedną z tablic informacyjnych ze strzałką, wskazującą korytarz z lewej. Poszła tam, szukając numeru 741. Na końcu stali dwaj ubrani w kombinezony Latynosi. Pochylali się nad wiadrami i mieszali w nich farbę.

Wszystkie gabinety na korytarzu były otwarte, z wyjątkiem pokoju 741. Joanna zapukała, odczekała chwilę i ponowiła próbę, tym razem waląc do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Nacisnęła klamkę. Zamknięte.

– Nie wiedzą panowie, gdzie jest doktor Jamison? – krzyknęła do robotników.

Obydwaj pokręcili przecząco głowami i powrócili do przelewania farby z jednego wiadra do drugiego. Joanna z irytacją zmarszczyła brwi. Dokąd oboje poszli? Udali się gdzieś, aby porozmawiać? Może do bufetu?

Podeszła do malarzy. Obaj się wyprostowali, jakby spodziewając się reprimendy.

– Czy któryś z panów widział, jak wychodzi doktor Jamison? – spytała. Ponownie potrząsnęli głowami, a Joanna odniosła wrażenie, że żaden z nich nie mówi po angielsku.

– *Señor...* – zaczęła, a wtedy jakiś młody człowiek wytknął głowę zza drzwi, sąsiadujących z wejściem do gabinetu doktor Jamison i powiedział:

– Szuka pani doktor Jamison? Musiała iść spotkać się z kimś na oddziale nagłych wypadków.

– Dziękuję. Wie pan, czy był z nią doktor Wright?

Pokręcił głową.

– Właśnie wróciłem z lunchu i zobaczyłem jej notatkę.

– Notatkę?

– Na drzwiach – potwierdził i wyszedł, aby pokazać kartkę. – Hm – mruknął zdziwiony. – Ktoś ją musiał zerwać.

Na pewno Richard. Zobaczył wiadomość, schował ją do kieszeni i poszedł na oddział nagłych wypadków. Kartkę mogli zerwać także malarze. Joanna przez moment wahała się, czy ich o to zapytać, ale sobie darowała.

– Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu? – spytała młodego człowieka.

– Pewnie – odparł i otworzył szerzej drzwi.

Wystukała numer laboratorium, a gdy włączyła się automatyczna sekretarka, odłożyła słuchawkę.

– Dziękuję – stwierdziła krótko i wróciła do windy, zastanawiając się nad najkrótszą drogą na oddział nagłych wypadków. Uznała, że powinna zejść na drugie piętro, przejść łącznikiem do głównego budynku, a potem windą na pierwsze. Wcisnęła przycisk wezwania kabiny. Przyszło jej do głowy, że powinna była to zrobić zaraz po wyjściu na piętro, wówczas winda już by na nią czekała.

Ponownie wcisnęła przycisk, myśląc o tym, jak pan Briarley wciąż przyciskał guzik z kości słoniowej, jak w podobny sposób wielokrotnie uderzał w stół egzemplarzem *SOS Titanic* – „Literatura to komunikat!”, wykrzykiwał, trzaskając o blat książką w miękkich okładkach.

Właśnie ten wykład usiłowała sobie przypomnieć, wykład, który odtworzył się teraz w jej pamięci, kiedy już tego wcale nie potrzebowała, kiedy sama się domyśliła, czym są doświadczenia graniczne. „To komunikat!”, grzmiał pan Briarley, a ona widziała, jak Ricky Inman pochyła się na swoim krześle. Miała przed oczyma całą tę sytuację: śnieg – nie mgłę, tylko śnieg – za oknem, oraz tytuł *Pieśń o starym żeglarzu*, wypisany na tablicy. Pan Briarley stał wtedy w szarej tweedowej kamizelce, uderzał czerwono-białą książką o biurko i krzyczał: „Jak myślicie, czym są te wszystkie wiersze, powieści i sztuki? Nudnymi, nieciekawymi rupieciami? Nieprawda!” Trzask. „To są komunikaty, takie same, jakie wysyłano z pokładu *Titanica!*” Trzask. „Samuel Taylor Coleridge, John Milton, William Szekspir, oni wszyscy wystukują do was wiadomości!”

Potrząsnął egzemplarzem *SOS Titanic*. „Podobno umarli nie mówią. Nieprawda! Ludzie w tej książce zmarli przeszło sześćdziesiąt lat temu, na środku oceanu, samotni, ale mimo to przemawiają do was. Wciąż mogą przesyłać nam wiadomości – o miłości, odwadze i śmierci! Właśnie tym jest historia, nauka i sztuka. Tym jest literatura. Wszędzie tam kryją się ludzie z przeszłości, wysyłający nam komunikaty, zza grobu informujący nas o życiu i śmierci! Wysłuchajcie ich!”

Joanna słuchała. I pamiętała. Przeszło dziesięć lat później, kiedy uczestniczyła w eksperymencie symulowania doświadczeń granicznych, pan Briarley przemawiał do niej z przeszłości, chcąc jej powiedzieć, że doświadczenia graniczne to komunikat.

Drzwi windy się otworzyły i Joanna weszła do środka. Po namyśle uznała, że nie powinna ryzykować jazdy na drugie piętro. Przed drzwiami wciąż może stać pan Wojakowski, czekający na okazję dokończenia swojej historii o Asie Willeyu. Lepiej będzie, jeśli zjedzie na pierwsze, przejdzie przez radiologię i skorzysta z windy technicznej. Wcisnęła przycisk oznaczony jedyneką.

Gdy obserwowwała zmieniające się numery pięter, przyszło jej do głowy, że robi to samo, co mózg w czasie doświadczeń granicznych. Krążę, omijam przeszkody, wybieram trasy, gdy nie mogę skorzystać z jednej, kieruję się na inną. Pytam pana Briarleya o odpowiedź, a kiedy nie jest w

stanie mi pomóc, usiłuję znaleźć podręcznik, przeglądam relacje, wypytuję Kit i Maisie.

Zupełnie jak w śnie Carla – najpierw zmierzam w stronę torów, a potem, kiedy okazuje się, że przewody są przecięte, podążam na płaskowyż. Wizje poszukiwania i niepowodzenia, zerwanych linii, zamkniętych drzwi i zablokowanych przejść. Wizje umierającego mózgu.

I jeszcze wizje pośpiechu z powodu braku czasu. Śmierć mózgu następuje w ciągu czterech do sześciu minut, a magazyn pocztowy jest już zalany, winda nie działa i robi się ciemno.

Wizje wywołane endorfinami i impulsami elektrycznymi, rozpaczliwe sygnalizowanie SOS, desperackie próby złapania się ostatniej deski ratunku, kojarzące się z Carlem chwytającym Joannę za nadgarstek. A cała reszta, tunele, krewni oraz Świetliste Anioły, ogrody, pochylające się pokłady oraz pustynie piaskowe to nic innego, jak tylko skutki uboczne. Joanna skręciła w korytarz prowadzący na chirurgię, minęła nieznaną pielęgniarkę. Pomyślała, że to także desperackie wysiłki świadomości pragnącej nadążyć za docierającymi do niej doświadczeniami, zrozumieć wrażenia, których nie da się pojąć, przeszukującej pamięć długotrwałą w celu odkrycia wszelkich związków i metafor.

Joanna zdumiała się, jak to możliwe, że nie rozpoznała tej metafory. I wpadła prosto na pana Mandrake'a.

– Doktor Lander. Właśnie o pani myślałem – stwierdził surowo. – Wszędzie pani szukałem. Nigdy nie odpowiada pani na wiadomości przesyłane na pager.

– To nie jest dobry moment, proszę pana – odparła, usiłując go obejść. – Jestem... – Musiała się zatrzymać, bo mocno chwycił ją za rękę.

– To zajmie tylko kilka minut – oświadczył, kierując ją pod ścianę korytarza. – Skoro powiększyła pani grono ochotników doktora Wrighta, nie wątpię, że zdała już sobie pani sprawę, iż jego sztucznie wywoływane halucynacje nie są podobne do autentycznych doświadczeń granicznych. Albo też, jeśli jakimś sposobem przeżyła pani rzeczywiste doświadczenie graniczne, wie pani, że to realne zjawisko, wiążące się z wizją życia po śmierci...

– W tej chwili nie mam czasu, aby dyskutować z panem na ten temat – wyjaśniła Joanna i gwałtownie ruszyła dalej.

Podbiegł i stanął jej na drodze.

– Otóż to. Nie ma pani czasu, żeby przedyskutować ze mną swoje spostrzeżenia. Cały swój czas poświęca pani jałowemu projektowi doktora Wrighta.

Nie ma pan o tym zielonego pojęcia, pomyślała.

– Fizyczne aspekty nie mają żadnego znaczenia – ciągnął pan Mandrake.
– Istotne jest tylko to, co jest nadnaturalne. Doświadczenia graniczne to przeżycie duchowe, w którym Świetlisty Anioł usiłuje poinformować nas o świecie, oczekującym na nas po śmierci. To wiadomość...

Joanna roześmiała się mimo woli.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego... – Pan Mandrake się wyprostował.
– Przepraszam – odparła Joanna, usiłując się uspokoić. – Rzecz w tym, że pan ma rację. To faktycznie jest wiadomość.

Wpatrywał się w nią osłupiały.

– No cóż, cieszę się, że wreszcie to do pani dotarło – skomentował po chwili.

– Powinna być służyć pana od samego początku – wyjaśniła radośnie. – Wszystko kryje się w pana książce. Telegramy, rakiety, światła – wiedział pan, że biel jest międzynarodowym kolorem alarmowym?

– Alarmowym? – powtórzył, niepewnie marszcząc czoło.

– Nigdy nie przypuszczałam, że właśnie pan... Miał pan rację. – Złapała go za rękaw. – Doświadczenia graniczne to wiadomość. To sygnał SOS. Wezwanie o pomoc.

Uścisnęła jego ramiona.

– Mylił się pan jednak, twierdząc, że badania Richarda prowadzą donikąd. Dzięki nim uda się uratować Maisie. Dzięki nim człowiek dokona cudów! – wykrzyknęła i odeszła, czując na sobie osłupiały wzrok. Pan Mandrake nawet nie próbował jej gonić.

Na wszelki wypadek nie ryzykowała. Zrezygnowała z jazdy windą techniczną i dała nura do najbliższej klatki schodowej, a stamtąd na chłodny parking, aby nie natknąć się już na nikogo. Znowu padał śnieg. Przycisnęła ręce do klatki piersiowej i podbiegła do bocznych drzwi prowadzących do głównego budynku.

Okazało się, że szczęście jej nie dopisuje. Barbara, pielęgniarka Maisie, zeszkrobywała lód z tylnej szyby swojego samochodu.

– Pani Joanno! – zawołała. – Maisie chce się z panią potkać! – Podeszła bliżej ze skrobaczką w rękę.

– Wiem. Przyjdę do niej po południu! – odkrzyknęła Joanna i uciekła, zastanawiając się, na kogo jeszcze wpadnie. Otworzyła drzwi i zeszła po schodach. Na Kit? Na panią Davenport? Może na wszystkich znajomych? Na klatce schodowej nie spotkała jednak nikogo, a droga nie była zablokowana przez żółtą taśmę. Kilka ostatnich stopni i cały korytarz do oddziału nagłych wypadków pokonała biegiem.

Pchnęła drzwi i przez moment stała w progu, wypatrując Richarda. Nigdzie go nie dostrzegła. Nie zauważyła także doktor Jamison, za to przed jedną z sal stała Vielle oraz stażysta. Oboje rozmawiali z jakimś młodym mężczyzną, nie, chłopcem. Był niższy od Vielle i nosił o dwa numery za dużą kurtkę turystyczną w kolorze brązowym. Joanna dostrzegła na plecach chłopaka pochyły, niebiesko-biały napis.

Nic nie wskazywało na to, aby chłopiec wymagał natychmiastowej pomocy. Rozmawiał z Vielle i stażystą na stojąco i nie wyglądał na rannego, przynajmniej od tyłu. Bez względu na to, jaki miał problem, nawet jeśli ktoś go postrzelił z maszyny do wbijania gwoździ, mógł chwilę zaczekać, bo Joanna musiała się dowiedzieć, gdzie jest Richard.

– Vielle! – wrzasnęła i rzuciła się w ich stronę.

Żadne z nich na nią nie spojrzęło. Jeden z rezydentów, wciąż ze stetoskopem na uszach, odwrócił się i zerknął na nią z irytacją znad karty, którą czytał, lecz stażysta i Vielle wciąż wpatrywali się w chłopca, który coś energicznie wyjaśniał. Joanna zastanowiła się, o czym mówią. Vielle zmarszczyła brwi, a na twarzy stażysty widniał wyraz dezaprobaty. Joanna uznała, że to dobrze, bo nie będą jej mieli za złą, że im przerywa. Minęła wózek techniczny i podeszła bliżej.

– Vielle, widziałas doktora Wrighta? – spytała, jeszcze zanim się przy nich zatrzymała. Żadne z nich nie odwróciło się do niej.

– Muszę stąd wyjść. – Chłopak mówił cicho, lecz stanowczo. – Oni zatrzasnę wieko.

– Skąd, nikt tego nie robi – uspokajała go Vielle. – Myślę, że powinieneś...

Joanna podbiegła i zatrzymała się za chłopcem.

– Mówisz tak, bo jesteś balsamistką – rozzłościł się. – Wiem, co ci chodzi po głowie.

– Vielle, przepraszam, że przerywam, ale szukam...

Chłopiec gwałtownie się odwrócił, jednocześnie unosząc rękę do ciosu. Widząc jego przestraszoną i zdesperowaną twarz, Joanna zdawała sobie

sprawę, że poruszył się bardzo szybko, lecz wydawało się jej, że ta chwila rozciągnęła się w nieskończoność.

Wszystko przebiegało powoli, bardzo powoli. Stażysta się odwrócił i z przerażeniem otworzył usta, brązowy rękaw kurtki chłopca uniósł się i jednocześnie obrócił, a w gładkim materiale odbiły się świetlówki, wiszące pod sufitem. Wciąż owinięta bandażem ręka Vielle usiłowała schwytać chłopaka za rękaw. Wszyscy poruszali się powoli, jakby zanurzeni w lepkiej mazi, w melasie.

Wielka powódź melasy, przebiegło Joannie przez myśl. Spowolnienie upływu czasu miało związek z nadprodukcją adrenaliny w sytuacji stresowej. Ale to nie była sytuacja stresowa.

Joanna nie wątpiła jednak, że odniosła wrażenie spowolnienia, upływu czasu, wszystko bowiem wyraźnie dostrzegła: twarz wzywającego ochronę stażysty była niemal tak przerażona jak oblicze chłopaka; strażnik już się zerwał z miejsca; dłoń Vielle, nie mogąc dosięgnąć rękawa kurtki, skierowała się do ręki chłopca.

Poza tym Joanna wszystko słyszała: głos Vielle, również pogrążony w gęstej cieczy, wołał: „Joanna! Nie...!”; trzymana przez rezydenta karta upadła z łomotem na podłogę; rozległ się dzwonek alarmowy.

Mogła się zastanowić, czy spowolnienie upływu czasu stanowi jakiś skutek uboczny działania dithetaminy. Przyszło jej też do głowy, że musi o tym powiedzieć Richardowi. Skoro jednak nie znajdowała się w sytuacji stresowej, dlaczego ochroniarz, który jeszcze nie zdążył się wyprostować, już sięga po broń?

Starczyło jej czasu, aby pomyśleć: chłopiec musi mieć nóż. Kiedy przyszedł, groził im nożem. Właśnie dlatego nie zareagowali, kiedy wołałam, i nie widzieli mnie, dopóki nie było za późno. Vielle chciała chwycić chłopaka za rękę, bo trzymał w niej nóż.

Joannie przyszło nawet do głowy, że przecież mówiła jej, że na tym oddziale prędzej czy później zdarzy się taki wypadek.

Wystarczyło nawet czasu, aby zastanowiła się nad faktem: on ma nóż, a ja się wcale nie boję. Uznała, że to przez endorfiny, tłumiące ból i panikę, pozwalające wyraźnie myśleć.

Pomyślała spokojnie, że on ma nóż, i spojrzała na bluzkę, na rękę chłopaka, ale chociaż czas płynął tak wolno, było już za późno. Nie dostrzegła noża.

Zdążył zniknąć w jej ciele.

Rozdział 40

„To straszne! To najgorsza z możliwych katastrof na świecie (...) rama rozbija się o ziemię, nieopodal słupa cumowniczego (...) o ludzkości!”

Dziennikarz radiowy Herb Morrison,
komentujący katastrofę *Hindenburga*

Wszędzie było pełno krwi, co nie miało sensu; w miejscu, gdzie utkwiał nóż, pojawiła się bowiem tylko cienka, ciemnoczerwona smużka.

– Nagły wypadek! – wrzasnął stażysta, rzucając się, aby podtrzymać Joannę, ale ona i tak upadła. Leżała na wyłożonej terakotą podłodze, a obok klęczała Vielle. Kardigan Joanny tonął we krwi, zalewającej także rękę, ściskaną przez Vielle.

Joanna pomyślała, że Vielle sięgnęła po nóż, więc na pewno się zraniła.

– Coś ci się stało? – spytała przyjaciółkę.

– Nie – odparła Vielle, a Joanna uznała, że to nieprawda, bo słyszała jej łkanie.

– Mamy tutaj ranę kłutą. – Stażysta zwrócił się do rezydenta. Joanna pomyślała, że ktoś się tym zajmie, ale rezydent nawet nie spojrzał na Vielle. Zerknął na cienką strużkę krwi, ściekającą po klatce piersiowej Joanny, i szybko sięgnął po lateksowe rękawiczki.

– Dajcie ją na stół – nakazał, wsuwając rękawiczkę. – Sprawdźcie jej zgodność krzyżową. Jakie ciśnienie?

– Dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt – stwierdził ktoś, Joanna nie wiedziała kto. Wokół niej kłębili się jacyś ludzie, podłączając rozmaite urządzenia i pobierając krew. Joanna pomyślała, że to dziwne. Po co im jeszcze więcej krwi? I tak wszędzie jej pełno.

– Sprowadźcie kardiochirurga – rozkazał rezydent. – I dajcie jeszcze dwie jednostki krwi. Vielle, sprawdź bezpośrednio ciśnienie.

Joanna przestraszyła się, że Vielle gdzieś sobie pójdzie i puści jej rękę, ale na szczęście wciąż klęczała obok niej.

– Nie ruszaj się, kotku – przykazała ze zmartwionym wyrazem twarzy. – Leż nieruchomo. – Joanna zawsze się zastanawiała, czy taka mina Vielle wywołuje u pacjentów lęk. Okazało się, że przeciwnie, działa uspokajająco.

Ciekawe czemu. Joanna usiłowała dojrzeć coś pocieszającego w twarzy Vielle, lecz niczego nie dostrzegła. Widziała jedynie czubek głowy pielęgniarki i rezydenta. Oboje mieli na sobie zielone czepki. Poza tym mignęła jej jeszcze przed oczyma głowa ochroniarza, stojącego nad chłopcem w kurtce. Leżał twarzą do dołu na podłodze. Joanna wyraźnie zauważyła niebiesko-biały napis na plecach brązowej kurtki oraz ciemnoczerwoną plamę pod jego głową, w miejscu, gdzie go postrzelił ochroniarz.

Strażnik miał błyszczącą łysinę, w której odbijały się zawieszony pod sufitem świetlówki.

– Joanno, tylko się trzymaj! – powiedziała Vielle, ściskając jej dłoń. Joanna pomyślała, że to dziwne, bo znajdowała się wyżej niż przyjaciółka.

W tej samej chwili stwierdziła, że ona sama też jest nisko. Wszyscy byli niżej, stażysta, rezydent i inni, trudno powiedzieć kto, bo widziała tylko czubki głów. Ludzie kręcili się przy niej, mierzyli ciśnienie krwi i podłączali kroplówki.

– Siedemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt – powiedział ktoś.

– Wykrwawia się. Pewnie ma przeciętą aortę – skomentował inny, nie wiedziała kto, był zbyt daleko w dole.

Pomyślała, że się unosi w powietrzu, pod sufitem. Mogłaby wyrzeć za okno i sprawdzić, czy na parapecie nie leży czerwona tenisówka. Uświadomiła sobie, że doświadcza zjawiska opuszczenia ciała. Wreszcie. Musi o tym powiedzieć Richardowi.

Richard. Ogarnęło ją uczucie paniki. Powinna przekazać mu, że doświadczenia graniczne to SOS.

– Gotowe – stwierdził rezydent. – Gdzie, do cholery, jest ten kardiochirurg?! Zawiadomiliście go przez pager?

Nic Carsona, Richarda. Joanna przyjrzała się rezydentowi. Teraz widziała jego twarz, zupełnie nie przejętą, przeciwnie, opanowaną i chłodną. Poczła się spokojniejsza.

– Zawiadomcie Richarda. To ważne – powiedziała, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk, nie poruszyła wargami. Pielęgniarka coś jej wpychała do ust, i głębiej, w gardło.

– Nie – sprzeciwiła się i odwróciła głowę. Wyszukała wzrokiem Vielle.

– Tu jestem, kotku – odezwała się przyjaciółka, ściskając jej dłoń. Ktoś musiał zabandażować jej rękę, była cała biała i tak jasna, że z trudem dawało się na nią patrzeć.

– Zawiadom Richarda – poprosiła Joanna, lecz nie potrafiła stwierdzić, czy Vielle ją słyszała. Rozległo się dziwne piszczenie. Pewnie jedna z pielęgniarek wcisnęła alarm reanimacyjny. – Prześlij mu wiadomość na pager. Powiedz, że poznałam znaczenie doświadczeń granicznych. Są wezwaniem o pomoc. – Mówiła głośniej, lecz piszczenie zagłuszało jej słowa.

– Cholera jasna, co to za dźwięk? – zdenerwował się rezydent, manipulujący przy jej klatce piersiowej.

– Jej pager – wyjaśniła Vielle.

– Więc wyłącz to kretyńskie urządzenie.

Pomyślała, że to Richard. Kazała mu do siebie zadzwonić. Chciała powiedzieć, żeby mu wyjaśnili sens doświadczeń granicznych, żeby kazali mu ustalić znaczenie kodu. Dla Maisie. Koło niej rozległ się kolejny dźwięk. Dzwonienie. Brzęczenie.

– Jest w laboratorium.

– Sześćdziesiąt na czterdzieści – odezwała się pielęgniarka.

– Wykrwawia się – zdenerwował się rezydent.

– Joanno, poczekaj – prosiła Vielle, mocno ściskając jej rękę. – Zostań przy mnie. – Jednak Joanno już tam nie było. Znalazła się na *Titanicu*.

Ale nie w przejściu. Na stopniach głównych schodów. Wokół kłębili się pasażerowie, tłoczyli na schodach, ubrani w smokingi, suknie wieczorowe i kamizelki ratunkowe. Przepychali się, zmierzając na górę marmurowych schodów. Biegła razem z tłumem. Pomyślała, że podążają na pokład łodziowy. Wszyscy starają się dostać na pokład łodziowy.

– Muszę wracać na pokład C. – Joanna usiłowała się odwrócić, ale ludzie tłoczyli się obok niej, przed nią, za nią, naciskając na nią tak mocno, że nie mogła się ruszyć. – Muszę powiedzieć Richardowi, że odkryłam tajemnicę. Muszę wracać do przejścia.

Nikt jej nie słyszał, ludzie popychali ją w górę po białych marmurowych stopniach. Zerknęła na pozłacaną balustradę z kutego żelaza. Gdybym ją chwyciła, mogłabym się przepchać w dół, pod prąd.

Obróciła się z ogromną trudnością. Z wysiłkiem poruszyła ręką, tułowiem i brnęła przez rzekę pasażerów, jakby brodząc w głębokiej wodzie. Dotarła do barierki i złapała ją tak mocno, jakby od tego zależało

jej życie. Nic to nie pomogło; przeciwnie, ludzie niżej podciągali się na balustradzie i nie pozwalali Joannie się cofnąć. Szli na górę, jakby jej nie widzieli, nieśli walizki i koce, pchali Joannę, niemal ją przewrócili.

– Niech pani mi pozwoli... – odezwała się do kobiety z pekińczykiem i złożonym parasolem i odsunęła się bliżej środka stopnia, chcąc zejść jej z drogi. Uniosła rękę, zamierzając złapać się poręczą za kobietą...

Parasolka wbiła się boleśnie między jej żebra. Joanna sapnęła i przyłożyła dłoń w miejsce ukłucia. Puściła poręcz, a tłum popchnął ją wyżej, obok cherubina, aniołów Honoru i Chwały koronujących Czas, przez drzwi z wytrawionego szkła, na pokład łodziowy.

Zatrzymała się tam na chwilę, przyciskając rękę do boku. Ludzie się przepychali, a ona ponownie skierowała się do tyłu, do drzwi.

– Przepraszam – odezwała się, przepychając obok mężczyzny w mundurze. Okazało się, że to urzędnik pocztowy z magazynu. Na ramieniu trzymał worek z przesyłkami, ociekający wodą i zalewający dywan w holu. Urzędnik się cofnął, spoglądając na dywan i ciemne, mokre plamy.

– Lepiej niech panienka wsiada do łodzi – zasugerował uprzejmie.

– Nie mogę. Muszę wracać – odparła, próbując go ominąć, nie wdeptując w kałużę i nie dotykając ciekącego worka. – Muszę powiedzieć Richardowi, czego się dowiedziałam.

Skinął oficjalnie głową.

– Poczta musi dotrzeć do adresatów. Ale tędy panienka nie zejdzie. Droga jest zatarasowana.

– Zatarasowana?

– Tak jest, panienko. Ludzie idą na górę. Musi panienka iść do tylnych schodów. – Wskazał palcem pokład łodziowy. – Wie panienka, gdzie jej szukać?

– Wiem – potwierdziła i pobiegła na rufę, mijając przygotowaną się do występu orkiestrę. Skrzypek postawił czarny futerał na pianinie i z trzaskiem odblokował zamki.

– *Alexander's Ragtime Band* – oświadczył dyrygent, a basista przekartkował stos kartek z nutami, poszukując utworu.

Za łodzią ratunkową numer dziewięć młody mężczyzna zegnał się z kobietą w białej sukni z welonem.

– Wszystko dobrze, maleńka – uspokajał ją. – Ty pójdziesz, a ja jeszcze trochę zostanę.

Przy jedenastej łodzi mężczyzna z wąsami, którego widziała w bibliotece i przy rozdawaniu kart, umieszczał w łodzi dwoje dzieci. Przy trzynastej stał oficer i wołał: „Kto jeszcze do tej łodzi? Są jeszcze kobiety i dzieci?”

Joanna potrząsnęła głową i minęła go bez zatrzymywania. Wpadła na mężczyznę w dzinsowej koszuli i szelkach.

– Proszę państwa, nie ma powodów do paniki – głosił, prowadząc ludzi na dziób. – Proszę iść powoli. Nie biegać. Mamy mnóstwo czasu.

Joanna się cofnęła i zderzyła się z oficerem. Chwycił ją za rękę.

– Musi panienka wejść do łodzi – zdecydował i poprowadził ją do trzynastki. – Zostało niewiele czasu.

– Nie – zaprotestowała, lecz chwycił ją mocno i poprowadził do żurawików.

– Zaczekajcie na tę młodą damę – zawołał do marynarza w łodzi.

– Nie – sprzeciwiła się. – Nic pan nie rozumie. Muszę...

– Nie ma się czego bać – wyjaśnił, ściskając ją tak mocno, że w jej ręce przestała krążyć krew. – To całkowicie bezpieczne.

– Nie! – Wyrwała się z jego uścisku i pobiegła po pokładzie, obok oficera, obok orkiestry, do holu przy głównych schodach. Po głowie chodziła jej jedna myśl: winda. Windą będzie prędzej.

Nacisnęła złocony przycisk z kości słoniowej.

– Szybciej, szybciej – mruknęła i wcisnęła go ponownie. Strzałka nad drzwiami nawet nie drgnęła. Zrezygnowała z pomysłu zjechania windą i pobiegła na schody, a potem w dół, na pokład B, C. Cały czas się zastanawiała, co będzie, jeśli rzeczywiście okaże się zablokowany?

Jednak nie. Droga była wolna.

– Jeszcze raz. Gotowe – stwierdził rezydent, a Joanna znalazła się na stole reanimacyjnym. Vielle trzymała ją za rękę.

– Mam tętno.

– Vielle – powiedziała Joanna, lecz przyjaciółka patrzyła w inną stronę, na pielęgniarkę, która pojawiła się korytarzu tego dnia, gdy się pokłóciły.

– Jeśli nie odpowie na wiadomość z pagera, idź po niego. Jest w pokoju pięćset dwa – przekazywała instrukcję Vielle.

– Vielle, powiedz Richardowi, że doświadczenia graniczne to wezwanie o pomoc, wysyłane przez umierający mózg – usiłowała powiedzieć Joanna, lecz nie mogła wykrztusić ani słowa z powodu jakiegoś przedmiotu tkwiącego w ustach.

– Joanno, on już idzie – powiedziała Vielle, ściskając jej dłoń. – Wytrzymaj.

– Jeśli Richard nie zjawi się na czas, powtórz mu, że doświadczenia graniczne to sygnał alarmowy. To ważne. – Joanna usiłowała mówić pomimo obcego ciała w gardle.

Ogarnęła ją panika, gdy się domyśliła, że to intubacja. Usiłowała wyciągnąć rurkę, lecz to nie był przewód tlenowy, tylko krew. Krztusiła się i wypluwała ją, całymi litrami. „Kto by pomyślał, że starszy człowiek może pomieścić w sobie tyle krwi?” Zalewała ją, oblewała Vielle, rezydentka i pielęgniarkę, Joanna dławiła się nią, topiła się w niej.

– Pomocy! – krzyknęła. – Muszę powiedzieć Richardowi, że to SOS. – W tej samej chwili przekonała się, że mówi nie do Vielle, tylko do mężczyzny z wąsami. Ponownie znalazła się na pokładzie łodziowym. Orkiestra grała *Dobranoc, Irene*, a oficer kierował ludzi na łódź numer cztery.

– Chciałbym, żeby pani coś dla mnie zrobiła po dotarciu do Nowego Jorku – oświadczył wąsacz, wciskając coś w jej rękę.

Przyjrzała się przedmiotowi. Była to notatka, sporządzona dziecinnym, okrągłym i pochyłym charakterem pisma. „W wypadku ocalenia”, głosił tekst, „proszę powiadomić moją siostrę, panią F.J. Adams z Findlay, Ohio. Zaginiony. J.H. Rogers”.

– Proszę dopilnować, aby moja siostra to otrzymała – poprosił, zaciskając jej palce na kartce. – Proszę jej powiedzieć, że to ode mnie.

– Ale ja nie będę... – zaczęła Joanna, lecz mężczyzna znikł w tłumie. Zbliżał się do niej oficer, wołając:

– Panienko! Panienko!

Wcisnęła notatkę do kieszeni i pobiegła po pokładzie do tylnych schodów, przedzierając się między parami, mijając dwójkę marzoretek w szkarłatno-złoty plisowanych spódnicach, obok żegnających się rodzin.

– Nic mu się nie stanie, prawda? – pytała oficera kobieta w białym płaszczu i zrobionej na drutach czapce.

Mężczyzna spojrział na nią ze smutkiem.

– Robimy, co w naszej mocy.

Joanna przepchnęła się obok kobiety, ale drogę do tylnych schodów blokował tłum ludzi w chustkach i czapkach, walczących między sobą o możliwość schronienia się w łodzi, a także marynarzy, próbujących opuścić szalupy na wodę.

– Tędy pani nie przejdzie! – zawołał marynarz obsługujący lampę sygnalizacyjną. Wskazał kciukiem na rufę. – Niech pani spróbuje schodami dla drugiej klasy.

Odwróciła się i pobiegła obok żurawików, z których opuszczono już łodzie.

Drzwi na schody drugiej klasy były otwarte. Czerwona tenisówka leżała na progu, przewrócona na bok. Joanna ominęła ją i popędziła na dół, obok restauracji A La Carte, po następnych schodach i wokół podestu. Nagle stanęła.

Dwa stopnie niżej wisiała przywiązana do balustrady żółta taśma z napisem: „Miejsce zbrodni. Nie podchodzić”. Schody poniżej zalała woda, jasnoniebieska i lśniąca jak farba.

– Jest pod wodą. – Joanna usiadła, kurczowo trzymając się poręczy. – Przejście jest pod wodą.

A może tylko schody? Może woda nie dotarła jeszcze do przejścia? Skąd, oczywiście, że dotarła. Schody drugiej klasy znajdowały się na rufie, a statek tonął dziobem w dół. Poniżej taśmy woda wlewała się ze wszystkich stron, zalewała magazyn pocztowy, Scotland Road, basen, kort do squasha, kajuty mieszkalne i oszklony pokład. A także drogę do wyjścia, drogę z powrotem.

Joanna zapatrzyła się w jasnoniebieską wodę, myśląc, że musi istnieć inna droga powrotna. Apacze przecięli przewody, a mimo to Carl wciąż potrafił wysłać wiadomość. Na pewno jest jeszcze inny sposób ucieczki. Łodzie ratunkowe! Zerwała się na nogi i popędziła po schodach na pokład łodziowy.

Wszystkie łodzie zniknęły, a pokład opustoszał. Pozostała tylko orkiestra, która skończyła grać *Dobranoc, Irene*. Muzycy szukali teraz nut do następnego utworu i porządkowali kartki na statywach.

Joanna podbiegła do relingu i wychyliła się jak najdalej, usiłując dojrzeć szalupę, którą załadowywał marynarz. Znajdowała się nisko, niemal nad wodą. Joanna niewiele widziała w ciemnościach poza jasnym zarysem białego munduru marynarskiego. Szalupa była za daleko, aby na nią wskoczyć, ale istniała szansa, że ktoś usłyszy krzyk Joanny.

– Halo! – zawołała, przykładając dłonie do ust. – Ahoj! Słyszycie mnie?

Biały mundur się nie poruszył, nie rozległ się żaden dźwięk.

– Musicie przekazać komuś wiadomość ode mnie! – wrzasnęła, lecz orkiestra rozpoczęła walca. Głos Joanny zniknął w dźwięku skrzypiec i

pianina.

Uświadomiła sobie, że jej nie słyszą. Musi rzucić im notatkę. Sięgnęła ręką do kieszeni, aby wydobyć długopis i kartkę, lecz tylko wiadomość od mężczyzny z wąsami. Nie miała nawet ołówka.

– Zaczekajcie! – zawołała w stronę łodzi. – Jeszcze moment! – Pobiegnęła do tylnych schodów, a następnie na dół, do biblioteki na pokładzie z promenadą. Przez cały czas modliła się, aby woda nie dotarła jeszcze tak wysoko.

Nie dotarła. Sala biblioteki okazała się zupełnie pusta, a lampy z żółtymi kloszami wciąż się paliły na biurkach. Joanna chwyciła kartkę papieru ze stojaka, zanurzyła pióro w kałamarzu i nabazgrała: „Richard, doświadczenia graniczne to wezwanie o pomoc, wysyłane przez umierający mózg...”

– Co się dzieje? – spytał ktoś. Joanna podniosła wzrok. Greg Menotti. Miał na sobie szorty do biegania i koszulkę Nike. – Ktoś mi powiedział, że statek tonie – roześmiał się.

– To prawda. – Joanna powróciła do pisania: „...i musisz się dowiedzieć, który neuromediator stara się on uaktywnić”. Podpisała się pod spodem, chwyciła papier i pobiegła na pokład.

– Nie rozumiem. – Greg truchtał obok niej. – Jest niezatapialny.

Joanna wychyliła się za reling.

– Ahoj! – wrzasnęła w ciemności, wymachując kartką. – Tam, na łodzi!

Cisza. W oddali nie było już widać białej sylwetki. Wszędzie panował nieprzenikniony mrok.

Cofnęła się i popędziła do holu pierwszej klasy.

– To niemożliwe, aby tonął – sprzeciwił się Greg, biegnąc za nią.

Szarpnięciem otworzyła zdobione witrażem drzwi do holu.

– Skoro tonie – sapnął Greg – to powinniśmy wsiąść do jednej z łodzi.

Podbiegła do wyłożonego lustrami, mahoniowego baru.

– Wszystkie łodzie opuszczono na wodę.

– To niemożliwe – wydyszał, trzymając się za ramię. – Musi istnieć jakiś sposób ucieczki ze statku.

– Nie istnieje – odparła i sięgnęła po butelkę wina.

Złapał ją za nadgarstek.

– Trzy razy w tygodniu ćwiczę na siłowni!

– To bez znaczenia. *Titanic* ma szesnaście wodoszczelnych przedziałów i najnowsze zabezpieczenia, a to i tak nic nie pomoże. Góra lodowa wbiła się

w jego bok i... – Przypomniała sobie swoją bluzkę i wąską strużkę krwi.

– To nie wygląda na bardzo poważne rozdarcie – skomentowała Maisie, przyglądając się rysunkowi *Titanica*. Rzeczywiście, uszkodzenie nie sprawiało wrażenia groźnego, lecz pod pokładem, wewnątrz statku, woda wlewała się do wodoszczelnych przedziałów, zalewała maszynownię, klatkę piersiową i płuca.

– Czy to coś poważnego? – spytał kapitan Smith, a architekt potrząsnął głową.

– Przecięcie aorty.

– Co jest? – Greg puścił jej nadgarstek. – Co się stało?

– Nic – odparła, myśląc, że musi przekazać Richardowi wiadomość. – Nie mam czym otworzyć butelki.

– Szkoda czasu. Musimy się dostać na pokład łodziowy – stwierdził, a jego twarz przybrała zdenerwowany, spanikowany wyraz, taki sam, jaki Joanna widziała na obliczu chłopaka w kurtce, kiedy się do niej odwracał...

– Najpierw zajmę się tym – uparła się Joanna i zaczęła otwierać szuflady, grzebiąc w sztućcach.

– Znalazłem coś takiego – stwierdził Greg i wyciągnął do niej nóż. Nóż. Miał nóż. Kiedy jednak spojrzała w dół, nie dostrzegła go. Dlatego że już zniknął w jej ciele. „Mamy tutaj ranę kłutą”, stwierdził rezydent. „Sprawdźcie jej zgodność krzyżową”. Ale było już za późno. Pod pokładem narastał ryk, w kajutach pasażerskich i na schodach pojawiła się woda, zalewając kotły i przejścia. Wszystko znikało pod wodą.

– Daj mi to – przykazał Greg i wyciągnął butelkę z jej dłoni. Niezdarnie wydłubał korek czubkiem ostrza. Wino rozlało się na kwiecisty dywan, barwiąc go na ciemnoczerwone, wsiąkając w niego, w sweter Joanny i w kitel Vielle.

– Mamy tutaj ranę kłutą – odezwał się rezydent do Vielle, lecz to nie była krew pielęgniarki, tylko Joanny. Oparła się o bar, trzymając za bok.

Greg pochylił się nad nią, wyciągając przed siebie otwartą butelkę.

– Czy możemy już iść na pokład łodziowy? – spytał.

Wszystkie łodzie opuszczono na wodę, pomyślała, wpatrując się tępo w butelkę. Nie ma drogi ucieczki.

– Idę – oświadczył Greg i wsunął butelkę w jej bezwładną rękę. – Na drugiej burcie na pewno zostały jakieś łodzie. Niemożliwe, aby wszystkie odpłynęły.

Ale to prawda. Joanna przyglądała się, jak Greg odbiega. To je jestem tonącym statkiem. Umieram, zamyśliła się. Zabił mnie, zanim zdążyłam powiedzieć Richardowi. Przypomniała sobie, do czego potrzebowała butelki.

Chciała wysłać wiadomość, lecz nie miała takiej możliwości. Zmarli nie mogą przesyłać wiadomości z tamtego świata, wbrew temu, co twierdzi pan Mandrake, wbrew nadnaturalnym informacjom pani Davenport. Była zbyt daleko. Mimo to Joanna wstała i wylała wino na dywan, wpatrując się w ciemną, powiększającą się plamę. Zwinęła kartkę papieru firmowego linii White Star i wsunęła ją do butelki, którą zakorkowała, a następnie odkorkowała i dołożyła do środka notatkę do siostry pana Rogersa.

Wspięła się tylnymi schodami na pokład łodziowy. Wolną ręką musiała chwytać się poręczy, gdyż schody zdążyły się już przechylić. Podeszła do relingu i rzuciła butelkę w wodę, najdalej jak potrafiła, aby nie zahaczyć o żaden z niższych pokładów. Usiłowała dosłyszeć plusk, lecz nie rozległ się żaden dźwięk. Wspięła się na palce i wychyliła daleko, wpatrując w czarną pustkę, nie widząc wody ani świateł *Californian*, tylko ciemność.

– SOS – wymamrotała. – SOS.

Rozdział 41

„O Chryste, przybywaj szybko!”

Ostatnie słowa franciszkańskiej zakonnicy,
tonącej na pokładzie *Deutschland*

Richard wyświetlił analizę neuromediatorów z pierwszej sesji Joanny i pobieżnie przejrzał listę danych. Brak theta-asparcyny, która nie występowała też w żadnym z eksperymentów z udziałem pana Sage’a.

Otworzył plik z informacjami z drugiej sesji. Również brak theta-asparcyny. Nie jest ona inhibitorem endorfiny, lecz może wpływać na indeks lateralizacyjny oraz stymulację płata skroniowego. Doktor Jamison powiedziała, że dysponuje opracowaniem na temat najnowszych wyników badań, związanych z theta-asparcyną. Richard był ciekaw, czy lekarka wróciła już do gabinetu.

Zerknął na zegarek. Dochodziła druga. Jeśli doktor Jamison nie zadzwoni w ciągu najbliższych piętnastu minut, nie będzie mógł spotkać się z nią aż do zakończenia sesji pani Troudtheim. Nie był z tego zadowolony, gdyż chciał wcześniej wiedzieć, czy krótkotrwałość sesji nie wynika z dawkowania dithetaminy, tylko z theta-asparcyny.

Wyświetlił informacje o trzeciej sesji i z frustracją wpatrywał się w ekran. Komputer wyraźnie wskazywał obecność theta-asparcyny, a Joanna znajdowała się w fazie doświadczeń granicznych przez – Richard sprawdził dokładny odczyt czasu – trzy minuty i jednaście sekund.

Pomyślał, że w ten sposób znalazł się w punkcie wyjścia. Przeglądanie wyników kolejnej sesji nie miało sensu. Ponownie otworzył plik z analizami sesji Joanny i pani Troudtheim, poszukując różnic, które mógł przeoczyć, lecz na innych skanach odnotowano obecność wszystkich pozostałych neuromediatorów, łącznie z kortyzolem.

Czy to możliwe, że kortyzol samodzielnie przerywał doświadczenia graniczne? Występował podczas innych sesji, lecz tylko u pani Tanaki

pojawiły się tak wysokie odczyty. Jeśli pani Troudthaim miała niższy próg doświadczeń granicznych, możliwe że potrzeba było mniej kortyzolu, aby osłabić działanie endorfin. Richard postanowił, że spyta o to panią Jamison.

Tylko gdzie ona była? I gdzie się podziewała Joanna? Tish mogła się zjawić lada chwila, aby przygotować wszystko do sesji, a miała nadzieję, że Joanna przyjdzie nieco wcześniej i wyjaśni mu kilka spraw związanych z ostatnim eksperymentem. Podobno miała wrażenie, że pan Briarley nie żyje, co niewątpliwie stanowiło kolejny objaw poczucia istotnej wagi wizji, lecz w rzeczywistości było jedynie umiarkowanym przejawem aktywności płata skroniowego w rejonie szczeliny Sylwiusza.

Ponownie zerknął na zegarek. Może powinien zatelefonować do doktor Jamison. Powiedziała, że prześle mu wiadomość na pager, kiedy wróci do gabinetu.

Nagle uświadomił sobie, że przecież wyłączył pager, aby pan Mandrake nie mógł się z nim skontaktować. Nic dziwnego, że doktor Jamison nie przesłała mu wiadomości. Natychmiast wyciągnął pager z kieszeni fartucha i go uruchomił. Urządzenie od razu zapiszczało. Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do centrali.

– Panie doktorze! – krzyknął ktoś za drzwiami i do pokoju wdarła się młoda kobieta o hiszpańskiej urodzie, ubrana w różowy fartuch. – Czy pan doktor Wright? – wydyszała i złapała się za bok. Na kitlu miała plamy krwi.

– Tak – potwierdził, rzucił słuchawkę i podszedł szybko do pielęgniarki. – Co się stało? Jest pani ranna?

Pokręciła głową.

– Biegłam... – wysapała. – Mam na imię Nina. Siostra Howard... To nagły wypadek. Musi pan natychmiast zejść na oddział nagłych wypadków.

Przyszło mu do głowy, że Vielle jest ranna.

– Przysłała panią doktor Lander?

Pokręciła głową, wciąż próbując złapać oddech.

– Doktor Lander... Przysłała mnie siostra Howard. Musi pan natychmiast przyjść!

Na pewno chodzi o Maisie. Znowu ją reanimowano.

– Coś się stało Maisie Nellis?

– Nie! – zaprzeczyła zrezygnowana Nina. – To w związku z doktor Lander. Siostra Howard kazała panu przekazać, że chodzi o nagły wypadek.

Złapał ją za ramiona.

– Co się stało doktor Lander? Jest ranna? – Nina załkała. – Jest na oddziale nagłych wypadków? – Richard wybiegł i skierował się do windy. Zaczął gwałtownie wciskać przycisk windy.

– Na oddział wszedł jakiś facet – wyjaśniała pośpiesznie Nina, podążając za Richardem. – Pewnie się nafaszerował rogue, bo nagle wyciągnął nóż...

Richard wciskał przycisk raz za razem. Spojrzał na numery pięter nad drzwiami. Kabina znajdowała się na parterze. Zrezygnował z dalszego oczekiwania i rzucił się w stronę schodów. Nina nie odstępowała go ani o krok i wciąż trzymała się za bok.

– ... i potem nie wiem, co się stało – opowiadała. – Wszystko przebiegało tak szybko.

– Doktor Lander jest ciężko ranna? – spytał krótko Richard, wbiegając na klatkę schodową.

– Sama nie wiem. Wszędzie było pełno krwi. Ochroniarz, zastrzelił tego faceta.

Po schodach, przez łącznik między skrzydłami, przez interneę.

– Siostra Howard kazała pana zawiadomić przez pager, ale pan nie odbierał, więc wysłała mnie do pana. Śpieszyłam się, jak mogłam, ale pomyliłam skrzydła...

Na środku korytarza stała metalowa drabina, a przed nią rozciągała się żółta taśma.

– Nie przejdziemy tędy – odezwała się Nina. Richard zerwał taśmę i przebiegł pod drabiną, lawirując między wiadrami i rozpryskując kropelki farby.

– Nie wolno przechodzić pod drabiną – pisnęła Nina. – To przynosi pecha. – Wpadli na schody dla personelu, zbiegli na parter i popędzili korytarzem. A jeśli Joannę zabrano już na górę na OIOM?

Richard gwałtownie otworzył boczne drzwi i znalazł się na oddziale nagłych wypadków. Wszędzie była policja, a z zewnątrz dobiegało coraz głośniejsze wycie syren. Przy drzwiach stało dwóch czarnych funkcjonariuszy, jakiś policjant rozmawiał z mężczyzną w różowym fartuchu, a jeszcze dwóch klęczało na podłodze przy biurku, obok leżącego ciała.

Tylko nie Joanna, błagał w myślach. Tylko nie ona. Na pewno jest w jednej z sal. Ruszył przez środek oddziału. Widząc to, ochroniarz podniósł broń, a policjant stanął Richardowi na drodze.

– Tam nie wolno wchodzić.

– To doktor Wright – pośpiesznie wyjaśniła Nina. – Wysłała mnie po niego siostra Howard. – Funkcjonariusz skinął głową i się cofnął, a Nina szybko zaprowadziła Richarda do jednej z sal.

Nie miał pojęcia, czego się spodziewać w środku. Mógł ujrzeć Joannę, siedzącą na stole do badań w oczekiwaniu, aż pielęgniarka zabandażuje jej zszytą rękę. Na jego widok uśmiechnęłyby się nieśmiało. Mógł też usłyszeć hałas, ujrzeć pielęgniarki pośpiesznie rozwieszające torby z krwią, układające przewody, lekarzy wykrzykujących polecenia. Oraz Vielle, odchodzącą na moment od stołu stołu, aby opowiedzieć mu, w jakim stanie jest Joanna. „Wyjdzie z tego”, wyjaśniłaby mu.

Nie spodziewał się jednak, że zobaczy kilkanaście osób w zakrwawionych kombinezonach i rękawiczkach, odchodzących od stołu, wstrząśniętych i milczących, stojących w kompletnej ciszy, zakłóconej wyłącznie przez jednostajny pisk urządzenia monitorującego pracę serca.

Nie sądził, że ujrzy rezydenta, oddającego pielęgniarce elektrody i kręcącego głową, ani też Vielle, kurczowo trzymającą białą jak kreda dłoń Joanny i wykrzykującą z łkaniem: „Nie, to niemożliwe! Trzeba strzelić jeszcze raz!” Chłodna, zawsze trzeźwo myśląca Vielle pogrążona w rozpacz, wrzeszcząca: „Zróbcie coś! Zróbcie coś!”

Rezydent zdjął maskę.

– To nie ma sensu. Nie mogliśmy jej uratować.

Nie mogliśmy jej uratować. Richard dopiero teraz spojrzał na Joannę. Leżała z kasztanowymi włosami rozrzuconymi wokół głowy, jak Amelia Tanaka, zmatowiałymi od krwi. Ciemnoczerwona krew wyraźnie się odznaczała na zbielałych ustach, na szyi, na klatce piersiowej, wszędzie.

W ustach trzymała rurkę do udrażniania dróg oddechowych, także pokrytą krwią. Miała otwarte oczy, zapatrzone w nicość.

– Przeprowadziłam doktora Wrighta – odezwała się głucho Nina, zakłócając ciszę. Rezydent odwrócił się w jego stronę z poważnym wyrazem twarzy.

– Przykro mi, panie doktorze. Obawiam się, że ona nie żyje.

– Nie żyje – powtórzył ogłupiały Richard. Rezydent się nie mylił. Nie żyła. Jej ciało o śnieżnobiałej skórze i niewidzących oczach było puste, porzucone. Joanna odeszła.

Odeszła. Przeszła przez tunel i wkroczyła do przejścia, gdzie spod drzwi dobiegało złote światło. Na pokładzie kręcili się pasażerowie w koszulach nocnych, głośno dyskutując, co się mogło stać. Magazyn pocztowy był już

częściowo zalany wodą, podobnie jak kotłownię. Woda docierała na pokład D, statek zaczynał się przechylać. „Jeśli statek zacznie tonąć”, powiedziała kiedyś Joanna, z oczyma ukrytymi pod maską, po omacku wyszukując jego dłoń, „obietaj mi, że przyjdiesz i mnie uratujesz”.

„To prawdziwe miejsce”, mówiła. „Nic nie rozumiesz. To prawdziwe miejsce”. Prawdziwe, ze schodami, bibliotekami i salami gimnastycznymi. I grozą. I drogą powrotną, którą można uciec, jeśli nie jest zablokowana, jeśli jest jeszcze czas, aby z niej skorzystać.

– Wznović reanimację – zarządził Richard, a Vielle puściła rękę Joanny i zrobiła gest, jakby chciała go uspokoić. – Vielle, nie pozwól, aby odłączyli jakiegokolwiek urządzenia – przykazał. – Rozpocząć reanimację. Wznović wstrząsy elektryczne. – Odwrócił się i wybiegł.

– Richard! – zawołała za nim Vielle, lecz już był za drzwiami, biegł korytarzem po schodach w górę. Cztery minuty. Miał cztery minuty, maksymalnie sześć. Dlaczego w tym szpitalu nie istniały schody dłuższe niż na dwa piętra, dlaczego łączniki między skrzydłami nie znajdowały się na każdym piętrze?

Błyskawicznie pokonał łącznik na drugim piętrze, zastanawiając się, jak najszybciej się dostać do laboratorium. Joanna znałaby drogę. Joanna! Otwierał drzwi, nie zwalniając biegu, i pędem minął internę. Nie do windy. Nie ma na to czasu. To tylko cztery minuty. Cztery minuty.

Wbiegł po schodach dla personelu, skręcił na podeście. Trzecie piętro. Dithetamina zacznie działać po co najmniej dwóch minutach, nawet jeśli zastosuje wstrzyknięcie dożylnie. Nie ma czasu. Ale kiedy znajdzie się na *Titanicu*, czas przestanie odgrywać rolę. Joanna obeszła cały statek w osiem sekund. Joanna... Czwarte piętro. Trzydzieści sekund, aby Tish znalazła żyłę, następne pół minuty, aby zaaplikowała kroplówkę i podała dithetaminę. A jeśli Tish jeszcze nie przyszła? Nie ma czasu, aby jej szukać, nie ma czasu, aby...

Wpadł przez drzwi na piąte piętro, sprintem pokonał korytarz. Tish musiała już przyjść. Sesja pani Troudthaim była zaplanowana na drugą. Musiała tam być.

– Tish! – ryknął i wdarł się do laboratorium. – Tish!

Tish uniosła głowę. Właśnie zawieszała torbę roztworu soli.

– Musi pan zadzwonić na oddział nagłych wypadków. Telefonują co dwie minuty – oświadczyła. – Jest jeszcze wiadomość od doktor Lander.

Znowu wyłączył pan pager... -Zamilkła, ujrawszy jego twarz. – Co się stało? Co jest?

– Podasz kroplówkę – rozkazał, podbiegając do apteczki. – Roztwór soli i dithetamina.

– Ale nie ma pani Joanny – sprzeciwiła się. – Sprawdziłam u niej w gabinecie i jej nie zastałam.

– Jest reanimowana – wyjaśnił, chwytając fiolkę dithetaminy i strzykawkę.

– Pani Joanna? Reanimowana? – powtórzyła głucho, podchodząc do szafki. – Nie rozumiem. Miała wypadek samochodowy?

– Została pchnięta nożem. – Napełnił strzykawkę.

– Pchnięta nożem? Nic jej nie jest?

– Powiedziałem, że jest reanimowana! – Podeszedł szybko do stołu do badań. – Musimy wstrzyknąć dithetaminę dożylnie.

Tish wiodła za nim niepewnym spojrzeniem.

– Wstrzyknięcie dożylnie? Ale przecież... jak przeprowadzimy sesję, skoro ona... – Zamilkła przerażona. – Ona nie zmarła, a pan chce zarejestrować jej doświadczenia graniczne?

– Nie zmarła i nie umrze. – Ściągnął fartuch i zawiesił go na krześle. – Idę za nią.

– Nie rozumiem – wyjąkała zdumiona Tish. – Co to znaczy, że pan za nią idzie?

– To znaczy, że po nią idę. Sprowadzę ją z powrotem. – Podwinął rękaw.

– Ale przecież mówił pan, że doświadczenia graniczne nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. – Tish wyglądała na przerażoną. – Twierdził pan, że to tylko halucynacje. I że są wywołane stymulacją płata skroniowego.

– Dużo rzeczy mówiłem. – Położył rękę na stole do badań, spodem dłoni do góry. – Podłącz kroplówkę.

– Ale...

– Podłącz kroplówkę! – wycodził groźnie. Tish wzięła gumową rurkę i obwiązała nią ramię lekarza. Zaciśnął pięść, a pielęgniarka zaczęła szukać żyły.

– Pośpiesz się! Mamy tylko cztery minuty. – Tish wbiła igłę, podłączyła ją do kroplówki i ustawiła tempo podawania. Chciała przykleić igłę plastrem, lecz Richard jej przerwał.

– Później się tym zajmiesz – warknął. – Teraz dithetamina. Wstrzyknięcie dożylnie.

– Panie doktorze, przeprowadzanie eksperymentu, kiedy jest pan zdenerwowany, to zły pomysł. Może zadzwonię po doktora Everetta albo kogoś innego...

– Nie ma czasu. Zresztą, wszystko jedno, sam to zrobię. – Wolną ręką chwycił strzykawkę i wbił ją do przewodu kroplówki.

– Włącz biały szum. – Sięgnął po słuchawki.

– Panie doktorze... – powiedziała niepewnie Tish, lecz posłusznie podeszła do wzmacniacza.

Richard chwycił słuchawki i rozejrzał się w poszukiwaniu maski na oczy. Nigdzie jej nie dostrzegł, a nie miał czasu do stracenia. Nasunął słuchawki na uszy i położył się.

– Podłóż mi poduszki pod ręce i nogi – przykazał, nie mając pojęcia, czy Tish go słyszy. – Podłóż... – zaczął i urwał, najwyraźniej go słyszała. Podniosła jego lewą rękę i wsunęła pod nią podkładkę; podobnie postąpiła z drugą ręką.

Podłożyła mu poduszki pod nogi i owinęła taśmę ciśnieniomierza wokół jego ręki.

– Daj z tym spokój – odezwał się Richard, lecz Tish go nie słuchała. Przykładała mu elektrody do głowy. – Nie potrzebuję EEG – stwierdził, ale nie podniosła wzroku. Przemawiał do wierzchołka jej głowy. – Tish! – wrzasnął i uświadomił sobie, że jest za daleko, aby go usłyszała. Unosił się nad nią, nad stołem do badań, na którym leżał z kroplówką podłączoną do ręki. Frunął coraz wyżej, pod sufit. Spojrzał na górę apteczki. Była gładka i pusta, z wyjątkiem srebrzystego przedmiotu przy samej ścianie. Podpłynął bliżej, usiłując przekonać się, co to takiego.

Srebrny przedmiot tkwił w rogu pokoju, tam, gdzie go zostawiła Joanna, ukryty za wystającą krawędzią szafki. Był ukryty przed oczyma wszystkich, dostrzegalny tylko z góry. Richard przysunął się jeszcze bliżej i przekonał się, że to mały cynowy sterowiec.

No jasne. *Hindenburg*. Muszę powiedzieć Joannie, że go widziałem. Ale i tak mi nie uwierzy. Powie, że wszedłem na krzesło, aby sprawdzić, co to takiego. Joanna...

– Joanna! – powiedział głośno, nagle przypominając sobie wszystko. Doświadczał zjawiska opuszczania ciała, ale nie miał na to czasu. – Pośpiesz się! – krzyknął do Tish. – Wprowadź mnie do tunelu!

Cały czas pływał pod sufitem, przesuając się powoli do przodu i do tyłu, zupełnie jak przycumowany *Hindenburg*.

– Szybciej! – wrzasnął i spojrzał na Tish. Znalazła maskę na oczy i włożyła mu ją na głowę. Leżał nieruchomo, podłączony do skanera RIPT, z rękoma przyciśniętymi do boków.

– Na co czekasz? – krzyknął. Jego głos odbił się drżącym echem od ścian, jakby znajdował się w niewielkim pomieszczeniu. Po chwili zapadła cisza i ciemności.

Przeszło mu przez myśl, że jest w przejściu. Wyciągnął rękę w nieprzenikniony mrok i poczuł twardą ścianę pokrytą farbą. Ściana korytarza. Na jego końcu powinno świecić światło. Wyteżył wzrok. Nic. Ciemność. Musi być bardzo późno, pewnie lampy już pogasły. Kiedy to nastąpiło? Zaledwie kilka minut przed końcem.

Wszystko dlatego, że statek tonie. Zostały tylko cztery minuty.

– Joanna! – wrzasnął. – Gdzie jesteś?

Nikt mu nie odpowiedział. Chciał wyciągnąć zapałki z kieszeni fartucha, lecz okazała się pusta. Sięgnął do spodni. Pager. Wyciągnął go. Był wyłączony. Wymacał włącznik i uruchomił urządzenie. Na kwarcowym wyświetlaczu ukazał się numer telefonu Joanny, lecz, światło okazało się zbyt słabe, aby rozjaśnić przejście.

Richard po omacku ruszył przed siebie, cały czas dotykając rękoma ścian. Starał się śpieszyć, nie miał wiele czasu. Gdyby jednak było późno, statek musiałby się pochylić pod ostrym kątem, tymczasem Richard nie miał kłopotów z utrzymaniem równowagi. Podłoga zachowała idealny poziom.

– Joanna! – ponownie krzyknął i ujrzał przed sobą światło. Był to cienki pasek bieli, jaśniejący pod drzwiami. Usłyszał jakiś hałas, zapewne trzaśnięcie zamykanych drzwi. Podeszedł bliżej i wymacał gałkę, błagając w myślach, aby dały się otworzyć. Przekreślił gałkę i otworzył drzwi prowadzące na inny, jasno oświetlony korytarz. Lampy świeciły w nim tak mocno, że niemal go oślepiły. Musiał zasłonić oczy i zatrzymać się, mrugając.

To nie było przejście, przez które przedostawała się Joanna. Jej korytarz prowadził na zewnątrz, prosto na pokład z oknami. Richard znajdował się na statku, a z obydwu stron widział rzędy zamkniętych drzwi i kinkietów zawieszonych między nimi. Światło jeszcze nie zgasło. Lampy oświetlały cały korytarz, a drewniana podłoga była sucha i idealnie pozioma. Musiało

być wcześniej, zanim ktokolwiek uświadomił sobie, że statek tonie. Niewykluczone, że usłyszany przez Richarda dźwięk był tym samym, który dotarł do Joanny. Możliwe, że taki odgłos wydała lodowa ocierająca się o kadłub, lecz Richard usłyszał odmienny hałas tylko dlatego, że znajdował się w innej części statku.

Tylko której? W kajutach drugiej klasy? Kinkiety z brązu Wyglądały kosztownie i pasowałyby do pierwszej klasy, lecz na ścianach nie zawieszono żadnych dekoracji. Poza tym nigdzie nie było okien ani iluminatorów. Na pewno jest w korytarzu, przebiegającym w środku statku albo poniżej poziomu wody. Może to najniższa klasa?

Tylko gdzie się ona znajdowała? Joanna twierdziła, że na pokładzie C. Ale gdzie był pokład C? Powyżej? Poniżej? Czy pokłady liczone od góry do dołu czy na odwrót?

Przypomniał sobie, że Joanna wspominała o wspinaniu się na pokład łodziowy. Ile pokładów musiała pokonać? Nie pamiętał. Pomyślał, że powinien być uważniej zapamiętywać szczegóły, i ruszył biegiem. Żałował, że nie słuchał Joanny, kiedy twierdziła, że to rzeczywistość.

Nie myliła się. Starła się go przekonać. Opowiadała mu, że widziała kolory, słyszała dźwięki, czuła poręcz schodów pod dłonią, starała się opisać namacalność tego świata, lecz on był przekonany, że to halucynacja, zjawisko związane z pamięcią długotrwałą i zachodzące w płacie skroniowym, nawet kiedy podkreślała, że to rzeczywistość.

Nie potrafił przeboleć, że jej nie słuchał, i jednocześnie wypatrywał schodów lub drzwi prowadzących na zewnątrz. Żałował, że jej nie powiedział, dokąd idzie. Nie powinien był wyłączać pagera.

Wszystkie drzwi były zamknięte na klucz.

– Ej! – krzyknął, waląc w nie pięściami, szarpiąc za staromodne gałki. – Jest tam kto?

Dopiero trzecie drzwi ustąpiły pod naciskiem jego dłoni. W środku siedział mężczyzna w słuchawkach, a obok niego leżał klucz radiotelegraficzny. Nieznajomy nasłuchiwał i spisywał kod: kropka-kreska-kropka-kropka.

– Halo! – zawołał Richard. – Jak stąd dojść na pokład C?

Mężczyzna nie podniósł głowy.

– Pokład C. – Richard stanął przy nim. – Na którym pokładzie się znajduję?

Nieznajomy wciąż pisał, koncentrując się na kluczu. Kreska-kreska-kropka-kreska-kropka-kropka-kropka...

SOS, pomyślał Richard. No jasne. On wzywa pomocy. Kiedy wysłano pierwsze SOS? Dopiero po północy.

– Która godzina? – spytał głośno Richard. – Jak długo pan nadaje?

W drzwiach stanęła siwa kobieta w bluzce o wysokim kołnierzu i długiej, czarnej spódnicy.

– Pan nie ma prawa wstępu do tego pomieszczenia – oświadczyła z ręką na framudze.

– Szukam...

– Jak pan się tu dostał? – przerwała surowo. – Nieuprawnione osoby nie mogą wchodzić do tej części...

– Szukam Joanny Lander – stwierdził. – Muszę ją znaleźć.

– Tak, proszę pana, wiem – potaknęła i poprowadziła go do drzwi. – Rzecz w tym, że ta część statku...

– Pani nie rozumie. To pilne. Grozi jej niebezpieczeństwo. Pewnie jest na pokładzie C albo na pokładzie łodziowym...

– Wiem, proszę pana. – Głos nieznajomej niespodziewanie złagodniał. – Proszę iść ze mną. – Poprowadziła go z powrotem korytarzem, trzymając delikatnie rękę na jego ramieniu.

– Jej przejście znajduje się na pokładzie C – mówił. – Prowadzi na pokład.

– Tak, proszę pana. – Otworzyła drzwi i skierowała się w dół schodów.

– Ma około stu sześćdziesięciu sześciu centymetrów wzrostu. Brązowe włosy, okulary. Miała na sobie kardigan i... – Urwał. Nie wiedział, co jeszcze. Spódnicę? Spodnie? Próbował przypomnieć sobie stosik ubrań na krawędzi stołu, lecz nie potrafił określić, co nosiła Joanna. Wszystko przez krew, dużo krwi. – Muszę ją natychmiast znaleźć.

– Rozumiem, proszę pana – potwierdziła i szła dalej korytarzem, powoli i spokojnie.

– Pani nie rozumie! To pilna sprawa! Ona...

– Rozumiem, że pan jest zdenerwowany – odparła, ale nie przyśpieszyła kroku.

– Grozi jej niebezpieczeństwo!

Kobieta skinęła głową i poprowadziła go powoli dalej, za róg.

Bom! Zaniepokojoy uniósł wzrok. To zadzwonił zegar, wielki drewniany zegar na ścianie, z wahadłem i rzymskimi cyframi, za kwadrans

druga. *Titanic* zatonął dwadzieścia po drugiej.

– Nic pani nie rozumie! – powtórzył, chwytając ją za ramię i potrząsając.
– Nie ma czasu! Muszę ją znaleźć i zabrać. Niech mi pani tylko powie, jak się dostać na pokład C!

Jej oczy się rozszerzyły i wypełniły łzami.

– Proszę iść tędy – poprosiła błagalnie. – Bardzo proszę.

– Nie ma czasu. Sam ją znajdę. – Popędził korytarzem i wbiegł przez drzwi na jego końcu. Wpadł prosto w tłum przepychających się i gestykulujących ludzi.

Pomyślał, że jest na pokładzie łodziowym, lecz uświadomił sobie, że to inne pomieszczenie, z jednej strony zakończone wielkimi podwójnymi drzwiami z drewna. Wszyscy się przepychali w jego kierunku. Przyszło mu do głowy, że pokład łodziowy musi się znajdować za nim, a ludzie czekają na sposobność, aby się zabrać jedną z szalup. Stał na palcach, usiłując cokolwiek dojrzeć zza wysokich cylindrów panów i zdobionych piórami kapeluszy pań. Bezskutecznie wypatrywał gołej głowy Joanny.

Joanna stwierdziła kiedyś, że pasażerowie na pokładzie nie mieli pojęcia, co się dzieje, lecz kłębiący się przed nim ludzie najwyraźniej dobrze zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Wyglądali na przerażonych, mężczyźni mieli spięte i zatroskane twarze, a wokół oczu kobiet widniały czerwone obwódki. Młoda dziewczyna przytuliła się do starszego mężczyzny, bezradnie popłakując w chustkę o czarnych brzegach.

– No, już dobrze – powiedział starszy pan. – Nie możemy tracić nadziei.

Czy to oznaczało, że wszystkie łodzie opuszczono na wodę? Kiedy wodowano ostatnią? Joanna utrzymywała, że dopiero przed samym zatonięciem, lecz to niemożliwe, aby koniec był bliski. Pokład wcale się nie pochylił.

Gdyby tylko udało mu się przedrzeć przez tłum. Ruszył do przodu, wypatrując Joanny, wyciągnął szyję i usiłował zobaczyć coś w morzu kapeluszy, lecz tłum był tak gęsty, że momentalnie w nim utknął.

– Przepraszam – powiedział, przepychając się obok młodego mężczyzny w brązowym płaszczu i kapeluszu. Pod pachą trzymał gazetę. W takiej chwili, pomyślał Richard. – Muszę się tam dostać. Szukam kogoś.

– Jak się nazywa? – spytał nieznajomy, wyciągając z kieszeni notatnik w skórzanej oprawie. – Podróżowała pierwszą klasą?

– Jest na pokładzie C.

– Pokład C – powtórzył młody mężczyzna, notując. – Była sama?

- Tak, podróżowała samotnie.
- Nazwisko? – Mężczyzna pilnie spisywał informacje.
- Joanna Lander. Proszę, muszę tam się dostać. Muszę ją znaleźć.
- Istnieje możliwość, że weszła na pokład jednej z łodzi – zasugerował młodzieniec.

– Na pewno nie. W ten sposób nie mogłaby uciec. Musi wrócić na pokład C do przejścia. – Młody człowiek jednak nie słuchał. Patrzył w stronę podwójnych drzwi, tak samo jak wszyscy inni. Drzwi się otworzyły i ktoś musiał przez nie wejść, ludzie bowiem z nadzieją wpatrywali się w tamtą stronę. Zapadła cisza, a młoda łkająca dziewczyna wyprostowała się i przywarła do ręki starszego mężczyzny.

Richard ruszył przed siebie, przepychając się łokciami obok pary w średnim wieku, młodej kobiety z dzieckiem na ręku, dwoma nastoletnimi chłopcami, aż wreszcie ujrzał mężczyznę, który wszedł do pomieszczenia. Nieznajomy miał na sobie czarny surdut i kamizelkę tego samego koloru, a w ręku trzymał plik papierów. Wszedł na jakieś podwyższenie – może podium? – i uniósł ręce, aby uspokoić i tak już spokojny tłum. Kim był? Kapitanem? Jednym z oficerów? Dlaczego więc nie nosił munduru?

– Wiem, że wszyscy państwo pragną poznać nowiny – zaczął, wciskając na nos binokle. – Jak dotąd nie dysponujemy pełną listą rozbitków.

Co takiego?

– Jesteśmy w stałym kontakcie radiotelegraficznym z *Carpathią* i kiedy tylko uzyskamy pełną listę...

– Nie! – krzyknął Richard.

– Proszę się opanować – przykazał młody mężczyzna, łapiąc go za ramię. – Możliwe, że była w jednej z łodzi.

– Nie! – wrzasnął Richard. Wyrwał gazetę spod pachy młodego mężczyzny i energicznie ją rozpostarł. „Titanic zaginął”, odczytał nagłówek. „Groźba utonięcia tysiąca ludzi”.

Przepchał się do mężczyzny w binoklach.

– Który dzisiaj? – spytał z furią. Zbliżyła się do niego siwa kobieta, a za nią mężczyzna z lekarskim neseserem. Richard złapał mężczyznę w binoklach za klapy surduta. – Który dzisiaj?

– Osiemnasty kwietnia – odparł nerwowo mężczyzna. – Zapewniam pana, że linia White Star głęboko ubolewa...

– Proszę pana – odezwała się siwowłosa kobieta, a mężczyzna z neseserem wziął go pod rękę. – Jest pan zdenerwowany. Powinien pan się

położyć.

– Nie! – ryknął Richard. – Nie!

Lekarz usiłował go zatrzymać, lecz Richard rzucił się w tłum, roztrącając ludzi łokciami, spychając ich z drogi. Podbiegł do drzwi i popędził korytarzem. Cztery minuty. Tyle czasu, zmarnował tyle czasu, serce mu waliło, był zbyt głupi, aby dostrzec, gdzie się znalazł, nie zauważył, że to biura linii White Star.

Zegar przy schodach wybijał godzinę. Richard minął go i wbiegł po schodach. Gdzieś się rozległ alarm, jakby przeciwpożarowy albo reanimacyjny, dźwięczał, bzyczał, zagłuszając zegar, wciąż wybijający godzinę.

Richard pędem pokonał resztę stopni, minął pokój radiotelegrafisty, wciąż spisującego wiadomości. Z *Carpathii*, nie z *Titanica*. Powinien był zwrócić na to uwagę, domyślić się, że *Titanic* wysyłałby informacje, a nie przyjmował, a radiotelegraf znajdował się na niewłaściwym pokładzie. Dlaczego nie zauważył od razu, że to budynek, a nie statek, dlaczego nie wrócił natychmiast, aby nakazać Tish przeprowadzenie kolejnej sesji.

Zadyszany, skręcił za rogiem i popędził do drzwi, chwycił gałkę, obrócił. Zamknięte. Szarpnął gwałtownie, kopnął drzwi, rąbnął w nie pięścią.

Otworzyły się. Wpadł do ciemnego korytarza i znalazł się w laboratorium.

– Tish! – krzyknął, usiłując zderzyć z głowy słuchawki, lecz nie miał ich na uszach. Nie miał także maski na oczy, gdyż widział światło. Świeciło oślepiająco. Pomyślał, że powinien był zasłonić je grubszym papierem, i spróbował usiąść. Nie udało się. Był przywiązany sznurami.

– Tish!

– Och, pan doktor! – ucieszyła się Tish i stanęła między nim i lampą. Wydawało się, że promieniuje błyszczącymi strugami światła. – Chwała Bogu, że nic panu nie jest.

– Przeprowadzimy następną sesję – zarządził. – Trafiłem w niewłaściwe miejsce o niewłaściwym czasie. Nie znalazłem jej.

– Proszę leżeć nieruchomo – powiedziała Tish.

– Nic nie rozumiesz – zdenerwował się i znowu usiłował usiąść. – Ona jest na *Titanicu*! Muszę się tam znaleźć, zanim zatonie!

– Już dobrze – uspokajała go Tish, popychając z powrotem na łóżko. – Wciąż jest pan pod wpływem leku. Musi pan leżeć nieruchomo, dopóki jego działanie nie osłabnie.

– Nie ma na to czasu. Nieodwracalna śmierć mózgu następuje w przeciągu czterech do sześciu minut. Musisz mnie tam wysłać od razu. I zwiększ dawkę dithetaminy.

Tish stała bez ruchu w promieniach światła.

– Szybko! Zanim będzie za późno! – wrzasnął i zobaczył, że pielęgniarka także ściska chustkę o czarnych krawędziach, a wokół jej oczu pojawiły się czerwone obwódki.

Nie wróciłem do laboratorium, pomyślał. To wciąż część doświadczeń granicznych. Obrócił się, żeby zobaczyć, gdzie się podziało przejście.

– Proszę tego nie robić, panie doktorze, bo wyciągnie pan sobie kroplówkę – ostrzegła Tish. – Wciąż jest pan podłączony do wlewu kroplowego roztworu soli. Nie ocknął się pan na czas, więc odłączyłam dithetaminę. – Sięgnęła do kroplówki.

Klasnął dłonią o igłę.

– Natychmiast z powrotem podłącz dithetaminę! – krzyknął i wreszcie udało mu się przyjąć pozycję siedzącą. Okazało się, że wcale nie był przywiązany. Krępowały go elektrody, łączące go z EEG i EKG. Niewątpliwie znajdował się w laboratorium. Chustka w ręku Tish była przemoczona jednorazówką.

– Zrób to teraz! – wrzasnął. – Bo sam się tym zajmę. – Jednak usiadł zbyt pośpiesznie i czuł, jak mu się kręci w głowie mu zimno. – Tish, błagam cię. Nic nie rozumiesz. Kończy nam się czas. Musisz mnie podłączyć, zanim będzie za późno.

Tish się nie ruszyła, stała w aureoli światła i bezwiednie obracał w dłoniach zmiętą chusteczkę.

– Ale pan nadal się nie budził, chociaż odłączyłam dithetaminę. Nie wiedziałam, czy podać noradrenalinę czy nie. Pańskie wskazania były w normie, a kiedyś pan Sage nie chciał się ocknąć przez...

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na zegar, lecz Joanna przesunęła go tak, aby pacjenci go nie widzieli.

– Proszę mi powiedzieć – zwrócił się do niej. – Jak długo byłem nieprzytomny? – Z lękiem czekał na odpowiedź.

– Tak mi przykro, panie doktorze. Pani Troudthaim powiedziała mi, jak przyszła... – Obróciła przemoczona chusteczkę w dłoniach. – Była taka zmartwiona. Wszyscy bardzo lubiliśmy doktor Lander...

– Jak długo byłem nieprzytomny? – powtórzył głucho.

– Nie wiem. Nie potrafię odczytywać skanów, więc nie wiedziałam, czy pan jest w stanie śmierci klinicznej, czy też fazie REM...

– Pytałem, jak długo byłem nieprzytomny? – Nie ustępował, ale i tak znał odpowiedź. Słyszał bicie zegara na korytarzu biur linii White Star. – Powiedz mi.

– Dwie godziny – odparła Tish i wybuchnęła płaczem.

CZEŚĆ TRZECIA

„Po tym akcie jest jeszcze jeden. Jak sądzę, domyślasz się, czego dotyczy”.

Thornton Wilder, *Nasze miasto*

Rozdział 42

„Od około dwóch godzin nikt nie odebrał żadnej informacji z *Titanica*”.

Wiadomość radiotelegraficzna z *La Provence* do *Celtic*

Tego wieczoru Richard znowu trafił do laboratorium, chociaż wiedział, że nie ma możliwości, aby podjął pracę. Wrócił do szpitala, gdyż policja poinformowała go, że zapewne będzie musiał złożyć zeznania, a poza tym nie przychodziło mu do głowy żadne inne miejsce, w które mógłby się udać. Cały oddział nagłych wypadków uznano za miejsce zbrodni i zablokowano, a pacjentów skierowano do Szpitala Szwedzkiego oraz Świętego Łukasza. W pokoju dla lekarzy, na korytarzach i w bufecie tłoczyli się ludzie, zadający Richardowi pytania typu: „Czy na pewno dobrze się czujesz?” albo: „Gdzie, do cholery, byli ochroniarze? Od trzech lat powtarzam, że na oddziale nagłych wypadków prędzej czy później musiało dojść do tragedii. Dlaczego nie zainstalowali wykrywacza metalu?”, albo: „Czy ustalono już przyczynę śmierci?” Nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Przyczyną zgonu było utonięcie, cisnęło mu się na usta wyjaśnienie. Poszła na dno wraz z *Titanikiem*.

W pewnej chwili – pierwszego wieczoru? Następnego dnia? – zszedł do kostnicy.

– O rany, przykro mi. – Pracownik kostnicy zrobił smutną minę. – Zabrano ją na uniwersytet.

Richard wiedział, że tam przeprowadzą sekcję zwłok. W wypadku morderstwa sekcje nie odbywały się w Szpitalu Miłosierdzia. Ciało kierowano do szpitala Uniwersyteckiego, gdzie zajmował się nim biegły patolog sądowy.

– Może mógłby pan... – zaczął pracownik. Pojechać tam, dokończył w myślach Richard, lecz mężczyzna nie wyjaśnił, o co mu chodziło. Widać było, że żałuje, iż w ogóle się odezwał. Myślał o nacięciu w klatce

piersiowej, usuniętych żebrach i mostku, wyjętym sercu, zważonym i rozpreparowanym. Sercu Joanny.

– W porządku – odezwał się Richard. – Chciałem tylko...

Chciałem – czego chciałem? Przekonać się, że jest bezpieczna w kostnicy, owinięta plastikowym workiem i leży na stalowej szufladzie. Bezpiecznie martwa. Że nie jest wciąż na *Titanicu*, nie chwyta się kurczowo relingu na pochyłającym się pokładzie, czekając na śmierć w oceanie.

– Może pan pójdzie do domu i prześpi się trochę, panie doktorze? – zasugerował łagodnie pracownik kostnicy. Richard skinął głową i się odwrócił, ale nie odszedł. Stał jak wryty, wpatrując się bezmyślnie w ścianę.

– Jak się stąd wychodzi? – spytał w końcu.

– Proszę iść tym korytarzem i skręcić w prawo. – Mężczyzna wskazał palcem, a Richard poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios nożem. Idź tym korytarzem, aż do klatki schodowej. Wejdz schodami na szóste piętro i przejdź łącznikiem na chirurgię, pokazała mu palcem Joanna. Po prawej stronie jest korytarz. Dojdiesz nim do windy, a potem zjedziesz do kadr. Nie potrafił uwierzyć własnym uszom. Nie ma jakiejś drogi na skrót? Joanna się roześmiała. Właśnie to jest skrót.

Dyżurny wziął go pod rękę.

– Zaprowadzę pana. – Skierował go z powrotem na parter, cały czas trzymając pod rękę, jakby miał do czynienia ze starą kobietą. Poszli korytarzem, potem schodami na górę, do holu.

To musiał być dzień, gdyż przed drzwiami do windy stał pan Wojakowski. Jego piegowata twarz promieniowała radością.

– Witam pana doktora – uradował się i zbliżył energicznie. – I jak, czy Joanna Lander pana w końcu znalazła? Dyżurny westchnął i zacisnął dłoń na rękę Richarda. Nieświadomy, niczego pan Wojakowski kontynuował:

– Widziałem ją na internie. Była... Zaraz, zaraz...– Urwał, spojrzał na dyżurnego, a potem ponownie na Richarda. – Panie doktorze, wszystko w porządku?

Dyżurny odciągnął pana Wojakowskiego na bok i zaczął mu szeptać do ucha, a Richard zauważył, że twarz staruszka nagle zbladła jak papier, podkreślając rude piegi. Pan Wojakowski nagle postarzał się o kilka lat.

– Cholera, gdybym wiedział... Jak to się stało?

Dyżurny poszeptał jeszcze chwilę. Drzwi windy rozsunęły się. Richard wbił wzrok w pustą kabinę.

– Powiem mu, że nie miałem pojęcia... – Pan Wojakowski spojrzał niepewnie na Richarda.

– Nie teraz – odradził dyżurny i zaprowadził starszego pana do windy. Potem stanął przed drzwiami ze skrzyżowanymi rękoma jak ochroniarz i zaczekał, aż się zamkną.

Wrócił do Richarda.

– Jak się pan czuje, panie doktorze? – Ponownie wziął Richarda pod rękę. – Czy mam kogoś wezwać?

Richard pomyślał, że tak, *Carpathię* i *Californian*, tylko że ich radiotelegrafy są wyłączone, a kapitan poszedł spać.

– Jest pan pewien, że nie ma nikogo, do kogo mógłbym zadzwonić? Może do narzeczonej? Albo współpracownika?

– Nie.

– W każdym razie nie sądzę, aby dał pan radę prowadzić samochód w takim stanie. Czy jest jakieś miejsce, gdzie mógłby się pan położyć?

– Tak. – Richard wrócił do laboratorium. Położył się spać na podłodze, owinięty kocem, którym przykrywał Amelię Tanakę i Joannę. Pod ręką trzymał włączony pager, jakby nie było jeszcze za późno, jakby istniała nadzieja na cofnięcie tego, co się stało.

Zastanawiał się, czy radiotelegrafista na pokładzie *Californian* zachowywał się podobnie, bez końca pochylał się nad kluczem, ze słuchawkami na uszach, wsłuchując się w inne wiadomości, nie tracąc nadziei na kolejną szansę. Może po dwóch dniach wyłączył urządzenie, nie mogąc znieść bezustannych pytań i kondolencji.

Zadzwonił rezydent, który próbował ratować Joannę, potem trzech dziennikarzy oraz Tish.

– Postanowiłam wrócić na internę. W świetle tego, co zaszło... Złożyłam już oficjalne podanie o przeniesienie. Potrzebuję pańskiego podpisu.

W świetle tego, co zaszło.

– Oczywiście, z przyjemnością poinstruuje moją następczynię o procedurach obowiązujących w laboratorium. – Zawahała się. – Nikomu nie powiedziałam o... Nie chcę, żeby miał pan kłopoty z powodu przeprowadzania na sobie eksperymentu w taki sposób. Szpital mógłby zaprzestać finansowania pańskich prac, a wiem, że pańska reakcja wynikała z paniki. Nie ponosił pan odpowiedzialności za swoje czyny...

Odpowiedzialność. Zostawiłem Joannę na *Titanicu*, pozwoliłem jej utonąć.

– Panie doktorze? Jest pan tam?

– Tak.

– Wydaje mi się, że powinien pan z kimś porozmawiać. W szpitalu pracuje bardzo dobra specjalistka, doktor Ainsworth. Jest psychiatrą i zajmuje się właśnie tego rodzaju wypadkami.

Jakiego rodzaju? Wypadkami porzucenia? Zdrady? Przypomniała mu się twarz stojącej nad nim Tish, zalana łzami, z policzkami pomazanymi tuszem do rzęs.

– Przepraszam, że panią przestraszyłem – odezwał się do słuchawki.

– Nie szkodzi. – Głos Tish zadrżał. – Nie potrafiłam pana ocucić. – Urwała. – Byłam przekonana, że pan umarł.

– Proszę pani... – zaczął, lecz pielęgniarka wzięła się w garść.

– Wewnętrzny doktor Ainsworth to dwieście osiem – stwierdziła spokojnie. – Specjalizuje się w zaburzeniach stresowych pourazowych. Naprawdę powinien pan się z nią skontaktować.

Richard wytrzymał dwa dni z włączonym pagerem. Carla z onkologii zadzwoniła, aby mu polecić cudowną książkę *Jak radzić sobie z tragedią w miejscu pracy*. Odezwała się też doktor Ainsworth i funkcjonariusz policji.

– Zadam panu kilka pytań – oświadczył. – Musimy uzupełnić akta sprawy. Czy był pan świadkiem całego zajścia?

– Nie. Znajdowałem się gdzie indziej. – W biurach linii White Star w Nowym Jorku, i byłem zbyt głupi, aby odróżnić budynek od statku, zmarnowałem czas i się spóźniłem.

– Najmocniej przepraszam. Poinformowano mnie, że widział pan to zdarzenie.

– Nie.

Policjant odłożył słuchawkę, a Richard wyciągnął wtyczkę przewodu telefonicznego i wyłączył pager. To tylko pogorszyło sytuację. Nie mogąc się dodzwonić, ludzie zaczęli do niego przychodzić osobiście. Eileen z interny przyniosła mu cudowną książkę *Poradnik dla powracających do zdrowia*, a Maureen z radiologii ofiarowała mu *Dziewięć kroków do podźwignięcia się z osobistej tragedii*. Przyszła jeszcze doktor Jamison.

Ona również przydziwiła książkę. Richard podejrzewał, że to *Żałoba dla początkujących*, lecz się mylił. Było to pismo medyczne.

– To jest opracowanie, o którym wspominałam przez telefon. Przekonałam się, że skupienie się na pracy to najlepszy sposób na pogodzenie się z utratą bliskiej osoby. – Wyciągnęła pismo w jego stronę. – To artykuł autorstwa Barstowa i Skala. Badali asparaginian endorfiny oraz theta-asparcynę...

– Badania zostały wstrzymane.

Przybrała denerwująco życzliwy wyraz twarzy.

– Rozumiem, jak się pan czuje, ale w przeciągu tygodnia lub dwóch...

Zostawiła pismo na biurku. Richard zamknął za nią drzwi, lecz i to nie powstrzymało innych. Tara z położniczo-ginekologicznego zapukała nieśmiało, a potem otworzyła drzwi, jakby był jedną z jej pacjentek. Lekarz-rezydent, który miał wówczas dyżur na oddziale nagłych wypadków, wcale nie zastukał.

– Sądziłem, że chciałby pan poznać wyniki sekcji. – Przez długą, koszmarną chwilę Richard spodziewał się, że usłyszy: „W jej płucach znaleziono wodę”.

– Przyczyną śmierci był ostry krwotok, prowadzący do gwałtownego zmniejszenia objętości krwi krążącej. Nóż wyjątkowo pechowo przeciął aortę. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto nóż zatrzymuje się na żebrze, a w najgorszym wypadku przebija płuco. Po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Machnął kartką papieru.

– Wykrwawiła się w niecałe dwie minuty. Nikt nie mógł nic zrobić.

Richard pomyślał, że mógł trzymać włączony pager. Mógł też rozpocząć sesję dwie minuty wcześniej. Wówczas zdążyłby na *Titanica*.

– Mamy też wyniki Calingi – zakomunikował rezydent.

Calinga? To pewnie ten nastolatek. Richard nie słyszał dotąd jego nazwiska.

– Nafaszerował się taką ilością rogue, że można by nią zabić słonia. – Lekarz pokręcił głową. – Szesnaście lat. – Zamknął teczkę. – Tak czy owak, pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, że doktor Lander nie cierpiała. – Podszedł do drzwi. – Straciła przytomność w niecałą minutę. Pewnie nie miała nawet czasu, aby uświadomić sobie, co się dzieje.

Po południu zjawiała się Vielle.

– Przyszłam... – zaczęła i zawahała się.

– Ofiarować mi egzemplarz *Oplakiwania dla opornych*? – podsunął gorzko Richard.

– Wiem, co masz na myśli – odparła. – Doktor Chaffey podarował mi *Jak sobie poradzić ze śmiercią kolegi*. Kolegi! – Wyglądała tak, jakby również nie dotarła do domu. Wciąż miała na sobie ten sam ciemnoniebieski kombinezon i czepek chirurgiczny. Jej oczy były czerwone, zapuchnięte i podkrążone, wyglądały jak podbite. Dłoń i rękę miała zabandażowane.

– Człowiek myśli, że nie może być gorzej, a potem dzieje się coś takiego.

– Tak... – potwierdził i podsunął jej krzesło. Osunęła się na nie bezwładnie.

– Przyszłam, bo... Wciąż widzę ją na oddziale i nie mogę przestać myśleć o tym, przez co musiała ostatnio przechodzić... Przywieźli do nas faceta z zawałem serca. Joanna z nim rozmawiała, a zanim zmarł, powiedział: „Za daleko dla niej”. Wierzyła, że w ten sposób chciał jej coś przekazać, wciąż o tym mówiła, a potem... – Podniosła wzrok na Richarda. – Wiem, że to zabrzmi, jakby mi trochę odbiło, ale tak się czuję. Wciąż widzę, jak ona do mnie biegnie, a on się odwraca z nożem... – Richard uświadomił sobie, że Vielle nie może mieć na sobie tego samego kombinezonu. Tamten był cały zbryzgany krwią.

– Ja tylko stałam nieruchomo. – Vielle wpatrywała się przed siebie. – Nie zrobiłam nic. Powinnam była...

– Co? – spytał Richard. – Postarać się go powstrzymać? Nafaszerował się rogu.

– Mogłam ją ostrzec. Gdybym krzyknęła, zabroniła jej podchodzić bliżej... Nawet jej nie zauważyłam, dopóki nie stanęła obok niego. Wpatrywałam się w nóż, który ścisnął w dłoni, a gdy ją zobaczyłam... Po prostu wbiła się w ostrze...

Richard się zamyślił. Dlaczego nie widziała, co się dzieje? Dlaczego nie zwróciła uwagi na wymuszoną ciszę, na ich przestraszone twarze?

Vielle wydmuchała nos.

– Zresztą nieważne. Wciąż odtwarzam wszystko w pamięci, to co... i muszę cię spytać, chociaż to dziwnie zabrzmi. Kiedy Joanna poddawała się eksperymentom, co wtedy widziała?

Utkwił w niej wzrok.

– Czy zobaczyła *Titanica*? – naciskała Vielle, a zanim zdążył odpowiedzieć, dodała płacząco: – Pytam, bo zadawała mi te wszystkie pytania dotyczące filmu, zwłaszcza jednej sceny, a gdy zainteresowałam

się, dlaczego nie może go sobie wypożyczyć i obejrzeć jeszcze raz, odparła, że to nie wchodzi w grę. Wczoraj Kit powiedziała mi, że Joanna prosiła ją o wynajdywanie rozmaitych informacji o *Titanicu*, i przez kilka ostatnich tygodni sprawiała wrażenie zaaferowanej i przejętej... Właśnie to ujrzała w swoich doświadczeniach granicznych? *Titanica*?

– Tak – potwierdził i ujrzał, jak jej twarz tężeje ze zgrozy.

– Wiedziałam – szepnęła. – O Boże, a jak tam stałam... Ja...

– To nie twoja wina. Wszystko przeze mnie.

– Nie rozumiesz – sprzeciwiła się z bólem. – Chciała, żebym przeniosła się na pediatrię. – Wstała. – Mówiła, że nagłe wypadki to niebezpieczny oddział. Niebezpieczny!

Wyciągnął do niej rękę.

– Vielle, posłuchaj mnie. To nie była twoja wina. Wyłączyłem pager. To ja...

Ze złością pokręciła głową.

– Gdybym jej posłuchała, w ogóle nie przyszłaby na oddział nagłych wypadków. Zeszła, żeby porozmawiać ze mną o wieczorze smakołyków, o głupim filmie! – Vielle wybiegła z pokoju i popędziła korytarzem.

– Vielle, zaczekaj! – Rzucił się za nią, lecz zdążyła już zniknąć w windzie.

Niecierpliwie wcisnął „dół” i otworzyły się drzwi drugiej windy.

– Och, świetnie się składa – uradowała się kobieta w średnim wieku, ubrana w zieloną sukienkę. – Nazywam się Sally Zimmerman, jestem z chirurgii. Chciałam to panu podrzucić. – Wyciągnęła przed siebie książkę. Na pomarańczowo-żółtej okładce widniał tytuł: *Osiem rad po stracie bliskiej osoby*. – To naprawdę pomaga. Znajdzie pan tu rozmaite ćwiczenia na czas żałoby i porady dla osamotnionych.

– Człowiek myśli, że nie może być gorzej – mruknął Richard.

– O tym też tu jest – przytaknęła, wyciągając książkę z jego rąk i wertując ją uważnie. – Proszę bardzo. „Jak powiększyć swój iloraz nadziei”.

Następnego dnia przyszedł pan Wojakowski.

– Przepraszam, że tak od razu zacząłem mówić o Joannie. Nikt mnie nie poinformował, co się zdarzyło. – Potrząsnął głową. – Odeszła tak po prostu. Nie sposób do tego przywyknąć. W jednej chwili ktoś stoi obok, na pokładzie artyleryjskim, a zaraz potem odchodzi. Bucky Tobias, mój towarzysz z kajuty. Dziewiętnastolatek. „Myślisz, że Japonce wiedzą, gdzie

jesteśmy?”, spytał mnie, a dziesięć sekund później trach! Połowa pokładu wyparowuje. Słyszałem, że był nafaszerowany narkotykami. – Richard z początku sądził, że pan Wojakowski ma na myśli swojego towarzysza broni. – Szesnaście lat. – Pan Wojakowski nie mógł się otrząsnąć. – Straszna szkoda. Tego samego dnia spotkałem ją na internie, szukała pana.

– Szukała mnie? – spytał Richard i poczuł ukłucie w boku, jakby ktoś go dźgnął nożem.

– Tak, a bez względu na to, po co chciała pana znaleźć, to musiało być coś ważnego. Właściwie po mnie przebiegła. Spytałem, czy zagrali sygnał do boju, tak szybko pędziła.

– Kiedy to się stało? – spytał stanowczo Richard.

– W poniedziałek rano. Przyszedłem w odwiedziny do przyjaciela, miał zawał, kiedy tańczył. Wcześniej byłem na tych nudnych badaniach słuchu.

– O której pan ją spotkał?

– Zaraz, zaraz... – Podrapał się w policzek. – Pewnie koło pierwszej. Przyszedłem zaraz po sesji w ośrodku leczenia artretyzmu, a ona trwa od jedenastej do za piętnaście pierwsza.

Pierwsza. Musiała właśnie iść na oddział nagłych wypadków.

– Powiedziała panu, że mnie szuka?

– Tak, stwierdziła, że musi pana natychmiast znaleźć, więc nie ma czasu rozmawiać.

Joanna wcale nie szukała Vielle. Szukała jego. Musi o tym powiedzieć Vielle, żeby nie miała poczucia winy. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

– Wpadłem tylko po to, aby powiedzieć, jak bardzo mi przykro – oświadczył pan Wojakowski, sięgając po kapelusz. – To była świetna dziewczyna. Przypominała mi pewną pielęgniarkę z marynarki wojennej, z którą się spotykałem w Honolulu. Śliczna jak marzenie. Zginęła pod Tarawą. Japonce zatopili transportowiec, którym płynęła do domu.

Kiedy tylko pan Wojakowski sobie poszedł, Richard podłączył telefon i zadzwonił na oddział nagłych wypadków. Nie zastał Vielle, więc przesłał jej wiadomość na pager, a potem siedział przy telefonie, czekając, aż się odezwie. Vielle nie zadzwoniła, w przeciwieństwie do pani Brightman oraz dawnego kolegi, z którym kiedyś dzielił pokój.

– Właśnie oglądałem CNN – bez zbędnych wstępów oświadczył Davis. – Co to za cholerny szpital, w którym pracujesz? Znałeś tę kobietę, jak jej tam, Lander?

– Tak.

– Ale tobie nic się nie stało? – spytał retorycznie Davis.

Richard zastanawiał się, co powiedziałby jego kolega, gdyby usłyszał, że jednak coś mu się stało. Albo że doświadczenia graniczne to nie halucynacje wywołane stymulacją płata skroniowego, tylko rzeczywistość. Richard potrafił przewidzieć jego reakcję. „Chyba nie mówisz tego poważnie!”. Albo: „Najpierw Foxx, a teraz ty? Wiedziałem, że to wirus!” Albo: „Zadzwoń już do Stara«? Niech ci zapłacą przynajmniej za wyłączność. Będziesz potrzebował pieniędzy, skoro wylatujesz z roboty”.

– Nic mi nie jest – stwierdził Richard.

– Na pewno? – upewniał się Davis, a w jego głosie dawało się wyczuć szczerą troskę.

– Tak – odparł Richard i poszedł na oddział nagłych wypadków, żeby porozmawiać z Vielle. Usunięto żółtą taśmę policyjną, lecz przy wszystkich drzwiach stali funkcjonariusze. Przed wpuszczeniem Richarda sprawdzili jego identyfikator i nazwisko na liście w komputerze. Vielle stała przy recepcji, zabandażowaną ręką sporządzając jakiś wykres.

– To nie była twoja wina – zaczął Richard. – To nie ciebie szukała i nie chciała porozmawiać o wieczorze smakołyków. Chciała znaleźć mnie.

– Ciebie? – spytała głucho. – Przecież nie byłeś...

– Powiedziałem jej, że idę porozmawiać z doktor Jamison.

– A doktor Jamison była tutaj chwilę wcześniej – dokończyła Vielle i na jej twarzy pojawiła się ulga, jakby z barków spadł jej spory ciężar.

– Kiedy cię pytała o ten film, *Titanic*, czy mówiła, co zamierza... – Richard przerwał, gdyż Vielle go nie słuchała. Podniosła wzrok, zapatrzyła się w stronę drzwi i nagle znieruchomiała. Richard podążył za jej spojrzeniem.

W drzwiach stała Joanna. Serce Richarda zaczęło walić jak oszalałe, poczuł się tak, jakby w jego klatce piersiowej tkwił uwięziony ptak, rozpaczliwie bijący skrzydłami o żebra. A więc żyła. Krew, płaska linia na kardiomonitorze, biura linii White Star, wszystko to tylko wyglądało na rzeczywiste z powodu podwyższonego poziomu acetylocholin i stymulacji płata skroniowego.

– Joanna – westchnął i zrobił krok w jej stronę.

– Nazywam się June Wexler, jestem siostrą Joanny Lander – oświadczyła kobieta w drzwiach, a Richard poczuł się tak, jakby ponownie

usłyszał złe wieści. Ona nie żyje. Wreszcie w to uwierzył. Była martwa od trzech dni.

– Cieszę się, że zastałam oboje państwa razem – stwierdziła siostra Joanny, poprawiając okulary. – Jak rozumiem, państwo współpracowali z Joanną. Zastanawiałam się, czy mogłabym z państwem o niej porozmawiać.

Mówiła tak samo jak Joanna, choć jej głos był nieco bardziej szorstki. To od płaczu, pomyślał Richard, spoglądając na jej zaczerwienione oczy i jednorazową chusteczkę w dłoni.

– Od kilku miesięcy nie zamieniłam z nią ani słowa, a tu nagle... – Potarła oczy chustką. – Ciągłe myślimy, że mamy mnóstwo czasu, aż wreszcie się okazuje, że go zabrakło. Proszę mi powiedzieć, czy Joanna została zbawiona? – Richard zastanowił się, o co chodzi siostrze Joanny.

– Zbawiona? – powtórzyła Vielle.

– Czy uznała Jezusa Chrystusa za swojego zbawcę – brzmiało wyjaśnienie. – Kilkakrotnie usiłowałam skłonić ją do powrotu do Pana, ale szatan zawsze kierował jej serce przeciwko mnie.

– Szatan? – zdumiała się Vielle.

– Tak. Chciałam jej pomóc, opowiedzieć o mękach oczekujących zatwardziałyh grzeszników, o sądzie ostatecznym i ogniu, którego nic nie stłumi. – Ponownie potarła oczy.

Richard wpatrywał się w nią. Wcale nie przypominała Joanny. Zmylił go kolor włosów i okulary.

– Nie ustawałam w modlitwach o to, aby nabrała wiary, pracując z panem – zwróciła się do Richarda – i rozmawiając z ludźmi, którzy stanęli twarzą w twarz z Chrystusem.

Dopiero po chwili Richard uświadomił sobie, że siostra Joanny miała na myśli doświadczenia graniczne.

– Zrobiła to? – nalegała. – Powiedziała państwu, że została zbawiona?

– Nie – burknęła Vielle.

– Są państwo pewni, że nie zmieniła zdania w ostatniej chwili? – Odwróciła się do Vielle. – Powiedziano mi, że pani była przy niej, gdy umierała. Czy powiedziała cokolwiek?

Richard spodziewał się, że ponownie usłyszy zaprzeczenie, lecz po krótkim wahaniu Vielle odparła:

– Nóż przeciął aortę. Joanna straciła przytomność niemal natychmiast.

– Nawet w ostatniej sekundzie Jezus może nam odpuścić grzechy. Nawet jeśli ostatnim tchem poprosimy o przebaczenie. Czy cokolwiek

powiedziała? – Siostra Joanny nie ustępowała.

– Nie – odparła Vielle.

Richard pomyślał, że to kłamstwo. Joanna coś powiedziała przed śmiercią.

– Jest pani pewna? – upierała się siostra Joanny. – Czytałam o doświadczeniach granicznych. Wiem, że ludzie widzą Jezusa oczekującego, aby przywitać ich w niebie, i ci, „którzy widzieli, uwierzyli”. Serce Joanny na pewno nie było tak zatwardziałe, aby nie pożałowała swoich grzechów w obliczu tego, co ją oczekiwało.

– Jestem pewna – odparła twardo Vielle. – Nie powiedziała ani słowa.

– A zatem nie ma już nadziei. – Siostra Joanny potarła oczy. – Jest w piekle.

– Joanna?! – wykrzyknęła wzburzona Vielle. – Jak pani śmie...

– To nie ja ją potępiłam, tylko Bóg. Czyż nie jest napisane: „A synowie królestwa zostaną wyrzuceni na zewnątrz – w ciemność; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”?

– Proszę się stąd wynosić – rozkazała Vielle.

Siostra Joanny spojrzała na Richarda, jakby oczekując jego wsparcia. Zastanawiał się, jak to możliwe, że kiedykolwiek pomylił ją z Joanną.

– Będę się modliła za was oboje – zapowiedziała i wyszła.

– Niech się pani nie waży tego robić! – wrzasnęła za nią Vielle, a jeden z policjantów przy drzwiach podniósł czujnie wzrok. – Jest pani arogancką, wredną, świętoszkowatą...

– Co powiedziała Joanna? – wtrącił się Richard.

Vielle się odwróciła i spojrzała na niego. Powoli się uspokajała.

– Posłuchaj, Richard...

– Powiedziała coś, prawda? Co takiego?

– Nie mogę uwierzyć, że przyszła tutaj opowiadać takie brednie. Co za suka. Powiem ci, kogo Bóg wyrzuca na zewnątrz, w ciemność. Takie dwulicowe niby-chrześcijanki jak ona!

– Co powiedziała Joanna?

– Joanna powiedziała, że nie utrzymywała bliskich kontaktów z siostrą.

– Vielle wróciła do recepcji. – Właściwie były od siebie oddalone o wiele lat świetlnych. – Wzięła do ręki wykres. – Jak to możliwe, że cudowna, kochana, wrażliwa Joanna miała taką siostrę...

Richard złapał ją za rękę.

– Co powiedziała?

- Posłuchaj, muszę wracać do pacjentów. Mam strasznie dużo roboty.
- Właśnie dlatego przyszedłeś do mnie do laboratorium, tak? Powiedziałaś, że jakiś facet po zawale stwierdził: „Za daleko dla niej”, i że myślałaś o tym, co się działo podczas ostatnich chwil jej życia. To dlatego, że Joanna powiedziała coś ważnego, prawda? – Potrzęsnał jej ręką. – Co powiedziała?
- Policjant przy drzwiach ruszył w ich stronę z dłonią opartą na pistolecie.
- Richard...
- To ważne. Mów.
- Powiedziała: „Powtórz Richardowi...” – Umilkła, spoglądając na wykres.
- Richard czekał, bojąc się odezwać.
- Wpatrywała się bezmyślnie w wykres, aby po chwili podnieść głowę. Wyglądała tak, jak Tish w laboratorium.
- „Powtórz Richardowi, że to jest...” – Przełknęła ślinę. – „SOS. SOS”.

Rozdział 43

„*Na litość boską, zaopiekujcie się naszymi ludźmi...*”

Ostatni wpis w dzienniku Roberta Falcona Scotta,
znaleziony przy jego ciele na Antarktyce

- Przesłałaś pani Joannie wiadomość na pager? – spytała matkę Maisie.
- Tak – potwierdziła pani Nellis, starannie porządkując rzeczy na stoliku przy łóżku córki. – Napijesz się soku? A może zjesz loda na patyku?
- Kiedy ją zawiadomiłaś? Wczoraj?
- Pewnie jest bardzo zajęta. Chcesz galaretkę?
- Mówiła, że przyjdzie w czwartek, a nie zjawiała się ani w czwartek, ani wczoraj – upierała się Maisie. – Jesteś pewna, że siostra Barbara zawiadomiła ją przez pager?
- Jestem pewna – potwierdziła matka, zdejmując wieczko dzbanka na wodę i zaglądając do środka. – Zgadnij, kto przyjdzie jutro po południu? Siostra Barbara powiedziała, że ciebie i inne dzieci na piętrze odwiedzi klaun!
- Taki jak Emmett Kelly? – Maisie podniosła głowę.
- Emmett Kelly? – zdumiała się matka. – Zaraz, zaraz, skąd wiesz, kim był Emmett Kelly?
- Widziałam go na jednej z moich kaset. Tych z filmami Disneya. Nie pamiętam której. Jakiejś o cyrku.
- Ten klaun będzie robił sztuczki magiczne. Fantastycznie, prawda?
- Doktor Lander opowiedziała mi o klaunie, który wyciągał z kieszeni chustkę przywiązaną do jeszcze jednej i jeszcze jednej, i jeszcze jednej – stwierdziła Maisie. – Może była tak zajęta, że zapomniała, i trzeba do niej zadzwonić.
- Skoro jest zajęta, nie powinniśmy jej zawracać głowy. Zobacz, przyniosłam ci nowe taśmy wideo. *Najlepsze lato* i *Nie wiercie bliźniaczkom*. Którą chcesz obejrzeć?

– Zawsze przychodzi, kiedy się ze mną umówi. Nawet jeśli jest bardzo zajęta. Może zachorowała. Siostra Amy miała grypę.

– Powinnaś myśleć o przyjemnych rzeczach, a nie martwić się bez powodu. – Pani Nellis wsunęła *Najlepsze lato* do odtwarzacza. – Pamiętaj, co powiedział doktor Murrow. Musisz się przygotować na przyjęcie nowego serca. – Włączyła telewizor, wzięła do ręki dzbanek i zaniósła go do umywalki. – Innymi słowy, nie wolno ci się przejmować. – Wylała wodę razem z grzechoczącym lodem, podeszła do drzwi i się odwróciła. – Zaraz wracam. Pójdę po lód.

– Spytaj, czy ktoś ją zawiadomił przez pager. Powiedz, że znalazłam informacje, o które mnie prosiła.

Matka zatrzymała się na progu.

– Jakie informacje?

– Takie różne, o których rozmawialiśmy, kiedy wpadła mnie odwiedzić.

– To bardzo miło, że personel szpitala cię odwiedza, ale musisz pamiętać, że wszyscy tutaj pracują, i to jest najważniejsze.

Ale ta sprawa dotyczy jej pracy, chciała odpowiedzieć Maisie, lecz ugryzła się w język. Mało brakowało, a jej matka zaczęłaby się dopytywać, o co Joanna ją prosiła.

– Spytaj, czy ją zawiadomiono – zażądała w zamian, a kiedy matka wróciła z dzbankiem i puszką soku, spytała: – I co, spytałaś?

– Popatrz, sok ananasowy – oznajmiła radośnie pani Nellis i postawiła puszkę na stoliku. – Pielęgniarki powiedziały, że znalazła nową pracę i musiała się przeprowadzić. Chcesz słomkę?

– Dokąd się przeniosła?

– Nie wiem. – Matka Maisie odpakowała rurkę.

– Zobaczyłaby się ze mną, gdyby się miała przeprowadzić.

– Pewnie nie miała czasu. Pielęgniarki twierdzą, że musiała od razu rozpocząć nową pracę. – Wręczyła córce sok. – Powiedziały też, że chciała, aby pożegnały się z tobą w jej imieniu. Życzyła ci samych przyjemnych myśli i kazała słuchać poleceń doktora Murrowa. – Włączyła telewizor. – A teraz wypoczywaj i obejrzyj swój film. To o takiej dziewczynce, która zdrowieje. Zupełnie jak ty. – Podała Maisie pilota. – Wrócę, kiedy podadzą kolację – zapowiedziała, pocałowała ją na do widzenia i poszła.

Po chwili Maisie wyskoczyła z łóżka, podbiegła na palcach do drzwi i wyjrzała na korytarz. Matka stała w pokoju pielęgniarek, rozmawiając z Barbarą i jeszcze jedną siostrą. Wróciła do łóżka, usiadła na jego krawędzi

tak, aby móc się natychmiast schować pod kocem, gdyby ktoś szedł, i obejrzała pierwszą część *Najlepszego lata*.

Bohaterka filmu poruszała się na wózku inwalidzkim. Włosy miała przewiązane ogromną kokardą, a kolana przykryte kocem. Wyglądała okropnie smutno.

– Nigdy nie wydobrzejesz, jeśli będziesz tak wyglądać – oznajmił lekarz dziewczynki. – Trzeba się uśmiechać, żeby zdrowieć.

– Nie potrafię się uśmiechać – odparła dziewczynka.

– Więc musisz wziąć jedną z moich pastylek na szczęście – stwierdził lekarz i wyciągnął zza pleców szczeniaka.

– O, szczeniaczek! – uradowała się dziewczynka. – Jaki kochany! Jak ma na imię?

– Ulla – dopowiedziała Maisie i zeskoczyła z łóżka, żeby sprawdzić, czy jej matka jeszcze sobie nie poszła.

Pani Nellis już nie było. Maisie wyłączyła telewizor i wsunęła pilota pod łóżko. Potem weszła do łóżka i starannie poprawiła koc. Poczekała chwilę, aż uspokoi się jej oddech, i wcisnęła przycisk do wzywania pielęgniarek.

Siostra Barbara przysłała po dłuższej chwili. Maisie się ucieszyła bo siostra Amy zawsze się śpieszyła.

– Co się stało, kotku? – spytała Barbara.

– Spadł mi pilot – oświadczyła Maisie i pokazała palcem pod łóżko, a Barbara schyliła się, żeby go podnieść. – Mama powiedziała, że pani doktor Lander się przeprowadziła.

Barbara nie wyprostowała się, cały czas szukając pilota. Maisie się zastanawiała, czy nie wsunęła go zbyt głęboko pod łóżko.

– Tak, to prawda – odparła w końcu pielęgniarka.

– Już jej nie ma? – dopytywała się Maisie.

– Nie ma – potwierdziła spod łóżka Barbara, dziwnie zmienionym głosem. – Odeszła.

– Na pewno?

– Tak. – Barbara wstała i włączyła telewizor. – Który kanał oglądałaś? – spytała, nie odwracając się.

– Wideo. Może jeszcze jest w domu. Bo przecież ludzie muszą się spakować i wynająć mieszkania, zanim się przeprowadzą.

Barbara wcisnęła przycisk odtwarzania. Szczeniak lizał twarz chichoczącej dziewczynki na wózku. Pielęgniarka wręczyła pilota Maisie.

– Teraz w porządku? – spytała, poklepując koc na kolanach chorej.

– Może jeszcze nie wyjechała. Może wciąż się przygotowuje, a potem wróci i pożegna się ze wszystkimi.

– Nie – zaprzeczyła Barbara. – Już jej nie ma. – Wyszła, zanim Maisie zdążyła ją jeszcze o cokolwiek spytać.

Maisie leżała, oglądając *Najlepsze lato*. Dziewczynka wstała z wózka i chodziła, wspierając się na staromodnych kulach.

– Miał pan rację, mówiąc, że trzeba się uśmiechać, aby wyzdrowieć – powiedziała lekarzowi.

Maisie pomyślała, że mogłaby się założyć, że pielęgniarki zapomniały zawiadomić Joannę, która była zajęta pakowaniem i nawet nie pomyślała o wiadomościach radiotelegraficznych wysyłanych z *Titanica*. Na pewno przypomni sobie, kiedy dotrze tam, gdzie się przeprowadza. Ponownie wcisnęła przycisk przywoławczy, a kiedy zjawiła się Barbara, spytała:

– Dokąd się przeprowadziła pani Joanna?

Barbara wyglądała na zdenerwowaną, jakby chciała zabronić Maisie tak częstego naciskania dzwonka. Zamiast tego wyciągnęła rękę nad głową dziewczynki i wyłączyła przycisk.

– Z powrotem na wschód.

– Dokąd na wschód?

– Sama nie wiem, może do New Jersey – zasugerowała Barbara i wyszła.

Hindenburg rozbił się w New Jersey. Maisie pomyślała, że Joanna mogła tam pojechać, aby przeprowadzić wywiad z członkiem załogi, który miał doświadczenia graniczne.

Tylko że on mieszkał w Niemczech. Może dowiedziała się o kimś innym z *Hindenburga*, kto przeszedł śmierć kliniczną, i dlatego wyjechała w takim pośpiechu. Na pewno zadzwoni, jak tylko dotrze na miejsce.

Zaciekawilo ją, jak długo trwa podróż do New Jersey, ale przyszło jej do głowy, że lepiej nie wciskać już dzwonka. Zaczekała, aż Eugene przyniesie jej kolację, i spytała go:

– Eugene, ile czasu trwa podróż do New Jersey?

Uśmiechnął się szeroko.

– A co, planujesz ucieczkę?

– Nie. Ile dni tam się jedzie samochodem?

– Ach, pojedziesz tam samochodem. Nie jesteś trochę za mała, żeby prowadzić?

– Mówię poważnie. Ile dni trwa taka podróż?

– Nie wiem. Trzy, może cztery. Zależy, jak prędko się jedzie. Coś mi się zdaje, że należysz do tych kierowców, którym zawsze się śpieszy! Lepiej uważaj, żeby policja cię nie zatrzymała i nie zażądała prawa jazdy.

Maisie pomyślała, że skoro Joanna przeprowadza się ze wszystkimi swoimi rzeczami, podróż zapewne potrwa cztery dni, lecz wyjechała już wcześniej. Tylko kiedy? Wczoraj? Czy w czwartek? Jeśli wyjechała w czwartek, pewnie zadzwoni pojutrze.

– Wiesz, kiedy pani Joanna wyjechała? – Maisie spytała mamę, która przysłała parę minut później.

– Nie – padła odpowiedź. – Obejrzałaś *Najlepsze lato*? Przyniosłam ci jeszcze inną kasotę, *Tajemniczy ogród*.

Maisie uznała, że Joanna zapewne wyjechała wczoraj, więc raczej zadzwoni w sobotę. Dziewczynka postanowiła poszukać jak najwięcej informacji o wiadomościach radiotelegraficznych, aby mieć jak najwięcej do powiedzenia. Raz jeszcze przejrzała wszystkie swoje książki o *Titanicu* i wypisała wiadomości wysłane przed zderzeniem z górą lodową, na wypadek gdyby Joanna również ich potrzebowała. Potem pozostało jej tylko czekać na telefon.

Joanna nie zadzwoniła jednak ani w sobotę, ani w niedzielę. Pewnie jest zajęta rozmową z tą osobą z *Hindenburga*, zdecydowała Maisie, oglądając *Tajemniczy ogród*. W filmie występował chłopiec jeżdżący na wózku inwalidzkim oraz mała dziewczynka, strasznie łatwo wpadająca w złość. Maisie od razu ją polubiła.

Dziewczynka wciąż słyszała dziwne hałasy, jakby ktoś płakał. Kiedy pytała o to ludzi w domu, wszyscy twierdzili, że nic nie słyszą, i natychmiast zmieniali temat. W końcu postanowiła sama wejść na górę i sprawdzić. Ujrzała tam małego chłopca na wózku. Nikomu nic nie mówiąc, zaczęła go wyprowadzać na spacer.

Załóżę się, że on też wyzdrowieje, pomyślała z niechęcią Maisie i zasnęła. Kiedy się obudziła, dziewczynka pisała list do wujka. „Dokąd mam go wysłać?”, spytała pokojówkę, która podała jej adres.

Kiedy Barbara przysłała zmierzyć jej ciśnienie, Maisie zaczęła, aż pielęgniarka zdejmie stetoskop i spytała:

– Czy siostra zna adres doktor Lander?

– Jej adres? – powtórzyła Barbara, wieszając stetoskop na szyi.

– Adres jej nowego mieszkania.

Barbara odwinęła mankiet ciśnieniomierza i wsunęła go do koszyka na ścianie.

– Maisie... – zaczęła i zamilkła, stojąc nieruchomo.

– Słucham?

– Zapomniałam termometru. – Barbara dotknęła ręką kieszeni. – Zaraz wrócę.

– Ale czy ona zostawiła swój nowy adres?

– Nie. – Barbara zamarła w bezruchu, tak samo jak przed chwilą. – Nie wiem, gdzie ona jest.

Jestem pewna, że doktor Wright będzie to wiedział, uznała Maisie. Wspólnie pracowali przy projekcie badawczym. Pani Joanna na pewno powiedziała mu, dokąd się przeprowadza. Dziewczynka wpadła na pomysł, aby poprosić Barbarę o przesłanie mu wiadomości na pager, lecz przypomniała sobie, jak Joanna mówiła, że Richard czasami go wyłącza, więc samodzielnie zadzwoniła do szpitalnej centrali.

– Czy mogę prosić o numer doktora Wrighta? – spytała, usiłując mówić jak swój a matka.

– Doktora Richarda Wrighta?

– Aha – przytaknęła Maisie. – To jest, chciałam powiedzieć, tak.

– Łączę – stwierdziła telefonistka.

– Nie, chciałam... – sprzeciwiła się dziewczynka, lecz było już za późno. Linia okazała się zajęta.

Maisie zaczęła do wieczoru, kiedy zmieniły się telefonistki, i ponowiła próbę. Tym razem zmieniła taktykę.

– Proszę numer doktora Wrighta.

– Doktor Wright poszedł do domu.

– Wiem. Muszę znać jego numer, żeby zadzwonić jutro. W celu umówienia wizyty – dodała.

– Wizyty? – powątpiewała telefonistka, ale podyktowała numer. Maisie zadzwoniła, na wypadek, gdyby doktor Wright jeszcze był w pracy, lecz nikt nie podniósł słuchawki. Następnego dnia również nikt nie odbierał, chociaż Maisie telefonowała co pół godziny.

Uznała, że musi się z nim spotkać. Zadzwoniła do centrali i spytała o numer gabinetu doktora Wrighta. Telefonistka wyjaśniła, że chodzi o laboratorium numer 502. Maisie była zadowolona, bo skoro jej pokój oznaczono liczbą 322, pokój lekarza powinien się znajdować dwa piętra

wyżej, bezpośrednio nad nią. Nie musiała daleko chodzić; wystarczyło, aby wsiadła do windy.

Najtrudniejsze było dyskretne przedostanie się do kabiny. Dziewczynka w *Tajemniczym ogrodzie* odbyła swoją eskapadę nocą, lecz doktor Wright nie pracował wieczorami. Ranek odpadał, wtedy bowiem pielęgniarki słały łóżka i pomagały jej wziąć prysznic; poza tym przed południem jeździł wózek z książkami z biblioteki. O drugiej przychodziła matka Maisie.

Zatem będzie musiała się wykraść po zebraniu tac z naczyniami po lunchu. Gdy tylko posłano jej łóżko, podeszła do szafy, wyciągnęła ubrania i ukryła je pod kocem. Na wierzchu rozłożyła jedną z książek o *Titanicu*, żeby zamaskować wybrzuszenie. Następnie położyła się i odpoczywała, zbierając siły na spacer.

Z tego samego powodu zmiotła cały lunch, a Eugene, który przyszedł po tacę, wykrzyknął:

– No proszę! To mi się podoba! Tak trzymaj, a wkrótce cię wypiszą!

Jeszcze przed posiłkiem włożyła spodnie i skarpety. Gdy tylko Eugene sobie poszedł, wciągnęła buty i golf. Na ubranie włożyła szlafrok, podciągnęła koc i leżała nieruchomo, łapiąc oddech i nasłuchując.

W pokoju 320 rozpląkał się chłopczyk. Na korytarzu rozległ się odgłos kroków i ktoś wszedł do dziecka, aby sprawdzić, co się stało.

Maisie postanowiła włączyć telewizor, żeby pielęgniarki sądziły, że ogląda wideo, i nie sprawdzały, co robi. Wzięła ze stolika pilota, przewinęła *Tajemniczy ogród* i wcisnęła przycisk odtwarzania.

Płacz ucichł. Po kilku minutach ktoś wyszedł z pokoju chłopca i wrócił do pomieszczenia pielęgniarek. W telewizorze dziewczynka wdrapywała się dyskretnie po wysokich kręconych schodach. Maisie wyszła z łóżka i zdjęła szlafrok. Ukryła go pod kocem i podkrađła się do drzwi. Na korytarzu było pusto, nie widziała także nikogo w pokoju dla pielęgniarek. Bardzo prędko podbiegła do windy, wcisnęła i schowała się za drzwiami poczekalni. Gdy zabłyśło światło nad wejściem do kabiny, wyskoczyła z poczekalni, wpadła do windy i wcisnęła przycisk piąte piętro.

Jej serce waliło potwornie mocno, przede wszystkim z obawy, że ktoś zobaczy zamykające się drzwi.

– Szybciej! – szepnęła i wreszcie drzwi się bardzo powoli zasunęły. Winda ruszyła.

No dobrze. Teraz musiała tylko znaleźć numer 502. Kiedy drzwi się otworzyły, wyszła i rozejrzała się wokół siebie. Wszędzie było mnóstwo

pomieszczeń, lecz żadnego z nich nie oznaczono cyfrą. Na jednych drzwiach widniał napis: TTY-TDD.

Poszła dalej. Na kolejnych drzwiach widziała litery LHS oraz OT, lecz nigdzie nie było cyfr. Z pokoju oznaczonego PT wyszła kobieta z notatnikiem w ręku. Na widok Maisie zatrzymała się i ściągnęła brwi. Przez chwilę dziewczynka miała pewność, że nieznajoma domyśliła się, że ma do czynienia z pacjentką. Kobieta podeszła bliżej, przyciskając notatnik do piersi.

– Szukasz kogoś, słoneczko? – spytała.

– Tak. – Maisie usiłowała mówić stanowczo i rzeczowo. – Doktora Wrighta.

– Jest we wschodnim skrzydle. Wiesz, jak tam trafić?

Maisie pokręciła głową.

– Musisz wrócić na czwarte piętro i skręcić w prawo. Zobaczysz napis: „Kadry”. Przejdiesz tamtędy i trafisz do wschodniego skrzydła.

Czy to daleko? Maisie nie odważyła się zadać tego pytania, gdyż kobieta od razu zapytałaby, skąd się tu wzięła.

– Dziękuję bardzo – stwierdziła krótko dziewczynka i wróciła do windy. Szła prędko, żeby nieznajomej nie przyszło do głowy, że jest chora.

W windzie mogła przez chwilę odpocząć. Gdy wyszła, skręciła w prawo, zgodnie ze wskazówkami kobiety. Znak znajdował się bardzo daleko, w głębi korytarza. Serce Maisie zaczęło gwałtownie walić. Zatrzymała się i przez chwilę odpoczywała, lecz z któregoś pomieszczenia wyłonił się mężczyzna z tacą pełną próbek z krwią, więc musiała podjąć marsz.

Drzwi oddzielające łącznik od budynku były bardzo ciężkie. Maisie popchnęła je z całych sił, aby się wreszcie otworzyły. Za nimi znajdował się szary korytarz. Nie wiedziała, jakiej jest długości, lecz na pewno nie planowała tak dalekiej wędrówki. Zawahała się, czy iść dalej, jednak pomyślała, że droga powrotna do windy jest równie długa, a gdyby znalazła doktora Wrighta i uzyskała od niego adres Joanny, mogłaby go poprosić o przetransportowanie do pokoju. Na pewno sprowadziłby jakiś wózek inwalidzki. Zresztą mogła iść bardzo wolno.

Ruszyła przed siebie. Korytarz był dziwny. Nie miał okien, drzwi, ani nawet poręczy przy ścianie, jak wszystkie inne korytarze w szpitalu. Oparła się ręką o ścianę, lecz niewiele to dało. Męczyła się znacznie bardziej, nie mogąc wesprzeć się o poręcz.

– Chyba chwilę odpocznę – powiedziała do siebie i usiadła, opierając się plecami o ścianę, lecz to niewiele pomogło. Nie mogła złapać oddechu, a lampy na ścianach wciąż dziwnie pływały. – Źle się czuję – stwierdziła i położyła się na podłodze.

Rozległ się głośny hałas, lampy rozbłysły jaskrawym światłem i gwałtownie ściemniały, przybierając ciemnoczerwoną barwę. Zanim prawie zupełnie zgasły, Maisie pomyślała, że to zupełnie jak światła na *Titanicu*. Mam nadzieję, że nie robi się całkiem ciemno. Nie znajdowała się jednak w korytarzu, tylko w tunelu, w którym już wcześniej przebywała. Wyczuwała wysokie, proste ściany po bokach.

To doświadczenie graniczne, przeszło jej przez myśl, i usiadła na pokrytej terakotą podłodze. Tylko że to nie była terakota. Nie potrafiła rozpoznać tego dziwnego w dotyku materiału. Żałowała, że jest tak ciemno i że nie może mu się przyjrzeć. Musiała wszystko uważnie obserwować, aby potem opowiedzieć Joannie.

Powinna także wsłuchiwać się w odgłosy. Przypomniała sobie dziwny dźwięk, który rozległ się przed tym, jak światła zrobiły się czerwone. To był łomot albo głośny stuk. Może wybuch. Nie pamiętała dokładnie. Szkoda, że nie słuchała uważniej, przecież będzie musiała zdać dokładną relację.

Jej serce przestało łomotać i nie czuła już zawrotów głowy. Wstała i ruszyła przed siebie tunelem między wysokimi, prostymi ścianami. Było ciemno i mgliście, jak wcześniej, poza tym zrobiło się bardzo ciepło. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Także z tyłu położyła się mroczna mgła.

– Przecież mówiłam panu Mandrake'owi, że nie świeciło światło – powiedziała do siebie i w tej samej chwili na końcu tunelu zabłysło światełko. Miało kolor czerwony, podobnie jak światła w korytarzu, i poruszało się, jakby ktoś biegł z latarnią w ręce, i pewnie tak było naprawdę, ujrzała bowiem pędzących ku niej ludzi. Nie potrafiła ich rozpoznać z powodu mgły.

– Prędko! – krzyczeli. – Tędy! Ogłosić alarm reanimacyjny! Natychmiast! Minęli ją. Usiłowała im się przyjrzeć, kiedy biegli obok, chcąc rozpoznać ich zasłonięte mgłą twarze. Pan Mandrake twierdził, że to powinni być znajomi ludzie, którzy zmarli, tacy jak babcia, lecz Maisie nie poznawała nikogo z nich.

– Dajcie tu wózek! – krzyknęła do niej jedna z przebiegających kobiet. Miała na sobie białą sukienkę i białe rękawiczki.– Teraz!

– Już – odezwał się mężczyzna. Miał na sobie garnitur, taki sam, jaki zawsze nosił doktor Murrow. – Jeszcze raz. Już.

– Wiadomo, kto to? – spytała pani w białych rękawiczkach.

– Mam na imię Maisie – usiłowała się przedstawić, lecz nikt jej nie słuchał. Wszyscy cały czas biegali.

– To na pewno pacjentka – uznał mężczyzna. – Wiesz, kto to? – zwrócił się do kogoś innego.

– Moje dane są na identyfikatorze na szyi – wyjaśniła Maisie.

– Co ona tu robi? – dziwił się mężczyzna. – Jeszcze raz.

Światło rozbłysło jak wybuch i Maisie ponownie znalazła się na korytarzu. Wokół niej klęczała gromada pielęgniarek i lekarzy.

– W porządku! – wykrzyknął mężczyzna.

– Wyczuwam tętno – stwierdziła jedna z pielęgniarek.

– Słyszysz mnie, kochanie? – spytała inna.

– Miałam doświadczenia graniczne. – Maisie usiłowała usiąść. – Znalazłam się w tunelu i...

– Spokojnie, leż spokojnie – przykazała pielęgniarka, zupełnie jak ciotka Em w *Czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu*. – Nie ruszaj się. Zajmiemy się tobą.

Maisie skinęła głową. Położyli ją na wózku i przykryli kocem, a kiedy to zrobili, spostrzegła, że nie ma na sobie golfu. Sięgnęła ręką do szyi, żeby wymacać identyfikator. Przestraszyła się, że ściągnęli go razem ze swetrem. To była zasadnicza wada metalowych identyfikatorów – ktoś mógł je zdjąć.

– Leż nieruchomo. – Pielęgniarka złapała ją za rękę, a Maisie zobaczyła, że podłączają jej kroplówkę, a na stojaku zawieszają torebkę z roztworem soli. Drugą rękę miała przykrytą kocem. Powoli przesunęła nią po klatce piersiowej. W porządku, identyfikator był na swoim miejscu.

– Jak się nazywasz, kochanie? – spytała pielęgniarka, podłączająca kroplówkę.

– Maisie Nellis – odparła, chociaż miała to wypisane na szpitalnej opasce na rękę i na blaszce na szyi. Jaki pożytek z identyfikatorów, skoro ludzie ich nie czytają? – Musi pani powiedzieć doktorowi Wrightowi, żeby zadzwonił do doktor Lander. Niech mu pani powtórzy...

– Nic nie mów, Maisie – powstrzymała ją pielęgniarka. – Czy doktor Lander cię leczy?

– Nie. Ona...

– Czy leczy cię doktor Wright?

– Nie. On zna doktor Lander. Wspólnie prowadzą badania naukowe.
Pojawiła się inna pielęgniarka.

– Ona jest z pediatrii. Wirusowe zapalenie wsierdzia. Doktor Murrow już tu idzie.

– Jezu! – westchnął mężczyzna, który krzyknął „W poorządku!”.

– Ktoś za to nieźle oberwie po uszach – dodał ktoś inny, kogo Maisie nie widziała.

– Gotowe – jednocześnie oznajmiła pielęgniarka instalująca kroplówkę i wszyscy prędko popędzili z powrotem korytarzem, którym przyszła Maisie.

– Zaraz, proszę zaczekać! – sprzeciwiła się Maisie. – Ktoś musi powiedzieć doktorowi Wrightowi, żeby zadzwonił do doktor Lander. On pracuje w drugim skrzydle. Niech ktoś mu powie, żeby przekazał pani doktor, że tym razem nie widziałam tylko mgły, zobaczyłam całą masę innych rzeczy. Światło, ludzi i kobietę w białej sukience...

Pielęgniarki wymieniły spojrzenia nad głową dziewczynki.

– Leż nieruchomo – przykazała pielęgniarka podłączająca jej kroplówkę.

– Nic ci nie będzie.

– Miałaś zły sen – dodała druga.

– To nie był sen – upierała się Maisie. – Miałam doświadczenie graniczne. Niech panie powiedzą doktorowi Wrightowi, żeby do niej zadzwonił.

Pierwsza pielęgniarka poklepała ją po dłoni.

– Ja jej powiem.

– Nie – sprzeciwiła się Maisie. – Ona się wyprowadziła do New Jersey. Musi pani powiedzieć doktorowi Wrightowi, aby jej przekazał.

– Powiem mu – odparła pielęgniarka. – A teraz nie ruszaj się i odpoczywaj. Zajmiemy się tobą.

– Niech pani obieca.

– Obiecuję.

Dziewczynka się ucieszyła. Teraz na pewno zadzwoni. Zadzwoni, jak tylko się dowie, że Maisie miała doświadczenia graniczne.

Nie zadzwoniła.

Rozdział 44

„Umieranie jest czym innym, niż ludzie sobie wyobrażają”.

Ostatnie słowa świętego Bonifacego, wypowiedziane, kiedy do jego ust wlewano płynny ołów

Joanna długo stała przy relingu, spoglądając w ciemność. Potem podeszła do leżaków i usiadła na jednym z nich.

Otoczyła rękoma kolana i rozejrzała się po pokładzie łodziowym. Nie zauważyła nikogo. Lampy rozświetlały żółtymi plamami puste żurawiki po łodziach ratunkowych i rzędy leżaków, ustawionych przy ścianie sterówki i sali gimnastycznej. Znikł wszelki ślad po oficerach, kierujących załadunkiem łodzi, po J.H. Rogersie i po orkiestrze. A także po Gregu Menottim.

Nic dziwnego. „Umieramy samotni, zgodnie z wolą Nieba” jak powiedział pan Briarley, odczytując głośno fragment z *Luster i labiryntów*. Z kolei pani Woollam stwierdziła: „Śmierć to coś, z czym wszyscy musimy sobie poradzić sami”.

– „Sam pozostałem, sam, sam jeden na wielkim wód rozłogu!”^{30} – powiedziała Joanna, a jej głos zabrzmiał cicho i żałośnie w ciszy panującej na statku. Nie bądź dzieckiem, przykazała sobie. Przecież sama chciałaś się dowiedzieć wszystkiego o śmierci. No i teraz masz okazję. Z pierwszej ręki. – „Śmierć jest także wielką przygodą”^{31} – oświadczyła stanowczo, lecz znowu zabrzmiała niepewnie i nieprzekonująco.

Na pokładzie panowała cisza i dziwny spokój. „Jakby oczekiwanie i nieoczekiwanie”, powiedział pan Wojakowski, mając na myśli dni poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej. Miał na myśli świadomość jej nadejścia, oczekiwanie na jej początek.

Joanna zastanawiała się, czy powinna coś zrobić. Benjamin Guggenheim i jego służący zeszli pod pokład, aby się przebrać w stroje wieczorowe, lecz kabiny mieszkalne znajdowały się już pod wodą. Nie możesz nic zrobić.

Jesteś martwa. Już nigdy nic nie zrobisz. Nie jesteś nawet tutaj, tylko na oddziale nagłych wypadków, na stole do badań, na którym zmarłaś, z twarzą przykrytą prześcieradłem, i nie możesz nawet ruszyć palcem.

– Ale potrafisz jeszcze myśleć – powiedziała głośno, zakłócając ciszę pokładu łodziowego. – Wiesz, co się z tobą dzieje. – Przypomniała sobie Lavoisiera, który nie stracił świadomości po ścięciu głowy i dwanaście razy mrugnął, dobrze wiedząc, że jest martwy. Poczowała, jak w jej gardle narasta groza.

Przypomniała sobie, że Lavoisier zdawał sobie sprawę ze swojej śmierci tylko przez kilka sekund. Ciekawe, ile trwa dwanaście mrugnięć oczyma. Pan Wojakowski opowiadał, jak zginął jego kolega Bud Roop: „Trach! Raz, dwa i po wszystkim. Nawet się nie zorientował, co go uderzyło”. Natychmiastowy zgon. Problem w tym, że śmierć wcale nie jest natychmiastowa. Mózg umiera przez cztery do sześciu minut, a Richard wierzy, że nie istnieje związek między czasem w doświadczeniach granicznych i czasem rzeczywistym. Kiedy obeszła cały statek, była nieprzytomna tylko przez kilka sekund.

– Mogę tu spędzić jeszcze wiele godzin – powiedziała na głos.

Pomyślała, że i tak przebywa tu już dość długo. Zeszła do biblioteki i salonu jadalnianego pierwszej klasy. Spędziła na statku dużo czasu, wiedząc, że jednocześnie obumierają komórki mózgu, a połączenia synaptyczne są zrywane jedno po drugim. Wkrótce ich zabraknie, aby tworzyć ujednoczony obraz. W przeciągu czterech do sześciu minut komórki zginą. Joanna wiedziała, że wtedy przestanie cokolwiek pamiętać, myśleć, straci poczucie lęku. Ogarnie ją nicość. Nicość. Zabraknie nawet ciszy i ciemności, a także świadomości ich istnienia. Nicość.

– Nicość – stwierdziła głośno, zaciskając dłonie na drewnianych poręczach leżaka. Pomyślała, że nie będzie sobie tego uzmysławiać. Przestanie się bać. Straci świadomość, zapomni, zaśnie.

– „Usnąć! Śnić może?”^{32} – mruknęła, lecz marzenia senne nie wchodziły w grę, skoro nie będzie synaps, acetylocholino i serotoniny. Nicość. – Przestaniesz istnieć – powiedziała sobie. – Nie będzie cię.

Nie będzie. Ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej. Nic dziwnego, że ludzie uwielbiają książkę pana Mandrake’a. Nie chodzi im o krewnych i o Świetliste Anioły. Oczekują potwierdzenia, że po śmierci wciąż będą istnieć, że po tamtej stronie znajdą coś, cokolwiek. Choćby piekło albo *Titanica*. Lepsze to niż nic.

Ale *Titanic* tonie, uświadomiła sobie i poczuła panikę, podchodzącą jej do gardła jak mdłości. Jej serce zaczęło mocniej bić. Pomyślała, że to strach, co dowodzi, że doświadczenia graniczne nie są poduszką ochronną wytworzoną przez endorfiny. Spojrzała na dłoń, lepka i mokra, i przycisnęła ją do piersi. Serce gwałtownie łomotało, oddychała pośpiesznie i płytko – typowe objawy lęku. Przycisnęła dwa palce do nadgarstka i zmierzyła tętno. Dziewięćdziesiąt pięć. Sięgnęła do kieszeni po długopis i papier, aby zanotować wynik badania i przekazać go potem Richardowi.

Przekazać go Richardowi. Pomyślała, że wciąż w to nie wierzy. Przyłożyła dłoń do boku. Wciąż nie mogła się pogodzić z własną śmiercią.

„To niemożliwe, aby ludzki umysł pojął własną śmierć”, obwieściła kiedyś ostro Richardowi. Wyobrażała sobie, że poczuje ukojenie, będzie chroniona przed straszną świadomością zniszczenia. Nic podobnego. Wiedziała, że śmierć raczej przypomina drażniącą ucieczkę poza pole zasięgu, jak w wypadku świateł *Californian*, dających złudne poczucie nadziei nawet po tym, jak wszystkie łodzie opuściły statek, a światła gaśły.

„Nadzieja jest wieczna”. Joanna uznała, że to nie powiedzenie Pollyanny, tylko groźba. Zastanowiła się przerażona, czy Lavoisier nie wzywał pomocy. Kropka, kropka, kropka, kreska, kreska, kreska, kropka, kropka, kropka. Mrugnął dwanaście razy. SOS. SOS.

Nadzieja nie jest ochroną, tylko karą. Prawdziwe piekło. Ale przecież to niemożliwe, przecież napis nad bramą piekła głosił: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”. To jednak było polecenie, nie stwierdzenie, i być może na tym właśnie polegała prawdziwa męka piekielna, nie ogień, siarka i potępienie, tylko ciągła nadzieja, nawet kiedy rufa uniosła się nad wodę, kiedy zewsząd buchały płomienie, spływała lawa i zbliżał się rozpedzony pociąg, zawsze istniała nadzieja, że w ostatniej chwili uda się ocaleć. Tak jak w kinie.

Joanna pomyślała, że niekiedy nadzieja nie okazywała się złudna, czasami udawało się ściągnąć posiłki.

– Właśnie dlatego chciałam przekazać wiadomość Richardowi – powiedziała głośno i przypomniała sobie, jak usiłowała poruszyć ustami, kiedy Vielle pochylała się nad nią z przejęciem, próbując jej wysłuchać, ściskając ją mocno za rękę.

Nie pożegnałam się z Vielle. Pomyśli, że to jej wina.

– Vielle, to była moja wina – oświadczyła głośno, jakby przyjaciółka mogła ją usłyszeć. – Nie zwróciłam uwagi na otoczenie. Za bardzo się

zajęłam nawiązaniem łączności z przyłądkiem Race. Nawet nie zauważyłam, co się dzieje. Z nikim się nie pożegnałam! – wykrzyknęła i gwałtownie zerwała się na nogi, jakby wciąż nie było za późno. Bez słowa opuściła Kit, której narzeczony i wujek już ją zostawili. – Nie powiedziałam nawet do widzenia Richardowi – stwierdziła. Ani Maisie.

Maisie. Obiecała jej, że do niej wpadnie. Będzie czekała. Poczowała dreszcz przerażenia. Potem przyjdzie Barbara i powie jej, że nie żyje. Zrobiła krok w przód, jakby chcąc zatrzymać Barbarę, lecz nie mogła już nikogo przed niczym powstrzymać. Myliła się w sprawie kary dla zmarłych – to nie nadzieja lub zapomnienie są najgorsze, lecz wspomnianie niedotrzymanych obietnic i niemożność pożegnania się z bliskimi.

– Och, Maisie – westchnęła Joanna i usiadła na skraju leżaka. Ukryła twarz w dłoniach.

– Czy ma pani prawo tutaj przebywać, pani Lander? – spytał surowy głos. – Gdzie pani przepustka?

Podniosła wzrok. Tuż obok stał pan Briarley, ubrany w szarą tweedową kamizelkę.

– Pan Briarley... Co takiego? – wykrztusiła. – Co pan tu robi? Czy pan też umarł?

– Czy ja umarłem? – Zastanowił się. – Jakie mam odpowiedzi do wyboru? „Ani ryba, ani drób, ani żywy, ani trup”. Uśmiechnął się i dodał poważnie: – Co pani tu robi, zupełnie sama?

– Chciałam przekazać wiadomość. – Zapatrzyła się w ciemności za relingiem.

– I udało się pani?

Pomyślała, że nie, i przypomniała sobie zmartwiony głos Vielle: „Ćśśś, kotku, nic nie mów”, a także swój własny, krztuszący się z powodu krwi wylewającej się z płuc i z gardła. Rezydent krzyczał: „Jeszcze raz. Strzelamy. Już”, a wszędzie wokół wył alarm reanimacyjny, zagłuszający wszystko, zupełnie wszystko.

Nie, Vielle mnie nie słyszała. Nie zrozumiała mnie, nie powiedziała nic Richardowi. Ta świadomość była gorsza niż wizja Barbary informującej Maisie o śmierci Joanny. Gorsza od wszystkiego.

– Nie – odparła głucho. – Nie udało mi się.

– Wiem – stwierdził pan Briarley, wyglądając za reling. – Wiem. Niekiedy sam próbuję. Ale to za daleko. – Położył rękę na jej ramieniu. Dotknęła jej własną dłonią i oboje stali tak przez chwilę. Wreszcie pan

Briarley wyciągnął rękę i lekko poklepał Joannę po dłoni. – Strasznie tu zimno. – Pociągnął ją, żeby wstała. – Chodźmy – poleciał i poszedł przed siebie.

– Dokąd idziemy? – spytała Joanna, usiłując za nim nadążyć.

– Do palarni pierwszej klasy – odparł przez ramię. – Trochę tam duszno, jak się nietrudno domyślić, ale za to pomieszczenie jest bliżej rufy, a bierne palenie już nas nie powinno martwić.

Joanna w końcu zrównała się z panem Briarleyem.

– A dlaczego tam idziemy?

– Jedno z błogosławieństw śmierci polega na tym, że nie musimy się już bać umierania – ciągnął, jakby jej nie usłyszał. – Straciwszy życie w jeden sposób, siłą rzeczy nie można umrzeć w inny. Jak pisał Carlyle... – Zerknął surowo na Joannę. – Pamięta pani Thomasa Carlyle’a? To angielski autor...? Czego? To będzie na egzaminie końcowym.

– *Francuskiej rewolucji* – odparła Joanna, myśląc o dekapitacji Lavoisiera.

– Bardzo dobrze. – Pan Briarley na chwilę zwolnił krok. – Poza tym napisał: „Katastrofa całego systemu słonecznego i gwiazdowego może zabić tylko raz”.

Przeszedł energicznie po pokładzie, podobnie jak wcześniej na Scotland Road. Joanna musiała niemal biec, aby za nim nadążyć. Poczowała zmęczenie. Co prawda nie widziała, aby pokład się pochylał, ale musiało tak być. Czuła się niepewnie i kilkakrotnie uderzyła dużym palcem u nogi o drewniane deski.

– Zawsze się bałem śmierci w katastrofie samolotu – wyznał pan Briarley. – A także ścięcia, co może wynikać ze związku dekapitacji z angielską literaturą. Sydney Carton, Raleigh i sir Thomas More. More powiedział katu: „Ja się zajmę wejściem na górę, a ty się zajmiesz moim zejściem”. Dowcipny do ostatka.

Pokręcił głową.

– Bałem się też umrzeć na atak serca, chociaż z perspektywy czasu wiem, że każda z tych trzech śmierci byłaby błogosławieństwem. Wszystkie są szybkie, niemal bezbolesne, a mózg sprawnie funkcjonuje do samego końca. – Otworzył drzwi, prowadzące do głównych schodów. Orkiestra ustawiła się na szczycie schodów, grając piosenkę Gilberta i Sullivana. – Człowiek nie boi się już wulkanów, katastrof sterowców ani torped. Ani utonięcia – uzupełnił i skierował się w dół kręconych schodów.

Joanna pomyślała, że to jeszcze nie może być koniec, i przystanęła, aby przyjrzeć się orkiestrze. Nie grają *Bliżej Ciebie, Panie* ani *Jesieni*. Przyszło jej do głowy, że teraz się przekona, jaki utwór wykonywali.

– Proszę tutaj – zawołał z dołu pan Briarley. – Czekają.

Joanna zeszła niżej.

– Kto czeka?

Pan Briarley stał w cieniu tuż nad pierwszym podestem. Pod nim schody zakręcały i nikły w ciemności. Oraz w wodzie.

– Kto na mnie czeka? – ponowiła pytanie Joanna, schodząc ostrożnie.

– Jest cała masa rodzajów śmierci, których pani nie musi się już bać. Przedawkowanie narkotyków. Rany postrzałowe...

Rany postrzałowe. Martwy nastolatek z nożem, leżący na podłodze oddziału nagłych wypadków. Martwy. Joanna się zatrzymała z ręką na poręczy.

– Wszyscy są tutaj? – spytała bez tchu. – Wszyscy zmarli? Na statku?

– Wszyscy? – zdumiał się pan Briarley. – Katastrofa *Titanica* była kolosalna, ale na pokładzie przebywało tylko dwa tysiące ludzi. To zaledwie ułamek łącznej sumy zgonów z każdego dnia – wyjaśnił i szedł coraz niżej.

– Nie o to mi chodziło – sprzeciwiła się i pomyślała, że chciałaby wiedzieć, czy on tu jest, gdzieś pod pokładem, czy na nią czeka? – Miałam na myśli to, czy są tu wszyscy ludzie, którzy umarli wtedy, co ja? – spytała głośno. – W Szpitalu Miłosierdzia?

Pan Briarley zatrzymał się stopień nad podestem i spojrzał na nią.

– Schodzimy tylko do pokładu z promenadą – stwierdził i wskazał na szerokie drzwi, prowadzące na zewnątrz.

Joanna kurczowo chwyciła poręcz.

– Mówił pan prawdę, że nie możemy umrzeć więcej niż raz?

Skinął głową.

– „Po pierwszej śmierci nie ma następnej”. – Pokonał ostatnie dwa stopnie i doszedł do drzwi. – Dylan Thomas. „Odmowa żałoby po dziecku, które zginęło w płomieniach” wyjaśnił i wciąż mówiąc, wyszedł na dwór.

– Co to znaczy „śmierć dziecka”? – spytała Joanna. Puściła poręcz i zbiegła po pozostałych schodach. – Co to znaczy „w płomieniach”?

Pan Briarley szedł szybko po pokładzie z promenadą.

Stwierdzenie „nie ma następnej” jest dwuznaczne. To aluzja do cudzego zgonu, budzącego nas do naszej śmiertelności, oraz do Zmartwychwstania,

lecz można to także zrozumieć dosłownie. Nie ma następnej. Po naszej pierwszej śmierci nie możemy zginąć od uderzenia piorunem czy z powodu choroby serca...

– Czy jest tutaj Maisie?

– Albo na gruźlicę lub niewydolność nerek, wirus Ebola ewentualnie z powodu migotania komór.

– Czy Maisie zmarła? – spytała zrozpaczona Joanna. – Wtedy gdy Barbara powiedziała jej o mojej śmierci? Dostała migotania komór?

– Nie trzeba się już bać szafotu – dodał pan Briarley. W tym miejscu czuło się większy chłód, chociaż ta część pokładu z promenadą była oszklona. Joanna zadrżała. – Ani gilotyny. – Ostrożnie dotknął szyi. – Ani otrucia strychniną. Ani rozległego zawału... – *i znalazła się w ciemnym korytarzu, po omacku podążając w stronę szaleńczo dzwoniącego telefonu, przepychając rękę przez koszulę, wyszukując włącznik światła i telefon, niemal zrzucając słuchawkę, jej serce łomotało, wiedziała, co usłyszy, „To twój ojciec...”*

– Co to było? – spytała Joanna. Przywarła do jednego z okien, wpatrując się w odbicie swojej własnej, przerażonej twarzy.

– Co takiego? – Z połowy pokładu odezwał się zirytowany pan Briarley.

– Coś się właśnie stało – odparła, obawiając się poruszyć, aby to się nie powtórzyło. – Wspomnienie...

– To z powodu zimna. Chodźmy, w palarni jest cieplej. Rozpalili tam w kominku ogień.

– Ogień? – powtórzyła Joanna. Dym i ogień. Śmierć dziecka w płomieniach. Odwróciła się od okna i podbiegła do pana Briarleya.

– Niech pan powie, że Maisie tu nie ma.

– Ogień to jeszcze jeden rodzaj śmierci, którego nie musi się pani obawiać. Paskudna, powolna śmierć. Joanna d’Arc, arcybiskup Cranmer, Mała Panienka... A, jesteśmy na miejscu – oznajmił i zatrzymał się przed ciemnymi drewnianymi drzwiami.

Rozdział 45

*„Bez oficjalnego wystawiania zwłok (...)
skromna uroczystość (...) bez przemówień (...)
bez balsamowania ciała (...)”*

Fragment poleceń Franklina Delano Roosevelta,
dotyczących jego pogrzebu, a znalezionych po uroczystości,
podczas której całkowicie je zlekceważono

Pogrzeb Joanny miał się odbyć dopiero we wtorek. Tę wiadomość przyniosła Richardowi Vielle.

– Jej siostra nie ufa miejscowym duchownym i nie chce, żeby którykolwiek z nich prowadził uroczystość. Chce koniecznie sprowadzić z Wisconsin własnego specjalistę od ogni piekielnych i potępienia.

– We wtorek – powtórzył Richard. Termin wydawał się odległy o lata świetlne.

– O dziesiątej. – Wręczyła mu kartkę z adresem domu pogrzebowego. – Chciałam cię tylko zawiadomić. Muszę wracać na oddział. – Wbrew zapowiedzi nie wyszła z laboratorium.

Stała przy drzwiach, kiwając zabandażowaną ręką. Miała zmartwioną minę.

– To, co powiedziała Joanna... – odezwała się w końcu. – To mogło nic nie znaczyć. Ludzie wygadują rozmaite bzdury. Pamiętam jednego staruszka, który w kółko mamrotał: „Nerkowce są luzem”. Niekiedy sądzisz, że chcą ci powiedzieć jedno, a tak naprawdę próbują wyznaczyć co innego. Miałam kiedyś pacjentkę z niedokrwieniem mózgu, która wciąż powtarzała „wody”, a kiedy podawaliśmy jej szklanekę wody do picia, odtrącała ją. Okazało się, że mówi: „Władek”.

– I co z tego? – spytał z goryczą Richard. – Myślisz, że Joanna tak naprawdę mówiła „Suez”? Albo „sos”? Oboje doskonale wiemy, co usiłowała powiedzieć. Wzywała pomocy. Chciała mi przekazać, że jest na *Titanicu*.

Wyciągnął wtyczkę monitora EKG.

Właśnie o tym zamierzała mnie poinformować, kiedy biegła na oddział nagłych wypadków – ciągnął, zwijając przewód. – Tak się śpieszyła, że wpadła prosto na nóż tego chłopaka. Zamierzała powiedzieć, że to nie złudzenie, że naprawdę znalazła się na *Titanicu*.

– Ale jak to możliwe? Doświadczenia graniczne to zjawisko typowe dla umierającego mózgu.

– Nie wiem. – Usiadł i oparł głowę na rękach. – Nie wiem.

Vielle wyszła, lecz późnym popołudniem, a może następnego dnia zjawiała się znowu.

– Rozmawiałam z Patty Messner. Wpadła na Joannę w chwili, gdy wchodziła na oddział nagłych wypadków. Spytała, czy jest tam doktor Jamison. Powiedziała: „Muszę znaleźć doktora Wrighta. Wiesz, gdzie on jest?”

Musiał wciąż skrywać w sobie nadzieję, że coś albo ktoś inny sprowadził Joannę na oddział, bo kiedy Vielle mówiła, czuł się tak, jakby słyszał Tish, bez końca powtarzając wiadomość o śmierci Joanny. Nieco otępiały, zastanawiał się, dlaczego Vielle pokonał tak długą drogę, aby mu o tym powiedzieć.

– Patty twierdzi, że Joanna się śpieszyła, właściwie nie mogła złapać oddechu. Wydaje mi się, że się mylisz – ciągnęła Vielle. – Nie wiesz, co ci chciała powiedzieć.

Urwała, spodziewając się prośby o wyjaśnienie, a gdy jej nie usłyszała, mówiła dalej:

– Kiedy mnie postrzelono, nie powiedziałam o niczym Joannie, bo wiedziałam, jak zareaguje. Zawsze mi powtarzała, że powinnam się przenieść z nagłych wypadków, bo stanie mi się krzywda. Wcale nie miałam ochoty, aby się dowiedziała, że miała rację. – Spojrzała z wyczekiwaniem na Richarda.

– A Joanna wiedziała, że nazwę ją wariatką, gdyby mi powiedziała, że znalazła się na *Titanicu*, czy o to ci chodzi? – spytał.

– Chodzi mi o to, że przez kilka dni unikałam Joanny, aby nie widziała mojego bandaża. Gdyby to naprawdę był *Titanic*, Joanna na pewno nie krążyłaby po szpitalu i nie szukała ciebie. Nie rozumiesz? – przekonywała.
– Z całą pewnością odkryła coś dobrego, co według niej mogło cię uszczęśliwić.

To brzmiało przekonująco. Wersja Vielle prezentowała się sensownie, przynajmniej do pewnego momentu. „Tak się śpieszyła, że niemal po mnie przebiegła”, mówił pan Wojakowski. Może chciała przekazać mu jakąś dobrą wiadomość, uzyskaną od jednego z pacjentów. Bez względu na to, jaka była jej treść, przyćmiło ją to, co się stało Joannie, przytłumiły panika i groza uwięzienia na pokładzie statku. Racjonalizowanie problemu przez Vielle nie miało znaczenia. Joanna chciała powiedzieć: „Jestem na *Titanicu*. Tonjemy”.

– Myślę, że powinieneś sprawdzić, o co jej chodziło, co ci pragnęła przekazać – zasugerowała Vielle i wyszła, tym razem na dobre.

Zjawili się za to inni ludzie, z książkami i radami. Pani Dirksen z działu kadr ofiarowała mu książkę *Siedem strategii pogodzenia się z cudzą śmiercią*.

– To niezdrowo tak siedzieć w samotności, jak pan. Powinien pan wyjść i spotykać się z innymi, postarać się nie myśleć o tej tragedii – poradziła.

Ann Collins dała mu Słowa ukojenia w chwilach próby.

– Bóg nigdy nie zsyła na nas więcej, niż możemy znieść.

Ktoś z działu kierowania kadrami wręczył mu ulotkę z informacją o organizowanych przez szpital środowych warsztatach „Jak sobie radzić ze stresem pourazowym”.

Zjawiała się też drobna i młoda blondynka z krótkimi włosami. Jej pojawienie się przerosło nadwątlone siły Richarda.

– Jestem... Byłam przyjaciółką Joanny Lander – wyjąkała. – Nazywam się Kit Gardiner i przyszłam...

Przerwał jej gwałtownie.

– ...powiedzieć mi, że to nie moja wina, że nic nie mogłem zrobić? Albo że śmierć była szybka i Joanna nie cierpiała? A może obwieści mi pani, że życie toczy się dalej? Albo wszystko na raz?

– Nie. Przyniosłam książkę. To...

– No jasne, książka – syknął. – Prosta odpowiedź na wszelkie problemy. Jaki jest jej tytuł? *Pięć prostych kroków do zapominania*?

Nie wiedział, co chciał osiągnąć swoim zachowaniem. Spodziewał się, że ją zrani i zaskoczy, że w jej oczach pojawią się łzy, że ciśnie książkę na ziemię i każe mu iść do diabła?

Nic podobnego. Spojrzała na niego spokojnie, bez śladu łez, a potem stwierdziła łagodnie:

– Spoliczkowałam moją ciotkę Marthę. Kiedy zmarł mój narzeczony. Powiedziała mi, że Bóg go potrzebował w niebie, a ja nie wytrzymałam i ją uderzyłam. Sześćdziesięcioletnią kobietę. Powiedzieli potem, że nie byłam sobą, że żal odebrał mi rozum. To nieprawda. Ludzie opowiadają niewiarygodne bzdury. Zasługują na to, żeby ich spoliczkować.

Wpatrywał się w nią z ulgą.

– Oni... – zaczął.

– Oni każą się z tym pogodzić – stwierdziła Kit. – Wiem. Mówią, że to niezdrowo tak się przejmować. I twierdzą, że nie można się obwiniać, bo nie miało się na to wpływu...

– ...i nikt nie mógł z tym nic zrobić – uzupełnił Richard. – To kłamstwo. Gdybym tam dotarł wcześniej, gdybym miał włączony pager... – Urwał, nagle wyobrażając sobie, że Kit wyjaśni, iż nie mógł tego przewidzieć, ale nie powiedziała.

– Wszyscy mi mówili, że to nie moja wina. Z wyjątkiem wujka Pata. – Urwała i spojrzała na książkę, którą trzymała w dłoniach. – To straszne słuchać, że coś nie jest twoją winą, chociaż świetnie wiesz, że to nieprawda. Wie pan co, przyjdę innym razem. – Podeszła do drzwi. – I tak ma pan wystarczająco dużo zmartwień.

– Niech pani zaczeka. Przepraszam, że się zachowałem nieuprzejmie. To wszystko dlatego...

– Wiem. Moja mama uważa, że ludzie nie wiedzą, co powiedzieć i dlatego starają się pocieszać, jak umieją najlepiej. Ale wujek Pat mówi... mówił, że nic nie usprawiedliwia wygadywania takich głupot jak to, że to minie. – Spojrzała na Richarda. – To nigdy nie mija. Przenigdy. Ludzie twierdzą, że z czasem człowiek zaczyna czuć się lepiej. To też bzdura.

Jej słowa brzmiały przygnębiająco, lecz paradoksalnie, Richard poczuł się lepiej.

– „Wydaje ci się, że nie może być gorzej” – zacytował Vielle. – „A potem dzieje się coś takiego”.

Kit skinęła głową.

– Znalazłam książkę, o którą prosiła mnie Joanna w dniu swojej śmierci. Dzwoniłam i proponowałam, że ją przywiozę, lecz Joanna wołała przyjechać po nią osobiście.

Richard pomyślał, że gdyby Kit dostarczyła książkę, być może Joanna nie znalazłaby się na oddziale nagłych wypadków w chwili, gdy przebywał tam chłopak z nożem. Zdumiało go, że każdy znajdzie sposób, aby się

obwinić. Gdyby obserwatorzy dostrzegli górę lodową pięć minut wcześniej, gdyby radiotelegrafista na *Californian* nie poszedł spać, gdyby *Carpathia* płynęła bliżej. To zdumiewające, jak wiele poczucia winy i „gdybania” towarzyszy każdej tragedii.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że *Titanic* płynął zbyt prędko, na jego pokładzie brakowało łodzi ratunkowych, a Richard miał wyłączony pager.

„To moja wina, nie twoja”, chciał powiedzieć, lecz Kit nie dała sobie przerwać.

– Całymi tygodniami szukałam dla niej tej książki, a kiedy ją wreszcie znalazłam, było za późno, aby się do czegokolwiek przydała. Joanna ogromnie pragnęła dowiedzieć się, skąd się biorą doświadczenia graniczne, jak przebiegają. Właśnie dlatego przywiozłam panu tę książkę. Joanna nie miała możliwości dokończenia tego, co zaczęła, lecz niewykluczone, że to pomoże panu w badaniach. – Wyciągnęła do niego książkę.

Nie przyjął jej.

– Zrezygnowałam z dalszego prowadzenia projektu badawczego. – Pomyślał, że Kit powie teraz, iż to tymczasowe załamanie.

Nie powiedziała.

– To podręcznik, z którego Joanna korzystała na lekcjach angielskiego – ciągnęła, jakby słowa Richarda do niej nie dotarły. – Mój wujek był nauczycielem w liceum. Joanna prosiła, żebym poszukała tej książki. Sądziła, że może znajdzie w niej coś, co wyjaśni, dlaczego w swoich doświadczeniach granicznych widziała *Titanica*. – Ponownie wyciągnęła do niego książkę.

– Nie potrzebuję jej. I tak znam już odpowiedź.

– Rozmawiałam z Vielle – oświadczyła Kit. – Powiedziała mi o pańskiej teorii. Myśli pan, że ona naprawdę znalazła się na *Titanicu*.

– Nie myślę – sprostował. – Wiem.

Joanna tak nie uważała. Sądziła, że *Titanic* to symbol czegoś innego. Starła się dowiedzieć czego. Właśnie dlatego potrzebowała książki. – Położyła ją na stole do badań. – Była przekonana, że wizja *Titanica* ma związek z czymś, co wujek Pat powiedział podczas jednej z lekcji angielskiego. Wujek zachorował na Alzheimera, więc nic nie pamięta, dlatego Joanna poprosiła mnie o pomoc. Uważała, że istnieje związek między książką i podłożem doświadczeń granicznych. Dzięki podręcznikowi chciała się dowiedzieć, dlaczego widzi *Titanica*.

– Wiem, dlaczego go widziała. Bo ta wizja to rzeczywistość. Uzyskałem potwierdzenie z zewnątrz.

– Chodzi panu o to, że powiedziała „SOS”? To mogło oznaczać mnóstwo...

– Nie.

– Więc dlaczego?

– Bo udałem się za nią.

Wpatrywała się w niego przez długą chwilę.

– Za nią? Nie rozumiem.

– Wywołałem w sobie doświadczenia graniczne, aby ją uratować. – Wskazał ręką na skaner RIPT i stół do badań. – Wprowadziłem się w stan symulowanej śmierci klinicznej, żeby podążyć za Joanną i ją uratować.

– Podążył pan za nią? – Kit usiłowała pojąć jego słowa. – Na *Titanica*?

– Nie – odparł z goryczą. – Spóźniłem się.

– Nie rozumiem.

– Najwyraźniej istnieje kilka rodzajów piekła. Moje polegało na tym, że stałem w tłumie w biurze firmy White Star i słuchałem, jak odczytywano oficjalną listę nazwisk zaginionych pasażerów.

– Był pan tam?

– Byłem tam. To wszystko działo się naprawdę. Utonęła wraz z *Titanikiem*. I wzywała mnie na pomoc. Zjawiłem się za późno. – Wreszcie wszystko z siebie wyrzucił, podzielił się z kimś swoim problemem, dał upust kłębiącym się w nim uczuciom. Zgodnie z przekonaniem autora książki *Osiem rad po stracie bliskiej osoby* powinien się teraz poczuć lepiej, prawda? Nieprawda.

A skoro wydobył to z siebie, co może powiedzieć Kit? „Pozwolił pan jej utonąć?” albo: „Tak strasznie mi przykro”, albo: „Nie ma pan pojęcia, co pan mówi. Nie potrafi pan rozsądnie myśleć z powodu żalu”.

Nic podobnego. Powiedziała:

– Skąd pan wie? Skąd pan wie, że znalazł się pan w biurze White Star?

– Po prostu wiem. To było rzeczywiste miejsce – oświadczył i uświadomił sobie, że mówi jak jeden z wariatów pana Mandrake’a, przysięgających, że widzieli Jezusa. Kit tylko pokiwała głową.

– Joanna też twierdziła, że czuła się jak w realnie istniejącym świecie, nie w śnie. Mówiła, że to bardzo przekonująca halucynacja.

Sugerowała mu dobre wyjście z sytuacji, takie jak: „To nie była pana wina” i „Wszystko można wytłumaczyć”, tylko jeszcze lepsze. Według niej

cały problem można wyjaśnić poziomem acetylocholiny, przypadkową pracą synaps i konfabulacją. Wymyślił sobie biuro White Star na podstawie spisanych przez Joannę relacji z doświadczeń granicznych oraz po obejrzeniu filmu i stworzył obraz ujednocający, oparty na uczuciach paniki oraz lęku, wynikający ze stymulacji płąta skroniowego.

Niemal się udało. Richard pamiętał jednak, że umierająca Joanna wezwała go na pomoc: „SOS. SOS”.

– Nie, dziękuję – stwierdził i oddał Kit przyniesioną przez nią książkę.

Pomyślał, że teraz usłyszy, że powinien kontynuować badania, bo jest to winien Joannie, i gdyby żyła, na pewno tego by chciała.

Kit nic nie odpowiedziała.

– Dobrze – stwierdziła krótko i wsunęła książkę do torby, a potem podeszła do biurka i napisała coś na kartce.

– Jeśli jednak uzna pan, że podręcznik może się panu do czegoś przydać, tu jest mój numer telefonu.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i się odwróciła.

– Nie wiem, komu jeszcze mogłabym o tym powiedzieć. Joanna ocaliła mi życie. Mój wujek... Mieszkanie z drugą osobą... – Urwała i zaczęła od początku. – Staczałam się coraz niżej, a pomogła mi stanąć na nogi, przekonała do skorzystania z wykwalifikowanej pomocy opiekuńczej, zaprosiła na wieczór smakołyków. Powiedziała mi... – Wzięła głęboki oddech. – Powiedziała, że chciałaby umrzeć, ratując komuś życie. I tak się stało. Ocaliła mi życie.

Kit wyszła, lecz wkrótce zjawił się przewodniczący zarządu szpitala, aby przypomnieć mu o warsztatach „Jak sobie radzić ze stresem pourazowym”, a potem siostra Hawley z *Praktycznym poradnikiem żałobnika* oraz starszy wiekiem wolontariusz z egzemplarzem *Księgi mormona*. We wtorek przyszła Eileen w towarzystwie dwóch innych pielęgniarek z drugiego piętra w zachodnim skrzydle, aby zabrać go na pogrzeb.

– Nie przyjmujemy do wiadomości odmowy – oświadczyły. – W takich chwilach nie można być samemu.

Richard podejrzewał, że zjawiły się u niego za sprawą Tish, lecz chociaż wreszcie trochę spał, czuł się potwornie zmęczony i nie mógł się na niczym skoncentrować, toteż nie przychodziła mu do głowy żadna wiarygodna wymówka. Wchodząc do ciasnego auta, pomyślał, że może to dobry pomysł. Nie był pewien, czy dałby sobie radę z prowadzeniem.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje – stwierdziła jedna z pielęgniarek, kiedy tylko opuścili parking.

– Przynajmniej nie cierpiała – dodała druga. – Właściwie co ona robiła na nagłych wypadkach?

– Myślał pan już o terapii dla osób, które utraciły kogoś bliskiego? – zainteresowała się Eileen.

– Mam fantastyczną książkę, powinien pan ją przeczytać – oświadczyła pierwsza. – Nosi tytuł *Żałoba w ćwiczeniach* i zawiera opisy rozmaitych zadań przydatnych przy pokonywaniu depresji.

W kościele panował tłok. Przybyli głównie pracownicy szpitala, dziwnie wyglądający bez fartuchów i kombinezonów. Richard dostrzegł pana Wojakowskiego i panią Troudtheim. Przy drzwiach narteksu stała siostra Joanny w towarzystwie dwóch dziewczynek. Zastanowił się, czy Maisie też przyszła, lecz przypomniał sobie, że jej matka wytrwale chroni ją przed wszelkimi „negatywnymi doświadczeniami”.

– Popatrz, przyszedł ten przystojny policjant, który przyjmował nasze zeznania – uradowała się jedna z pielęgniarek, wskazując na wysokiego Murzyna w ciemnoszarym garniturze.

– Nigdzie nie widzę Tish – poskarżyła się druga, wyciągając szyję.

– Nie przyjdzie – wyjaśniła pierwsza. – Powiedziała, że nie znosi pogrzebów.

– Ja też nie – przyznała się druga.

– To nie pogrzeb – sprostowała Eileen. – To uroczystość żałobna.

– A jaka to różnica? – zainteresowała się pierwsza.

– Nie ma ciała. Rodzina później się zajmie pochówkiem.

Jednak kiedy weszli do kaplicy, w środku stała trumna z brązu, z uchyloną połową wieka. Druga połowa skrywała się pod naręczami białych chryzantem i goździków.

– Nie musimy przechodzić obok i patrzeć na nią, prawda? – przeraziła się niższa pielęgniarka.

– Ja tego na pewno nie zrobię – zadrzała Eileen i usiadła na ławie. Jej obydwie koleżanki postąpiły podobnie. Richard stał przez chwilę, wpatrując się w trumnę i zaciskając pięści. W końcu podszedł bliżej. Kiedy zatrzymał się przy otwartym wieku, przez dłuższy czas bał się podnieść wzrok. Obawiał się, że na twarzy Joanny pozostał wyraz grozy i paniki, lecz wyglądała spokojnie.

Jej głowa spoczywała na atlasowej poduszce w kolorze kości słoniowej. Włosy zmarłej ułożono wokół głowy w obco wyglądające loki. Sukienka również wyglądała nieznajomo – miała wysoki koronkowy kołnier, a na piersiach leżał srebrny krzyż. Białe ręce Joanny skrzyżowano na klatce piersiowej, ukrywając uszkodzoną aortę i cięcie po sekcji zwłok.

Obok Richarda przystanąła siwa kobieta.

– Wygląda tak naturalnie – westchnęła.

Naturalnie. W kostnicy wsunięto jej okulary zbyt wysoko na nasadę nosa i nałożono róż na białe policzki, a pozbawione krwi usta zamaskowano grubą warstwą czerwonej szminki. Joanna nigdy w życiu nie używała szminki takiego koloru. Nigdy w życiu.

– Jest taka spokojna – zamyśliła się siwa nieznajoma. Richard spojrzął z nadzieją na oblicze Joanny, licząc, że to prawda. Niestety, poszarzała, pokryta makijażem twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Stał w miejscu jeszcze przez chwilę, wpatrując się w Joannę otępiłym wzrokiem. Wreszcie Eileen zdecydowała się pójść po niego i zaprowadzić go do ławy. Usiadł. Pielęgniarka sugerująca mu lekturę *Dziesięciu kroków* wychyliła się zza Eileen i wręczyła mu jakąś broszurkę. Na okładce widniał tytuł: „Cztery wskazówki, jak przetrwać pogrzeb”. Organista uderzył w klawisze.

Weszła Kit, prowadząc wysokiego, siwiejącego mężczyznę. Towarzyszyła im Vielle. Wszyscy troje usiedli kilka rzędów dalej.

– Czyj to ślub? – zainteresował się mężczyzna, a Kit przysunęła się do niego i coś szepnęła. Nic dziwnego, że w laboratorium nie wstrząsnęły nią jego słowa. Codziennie stykała się z podobnymi potwornościami.

Jedną z nich był pogrzeb. Solista odśpiewał *Stoję na brzegu Jordanu*, a potem pastor wygłosił kazanie o konieczności dostąpienia zbawienia „póki jeszcze jest czas, gdyż nikt nie zna dnia ani godziny, kiedy nagle staniemy przed Bożym sądem”.

– Jak głosi Pismo Święte – oznajmił – kiedy ten sąd nadejdzie, ci, którzy wyznali swoje grzechy i przyjęli Jezusa Chrystusa jako swojego zbawiciela, dostąpią wiecznego żywota, ale ci, którzy go odrzucili, zostaną skazani na wieczne potępienie. A teraz, proszę otworzyć książeczki do nabożeństwa na Pieśni 458. Pieśń 458 zaczynała się od słów: „Bliżej Ciebie, Panie”. Richard doszedł do wniosku, że dłużej tego nie zniesie, i rozejrzał się z rozpaczą w poszukiwaniu drogi ucieczki. Okazało się, że był z obydwu stron zablokowany przez stojących ludzi.

Pastor szeroko rozpostarł i opuścił ręce.

– Proszę usiąść – powiedział. – A teraz, kolega i oddany przyjaciel Joanny chciałby powiedzieć kilka słów o jej życiu. – Skinął głową panu Mandrake'owi, który wstał, trzymając w dłoni plik kartek, i wyszedł na środek. Kiedy się zbliżał do trumny, odwrócił się i uśmiechnął uspokajająco do siostry Joanny.

Gdyby Richard potrzebował jakiegoś dowodu na to, że Joanny już tam nie ma, że jest oddalona o całe lata i oceany od tego miejsca, że tkwi uwięziona na *Titanicu* – otrzymał go.

Gdyby Joanna tu była, nie leżałaby biernie na udrapowanym atłasie, z zamkniętymi oczyma i założonymi rękoma. Nie czekałaby spokojnie na przybycie Mandrake'a. Wyskoczyłaby z trumny i popędziła w stronę podium dla chóru, a stamtąd wypadłaby przez boczne drzwi, wykrzykując to samo, co powiedziała pierwszego dnia: „Jeśli przyjdzie mi z nim rozmawiać, zabiję go”.

Nie poruszyła się. Mandrake podszedł do trumny, spojrzał na Joannę, a z jego ust wciąż nie zniknął ten wstrętny uśmiech. Następnie pochylił się, aby ucałować ją w czoło. Richard musiał poruszyć się gwałtownie, jakby chciał wstać, bo Eileen wyciągnęła rękę, położyła ją na jego ramieniu i przytrzymała go stanowczo.

Mandrake stanął w mównicy i oparł dłonie na jej krawędziach, uśmiechając się lizusowsko do zebranych.

– Byłem przyjacielem Joanny Lander – zaczął. – Być może jej najlepszym przyjacielem.

Richard spojrzał na Vielle. Kit trzymała ją mocno za rękę.

– Mówię to – ciągnął Mandrake – nie tylko bowiem z nią współpracowałem, tak jak wielu z państwa, ale też dzieliłem z nią jeden cel, wspólną pasję. Oboje poświęciliśmy życie odkrywaniu tajemnicy śmierci. Tajemnicy, która dla niej przestała być tajemnicą. – Uśmiechnął się łagodnie do trumny. – Oczywiście wszyscy mamy swoje wady. Joanna zawsze się śpieszyła.

Tak, aby przed panem uciec.

– Niekiedy wyrażała zbyt ni sceptycyzm – oznajmił i zachichotał, jakby wspominał o zabawnej przywarze. – Sceptycyzm to zaleta...

Skąd pan to wie?

– Lecz Joanna często przesadzała i odmawiała dania wiary dowodom, które nie pozostawiały cienia wątpliwości. Dowodom na to, że śmierć to nie

koniec. – Znowu posłał zebrany uśmiech. – Możliwe, że czytali państwo moją książkę *Światło na końcu tunelu*.

– Nie do wiary – mruknęła Eileen. – Wykorzystuje pogrzeb do zareklamowania swojej książki.

– Jeśli państwo ją czytali, wiadomo państwu, że śmierci nie należy się obawiać. Nawet jeśli tym z nas, którzy pozostali, umieranie wydaje się bolesne i przerażające, w rzeczywistości jest inaczej. Oczekują nas bowiem nasi ukochani oraz Świetlisty Anioł. Wiemy o tym z ust tych, którzy widzieli światło, widzieli najbliższych. Wiemy o tym dzięki wiadomościom przyniesionym z Tamtej Strony.

Uśmiechnął się nieszczercze do trumny.

– Joanna w to nie wierzyła. Należała do sceptyków: sądziła, że doświadczenia graniczne to halucynacje, wywołane endorfinami i niedoborem tlenu. – Machnął ręką, jakby się opędział od takich myśli. – Właśnie dlatego jej wyznanie, wyznanie sceptyka, ma tak ogromną wagę.

Zrobił dramatyczną przerwę.

– Słyszałem ostatnie słowa Joanny. Wypowiedziała je do mnie na chwilę przed śmiercią, kiedy zmierzała na spotkanie swojego tragicznego losu. Joanna szła korytarzem do windy, która miała ją zawieźć na oddział nagłych wypadków. Czy wiedzą państwo, co wtedy zrobiła? – Umilkł wyczekująco.

Rozejrzała się z przerażeniem, szukając klatki schodowej, żeby uciec, dopowiedział w myślach Richard.

– Powiem państwu, co zrobiła – kontynuował Mandrake. – Zatrzymała mnie i oznajmiła: „Panie Mandrake, chciałam panu powiedzieć, że miał pan rację w sprawie doświadczeń granicznych. To wiadomość z Tamtej Strony”.

– „Czyżby więc widziała pani, co się kryje po Tamtej Stronie?”, spytałem, a odpowiedź wyczytałem z jej twarzy, promieniującej radością. Przestała wątpić. „Miał pan rację, panie Mandrake”, rzekła. „To wiadomość z Tamtej Strony”. Takiegoż lepszego dowodu potrzeba na to, że czeka nas życie po śmierci? Sama Joanna nam to powiedziała, wydając ostatnie tchnienie, wypowiadając ostatnie słowa.

Ostatnie słowa, pomyślał Richard. Podczas wieczoru smakołyków Joanna stwierdziła: „Dlaczego ludzie w filmach zawsze mówią coś w rodzaju: Mordercą jest... Bum! Wystarczy pomyśleć, że przecież gdyby mieli coś ważnego do powiedzenia, zaczęliby od tego”.

– Joanna wykorzystała swoje ostatnie słowa, aby przekazać nam wiadomość z Tamtej Strony – głosił pan Mandrake. – Jakże moglibyśmy zlekceważyć to przesłanie? Ja na pewno tego nie uczynię. Zamieszczę je w swojej nowej książce *Wiadomości z Tamtej Strony*.

„Robisz to niewłaściwie”, powiedziała Joanna. „Trzeba zaczynać od najważniejszych słów”. „Powiedz Richardowi... SOS”.

– Joanna miała przed sobą tylko kilka minut życia – twierdził pan Mandrake. – I jak się zdecydowała je spędzić? Postanowiła podzielić się z nami swoją wizją życia po śmierci.

„Joanna nie sądziła, że znalazła się na *Titanicu*”, mówiła Kit. „Powiedziała, że chciałaby umrzeć, ratując czyjeś życie”.

Mandrake najwyraźniej skończył. Organy zagrzmiały *Czy zbierzemy się nad rzeką?*, a ludzie zaczęli opuszczać ławy. Richard wyszedł na środek i znieruchomiał, wpatrując się w trumnę Joanny.

„Nie sądzę, aby właśnie to starała się ci przekazać”, mówiła Vielle. „Wydaje mi się, że usiłowała ci wyznać coś dobrego”.

Ludzie mijali Richarda, rozmawiając o kwiatach, śpiewaku, trumnie.

– To niemożliwe, aby odeszła – załkała Nina, zwracając się do patykowatego rezydenta. – Nie mogę w to uwierzyć.

„Nie wierzę w tę wiadomość o Foxxie, a ty?”, głosiła informacja od Davisa, którą nagrał. „Nie mogę uwierzyć w to, co się zdarzyło z tym Foxxem, a ty?”, „Przynajmniej zadzwoń do mnie z ostrzeżeniem, zanim to dotrze do Stara,,. Richard zupełnie nie rozumiał tej wiadomości. „Wciąż powtarzała wody. Okazało się, że mówi Władek,,.

Pastor oparł dłoń na jego ramieniu.

– Czy życzy pan sobie pożegnać się ze zmarłą? – szepnął, za chwilę wieko zostanie zamknięte. – Richard spojrzął przed siebie. Dwóch mężczyzn w czarnych garniturach stało przy trumnie trzymając ręce skrzyżowane na piersiach.

– W sali na dole odbędzie się oficjalny lunch – ciągnął pastor. – Mamy nadzieję, że pan zostanie. – Delikatnie ścisnął rękę Richarda i poszedł do trumny, aby dyskretnie dać sygnał mężczyznom. Przystąpili do zdejmowania kwiatów z trumny.

„Gdybym to ja umierała, zaczęłabym od najważniejszej części, żeby nie ryzykować wrzaśnięcia Aaaa! przed wyrzuceniem z siebie czegoś istotnego”, twierdziła Joanna.

Mężczyźni opuścili wieko.

„Bez względu na to, po co chciała pana znaleźć, to musiało być coś ważnego. Niemal po mnie przebiegła”, opowiadał pan Wojakowski.

– Dobrze się pan czuje? – spytała Eileen, nagle podchodząc do Richarda.

Mężczyźni zablokowali wieko i przesunęli kwiaty na środek trumny.

– Idziemy do Santeramo na pizzę – oświadczyła Eileen, biorąc go pod rękę i wyprowadzając z kaplicy. – Może wybierze się pan z nami?

– Nie – odparł, szukając wzrokiem Kit i Vielle. Nigdzie ich nie widział.

– Dobrze by to panu zrobiło – stwierdziła pielęgniarka, która ofiarowała mu broszurę. – Dzięki temu zająłby pan czymś umysł.

– Powinien pan coś zjeść – dodała druga pielęgniarka.

– Muszę wracać do szpitala. Vielle mnie podwiezie – stwierdził stanowczo i zaczął się przepychać przez tłum w poszukiwaniu Vielle i Kit.

Pastor oraz siostra Joanny stali obok Mandrake’a.

– ...samo uznanie, że istnieje życie po śmierci, to zbyt mało – upierała się siostra Joanny. – Trzeba wyznać swoje grzechy, jeśli chce się dostąpić zbawienia.

Nigdzie nie widział ani Kit, ani Vielle. Musiały wyjść albo zeszły do pokoju niżej. Wszedł na schody prowadzące do piwnicy i wpadł na pana Wojakowskiego, otoczonego wianuszkami starszych pań.

– Witam pana doktora – ucieszył się. – Straszna, okropna sprawa. Widziałem wiele pogrzebów. Na *Yorktown*...

– Kiedy spotkał pan Joannę po raz ostatni, czy powiedziała, co mi chciała przekazać? – spytał Richard.

– Nie. Za bardzo się śpieszyła. Z początku nawet mnie nie słyszała, chociaż kilka razy krzyknąłem. „Czy ktoś zagrał sygnał do boju?”, spytałem. Pamiętam, jak na Midway zagrał sygnał do boju. Rety, ale wszyscy pędzili po hełmy. Wiedzieli, że za pięć minut zacznie się piekło. Biegali po korytarzach tak szybko, że nie mieli nawet czasu włożyć spodni, byli przerażeni jak króliki...

– Joanna się bała? – przerwał Richard. – Wydawała się przestraszona, zdenerwowana?

– Joanna? Nie, skąd. Wyglądała jak mój kumpel z kabiny, Frankie Cocelli, podczas bitwy. Mały i kościsty gość, zdawało się, że bez trudu można go przełamać na pół, ale niczego się nie bał. „Dawajcie ich tutaj!”, ryczał, kiedy wyły syreny, i pędził do boju, jakby się nie mógł doczekać, aż ktoś go zestrzeli. I dograł się. Opowiadałem panu, jak oberwał? Jeden japoński zero...

– A jak wyglądała Joanna? – dopytywał się Richard. – Była rozentuzjasmowana? Podekscytowana?

– No tak. Stwierdziła, że musi pana znaleźć, bo ma panu coś ważnego do przekazania.

– Powiedziała, co to takiego?

– Nie. Więc ten japoński zero...

Richard zauważył Vielle, gdy tylko minął próg.

– Przepraszam – odezwał się i zaczął się bokiem przepychać między ludźmi. – Szukałem cię.

– Stałam na dworze z Kit. Musiała zabrać wujka do domu. Wciąż ją pytał, kto umarł, zupełnie nie mógł przestać. – Potrząsnęła głową. – Biedak. A może szczęściarz. Przynajmniej nie zapamięta tego pogrzebu.

– Muszę z tobą porozmawiać – wyjaśnił. – Chcę wiedzieć, co dokładnie powiedziała Joanna, kiedy umierała.

– Jeśli się martwisz słowami pana Mandrake’a, daj sobie spokój. Kłamie. Joanna nigdy nie odezwała się do niego z własnej woli, nie wspominając już o tych bredniach, że doświadczenia graniczne to wiadomości z Tamtej Strony.

– Wiem – odparł niecierpliwie. – Muszę wiedzieć, co ci powiedziała.

– Nie ma powodu, abyś się nad sobą znęcał...

– Dokładne słowa. To ważne.

Spojrzała na niego z ciekawością.

– Coś się stało?

– Właśnie tego staram się dowiedzieć. Co mówiła? Powtórz ulowo w słowo.

Joanna stwierdziła: „Powiedz Richardowi...” – Vielle podniosła wzrok, usiłując sobie przypomnieć. – „Że to...” Rezydent chciał podać tlen, ale machnęła ręką, żeby przestał. A potem powiedziała: „SOS. SOS”.

Wyciągnął z kieszeni długopis i nabazgrał słowa Joanny na programie uroczystości żałobnych.

– „Powiedz Richardowi... że to... SOS, SOS” – powtórzył. – Czy to wszystko?

– Tak. Nie. Chwilę wcześniej złapała mnie za rękę i powiedziała: „Ważne”.

Ważne.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Vielle.

– Tak – odparł, wpatrując się w program. Powiedz Richardowi, że to... Co? Co takiego chciała powiedzieć, gdy jej przerwano, aby zainstalować dopływ tlenu?

– Posłuchaj, to niedobry pomysł, abyś teraz był sam – stwierdziła Vielle. – Zwłaszcza po tej parodii pogrzebu. – Zerknęła na drugi koniec sali, gdzie stali Mandrake i siostra Joanny. – Kilka osób z nagłych wypadków idzie coś przegryźć. Może się przyłączysz?

– Nie. Muszę wracać do szpitala. – Wyszedł pośpiesznie na parking i zabrał się z panią Dirksen z kadr.

– Piękne kazanie, prawda? – zachwyciła się. – Podobała mi się oprawa muzyczna.

– Mhm – mruknął, błędząc myślami gdzie indziej. Powiedz Richardowi, że to... Ważne. Chciała mu coś przekazać. Coś ważnego.

A jeśli konfabulował? Może nadawał jej słowom znaczenie, którego im brakowało, aby uniknąć konfrontacji z faktem, że wzywała go na pomoc? „Problem z doświadczeniami granicznymi polega na tym, że nie sposób uzyskać potwierdzenia z zewnątrz”, powiedziała kiedyś Joanna.

– Przemówienie pana Mandrake’a było po prostu cudowne – ciągnęła pani Dirksen. Wjechała na parking przy szpitalu. – Pan też tak uważa?

– Dziękuję za podwiezienie – odparł Richard i popędził na skróty do laboratorium.

Przysunął krzesło do szafki, wszedł na nie i sięgnął ręką najdalej, jak potrafił. Nic nie znalazł. Pomacał otwartą dłońią brzegi szafki, a potem przysunął rękę do ściany i z powrotem.

Wyczuł pod palcami kawałek kartonu. Podważył go paznokciami i podniósł. Okazało się, że to różowo-czerwono-złota pocztówka, przedstawiająca zachód słońca w tropikach, z zarysami palm na tle jasnopomarańczowego oceanu. Odwrócił ją, nieco przestraszony, co przeczyta, lecz to nie Joanna napisała wiadomość.

Na górze pocztówki widniały wyraźne, ostro zakończone litery, układające się w słowa: „*Pretty Woman, Tytani, Co kryje prawda*”. Druga część wiadomości również nie wyszła spod pióra Joanny. Ktoś inny nabazgrał tak niewyraźnie, że z trudem dawało się cokolwiek odczytać. „Świetnie się bawimy. Szkoda, że Cię tu nie ma”.

Wiadomość z zaświatów.

Usiadł na krześle, podłączył telefon i wyszukał numer Kit Gardiner.

– Kit – odezwał się, kiedy podniosła słuchawkę. – Chciałbym, żebyś przyszła do szpitala. I wzięła ze sobą książkę.

Rozdział 46

„Powiedz mi, czy cokolwiek już kiedyś zrobiono”.

Słowa często powtarzane w zapiskach Leonarda da Vinci

Spotkali się w bufecie. Richard zadzwonił do Vielle natychmiast po zakończeniu rozmowy z Kit i właśnie pielęgniarka wybrała to miejsce, gdyż chciała być bliżej oddziału na wypadek nagłego wezwania.

– O ile jest otwarty – stwierdziła. – W co wątpię.

Ku ich zdumieniu, bufet był czynny. Richardowi przyszło do głowy, że Joanna nigdy by w to nie uwierzyła, i na myśl o niej po raz pierwszy nie poczuł ukłucia w brzuchu.

Bufet okazał się prawie pusty. Zapewne dlatego, że wszyscy uważają, iż jest zamknięty, uznał, idąc po kawę. Vielle wyjaśniła jednak, że wszyscy poszli na warsztaty poświęcone radzeniu sobie ze stresem pourazowym. Zapłacili ubranej na różowo i wyraźnie zirytowanej kasjerce, a następnie zasiedli przy stoliku w rogu, gdzie czekała już na nich Kit.

– No tak – zaczęła Vielle, stawiając przed sobą colę. – Od czego zaczynamy?

– Spróbujemy odtworzyć to, co Joanna robiła tego dnia – wyjaśnił Richard. – Po raz ostatni widziałem ją w jej gabinecie. Zajmowała się spisywaniem relacji. Poszedłem poinformować ją, że umówiłem się z doktor Jamison na spotkanie o pierwszej i że wrócę na sesję z panią Troudthaim. Wpadłem do niej o wpół do dwunastej. Parę minut po pierwszej powiedziała panu Wojakowskiemu, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, coś tak istotnego, że nie mogła z tym czekać na mój powrót do laboratorium, chociaż wyraźnie zaznaczyłem, że przyjdę przed drugą.

– Ja też z nią rozmawiałam około wpół do dwunastej – odezwała się Kit.

– Zadzwoniłam do niej tuż przed albo zaraz po waszym spotkaniu. Chciałam jej przekazać, że znalazłam książkę, którą kazała mi odszukać.

– I jak się zachowywała? – zainteresował się Richard.

- Sprawiała wrażenie zajętej i rozproszonej.
- Ale nie podekscytowanej? – wtrąciła się Vielle.
- Kit pokręcili głową.
- Pan Wojakowski twierdzi, że kiedy ją spotkał, strasznie się śpieszyła i była bardzo podniecona – wyjaśnił Richard. – Diane Tollafson widziała ją, jak zbiegała po schodach na oddział nagłych wypadków. A zatem co takiego robiła w ciągu tej brakującej półtorej godziny?
- W ciągu godziny – sprzeciwiła się Vielle. – Rozmawiałam z Susy Coplis. Twierdzi, że widziała, jak o pierwszej Joanna wsiadała do windy. Wtedy też się śpieszyła.
- Była podekscytowana? – spytał Richard.
- Trudno powiedzieć – odparła Vielle. – Susy widziała Joannę od tyłu, ale szła do tej samej windy i też się śpieszyła, bo przedłużył się jej lunch. Joanna poruszała się tak prędko, że zanim Susy dobiegła do windy, drzwi się zamknęły.
- Widziała, na które piętro pojechała Joanna?
- Tak. – Vielle potwierdziła z zadowoleniem. – Musiała stać i czekać, aż kabina po nią wróci. Powiedziała, że Joanna pojechała prosto na siódme piętro.
- Co tam się mieści? – zaciekała się Kit.
- Gabinet doktor Jamison – wyjaśnił Richard. – Najwyraźniej pojechała tam, żeby mnie odszukać, i znalazła notatkę zostawioną na drzwiach przez doktor Jamison, która napisała, że idzie na oddział nagłych wypadków. Joanna założyła, że ja też się tam udałem.
- A zatem szła właśnie tam, kiedy spotkała pana Wojakowskiego – podsumowała Kit.
- Zgadza się – przytaknął Richard. – Na którym piętrze widziała ją Susy?
- Na drugim, w zachodnim skrzydle – odparła Vielle.
- OIOM jest w zachodnim skrzydle, prawda? – spytał Richard, a Vielle potwierdziła kiwnięciem głowy. – Zawiadamiałś Joannę o jakichkolwiek pacjentach, którzy byli reanimowani tego ranka?
- Nie, tego dnia... tego ranka nie reanimowaliśmy nikogo – poprawiła się Vielle, a Richard uświadomił sobie, że chodzi jej o akcję ratowania Joanny.
- Ale jakiś pacjent mógł zapaść w stan śmierci klinicznej po tym, wysłano go na górę, prawda? – stwierdził nagle Richard. – Czy tego ranka

mieliście jakieś zawały? Albo wylewy?

– Nie pamiętam. Sprawdzę, czy tego dnia zdarzyły się jakieś wypadki zagrożenia życia pacjenta – zanotowała sobie Vielle. – Poza tym sprawdzę, czy ktoś był reanimowany na OIOM-ie lub na kardiologii. Gdyby tak było, jedna z pielęgniarek mogła zadzwonić do Joanny i ją o tym zawiadomić.

– A podczas rozmowy z takim pacjentem Joanna mogła się dowiedzieć czegoś istotnego – uzupełniła Kit.

– No właśnie – potwierdził Richard. – Czy istnieje jakiś sposób, aby sprawdzić, czy tamtego dnia zachodziła konieczność reanimowania jakiegoś pacjenta, niekoniecznie na tych dwóch oddziałach? – zwrócił się do Vielle.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– A może Joanna po prostu rozmawiała z pacjentem, którego relacją już dysponowała? – zasugerowała Kit. – I wtedy dowiedziała się czegoś nowego? Albo podczas czytania relacji nasunęło się jej jakieś pytanie i poszła z nim do jednego z pacjentów? Mówiłeś, że spisywała właśnie nagrania, kiedy ją widziałeś.

Richard potwierdził ruchem głowy.

– Wiesz, czy jacyś jej dawni pacjenci wciąż są w szpitalu? – spytał Vielle.

– Pani Davenport – odparła, lecz Richard szczerze wątpił, Joanna dobrowolnie poszłaby na spotkanie z panią Davenport. Kogo jeszcze wspominała w rozmowach? Panią Woollam. Nie, pani Woollam zmarła. Będzie musiał sprawdzić spisane przez Joannę relacje. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, aby osoba, która w ciągu ostatnich tygodni znalazła się w szpitalu i miała doświadczenia graniczne, wciąż tu była. Obecna polityka ubezpieczalni to wykluczała. Mimo to zanotował sobie, aby wyszukać w archiwum Joanny nazwiska badanych.

– Wciąż pozostaje nam do wyjaśnienia to, co Joanna robiła przez godzinę – stwierdził. – Vielle, nie znalazłaś nikogo, kto widziałby ją wtedy?

– Jeszcze nie – padła odpowiedź.

– A Maurice Mandrake? – spytała Kit. Richard i Vielle spojrzeli na nią jednocześnie.

– Na pogrzebie wspominał, że rozmawiał z Joanną.

– Kłamał – odpowiedzieli zgodnym chórem.

– Wiem, że kłamał w sprawie tego, co usłyszał od Joanny, ale możliwe, że naprawdę ją spotkał.

– To prawda – przyznała Vielle. – Joanna mogła wpaść na niego przypadkiem, a jeśli tak, potrafiłby nam wyjaśnić, w której części szpitala to się stało i dokąd się udawała.

Richard pomyślał, że na pewno uciekała jak najdalej od Mandrake’a.

– Rzeczywiście – zgodził się.

– Joanna mogła natrafić na coś w swoich relacjach – ciągnęła Vielle. – W efekcie przyszło jej do głowy, aby wyjść i kogoś o to spytać, ale mogła też coś znaleźć i pójść szukać ciebie. W takim wypadku odpowiedź kryłaby się w relacjach.

– Wówczas poszłaby do laboratorium, a stamtąd do gabinetu doktor Jamison na siódmym piętrze, a nie schodziła na drugie w zachodnim skrzydle – wyjaśnił Richard.

– Racja. Zaraz, Kit powiedziała, że zadzwoniła i powiedziała o książce. Może Joanna postanowiła po nią podjechać i zeszła na parking, a potem przypomniało się jej coś z relacji? Nie, wtedy też nie skierowałyby się do zachodniego skrzydła.

– Poza tym stwierdziła, że nie sądzi, aby znalazła czas, aby odebrać książkę przed wyjściem z pracy.

– A jeśli zmieniła zdanie? – zasugerowała Vielle.

– Wcale się nie zainteresowała książką – sprzeciwiła się Kit. – Za pierwszym razem, gdy ją znalazłam, Joanna bardzo się ucieszyła i chciała natychmiast do mnie jechać. W dniu jej śmierci odniosłam wrażenie, że w ogóle jej to nie obchodzi.

– Co mówiła? – spytał Richard. – Mogłabyś dokładnie powtórzyć jej słowa?

– Powiedziała, że jest bardzo zajęta i nie wie, kiedy będzie mogła wpaść – stwierdziła powoli Kit, usiłując sobie przypomnieć. – Mówiła: „Tu jest koszmarnie zamieszanie”, ale sprawiała wrażenie raczej zakłopotanej i zajętej.

– Jak mówiła? – dopytywał się Richard.

– Jakby była nieobecna. Kiedy powiedziałam jej o książce, odniosłam wrażenie, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Wydawała oddalona, przejęta. Na pewno nie podniecona ani szczęśliwa.

– I nie powiedziała, dlaczego jest zajęta ani nad czym pracuje?

– Nie – zawahała się Kit, odwracając wzrok od Richarda.

– Jednak coś powiedziała – domyślił się. – Musimy to usłyszeć, nawet jeśli to coś złego. Co mówiła?

Kit bawiła się słomką w swojej coli.

– Spytała mnie, czy znalazłam jakieś informacje na temat pożarów na *Titanicu*.

– Pożarów? – powtórzyła z niedowierzaniem Vielle. – *Titanic* zderzył się z górą lodową, a nie spłonął.

– A paliło się tam coś? – zaciekał się Richard.

– Tak i nie – stwierdziła Kit. – W kotłowni numer sześć tlił się ogień w węglu, zanim jeszcze statek wypłynął na morze, poza tym paliło się w kominkach w przedziałach pierwszej klasy i w palarni, lecz poza tym nie.

– Wspomniałaś, że Joanna chciała, abyś znalazła jakieś informacje na ten temat. Wcześniej pytała cię o ogień albo pożary? – dopytywał się Richard.

– W dniu, w którym znalazłam książkę – potwierdziła Kit. – To znaczy, kiedy znalazłam ją po raz pierwszy. Trafiłam na nią cztery dni wcześniej, ale kiedy Joanna po nią przyjechała, wujek ponownie ją ukrył.

– I wtedy spytała cię o ogień na *Titanicu*?

– Tak.

Richard pomyślał, że cztery dni później Joanna wciąż była na tym samym tropie. Tylko jakim?

– Tego dnia widziałam, jak wsiadała do taksówki – przypomniała sobie Vielle. – Wyglądała tak, jakby się strasznie śpieszyła, nie włożyła płaszcza ani nie wzięła torebki. Kit, kiedy do ciebie przysłała, miała na sobie płaszcz?

– Nie, tylko sweter – odparła Kit. – Ale nie przyjechała taksówką, tylko swoim samochodem.

– I spytała cię o ogień na *Titanicu*? – dowiadywał się Richard.

– Tak, powiedziałam, że nic o tym nie wiem, ale mogę sprawdzić.

– Jesteś pewna, że przyjechała swoim samochodem, nie taksówką? – zdziwiła się Vielle.

– Tak, bo bardzo się śpieszyła przy wyjściu. Kiedy zeszłam na dół po bezskutecznych poszukiwaniach książki, oznajmiła, że musi iść, wyszła i wsiadła do samochodu, nawet się nie żegnając. Uznałam, że zdenerwowała się czymś, co powiedział jej wujek – czasami mu się zdarza, kogoś urazić, nic na to nie poradzi, jest chory – albo tym, że nie mogłam znaleźć podręcznika.

Vielle pokręciła głową.

– Była zdenerwowana już w chwili, gdy ją widziałam. Ciekawe, dokąd jechała taksówką? O której do ciebie przyjechała?

- O drugiej.
- Na pewno? – Vielle zmarszczyła brwi.
- Tak. Zdumiałam się na jej widok. Wcześniej utrzymywała, że nie uda się jej wyjść z pracy aż do późnego popołudnia. Dlaczego pytasz?
- Bo wsiadła do taksówki piętnaście po pierwszej. Musiała gdzieś pojechać, wrócić, przesiąść się do samochodu i dotrzeć do ciebie. Jak daleko od szpitala jest twój dom?
- Dwadzieścia minut drogi samochodem.
- Dwadzieścia minut. To oznacza, że bez względu na to, dokąd jechała taksówką, mogła dotrzeć tylko kilka przecznic dalej. Co się znajduje w promieniu kilku przecznic od szpitala?
- Vielle, do czego zmierzasz? – odezwał się Richard. – Sądysz, że nie w dniu śmierci, ale już cztery dni wcześniej Joanna dowiedziała się czegoś ważnego?
- Albo poznała część jakiejś istotnej informacji, a przez trzy kolejne dni usiłowała dowiedzieć się reszty lub potwierdzić to, co odkryła. I to ma jakiś związek z pożarem na *Titanicu*.
- Ale na *Titanicu* nie wybuchł pożar – zaprotestowała Kit. – A przynajmniej nie taki pożar, o jaki chodziło Joannie. Kiedy powiedziałam jej o kotłowni numer sześć, spytała mnie, czy bardzo się tam dymiło, a gdy zaprzeczyłam, chciała wiedzieć, czy paliło się gdzie indziej. Wcale nie wydawała się podniecona, raczej zmartwiona i zdenerwowana. Vielle, a kiedy wsiadła do taksówki, sprawiała wrażenie podekscytowanej?
- Nie – stwierdziła stanowczo Vielle. – Widziałam ją tego wieczoru, gdy wróciła i wyglądała tak, jakby dotarły do niej złe wieści. Martwiłam się o nią. Uznałam, że eksperymenty wpędzają ją w chorobę.
- A po czterech dniach, rozentuzjasmowana i szczęśliwa pobiegła na spotkanie własnej śmierci, pragnąc coś przekazać Richardowi.
- Skończył pan już? – rozległ się głos. Richard się odwrócił. Przy ich stoliku stała bufetowa, ponuro pokazując palcem jego kawę.
- Skinął głową, a kobieta porwała filiżankę oraz kubeczki po coli i wytarła stół szarą ścierką.
- Pora kończyć. Zamykamy za dziesięć minut – obwieściła i demonstracyjnie stanęła przy drzwiach.
- Potrzebujemy więcej czasu – stwierdziła Vielle.
- Raczej więcej informacji – sprostował Richard. – Musimy się dowiedzieć, dokąd poszła w szpitalu.

- I dokąd pojechała taksówką – dodała Vielle.
- Nie wiemy, co robiła na drugim piętrze w zachodnim skrzydle, czego szukała w relacjach...
- I co się wydarzyło między nią i moim wujkiem, kiedy poszłam na górę – uzupełniła Kit.
- Jak myślisz, przypomni sobie? – zastanowił się Richard.
- Trudno powiedzieć. Niekiedy proste, bezpośrednie pytanie, zadane normalnym tonem... Spróbuję.
- Chciałbym też, żebyś przejrzała podręcznik i sprawdziła, czy jest tam coś o *Titanicu*.
- Przecież Joanna przestała się interesować książką – zaprotestowała Kit.
- Możliwe, ale nie da się wykluczyć, że przypomniała sobie to, co zapomniała, i przestała potrzebować podręcznika – rozważał Richard. – Spróbuj też znaleźć jak najwięcej informacji o ogniu i pożarach. Statek przechylał się coraz bardziej. Może w jednej z kabin upadła świeca, zapalając zasłony.
- Porozmawiam z ludźmi – zaproponowała Vielle. – Sprawdzę, czy tamtego dnia ktoś był reanimowany. Może znajdę kogoś, kto widział wtedy Joannę. Poza tym poszukam taksówkarza, który ją wiozł.
- A ja przejrzę spisane przez Joannę relacje – stwierdził Richard.
- Nie – sprzeciwiła się Kit, a on spojrział na nią ze zdumieniem. – To ja przejrzę relacje. Ty musisz kontynuować badania.
- Najważniejsze to dowiedzieć się, co powiedziała... – zaczął Richard.
- Tylko jedno mogło być tak ważne, że Joanna nie chciała zwlekać z poinformowaniem ciebie – przerwała gwałtownie Kit. – Zapewne znalazła rozwiązanie zagadki, czym są doświadczenia graniczne i jak przebiegają.
- Ale jak... – sprzeciwił się. – Przecież Joanna nie potrafiła odczytywać informacji ze skanów ani interpretować danych o neuromediatorach...
- Może nie chodziło jej o techniczny aspekt doświadczeń granicznych, lecz o ich istotę. Chciała za wszelką cenę się dowiedzieć, co mój wujek powiedział o *Titanicu* podczas lekcji. Joanna była przekonana, że ta wiadomość okaże się kluczem do zrozumienia problemu. Sądziła, że podręcznik pomoże jej przypomnieć sobie, w czym rzecz. – Kit mówiła z takim samym zaangażowaniem jak Joanna, gdy stwierdziła: „*Titanic* coś oznacza. Wiem to”. A Richard stwierdził: „To wrażenie wywołane przez płat skroniowy”.

– Wydaje ci się, że odkryła istotę doświadczeń granicznych?
– Tylko to mogło ją zmusić to tego, aby szukać cię tak intensywnie – potwierdziła Kit. – Na pewno przypomniała sobie, na czym polega związek między podręcznikiem i doświadczeniami. Może właściwą odpowiedź dostrzegła w relacjach pacjentów albo też dowiedziała się tego od jakiejś osoby, z którą rozmawiała. Najważniejsze jednak, że szukała cię w związku z doświadczeniami granicznymi i skanami, więc musisz kontynuować pracę.

– No dobrze – zgodził się wreszcie. – Porozmawiam jeszcze z panią Davenport. Co dalej?

– Sprawdź jej wiadomości na sekretarce – podsunęła Vielle. – Może ktoś do niej dzwonił. Wciąż odbierała telefony od ludzi po doświadczeniach granicznych.

Richard zapisał sobie: „automatyczna sekretarka” oraz „skany”.

– Musimy się jeszcze spotkać. Tylko kiedy? – spytał. – W piątek? Macie jakieś inne plany?

Kit i Vielle pokręciły przecząco głowami.

– O tej samej porze, w tym samym miejscu? – zasugerowała Vielle.

– W piątki nieczynne – usłyszeli głos bufetowej. Postukała w zegarek. Pięć minut.

– W laboratorium – zdecydował Richard, wsuwając swoje krzesło pod stół. – A jeśli którekolwiek z nas dowie się czegoś wcześniej, skontaktujemy się i ustalimy wcześniejszy termin.

Bufetowa otworzyła szeroko drzwi. Przemknęli się pod jej surowym spojrzeniem.

– Może wpadniesz ze mną do gabinetu Joanny i weźmiesz relacje? – zwrócił się Richard do Kit.

– Nie mogę. – Z niepokojem zerknęła na zegarek. – Opiekunka może zostać tylko do czwartej. Przyjdę po nie jutro. Pasuje ci dziesiąta?

– Jasne.

– No to do jutra – pożegnała się i popędziła do windy.

– A ja wracam na oddział – oświadczyła Vielle. – Zadzwoń, jeśli znajdę kogoś, kto spotkał Joannę.

Poszła w stronę schodów. W połowie drogi przystanąła.

– Cholera! – zaklęła i wróciła do Richarda. – Wciąż zapominam, że tędy się nie przedostanę – oświadczyła zdenerwowana. – Malują cały parter.

Zupełnie odcięli go od świata. – Minęła Richarda i poszła do windy. – Muszę pojechać na pierwsze i przesiąść się do służbowej windy na dół.

Richard pomyślał, że właśnie na tym polega największy problem. Połowa szpitalnych schodów i łączników jest stale zablokowana, a nawet gdyby było inaczej, właściwie nie istniała możliwość przedostania się z jednej części szpitala do drugiej. Poza tym Joannie deptał po piętach Mandrake. Aby go zgubić, mogła się ukryć w windzie lub w bocznym korytarzu, ewentualnie pójść na skróty w celu ominięcia zamkniętego łącznika. Innymi słowy, jej obecność na drugim piętrze zachodniego skrzydła kompletnie nic nie oznaczała. Chyba że istniałaby możliwość zdobycia planu szpitala, i to takiego, który był aktualny tamtego dnia. Zatem Richard musiał się pofatygować do biura serwisu technicznego.

Zszedł do piwnicy i zamienił kilka słów z mężczyzną o nazwisku Podell, który najwyraźniej sądził, że Richard przyszedł złożyć skargę. Wreszcie niechętnie przedstawił mu plan pracy.

– Co nie oznacza, że prace malarskie przebiegają w wyznaczonych terminach – zaznaczył życzliwie.

Richard skopiował rozpiszkę i wsunął ją do kieszeni, myśląc, że lepsze to niż nic.

– Ma pan jakiś plan?

– Naszego szpitala? – Podell wbił w niego osłupiały wzrok. Richard ostatecznie zadowolił się informacją o najszybszej trasie na drugie piętro w zachodnim skrzydle i starannie zapisał podane mu wskazówki. Następnie udał się na górę, na internę, aby spotkać się z panią Davenport. Nie zastał jej – wyszła na tomografię komputerową. Spytał, kiedy można się jej spodziewać z powrotem, a potem jak się dostać na siódme piętro. Ponownie spisał uzyskane wskazówki. Po drodze narysował prowizoryczny plan korytarzy i wind.

Podobnie postąpił na siódmym piętrze. W poszukiwaniu klatki schodowej otworzył szereg drzwi do schowków i magazynów, a gdy wreszcie znalazł się na schodach, zszedł nimi najniżej, jak się dało. Zanim dotarł do laboratorium, jego kartka zapełniła się labiryntem krzyżujących się linii i kwadratów. Przerysował je na komputerze, tworząc plany pięter i łączników, zaznaczając pokonaną przez siebie trasę i wszystkie znajome przejścia. Poza tym zapisał, które części szpitala musi jeszcze zbadać i opisać.

Robił to wszystko głównie po to, aby odwlec w czasie wizytę w gabinecie Joanny i zabrać stamtąd relacje. Wiedział jednak, że rano zgłosi się po nie Kit, więc prędzej czy później i tak nie uniknie tej wyprawy. Wreszcie wziął klucze i zszedł do pokoju Joanny.

Nie wchodził tam od czasu jej śmierci. Przez kilka minut stał przed drzwiami, tocząc wewnętrzny bój, aż wreszcie otworzył je i minął próg. Jej komputer wciąż pracował. Po obu stronach monitora piętrzyły się stosy książek i relacji, a na samej górze znajdowało się pudełko z porozrzucanymi taśmami magnetofonowymi. Obok leżał dyktafon Joanny. Kieszeń urządzenia wciąż była otwarta, jakby przed chwilą wyciągnęła kasetę. Światelko na automatycznej sekretarce natrętnie mrugało.

Wygląd gabinetu Joanny wskazywał na to, że na chwilę wyszła i zaraz wróci, zadyszana stanie na progu i powie: „Przepraszam za spóźnienie. Dostałeś wiadomość ode mnie?”

Nagrania na sekretarce miały już tydzień, kwiatek na szafce był zwiędnięty i brązowy, a Richard musiał sam się domyślić, co mu chciała powiedzieć Joanna. Istniała jeszcze szansa, że osoba, do której poszła, nagrała się na sekretarkę, a wiadomość wciąż jest zarejestrowana na taśmie urządzenia. Richard podszedł do niego i znieruchomiał z palcem uniesionym nad przyciskiem odtwarzania, przygotowując się na dźwięk głosu Joanny. Miał nadzieję, że usłyszy wyłącznie ludzi pozostawiających wiadomości. Liczył na to, że wśród nich natrafi na jakąś przydatną wskazówkę. Wcisnął odtwarzanie.

Pan Mandrake z długą przemową, ganiący Joannę za notoryczne ignorowanie jego wiadomości. Pan Wojakowski. Gospodyni pani Haighton, przekazująca informację, że jej pracodawczyni nie może przyjść w środę z powodu zebrania Klubu Wychowania Fizycznego i musi ustalić inny termin. Ponownie pan Mandrake, usiłujący przekonać Joannę, aby odwiedziła panią Davenport, która dysponuje „niezbitym dowodem na swoje zdolności parapsychiczne, ofiarowane jej przez Świetlistego... Koniec taśmy. Nie można nagrać kolejnych wiadomości”.

Richard zadzwonił do szpitalnej centrali telefonicznej. Sekretarka oświadczyła, że wszystkie wiadomości przekazywane na pager mają charakter poufny. W innych okolicznościach takie stwierdzenie by go rozbawiło, lecz tak czy owak, centrala nie prowadziła rejestru komunikatów.

Odwiesił słuchawkę i wziął do ręki zgromadzone na biurku relacje.

Niektóre słowa lub wyrażenia były podkreślone na żółto.

„Czułem się szczęśliwy i spokojny”, stwierdził pan Sanderson, „jakbym zakończył długą podróż i wreszcie dotarł do domu”. Joanna podkreśliła słowo „podróż”, a w innych miejscach wydruku także: „woda” oraz „zimno”. Wszystkie te wyrazy się ze sobą łączyły, lecz Richard zauważył też wyszczególnione słowo „chwała”, które nie pasowało do pozostałych. W kolejnej relacji Joanna zaznaczyła: „zimno” oraz „przejście” i „dźwięk, przypominający rozdzieranie”. W następnej: „ciemność”, „dym” oraz całe zdanie: „Stałem u stóp pięknych schodów, wznoszących się tak wysoko, że nie dostrzegałem ich końca i wiedziałem, że prowadzą do nieba”.

Albo na pokład łodziowy. Richard wiedział, że Joanna poszukiwała związku między doświadczeniami granicznymi i *Titanikiem*. Wszystkie zaznaczone przez nią słowa, z wyjątkiem „chwały”, odnosiły się do statku. Pozostawał jeszcze wyraz „dym”, chociaż Joanna mogła go powiązać z prawdopodobnymi pożarami na pokładzie. Ciekawe, czy sama ujrzała jakiś ogień na *Titanicu*. W żadnej ze swoich relacji o tym nie wspominała. A może jednak? Po dwóch ostatnich sesjach nie słuchał opowieści, gdyż zbyt szybko zaabsorbował go problem jej przedwczesnego przebudzenia. Czy Joanna mogła ujrzeć coś, co przyczyniło się do rozwiązania zagadki? Czy dlatego w takim pośpiechu opuściła gabinet, zapominając o dyktafonie?

Jej ostatnia sesja odbyła się cztery dni przed śmiercią. Potem pojechała gdzieś taksówką i godzinę później pojawiła się zdenerwowana u Kit. Nie włożyła płaszcza i nagle wyszła z jej domu.

Wszystko się zgadzało. Joanna na pewno ujrzała coś podczas sesji. Richard przystąpił do przeglądania stosu wydruków, w poszukiwaniu jej relacji. Nie mogąc ich znaleźć, otworzył jej pliki i w komputerze, lecz tam również ich nie było. A zatem wciąż znajdowały się na taśmach.

Sięgnął po pudełko z kasetami, lecz jedna trzecia z nich nie nosiła żadnych oznaczeń, a pozostałe opisano jakimś niezrozumiałym kodem. Pomyślał, że musi wziąć je do domu i odsłuchać. Wrzucił wszystkie nagrania z powrotem do pudełka i zaniósł do laboratorium wraz z dyktafonem i dyskietkami Joanny. Następnie wrócił po wydruki.

Aby wszystko przenieść, musiał dwukrotnie pokonać drogę do laboratorium i z powrotem. Zastanawiał się, czy wziąć kwiatek, lecz w końcu go zostawił, gdyż raczej nie dałoby się go odratować. Zamknął drzwi na klucz, zniósł relacje do laboratorium, położył je na stole do badań i wyszedł, aby spotkać się z panią Davenport. W połowie drogi do windy

zawrócił, zabrał z laboratorium naczynie z wodą i wrócił do gabinetu Joanny, aby podlać roślinę.

Rozdział 47

„Tak, przegrałem”.

Szolem Alejchem na łożu śmierci,
po ostatniej grze w karty, kiedy usłyszał, że przegrał

– Palarnia pierwszej klasy – oznajmił pan Briarley i wprowadził Joannę do obszernego, wyłożonego czerwonymi dywanami pomieszczenia. Jego ściany obito ciemnym drewnem, skóra na krzesłach miała ciemnoczerwoną barwę. Na przeciwległym krańcu pokoju, w pobliżu płonącego kominka, siedziała grupa ludzi. Zgromadzili się wokół stołu i grali w karty.

Joanna nie potrafiła określić, kim są te osoby, gdyż w całej sali unosił się niebieskawy dym. Zauważyła jednak, że to wyłącznie dorośli. Z ulgą stwierdziła, że nie ma pośród nich Maisie, a potem uznała, że to na pewno pasażerowie pierwszej klasy, którzy zasiedli do brydża, gdy *Titanic* szedł na dno. Pułkownik Butt, Arthur Ryerson...

Przy stole zasiadły też kobiety. Joanna przyjrzała się uważniej i doszła do wniosku, że to nie partia brydża, tylko pokera. Przed graczami stały czerwone słupki żetonów, rozrzuconych także pośrodku stołu. Stół do grania nie pasował do dębowych mebli w palarni. Miał blat z formiki i najwyraźniej pochodził z bufetu.

Pan Briarley poprowadził ją w stronę graczy, którzy na ich widok podnieśli wzrok. Jeden z nich odłożył karty i wstał, aby przywitać nowo przybyłych. Był to Greg Menotti, w spodniach od dresu i białej nylonowej kurtce.

– Gdzie byłaś? – spytał. – Po drugiej stronie nie znalazłem żadnych łodzi. Może są jakieś w drugiej klasie?

– Oczywiście, zna pani pana Menottiego. – Pan Briarley poprowadził Joannę za sobą do stołu.

– Sprawdzam – stwierdził człowiek w białej kamizelce, wachlując się kartami. Joanna go rozpoznała – to był ten sam mężczyzna z wąsami, który

wręczył jej notatkę. Zaczął zagarniać czerwone żetony ze środka stołu.

– Pani Lander, czy mogę przedstawić... – zaczął pan Briarley, a mężczyzna przerwał zbieranie żetonów, wstał i włożył marynarkę od smokingu.

– J.H. Rogers – powiedziała Joanna. – Włożyłam pana wiadomość do butelki i wyrzuciłam ją za burtę.

Pokręcił głową. Wiedział, że wiadomość nie dotarła do jego siostry.

– Przykro mi, panie Rogers – zaczęła, lecz ponownie potrząsnął głową.

– To nie J.H. Rogers – szepnął pan Briarley. – To Jay Yates. Zawodowy karciarz, pracujący na liniowcach White Star pod różnymi pseudonimami.

– To pan tak ciężko pracował, pomagając pasażerom wsiadać do łodzi – przypomniała sobie Joanna. – Był pan bohaterem.

– Pomagając pasażerom wsiadać do łodzi? – zainteresował się Greg Menotti, wciskając się między Joannę i Yatesa. – A gdzie są inne?

– Inne? – nie zrozumiał Yates.

– Inne łodzie – upierał się Greg.

– Nie ma już innych – odezwała się jedna z kobiet, a Joanna pomniała sobie, że widziała ją na pokładzie, gdy miała na sobie koszulę nocną. Teraz nałożyła czerwony płaszcz i kołnierz z lisiego futra.

– Panna Edith Evans – szepnął pan Briarley do Joanny. – Oddała swoje miejsce na łodzi kobiecie z dwójką dzieci.

– To nie mogła być ostatnia! – wykrzyknął Greg. – Na pewno są jeszcze inne. – Ponownie odwrócił się do Yatesa. – Pomagał pan pasażerom wsiadającym do szalup. Co o nich mówili? W drugiej klasie też były łodzie, prawda? Prawda?

Yates zmarszczył czoło.

– Pamiętam, że ktoś wspominał o opuszczaniu łodzi na pokład z promenadą i załadunku pasażerów, którzy się tam zgromadzili.

– Ale kiedy łodzie się tam znalazły, okna były zamknięte – wyjaśnił pan Briarley. – Dlatego wszyscy musieli iść na pokład łodziowy. – Jednak Greg zdążył już wybiec, pośpiesznie kierując się na pokład z promenadą.

– Greg! – zawołała za nim Joanna i odwróciła się do pana Briarleya. – Czy nie powinniśmy...? – Jednak nauczyciel siedział już przy stole, a Yates wysunął dla niej krzesło.

Usiadła i rozejrzała się. W.T. Stead zajmował miejsce po jej lewej stronie, koncentrując się na kartach, które rozmiścił przed sobą, jakby

układał tarota, i odwracał jedną po drugiej.

– Zna pani pana Steada – zwrócił się do niej pan Briarley.

Stead zerknął niecierpliwie na Joannę, skinął jej pośpiesznie głową i powrócił do kart.

– Wydaje mi się, że wszystkich pozostałych też już pani poznała. – Pan Briarley wskazał dłonią osoby siedzące przy stole.

Joanna zaprzeczyła w myślach, lecz gdy pan Briarley przedstawiał całe towarzystwo, uświadomiła sobie, że są to jej pacjenci po doświadczeniach granicznych: pan Funderburk, który martwił się, że nie miał wrażenia opuszczania ciała; łysa i wychudzona pani Grant, która tak bardzo się bała...

– I wreszcie... – Pan Briarley skierował dłoń ku delikatnej, siwej kobiecie. – Pani Woollam.

O nie, pomyślała Joanna, tylko nie pani Woollam. To nie miejsce dla niej. Zasużyła na to, aby być w pięknym, przepięknym ogrodzie, wraz z Jezusem. Joanna przypomniała sobie, że ten ogród to kawiarnia Verandah.

– Och, pani Woollam... – westchnęła.

– „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne” – zacytowała pani Woollam. Mówiąc te słowa, czule przyciskała Biblię do chudej klatki piersiowej.

– Czy to właśnie to? – spytała niespokojnie pani Grant. – Ciemna dolina? Dolina śmierci?

– Nie – zaprzeczył stanowczo pan Funderburk. – Nic podobnego. Byłem tam. Ciągnie się tam tunel, a na jego końcu pali się światło. I doznaje się retrospekcji życia. – Rozejrzał się sceptycznie po palarni. – Nie mam pojęcia, co to ma być.

– Następne rozdanie – odparł Yates. Zgarnął karty Steada i potasował całą talię. – Powodzenia – stwierdził i zaczął rozdawać.

Joanna podnosiła kolejne karty, nie czekając, aż Yates skończy. Piątka. Ósemka.

– Co to jest, jeśli nie ciemna dolina? – spytała pani Grant, wpatrując się w Joannę.

– Nie wiem.

– Doprawdy? – zdziwił się pan Stead, unosząc brwi. – Odniosłem wrażenie, że jest pani specjalistką w kwestii zjawiska śmierci.

– Bynajmniej – zaprzeczyła Joanna. – Tak mi się tylko wydawało, ale w rzeczywistości nie miałam o niczym pojęcia. – Podobnie jak pan, dodała w

myślach. Nikt nic nie wie.

– W takim wypadku – oświadczył Stead – sam to wyjaśnię. Nie ma się czego obawiać, pani Grant. Śmierć to nie koniec, tylko przemiana. Zmierzamy ku Tamtej Stronie, dokąd oddaliły się duchy naszych najbliższych. Powitają nas na drugim brzegu, gdzie wszystko jest pokojem i wiedzą.

– I retrospekcją życia – uzupełnił pan Funderburk.

– A my zrozumiemy wszelkie tajemnice – stwierdził Stead i podniósł swoje karty.

– Czy oni się nie mylą? – Pani Grant wpatrywała się z nadzieją w Joannę, podobnie jak pani Woollam i Yates.

Joanna zerknęła na pana Briarleya, lecz z jego twarzy nic się nie dało wyczytać, podobnie jak podczas lekcji angielskiego: ani jednej wskazówki, ani jednej podpowiedzi. Nie mylą się? – spytała cicho Edith Evans, a Joanna pomyślała o Maisie, pytającej: „Czy to będzie bolało?” twierdzącej, że ludzie powinni mówić prawdę, nawet jeśli jest ona zła.

– Mylą – odpowiedziała Joanna, a wokół stołu rozległo się westchnienie – nie wiadomo, czy ulgi, czy rozpaczy. – To się nie dzieje naprawdę. To tylko halucynacja. Umierający mózg...

– Halucynacja? – Pan Stead podniósł brwi. – Twierdzi pani, że ten ogień, ten stół i te karty... – Wyciągnął dwie i popchnął je w stronę Yatesa. – Dwie – stwierdził i Yates podał mu karty z talii. Podniósł je i ułożył w dłoni. – Te karty... – Położył cały wachlarz na stole, koszulkami do góry. – ...nie są prawdziwe i tylko sobie wyobrażamy, że je widzimy? – Wstał i podszedł do kominka. – Wydaje się nam, że czujemy ciepło tego ognia? – Wyciągnął dłonie do płomieni. – A może my też jesteśmy tylko elementem tej halucynacji?

Nie wiem, pomyślała Joanna.

– „Umieramy samotni, zgodnie z wolą Nieba” – mruknął obok niej pan Briarley. Spojrzała na niego, zastanawiając się, czym on jest, czym są oni wszyscy. Wymysłami? Wzbogaconymi o kolory i dźwięki wspomnieniami, przypadkowo pojawiającymi się w mózgu? Albo metaforami? Symbolami jej lęku, wiary i negacji?

– Umysł próbuje zrozumieć wszystko, czego doświadcza – stwierdziła, usiłując wyjaśnić istotę problemu. Tylko komu? Edith Evans i Jayowi Yatesowi, którzy zmarli dziewięćdziesiąt lat temu? A może samej sobie? – Mózg nie potrafi się temu przeciwstawić. Wciąż to robi, chociaż w

rzeczywistości jest to uszkodzenie układów. Mózg przestaje funkcjonować, a synapsy rozbłyskują w przypadkowej kolejności w miarę obumierania komórek, lecz umysł cały czas próbuje to zrozumieć, chociaż nie ma takiej możliwości.

Pani Woollam się modliła, bezgłośnie poruszała ustami. Edith Evans dumnie i odważnie uniosła brodę.

– Stara się szukać skojarzeń z pamięci długotrwałej, metafor mogących pomóc w wyjaśnieniu tego, co się dzieje. Organizm jest uszkodzony Jego układy powoli przestają działać, więc mózg konfabuluje, tworząc obraz *Titanica*.

– Obraz i odbicie śmierci – podsumował pan Briarley.

– Ale to się nie dzieje naprawdę – podkreśliła Joanna. – To się tylko wydaje prawdziwe.

– Tonienie – odezwała się lękliwie pani Grant. – Czy ono też będzie się wydawało prawdziwe?

– Dusza nie może utonąć – oświadczył stanowczo Stern. – Jest nieśmiertelna, a jeśli to wszystko – machnięciem ręki wskazał karty, kominek i całe pomieszczenie – jest, jak twierdzi pani Lander, symbolem, co jeszcze może symbolizować, jeśli nie wieczną i niezniszczalną duszę? – Uśmiechnął się do pani Grant. – Taki statek nigdy nie zatoni.

Joanna przypomniała sobie pana Wojakowskiego, który z zapalem twierdził, że każdy okręt prędzej czy później pójdzie na dno.

– Czy będziemy konfabulować zatonięcie? – Z uporem pytała pani Grant, wpatrując się w Joannę.

Tak, pomyślała z lękiem Joanna.

– Nie wiem – powiedziała głośno. – To wszystko jest tylko metaforą tego, czego doświadcza umysł, a w miarę zmieniania się doświadczeń, obumierania mózgu i coraz bardziej chaotycznych rozbłysków synaps... – Przypomniała sobie, co jej się przydarzyło po drodze do palarni. Wspomnienia pojawiły się i znikły jak płomień zapałki.

– I co? – spytała przerażona pani Grant. – Co potem?

– Nic. Coraz więcej komórek obumiera i w końcu brakuje ich do tworzenia ujednocającego obrazu. Wtedy *Titanic* zniknie lub się rozpadnie. To już się dzieje. Ten stolik pochodzi ze Szpitala Miłosierdzia, a wy... – Urwała i po chwili ciągnęła: – ...a teraz, na schodach, wcale nie znajdowałam się na *Titanicu*, tylko w holu mojego mieszkania, w noc śmierci mojego ojca. A wcześniej, na pokładzie łodziowym, dostrzegłam

dwie czirliderki z mojego liceum. To się będzie działo coraz częściej, aż wreszcie obraz *Titanica* zupełnie się rozsypie.

– A jeśli nie? – spytała pani Grant.

– Co się stało na *Titanicu*, kiedy odpłynęły łodzie? – zainteresowała się Edith.

Joanna spojrzała na pana Briarleya zajętego tasowaniem kart.

– Dziób statku się zanurzył i cała jednostka przechyliła się na lewą burzę – wyjaśniła. – Woda podeszła w górę studni dziobowej i zejściówki na pokładzie A. Światła... – zawahała się.

– Światła zgasły – dokończyła Edith Evans.

– Sądzi pani, że to będzie elementem metafory? – spytała trwożliwie pani Grant. – Gasnące światła?

Jakże inaczej, pomyślała Joanna. Właśnie teraz gasną światła, jedno po drugim, wspomnienie za wspomnieniem, odczucie za odczuciem, rozmowy telefoniczne, prezenty urodzinowe, wieczór smakołyków, drażetki orzechowe, śnieg, siedzenie na łóżku Maisie, oglądanie zdjęć powodzi w Johnstown.

– Co się potem stanie? – chciała wiedzieć Edith. – Kiedy zgasną światła?

Rufa się uniesie i wyprostuje, jak tonący pływak, jak umierająca dusza, a my zanurzymy się w ciemności.

– Śmierć to tylko iluzja – oświadczył Stead. Dźgnął ogień pogrzebaczem. – Pułapka nauki i braku wiary. – Poruszył żagwie, wznecając pióropusz popiołu i iskier. – „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi”, pani Lander, „niż się ich śniło waszej filozofii” – oświadczył i wyszedł z sali.

– I co dalej? – spytała z lękiem pani Grant.

Potem zabierają cię do kostnicy i rozcinają klatkę piersiową, aby zmierzyć ranę kłutą i ustalić przyczynę śmierci. Potem wiozą cię do kostnicy i wstrzykują do żył środek balsamujący, w policzki odpowiednie żywice, a zęby szorują ajaksem. Potem zagrzebują cię w ziemi.

– I co dalej? – powtórzyła Edith. – Kiedy zgasną światła?

Wszyscy na nią patrzyli w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Potem statek tonie – wyjaśniła.

Zapadła cisza, przerwana przez panią Woollam.

– „Gdy pójdziesz przez wody, Ja będę z tobą, Albowiem Ja jestem Pan, twój Bóg”. – Odetchnęła lękliwie. – Ważne, aby wierzyć w Jezusa.

– I dobrze się sprawować – uzupełniła Edith i podniosła wysoko brodę.

- I grać kartami, które się otrzymało – dodał Yates.
- Właśnie o to chodzi – potwierdziła Joanna i podniosła pozostałe karty. Dwójka. Szóstka. As.
- Ile kart dla pani? – spytał Yates.
- Dwie – odparła i popchnęła dwie karty w stronę Yatesa. Spełnił jej prośbę. Jeszcze zanim podniosła karty, wiedziała, co otrzymała.
- Otwieram za sto – stwierdził pan Funderbruk.
- Dokładam do pańskiej setki i przebijam o kolejne sto – oznajmiła Edith. Wszyscy pozostali, nawet pan Stead i pani Woollam, włączyli się do rozgrywki.
- Sprawdzam – zwróciła się do wszystkich Joanna. – Za wszystko, co mam. – Przesunęła na środek stos czerwonych żetonów.
- Kiedy nadejdzie koniec – zaczęła Edith, wyciągając dłoń, aby wziąć Yatesa za rękę. – Kiedy to się stanie, co zrobimy?
- Joanna pomyślała, że już to zrobili, i spojrzała na nich z zazdrością. Poświęciliście swoje miejsca na łodzi i życie, aby ocalić wszystkie matki i dzieci.
- Koniec nie może jeszcze nadejść – sprzeciwił się pan Funderburk. – Najpierw powinna być retrospekcja życia.
- Oto ona, pomyślała Joanna, wpatrując się w Edith, w Yatesa, to jest retrospekcja życia, świadomość, że się nie udało, choć innym się powiodło: poddali się próbie i wyszli z niej zwycięsko. Maisie, pomyślała z rozpaczą. Maisie jest ważna, a ja ją zawiodłam.
- Co pani ma? – spytał Yates, a Joanna wyłożyła karty.
- Dwie pary. Asy i ósemki.
- Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Greg.
- Połowa pokładu G jest pod wodą, a także cały salon jadalniany pierwszej klasy.
- Pani Grant wstała, wykręcając ręce.
- Ile jest jeszcze czasu do końca, jak pani myśli?
- Trudno powiedzieć – zastanowiła się Joanna. – Nieodwracalna śmierć mózgu następuje w czasie od czterech do sześciu minut, lecz synapsy wciąż rozbłyskują jeszcze przez kilka minut.
- Minęło już więcej czasu – oświadczyła z nadzieją pani Grant. – Może...
- Czas nie oznacza... – zaczęła Joanna, kręcąc głową.

– Ostatnia standardowa łódź została opuszczona na wodę za pięć druga – wtrącił się pan Briarley. – Światła zgasły kwadrans po drugiej, a pięć minut później statek poszedł na dno. Oznacza to, że między jednym a drugim był odstęp około dwudziestu mi...

– Standardowe łodzie? – uświadomił sobie Greg Menotti. – Co to znaczy standardowe łodzie?

– Czego nie oznacza czas? – spytała pani Grant.

– Na pokładzie znajdowały się także cztery składane łodzie o płóciennych burtach – wyjaśnił pan Briarley. – Na wodę opuszczono tylko dwie z nich. Składana łódź A została zmyta z pokładu i zatonała, a składana łódź B wyróciła się do góry dnem. Dwóm mężczyznom udało się na nią wspiąć, lecz...

– Gdzie one są? – Greg zwrócił się do Joanny.

– Greg... – zaczęła.

– Czego nie oznacza czas?

Greg złapał ją za rękę i zmusił do wstania, zrzucając karty i żetony na podłogę.

– Gdzie były składane łodzie?

– Nad kwaterami oficerskimi – stwierdził pan Briarley.

– Gdzie są te kwatery? – warknął Greg.

– Nic nie rozumiesz – sprzeciwiła się Joanna. – To nie jest *Titanic*. To metafora. Jesteśmy...

Greg ścisnął ją boleśnie za ramię.

– Gdzie są kwatery oficerskie? Na którym pokładzie?

– Nawet gdybyś znalazł te łodzie, jest już za późno – jęknęła. – Miałeś zawał. Nie ży...

– Który pokład?

– Łodziowy – odparła z rezygnacją.

– Gdzie dokładnie?

– Po prawej burcie. Między sterówką i pomieszczeniem radiotele...

Radiotelegrafisty. Tam, skąd Jack Phillips wysyłał sygnały SOS jeszcze długo po tym, jak odpłynęły łodzie. Skąd do samego końca wzywał pomocy.

– Między sterówką i czym? – wrzasnął Greg, lecz Joanna oswobodziła się z jego chwytu i pobiegła, co sił w nogach.

Rozdział 48

„Trzymaj mocno!”

Ostatnie słowa Karla Wallendy

Pani Davenport powiedziała Richardowi, że jeszcze wczoraj rozmawiała z Joanną.

– Ma dla pana wiadomość – tłumaczyła. – Kazała panu przekazać, że jest szczęśliwa i nie chce, aby pan jej żałował, bo śmierć to nie koniec. To tylko przejście na Tamtą Stronę.

– Muszę wiedzieć, kiedy po raz ostatni widziała ją pani po tej stronie – nie ustępował Richard. – Widziała ją pani w dniu śmierci?

– Ona nie umarła – sprzeciwiła się pani Davenport. – Pozbyła się tylko ziemskiej powłoki. Jej duch będzie żył na wieki.

Richard uznał, że traci czas. Pani Davenport nic nie wie. Miał jednak zbyt wiele do stracenia, aby się odwrócić i wyjść.

– Czy widziała ją pani w dniu, kiedy zabito jej ziemską powłokę?

– Tak – potwierdziła. – Widziałam, jak zmierzała ku jaskrawemu światłu, w którym skrywał się anioł, wyciągający do niej rękę. Prowadził ją do światła, a ja wiedziałam, że udało się jej pokonać granicę. Cieszyłam się, albowiem nie ma lęku, smutku i samotności po Tamtej Stronie. Jest tam tylko szczęście.

– Pani Davenport – warknął Richard, a parapsychiczne zdolności pacjentki musiały jej podpowiedzieć, że jego cierpliwość się wyczerpała.

– Tamtego dnia nie widziałam jej w doczesnej powłoce. Od wielu tygodni nie miałam okazji się z nią spotkać, chociaż kilkakrotnie przesyłałam jej wiadomości na pager. – Uśmiechnęła się świątobliwie. – Teraz rozmawiam z nią niemal każdego dnia. Chciała panu przekazać, że w sposób naukowy nie uda się panu odkryć prawdy o śmierci ani życiu. Jeśli pragnie pan to uczynić, musi pan skoncentrować się na poszukiwaniu światła.

– Czy powiedziała też: „Rosabelle, uwierz”?

– Rzeczywiście, ma pan rację. Pamiętam, że wypowiedziała te słowa – ożywiła się pani Davenport. – Stwierdziła: „Powiedz Richardowi Rosabelle, uwierz,.. Co to znaczy?”

To oznacza, że pani ma taki sam kontakt z Tamtą Stroną, jak wszyscy farbowani mistycy, z którymi rozmawiała żona Houdiniego.

– Pora na mnie – oświadczył Richard.

– Och, nie może pan tak szybko odchodzić. Proszę mi wyjaśnić, co znaczy: „Rosabelle, uwierz”. Czy to jakiś szyfr? Co to takiego?

– To znaczy, że nie otrzymuje pani wiadomości od Joanny, tylko od Houdiniego.

– Naprawdę? – podnieciła się pani Davenport. – Widzi pan, tak właśnie czułam. Koniecznie muszę o tym poinformować pana Mandrake’a.

Richard zniknął za drzwiami, kiedy sięgała po słuchawkę. Wrócił do laboratorium i spraw naukowych. Wyświetlił skany Amelii Tanaki, a po chwili zmienił zdanie i zamknął jej pliki. Jeśli istniała jakaś tajemnica, to klucz do jej rozwiązania krył się w doświadczeniach Joanny, w czymś, co ujrzała. Wyświetlił jej skany.

Po chwili ujrzał na ekranie obraz pełen fioletowych, zielonych i niebieskich plam. Musiał je rozszyfrować. Pani Davenport spytała, czy to jakiś szyfr. To rzeczywiście był szyfr i podobnie jak opracowany przez Houdiniego system odczytywania myśli, musiał zostać krok po kroku rozszyfrowany. Richard po kolei oglądał wszystkie skany Joanny, klatka po klatce analizował schematy, oznaczał obszary aktywności, receptory, neuromediatory.

Kiedy po raz ostatni rozmawiał z Joanną, powiedział jej o obecności kwasu deltaaminomasłowego w skanach zarówno jej, jak i pani Troudthaim. Czy mogła odkryć coś w związku z?... Przecież nic nie wiedziała o inhibitorach, a kwas deltaaminomasłowy był obecny przy doświadczeniach granicznych innych osób.

Od czegoś jednak musiał zacząć. Sprawdził, czy w każdej sesji z udziałem Joanny urządzenia odnotowały obecność kwasu. Podczas trzech ostatnich eksperymentów występowały duże ilości tej substancji, a przy pierwszej sesji pojawiła się w śladowych ilościach. Richard przejrzał skany pana Sage’a, lecz nie znalazł w nich kwasu deltaaminomasłowego. Oprócz jednego, we wszystkich skanach Amelii Tanaki zauważył znaczną jego ilość, a w skanie wzorcowym jego obecność była śladowa. Wspaniale.

Przystąpił do przeglądania danych z każdej sesji, sprawdzając neuromediatory. Kortyzol pojawił się w 60 procentach, betaendorfiny w 80 procentach, enkefalina w 30 procentach. Długa lista neuromediatorów występowała wyłącznie w jednym badaniu krwi: tauryna, neurotensyna, tryptamina, kwas adenylowy, glicyna, adenozyzna i wszystkie inne istniejące endorfiny i peptydy.

Richard pomyślał, że skoro tak, należy też sprawdzić kombinacje neuromediatorów, lecz nie znalazł żadnych podwójnie występujących endorfin. O wpół do jedenastej uznał, że występują zupełnie przypadkowo. Wziął do ręki stos wydruków z relacjami i poszedł do domu.

Nie mógł liczyć na znalezienie odpowiedzi w słowach pani Kobald: „Anioł dotknął mojej brwi i wiedziałam, że śmierć to tylko początek”, ani w opisie pana Stockhausena: „Młody Brigham stał w świetle, otoczony starszymi”. Wyjaśnienie kryło się w *Titanicu*.

Spojrzał na zegarek. Wpół do dwunastej. Księgarnie The Tattered Cover, Barnes i Noble były już nieczynne. Kto mógłby mieć książki o *Titanicu*? Kit. Powiedziała, że Joanna poprosiła ją o znalezienie informacji o pożarach i mgie, a pan Briarley niegdyś świetnie się znał na wszystkim, co było związane z *Titanikiem*. Richard podniósł słuchawkę i po chwili ją odłożył. Zrobiło się zbyt późno, aby telefonować do Kit, lecz następnego ranka zadzwonił do niej zaraz po przyjściu do szpitala.

– Czy wpadając po wydruki relacji, mogłabyś wziąć ze sobą książkę z opisem zatonięcia *Titanica*?

– Jasne, tylko mam pewien problem. Do popołudnia nie ma żadnego wolnego opiekuna, który mógłby do mnie przyjść, a ja bardzo chciałam rozpocząć pracę przy tych relacjach.

– Mogę ci je podzucić – zaproponował.

– Nie, to nie jest konieczne. Wiesz co, przyjadę do szpitala z wujkiem Patem. Nie mogę go tylko zostawić w samochodzie. Mógłbyś o dziesiątej zejść na parking i wziąć ze sobą wydruki?

– Pewnie – stwierdził, lecz rzut oka na stos papierów uświadomił mu, że nie zdoła zabrać ich wszystkich za jednym razem. Potrzebował jakiegoś dużego pudła, więc poszedł na dół do magazynu, aby poprosić o odpowiedni karton, lecz nic nie wskórał.

– Może będą coś mieli w archiwum – podsunęła ładna urzędniczka i uśmiechnęła się słodko do Richarda. – Zużywają całą masę papieru do drukarek.

Zszedł do archiwum, gdzie zastał władczo wyglądającą kobietę z napisem „Zaneta” na identyfikatorze.

– Potrzebuję pudła... – zaczął, a Zaneta od razu określiła się na krześle i wyciągnęła rękę do przegródek z różnymi formularzami.

– Pudła czego? – spytała, nieruchomiejąc z zeszywniałą ręką.

– Tylko pudła. Pustego pudła. – Zdumiał się, gdy urzędniczka wydobyla odpowiedni formularz zamówieniowy.

– Proszę opisać rozmiar i liczbę pudeł, których pan potrzebuje – przykazała, wskazując odpowiednie miejsce na blankiecie. – A także numer swojego gabinetu. Realizacja zamówienia potrwa od tygodnia do dziesięciu dni.

– Potrzebuję tylko pustego pudła po papierze do drukarek – wyjaśnił cierpliwie i w tej samej chwili zabrzączał jego pager. Wyłączył go zaraz, lecz Zaneta podsunęła mu telefon.

– Zadzwoń z gabinetu – oświadczył i wyszedł na korytarz. Tylnymi drzwiami przedostał się do śmietnika, znalazł puste pudło po kroplówkach i zaniósł je na górę. W laboratorium włożył do środka wydruki, sprawdził godzinę i poszedł na parking. Przy windzie przypomniał sobie, że nie odebrał wiadomości, więc zataszczył ciężkie pudło z powrotem do laboratorium. Miał nadzieję, że Vielle chciała się z nim skontaktować.

Okazało się jednak, że to pani Haighton dzwoniła z pytaniem, czy może ustalić inny termin spotkania. Postanowił jej nie oddzwaniać. Zerknął na zegarek i ponownie opuścił laboratorium, z zadowoleniem konstatując, że zna najkrótszą drogę na parking. Pomyślał też, że powinien odnotować ją na swoim planie szpitala. Samochód Kit stał z pracującym silnikiem przy wejściu dla niepełnosprawnych.

– Przepraszam za spóźnienie. – Richard zajrzał przez okno auta.

– Czy ma pan usprawiedliwienie od wychowawcy? – rozległ się męski głos. Richard spojrzął na fotel obok kierowcy i ujrzał tam siwiejącego mężczyznę, którego widział na pogrzebie. Pan Briarley z opowieści Joanny.

– Niechże pan tak nie stoi. – Pan Briarley ponaglił Richarda. – Proszę usiąść. Jesteśmy na stronie pięćdziesiątej ósmej, *Pieśń o starym żeglarzu*.

– Wujku – zwróciła się do niego Kit, dotykając jego ramienia. – To Richard Wright. On...

– Wiem, kim on jest – obruszył się pan Briarley. – Kiedy zamierza pan poślubić moją siostrzenicę?

– Wujku, Richard jest tylko moim kolegą. Chciałabym z nim przez chwilę porozmawiać. Możesz zostać w samochodzie, prawda?

– „Stary ten żeglarz zatrzymuje jednego z trzech”{33}. – Wyrecytował pan Briarley. – „Na brodę twą siwą, na płonące oko! Ja przecież gości wiodę. Drzwi oblubieńca są otwarte. Jam krewny mu najbliższy”{34}. – Przesunął dłonią po drzwiach w poszukiwaniu klamki.

– Nie, wujku, ty musisz zostać – przykazała Kit, wyciągając rękę i wciskając przycisk blokady. – To potrwa tylko moment. Chcę włożyć coś do bagażnika. Zostań tutaj.

Pan Briarley opuścił dłoń na udo.

– Właśnie tym jest historia, nauka i sztuka – oznajmił łamiącym się głosem. – Tym jest literatura.

– Zaraz wracam. – Kit otworzyła drzwi. Richard się cofnął, aby mogła swobodnie wyjść. Podeszła do bagażnika. – Co powiedziała pani Davenport? – zaciekała się.

– Masę bzdur – odparł.

– Joanna poszła się z nią spotkać? – Kit podniosła klapę bagażnika.

– Nie. – Richard włożył do środka ciężkie pudło. – A co z podręcznikiem? Znalazłaś coś?

– „Pieśń o starym żeglarzu” – odpowiedziała smutno. – Nic o *Titanicu*. – Zatrzasnęła klapę i podeszła do tylnych drzwi. Otworzyła je i schyliła się, wyciągając naręczę książek. – Tu są informacje o *Titanicu*. – Wręczyła Richardowi materiały. – Mam jeszcze więcej w domu, gdybyś potrzebował.

– To mi na jakiś czas wystarczy – odparł, spoglądając na stos książek.

– Ja też nie będę się nudzić – stwierdziła Kit i wskazała dłonią bagażnik. Usiadła za kierownicą. – Zadzwoń do ciebie, jak znajdę coś ciekawego.

– „Tamten: Był okręt – opowiada... Chce go zatrzymać, spętać”. – odezwał się pan Briarley.

– Statek? – zainteresował się Richard.

Kit zgasła silnik i odwróciła głowę ku panu Briarleyowi.

– Wujku, rozmawiałeś z Joanną o statku?

– Joanną? – powtórzył niewyraźnie.

– Joanną Lander – wyjaśniła łagodnie Kit. – Była twoją uczennicą. Przyszła się z tobą spotkać. Pytała, co mówiłeś na lekcji. Wspominałeś coś o *Titanicu*. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam – obruszył się pan Briarley.

– Co powiedziałaś Joannie? – dopytywała się Kit, a Richard znieruchomiał w oczekiwaniu na odpowiedź, bojąc się odetchnąć.

– Joanna. – Pan Briarley wyglądał przez przednią szybę. – „Piękna w ten czas wesela jak róża” {35}. – Odwrócił się i wbił wzrok w Richarda. – To porównanie. Musicie to zapamiętać przed egzaminem końcowym.

I to wszystko. Ślepy zaułek. Trzeba spróbować czego innego, pomyślał Richard, niosąc książki do laboratorium. Wznowił pracę przy skanach, porównując schematy z kory czołowej, na których znaczone obecność różnych neuromediatorów, a następnie przejrzał relacje w poszukiwaniu związków między zasadniczymi elementami doświadczeń granicznych.

Co prawda nic nie znalazł, lecz kiedy zestawił doświadczenia graniczne, kierując się długością ich trwania, okazało się, że po trzeciej sesji, w trakcie której Joanna obudziła się spontanicznie, skaner odnotował obecność theta-asparcyny. Richard zastanowił się, czy podczas tego eksperymentu Joanna się odwróciła i cofnęła w głąb przejścia.

Okazało się, że jego podejrzenia są słuszne. Sprawdził relacje z jeszcze dwóch sesji, w których pojawiła się theta-asparcyna. W czasie jednej z nich Joanna się przedwcześnie ocknęła, a w trakcie drugiej wyszła z windy prosto do przejścia. Theta-asparcyny nie było podczas sesji, w której zbiegała po schodach i wpadała do przejścia. W trakcie sesji z windą Joanna nie odzyskiwała przytomności przez prawie cztery minuty.

Richard pracował do wpół do pierwszej, potem zszedł do bufetu, kupił kanapkę i zaczął przeglądać książki od Kit. Najpierw sprawdził w indeksach słowo „winda”. Tak jak przewidywał, niczego nie znalazł. Musiał więc przeczytać wszystkie pozycje.

Zaczął od książki ze stolika, *Titanic w kolorach*, ze szczegółowymi rysunkami palarni, sali gimnastycznej i głównych schodów.

„U szczytu schodów w stylu Williama i Mary znajdował się rzeźbiony zegar, przedstawiający Honor i Chwałę koronujące Czas”. Joanna podkreśliła słowo „chwała”. Nie znalazł jednak żadnej wzmianki o windzie.

Tajemnice Titanica również nie zawierały informacji o windzie. Książkę poświęcono głównie załodze i temu, co się kryło pod pokładami. Prawie nikt z członków personelu nie przeżył katastrofy. Zginęli oficerowie kierujący akcją ewakuacyjną, radiotelegrafista, mechanicy, którzy do końca pozostali na stanowiskach, aby zapewnić dopływ energii elektrycznej do radiotelegrafu i lamp pokładowych. Technik mechanik Harvey wrócił do zalanej kotłowni, aby zabrać stamtąd kolegę ze złamaną nogą, a wszyscy

palacze, trymerzy i urzędnicy pocztowi pozostali na stanowiskach jeszcze długo po tym, jak ich zwolniono z tego obowiązku.

Richard czytał tak długo, jak się dało. Potem zszedł na oddział nagłych wypadków, aby spytać Vielle, czy znalazła inne osoby mające styczność z Joanną w dniu jej śmierci.

– Niestety – oświadczyła pielęgniarka, bandażując łokieć małej dziewczynki. – Rozmawiałam z taksówkarzem, który wiozł kobietę bez płaszcza, lecz nie pamiętał jak wyglądała, więc nie musiała to być Joanna.

– Powiedział, dokąd ją zawiózł?

Pokręciła głową.

– Takiej informacji mógłby udzielić wyłącznie policjantowi. Zadzwoń do znajomego z posterunku i spytam, czy mógłby nam pomóc.

Richard wrócił na górę przez główny budynek, po drodze zapamiętując rozmieszczenie wind i klatek schodowych. Przed drzwiami laboratorium zastał Kit.

– Co ty tu robisz? – zdumiał się.

– Coś znalazłam. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale przyszedł opiekun do wujka – zapomniałam rano zadzwonić i go odwołać – więc pomyślałam, że lepiej będzie, jak wpadnę i ci to pokażę osobiście.

Otworzył drzwi i weszli do środka.

– Natrafiłam na dwie dziwne relacje. Większość jest spisana w formie pytań i odpowiedzi. – Wręczyła mu trzy spięte kartki. – Ale jedna to monolog. Tutaj jest nazwisko pacjenta, Joseph Leibrecht. Nie znalazłam go na liście osób, z którymi Joanna przeprowadzała wywiady.

Joseph Leibrecht. Nazwisko brzmiało znajomo. Richard zerknął na wydruk.

– To nie wywiad – oświadczył. – To relacja z doświadczeń granicznych jednego z członków załogi *Hindenburga*. – Richard nie miał pojęcia, co ten tekst robił pośród relacji pacjentów Joanny. Zdawało mu się, że sama twierdziła, iż jego słowa spisano zbyt późno po całym zdarzeniu, aby nadawały się do naukowego wykorzystania, niemniej zaznaczyła słowa „morze” oraz „ogień”. Znowu ogień.

– Podobno znalazłaś dwie dziwne relacje?

– Tak, sporządziłam listę osób, z którymi Joanna rozmawiała w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Jeden z pacjentów pojawia się kilkakrotnie w jej notatkach.

– Jak się nazywa? – Richard sięgnął po ołówek. W tym sęk. – Kit wyciągnęła wydruk z torby. – Na relacji widnieje słowo Carl, lecz nie wiem, czy to imię czy nazwisko. Wszyscy inni pacjenci są opisani z nazwiska i pierwszej litery imienia. Relacje Carla różnią się od pozostałych także pod innymi względami. – Wskazała palcem fragment tekstu. – Pozostałe mają formę pytań i odpowiedzi, a w tej są wyłącznie pojedyncze zwroty i słowa, które zresztą nie mają większego sensu.

Richard spojrział w miejsce wskazywane przez Kit. „...Muszę... nie mogę... łaty?”

– Gdzie były te relacje, jeśli można je tak nazwać? – spytał.

Kit sprawdziła na liście.

– Pierwsza pochodzi z czwartego grudnia, a ostatnia z osiemnastego bieżącego miesiąca.

– Zatem kimkolwiek jest ten człowiek, jest szansa, że tamtego dnia wciąż przebywał w szpitalu.

– To może być kobieta – zauważyła Kit. – Jeśli Carl to nazwisko.

– Racja. – Richard podniósł słuchawkę. – Sprawdzę, czy Vielle wie coś o tej osobie. – Zadzwoił do nagłych wypadków, spodziewając się, że numer będzie zajęty. W takiej sytuacji musiałby przesłać Vielle wiadomość na pager. Odezwała się jednak asystentka i oznajmiła, że zaraz poprosi Vielle. Po krótkiej przerwie pielęgniarka podniosła słuchawkę.

– Słyszałaś, żeby Joanna kiedykolwiek wymieniała pacjenta o imieniu lub nazwisku Carl? – spytał Richard.

– Tak, ale na pewno nie poszła go wtedy odwiedzić.

– Czemu?

– Bo on nic nie jest w stanie powiedzieć. Zapadł w długotrwałą śpiączkę. Niekiedy coś mamrocze, a Joanna poprosiła pielęgniarki, aby notowały jego słowa – wytłumaczyła Vielle.

To by wyjaśniało pourywane zwroty i znaki zapytania po niektórych wyrazach. W ten sposób Joanna zaznaczała, że pielęgniarki zgadywały, co wybełkotał chory.

– Rozmawiałaś ze swoim przyjacielem z policji?

– Nie – zaprzeczyła. – Ale zamieniłam parę słów z koordynatorem zespołu reanimacyjnego. Tamtego ranka nikt nie był reanimowany, a zatem jeśli Joanna poszła do jakiegoś pacjenta po doświadczeniach granicznych, musiał to być ktoś, z kim rozmawiała wcześniej... Co? – spytała kogoś. – Ktoś z raną postrzałową, kończę. – Rozłączyła się.

– Utknęliśmy w martwym punkcie – mruknął Richard, odkładając słuchawkę. – Carl jest w stanie śpiączki.

– Och – westchnęła rozczarowana Kit. – No nieważne, tu są nazwiska pacjentów. – Chciała wręczyć Richardowi listę, lecz cofnęła rękę. – Jedna z nich... – Przesunęła palcem po wydruku. – ...wspomniała coś o mgle. Przyszło mi do głowy, że może dlatego Joanna spytała mnie, czy w noc zatonięcia *Titanica* było mgliście. – Znalazła nazwisko. – Maisie Nellis.

Maisie.

– Chyba wiem, dokąd poszła Joanna – oznajmił i ruszył do drzwi. Nagle stanął. Nie miał przecież pojęcia, czy Maisie wciąż jeszcze jest w szpitalu. – Zaczekaj – zwrócił się do Kit, podniósł słuchawkę i zadzwonił do centrali. – Czy Maisie Nellis widnieje na liście pacjentów?

– Tak...

– Dziękuję. – Rzucił słuchawkę. – Chodź, Kit, idziemy. Po drodze na trzecie piętro w zachodnim skrzydle opowiedział jej o Maisie.

– Podczas naszego pierwszego spotkania powiedziała mi, że Maisie w czasie swoich doświadczeń granicznych widziała mgłę, a Joanna twierdziła, że w trakcie swojej drugiej sesji również ujrzała mgłę. – Dotarli na pediatrię.

Drzwi do pokoju 322 były otwarte.

– Maisie? – Richard zajrzał do środka. Pomieszczenie okazało się puste, łóżko było posłane, a w jego nogach leżało złożone prześcieradło i poduszka. Szafka i stolik lśniły czystością i nie leżały na nich żadne przedmioty. Szafa także stała zupełnie pusta.

Richardowi przemknęło przez myśl, że Maisie umarła. Znowu powtarza się taka sama sytuacja, jak w wypadku Joanny. Maisie nie żyje, a on nie ma o tym pojęcia.

– Dzień dobry – rozległ się kobiecy głos. Richard się odwrócił i ujrzał Barbarę. – Widziałam, jak państwo szli, i domyśliłam się, że chcą państwo złożyć wizytę Maisie. Przeniesiono ją. Jest na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej. Znowu ją reanimowano, a tym razem jej stan znacznie się pogorszył. Znalazła się na początku listy osób przeznaczonych do zabiegu transplantacji serca.

– Na początku? – zdziwił się Richard. – To znaczy, że wszczepią jej pierwsze wolne serce?

– Dostanie pierwsze dostępne serce w odpowiednim rozmiarze, pochodzące od dawcy o tej samej grupie krwi. Na szczęście Maisie ma

grupę A, więc pasuje grupa A oraz O, lecz wiadomo, jak krucho jest z dawcami, zwłaszcza dziećmi.

– W jakim czasie powinno pojawić się dostępne serce? – zainteresowała się Kit.

– Nie da się tego dokładnie określić. Miejmy nadzieję, że w przeciągu najwyżej kilku tygodni. Oby dni.

– Jak to przyjmuje jej matka? – zapytał Richard.

Barbara zeszywniała.

– Pani Nellis... – zaczęła nerwowo, lecz udało się jej powstrzymać. – Wszystko można sprowadzić do absurdu, nawet pozytywne myślenie.

– Czy Maisie może przyjmować gości? – dopytywał się Richard.

Barbara skinęła głową.

– Wciąż jeszcze jest bardzo słaba, ale na pewno bardzo się ucieszy na pana widok. Wczoraj się o pana pytała.

– Nie wie pani, czy Joanna wpadła odwiedzić Maisie w dniu swojej śmierci?

– Nie mam pojęcia. Byłam wtedy gdzie indziej. Wiem, że dzień wcześniej Joanna przyszła do Maisie albo do niej zadzwoniła, bo dziewczynka bardzo się zajęła wyszukiwaniem czegoś w swoich książkach o katastrofach.

– Pamięta pani, czego szukała?

– Nie. Chodziło o coś związanego z *Titanikiem*. To najnowsza pasja Maisie. Wiedzą państwo, jak trafić na oddział intensywnej opieki kardiologicznej? – Przekazała im skomplikowane polecenia, które Richard pilnie zanotował, żeby je potem uwzględnić na swoim planie. Poszli do windy.

– Panie doktorze, proszę poczekać – krzyknęła Barbara, usiłując za nimi nadążyć. – Powinien pan o czymś wiedzieć. Maisie nie... – zaczęła i urwała.

– Maisie nie co?

Przygryzła wargę.

– Nic takiego. Nieważne. Chciałam was tylko ostrzec, że ona nie wygląda najlepiej. Ten ostatni wypadek... – Znowu zamilkła.

– Wobec tego może nie powinienem...

– Nie, myślę, że wasza wizyta dobrze jej zrobi. Ucieszy się.

Maisie się nie ucieszyła. Leżała bez ruchu, z głową opartą na poduszkach. Wokół niej ustawiono liczne urządzenia kontrolne,

wypełniające większość pokoju. Telewizor był włączony, a pilot leżał na łóżku przy ręce dziewczynki, która nie oglądała programu, ale gapiła się w ścianę obok ekranu. Oddychała krótko, urywanie. Na stojaku do kroplówek zawieszono co najmniej sześć torebek. Przewody doprowadzające płyny podłączono do nogi Maisie. Gdy Richard spojrział na jej rękę, zrozumiał dlaczego. Dziewczynka wyglądała jak po bójkę. Cały grzbiet dłoni miała pokryty fioletowo-zielono-czarnymi siniakami. Z szyi zwisał jej metalowy identyfikator.

– Cześć, Maisie – przywitał się Richard, usiłując nadać głosowi normalne brzmienie. – Pamiętasz mnie? To ja, doktor Wright.

– Aha – burknęła bez cienia entuzjazmu.

– Chciałbym, żebyś kogoś poznała. Maisie, to jest Kit. Moja przyjaciółka.

– Cześć, Maisie – odezwała się Kit.

– Dzień dobry – odparła obojętnie dziewczynka.

– Mówiłem Kit, że jesteś specjalistką od katastrof – oświadczył Richard. Odwrócił się do Kit. – Maisie wie wszystko *Hindenburgu*, o pożarze w cyrku w Hartford i o wielkiej powodzi melasy.

– O wielkiej powodzi melasy? – zdziwiła się Kit. – Co to takiego?

– To wielka powódź. – Dziewczynka wciąż mówiła tym samym, zobojętniałym tonem. – Melasy.

Richard zastanowił się, czy Barbara nie chciała go ostrzec właśnie przed tym. Jeśli tak, potrafił zrozumieć, czemu zmieniła zdanie. Nigdy nie uwierzyłby, że nawet ciężko chora Maisie mogłaby się zachowywać tak obojętnie i biernie, wręcz apatycznie.

– Ktoś zginął? – zainteresowała się Kit. – Podczas tej powodzi?

– Ludzie zawsze giną. Na tym polega tragedia: muszą w niej zginąć ludzie – burknęła Maisie.

– Pan doktor powiedział mi, że się przyjaźniłaś z doktor Lander.

– Czasami do mnie wpadała. – Maisie skierowała wzrok na telewizor.

– Ja też się z nią przyjaźniłam – przyznała Kit. – Maisie, kiedy doktor Lander przysła cię odwiedzić po raz ostatni?

– Nie pamiętam. – Chora nie oderwała oczu od ekranu.

– To ważne. – Kit sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. – Sądzymy, że doktor Lander dowiedziała się czegoś ważnego, lecz nie wiemy czego. Staramy się dowiedzieć, gdzie była i z kim rozmawiała.

– Dlaczego do niej nie napiszecie i nie spyacie jej o to?

– Napiszecie? – powtórzył niepewnie Richard.
Maisie popatrzyła na niego ze zdziwieniem.
– Panu też nie zostawiła nowego adresu?
– Nowego adresu?
– Tego, pod którym zamieszkała w New Jersey.
– Zamieszkała...? Maisie, nikt ci nie powiedział? – osłupiał Richard.
– Czego mi nie powiedział? – Maisie usiadła na łóżku. Linia na ekranie urządzenia monitorującego pracę serca gwałtownie podskoczyła. Richard spojrzał błagalnie na Kit.

– Coś się stało pani Joannie, prawda? – zaskrzeczała dziewczynka. – Prawda?

Pełna dobrych chęci matka Maisie powiedziała jej, że Joanna się wyprowadziła i zabroniła Barbarze i innym pielęgniarkom podawania córce prawdziwych informacji. Teraz Richard to zrobił... Za jej głową linia pracy serca gwałtownie zygzakowała. A jeśli jej powie, a ona dozna wstrząsu i dostanie migotania komór? I tak reanimowano ją już dwukrotnie.

– Musi mi pan powiedzieć – krzyknęła Maisie. Urządzenie kontrolne uruchamiało alarm w pokoju pielęgniarek. Za chwilę przybiegnie siostra, aby ich wyprosić i uspokoić małą. Richard pomyślał, że w ten sposób nie będzie zwiastunem złych wieści.

– Błagam – jęknęła Maisie, a Kit kiwnęła do niego głową.

– Joanna się nie wyprowadziła – wyjaśnił łagodnie. – Zmarła.

Maisie wpatrywała się w niego z otwartymi ustami i oczami rozszerzonymi ze zdumienia. Nie ruszała się. Na ekranie zielona linia wystrzeliła w górę i opadła. No i się doigrałem, pomyślał Richard. Zabiłem ją.

– Wiedziałam – sapnęła Maisie. – To dlatego nie przyszła do mnie po reanimacji. – Uśmiechnęła się promiennie. – Wiedziałam, że nie przeprowadziłaby się z dnia na dzień, nie przychodząc i nie żegnając się ze mną! – wykrzyknęła radośnie. – Wiedziałam.

Rozdział 49

„Ufam, że kat jest specjalistą, a ja mam taką cieką szyję. O Boże, ulituj się nad moją duszą, o Boże, ulituj się nad moją duszą...”

Ostatnie słowa Anne Boleyn,
wypowiedziane tuż przed egzekucją

Joanna pobiegła z powrotem po pokładzie z promenadą. Oby radiotelegrafista wciąż był u siebie, powtarzała sobie. Żeby tylko nie przestał jeszcze nadawać.

Przechył statku się pogłębił, gdy przebywała w palarni. Joanna musiała rękami chronić się przed uderzeniem o okna, do których się zsuwała, biegnąc. Oby schodów nie zalała jeszcze woda, myślała. W tej samej chwili przyszło jej do głowy, że w pobliżu tylnych schodów znajdują się schody dla załogi. Przekręciła gałkę najbliższych drzwi.

Zamknięte. Następne były zablokowane przez płataninę lin, które spadły na pokład. Kolejne też okazały się zamknięte. Gdzie są te właściwe? Szarpnęła za jeszcze jedną gałkę i drzwi niespodziewanie się otworzyły. Za nimi znajdowały się stalowe schody.

Widziała je po raz pierwszy. Były węższe, bardziej strome i ażurowe; stopnie wykonano z cienkiej kraty. Schody, na których Joanna znalazła się wcześniej, wyposażono w drzwi na każdym podeście. Nie miała żadnych wątpliwości, że te schody biegły na sam dół, dzięki ich konstrukcji widziała bowiem wszystko kilka pięter niżej. A jeśli on tam jest?, zadała sobie pytanie, wciąż ściskając gałkę w drzwiach.

Joanna zerknęła na pokład z promenadą. Greg Menotti znajdował się w połowie drogi do niej. Biegł bardzo szybko, energicznie przebierał nogami i machał rękami.

– Musisz mi pokazać, gdzie są składane łodzie! – wrzasnął, a Joanna pośpiesznie ukryła się za drzwiami, które zamknęły się z cichym trzaskiem. Popędziła na górę, głośno tupiąc o metalowe stopnie.

Przechylały się do przodu, więc stopy Joanny wciąż się ześlizgiwały. Chciała chwycić metalową poręcz, lecz nie mogła. Spojrzała na dłonie. Wciąż trzymała tacę z bufetu. Pomyślała, że cały czas biegła z nią na pediatrię i nie uświadamiała sobie tego. Chciała przekazać tacę pielęgniarce bez bioder, lecz nie była na oddziale pediatrii, tylko na schodach, a Greg zbliżał się do niej. Uznała, że musi się pozbyć tacy, więc ją rzuciła. Taca spadała po schodach coraz niżej i niżej, pokład za pokładem, na samo dno statku.

Joanna obydwoma dłońmi chwyciła poręcz, mokrą i tak ostrą, że wbiła się jej w śródreżce. Spojrzała do góry. Gdzieś z wysoka kapąła woda. Za późno, pomyślała, a poręcz przecięła jej rękę jak nóż. Statek tonie.

Ale przecież Jack Phillips nadawał SOS do samego końca, nawet wtedy, gdy dziób zniknął pod wodą, nawet gdy kapitan powiedział mu, że odtąd każdy zajmuje się sobą. Joanna puściła poręcz lewą ręką i znowu ruszyła w górę, niezdarnie pokonując pochyłe stopnie, uderzając biodrami o stół, *przewracając napój owocowy kool-aid, słysząc, jak jej matka wzdycha: „Och, Joanno”, i sięgając jednocześnie po szklankę i ręcznik, wycierając napój, ręcznik zrobił się czerwony, coraz czerwieńszy, przemókł, a Vielle powiedziała: „Pośpiesz się! Film się zaczyna”, wręczyła jej prażoną kukurydzę, Joanna pobiegła ciemnym przejściem, nic nie widząc, bojąc się, że film się zaczął, mając nadzieję, że to tylko reklamy innych programów, widząc przed sobą światło, migoczące, złote, jak ogień...*klęczała z palcami wczepionymi w kratę następnego stopnia. Pomyślała, że nie, jeszcze nie. Muszę przesłać wiadomość. Wstała i ruszyła wyżej, przed siebie.

Dobiegł ją hałas. Joanna przygotowała się na ciemność tunelu. Dźwięk zabrzmiał ponownie. Dochodził z dołu i odbijał się od ścian metalicznym echem. Joanna pomyślała, że on jest na schodach, że idzie na górę. Spojrzała przez ażurowe schody, lecz to nie był on, tylko Greg Menotti, wbiegający na górę.

Szybciej, pomyślała i pokonała ostatnie schody, wbiegła przez drzwi i znalazła się na pokładzie łodziowym. Pędem minęła otwór szybu wentylacyjnego i wypukły dach głównych schodów. Gdzieś za nią trzasnęły drzwi. Szybciej, szybciej. Przebiegła obok pustych żurawików. W pomieszczeniu radiotelegrafisty wciąż świeciło światło. Widziała je pod drzwiami. A więc jeszcze nadawał, i będzie to robił, dopóki nie zabraknie prądu.

Ktoś szarpnął ją za sweter i pociągnął do tyłu. Niezdarnie upadła na kolano.

– Gdzie są... – wrzasnął Greg, lecz jego słowa zagłuszył niespodziewany, ogłuszający ryk pary. Otoczył ich dym. Joannie przeszło przez myśl, że może uda się jej uciec, lecz gdy spróbowała, Greg chwycił ją za nadgarstek, a drugą ręką złapał jej sweter.

Szarpnął nią gwałtownie, stawiając na nogi.

– Gdzie są składane łodzie? – usiłował przekrzyczeć ryk – Gdzie one są?

– Nad kwaterami oficerskimi. – Wyciągnęła rękę ku dziobowi statku. – Tam.

Popchnął ją przed sobą, wykręcając rękę za plecy.

– Pokaż – rozkazał i popchnął ją stanowczo. Przeszli obok komina i pomieszczenia radiotelegrafisty.

– Muszę wysłać wiadomość – oznajmiła Joanna, nie odrywając wzroku od cienkiej linii światła pod drzwiami. – To ważne.

– Najważniejsze to wydostać się z tego statku, zanim pójdzie na dno. – Ponownie ją popchnął.

Joanna pomyślała, że to się nie dzieje naprawdę i że chce, aby Greg zniknął. Jest tylko tworem konfabulacji, metaforą, błędem. Wymyśliłam go, próbując zrozumieć, co się dzieje. Ogarnęła mnie panika, przestałam racjonalnie myśleć. Jego nie ma. Zmarł półtora miesiąca temu. Nie może nikomu nic zrobić. Zacisnęła oczy i spróbowała wyobrazić sobie jego zwłoki na oddziale nagłych wypadków, lecz cały czas mocno ścisnął ją za nadgarstek i brutalnie popychał obok kabiny nawigacyjnej do kwater oficerskich.

– Powinny być tutaj. – Joanna wskazała brodą płaski daszek nad ich głowami.

– Gdzie? – Zerknął do góry. – Jest zbyt ciemno, nic nie widzę.

– Jesteśmy przy kwaterach oficerskich. Łodzie trzymano nad nimi. Nie ma ich tutaj, bo to nie *Titanic*, tylko...

Wspiął się na leżak, wciąż nie puszczając jej nadgarstka. Pociągnął ją za sobą, na windę kotwiczną. Sięgnął do słupka, naprężył się i puścił jej rękę. Joanna nie zwlekała. Zeskoczyła z windy, z leżaka i popędziła do kabiny radiotelegrafisty.

Drzwi były zamknięte, a po ich zewnętrznej stronie umieszczono dużą kartkę papieru z napisem: „Znasz kogoś w niebezpieczeństwie? Możesz uratować życie”.

Popchnęła drzwi. Oby tylko tam był, żeby wciąż wysyłał sygnał.

Był. Siedział pochylony nad kluczem radiotelegraficznym. Nie miał na sobie płaszcza, a na blond głowie trzymał słuchawki. Palcem gwałtownie przyciskał dźwigienkę klucza. Między biegunami prądniczy rozbłyskiwały iskry. Joanna z ulgą pomyślała, że wciąż nadaje.

– Muszę wysłać wiadomość – oświadczyła, ciężko oddychając. – To ważne.

Jack Phillips nie podniósł oczu i nie przestał nadawać. Uznała, że jej nie słyszy z powodu słuchawek.

– Jack. – Dotknęła jego ramienia. Odwrócił się ze zniecierpliwieniem i ściągnął z jednego ucha głośnik słuchawek. – Panie Phil... – Urwała i wbiła w niego wzrok.

Rozdział 50

„Jesteśmy na 157-337, północ-południe. Nasłuchujcie na 6210”.

Ostatni komunikat radiowy od Amelii Earhart i Freda Noonana

Maisie chciała wiedzieć wszystko.

– Jak zmarła? – spytała Richarda. – W katastrofie?

– Nie – zaprzeczył.

– Zasztyletował ją narkoman na oddziale nagłych wypadków – wytłumaczyła Kit, a Maisie pokiwała głową, jakby potwierdzili, że chodziło o katastrofę. Miała nieco racji. Nieoczekiwana, niezasłużona śmierć. Joanna straciła życie tylko dlatego, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Czym się różniła jej śmierć od tragedii mieszkańców Pompejów, zasypanych przez popiół z Wezuwiusza? Albo od katastrofy pasażerów *Lusitanii*?

– Dźgnął ją wiele razy? – interesowała się Maisie.

Richard z niepokojem spojrział na drzwi. Pielęgniarka przybiegła od razu i chciała wiedzieć, co się dzieje.

– Dziwnie się czułam – wyjaśniła bez zająknienia Maisie. – Ale kiedy odwiedził mnie doktor Wright i pani Gardiner, od razu mi się poprawiło.

Nie kłamała. Nawet wyglądała lepiej, choć Richard nie potrafił zrozumieć, co się w niej zmieniło. Wciąż miała podkrążone oczy, bladą usta, ale odzyskała mocny głos i zachowywała się energiczniej.

– Ratował ją zespół reanimacyjny? – dopytywała się. – zastosowano elektrody?

– Lekarze zrobili wszystko, aby ją uratować – odparł Richard. Przy specjalistce takiej jak Maisie nie musiał stosować określeń zrozumiałych dla laików. – Nóż przeciął aortę. Zmarła w wyniku ostrego krwotoku.

Maisie skinęła z powagą.

– A co się stało z napastnikiem?

– Ochroniarz go zabił – wyjaśniła Kit.

– To dobrze. – Maisie odchyliła się na poduszkach i znowu usiadła. – Mówiliście, że pani Joanna odkryła coś ważnego. Co takiego?

– Nie wiemy. – Richard opowiedział, jak Joanna rozmawiała z panem Wojakowskim o czymś ważnym, co ma do przekazania, i o tym, co chciała powiedzieć, umierając.

– Czy to dotyczyło *Titanica*?

– Dlaczego tak uważasz? – Richard spojrział na Kit stojącą po drugiej stronie łóżka.

– Dużo mnie pytała o *Titanica*. Chodziło o wiadomość radiotelegraficzną?

– Dlaczego? – Richard bał się spytać o cokolwiek więcej.

– Gdy ostatnio do mnie przyszła, chciała, żebym znalazła wiadomości radiotelegraficzne z *Titanica*.

– Kiedy to było? – Richard chciał dodać, że Joanna zmarła czternastego, lecz przypomniał sobie jej słowa: „Nie sugeruj odpowiedzi”.

– Hm. – Maisie zmarszczyła brwi w zamyśleniu. – Prosiła o znalezienie wiadomości, a zajęło mi to dużo czasu, bo mama często do mnie przychodziła i dwa razy miałam migotanie przedsionków, więc zrobiono mi sporo badań. A potem przyszła, żeby się dowiedzieć, czy na *Titanicu* był ogród, i musiałam to sprawdzić...

– Ogród? – odezwała się Kit. – Joanna sporządziła listę odniesień do ogrodów pojawiających się w relacjach jej pacjentów – wyjaśniła Richardowi.

– A był tam jakiś ogród? – Richard zwrócił się do Maisie.

– Coś w tym stylu. W jednej z moich książek jest zdjęcie kawiarni Verandah, która wyglądała jak ogród. Były tam kwiaty, winorośl i tak dalej. Zadzwoiłam, żeby jej o tym powiedzieć i żeby przyszła, bo przygotowałam już listę wiadomości radiotelgraficznych.

– Czy tego samego dnia spytała cię o ogród?

– Nie, to się stało dzień wcześniej, a kiedy do niej zadzwoniłam, odparła, że nie może przyjść, bo jest zajęta. Obiecała, że wpadnie później, ale nie wpadła. Sądziłam, że zapomniała, ale ona pamiętała. – Maisie popatrzyła na Richarda. – Niezbyt dobrze pamiętam, którego to się stało. Możecie spytać siostrę Barbarę. Założę się, że wam powie.

Nic było potrzeby. W dniu śmierci Joanna z całą pewnością nie widziała się z Maisie. Szukali kogoś innego.

– Maisie, o której do niej dzwoniłaś? – spytał Richard.

– Zaraz po tym, jak mama poszła do prawnika. Chyba dziewiątej.

O dziewiątej. Joanna powiedziała Maisie to samo, co wyjaśniła Kit, że jest zajęta i wpadnie do niej później.

– Wiedziałaś, o której Joanna do ciebie przyjdzie? – ciągnął Richard.

– Miała wpaść po lunchu.

– Czyli o której? – zapytała Kit.

– O wpół do dwunastej.

Joanna zamierzała odwiedzić Maisie, lecz tego nie zrobiła. To dowód, że coś się wydarzyło. Tylko co?

– Czy Joanna powiedziała ci, czym jest zajęta?

– Wydaje mi się, że chodziło o radiotelegraficzne wiadomości z *Titanica*, bo prosiła mnie o ich znalezienie.

Richard i Kit wymienili spojrzenia.

– A mówiła, dlaczego chciałyby to wiedzieć?

Maisie pokręciła przecząco głową.

– Mówiła tylko, żebym je wypisała, więc to zrobiłam. – Sięgnęła do szafki nocnej, a linia na monitorze kontrolującym pracę serca zaczęła gwałtownie podskakiwać.

– Zaraz, ja to zrobię – pośpiesznie odezwała się Kit i obeszła łóżko. Maisie położyła się na poduszce i linia się uspokoiła. Kit otworzyła szufladę. – Nic nie widzę.

– Jest w pudełku z *Tajemniczym ogrodem*.

Kit wyciągnęła kasetę, zajrzała do środka i wytrząsnęła starannie złożoną kartkę papieru, którą wręczyła Maisie. Dziewczynka ostrożnie ją rozprostowała.

– Więc tak, pierwsza... Wypisałam je w kolejności nadawania – wytłumaczyła. – Pierwszą nadano pięć po dwunastej, a ostatnią dziesięć po drugiej. Statek zatonął dwadzieścia po drugiej. – Urwała, aby odetchnąć. – Pierwsza brzmiała: „CQD”, czyli „alarm dla wszystkich stacji”. – Kolejny oddech. – „MGY” to *Titanic*. – Oddech. – A potem ich pozycja. – Wręczyła kartkę Richardowi.

Wpatrywał się bez zainteresowania w wiadomość wypisaną drukowanymi literami, dziecięcym charakterem pisma Maisie. „CQD. CQD. MGY41.46N, 50.14W. CQD. MGY”.

– Radiotelegrafista *Titanica* nie wysyłał SOS jako sygnału alarmowego? – zapytał, czując przypływ nadziei.

– Pani Joanna też mnie o to spytała. Nadawali SOS, ale później. – Pochyliła się i wyciągnęła kartkę z rąk Richarda. – O proszę. – Pokazała palcem. – „MGY SOS” piętnaście po dwunastej.

SOS. Czy Joanna widziała, jak radiotelegrafista wystukiwał jedną z tych wiadomości, i potrzebowała potwierdzenia z zewnątrz? A może starała się znaleźć coś innego, a wskazówka kryła się tutaj, na kartce Maisie? Nie, to niemożliwe. Joanna nie widziała tych zapisków.

– Posłuchaj, Maisie – zaczął Richard. – Czy dzwoniąc do Joanny, powiedziałaś jej o wiadomościach, które znalazłaś?

– Nie. Poinformowałam ją tylko, że je mam. Dwie z nich pokazałam jej wcześniej.

– Które? – Richard oddał dziewczynce listę.

– Tę i tę – pokazała.

– „Przybywajcie szybko. Maszynownia zalana do wysokości kotłów” oraz: „Toniemy. Nic nie słyhać z powodu szumu pary”. – Joanna pytała Kit o parę i pożary na *Titanicu*, które mogły wyjaśniać pojawienie się dymu.

– Pytała cię jeszcze o coś związanego z *Titanikiem*? – chciała wiedzieć Kit.

– Tak, interesowało ją, czy była tam winda i basen. Ciekawiła ją też *Carpathia*.

Do pokoju zajrzała starsza wiekiem pielęgniarka.

– Pięć minut minęło – obwieściła.

Richard skinął głową, a Kit wstała.

– Nie możecie jeszcze wychodzić – wykrzyknęła Maisie, a linia na monitorze zaczęła gwałtownie zygzakować. – Nie powiedzieliście, co waszym zdaniem odkryła i jak chcecie to potwierdzić. Bardzo proszę, siostró Lucille – zaapelowała do pielęgniarki. – Jeszcze dwie minuty i odpocznę, obiecuję. – Położyła się posłusznie na poduszkach, jakby chcąc dowieść dobrych intencji. – Wypiję mój preparat wzmacniający.

– No dobrze – odparła pokonana Lucille. – Jeszcze dwie minuty i to wszystko. – Wyszła.

Kiedy tylko zniknęła za progiem, Maisie usiadła.

– A teraz mówcie – zażądała. – Uważacie, że do kogoś poszła i czegoś się od niego dowiedziała, tak? Dlatego do mnie przyszliście. Sądziлиście, że wpadła do mnie, zgadza się? Było jednak inaczej. Założę się, że chodzi o

jednego z jej pacjentów po doświadczeniach granicznych, więc musimy zacząć od...

– My? – zdumiał się Richard. – Ty nie będziesz nic robić poza odpoczywaniem.

– Ale ja mogę... – Nagle zamilkła i opadła bezwładnie na poduszki.

– Maisie? – zaniepokoił się Richard i spojrzał niepewnie na Kit, która zerknęła na ekran, a potem ponownie na dziewczynkę wpatrującą się w drzwi.

Do pokoju weszła Lucille, trzymając w dłoni małą puszkę ze słomką. Postawiła ją na tacy zawieszanej nad łóżkiem Maisie.

– Do dna – zarządziła.

– Waniliowy? Nie ma pani czekoladowego?

– Do dna – powtórzyła Lucille i wyszła.

– Nie cierpię wanilii – burknęła Maisie i odepchnęła puszkę na bok. – Idę o zakład, że pan Mandrake zna wszystkie osoby po doświadczeniach granicznych. Możemy pójść zapytać...

– Ty nigdzie nie idziesz, Maisie. Nie żartuję. – Richard przybrał ostrzegawczy ton. – Nie zrobisz zupełnie nic. Możesz tylko odpoczywać i nabierać sił przed przyjęciem nowego serca. Sami się dowiemy, z kim rozmawiała Joanna.

– Przecież nic bym nie robiła. – Maisie zwróciła się do Kit – Pytałabym tylko różnych ludzi, którzy do mnie przychodzą, czy widzieli, jak z kimś rozmawiała. Na przykład tego faceta od opróżniania koszy na śmieci. Nie musiałabym wstawać z łóżka. – Popatrzyła na Richarda. – Bardzo proszę. Pani Joanna mówiła, że świetnie zbieram informacje.

Richardowi przyszło do głowy, że Maisie zamierza działać na własną rękę bez względu na to, czy uzyska ich przyzwolenie. Zastanowiło go, jak Joannie się udało utemperować zapędy dziewczynki, i uświadomił sobie, że po prostu skierowała jej energię na wyszukiwanie wiadomości radiotelegraficznych i wysp na Pacyfiku.

– No dobrze – odezwał się, spoglądając na Kit. Skinęła głową. – Możesz nam pomóc, ale obiecaj, że będziesz odpoczywała...

– I zrobisz wszystko, co każą pielęgniarki – dodała Kit.

– Słowo – obiecała pokornie Maisie.

– Mówimy serio – podkreślił Richard. – Możesz tylko zadawać pytania. Nie wolno ci nic robić ani dokądkolwiek chodzić.

– I tak nigdzie by mnie nie puścili – zauważyła z niechęcią, a Richardowi przyszło do głowy, że dziewczynka musi już coś mieć na sumieniu. – Obiecuję. Będę tylko zadawała pytania.

– W porządku – zgodził się Richard. – Interesuje nas czas między jedenastą z minutami a piętnaście po dwunastej.

Maisie sięgnęła do szafki nocnej, lecz Kit uprzedziła ją i podała ołówek i notatnik.

– Jedenasta – dwunasta piętnaście – zapisała Maisie. – Czy mam przesłać panu wiadomość na pager, kiedy się czegoś dowiem?

– Lepiej zadzwoń. – Uśmiechnął się. Wyłowił z kieszeni fartucha jedną z wizytówek.

– A jeśli pana nie zastanę?

– Zostawisz wiadomość na sekretarce. Obiecuję, że przyjdę, gdy tylko odsłucham nagranie – dodał, widząc jej sceptyczne spojrzenie. Spojrzał na zegarek.

– Pora na nas – potwierdziła Kit i wstała. – Dwie minuty.

– Nie możecie jeszcze iść. Nie znam pani numeru – zaprotestowała Maisie. – Na wypadek, gdyby sekretarka pana doktora się popsuła.

Mistrzyni opóźniania w akcji. Spisała telefon Kit, a potem Vielle.

Ale nie możesz wydzwaniać na oddział nagłych wypadków – zabronił surowo Richard. – Tam nikt nie ma czasu na pogawędki. Masz telefonować do mnie.

– Dobrze – zgodziła się potulnie.

– A teraz wypij swój preparat i odpocznij. – Skierowali się do drzwi.

– Wiecie, co mi to przypomina? – zdążyła spytać Maisie.

– Co takiego?

– Wszystko jest tak samo, jak na *Titanicu*. Trzeba było dojść do tego, co się stało z ludźmi, którzy zginęli. Dlatego rozmawiano z innymi osobami i dowiadywano się, co kto robił, kto kogo widział i tak dalej.

Łączenie kolejnych elementów tragedii, mozolne badanie rozmów, wspomnień i ostatnich słów.

– Joanna cię bardzo lubiła. – Richard zwrócił się do Maisie, która z powagą skinęła głową.

– Wiedziałam, że nie wyjechałaby tak po prostu i nie zostawiła mnie.

– Niczego nie potrzebujesz, Maisie? – spytała Kit.

– Nie. Niedługo przyjdzie pani z czasopismami. Chodzi po całym szpitalu i rozdaje ludziom magazyny. Jestem pewna, że mogła spotkać

Joannę. Mogłaby pani poprawić mi poduszki, zanim pójdziecie?

Wydostanie się z pokoju zajęło im kolejne pięć minut. Uwolnili się od Maisie dopiero, gdy ponownie przyszła Lucille.

– Miałaś rację – przyznała Kit, kiedy czekali na windę. – To wspaniały dzieciak.

– Dlaczego uznałaś, że powinienem powiedzieć jej o Joannie.

– Wyglądała tak samo, jak wujek Pat, gdy zdiagnozowano jego chorobę.

– Zapatrzyła się w zasunięte drzwi. – Są rzeczy gorsze od śmierci.

– Na przykład gdy cię ktoś zawiedzie.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Nie zawiedziemy Joanny. Rozszyfrujemy jej wiadomość.

Tylko w jaki sposób? Trzeba poukładać w jedną całość wszystkie informacje i rozmowy. Kit przyniosła listę wzmianek dotyczących ogrodu, które znalazła w relacjach. Poza tym miała przy sobie kartkę zatytułowaną „Nagłe wybudzenia z doświadczeń granicznych”.

– Pochodzi sprzed kilku tygodni, już widziałem tę listę – oświadczył Richard, lecz przyjrawszy się bliżej, dostrzegł na wydruku nazwisko Amelii Tanaki. Gdy porównał jej relację ze skanami z jej sesji, przypomniał sobie, że samodzielnie się wybudziła, a w jej mózgu pojawiła się theta-asparcyna.

Przejrzał jej wspomnienia, a potem sięgnął po relację pana Sage’a. W jego wypadku opis doświadczeń nie był interesujący, lecz Richard dowiedział się ze skanów, że pacjent dwukrotnie nagle się ocknął i w obydwu wypadkach pojawiła się theta-asparcyna. Nie było jej za to w mózgach pana Pearsalla i pana O’Reirdona.

Richard studiował skany, aż rozboleły go oczy. Potem udał się do zachodniego skrzydła, aby sporządzić plan pozostałych pięter i popytać różne pielęgniarki, jak się dostać na siódme piętro we wschodnim skrzydle albo jaka jest najkrótsza droga na oddział nagłych wypadków. Spisywał uzyskane informacje i zaznaczał trasy na planie.

Jednocześnie uważnie studiował sporządzoną przez Maisie listę wiadomości radiotelegraficznych. Kolejne przekazy stawały się coraz drastyczniejsze, właściwie zmieniły się w opis tragedii i narastającej rozpacz. „Tkwimy na łodzie”. „Oddajemy łodzie ratunkowe kobietom”. „Potrzebna natychmiastowa pomoc”. „Szybko toniemy”. „SOS. SOS. SOS”.

Gdzieś tutaj kryła się wskazówka. Joanna na pewno miała powody, aby prosić Maisie o znalezienie tych wiadomości, lecz Richard zachowywał się równie biernie, jak statki odpowiadające na SOS *Titanica*. „Co się z wami dzieje?”, pytał Olympic. Trudno uwierzyć, ale potem jego radiotelegrafista chciał wiedzieć, czy *Titanic* płynie na południe, na spotkanie z Olympikiem. *Frankfurt* okazał się tak bezradny, że radiotelegrafista *Titanica* wystąpił wiadomość: „Durniu, prowadź nasłuch i trzymaj się od nas z daleka!” Nawet radiowiec *Carpathii* spytał: „Czy mam powiedzieć dowódcy?” Głupcy bez wyobraźni, wszyscy co do jednego, nie potrafili zrozumieć prostej wiadomości. Zupełnie jak ja, pomyślał.

Zadzwoiła Vielle.

– Znalazłam jeszcze kogoś, kto widział Joannę. Wanda Rosso, radiolog. Mówi, że około wpół do dwunastej spotkała Joannę na trzecim piętrze w zachodnim skrzydle.

– Gdzie dokładnie? – Richard wyświetlił swój komputerowy plan szpitala.

– Wsiadała do windy.

Na trzecim piętrze w zachodnim skrzydle znajdowały się dwa rzędy wind dla pacjentów i dwa dźwigi dla personelu.

– Do której?

– Nie powiedziała – odrzekła Vielle. – Uznałam, że chodzi jej o windę przy łączniku.

– Dopytaj ją. Wiedziała, w którym kierunku zmierzała Joanna?

– Nie mogła sobie przypomnieć. Wydawało się jej, że świeciła się strzałka „dół”, ale nie była pewna. Spytałam ją, czy Joanna sprawiała wrażenie podnieconej lub zadowolonej, ale Wanda nie zwróciła na to uwagi. Spostrzegła tylko, że Joannie się śpieszyło, bo wciąż wpatrywała się w numery pięter i tupiała nogą.

Śpieszyła się do zachodniego skrzydła. Tylko dokąd? Na drugim piętrze była ortopedia, mało prawdopodobne, aby coś ją tam sprowadziło. Niżej znajdowały się działy administracyjne. Wanda Rosso nie była pewna, czy przy drzwiach do windy świeciła się strzałka „dół” czy „góra”. Na trzecim była pediatria, a Joanna nie poszła odwiedzić Maisie. Na piątym znajdowała się kardiologia, gdzie często pojawiają się pacjenci po doświadczeniach granicznych, lecz Joanna nie wzięła ze sobą dyktafonu.

– Nie wspomniała, czy Joanna miała notatnik?

– Nie.

– A dowiedziałaś się, co z taśmą? – przypomniał sobie Richard. – Czy ma ją policja?

– Nie – odparła Vielle zmienionym głosem. – Zniszczono jej ubrania.

– Zniszczono? Jesteś pewna? Przecież to materiał dowodowy.

– Nie będzie rozprawy. Podejrzany nie żyje, są naoczni świadkowie, więc nie było potrzeby ich przechowywać.

– Ale na pewno nie zniszczono zawartości kieszeni. Na pewno przekazali ją rodzinie. Może jej siostra ma kasetę. Wiesz co, tak sobie myślałem, że mogły też zostać notatki. Joanna zawsze robiła notatki podczas rozmów z pacjentami, a wiadomo, że nie wzięła dyktafonu. Trzeba poszukać notatnika albo kartki papieru...

– Zniszczono wszystko. – Vielle nie miała żadnych wątpliwości. – Zapakowano do pojemnika na skażone przedmioty i wywieziono.

– Pojemnika na skażone przedmioty? – Dopiero po chwili uświadomił sobie, co stara się przekazać mu Vielle, nie nazywając rzeczy po imieniu. Odzież Joanny była przesiąknięta krwią, podobnie jak cała zawartość jej kieszeni. Wszystko uległo całkowitemu i nieodwracalnemu zniszczeniu.

– Przykro mi – powiedziała cicho Vielle. – Wciąż nie znalazłam taksówkarza, ale mam kilka tropów. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko się czegoś dowiem.

– W porządku. – Richard wrócił do lektury *Titanica*, sprawdzając w indeksie hasła: „restauracja A La Carte”, „sala gimnastyczna”, „salon jadalniany pierwszej klasy”. Jim Farrell, młody emigrant z Irlandii, zajął się czterema dziewczynkami, powierzonymi jego opiece. Przeprowadził je z kabin najniższej klasy przez salon jadalniany pierwszej klasy i labirynt przejść, pokładów i klatek schodowych, docierając na pokład łodziowy, a potem się wycofał, nie mogąc się schronić na szalupie.

Richard zajrzał pod „pokład łodziowy”. Archibald Butt, pułkownik Gracie oraz hazardzista J.H. Rogers ładowali ludzi na kolejne łodzie, podrzucając na ich przeładowane pokłady niemowlęta i dzieci.

Zdziwiło go, że Maisie jeszcze nie zadzwoniła. Nie sądził, aby udało się jej znaleźć coś, czego bezskutecznie poszukiwała Vielle i jej znajomi ze szpitala, lecz myślał, że będzie telefonowała bez przerwy. Dziewczynka nie nagrała się na sekretarkę i nie otrzymał żadnych wiadomości na pager. Zastanowił się, czy na pewno nic jej nie jest. Wiadomość o śmierci Joanny przyjęła spokojnie, ale dzieci często zachowują się w trudny do przewidzenia sposób. z początku mogła sobie nie uświadamiać tragedii.

Do następnego popołudnia Maisie wciąż jeszcze nie zadzwoniła, więc Richard poszedł sprawdzić, co się z nią dzieje. Nie zastał jej w łóżku – wyszła na echokardiogram, lecz pielęgniarka (nie ta, która przegoniła ich z pokoju) zapewniła go, że dziewczynka ma się dobrze.

– Od kilku dni jest znacznie weselsza. – Uśmiechnęła się. – Musimy jej uważnie pilnować, żeby nie wstawała z łóżka.

– Mogłaby pani jej powtórzyć, że doktor Wright ją pozdrawia? Wpadnę jeszcze później. – Odszedł kilka kroków w stronę windy i odwrócił się, przybierając odpowiednio zakłopotany wyraz twarzy. – Chciałbym się dostać na oddział nagłych wypadków. Jak tam najszybciej trafić?

Podobne pytanie zadał jeszcze jednej pielęgniarce i dwóm asystantkom, uzyskując kilka zupełnie różnych odpowiedzi, a potem wrócił do laboratorium, żeby nanieść nowe trasy na plan szpitala. Opracował już plan głównego budynku i zachodniego skrzydła, a także czterech najwyższych pięter wschodniego skrzydła. Plan powoli stawał się równie zawiły i nieczytelny jak skany.

Joanna wyszła z gabinetu i zeszła na pierwsze piętro w zachodnim skrzydle, a potem dotarła do gabinetu doktor Jamison, aby stamtąd zejść na oddział nagłych wypadków. Richard nie miał pojęcia, co Joanna robiła między jednym a drugim. Nie ulegało wątpliwości tylko to, że nie interesowało jej trzecie piętro w zachodnim skrzydle, gdyż właśnie stamtąd wyruszyła na górę albo na dół. Po opuszczeniu gabinetu zapewne zeszła na trzecie piętro w zachodnim skrzydle i skorzystała z łącznika między budynkami. O ile rzeczywiście wyszła z gabinetu i wcześniej nigdzie indziej nie poszła.

Przez jakiś czas studiował plan, a potem wypisał wszystkie neuromediatory obecne w skanach theta-asparcyny. Usiłował znaleźć między nimi podobieństwa, lecz niczego się nie dopatrywał. Nie wątpił jednak, że jest na dobrym tropie. Joanna zrozumiała znaczenie *Titanica*, a odpowiedź kryła się gdzieś w skanach, relacjach lub jej doświadczeniach granicznych. Pomyślał, że nie powinien też wykluczać relacji Josepha Leibrechta, i przeczytał zostawiony przez Kit tekst. Leibrecht ujrzał wieloryba, ptaka w klatce i kwitnącą jabłoń.

Richard powrócił do skanów, usiłując ustalić, czy istnieje jakieś podobieństwo między skanami bez theta-asparcyny. Nic nie zauważył. Wyszukał czasopismo, przekazane mu przez doktor Jamison, i przeczytał artykuł o theta-asparcynie. Okazało się, że wyprodukowano jej syntetyczny

odpowiednik i właśnie trwały badania mające na celu ustalenie jej funkcji w organizmie.

Richard pomyślał, że theta-asparcyna ma jakiś związek z doświadczeniami granicznymi. Tylko jaki? Czy mimo wszystko pełniła ona funkcję inhibitora? A może jej obecność była ubocznym skutkiem stymulacji płata skroniowego lub oddziaływania acetylocholiny?

Pracował do późnego wieczoru, a zanim poszedł do domu na zasłużony odpoczynek, zadzwonił do Kit, która również nic wpadła na żaden trop.

– Odkrycie Joanny z całą pewnością ma związek z *Titanikiem* – wyjaśniła zmęczonym głosem. – Wszystkie podkreślone przez nią słowa na to wskazują.

– Czy to pani Lander? – W oddali rozległ się głos pana Briarleya. – Już po raz drugi spóźnia się na lekcję.

– To doktor Wright, wujku – odparła cierpliwie Kit.

– Powiedz jej, że odpowiedzią jest C, lustrzany wizerunek.

– Powtórzę – potwierdziła i zwróciła się do Richarda: – Przepraszam. Chodzi o to, że wszystkie wyrazy, które zaznaczyła – „winda”, „chwała”, „schody” – pojawiają się w jej relacji z *Titanica*.

– Znalazłaś jakieś podkreślone słowa odnoszące się do przekazów radiotelegraficznych?

– Nie, chociaż słowo „wiadomość” pojawia się w niemal każdej relacji. Muszę kończyć. Maisie się odezwała?

– Jeszcze nie – odparł i wrócił do przeglądania książki o *Titanicu*, szukając wskazówek. Natknął się jednak wyłącznie na przerażające opisy śmierci urzędników pocztowych, którzy zeszli do ładowni, aby ratować przesyłki, a woda odcięła im drogę ucieczki; pasażerowie najniższych klas byli przetrzymywani pod pokładem, a dwóch członków załogi prowadziło ich małymi grupkami po schodach drugiej klasy na pokład C, przez hol trzeciej klasy i pokład studniowy do przejścia biegnącego do pierwszej klasy, a potem w górę głównych schodów na pokład łodziowy; kapitan Smith płynął do jednej z łodzi z niemowlęciem w rękach i potem znikł.

Maisie nie odezwała się przez dwa kolejne dni. Vielle zadzwoniła, aby powiedzieć, że rozmawiała z Wandą Rosso i chodziło o windy dla pasażerów obok łącznika.

Poza tym Wanda podobno przypomniawszy sobie, że Joanna z całą pewnością naciskała przycisk „dół”. Akurat, pomyślał Richard, kręcąc głową. Klasyczny przypadek konfabulacji, wypełniania luk w pamięci

obrazami innych zdarzeń, innych wind, nie mających żadnego związku z rzeczywistością.

– Nie spotkałaś już nikogo z zachodniego skrzydła, kto widział Joannę?

– Nie miałam okazji poszukać. Wciąż się zajmuję sprawą taksówkarza – odparła i odłożyła słuchawkę.

Richard postanowił, że w takiej sytuacji sam pójdzie i popyta. Na trzecim piętrze zachodniego skrzydła ani na czwartym, ani na piątym nikt nie przypominał sobie Joanny. Jego wyprawa nie okazała się jednak zupełnie bezowocna. Od stycznia czwarte piętro było całkowicie niedostępne z powodu remontu. Tuż przy windzie zawieszono tablicę z informacją, że klinika artretyzmu została tymczasowo przeniesiona na pierwsze piętro gmachu Brightmana.

Wrócił do laboratorium i wprowadził odpowiednie poprawki na planie, zadowolony, że może wyeliminować jedną z możliwości. W ten sposób ograniczył liczbę miejsc, do których Joanna mogła się udać w zachodnim skrzydle. Istniała jeszcze możliwość, że zeszła na pierwsze piętro, aby łącznikiem przedostać się do głównego budynku.

W końcu dał za wygraną i ponownie zajął się skanami. Porównał szereg skanów, w których pojawiła się theta-asparcyna. Usiłował wyszukać podobieństwa między nimi, lecz na żadne nie natrafił. Oznaczało to, że pojawienie się theta-asparcyny było wyłącznie skutkiem ubocznym lub wynikiem przypadkowo rozbłyskujących synaps.

Kit utrzymywała, że odkrycie Joanny z całą pewnością mu jakiś związek z *Titanikiem*, a zatem odpowiedź kryła się w stosie leżących przed Richardem książek. Sięgnął po *Tragiczny koniec Titanica* i zajął się lekturą, opierając głowę na ręce.

„Relacje dotyczące osób, które pozostały na pokładzie po odpłynięciu ostatnich łodzi, są oczywiście przybliżone”, czytał. „Wszyscy się jednak zgadzają, że nie wybuchła panika. Mężczyźni wychylali się za reling lub siedzieli na leżakach, paląc i tocząc ciche rozmowy. Ojciec Thomas Byles chodził pośród pasażerów najniższych klas, modląc się i udzielając rozgrzeszenia. Pokład wkrótce znacznie się przechylił, a światła przygasły, nabierając czerwonej barwy...”

Richard zatrzasnął książkę i powrócił do nużącej analizy skanów. Sporządził wykresy poziomu kortyzolu i acetylocholino, a potem odszukał w Internecie informacje o theta-asparcynie. Natrafił na zaledwie dwa

artykuły. Pierwszy był studium obecności tej substancji w sercach pacjentów, którzy...

Rozległo się pukanie do drzwi. Richard się odwrócił, spodziewając się ujrzeć Kit lub Vielle, lecz na progu stanęła kobieta w różowej garsonce i na wysokich obcasach. Zastanowił się, czy to zbytnio spóźniona pani Haighton, przybywająca na pierwszą sesję.

– Doktor Wright? – spytała kobieta. – Nazywam się Nellis, jestem matką Maisie.

Wspaniale, tylko tego brakowało, pomyślał z rezygnacją. Doigrałem się. Nie było potrzeby informować Maisie o śmierci Joanny. Dziewczynka powinna słyszeć tylko dobre, radosne wiadomości. Pozytywne myślenie jest dla niej wyjątkowo ważne.

– Córka wiele mi o panu opowiadała. Jestem panu wdzięczna za czas, który pan poświęca na wizyty u niej. Tutaj, w szpitalu, ogromnie trudno mi poprawić jej samopoczucie, a pańskie odwiedziny wpłynęły na nią niesłychanie korzystnie.

– Lubię Maisie – odparł niepewnie. – To fantastyczne dziecko.

Pani Nellis pokiwała głową. Wciąż się uśmiechała, lecz na jej twarzy dało się zauważyć napięcie.

– Wszystko z nią w porządku, prawda? – zaniepokoił się. – Nic się jej nie stało?

– Nie, skądże. Czuje się rewelacyjnie. Ten nowy inhibitor konwertazy angiotensyny, który przyjmuje, świetnie na nią wpływa. Maisie powiedziała mi, że jest pan neurologiem i zajmuje się badaniami naukowymi.

Richard był zaskoczony. Nie miał pojęcia, że Maisie wie o nim cokolwiek poza tym, że był przyjacielem Joanny. Zresztą do czego zmierzała pani Nellis? Jeśli chciała wygłosić wykład o jego niestosownym gadulstwie, wolałby, aby przestała się uśmiechać i przeszła do rzeczy.

– Wszystko się zgadza – potwierdził. – Interesują mnie doświadczenia graniczne – dodał, aby łatwiej jej było zacząć.

– Właśnie tak mi powiedziano. Jak rozumiem, wierzy pan, że doświadczenia graniczne mogą być pewnego rodzaju mechanizmem przetrwania. Poza tym wnioskuję, że ma pan nadzieję wykorzystać swoje badania do opracowania techniki reanimowania pacjentów w stanie śmierci klinicznej, stworzenia nowej metody przywracania im przytomności.

Kto jej to wszystko powiedział? Joanna nigdy nie zdecydowałaby się na poinformowanie pani Nellis o takich szczegółach, zwłaszcza że znała jej

niepoprawny optymizm. Maisie również nie wyjaśniłaby tego mamie. Mandrake? Mało prawdopodobne. Więc kto? Tish? Jeden z badanych? Zresztą to nie miało znaczenia. Musiał zakończyć rozmowę, zanim będzie za późno.

– Pani Nellis, moje badania są w fazie początkowej. Nie ustaliłem nawet, czym są doświadczenia graniczne ani co je wywołuje, nie mówiąc już o tym, jak przebiegają.

– Kiedy jednak dowie się pan czegoś bliższego na ich temat i kiedy opracuje pan zasady leczenia, pojawi się możliwość pomocy pacjentom po śmierci klinicznej. Takim jak Maisie.

– Nie. Pani Nellis... – zaczął, czując się tak, jakby usiłował zatrzymać odjeżdżający pociąg. – Kiedyś, w odległej przyszłości, zebrane przez nas informacje mogą znaleźć praktyczne zastosowanie, lecz na czym ono będzie polegało, a nawet czy w ogóle...

– Rozumiem – przerwała. – Zdaję sobie sprawę z czasochłonności medycznych prac badawczych i niemożności wyciągnięcia ostatecznych wniosków przed ich zakończeniem. Wiem jednak, że w medycynie stale pojawiają się przełomowe odkrycia. Wystarczy wspomnieć penicylinę. Albo klonowanie. Codziennie opracowywane są nowe formy leczenia.

To nie uciekający pociąg, tylko wyrzut materiałów piroklastycznych, uznał Richard, wyobrażając sobie zdjęcie Maisie na Górze Świętej Heleny oraz ciemną chmurę pyłu i odłamków skalnych, osuwającą się coraz niżej i niszczącą wszystko na swojej drodze. Zastanowił się, czy to możliwe, że właśnie stąd się wywodzi zainteresowanie Maisie katastrofami.

– Nawet gdyby doszło do przełomu w rozumieniu doświadczeń granicznych – tłumaczył, pojmując jałowość swoich wysiłków – niekoniecznie przełożyłoby się to na możliwość zastosowania w medycynie. Zakładając z kolei, że taka ewentualność wchodzi w grę, należałoby przeprowadzić liczne eksperymenty, badania, próby kliniczne...

– Rozumiem – przytaknęła pani Nellis.

Pomyślał, że to nieprawda, że mama Maisie wcale nie pojmuje jego słów.

– Nawet gdyby opracowano nową terapię, która na razie nie istnieje, należałoby uzyskać zgodę dyrekcji szpitala i wystąpić o zezwolenie od rady badawczej...

– Wiem, że nie obejdzie się bez przeszkód. Kiedy do badań klinicznych skierowano amiodipril, wciągnięcie Maisie na listę osób oczekujących

trwało miesiącami, ale mój prawnik jest bardzo dobry w pokonywaniu przeszkód.

Wyobrażam sobie, skomentował w myślach.

– Właśnie dlatego wciągnięcie Maisie do pańskiego projektu jest sprawą najwyższej wagi. Dzięki temu wszelkie problemy będzie można rozwiązać zawczasu. Oczywiście, wszystko to, co mówię, to tylko dodatkowe środki ostrożności, Maisie bowiem świetnie sobie radzi na inhibitorze konwertazy angiotensyny. Jej stan jest stabilny, być może nie potrzebuje już żadnego dodatkowego leczenia. Na wszelki wypadek chciałabym jednak, aby wszystko było przygotowane. Właśnie dlatego przyszłam do pana od razu po tym, jak Maisie powiedziała mi o pańskim sposobie leczenia pacjentów w stanie śmierci klinicznej. Jeśli Maisie znajdzie się wśród osób uczestniczących w tych badaniach, będzie zaaprobowana przez pana przełożonych, a wszelkie dokumenty gotowe, gdy terapia stanie się dostępna. W ten sposób unikniemy wszelkich niepotrzebnych opóźnień w skierowaniu Maisie do leczenia.

Richard przestał słuchać w chwili, gdy pani Nellis wyznała, swoje informacje uzyskała od Maisie.

Maisie powiedziała coś takiego swojej mamie? Oświadczyła, że Richard potrafi przywracać życie umarłym? Skąd jej przyszedł do głowy tak niedorzeczny pomysł? Jediną osobą, z którą dziewczynka kiedykolwiek rozmawiała na ten temat, była Joanna, a ona przecież nigdy jej nie okłamywała. Na pewno nie obudziłaby w niej złudnych nadziei.

Zresztą nawet gdyby powiedziała Maisie o rzekomym istnieniu cudownego leku (w co Richard absolutnie nie wierzył), Maisie by w to nie uwierzyła. Przecież to właśnie ona nosiła identyfikator na szyi, aby w wypadku jej śmierci można było rozpoznać zwłoki. Jeśli tragedia *Hindenburga*, pożar cyrku w Hartford i katastrofa *Lusitanii* czegokolwiek Maisie nauczyły, to tego, że nie ma czegoś takiego jak cudowne ocalenie w ostatniej chwili. Jej matka mogła wierzyć w cuda, lecz Maisie myślała trzeźwiej. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, dziewczynka na pewno nie powiedziałaby tego właśnie mamie.

Według słów Joanny, Maisie nie zwierzała się matce. Ukrywała przed nią książki, nie zdradzała się z zainteresowaniem katastrofami, nie powiedziała jej nawet, że od Richarda dowiedziała się o śmierci Joanny. Pani Nellis dopuszczała wyłącznie optymistyczne rozmowy, nie pozwalając córce nawet wspominać o śmierci klinicznej. Musiało się wydarzyć coś

nieoczekiwanego. Być może Maisie przypadkowo wymieniła nazwisko Richarda, a potem usiłowała zamaskować fakt, że poinformował ją o morderstwie, i wspomniała coś na temat jego badań. W rezultacie jej matka wyobraziła sobie, że Richard znalazł się o krok od odkrycia cudownej terapii.

– Będzie pan potrzebował odpis jej historii choroby – zdecydowała pani Nellis. – Przyniosę z archiwum podanie o dołączenie Maisie do programu badawczego. Bardzo się jej to spodoba. Była niezwykle podekscytowana, opowiadając mi o pańskiej pracy. Niebezpieczeństwo ponownego zapadnięcia w stan śmierci klinicznej bardzo ją przeraża. Zapewniłam ją, że lekarze nie dopuszczą, aby stało się jej cokolwiek złego, ale i tak się ogromnie boi.

Richard pomyślał, że przecież wcześniej dwukrotnie przeżywała śmierć kliniczną i nie wywarło to na niej większego wrażenia. Poza tym wiedziała o przeszczepie, kiedy odwiedził ją z Kit, i wcale nie wydawała się przestraszona. Myślała wyłącznie o tym, jak im pomóc w poszukiwaniach miejsca, do którego udała się Joanna.

– Oczywiście jestem świadoma ogromnego popytu, jaki będzie towarzyszył pojawieniu się lekarstwa na śmierć kliniczną. Wielu pacjentów z całą pewnością zgłosi się do pana na terapię. Także z tego powodu chciałabym dołączyć córkę do projektu badawczego na tak wczesnym etapie. Porozmawiam z prawnikiem o przygotowaniu odpowiedniego zezwolenia na dołączenie do badań osoby niepełnoletniej. Jestem już umówiona z moim adwokatem. Zamierzam spytać go o wszelkie inne potencjalne przeszkody natury formalnej.

Dlaczego Maisie jej o tym powiedziała? Musiała wiedzieć, że nawet przypadkowa wzmianka o możliwości opracowania odpowiedniej terapii zostanie przez jej matkę odebrana jako odkrycie przełomowego sposobu leczenia. Więc skąd u Maisie pomysł podjęcia tego tematu w rozmowie z mamą? Nie ulega wątpliwości, że dziewczynka świetnie zdawała sobie sprawę z konsekwencji swoich słów i przewidziała, że pani Nellis wpadnie do jego laboratorium i zażąda od niego...

Otóż to. Właśnie dlatego Maisie o tym powiedziała. Chciała, żeby jej mama się tutaj zjawiała, i nalegała, aby udał się na spotkanie z córką. Maisie się dowiedziała, dokąd poszła Joanna, i w ten sposób chciała go o tym poinformować. Tylko dlaczego po prostu nie zadzwoniła? Albo nie zawiadomiła go przez pager?

– Zanim podejmę jakiegokolwiek decyzje dotyczące moich badań, muszę porozmawiać z Maisie – oświadczył.

– Oczywiście. Zawiadomię oddział intensywnej opieki kardiologicznej. Maisie nie ma telefonu w pokoju, ale powiem pielęgniarce, żeby pozwoliła panu spotkać się z nią.

A zatem Maisie nie może korzystać z telefonu. Nie miała jak przekazać mu wiadomości, więc skontaktowała się z nim w ten sposób.

– Jeśli napotka pan jakiegokolwiek przeszkody, proszę powiedzieć personelowi oddziału, aby skomunikowali się ze mną. Zresztą zaraz pójdę i dopiszę pana do listy gości. Po spotkaniu z prawnikiem rozmawiam w archiwum o procedurze składania odpowiednich podań. A teraz nie będę już dłużej przeszkadzała panu w pracy badawczej. Nie wątpię, że przełom jest bliski! – Uśmiechnęła się promiennie i wyszła.

Kiedy usłyszał dzwonek windy, chwycił fartuch z identyfikatorem, wziął pod pachę oficjalnie wyglądającą teczkę i wyruszył na oddział intensywnej opieki kardiologicznej. Poszedł schodami na szóste piętro i pokonał łącznik, myśląc, że opłacało się poświęcić tyle godzin na sporządzenie planu szpitala. Teraz mógł w pięć minut dotrzeć do każdego miejsca w budynku.

Zbiegł schodami na piąte piętro, a potem korytarzem na oddział. Przy drzwiach stał strażnik, który zerknął na identyfikator Richarda i uśmiechnął się ze zrozumieniem. Richard prędko minął hol i dotarł do pokoju Maisie. Pielęgniarka siedząca za biurkiem przed drzwiami wstała na jego widok.

– Czym mogę służyć? – spytała, stając na progu.

– Nazywam się Wright. Przyszedłem porozmawiać z Maisie Nellis.

– Ach, tak, pani Nellis wspomniała, że pan się zjawi. – Odsunęła się od drzwi. Maisie leżała na poduszkach i oglądała telewizję. – Doktor Wright chciałby zamienić z tobą kilka słów – zwróciła się do niej pielęgniarka, następnie podeszła do kroplówki i wcisnęła przycisk na stojaku.

– Dzień dobry – przywitała się apatycznie Maisie i ponownie zajęła się oglądaniem filmu. Richard się zaniepokoił. Może się mylę i ona nie ma dla mnie żadnej wiadomości? Uważnie przyjrzał się dziewczynce. A jeśli wszystko sobie wymyśliłem?

Pielęgniarka poprawiła przewód kroplówki, ponownie wcisnęła przycisk i wyszła, zostawiając drzwi lekko uchylone.

– Najwyższy czas – oznajmiła Maisie, siadając na łóżku. – Dlaczego tak długo pan nie przychodził?

Rozdział 51

„Blżej Ciebie, Panie”.

Ostatnie słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych Williama McKinleya,
wypowiedziane po postrzeleniu go przez zamachowca

Joanna wpatrywała się w jasne włosy radiotelegrafisty i w jego młodą, szczerą twarz. Pamiętała ją, roześmianą, z fotografii w bibliotece pana Briarleya.

– Jesteś narzeczonym Kit – zdumiała się.

– Znasz Kit? – Kevin ściągnął słuchawki. – Nie ma jej tutaj, prawda? – Wstał i złapał Joannę za ramiona. – Nie mów mi, że ona tu jest.

– Nie, skąd – pośpiesznie wyjaśniła Joanna. – Nic się jej nie stało. Ona... – Jednak Kevin jej nie słuchał, usiadł i znowu nadawał.

– Muszę jej przekazać wiadomość – oznajmił, wystukując kolejne znaki. – Chcę ją przeprosić. To moja wina. Nie spojrzałem, dokąd idę.

– To tak jak ja – dodała Joanna.

– Chciałbym, aby wiedziała, że ją kocham. – Niezmordowanie wystukiwał litery. – Nie powiedziałem jej tego. Nawet się nie pożegnałem.

– Podniósł słuchawki i przyłożył jeden głośnik do ucha. – Nikt nie odpowiada. Jest za daleko.

– Nieprawda. – Joanna uklękła obok i położyła rękę na jego ramieniu. – Wiadomość dotarła. Ona wie, że ją kochałeś, i rozumie, dlaczego nie mogłeś się pożegnać.

– Nic jej nie będzie? – zaniepokoił się. – Zostawiłem ją zupełnie samą.

– Nie jest sama. Ma Vielle, Richarda.

– Richarda? – powtórzył, a jego twarz przeszył bolesny skurcz. – Bałem się, że będzie samotna – wyjaśnił przygnębiony. – Sądziłem, że jest zbyt daleko, aby odebrać wiadomość. – Odłożył słuchawki na stole.

– Była wystarczająco blisko. – Joanna wciąż klęczała. – Wciąż jest. Ja też muszę przekazać wiadomość. To ważne. Proszę.

Skinął głową i położył palec na kluczu.

– Co mam nadać?

Żegnaj, pomyślała. Przepraszam. Kocham cię. Zerknęła na iskrę. Drgała, coraz ciemniejsza.

– Przekaż Richardowi, że doświadczenia graniczne to sygnał alarmowy, wysyłany przez mózg do wszystkich układów ciała. Powtórz mu, że... – Nie dokończyła, bo ktoś gwałtownym szarpnięciem postawił ją na nogi.

– Nie znalazłem tam żadnych składanych łodzi – warknął Greg, ściskając jej ramiona. – Gdzie one są? – Potrzęsął nią.

– Gdzie one są?

– Nic nie rozumiesz. – Joanna spojrzała niespokojnie na Kevina. – Muszę wysłać...

Greg puścił ją i złapał Kevina za rękę.

– Radiotelegraf! – wykrzyknął. – Wysyłasz SOS! Statki już płyną, aby nas uratować, zgadza się? Płyną?

Kevin pokręcił głową.

– *Carpathia* się zbliża, ale jest pięćdziesiąt osiem mil stąd. Ona jest za daleko. Nie zjawi się tutaj na czas.

Joanna odetchnęła głęboko.

– Co to znaczy: nie zjawi się tutaj na czas? – wykrzyknął Greg, a Joanna wreszcie zrozumiała, co słyszała w jego głosie na oddziale nagłych wypadków – niedowierzenie i furię. – Pięćdziesiąt osiem? – Greg gwałtownym ruchem uniósł Kevina i obrócił go w swoją stronę. – Na pewno coś płynie bliżej. Z kim jeszcze masz kontakt?

– Z *Virginian*, *Olympic*, *Mount Temple*, ale żaden z nich nie jest wystarczająco blisko. *Olympic* płynie przeszło pięćset mil stąd.

– Więc skontaktuj się z kimś innym. – Greg wepchnął radiotelegrafistę z powrotem na krzesło. – Z kimś bliżej. Co z tym statkiem, którego światła wszyscy widzieli?

– Nie odpowiada.

– Musi. – Greg przycisnął rękę Kevina do klucza. – Nadawaj. SOS. SOS.

Kevin zerknął na Joannę, pochylił się i powrócił do wystukiwania wiadomości. Kropka, kropka, kropka. Kreska, kreska, kreska. Nad jego głową rozbłysła iskra, zamigotała, znikła i ponownie rozbłysła.

Gaśnie, pomyślała Joanna i wepchnęła się między mężczyzn.

– Nie! Za późno na wzywanie pomocy. Przekaż Richardowi, że to SOS, niech wie, że doświadczenia graniczne pani Troudthaim to klucz.

– Nadawaj SOS! – ryknął Greg, zaciskając dłoń na nadgarstku Joanny. – A ty mi pokażesz, gdzie są kamizelki ratunkowe.

– Musisz nadać wiadomość dla Richarda – zawołała do Kevina. – Niech wie, że to szyfr, a neuromediatory... – Nie dokończyła. Greg wypchnął ją z kabiny radiotelegrafisty na pokład.

– Gdzie kamizelki? – warknął. – Musimy zostać na powierzchni, dopóki nie dotrze tu jakiś statek. Gdzie je trzymali?

– Nie wiem – odparła bezradnie, odwracając wzrok ku drzwiom kabiny. Bił spoza nich blask, złoty i spokojny, a w jego świetle siedział Kevin, pochylając jasną głowę nad kluczem radiotelegraficznym. Wyżej rozbłyskiwała iskra przypominająca aureolę. Błagam, prześlij wiadomość, myślała Joanna.

– Gdzie je trzymali? – Palce Grega wbiły się boleśnie w jej nadgarstki.

– W schowku obok kwater oficerskich – wyjaśniła wreszcie. – Ale to nic nie da. Nikt nie płynie na ratunek... – Greg popchnął ją brutalnie w stronę dziobu. Przechylił pokładu się pogłębiał. Joanna usłyszała z przodu ciche chlupanie, jakby wody albo krwi.

– Pokażesz mi, gdzie jest ten schowek... „Chcę widzieć, co robię!” – mówił rezydent, a Joanna odsunęła się od nożyczek, bojąc się, że to nóż, nóż! Vielle powiedziała: „Wytrzymaj kotku. Zamknij oczy”. Światła zgasły, pomieszczenie nagle wypełniły ciemności, a potem gdzieś otworzyły się drzwi, zza których wylało się światło i śpiew „Sto lat!”, świece na torcie płonęły jaskrawo. a jej ojciec powiedział: „Zdmuchnij je!”, pochyliła się, nadeła policzki, dmuchnęła, świece zamigotały czerwienią i zgasły, lampy na pokładzie ściemniały, rozjarzyły się na czerwono i znowu pojaśniały, lecz nie tak mocno, wcale nie tak mocno.

Joanna rozpląszczyła się na stalowym schowku.

– Co to było? – spytał Greg, dłońmi i kolanami opierając się o reling. – Co się dzieje? – Jego głos drżał ze strachu.

Joanna wstała.

– Rozpada się obraz ujednolicający – wyjaśniła. – Synapsy chaotycznie rozbłyskują.

– Musimy włożyć kamizelki! – Greg zerwał się na równe nogi, otworzył schowek, wyciągnął kamizelkę ratunkową i wyciągnął ją w stronę Joanny. – Opuszczamy statek!

Wpatrywała się w niego spokojnie.

– Nie możemy.

Rzucił kamizelkę pod jej nogi, sięgnął po następną i zaczął ją wkładać.

– Czemu? – spytał, usiłując prawidłowo zawiązać sznurki.

Spojrzała na niego z litością.

– Bo to my jesteśmy statkiem.

Znieruchomiał z dłońmi wciąż zaciśniętymi na węzłach. Wbił w nią przerażony wzrok.

– Greg, nie żyjesz, tak samo jak ja. Zmarliśmy na oddziale nagłych wypadków. Doznałeś rozległego zawału.

– Codziennie ćwiczę na siłowni – sprzeciwił się.

– To bez znaczenia. Zderzyliśmy się z górą lodową i tonimy, a wszystko to... – Machnęła ręką, pokazując pokład, puste żurawiki, ciemności. – To tylko metafora rzeczywistych zdarzeń, obumieranie neuronów czuciowych, brak łączności synaptycznej. – Biedny, śmiertelnie ranny mózg wbrew sobie łączy wrażenia i obrazy, usiłując zrozumieć śmierć.

Wpatrywał się w nią, nie starając się zamaskować wyrazu rezygnacji na twarzy.

– Załóżmy, że to prawda, a jeśli to prawda, co powinniśmy zrobić? – Ogarnęła go wściekłość.

Dlaczego wszyscy mnie o to pytają, zastanowiła się Joanna. Trzeba wierzyć w Jezusa. Dobrze się sprawować. Nie oszukiwać. Pamiętać to, co ważne. Starać się zapanować nad lękiem.

– Nie wiem – odparła, żałując jego, żałując siebie. – Widzisz, jest za późno, abyśmy się uratowali, lecz wciąż mamy szansę ocalić Maisie. Gdyby tylko udało się nam przekazać wiadomość...

– Maisie?! – wrzasnął z furią i pogardą. – Musimy dbać o własną skórę. Każdy zajmuje się sobą. – Powiązał sznurki w supeł. – Nie ma wystarczająco wielu łodzi ratunkowych, tak? Właśnie dlatego nie chcesz mi powiedzieć, gdzie są, bo się boisz, że zajmę twoje miejsce. Na pewno są pod pokładem, dobrze mówię?

– Nie! Tam jest tylko woda. – I ciemności. I chłopak z nożem. – Nie schodź tam! – Usiłowała go zatrzymać, lecz zdążył ją ominąć i podejść do drzwi. – Greg! – Rzuciła się w pogoń.

Szarpięciem otworzył drzwi, za którymi krył się mrok, zniszczenie.

– Czeka! – zawołała Joanna. – Kevin! Panie Briarley! Pomocy! SOS!

Rozległ się odgłos kroków ludzi biegnących od strony rufy.

– Szybciej! – krzyknęła i odwróciła się w ich kierunku. – Musicie mi pomóc. Greg...

Ujrzała niezgrabnego, białego psa o wielkich uszach, pędzącego ku niej po pokładzie i ciągnącego za sobą skórzaną smycz. Joanna pomyślała, że to francuski buldog, ten sam, o którym wspominała Maisie.

– Ej, chodź tu! – przywołała go, lecz zwierzę ją zignorowało i przebiegło obok. W jego oczach widać było panikę typową dla psów usiłujących odnaleźć pana.

– Czeka! – Joanna pobiegła za nim i chwyciła koniec smyczy. Podniosła psa i mocno go przytuliła. – Już dobrze – uspokajała go. – Wszystko w porządku. – Spojrzał na nią wyłupiastymi brązowymi oczyma, cały czas głośno dysząc. – Nie bój się. Mam...

Rozległ się dźwięk. Joanna podniosła głowę. Na najwyższym stopniu schodów dla załogi stał Greg i wpatrywał się w roztaczające się niżej ciemności. Zszedł stopień niżej.

– Nie idź tam! – wrzasnęła Joanna. Wepchnęła psa pod pachę i podbiegła do drzwi. – Stój! – ryknęła, lecz drzwi już się za nim zamknęły. – Zaczekaj!

Wolną ręką chwyciła gałkę, lecz nie mogła jej przekręcić. Pośpiesznie postawiła psa, owinęła koniec smyczy wokół nadgarstka i ponownie szarpnęła gałkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

– Greg! – zawołała. – Otwieraj!

Całym ciężarem ciała naparła na drzwi i popchnęła je.

– Otwórz! – Załomotała w szklane drzwi, krzyząc: „Co to za bufet?” Uderzone szkło zadrzżało, a kartka z napisem „Czynne od 11.00 do 13.00” się zatrzęsła. Kobieta w środku podniosła wzrok znad miseczek z czerwoną galaretką. „Jeszcze nie ma pierwszej!” Na dowód pokazała zegarek, lecz gdy sama na niego spojrzała, nie wskazywał za dziesięć pierwsza, tylko dwadzieścia po drugiej.

Kłęczała, kurczowo ściskając jeden z pustych żurawików po łodziach ratunkowych. Mały buldog kręcił się pod jej nogami, patrzył w górę i drżał. Smycz sunęła za nim po pochyłym pokładzie. Joanna ze zgrozą uświadomiła sobie, że ją puściła. Jak mogła to zrobić?

Dwukrotnie owinęła ramię wokół nadgarstka i zacisnęła go w pięści. Następnie wzięła psa na ręce i się zachwiała, opierając o reling. Przechylił znacznie się pogłębił.

– Muszę znaleźć ci kamizelkę ratunkową – postanowiła i poszła z psem w ramionach. Wdrapywała się po pokładzie, usiłując omijać osuwające się leżaki, klatki na ptaki i wózki reanimacyjne.

Pomyślała, że jest w niewłaściwym skrzydle. Muszę się dostać na pokład łodziowy. Nagle usłyszała muzykę.

– Orkiestra grała na pokładzie łodziowym – przypomniała sobie i skierowała się na górę, ku melodii.

Muzycy zaklinowali fortepian w kącie między głównymi schodami i kominem. Sami stanęli z przodu, przyciskając skrzypce do piersi jak tarcze. Gdy Joanna podeszła bliżej, dyrygent uniósł batutę, muzycy przycisnęli skrzypce brodami, unieśli smyczki i zagrali. Joanna czekała, przyciskając do siebie psa, lecz usłyszała ragtime, żywy, nieregularny.

– To jeszcze nie koniec – wyjaśniła psu, minęła muzyków i przeszła obok holu pierwszej klasy. – Wciąż jeszcze mamy czas, koniec nadejdzie dopiero wtedy, gdy zagrają *Bliżej Ciebie, Panie*.

Znalazła schowek. Odsunęła przeszkadzającą jej kroplówkę oraz nosze na kółkach przykryte białym prześcieradłem i chwyciła kamizelkę ratunkową. Postawiła psa na białym schowku, aby włożyć mu kamizelkę. Owinęła ją wokół jego kanciastego tułowia i przesunęła przednie łapy przez otwory na ręce. Sięgnęła po zwisające sznurki...

„Pójdź, niech cię ujmę!”, pan Briarley zacytował fragment z *Makbeta* „Nie mam cię, a jednak ciągle cię widzę. Fatalne widziadło!” Ricky Inman odchylił się razem z krzesłem do przodu i do tyłu, a Joanna zapatrzyła się w niego zafascynowana, oczekując, aż straci równowagę. „Jestżeś sztyletem tylko wyobraźni? Rozpalonego tylko mózgu tworem?”^{36} i Ricky upadł do tyłu, po drodze łapiąc się ściany i włącznika światła, a gdy zgasło światło, pan Briarley powiedział: „Otóż to, panie Inman, Zgaszę światło, A potem – zgaszę światło”^{37}, i cała klasa wybuchnęła śmiechem, lecz to nie było śmieszne, zapadła ciemność. Było ciemno”, opowiadała pani Davenport, robiąc długą przerwę między jednym a drugim słowem, a znudzona, zubożętniała Joanna spytała: „Czy może to pani opisać?”, na co pan Briarley odpowiedział: „Słońce nie świeciło i gwiazdy pociemniały”.

Kurczowo trzymała się relingu, połową ciała wychylając się za burtę. Ponownie puściła psa, który rozpląszczył się u jej stóp, skowycząc i ześlizgując się po stromym pokładzie.

Znowu przycisnęła go do piersi i niepewnie zbliżyła się do kolumny pośrodku pokładu, trzymając się relingu najdłużej, jak mogła. Gdy go

puściła, zsunęła się do bezpiecznego słupka z drewna. Lampy pokładowe zupełnie ściemniały, a potem ponownie zajaśniały ciemnoczerwonym kolorem.

– Kora wzrokowa przestaje funkcjonować – powiedziała Joanna i złapała się kolumny. Owinęła smycz wokół nadgarstka, jednocześnie usiłując nie puścić słupa. Wózek reanimacyjny zsunął się tuż obok, nabierając prędkości. Tygrys o czerwono-czarnym futrze, słabo widocznym w gasnącym świetle, dał susa koło Joanny.

Joanna owinęła się smyczą w tali i przywiązała węzłem do psa oraz kolumny.

– W ten sposób cię nie puszczę. Jak w *Rozbiciu się okrętu Hesperus* – wyjaśniła i pożałowała, że nie ma przy niej pana Briarleya. – „Odciał linę ze złamanego drzewca i przywiązał ją do masztu”^{38} – wyrecytowała, lecz następną linijkę przypomniała sobie dopiero po chwili. – „A gdy nieżywi byli, rudziki czerwienią zalśniły, poziomek liście zebrały, nad nimi je uroniły”^{39}.

Statek tracił równowagę, podobnie jak Ricky Inman, zbyt wyprzedzający się na krześle. Buldog, ściśnięty między jej klatką piersiową i kolumną, popatrzył w górę oszalałym z przerażenia wzrokiem.

– Nie bój się – szepnęła. – To już nie potrwa długo.

Zaczął prószyć śnieg. Duże szarobiałe płatki opadały na pokład jak kwiaty jabłoni, jak popiół. Joanna podniosła wzrok, częściowo spodziewając się ujrzeć wznoszącego się wysoko Wezuwiusza. Ubrany na białą marynarz przebiegł obok niej, ciągnąc za sobą kliny do blokowania kół samolotów.

– Zera na dziewiątej! – wrzeszczał. Orkiestra zamilkła, lecz po chwili ponownie zagrała.

– Już czas – szepnęła Joanna. – *Bliżej Ciebie, Panie*. – Jednak to nie była ta melodia. – No, nie jest najgorzej. – Usiłowała się uśmiechnąć do psa. – Rozwikłaliśmy tajemnicę ostatniego utworu orkiestry, czy grała *Bliżej Ciebie, Panie*, czy też *Jesień*. – Ale to także nie była *Jesień*. Muzycy wcale nie zagrali hymnu religijnego, tylko *Gwiazdy i pasy na zawsze*.

– Och, Maisie – mruknęła.

Obok przegalopował wymachujący nożem Apacz. Z żurawików, z relingu i ze schowka zaczęła wypływać woda.

– To najgorsza z możliwych katastrof na świecie – zatkał do mikrofonu reporter, stojący na dachu kwater oficerskich. – To tragiczny wypadek,

panie i panowie, wszędzie dym i płomień! O ludzkości! – Uruchomił się alarm reanimacyjny.

Joanna spojrzała w górę, gdzie wznosiła się rufa statku, zawieszona w ciemnościach. Przycisnęła psa, usiłując osłaniać jego łeb. Światła zgasty, zamrugały ciemną czerwienią, znowu zgasty i znowu się zapaliły. Jak alfabet Morse'a. Jak Lavoisier.

Rozległ się potworny hałas i wszystko zaczęło spadać, leżaki, fortepian, wielkie kominy, skrzypce, indiańskie maczugi, karty do gry, pocztówki, granaty, naczynia, wieczór smakołyków, relacje, treliże i telegramy. Książki wylatywały z półek, *Lustra i labirynty*, *ABC Titanica*, *Światło na końcu tunelu*. Żurawiki wypadły z mocowań, podobnie jak mechaniczny wielbłąd i urządzenie do ćwiczeń, które teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominało gilotynę. Wsporniki upadły, a wraz z nimi telegraf z maszynowni, ustawiony na „stop”, skany, maski na oczy, skróty, arterie, starzy żeglarze, dyktafony, metafory, metalowe identyfikatory, wentylatory, noże, neurony, noc.

Wszystko to z donośnym, ogłuszającym rykiem spadło na Joannę i małego buldoga, a w ostatniej chwili, zanim zniknęli, uświadomiła sobie, że myliła się co do hałasu, który słyszała w przejściu. To nie silniki się zatrzymywały, to nie brzęczał alarm reanimacyjny ani też góra lodowa nie rozrywała burty statku. To jej całe życie waliło się na nią, przytłaczało ją i miażdżyło.

Rozdział 52

„Trzymajcie się”.

Radiotelegraficzna wiadomość ze statku *Frankfurt* do *Titanica*

– Usiłuję się z panem skontaktować od środy – wyjaśniła z oburzeniem Maisie, zwracając się do Richarda. Sięgnęła po pilota i wyłączyła dźwięk w filmie *Dźwięki muzyki*. – Tylko że na tym oddziale nie można mieć telefonów w pokoju, więc trzeba prosić pielęgniarkę dyżurną, która dzwoni w imieniu chorego, wybiera numer i tak dalej, a telefony komórkowe też są niedozwolone ze względu na rozruszniki serca. Ich praca może ulec zakłóceniu i istnieje ryzyko wystąpienia migotania komór i w ogóle – mówiła Maisie, śpiesząc się nieco. – No więc poprosiłam siostrę Lucille o zadzwonienie do pana, a ona spytała po co, a nie mogłam podać prawdziwego powodu, bo mam udawać, że nic nie wiem o pani Joannie. Następnym razem musimy ustalić jakieś hasło rozpoznawcze.

– Dobrze, coś wymyślimy – zgodził się Richard. – Dowiedziałaś się, kogo poszła odwiedzić Joanna?

– Tak. Tak czy owak, powiedziałam jej, że chcę się z panem spotkać, i dodałam, że nie jest pan odwiedzającym, tylko lekarzem, ale i tak nie chciała zadzwonić.

Zamilkła, aby nabrać powietrza. Trochę się zadyszała, lecz po chwili ciągnęła:

– No więc poprosiłam ją, żeby zatelefonowała do pani Sutterly, aby przyniosła mi książki, bo ona nie jest odwiedzającą, a ja potrzebuję książek do odrobienia pracy domowej. Kiedy przyszła, pomyślałam, że dyskretnie wręcę jej kartkę z pańskim numerem telefonu, ale siostra Lucille oświadczyła, że mogą wejść tylko członkowie rodziny. Czuję się jak w więzieniu.

– I poinformowałaś mamę, że odkryłem lekarstwo na śmierć kliniczną? – podsunął Richard.

Maisie skinęła głową.

– Wpadłam na to, kiedy oglądałam *Nie wierzcie bliźniaczkom*, a dokładnie tę część, w której oszukują mamę. Nic innego nie przyszło mi do głowy – przyznała przeprasząc. – Pomyślałam, że sama pana skłoni do przyjscia, jeśli uzna, że opracował pan sposób na przywracanie do życia pacjentów w stanie śmierci klinicznej. I miałam rację. – Zrobiła poważną minę. – Tak naprawdę wiem, że nie umie pan tego robić. Gniewa się pan?

– Nie. Powinienem był wpaść do ciebie wcześniej, bo nie dzwoniłaś. Odwiedziłem cię dwa dni temu, lecz właśnie zabrano cię na badania.

– Zgadza się, na echokardiogram. Po raz kolejny. Kiedy byłam na dole, cały czas starałam się znaleźć kogoś, kto prześle panu wiadomość na pager, ale nikt mi nie chciał pomóc. Mówili, że pagery służą wyłącznie do przekazywania informacji zawodowych.

– Najważniejsze, że się ze mną skontaktowałaś – podsumował. – I dowiedziałaś się, gdzie była Joanna i z kim rozmawiała.

– To mi sprawiło jeszcze więcej kłopotów niż przekazanie panu wiadomości, bo nigdzie nie mogłam pójść ani do nikogo zadzwonić, a miałam pewność, że jeśli spytam pielęgniarki, zainteresują się, co chcę wiedzieć. Dlatego spytałam Eugene’a. To ten facet, który przynosi jedzenie. Kiedy leżałam na pediatrii, Eugene też mi podawał posiłki, więc przyszło mi do głowy, że na pewno obsługuje wszystkie piętra i widuje wiele osób.

– I jak, spotkał Joannę? – spytał Richard, usiłując wrócić do tematu.

– Nie. Sporo się namęczyłam, zanim skłoniłam Eugene’a, aby popytał ludzi, czy widzieli panią Joannę. Wcale nie miał na to ochoty. Stwierdził, że pacjenci wciąż go nakłaniają do robienia niedozwolonych rzeczy, takich jak dokładanie dodatkowych ciasteczek na tacę albo przemykanie pizzy i tak dalej, a on może z tego powodu stracić pracę, więc mu wyjaśniłam, że wcale nie chodzi mi o przynoszenie czegokolwiek, tylko popytanie ludzi o pewną sprawę, a ponieważ jestem bardzo chora i będę miała przeszczepiane serce i w ogóle, to jeśli tego dla mnie nie zrobi, to sama zacznę chodzić po ludziach i ich wypytywać, a wtedy pewnie stracę przytomność i trzeba będzie mnie reanimować.

Maisie Machiavelli.

– I wtedy się zgodził?

– Tak jest. Jedna z osób roznoszących tace widziała panią Joannę w zachodnim skrzydle, kiedy szła schodami na czwarte piętro i bardzo się

śpieszyła.

Czwarte piętro. Co tam się mieści?

– Skłoniłam Eugene’a do porozmawiania z salowymi z czwartego piętra, lecz nikt inny jej nie zauważył. A potem pomyślałam sobie, że na tym piętrze jest łącznik między budynkami i może pani Joanna właśnie tam zmierzała.

– Skąd wiesz, że na czwartym piętrze jest łącznik?

– Och, tak jakoś. – Maisie bąknęła wymijająco, wbijając wzrok w ekran telewizora. Dzieci von Trapp właśnie wpychały żabę do kieszeni Marii. – Czasami chodzę na badania i takie różne. Zresztą pomyślałam, że może pani Joanna szła do wschodniego skrzydła, więc powiedziałam Eugene’owi, aby popytał wszystkich tamtejszych roznosicieli posiłków, ale nikt jej nie zauważył, więc zastanowiłam się, kto jeszcze oprócz pielęgniarek i osób z tacami zwykle przebywa na korytarzach, na przykład sprzątaczk i kierowcy tych pojazdów do mycia podłogi.

– Czy to od nich wiesz, z kim rozmawiała Joanna?

– Nie. Wracając do tematu, Eugene oświadczył, że jeden z sanitariuszy widział panią Joannę schodzącą na oddział nagłych wypadków, ale to nie miało znaczenia, bo i tak pan wiedział, że tam poszła. Mimo wszystko spisałam jednak jego nazwisko, na wypadek, gdyby chciał pan z nim porozmawiać. – Sięgnęła do nocnej szafki, wyciągnęła złożoną kartkę papieru, przypominającą tę, na której wypisywała wiadomości radiotelegraficzne, i ją rozprostowała. Richard ujrzał dwa nazwiska.

– Bob Yancey – oświadczyła Maisie.

– Czy to drugie nazwisko należy do osoby, z którą rozmawiała Joanna? – Richard wychylił się, aby odczytać pismo dziewczynki.

Maisie ukryła kartkę.

– Zaraz wszystko wyjaśnię. – Złożyła papier. – Więc tak, potem jedna pani na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej dostała migotania komór, miała poczwórny bypass, i przyszedł kapelan, i pomyślałam, że na pewno chodzi do naprawde chorych ludzi, bo odwiedził mnie, kiedy przesłam śmierć kliniczną, więc jeśli pani Joanna poszła do kogoś po doświadczeniach granicznych, możliwe, że kapelan ją widział.

Kapelan. No jasne. Richard nawet o nim nie pomyślał.

– I co, kapelan ją widział?

– Zaraz do tego dojdę. – Nie ulegało wątpliwości, że Richard najpierw będzie musiał wysłuchać całej opowieści, w jaki sposób dziewczynka

odkryła prawdę, a dopiero potem dowie się tego, co go interesuje. – Zamierzałam poprosić Eugene’a, aby go do mnie zaprosił, lecz kiedy przynieśli jedzenie, okazało się, że Eugene’a zastępuje inny facet, więc spytałam go, gdzie jest Eugene, na co odparł: „Wziął sobie kilka dni wolnego”, strasznie denerwujące, więc powiedziałam: „Chyba go nie wylali, co?”, a on stwierdził: „Nie, i całe szczęście, a ponieważ ja też nie chcę wylecieć, nie prosz mnie o bawienie się w detektywa”. I wcale nie słuchał, kiedy powiedziałam, że chciałam tylko porozmawiać z kapelanem, po prostu położył tacę zjedzeniem i wyszedł. Zastanowiłam się, jak skłonić kapelana do odwiedzin. Chciałam powiedzieć pielęgniarce dyżurnej, że nie wiem, co myśleć o niebie i tak dalej, ale uznałam, że powtórzyłaby mojej mamie i zdenerwowała ją. No to postanowiłam udawać migotanie przedsionków, jeśli nic innego nie przyjdzie mi do głowy...

Migotanie przedsionków! Richard pomyślał, że stworzył potwora.

– ...ale gdy się tak zastanawiałam, zjawił się facet od pobierania krwi, owinał mi ramię gumową rurką i mówi: „Czy to ty wypytyujesz wszystkich o Joannę Lander?”, a ja: „Tak, widział ją pan?”, a on mówi, że spotkał ją w pokoju z tym pacjentem, zna jego nazwisko i numer pokoju i w ogóle, bo musi to zapisywać na tych małych rurkach. – Maisie triumfalnie wręczyła mu kartkę.

Richard rozprostował papier.

– Pokój czterysta osiem – odczytał. – Carl Aspinall.

– Podobno był w śpiączce – oznajmiła Maisie.

Richard poczuł, jak traci nadzieję.

– Co się stało?

Przyjrzał się jej zaciekawionej twarzy. Tak bardzo się starała i odniosła sukces tam, gdzie wszyscy inni doznali porażki. Rozczarowanie jej wydało mu się okrutne, bez względu na to, co Joanna twierdziła na temat konsekwentnego mówienia prawdy.

– Co się stało? – powtórzyła. – To nie o niego chodzi?

– Nie. Wiem już o Carlu. Joanna poprosiła pielęgniarki, aby spisywały wszystkie wypowiedane przez niego słowa. Myślę, że poszła tam porozmawiać właśnie z pielęgniarkami.

– A właśnie że nie! Pani Joanna z nim rozmawiała. Tak powiedział ten facet od krwi. Stwierdził, że bardzo się zdumiał na wieść, że Carl odzyskał przytomność. Pielęgniarki poinformowały go, że właśnie tamtego ranka ocknął się ni stąd, ni zowąd. Wszyscy uznali to za cud.

Ocknął się ze śpiączki i opowiedział Joannie, co widział, przekazał jej jakąś ważną wiadomość, podsunął klucz. Pokój 408. Richard sięgnął po telefon komórkowy i przypomniał sobie, że zostawił go na biurku na zewnątrz.

– Dzięki – oświadczył krótko i podszedł do drzwi. – Muszę z nim porozmawiać.

– Nie ma go w szpitalu – pośpiesznie wyjaśniła Maisie. – Facet od krwi twierdzi, że poszedł do domu. W zeszłym tygodniu.

Będzie musiał skontaktować się z archiwum, aby wyciągnąć stamtąd jego adres. Jeśli mu się nie uda, dogada się z pielęgniarkami.

– Pora na mnie, Maisie. Muszę się dowiedzieć, gdzie on mieszka.

– South Jackson Way trzydzieści trzy czterdzieści osiem – wyrecytowała bez wahania Maisie. – Ale nie zastanie go pan. Pojechał do domku letniskowego w górach.

– Powiedział ci to człowiek od krwi?

– Nie, Eugene. – Wyciągnęła rękę do nocnej szafki i wydobyła kolejną kartkę papieru. – Tu jest opis, jak się tam dostać.

Przeczytał wskazówki. Domek znajdował się tuż pod Timberline.

– Maisie, potrafisz czynić cuda – oznajmił, chowając kartkę do kieszeni. – Jestem ci winien kolejną. – Ponownie ruszył w stronę drzwi.

– Jeszcze nie może pan wychodzić. Nie wiem, czy mam wciąż szukać ludzi, którzy widzieli panią Joannę.

Richard pomyślał, że nie. Znalazł właściwą osobę. Wszystko świetnie do siebie pasowało. Carl Aspinall ocknął się ze śpiączki i powiedział Joannie coś związanego ze swoimi doświadczeniami granicznymi. Dzięki temu przypomniała sobie coś z własnych przeżyć i uświadomiła sobie, czym są doświadczenia graniczne i jak funkcjonują.

Maisie czekała cierpliwie.

– Już znalazłaś osobę, której szukałem – odparł wreszcie. – Teraz powinnaś wypoczywać. Leż i oglądaj swoją kasetę.

– Nie znoszę *Dźwięków muzyki*. – Oparła się o poduszki. – Potwornie przesłodzony film. Jedyne ciekawe sceny są wtedy, gdy zakonnice wymyślają podstęp na nazistów, aby uciec.

– Maisie...

– A jeśli to nie tego człowieka pan szuka? Albo jeśli ponownie zapadnie w śpiączkę? Albo umrze?

Dał za wygraną.

– W porządku, szukaj dalej, ale nie proś Eugene’a o nic, za co mógłby wylecieć z roboty. I w żadnym wypadku nie udawaj migotania przedsiionków. Wpadnę do ciebie, gdy tylko wrócę ze spotkania z Carlem.

– Zabierze pan panią Kit?

– Nie, czemu ci to przyszło do głowy?

– Jest sympatyczna – wyjaśniła Maisie, wpatrując się w telewizor, gdzie kapitan von Trapp śpiewa Marii. – Pomyślałam tylko, że potrafiłaby zadawać dociekliwe pytania. Koniecznie musi pan przyjść i opowiedzieć mi, co mówił.

– Na pewno to zrobię – potwierdził i wrócił do laboratorium, aby zadzwonić do Carla Aspinalla, lecz w jego domku nic było telefonu. Richard uznał, że na pewno mają przy sobie komórkę. Nie wyjechaliby przecież w góry tydzień po wypisaniu Carla ze szpitala, nie pozostawiając sobie żadnej możliwości skontaktowania się ze światem. Numer telefonu komórkowego państwa Aspinall nie znajdował się jednak w rejestrze.

A zatem Richardowi nie pozostało nic innego, jak tylko jazda w góry. Nie żałował tego, dzwoniąc bowiem, mógł usłyszeć, że pan Aspinall jest zbyt chory na spotkanie. Pani Aspinall mogłaby z powodzeniem zaproponować: „Może w przyszłym tygodniu?” Richard nie mógł już czekać do przyszłego tygodnia, ani nawet do jutra. Był zbyt blisko odkrycia prawdy. Zatelefonował do Kit, chociaż wątpił, czy w tak krótkim czasie uda się jej znaleźć kogoś do opieki nad wujkiem. Mógł za to przynajmniej odebrać od niej wydruki ze słowami Carla. Chciałby rzucić na nie okiem przed rozmową.

Numer Kit był zajęty. Richard spojrzął na zegarek. Minęła druga, a Timberline leżało dobre półtorej godziny drogi od szpitala. Ponownie spróbował zadzwonić do Kit, lecz nadal było zajęte. Trudno, pojedzie bez wydruków.

Zgarnął klucze, podszedł do drzwi i znieruchomiał. Robił dokładnie to samo, co Joanna – wychodził, nie informując nikogo o swoich planach. Zatelefonował do nagłych wypadków i poprosił Vielle do telefonu.

– W tej chwili nie może podejść – odparł stażysta, czy też ktokolwiek, kto podniósł słuchawkę. – Mamy tu straszne zamieszanie. Karambol z udziałem dwudziestu samochodów na I-70. Mgła.

Richard uświadomił sobie, że aby się dostać do Timberline, trzeba jechać I-70 na zachód.

– W którym miejscu?

– Na wschodzie pod Bennett. Mam jej przekazać wiadomość?
– Tak – potwierdził Richard. – Proszę jej powiedzieć, że jadę przeprowadzić rozmowę z Carlem Aspinallem. C-a-r-1-e-m – przeliterował.
– Aspinallem. Niech pan jej powtórzy, że zadzwonię, gdy tylko wrócę.

– Nie ma sprawy. Proszę ostrożnie prowadzić.

Richard odłożył słuchawkę i po raz trzeci wystukał numer Kit. Odebrał pan Briarley.

– Kto mówi? – spytał stanowczo.

– Richard Wright. Czy jest Kit?

– Nie żyje. Został zasztyletowany w tawernie w Deptford.

– Wujku, to do mnie – rozległ się głos Kit, a jakaś kobieta dodała:

– Przepraszam, poprosił mnie o filiżankę herbaty i...

Nie słyszał dalszego ciągu wytłumaczenia. Kit przejęła słuchawkę i okazało się, że ma już kogoś do opieki nad chorym.

– Wybierałam się do biblioteki, żeby sprawdzić informacje o pożarach na *Titanicu* – oznajmiła Kit.

– Co jeszcze mogli ujrzeć? – Richard usłyszał pana Briarleya. – To lustrzane odbicie.

– Na jak długo zamówiłaś opiekunkę?

– Do szóstej. Znalazłeś osobę, którą odwiedziła Joanna, prawda?

– Zgadza się. Chciałbym, żebyś ze mną do niej pojechała. Dasz radę?

– Pewnie!

– Świetnie. Weź ze sobą wydruki wypowiedzi Carla Śpiączki.

– Metafory to nie tylko figura retoryczna – podkreślił pan Briarley.

– Lepiej się pośpieszmy – zdecydowała Kit i podyktowała Richardowi swój adres. – Do zobaczenia za parę minut.

– Są esencją i podstawą naszego sposobu myślenia – ciągnął chory.

Richard się rozłączył, wsunął komórkę do kieszeni i skierował się na parking. Nie zdążył dojść do windy, kiedy zaczepił go młody mężczyzna w garniturze.

– Doktor Wright? – spytał i wyciągnął rękę. – Cieszę się, że pana zastałem. Nazywam się Hughes Dutton z kancelarii Daniels, Dutton i Walsh. Jestem prawnikiem pani Nellis.

Dlaczego nie poszedłem po schodach, zasepił się Richard.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Idę...

– To zajmie tylko chwilę. – Pan Dutton rozpiął marynarkę i wyciągnął notatnik elektroniczny. – Podjąłem się prowadzenia negocjacji w sprawie

uzyskania zezwolenia na zastosowanie opracowanego przez pana programu leczenia pacjentów w stanie śmierci klinicznej i chciałbym wyjaśnić kilka drobiazgów. Czy terapię zakwalifikowano jako procedurę medyczną czy lekarstwo?

– Ani jedno, ani drugie – zaprzeczył Richard. – Nie istnieje żadna terapia. Usiłowałem wytłumaczyć to pani Nellis, ale nie słuchała. Moje badania doświadczeń granicznych znajdują się w fazie wstępnej i mają charakter czysto teoretyczny.

– Terapia w fazie przedwstępnej – zapisał prawnik.

Richard pomyślał, że z jego rozmówcą jest równie źle jak z panią Nellis.

– To nie jest faza przedwstępna. Nie istnieje żadna terapia, a nawet gdyby istniała, nikt nie zezwoliłby na jej eksperymentalne zastosowanie na dziecku...

– W standardowych okolicznościach zgodziłbym się z panem, lecz jeśli rzeczone leczenie może być zastosowane wobec pacjenta po śmierci klinicznej, istnieje kilka dopuszczalnych rozwiązań, z których najmniej problematyczne wydaje się uznanie pańskiej terapii za pośmiertną procedurę eksperymentalną.

On mówi o Maisie. Richard zazgrzytał zębami.

– Pora na mnie – oświadczył i ominął prawnika, kierując się do windy. – Muszę się spotkać...

– Pojadę z panem. – Prawnik wychylił się zza pleców Richarda i wcisnął przycisk ze strzałką skierowaną na dół. – Ponieważ pod względem technicznym pacjent jest martwy, można zastosować te same zezwolenia prawne, co w wypadku pobierania organów. – Drzwi się otworzyły. Richard i prawnik weszli do kabiny. – Które piętro?

– Parter – odparł Richard.

– Niestety, Szpital Ogólny Miłosierdzia Bożego nie dopuszcza możliwości przeprowadzania eksperymentów na niedawno zmarłych, ale ze względu na fakt, że z założenia taka polityka ma na celu uniemożliwienie stażystom dokonywania ćwiczeń typu cewnikowanie tętnicy udowej, można twierdzić, że pańska terapia nie podlega istniejącemu zakazowi. Nasza druga opcja to powołanie się na zasadę wykorzystania wszelkich możliwych środków w celu uratowania życia pacjenta.

Drzwi windy otworzyły się na parterze. Prawnik wyszedł za Richardem.

– Pod względem prawnym druga opcja jest ryzykowniejsza, lecz ma tę przewagę nad pierwszą, że procedurę można wdrożyć wcześniej niż po

śmierci pacjenta. W tej chwili rozważam wszystkie istniejące możliwości – zakończył i cofnął się do windy, zanim zamknęły się drzwi.

Chwała Bogu. Richard pośpiesznie skierował się do samochodu. Przez chwilę się bał, że prawnik zechce się z nim zabrać. Zastanowił się, czy zadzwonić do Kit, aby ją poinformować o spóźnieniu, lecz nie chciał tracić czasu na szukanie telefonu i ewentualną rozmowę z panem Briarleyem, która mogła potrwać dłużej niż jazda do domu Kit, zwłaszcza jeśli warunki na drodze okażą się sprzyjające.

Nie okazały się. Nad miastem unosiła się mgła i samochody poruszały się w żółtym tempie. Kiedy dotarł na miejsce, było dwadzieścia po trzeciej.

Richard obawiał się, że uwolnienie się od pana Briarleya zajmie kolejne pół godziny, lecz Kit wyszła na dwór, jak tylko podjechał pod furtkę. Pod pachą trzymała wydruki.

– Wzięłam telefon komórkowy – stwierdziła, kiedy zjeżdżał z krawężnika. – Więc kto to?

– Nie uwierzysz. – Skręcił na drogę do Evans, pojechał w kierunku Santa Fe i zjechał na I-25, po drodze opowiadając o Carlu Aspinallu. – Musiał jej powiedzieć coś, czego doświadczył w czasie śpiączki. To, co od niego usłyszała, zapewne w połączeniu ze słowami wymamrotanymi przez niego, kiedy nie miał świadomości, pozwoliło Joannie rozwiązać problem.

– Myślisz, że Carl będzie wiedział, co wywarło na Joannie tak wielkie wrażenie?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że Joanna jakoś to skomentowała, wykrzyknęła „Eureka!” i wyjaśniła mu, dlaczego tak się uradowała. Jeśli nie, musimy mieć nadzieję, że sami dostrzeżemy jakąś wskazówkę. Może przeczytasz na głos treść tych wydruków?

Kit skinęła głową i sięgnęła po notatki Joanny. Richard skręcił na I-70 i pojechał na zachód. W pobliżu Golden mgła nieco zrzędała, lecz zgęstniała ponownie, gdy dotarli do podnóża gór. Samochody przed nimi znikły w bieli, podobnie jak skaliste wzniesienia po obydwu stronach drogi. Richard przypomniał sobie o karambolu z udziałem dwudziestu samochodów. Włączył reflektory i zwolnił.

– „...pół...” – odczytała Kit. – „...żeby... (niezrozumiałe) ...ogień... robić...” – Podniosła wzrok. – Gdzie jesteśmy? – spytała, spoglądając na spowity mgłą krajobraz.

– Na I-70 i jedziemy w stronę Timberline – odparł Richard, wręczając jej kartkę Maisie z opisem trasy. – Aspinall i jego żona zatrzymali się w domku

w górach. Na który zjazd mam skręcić?

Kit sprawdziła notatki.

– Na ten – oznajmiła, pokazując palcem zielony znak, ledwie widoczny w mgle. – A potem na północ autostradą pięćdziesiąt osiem.

Oboje się pochyliłi, usiłując rozpoznać znaki drogowe i wybrać właściwy skręt na autostradę numer 58. Po chwili Kit ponownie zajęła się odczytywaniem wydruku.

– „...woda... o rety (niezrozumiałe) ...dym...” – Urwała, wpatrując się w mgłę.

– Czy to wszystko? – spytał Richard.

– Nie. Zamyśliłam się. Może dym jest wskazówką.

– Wydawało mi się, że nie znalazłaś informacji o jakichkolwiek pożarach na *Titanicu*, które wybuchły podczas katastrofy.

– O to właśnie chodzi. Wszystko inne, co ujrzała Joanna – urzędnicy pocztowi, wciągający worki z przesyłkami na pokład łodziowy, pasażerowie kręcący się po pokładzie, rakiety – to wszystko okazało się prawdą. Swoje opisy sali gimnastycznej oraz głównych schodów i czytelnicy mogła zapożyczyć z jednej z książek wujka Pata.

– Ale nie znalazła w nich ani słowa o dymie.

– Ani o dymie, ani o mgle, cokolwiek to było. Dym nie pasuje do reszty. Może Joanna zastanawiała się nad jego znaczeniem i znalazła odpowiedź. Przecież przełomowe odkrycia w nauce wynikają właśnie z tego, że coś nie pasuje do reszty.

– Zgadza się. A może chciała udowodnić, że dym nie pasuje, bo to by dowodziło, że nie widziała prawdziwego *Titanica*. Możliwe, że właśnie dlatego zadawała ci te wszystkie pytania na temat magazynu pocztowego i salonu jadalnianego pierwszej klasy. Po prostu liczyła na to, że jej opis nie będzie pasował do rzeczywistości.

– Dobrze, tylko dlaczego nie spisała tego, co widziała? Jeśli chciała udowodnić istnienie rozbieżności, powinna była zadbać o ich udokumentowanie. Tymczasem w jej relacjach, zarówno spisanych, jak i nagranych na taśmy, nie ma ani słowa o dymie, pożarze lub mgle. Z kolei wzmianki o nich pojawiają się w relacjach Maisie i pani Schuster. Wydaje mi się, że to dobry trop.

– Za kilka minut się przekonamy – podsumował Richard, pokazując ledwie widoczny znak: „Timberline 13 km”.

Mgła stawała się coraz gęstsza, a droga coraz bardziej się wiała. Richard musiał skoncentrować się wyłącznie na obserwowaniu środkowej linii.

– „...woda...” – odczytała Kit. – „... nie... ciemność...”, a potem dwa słowa ze znakami zapytania „zimno?”, „ciemno?”

– Tunel – odezwał się Richard.

– Tunel? – zdumiała się Kit. – Jak można pomyśleć „tunel”, słysząc „zimno” i „ciemno”?

– Tunel – powtórzył i pokazał palcem. Przed nimi piętrzył się łuk wjazdu do tunelu, zupełnie czarny w gęstej mgle.

– Ach, tunel – zrozumiała Kit i wjechali do środka.

Nie zainstalowano w nim lamp, a zatem musiał być krótki. W dłuższych, takich jak tunel Eisenhowera czy te w kanionie Glenwood, zamontowano złote, sodowe oświetlenie. Ten tunel okazał się zupełnie czarny i mglisty.

„Dlaczego miałabym myśleć o *Titanicu*, skoro jest tyle możliwości?”, stwierdziła kiedyś Joanna. „Mieszkam w Kolorado, gdzie istnieje mnóstwo górskich tuneli”.

Richard doszedł do wniosku, że miała rację. Taki tunel od razu powinien przychodzić na myśl. Wąski, dający poczucie szybkiego przemieszczania się do przodu, ciemny. Z całą pewnością musiał zakręcać, bo Richard nie widział jego końca, nie dostrzegał światła.

Światło. Nie odniósł wrażenia, że skręca, lecz nagle pojawił się przed nimi oślepiająco jasny wyjazd. Richard aż się skulił na widok jaskrawej bieli.

„Jeden z nich mógłby mi się skojarzyć i byłoby to absolutnie logiczne”, mówiła Joanna, mając na myśli górskie tunele. Wrażenie wydostawania się na światło dzienne, na świeże powietrze, wrażenie przystosowywania się oczu do jasności, do oślepiającego błysku. Richard pomyślał, że jest zbyt jasno, i poczuł niepokój, Dlaczego jest tak jasno?

Kit podniosła dłoń, żeby zasłonić oczy. Wyglądała, jakby się osłaniała przed ciosem. Gdzie się znaleźli? Wyjechali z tunelu i trafili do innego świata. Niebieskie niebo, błyszczący śnieg i białe, porośnięte sosnami zbocza.

– Co się stało z mgłą? – zdumiała się Kit.

– Pewnie wjechaliśmy powyżej jej poziomu – zdecydował Richard, chociaż nie miał wrażenia, że jechali pod górę. Na następnym zakręcie ujrzeli w dole białą pokrywę chmur spowijających kanion.

– Niebo – mruknęła Kit, a Richard wiedział, że myślą o tym samym.

– Wszystko się zgadza, z wyjątkiem dzwonienia lub brzęczenia – dodał i wtedy rozległ się dźwięk telefonu komórkowego Kit.

– Pani Gray, czy wszystko w porządku? – spytała niespokojnie. Dzwoniła opiekunka pana Briarleya. – Ach. W szafce nad zlewem, za płatkami owsianymi. Tak mi się wydaje. – Kit się rozłączyła. – Nie mogła znaleźć cukru – z ulgą wyjaśniła Richardowi. Wzięła do ręki wydruki. – Lepiej skończę czytać, już prawie dojechalśmy.

– Poprawka. Jesteśmy na miejscu – sprycyzował Richard, wskazując palcem znak Timberline. Skręcił na wąską, zaśnieżoną drogę, a potem na jeszcze jedną, węższą i bardziej zaśnieżoną, aż wreszcie się zatrzymał przed zadbanym wiejskim domkiem.

– Nie mogę w to uwierzyć – mruknęła Kit, kiedy podchodzili do drzwi. – Dowiemy się, co chciała nam przekazać Joanna.

Przy drzwiach przywitała ich kobieta, wyglądająca na zaskoczoną i nieco niespokojną.

– Pani Aspinall? – spytał Richard, nagle się zastanawiając, jak wytłumaczyć ich wyprawę i jednocześnie nie wyjść na wariatów. Jestem doktor Wright, a to pani Gardiner. Przyjeżdżamy ze szpitala Miłosierdzia. Jesteśmy...

– Ach tak, zapraszam – odetchnęła pani Aspinall i otworzyła szeroko drzwi. – To miło, że państwo mieli ochotę pokonać taki kawał drogi. Carl jest w dużym pokoju. Bardzo się ucieszy. Wzięła od Richarda płaszcz i powiesiła go w sieni. – Wczoraj gościliśmy doktora Cherikova. – Sięgnęła po płaszcz Kit. – Wszyscy lekarze są tacy mili, nie spodziewałam się, że ktokolwiek zechce się tutaj fatygować.

– Pani Aspinall... – zaczął Richard, lecz gospodyni szła już długim, wyłożonym sosnowymi deskami holem i opowiadała im, jak się czuje Carl.

– Jest z nim coraz lepiej, zwłaszcza tutaj, w górach. Przestały mu się śnić koszmary...

– Pani Aspinall – przerwał niezręcznie Richard. – Obawiam się, że zaszło pewne nieporozumienie. Nie jestem jednym z lekarzy pana Aspinalla.

Pani Aspinall zatrzymała się nagle i odwróciła.

– Przecież powiedział pan, że przyjechaliście ze Szpitala Miłosierdzia.

– Bo to prawda. Jesteśmy przyjaciółmi Joanny Lander. Razem prowadziliśmy projekt badawczy.

– Rozumiem. – Pani Aspinall zawahała się, jakby chciała ich wyprosić, lecz w końcu zaprowadziła ich do drzwi na końcu holu. Z całą pewnością nie znaleźli się w dużym pokoju, tylko w wiejskiej kuchni. – Mają państwo ochotę na herbatę?

– Nie, dziękujemy – odparł Richard. – Pani Aspinall, przyjechaliśmy dlatego, że...

– Głęboko zasmuciła mnie wiadomość o śmierci doktor Lander – oświadczyła pani Aspinall. – Była bardzo dobra dla mnie i dla mojego męża. Często przychodziła i siedziała przy nim, żebym mogła wyjść coś zjeść. – Ze smutkiem pokręciła głową. – Taka straszna tragedia. W dzisiejszych czasach wszędzie kryje się tyle przemocy. Carl też się ogromnie zasmucił.

Richard pomyślał, że Carl przynajmniej o wszystkim wie i nie trzeba będzie przechodzić przez to samo, co w wypadku Maisie. Na wszelki wypadek spytał jednak:

– Powiedziała pani mężowi o jej śmierci?

– Wcale nie zamierzałam. Wciąż jest bardzo osłabiony i nie znał jej. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Z trudem uświadamiam sobie, że wszyscy ludzie, którzy się nim zajmowali przez tyle tygodni i których tak dobrze znam, są dla niego zupełnie obcy.

Richard i Kit wymienili spojrzenia nad stołem.

– Ale Carl słyszał rozmowy pielęgniarek – ciągnęła pani Aspinall. – Kiedy Guadalupe weszła do pokoju, widział, że płakała i że stało się coś złego. Był przekonany, że ukrywam przed nim coś związanego z jego chorobą, więc w końcu o wszystkim mu powiedziałam.

– Pani Aspinall – zaczął Richard. – W dniu swojej śmierci doktor Lander znalazła się na tropie ważnego odkrycia, mającego związek z naszym projektem badawczym. Rozmawiamy ze wszystkimi osobami, które spotkała tamtego dnia, i z tego samego powodu przyjechaliśmy tutaj. Chcielibyśmy...

Pani Aspinall pokręciła głową.

– Nie widziałam się z nią wtedy. Pielęgniarki poinformowały mnie, że wpadła dwa dni wcześniej, ale mnie przy tym nie było. Po raz ostatni spotkałam ją co najmniej tydzień wcześniej, więc niestety, nie mogę państwu pomóc. Przykro mi.

– Prawdę mówiąc, chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem – wyjaśnił Richard.

– Z Carlem? – osłupiała. – On nigdy nie widział Joanny. Wydaje mi się, że państwo czegoś nie rozumieją. Mój mąż znajdował się w stanie półśpiączki aż do...

– ...ranka w dniu śmierci Joanny – dokończył Richard. – Właśnie wtedy przeprowadziła z nim rozmowę, zaraz po tym, jak odzyskał przytomność.

– Jest pan pewien? Carl nigdy mi nie wspomniał o spotkaniu z doktor Lander. – Zmarszczyła brwi. – Chociaż z drugiej strony był strasznie przygnębiony, gdy opowiedziałam mu o tej tragedii. Wydawało mi się, że to dlatego, iż sam znajdował się tak blisko śmierci i bardzo się jej bał, ale... Kiedy mogła się z nim zobaczyć? Przyszłam zaraz po tym, jak mi powiedziano, że się ocknął, i spędziłam z nim resztę dnia.

– O wpół do dwunastej. – Richard miał nadzieję, że nie zaszło nieporozumienie.

– Ach tak. – Pokiwała głową. – A zatem chwilę, zanim się przy nim znalazłam. – I tuż po tym, gdy Carl odzyskał przytomność, dodał w myślach Richard. Wtedy jego wspomnienia były najświeższe.

– Mimo to wciąż czegoś nie rozumiem – upierała się pani Aspinall. – Uważa pan, że pani Lander znajdowała się na tropie ważnego odkrycia, związanego z prowadzonym przez państwa projektem badawczym. Dlaczego miałyby o tym informować Carla?

– Sądzymy, że... – zaczął Richard.

Z pokoju obok dobiegło głośne dudnienie, jakby ktoś walił młotkiem o podłogę.

– To Carl – wyjaśniła przepaszająco pani Aspinall. – Kiedy czegoś potrzebuje, stuka laską. Przywiozłam dzwonek, ale nie wiem, gdzie się zapodział. – Ponownie rozległo się donośne i rytmiczne łomotanie. – Proszę mi wybaczyć. – Pani Aspinall wstała. – Zaraz wrócę. – Wyszła z kuchni.

Dudnienie trwało jeszcze przez chwilę, a potem się urwało.

– Kto przyjechał? – rozległ się męski głos. – Słyszałem, że podjechał samochód.

– Jacyś ludzie ze szpitala – wyjaśniła pani Aspinall. – Ale nie musisz się z nimi spotykać, jeśli nie masz ochoty. Mogę im powiedzieć, żeby wrócili, kiedy się lepiej poczujesz.

Kit spojrzała niespokojnie na Richarda.

– Czuję się świetnie – oświadczył Carl. – Doktor Cherikov jest zdania, że mój stan znacznie się poprawił.

– To prawda, ale nie powinienes się przemęczać. Byłeś bardzo chory.

Richard nie dosłyszał odpowiedzi, ale w drzwiach stanęła pani Aspinall.

– Prosiłabym, aby państwo nie przeciągali rozmowy. Carl szybko się męczy. Jak państwo sądzą, czego dotyczyła rozmowa doktor Lander z moim...

Rozległ się stuk, a potem walenie laską, głośniejsze niż wcześniej.

– Idziemy! – zawołała pani Aspinall i poprowadziła Kit oraz Richarda do wyłożonego sosnową boazerią pokoju z kominkiem i szerokimi oknami, za którymi rozciągał się filmowy krajobraz – pokryte śniegiem szczyty gór, sosny, częściowo oblodzony strumień. Grał telewizor. Richard spojrzął na ustawione przed nim krzesło, spodziewając się ujrzeć inwalidę w szlafroku i z kocem na kolanach. Mebel był jednak pusty, a jedyną osobą w pokoju okazał się opalony, zdrowo wyglądający mężczyzna w białym golfie i spodniach khaki. Nieznajomy stał przy oknie i wpatrywał się w dal. Richard zastanowił się, czy to przypadkiem nie lekarz, a potem spostrzegł sękatą laskę w jego dłoni. Doktor Cherikov się nie mylił, najwyraźniej stan Carla znacznie się poprawił.

Pani Aspinall podeszła energicznie do termostatu na ścianie, zwiększyła temperaturę kaloryferów i zbliżyła się do kominka.

– Brr, strasznie tu zimno – zadrżała, zdjęła pilota z kominka i wycelowała go w stronę ognia. Płomienie buchnęły wysoko.

– Carl? – Podeszła do krzesła, podniosła drugiego pilota i wyłączyła dźwięk w telewizorze. – To jest doktor Wright, a to pani Gardiner.

– Witam pana, panie Wright. – Carl podszedł bliżej i podał mu dłoń. Z bliska prezentował się równie zdrowo. Miał opaloną cerę i silny uścisk. Gdyby nie ciemne siniaki i ślady po ukłuciu na grzbiecie dłoni, Richard nie uwierzyłby, że stoi przed osobą, która jeszcze trzy tygodnie temu leżała w szpitalu, i to w stanie długotrwałej śpiączki. – Czy jest pan jednym z tych lekarzy, którzy wbijali mi te wszystkie igły, druty i rurki? A może spotkaliśmy się wcześniej? Ciągle widuję ludzi, którzy mnie znają, a ja sam nigdy ich nie widziałem.

– Nie – zaprzeczył Richard. – Nigdy nie mieliśmy okazji się poznać. Jestem...

– Z całą pewnością nie spotkałem dotąd pani. – Carl ominął Richarda, aby przywitać się z Kit. – Tego bym nie zapomniał.

– Dzień dobry panu. – Uśmiechnęła się Kit. – Jak się pan czuje?

– Wspaniale. Rzekłbym: wyśmienicie. Jak nowo narodzony.

– Proszę usiąść – zachęciła ich pani Aspinall, wskazując na kanapę. Usiedli, a Carl oparł łaskę o poręcz swojego fotela. Pani Aspinall nie miała ochoty spocząć. Richard pomyślał, że ich gospodyni stoi na straży.

– Proszę pana – zaczął. – Nie zabierzemy panu wiele czasu. Chcielibyśmy tylko zadać kilka pytań związanych z Joanną Lander.

– Carl, pamiętasz doktor Lander? – spytała pani Aspinall. – Opowiadałam ci o tylu ludziach. Wiem, że w pewnym momencie wszystkie osoby zaczynają się mylić...

Richard pomyślał, że nie wolno niczego sugerować, i spojrzał niespokojnie na Carla, który pokiwał głową.

– Pani Joanna – stwierdził. – Odwiedziła mnie. W dniu, w którym... – Głos uwiązł mu w gardle. Carl zapatrzył się na oblodzony strumień za oknem.

Richard doszedł do wniosku, że pan Aspinall przygląda się wodzie. Płynęła ciemna i przejrzysta, częściowo na powierzchni, a częściowo pod cienką warstwą lodu.

– W dniu, kiedy odzyskał pan przytomność? – podsunęła Kit.

– Zgadza się. Ona nie żyje. Prawda? – spytał po chwili.

– Prawda. Zginęła tego samego dnia – przypomniał Richard.

– Tak myślałem. Niekiedy wszystko mi się miesza, co się naprawdę stało, a co... – Ponownie zamilkł.

– Doktor Cherikov wspominał, że z początku będziesz trochę oszołomiony z powodu lekarstw – przypomniała pani Aspinall.

– Tak właśnie. Z powodu lekarstw – potwierdził. – Robią państwo coś ku pamięci Joanny? Może zakładacie fundację dobroczynną lub coś w tym rodzaju? Chętnie bym ją wsparł.

– Nie – zaprzeczył Richard. – Nie dlatego przyjechaliśmy...

– Jest coś, co pragnęlibyśmy zrobić dla Joanny – odezwała się z zapalem Kit. – Potrzebujemy pańskiej pomocy. Sądzymy, że w dniu swojej śmierci Joanna dowiedziała się czegoś ważnego na temat badań, które prowadziła wraz z doktorem Wrightem. Staramy się ustalić, co to było. Sądzymy, że mogła coś komuś powiedzieć na ten temat.

– I wydaje się państwu, że doktor Lander rozmawiała o tym ze mną? – Carl pokręcił głową. – Ani słowem nie wspomniała o swoim odkryciu...

– Nie, przypuszczamy, że o niczym nie mówiła bezpośrednio – pośpiesznie uzupełniła Kit. – Myślimy jednak, że jeśli porozmawiamy z osobami, z którymi się spotykała tamtego tragicznego dnia, uda nam się

znaleźć wskazówki dotyczące jej przemyśleń. – Richard spojrzał na Kit z wdzięcznością i pomyślał, że dobrze zrobił, zabierając ją ze sobą. – Czy mógłby nam pan powiedzieć, o czym wtedy rozmawialiście?

– Rozmawialiśmy? – Ponownie zapatrzył się w ciemną wodę strumienia. Jego palce poruszały się nerwowo na poręczy fotela.

– Tak jest – potwierdziła Kit. – O czym pan mówił z Joanną?

– Carl, jesteś pewien, że chcesz teraz rozmawiać? – spytała niespokojnie pani Aspinall, stając między nimi. – Jestem pewna, że doktor Wright i pani Gardiner rozumieją, jeśli...

– Nic mi nie jest – przerwał jej w pół zdania. – Przestań się wtrącać. Może pójdziesz zaparzyć nam herbaty?

– Państwo powiedzieli, że nie chcą...

– Ale ja chcę – stwierdził stanowczo. – Zrób mi herbaty i przestań się o mnie troszczyć jak kwoka.

Pani Aspinall wyszła, cały czas zaniepokojona, a Carl uśmiechnął się do Kit.

– No tak, o czym mówiliśmy? – spytał.

– Jesteśmy ciekawi, na jaki temat rozmawiał pan z doktor Lander.

– To nie było nic ważnego. Spytała mnie, jak się czuję, i stwierdziła, że cieszy się, że się ocknąłem. Wyraziła przekonanie, że dojdę do siebie. No i właśnie staram się to zrobić - odpoczywam, nabieram sił, postępuję według wskazań doktora Cherikova. On twierdzi, że powinienem się koncentrować na teraźniejszości i nie myśleć o przeszłości. Muszę zapomnieć o tym, co się zdarzyło i skupić na rekonwalescencji.

– Wracając do pańskiej sypialni – wtrącił się Richard. – Czy Joanna spytała pana, co się działo, gdy był pan nieprzytomny? Czy interesowały ją pańskie sny?

– To nie sny.

Serce Richarda zabiło gwałtownie.

– Więc co to było? – spytał, usiłując zachować spokój.

Pani Aspinall spojrzała w stronę drzwi, jakby żałując, że jego żona jeszcze nie wraca.

– Proszę pana, to ważne – naciskał Richard. – Joanna usiłowała nam coś powiedzieć, kiedy umierała. Sądzymy, że to może mieć związek z tym, co pan jej przekazał. Jej odkrycie mogło wynikać z uzyskanych od pana informacji na temat pańskich przeżyć w stanie sypialni.

Carl przestał słuchać.

– Sądziłem, że zmarła natychmiast – oświadczył oskarżycielskim tonem.
– Pielęgniarki zapewniły mnie, że śmierć nastąpiła błyskawicznie.

Richard uważnie się przyjrzał swojemu rozmówcy. Co tu się dzieje?

– Mówił pan, że rozmawiała z panem. – Carl podniósł głos. – Chciała panu coś powiedzieć?

– Zgadza się, ale umarła zbyt szybko, aby przekazać nam to, co chciała. Zgon nastąpił w krótkim czasie.

– Nikt nie mógł temu zapobiec – uzupełniła Kit.

– Jak zmarła? – Carl ją zignorował.

Richard spojrział na przyjaciółkę. Wyglądała na równie zaskoczoną jak on. Zastanawiał się, czy powinni zawołać panią Aspinall, lecz gdyby to zrobili, rozmowa dobiegłaby końca.

– Jak zmarła? – powtórzył Carl.

– Zasztyletował ją pacjent pod wpływem narkotyków – wytłumaczył Richard.

– Zasztyletował? – Carl bezwiednie zacisnął rękę. – Czym?

– Nożem – odparł Richard. Ku jego zdumieniu okazało się, że udzielił odpowiedniej odpowiedzi. Carl rozluźnił pięści i usiadł wygodniej.

– Zmarła niemal natychmiast – mruknął. – Była tam tylko kilka minut.

– Gdzie? – zapytał Richard. – Gdzie pan był, kiedy leżał pan w śpiączce?

Carl ponownie zacisnął pięści, a jego wzrok powędrował do wyciszonego telewizora. Zachowywał się tak samo jak Maisie, kiedy nie chciała rozmawiać.

– Stwierdził pan, że to nie sen. – Richard się pochylił, aby znaleźć się między Carlem i telewizorem. – Więc co to było? Jakie miejsce?

– Miejsce – powtórzył Carl i wyjrzał za okno, jakby znowu zainteresował go ciemny, oblodzony strumień. Co widział, wpatrując się w niego? Wodę, powoli pochłaniającą pokład? A może wlewającą się błyskawicznie przez dziurawą burtę?

– Powiedział pan, że Joanna była tam tylko kilka minut – nie ustępował Richard. – Gdzie? Dlaczego niepokoił pana przedmiot, którym ją zasztyletowano?

Carl jeszcze mocniej zacisnął pięści. Skóra między siniakami na jego dłoniach przybrała biały kolor. Pomimo opalenizny widać było, że poszarzała mu twarz. Wyglądał tak, jakby nagle cała krew odpłynęła mu z głowy.

– Carl, gdzie pan był? – powtórzył.

– Richard... – Kit położyła mu dłoń na ramieniu.

– Gdzie pan był?

– Ja... – Carl odetchnął nierówno. – To...

Teraz, pomyślał Richard. Powie nam.

Drrń! Ciszę nagle przerwał głośny dzwonek telefonu komórkowego.

Tylko nie to!, jęknął w myślach Richard, wpatrując się, jak Kit wygrzebuje go z torby. Nie teraz.

– Przepraszam. – Kit usiłowała wyłączyć dzwonienie. – Nie wiedziałam, że jest włączony.

– Nic się nie stało. – Twarz Carla przybrała normalną barwę.

Richardowi przyszło do głowy, że ich gospodarz wyglądał jak ktoś, kto będąc w opałach, nagle usłyszał trąbkę kawalerii wygrywającą sygnał do boju.

– Proszę się nie krępować – zachęcił Carl. – Niech pani odbierze.

Kit spojrzała na Richarda przepaszająco i przyłożyła telefon do ucha.

– Słucham?

Richard pomyślał, że to na pewno pani Gray z pytaniem, gdzie jest cukier. Albo musztarda.

– O, cześć Vielle – przywitała się Kit. – Tak, jest tutaj. – Wręczyła Richardowi słuchawkę.

– Przepraszam. – Richard podszedł do kominka. – Vielle...

– Co się dzieje? Jeden ze stażystów przekazał mi jakąś niezrozumiałą wiadomość. To chyba niemożliwe, aby któremukolwiek z nich udało się kiedyś czegoś nie pokręcić...

– Nie mogę teraz rozmawiać. – Richard zasłonił słuchawkę ręką. – Zadzwoń później.

– Nie uda ci się – zaprotestowała Vielle. – Mamy tutaj prawdziwą klęskę. Mgła...

Richard wyłączył telefon.

– Do widzenia – powiedział w próżnię i oddał komórkę Kit. – Przepraszam – zwrócił się do Carla.

– Wszystko w jak najlepszym porządku – usłyszał w odpowiedzi. – Na czym stanęliśmy? Ach tak, pytali mnie państwo, co pamiętam ze swojej śpiączki. Obawiam się, że moja odpowiedź brzmi: zupełnie nic.

Cholera jasna, Vielle, pomyślał Richard. A już miał nam powiedzieć.

– Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest moja żona, prowadząca mnie do samochodu, aby odwieźć mnie do szpitala – oznajmił Carl. Jego ręce na

poręczach fotela były odprężone i spokojne. – Z trudnością zapięła mi pasy, a następne, co pamiętam, to widok nie znanej mi pielęgniarki, która rozsuwała zasłony, i państwa przyjaciółki. Rozmawiałem z nią przez kilka minut, najwyżej pięć. Spytała mnie, jak się mam, i przez chwilę gawędziliśmy, a potem wstała i oznajmiła, że musi iść. – Ponownie uśmiechnął się do Kit.

– O czym gawędziliście? – spytał Richard.

– Prawdę mówiąc, nie pamiętam. – Carl wzruszył ramionami. – Obawiam się, że sporo zapomniałem z pierwszych dni po przebudzeniu. Widzą państwo, to z powodu lekarstw. Sądzę, że one odpowiadają także za to, co mi się śniło w czasie śpiączki.

– Twierdził pan, że to nie były sny – zaprotestował Richard.

– Czyżby? – odparł spokojnie Carl. – Chodziło mi o to, że nie pamiętam swoich snów.

Richard pomyślał, że to kłamstwo.

– Oto twoja herbata. – Pani Aspinall weszła do pokoju i wręczyła mężowi kubek. – Kiedy ją wypijesz, powinieneś się położyć. Błado wyglądasz. – Przycisnęła mu rękę do czoła. – Zdaje się, że masz gorączkę. Jestem pewna, że doktor Wright i pani Gardiner zrozumieją.

– Przykro mi, że nie mogłem państwu pomóc – stwierdził Carl i odwrócił się do żony. – Masz rację, jestem zmęczony. Chyba się położę.

– Wskażę doktorowi Wrightowi i pani Gardiner drogę do wyjścia, a potem wrócę i pościelę ci łóżko.

Wstali.

– Jeśli przypomni pan sobie cokolwiek, prosimy o kontakt – odezwała się Kit.

– Nie powinni państwo na to liczyć. Doktor Cherikov twierdzi, że im więcej czasu minie, tym słabiej będę pamiętał o całym zdarzeniu.

– No i bardzo dobrze – podsumowała pani Aspinall. – Powinieneś zapomnieć o przeszłości i skoncentrować się na teraźniejszości i przyszłości. Prawda, panie Wright? Chciałabym bardzo państwu podziękować za przybycie.

Koniec rozmowy. Pani Aspinall szybko poprowadziła ich korytarzem do drzwi frontowych i pomogła im włożyć płaszcze. Wyraźnie chciała ich jak najszybciej pożegnać, aby wrócić do męża.

– To miło, że chciało się państwu pokonywać tak długą trasę. – Otworzyła drzwi.

– A może pani zechciałaby nam pomóc – zaryzykował Richard. – Pani mąż powiedział Joannie coś, co naprowadziło ją na trop jakiegoś odkrycia. To dotyczyło jego wspomnień ze śpiączki.

– Już pan słyszał, on nic nie pamięta. Jego wspomnienia dotyczące pobytu w szpitalu są bardzo mgliste...

– Ale mógł podzielić się nimi z panią – zasugerowała Kit. – Na przykład wtedy, gdy go pani ujrzała po raz pierwszy po przebudzeniu. Może coś napomknął na temat tego, co widział...

– Pani mąż powiedział, że to, co widział podczas śpiączki, nie było snem – wtrącił się Richard. – Czy powiedział pani, co to było?

Pani Aspinall spojrzała niepewnie w głąb holu.

– Bardzo prosimy – odezwała się Kit. – Pani mąż to jedyna osoba, która może nam pomóc. To ważne.

– Najważniejsza jest rekonwalescencja mojego męża – oświadczyła pani Aspinall. – Wciąż jest bardzo słaby. Jego nerwy... Nie sędzę, aby państwo rozumieli, przez co przechodził. Znalazł się o krok od śmierci. Nie zniosłabym kolejnej rozłąki. Muszę stawiać jego dobro na pierwszym miejscu...

– Mówiła pani, że Joanna była dla pani miła... – przypomniał Richard.

– To prawda. – Pani Aspinall zdjęła rękę z drzwi.

– Czy pani mąż powiedział cokolwiek na temat miejsca, w którym się znalazł? – spytał gwałtownie Richard. – Czy wspomniał główne schody?

Na końcu holu rozległo się głośne walenie laską.

– Mąż się niecierpliwi – powiedziała pani Aspinall. – Muszę go ułożyć do snu.

– Powiedział: „Ona była tam tylko przez kilka minut”, i myśl o tym, że znalazła się w tym samym miejscu wyraźnie go przerażyła. – Richard zignorował łomot. – Czy powiedział gdzie był albo dlaczego tak się bał?

– Muszę iść.

– Proszę zaczekać. – Richard sięgnął do kieszeni. – moja wizytówka z numerem pagera. Jeśli państwo sobie cokolwiek przypomną...

– Zadzwoń. Jeszcze raz dziękuję, że państwo przyjechali do nas z tak daleka -pożegnała się uprzejmie i zatrzasnęła drzwi.

Rozdział 53

„V... V...”

Ostatnia wiadomość radiotelegraficzna z *Titanica*,
z trudem odebrana na pokładzie *Virginian*

Joanna się zanurzyła.

Nagle znalazła się w wodzie i w ciemnościach. Nic nie widziała, deszcz na przedniej szybie zmienił się w strumienie wody, tak silne, że wycieraczki nie nadążały z ich usuwaniem. Przełączyła je na tryb najszybszej pracy, ale to nic nie pomogło, deszcz zmieniał się w śnieg i lód. Chciała zjechać z drogi, ale nie widziała nawet pobocza, nie czuła dna. Wyciągnęła palce u stóp, usiłując dotknąć piasku. Jej głowa znalazła się pod wodą. Coraz niżej. Wymachiwała rękoma, chciała nabrać w płuca powietrza, połykała wodę, krztusiła się. Tonęła.

„Utonięcie to najgorsza śmierć”, mówiła Vielle, ale wszystkie rodzaje śmierci są straszne. Atak serca, niewydolność nerek, ścięcie, przedawkowanie narkotyków, przecięcie aorty, zmiążdżenie przez walący się komin. Joanna spojrzała w górę, chcąc zobaczyć *Titanica*, lecz nad nią rozciągała się wyłącznie woda. I ciemności.

Wyciągnęła dłoń ku powierzchni, lecz nie mogła do niej sięgnąć. Po chwili opuściła ramiona i spadła. Jej włosy rozpostarły się wokół głowy tak samo, jak u Amelii Tanaki, leżącej na stole do badań. Martwe dłonie unosiły się bezwładnie w mrocznej wodzie.

Pomyślała, że puściła francuskiego buldoga, i wiedziała, że nie mogła go utrzymać, nie potrafiła zachować wspomnienia o nim ani o Ulli, ani o psie z Pompejów, usiłującym oswobodzić się z łańcucha, ani o pasażerze *Titanica* wypuszczającej psy z klatek, spadanie było bowiem rezygnacją, a gdy spadała, zapomniała nie tylko o psie, ale też o znaczeniu słów „pies”, „cukier”, „żal”.

Opadły z niej jak śnieg, jak popiół. Pamięć o tym, że mówiła: „Czy może pan powiedzieć coś konkretniejszego”, o zjadaniu prażonej kukurydzy z masłem, o zatrzymaniu się w łączniku na drugim piętrze, wpatrywaniu się w mgłę, zajęciu miejsca na brzegu łóżka pani Woollam, słuchaniu, jak odczytuje fragmenty Biblii. „Gdy pójdziesz przez wody, Ja będę z tobą, i gdy przez rzeki, nie zatopią ciebie”, oraz „Rosabelle, uwierz” i „Połóż ręce na moich ramionach i nie broń się”.

Nazwiska opadały z niej bezładnie, nazwiska pacjentów, najlepszych przyjaciół z trzeciej klasy, gwiazdy filmowej, którą przypominał policjant Vielle. Nie pamiętała nawet nazwy stolicy stanu Wyoming ani nazw neuromediatorów, dni tygodnia i zasadniczych elementów wszystkich doświadczeń granicznych.

Pomyślała o tunelach. Chciała je sobie przypomnieć, a wraz z nimi światło i ten, o którym pan... jak mu tam? – zapomniała – tak często wspominał. Retrospekcja życia. „Powinna być retrospekcja życia”, oświadczył, ale się mylił. To nie retrospekcja, tylko pozbywanie się balastu wydarzeń i wiedzy, wyrzucanie ich po kolei za burtę: liczby, daty, fakty, smak ziemniaka Torros, zapach kredek, ceglasty i złoty, i morska zieleń, numer szyfru jej szafki w szkole średniej, i hasło w wypożyczalni kaset wideo, oraz najkrótsza droga z interny na OIOM.

Alarmy reanimacyjne, ogrody zwycięstwa, zeszkrobywanie śniegu z przedniej szyby i jakiś pożar, nie kontrolowany, z kłębami ciemnego, ostrego dymu. I zapach świeżej farby, głos Amelii Tanaki, mówiącej: „Byłam w tunelu”. Tunel. Joanna spojrzała w dół na wodę, w której się zanurzała, na ogarniające ją ciemności.

Na końcu tego tunelu nie świeciło jednak światło, nie pojawiły się anioły ani bliscy, a nawet jeśli tam byli, zapomniałyby o nich, o ojcach, babkach i Candy Simons. Zostawiłyby za sobą, w wodzie, pamięć o nich wszystkich, o krewnych i przyjaciółach, żyjących i zmarłych. Guadalupe, Coleridge i Julia Roberts. Ricky Inman, pani Haighton i Lavoisier.

Spadała już bardzo długo. Pomyślała, że to nie może trwać wiecznie. *Titanic* tonął tylko przez jakiś czas. W końcu dotarł na dno morza i zagłębił się w miękkim mule, otoczony nocnikami, świecznikami i butami.

Joanna zastanawiała się, czy i ją otoczą buty. Ujrzała je w ciemności: czerwona tenisówka, blokująca drzwi, wielkie buciory Emmetta Kelly’ego, mały bucik z gry Monopoly, porzucone buty marynarzy, ułożone na pokładzie *Yorktown*. Życie tego okrętu również dobiegło końca, podobnie

jak *Lusitanii* i *Hindenburga*, oraz Jaya Yatesa, Lorraine Allison i Małej Panienki 1565. Wszystko odeszło w niepamięć, nawet ich nazwiska. Niech odpoczywają w pokoju.

Jak się mówi po łacinie: „Niech odpoczywa w pokoju”? Pomyślała, że „*Eli, Eli, lema sabachthani?*”, ale się myliła. To łacińskie zdanie oznacza co innego. Zapomniała, jak jest po łacinie „Niech odpoczywa w pokoju” i nie pamiętała słów *Blizej Ciebie, Panie*, a także *Rozbicia się okrętu Hesperus* i *Dźwięków muzyki*.

Wszystko, czego się nauczyła na pamięć, znikło, wers po wersie, urwało się niczym wadliwa taśma z wypożyczalni Blockbuster. „Assyrczyk na Judeę jako wilk się miota” oraz „Ratuj się kto może”. „Houston, mamy problem” oraz „Ach, ty tego nie pamiętasz, dawno temu było dwoje małych dzieci, których imion nie znam”.

Słowa odpływały z wodą, zabierając ze sobą wspomnienia przewodów elektrod, węzłów kamizelek ratunkowych i żółtej łąsmy „Nie wchodzić”. A także wyszywane na żółto tkaniny, żółte tenisówki, takie same jak te, które Whoopi Goldberg nosiła w *Jumpin' Jack Flash*, Jaś z bajki o *Jasiu i łodydze fasoli*, Jack Phillips.

I to było ważne. Z Jackiem Phillipsem wiązało się coś istotnego. Może chodziło o jego fartuch laboratoryjny albo o koc. Albo wyłączający się grzejnik. Pomyślała, że receptory, neuromediatory i neurony się wyłączają, i to jest tylko symbol, coś... Zapomniała słowa „metafora”. Symbol katastrofy. I śmierci.

Zapomniała, jak smakują cheetos, jakiego koloru jest krew i co oznacza liczba pięćdziesiąt osiem. Zapomniała o Szpitalu Miłosierdzia i miłosierdziu Bożym, sterowcach i pocałunkach, o rozmiarze swojej sukienki, swoim pierwszym mieszkaniu, gdzie zostawiła kluczyki do samochodu, jaka jest odpowiedź na pytanie piętnaste w egzaminie końcowym u pana Briarleya, jaki dźwięk rozlega się w tunelu i co oznacza formularz 1040.

Podatki. Nie złożyłam formularza 1040. Trzeba się rozliczyć do piętnastego kwietnia. Przypomniała sobie, że *Titanic* zatonął czternastego kwietnia w nocy. Wszyscy ci ludzie nie złożyli zeznań podatkowych. Nie, nieprawda. Wtedy nie istniał jeszcze podatek dochodowy. Dlatego byli tacy bogaci. Ale istniały inne rzeczy, których nie zrobili, a które zamierzali zrobić: spotkać się z przyjaciółmi w porcie w Nowym Jorku, wysłać

telegram, zawiadamiający o ich szczęśliwym przybyciu, pobrać się, mieć dzieci, zdobyć Nagrodę Nobla.

Joanna uświadomiła sobie, że nie nauczyła się grać na fortepianie. Nie powiedziała też panu Wojakowskiemu, że nie mógł uczestniczyć w badaniach jako ochotnik, więc teraz będzie zawracał głowę Richardowi. Nie spisała relacji pana Sage'a.

Pomyślała, że to bez znaczenia. Ale nie zapłaciła rachunku za gaz. Zapomniała podlać szwedzki bluszcz. Nie odebrała książki od Kit. Obiecała, że odbierze. Obiecała, że wpadnie do Maisie.

Maisie!, pomyślała z przerażeniem. Nie powiedziałam Richardowi. Muszę mu powiedzieć, ale nie pamiętam co. Coś, co ma związek z *Titanikiem*. Nie, nie z *Titanikiem*. Pan Briarley się mylił, nie chodziło o *Titanica*. Chodziło o Indian. I o Rio Grande. I psa. Coś z psem.

Nie, to też nieprawda. Mgła. Przypomniała sobie, jak stała w łączniku i wpatrywała się w mgłę. Była zimna jak śmierć i rozlana jak woda. Wymazała wszystko, pamięć, obowiązki, chęci. Joanna pomyślała, że nie szkodzi. Zapatrzyła się w nicość. Nieważne. Nie szkodzi.

Sprawozdania o postępach, dostarczanie poczty i żal. Nieistotne. Nie, nie jest istotne. Nie ma po co udowadniać, że to *Titanic*, nie trzeba mieć przepustki, nie ma potrzeby unikać pana Mandrake'a. To wszystko nie ma znaczenia. Nieważny jest pan Wojakowski, nieważne, że pani Haighton nigdy nie oddzwania, nieważna jest Maisie.

Kłamstwo, pomyślał. Maisie jest ważna. Muszę znaleźć Richarda i mu powiedzieć. „Richard, słuchaj”, krzyknęła, lecz jej usta, gardło, płuca wypełniała woda.

Zacząła chaotycznie kopać nogami, sięgać w górę dłońmi, rękoma. Muszę mu powiedzieć, myślała, łapiąc się wody jak relingu, usiłując wspiąć się po niej jak po linie. Mam do przekazania wiadomość. Dla Maisie.

Chciała się odbić do góry, kopała, machała rękoma, pragnęła wydostać się na powierzchnię.

I wciąż opadała.

Rozdział 54

„Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”

Ostatnie słowa Jezusa na krzyżu

– O rany, zupełnie jak Ismay – skomentowała Maisie, gdy usłyszała, co się stało u Carla. – Obrzydliwe!

Richard myślał o czymś innym. Zastanawiał się, czy dłonie Ismaya, wdrapującego się do łodzi ratunkowej, były tak samo blade i zaciśnięte jak Carla Aspinalla, a jego twarz tak samo zmieszana.

– I co teraz? – spytała Vielle. Zadzwoiła do nich, kiedy wracali, i zażądała wyjaśnień na temat tego, czego się dowiedzieli. Richard, chcąc uniknąć dwukrotnej relacji, powiedział jej, aby przyszła do Maisie.

– Możemy porozmawiać z technikiem, który widział Carla i Joannę – zasugerował Richard. – Istnieje szansa, że słyszał, o czym mówili.

– Nie słyszał – oświadczyła Maisie. – Już go pytałam. Stwierdził, że zamilkli, gdy wszedł do pokoju.

– Może coś mu się obilo o uszy, kiedy otwierał drzwi – nie ustępował Richard. – Albo kiedy wychodził. Albo widział, że ktoś inny wchodził po nim. Skoro technik z laboratorium przyszedł pobrać krew, inne osoby mogły wpaść, aby przeprowadzić jakieś badania. – W jego głosie zabrzmiała pewność siebie, chociaż wcale jej nie czuł. – Albo pielęgniarki. Którą z nich wymieniła pani Aspinall?

– Guadalupe – przypomniała Kit.

– Porozmawiam z nią i z resztą personelu na czwartym piętrze we wschodnim skrzydle. Vielle, nie przestawaj szukać ludzi, którzy mogli widzieć Joannę gdzieś na korytarzu. Nie ograniczaj się wyłącznie do personelu medycznego. Spróbuj też wypytać ochotników i pomoce kuchenne.

– To ja miałam się tym zająć! – zbulwersowała się Maisie.

– Twoje zajęcie polega na wypoczywaniu i nabieraniu sił przed przyjęciem nowego serca – wyjaśnił Richard.

Maisie rzuciła się na poduszki.

– To nie fair! Przecież to ja się dowiedziałam o panu Aspinallu. Zresztą, jeśli nie będę miała co robić ani o czym myśleć, zacznę się przejmować nowym sercem, tym, jak bardzo będzie bolała operacja, umieraniem i w ogóle, a wtedy mogę stracić przytomność.

Richard musiał przyznać, że Maisie świetnie potrafi manipulować ludźmi.

– Dobrze – odparł sztywno. – Pomożesz Vielle.

Dziewczynka zareagowała natychmiast.

– Mam jeszcze jeden pomysł. Trzeba zapytać malarzy. Założę się, że widują mnóstwo ludzi. I jeszcze panią od terapii oddechowej. Mam panią zawiadomić przez pager, kiedy przyjdą mi do głowy inne osoby?

– Nie wolno ci bez przerwy wydzwaniać do Vielle – przerwał Richard. – Pracuje na oddziale nagłych wypadków i ma ręce pełne roboty. Przyjdzie do ciebie, kiedy znajdzie czas, a wtedy pamiętaj, że nie wolno ci jej zatrzymywać pod różnymi pretekstami. – Odwrócił się do Vielle. – Jeśli Maisie się czegoś dowie, nie wysłuchuj całej historii, jak do tego doszła. Pamiętaj, że ona świetnie wie, że musisz wracać na oddział.

– Ale... – zaprotestowała Maisie.

– Obiecay – przykazał Richard. – Przysięgnij.

– No dobrze... – zgodziła się niechętnie i uśmiechnęła do Vielle. – Porozmawiam z panią, która opróżnia kosze na śmieci, i panem obsługującym ten wielki odkurzacz. I jeszcze z innymi – dodała pośpiesznie.

– I wypijesz preparat wzmacniający – uzupełnił Richard.

– A jeśli nikt inny nie był w tym czasie w pokoju i ich nie słyszał? – zaniepokoiła się Maisie.

– Może pani Aspinall zmieni zdanie – podsunęła Kit.

– No właśnie – zgodził się Richard, choć ani przez chwilę w to nie wierzył. Pani Aspinall troszczyła się wyłącznie o męża, a on myślał tylko o tym, aby jak najdłużej żyć. Nic nie mogłoby go skłonić do powrotu tam, gdzie przebywał, nawet szansa ocalenia Joanny.

– A jeśli ona nie zmieni zdania? – upierała się Maisie.

– Wówczas musimy mieć nadzieję, że technik laboratoryjny coś wie – stwierdził Richard. – Maisie, wiesz, jak on się nazywa?

– Tak – potwierdziła. – Przeczytałam jego nazwisko na identyfikatorze, kiedy się nachylił, żeby wbić igłę w mój przewód kroplówki i...

– Maisie. – Richard przerwał surowym głosem. – Nic wolno ci przedłużać opowieści. Obiecałaś.

– Obiecałam Vielle – sprzeciwiła się, a widząc jego groźne spojrzenie, dodała: – No dobrze. Rudy Wenck. Ale jeśli on nic nie wie?

– Wówczas poszukamy kogoś lepiej poinformowanego – odparł.

– A jeśli nie ma nikogo takiego? – upierała się. – Przecież to możliwe, że nikt nie słyszał, aby rozmawiali.

Nie mam pojęcia, pomyślał. Nie mam pojęcia.

– Później będziemy się tym martwić – stwierdził optymistycznie i doszedł do wniosku, że mówi jak matka Maisie.

O wilku mowa. Pani Nellis stanęła w drzwiach, trzymając w rękach żółtą pluszową kaczkę oraz owiniętą wstążką kasetę wideo. Nowo przybyła obdarzyła wszystkich promiennym uśmiechem.

– Doktor Wright! – wykrzyknęła radośnie. – I pani Gardiner. Cieszę się, że państwa tu widzę. – Uśmiechnęła się do Vielle. – Nie sądzę, abyśmy się kiedykolwiek spotkały.

– To jest siostra Howard – wyjaśnił Richard.

– Pracuje na oddziale nagłych wypadków – uzupełniła Maisie.

– Właśnie wychodziłyśmy – oświadczyły zgodnie Kit i Vielle i ruszyły do drzwi.

– Och, ale pan nie może jeszcze wychodzić, panie doktorze – sprzeciwiła się pani Nellis.

No tak, teraz Richard wiedział, po kim Maisie odziedziczyła zdolność zatrzymywania ludzi przy sobie. Ruchem głowy dał znać Kit i Vielle, aby szły dalej, a sam oznajmił:

– Niestety, śpieszę się na spotkanie.

– To potrwa tylko chwilę. – Pani Nellis położyła prezent i kaczkę w nogach łóżka, a następnie sięgnęła do torebki. – Przyniosłam formularze dopuszczenia do udziału w projekcie badawczym oraz zezwolenie na skierowanie do badań osoby niepełnoletniej. Wszystko podpisane notarialnie. – Wyciągnęła brązową kopertę i wręczyła ją Richardowi. – Mój prawnik pracuje nad sporządzeniem formalnego sprzeciwu przed reanimacją i podejmowaniem prób niesienia ratunku w wypadku nieuleczalnej choroby. Rozmawiał już z panem?

– Tak – potwierdził Richard. – Naprawdę pora już na mnie.

– Mogę otworzyć swój prezent? – wykrzyknęła Maisie, a pani Nellis zdekoncentrowała się na chwilę, sięgając po kasetę.

Brawo, pomyślał Richard i skierował się do drzwi. Pani Nellis okazała się jednak szybsza. Zatrzymała go tuż za progiem.

– Chciałam pana spytać o siostrę Howard – oświadczyła pośpiesznie. – Zgodnie z pana słowami, pracuje na oddziale nagłych wypadków. Zakładam, że jest specjalistką w sprawie procedur związanych z reanimacją. Czy ona współpracuje z panem w ramach projektu? Czy to oznacza, że nastąpił już przełom?

– Nie – zaprzeczył Richard.

– Ale jest już coraz bliżej, zgadza się?

– Mamusiu, chodź do mnie! – wrzasnęła Maisie. – Nie mogę otworzyć kasety!

Pani Nellis zajrzała do pokoju, a potem ponownie spojrzała na Richarda, nie wiedząc, co robić.

– Mamusiu! Chcę ją zaraz obejrzeć!

– Proszę mi wybaczyć – zniecierpliwiła się pani Nellis i cofnęła do pokoju. Richard nie wahał się ani przez chwilę. Popędził korytarzem prosto przed siebie. Za plecami usłyszał jeszcze głos pani Nellis, pytającej: „Podoba ci się nowa taśma, kochanie?” i Maisie: „Jest wspaniała! *Heidi* to mój ulubiony film!”

Kit i Vielle czekały na niego przed wejściem na oddział intensywnej opieki kardiologicznej.

– Bałyśmy się, że trzeba będzie wysłać ci pomoc w postaci pułku ułanów – przywitała go Kit.

– Maisie ocaliła mi skórę. I wykazała się przy tym wielkim poświęceniem.

– Więc jaki mamy plan? – spytała Vielle.

– Kit, chciałbym, żebyś jeszcze raz przyjrzała się temu, co powiedział Carl Aspinall. Sprawdź, czy jest tam mowa o mieczu albo... – Zastanowił się nad tym, jakim jeszcze przedmiotem można kogoś dźgnąć – ...nożyku do otwierania listów albo czymś podobnym. A potem zobacz, czy w książkach o *Titanicu* nie ma mowy o jakimś przypadku zasztyletowania. Vielle, postaraj się ustalić, kto jeszcze był tamtego dnia na trzecim pięttrze wschodniego skrzydła. Ja porozmawiam z Rudym Wenckiem.

– Wydawało mi się, że Maisie już z nim mówiła i okazało się, że niczego nie pamiętał – zauważyła Vielle.

– To prawda, ale nauczyłem się od Joanny, że ludzie pamiętają więcej, niż im się wydaje. A on na pewno coś widział lub słyszał.

Rudy Wenck nic nie potrafił sobie przypomnieć, nawet kiedy Richard przycisnął go do muru.

– Bał się, że będę mu pobierał krew, tyle pamiętam. Zachowywał się tak, jakbym chciał go zabić. Wydawał się jakiś nie z tego świata.

– Mógłby pan to przybliżyć?

– No, był taki jakiś nieswój, przestraszony.

– Mówił coś?

– Nie.

– A doktor Lander? Powiedziała coś?

– Tak, spytała, czy ma się przesunąć, a ja odparłem, że nie, bo mogę to zrobić z tej strony.

– Mówiła jeszcze coś?

– Do mnie?

– Albo do pana Aspinalla, cokolwiek.

Wzruszył ramionami.

– Możliwe. Nie słuchałem.

– Gdyby pan postarał się sobie przypomnieć – naciskał Richard. – To bardzo ważne.

Pokręcił głową.

– Kiedy gdzieś jestem, ludzie ciągle rozmawiają. Nauczyłem się nie słuchać.

Guadalupe okazała się jeszcze mniej pomocna.

– Nie miałam pojęcia, że pani Joanna poszła się z nim zobaczyć.

– Ale tamtego dnia widziała ją pani tu, na piętrze?

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Przesłałam jej wiadomość na pager, bo nie mogliśmy znaleźć żony pana Aspinalla, i pomyślałam, że pani Joanna może wiedzieć, gdzie jej szukać. Nie wiedziała, ale przyszła tutaj i rozmawialiśmy przez minutę czy dwie. Pytała, jak się czuje pan Aspinall, i zasugerowała kilka miejsc, w których mogłaby przebywać jego żona. Potem wydawało mi się, że sobie poszła.

– Ale nie widziała pani, jak wychodziła?

– Nie. Działy się wtedy jakieś dziwne rzeczy. Nie spodziewaliśmy się, że Carl... pan Aspinall odzyska przytomność. Od kilku dni jego stan systematycznie się pogarszał, a potem chory nagle się ocknął i zaczęliśmy

biegać po szpitalu w poszukiwaniu jego żony i lekarza. Bardzo możliwe, że pani Joanna tu była. Dlaczego to ważne?

Richard wyjaśnił.

– Czy pan Aspinall mówił pani cokolwiek na temat swoich doświadczeń ze śpiączki?

– Nie. Spytałam go, bo strasznie młócił rękoma...

Tonął, pomyślał Richard. Wydawało mu się, że tonie.

– ...i krzyczał. Zazwyczaj zdarzało się to wtedy, gdy musieliśmy coś zrobić, na przykład zmienić mu kroplówkę. Zastanawiałam się, czy on wie, co się wokół niego dzieje, ale odparł, że nie, tam nie było nikogo innego, był zupełnie sam.

– Powiedział „tam nie było”?

Pokręciła głową.

– Denerwował się na samą wzmiankę o śpiączce. Pytałam, czy miał złe sny – wielu pacjentów po śpiączce pamięta sny – ale odparł, że nie.

Richard pomyślał, że to dlatego, iż wcale nie chodzi o sen.

– Próbował pan z nim rozmawiać? – zainteresowała się Guadalupe.

– Twierdzi, że nic nie pamięta.

Pokiwała głową.

– Przyjmował dużo leków, które mogą nieźle namieszać w pamięci. Poza tym śpiączka to dziwny stan. Niektórzy pacjenci pamiętają głosy, bywają świadomi, że ktoś ich porusza lub poddaje intubacji, a inni nic sobie nie przypominają.

A jeszcze inni pamiętają, ale nie chcą o tym mówić, dodał w myślach Richard, przeglądając sporządzoną przez Vielle listę osób przebywających tamtego dnia na trzecim piętrze wschodniego skrzydła. Żadna z nich nic nie wiedziała.

– Pracowałam wtedy po drugiej stronie korytarza – oświadczyła Linda Hermosa. – Z powodu grypy kręciło się tu wiele pielęgniarek na zastępstwie.

– Na zastępstwie? – zdziwił się Richard. – Pamięta je pani?

Nie pamiętała, podobnie jak asystentki, które wypytywał. Jedna z nich powiedziała jednak:

– Przypominam sobie, że jedna z nich była naprawdę stara i musiała pracować na czwartym piętrze we wschodnim skrzydle, bo wciąż na mnie wrzeszczała i powtarzała: „Nie tak to robimy na czwartym”. Nie sądzę jednak, aby pracowała w tej części oddziału.

Richard poszedł na czwarte piętro i przedstawił pielęgniarce dyżurnej przybliżony obraz poszukiwanej osoby.

– Ach, pani Hobbs – potwierdziła pielęgniarka. – Zgadza się, jest licencjonowaną pielęgniarką na emeryturze, która czasami przychodzi na zastępstwa, kiedy nie udaje się znaleźć nikogo innego.

Dyżurna pielęgniarka nie znała jej numeru telefonu.

– Kadry się tym zajmują.

Richard podziękował i poszedł na dół, do działu kadr. A jeśli pani Hobbs, która jak dotąd nie prezentowała się zachęcająco, także nie była w pokoju Carla? A jeśli, jak powiedziała Maisie, nikt nie słyszał ich rozmowy? Istniało spore prawdopodobieństwo, że Joanna wykorzystwała panujący chaos do odbycia rozmowy z Carlem, zanim jego wspomnienia zanikną, a potem sobie poszła i nikogo o tym nie poinformowała. Co wtedy?

Richard pomyślał, że ktoś musi coś wiedzieć, i przeszedł łącznikiem do zachodniego skrzydła, aby minąć hol i zatrzymać się przy windach. Środkowa szczęknęła i wysiadł z niej mężczyzna z palmtopem w ręku.

Cholera, prawnik matki Maisie. Tylko tego brakowało. Richard gwałtownie się odwrócił i ruszył holem, żałując, że nie dokończył planu tej części szpitala. Wiedziałyby przynajmniej, gdzie są klatki schodowe.

Na końcu holu znajdowały się jakieś schody. Wbiegł na nie i popędził na dół. Schody kończyły się na drugim piętrze, ale Richard wiedział, że na tym samym poziomie można się przesiąść do windy. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

– Ubiegłej nocy miałam jeszcze jedną wizję – rozległ się kobiecy głos, dobiegający z korytarza za rogiem. – Tym razem ujrzałam mojego wujka Alvina, stojącego u nóg mojego łóżka. Wyglądał równie realistycznie jak ja albo pan.

Psiakrew, Richard uświadomił sobie, że istnieją jeszcze mniej pożądanymi rozmówcy niż prawnik pani Nellis. Tym razem natknął się na panią Davenport idącą z naprzeciwka. Richard spojrzął na windy, oceniając dystans, jaki musi jeszcze pokonać, a potem na numery pięter nad rozsuwanymi drzwiami. Obydwie kabiny zatrzymały się na siódmym piętrze. Cholera. Odwrócił się i skierował do pokoju pielęgniarzek.

– Miał na sobie biały marynarski mundur i promieniowało od niego światło – kontynuowała pani Davenport. – I wie pan, co powiedział, panie Mandrake?

I dodatku w towarzystwie Mandrake'a. Cholera jasna, psiakrew. Richard rozejrzał się z rozpaczą, szukając drogi ucieczki, klatki schodowej, kanału na rzeczy do prania, czegokolwiek. Nawet schowka na pościel. W pobliżu znajdowały się jednak wyłącznie pokoje pacjentów.

– Oznajmił: „Przybywam do domu” – oświadczyła pani Davenport, coraz bardziej się zbliżając. – Nic innego, tylko: „Przybywam do domu”. Jak pan myśli, co to może oznaczać?

– Przekazywał pani wiadomość z Tamtej Strony. To była informacja, że zmarli nie odeszli – wyjaśnił pan Mandrake. – Są z nami, pomagają nam, chronią nas, rozmawiają z nami. Musimy tylko słuchać...

Znaleźli się na rogu. Richard wskoczył w nie oznaczone drzwi. Klatka schodowa. Nie wszystko stracone. Skręcając na półpiętrze, pomyślał, że byłoby wspaniale, gdyby schody prowadziły prosto do piwnicy, aby mógł...

Zatrzymał się. Dwa stopnie poniżej półpiętra wisiała żółta taśma z napisem „Nie wchodzić”. Za nią świeżo pomalowane schody błyszcząły błękitem. Poprawka: nie mogły być świeżo pomalowane. Pokryto je farbą przeszło dwa miesiące wcześniej.

Zastanawiał się, co się stało. Czyżby malarze zapomnieli o tej klatce schodowej? Może nie mogli jej odnaleźć w labiryncie szpitalnych łączników, korytarzy i ślepych zaułków? Może technicy i pielęgniarki, widząc taśmę, uznawali, że droga wciąż jest niedostępna, więc wyszukali nowe skróty?

Musiało tak być, pomalowane stopnie za taśmą błyszcząły bowiem świeżością, bez jednego odcisku buta, a w całej klatce schodowej wciąż czuć było zapach farby. Nie uległo wątpliwości, że nikt tutaj nie zawitał od czasu, gdy Richard i Joanna ukrywali się przed Mandrakiem, siedząc na schodach, zjadając batonik i skarżąc się na wiecznie nieczynny bufet. Richard przypomniał sobie, jak usiłował przekonać Joannę do nawiązania z nim współpracy, a gdy spytała, czy to niebezpieczne, odparł, że nie istnieje żadne zagrożenie...

Nagle nogi się pod nim ugięły. Złapał się zaokrąglonej stalowej poręczy i usiadł na trzecim stopniu nad podestem, na którym siedzieli razem, gdzie częstował Joannę jabłkiem i cappuccino w butelce.

– Zmarli nie odchodzą – stwierdził kiedyś pan Mandrake, a gdyby to było prawdą, Joanna pojawiłaby się właśnie tutaj, w pachnącym chemikaliami powietrzu klatki schodowej, gdzie nikt nie zawitał od dwóch miesięcy, gdzie nic nie zakłócało echa jej głosu. Niespodziewanie

pożałował, że pan Mandrake się myli, a Joanna nie może się przed nim pojawić, stanąć na jasnynie schodach, promieniując światłem, i stwierdzić: „Przepraszam, że nie mogłam ci powiedzieć, co odkryłam. Zachowałam się równie niewłaściwie, jak ci wszyscy ludzie z filmów. Skąd mogłeś wiedzieć, co oznacza SOS? Dziwne, że nie poprosiłeś mnie o wyjaśnienie”. Niemal ją ujrzał, jak poprawia okulary na nosie i się śmieje.

Niemal.

Właśnie dlatego ludzie wierzyli w anioły i kupowali książki takich oszustów, jak Mandrake, windując je na listach bestsellerów. Pragnęli wierzyć. Rzecz w tym, że nikt nie potrafił przywrócić zmarłym życia. Ludzi nie prześladowało wrażenie obecności zmarłych, nie dlatego wyobrażali ich sobie w swoich doświadczeniach granicznych. Przeciwnie, przyczyną był brak poczucia bliskości zmarłych w miejscach, gdzie się powinni znajdować.

Joanny nie było obok Richarda, nawet tutaj, gdzie opierali się o ścianę, stali tak blisko siebie, że pod wyciągniętą ręką wyczuwał bicie jej serca. Teraz nie było tu już niczego, nawet kurzu. Ona nie żyje, pomyślał i poczuł się tak, jakby musiał na nowo oswoić się z tym faktem.

Jakoś udało mu się pogodzić z jej tragiczną śmiercią, kiedy biegał po całym szpitalu, sporządzał plany, opracowywał skany, wypytywał asystentki. Zastanowił się, czy właśnie o to chodzi, czy ich obsesja na punkcie ostatnich słów Joanny to jedna z form oswojenia się z jej zgonem, ich osobiste seminarium na temat strategii radzenia sobie z żałobą.

Gdyby udało im się odszyfrować ostatnie słowa Joanny, przynajmniej częściowo odzyskaliby równowagę po tym, jak jej nie uratowali. W rezultacie cała historia zakończyłaby się inaczej. Tylko czym różniłaby się od tego, co usiłował zrobić pan Mandrake?

Richard nagle zadał sobie pytanie, czy zachowywałby się tak samo, gdyby Joanna wymamrotała kilka pojedynczych, nic nie znaczących słów, a wtedy on, Kit i Vielle utworzyliby na ich podstawie nie istniejącą wiadomość. W ten sposób zajęliby się czymś innym niż żałoba i rozpacz: nie rozumieliby, że słowa Joanny nic nie oznaczały.

Nie.

– Chciałaś mi coś powiedzieć – zwrócił się do Joanny, chociaż jej przy nim nie było. – Wiem, że tak.

Nie udało się jej. Mechanizm się wyłączył, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić. Pomyślał o komunikacie, który pozostawiła na jego

automatycznej sekretarce. „A...”, stwierdziła, a on odtworzył go wielokrotnie, usiłując zrozumieć, co chciała powiedzieć. Bez powodzenia. Istniało wiele możliwości i zbyt mało informacji. Tak jak w tej chwili, przyszło mu do głowy. Wbrew temu, co powiedział Kit, nigdy się nie dowiedzą.

Bohaterowie filmowi zawsze się dowiadywali, kim jest morderca, chociaż ofiara umierała, nie zdążywszy im o niczym powiedzieć. W filmach zawsze udawało się rozszyfrować wiadomości, rozwikłać tajemnicę, ocalić dziewczynę. W filmach.

I może po Tamtej Stronie. Ale nie po tej. Po tej stronie nigdy nie wyszło na jaw, co wywołało pożar cyrku w Hartford ani czy na *Hindenburgu* ktoś podłożył bombę. Po tej stronie lekarz nie potrafił zatamować krwotoku, pomoc nie przyszła na czas, wiadomość była zbyt zniszczona i poplamiona, aby ją odczytać.

„Jeśli ktokolwiek potrafiłby przekazać wiadomość z tamtego świata, to tylko Houdini”, stwierdziła Joanna, kiedy poszli do Taco Pierre’s. Nieprawda. Gdyby ktokolwiek potrafił przesłać wiadomość z Tamtej Strony, to tylko Joanna. Próbowwała to zrobić, krztusząc się krwią, kiedy powinna stracić przytomność. Gdyby mogła wrócić stamtąd, gdzie się znalazła – z grobu, z tonącego *Titanica* albo z Tamtej Strony – aby przekazać mu wiadomość, na pewno by to uczyniła.

Tak się jednak nie stało. Dlatego, że nigdzie się nie znalazła. Odeszła. Richard ukrył twarz w dłoniach.

Siedział tak bardzo długo. Jego pager zadzwonił tylko raz, zakłócając ciszę. Richard natychmiast wyciągnął urządzenie z kieszeni, modląc się, aby to była pani Aspinall z wiadomością, że Carl zmienił zdanie. Okazało się jednak, że Vielle chciała się z nim skontaktować, gdyż znalazła jeszcze jedną pielęgniarkę, skierowaną tam tego dnia na to samo piętro na zastępstwo. Poza tym zlokalizowała taksówkę, którą Joanna pojechała do Yellow and Shamrock.

To nie w porządku. Vielle robiła, co mogła. Wszyscy robili, co mogli. Po prostu brakowało zbyt wielu elementów układanki. Odpowiedź kryła się gdzieś w relacjach albo w książkach o *Titanicu*, albo w skanach, albo w angielskiej literaturze, lecz Joanna nie zdołała wyjaśnić gdzie, a pan Briarley, jeśli kiedykolwiek to wiedział, nie pamiętał. Z kolei Carl odmawiał wyjaśnień.

A on, Richard, nie potrafił sam rozwikłać tego problemu. Nadszedł czas, aby to wreszcie głośno powiedzieć. Czas, aby stawić czoło rzeczywistości, zebrać się w sobie i przyznać do porażki.

Joanna na pewno by zrozumiała. Widziała, jak zespół reanimacyjny przeprowadza resuscytację krążeniowo-oddechową, wstrzykuje noradrenalinę, podaje roztwór soli, reanimuje elektrodami, po kolei. A ona przebywała na *Titanicu*, gdzie wszyscy starali się na próżno. Obserwator nie dostrzegł góry lodowej na czas, *Californian* nie usłyszał SOS, nie dostrzegł błysków lampy sygnalizacyjnej, nie zrozumiał znaczenia rakiet. Technik mechanik Harvey i mężczyzna, którego chciał uratować, zginęli.

Z tragedii *Titanica* wynikało tyle, że wszelkie próby zawiodły, pomoc przybyła zbyt późno, wiadomości nie dotarły w odpowiednie miejsca. Richard nie zdążył jeszcze sformułować tej myśli, gdy wiedział już, że jest w błędzie.

To, co się wydarzyło na *Titanicu*, dowodziło, że ludzie powinni się starać nawet wtedy, gdy zdają sobie sprawę z jałowości swoich prób – powinni wystukiwać SOS, wodować składane łodzie ratunkowe, schodzić pod pokład i ratować pocztę, otwierać klatki z psami – wszystko po to, aby kogoś lub coś ratować, choćby za cenę własnej śmierci.

Richard pomyślał, że nie wolno się poddawać. Jack Phillips tego nie zrobił. Joanna też nie.

– Dobrze – oświadczył. Chociaż tego nie wiedział, zabrzmiał tak samo, jak głos Joanny na taśmie automatycznej sekretarki.

Wstał. Dobrze. W dziale kadr zdobędzie numer pani Hobbs. Dowiem się, kto jeszcze tamtego dnia leżał na czwartym piętrze wschodniego skrzydła. Porozmawiam z Vielle i z Bobem Yanceyem. Jeszcze raz spróbuję.

Ponownie włączył pager i poszedł po schodach na górę, położył rękę na drzwiach, aby je otworzyć, a potem zbiegł na półpiętro. Zerwał żółtą taśmę i oderwał jej końce z poręczy.

Zaniósł ją na górę do pokoju pielęgniarek. Jedna z nich rozmawiała przez telefon, odwrócona plecami do wejścia.

– Klatka schodowa na pierwszym piętrze jest otwarta. Farba wyschła – oznajmił i położył na biurku zwój taśmy. – Czy Maurice Mandrake wciąż rozmawia z panią Davenport?

– Chwileczkę – powiedziała do słuchawki pielęgniarzka, następnie spojrzała kątem oka na Richarda i skinęła głową.

– Dzięki – odparł i poszedł w stronę windy.

– Nie, zaraz, panie doktorze – zawołała pielęgniarka, zasłaniając ręką mikrofon. – Nie wiedziałam, że to pan... – Wrócił do pokoju pielęgniarek.
– Szukał pana ktoś z nagłych wypadków. Nie miałam pojęcia, że jest pan na tym piętrze, bo wyszłabym pana szukać. To było jakieś dwie minuty temu...

– Chodzi o Vielle Howard? – przerwał.

– Tak mi się wydaje. Pytałam inne pielęgniarki, ale nie sądziły, aby mógł pan...

– Powiedziała, że mam do niej zadzwonić czy przyjść na oddział?

– Oznajmiła, że ktoś czeka na pana w pańskim laboratorium.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Mężczyzna – odparła pielęgniarka.

Richard pomyślał, że to Carl Aspinall, i popędził do windy. Na pewno zmienił zdanie. Pewnie przemyślał to, co powiedziała Kit.

Kiedy jednak dotarł na piąte piętro, przed drzwiami do laboratorium nie zastał Carla.

Czekał tam pan Pearsall.

Rozdział 55

„Jeszcze chwila i was opuszczę, dokąd – nie wiem. Znikąd przybywamy, donikąd zmierzamy. Czym jest życie? Rozbłyskiem robaczka świętojańskiego w nocy”.

Ostatnie słowa Crowfoota,
wodza Indian z plemienia Czarnych Stóp

Pojawiły się robaczki świętojańskie. Zapalały się i gasły w otaczających ją ciemnościach. Joanna pomyślała, że jest w Kansas. To musi być element retrospekcji życia. Na pewno zbliża się do jej końca, skoro przypomina sobie dzieciństwo, odwiedziny u krewnych w Kansas, biegi w ciemnościach z kuzynami, ze słoikiem na świetliki w jednej ręce i mosiężną zakrętką w drugiej, przygotowaną do zamknięcia słoika, gdy wpadnie do niego owad. Mokra trawa ocierająca się o kostki, intensywna, słodkawa woń peonii, unosząca się w wieczornym powietrzu.

Tylko że to nie był wieczór, ale noc. Bez względu na to, jak późno mogli kłaść się spać, nigdy nie zapadały równie nieprzeniknione ciemności. Niebo zawsze rozświetlała niebieskawofioletowa poświata i nawet kiedy rozbłysły gwiazdy, wciąż widoczne były sylwetki domów i uginających się topól. Na mrocznym ganku siedzieli dorośli; dawało się też odróżnić od siebie inne dzieci.

Nie widziała trawy, na której siedziała, ani domu, ani własnej ręki, wyciągniętej przed twarz. Zrobiło się ciemno, choć oko wykol, nie pomogły nawet robaczki świętojańskie.

– „Księżyc nie świecił i gwiazdy pociemniały” – powiedziała głośno.

Gwiazdy. Świeciły wyraźnie, pewnie, na czarnym niebie, więc dlaczego przyszło jej do głowy, że to świetliki? Bez wątpienia widziała gwiazdy, jasne i migoczące, rozsypane aż po horyzont. Wszyscy rozbitekowie z *Titanica* to potwierdzali. Gwiazdy nie przygasały blisko ziemi, świeciły tak samo intensywnie nawet tuż nad wodą.

Woda. Joanna pomyślała, że przeżyła zatonięcie. Płynę na jakimś przedmiocie z *Titanica*, na leżaku. Ale przecież leżaki wykonano z listewek, a powierzchnia pod nią była szeroka i gładka. Fortepian. To na pewno fortepian z restauracji A La Carte.

Tylko że fortepiany nie unoszą się na wodzie. W filmie *Fortepian* instrument poszedł na dno jak kamień, ciągnąc bohaterkę za sobą pod zimną, zgubną wodę. Może to jest aluminiowy fortepian z *Hindenburga*. Ważył zaledwie 179 kilogramów.

I tak by zatonął. A może właśnie tonął. „Prędzej czy później każdy okręt pójdzie na dno”, oświadczył pan Wojakowski, a może ten tonął bardzo wolno dlatego, że ocean był wyjątkowo spokojny. Rozbitkowie mówili, że tamtej nocy woda była gładka jak szkło, a odbicia gwiazd nie mąciła najmniejsza fala.

Joanna wyciągnęła rękę, dotknęła klawiatury, a pod nią wody. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że drugą ręką trzyma coś kurczowo w zgięciu ramienia.

Francuski buldog, uświadomiła sobie. Musiałam go chwycić, kiedy spadałam. Pamiętała jednak, że wszystko wypuściła, rzuciła do wody, a jej puste, otwarte dłonie unosiły się w ciemnościach.

Przypomniała sobie o kamizelce ratunkowej. Usiłowała wymacać jej sznurki, lecz ich nie znalazła. Nachyliła się nad psem, chcąc go obejrzeć. Było zbyt ciemno, lecz wyczuwała jego jedwabistą głowę i drobne ciało przytulone do jej boku. Nie poruszał się.

– W porządku, piesku? – spytała, nasłuchując, czy dyszy i czy jego małe serce bije, lecz niczego nie usłyszała.

Niespokojnie pomyślała, że może utonął, lecz w tej samej chwili przytulił się mocniej do jej boku.

– Nic ci nie jest – ucieszyła się. – Maisie będzie zadowolona.

Maisie. Przypomniała sobie, jak usiłowała pokonać mrok zapomnienia, jak bardzo starała się zapamiętać treść wiadomości, aby móc ją wysłać.

– Jak tylko nas uratują, wyślę Richardowi wiadomość – oświadczyła pieskowi.

Zapatrzyła się w ciemności. *Carpathia* przybędzie za dwie rodziny. Rozejrzała się wokół, szukając na horyzoncie światła statku, lecz dostrzegła wyłącznie gwiazdy. Podniosła głowę, starając się znaleźć Wielką Niedźwiedzicę. *Carpathia* przybyła z południowego zachodu. Gdyby

Joannie udało się zlokalizować Wielką Niedźwiedzicę, znalazłaby Gwiazdę Polarną i wiedziała, skąd przypłynie ratunek.

W letnie dni w Kansas wypatrywali Wielkiej Niedźwiedzicy. Biegali po chłodnej trawie, usiłując gołymi rękoma łapać robaczki świętojańskie, a gdy drogą jechał samochód, krzyczeli: „Auto!” i padali na plecy bez ruchu, czekając, aż jego reflektory omiotą okolicę jaskrawym światłem. Udawali martwych. A nawet kiedy samochód już pojechał, wciąż leżeli i wpatrywali się w gwiazdy, pokazując sobie gwiazdozbiory.

– To jest Wielka Niedźwiedzica. – Wskazywali palcami. – A to Mleczna Droga. A to Syriusz.

Gwiazdozbiory znikły. Joanna wyciągnęła szyję, chcąc znaleźć Strzelca, długie pasmo Mlecznej Drogi pośrodku nieba. Widziała jednak wyłącznie gwiazdy. Migotały jasno, wyraźnie, do samej wody, tak nieruchomej, że Joanna nie słyszała fal uderzających o pianino. Ani jedna zmarszczka nie mąciła odbić gwiazd, spokojnych i wyraźnych, jakby wcale nie były odbiciami, jakby wokół nie rozciągała się woda, tylko niebo.

Przytuliła psa.

– Wiesz, Toto, wydaje mi się, że nie jesteśmy już w Kansas. – Podkuliła nogi, odsuwając je od krawędzi fortepianu.

Nie płynęli Atlantykiem, a przedmiot, na którym się znalazła, nie był fortepianem. Raczej stołem do badań albo szufladą w kostnicy. Albo metaforą rozbitków z jej świadomości, unoszących się na wraku jej ciała, podczas gdy ostatnie synapsy rozbłyskiwały jak gwiazdy, jak robaczki świętojańskie.

Z kolei Atlantyck stanowią metaforę innego miejsca. Może rzeki Styks albo Jordan. Albo Tamtej Strony pana Mandrake’a. Nie, nie Tamtej Strony, uznała Joanna. To zupełnie nieznanne miejsce, bez związku ze światem.

„Odległa kraina”, pomyślała, lecz znowu się myliła. To nie kraina. To miejsce tak odległe, że trudno je nazwać miejscem. Znajduje się tak daleko, że *Carpathia* nigdy się tu nie dostanie, nie przybędzie na ratunek, nie zabierze do domu. Stąd nie dochodzi żaden głos, wbrew temu, co twierdzi Maurice Mandrake, i nie ma znaczenia, że podobno otrzymał wiadomości od zmarłych.

Nawet ostatnie słowa umierających wcale nie były wiadomościami, lecz bezużytecznym echem żyjących. Niepotrzebnym kłamstwem. „Nigdy cię nie opuszczę”, twierdzą i opuszczają kogoś na zawsze. „Nie zapomnę cię”, utrzymują i zapominają wszystko w mrocznej, niszczącej wodzie. „Jeszcze

się spotkamy” – to największe kłamstwo. Na lśniącem wybrzeżu nie będą czekali ojcowie. Nie znajdą się tam prorocy, starsi. Świetliste Anioły. Mroku nie rozświetli ani odrobina światła. Nigdy się nie spotkają. Ona ich nie zobaczy ani nie będzie potrafiła im przekazać, dokąd się udała.

Znikłam bez pożegnania, przypomniawszy sobie. Poczowała ukłucie bólu, jakby ktoś jej wbijał nóż między żebra.

– Do widzenia! – krzyknęła, lecz jej głos nie niósł się po wodzie. – Do widzenia, Vielle! Do widzenia, Kit! Do widzenia, Richard! – Chciała ich zobaczyć, lecz stali za daleko. Za daleko, aby mogła przypomnieć sobie twarz Richarda lub Maisie...

Maisie. Uświadomiła sobie, dlaczego uznała, że schody to robaczki świętojańskie. Owady sygnałowe, tak je nazywali w Kansas. Zapalają się i gasną, wysyłając wiadomości w mrok.

– Muszę przekazać wiadomość Richardowi – oświadczyła i stanęła na fortepianie, który zakołysał się niebezpiecznie. – Richard! – wrzasnęła, przykładając dłonie do ust. – Doświadczenia graniczne to wezwanie pomocy przez mózg!

Była za daleko. Jej głos nie miał szans dotrzeć do Richarda. Houdini, wołając w próżni: „Rosabelle, odpowiedz, powiedz, poproś o odpowiedź” do swojej żony, nie potrafił sprawić, aby go usłyszała. Joanna też nie umiała tego dokonać.

– To SOS – zawołała, za cicho. – SOS.

Francuski buldog skowytał u jej stóp, przerażony, że zostanie sam. Joanna ponownie usiadła i wyciągnęła do niego rękę. W ciemnościach nie mogła go z początku wyczuć, lecz w końcu objęła go ramionami i przytuliła.

– To nie ma sensu. – Pogłaskała go po jedwabistej głowie, której nie widziała. – Nigdy nie usłyszą.

Piesek zaszczekał z przejęciem. Jego głos przypominał płacz dziecka.

– Już dobrze – pocieszyła go Joanna, wiedząc, że kłamie. – Nie płacz. Jestem tu. Jestem tu.

Jestem tu. Gdzie jesteś? Świetliki uwięzione w zakręcanym słoiku, schwytane w dłonie, z których nie przenikało światło, wciąż wysyłały wiadomości, zapalały się i gasły, zapalały i gasły, chociaż to już było bez znaczenia. A Jack Phillips, chociaż *Carpathia* płynęła zbyt daleko, chociaż żaden inny statek nie mógł go usłyszeć, wciąż wysyłał, wystukiwał SOS, SOS, do samego końca.

– SOS – zawołała, kierując swoje myśli do Richarda, Kit i Vielle, niczym sygnały radiotelegraficzne, emitując je w nicość, posyłając przez rozległe mroki śmierci. – Do widzenia. Wszystko dobrze. Nie oplakujcie mnie. – Buldog się uciszył i zasnął, przytulony do niej, ale wciąż głaskała go po głowie. – Nie płacz – powiedziała, pragnąc, aby usłyszała ją Maisie, Richard. – To SOS.

Pomyślała, że jej wiadomości nigdy do nich nie dotrą, ale wciąż siedziała w ciemności, tuląc się do pieska, otoczona gwiazdami. Wysyłała sygnały miłości, żalu i nadziei. Wiadomości od umarłych.

Rozdział 56

„Płyniemy natychmiast”.

Radiotelegraficzna wiadomość z *Carpathii* do *Titanica*

– Pan Pearsall – stwierdził Richard, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. – Co pan tu robi?

– Zastanawiałem się, czy wciąż mogę się przydać do pańskich badań. Właśnie wróciłem z Indiany. Musiałem tam zostać nieco dłużej, niż planowałem. Zmarł mój ojciec. – Pan Pearsall odchrząknął i kontynuował: – Stałem przed koniecznością uregulowania spraw związanych z jego posiadłością. Wróciłem wczoraj. – Ponownie odchrząknął. – Słyszałem o doktor Lander. Ogromnie mi przykro.

Richard pomyślał z goryczą, że to samo mówił pan Aspinall.

– Trudno w to uwierzyć – ciągnął pan Pearsall, obydwoma dłońmi ściskając kapelusz. – W jednej chwili są, a w następnej... Zawsze sądziłem, że doświadczenia graniczne są formą halucynacji, ale teraz sam nie wiem. Tuż przed zejściem mój tata oświadczył – miał wylew i z trudem się porozumiewał, właściwie tylko mamrotał, ale jedno powiedział wyraźnie: „Cholera, kto by się spodziewał!”

Richard wyprostował się czujnie.

– Mówił coś więcej?

Pan Pearsall pokręcił głową. No jasne, pomyślał Richard.

– Stwierdził to tak, jakby przekonał się o czymś bardzo ważnym. – Pan Pearsall ponownie potrząsnął głową. – Chciałbym wiedzieć, co to takiego.

Ja również, dodał w myślach Richard.

– Właśnie dlatego pomyślałem, że jeśli wciąż potrzebuje pan ochotników, mógłbym...

– Prace badawcze są zawieszona.

Pan Pearsall pokiwał głową, jakby oczekiwał takiej odpowiedzi.

– Gdyby zdecydował się pan wznowić badania, z chęcią...

– Zatelefonuje do pana. – Richard zakończył rozmowę. Zamknął drzwi i podszedł do biurka, na którym leżały kasety. Nie zdążył jednak przystąpić do pracy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Richard pomyślał, że to również nie będzie Carl Aspinall.

Do laboratorium weszła Amelia Tanaka.

– Amelia? – zdziwił się. – Co pani tu robi?

Stała tuż przy drzwiach i znieruchomiała, nie zdejmując płaszcza ani plecaka. Tak samo jak w dniu, kiedy przyszła oznajmić, że rezygnuje z dalszego udziału w projekcie.

– Przyszłam... – zaczęła i wzięła głęboki oddech. – Doktor Lander przyszła na uniwersytet, żeby się ze mną spotkać.

Richard domyślił się, że właśnie dlatego wzięła taksówkę. Chciał spytać, kiedy to się stało, ale Amelia i tak miała trudności z wyjaśnieniem mu wszystkiego. Nie chciał jej zniechęcać.

– Nie podałam państwu prawdziwych przyczyn swojej rezygnacji. Doktor Lander spytała, czy odeszłam z powodu czegoś niepokojącego, co ujrzałam podczas badań, a ja odparłam, że nie, ale to nieprawda. W rzeczywistości tak bardzo się przeraziłam, że nie potrafiłam się zdobyć na to, aby ponownie stawić temu czoło, ale potem dowiedziałam się, że ona nie żyje, i pomyślałam, że przeszła przez to samo, tylko że nie miała wyboru, nie mogła się wycofać.

Mówiła bezradnie, jakby płakała.

– Przyszło mi do głowy, że okropnie stchórzyłam. Ona zawsze odnosiła się do mnie z taką sympatią. Kiedyś poprosiłam ją aby coś dla mnie zrobiła, ona się zgodziła, a ja... – Urwała i się zaczerwieniła. – Mówiła, że to ważne, że powinnam jej powiedzieć, co widziałam. Nie powinnam była kłamać. Mogłam jej wyjaśnić. Jak mogę być lekarzem, skoro pozwalam moim lękom?... – Spojrzała na Richarda. – Już za późno, aby jej powiedzieć, ale skoro to ważne, a pan jest jej współpracownikiem...

– To rzeczywiście jest ważne. Proszę wejść, zdjąć płaszcz i usiąść.

Pokręciła głową.

– Nie mogę zostać. Mam laboratorium z anatomii. – Zaśmiała się nerwowo. – Nie powinnam była w ogóle tu przychodzić, ale musiałam panu powiedzieć...

– W porządku – zgodził się Richard. – Co takiego straszego pani zobaczyła?

– To... – Przygryzła wargę. – Czy kiedykolwiek śnił się panu koszmar, a kiedy chciał go pan wyjaśnić, nie było w nim nic przerażającego, żadnych nożowników ani... – Przerwała zdumiona tym, co powiedziała. – Nie o to mi chodziło, przepraszam...

– Nie widziała pani żadnych morderców ani potworów – podpowiedział Richard – ale się pani wystraszyła...

– Tak – potwierdziła. – Znalazłam się w tunelu, takim samym, jak wcześniej, ale tym razem uświadomiłam sobie, że to nie tunel, tylko... – Zerknęła na drzwi, jakby szukając drogi ucieczki.

Richard podszedł do wejścia, stając między Amelią a drzwiami.

– Co to było? – spytał, choć dobrze znał odpowiedź. Miała rację, zasadniczo trudno uznać za przerażających ludzi w staromodnych ubraniach, stojących za drzwiami i niepokojących się dźwiękiem wyłączanych silników. „Co się stało?”, spytał swojego stewarda Lawrence Beesley, a w odpowiedzi usłyszał: „Przypuszczam, że nic wielkiego”. Beesley poszedł spać, niczego się nie obawiając.

– Pani Amelio, co to było?

– Więc... To brzmi strasznie głupio, pomyśli pan, że...

Że zachowujesz się jak Bridey Murphy? To samo powiedziałem Joannie.

– Bez względu na to, co to takiego, uwierzę pani – oświadczył głośno.

– Wiem. No dobrze. – Odetchnęła głęboko. – W tym semestrze przerabiam biochemię. Zajęcia są w ciągu dnia, ale laboratorium mamy wieczorem, we wtorki i czwartki, w takim starym pomieszczeniu. Jest długie i wąskie, a wzdłuż ścian stoją ciemne drewniane szafki, w których przechowywane są chemikalia. Ten pokój wygląda jak tunel.

Długie, wąskie pomieszczenie z wysokimi szafkami po obydwu stronach. Zastanawiał się, co to naprawdę było. Apteka? Będzie musiał spytać Kit, gdzie na *Titanicu* znajdowała się apteka.

– To był nasz egzamin końcowy. Mieliśmy przeprowadzić reakcję enzymów, a mi nic z tego nie wychodziło i zrobiło się już bardzo późno. Światła pogasły i czekali już tylko na mnie.

– Kto na panią czekał? – spytał Richard, zastanawiając się, o jaki egzamin chodzi i co to za reakcja enzymów?

– Moi profesorowie. – Głos Amelii zadrżał ze strachu. – Stali w holu i czekali. Widziałam ich za drzwiami laboratorium, mieli na sobie białe fartuchy i czekali, żeby się przekonać, czy zdałam.

Końcowy egzamin z biochemii i profesorowie w fartuchach. Richard uświadomił sobie, że Amelia miała wiele tygodni na zrationalizowanie swoich doświadczeń, mogła w tym dokonać daleko posuniętej konfabulacji. W ten sposób zaakceptowała swoją wizję. Na pewno brzmiała ona rozsądniej niż opowieść o *Titanicu*.

– Kiedy sobie pani uświadomiła, że jest w laboratorium biochemicznym?

Spojrzała na niego zdumiona.

– Nie rozumiem.

– Czy to się stało kilka dni po sesji czy później?

– Wiedziałam o tym od samego początku, nie miałam wątpliwości jeszcze w trakcie badania. Nie powiedziałam panu ani doktor Lander, bo się bałam, że mnie znowu tam pošlecie. Mówiłam, że czułam się spokojnie i szczęśliwie, a ujrzałam to samo, co wcześniej, drzwi i światło, ale to nieprawda. Widziałam laboratorium.

To nie *Titanic*. Nie znalazła się na *Titanicu*.

– Tak naprawdę to nie mogło być laboratorium. W rzeczywistości szafki nie są pozamykane na klucz. Poza tym nie widziałam mojego profesora od biochemii, tylko doktora Eldritch'a od anatomii i jednego reżysera z akademickiego kursu, na który chodziłam do teatru muzycznego. Strasznie się bałam.

– Czego? – spytał Richard.

– Że obleję. – Jej głos ponownie zadrżał ze strachu. – Mogłam oblać egzamin końcowy.

Richard starał się zebrać myśli. Nie przebywała na *Titanicu*. Znalazła się w swoim laboratorium biochemicznym.

– I co potem? – zapytał wreszcie.

– Szukałam klucza. Musiałam go znaleźć, bo inaczej nie otworzyłabym szafki i nie wyciągnęła odpowiedniego odczynnika. Zajrzałam pod stoły i do wszystkich szuflad. – W jej głosie wyczuwało się napięcie. – Ale było ciemno, nic nie widziałam...

Rozwiązaniem zagadki nie był *Titanic*. Właśnie to uświadomiła sobie Joanna podczas rozmowy z Carlem Aspinallem.

– ...poza tym szuflady oznakowano bez sensu. Widziałam jakieś litery, ale nie słowa, tylko same litery i cyfry, zebrane w ciągi, jak szyfr. Bardzo się bałam... a potem ocknęłam się w laboratorium, więc myślę, że

znalazłam, co trzeba, i zdałam. Nie wiem, co dostałam. – Zaśmiała się z zażenowaniem. – Mówiłam panu, że to głupio zabrzmiało.

– Skąd – zaprzeczył. – Bardzo mi pani pomogła.

Bez przekonania skinęła głową.

– Muszę lecieć na laboratorium z anatomii, ale... – Znowu wzięła głęboki oddech. – Jeśli będę panu potrzebna, mogę się ponownie poddać badaniu. Jestem to winna doktor Lander.

– To raczej nie będzie konieczne – odparł, a kiedy wyszła, zadzwonił do Carla Aspinalla.

Bał się, że słuchawkę podniesie pani Aspinall, ale na szczęście usłyszał głos jej męża.

– Aspinall, słucham? – odezwał się Carl.

– Dzień dobry panu, mówi doktor Wright. Nie, proszę się nie rozłączać. Rozumiem, że nie chce pan rozmawiać o swoich przeżyciach, ale pragnąłbym zadać panu tylko jedno pytanie. Czy po utracie przytomności znalazł się pan na pokładzie *Titanica*?

– *Titanica*? – powtórzył Carl, a zdumienie w jego głosie wszystko Richardowi wyjaśniło.

Carl Śpiączka nie przebywał na *Titanicu*. Właśnie ta wiadomość sprawiła, że Joanna popędziła na oddział nagłych wypadków. Nie chodziło o to, co Carl jej powiedział o swoich doświadczeniach granicznych, tylko o to, że nie widział *Titanica*. Joanna uświadomiła sobie, że podążała złym tropem, domyśliła się prawdy i chciała się nią z nim podzielić.

Musiał się upewnić. Zatelefonował do Maisie.

– Maisie, czy kiedy miałaś doświadczenia graniczne, znalazłaś się na statku? – spytał, gdy pielęgniarka wreszcie się zgodziła przekazać słuchawkę dziewczynce.

– Na statku? – powtórzyła, a on wyobraził sobie jej minę. – Nie.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem. To wcale nie przypominało statku.

– Tylko co?

– Bo ja wiem... – Zastanowiła się. – Powiedziałam pani Joannie, że chyba przebywałam w jakimś pomieszczeniu, ale to mogło być na dworze. Jednocześnie na dworze i w środku. – Ta wyważona odpowiedź utwierdziła Richarda w przekonaniu, że gdy by Maisie znalazła się na statku, doskonale wiedziałaby o tym, a odpowiedź kryła się gdzie indziej.

Tylko gdzie? Musiała się kryć w relacjach, w jednej z cech wspólnych wszystkich doświadczeń granicznych, chociaż ani Amelia, ani Maisie, ani zapewne Carl Aspinall nie mieli przeżyć podobnych do wizji Joanny.

– To musi być tak, jak myślę. – Richard oświadczył w rozmowie telefonicznej z Kit. – Kiedy tylko Joanna dowiedziała się, że Carl nie znalazł się na pokładzie *Titanica*, wiedziała, w czym rzecz.

– Na pewno chodzi o coś, co jest elementem wszystkich relacji – uznała Kit. – Nagrałeś, co przed chwilą mówiła Amelia?

– Nie. Zachowywała się zbyt nerwowo. Ale spisałem wszystko, co mi się udało zapamiętać.

– A co z twoimi własnymi wspomnieniami? Sporządziłeś relację?

– Moimi własnymi? – zdumiał się. – Przecież to było...

– ...związane z *Titanikiem* – dokończyła. – Wiem, ale może tam się kryje jakaś wskazówka. Wydaje mi się, że masz rację. Chyba istnieje jakiś wspólny mianownik dla wszystkich doświadczeń granicznych, a im więcej ich poznamy, tym większa szansa jego określenia.

Kit się nie myliła. Richard rozważał, czy warto dzwonić do Carla Aspinalla, aby mu wyjaśnić, że jego koszmary, bez względu na treść, są czysto subiektywne. Wątpił jednak, czy Carl będzie miał ochotę z nim rozmawiać.

A zatem pozostają doświadczenia Amelii, jego własne i Maisie. Oraz wizja członka załogi *Hindenburga*. Richard sporządził listę elementów każdej relacji. Joseph Leibrecht ujrzał śnieżne pola, wieloryby, pociąg, ptaka w klatce i swoją babcię, a także usłyszał dzwony kościelne i zgrzyt rozdzieranego metalu. Amelia widziała enzymy, szuflady w laboratorium i swoich profesorów. Joanna opisywała schody, rowery treningowe, a on nie ujrzał żadnej z tych rzeczy.

Wspomnienia Josepha charakteryzowały się wyraźnym podobieństwem do snu, nie związane ze sobą elementy pojawiały się bowiem w jego umyśle jeden po drugim i zupełnie nie przypominały doświadczeń Joanny. Amelia znalazła się gdzieś pomiędzy, w jej wspomnieniach czas nie przeskakiwał, obrazy pojawiały się w sekwencji, ale istniały luki logiczne. Jego własne doświadczenia graniczne...

W tej samej chwili uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, czy w jego przeżyciach pojawiły się jakiegokolwiek niespójności, poza sterowcem-zabawką. Automatycznie założył, że wszystko, co widział, było

rzeczywistością, podobnie jak w wypadku Joanny. Potem, przeglądając książki wujka Kit, skoncentrował się wyłącznie na *Titanicu*.

Ponownie sięgnął po książki. Okazało się, że ludzie faktycznie zbierali się obok biur White Star oraz przy budynku „The New York Times”, lecz nie wchodzili tłumnie do środka. Kręcili się po okolicznych ulicach, oczekując na wiadomości z *Carpathii*. Kiedy wieści wreszcie dotarły, nikt nie odczytywał publicznie listy rozbitek. Na budynku „Timesa” wywieszono pełną listę – matka Mary Marvin, która przyszła z matką swojego zięcia, krzyknęła z radości, ujrawszy nazwisko córki, lecz urwała przerażona, gdy uświadomiła sobie, że obok nie widnieje imię Daniela. Krewni zwykle wchodzili do budynku White Star pojedynczo, aby dowiedzieć się czegoś bliższego. Syn Johna Jacoba Astora wyszedł stamtąd natychmiast, chowając twarz w dłoniach.

W siedzibie White Star nie było pokoju z radiotelegrafem. W „Timesie” zainstalowano takie urządzenie, lecz wysoko na dachu. Radiotelegrafista wkładał rozszyfrowane wiadomości do pudełka, przyczepionego do liny, potrząsał nią w metalowym szybie, aby dać znać dziennikarzom poniżej, a następnie zrzucał pudełko szybem.

Co przyszło Richardowi z tych informacji? Że w rzeczywistości wcale się nie znalazł w biurach White Star? I tak to wiedział. Przekonał się za to, że jego doświadczenia są skutkiem konfabulacji opartych na obrazach z filmów i relacjach Joanny. Nie wiedział jednak, dlaczego tak się stało. Nie widział związku.

Wypisał wszystkie elementy – swój pager, kobietę w bluzce o wysokim kołnierzu, rozmawiającą przez telefon, mężczyznę pochylonego nad radiotelegrafem, zegar na ścianie, schody, mężczyznę z gazetą pod ręką – a następnie zadzwonił do Amelii i poprosił o przybycie.

– Chce mnie pan poddać eksperymentowi? – spytała, a on usłyszał w jej głosie lęk.

– Nie – zaprzeczył. – Musimy tylko zadać pani kilka pytań. Możemy się spotkać jutro o dziewiątej?

– Niestety, mam test z psychologii. – Pomyślał, że to wymówka, taka sama jak wtedy, gdy Joanna usiłowała się z nią umówić, jeszcze zanim zrezygnowała z udziału w projekcie. Po chwili spytała jednak: – Czy pasuje panu jedenasta?

Ku zdumieniu Richarda, dziewczyna zjawiała się na czas. Poprosił Vielle o udział w rozmowie.

– Pani Amelio, chcielibyśmy, aby powiedziała nam pani wszystko, co pani pamięta na temat swoich doświadczeń granicznych, poczynając od pierwszej sesji – zaczął, a Vielle włączyła dyktafon Joanny.

Amelia skinęła głową.

– Obiecałam, że zrobię wszystko, co się okaże konieczne – odparła i przedstawiła szczegółowy opis, dodatkowo wzbogacony odpowiedziami na pytania Richarda i Vielle.

– Ilu pani profesorów znajdowało się w biurze? – zainteresowała się Vielle.

– Czterech – padła odpowiedź, – Doktor Eldritch, mój reżyser, pani Ashley, mój nauczyciel angielskiego z liceum i mój świeżo upieczony profesor od chemii. Tak naprawdę wcale nie był profesorem, tylko absolwentem uniwersytetu. Nie cierpiałam go. Na wszystkie pytania odpowiadał: „Sami musicie się tego domyślić”.

– Był tam pani nauczyciel angielskiego? – Richardowi przyszedł do głowy pan Briarley.

Amelia skinęła.

– Tak naprawdę to była kobieta i wcale nie miałam z nią lekcji. Zmarła miesiąc po rozpoczęciu roku szkolnego.

Vielle wypytała ją szczegółowo o oznaczenia na butelkach z chemikaliami.

– Wie pani, jak opracowane są wzory chemiczne? Oznaczenia liczbowe znajdują się pod kreską. Tam wszystko wypisano w szeregu.

– Pamięta pani którekolwiek z oznaczeń literowych? – dopytywała się Vielle.

Amelia zaprzeczyła.

– A pamięta pani jeszcze cokolwiek, co się nie zgadzało? – ciągnęła pielęgniarza.

Amelia wbiła wzrok w przestrzeń.

– Chłód – odparła w końcu. – W tamtym laboratorium zawsze jest gorąco, bo zainstalowano tam staroświeckie grzejniki. W moich doświadczeniach było tam lodowato, jakby ktoś zostawił gdzieś otwarte drzwi.

– Joanna również wspominała o zimnie – zauważyła Vielle po wyjściu Amelii. – A Joseph Leibrecht?

– Mówił, że widział śnieżne pola, ale wymieniał też wrzące morze. Poza tym utrzymywał, że ktoś go cisnął w płomień. W moich doświadczeniach

granicznych nie zaobserwowałem niczego gorącego ani zimnego.

– I ty, i Amelia czegoś szukaliście – podsunęła Vielle.

– Podobnie jak Joanna. Ale Joseph Leibrecht nie.

– A co z jej przekonaniem o śmierci nauczyciela angielskiego?

– To jeden z zasadniczych elementów doświadczeń granicznych.

– Jak myślisz, istnieje jakakolwiek szansa przekonania Carla Aspinalla do rozmowy z tobą?

– Nie odbierają telefonu.

Vielle ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Mają funkcję identyfikacji rozmów przychodzących. Ponowna wyprawa w góry nie ma raczej sensu?

Najmniejszego, pomyślał. Zresztą nie tam należało szukać odpowiedzi. Mógł jej udzielić pan Briarley, a uzyskanie jej od niego było równie nieprawdopodobne. „Sami musicie się tego domyślić”, stwierdził nauczyciel Amelii.

– Możesz jeszcze raz poddać Amelię badaniu? – spytała Vielle, kiedy odprowadzał ją do drzwi laboratorium.

– Niewykluczone, choć zapewne powtórzy się u niej ten sam obraz ujednocający.

– Och, świetnie, że pana zastałam – rozległ się głos i do pomieszczenia weszła matka Maisie, ubrana w słonecznożółtą garsonkę. – Czy to zły moment?

– Właśnie wychodziłam. Pomyślę jeszcze i do ciebie zadzwonię – oświadczyła Vielle i pośpiesznie się wyknęła.

– Nie chciałam przeszkadzać – stwierdziła pani Nellis. – Proszę. – Wręczyła mu małe czarne pudełko.

– Co to takiego? – Przedmiot przypominał bardzo małego palmtopa.

– Pański pager. Wspomniał pan, że problem z zastosowaniem pańskiej procedury wiąże się ze zbyt krótkim czasem na udzielenie pomocy, wynoszącym zaledwie od czterech do sześciu minut.

Richard pomyślał, że mówił o nieodwracalnej śmierci mózgu, zachodzącej w ciągu od czterech do sześciu minut. Matka Maisie nie potrafiła nawet wymówić słowa „śmierć”, ani też przyznać, że w razie konieczności oczekuje od niego sprowadzenia jej córki z powrotem do świata żywych.

– Ten pager rozwiązuje problem – oznajmiła z bezgranicznym zadowoleniem.

– Już mam pager – sprzeciwił się. Nawet gdyby urządzenie zadzwoniło w chwili utraty przez Maisie przytomności, i tak musiałby dostać się do telefonu i dowiedzieć, gdzie szukać dziewczynki. Oczywiście, o ile ktokolwiek bawiłby się w odbieranie telefonów podczas reanimacji.

– To nie jest zwykły pager, tylko urządzenie lokacyjne. Maisie ma przy sobie podobny automat, a także wszyscy jej lekarze i pielęgniarki. W wypadku konieczności reanimacji Maisie natychmiast wcisną ten przycisk. – Wskazała czerwony guzik z boku pudełka. – Wówczas w pańskim pagerze rozlegnie się alarm. Jego dźwięk jest charakterystyczny, więc na pewno nie pomyli go pan z niczym innym.

Richard pomyślał, że urządzenie na pewno wygrywa melodię *Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej*.

– Kiedy tylko usłyszysz pan alarm, musi pan tu wcisnąć. – Pani Nellis wskazała czarny guzik. – Wówczas na wyświetlaczu pojawi się napis, skąd wysłano sygnał. Na przykład: „Oddział intensywnej opieki kardiologicznej” albo: „Zachodnie skrzydło, trzecie piętro” i tak dalej. Przez większość czasu Maisie będzie leżała w swoim pokoju na kardiologii, ale niekiedy, jak pan sam zauważył, jeździ na badania lub... – zacisnęła kciuki – ...może się znaleźć na sali operacyjnej, gdzie będą ją przygotowywać do przeszczepu nowego serca. W ten sposób od razu dowie się pan, gdzie jej szukać. Chciałam kupić urządzenie, które zarejestrowałoby miejsce pańskiego pobytu i wyznaczyło najkrótszą drogę do pokonania, ale informatyk stwierdził, że nie istnieje jeszcze odpowiednia technologia.

– Proszę pani, nie istnieje także odpowiednia technologia umożliwiająca ratowanie pacjentów w stanie śmierci klinicznej – oświadczył Richard, usiłując zwrócić urządzenie.

– Ale się pojawi – odparła z przekonaniem. – A kiedy to nastąpi, nie będzie pan musiał martwić się, jak odnaleźć Maisie. Zdaję sobie sprawę, że wciąż są trudności z szybkim dotarciem do niej, ale pracuje nad tym inny programista.

Richard stwierdził w duchu, że i tak zna najkrótszą drogę, gdyż ma w pamięci cały plan szpitala, wszystkie schody i skróty. Mógł dotrzeć do Maisie na czas, lecz nie znał sposobu na odratowanie jej w krytycznej sytuacji. Gdyby tylko dowiedział się, co próbowała mu przekazać Joanna.

– Oczywiście to tylko jeden z środków ostrożności. Lekarze Maisie spodziewają się nowego serca lada dzień, a mała świetnie się trzyma. Wszyscy są zachwyceni jej wynikami. No dobrze – oświadczyła, stanowczo

wciskając pager w jego dłoń. – Wiem, że chciałby pan sprawdzić, jak działa to urządzenie, więc Maisie uruchomi swój pager dziesięć po drugiej. Usłyszysz pan alarm i sprawdzi, czy wyświetlacz pokazuje odpowiednią lokalizację.

– Dziesięć po drugiej? – zdziwił się Richard.

– Tak. Proponowałam drugą, żeby nie miał pan wątpliwości, że chodzi o ćwiczenia, ale Maisie upierała się przy drugiej dziesięć. Nie mam pojęcia czemu.

Za to ja mam, pomyślał. To szyfr. Maisie się czegoś dowiedziała.

– O drugiej niekiedy zabierają ją na badania. Może uznała, że jeśli znajdzie się poza swoim pokojem, test urządzenia będzie wiarygodniejszy. To takie inteligentne dziecko.

A jakże, zgodził się w duchu.

– Gdzie mam się znajdować, kiedy rozlegnie się alarm?

– Gdziekolwiek. Właśnie o to chodzi. Pager zawiadomi pana wszędzie i wyświetli informację o miejscu pobytu Maisie. Niestety, o wpół do drugiej mam spotkanie z prawnikiem, więc nie mogę uczestniczyć w próbie, ale Maisie zapewne rozwieje wszystkie pańskie wątpliwości.

Mam nadzieję, pomyślał, przyglądając się, jak pani Nellis odchodzi w stronę windy. Maisie na pewno znalazła kogoś, kto widział Joannę w windzie lub na jednym z korytarzy. Przy odrobinie szczęścia mógł to być ktoś, kto zastał ją w pokoju Carla Aspinalla. Pani Nellis weszła do kabiny. Richard zaczekał, aż drzwi się zasuną, a potem udał się na oddział intensywnej opieki kardiologicznej.

– Bałam się, że pan na to nie wpadnie – przywitała go Maisie. – Pomyślałam, że może powinnam była powiedzieć dwadzieścia po drugiej, kiedy statek zatonął, a nie podawać czas nadania ostatniej wiadomości radiotelegraficznej.

– Czego się dowiedziałaś? – spytał Richard.

– Eugene rozmawiał z sanitariuszem, który tamtego dnia widział panią Joannę na pierwszym piętrze we wschodnim skrzydle. Powiedział, że rozmawiała z panem Mandrakiem.

Mandrake. A zatem rzeczywiście ją spotkał, nie wymyślił całego zdarzenia dla autoreklamy. Musiał zatrzymać Joannę, gdy szła porozmawiać z doktor Jamison.

– No i? – spytała niecierpliwie Maisie.

– Joanna pewnie wpadła na Mandrake’a, ale nie powiedziała mu niczego. Czy ten sanitariusz słyszał, co mówił Mandrake?

Maisie potrząsnęła głową.

– Pytałam o to Eugene’a. Podobno był zbyt daleko, aby cokolwiek zrozumieć, ale pan Mandrake bardzo dużo mówił, i ona tak samo. Sanitariusz twierdzi, że pani Joanna się śmiała.

– Śmiała? Razem z Mandrakiem?

– Wiem – skrzywiła się Maisie. – Ja też nie uważam go za człowieka, z którym można się pośmiać. Ale to właśnie powiedział Eugene.

Słowa Eugene’a należało traktować z odpowiednim dystansem. Richard słuchał relacji z trzeciej, właściwie z czwartej ręki. Świadkiem rozmowy Joanny z Mandrakiem był człowiek, który stał zbyt daleko, aby cokolwiek usłyszeć. Prawdopodobieństwo, że Joanna ujawniła Mandrake’owi jakiegokolwiek istotne fakty, graniczyło z zerem, ale Richard obiecał sobie, że wyjaśni tę sprawę.

Wiedział, że jego poczynania stają się absurdalne.

– Spodziewałem się pańskiego telefonu – oznajmił Mandrake, kiedy Richard zadzwonił do niego z oddziału intensywnej opieki kardiologicznej. – Pani Davenport poinformowała mnie o odbyciu z panem rozmowy na temat komunikatów, które otrzymuje.

Nie dam rady, pomyślał Richard i z trudem się powstrzymał od odłożenia słuchawki. Miał świadomość, że zdradza Joannę, lecz przyszło mu do głowy, że nie miałaby nic przeciwko temu. Interesowało ją wyłącznie przekazanie mu odpowiedniej informacji.

– Chciałbym z panem porozmawiać osobiście – wyjaśnił Richard. – Czy będzie pan w swoim biurze?

– Tak, ale na dzisiejsze popołudnie zaplanowałem kilka spotkań, a mój wydawca... – Zapadła cisza. Pan Mandrake najwyraźniej sprawdzał swój rozkład dnia. – Może o drugiej... nie, jestem umówiony... a wydawca przychodzi o trzeciej... Pasuje panu pierwsza?

– Pasuje – odparł Richard i odłożył słuchawkę, licząc na to, że w przeciągu najbliższej półtorej godziny znajdzie rozwiązanie i nie będzie musiał iść do Mandrake’a.

Ponownie sięgnął po relacje Joanny i wypisał wszystkie – basen, Scotland Road, magazyn pocztowy, klucz. Klucz. Co było kluczem? Rakiety, sala gimnastyczna, rowery, kajuta radiotelegrafisty, worki z przesyłkami pocztowymi. Usiłował ustalić, które z nich występowały także

w doświadczeniach granicznych Amelii Tanaki. Obydwie mówiły o drzwiach i butelkach – Amelia o butelkach z odczynnikami chemicznymi, a Joanna o kałamarzu, lecz w jego przeżyciach nie pojawiła się żadna butelka. Klucz? Musiał przekręcić klucz, aby otworzyć drzwi na korytarz. Pan Briarley poszedł do magazynu pocztowego, aby zdobyć klucz do szafki z raketami. Marynarz obsługujący lampę sygnalizacyjną wspomniał coś o kluczu, a Amelia, mówiąc o katalizatorze, twierdziła: „Muszę znaleźć klucz”.

Naginam fakty, pomyślał Richard. Zresztą Joseph Leibrecht w swojej relacji ani razu nie wymienił słowa „klucz”. Poza tym Joanna nie podkreśliła go w wydrukach relacji.

No dobrze, wobec tego jakie słowa zaznaczyła? Woda? Ani w jego doświadczeniach, ani we wspomnieniach Amelii nie było mowy o wodzie ani o mgle. Może „czas”? Przypomniał sobie zegar na ścianie korytarza firmy White Star. Amelia bała się, że nie zakończy egzaminu na czas, a Joseph Leibrecht wspomniał o dzwonie kościelnym. Poza tym wiedział, że jest godzina szósta. W dodatku cała katastrofa *Titanica* sprowadzała się do uciekającego czasu.

Richard zastanowił się, która może być godzina. Za dziesięć pierwsza. Akurat tyle czasu, ile potrzeba, aby pójść do Vielle i spytać ją, jakie podobieństwa zauważyła w relacjach, a potem udać się na spotkanie z Mandrakiem.

Zszedł na drugie piętro. Na łączniku wywieszono wielką tablicę z napisem „Nieczynne z powodu remontu”. Richard uznał, że pewnie skończyła się żółta taśma. Będzie musiał zejść do piwnicy, a stamtąd na dwór. Ruszył korytarzem z powrotem. Nagle w jego kieszeni rozległ się pisk pagera, wysoki i agresywny. Pomyślał, że to ćwiczenia Maisie, i wyciągnął urządzenie. Wcisnął czarny przycisk. Na wyświetlaczu pojawił się napis „Piąte piętro, zachodnie skrzydło”. Pod spodem wyświetlił się aktualny czas: 12.58.

Piąte piętro w zachodnim skrzydle. Co ona tam robiła? Nagle uświadomił sobie, o której godzinie otrzymał wiadomość – 12.58.

– Mówiła, że dziesięć po drugiej – powiedział głośno i rzucił się biegiem na drugie piętro, przez łącznik, i na górę po schodach technicznych.

Dotarł na piąte piętro w trzy minuty i dziewiętnaście sekund. Bez tchu wpadł do pokoju pielęgniarek.

– Szybko, gdzie Maisie Nellis?

– Prosto, drugie drzwi – odparła zaskoczona pielęgniarka, a pędząc korytarzem, Richard wciąż jeszcze sobie nie uświadomił, że w razie konieczności reanimacji pielęgniarka nie stałaby beczynn timer. Poza tym nie dzwonił alarm reanimacyjny.

Wpadł do pokoju, gdzie Maisie spokojnie leżała na łóżku na kółkach i wpatrywała się w pager.

– Rozmawiał pan już z panem Mandrakiem? – spytała z ciekawością.

– Niby... jak? – wydyszał. – Wzywałaś... mnie. Co jest? – Opadł na krzesło przy ścianie.

– Ćwiczenia – wyjaśniła.

– Ćwiczenia miały się odbyć dziesięć po drugiej, a nie za dwie pierwsza.

– Dziesięć po drugiej to był szyfr – oświadczyła. – Przywieźli mnie tu na jakieś badania, więc pomyślałam, że dobrze byłoby wypróbować pager, kiedy nie wie pan, gdzie jestem. Tylko w ten sposób można się przekonać, czy działa.

– Jak widzisz, działa. Dlatego kończymy z ćwiczeniami. Możesz mnie wzywać wyłącznie w nagłych wypadkach. Zrozumiano?

– Może powinniśmy przeprowadzić jeszcze kilka ćwiczeń? – Maisie zapatrzyła się tęsknie w pager. – W ten sposób mógłby pan wypracować system szybszego docierania na miejsce?

I tak szybko dotarłem, pomyślał. Znalazłem się tu w niecałe cztery minuty, startując z jednego z najbardziej oddalonych miejsc w szpitalu. Zmieściłem się w limicie czasu, a i tak nie potrafiłbym jej pomóc w razie niebezpieczeństwa.

– Wykluczone. Możesz mnie wzywać tylko wtedy, gdy zagrozi ci niebezpieczeństwo.

– A jeśli uznam, że grozi mi niebezpieczeństwo, a nic mi nie będzie?

– Wówczas lepiej, aby się nie okazało, że chciałaś się ze mną spotkać i pogadać o pożarze cyrku w Hartford. Nie żartuję.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie.

– No tak. – Spojrzał na zegarek. Dziesięć po pierwszej. – Spóźniłem się na spotkanie z Mandrakiem. Tylko nie mów: „Nie może pan jeszcze iść”.

– Wcale nie zamierzałam – oburzyła się. – Chciałam panu życzyć powodzenia.

Richard pomyślał, że będzie potrzebował nie tylko powodzenia. Niedługo potem wbił wzrok w Mandrake'a rozpartego za wypolerowanym blatem biurka.

– Spodziewałem się pana o pierwszej – oświadczył Mandrake, spoglądając wymownie na zegarek. – Obawiam się, że teraz mam kolejne... Zadzwoił telefon.

– Proszę mi wybaczyć. – Mandrake podniósł słuchawkę. – Maurice Mandrake. Podpisywanie książki? Kiedy?

Richard rozejrzał się po gabinecie. Urządzono go jeszcze kosztowniej, niż się spodziewał. Wielki ciemnobrązowy fotel obity skórą, ogromne mahoniowe biurko, zwisający za nim okazały, niemal naturalnych rozmiarów portret Mandrake'a, szafka pełna egzemplarzy *Światła na końcu tunelu*, perski dywan. Richard pomyślał, że pomieszczenie świetnie pasowałoby do *Titanica*.

Mandrake odłożył słuchawkę.

– Niestety, musimy się spotkać innego dnia. O drugiej mam...

– To nie potrwa długo – przerwał Richard i usiadł. – W swojej mowie pożegnalnej wspomniał pan, że rozmawiał z Jo... z doktor Lander w dniu jej śmierci.

Mandrake skrzyżował dłonie na biurku.

– Tamtego dnia i wiele razy potem.

Nie wytrzymam, pomyślał Richard.

– Z wyrazu pana twarzy wnioskuję, że nie wierzy pan, iż zmarli mogą się kontaktować z żywymi – ciągnął Mandrake.

Gdyby mogli, Joanna powiedziała by mi, co odkryła w pokoju Carla Aspinalla.

– To słuszny wniosek – odparł.

– Wszystko dlatego, że pan uparcie wierzy w to, co pan widzi na swoich skanach RIPT. – Pan Mandrake uśmiechnął się złośliwie. – Na szczęście doktor Lander zrozumiała, że doświadczenia graniczne to zjawisko, którego nauka nigdy nie wyjaśni. A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę się przygotować do następnego spotkania. – Poruszył się, jakby chciał wstać.

Richard nie ruszył się z krzesła.

– Chcę wiedzieć, co powiedziała tamtego dnia.

– Dokładnie to, co pan usłyszał w mojej mowie pożegnalnej. Uświadomiła sobie, że doświadczenia graniczne, a raczej przeżycia z Tamtej Strony, nie są jedynie fizyczną halucynacją, lecz duchowym objawieniem.

Kłamiesz, pomyślał Richard.

– Co powiedziała? Jakie były jej dokładne słowa?

Mandrake rozparł się w fotelu i położył ręce na obitych skórą poręczach.
– Dlaczego to pana interesuje? Sprawdza pan jej poczytalność? Rozumiem, że trudno panu pogodzić się z rzeczywistością. Pana partnerka doszła do innych wniosków w sprawie doświadczeń granicznych, pomimo że usiłował ją pan przekonać, że jest w błędzie. – Mandrake pochylił się w stronę Richarda. – Na szczęście, nie dała się ogłupić pańskim naukowym... – skrzywił się z obrzydzeniem – ...argumentom i samodzielnie odkryła prawdę. – Zerknął na drzwi i wymownie skierował wzrok na zegarek. – Obawiam się, że nie mogę poświęcić panu więcej czasu. – Tym razem naprawdę wstał.

W przeciwieństwie do Richarda.

– Chcę wiedzieć, co panu powiedziała.

Mandrake ponownie spojrzął na drzwi. Richard był ciekaw, na kogo czeka jego gospodarz. Najwyraźniej na osobę, której tożsamości nie chce ujawniać. Może to ktoś, od kogo chciałby wyciągnąć informacje o projekcie? Pani Troudthaim? Tish?

– Joanna szła na oddział nagłych wypadków, aby mnie o czymś poinformować. Usiłuję się dowiedzieć, o co jej chodziło.

– To chyba oczywiste – padła odpowiedź, lecz w oczach Mandrake'a pojawił się nagle strach? Poczucie winy?

On wie, pomyślał Richard. To nie miało sensu, ale Joanna naprawdę mu powiedziała.

– Nie – zaprzeczył. – To wcale nie jest oczywiste.

Oczy Mandrake'a ponownie zadrżały.

– Chciała panu powiedzieć to samo, co później powiedziała mi i pani Davenport, przemawiając do nas z Tamtej Strony, w którą uparcie nie chce pan uwierzyć. Istnieją rzeczy na niebie i ziemi, panie doktorze, o których nie dowie się pan ze swoich skanów. – Obszedł biurko i zbliżył się do drzwi. – Przykro mi, ale nasza rozmowa dobiegła końca. Pewien dżentelmen jest umówiony...

Dżentelmen? Pan Sage? Życzę powodzenia w wydobywaniu z niego informacji o projekcie i o wszystkim, co się wiąże z badaniami.

– Muszę dokładnie wiedzieć, co panu powiedziała – powtórzył Richard.

Mandrake otworzył drzwi.

– Jeśli ma pan ochotę spotkać się innego dnia, możemy...

– Joanna zmarła, usiłując mi coś powiedzieć. Muszę się dowiedzieć co. To ważne.

– Doskonale. – Mandrake zamknął drzwi, wrócił za biurko i usiadł. – Skora tak panu na tym zależy.

Richard czekał.

– Powiedziała: „Miał pan rację, panie Mandrake. Teraz to rozumiem. Doświadczenia graniczne to wiadomość z Tamtej Strony”.

– Ty draniu – wycedził Richard, wstając z krzesła.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał pan Wojakowski w czapce baseballowej na głowie.

– Witam, Manny – przywitał się z Mandrakiem, a potem zwrócił się do Richarda: – O, witam pana doktora. Przepraszam, że tak się tu wpakowałem, ale...

– Już skończyliśmy – odparł Mandrake.

– To prawda – potwierdził Richard. – Skończyliśmy. – Opuścił biuro, minął pana Wojakowskiego i odszedł korytarzem.

– Panie doktorze, pan zaczeka – zawołał pan Wojakowski, doganiając Richarda. – Świetnie się składa, że pana spotykam.

– Odniosłem odmienne wrażenie. – Richard wskazał kciukiem drzwi do pokoju Mandrake’a. – Najwyraźniej chciał pan się zobaczyć z kim innym, panie Wojakowski.

– Ed – poprawił. – No tak, zadzwonił do mnie wczoraj i oświadczył, że chciałby porozmawiać o pańskich badaniach. Wyjaśniłem, że od pewnego czasu w nich nie uczestniczę, ale upierał się, że to bez znaczenia, bo i tak chce ze mną pogadać, więc się zgodziłem, ale zastrzegłem się, że wpierw muszę się skonsultować z panem, bo nie wiem, czy to będzie w porządku, lekarze niekiedy nie chcą, aby paplać na prawo i lewo o ich badaniach, i od tego czasu usiłuję się z panem skontaktować. – Klepnął ręką w kolano. – O rany, ale ciężko pana złapać. Próbowiałem na wszystkie sposoby, jakie mi przychodziły do głowy, bo koniecznie musiałem się spytać, czy nie ma pan nic przeciwko temu. Wiem, że ma pan na głowie zupełnie inne sprawy, wiadomo, biedna doktor Lander i w ogóle. Straciłem nadzieję, że pana gdzieś znajdę. Zupełnie jak Norm Pichette. Opowiadałem panu o nim? Został pod pokładem, kiedy wszyscy opuściliśmy już *Yorktown*, leżał w izolatce, a kiedy wyszedł na zewnątrz, widzi, że okręt idzie na dno, więc wrzeszczy do Hughesa. – Pan Wojakowski przyłożył dłonie do ust. – Ale jest za daleko, aby go usłyszeć, więc wymyśla inny sposób powiadomienia nas o sobie. Wymachuje rękoma jak szalony, wrzeszczy, gwizdże i nawołuje, lecz nic nie skutkuje.

Richard przypomniał sobie Maisie, usiłującą skontaktować się z nim, proszącą siostrę Lucille o zawiadomienie go przez pager, umożliwienie jej skorzystania z telefonu, zmuszającą Eugene'a, aby dostarczył wiadomość, wreszcie, na koniec, informującą matkę o jego badaniach.

– No więc w końcu usiłuje nadać komunikat przez radio – ciągnął pan Wojakowski. – Ale drzwi do kajuty z radionadajnikiem są zamknięte na klucz. Wyobraża pan sobie? Zamykać na klucz drzwi na statku, który idzie na dno? Kto niby miałby się tam włamać?

Zamknięte na klucz. Richard poczuł się jak człowiek, który wrzeszczy w panice za zamkniętymi drzwiami, kopie je, usiłuje wrócić do laboratorium. Joanna także chciała otworzyć drzwi prowadzące do tylnych schodów. Przekonała się, że są zamknięte, zeszła do magazynu pocztowego, aby wziąć klucz do skrytki na rakiety. Klucz. Amelia powiedziała, że musi znaleźć klucz.

– Pichette obszedł cały okręt, szukając czegoś, czym mógłby zwrócić na siebie uwagę – opowiadał pan Wojakowski.

Cały statek. Joanna poszła na pokład łodziowy, zeszła na pokład z promenadą, przeszła Scotland Road. Biegała wszędzie. Do laboratorium, aby mu powiedzieć o Carlu Śpiączce, a gdy go zastała, do gabinetu doktor Jamison i na dół, na oddział nagłych wypadków.

On sam, Kit i Vielle też się tak miotali. Udali się do Timberline, na trzecie piętro we wschodnim skrzydle, wypytywali pielęgniarki i taksówkarzy, rysowali plany, usiłowali ustalić, dokąd się udała Joanna, z kim rozmawiała. Przeglądali relacje i *Lustra i labirynty*, analizowali skany, przeszukiwali szpital, odgrzebywali wspomnienia, poznawali historię *Titanica*, próbowali wszystkiego, co im przychodziło do głowy.

– Pichette próbował wszystkiego, co mu przyszło do głowy – mówił pan Wojakowski. – Nawet zdjął koszulę i wymachiwał nią jak flagą, ale to też nic nie dało, a okręt tonął. Musiał coś wymyślić, póki czas.

Musiał coś wymyślić. Pan Briarley wystrzeliwał rakiety. Nawigator obsługiwał lampę sygnalizacyjną. Radiotelegrafista wysyłał wiadomości na *Carpathię*, *Californian* i *Frankfurt*. Wiadomości. Brodaty mężczyzna posłał stewarda z wiadomością dla pana Briarleya, urzędnik pocztowy ciągnął worki mokrych listów na pokład łodziowy, a J.H. Rogers pisał list do swojej siostry.

– Wiadomości – mruknął Richard. – Chodzi o wiadomości. – W jego doświadczeniach granicznych aż się roiło od wiadomości. Radiotelegrafista

spisywał nazwiska rozbitek, sekretarka trzymała słuchawkę telefoniczną przyciśniętą do ucha, a na pagerze Richarda wyświetlił się numer Joanny.

Nagle przypomniało mu się, że pan Sage słyszał, jak dzwoni telefon, a pani Davenport otrzymała telegram nakazujący jej powrót. „Istnieje jakiś wspólny mianownik dla wszystkich doświadczeń granicznych”, twierdziła Kit. Otóż to. Wiadomości. Wszystkie doświadczenia graniczne sprowadzały się do przekazywania wiadomości.

W doświadczeniach Amelii Tanaki nie pojawiły się jednak żadne telegramy, rakiety ani telefony. Jej przeżycia nie zawierały jakichkolwiek wiadomości, sprowadzały się tylko do egzaminu i zamkniętych szafek z odczynnikami. Próbowła się do nich dostać, otwierała kolejne naczynia z chemikaliami, chcąc natrafić na ten jeden odczynnik, który zadziała.

Zupełnie jak Joanna – nagle ujrzała ratujący ją zespół reanimacyjny, który próbował stosować elektrody, wstrzykiwał adrenalinę, uciekał się do najrozmaitszych technik. Poszukujący czegoś, co zadziała, pomyślał Richard i ogarnęło go uczucie opisywane przez Joannę, jakby znajdował się o krok od odkrycia.

– Wiem, że to ma coś wspólnego z *Titanikiem* – oświadczyła. *Titanic*, którego załoga wystrzeliła rakiety, opuściła na wodę łodzie ratunkowe, przesłała wiadomości radiotelegraficzne, szukała skutecznego sposobu nawiązania łączności.

– Tak czy owak, stoję na pokładzie Hughes i wpatruję się w wodę – opowiadał pan Wojakowski, lecz Richard go nie słuchał, usiłując nie zgubić myśli, która niemal zaświtała w jego głowie, która znalazła się na wyciągnięcie ręki.

Alfabet Morse’a. Kod. Szyfr. „Szuflady oznakowano literami i cyframi, jak szyfrem”. Maisie radośnie poinformowała go, dlaczego ustaliła czas na dziesięć po drugiej. „To był szyfr”. Wzory chemiczne, metafory i „jakiś dziwny język”. Kropki i kreski, a także „Rosabelle, uwierz”. Szyfr.

„Powiedz Richardowi, że to... SOS”, brzmiały słowa Joanny. Myślał, że chce mu coś przekazać, lecz jej się to nie udaje. Nieprawda. Właśnie tak brzmiała wiadomość. „To jest SOS”.

SOS. Wiadomość wysłana w świat w nadziei, że ktoś ją usłyszy. Komunikat skierowany przez umierający mózg do kory czołowej, do ciała migdałowatego, do hipokampa, próba wezwania kogoś na ratunek.

– Cholernie sprytnie, co? – zakończył pan Wojakowski.

– Co takiego? Przepraszam, nie usłyszałem, jak w końcu zwrócił na siebie uwagę.

– Coś mi się widzi, że to pan powinien się zgłosić na to badanie słuchu. – Klepnął Richarda w ramię. – Za pomocą karabinu maszynowego. Widzi pan, stoję sobie na pokładzie Hughesa i wypatruję japońskich okrętów podwodnych, a nagle widzę małe fontanny. „Okręt podwodny!”, wrzeszczę, przybiega porucznik, patrzy i mówi: „Okręty podwodne nie wywołują takich fontann. To bomba głębinowa”. Gapię się dalej i jakoś nie mogę sobie wyobrazić takiej bomby głębinowej. Fontanny pojawiają się w prostej linii, więc patrzę, skąd się wzięły, i widzę faceta na wieżyczce, wychylonego za reling i strzelającego w wodę. Nic nie słyszę, bo jest za daleko, a on o tym wie, zdaje sobie sprawę, że musi...

Za daleko, a droga ucieczki jest odcięta. Połowa synaps przestała już pracować z powodu niedotlenienia, połowa ścieżek jest zamknięta lub wiszą na nich tablice z napisem: „Nieczynne z powodu remontu”. Płat skroniowy sprawdza kolejne sposoby, jedną substancję chemiczną za drugą, karnozynę, NPK, amiglicylinę, usiłuje znaleźć drogę na skróty, przesłać sygnał do korowego ośrodka ruchu, aby uruchomić serce, płuca. „Było bardzo późno”, opowiadała Amelia. „Chciałam tylko znaleźć odpowiedni odczynnik i iść do domu”. Anioł pani Bradeis oznajmił: „Musisz powrócić na ziemię. Twój czas jeszcze nie nadszedł”.

„Polecenie powrotu pojawia się w przeszło sześćdziesięciu procentach wypadków”, mówiła Joanna. To jednak nie było polecenie, tylko wiadomość, która wreszcie dotarła do adresata, środek chemiczny, który w końcu umożliwił połączenie, synapsa, która nareszcie rozbłysła, jak kluczyk, przekręcony w zapłonie. Richard pomyślał, że doświadczenia graniczne to mechanizm przetrwania, ostateczna próba uruchomienia przez mózg układów organizmu. Coś w rodzaju zespołu reanimacyjnego, wysyłanego przez ciało.

Spojrzał z roztargnieniem na pana Wojakowskiego, który wciąż opowiadał.

– No i spuściliśmy na wodę łódź i po niego popłynęliśmy. Rzuciliśmy mu drabinę, ale on nie chce schodzić, wciąż coś do nas krzyczy, tylko że nic nie rozumiemy, bo silnik za głośno pracuje. Uznaliśmy, że pewnie źle się czuje i nie da rady zejść po drabinie, więc mat wysyła mnie po niego. Widzę, że z człowiekiem krucho, postrzał w brzuch, stracił mnóstwo krwi, ale nie to chciał nam powiedzieć. Zdaje się, że pod pokładem leży jeszcze

jeden gość, naprawdę w fatalnym stanie, nieprzytomny, z pękniętą czaszką. – Pokręcił głową. – Nic by z niego nie było, gdyby Pichette nie wpadł na ten pomysł z karabinem maszynowym.

Na drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi. Richard spojrzał tam i ujrzał zmierzającego w ich stronę Mandrake'a. Nagle zrozumiał, co Joanna mu powiedziała. Pielęgniarz stwierdził, że się roześmiała. Oczywiście, że tak. „Miał pan rację”, oznajmiła Mandrake'owi. „Doświadczenia graniczne to wiadomość”.

Tylko że nie z Tamtej Strony. Jak najbardziej z tej. To mózg, umierając, zdobywa się na ostatni bohaterski czyn, aby ocalić organizm. Wykorzystuje cały dostępny arsenał środków – endorfiny, aby zlikwidować ból i strach, w ten sposób oczyszczając przedpole do walki; adrenalinę, aby wzmocnić sygnały; acetylocholinę, aby udrożnić ścieżki i połączenia. Całkiem sprytnie pomyślane.

Tylko że acetylocholina wywołuje skutki uboczne. Wzmacnia zdolność kojarzenia, właściwą korze mózgowej, a także pamięć długotrwałą. Mózg usiłuje zrozumieć zmieniające się wrażenia, wizje i emocje, przekształca je w tunele, anioły i *Titanica*. W metafory, które ludzie błędnie uznają za rzeczywistość. Ta rzeczywistość to skomplikowany system sygnałów wysyłanych do hipokampa, aby uaktywnić neuromediator, który jest w stanie reanimować cały układ ludzkiego organizmu.

Wiem, co to jest, zamyślił się Richard. Ogarnęło go zdumienie. Cały czas szukałem tam, gdzie trzeba. Właśnie dlatego obserwowałem go we wszystkich doświadczeniach granicznych pani Troudheim, a zwróciłem na niego uwagę także wtedy, gdy Joanna ocknęła się przedwcześnie. Szukałem inhibitora i byłem na właściwym tropie, theta-asparcyna to nie inhibitor. To aktywator. To ona jest kluczem.

– Co pan opowiada mojemu pacjentowi, doktorze Wright? – spytał stanowczo Mandrake. – Twierdzi pan, że doświadczenia graniczne to nie rzeczywistość, że są tylko i wyłącznie zjawiskiem fizycznym? – Odwrócił się do pana Wojakowskiego. – Doktor Wright nie wierzy w cuda.

Wierzę, zaprzeczył w myślach Richard. Ależ wierzę.

– Doktor Wright nie chce uwierzyć, że zmarli potrafią się z nami kontaktować. Czy właśnie to panu wmawiał?

– Nic mi nie wmawiał – sprzeciwił się pan Wojakowski. – Opowiadałem panu doktorowi o swoim pobycie na *Yorktown*...

– Jestem przekonany, że doktor Wright się zgodzi, aby resztę tej historii opowiedział mu pan przy następnej okazji. Mam bardzo napięty plan dnia i jeśli mamy zamienić parę słów...

Pan Wojakowski odwrócił się do Richarda.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, abym z nim porozmawiał?

– Ależ skąd. Może mu pan powiedzieć wszystko, co panu przyjdzie do głowy – odparł Richard i poszedł do windy. Musiał opracować testy sprawdzające, czy theta-asparcyna może samodzielnie przerywać doświadczenia graniczne, czy też potrzebna jest do tego kombinacja theta-asparcyny oraz acetylocholino i kortyzolu. Zadzwoń do Amelii, zdecydował. Powiedziała, że jest skłonna ponownie poddać się badaniu.

Wcisnął guzik „góra”. Przejrzał skany i skontaktuje się z doktor Jamison. A także z matką Maisie, dodał w myślach i spojrzął za siebie. Pan Wojakowski i Mandrake niemal dotarli do drzwi biura. Richard popędził za nimi.

– Panie Wojakowski. Ed. – Zatrzymał się przy swoim pacjencie. – Co się z nim stało?

– Doktorze Wright – wtrącił się pan Mandrake. – I tak zabrał mi pan przeszło połowę czasu, przeznaczonego na spotkanie z obecnym tu panem Wojakowskim...

Richard go zignorował.

– Co się stało z marynarzem, tym, który strzelał z karabinu maszynowego?

– Z Normem Pichette’em? Nie wyszedł z tego. – Pan Wojakowski pokręcił głową.

Nie wyszedł z tego.

– Panie doktorze – denerwował się Mandrake. – Jeśli w ten sposób chce pan zaprzepaścić moje badania...

– Zapalenie otrzewnej – wyjaśnił pan Wojakowski. – Zmarł następnego dnia.

– A co z tym drugim?

– Doktorze Wright! – krzyknął Mandrake.

– Z tym, który miał pękniętą czaszkę? George’em Weise’em? Wydobrzył. Któregoś dnia dostałem od niego list.

– Czyli wiadomość – uradował się Richard. – Miał pan rację, Mandrake, to rzeczywiście jest wiadomość.

Mandrake ściągnął usta.

– O czym pan mówi?

Richard klepnął go w ramię.

– I tak pan nie zrozumie. „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi”, Manny, staruszku, „niż się ich śniło waszej filozofii”. I niedługo pozna pan ich znaczenie.

Rozdział 57

„Jestem... ja... morze... sam”.

Alfred Hitchcock, na krótko przed śmiercią

Po długim czasie ciemności zdawały się nieco rozjaśniać, mrok odrobinę poszarzał, gwiazdy przygasły.

– Słońce wschodzi – zwróciła się Joanna do małego francuskiego buldoga, chociaż wciąż go nie widziała. Przyjrzała się uważnie niebu na wschodzie, szukając paska jasności nad horyzontem. Nie potrafiła jednak go dostrzec, a światło, jeśli rzeczywiście było to światło, przesiąkało równomiernie ze wszystkich kierunków nieba, jeśli to naprawdę było niebo.

Światło pojawiało się tak powoli, że Joanna uznała, iż się pomyliła, a szarzejący mrok to wytwór jej wyobraźni. Po niedługim czasie wyszły gwiazdy, niejedna po drugiej, lecz wszystkie naraz, niebo zrobiło się grafitowe, a potem szare. Zerwał się lekki wiatr, a noc zmieniła się we wczesny, chłodny poranek.

Już czwarta, pomyślała Joanna. O tej porze przybyła *Carpathia*, pokonawszy pełną parą pięćdziesiąt osiem mil w trzy godziny, zabójcze tempo. Ludzie w łodziach ratunkowych ujrzeli statek w ciemnoszarym przedświcie, najpierw światła, a potem wysoki komin wyrzucający dym. Chociaż Joanna bardzo uważnie wpatrywała się na południowy zachód, nie dostrzegała ani światła, ani dymu.

Pomyślała, że nic tam nie ma, ale w miarę, jak jaśniało, coraz lepiej widziała postrzępiony horyzont, jakby zniekształcony daleką linią gór. Obudziła się w niej nadzieja. To Błogosławione królestwo, uznała. Albo Wyspa Avalon.

– Może jednak jesteśmy uratowani – powiedziała, spoglądając na psa. W tej samej chwili przekonała się, że nie trzyma w rękach francuskiego buldoga, tylko dziewczynkę z pożaru cyrku w Hartford, Małą Panienkę 1565. Miała usmoloną twarz, a jej loki pokrywał popiół.

– Nigdy nie miałam psa – oświadczyła dziewczynka. – Jak się nazywa?
– Joanna ujrzała w jej ramionach francuskiego buldoga.

Potem strzepnęła z jej włosów płatek popiołu.

– Nie wiem – stwierdziła.

– W takim razie nadam ci imię. – Mała zwróciła się do pieska i uniosła go w górę, usmarowanymi dłońmi obejmując go w talii. – Nazwę cię Ulla.

Ulla.

– Kim jesteś? – zaciekała się Joanna. – Jak masz na imię? – Ze strachem czekała na odpowiedź. Oby nie Maisie. Żeby tylko nie miała na imię Maisie.

– Nie wiem – odparła dziewczynka, unosząc psa za łapy. – Umiesz robić sztuczki, Ulla? Pies w cyrku potrafił skakać przez obręcz. Miał fioletową obrózkę. W takim kolorze.

Wskazała palcem, a Joanna spostrzegła, że niebo przybrało lawendową barwę, a wokół unosiły się na wodzie błyszczące, fioletoworóżowe góry lodowe.

– Pole lodowe – mruknęła Joanna i zapatrzyła się na hiacyntową wodę.

Siedziały na fortepianie z restauracji A La Carte. Szerokie, orzechowe wieko instrumentu unosiło się stabilnie na powierzchni. Na podpórce wciąż stały otwarte nuty.

– Zdaje się, że fortepiany jednak pływają – stwierdziła Joanna i przekonała się, że klawiatura się zanurzyła. W lawendowej wodzie klawisze połyskiwały bladoróżowo i czarno.

– W cyrku była tuba – oznajmiła dziewczynka. – I wielki bęben. Czy *Carpathia* przyplynie nam na ratunek?

Joanna pomyślała, że nie, pomimo wody i gór lodowych nie znajdują się bowiem na Atlantyku. Zresztą nawet gdyby tam byli, i tak zrobiło się zbyt późno. *Carpathia* przybyła na długo przed świtem.

Wchodzące słońce zabarwiało niebo, lód i wodę na różowo, aby po chwili zalać wschód światłem. Góry lodowe rozbłysły męzną bielą. Joanna pomyślała, że może właśnie to widzieli pacjenci pana Mandrake'a. Wierzyli, że objawił się im Świetlisty Anioł, lecz się mylili. Pojawiało się przed nimi pole lodowe, błyszczące jak brylanty, szafiry i rubiny w oślepiającym świetle słońca.

– Skacz! – rozkazała dziewczynka. Złączyła ręce, tworząc koło. – Skacz!

Buldog wpatrywał się w nią z zainteresowaniem, przechyliwszy głowę na bok.

Dziewczynka opuściła ręce.

– Co się stanie, kiedy *Carpathia* tu dopłynie? – spytała.

Carpathia tu nie dotrze, odparła w myślach Joanna. Za daleko dla niej. Nikt tu nie przyplynie, aby nas uratować, bo jesteśmy za daleko.

– Kiedy pasażerowie wchodzą na pokład, ich nazwiska są zaznaczane na liście – oświadczyła dziewczynka. Ściągnęła z włosów wstążkę i zawiązywała ją na szyi psa. – Co im powiem, gdy spytają: „Jak się nazywasz, maleńka?” – Zaplątała nadpaloną na końcach wstążkę w ozdobną kokardę. – Jak ktoś nie zna swojego nazwiska, nie wpuszczają go na statek.

Joanna znowu pomyślała, że to bez znaczenia, bo *Carpathia* nie przyplynie, ale powiedziała:

– A może nadam ci imię, tak samo jak ty nadałaś Ulli?

– A jakie imię? – spytała sceptycznie dziewczynka.

Na pewno nie Maisie, uznała Joanna. Może imię jakiegoś dziecka, które płynęło *Titanikiem*. Lorraine. Tylko że Lorraine Allison utonęła. Była jedynym dzieckiem z kajut pierwszej klasy, którego nie uratowano. Na pewno nie Lorraine. To nie może być imię dziecka zmarłego podczas katastrofy. Nie Beatrice Sandstorm ani Nina Harper, ani Sigrid Anderson.

Dziewczynka z *Lusitanii*, oddzielona od matki – jak ona się nazywała? Ocalił ją ktoś obcy. „Wrzucił ją do łodzi”, w głowie Joanny rozległ się głos Maisie. „Potem za nią wskoczył i się uratowali”.

Helen. Miała na imię Helen.

– Helen – oznajmiła Joanna. – Dam ci na imię Helen.

Dziewczynka złapała psa za przednią łapę.

– Jak się masz? – spytała zwierzę. – Mam na imię Helen. – Obniżyła głos. – Jak się masz? Jestem Ulla. – Puściła łapę psa. – Leżeć, Ulla! – przykazała. – Zdechł pies!

Skołowany buldog usiadł, uniósł ucho. Wiatr, który się zerwał wraz ze świtem, ucichł. Gładka jak szkło tafla wody zupełnie zamarła, lecz niebo się nie zmieniło. Pozostało różowe, połyskując na powierzchni morza, na lodzie i na lakierze orzechowej kłapy fortepianu.

– Waruj! – rozkazała dziewczynka. Pies posłusznie znieruchomiał, podobnie jak niebo, woda i morze.

Minęła dłuższa chwila. Helen przestała uczyć psa sztuczek i wzięła go na kolana. Woda całkowicie się wygładziła, upodabniając się do różowego nieba. Słońce jednak nie wzeszło, a na horyzoncie nie pojawił się statek.

– Czy to wciąż doświadczenia graniczne? – zainteresowała się Helen. Postawiła psa na fortepianie i pochyliła się nad wodą, wpatrując się w głębinę.

– Nie wiem.

– Dlaczego wciąż tu siedzimy?

– Nie wiem.

– Założę się, że to cisza morska – zdecydowała Helen, leniwie przesuwając dłoń po nieruchomej wodzie. – Zupełnie jak w tym wierszu.

– Jakim wierszu?

– No tym, z ptakiem.

– W *Pieśni o starym żeglarzu*? – Joanna przypomniała sobie słowa pana Briarleya: „Wbrew powszechnie panującemu przekonaniu, *Pieśń o starym żeglarzu* nie jest wierszem pełnym porównań, aliteracji i onomatopei. Nie chodzi w niej również o albatrosy i niecodzienną pisownię. To wiersz o zmartwychwstaniu”.

I o czyścicu, dopowiedziała w myślach Joanna. Pograżony w wiecznej ciszy morskiej statek z martwą załogą. „Sam pozostałem, sam, sam jeden na wielkim wód rozłogu!” Zastanawiała się, czy ten statek był naprawdę miejscem kary i pokuty. W *Pieśni o starym żeglarzu* spadł deszcz, a bryza zmyła grzech, uwalniając załogę. Joanna rozejrzała się po niebie, lecz nie dostrzegła chmur ani wiatru. Panowała śmiertelna cisza.

– Dlaczego pograżyliśmy się w ciszy morskiej? – zapytała Helen.

– Nie mam pojęcia.

– Jestem pewna, że na kogoś czekamy.

Joanna wyraziła w myślach życzenie, aby tym kimś nie była Maisie.

– Musimy na kogoś czekać – ciągnęła dziewczynka, leniwie przesuwając dłoń po różowej wodzie. – Inaczej coś by się stało.

Coś się działo. Światło się zmieniało, nierówne wierzchołki gór lodowych zmieniły barwę z różowych na brzoskwiniowe, morze z różowego stało się koralowe. Słońce zachodzi, uznała Joanna, chociaż słońce nie świeciło. Świat rozjaśniało różowe równomierne światło.

– Co się dzieje? – Helen przysunęła się do Joanny.

– Robi się ciemno. – Joanna z nadzieją pomyślała o jasnych, błyszczących gwiazdach.

Helen pokręciła głową, kołysząc czarnymi lokami.

– Nie – zaprzeczyła. – Robi się czerwono.

Nie myliła się. Woda stawała się czerwona jak płaskowyże z piaskowca, jak kaniony.

– W cyrku zrobiło się czerwono – dodała Helen. – Wszędzie.

Joanna otoczyła ramieniem dziewczynkę i psa, przytuliła ich do siebie, osłaniając przed niebem.

– Żeby tylko nie Maisie – szepnęła. – Błagam.

Niebo czerwieniało, aż wreszcie przybrało barwę ognia, krwi. Czerwień katastrofy.

Rozdział 58

„Już dobrze, maleńka. Ty popłyniesz. Ja zostanę”.

Ostatnie słowa, które wypowiedział do Mary Marvin jej mąż, Daniel, umieszczając ją w jednej z łodzi ratunkowych *Titanica*

Maisie dotrzymała słowa. Nie wcisnęła przycisku na swoim pagerze, chociaż doktor Wright nie pojawił się u niej bardzo długo.

Po tygodniu zaczęła się martwić, że może coś mu się stało, tak samo jak Joannie, więc poprosiła siostrę Lucille, by zadzwoniła do niego. Stwierdziła, że musi mu zadać pytanie związane z pagerem. Pielęgniarka poinformowała ją, że Richard nie może przyjść, gdyż pracuje nad czymś ważnym. Zasugerowała natomiast, aby obejrzała film na wideo.

Maisie odparła, że nie chce, ale siostra Lucille i tak włączyła *Dźwięki muzyki*. Zawsze puszczała ten film, za każdym razem. To była ulubiona kasetka siostry Lucille, pewnie dlatego, że bardzo przypominała te pomarszczone, stare zakonnice.

Wreszcie zjawiała się Kit. Wyglądała bardzo ładnie i sprawiała wrażenie podekscytowanej.

– Czy doktor Wright rozmawiał z panem Mandrakiem? – spytała Maisie.

– Tak – odparła Kit. – To jest prezent od Richarda... doktora Wrighta. Powiedział, że chce ci w ten sposób podziękować za poinformowanie go o panu Mandrake’u. – Wręczyła dziewczynce paczuszkę, owiniętą w czerwony papier i wyglądającą jak kasetka wideo.

– Co mówił pan Mandrake? – dopytywała się Maisie. – Na pewno rozmawiał z panią Joanną, prawda? Powiedziała mu to, czego chciał się dowiedzieć doktor Wright?

– Rozpakuj prezent, a ja ci wszystko opowiem. – Kit podeszła energicznie do drzwi i zasunęła zasłony. – Doktor Wright chciał, żebyś go rozpakowała i schowała, zanim zjawi się twoja mama.

– Naprawdę? Co to takiego? – Zdarła papier. – *Hindenburg!* – westchnęła zadowolona, wpatrując się z przejęciem na umieszczone na pudełku zdjęcie płonącego sterowca.

– Doktor Wright prosił, żeby cię uprzedzić, że film nie do końca odpowiada prawdzie historycznej. Powiedział, że autorzy zmienili zakończenie, aby ocalić psa.

– Wszystko jedno! – Maisie przycisnęła kasetę do piersi. – Jest fantastyczny!

– Gdzie mam go schować? – zainteresowała się Kit.

– Niech pani weźmie jedną z kaset na dolnej półce nocnej szafki. Nie, nie *Tajemniczy ogród*. Siostra Evelyn uwielbia ten film. Włącza go za każdym razem, gdy ma dyżur.

– Może być *Kubuś Puchatek*?

– Tak, w porządku.

Kit wręczyła jej plastikowe pudełko. Maisie wyciągnęła rękę z kasetą z *Hindenburgiem*.

– Może pani rozpakować? – spytała, a sama wyciągnęła taśmę z *Kubusiem Puchatkiem*.

Kil zdarła celofan i oddała pudełko dziewczynce, która wysunęła taśmę, włożyła ją do opakowania po *Kubusiu Puchatku* i oddała Kit kasetę z filmem dla dzieci.

– Proszę położyć na samym dnie – poleciła.

Kit ukryła pudełko pod stosem kaset.

– Rozumiem, że to mam zabrać ze sobą? – Wskazała puste pudełko po *Hindenburgu*. Maisie skinęła głową. – Wiesz co, Maisie? – spytała poważnie Kit. – Kiedy dostaniesz nowe serce, będziesz musiała przestać kłamać i oszukiwać swoją mamę.

– Co mówił pan Mandrake? – Maisie nie dawała za wygraną. – Powiedział doktorowi Wrightowi, czego się dowiedział od pani Joanny?

– Nie. Ale Richard i tak się wszystkiego domyślił. Joanna chciała nam przekazać, że doświadczenia graniczne to pewnego rodzaju SOS. To taka wiadomość, wysyłana przez mózg do różnych substancji chemicznych w mózgu, aby odnaleźć tę właściwą, która przekaże sercu i płucom sygnał wznowienia pracy.

– Po tym, jak pacjent straci przytomność i trzeba go reanimować.

– No właśnie. Richard teraz to wie, więc może opracować metodę aplikowania tych samych substancji, żeby...

– Czyli naprawdę zna sposób reanimowania ludzi? – Maisie nie starała się ukryć podniecenia. – Ja sama to przecież wymyśliłam.

Kit pokręciła przecząco głową.

– Jeszcze nie, ale nad tym pracuje. Już stworzył prototyp, który należy poddać odpowiednim testom. – Przybrała poważny wyraz twarzy. – Ale nawet jeśli ten lek podziała...

– Nie zawsze będzie czas na jego podanie – dopowiedziała Maisie, bojąc się, że Kit skłamię i powie: „Ależ oczywiście, że podziała”, lecz na szczęście nie zamierzała jej oszukiwać.

– Chciał, żebyś wiedziała, że bez względu na to, co się stanie, dokonałaś czegoś ważnego. Pomogłaś w odkryciu leku mogącego ocalić wiele istnień ludzkich.

Kilka dni później wpadł także Richard i zadał pielęgniarce masę pytań na temat wagi Maisie i temu podobnych. Właściwie wcale z nią nie rozmawiał, ale gdy wychodził, rzucił okiem na telewizor i spytał:

– Widziałaś ostatnio jakieś ciekawe filmy?

– Tak! – wykrzyknęła. – Oglądałam jeden taki naprawdę świetny film, tylko że zamiast owczarka niemieckiego wystąpił w nim dalmatyńczyk. Poza tym pominięto faceta po doświadczeniach granicznych, ale reszta jest fantastyczna. Najbardziej podoba mi się ta część, w której jeden pan wypuszcza psa.

Oglądała go w kółko. Roznosicielowi posiłków kazała puścić film po kolacji, a salowa z nocnej zmiany musiała go wyłączać przed ciszą nocną.

Czasami Maisie nie miała ochoty na telewizję ani na nic innego. Z trudnością oddychała i cała puchła pomimo dopaminy. Jej kardiolodzy stwierdzili, że należy jej podawać dobutaminę, dzięki czemu poczuła się nieco lepiej i mogła rozmawiać z Kit, kiedy ta przyszła z wizytą.

– Wciąż masz swój pager? – spytała Kit.

– Tak. – Maisie pokazała identyfikator, do którego przypięła urządzenie.

– Musisz go stale przy sobie nosić. To ważne – podkreśliła Kit. – Jeśli poczujesz, że możesz stracić przytomność, albo usłyszysz piszczenie systemu kontroli pracy serca, wciśnij przycisk. Nie czekaj, tylko wciśnij go od razu.

– A jeśli właściwie nic mi się nie stanie? Będę miała kłopoty?

– Nie. Nic ci nie grozi. Po prostu wciśnij guzik, a potem staraj się trzymać. Doktor Wright przyjdzie natychmiast.

– A jeśli nie będzie go w szpitalu?

– Na pewno będzie w szpitalu.
– Ale może się znajdować zbyt daleko, jak *Carpathia* – upierała się Maisie. – To bardzo duży szpital.

– Doktor Wright zna wszystkie skróty – zapewniła ją Kit.

Richard przyszedł wraz z trzema kardiologami Maisie oraz prawnikiem jej matki. Spytał dziewczynkę, jak się miewa, obejrżeli jej wyniki badań, a potem wyszli na korytarz. Maisie słyszała, jak rozmawiają, chociaż byli zbyt daleko, aby dało się zrozumieć, o czym mówią. Najpierw doktor Wright przez chwilę o czymś opowiadał, potem jej kardiolog mówił bardzo długo, a wreszcie głos zabrał prawnik i gadał bez przerwy. Na koniec wręczył im mnóstwo papierów i wszyscy sobie poszli.

Dwa dni później do Maisie przysła Vielle. Ona także miała przy sobie pager.

– Nie mogę pracować na oddziale nagłych wypadków, dopóki nie poprawi się stan mojej ręki – wyjaśniła niespecjalnie niezadowolona. – Wysłano mnie tutaj, żebym się tobą zajęła. – Co to takiego? – Wykrzywiła się. – *Dźwięki muzyki!* Okropieństwo. Zawsze uważałam, że Maria jest zbyt pogodna. Nie masz tu jakichś przyzwoitych filmów? Zdaje się, że będę musiała przynieść kilka własnych.

Vielle dotrzymała obietnicy, lecz Maisie i tak nie obejrzała nowych kaset, gdyż jej mama postanowiła spędzać z nią więcej czasu i zostawała nawet na noc. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż dziewczynka była zbyt zmęczona, aby się skupić na oglądaniu filmów, nawet *Dźwięków muzyki*. Po prostu leżała i rozmyślała o Joannie.

Lekarze bez przerwy zabierali ją na badania EKG. Któregoś razu, kiedy ją układano na łóżku, ktoś przypadkowo wcisnął przycisk pagera i zbiegło się około setki lekarzy i pielęgniarek, zespół reanimacyjny, a dwie minuty później zjawił się zadyszany doktor Wright. Od tego czasu Maisie przestała się tak bardzo przejmować, ale wciąż czuła się fatalnie. Miała trudności z oddychaniem, nawet przy założonej masce tlenowej, i bardzo bolała ją głowa.

Gdy zjawili się jej kardiolodzy, usłyszała, że zostanie podłączona do specjalnej pompy, która wspomogę pracę jej serca.

– Chodzi o lewokomorowe czy dwukomorowe urządzenie wspomagające? – spytała rzeczowo.

– Lewokomorowe – brzmiała odpowiedź, lecz w końcu zrezygnowano z pomysłu.

– Lekarze uznali, że trzeba poczekać, aż się lepiej poczujesz – wyjaśniła jej mama. – Zresztą twoje nowe serce zjawi się tutaj lada dzień.

– Czy rozcinają klatkę piersiową, kiedy wkładają choremu nowe serce? – Maisie spytała Vielle, kiedy ta przyszła sprawdzić jej objawy czynności życiowych.

– Tak – potwierdziła pielęgniarka. – Ale to nie boli.

– A do rąk podłączają kroplówki i tak dalej?

– Zgadza się, ale chory jest pod całkowitym znieczuleniem. Nie odczuwa się bólu.

– Mogę dostać trochę taśmy samoprzylepnej? – spytała Maisie. – I nożyczki?

Kiedy pani Nellis poszła do bufetu na kolację, Maisie zdjęła identyfikator i zabrała się do pracy.

Następnego dnia jej mama oświadczyła:

– Kochanie, musisz myśleć wyłącznie o przyjemnych rzeczach. Powinnaś sobie powiedzieć: „Moje nowe serce zjawi się w najbliższych dniach i wówczas wyzdrowieję i zapomnę o niewygodach. Znowu pójdę do szkoły i zagram w piłkę!” Nieco później zjawiała się Vielle i oznajmiła:

– Słonko, musisz jeszcze poczekać. – Ale Maisie nie dała rady. Była zbyt zmęczona, nie miała nawet tyle siły, aby wcisnąć przycisk na swoim specjalnym pagerze. Znalazła się w tunelu.

Tym razem nie otaczały jej dym ani światło. W tunelu panowały kompletne ciemności. Maisie wyciągnęła rękę, starając się wymacać ścianę, i dotknęła wąskiego metalowego pręta. Obok niego nie wyczuła nic, lecz nieco dalej dotknęła kolejnego pręta, sterczącego pod innym kątem, a za nim jeszcze jednego.

– Założę się, że to *Hindenburg* – stwierdziła. – Idę o zakład, że znalazłam się wewnątrz sterowca. – Spojrzała do góry, starając się obejrzeć wnętrze wielkiego srebrnego balonu, lecz było zbyt ciemno. Poza tym nie stąpała po stalowym podeście, tylko po czymś miękkim i szerokim. Nawet kiedy chwyciła metalowy pręt i jak najdalej rozpostarła ręce, po drugiej stronie tunelu nie wyczuwała niczego.

A zatem to nie *Hindenburg*, uznała, lecz nie ośmieliła się puścić pręta z obawy przed upadkiem, w razie gdyby to jednak był sterowiec.

Powoli szła dalej, ostrożnie posuwając się po miękkiej podłodze i chwytając się kolejnych prętów. Po kilku minutach pręty się skończyły i nie

miała za co złapać. Pomyślała, że pewnie znalazła się na krańcu tunelu. Wyteńczyła wzrok, usiłując cokolwiek dojrzeć w mroku.

Nagle jej oczy bezlitośnie oślepiło światło. Podniosła dłoń, aby zasłonić twarz, lecz jasność była zbyt silna.

„To wybuch!”, pomyślała.

Światło nagle się przesunęło. Widziała jego długi snop, kołyszący się jak strumień światła z latarki. Rozbłyskiwały w nim drobinki kurzu. Zakołysało się, kreśląc łuk i oświetlając znajdujące się za nią pręty. Przekonała się, że jest pod pełną ludzi widownią. Wysoko nad tunelem, w którym stała, połyskiwał i czerwono-złoty napis: „Wejście główne”.

Światło przesunęło się przed nią, zatrzymało i oświetliło mężczyznę w bieli, stojącego na okrągłym podwyższeniu. Nieznajomy miał białe buty i cylinder. Reflektor go minął i zatoczył wokół niego krąg.

– Paaanie i panowie! – oznajmił donośnie mężczyzna. – Uprzejmie proszę o zwrócenie uwagi na środek areny!

– Ta część podoba mi się najbardziej – skomentował ktoś. Maisie się odwróciła. Obok niej stała dziewczynka. Miała na sobie białą sukienkę i wielką niebieską chustę. W ręku trzymała różową watę cukrową w papierowym rożku.

– Mam na imię Pollyanna – przedstawiła się dziewczynka. – A ty?

– Maisie.

– Uwielbiam cyrk, a ty, Mary? – Pollyanna skubnęła odrobinę waty.

– Nie Mary – sprostowała Maisie. – Maisie.

– Paaanie i panowie! – krzyknął bardzo głośno konferansjer. – A teraz, dla państwa rozrywki, przedstawimy numer tak niesamowity, tak wspaniały i tak zadziwiający, że jeszcze nigdzie nie próbowano go odgrywać. – Dramatycznym gestem wyciągnął bicz w kierunku niewielkiej platformy na szczycie wąskiej drabiny. Światło z reflektora ponownie się zakołysało i oświetliło podest, na którym stali ludzie w wymyślnych, białych kostiumach.

Maisie zapatrzyła się w nich z otwartymi ustami. Stali tak wysoko, że przypominali lalki Barbie. Ich kostiumy połyskiwały w przydymionym, niebieskawym świetle reflektora.

– ...czarodzieje podniebnych akrobacji – ciągnął konferansjer. – Bohaterowie sztuk na linie!

Orkiestra zagrała fanfary, a Maisie opuściła głowę, aby sprawdzić, gdzie siedzą muzycy. Zajęli miejsca na wielkim białym podium, a mieli na sobie

jasnoczerwone marynarki ze złotymi naszywkami na ramionach. Jeden z członków orkiestry grał na tubie.

– Spójrz! – Pollyanna wskazała coś swoją wata cukrową. Maisie znowu podniosła wzrok. Akrobaci kłaniali się i uśmiechali, jedną ręką machając, a drugą trzymając się drabiny.

– Z dumą przedstawiamy... – mówił konferansjer – odważną, niesamowitą, nie z tego świata... – Urwał, a orkiestra zagrała kolejne fanfary. – ...nie lękając się śmierci... rodzinę Wallendów!

– O nie – jęknęła Maisie.

Orkiestra zagrała wolną, przyjemną melodię, a jedna z akrobatek chwyciła długą białą tyczkę i weszła na koniec wysoko zawieszanej liny. Dziewczyna miała krótkie, jasne włosy, takie jak Kit.

– Musisz zejść! – wrzasnęła do niej Maisie.

Akrobatka ruszyła po linie, utrzymując równowagę za pomocą tyczki.

– Za chwilę dojdzie do katastrofy! – krzyczała Maisie. – Wracaj, wracaj!

Dziewczyna szła dalej, ostrożnie, bardzo ostrożnie stawiając stopy w miękkich białych butach. Maisie odchyliła głowę, usiłując dojrzeć wierzchołek namiotu. Ujrzała pozostałych członków rodziny Wallendów, czekających na swoją kolej, aby wejść na linę. Maisie niczego nad nimi nie dostrzegła, jakby dach nie istniał, a zamiast niego rozpościerało się czarne niebo.

Gdyby to było niebo, widziałabym gwiazdy, pomyślała i w tej samej chwili ujrzała jedną z nich. Migotała wysoko ponad głowami linoskoków, drobny biały punkcik światła. Może wszystko jest w porządku, zawahała się Maisie, wpatrując w gwiazdę. Ponownie zamigotała, a potem rozblęysła jasno, znacznie jaśniej niż reflektor, i przybrała kolor czerwony.

– Pożar! – wrzasnęła Maisie, lecz Wallendowie nie zwrócili na nią uwagi. Akrobatka dotarła do środka liny. Następny w drogę wyruszył mężczyzna.

Maisie, najszybciej jak mogła, przebiegła przez środek areny, chociaż jej nogi grzęzły w trocinach.

– Pali się dach namiotu! – krzyczała, lecz orkiestra również nie zwróciła na nią uwagi.

Popędziła do dyrygenta.

– Musi pan zagrać melodię alarmową! – wrzeszczała bez tchu. – To będzie oznaczało, że cyrk jest w niebezpieczeństwie! *Gwiazdy i pasy na zawsze.* – Niech pan patrzy! – Maisie szarpnęła go za rękaw i wskazała

palcem ogień. Paliła się lina pod dachem namiotu i wyglądała teraz jak nierówna czerwona kreska.

– Schodźcie! – krzyknęła do Wallendów, pokazując płomienie. Jeden z linoskoczków dostrzegł ogień i wskoczył na drabinę, aby zejść. Dziewczyna przypominająca Kit wciąż stała na środku liny. Jakiś akrobata rzucił jej linę. Złapała ją, puściwszy tyczkę, szybko objęła sznur nogami i zsunęła się na ziemię.

– Pożar! – wrzasnął ktoś z widowni i wszyscy ludzie podnieśli głowy, otwierając usta zupełnie jak Maisie. Po chwili konsternacji tłum rzucił się do wyjścia.

Paliła się lina, po której chodzili akrobaci, płonęło olinowanie cyrku, płomienie rozprzestrzeniały się nierównomiernie. Maisie pomyślała, że przypominają wiadomość. SOS. Ktoś chwycił dziewczynkę za ramię. Odwróciła się i ujrzała Pollyannę.

– Musimy się stąd wydostać! – krzyknęła Pollyanna, ciągnąc Maisie przez arenę ku głównemu wejściu.

– Tędy się nie przedostaniemy! – sprzeciwiła się Maisie. – Drogę blokuje korytarz dla zwierząt.

– Pośpiesz się, Molly! – popędzała Pollyanna.

– Nie Molly, tylko Maisie! – zaprotestowała Maisie, lecz orkiestra zagrała *Gwiazdy i pasy na zawsze* i Pollyanna jej nie dosłyszała.

– Patrz – przykazała Maisie, sięgając ręką do szyi. – Mam na imię Maisie. Przeczytaj sobie na moim identyfikatorze.

Identyfikator znikł. Maisie z niepokojem zaczęła się obmacywać po szyi. Pewnie spadł, kiedy stała przy wejściu i oglądała Wallendów.

– Słuchaj, Margie, czy jak ci tam, lepiej stąd uciekajmy! – Pollyanna chwyciła Maisie za rękę.

– Nie! – sprzeciwiła się dziewczynka i wyrwała rękę z uścisku Pollyanny. – Muszę go znaleźć! – Pobiegnęła z powrotem przez ring. – Jeśli tego nie zrobię, wówczas jak znajdą moje ciało, nikt się nie domyśli, kim jestem.

– Przecież mówiłaś, że tamtędy się nie wydostaniemy – zawołała Pollyanna. – Twierdziłaś, że tamtędy nie można...

– Elektrody – stwierdził kardiolog i wstrząs elektryczny gwałtownie podrzucił ciało dziewczynki, lecz najwyraźniej to nic nie dało, bo na monitorze, kontrolującym pracę serca, wciąż widniała prosta linia.

– Dobrze – zdecydował kardiolog. – Jeśli może pan cokolwiek zrobić, to tylko teraz.

– Podać theta-asparcyne. Podać acetylocholinę – zakomenderował doktor Wright.

– Trzymaj się, kochanie – szepnęła Vielle. – Nie opuszczaj nas. – Maisie musiała jednak znaleźć swój identyfikator. Nie leżał w głównym wejściu, więc opadła na kolana i zanurzyła dłonie w trocinach, przesypując je między palcami.

Obok przebiegła kobieta, zasypując trocinami ręce Maisie.

– Niech pani... – zaprotestowała dziewczynka, lecz minęła ją jakaś nastolatka i mężczyzna z małym chłopcem na rękach. – Przestańcie! Przeszkadzacie mi! Muszę znaleźć identyfikator!

Nikt jej nie słuchał. Mijali ją, wbiegając w ciemności tunelu.

– Nie uciekniecie tamtędy! – Maisie złapała nastolatkę za spódnicę. – Tam jest korytarz dla zwierząt!

– Pali się! – wrzasnęła dziewczyna i szarpnęła się tak mocno, że rozerwała spódnicę.

– Trzeba uciekać przez wejście dla artystów! – krzyknęła Maisie, lecz nastolatka zniknęła już w mroku, a za nią podążył tłum ludzi, wzniecając kurz z trocin, kopiąc je i depcząc Maisie po dłoniach.

– Nie możecie mi przeszkadzać – poskarżyła się dziewczynka, drugą ręką ściskając poranione palce. Z trudem stanęła na nogach. – Tędy nie wyjdziecie! – krzyknęła i podniosła ręce, aby zatrzymać ludzi, ale nikt jej nie słyszał. Wszyscy wrzeszczeli i piszczeli tak głośno, że zagłuszali nawet orkiestrę grającą *Gwiazdy i pasy na zawsze*. Potykali się o Maisie, odpychali ją, wciskali do ciemnego i zadymionego tunelu.

Ktoś popchnął klęczącą dziewczynkę. Upadła twarzą do ziemi, wyciągając ręce i chwytając się prętów. Czuła, jak tłoczący się ludzie zgniatają jej klatkę piersiową.

– Otworzyć klatkę! – rozległ się wrzask.

– Nie! Wtedy wydostaną się lwy i tygrysy! – usiłowała krzyknąć, ale dym stawał się zbyt gęsty, tłum miażdżył jej zebra. Wiedziała, że jeśli się nie wydostanie, ludzie przepchną ją między prętami.

Zaczęła się wspinać na okratowany korytarz dla zwierząt, podciągając się raz jedną, raz drugą ręką, uciekając od napierających ludzi. Gdyby udało się jej dostać na samą górę korytarza, może dotarłaby jakoś do drzwi.

Nie potrafiła jednak wejść tak wysoko. Wspinała się i wspinała, lecz wciąż miała przed sobą pionowe pręty. Podciągała się raz za razem, jak najdalej od wrzeszczącego motłochu, aż wreszcie usłyszała muzykę. Rozlegała się teraz inna melodia, niemieckiej piosenki, takiej samej, jaką słyszała w *Dźwiękach muzyki*. Nie grała jednak orkiestra, tylko ktoś na fortepianie o delikatnym, przytłumionym brzmieniu, przypominającym dźwięk instrumentu z *Hindenburga*.

A zatem się omyliła. To jednak był *Hindenburg*. Nie znalazła się na okratowanym korytarzu dla zwierząt, lecz wewnątrz stalowej konstrukcji balonu. Musiała się mocno trzymać, gdyż mogła spaść z wysokości. Tak samo jak Ulla.

Gdzieś w dole, w New Jersey, dzieci zgromadziły się pod klatką, wrzeszcząc.

– Nie wydostaniecie się tamtędy! – krzyknęła do nich. Otaczały je płomienie, buchały w górę jak gejzery, tak jasne, że nie dało się na nie patrzeć. Maisie wiedziała, że jeśli puści pręty, będzie spadała i spadała, a wtedy nikt nie pozna jej prawdziwego imienia i nazwiska.

– Nazywam się Maisie, Maisie Nellis – przedstawiła się, lecz w jej płucach brakowało już tlenu, był tylko gęsty dym. Pręty się rozgrzały, wiedziała, że już długo nie wytrzyma, topiły się w jej rękach. Płomienie na ziemi stawały się coraz jaśniejsze, aż wreszcie zorientowała się, że to kwiaty jabłoni. Piękne kwiaty jabłoni w delikatnym odcieniu bieli.

Pomyślała, że jeśli na nie spadnie, nic jej nie będzie bolało. Nie mogła jednak puścić prętów. Nie wiedzieliby, jak się nazywa. Pochowano by ją w grobie oznaczonym numerem i nikt nigdy by się nie dowiedział, co się jej stało.

– Pani Joanno! – krzyknęła. – Pani Joanno!
– Bez zmian – stwierdził kardiolog Maisie.
– Zwiększyć dawkę acetylocholinę – zalecił doktor Wright.
– Minęły cztery minuty – przypomniał kardiolog. – To chyba już czas.
– Nie – sprzeciwił się doktor Wright. W jego głosie wyczuwało się lęk. – Daj spokój, Maisie, przecież świetnie potrafisz wszystko opóźnić. Teraz nadszedł czas na opóźnianie.

– Trzymaj się, kochanie. – Vielle ścisnęła mocno jej białą bezwładną dłoń. – Zaczekaj jeszcze trochę.

– Puść – powiedział ktoś z dołu. Maisie spojrzała niżej. Nie widziała niczego poza dymem.

– Po prostu puść – poleciał głos i z dymu wyłoniła się ręka w białej rękawiczce.

– Jest za daleko – zaprotestowała Maisie. – Muszę poczekać, aż *Hindenburg* zbliży się do ziemi.

– Nie ma na to czasu. Puść. – Ręka się przybliżyła. Maisie dostrzegła poszarpany czarny rękaw.

Dziewczynka zmrzyła oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek przez kłęby dymu, chcąc się przekonać, czy nieznajomy ma czerwony nos i czarny kapelusz.

– Jesteś Emmett Kelly? – zawołała do niego.

– Nie masz się czego bać, dzieciaku. Złapię cię. – Wyciągnął wysoko rękę, lecz i tak znajdował się strasznie daleko w dole. – Musimy cię stamtąd zabrać.

– Nie dam rady. – Przywarła do rozgrzanych prętów. – Kiedy mnie znajdą, nie będą wiedzieli, kim jestem.

– Ale ja wiem, kim jesteś, Maisie – zauważył. Puściła pręty i spadała, spadała, spadała.

– Brak pulsu – stwierdziła Vielle.

– Miała za bardzo uszkodzone serce – podsumował kardiolog. – Nie wytrzymało napięcia.

– Wstrząs – zakomenderował doktor Wright. – Jeszcze raz. Wstrząs.

– Minęło pięć minut.

– Więcej acetylocholiny.

Złapał ją. Nie widziała go w dymie, lecz wyczuwała pod sobą jego rękę. Potem nagle dym opadł i dostrzegła jego twarz – czerwony nos, domalowaną, brązową brodę, białe, wykrzywione do dołu usta.

– Naprawdę jesteś Emmettem Kellym. – Spoglądała na niego uważnie, chcąc dojrzeć prawdziwą twarz pod klaunowskim makijażem. – Prawda?

Postawił ją na trocinach, uniósł pognieciony kapelusz i śmiesznie się ukłonił.

– Mamy niewiele czasu – wyjaśnił. Dłonią w białej rękawiczce chwycił ją za rękę i pociągnął ku wejściu dla artystów.

Palił się cały dach cyrku, liny oraz słupy wspierające namiot. Wielki kawał płonącego płótna spadł tuż przed podestem dla orkiestry. Mężczyzna grający na tubie śmiesznie zgubił rytm, lecz nie przestał grać.

Emmett Kelly i Maisie przebiegli obok muzyków. Wielkie buciory klauna zabawnie klapały o ziemię. Obok Maisie przebiegł inny klaun w

śmiesznym kasku strażackim, ciągnąc za sobą węża z wodą. Minął ich także słoń i owczarek niemiecki.

Emmett Kelly prowadził Maisie dalej, odsuwając ją na bok, aby nie wpadła pod kopyta białego konia z płonącym ogonem.

– Tu jest wejście dla artystów. – Wskazał drzwi, ukryte za czarną zasłoną. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Nagle stanął, silnym szarpnięciem zatrzymując także Maisie.

– Dlaczego stoimy? – sprzeciwiła się dziewczynka i w tej samej chwili zawalił się jeden z płonących słupów, grzebiąc pod sobą wejście dla artystów i drabinę, na której stała rodzina Wallendów. Na wierzch opadł ogarnięty płomieniami dach cyrku, wzniecając chmurę iskier i dymu.

– Nie mamy drogi ucieczki! – krzyknął klaun w strażackim kasku.

– Owszem, mamy. Prawda, dzieciaku? – spytał Emmett Kelly. – Dobrze ją znasz.

– Przecież jedno wyjście się zawaliło, a drugie jest zablokowane przez korytarz dla zwierząt – zdziwiła się Maisie.

– Wiesz, jak stąd uciec. – Schylił się i złapał ją za ramiona. – Sama mi mówiłaś, pamiętasz? Kiedy oglądaliśmy twoją książkę.

– Namiot – przypomniała sobie Maisie. – Mogli się wydostać, wyczołgując się spod namiotu.

Emmett Kelly biegiem zaciągnął dziewczynkę pod przeciwległą ścianę cyrku.

– Na drugim końcu placu jest ogród zwycięstwa – poinformował ją po drodze. – Pójdiesz tam i zaczekasz na przybycie mamy.

– Nie idziesz ze mną? – Maisie spojrzała na niego zdziwiona.

Pokręcił głową.

– Tylko kobiety i dzieci.

Dotarli pod płócienną ścianę, przywiązaną do palików wbitych w ziemię. Emmett Kelly przykucnął w swoich za dużych spodniach i rozwiązał linę, a następnie podniósł płótno, aby Maisie mogła się wyczołgać.

– Masz pobiec do ogrodu zwycięstwa. – Uniósł płótno wyżej.

Maisie wyjrzała na zewnątrz. Na dworze było ciemno, ciemniej niż w tunelu.

– A jeśli się zgubię? – sprzeciwiła się i wybuchnęła płaczem. – Nikt się nie dowie, kim jestem.

Emmett Kelly wstał i wsunął rękę do jednej ze swoich podartych kieszeni. Wyciągnął z niej chustkę we fioletowe grochy. Chciał nią wytrzeć

oczy Maisie, lecz nie mógł, gdyż jej koniec wciąż tkwił w kieszeni. Pociągnął mocniej i wyszarpnął róg chustki, związany w wielki węzeł, łączący ją z czerwoną bandaną. Gdy wyciągnął bandanę, okazało się, że jest przywiązana do zielonej chustki, a ta z kolei do pomarańczowej.

Maisie się roześmiała.

Klaun wyciągał, wyciągał i wyciągał, robiąc coraz bardziej zdumioną minę. Wydobył jeszcze fioletową chustkę, a po niej żółtą i białą w kwiaty jabłoni. Na końcu tkwił łańcuszek z identyfikatorem Maisie.

Zawiesił go na szyi Maisie.

– A teraz biegiem – nakazał. – Wszystko tu się pali.

Nie mylił się. Dach namiotu stał w płomieniach, pożar ogarnął także miejsca dla publiczności, arenę i podium dla orkiestry.

Mimo to muzycy w czerwonych uniformach wciąż grali, dęli w trąbki i tuby. Przestali jednak grać *Gwiazdy i pasy na zawsze* i zastąpili ją bardzo wolną, smutną melodią.

– Co to takiego? – spytała Maisie.

– *Blżej Ciebie, Panie* – wyjaśnił Emmett Kelly.

– Tak jak na *Titanicu* – stwierdziła.

– Tak samo. To znaczy, że pora już iść.

– Nie chcę – zaprotestowała. – Chcę zostać z tobą. Dużo wiem o katastrofach.

– Właśnie dlatego musisz uciekać. Zostaniesz katastrofologiem.

– A dlaczego ty zostajesz?

– Muszę.

Spostrzegła, że klaun trzyma wiadro z wodą.

– Będiesz ratował ludziom życie – domyśliła się.

Uśmiechnął się pod swoim smutnym, namalowanym grymasem.

– Będę ratował ludziom życie – powtórzył, ponownie przykucnął i uniósł brzeg ściany namiotu. – A teraz idź już, dzieciaku. Musisz biec, jakby się paliło.

Maisie zanurkowała pod płótno i zatrzymała się na chwilę, ściskając identyfikator. Spojrzała na klauna.

– Wiem, kim jesteś – oświadczyła. – Wcale nie nazywasz się Emmett Kelly, prawda? To tylko metafora.

Klaun przyłożył do szerokich ust ukryty w rękawiczce palec i psyknął.

– Biegnij prosto do ogrodu zwycięstwa – przykazał.

Maisie uśmiechnęła się do niego.

– Nie nabierzesz mnie – stwierdziła. – Wiem, kim naprawdę jesteś.
Najszybciej jak mogła, pognała w ciemności.

Rozdział 59

„Trzymaj! Wspomnisz mnie, jeśli łódź zatonie”.

Słowa wypowiedziane do Minnie Coutts przez marynarza z *Titanica*,
który przekazał jej synkowi swoją kamizelkę ratunkową

Dwa dni po zakończonej sukcesem reanimacji Maisie, specjalny pager Richarda ponownie zapiszczał. Tym razem lekarz dotarł na oddział intensywnej opieki kardiologicznej równo w trzy minuty, a po drodze nie zastanawiał się, jakim obciążeniem dla organizmu dziewczynki mogą być dwie kolejne akcje ratunkowe i jak fatalne skutki uboczne ma nadmiar theta-asparcyny.

Kiedy wbiegał na oddział, ujrzał pogodnie uśmiechniętą Evelyn.

– Przywieźli jej nowe serce – oznajmiła. – Właśnie trwają przygotowania. Usiłowałam się z panem skontaktować.

– Otrzymałem wiadomość przez specjalny pager – stwierdził, wciąż nie do końca przekonany, czy nie doszło do tragedii.

– Maisie nalegała, żeby powiadomić pana i Vielle Howard. Zdaje się, że mała wzięła sprawy w swoje ręce – odparła z niezmaconym spokojem Evelyn.

Nie myliła się. Po operacji przeszczepu, trwającej osiem godzin i zakończonej pełnym powodzeniem, jedna z biorących w niej udział pielęgniarek opowiedziała Richardowi, że Maisie przylepiła taśmą do stopy swój identyfikator i zdenerwowała się, kiedy go zdjęto.

– A gdybym umarła? – pytała wzburzona, gdy tylko zdjęto jej aparat oddechowy. W rezultacie, pomimo niebezpieczeństwa iniekcji mogącej wystąpić po lekach immunosupresyjnych, przemyły środkiem dezynfekującym identyfikator pozwolono jej nosić na nadgarstku, „na wszelki wypadek”.

Matka Maisie zrobiła się zupełnie nieznośna po tym, jak wzmocniła się jej i tak niezachwiana wiara w pozytywne myślenie. Według słów

pielęgniarki, pani Nellis również chciała przekonać córkę do zdjęcia łańcuszka, lecz bezskutecznie.

– Jest mi potrzebny – stwierdziła krótko Maisie. – Mogą się zdarzyć komplikacje. A jeśli dostanę zakrzepu albo odrzucę nowe serce?

– Nic podobnego się nie stanie – sprzeciwiła się jej mama. – Wyzdrowiejesz i wrócisz do domu, a potem pójdiesz do szkoły. Zapiszę cię na lekcje baletu. – Richard nawet w najśmielszych marzeniach nie potrafił sobie tego wyobrazić, chyba że zajęcia częściowo poświęcono by jakiejś związanej z baletem powodzi lub erupcji wulkanu. – Poza tym zdrowo dorośniesz i będziesz miała własne dzieci.

– I tak kiedyś umrę. Każdy umiera prędzej czy później – odparła jak zawsze trzeźwo myśląca Maisie.

Po tygodniu, w którym lekarze dopuszczali do niej wyłącznie członków rodziny, Maisie przyjęła pierwszych gości. Odwiedzający musieli mieć na sobie papierowe fartuchy, nakładki na buty i maski. Wizyta nie mogła trwać dłużej niż pięć minut, a gości mogło być najwyżej dwoje. Oznaczało to, że każde spotkanie przebiegało pod nadzorem pani Nellis. W efekcie Maisie musiała się zachowywać znacznie powściągliwiej, lecz i tak opowiedziała Richardowi mnóstwo przerażających szczegółów związanych z operacją.

– Więc kiedy otworzyli mi klatkę piersiową – zademonstrowała – wycięli mi serce i wsadzili nowe. Wiedział pan, że przynoszą je w turystycznej lodówce, jak piwo?

– Maisie! – sprzeciwiła się jej mama. – Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Powinnaś podziękować panu doktorowi. Przywrócił ci przytomność, kiedy trzeba cię było reanimować.

– Zgadza się – potwierdziła Evelyn, która weszła, aby sprawdzić odczyty licznych urządzeń kontrolnych. – Doktor Wright ocalił ci życie.

– Nieprawda – zaprzeczyła Maisie.

– Wiadomo, że pan doktor nie przeprowadził operacji przeszczepu, jak doktor Templeton. – Pani Nellis sprawiała wrażenie zakłopotanej. – Niemniej dzięki niemu twoje poprzednie serce zaczęło znowu bić i można je było wymienić.

– Wiem, ale... – zaczęła Maisie.

– Wielu ludzi ciężko pracowało, aby ofiarować ci nowe serce – mówiła pani Nellis. – Twoje pielęgniarki z pediatrii i doktor...

– Maisie – odezwał się Richard, pochylając się nad łóżkiem. – Kto ci ocalił życie?

Maisie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz uprzedziła ją Evelyn.

– Wiem, kogo masz na myśli – oświadczyła, poprawiając kropłówkę. – Chodzi ci o osobę, która ofiarowała ci serce, prawda Maisie?

– Tak. – Maisie potwierdziła po chwili, a Richard pomyślał, że nie to chciała powiedzieć. – Szkoda, że nie wiem, jak się nazywał ten człowiek. Nikt mi nie chce nic powiedzieć, ani jak ten ktoś zmarł, ani nawet czy to był chłopiec czy dziewczynka.

– To dlatego, że lekarze nie chcą, abyś się czymkolwiek przejmowała – wyjaśniła pani Nellis. – Żeby wyzdrowieć, musisz myśleć tylko o przyjemnych sprawach.

– To, że żyję dzięki tej osobie, jest przyjemne – podkreśliła Maisie.

– A teraz wesołe tematy – zarządziła pani Nellis. – Powiedz panu doktorowi, co ci przyniósł doktor Murrow.

Doktor Murrow ofiarował Maisie ogromny srebrny balon z rysunkiem serca.

– W środku jest hel, a nie wodór, więc nie trzeba się przejmować, że wybuchnie jak *Hindenburg* – poinformowała Richarda Maisie i ponownie otrzymała polecenie, że ma rozmawiać o przyjemnych rzeczach.

W następnym tygodniu do balonu z sercem dołączyły inne srebrne balony z uśmiechniętymi buziami i pluszowymi misiami (na oddział intensywnej opieki kardiologicznej nie można było wносить zwykłych baloników ani kwiatów). Pokój Maisie wypełnił się lalkami, zwierzakami i gośćmi. Z pediatrii przyszła Barbara, a po wizycie wpadła do laboratorium, aby powtórzyć Richardowi, że Maisie chce się z nim spotkać i mu podziękować.

– Ocalił jej pan życie – stwierdziła, co przypomniało mu o tym, co Maisie powiedziała, a raczej co przemilczała podczas jego pierwszej wizyty.

Zastanawiał się, czy właśnie o tym chciała z nim porozmawiać dziewczynka.

– Czy jej matka była obecna podczas pani wizyty? – spytał Barbarę.

– Tak – potwierdziła i przewróciła oczyma. – Niech pan lepiej zaczeka z odwiedzinami. Kiedy wychodziłam, do pokoju zmierzał pan Mandrake. Na pana miejscu starałabym się go unikać. Ostatnio jest w podłym humorze z powodu Mabel Davenport.

– Mabel Davenport? Chodzi o panią Davenport? – spytał Richard. – Dlaczego? Co takiego zrobiła?

– To znaczy, że nic pan nie słyszał? – Nachyliła się konfidencjonalnie. – Nie uwierzy pan, co się stało. Jego nowa książka, *Wiadomości z Tamtej Strony*, wychodzi w przyszłym miesiącu.

– Zamilkła z wyczekiwaniem. – Dokładnie dwudziestego.

– Wspaniale – stwierdził Richard, zastanawiając się, dlaczego ta wiadomość wywołała u Barbary tak przebiegły uśmiech.

– No i?

– No i *Przekazy z zaświatów* wychodzą dziesiątego. Towarzyszyć im będzie ogólnokrajowa kampania promocyjna. Plotka głosi, że książka jest jeszcze bardziej odkrywczą niż dzieło pana Mandrake’a.

– *Przekazy z zaświatów*?

– Autorstwa Mabel R. Davenport. Pan Mandrake twierdzi, że wszystko zmyśliła. Z kolei ona głosi, że kazał jej opowiadać o rzeczach, których nigdy nie widziała, a poza tym nic nie zrozumiał z tego, co mu mówiła. Podobno Świetlisty Anioł nie istnieje, nie ma retrospekcji życia, tylko złocista aura, dająca moce parapsychiczne, które pani Davenport rzekomo posiada. Z jej słów wynika, że skontaktowała się z Houdinim i Amelią Earhart. Niemożliwe, aby pan o tym nie słyszał. Wiadomość o tym zdarzeniu obiegła wszystkie brukowce. Pan Mandrake się wściekł. Tak więc spotkanie z Maisie przełożyłabym raczej na dzisiejsze popołudnie.

Richard posłuchał tej rady, lecz kiedy wpadł do Maisie, zastał tam panią Sutterly. Odniósł wrażenie, że dziewczynka chciałaby porozmawiać z nim na osobności, więc tylko pomachał jej od drzwi i wrócił wieczorem, ale wtedy i przez kilka kolejnych dni w pokoju tłoczyli się goście, lekceważąc zasadę o dwóch odwiedzających na raz. Poza tym Richard również był zajęty. Musiał udać się na spotkanie z dyrektorem działu badań i rozważyć propozycje finansowania dalszych prac nad zastosowaniem theta-asparcyny. W rezultacie zadowolili się telefonicznym kontaktem z oddziałem intensywnej opieki kardiologicznej i wysłuchaniem informacji o stanie Maisie.

Wiadomości od pielęgniarek okazały się niemal równie optymistyczne jak wieści matki Maisie. Nic nie wskazywało na to, aby organizm dziewczynki odrzucił przeszczep, ilość płynu w jej płucach stale się zmniejszała. Poza tym Maisie powróciła do normalnych posiłków (o czym poinformował go Eugene, który jako osoba komponująca jadłospis Maisie, wziął osobistą odpowiedzialność za jej apetyt).

Kiedy Richard wpadł do niej z wizytą w poniedziałek, na miejscu zastał cały personel oddziału pediatrycznego, a we wtorek i w środę przy łóżku czuwała pani Nellis. Wreszcie w piątek przypadkiem spotkał matkę Maisie, kiedy opuszczała intensywną terapię, po drodze ściągając maskę i fartuch.

– Świetnie się składa, że spotykam pana doktora – pośpiesznie przywitała Richarda. – Muszę się zobaczyć z doktorem Templetonem i bałam się, że zostawię Maisie z... – Spojrzała wymownie w stronę drzwi do jej pokoju. – Ale wiem, że mogę panu zaufać, bo na pewno zadba pan o to, aby rozmowa miała optymistyczny i budujący charakter.

Wszedł do środka, zaciekawiony, przed kim ma bronić dziewczynkę. Miał nadzieję, że nie przed Mandrakiem. Na szczęście okazało się, że nie. Przy łóżku stał pan Wojakowski, w masce i w czapce baseballowej.

– ...i zrobił to, położył bombę prosto na środku pokładu startowego Shokaku – opowiadał pan Wojakowski.

– I już wtedy nie żył? – spytała rozentuzjasmowana Maisie.

– Już wtedy nie żył. Ale udało mu się to zrobić. – Pan Wojakowski podniósł wzrok. – Witam pana doktora. Właśnie opowiadałem Maisie o Jo-Jo Powersie.

– Nie wiedziałem, że się znacie – zdziwił się Richard.

– Pan Wojakowski zrobił identyfikator, który dostałam od pani Joanny – wyjaśniła Maisie. – Pływał na *Yorktown* i zna niesamowite historie.

Richard pomyślał, że nie da się zaprzeczyć. Poza tym zdaje się, że znalazł doskonałe audytorium. Szkoda, że nikt na to nie wpadł wcześniej.

– Zajrzałem tylko na moment – stwierdził Richard. – Chciałem sprawdzić, jak się miewasz.

– Bardzo dobrze – odparła. – Siostra Vielle przyniosła mi plakat z Aniołków Charliego, a prawnik mojej mamy dał mi ten balon. – Wskazała srebrny balonik z motylem. – Eugene dał mi to. – Wyciągnęła spod poduszki jaskraworóżową czapkę baseballową z fioletowym napisem: „Wróciłam z grobu i idę się bawić”. Richard się roześmiał.

– Wiem – powiedziała Maisie. – Uważam, że jest niesamowita, ale mama nie daje mi jej nosić. Mówi, że powinnam myśleć o pozytywnych rzeczach, a nie grobach i takich tam. Wszyscy mnie odwiedzili oprócz pani Kit. Nie mogła przyjść przez swojego wujka, ale powiedziała, że jutro dostanę od was wszystkich niespodziankę.

Naprawdę?, zdziwił się w myślach Richard.

– Co to takiego? – spytała Maisie. – Wydaje mi się, że mam już dość dużo balonów. I pluszowych misiów.

– To niespodzianka. Musisz poczekać do jutra. – Richard pomyślał, że zadzwoni do Kit i dowie się, o co chodzi.

– Zdaje się, że macie sobie sporo do powiedzenia, więc na mnie już pora – oświadczył pan Wojakowski.

– Niech pan poczeka! – zaprotestowała Maisie. – Musi mi pan opowiedzieć o ostrzelaniu *Yorktown*. – Odwróciła się do Richarda. – Japończycy myśleli, że okręt zatonął, więc trzeba go było bardzo szybko naprawić.

– W ciągu trzech dni – dodał pan Wojakowski i znowu usiadł. – „Trzy dni!”, powtórzył cieśla okrętowy i cisnął młotkiem tak mocno, że przebił grodzień na wylot. Na to kapitan portu mówi: „No to ma pan jeszcze jedną dziurę do załatania”, i...

Nawet nie zauważyli, kiedy Richard opuścił pokój. Pan Wojakowski okazał się doskonałym partnerem dla Maisie.

Richard zatelefonował do Kit, kiedy tylko znalazł się w laboratorium.

– Maisie powiedziała Vielle, że zawsze marzyła o pójściu na wieczór smakołyków – wyjaśniła Kit. – Postanowiłyśmy więc zorganizować dla niej przyjęcie. Pielęgniarki pozwoliły nam skorzystać z sali konferencyjnej oddziału intensywnej opieki kardiologicznej jutro o czwartej. Musiałyśmy bardzo długo je przekonywać do tego pomysłu. Nie wiem, czy mógłbyś przynieść jakieś kasety. Vielle sugerowała *Wulkan* albo *Płonący wieżowiec*.

– A co z mamą Maisie? – zaniepokoił się Richard.

– Nie ma problemu. O szesnastej ma spotkanie z Danielsem, Duttonem i Walshem. Stara się uzyskać zgodę na wciągnięcie Maisie do badań klinicznych nad nowym lekiem wspomagającym przyjmowanie przeszczepów.

Richard pożyczył kasetę z *Wulkanem*, a ponieważ nie było *Płonącego wieżowca*, zdecydował się na *Twistera*.

– Lubimy katastrofy, co? – odezwał się niski chłopak, wręczając mu taśmę. – Powinien pan pożyczyć *Titanica*.

– Już go oglądałem – odparł Richard.

Gdy dotarł na oddział intensywnej terapii kardiologicznej, Kit i Vielle były już w pokoju Maisie. Miały na sobie maski i fartuchy, a Maisie nie mogła usiedzieć na miejscu z radości.

– Już przyszedł! – wykrzyknęła, gdy go ujrzała. – Miałam czekać na pana, żeby się dowiedzieć, co to za niespodzianka. No więc?

– Powiemy ci, kiedy dotrzemy na miejsce – uciszyła ją Vielle, wprowadzając wózek inwalidzki. Do pomieszczenia weszła także Evelyn, aby przygotować do drogi kroplówkę i urządzenie kontrolujące pracę serca. Richard i Kit pomogli dziewczynce usadowić się na wózku i pojechali trzy pokoje dalej, do sali konferencyjnej.

– Wieczór smakołyków! – uradowała się Maisie, ujrzawszy plakaty filmowe.

– To nie jest wieczór smakołyków – sprostowała Kit. – To wieczór dwóch filmów katastroficznych. – Richard pokazał przyniesione kasety.

– Doktor Templeton powiedział, że możesz obejrzeć dzisiaj tylko jeden film – sprostowała Evelyn.

– A zatem drugi seans odbędzie się podczas naszego następnego wieczoru smakołyków – wyjaśniła Kit. – Gdy tylko wyjdiesz ze szpitala.

– Pójdę na prawdziwy wieczór smakołyków – cieszyła się Maisie, a Richard miał nadzieję, że nadmiar emocji jej nie zaszkodzi. Wręczył dziewczynce taśmy, a Kit i Vielle pochyliły się nad nią, aby wspólnie zdecydować, który film obejrzeć, i wytłumaczyć reguły obowiązujące podczas wieczoru smakołyków.

– Zasada numer jeden: nie wolno rozmawiać o pracy – oznajmiła Kit. – W twoim wypadku odnosi się ona do spraw związanych z przeszczepem.

– A także z klatkami piersiowymi. I z przenośnymi lodówkami do piwa – uzupełniła Vielle. – Zasada numer dwa: jemy tylko to, co się jada podczas seansów filmowych.

– Doktor Templeton zdecydował, że jeszcze za wcześnie na popcorn – dodała Kit. – Będziemy musieli z nim poczekać do następnego wieczoru. Póki co możesz zjeść loda w waflu. – Wyciągnęła smakołyk i dwie butelki syropu. – Czerwony czy niebieski?

– Niebieski! – zdecydowała Maisie.

Richard oparł się o drzwi i przyglądał całej scenie. Vielle zdjęła opatrunek z ramienia, lecz wciąż miała zabandażowaną dłoń. Jej podkrążone, zapuchnięte oczy prezentowały się już lepiej. Kit była równie zachwycona całą sytuacją jak Maisie. Nadal wyglądała bardzo chudo, lecz na jej policzkach pojawił się rumieniec. Richard przypomniał sobie, jak stała w laboratorium, blada i przygnębiona, ściskając w rękach podręcznik. Powiedziała wtedy, że Joanna ocaliła jej życie.

Pomyślał, że Joanna ocaliła życie im wszystkim. Zastanowił się, czy właśnie o to chodziło Maisie, gdy stwierdziła, że to nie on ją uratował. Może dziewczynka uświadomiła sobie, że ostatnie słowa Joanny ocaliły jej życie.

– Zasada numer trzy: nie oglądamy filmów Woody’ego Allena – stwierdziła Kit.

– Ani z Kevinem Costnerem – dodała Vielle.

– Ani Disneya – uzupełniła z zapalem Maisie.

Richard przypomniał sobie, jak podczas ich pierwszego wieczoru smakołyków Joanna ze śmiechem oznajmiła, że znajdują się w strefie wolnej od *Titanica*.

„Musi istnieć powód, dla którego widzę *Titanica*”, poinformowała go i miała rację. *Titanic* to doskonała metafora sygnału alarmowego, chaotycznie wysyłanego przez mózg we wszystkie strony i każdym dostępnym sposobem. Richard wpatrywał się w Maisie, Vielle i Kit, i zastanawiał się, czy to jedyne wyjaśnienie. Tragedia *Titanica* nie wiązała się w pierwszej kolejności z wiadomościami. Przede wszystkim chodziło w niej o ludzi, którzy nocą, pośrodku oceanu, podjęli nadludzki wysiłek, aby ocalić swoje żony, ukochane, przyjaciół, niemowlęta, dzieci, psy i pocztę z pierwszej klasy. Nie skoncentrowali się na ratowaniu własnej skóry.

Joanna chciała umrzeć jak W.S. Gilbert, a na *Titanicu* roiło się od podobnych do niego ludzi. Technik mechanik Harvey, Edith Evans, Jay Yates. Daniel Buckley, opiekujący się powierzonymi mu dziewczynkami i prowadzący je przez salon jadalniany pierwszej klasy, po głównych schodach i umieszczający je w łodzi. Robert Norman, przekazujący swoją kamizelkę ratunkową kobiecie z dzieckiem. John Jacob Astor, wciskający kapelusz z kwiatkami na głowę dziesięciolatka i oświadczający: „Teraz jest dziewczynką i może płynąć”. Kapitan Smith, płynący do jednej z łodzi z niemowlęciem w ramionach. I Jack Phillips. I orkiestra. I strażacy, kotłowi, mechanicy, trymerzy, zajmujący się kotłami i prądnicami, aby zapewnić ludziom światło, a radiotelegrafiście prąd. Żeby nie zapadły ciemności.

– Zgaście światło – odezwała się Vielle. – Pora zaczynać. I tak jest już wpół do piątej.

– Siostra Vielle idzie na randkę – oznajmiła z zadowoleniem Maisie.

– A ty skąd o tym wiesz? – Vielle wzięła się pod boki.

– Masz randkę? – zdziwiła się Kit. – Z kim? Tylko nie mów, że z Harveyem Balsamistą.

– Nie, nie z nim – wtrąciła się Maisie. – Z gliniarzem.
– Tym, który wygląda jak Denzel Washington? – dopytywała się Kit. – Wreszcie się z nim zapoznałaś?

Vielle skinęła głową.

– Zadzwoiłam do niego, żeby się spytać, czy może mi pomóc w znalezieniu taksówki, którą jechała Joanna. A skąd ty o tym wiesz, panno plotkaro?

Maisie spojrzała na Richarda.

– A zatem pan i pani Kit będziecie musieli coś zjeść w bufecie. We dwoje – dodała.

– Czas na film – przerwała jej Kit i lekko uderzyła dziewczynkę pudełkiem po kasecie. Następnie wręczyła Vielle taśmę z *Wulkanem*, a pielęgniarka włączyła telewizor i wsunęła film do odtwarzacza.

– Zaraz! Musicie chwilę poczekać. Zapomniałam mojej czapki od Eugene’a – wykrzyknęła Maisie i dodała przeproszającym tonem: – Muszę ją mieć. To przecież przyjęcie.

– Ja po nią pójde – zaproponował Richard.

– Nie – sprzeciwiła się dziewczynka. – Sama muszę ją wziąć. Nie wie pan, gdzie ją schowałam.

„Przecież możesz mi powiedzieć”, chciał zacząć Richard, lecz zerknął na niewinną i zdecydowaną twarz Maisie. Najwyraźniej miała powody, aby wrócić do pokoju, chociaż wiązało się to z przetransportowaniem kroplówki i urządzenia kontrolnego.

– Zaraz wrócimy – stwierdził Richard i popchnął wózek na korytarz.

Kiedy tylko znaleźli się w pokoju, Maisie wyjaśniła:

– Czapka jest pod poduszką. Niech pan mnie przysunie do nocnej szafki.
– Wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej kilka złożonych na czworo kartek z notatnika. – To opis moich doświadczeń granicznych z czasu, gdy byłam nieprzytomna. – Wręczyła zapiski Richardowi. – Nie miałam jak spisać relacji zaraz po przebudzeniu.

– To nie ma znaczenia – odparł Richard, poruszony, że dziewczynka samodzielnie wszystko spisała. – Dziękuję.

– Pani Joanna mówiła, że wszystko trzeba spisywać od razu po odzyskaniu przytomności – wyjaśniła surowo. – W ten sposób unika się konfabulacji.

– To prawda, ale nie zawsze istnieje taka możliwość. Twoja relacja bardzo mi się przyda.

Maisie wyglądała tak, jakby kamień spadł jej z serca.

– Jak pan myśli, czy pan Wojakowski mówi prawdę?

Pytanie zaskoczyło Richarda.

– Prawdę? – Starał się zyskać na czasie. Zastanawiał się, czy Maisie przyłapała pana Wojakowskiego na nieściskościach, tak samo jak Joanna.

– Aha – potwierdziła. – Spytałam go, czy wie, czy Jo-Jo Powers, ten facet, który oświadczył, że położy bombę na środku pokładu startowego, zdawał sobie sprawę z tego, iż mu się udało. To znaczy udało mu się trafić Shokaku. No bo przecież już nie żył, kiedy nastąpił wybuch. A pan Wojakowski odparł: „No jasne, że wiedział! Stał przy perłowych wrotach i oglądał całe zdarzenie!” Myśli pan, że tak?

– Chodzi ci o to, czy stał przy perłowych wrotach? – zdziwił się Richard.

– Nie, czy mówił prawdę! To jest jak sen, tak? To znaczy doświadczenia graniczne? Siostra Vielle powiedziała mi, że to jest jak sygnał wysyłany przez mózg, aby uruchomić serce, a człowiek odbiera ten sygnał w formie takiego snu. Siostra Vielle twierdzi, że to symbol.

– To prawda – potwierdził Richard.

– Więc to nieprawda.

– Nie. Ludzie czują się tak, jakby to przeżywali naprawdę, ale to tylko odczucie.

Maisie przemyślała jego słowa.

– Właściwie się tego domyśliłam, bo spotkałam Pollyannę. To nie jest prawdziwy człowiek. Poza tym ani jedno zwierzę się nie wydostało z klatki. To znaczy podczas pożaru cyrku w Hartford – wyjaśniła, spostrzegając jego zdumione spojrzenie. – Właśnie tam się znalazłam, gdy straciłam przytomność.

Jezus Maria. Pożar cyrku w Hartford.

– A jak się skończą doświadczenia graniczne, wszystko znika – ciągnęła.

– Nawet nie wiadomo, że się nie żyje. Dlatego, że mózg umiera.

Skinął głową na potwierdzenie.

– Ale nie wiadomo tego na pewno. Pani Joanna powiedziała, że nikt nie wie na pewno, co się dzieje po śmierci. Zdają sobie z tego sprawę wyłącznie zmarli, a oni nie mogą nic opowiedzieć. – Maisie zastanowiła się nad czymś i mruknęła do siebie: – A to, co oznacza sen, jest prawdą, nawet jeśli sen nie jest rzeczywistością.

– Maisie, czy podczas swoich doświadczeń granicznych spotkałaś Joannę? – spytał Richard.

– Nie – zaprzeczyła. – Pan Mandrake twierdzi, że zmarli mogą nam przekazywać informacje. Myśli pan, że to prawda?

Richard pomyślał, że dziewczynka chciałaby ujrzeć koło siebie Joannę, porozmawiać z nią. Jak można ją za to winić?

– Zmarli przemawiają do naszych serc – stwierdził ostrożnie.

– Nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, czy naprawdę potrafią się z nami porozumiewać?

– Nie.

Maisie pokiwała głową.

– Powiedziałam panu Mandrake’owi, że to nieprawda, bo gdyby potrafili, Mała Panienska 1565 powiedziałyby, jak się nazywa.

Richard pomyślał, że wówczas Joanna powtórzyłaby mu swoje ostatnie słowa. Ale z drugiej strony tak się właśnie stało. Maisie była tego żywym dowodem. A jeśli zaraz nie wrócą na wieczór smakołyków, Kit i Vielle dostaną szału.

– Lepiej już chodźmy na film – stwierdził i wcisnął różową czapkę na głowę dziewczynki.

Maisie kiwnęła głową, ale gdy stanął za wózkiem, żeby wyprowadzić go z pokoju, zaprotestowała:

– Zaraz, nie możemy jeszcze jechać. Kiedy powiedziałam, że to nie pan ocalił mi życie, nie chodziło mi o dziecko, które oddało mi serce.

– Tylko o kogo?

– O Emmetta Kelly’ego.

– Emmetta Kelly’ego? – Richard ponownie się zdumiał.

– No tak, przecież wiadomo, o kogo chodzi. To taki smutny klaun w podartym ubraniu, wyglądający tak, jakby się nie ogolił. To on ocalił dziewczynkę podczas pożaru cyrku w Hartford. Powiedział jej, żeby schowała się w ogrodzie zwycięstwa. Mnie też kazał tam iść i pomógł wydostać się z namiotu, więc dlatego powiedziałam, że uratował mi życie.

Richard usiłował zebrać myśli.

– Tylko że tak naprawdę to nie był on. Wyglądał jak on i przypominał go, ale był kimś innym. To tak, jak powiedziała siostra Vielle, kiedy tłumaczyła mi, czym są doświadczenia graniczne. Emmett Kelly był tylko symbolem. Ale nic się nie staje oczywistością tylko dlatego, że chcemy w to wierzyć.

– Maisie, więc kim on był naprawdę?

– Ale z drugiej strony pani Joanna nie powiedziała, że to niemożliwe, aby coś się nie stało rzeczywistością, jeśli chcemy w to uwierzyć – rozumowała Maisie. – Myślę, że to było prawdziwe, nawet jeśli Pollyanny, pożaru i wszystkiego innego nie można uznać za rzeczywistość.

– Maisie, kto cię uratował?

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiał najprostszych rzeczy.

– Pani Joanna – wyjaśniła z przekonaniem.

Rozdział 60

„Domysły, oczywiście tylko domysły. Jeśli są błędne, prawdą okaże się coś lepszego”.

C.S. Lewis, pisząc o zmartwychwstaniu w
O modlitwie. Listy do Malkolma

– Spójrz – odezwała się Helen. Siedziała blisko Joanny, a na kolanach trzymała francuskiego buldoga. Do tej chwili na przemian rozwiązywała i zawiązywała mu na szyi wstążkę do włosów, nie zwracając uwagi na czerwieniejące niebo. W końcu spojrzała jednak w górę. – Wydaje mi się, że coś się dzieje.

Joanna pomyślała, że czerwień ciemnieje, i ze strachem wpatrywała się w krwiste niebo. Światło znika i tym razem nie czeka ich noc pełna jasnych, migoczących gwiazd. Niebo jednak nie stawało się coraz mroczniejsze, raczej zmieniało odcień z krwistej czerwieni w karmin.

– Nie chodzi mi o niebo. – Helen wskazała palcem za krawędź fortepianu. – Tylko o wodę!

Joanna spojrzała w toń, która również przybrała karminową barwę, przypominającą pomarańczowoczerwone płomienie.

„Ale dla tchórzów, niewiernych: udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką”, pomyślała Joanna, przypominając sobie słowa siostry, cytującej Biblię. „To jest śmierć druga”.

Wyciągnęła rękę, aby przyciągnąć do siebie Helen, ale dziewczynka wywinęła się z jej objęć i zbliżyła do brzegu fortepianu. Następnie położyła się na brzuchu, a obok niej spoczął pies. Zanurzyła dłoń w wodzie.

– Raczej nie panuje cisza morska – uznała Helen, lecz płomiennoczerwona woda wciąż pozostawała gładka jak szkło. Przesuwająca się po niej dłoń dziewczynki nie wywołała ani jednej fali.

– Wcale nie ma ciszy morskiej – powtórzyła Helen, jakby Joanna ją o to spytała. – Patrz! – Skinęła głową w kierunku gór lodowych. Miała rację. Chociaż fortepian nie dryfował, chociaż woda była gładka i nieruchoma, już

nie otaczał ich lód. Góry pozostały daleko w tyle, a ich spiczaste wierzchołki w miedziowym kolorze wyraźnie się odcinały na tle płonącego nieba.

Joanna pomyślała, że wypłynęły z pola gór lodowych i straciły szansę na to, że ktokolwiek je znajdzie.

– Powiedziałam ci, że cisza morska się skończyła. – Helen wstała, a fortepian się zakołysał, rozchlapując wodę na brzegach. – Założę się, że to, na co czekałyśmy, właśnie nastąpiło.

Nie, pomyślała Joanna. Tylko nie to.

– Jak myślisz, co?... – zaczęła Helen i urwała, patrząc w kierunku gór lodowych.

Joanna spojrzała w tym samym kierunku. Nie dostrzegła już gór. Ze wszystkich stron, aż po sam horyzont, otaczała je nieruchoma, gładka tafla wody.

– Jak myślisz, co się teraz stanie? – dokończyła Helen.

– Nie wiem.

– Sądzę, że wkrótce dotrzemy do lądu – stwierdziła dziewczynka i usiadła ze skrzyżowanymi nogami pośrodku fortepianu. Przyłożyła do oka zwinięte w kółka dłonie, jakby patrzyła przez teleskop, i uważnie obejrzała horyzont w poszukiwaniu ziemi. – Patrz! – wykrzyknęła i wyciągnęła rękę na wschód. – Jest!

Z początku Joanna niczego nie widziała, lecz po chwili dostrzegła na horyzoncie maleńki punkcik. Pochyliła się i zmrużyła oczy. Pomyślała, że to łódź ratunkowa, i wbiła w nią wzrok. Miała nadzieję, że przyplynie nią pan Briarley i pani Woollam, bezpiecznie schronieni na składanej łodzi D.

– To statek! – wrzasnęła Helen, a gdy Joanna spojrzała uważniej, przekonała się, że punkcik zmienił się w długi kształt, przypominający komin. – *Carpathia*! – wykrzyknęła uszczęśliwiona dziewczynka.

Joanna uznała, że to niemożliwe. Za daleko dla niej. Zresztą *Carpathia* nadpłynęła z południowego zachodu.

– I tak idę o zakład, że to ona – oświadczyła Helen, jakby Joanna się do niej odezwała. – No bo co innego?

Joanna doszła do wniosku, że Mackay-Bennett. Spoglądała na zbliżający się parowiec. Wypłynął z Halifaksu z pastorem i ładownią pełną lodu do obłożenia wyłowionych zwłok. Ciała zamierzano pochować w oceanie. Joanna pomyślała, że koniec musi być bliski. Popatrzyła na statek. Niebo znowu zmieniało barwę, ciemniało, żółkło, jak gnijące mięso.

Pewnie umierają ostatnie neurony, ostatnie komórki kory mózgowej, hipokamp, ciało migdałowate. Synapsy coraz słabiej rozbłyskują, przestają przekazywać impulsy. I co potem będzie? Nieodwracalna śmierć mózgu i Mackay-Bennett, zdecydowała.

– Jeśli to *Carpathia*, jesteśmy uratowane – cieszyła się Helen, przygarniając buldoga, jakby zbierała bagaże i przygotowywała się do wejścia na pokład.

Niebo stało się ciężkie, rdzawe. Komin Mackaya-Bennetta wyraźnie się od niego odcinał. Joanna pomyślała, że nikt nie pozna ich nazwisk. Chciała znaleźć swój szpitalny identyfikator, lecz nie miała go przy sobie, spadł do wody. Pożałowała, że nie poprosiła pana Wojakowskiego o wykonanie metalowego identyfikatora z jej nazwiskiem.

Johna Jacoba Astora rozpoznano po inicjałach wyhaftowanych po wewnętrznej stronie kołnierza. Przetrzęsła kieszenie w poszukiwaniu długopisu, aby napisać imię Helen na kołnierzu jej sukienki, lecz niczego nie znalazła, nawet monety dla Charona.

– Chyba miałaś rację – przyznała Helen. – Ten statek wcale nie wygląda jak *Carpathia*.

Joanna podniosła wzrok, obawiając się, że ujrzy pokład wypełniony trumnami i przygotowanego do pracy balsamistę. Statek wciąż się znajdował daleko, lecz na tle rdzawego nieba wyraźnie było widać jego sylwetkę. Joanna od razu zorientowała się, że zamiast komina na statku znajduje się pomost wyspowy, najeżony masztami i antenami, a pod nim rozciąga się szeroki, płaski pokład i wklęsły, trójkątny dziób.

– Czy to *Carpathia*? – dopytywała się Helen.

– Nie – zamyśliła się Joanna. – To *Yorktown*.

– *Yorktown*? – powtórzyła dziewczynka. – Wydawało mi się, że *Yorktown* zatopiono na Morzu Koralowym.

– To prawda – potwierdziła Joanna. Dostrzegła teraz kabinę radiotelegrafisty, znajdującą się wysoko na pomoście wyspowym, oraz przypominające krzyże anteny. Naprawiono go w trzy dni.

– Co on tu robi?

– Nie mam pojęcia.

– Skąd wiesz, że to *Yorktown*, skoro nie widać nazwy? – dziwiła się Helen, lecz nie było mowy o pomyłce. Joanna widziała samoloty. Marynarze ustawili się przy relingu na pokładzie startowym, a ich białe mundury lśniły oślepiającą bielą.

– Myślisz, że nas widzą? – zaciekała się Helen. – Może powinniśmy ich jakoś zawiadomić?

– Już to zrobiliśmy – odparła Joanna. – SOS. SOS. – Wstała i zapatrzyła się w okręt, jakby na jego pokładzie ustawiono pluton egzekucyjny.

– Jesteśmy uratowane? – Helen spojrzała na Joannę.

– Nie wiem – usłyszała w odpowiedzi. To może być jeden z ostatnich rozbłysków synaps, ostatnia próba zrozumienia śmierci i umierania, ostatnia metafora. Albo coś zupełnie odmiennego. Joanna popatrzyła w niebo. Znowu się zmieniało, jaśniało, przybierało złotą barwę. *Yorktown* płynął prosto w kierunku fortepianu, niewiarygodnie wielki, niewiarygodnie prędki. Jego wąski dziób przecinał lśniąca wodę niczym nóż.

– Boisz się? – spytała Helen.

Yorktown znajdował się już bardzo blisko. Na wieżyczce, masztach i antenach powiewały flagi, a na pokładzie startowym stali marynarze. Machali rękami. Pośrodku, ubrany na biało dowódca okrętu spoglądał w kierunku Joanny i Helen przez lornetkę. Jej soczewki lśniły złotem.

– Więc jak? – dopytywała się dziewczynka.

– Tak – odparła Joanna. – Nie. Tak.

– Ja też się boję – przyznała Helen.

Joanna otoczyła ją ramieniem. Marynarze wznosili okrzyki, wymachiwali białymi czapkami w powietrzu. Za nimi, nad wieżą, wyszło słońce, oślepiająco jasne, pozłacając krzyże i dowódcę.

– A jeśli znowu zatonie? – przestraszyła się Helen. – *Yorktown* poszedł na dno pod Midway.

Joanna uśmiechnęła się do niej i do małego buldoga, a potem ponownie spojrzała na okręt.

– Każdy okręt prędzej czy później pójdzie na dno – stwierdziła i podniosła rękę na powitanie. – Ale nie dzisiaj. Nie dziś.

{1}. *Wright* wymawia się tak samo jak „right” – odpowiedni, właściwy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

{2}. William Shakespeare, *Tragiczna historia Hamleta księcia Danii*, przekład Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978.

{3}. Ibid.

{4}. Bohaterka musicalu *Music Man*.

{5}. George Gordon Byron, *Kłęska Sennacheryba, Wiersze, poematy. Wędrówki Czajld Harolda*, tłum. Feliks Chlibkiewicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

{6}. George Gordon Byron, *Kłęska Sennacheryba*, op. cit.

{7}. Alexander Pope, *Pukiel porwany*, przeł. Ludwik Kamiński, *Poeci języka angielskiego*, t. II, wybór i oprac. Henryk Krzeczkowski, Jerzy S. Sito, Juliusz Żuławski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971.

{8}. Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, przeł. Zygmunt Kubiak, *Poezje wybrane*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.

{9}. Amerykańska organizacja kobieca, zajmująca się działalnością dobroczynną i sprawami publicznymi.

{10}. Ibid.

{11}. Gra, w której uczestnicy popychają kijami drewniane lub plastikowe dyski na namalowane na ziemi pola o różnej wartości punktowej.

{12}. Henry Wadsworth Longfellow, *Rozbicie się okrętu Hesperus*, tłum. Piotr Budkiewicz.

{13}. Ibid.

{14}. William Szekspir, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, *Tragedie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.

{15}. Christopher Marlowe, *Tragiczna historia doktora Faustusa*, tłum. Juliusz Kydryński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982.

{16}. Tenże, *Hero i Leander*, tłum. Piotr Budkiewicz.

{17}. Christopher Marlowe, *Tragiczna historia...*, op. cit.

{18}. William Szekspir, *Makbet*, op. cit.

{19}. Ibid.

{20}. Henry Wadsworth Longfellow, op. cit.

{21}. Christopher Marlowe, *Tragiczna historia...*, op. cit.

{22}. Percy Bysshe Shelley, *Ozymandias*, przeł. Adam Asnyk, *Poeci języka angielskiego*, op. cit.

{23}. Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, op. cit.

{24}. Ibid.

{25}. Ibid.

{26}. William Shakespeare, *Ryszard III*, przeł. Leon Ulrich, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1963.

- {27}. Henry Wadsworth Longfellow, op. cit.
- {28}. Ibid.
- {29}. Ibid.
- {30}. Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, op. cit.
- {31}. James Matthew Barrie, *Przygody Piotrusia Pana*, op. cit.
- {32}. William Shakespeare, *Tragiczna historia Hamleta księcia Danii*, op. cit.
- {33}. Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, op. cit.
- {34}. Ibid.
- {35}. Ibid.
- {36}. William Shakespeare, *Makbet*, op. cit.
- {37}. William Shakespeare, *Otello*, op. cit.
- {38}. Henry Wadsworth Longfellow, op. cit.
- {39}. Ibid.